

**ROBERT
LUDLUM**

**ULTIMATUM
BOURNE'A**

PRZEKŁAD: ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

Spis treści

Spis treści	2
Prolog	3
Rozdział 1	5
Rozdział 2	9
Rozdział 3	16
Rozdział 4	28
Rozdział 5	40
Rozdział 6	50
Rozdział 7	61
Rozdział 8	70
Rozdział 9	81
Rozdział 10	91
Rozdział 11	100
Rozdział 12	110
Rozdział 13	119
Rozdział 14	129
Rozdział 15	140
Rozdział 16	149
Rozdział 17	160
Rozdział 18	176
Rozdział 19	189
Rozdział 20	201
Rozdział 21	211
Rozdział 22	221
Rozdział 23	230
Rozdział 24	241
Rozdział 25	253
Rozdział 26	268
Rozdział 27	279
Rozdział 28	292
Rozdział 29	302
Rozdział 30	316
Rozdział 31	327
Rozdział 32	337
Rozdział 33	346
Rozdział 34	353
Rozdział 35	367
Rozdział 36	378
Rozdział 37	387
Rozdział 38	396
Rozdział 39	407
Rozdział 40	417
Rozdział 41	428
Rozdział 42	444
Epilog	455

Prolog

Ciemność spłynęła na Manassas w stanie Wirginia. Bourne skradał się przez rozbrzmiewający nocnymi odgłosami las, który otaczał posiadłość generała Normana Swayne'a. Wystraszone ptaki uciekały z furkotem skrzydeł ze swoich pogrążonych w mroku kryjówek; wrony budziły się na gałęziach drzew i krakały na alarm, lecz zaraz cichły, jakby również wciągnięte do spisku.

Manassas! Właśnie tutaj należało szukać klucza do ukrytych drzwi, przez które można było dotrzeć do Carlosa, mordercy opętanego pragnieniem zniszczenia Davida Webba i jego rodziny. Webb... Odejdź ode mnie, Davidzie! - krzyknął rozpaczliwie Jason Bourne w ciszy swego umysłu. - Pozwól mi stać się zabójcą, którym ty nigdy nie mógłbyś być!

Wraz z każdym kolejnym cięciem nożyc prujących grubą drucianą siatkę ogrodzenia kapiący mu z czoła pot i coraz cięższy oddech potwierdzały to, czemu nie sposób było zapobiec: miał już pięćdziesiąt lat i chociaż bardzo starał się utrzymać swoje ciało w przyzwoitej kondycji, nie był w stanie działać z taką łatwością, jak przed trzynastu laty w Paryżu, kiedy udało mu się osaczyć Szakala. Należało liczyć się z tym faktem, ale niekoniecznie bez końca roztrząsać. Teraz chodziło o Marie i dzieci - o żonę i dzieci Davida - i nie istniało nic, czego nie mógłby osiągnąć, gdyby naprawdę tego chciał. David Webb zniknął bez śladu z jego psychiki, ustępując przed Jasonem Bourne'em, drapieżcą.

Udało się! Przepęłnął przez ogrodzenie i zerwał się na nogi, instynktownie sprawdzając dotknięciem obu dłoni swoje wyposażenie: dwa pistolety, maszynowy i pneumatyczny, lornetkę Zeiss-Ikon, nóż myśliwski o zakrzywionym ostrzu. Było to wszystko, czego drapieżca potrzebował na terytorium nieprzyjaciela, który miał go ostatecznie zaprowadzić do Carlosa.

„Meduza”. Działający w Wietnamie, nie figurujący w żadnych oficjalnych wykazach batalion złożony z wyrzutków, degeneratów i morderców, podlegający bezpośrednio Dowództwu Sajgonu i dostarczający mu więcej informacji na temat wroga niż wszystkie wywiadowcze jednostki razem wzięte. Jason Bourne opuścił „Meduzę”, prawie nie pamiętając Davida Webba - uczonego, który miał kiedyś inną żonę i inne dzieci; wszystkich bestialsko zamordowano.

Generał Norman Swayne sprawował ważną funkcję w Dowództwie Sajgonu, będąc jednocześnie głównym zaopatrzeniowcem dawnej „Meduzy”. Teraz pojawiła się nowa „Meduza” - zupełnie inna, potężna, uosobienie zła przebrane w strój budzący dziś szacunek, niszcząca wybrane fragmenty światowej gospodarki po to tylko, by nielicznym wybrańcom przysporzyć ogromnych korzyści finansowych. Taką działalność umożliwiały nigdzie nie zarejestrowane, niemożliwe do oszacowania profity pozostałe po batalionie zabójców. Nowa „Meduza” stanowiła jednocześnie pomost wiodący do Carlosa. Morderca z pewnością przyjmie od jej członków ofertę współpracy, równie mocno jak oni pragnąc śmierci Jasona Bourne'a. Musi się tak stać! Ale żeby tak się stało, Bourne musi poznać wszystkie tajemnice ukryte na terenie posiadłości generała Swayne'a, urzędnika odpowiedzialnego za dostawy dla Pentagonu, ogarniętego paniką człowieka z niewielkim tatuażem na wewnętrznej stronie przedramienia. Członka „Meduzy”.

W całkowitej ciszy, bez żadnego ostrzeżenia, zza zasłony liści wypadł rozpędzony czarny doberman i rzucił się na intruza, mierząc wyszczerzonymi, ociekającymi śliną kłami w jego brzuch. Jason wyszarpnął z nylonowej kabury pneumatyczny pistolet i strzelił, starając się trafić w łeb. Zawarty w pocisku silny narkotyk zaczął działać niemal natychmiast. Bourne położył ostrożnie na ziemi ciało nieprzytomnego zwierzęcia,

Poderżnij mu gardło! - ryknął w ciszy Jason Bourne.
Nie - zaprotestował David Webb. - Trzeba ukarać tresera, nie psa.
Odejdź, Davidzie!

Rozdział 1

W zatłoczonym wesołym miasteczku, położonym na przedmieściach Baltimore, panował nieopisany harmider. Letni wieczór był bardzo ciepły, twarze i karki ludzi błyszcząły od potu. Wyjątkiem byli tu ci spośród gości, którzy akurat wrzeszczeli przeraźliwie, wpadając z ogromną prędkością w kolejne zakręty kolejki górskiej lub zsuwając się w przypominających torpedy saniach z krętych, kipiących od wzburzonej wody pochylni Wściekłemu migotaniu okalających główny pasaż różnokolorowych świateł towarzyszyły ogłuszające dźwięki muzyki wydobywającej się z niezliczonych głośników - organy *presto* marsze *prestissimo*. Ponad zgiełk wybijały się nosowe, monotonne głosy zachwalających swoje towary sprzedawców, a ciemne niebo rozświetlały nieregularne eksplozje sztucznych ogni, rozkwitających oślepiającymi pióropuszcami i spadających następnie kaskadami do niewielkiego czarnego jeziora.

Przy mierzących siłę uderzenia maszynach tłoczyli się mężczyźni o zawziętych twarzach i nabrzmiałych karkach, starając się z zapalem, choć często nieskutecznie, dowieść swej męskości; posyłane w górę ciosami ogromnych drewnianych młotów czerwone piłeczki z reguły nie docierały do będących celem dzwonek. Po drugiej stronie alejki dawali głośnie wrzaskami upust swemu agresywnemu entuzjazmowi ci, co uderzając kierowanymi przez siebie samochodzikami w inne, krążące po parkiecie, czuli się przez chwilę niczym bohaterzy gwiazdorzy, pokonujący wszelkie piętzące się ma ich drodze przeciwności. Pojedynek rewolwerowców o 9.27 wieczorem wywołany byle pretekstem.

Nieco dalej wznosiło się mauzoleum gwałtownej śmierci - strzelnica nie przypominająca w niczym pocziwych przybytków, jakich mnóstwo można spotkać podczas wszelkiego rodzaju zabaw i festynów. Był to miniaturowy

wszechświat wypełniony najbardziej śmiercionośną bronią, jaka znajdowała się we współczesnych arsenałach. Jedna obok drugiej leżały dokładne kopie pistoletów maszynowych MAC-10 i uzi, wyrzutni przeciwpancernych pocisków, a także budząca grozę replika miotacza płomieni, wyrzucająca snopy jaskrawego światła i kłęby ciemnego dymu. Również i tutaj roilo się od spoconych twarzy; krople potu ściekały koło błyszczących szaleństwem oczu, docierając aż do wyprężonych karków. Mężowie, żony i dzieci tłoczyli się obok siebie, wszyscy ze szkaradnie wykrzywionymi twarzami, jakby każde z nich rozkoszowało się zabijaniem swoich największych wrogów - właśnie mężów, żon, rodziców i dzieci - wszyscy uczestniczący w nie mającej końca ani znaczenia wojnie. W wesołym miasteczku, którego główną atrakcją stanowiła przemoc, była 9.29 wieczorem. Bez żadnych ograniczeń, ale i bez gwarancji, każdy mógł stanąć tu twarzą w twarz ze swymi nieprzyjaciółmi, z których najgroźniejsze były, rzecz jasna, gnębiące go lęki.

Szczupły mężczyzna z laską w prawej ręce przekuśtykał obok budki, w której podekscytowani klienci rzucali ostrymi strzałkami do balonów z wizerunkami powszechnie znanych osobistości. Każda eksplozja gumowej twarzy była pretekstem do głośnej dyskusji na temat zalet i wad postaci, która służyła za pierwowzór, a także celności oka i ręki egzekutora. Utykający mężczyzna szedł alejką, rozglądając się w tłumie spacerowiczów, jakby szukał jakiegoś konkretnego miejsca w zatłoczonej, nie znanej dzielnicy miasta. Miał na sobie skromną, lecz schludną marynarkę i sportową koszulkę; można było odnieść wrażenie, iż upał zupełnie mu nie dokucza, a marynarka jest nieodłącznym elementem jego stroju. Na przyjemnej twarzy starzejącego się już człowieka widniały głębokie zmarszczki, lecz zarówno one, jak i podkrążone oczy były bardziej rezultatem trybu życia niż liczby przeżytych lat. Mężczyzna ów nazywał się Aleksander Conklin i był emerytowanym,

wysokim rangą funkcjonariuszem Centralnej Agencji Wywiadowczej, zajmującym się w swoim czasie najbardziej tajnymi z przeprowadzanych przez nią operacji. Akurat w tej chwili przepełniały go obawy i podejrzenia. Nie odpowiadało mu miejsce, w którym się znalazł, a zwłaszcza pora, a co gorsza, nie potrafił sobie wyobrazić rozmiarów katastrofy jaka musiała się wydarzyć skoro jednak został do tego zmuszony.

Zbliżywszy się do piekła panującego wokół strzelnicy, zmarł nagle w bezruchu i utkwił spojrzenie w wysokim, łysiejącym mężczyźnie mniej więcej w swoim wieku, z przewieszoną przez ramię prążkowaną marynarką. Morris Panov zbliżał się z drugiej strony do ciasno zbitego tłumu! Dlaczego? Co się stało? Conklin błyskawicznie obrzucił spojrzeniem przesuwające się dookoła ciała i twarze, czując podświadomie, że zarówno on, jak i psychiatra Są obserwowani. Było już za późno na to, żeby powstrzymać Panova przed wejściem na teren wyznaczony jako miejsce spotkania, ale może jeszcze nie za późno, żeby natychmiast wraz z nim zniknąć! Emerytowany oficer wywiadu zacisnął dłoń na rękojeści tkwiącej pod połą jego marynarki małej, automatycznej beretty, z którą prawie nigdy się nie rozstawał, i wymachując zamasyżycie laską, ruszył szybko naprzód, waląc na oślep po kolanach, żołądkach i nerkach. Rozległy się zaniepokojone, wściekłe okrzyki, będące zapowiedzią rodzącego się zamieszania. W chwilę potem wpadł z rozpędu na zdezorientowanego lekarza i wrzasnął mu w twarz, przekrzykując ryk tłumu:

- Co tu robisz, do diabła?

- Przypuszczam, że to samo co ty. To David, a może powinienem powiedzieć: Jason? Tak było napisane w telegramie,

- To pułapka!

Ponad otaczający ich harmider wzbił się samotny, przeraźliwy krzyk. Zarówno Conklin, jak i Panov spojrzeli w kierunku odległej o zaledwie kilka metrów strzelnicy. Tłusta kobieta o twarzy zmarłej w grymasie przerażenia została trafiona pociskiem w gardło. W tłumie wybuchła panika. Conklin usiłował ustalić miejsce, z którego padł strzał, ale nie był w stanie dostrzec nic oprócz uciekających we wszystkie strony ludzi. Chwyciwszy Panova za ramię, przeciągnął go na drugą stronę alejki, a potem dalej, przez gęstwinę nieświadomych jeszcze tragedii spacerowiczów, aż do wejścia na ogromną kolejkę górską. Nie zważając na ogłuszający hałas, tłoczyli się tu podnieceni perspektywą przejazdki klienci.

- Boże! - wykrzyknął Panov. - Czy to było przeznaczone dla któregoś z nas?

- Może tak, a może nie - odparł były oficer wywiadu. W oddali rozległo się wycie syren i świergot policyjnych gwizdków.

- Powiedziałeś, że to pułapka!

- Bo obaj dostaliśmy od Davida bezsensowny telegram podpisany nazwiskiem, którego nie używa od pięciu lat- Jason Bourne! Jeżeli się nie mylę, to w twoim również była wzmianka o tym, żeby pod żadnym pozorem do niego nie dzwonić?

- Zgadza się.

- W takim razie to na pewno pułapka... Tobie łatwiej poruszać się niż mnie, więc puść w ruch te swoje długie nogi. Spieprzaj stąd najszybciej jak potrafisz, i znajdź jakiś telefon, taki w budce, żeby nie można było od razu sprawdzić numeru.

- Co takiego?

- Zadzwoń do niego i powiedz, żeby natychmiast pakował Marie i dzieci i zwiewał, gdzie pieprz rośnie.

- Dlaczego?

- Ktoś nas znalazł, doktorku! Ktoś, kto od wielu lat szuka Jasona Bourne'a i nie spocznie, dopóki nie podejdzie do niego na odległość skutecznego strzału... Ty zajmowałeś się galimatiasem w głowie Davida, a ja ciągnąłem za wszystkie przegniłe sznurki w Waszyngtonie, żeby tylko wydostać jego i Marie żywych z Hongkongu. Ktoś nie dotrzymał umowy i zostaliśmy odnalezieni, Mo, ty i ja, jedyni ludzie, o których oficjalnie wiadomo, że

stykali się z Jasonem Bourne'em, obecny zawód i miejsce pobytu nieznane!

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Aleks?
- I to jeszcze jak! To sprawa Carlosa. Znikaj stąd, doktoru, skontaktuj się ze swoim byłym pacjentem i powiedz mu, żeby zrobił to samo.
- W jaki sposób?
- Nie mam zbyt wielu przyjaciół, a już na pewno żadnych, którym mógłbym zaufać, ale ty na pewno znajdziesz kogoś takiego. Podaj Davidowi jego nazwisko i każ mu tam zadzwonić, jak tylko znajdzie się w bezpiecznym miejscu; Wymyślcie jakiś kryptonim.
- Kryptonim?
- Boże, Mo, rusz tą swoją głową! Jakies fałszywe nazwisko, Jones albo Smith...
- To chyba zbyt proste...
- Więc Schickelgrubber albo Moskowitz, jakie tylko chcesz! Powiedz mu tylko, żeby koniecznie dał nam znać, gdzie jest.
- Rozumiem.
- A teraz uciekaj stąd, ale broń Boże, nie wracaj do domu! Wynajmij pokój w hotelu Brookshire w Baltimore na nazwisko..Morris, Phillip Morris. Znajdę cię tam później.
- A co teraz będziesz robił?
- Coś, czego nienawidzę. Schowam laskę i kupię bilet na tę cholerną kolejkę. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać tutaj kulawego faceta. Nie znoszę tego wariactwa, ale to najlepsze rozwiązanie, nawet gdybym miał jeździć całą noc... A teraz znikaj, szybko!

Samochód pędził na południe gruntową drogą prowadzącą przez wzgórza New Hampshire w kierunku granicy Massachusetts. Za kierownicą z zaciśniętymi kurczowo szczękami siedział wysoki mężczyzna o skupionej, wyrazistej twarzy i błękitnych oczach miotających wściekle błyski. Sąsiedni fotel zajmowała jego nadzwyczaj atrakcyjna żona; rudawy odcień jej włosów podkreślał docierający aż tam blask lampek oświetlających przyrządy. W ramionach trzymała ośmiomiesięczną niemowlę, dziewczynkę, a na tylnym siedzeniu spał przykryty kocem pięcioletni jasnowłosy chłopiec, zabezpieczony przed upadkiem zamontowaną w poprzek samochodu siatką. Ich ojcem był David Webb, obecnie wykładowca orientalistyki, lecz wcześniej członek otoczonej nimbem tajemnicy „Meduzy”, a potem dwukrotnie Jason Bourne, legendarny zabójca.

- Obydwoje wiedzieliśmy, że coś takiego musi się kiedyś stać - powiedziała Marie St. Jacques Webb, Kanadyjka z urodzenia, ekonomistka z zawodu, przypadkowo osoba, która uratowała życie Davida Webba. - To była wyłącznie kwestia czasu.

- Szaleństwo! - szepnęła David, starając się nie obudzić dzieci; ładunek emocjonalny, jaki był zawarty w tym słowie, nie uległ przez to wcale zmniejszeniu. - Wszystko głęboko zakopane, najwyższy stopień utajnienia akt i cała reszta tych bzdur! Jakim cudem komuś udało się odnaleźć Aleksa i Mo?

- Tego nie wiemy, lecz Aleks natychmiast zacznie szukać. Sam mówiłeś, że nie ma nikogo lepszego niż on...

- Teraz wzięli go na cel, więc właściwie już jest martwy - przerwał ponuro Webb.
- Przesadzasz, Davidzie. „On jest najlepszy”, to twoje własne słowa.
- Już raz się nie sprawdziły, trzynaście lat temu w Paryżu.
- Tylko dlatego, że ty byłeś lepszy.
- Nie! Dlatego, że nie wiedziałem, kim jestem, a on działał, opierając się na danych, o których ja nie miałem najmniejszego pojęcia! Przyjął założenie, że ma do czynienia ze mną ale ja nie znałem samego siebie, więc nie mogłem działać zgodnie z jego przewidywaniami... On w dalszym ciągu jest najlepszy. W Hongkongu uratował nam obojgu życie.

- Zdaje się, że mówisz to samo, co ja przed chwilą, prawda? Znajduje my się w

dobrych rękach.

- Go do Aleksa, zgoda, ale nie Mo! Ten wspaniały człowiek jest już trupem! Zgarną go i wszystko z niego wyciągną.

- Prędzej umrze, niż piśnie komukolwiek choćby słowo na nasz temat. - Nie będzie miał wyboru. Wstrzykną mu taką dawkę, że opowie ze szczegółami o całym swoim życiu, a potem zabiją goi przyjdą po mnie... a właściwie po nas. Właśnie dlatego lecisz z dziećmi na południe, na Karaiby. - Dzieci polecą same, kochanie. Ja zostaję.

- Przestań! Przecież ustaliliśmy szczegóły, kiedy urodził się Jamie! Właśnie po to tam wszystko przygotowaliśmy, po to niemal kupiliśmy duszę twojego brata, żeby zechciał się wszystkim zająć. Nawiasem mówiąc, poradził sobie zaskakująco dobrze. Obecnie jesteśmy współwłaścicielami świetnie prosperującego pensjonatu na wyspie, o której nikt nie wiedział, dopóki pewnego dnia nie wylądował tam hydroplanem ten kanadyjski zabijaka.

- Johnny zawsze przejawiał agresywne cechy charakteru. Tata powie dział kiedyś, że potrafiłby sprzedać zdychającą jałówkę jako rozplodowego

buhaja i nikomu nie przyszłoby nawet myśl, aby sprawdzić, czy wszystko jest: na swoim miejscu.

- Najważniejsze, że tak bardzo kocha ciebie i dzieci. Liczę też na jego...

Zresztą, nieważne. Po prostu mu ufam i już.

- Nawet jeżeli pokładasz tak wielką ufność w moim młodszym bracie, to radziłabym ci, żebyś odnosił się z nieco większym krytycyzmem do swojej orientacji w terenie. Właśnie minąłeś skręt do chaty.

- Niech to licha! - syknął Webb, hamując gwałtownie i kręcąc kierownicą. - Jutro ty, Jamie i Alison odlatujecie z Logan na wyspę.

- Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Nie mamy o czym rozmawiać - odparł David oddychając głęboko i zmuszając się do zachowania nienaturalnego spokoju. - Byłem już tutaj - dodał cicho.

Marie spojrzała na nieruchomą, oświetloną blaskiem zegarów twarz swego męża. To, co zobaczyła, przeraziło ją znacznie bardziej niż widmo Szakala. Obok niej nie siedział już David Webb, spokojny, łagodny naukowiec, lecz człowiek, który, jak myśleli obydwójce, na zawsze zniknął z ich życia.

Rozdział 2

Aleksander Conklin ścisnął mocniej laskę i utykając, wszedł do sali konferencyjnej w kwaterze głównej Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley. Ujrzał przed sobą długi, imponująco duży stół, przy którym mogło się jednocześnie pomieścić co najmniej trzydzieści osób, lecz teraz siedziały tylko trzy, wśród nich siwowłosa dyrektor CIA. Ani on, ani towarzyszący mu dwaj najwyżsi rangą zastępcy nie wydawali się zadowoleni ze spotkania z Conklinem. Po ograniczonym do niezbędnego minimum powitaniu Conklin nie zajął przeznaczonego najwyraźniej dla niego miejsca przy zastępcy siedzącym po lewej stronie dyrektora, lecz usiadł na krześle przy drugim końcu stołu i z donośnym stuknięciem oparł laskę o drewnianą krawędź mebla.

- Skoro już się przywitaliśmy, panowie, proponuję, żeby nie tracić czasu na głupoty - powiedział.

- Nie jest to ani uprzejmy, ani przyjazny sposób zaczynania rozmowy, panie Conklin - zauważył dyrektor CIA.

- Bo nie mam teraz głowy do takich rzeczy, sir W tej chwili interesuje mnie wyłącznie to, dlaczego zignorowano tak absolutnie jednoznaczne ustalenia i dopuszczono do powstania przecieku, w wyniku którego życie kilku ludzi, w tym także moje, znalazło się w bardzo poważnym niebezpieczeństwie!

- To nieprawdopodobne, Aleks! - wybuchnął jeden z zastępców.

- Całkowicie niemożliwe! - zawtórował mu drugi. - Nic takiego nie mogło się zdarzyć i ty doskonale wiesz o tym.

- Wiem tylko tyle, że jednak się zdarzyło, i zaraz wam dokładnie opowiem co - odparł z gniewem Conklin. - Człowiek, wobec którego zarówno ten kraj, jak i większa część świata mają dług wdzięczności, musi ukrywać się wraz z żoną i dziećmi, przerażony, że on i jego rodzina znowu stanowią dla kogoś cel. Wszyscy tutaj obecni dali mu kiedyś słowo, że nawet najdrobniejszy fragment oficjalnej dokumentacji na jego temat nie ujrzy światła dziennego dopóty, dopóki nie zostanie stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że Iljicz Ramirez Sanchez, znany także jako Carlos lub Szakał, nie żyje... Zgadza się, docierały do mnie te same plotki co do was, prawdopodobnie z tych samych lub jeszcze lepszych źródeł, jakoby Szakał zginął albo został zlikwidowany tu lub tam, ale nikt - powtarzam, nikt - nie przedstawił na to niezbitego dowodu. Mimo to ujawniono bardzo ważną część informacji, czym jestem szczególnie zbulwersowany z tego powodu, iż znajduje się tam również moje nazwisko, a także doktora Morrisa Panova, psychiatry związanego bezpośrednio ze sprawą. My dwaj jesteśmy jedynymi ludźmi, o których wiadomo, że z całą pewnością wielokrotnie kontaktowali się z tajemniczym osobnikiem nazwiskiem Jason Bourne, przeciwnikiem Carlosa w prowadzonej na terenie wielu krajów morderczej grze. Informacja ta była ukryta tutaj, w podziemiach Langley, W jaki sposób wydostała się na zewnątrz? Zgodnie z przyjętymi regułami każdy, kto chce uzyskać do niej dostęp -począwszy od Białego Domu, poprzez Departament Stanu, na świętym Kolegium Szefów Sztabów skończywszy - musi przejść przez gabinety dyrektora i jego głównego analityka, przedstawiając im punkt po punkcie przyczyny swego zainteresowania* Nawet jeśli oni dwaj wyrażą zgodę, pozostaje jeszcze ostatni stopień: ja. Przed wydaniem ostatecznego zezwolenia trzeba skontaktować się ze mną, a gdybym był nieosiągalny, z doktorem Panovem. Każdy z nas ma prawo bez podania żadnych przyczyn odmówić wyrażenia zgody... Tak się właśnie przedstawiają sprawy, panowie. Nikt nie zna tych reguł lepiej ode mnie, ponieważ to ja je ustaliłem, nie gdzie indziej jak tu, w Langley, bo to miejsce znałem najlepiej. Po dwudziestu ośmiu latach pieprzonej

służby było to moje ostatnie zadanie, potwierdzone autorytetem prezydenta Stanów Zjednoczonych i zgodą komisji wywiadu zarówno Izby Reprezentantów, jak i Senatu.

- Strzela pan z dział wielkiego kalibru, panie Conklin - zauważył bez barwnym tonem siwowłosy dyrektor.

- Mam ku temu wy starczające powody.

- Chciałbym w to wierzyć. Jeden ,z najcięższych pocisków doleciał aż do mnie.

- Bo był w pana wymierzony. A teraz przechodzimy do sprawy odpowiedzialności: muszę wiedzieć, w jaki sposób doszło do przecieku, a przede wszystkim, do kogo dotarł.

Obaj zastępcy zaczęli jednocześnie mówić podniesionymi głosami, lecz zostali uciszeni przez dyrektora, który dotknął ich ramion dłońmi; w jednej trzymał fajkę, w drugiej zapalniczkę.

- Proponuję, żebyśmy nieco zwolnili tempo i zaczęli od początku, panie Conklin - powiedział spokojnie, zapalając fajkę. - Oczywiście zna pan moich obydwu współpracowników, ale my dwaj chyba jeszcze nie mieliśmy okazji się spotkać, prawda?

- Nie. Odszedłem ze służby cztery i pół roku temu, a pan został mianowany w rok później.

- Czy podobnie jak wielu innych, zresztą nie bez racji, uważał pan, że otrzymałem to stanowisko po znajomości?

- Jasne, że tak, ale nie miałem nic przeciwko temu, bo dysponował pan przy okazji odpowiednimi kwalifikacjami. Z tego, co wiedziałem, był pan admirałem z Annapolis, bez sprecyzowanych przekonań politycznych, a pod czas wojny służył pan przypadkiem w jednej jednostce z pewnym pułkownikiem, który potem został prezydentem. Podczas rozpatrywania kandydatur pominięto kilku porządnych facetów, ale takie rzeczy zawsze się zdarzają. Nie ma sprawy.

- Dziękuję panu. Czy określenie „nie ma sprawy” odnosi się także do moich dwóch zastępców?

- To już wszystko historią, ale nie mogę powiedzieć, żeby agenci biorący udział w akcjach uważali ich za najlepszych przyjaciół, jakich mieli kiedykolwiek. To teoretycy.

- Nie uważa pan, że gra tu rolę naturalna awersja i wynikająca z konwencji wrogość?

- Oczywiście, że tak. Dokonywali analizy sytuacji tysiące mil od nas za pomocą komputerów, które nie wiadomo kto programował, i wykorzystując dane, których nit my dostarczaliśmy. Ma pan całkowitą rację: to naturalna awersja. My mieliśmy zawsze do czynienia z żywymi ludźmi, oni zaś z rzędami zielonych literek na monitorze, a w dodatku często podejmowali z gruntu niewłaściwe decyzje.

- To dlatego, że takich jak wy trzeba bezustannie kontrolować - prze rwał mu mężczyzna siedzący po prawej stronie dyrektora. - Zarówno wtedy, jak i teraz brakuje wam całościowego spojrzenia na sprawę. Nie znacie ogólnej strategii, tylko swoją jednostkową taktykę.

- Czy w takim razie nie powinniśmy znać choćby zarysu tej „ogólnej strategii”, żeby móc do niej dostosować nasze działanie?

- A gdzie, twoim zdaniem, kończą się granice „zarysu”? - zapytał drugi zastępca. - W którym miejscu powinniśmy powiedzieć: „Przykro nam, ale to wszystko, co możemy ujawnić”?

- Nie wiem. To ty jesteś teoretykiem, nie ja. Powinno wam to podpowiedzieć doświadczenie, a oprócz tego powinniście umożliwić nam łatwiejsze nawiązanie kontaktu w celu zasięgnięcia informacji... Zaraz, zaraz, przecież tu nie chodzi o mnie, tylko o was! - Aleks spojrział dyrektorowi prosto w oczy. - To bardzo sprytne, sir, lecz nie uda się wam zmienić tematu. Przyszedłem tu po to, żeby ustalić, kto zdobył informacje, w jaki sposób i kiedy. Jeżeli macie coś przeciwko temu, mogę pójść do Białego Domu albo na Kapitol i popatrzeć stamtąd, jak spada kilka głów. Potrzebuję odpowiedzi. Muszę wiedzieć, co dalej

robić!

- Nie starałem się zmienić tematu, panie Conklin, chciałem tylko przez chwilę spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia, żeby zwrócić pańską uwagę na pewien szczegół. Z pewnością w przeszłości wielokrotnie kwestionował pan decyzje moich kolegów, ale czy któryś z nich kiedykolwiek pana oszukał albo świadomie wprowadził w błąd?

Aleks obrzucił przelotnym spojrzeniem obu mężczyzn.

- Tylko wtedy, kiedy musieli, ale to nie miało nic wspólnego z działaniem operacyjnym.

- Przyznam się, iż nie bardzo rozumiem...

- Czyli nie powiedzieli panu o tym, a powinni. Pięć lat temu byłem alkoholikiem - dalej nim jestem, tyle tylko że już nie piję. Właściwie czekałem tylko chwili, kiedy będę mógł odejść na emeryturę, więc nie poinformowali mnie o pewnej sprawie i dobrze zrobili.

- Dla pańskiej wiadomości poinformuję pana, że jedyne, co od nich usłyszałem, to to, że pod koniec swojej służby poważnie pan zachorował i już nie odzyskał swojej poprzedniej sprawności.

Conklin ponownie spojrzął na zastępców dyrektora i skinął lekko głową.

- Dziękuję ci, Casset, i tobie, Valentino, ale nie musieliście tego robić. Byłem pijakiem i dla nikogo nie powinno to być tajemnicą.

- Sądząc z tego, co słyszeliśmy o Hongkongu, odwalileś tam kawał dobrej roboty - odparł cichym głosem Casset. - Nie chcieliśmy psuć tego obrazu.

- Odkąd tylko pamiętam, zawsze byłeś najboleśniejszym wrzodem na dupie, ale nie mogliśmy pozwolić, żeby wspomniano cię jako starego moczy- mordę - dodał Valentino.

- Dobra, nieważne. Wracajmy do Jasona Bourne'a, bo właśnie w tej sprawie tutaj jestem.

- A ja właśnie w związku z nią pozwoliłem sobie na tę dygresję, panie Conklin. W przeszłości wielokrotnie różnił się pan poglądami od moich zastępców, lecz rozumiem, że nie kwestionuje pan ich uczciwości?

- Innych, owszem, ich - nie. Ja podchodziłem do tego w ten sposób, że oni wykonują swoją robotę, a ja swoją. Jeżeli coś się pieprzyło, to przez System, który był spowity zbyt gęstą mgłą. Ale tym razem o niczym takim nie może być mowy. Reguły są proste i sił mnie o wyrażenie zgody na ujawnienie tych informacji, reguły zostały naruszone, a mnie okłamano. Jeszcze raz powtarzam pytanie: jak do tego doszło i do kogo dotarł przeciek?

- To mi wystarczy - powiedział dyrektor CIA, podnosząc słuchawkę stojącego przed nim telefonu. - Proszę poinformować pana DeSole'a, że oczekuję go w sali konferencyjnej. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Conklina: - Przypuszczam, że zna pan Stevena DeSole'a? Aleks skinął głową.

- DeSole, niemy mol - mruknął.

- Proszę?

- To taki stary dowcip - wyjaśnił swemu szefowi Casset. - Steve zna wszystkie tajemnice, ale nie wyjawilby ich nawet Panu Bogu, chyba że ten pokazałby mu odpowiednie upoważnienie.

- Rozumiem, że wszyscy trzej, nie wyłączając pana Conklina, uważacie pana DeSole'a za profesjonalistę?

- Ja to panu wyjaśnię - odezwał się Aleks. - Steve powie wszystko, co musi pan wiedzieć, lecz ani słowa więcej, ale też nigdy nie skłamię. Będzie siedział z gębą na kłódce lub poinformuje pana po prostu, że nie wolno mu nic wyjawiać.

- Właśnie to chciałem usłyszeć.

Rozległo się pukanie do drzwi i na zaproszenie dyrektora wszedł do środka otyły mężczyzna średniego wzrostu o dużych oczach, powiększonych przez tkwiące w drucianej oprawce szkła. Zamknąwszy za sobą drzwi, obrzucił obojętnym spojrzeniem siedzących przy

stole. Widok Aleksandra Conklina wyraźnie go zaskoczył, lecz natychmiast przywołał na twarz wyraz miłego zdziwienia i podszedł z wyciągniętą ręką do emerytowanego oficera wywiadu.

- Cieszę się, że cię widzę, staruszkule! To już chyba co najmniej dwa lub trzy lata?

- Prawie cztery, Steve - odparł Aleks, ściskając jego dłoń. - Jak się miewa król analityków i stróż najpilniej strzeżonych tajemnic?

- Tak sobie; ostatnio nie bardzo jest co analizować ani czego strzec. W Białym Domu zagnieździli się sami plotkarze, tak samo jak w Kongresie. Powinni mi zmniejszyć pensję o połowę, ale lepiej nikomu o tym nie mów.

- Może w przeszłości zasłużył pan sobie na dwa razy większą - powiedział z uśmiechem dyrektor.

- Podejrzewam, że nawet na pewno. - DeSole pokiwał żartobliwie głową i uwolnił dłoń Conklina. - W każdym razie czasy strażników archiwów i pilnie strzeżonych transportów akt już minęły. Teraz wszystko jest wprowadzane przez komputery tam, na górze. Skończyły się wycieczki w towarzystwie uzbrojonej eskorty, podczas których mogłem sobie wyobrażać, że za chwilę zaatakuję mnie cudowna Mata Hari. Już nie pamiętam, kiedy po raz ostatni miałem teczkę przypiętą kajdankami do ręki,

- Za to teraz jest chyba bezpieczniej - zauważył Aleks.

- Ale nie będę miał o czym opowiadać wnukom, staruszkule. „Co robiłeś wtedy, kiedy byłeś wielkim szpiegiem, dziadku? Cóż, szczerze mówiąc, przede wszystkim rozwiązywałem krzyżówki, młody człowieku”.

- Ostrożnie, panie DeSole - zachichotał dyrektor CIA. - Jeszcze trochę, a zacznę się naprawdę zastanawiać nad zmniejszeniem pańskiego wynagrodzenia. .. Ale chyba bym tego nie zrobił, bo w gruncie rzeczy wcale, ale to wcale panu nie wierzę.

- Ani ja - dodał z gniewem Conklin. - To wszystko jest ukartowane - uzupełnił, mierząc spojrzeniem otyłego analityka.

- Interesujące stwierdzenie - odparł DeSole. - Czy byłbyś uprzejmy wyjaśnić, co miałeś na myśli?

- Chyba wiesz, dlaczego tu jestem?

- Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, że tu jesteś.

- Ach, rozumiem. Po prostu tak się przypadkiem złożyło, że znalazłeś się w pobliżu i mogłeś od razu przyjść, prawda?

- Do mojego biura wchodzi się z tego samego korytarza. Pozwolę sobie dodać, że to spory kawałek drogi stąd.

Conklin przeniósł spojrzenie na dyrektora.

- Bardzo sprytnie pomyślane, sir. Sprowadził pan tu trzech ludzi, z którymi nigdy nie miałem żadnych prywatnych utarczek i którym w gruncie rzeczy ufam, że bym uwierzył we wszystko, co mi powiedzą,

- Zgadza się, panie Conklin, bo wszystko, co pan usłyszy, jest prawdą Proszę siadać, panie DeSole... Może po tej strome stołu, żeby pański były kolega mógł przez cały czas obserwować nasze twarze. Zdaje się, że wszyscy oficerowie wywiadu przywiązują do tego dużą wagę, szczególnie wtedy, kiedy mają usłyszeć ważne wyjaśnienia.

- Nie mam nic do wyjaśniania - powiedział DeSole, zajmując miejsce koło Casseta - lecz ze względu na interesujące uwagi naszego byłego kolegi chętnie popatrzę na jego twarz. Dobrze się czujesz, Aleks?

- Dobrze - odpowiedział za Conklina zastępca dyrektora CIA nazwiskiem Valentino. - Obszczekuje niewłaściwe drzewo, ale czuje się dobrze.

- Ta informacja nie mogła ujrzeć światła dziennego bez wiedzy i zgody ludzi, którzy teraz znajdują się w tej sali!

- Jaka informacja? - zapytał DeSole, kierując na dyrektora spojrzenie swoich nagle

rozszerzonych oczu. - Może to, o co pytał mnie pan dzisiaj rano?

Szef CIA skinął głową i wbił wzrok w Conklina.

- Cofnijmy się w czasie właśnie do dzisiejszego przedpołudnia... Siedem godzin temu, kilka minut po dziewiątej, zadzwonił do mnie Edward McAllister, dawniej pracownik Departamentu Stanu, a obecnie przewodniczący Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Słyszałem, że był z panem w Hongkongu, panie Conklin, czy to prawda?

- McAllister był tam z nami - przyznał ponuro Aleks. - Później polecił z Bourne'em do Makau, gdzie został ciężko ranny. Jest piekielnie inteligentnym dziwakiem i jednym z najodważniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać.

- Nie podał mi żadnych szczegółów, tylko powiedział, że tam był i że mam potraktować dzisiejsze spotkanie z panem jako Czerwony Alarm. To ciężka artyleria, panie Conklin.

- Powtarzam jeszcze raz: są ku temu powody.

- Na to wygląda... McAllister podał mi najściślej tajne szyfry, zapewniające dostęp do zapisów, o których pan wspominał, dotyczących operacji w Hongkongu. Ja z kolei poinformowałem o wszystkim pana DeSole'a, więc chyba będzie najlepiej, żeby teraz on zabrał głos.

- Nikt tego nie ruszał, Aleks - powiedział DeSole, wpatrując się w Conklina bez zmrużenia powiek. - Do dzisiaj, do dziewiątej trzydziści, nikt nie przeglądał zapisu od czterech lat, pięciu miesięcy, dwudziestu jeden dni, jedenastu godzin i czterdziestu trzech minut. Istnieje bardzo ważny powód, dla którego tak właśnie było, ale nie mam pojęcia, czy ty o nim wiesz.

- W tej sprawie wiem o wszystkim, co ma jakiegokolwiek znaczenie!

- Może tak, a może nie - odparł cicho DeSole. - Jak wszyscy wiemy, przechodziłeś kiedyś poważny kryzys, doktor Panov zaś nie ma specjalnego doświadczenia, jeśli chodzi o sprawy ściśle strzeżonych tajemnic.

- Do czego zmierzasz, u diabła?

- Do wykazu osób, bez których zgody nie można dostać się do informacji na temat operacji w Hongkongu, zostało dodane trzecie nazwisko: Edward Newington McAllister. Na jego osobisty wniosek, za zgodą prezydenta i Kongresu.

- Och, mój Boże... - wyszeptał Conklin. - Kiedy wczoraj zadzwoniłem do niego z Baltimore, powiedział, że to absolutnie niemożliwe i że sam to zrozumie po tym spotkaniu... W takim razie, co się mogło stać?

- Będziemy musieli zacząć szukać gdzieś indziej - stwierdził dyrektor. - Jednak zanim się do tego zabierzemy, pan, panie Conklin, musi podjąć decyzję. Nikt z nas, którzy siedzimy przy tym stole, nie wie, co właściwie zawiera ten supertajny zapis. Rzecz jasna, wiele o tym rozmawialiśmy, a tak że wiemy, jak już wspomniał pan Casset, że dokonał pan w Hongkongu nie lada wyczynu, ale nie mamy pojęcia, co to było. Większość z nas uważała, że plotki, które docierały z naszych placówek na Dalekim Wschodzie, są znacznie przesadzone, niemniej jednak najczęściej powtarzały się w nich dwa nazwiska: pańskie i zabójcy znanego jako Jason Bourne. Z tych pogłosek wynika, że osaczył pan i zabił Bourne'a, a przed chwilą zasugerował pan, iż człowiek ów żyje i pozostaje w ukryciu. Nie wiem jak inni, ale ja czuję się w związku z tym zupełnie zdezorientowany.

- Nie odczytaliście zapisu?

- Nie odparł DeSole. - To była moja decyzja. Może nie wiesz, że każde wtargnięcie do strzeżonego programu jest automatycznie kodowane, łącznie z datą i godziną. Ponieważ dyrektor powiedział mi, że wchodzi w grę podejrzenie nielegalnego odczytania zapisu, postanowiłem w ogóle go nie ruszać. Nikt nie wywoływał go od prawie pięciu lat, więc tym samym zawarte w nim informacje nie mogły dotrzeć do żadnych złoczyńców, kimkolwiek oni są.

- Mówiąc krótko, starałeś się osłonić swoją dupę.
- Dokładnie tak, Aleks. W ten zapis jest wetknięty proporczyk Białe go Domu, a na razie wszystko się jakoś ustabilizowało i nikomu nie zależy na tym, żeby robić zamieszanie w Gabinetcie Ovalnym. Zasiada tam teraz nowy facet, ale poprzedni prezydent jeszcze żyje i ma sporo do powiedzenia. Z pewnością ktoś go spyta o tę sprawę, więc po co miałbym niepotrzebnie ryzykować?

Conklin przez chwilę przyglądał się w milczeniu twarzom czterech mężczyzn. ,

- A więc wy naprawdę o niczym nie wiecie?
- Naprawdę - odparł Casset.
- Ani trochę - potwierdził Valentino, pozwalając sobie na coś w rodzaju uśmiechu.
- Słowo - dodał Steven DeSole, nie spuszczać z Conklina spojrzenia swoich dużych, błyszczących oczu.

- Jeżeli mamy panu pomóc, powinniśmy wiedzieć coś więcej niż to, co wynika z często sprzecznych plotek - podjął dyrektor, sadowiac się wygodnie w fotelu. - Nie wiem, czy zdołamy pomóc, ale wiem, że na pewno nam się to nie uda jeżeli będziemy działać po omacku.

Aleks po raz kolejny przyjrzał się uważnie swoim rozmówcom; bruzdy na jego twarzy jeszcze się pogłębiły, jakby podjęcie decyzji przekraczało jego możliwości.

- Nie podam wam jego prawdziwego nazwiska, bo dałem słowo, że tego nie zrobię. Może kiedyś, ale nie teraz. Nie ma go także w zapisie, bo mu to obiecałem. Opowiem wam za to całą resztę, bo potrzebuję waszej pomocy i chcę, żeby ta informacja na zawsze została tam, gdzie teraz się znajduje. Od czego mam zacząć?

- Może od naszego spotkania? - zaproponował dyrektor. - Co stało się jego przyczyną?

- Dobrze, to nie zajmie dużo czasu. - Conklin przez chwilę wpatrywał się w błyszczącą powierzchnię stołu, zaciskając dłoń na uchwycie laski, a potem podniósł wzrok i zaczął: - Wczoraj wieczorem w wesołym miasteczku na przedmieściu Baltimore została zastrzelona kobieta...

- Czytałem o tym w gazecie - przerwał DeSole, kiwając głową. Gwałtowne poruszenie wprawiło w drżenie jego pulchne policzki. - Dobry Boże, czyżbyś...

- Ja też o tym czytałem - wtrącił Casset, nie spuszczać z Aleksa spojrzenia swoich brązowych oczu. - To się stało tuż obok strzelnicy, Oczywiście, natychmiast ją zamknęli.

- Widziałem artykuł, ale go nie przeczytałem - odezwał się Valentino. - Wydawało mi się, że chodziło o jakiś nieszczęśliwy wypadek.

- Dostałem rano stertę wycinków prasowych, ale niczego takiego nie pamiętam - powiedział dyrektor.

- Miałeś z tym coś wspólnego, staruszk?

- Jeżeli nie, to zostało zmarnowane jedno życie. Chciałem powiedzieć, jeżeli my nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

~ My? - Casset zmarszczył z niepokojem brwi.

- Morris Panov i ja otrzymaliśmy wczoraj od Jasona Bourne'a jedno brzmiące telegramy z prośbą o stawienie się w wesołym miasteczku o wpół do dziesiątej wieczorem. Spotkanie, podobno w jakiejś nadzwyczaj ważnej sprawie, miało nastąpić przy strzelnicy, ale żadnemu z nas nie wolno było pod żadnym pozorem wcześniej się z nim kontaktować. Obaj niezależnie od siebie doszliśmy do wniosku, że ma nam do przekazania coś, czego jego żona nie powinna wiedzieć, i chodziło mu o to, żeby jej nie niepokoić. Zjawiliśmy się na miejscu niemal jednocześnie, ale ja pierwszy zobaczyłem Panova i stwierdziłem, że coś się tu nie zgadza. Wydawało się logiczne, żeby najpierw spotkać się, porozmawiać, a dopiero potem pójść na spotkanie. Tymczasem zabroniono nam tego zrobić. Uznałem, że sprawa jest śmieszna, i zrobiłem wszystko, żeby korzystając z zamieszania, jak najszybciej nas stamtąd wyciągnąć.

- Wywołałeś w tłumie panikę - domyślił się Casset

- Tylko to przyszło mi do głowy i tylko do tego nadaje się ta przeklęta laska, nie licząc oczywiście podtrzymywania mnie w pozycji pionowej. Waliłem we wszystkie kolana, piszczele, brzuchy i cycki, jakie nawinęły mi się pod rękę. Udało nam się uciec, ale ta nieszczęsna kobieta została zabita.

- Jak sądzisz, o co mogło chodzić? - zapytał Valentino.

- Nie mam pojęcia, Val. Nie ulega wątpliwości, że to była pułapka, ale jaka? Jeśli to, co myślałem wtedy i co myślę teraz, ma jakikolwiek sens, to w jaki sposób wynajęty zabójca mógł chybić z tak niewielkiej odległości? Strzelano z miejsca położonego w lewo i w górę ode mnie, lecz położenie ciała kobiety i duża ilość krwi świadczą o tym, że została trafiona w ruchu. Morderca nie stał przy strzelnicy, bo broń jest tam przykuta łańcuchami do lady, a poza tym taką ranę może spowodować tylko pocisk dużego kalibru, nie te ich zabawki. Jeżeli zabójca chciał sprzątnąć Morrisa albo mnie, nie chybiłby aż tak bardzo, zakładając oczywiście, że moje rozumowanie jest prawidłowe.

- Czy myśli pan o Carlosie, panie Conklin? - zapytał dyrektor CIA.

- Carlos? - wykrzyknął DeSole. - A cóż, na litość boską, Carlos może mieć wspólnego z zabójstwem w Baltimore?

- Jason Bourne - odpowiedział mu krótko Casset

- Tak, wiem, ale to wszystko nie trzyma się kupy! Bourne był zabójcą, który przeniósł się z Azji do Europy, rzucił wyzwanie Szakalowi i przegiął, a następnie, jak sam pan to przed chwilą powiedział, sir, wrócił na Daleki

Wschód, gdzie zginął cztery czy pięć lat temu... Tymczasem Aleks mówi o nim jak o kimś żywym, od kogo on i Panov dostali telegramy... Na Boga, co mogą mieć wspólnego z wczorajszym wieczorem martwy zabójca i najbardziej nieuchwytny terrorysta na świecie?

- Nie było cię tutaj kilka minut temu, Steve - odparł spokojnie Casset. - Wygląda na to, że mogą mieć, i to bardzo dużo.

- W takim razie przepraszam.

- Wydaje mi się, że powinien pan zacząć od początku, panie Conklin - odezwał się dyrektor. - Kim właściwie jest Jason Bourne?

- Człowiekiem, który nigdy nie istniał - odparł emerytowany oficer wywiadu.

Rozdział 3

Prawdziwy Jason Bourne był całkowitym śmieciem, niezrównoważonym umysłowo włóczęgą z Tasmanii, który wplątał się w wojnę w Wietnamie jako uczestnik operacji, o której nawet dzisiaj nikt nie chce głośno mówić. Przeprowadzono ją przy użyciu zbieraniny morderców, przemytników i złodziei, najczęściej zbiegłych z więzień. Na wielu ciążyły nawet wyroki śmierci, lecz znali doskonale każdy cal Azji Południowo Wschodniej i działali na obszarze kontrolowanym przez nieprzyjaciela, finansowani oczywiście przez nas.

- „Meduza”... - szepnął Steven DeSole. - Wszystkie dokumenty zagrzebano najgłębiej, jak tylko można. To nie byli ludzie, tylko zwierzęta, zabijający bez celu i bez uzasadnienia; kradli nieprzeliczone miliony. Barbarzyńcy.

- Większość z nich, ale nie wszyscy - poprawił go Conklin. - Jednak oryginalny Bourne dokładnie odpowiadał temu opisowi. Należałoby dodać tylko jeden szczegół: zdradę. Człowiek dowodzący jedną z najbardziej ryzykownych misji - właściwie nie tyle ryzykowną, co po prostu samobójczą - przyłapał Bourne'a z radiostacją, kiedy ten podawał nieprzyjacielowi dokładną pozycję oddziału. Zastrzelił go na miejscu, a ciało pozostawił w bagnistej dżungli Tam Quan, żeby zgniło. Jason Bourne zniknął z powierzchni ziemi.

- Lecz zdaje się, że wkrótce ponownie się na niej pojawił - zauważył dyrektor, opierając dłonie na stole.

Aleks skinął głową.

- Owszem. Tyle tylko, że w innym ciele i w innym celu. Człowiek, który zabił Bourne'a w Tam Quan, przybrał jego nazwisko i zgodził się wziąć udział w operacji ochrzczonej przez nas kryptonimem „Treadstone-71”. Nazwa wzięła się od budynku przy Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy w Nowym Jorku, gdzie przeszedł ostre szkolenie. Na papierze operacja wyglądała znakomicie, lecz zakończyła się klęską z powodu, którego nie byliśmy w stanie ani przewidzieć, ani nawet wziąć pod uwagę. Po niemal trzech latach wcielania się w postać bezlitosnego mordercy i po przeniesieniu się do Europy, żeby, jak to trafnie ujął Steve, rzucić Szakalowi wyzwanie na jego własnym terytorium, nasz człowiek został ranny i utracił pamięć. Na wpół martwy został wyłowiony z Morza Śródziemnego przez rybaków i odwieziony na małą wysepkę Port Noir. Nie miał pojęcia kim jest. Wiedział tylko, że potrafi znakomicie posługiwać się bronią, włada kilkoma orientalnymi językami i według wszelkiego prawdopodobieństwa jest bardzo wykształconym człowiekiem. Z pomocą pewnego angielskiego lekarza, notabene alkoholika, zaczął na podstawie okruczeństw wspomnień i własnych cech psychofizycznych odtwarzać swoje dotychczasowe życie, odzyskując stopniowo tożsamość. Było to cholernie trudne zadanie, a my, którzy zmontowaliśmy całą operację i stworzyliśmy mit, nie okazaliśmy mu najmniejszej pomocy. Nie wiedząc, co się stało, doszliśmy do wniosku, że naprawdę przeistoczył się w bezlitosnego zabójcę, którego wymyśliliśmy, by wywabić Carlosa z kryjówek, i zwrócił się przeciwko nam. Ja sam usiłowałem zabić go w Paryżu, i choć mógł mi wtedy wpakować kulę w głowę nie zrobił tego. Wreszcie dotarł do nas jedynie dzięki nadzwyczajnym cechom charakteru pewnej spotkanej w Zurychu Kanadyjki, która jest teraz jego żoną. Ta dama ma więcej rozumu i odwagi niż jakakolwiek inna kobieta. Teraz ona, jej mąż dwoje dzieci znaleźli się znowu w samym środku koszmaru. Muszą uciekać, żeby uratować życie.

- Czy chce pan nam przez to powiedzieć, że zabójca znany jako Jason Bourne był jedynie wymysłem? - wykrztusił dyrektor, kiedy wreszcie udało mu się pokonać bezwład otwartych ze zdumienia, szlachetnych w rysunku ust. - Że wcale nie był tym, za kogo wszyscy go uważali?

- Zabijał wtedy, kiedy musiał ratować własne życie, ale nie był mordercą. Stworzyliśmy jego mit wyłącznie po to, żeby sprowokować Szakala i po zbyć się go.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Casset - W jaki sposób?

- Poprzez celowo rozpowszechniane na Dalekim Wschodzie fałszywe informacje. Kiedy tylko została zamordowana jakaś ważniejsza osoba, wszystko jedno, w Tokio, Hongkongu, Malau czy Korei, natychmiast przerzucaliśmy tam Bourne'a, podsuwając sfabrykowane dowody i rozsyłając wiadomość, że właśnie on jest za to odpowiedzialny. W końcu stał się prawdziwą legendą. Przez trzy lata żył w brudnym świecie narkotyków, zwalczających się gangów i przestępstw, a wszystko tylko w jednym celu: by pewnego dnia wrócić do Europy i rzucić wyzwanie Carlosowi, odbierając mu lukratywne kontrakty. Chodziło o to, żeby wywabić Szakala na otwarte pole i posłać mu kulę w łeb.

Cisza, jaka zapanowała w sali konferencyjnej, była pełna napięcia. Przerwał ją DeSole głosem niewiele donośniejszym od szeptu:

- Jaki człowiek mógł podjąć się takiego zadania? Conklin spojrzął na niego i odpowiedział głuchym tonem:

- Taki, dla którego życie nie miało już większego sensu, być może owładnięty nawet pragnieniem śmierci... Przyzwoity człowiek, popchnięty w ramiona „Meduzy” przez nie dające mu spokoju nienawiść i rozgoryczenie.

Były oficer CIA umilkł. Jego cierpienie aż nadto rzucało się w oczy.

- Mów dalej, Aleks - odezwał się łagodnie Valentino. - To chyba jeszcze nie wszystko, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Conklin zamrugał raptownie powiekami, wracając do teraźniejszości. - Właśnie myślałem, jak okropnie musi się teraz czuć z tymi wszystkimi wspomnieniami... Jest tu jeszcze pewna analogia, której nie wziąłem wcześniej pod uwagę: żona i dzieci.

- Jaka analogia? - zapytał pochylony nad stołem Casset, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w twarzy Conklina.

- Wiele lat temu, podczas wojny w Wietnamie, nasz człowiek mieszkał w Phnom Penh i był znakomicie zapowiadającym się naukowcem, żonatym z Tajlandką, którą poznał jeszcze w Stanach, w szkole średniej. Wraz z dwojgiem dzieci mieszkali nad samym brzegiem rzeki. Pewnego dnia, kiedy kobieta i dzieciaki pływali w pobliżu domu, nadleciał zabłąkany myśliwiec z Hanoi i zabił całą trójkę. Nasz człowiek niemal oszalał: rzucił wszystko, przeniósł się do Sajgonu i wstąpił do „Meduzy”. Nie potrafił myśleć o niczym innym jak tylko o zabijaniu. Od tej pory nazywał się Delta Jeden - w „Meduzie” nikt nie używał prawdziwych nazwisk. Uważano go za najlepszego dowódcę działających na zapleczu oddziałów wroga, choć często przekraczał rozkazy, stosując taktykę spalonej ziemi.

- Mimo to najwyraźniej był bardzo pożyteczny - zauważył Valentino.

- Obchodziła go tylko jego prywatna wojna, im bliżej Hanoi, tym lepiej. Wydaje mi się, że podświadomie szukał pilota, który zabił jego rodzinę... To jest właśnie ta analogia. Wiele lat temu miał żonę i dwoje dzieci i wszyscy troje zostali zabici na jego oczach. Teraz ma inną żonę i inne dzieci, ale musi z nimi uciekać przed Szakalem, bo grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Naprawdę nie wiem, jak on to wytrzyma.

Czterej mężczyźni siedzący po przeciwnej stronie stołu popatrzyli na siebie; przez dłuższą chwilę żaden z nich sienie odzywał, dając w ten sposób Conklinowi czas na ochłonięcie z emocji.

- Operacja mająca na celu wciągnięcie Carlosa w pułapkę musiała mieć miejsce ponad dziesięć lat temu - przerwał milczenie dyrektor CIA - natomiast wydarzenia w Hongkongu są znacznie świeższej daty. Czy te dwie sprawy mają ze sobą jakiś związek? Co może nam pan powiedzieć o Hongkongu, nie wdając się w szczegóły ani nie wymieniając żadnych nazwisk?

Aleks zacisnął dłoń na lasce z taką siłą, że zbieleły mu palce.

- Była to bez wątpienia zarazem najbardziej obrzydliwa i niezwykła operacja, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Z niekłamaną ulgą mogę stwierdzić, że my w Langley nie braliśmy udziału w przygotowaniu jej założeń. Podejrzewam, że wymyślono ją w samym piekle. Kiedy mnie w nią wprowadzono, poczułem autentyczne mdłości, zresztą tak samo jak McAllister, który siedział w niej od samego początku. Właśnie dlatego ryzykował potem własnym życiem i o mało nie skończył jako trup tuż za granicą chińską w Makau. Jego przeintelektualizowane poczucie przyzwoitości nie mogło pozwolić na to, żeby porządny człowiek dał się zabić w imię jakiejś obrzydliwej strategii.

- To poważne oskarżenie - zauważył Casset. - Co się właściwie stało?

- Nasi ludzie zaaranżowali porwanie żony Bourne'a, dzięki której ten człowiek odzyskał pamięć i wrócił do normalnego życia. Pozostawili ślad prowadzący go za nią do Hongkongu.

- Po co, na litość boską? - wykrzyknął Valentino.

- Bo na tym polegała strategia, doskonała i zarazem odrażająca... Jak już wspomniałem, Jason Bourne stał się w Azji prawdziwą legendą. Co prawda zniknął bez śladu z Europy, lecz w niczym nie umniejszało to sławy, jaką cieszył się na Dalekim Wschodzie, Nagle, nie wiadomo z jakiego powodu, w Makau zaczął działać płatny morderca, który przybrał nazwisko Jason Bourne. Zabójstwa następowały jedno po drugim, rzadko w odstępach tygodnia, nieraz wręcz co parę dni. Za każdym razem na miejscu zdarzenia znajdowano te same ślady, a policja otrzymywała od swoich informatorów takie same doniesienia: Fałszywy Bourne zabrał się na serio do roboty, poznałszy uprzednio i rozpracowawszy wszystkie sztuczki, jakich używał jego pierwowzór.

- Kto w związku z tym lepiej nadawał się do tego, żeby go wytropić i unieszkodliwić, niż ten, kto wymyślił te sztuczki? - przerwał dyrektor. - I czy można wyobrazić sobie lepszy sposób, żeby zmusić go do działania, niż uprowadzenie jego żony? Ale dlaczego? Co sprawiło, że Waszyngton tak bardzo się w to zaangażował? Przecież nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- W grę wchodziło znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo. Wśród klientów fałszywego Bourne'a znalazł się pewien szaleniec z Pekinu, zdrajca, który chciał rozpętać na Dalekim Wschodzie potworną burzę. Pragnął za wszelką cenę doprowadzić do zerwania chińsko brytyjskiego układu w sprawie Hongkongu, zmusić Pekin do wprowadzenia blokady kolonii i pogrążyć cały rejon w nieopisanym chaosie.

- To by oznaczało wojnę - stwierdził spokojnie Casset. - Chińczycy zajęliby Hongkong, a wszystkie państwa musiałyby opowiedzieć się za którąś ze stron... Tak, to by była po prostu wojna.

- W epoce strategicznej broni nuklearnej - uzupełnił dyrektor. - Jak daleko zaszły sprawy, panie Conklin?

- W masakrze, jaka miała miejsce w Koulunie, zginął wicepremier Chińskiej Republiki Ludowej. Morderca zostawił Ha miejscu zbrodni swoją wizytówkę: Jason Bourne.

- Boże! On musiał zostać powstrzymany! - wybuchnął dyrektor, kurczowo ściskając w palcach fajkę.

- I został - odparł Aleks, opierając łaskę o krawędź stołu. - Przez jedyne go człowieka, który mógł tego dokonać: przez naszego Jasona Bourne'a... To wszystko, co mogę wam teraz powiedzieć. Jeszcze tylko powtórzę, że ten człowiek znów jest teraz w kraju z żoną i dziećmi, ścigany przez Carlosa. Szakał nie spocznie, dopóki nie będzie miał całkowitej pewności, że jedyny człowiek, który może go rozpoznać, nie żyje. Musicie uruchomić wszystkie doświadczenia, jakie mamy w Paryżu, Londynie, Rzymie, Madrycie... Szczególnie w Paryżu. Ktoś musi coś wiedzieć. Gdzie jest teraz Carlos? Gdzie ma swoje przyczółki w Stanach? Jeden z nich na pewno jest tutaj, w Waszyngtonie, bo udało mu się odnaleźć mnie i Panova! - Emerytowany funkcjonariusz CIA bezwiednie położył dłoń na uchwycie laski, wpatrując się w okno niewidzącym spojrzeniem. - Nie rozumiecie? - zapytał cicho, jakby mówił do same go siebie.

- Nie możemy do tego dopuścić! Po prostu nie możemy!

W sali ponownie zapadła cisza, podczas której ludzie kierujący Centralną Agencją Wywiadowczą wymienili szybkie spojrzenia. Choć żaden z nich nie odezwał się ani słowem, osiągnęli porozumienie, spojrzenia trzech par oczu spoczęły bowiem na Cassecie. Mężczyzna skinął głową, przyjmując wybór, i zwrócił się do Conklina:

- Aleks, zgadzam się, że wszystkie poszlaki wskazują na Carlosa, ale zanim uruchomimy naszych ludzi w Europie, musimy mieć co do tego absolutną pewność. Nie możemy sobie pozwolić na wszczęcie fałszywego alarmu, bo wtedy pokażemy Szakalowi, jak bardzo wrażliwi jesteśmy na punkcie wszystkiego, co dotyczy Jasona Bourne'a. Z tego, co mówiłeś, wynikało, że szansa na zwabienie go podczas operacji „Treadstone-71” istniała tylko dlatego, że od ponad dziesięciu lat w jego pobliżu nie kręcił się żaden z naszych agentów.

Conklin przyglądał się uważnie skupionej, wyrazistej twarzy Charlesa Casseta.

- Chcesz mi zasugerować, że jeśli się mylę i Szakal nie ma z tym nic wspólnego, to naruszamy gojącą się od trzynastu lat ranę, podsuwając mu jednocześnie kuszącą propozycję wyrównania dawnych rachunków.

- Chyba właśnie to miałem na myśli.

- Niegłupio to wykombinowałeś, Charlie... Rzeczywiście, opieram się wyłącznie na poszlakach. Co prawda przeczucie mówi mi, że mam rację, ale poszlaki nie są jeszcze dowodami...

- Wolałbym zaufać twojemu przeczuciu niż raportom dziesięciu naszych najlepszych analityków...

- Ja też - wtrącił się Valentino. - Pięć albo sześć razy wyciągnąłeś na szych ludzi z beznadziejnych sytuacji, kiedy wszystko wskazywało na to, że mylisz się w swoich ocenach. Jednak mimo to muszę przyznać, że obawy Charliego nie są zupełnie bezpodstawne. Przypuśćmy, że to jednak nie Car-los? Nie tylko skierujemy na fałszywy trop naszych ludzi w Europie, ale co gorsza, zmarnujemy masę czasu.

- W takim razie zostawmy Europę w spokoju... - mruknął Aleks jakby do samego siebie. - Przynajmniej na razie. Zajmijmy się tymi sukinsynami, których mamy tutaj. Trzeba ich zidentyfikować, przechwycić i wyciągnąć z nich wszystko, co wiedzą. Chwycili już mój trop, więc mogą stanowić przynętę.

- To by wymagało znacznego zmniejszenia ochrony, jaką przewidziałem dla pana i doktora Panova - zauważył dyrektor.

- Więc proszę ją zmniejszyć, sir. - Aleks spoglądał na przemian na Casseta i Valentina. - Damy sobie radę, jeśli wy dwaj zechcecie mnie wysłuchać i zrobić, co wam powiem! - oświadczył podniesionym głosem.

- Nie bardzo wiemy, co to właściwie może być - mruknął Casset. - Ślad prowadzi za granicę, ale jak na razie wszystko dzieje się tutaj, u nas... Powinniśmy chyba włączyć w to FBI...

- Nie ma mowy! - krzyknął Conklin. - Nie może o tym wiedzieć nikt oprócz osób, które są teraz w tym pokoju!

- Daj spokój, Aleks - powiedział Valentino, kręcąc powoli głową. - Jesteś na emeryturze. Nie możesz już wydawać rozkazów.

- Dobrze, skoro tego chcecie! - oświadczył Conklin, podnosząc się z trudem z krzesła i opierając na łasce. - Idę stąd prosto do Białego Domu, do przewodniczącego Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, niejakiego McAllistera!

- Proszę siadać! - odezwał się nie znoszącym sprzeciwu tonem dyrektor CIA. - Jestem na emeryturze. Nie może pan już wydawać mi rozkazów.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Po prostu chodzi mi o pańskie życie. O ile dobrze rozumiem, pańskie propozycje opierają się na wątpliwym założeniu, jakoby ten, kto

strzelał do pana wczoraj wieczorem, chciał chybić, żeby następnie schwytać pana podczas ogólnego zamieszania.

- To dość daleko idący wniosek...

- Oparty na doświadczeniu zdobytym podczas kilkudziesięciu operacji, jakimi kierowałem zarówno tu, jak i w marynarce, w miejscach, których nie widział pan nigdy nawet na mapie, a ich nazw nie potrafiłby pan za nic wymówić - powiedział twardym, rozkazującym tonem dyrektor, oparłszy łokcie na poręczach fotela. - Dla pańskiej informacji, Conklin, nie spadłem z drzewa w mundurze admirała prosto na stanowisko dowódcy Wywiadu Marynarki. Byłem przez kilka lat jednym z SEALs i brałem udział w wypadach z okrętów podwodnych do portów w Kesongu i Hajfongu. Znałem osobiście kilku drani z „Meduzy” i każdego z nich chętnie bym własnoręcznie wykończył. Teraz pan opowiada mi o jedynym, który na to nie zasłużył, który stał się fałszywym Jasonem Bourne'em, i chętnie odciąłby pan sobie jaja i wypruł serce, żeby tylko nic mu się nie stało i żeby nie wszedł Szakalowi pod łufę... Niech pan wreszcie przestanie pieprzyć, Conklin, tylko powie mi jasno i wyraźnie: chce pan ze mną pracować czy nie?

Na twarzy Aleksa pojawił się lekki uśmiech. Podeszły wiekiem mężczyzna usiadł powoli na swoim miejscu.

- Wspomniałem panu, sir, że nie miałem nic przeciwko pańskiej nominacji. Wtedy kierowałem się tylko intuicją, ale teraz już wiem, dlaczego: był pan człowiekiem z pierwszej linii... Będę z panem pracował.

- Znakomicie - powiedział dyrektor. - Otoczymy pana dyskretną opieką i będziemy się modlić, żeby rzeczywiście chcieli pana żywego, bo przecież nie damy rady obstarwić każdego okna i dachu. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z ryzyka.

- Tak. Chcę też pogadać z Mo Panovem, bo dwa kawałki przynęty są znacznie lepsze od jednego.

- Nie możesz go włączać, Aleks - sprzeciwił się Casset. - Nie jest jednym z nas. Zresztą dlaczego miałyby się zgodzić?

- Dlatego, że jest jednym z nas i naprawdę będzie lepiej, jeśli się do niego zwrócę. Gdybym tego nie zrobił, wstrzyknąłby mi strychninę wymieszaną z wirusami grypy. Musicie wiedzieć, że on także był w Hongkongu z pobudek bardzo podobnych do moich. Wiele lat temu, w Paryżu, chciałem zabić mego najlepszego przyjaciela, bo popełniłem okropny błąd, uwierzywszy w to, że zdradził, podczas gdy on tylko utracił pamięć. W kilka dni później Morris Panov, jeden z najlepszych psychiatrów w tym kraju, lekarz nie znoszący tak teraz popularnego psychoanalitycznego bełkotu, został poproszony o to, żeby na podstawie hipotetycznego opisu zachowań wydać opinię o pewnym człowieku. Chodziło o głęboko zakonspirowanego agenta, chodzącą bombę zegarową z głową wypełnioną tysiącem tajemnic, który nagle nie wytrzymał napięcia... Na podstawie diagnozy postawionej przez Mo w ciągu kilkunastu sekund niewinny, pozbawiony pamięci człowiek o mało co nie został rozwalony na strzępy w zasadzce, którą przygotowaliśmy na Siedem dziesiątej Pierwszej Ulicy Kiedy to, co z mego zostało, jednak przeżyło, Panov zażądał, żeby wyznaczyć go jako jedynego psychiatrę. Nigdy sobie nie wybaczył tamtego błędu. Go byście zrobili, będąc w jego sytuacji, gdybym nie powtórzył wam tego, o *czym teraz* mówimy?

- Masz rację - skinął głową DeSole. - Zastrzyk strychniny z wirusami grypy.

- Gdzie teraz jest Panov? - zapytał Casset.

- W hotelu Brookshire w Baltimore, pod nazwiskiem Morris. Phillip Morris. Odwołał na dzisiaj wszystkie wizyty, bo ma grypę.

- W takim razie trzeba brać się do roboty - stwierdził dyrektor CIA, otwierając leżący przed nim duży notatnik w żółtych okładkach. - Przy okazji, Aleks: żaden człowiek z pierwszej linii nie przejmuje się stopniami ani stanowiskami i nie będzie ufał nikomu, kto nie potrafi przekonująco zwracać się do niego po imieniu. Jak dobrze wiesz, nazywam się

Holland, a na imię mam Peter. Od tej chwili ty jesteś Aleks, a ja Peter, rozumiesz?

- Rozumiem... Peter. W SEALs musiał być z ciebie niezły sukinsyn.
- Dopóki jestem tu, gdzie jestem - mam na myśli miejsce, nie stanowisko - możemy przyjąć, że byłem po prostu kompetentny.
- Pierwsza linia - mruknął z satysfakcją Conklin.
- Skoro jednak zrezygnowaliśmy z dyplomatycznych konwenansów, mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że istotnie byłem cholernym sukinsynem. Oczekuję działania profesjonalnego, a nie emocjonalnego, czy to jasne?
- Ja zawsze jestem profesjonalistą, Peter. Emocjonalne zaangażowanie w zadanie nie jest niczym szkodliwym, ale realizacja wymaga zimnej krwi i zachowania dystansu. Nigdy nie byłem w SEALs, ty cholerny sukinsynu, lecz ja również jestem tu, gdzie jestem, choć stary i kulawy, a to oznacza, że także jestem kompetentny.

Na twarzy Hollanda pojawił się niemal młodzieńczy uśmiech, nie pasujący zupełnie do przyprószonych siwizną skroni. Był to uśmiech zawodowca zadowolonego z tego, że nie musi już zaprzętać sobie głowy problemami dowódcy i może znaleźć się z powrotem w świecie, w którym czuje się najlepiej.

- Wygląda na to, że uda nam się jakoś dogadać - powiedział, a potem, jakby chcąc się pozbyć ostatniej oznaki dyrektorskiego prestiżu, położył na stole fajkę, wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów, wsadził jednego do ust i zapaliwszy go, zaczął pisać w notatniku. - Do diabła z FBI - oświadczył. - Będziemy korzystać wyłącznie z naszych ludzi, ale najpierw sprawdzimy każdego z nich pod mikroskopem.

Charles Casset, szczupły, nadzwyczaj inteligentny kandydat do objęcia w przyszłości funkcji dyrektora CIA, usiadł głębiej na krześle i westchnął.

- Dlaczego mam niemiłe przeczucie, że ani na chwilę nie będę mógł was spuścić z oka?
- Dlatego że w głębi duszy jesteś analitykiem, Charlie – odpowiedział Holland.

Zadaniem kontrolowanej obserwacji jest zdemaskowanie tych, którzy śledzą poddany jej obiekt, i ewentualne ich przechwycenie, w zależności od strategii postępowania. W tym wypadku chodziło o schwytanie w pułapkę agentów Szakala, którzy zwabili Conklina i Panova do wesołego miasteczka w Baltimore. W wyniku trwającej całą noc i niemal cały następny dzień pracy udało się skompletować grupę operacyjną złożoną z ośmiu agentów, ustalić dokładnie trasy, którymi w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin mieli się poruszać Conklin i Panov (zabezpieczane przez zmieniających się często, uzbrojonych profesjonalistów), a wreszcie obmyślić możliwie najdogodniejsze miejsce i termin spotkania: wczesnym świtem w Smithsonian Institution. Właśnie wtedy *Dionaea muscipula*¹ miała zatrzasnąć swój kielich.

Conklin przystanął w niewielkim, słabo oświetlonym holu na parterze domu, w którym mieszkał, i mrużąc z wysiłku oczy, spojrzął na zegarek: dokładnie 2.35 w nocy. Pchnąwszy ciężkie drzwi, wyszedł, utykając, na wymarłą ulicę. Zgodnie z planem skierował się w lewo, utrzymując ustalone tempo marszu; miał dotrzeć do rogu ulicy nie później i nie wcześniej niż o 2.38. Nagle drgnął nerwowo, w zaciemnionej bramie po prawej stronie dostrzegł bowiem sylwetkę jakiegoś człowieka. Zmuszając się do zachowania spokoju, sięgnął do rękoności ukrytej pod połą marynarki automatycznej beretty. W opracowanym z największą dokładnością planie nie było miejsca dla kryjącego się w bramie człowieka! W chwilę potem jednak odprężył się, doznając jednocześnie uczucia ulgi i czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia; stojąca w cieniu postać okazała się odzianym w mocno sfatygowane ubranie starym

¹ *Dionaea muscipula* (łac.) - drapieżna roślina, odżywiająca się owadami zwabionymi do swego kielicha (przyp. tłum.).

mężczyzną, jednym z bezdomnych, których tak wielu żyło w tym obfitującym we wszelakie dobra kraju. Dotarłszy do rogu, Aleks usłyszał ciche, pojedyncze pstryknięcie palcami; przeszedł na drugą stronę alei i ruszył przed siebie chodnikiem, mijając wylot wąskiej, bocznej uliczki. Wylot uliczki... Kolejna sylwetka, jeszcze jeden stary człowiek w zniszczonym ubraniu, drepczący chwiejnie na granicy cienia. Odrzucona przez społeczeństwo jednostka, strzegąca swojej betonowej jaskini. W każdej innej sytuacji Conklin podszedłby do nieszczęśnika i dał mu kilka dolarów, ale nie teraz. Czekala go długa droga, którą musiał przebyć w określonym niemal co do minuty czasie.

Zbliżając się do skrzyżowania, Morris Panov wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po niezwyklej rozmowie telefonicznej, jaką odbył dziesięć minut temu. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły tajemniczego planu, jaki mu przekazano, i bał się spojrzeć na zegarek, by sprawdzić, czy trzyma się ustalonego harmonogramu, powiedziano mu bowiem wyraźnie, żeby tego nie robił... Dlaczego oni nie ubywają zwykłych określeń, takich jak „około tej i tej godziny” albo „w przybliżeniu o..”, tylko bez przerwy mówią o jakimś „przedziale czasowym, jakby lada chwila miało dojść do inwazji obcych wojsk na Waszyngton? Mimo to szedł nadal równym krokiem, przecinając ulice, przez które kazano mu przejść, i mając nadzieję, że jakiś niewidzialny zegar utrzymuje go w granicach tych cholernych „przedziałów czasowych” ustalonych na trawniku w miejscowości Vienna w stanie Wirginia, gdzie kazano mu chodzić w tę i z powrotem między dwoma wetkniętymi w ziemię kołkami. Wirginia... Dla Davida Webba zrobiłby dosłownie wszystko, ale to przecież jest czyste szaleństwo! Nie, oczywiście, że nie. Gdyby tak było, nie zwróciliby się do niego.

Go to? Ukryta w cieniu twarz, zwrócona w jego stronę tak samo jak te dwie przedtem! Przycupnięty na krawężniku stary mężczyzna, spoglądający na niego błyszczącymi od alkoholu oczami. Tamci także byli starzy, nawet bardzo starzy, poruszający się z najwyższym trudem, i wszyscy wpatrywali się w niego! Boże, powinien chyba powściągnąć wodze wyobraźni. Przecież miasta roily się od starych, całkowicie nieszkodliwych ludzi, którzy znaleźli się na ulicy z powodu choroby lub ubóstwa. Jeszcze jeden! Między zamkniętymi stalowymi kratami wejściami do dwóch sklepów. Ten również go obserwował. Przestań! Masz już przywidzenia! Czy jednak na pewno? Oczywiście, że tak. Idź tak jak do tej pory, tylko tego od ciebie oczekują. Dobry Boże, nawet tam, po drugiej stronie ulicy... Idź!

Rozległy, oświetlony blaskiem księżycy teren wokół Smithsonian Institution sprawiał, że dwie sylwetki, które spotkały się na skrzyżowaniu ścieżek, a następnie skierowały się ku pobliskiej ławce, wydawały się karykaturalnie małe. Conklin usiadł powoli, opierając się na lasce, podczas gdy Mo Panov rozglądał się nerwowo dookoła, jakby w oczekiwaniu na coś zupełnie niespodziewanego. Była 3.28 nad ranem, a jedynymi odgłosami, jakie docierały do ich uszu, było przytłumione cykanie świerszczy i delikatny szelest poruszanych powiewami letniego wiatru gałęzi. Po chwili Panov usiadł ostrożnie obok Aleksa.

- Widziałeś coś po drodze? - zapytał Conklin.

- Nie jestem pewien - odparł psychiatra. - Czuję się tak samo zagubiony jak w Hongkongu, ale tam przynajmniej wiedzieliśmy, dokąd idziemy i z kim mamy się spotkać. Wy wszyscy naprawdę macie świra.

Aleks uśmiechnął się lekko.

- Sam sobie zaprzeczasz, Mo. Powiedziałeś mi przecież, że jestem już zdrowy.

- Naprawdę? Ach, tamto to była zaledwie natrętna depresja maniackalna granicząca z przedwczesnym otępieniem, a to jest prawdziwy obłęd! Spójrz na zegarek, dochodzi wpół do czwartej rano. Normalni ludzie śpią o tej porze w łózkach.

Aleks spojrział na twarz Panova, oświetloną przyćmionym blaskiem odległej latarni.

- Powiedziałeś, że nie jesteś pewien. Co to znaczy?

- Aż wstyd mi o tym mówić. Zbyt często powtarzałem pacjentom, że wymyślają sobie różne rzeczy po to, by uzasadnić swój irracjonalny lęk.

- O czym ty gadasz, do diabła?

- Chodzi o swoiste przeniesienie...

- Daj spokój, Mo! - przerwał mu Conklin. - Co cię zaniepokoiło? Co zobaczyłeś?

- Ludzi... Przygarbionych, poruszających się powoli, z trudem... Nie tak jak ty, Aleks, ze względu na jakąś ułomność, ale z racji wieku. Starych, zniszczonych życiem ludzi, kryjących się w bocznych uliczkach i snujących się wzdłuż murów. Spotkałem ich czterech lub pięciu. Raz czy dwa niewiele brakowało, żebym wezwał waszą obstawę, ale w ostatniej chwili opanowałem się i powiedziałem sobie: człowieku, jesteś przewrażliwiony, bierzesz

nieszczęśników za kogoś, kim nie są, i widzisz rzeczy, których nie ma.

- Nieprawda! - szepnęła z naciskiem Conklin. - To, co widziałeś, istniało naprawdę, bo ja widziałem to samo! Takich samych starych ludzi w zniszczonych ubraniach, poruszających się jeszcze wolniej ode mnie... Co to może oznaczać? Czego oni chcą? Kim są?

Kroki. Powolne, niepewne, a w chwilę potem w opustoszałej alejce pojawili się dwaj niewysocy, starzy mężczyźni. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różnili od członków rosnącej szybko armii bezdomnych nędzarzy, lecz zaraz potem uwagę obserwatora zwracała ich nieco większa pewność siebie. Jakby tej powolnej wędrówce przyświecał jednak jakiś cel. Zatrzymali się sześć metrów od ławki, z twarzami ukrytymi w głębokim cieniu.

- To dziwna godzina i niezwykle miejsce jak na spotkanie dwóch tak elegancko ubranych dżentelmenów - odezwał się stojący po lewej stronie. Miał wysoki głos i dziwny akcent. - Czy jesteście pewni, że wolno wam zajmować miejsce odpoczynku tych, którym powodzi się znacznie gorzej niż wam?

- Dookoła jest wiele wolnych ławek - odparł uprzejmie Aleks. - Czy ta jest zarezerwowana?

- Tutaj nie rezerwuje się miejsc - powiedział drugi starzec. Mówił po angielsku wyraźnie i poprawnie, lecz nie ulegało wątpliwości, że nie jest to jego ojczysty język. - Po co tu przyszliście?

- A co to pana obchodzi? - zapytał Conklin. - To prywatne spotkanie w interesach.

- Interesy o tej porze i w tym miejscu? - zdziwił się pierwszy mężczyzna, rozglądając się dookoła.

- Powtarzam jeszcze raz, że to nie raz, interes i że byłoby lepiej, gdy byście zostawili nas w spokoju.

- Cóż, interes to interes - mruknął drugi starzec.

- O co mu chodzi, do diabła? - szepnęła do Conklina zdumiony Panov.

- Spokojnie - odparł jeszcze ciszej Aleks. - Zaraz się dowiemy. - Emerytowany oficer wywiadu uniósł głowę i spojrzał na dwóch intruzów. - Proponuję, panowie, żebyście już sobie poszli.

- Interes to interes - powtórzył stojący po prawej stronie odziany w łach many mężczyzna i skierował na chwilę głowę w stronę swego towarzysza.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli ubić ze sobą jakiś interes, więc...

- Tego nigdy nie wiadomo - przerwał Conklinowi pierwszy starzec, kręcąc powoli głową. - Co by pan powiedział na to, gdybyśmy mieli panu do przekazania wiadomość z Makau?

- Co takiego? - nie wytrzymał Panov.

- Zamknij się, Mo! - szepnęła Aleks, nie spuszczać oczu z nieznajomego. - A cóż my możemy mieć wspólnego z Makau? - zapytał obojętnym tonem.

- Chce się z wami spotkać wielki taipan. Największy w całym Hongkongu.

- Po co?

- Żeby dać wam dużo pieniędzy. W zamian za pewną przysługę.
- Jaką przysługę?
- Mamy wam przekazać, że zabójcą powrócił. Taipán chce, żebyście go znaleźli
- Słyszałem już kiedyś tę historię. Jest nudna, a w dodatku stara.
- O tym będzie pan rozmawiał z wielkim taipanem, nie z nami. On czeka na was.
- Gdzie?
- W ogromnym hotelu.
- W którym?
- Mamy przekazać, że jest tam duży, zamsze zatłoczony hol, a nazwa ma związek z przeszłością tego kraju.
- Jest tylko jeden taki hotel: Mayflower. - Conklin skierował te słowa do wszytego w klapę marynarki mikrofonu.
- Skoro pan tak twierdzi.
- Pod jakim nazwiskiem jest tam zameldowany?
- Zameldowany?
- Musiał wcześniej zarezerwować pokój, tak jak wy rezerwujecie tutaj ławki. O kogo mamy pytać?
- O nikogo. Sekretarz taipana spotka was w holu.
- Czy to ten sam sekretarz, który spotkał się z wami?
- Proszę?
- Kto kazał wam nas śledzić?
- Nie wolno nam o tym mówić i nic nie powiemy.
- Brać ich! - ryknął Conklin przez ramię i w tej samej chwili alejkę zalały strumienie światła mocnych reflektorów, wydobywając z ciemności orientalne rysy obu mężczyzn. Zza drzew i krzewów wyszło dziewięciu funkcjonariuszy CIA z dłońmi ukrytymi pod połami marynarek. Śmiercionośne narzędzia pozostały jednak na swoim miejscu, ponieważ nic nie wskazywało na to, żeby miała zajść konieczność użycia broni.

W sekundę później, nim ktokolwiek zdążył się zorientować, taka konieczność jednak zaszła. Gdzieś w ciemności otaczającej oświetloną blaskiem reflektorów alejkę rozległy się dwa strzały i dwa pociski rozerwały gardła skośnookich posłańców. Funkcjonariusze Agencji rzucili się na ziemię, a Conklin chwycił Panova za ramię i powalił go na żwir przed ławką, będącą jedyną dostępną dla nich w tej chwili ochroną/Oddział z Langley zerwał się niemal natychmiast na nogi i wchodzący w jego skład weterani wielu niebezpiecznych operacji, wśród nich były komandos a obecnie dyrektor CIA Peter Holland, popędzili zygzakiem z odbezpieczoną bronią w kierunku miejsca, z którego padły strzały. Po chwili ciemność rozdarł wściekły okrzyk.

- Cholera! - zaklął Holland, świecąc latarką między pniami drzew. -Uciekli.
- Skąd pan wie?
- Spójrz na trawę, synu, i na ślady butów To byli fachowcy. Przystanęli tylko na chwilę, żeby oddać strzałka potem od razu rzucili się do ucieczki. Widzisz te smugi na trawie? Właśnie tędy biegli. Możecie dać sobie spokój. Już ich tutaj nie ma, bo gdyby byli, wstrzeliliby nas przez okna do środka budynku.
- Nie ma co, prawdziwy fachowiec - mruknął Aleks do zdumionego i przestraszonego Panova, podnosząc się z trudem z ziemi. Psychiatra podszedł szybkim krokiem do leżących nieruchomo Azjatów.
- Mój Boże, obaj nie żyją! -wykrzyknął, ujrzawszy rozszarpane pociskami gardła. - Tak samo jak w wesołym miasteczku!
- To wiadomość - skinął głową Conklin, krzywiąc się z niesmakiem. -Należało posypać ślady solą - dodał tajemniczo.

- Co ty wygadujesz? - zapytał Panov, spoglądając ze zdumieniem na byłego funkcjonariusza wywiadu.

- Nie byliśmy wystarczająco ostrożni.

- Aleks! - ryknął Holland, podbiegając do ławki. - Słyszałem cię, ale to, co się stało, przekreśla pomysł z hotelem - wysapał. - Nie możesz tam iść. Nie pozwalam ci.

- To przekreśla więcej niż tylko ten jeden pomysł. To nie Szakał, tylko Hongkong! Przesłanki były prawidłowe, ale zawiodło mnie przeczucie.

- Go chcesz teraz zrobić? - zapytał spokojnie dyrektor CIA,

- Nie wiem - odparł z bólem w głosie Conklin. - Pomyliłem się... Przede wszystkim spróbuję dotrzeć do naszego człowieka.

- Rozmawiałem z Davidem... To znaczy z nim, przed godziną - odezwał się Panov.

- Rozmawiałeś? - wykrzyknął Aleks. - Jak? Przecież jest późno, a ty byłeś w domu, nie w biurze!

- Jak wiesz, mam automatyczną sekretarkę - odparł psychiatra. - Gdybym odbierał wszystkie telefony po północy, rano nigdy nie wstałbym do pracy. Tym razem jednak włączyłem głos, bo i tak nie spałem, a poza tym szykowałem się do wyjścia. Powiedział tylko: „Skontaktuj się ze mną”, i rozłączył się, zanim zdążyłem doskoczyć do słuchawki. Oczywiście, natychmiast do niego zadzwoniłem.

- Zadzwoniłeś do niego? Ze swojego telefonu?

- No... tak - odparł z wahaniem Panov. - Był ostrożny i mówił bardzo szybko. Chciał nas poinformować, że „M” - tak właśnie ją nazwał, „M” - odlatuje z dziećmi z samego rana, Zaraz potem odłożył słuchawkę.

- W takim razie możemy założyć, że mają już jego nazwisko i adres - powiedział Holland. - Niewykluczone, że przechwycili również samą wiadomość.

- Co najwyżej rejon, w jakim mieszka - odezwał się Conklin. - Być może także wiadomość, ale nie ma mowy o żadnym adresie ani nazwisku.

- Najdalej rano będą mieli...

- Jeżeli zajdzie potrzeba, to najdalej rano on będzie już w drodze na Ziemię Ognistą.

- Boże, co ja zrobiłem! - jęknął Panov.

- Dokładnie to samo, co każdy inny zrobiłby na twoim miejscu - odparł Aleks. - O drugiej w nocy dzwoni do ciebie ktoś, kogo masz i na kim ci zależy, więc kontaktujesz się z nim najszybciej; jak tylko możesz. Teraz musimy tego dokonać powtórnie, nawet jeszcze szybciej. Wiemy już, że to nie Carlos, ale ktoś dysponujący także ogromnymi możliwościami, większymi, niż można było sądzić.

- Skorzystaj z telefonu w moim wozie - zaproponował Holland. - Prze łączę go na zastrzeżoną częstotliwość. Nikt nie przechwyci rozmowy.

- Chodźmy! - rzucił Conklin i pokuśtykał najszybciej jak potrafił, w kierunku zaparkowanego przy trawniku samochodu dyrektora.

- David? Mówi Aleks.

- Masz niesamowite wyczucie, przyjacielu. Właśnie wychodziliśmy i gdyby Jamie nie doszedł do wniosku, że musi jeszcze się załatwić, bylibyśmy już w samochodzie.

- Mo nic ci nie powiedział? U ciebie nikt nie odbierał, więc zadzwoniłem do niego.

- Mo jest odrobinę... wstrząśnięty. Sam mi powiedz.

- Czy ten telefon jest *bezpieczny*? Co do jego miałem pewne wątpliwości.

- Najbardziej, jak to tylko możliwe.

- Wysłałam Marie i dzieci na południe. Daleko na południe. Jest wściekła jak diabli, ale już wynajęłam rockwella na lotnisku Logan, wszystko szybko i bez żadnych kłopotów dzięki ustaleniom, które poczyniłeś cztery lata temu.

Komputery pracowały, aż miło, i wszyscy byli bardzo uczynni. Startują o szóstej, zanim się na dobre rozwidni. Chcę, żeby zniknęli stąd jak najprędzej.

- A ty? Co z tobą?

- Wróć do Waszyngtonu, do ciebie. Jeśli Szakal przypomniał sobie o mnie po tylu latach, to chcę wiedzieć, co zamierzacie z tym począć. Myślę, że mógłbym się przydać.. Będę około południa.

- Nie, Davidzie. Nie dziś i nie tutaj. Leć z Marie i dziećmi. Zniknij z kraju. Zostań z rodziną i Johnnym na wyspie.

- Nie mogę, Aleks. Gdybyś był na moim miejscu, też byś tego nie zrobił. Moja rodzina nigdy nie będzie naprawdę wolna, dopóki Carlos żyje i dybie na ich życie,

- To nie jest Carlos - przerwał mu Conklin.

- Co takiego? Przecież wczoraj powiedziałaś...

- Zapomnij o tym, co ci powiedziałem. Myliłem się. To coś ma związek z Hongkongiem i Makau.

- Bzdura! Tamto jest już dawno skończone! Wszyscy nie żyją i nie został nikt, kto miałby powód mnie ścigać!

- Ale pojawił się ktoś nowy. „Największy taipan w Hongkongu”, według słów naszego ostatniego, resztą już nieżyjącego, informatora.

- Ich już nie ma, Aleks! Cały ten domek z kart Kuomintangu przestał istnieć!

- Powtarzam jeszcze raz: pojawił się ktoś nowy.

David Webb umilkł; po chwili w słuchawce odezwał się lodowaty głos Jasona Bourne'a:

- Opowiedz mi wszystko; czego się dowiedziałeś, z najdrobniejszymi szczegółami. Tam u was coś się wydarzyło. Chcę wiedzieć co.

- Proszę bardzo, ze szczegółami.

Emerytowany oficer wywiadu opisał przygotowany przez Centralną Agencję Wywiadowczą plan, opowiedział o tym, jak zarówno on, jak i Panov spotkali w drodze do parku przy Smithsonian Institution wielu starych, kryjących się w mroku mężczyzn, z których dwaj podeszli do nich w alejce, wspominając o Makau, Hongkongu i wielkim taipanie, a wreszcie poinformował Bourne'a o śmierci obu posłańców.

- To Hongkong, Davidzie. Świadczy o tym wzmianka o Makau. Przecież właśnie tam znajdowała się główna kwatera tego samozwańca.

Odpowiedziała mu cisza, przerywana w regularnych odstępach czasu szmerem oddechu Jasona Bourne'a.

- Mylisz się, Aleks - odezwał się wreszcie pełnym zadumy głosem. - To Szakal. Co prawda poprzez Hongkong i Makau, ale na pewno Szakal.

- Gadasz bzdury! Carlos nie ma nic wspólnego z taipanami z Hongkongu ani wiadomościami z Makau! Ci starcy byli Chińczykami, a nie Francuzami, Włochami albo Niemcami. Ta sprawa ma korzenie w Azji, nie w Europie.

- On ufa wyłącznie starcom - ciągnął David Webb zimnym, opanowanym głosem Jasona Bourne'a. - „Starcy z Paryża”, tak się ich nazywa. Tworzą jego siatkę w Europie, są kurierami. Kto mógłby podejrzewać starych, niedołączonych ludzi, żebraków i poruszających się z trudem inwalidów? Kto wpadłby na pomysł, żeby ich przesłuchiwać, a tym bardziej torturować? Zresztą nawet wówczas nie powiedzieliby ani słowa. Zawarli z nim układ i działa ją zupełnie bezkarnie. Dla Carlosa.

Przez dłuższą chwilę Conklin wpatrywał się w deskę rozdzielczą samochodu, przerażony głuchą pustką, wyraźnie słyszalną w głosie przyjaciela, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinien powiedzieć.

- Nie rozumiem cię - wykrztusił z trudem. - Wiem, że jesteś zdenerwowany, tak jak my wszyscy, ale czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Proszę? Ach, wybacz mi, Aleks. Cofnąłem się myślą do dawnych czasów, Carlos przeczesywał Paryż w poszukiwaniu starych ludzi, którzy albo stali już nad krawędzią śmierci, albo zdawali sobie sprawę z tego, że nie po- żyją długo, czy to ze względu na wiek, czy trapiące ich choroby. Wszyscy mieli na koncie większe lub mniejsze przestępstwa. Większość z nas zapomina, że tacy ludzie mają często dzieci, wnuki albo inne bliskie im osoby, których los nie jest im obojętny. Szakał obiecywał troszczyć się o ich najbliższych w zamian za wierną, dożywotnią służbę. Czy można było odrzucić taką ofertę, mając jako alternatywę nędzę i cierpienie?

- Chcesz powiedzieć, że mu wierzyli?

- Mieli ku temu, i ciągle mają, istotne powody. Liczne szwajcarskie banki wysyłają co miesiąc wiele czeków do spadkobierców tych ludzi w całej Europie, od Morza Śródziemnego po Bałtyk. Nie sposób ustalić źródła pieniędzy, lecz ci, którzy je otrzymują, doskonale wiedzą, komu je zawdzięczają i za co... Zapomnij o tajnych aktach w Langley, Aleks. Carlos szukał w Hongkongu i właśnie tam udało mu się natrafić na ślad twój i Mo.

- W takim razie my też trochę poszukamy. Przetrzęsniemy każdą chińską dzielnicę, każdą orientalną restaurację i klub w promieniu pięćdziesięciu mil od Waszyngtonu.

- Nie róbcie nic, dopóki się tam nie zjawię, bo nie wiecie, czego szukać ... Ja wiem. To naprawdę wręcz niesamowite. Szakał nawet nie podejrzewa, jak wielu rzeczy nie mogą sobie jeszcze przypomnieć, ale nie wiadomo dlaczego uznał, że zapomniałem o starcach z Paryża.

- Może wcale tak nie jest, Davidzie. Może właśnie liczy na to, że pamiętasz. Może ta maskarada jest zaledwie wstępem do prawdziwej pułapki, którą na ciebie zastawia.

- Jeśli tak, to popełnił kolejny błąd.

- Hę?

- Nie dam się do niej zwabić. Jason Bourne jest lepszy od niego.

Rozdział 4

David Webb wyszedł przez sterowane fotokomórką drzwi z zatłoczonej hali dworca lotniczego, na chwilę przystanął przed tablicą informacyjną, po czym ruszył w kierunku parkingu przeznaczony dla samochodów pozostawianych na krótki postój. Zgodnie z planem miał dotrzeć do ostatniego rzędu pojazdów, skręcić w lewo, potem w prawo i iść tak długo, aż zobaczy pontiaca Le Mans model 1986 w kolorze srebrny metalik, z ozdobnym krucyfiksem zawieszonym w oknie tylnych drzwi. Za kierownicą, przy uchylonej szybie powinien siedzieć mężczyzna w białej czapce. David ma podejść do niego i powiedzieć: „Lot był nadzwyczaj spokojny”. Jeżeli kierowca zdejmie czapkę i uruchomi silnik, Webb po prostu wsiądzie do samochodu, nie mówiąc już ani słowa.

Tak też się stało. Kiedy ruszyli, kierowca wyjął spod deski rozdzielczej mikrofon, zbliżył go do ust i powiedział cicho, lecz wyraźnie; „Ładunek na pokładzie. Proszę samochody ochrony o zajęcie pozycji”.

Skomplikowana procedura graniczyła ze śmiesznością, ale David doszedł do wniosku, że skoro Aleks Conklin zadał sobie dość trudu, żeby złapać go telefonicznie tuż przed jego odlotem z lotniska Logan, a w dodatku uczynił to za pomocą służbowego, specjalnie strzeżonego przed podsłuchem aparatu Petera Hollanda, to musiały istnieć ku temu jakieś powody. Przemknęła mu myśl, iż być może ma to jakiś związek z telefonem od Mo Panova sprzed dziewięciu godzin. Do kolejnej rozmowy telefonicznej, tej z Conklinem, włączył się również Holland, osobiście potwierdzając prośbę, a właściwie żądanie, aby David zrezygnował z lotu rockwellem, pojechał samochodem do Hartfordu i dopiero tam wsiadł do zwykłego, rejsowego samolotu do Waszyngtonu. Na koniec dodał tajemniczo, że od tej pory nie może być mowy o żadnych kontaktach telefonicznych ani o korzystaniu z rządowych bądź prywatnych połączeń lotniczych.

Wiozący Davida samochód błyskawicznie opuścił teren dworca lotniczego. Webb odniósł wrażenie, iż minęło nie więcej niż kilka minut, kiedy za szybami pojawił się uciekający z dużą szybkością do tyłu wiejski krajobraz, a wkrótce potem niewielkie miasteczka Wirginii. Skręcili w zamkniętą bramą drogę prowadzącą do ogrodzonego wysokim parkanem osiedla; na tablicy widniała nazwa Vienna Villas, znajdujące się w pobliżu miasteczko nazywało się bowiem Vienna. Strażnik znał kierowcę, gdyż machnął tylko ręką i samochód przemknął pod uniesionym szlabanem. Dopiero wtedy kierowca po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do swego pasażera:

- Osiedle zajmuje obszar pięciu akrów i jest podzielone na pięć równych części, sir. Cztery są zupełnie zwyczajne, ale piąta, najbardziej oddalona od bramy, stanowi własność Agencji i jest specjalnie chroniona. To najzdrowsze miejsce pod słońcem, sir.

- Wcale nie czułem się chory.

- Tutaj to panu na pewno nie grozi. Dyrektorowi bardzo zależy na pańskim zdrowiu.

- Miło mi, ale skąd pan o tym wie? -Należę do zespołu, sir.

- W takim razie jak się pan nazywa?

Kierowca zamilkł na chwilę, a kiedy się ponownie odezwał, David odniósł nieprzyjemne wrażenie, iż cofa się w przeszłość do czasu, o którym, jak wiedział, nigdy nie zdoła zapomnieć.

- Tutaj nie mamy imion ani nazwisk, sir ani pan, ani ja. „Meduza”.

- Rozumiem - odparł Webb.

- Jesteśmy na miejscu. - Samochód wjechał na owalny podjazd i zatrzymał się przed jednopiętrowym, utrzymanym w kolonialnym stylu budynkiem którego białe kolumny

wyglądały jak wykonane z włoskiego marmuru. - Proszę o wybaczenie, sir, ale dopiero teraz zauważyłem, że nie ma pan żadnego bagażu.

- Rzeczywiście, nie mam - powiedział David i otworzył drzwi.

Jak ci się podoba moja tymczasowa nora? - zapytał Aleks, wskazując dłonią na gustownie urządzone wnętrze.

- Za ładnie i za czysto jak na zrzedliwego starego kawalera - odparł David. - A tak w ogóle, to od kiedy nabrałeś upodobania do zasłon w różowe i żółte stokrotki?

- Poczekaj, aż zobaczysz tapetę w mojej sypialni. Jest w różyczki.

- Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę.

- U ciebie są hiacynty. Jak się domyślasz, nie rozpoznałbym hiacynta nawet wtedy, gdybym się o niego potknął i zabił, ale tak powiedziała pokojówka.

- Pokojówka?

- Pod pięćdziesiątkę, czarna i zbudowana jak zapaśnik sumo. Pod kiecką nosi dwie spluwy, a także, jak głosi plotka, kilka brzytw.

- Niezła.

- Żebyś wiedział. Nie położy w łazience kostki mydła ani rolki papieru toaletowego, które nie mają pieczętki Langley. Nie uwierzysz, ale ona ma dziesiątą grupę zaszeregowania, a niektórzy z tych pajaców zostawiają jej jeszcze napiwki!

- Nie potrzebują przypadkiem kelnera?

- Świetna myśl: nasz wspaniały uczonec, David Webb, kelnerem.

- Jason Bourne był kiedyś kelnerem. Conklin natychmiast spowaźniał.

- Przejdźmy do niego - powiedział i pokuśtykał w kierunku fotela. - Aha, miałeś dzisiaj ciężki dzień, choć jeszcze nawet nie minęło południe, więc gdybyś chciał sobie przyrzucić drinka, to znajdziesz wszystko za tą kotarą w kolorze biskupiego fioletu... Nie patrz tak na mnie. Wiem, że to biskupi fiolet, bo usłyszałem to od naszej czarnoskórej Brunhildy.

Webb wybuchnął donośnym, szczerym śmiechem.

- Chyba nie masz już z tym żadnych kłopotów, prawda, Aleks?

- Jasne, że nie. Czy musiałeś kiedykolwiek chować przede mną butelki, kiedy do was przyjeżdżałem?

- Nie, ale wtedy nie mieliśmy da czynienia z żadną stresującą...

- Stres nie ma tu nic do rzeczy - przerwał mu Conklin. - Podjąłem określoną decyzję, bo nie miałem wyboru. Napij się, Davidzie. Musimy porozmawiać, a wołałbym, żebyś był zupełnie spokojny. Kiedy patrzę w twoje oczy, widzę, że cały jesteś podminowany.

- Sam mi kiedyś powiedziałeś, że zawsze można poznać to po oczach - zauważył Webb, odsuwając kotarę i sięgając po butelkę - Nie straciłeś jeszcze tej umiejętności, prawda?

- Powiedziałem ci, że to widać w głębi oczu. Nigdy nie poprzestawaj na powierzchownej obserwacji... Co z Marie i dziećmi? Zdaje się, że odlecieli bez żadnych problemów?

- Na pewno, bo ślecząłem z pilotem nad planem lotu tak długo, że w końcu kazał mi się wynosić albo samemu usiąść za sterami, - Webb nappełnił szklankę i zasiadł w fotelu vis-a-vis emerytowanego agenta CIA. - Gdzie jesteśmy, Aleks? - zapytał.

- Dokładnie tam, gdzie byliśmy wczoraj. Żadnych zmian, jeśli nie liczyć tego, że Mo nie zgodził się zostawić swoich pacjentów. Dziś rano goryle zameldowali się u niego w mieszkaniu, które obecnie jest równie bezpieczne, jak Fort Knox, i odstawili go do biura. W drodze powrotnej będą cztery razy zmieniać samochody, oczywiście wyłącznie w podziemnych garażach.

- A więc chronicie go zupełnie otwarcie, nie kryjąc się w cieniu?

- To by nie miało żadnego sensu. Nasi ludzie starali się ukryć przy Smithsonian

Institution i wiesz, co z tego wyszła

- A może tym razem by się udało? Dwa zespoły, z których pierwszy, ten jawny, ma celowo popełnić jakiś błąd, żeby sprowokować przeciwnika?

- Z tymi durniami nie ma na to najmniejszych szans. - Conklin potrząsnął głową. - Przepraszam, cofam to, co powiedziałem. Jeden Bourne dalby sobie z tym radę, ale nie oni.

- Nie rozumiem.

- W gruncie rzeczy nie są głupi, ale szkolono ich wyłącznie pod kątem ratowania i chronienia czyjegoś życia, a poza tym działają w zespole, co wiąże się z koniecznością bezustannej koordynacji i informowania na bieżąco o wszystkich poczynaniach. Po prostu wykonują swój zawód, nie są „pistoletami” przygotowanymi na to, że w razie najmniejszego błędu ktoś poderżnie im gardło.

- Cóż za melodramatyczna nuta - mruknął David, rozpięrkując się wygodnie w fotelu. - Zdaje się, że ja działałem właśnie w taki sposób, nieprawdaż?

- Bardziej w legendach niż w rzeczywistości, ale dla ludzi, których wykorzystywałeś, rzeczywistością były te legendy.

- W takim razie odszukam ich i ponownie wykorzystam! - David wyprostował się raptownie, ściskając oburącz szklankę. - On mnie do tego zmusza, Aleks! Szakał rozpoczął licytację, więc muszę w nią wejść!

- Och, zamknij się! - prychnął niecierpliwie Conklin. - Teraz ty odstawiasz tani melodramat. Gadasz jak postać z jakiegoś podrzędnego westernu. Wystarczy, że się pokażesz, i Marie zostanie wdową, a dzieci stracą ojca. Teraz tak wygląda rzeczywistość, Davidzie.

- Mylisz się... - Webb potrząsnął głową, wpatrując się w swoją szklankę. - On ruszył za mną, więc ja muszę ruszyć za nim. Próbuje mnie wyciągnąć z kryjówek, więc ja muszę wyciągnąć jego. To jedyny sposób, żeby się go nareszcie pozbyć. Jakkolwiek by liczyć, ostateczna postać równania zawsze wygląda tak samo: Carlos kontra Bourne. Jesteśmy znowu tam, gdzie byliśmy trzynaście lat temu: Alfa, Bravo, Charlie, Delta... Kain to Carlos, a Delta to Kain...

- To idiotyczny szyfr z Paryża sprzed trzynastu lat! - przerwał mu ostrym tonem Conklin. - Delta należał do „Meduzy” i miał stawić czoło Carlosowi. Nie jesteśmy w Paryżu, Davidzie, a od tamtego czasu minęło już trzynaście lat!

- I zapewne za następne pięć będę miał osiemnaście, a za jeszcze pięć dwadzieścia trzy? Czego ty ode mnie chcesz, do diabła? Żeby do końca moich dni żył w ciągłym strachu przed tym bandytą, czekając zawsze z obawą na powrót do domu żony i dzieci? Nie, to ty masz się zamknąć, wielki panie agencie! Najwspanialszy analitycy mogą obmyślić najbardziej niezawodne plany, a my zmontujemy z nich jeden, jeszcze lepszy, ale kiedy dojdzie do ostatecznej rozgrywki, ona zawsze będzie się toczyć wyłącznie między Szakalem i mną... Tyle tylko że ja dysponuję pewną przewagą: mam ciebie po swojej stronie.

Conklin przełknął z trudem ślinę, mrugając przy tym raptownie powiekami.

- Bardzo mi pochwlebiasz, Davidzie. Chyba nawet za bardzo. Zawsze czułem się lepiej winnym otoczeniu, kilka tysięcy mil od Waszyngtonu. Tutaj jakoś bez przerwy było mi trochę duszno.

- Ale na pewno nie pięć lat temu, kiedy odprowadzałeś mnie na samolot do Hongkongu. Wciążu zaledwie jednego dnia udało ci się rozwiązać połowę łamigłówek.

- Wtedy było dużo łatwiej: tajna operacja Departamentu Stanu cuchnąca na kilometr zdechłym halibutem. Tym razem to coś zupełnie innego. Tym razem to Carlos.

- Właśnie o to mi chodzi, Aleks. To Carlos, a nie jakiś obcy głos w słuchawce. Mamy do czynienia ze znanym czynnikiem, wiemy, czego można się po nim spodziewać...

- Czyś ty oszalał? - przerwał mu Conklin, marszcząc brwi. - Jak to rozumiesz?

- Jest myśliwym, więc będzie szedł moim tropem.

- Owszem, ale najpierw dokładnie go obwącha, a potem zbada jeszcze pod

mikroskopem.

- Wynika z tego, że trop musi być prawdziwy, czyż nie tak?
- Osobiście wolę określenie „wiarygodny”. Co masz na myśli?
- W ewangelii świętego Aleksa jest wyraźnie napisane, że w celu zastawienia skutecznej pułapki należy tak spreparować przynętę, żeby zawierała maksymalnie dużo prawdy, nawet bardzo niebezpieczną dawkę.
 - Ten rozdział i wers nawiązują do szczegółowych badań, jakim każdy doświadczony myśliwy poddaje napotkany trop. Zdaje się, że już o tym wspomniałem. Jakie to ma znaczenie?
 - „Meduza” - powiedział cicho Webb. - Chcę wykorzystać „Meduzę”.
 - Oszalałeś! - syknął niewiele głośniejsz Conklin. - Ta sprawa jest równie tajna jak Jason Bourne... Nie oszukujmy się: jest bardziej tajna!
 - Ale były także plotki krążące po całej Azji Południowo-Wschodniej, docierające aż do Morza Chińskiego, Koulunu i Hongkongu, dokąd większość tych zbrodniarzy uciekła ze swymi pieniędzmi. O „Meduzie” wiedziano więcej, niż ci się wydaje, Aleks.
 - Plotki i nie potwierdzone pogłoski, nic więcej - odparł emerytowany oficer wywiadu.
 - Który z nich nie przyłożył noża do gardła lub lufy pistoletu do głowy kilkudziesięciu czy nawet kilkuset majątnym ludziom? „Meduza” składała się z dziewięćdziesięciu procentach z morderców i złodziei. Peter Holland powiedział, że kiedy działał w SEALs, nie spotkał wśród nich nikogo, kogo by nie pragnął osobiście załatwić.
 - Ale gdyby nie oni, zamiast pięćdziesięciu ośmiu tysięcy zabitych byłoby z pewnością grubo ponad sześćdziesiąt. Trzeba oddać im sprawiedliwość, Aleks. Znali każdy centymetr terenu, każdy metr kwadratowy dżungli. Stworzyli..., Stworzyliśmy najlepiej funkcjonującą siatkę wywiadu spośród wszystkich, jakie udało się zmontować Dowództwu Sajgonu.
 - Mnie chodzi o to, Davidzie, że nikt pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie może skojarzyć „Meduzy” z rządem Stanów Zjednoczonych. Nie istnieją dokumenty, które wskazywałyby na nasze zaangażowanie, sama zaś nazwa była i jest otoczona ścisłą tajemnicą. W myśl prawa przestępstwa wojenne nie podlegają przedawnieniu, więc oficjalnie „Meduza” została uznana za prywatną organizację, zbieraninę przestępców pragnących skorumpować całą Azję Południowo-Wschodnią, ciągnąc z tego ogromne zyski. Gdyby kiedykolwiek odkryto ich powiązania z Waszyngtonem, natychmiast ległaby w gruzach reputacja wielu znaczących osobistości z Białego Domu i Departamentu Stanu/Dwadzieścia lat temu byli młodymi sztabowcami w Dowództwie Sajgonu, ale teraz zajmują się polityką na skalę światową. Podczas wojny posługiwanie się niezbyt etycznymi metodami może jakoś ująć na sucho, lecz w okresie pokoju trudno sobie wyobrazić cięższy zarzut niż współuczestnictwo w masowych morderstwach i defraudacja milionowych funduszy pochodzących z kieszeni podatników. Identycznie przedstawia się sprawa z tajnymi archiwami zawierającymi dokładne informacje o tym, którzy z naszych najznamienitszych bankierów finansowali poczynania nazistów. Istnieją sprawy, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. „Meduza” jest jedną z nich.

Webb ponownie zagłębił się w fotelu, ale tym razem był wyraźnie spięty.

Nie spuszczał nieruchomego spojrzenia z twarzy starego przyjaciela, który przez pewien czas był jego największym wrogiem.

- Jeżeli nie zawodzi mnie resztką pamięci, to wydaje mi się, że zgodnie z oficjalnymi wyjaśnieniami Bourne wywodził się właśnie z „Meduzy”.
- Rzeczywiście, ale to było najprostsze wyjaśnienie i najskuteczniejszy kamuflaż - potwierdził Conklin, wytrzymując jego spojrzenie. - Wróciliśmy do Tam Quan i „odkryliśmy”, że Bourne był zbikowanym awanturnikiem z Tasmanii, który zaginął bez wieści w północnowietnamskiej dżungli. Nawet najdrobniejszy szczegół w tym stworzonym ze sporą dozą wyobraźni dossier nie wskazywał na jakiegokolwiek powiązania z

Waszyngtonem.

- Ale to wszystko kłamstwo, prawda, Aleks? Takie powiązania istniały i nadal istnieją, i Szakał wie o tym. Wiedział o tym już wtedy, gdy znalazł ciebie i Mo w Hongkongu, a właściwie wasze nazwiska w domu na Górze Wiktorii, w którym rzekomo został zastrzelony Jason Bourne. Potwierdziliście to wczoraj w nocy, kiedy spotkaliście się z jego wysłannikami, a on odkrył obecność ludzi z Agencji. Przekonał się, że to, w co wierzył od trzynastu lat, jest prawdą: żołnierz „Meduzy” pseudonimie Delta był Jasonem Bourne'em, a ten z kolei jest tworem amerykańskiego wywiadu i wciąż żyje. Żyje i ukrywa się, korzystając z ochrony swego rządu.

Conklin rąbnął pięścią w poręcz fotela.

- W jaki sposób udało mu się nas odszukać? Wszystko, dosłownie wszystko odbywało się w ścisłej tajemnicy! Zatroszczyłem się o to wspólnie z McAllisterem!

- Potrafiłbym chyba wymyślić kilka sposobów, ale to teraz nieistotne. Nie mamy czasu. Musimy przystąpić do działania, opierając się na tym, co wiemy... i co wie Carlos. „Meduza”, Aleks.

- Chcesz działać? W jaki sposób?

- Skoro Bourne wyłonił się z „Meduzy”, to jest jasne, że nasze tajne służby maczały w tym palce, bo jak inaczej znalazłyby sposób, żeby go wykorzystać? Jedyne, czego Szakał jeszcze nie wie, to do jakiego stopnia jest zdeterminowany nasz rząd, a dokładniej rzecz biorąc niektórzy jego członkowie. Dokąd są skłonni się posunąć, żeby utrzymać „Meduzę” w tajemnicy. Jak sam powiedziałaś, przy jej odsłanianiu wiele wpływowych osobistości mogłoby się dotkliwie poparzyć, a na kilku nienagannie czystych garniturach pojawiłyby się brudne plamy.

Conklin zmarszczył brwi i skinął z namysłem głową.

- I nagle, nie wiadomo skąd, mielibyśmy paru własnych Waldheimów.

- *Nuy Dap Ranh* - szepnął David.

Na dźwięk wypowiedzianych w orientальnym języku słów Aleks uniósł raptownie głowę.

- To jest właśnie klucz do wszystkiego, prawda? - zapytał Webb. - *Nuy Dap Ranh...*

Królowa Wężów,

- Przypomniałaś sobie?

- Dziś rano - odparł Jason Bourne, mierząc Conklina zimnym spojrzeniem. - Kiedy samolot z Marie i dziećmi zniknął we mgle nad portem, nagie znalazłem się na pokładzie innego samolotu, w zupełnie innym czasie. Poprzez szum z głośnika radiostacji wydobywały się trzeszczące słowa: „Królowa Wężów! Królowa Wężów, słyszysz mnie? Odwołuję operację!”. Wyłączyłem wtedy radio i rozejrzałem się po kabinie maszyny. Samolot trząsł się i podskakiwał, jakby miał zamiar za chwilę się rozpaść, a ja zastanawiałem się, którzy z tych ludzi przeżyją, czyja przeżyję, a jeżeli nie, to w jaki sposób zginiemy... Zobaczyłem, że dwaj z nich podwijają rękawy i porównują małe, wstrętne tatuaże na przedramionach, obrzydliwe symbole, które stały się ich obsesją...

- *Nuy Dap Ranh* - powiedział cicho Conklin. - Głowa kobiety z węża mi zamiast włosów. Królowa Wężów. Ty nie dałaś sobie go zrobić.

- Nigdy nie traktowałem tego jako wyróżnienia.

- Początkowo miał stanowić znak identyfikacyjny, nie rzucający się tak bardzo w oczy jak dystynkcje na mundurze: misterny tatuaż na wewnętrznej stronie przedramienia o wzorze i barwach znanych tylko jednemu artyście w Sajgonie. Nikt nie potrafiłby go podrobić.

- Staruszek zarobił wtedy sporo forsy. Był jedyny w swoim rodzaju.

- Ten tatuaż kazali sobie zrobić wszyscy oficerowie z Kratery Głównej, którzy mieli jakkolwiek związek z „Meduzą”. Przypominali duże, szalone dzieci, bawiące się znalezionymi w pudełku płatków „tajnymi” szyframi.

- To nie były dzieci, Aleks. Na pewno szaleńcy, co do tego nie ma najmniejszej

wątpliwości, ale nie dzieci. Zarazili się groźną chorobą znaną pod nazwą samowola, a przy okazji wielu zabiło niezły majątek. Prawdziwe dzieciaki ginęły wtedy w dżungli, podczas gdy chodzący w nienagannie odprasowanych mundurach oficerowie z Południa wysyłali do Szwajcarii, na Bahnhofstrasse w Zurychu, coraz to nowych kurierów.

- Ostrożnie, Davidzie. Niewykluczone, że mówisz o ludziach zajmujących w naszym obecnym rządzie bardzo ważne stanowiska.

- Którzy to? - zapytał spokojnie Webb, trzymając przed sobą w obu dłoniach szklankę.

- Ztroszczyłem się o to, żeby ci, którzy siedzieli po szyję w śmieciach, zniknęli wraz z upadkiem Sajgonu, ale przez kilka lat nie było mnie tam, a możesz sobie chyba wyobrazić, że niełatwo jest uzyskać od kogokolwiek jakieś informacje na ten temat.

- Mimo to na pewno masz jakieś podejrzenia.

- Jasne, ale nic konkretnego i żadnych dowodów. Tylko domysły oparte na obserwacji stylu życia niektórych osób: rezydencje, na jakie nie powinny móc sobie pozwolić, podróże, na które nie powinno być ich stać, i pozycje zajmowane przez te osoby w radach nadzorczych różnych firm i korporacji, nie uzasadnione w najmniejszym stopniu ani wiedzą, ani doświadczeniem.

- Z twoich słów wynika, że to cała sieć - powiedział David cichym, napiętym głosem Jasona Bourne'a.

- Bardzo misterna i nadzwyczaj elitarna -zgodził się Conklin,

- Przygotuj mi listę, Aleks.

- Będzie niekompletna.

- Więc ogranicz ją na razie do tych ważnych ludzi z rządu, którzy byli przydzieleni do Dowództwa Sajgonu. Ewentualnie dołącz do niej jeszcze tych z ogromnymi majątkami i pełniących w prywatnym sektorze funkcje, jakich nie powinni otrzymać.

- Powtarzam jeszcze raz: taka lista będzie zupełnie bezużyteczna.

- Na pewno nie wtedy, jeśli zdasz się na swój instynkt.

- Co to, do diabła, ma mieć wspólnego z Carlosem?

- Chodzi o część prawdy, Aleks. O niebezpieczną część, możesz być tego pewien, ale autentyczną i dlatego tak bardzo atrakcyjną dla Szakala.

Emerytowany oficer wywiadu wybałuszył oczy na swego przyjaciela. -O czym ty mówisz?

- Właśnie teraz powinna ci pomóc twoja zdolność kreatywnego myślenia. Powiedzmy, że na twojej liście znajdzie się piętnaście lub dwadzieścia nazwisk; możemy założyć, że co najmniej w trzech lub czterech przypadkach uda nam się zdobyć niepodważalne dowody. Kiedy zlokalizujemy dokładnie cele, zaczniemy wywierać nacisk, przekazując z różnych stron tę samą wiadomość: były uczestnik „Meduzy” sfiksował. Człowiek otoczony od wielu lat staranną opieką postanowił odstrzelić głowę Królowej Wężów. Dysponuje wystarczającym zapasem amunicji: nazwiska, czyny, lokalizacje szwajcarskich kont bankowych. A potem - w tym momencie dowiemy się, ile są rzeczywiście warte talenty tak przez nas poważanego i szanowanego świętego Aleksa - szepniemy tu i ówdzie słówko, że istnieje ktoś, komu jeszcze bardziej zależy na tym, żeby dostać w ręce tego niebezpiecznego szaleńca.

- Tym kimś będzie Iljicz Ramirez Sanchez - dokończył cichym głosem Conklin. - Carlos. Szakal. Wkrótce potem (tylko jak to zaaranżować?) dojdzie do spotkania dwóch zainteresowanych stron - zainteresowanych, ma się rozumieć, w usunięciu człowieka stanowiącego zagrożenie. Przy czym z góry wiadomo, że jedna ze stron, złożona z ludzi zajmujących wysokie stanowiska, nie może zaangażować się aktywnie w tę operację, czyż nie tak?

- Mniej więcej, z tą tylko poprawką, że właśnie ci ludzie mogą uzyskać dostęp do informacji na temat aktualnej tożsamości i miejsca pobytu obiektu ich zainteresowania.

- Oczywiście. - Aleks pokiwał z powątpiewaniem głową. - Wystarczy, że machną czarodziejską różdżką, a wszystkie zabezpieczenia znikną, dając im dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic.

- Właśnie tak - odparł zdecydowanie David. - Dlatego że ten; kto się spotka z wysłannikami Carlosa, musi być tak wysoko postawiony, żeby Szakal nie miał innej możliwości, jak tylko podjąć współpracę. Nie może żywić żadnych, choćby najmniejszych wątpliwości ani podejrzeń,

- Czy chciałbyś również, żebym kazał różom kwitnąć w czasie styczniowej burzy śnieżnej w Montanie?

- Czemu nie. To wszystko musi nastąpić w ciągu najbliższego dnia lub dwóch, kiedy Carlos nie ochłonał jeszcze po tym, co wydarzyło się przy Smithsonian Institution.

- Niemożliwe! To znaczy, jasne, że spróbuję. Założę tu sobie główną kwaterę i każę przysłać z Langley wszystko, czego potrzebuję, pod Cztery-Zero, oczywiście. .. Cholernie bym nie chciał przepłoszyć tego kogoś z hotelu Mayflower.

- Ktokolwiek to jest, nie wydaje mi się, żeby zniknął tak szybko - odparł Webb. - Szakal nie dopuściłby do tego, żeby w jego planie powstała nagle tak ogromna dziura.

- Szakal? Sądzisz, że to może być on?

- Na pewno nie osobiście. To musi być ktoś, kto mógłby nosić na piersi tabliczkę z napisem „Jestem współpracownikiem Carlosa”, a my i tak byśmy mu nie uwierzyli.

- Chińczyk?

- Może, Oczywiście, nie dam za to głowy, bo nawet kiedy Szakal działa pozornie bez sensu, to w takim jego postępowaniu jest dużo logiki.

- Słyszę człowieka z przeszłości. Człowieka, który nigdy nie istniał.

- Istniał, Aleks, zapewniam cię. Właśnie teraz wrócił.

Conklin spojrział w kierunku drzwi pokoju; słowa Davida przypomniały mu o czymś.

- Gdzie masz walizkę? - zapytał. - Chyba przywiozłeś jakieś ubranie, prawda?

- Nie, nie przywiozłem. To, które mam teraz na sobie, wylądowało w kanale, jak tylko kupię nowe. Najpierw jednak muszę się spotkać z jeszcze jednym przyjacielem, także geniuszem, mieszkającym w niezbyt sympatycznej dzielnicy miasta;

- Pozwól, że zgadnę - uśmiechnął się emerytowany oficer wywiadu. - To starszy wiekiem Murzyn o nieprawdopodobnym imieniu Kaktus, najlepszy specjalista w dziedzinie fałszywych paszportów, praw jazdy i kart kredytowych.

- Właśnie on,

- Wszystko, czego potrzebujesz, mogłaby ci załatwić Agencja.

- Nie tak dobrze i nie tak dyskretnie. Nie wolno mi zostawić żadnego śladu, nawet oznaczonego symbolem Cztery-Zero. To indywidualna operacja.

- W porządku. Co potem?

- Musisz zabrać się ostro do pracy, agencie. Do jutra rano trzeba zdrowo potrząsnąć kilkoma ludźmi w tym mieście.

- Do jutra...? Niemożliwe!

- Nie dla ciebie. Nie dla świętego Aleksa, księcia wszystkich tajnych operacji.

- Możesz sobie gadać, co chcesz. Wyszedłem już z wprawy,

- Szybko ją odzyskasz. To dokładnie tak samo jak z seksem albo jazdą na rowerze.

- A ty? Co ty będziesz robił?

- Po konsultacji z Kaktusem wynajmę pokój w hotelu Mayflower - odparł Jason Bourne.

Culver Parnell, magnat hotelowy z Atlanty, którego dwudziestoletnie panowanie w tym przemyśle zaowocowało wreszcie posadą szefa protokołu Białego Domu, cisnął z wściekłością słuchawkę na widelki i nabazgrał w leżącym przed nim notesie kolejne, szóste już nieprzyzwoite słowo. Pełniąca tę funkcję za rządów poprzedniej administracji kobieta nie

miała najmniejsze- go pojęcia o politycznym kluczu obowiązującym podczas układania listy zapraszanych do Białego Domu gości i Culver Parnell, w wyniku następujące zawsze po wybojach wymiany personelu, zastąpił ją na tym stanowisku. Za-raz potem, ku swej ogromnej Irytacji, znalazł się w stanie wojny ze swoim pierwszym zastępcą, również kobietą w średnim wieku, również absolwentką jednej z tych cholernie ekskluzywnych uczelni ze Wschodniego Wybrzeża, a co gorsza, osobą bardzo popularną w towarzyskich kręgach Waszyngtonu, przekazującą-sporą część zarobków na rzecz jakiejś idiotycznej grupy baletowej, której członkowie wy stępowali najczęściej w samej bieliźnie, a czasem nawet bez niej.

- Niech to szlag trafi! - wybuchnął Culver, przeczesując palcami szpakowate włosy. Podniósł słuchawkę i wystukał czterocyfrowy numer. – Daj mi Redheada, ślicznotko - powiedział, celowo podkreślając swój i tak doskonale słyszalny południowy akcent.

- Tak jest, proszę pana! - zaszczebiotała zachwycona sekretarka. - Właśnie z kimś rozmawia, ale zaraz mu przerwę. Jedną chwileczkę, panie Parnell.

- Jesteś uroczą brzoskwinką, dziecinko.

- Dziękuję! Już pana łączę.

To zawsze działa, pomyślał Culver. Za pomocą odrobiny aromatycznego olejku magnolii można osiągnąć znacznie więcej, niż skrzypiąc niczym stary dąb. Ta jego cholerna zastępczyni musi się jeszcze tego nauczyć: mówi tak, jakby jakiś durny dentysta skleił jej pieprzone zęby szybko schnącym cementem.

- To ty, Cull? - przerwał jego rozmyślania głos Redheada. Szybko do pisał siódmy obsceniczny wyraz.

- To ja, chłopcze, ale nie sam, tylko z kupą cholernych kłopotów! Ta frymuśna dziwka znowu robi swoje! Zaprosiłem na dwudziestego piątego paru ludzi z Wall Street, wiesz, na to przyjęcie dla nowego francuskiego ambasadora, a ona mi mówi, że musimy jeszcze znaleźć miejsce dla jakichś baletowych dziwolągów! Mało tego, podobno Pierwsza Dama bardzo chciałaby ich poznać. Cholera! Akurat ci chłopcy prowadzą z Francuzami masę interesów i to spotkanie wyniosłoby ich na samą górę, bo każdy szczur na giełdzie by myślał, że mają teraz nie wiadomo jakie dojścia.

- Daj spokój, Cull - przerwał mu ponurym tonem Redhead. – Szykuje się nam dużo większy problem, a w dodatku nie bardzo wiem, o co właściwie chodzi.

- O czym mówisz, do diabła?

- Czy wtedy, kiedy byliśmy w Sajgonie "słyszałeś" o czymś lub o kimś zwanym Królową Wężów?

- Słyszałem o wężowych oczach, ale nie o żadnej królowej. Dlaczego pytasz?

- Facet, z którym przed chwilą rozmawiałem - podobno ma zadzwonić za pięć minut - sprawiał wrażenie, jakby chciał mnie nastraszyć. Naprawdę, Cull! Wspomniał o Sajgonie, powiedział, że wydarzyło się wtedy coś okropnego, i kilka razy powtórzył o tej Królowej Wężów, jakby oczekiwał, że za raz schowam się do mysiej dziury.

- Ja się zajmę tym sukinsynem! - ryknął Parnell - Wiem, co to ma znaczyć! To ta cholerna dziwka, ona jest tą Królową Wężów; Daj mu mój numer i powiedz, że wiem o wszystkim.

- Czy w takim razie mógłbyś i mnie oświecić, Cull?

- Przecież ty też tam byłeś, Redhead... No więc, zorganizowaliśmy sobie kilka małych kasyn i paru z nas sporo tam przegrało, ale przecież żołnierze zawsze to robili, już od chwili, kiedy rzucali kośćmi o szaty Chrystusa! Potem podnieśliśmy to na trochę wyższy poziom, a nawet zatrudniliśmy trochę panienek, które i tak szwendały się po ulicy... ta moja elegancka, pieprzona zastępczyni myśli, że znalazła na mnie haczyk, a zaczęła od ciebie, bo wszyscy wiedzą, że jesteśmy kumplami. Powiedz temu sukinsynowi, żeby zadzwonił do mnie, a już ja mu powiem, co myślę o nim i o tej suce! Popęłniła duży błąd. Chłopcy z Wall Street będą na tym przyjęciu, a jej tancerzyki pocałują klamkę!

- W porządku, Cull. Skieruję go do ciebie - powiedział Redhead, znany skądinąd jako wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, po czym odłożył

Stojący na biurku Parnella telefon zadzwonił w cztery minuty później.

- Królowa Wężów, Culver! Mamy kłopoty!

- Posłuchaj mnie, durna pało, a dowiesz się, kto naprawdę ma kłopoty! To nie jest żadna królowa, tylko suka. Może któryś z jej trzydziestu lub czterdziestu eunuchowatych mężów przegrał w Sajgonie trochę jej posagowych pieniędzy, ale nikogo to wtedy nie obchodziło i nie obchodzi teraz, a już szczególnie byłego pułkownika marines, który zawsze lubił pograć ostro w pokera, a teraz urzęduje w Gabinetce Ovalnym. Mało tego, ty wykastrowany śmierdzielu! Jeśli się dowie, że ta dziwka usiłuje teraz oczernić naszych dzielnych chłopców, którzy chcieli się tylko trochę odprężyć podczas...

W Vienna, w stanie Wirginia, Aleksander Conklin odłożył słuchawkę. Pudło numer jeden i dwa. Poza tym nigdy nie słyszał o Culverze Parnellu.

Albert Armbruster, przewodniczący Federalnej Komisji Handlu, zaklął głośno w wypełnionej parą łazience, słysząc dobiegający zza drzwi wrzaskliwy głos swojej żony.

- O co, do diabła, chodzi? Nie mogę nawet spokojnie wziąć prysznicu?

- To może być Biały Dom, Al! Wiesz, jak oni zawsze mówią - prawie ich nie słysząc i bez przerwy powtarzają, że to bardzo pilne.

- Cholera! - warknął przewodniczący. Otworzył szklane drzwi i nagi podszedł do zainstalowanego na ścianie telefonu. - Mówi Armbruster. O co chodzi?

- Zaistniała kryzysowa sytuacja, która wymaga podjęcia natychmiastowego działania.

- Czy to Biały Dom?

- Nie, i mam nadzieję, że to nigdy tam nie dotrze.

- Więc kim pan jest, do diabła?

- Kimś równie zaniepokojonym, jak pan będzie za chwilę. Po tylu latach... O Boże!

- Czym zaniepokojony? O czym pan mówi?

- Królowa Wężów, panie Armbruster.

- Chryste! - wykrzyknął zduszonym głosem Armbruster. W następnym ułamku sekundy zdołał się opanować, ale było już za późno. Trafienie. – Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Co to za węże? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- W takim razie niech pan posłucha teraz, panie „Meduza”. Ktoś dokopał się do wszystkiego: daty, defraudacje, banki w Genewie i Zurychu, nawet nazwiska kurierów wysyłanych z Sajgonu, a także inne nazwiska, jeszcze ważniejsze... Wszystko, od A do Z.

- Co pan wygaduje? To nie ma najmniejszego sensu!

- Pan również jest na liście, panie przewodniczący. Zebranie materiałów zajęło temu człowiekowi co najmniej piętnaście lat, a teraz chce pieniędzy, bo jeśli ich nie dostanie, wszystko rozgłosi!

- Kto to jest, na miłość boską?

- Wkrótce się dowiemy. Na razie ustaliliśmy tylko tyle, że od ponad dziesięciu lat znajduje się pod troskliwą opieką rządu, w związku z czym nie miał okazji zbyt wiele się wzbogacić. Najprawdopodobniej wycofano go kiedyś z Sajgonu, a teraz stara się nadrobić stracony czas. Proszę mieć się na baczności. Będziemy w kontakcie.

Połączenie zostało przerwane.

Mimo panującej w łazience wysokiej temperatury ciałem stojącego nago ze słuchawką w dłoni Alberta Armbrustera, przewodniczącego Federalnej Komisji Handlu, wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Dopiero po dłuższej chwili zdobył się na to, żeby odwieść słuchawkę, a kiedy to uczynił, jego spojrzenie padło na widniejący na przedramieniu niewielki, budzący odrazę tatuaż.

W Vienna, w stanie Wirginia, Aleksander Conklin spojrzął na telefon.

Trafienie numer jeden.

Generał Norman Swayne, odpowiedzialny za dostawy dla Pentagonu, Spoglądał z satysfakcją w ślad za piłeczką, która po precyzyjnym uderzeniu wylądowała w okolicy siedemnastego dołka. Odległość ta dawała szansę na zakończenie rozgrywki nie więcej niż w dwóch turach.

- To chyba wystarczy, nie uważasz? - zapytał swego partnera.

- Z pewnością, Norm - odparł wiceprezes Calco Technologies. - Dajesz mi dzisiaj niezłą szkołę. Zmieściłem się w limicie tylko przy czterech Kołkach.

- To twoje zmartwienie, młody człowieku. Powinieneś solidnie potrenować.

- Masz rację, Norm - przyznał jeden z szefów Calco, wyjmując kij z torby. Nagle rozległ się nieprzyjemny, świdrujący w uszach odgłos klaksonu i zza wzgórza oddzielającego ich od szesnastego dołka wyłonił się pędzący z maksymalną prędkością trzykołowy wózek golfowy. - To twój kierowca, generale - powiedział młody mężczyzna. Natychmiast pożałował, że tak oficjalnie zwrócił się do swego partnera.

- Masz rację. To dziwne, bo nigdy nie przerywa mi gry. - Swayne ruszył szybkim krokiem w kierunku zbliżającego się pojazdu. Spotkali się w odległości około dziesięciu metrów od trasy. - O co chodzi? - zapytał potężnie zbudowane go sierżanta, pełniącego od ponad piętnastu lat funkcję jego osobistego szofera.

- Na pewno o coś, co cuchnie na kilometr - burknął podoficer, zaciskając dłonie na kierownicy.

- Wyrażasz się niezwykle jasno...

- Tak jak ten sukinsyn, który do ciebie dzwonił. Powiedziałem mu, że nie chcę się mieszać do twoich spraw, a on na to, żebym lepiej to zrobił, jeśli chcę ocalić własną skórę. Oczywiście zapytałem go, jak się nazywa i kim właściwie jest, ale on był okropnie wystraszony i kazał mi się zamknąć. „Po wiedz tylko generałowi, że sprawa dotyczy Sajgonu i gadów, które pełzały wokół miasta dwadzieścia lat temu”, tak dokładnie powiedział...

- Dobry Boże! - przerwał mu Swayne. - Gady? Węże...

- Miał jeszcze zadzwonić za pół godziny, czyli od teraz za osiemnaście minut. Wskakuj, Norman. O ile pamiętasz, mnie to też dotyczy.

- Muszę... Muszę coś powiedzieć - wymamrotał generał. - Nie mogę tak po prostu odjechać.

- Tylko się pośpiesz. I pamiętaj, idioto, że masz koszulę z krótkim rękawem! Zegnij rękę!

Swayne spojrział z przerażeniem na swoje przedramię, na którym widniał niewielki kolorowy tatuaż, po czym szybko zgiął rękę, przykładając ją do piersi niczym brytyjski brygadier, i wrócił do swego partnera.

- Niech to szlag trafi, młodzieńcze! Armia wzywa - powiedział z udawaną nonszalancją.

- Przykro mi, Norm, ale i tak muszę ci zapłacić.

Na wpół oszołomiony generał wsadził bez liczenia do kieszeni zwitek banknotów, nie zdając sobie sprawy, że jest w nim o kilkaset dolarów więcej, niż wynosiła kwota zakładu, mruknął jakieś bezsensowne podziękowanie i zajął miejsce w wózku obok sierżanta.

- Całuj mnie w dupę, żołnierzyku - szepnął pod nosem wiceprezydent firmy ubiegającej się o zamówienia Pentagonu, zamachnął się kijem i posłał piłeczkę o wiele dalej i celniej, niż uczynił to Swayne. - To czterysta milionów dolarów, ty obwieszony medalami sukinsynu.

Trafienie numer dwa.

Co pan wygaduje, na litość boską? - roześmiał się do słuchawki senator. - A raczej powinienem chyba zapytać, co Al Armbruster kombinuje tym razem? Przecież w sprawie tej nowej ustawy nie potrzebuje mojego poparcia, a nawet gdyby potrzebował, to i tak by go nie uzyskał. W Sajgonie był kompletnym osłem i jest nim nadal, ale ma za sobą większość.

- Nie mówimy teraz o głosach, senatorze, tylko o Królowej Wężów!

- Jedyne węże, jakie widziałem w Sajgonie, to był Alby i jemu podobni. Pełzali po całym mieście, sprawiając wrażenie, że wszystko wiedzą, choć w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie... Kim pan właściwie jest?

W Vienna, w stanie Wirginia, Aleksander Conklin odłożył słuchawkę.

Pudło numer trzy.

Phillip Atkinson, ambasador USA w Wielkiej Brytanii, odebrał telefon w swoim londyńskim gabinecie. Przypuszczał, że rozmówca, który nie podał swego imienia i nazwiska, przedstawiając się tylko jako „kurier z DC”, ma mu przekazać ściśle poufne instrukcje z Departamentu Stanu. Zgodnie z obowiązującą w takich wypadkach procedurą uruchomił więc podłączone do aparatu, rzadko używane, urządzenie szyfrujące. Działało ono jednocześnie jak zagłuszacz, wywołując w stacjach nasłuchowych brytyjskiego wywiadu przeraźliwą kakofonię szumów. Kiedy następnego dnia w barze Connaught jego angielscy przyjaciele zapytają go od niechcena, czy przypadkiem nie otrzymał ostatnio jakichś interesujących informacji z Waszyngtonu, uśmiech-nie się tylko dobrodusznie, wiedząc, że przynajmniej kilku z nich ma „krew-nych” w MI5.

- Słucham?

- Panie ambasadorze, przypuszczam, że nikt nie może nas podsłuchać?

- Pańskie przypuszczenia są słuszne, chyba że skonstruowano jakąś nową „Enigmę”, ale nic na to nie wskazuje.

- To dobrze... Chcę, żeby wrócił pan na chwilę myślami do Sajgonu, do pewnej tajnej operacji, o której nikt nie chce mówić...

- Kim pan jest? - zapytał ostrym tonem Atkinson, prostując się raptownie w fotelu.

- Wtedy nikt z nas nie używał nazwisk, panie ambasadorze, ani nie rozpowiadał o naszych powiązaniach, nieprawdaż?

- Do cholery, kto mówi? Znam pana?

- Z pewnością nie, Phil, choć dziwię się, że nie rozpoznajesz mojego głosu.

Atkinson rozglądał się rozpaczliwie po gabinecie, niczego nie widząc, tylko starając się usilnie skojarzyć ten głos z jakąś twarzą.

- Czy to ty, Jack? Nie bój się, jesteśmy zagłuszani.

- Ciepło...

- Szósta Flota, prawda? Najpierw odwrócony Morse, a potem grubsze rzeczy... To ty?

- Powiedzmy, że to możliwe, ale zarazem bez znaczenia. Chodzi o to, że trafiliśmy na bardzo złą pogodę...

- To ty!

- Zamknij się i słuchaj! Cholerna łajba zerwała kotwicę i rozbija się po porcie, niszcząc nabrzeża.

- Jack, ja w życiu nie miałem nic wspólnego z marynarką! Nic nie rozumiem!

- Zdaje się, że jakiś kapcan został odsunięty od akcji w Sajgonie i wsadzony pod ścisły nadzór, a teraz udało mu się wszystko poskładać do kupy. Wszystko, Phil.

Boże!

Teraz ma zamiar to rozgłosić...

- Powstrzymajcie go!

- Właśnie na tym polega problem. Nie jesteśmy pewni, kto to jest. Chłopcy z Langley

nie puścili pary z gęby.

- Człowieku, będąc na tym stanowisku, możesz im po prostu rozkazać, żeby trzymali się od tego z daleka! Powiedz, że wszystkie dane są fałszywe, stworzone w celu dezinformacji przeciwnika.

- To by oznaczało...

- Dzwoniłeś do Jimmy'ego T. w Brukseli? - przerwał mu ambasador. - On ma dojście do kogoś na samej górze w Langley.

- Na razie nie chcę nadawać sprawie rozgłosu. Najpierw muszę się zorientować w sytuacji.

- Jak uważasz, Jack. Ty się na tym znasz.

- Trzymaj mocno fały, Phil.

- Jeśli to ma znaczyć, żebym trzymał gębę na kłódkę, to spokojna głowa - odparł Atkinson, spoglądając na swoje przedramię i zastanawiając się, gdzie w Londynie mógłby znaleźć specjalistę od usuwania tatuaży.

Po drugiej stronie Atlantyku, w miejscowości Vienna, w stanie Wirginia, Aleks Conklin odłożył słuchawkę i z twarzą wykrzywioną grymasem strachu i niepewności osunął się głęboko w fotel. Tak jak przed dwudziestu laty podczas operacji na pierwszej linii zdał się całkowicie na swój instynkt, pozwalając swobodnie płynąć słowom, potwierdzającym zawieszony w powietrzu pytania i niedomówienia, a nawet fakty, o których nie miał, bo i nie mógł mieć, najmniejszego pojęcia. Przypominało to błyskawiczną, rozgrywaną w pamięci partię szachów; wiedział, że jest w tym dobry, a kto wie, czy nawet nie zbyt dobry. Istniały przecież sprawy, które powinny na zawsze pozostać w swoich kryjówkach wydrążonych głęboko pod ziemią. To, o czym się przed chwilą dowiedział, mogło należeć właśnie do tej kategorii.

Trafienia numer trzy, cztery i pięć.

Phillip Atkinson, ambasador w Wielkiej Brytanii; James Teagarten, głównodowodzący NATO; Jonathan „Jack” Burton, dawniej admirał Szóstej Floty, obecnie przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

Królowa Węzów. „Meduza”.

Siatka.

Rozdział 5

Zupełnie jakby nic się nie zmieniło, pomyślał Jason Bourne, zdając sobie sprawę z tego, że jego drugie ja, zwane Davidem Webbem, z każdą chwilą cofa się coraz bardziej w cień. Taksówka zawiozła go do niegdyś eleganckiej, a obecnie popadającej w coraz większą ruinę dzielnicy w północno-wschodniej części Waszyngtonu; kierowca, podobnie jak przed pięciu laty, nie chciał poczekać. Bourne poszedł ułożoną z kamieni zarośniętą ścieżką w kierunku wiekowego domu i znowu przemknęła mu myśl, że budynek sprawia wrażenie mało solidnego i szalenie zaniedbanego. Nacisnął na przycisk dzwonka, zastanawiając się, czy Kaktus jeszcze w ogóle żyje. Żył; stary, szczupły Murzyn o łagodnej twarzy i przyjaznych oczach stanął w uchylonych drzwiach dokładnie tak samo jak pięć lat temu, mrużąc oczy pod zielonym, zsuniętym na czoło daszkiem. Nawet jego pierwsze słowa przypominały te, które wtedy wypowiedział:

- Masz kołpaki na kołach, Jason?
- Jestem bez samochodu, a taksówkarz nie chciał czekać.
- Widocznie naczytał się plotek rozpowszechnianych przez faszystowską prasę. Te haubice w oknach są tylko po to, żeby przekonać sąsiadów o moich przyjaznych zamiarach. Wchodź, dużo o tobie myślałem. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Bo twojego numeru nie ma w książce telefonicznej.
- Widocznie jakieś niedopatrzenie. - Stary mężczyzna zamknął drzwi za Bourne'em. - Trochę posiwiłeś, bracie - powiedział, przypatrując się przyjacielowi. - Poza tym prawie się nie zmieniłeś. Może tylko na twarzy przybyło ci parę zmarszczek, ale to dodaje charakteru.

- Mam też żonę i dwoje dzieci, wujku. Chłopca i dziewczynkę.
- Wiem. Mo Panov podrzuca mi od czasu do czasu trochę informacji, choć nie może mi powiedzieć, gdzie mieszkasz. Zresztą, jeśli mam być szczery, wcale; mnie to nie interesuje.

Bourne zamrugał szybko powiekami i pokręcił głową.

- Przepraszam, Kaktus. Jeszcze nie pamiętam wielu rzeczy. Zapomniałem, że przyjaźnisz się z Mo.

- A jakże. Doktorek dzwoni co najmniej raz na miesiąc i mówi: „Kaktus, stary ośle, wbij się w garnitur i najlepsze buty, bo idziemy na obiad”. A ja na to: „Skąd taki biedny czarnuch jak ja ma wziąć garnitur i dobre buty?”. A on mi odpowiada: „Założę się, że jesteś właścicielem supermarketu w najlepszej dzielnicy miasta”. To przesada, Bóg mi świadkiem. Rzeczywiście, mam tu i ówdzie parę nieruchomości, ale nikt mnie nigdy nie widział w ich pobliżu.

Obaj mężczyźni wybuchnęli szczerym śmiechem.

- Jedno pamiętam bardzo dobrze - powiedział cicho Jason, wpatrując się w czarną twarz przyjaciela. - Trzydzieści lat temu przyszedłeś do mnie do tego szpitala w Wirginii. Tylko ty, nie licząc Marie i łobuzów przysłanych przez rząd.

- Panov wiedział, dlaczego to zrobiłem, bracie. Powiedziałem mu, że kiedy się fotografuje człowieka, można zobaczyć jak na dłoni całą jego duszę. Chciałem z tobą porozmawiać o tym, czego wtedy w niej nie dostrzegłem, a Mo doszedł do wniosku, że to chyba niezły pomysł... Dobra, skoro godzinę szczerości mamy już za sobą, to powiem ci, że bardzo mi miło znów cię widzieć, ale wcale mnie to nie cieszy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Potrzebuję twojej pomocy, Kaktus.
- Właśnie to jest przyczyną mojego niepokoju. Dużo już przyszedłeś i na pewno nie zjawilibyś się tutaj, gdybyś nie szykował się na coś nowego, a ja mogę z całą stanowczością

stwierdzić, że nie wyjdzie ci to na zdrowie.

- Musisz mi pomóc.

- W takim razie lepiej przedstaw mi jakiś rzeczywiście ważny powód, bo szczerze mówiąc, nie mam zamiaru babrać się w czymś, co mogłoby jeszcze bardziej zamieszać ci w głowie... W szpitalu widziałem kilka razy twoją rudowłosą panią. Ona jest wspaniała, bracie, i musicie mieć znakomite dzieci, a więc chyba sam rozumiesz, że nie mogę maczać palców w czymś, co mogłoby im zaszkodzić. Wybacz, że ci to mówię, ale znam twoją przeszłość i nic nie poradzę na to, że właśnie tak myślę.

- Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Szakał zaatakował. Trafił na nasz trop w Hongkongu, a teraz zagraża mnie i mojej rodzinie. Błagam cię, Kaktus! Pomóż mi.

Skryte pod zielonym plastikowym daszkiem oczy starego człowieka rozszerzyły się, a w czarnych źrenicach zamigotał płomień wściekłości.

- Czy doktorek wie o tym?

- Bierze osobiście we wszystkim udział. Niewykluczone, że nie popiera tego, co robię, ale jeśli chce być uczciwy, to musi przyznać, że wszystko sprowadza się do rozgrywki między mną a Carlosem. Pomóż mi, Kaktus!

Stary Murzyn przez dłuższą chwilę spoglądał na stojącego przed nim w zacienionym holu mężczyznę.

- W jakiej jesteś formie, bracie? - zapytał wreszcie. - Masz jeszcze trochę krzepy?

- Codziennie rano biegam sześć mil, dwa razy w tygodniu chodzę na uniwersytecką siłownię...

- Nie słyszałem tego. Nie chcę nic wiedzieć o żadnych uniwersytetach ani college'ach.

- W porządku, nic nie słyszałeś.

- Muszę przyznać, że trzymasz się nie najgorzej.

- Robię to z premedytacją- odparł cicho Jason. - Czasem wystarczy, i żeby nagle zadzwonił telefon albo żeby Marie nie wróciła z dziećmi o umówionej porze... Albo jakiś człowiek pyta mnie o drogę i wtedy nagle wszystko wraca... On wraca. Szakał. Dopóki istnieje nawet najmniejsze prawdopodobieństwo, że żyje, muszę być bez przerwy gotowy, bo wiem, że nigdy nie przestanie mnie szukać. Najbardziej żałosne w tym wszystkim jest to, że jego motyw może się okazać z gruntu fałszywy. Szakał obawia się, że mógłbym go rozpoznać, ja natomiast wcale nie jestem tego pewien. Po prostu jeszcze nie wszystko pamiętam.

- Dlaczego go o tym nie poinformowałeś?

- W jaki sposób? Miałem zamieścić w „Wall Street Journal” ogłoszenie? „Szanowny Carlosie, mam dla Ciebie wiadomość...”

- Nie kpij sobie, Jason, bo ci to nie wychodzi. Twój przyjaciel Aleks na pewno znalazłby jakiś sposób. Co prawda kuleje, ale głowę ma w porządku. Zdaje się, że najlepiej określa go słowo chytry.

- I możesz być pewien, że gdyby taki sposób istniał, na pewno by spróbował.

- To chyba argument nie do zbiccia... Dobrze więc, bierzmy się do pracy, bracie. Czego potrzebujesz? - Kaktus poprowadził go przez obszerny, zagracony starymi meblami pokój do drzwi znajdujących się w przeciwległej ścianie. - Moje atelier nie jest już tak eleganckie jak kiedyś, ale cały sprzęt jest na swoim miejscu. Musisz wiedzieć, że w pewnym sensie przeszedłem już na emeryturę. Moi finansisci zapewnili mi dość dobre warunki i niewielkie obciążenie podatkowe, więc specjalnie nie narzekam.

- Jesteś niesamowity - powiedział Jason Bourne, kręcąc z podziwem głową.

- Zdaje się, że już to od kogoś słyszałem. Pytałem, czego konkretnie potrzebujesz.

- Dokumentów, ale nie takich jak w Europie albo w Hongkongu. To mam być po

prostu ja.

- A więc kameleon przeistacza się w kolejną postać: samego siebie. Jason przystanął raptownie.

- O tym też zapomniałem... Właśnie tak mnie nazywano, prawda?

- Kameleon? Owszem, i możesz być pewien, że nie bez powodu. Gdyby przesłuchać sześciu ludzi, którzy cię spotkali, podaliby sześć różnych rysopisów, choć ty nie poświęciłeś nawet minuty na charakteryzację.

- To wszystko wraca, Kaktus.

- Najbardziej życzyłbym sobie, żeby nie musiało, ale skoro musi, to postaraj się, żeby wróciło do końca... Zapraszam do magicznej komnaty.

W trzy godziny i dwadzieścia minut później czary dobiegły końca. David Webb, wykładowca orientalistyki i przez trzy lata Jason Bourne, zabójca, dysponował dwoma dodatkowymi tożsamościami, poświadczonymi paszportami, prawami jazdy i kartami wyborczymi. Ponieważ żaden taksówkarz nie zgodziłby się przyjechać po klienta do tej dzielnicy, utrzymujący się z zasiłku dla bezrobotnych sąsiad Kaktusa, z szyją obwieszoną grubymi złotymi łańcuchami, odwiózł Bourne'a do centrum swoim nowiutkim cadillakiem Allante.

Jason zadzwonił do Aleksa z automatu telefonicznego w domu towarowym Garfinkela; podał mu swoje dwa nowe nazwiska i wybrał to, pod którym zamelduje się w hotelu Mayflower. Na wypadek, gdyby okazało się, że nie ma miejsc, Conklin postara się załatwić mu coś, kontaktując się bezpośrednio z dyrekcją. Langley uruchomi awaryjny program działający pod Cztery-Zero i dostarczy Bourne'owi możliwie najszybciej wszystkie potrzebne materiały. Miało to jednak zająć nie mniej niż trzy godziny, przy czym Aleks nie mógł zagwarantować ani dotrzymania terminu, ani autentyczności informacji. Jason specjalnie się tym nie zmartwił, przed pójściem do hotelu potrzebował bowiem jeszcze co najmniej dwóch godzin na skompletowanie garderoby; kameleon zmieniał barwę skóry.

Aleks rozmawiał przez drugi telefon z Kwaterą Główną CIA.

- Steve DeSole obiecuje, że natychmiast puści wszystko w ruch, a nawet sięgnie do archiwów armii i wywiadu marynarki - poinformował Bourne'a, skończywszy tamtą rozmowę. - Peter Holland wszystko załatwi. Jest przyjacielem prezydenta.

- Przyjacielem? Nie wiedziałem, że przywiązujesz wagę do takich rzeczy.

- Owszem, oddając różnym ludziom przyjacielskie przysługi.

- Hę...? Dzięki, Aleks. A co u ciebie? Dowiedziałeś się czegoś?

Conklin zamilkł na chwilę. Kiedy się ponownie odezwał, w jego głosie było wyraźnie słychać strach.

- Powiedzmy to w ten sposób: nie byłem przygotowany na to, czego się dowiedziałem. Zbyt długo stałem na bocznym torze. Boję się, Jason... przepraszam, Davidzie.

- Nie ma za co. Nie pomyliłeś się. Czy rozmawiałeś z...

- Żadnych nazwisk! - przerwał mu ostro emerytowany oficer wywiadu.

- Rozumiem.

- Wątpię - odparł Aleks. - Mnie do tej pory to się nie udało. Będę w kontakcie.

Odłożył słuchawkę.

Bourne uczynił to samo, marszcząc z zastanowieniem brwi. Aleks dał się ponieść melodramatycznym uczuciom, co było do niego zupełnie niepodobne. Do tej pory zawsze charakteryzowało go opanowanie i zimna kalkulacja. To, czego się dowiedział, musiało nim potężnie wstrząsnąć... Do tego stopnia, że chyba przestał ufać wypracowanym przez siebie schematom działania i ludziom, z którymi współdziałał. Gdyby tak nie było, wyrażałby się jasno i precyzyjnie, a tymczasem, z jakichś tajemniczych powodów, nie chciał mówić ani o „Meduzie”, ani o tym, co odkrył pod nagromadzoną przez dwadzieścia lat warstwą oszustw.

Nie ma czasu na jałowe rozważania, zdecydował Bourne, rozglądając się po wnętrzu

dużego domu towarowego. Na Aleksie można polegać, oczywiście, dopóki ma się go po swojej stronie. Jason z trudem stłumił ponury śmiech, przypomniawszy sobie wydarzenia, jakie miały miejsce w Paryżu przed trzynastu laty. Wtedy poznał również innego Aleksa. Gdyby nie schronił się w porę za nagrobkami na cmentarzu w Rambouillet, zginąłby z ręki swego najlepszego przyjaciela. Ale to było wtedy, nie teraz. Conklin powiedział, że będzie w kontakcie, i na pewno dotrzyma słowa. Do tego czasu kameleon musi przygotować sobie kilka przebrań, od bielizny poczynając, na wierzchnim ubraniu kończąc. Nie może być mowy o żadnych znakach z pralni ani mikroskopijnych pozostałościach detergentu, używanego wyłącznie na jednym, określonym obszarze kraju. Zbyt wiele już do tej pory poświęcił, żeby ryzykować zdemaskowanie z powodu takiej drobnostki. Jeżeli będzie musiał zabijać, żeby ocalić rodzinę Davida... Boże! Przecież to moja rodzina! Nie wolno mu ponosić konsekwencji tych zabójstw. Tam, dokąd zmierzał, nie obowiązują żadne reguły gry; w krzyżowym ogniu może zginąć ktoś zupełnie niewinny. Niech i tak będzie. David Webb zaprotestowałby gwałtownie, lecz Jasonowi Bourne'owi było to całkowicie obojętne. Był już tam kiedyś i znał statystyki. Webb nie wiedział o niczym.

Powstrzymam go, Marie! Obiecuję ci, że uwolnię nas od niego! Zabiję Szakala! Już nigdy nie zdoła cię skrzywdzić. Będziesz wolna!

Boże, kim ja właściwie jestem? Mo, pomóż mi!... Nie, nie rób tego! Jestem tym, kim muszę być. Jestem spokojny i z każdą chwilą staję się spokojniejszy. Wkrótce zamienię się w niewzruszoną bryłę lodu, tak przezroczystą, że nikt nie będzie mógł mnie dostrzec. Nie rozumiesz, Mo? I ty, Marie? Ja muszę nim być! David musi odejść. Będzie mi tylko przeszkadzał.

Wybacz mi, Marie, i ty mi wybacz, doktorze, ale to prawda, której trzeba już teraz stawić czoło. Nie jestem głupcem i nie próbuję się oszukiwać. Obydwoje chcecie, żebyśmy wyrzucił Jasona Bourne'a z mojej duszy, ale ja muszę uczynić coś wręcz przeciwnego. To David musi odejść, przynajmniej na jakiś czas.

Nie mam czasu na takie rozważania! Czeka mnie masa pracy.

Gdzie, do cholery, jest dział męski? Kiedy skompletuje sprawunki, płacąc za wszystkie gotówką w różnych kasach, wejdzie do przymierzalni i założy nowe ubranie. Następnie schowa stare do torby i poszuka na jakiejś bocznej ulicy wlotu do kanału ściekowego.

Kameleon też wrócił.

Była 19.35, kiedy Bourne odłożył wreszcie brzytwę. Usunął ze wszystkich nowych ubrań fabryczne metki i powiesił spodnie oraz marynarki w szafie, natomiast koszule umieścił na jakiś czas w wypełnionej parą łazience, żeby usunąć z nich zapach świeżości. Wstał i ruszył w kierunku stołu, na którym znajdowała się butelka whisky, woda sodowa i naczynie z lodem, ale mijając stojący na biurku telefon, zatrzymał się jak wryty, opanowany potwornym pragnieniem, żeby podnieść słuchawkę i zadzwonić do Marie, na wyspę. Wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić, nie z tego pokoju. Najważniejsze, że ona i dzieci dotarli tam bez żadnych przeszkód. Wiedziała tym, bo z innego automatu u Garfinkela połączył się z Johnem St. Jacques.

- Davey, oni ledwie żyją! Musieli siedzieć prawie cztery godziny na głównej wyspie, dopóki nie poprawiła się pogoda. Jeśli chcesz, mogę obudzić Marie, ale kiedy tylko nakarmiła Alison, zasnęła jak zabita.

- Nie trzeba, zadzwonię później. Powiedz jej, że nic mi nie jest i dobrze się nimi opiekuj, Johnny.

- Spokojna twoja głowa. A teraz szczerze: naprawdę wszystko w porządku?

- Przecież ci mówię.

- Jasne, ty mi to mówisz i ona mi to mówi, ale Marie jest nie tylko moją jedyną siostrą,

lecz także najbardziej kochaną, więc dobrze wiem, kiedy jest czymś zdenerwowana.

- Właśnie dlatego masz się nią zająć.
- Wydaje mi się, że chyba z nią też poważnie porozmawiam.
- Tylko spokojnie, Johnny.

Na kilka chwil stałem się znowu Davidem Webbem, pomyślał Jason, przyrządzając sobie drinka. Nie był z tego wcale zadowolony. Jednak nie później niż godzinę potem Jason Bourne był już na swoim miejscu. Poinformował recepcjonistę o zgłoszonej niedawno rezerwacji, a ten wezwał kierownika nocnej zmiany.

- Oczywiście, panie Simon! - wykrzyknął z entuzjazmem wyfraczony osobnik. - Wiemy, że przyjechał pan tutaj po to, by przedstawić argumenty przeciwko tym okropnym podatkom obowiązującym w turystyce i rozrywce. Połamania nóg, jak to się mówi! Ci politycy zrujnują nas wszystkich... Nie mieliśmy już dwuosobowych pokoi, więc pozwoliliśmy sobie umieścić pana w apartamencie, bez żadnej dodatkowej opłaty, ma się rozumieć.

Działo się to dwie godziny temu; przez ten czas zdążył usunąć metki, postarzyć koszule i nieco zetrzeć gumowe podeszwy butów na ostrej krawędzi okna. Teraz usiadł ze szklanką w dłoni w fotelu i utkwiał wzrok w pustej ścianie; nie pozostało mu nic innego jak czekać i myśleć.

Po kilku minutach jego beczynność przerwało delikatne pukanie. Jason zerwał się z miejsca, podszedł do drzwi, otworzył je i wpuścił do pokoju kierowcę, który czekał na niego przed lotniskiem. Funkcjonariusz CIA wręczył mu trzymaną w dłoni teczkę.

- Wszystko jest w środku, łącznie z pistoletem i pudełkiem naboju.

- Dziękuję.

- Nie chce pan sprawdzić?

- Będę to robił całą noc.

Agent zerknął na zegarek.

- Dochodzi ósma. Nadzór skontaktuje się z panem około jedenastej. Ma pan trochę czasu, żeby przynajmniej zacząć.

- Nadzór...?

- Chyba właśnie tym jest, prawda?

- Tak, oczywiście - odparł szybko Jason. - Zapomniałem. Jeszcze raz dziękuję.

Mężczyzna wyszedł, a Bourne podszedł szybko do biurka, położył na nim teczkę i otworzył ją. Najpierw wyjął pistolet i pudełko amunicji, następnie zaś coś, co wyglądało na kilkaset stron komputerowych wydruków po-wsadzanych w plastikowe okładki. Gdzieś w tym gąszczu informacji znajdowało się nazwisko kobiety lub mężczyzny, którzy mieli powiązania z Carlosem, wydruki zawierały bowiem wszelkie dostępne informacje o każdym z mieszkających obecnie w hotelu gości, a także o tych, którzy opuścili go w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Szczegóły pochodziły z archiwów CIA, G-2 i wywiadu Marynarki Wojennej USA. Niewykluczone, że nie mają żadnego znaczenia, ale stanowiły punkt, od którego można było zacząć poszukiwania. Polowanie rozpoczęło się na dobre.

Pięćset mil na północ, w apartamencie na trzecim piętrze wznoszącego się w Bostonie hotelu Ritz-Carlton, również rozległo się ciche pukanie do drzwi. Z sypialni wyszedł szybkim krokiem nadzwyczaj wysoki mężczyzna ubrany w szyty na miarę, prążkowany garnitur, w którym wyglądał na jeszcze więcej niż swoje metr dziewięćdziesiąt trzy. Otoczona wianuszkami starannie przystrzyżonych siwych włosów łysina przypominała nakrycie głowy jakiegoś akredytowanego przy królewskim dworze kościelnego dostojnika, do którego zwracają się po światłą radę wszyscy książęta i panowie. Wrażenie to potęgowało z

pewnością orle spojrzenie bystrych oczu i donośny, grzmiący głos. Nawet szybki krok, zdradzający niepokój, nie mógł tego zmienić. Był to mężczyzna świadomy swojego znaczenia i wpływów. Stanowił niemal dokładne przeciwieństwo zaawansowanego wiekiem człowieka, który wszedł do apartamentu; nowo przybyły był niskiego wzrostu, mizerny i sprawiał wrażenie kogoś, komu się nie powiodło.

- Wchodź, szybko! Masz informacje?

- Tak, tak, oczywiście - odpowiedział gość, którego wymięty garnitur i koszula wyglądały tak, jakby chwile świetności przeżywały co najmniej przed dziesięciu laty. - Wspaniale wyglądasz, Randolphie - mówił dalej piskliwym głosem, obrzucając spojrzeniem nie tylko gospodarza, ale i luksusowo urządzone pomieszczenie. - Cóż za eleganckie miejsce, w sam raz dla tak znakomitego profesora.

- Czekam na informacje - przerwał mu dr Randolph Gates z Harvardu, ekspert w dziedzinie prawa antytrustowego i wysoko opłacany doradca licznych firm.

- Och, daj mi jeszcze chwilę, stary przyjacielu. Minęło tak wiele czasu, odkąd po raz ostatni byłem w hotelowym apartamencie... Jakże wszystko się odmieniło przez te lata! Często o tobie czytałem, a kilka razy nawet widziałem cię w telewizji. Jesteś... Jesteś erudyta, Randolphie, ale to słowo nie oddaje wszystkiego, co chciałbym wyrazić. Lepsze jest to, którego użyłem wcześniej: znakomity. Znakomity erudyta, tak ogromny i dostojny.

- Dobrze wiesz, że ty również mogłeś to osiągnąć - odparł ze zniecierpliwieniem Gates.

- Niestety, szukałeś skrótów tam, gdzie ich nie było.

- Och, były, i to nawet cała masa. Ja po prostu wybierałem nie te, co trzeba.

- Wydaje mi się, że ostatnio nie bardzo ci się wiedzie...

- Tobie się nie wydaje, Randy, ty wiesz. Nawet jeśli nie donieśli ci o tym twoi szpiedzy, mój wygląd mówi wszystko.

- Po prostu usiłowałem cię odnaleźć.

- Tak, powiedziałaś mi to przez telefon, to samo mówiło parę osób, które były wypytywane na ulicy o sprawy niemające żadnego związku z moim miejscem zamieszkania.

- Musiałem się upewnić, czy dasz sobie radę. Nie możesz mieć oto pretensji.

- Dobry Boże, wcale nie mam! Na pewno nie po tym, co kazałeś mi zrobić, to znaczy, wydaje mi się, że to właśnie kazałeś mi zrobić.

- Po prostu odegrać rolę godnego zaufania posłańca, to wszystko. Nie masz chyba obiekcji co do zapłaty.

- Obiekcji? - zapytał starszy mężczyzna i wybuchnął piskliwym, drżącym śmiechem. - Pozwól, że ci coś powiem, Randy. Jeżeli pozbawią cię uprawnień adwokackich w wieku trzydziestu pięciu lat, możesz jeszcze jakoś ułożyć sobie życie, ale jeśli przekroczyłeś już pięćdziesiątkę, a w dodatku sprawie towarzyszy ogólnokrajowy rozgłos i skazujący wyrok... Pomimo wykształcenia nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak radykalnie wpływa to na zmniejszenie liczby dostępnych rozwiązań. Stajesz się po prostu niedotykalnym, a niestety jedyną rzeczą, jaką potrafiłem sprzedawać, był olej, który miałem w głowie. Potwierdziło się to w całej rozciągłości podczas ostatnich dwudziestu lat.

- Nie mam czasu na wspomnienia. Czekam na informacje.

- Tak, oczywiście... Cóż, zacznijmy od początku: pieniądze dostarczono mi na rogu Commonwealth i Dartmouth, a ja dokładnie zapisałem nazwiska i szczegóły, które podałeś mi przez telefon...

- Zapisałeś? - przerwał mu ostrym tonem Gates.

- Spaliłem je, jak tylko nauczyłem się ich na pamięć. Jak widzisz, jednak wyciągnąłem jakieś wnioski z moich ciężkich przeżyć. Dotarłem do pewnego inżyniera pracującego w firmie telefonicznej, który uradowany twoją, to jest moją, hojnością, skontaktował się następnie z tym odrażającym prywatnym detektywem. To prawdziwa fleja, Randy, a biorąc pod uwagę metody, jakie stosuje, mógłby spokojnie korzystać z moich usług.

- Interesują mnie fakty, nie twoje przemyślenia - przypomniał mu powszechnie uznawany autorytet prawniczy.

- Przemyślenia często opierają się na istotnych faktach, profesorze. Jestem pewien, że o tym dobrze wiesz.

- Jeśli będę potrzebował twojej opinii, z pewnością cię o tym poinformuję. Czego się dowiedział ten człowiek?

- Opierając się na danych, które mi przekazałeś - samotna kobieta z nieustaloną liczbą dzieci - a także na informacjach dostarczonych przez pracującego za psie pieniądze inżyniera z firmy telefonicznej - przybliżona lokalizacja ustalona na podstawie numeru kierunkowego i trzech pierwszych cyfr numeru domowego - ten pozbawiony skrupułów flejtuch zabrał się do pracy za szokująco wysoką stawkę godzinową. Ku memu zdumieniu jego starania przyniosły konkretne efekty. Właśnie wtedy doszedłem do wniosku, że mógł bym nawiązać z nim cichą współpracę.

- Do diabła z tym! Czego się dowiedział?

- Jak już wspomniałem, wysokość stawki godzinowej, jakiej sobie zażyczył, wzbudziła moje szczerze oburzenie, pozostając jednocześnie w rażącej dysproporcji do moich ciężko zapracowanych zarobków. Nie uważasz, że powinniśmy pomyśleć o czymś w rodzaju wyrównania?

- Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? Wysłałem ci trzy tysiące dolarów! Pięćset dla faceta od telefonów, półtora tysiąca dla tej nędznej gnidy, która uważa się za prywatnego detektywa...

- Tylko dlatego, Randolphie, że przestał figurować na liście płac policji. Popadł w niełaskę, tak samo jak ja, ale z całą pewnością zna się na swojej robocie. Więc jak? Podejmujesz negocjacje czy mam już sobie pójść?

Łysiejący profesor wpatrywał się z wściekłością w okrytego niesławą, pozbawionego prawa wykonywania zawodu adwokata.

- Jak śmiesz...

- Mój drogi Randy, ty chyba naprawdę wierzysz w to, co o sobie usłyszysz, prawda? Doskonale, mój arogancki przyjacielu. Wyjaśnię ci, dlaczego śmiem coś takiego mówić. Otóż czytałem twoje prace i słuchałem wykładów, analizując ezoteryczne interpretacje skomplikowanych prawnych zagadnień, podczas gdy ty nie miałeś najmniejszego pojęcia, co to znaczy być biednym lub głodnym. Jesteś pupilem rojalistów i gdyby to od ciebie zależało, zmusiłbyś przeciętnego obywatela do życia w kraju, gdzie nie istnieje indywidualność, gdzie nad swobodą myśli unosi się groźny cień cenzury, bogaci stają się coraz bogatsi, a dla biednych byłoby lepiej, gdyby w ogóle się nie urodzili. Głosisz te mało oryginalne, bo wywodzące się jeszcze ze średniowiecza koncepcje wyłącznie po to, żeby zaprezentować się jako błyskotliwy wolnomyśliciel, ale w rzeczywistości jesteś kapłanem nieszczęścia. Czy mam mówić dalej, doktorze Gates? Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że wybrałeś na swego posłańca niewłaściwego nieudacznika.

- Jak śmiesz?! - powtórzył z oburzeniem uczony, odwracając się wyniośle do okna. - Nie muszę tego wysłuchiwać!

- Oczywiście, że nie musisz, Randy. Ale musiałeś wtedy, kiedy to ja byłem wykładowcą na uniwersytecie, a ty moim studentem, jednym z lepszych, ale na pewno nie najinteligentniejszym. Dlatego radzę ci, żebyś jednak posłuchał.

- Czego chcesz, do cholery?! - ryknął Gates, odwracając się raptownie w jego stronę.

- To chyba ty czegoś chcesz, prawda? Informacji, za którą zapłaciłeś mi nędzne centy. Zdaje się, że bardzo ci na niej zależy...

- Muszę ją mieć.

- Zawsze strasznie bałeś się wszystkich egzaminów...

- Przestań! Zapłaciłem ci. Żądam, żebyś powiedział, czego się dowiedziałeś.

- W takim razie ja muszę zażądać więcej pieniędzy. Ten, kto ci płaci, z pewnością może sobie na to pozwolić.

- Ani centa więcej!

- Cóż, więc chyba już pójdę...

- Stój! Pięćset i na tym koniec.

- Pięć tysięcy albo zaraz się pożegnamy.

- To bezczelność!

- Myślę, że zobaczymy się za następne dwadzieścia lat.

- Dobrze, niech będzie! Pięć tysięcy...

- Och, Randy, jaki ty jesteś żaloszny... Chyba dlatego, że istotnie nie należysz do tych najinteligentniejszych, tylko do tych, którzy potrafią sprawiać takie wrażenie. Nawiasem mówiąc, ostatnio pojawia się ich coraz więcej... Dziesięć tysięcy, doktorze Gates, bo w przeciwnym razie idę do mojego ulubionego baru.

- Nie możesz tego zrobić...

- Oczywiście, że mogę. Powtarzam: dziesięć tysięcy dolarów. W jaki sposób chcesz mi zapłacić? Nie przypuszczam, żebyś nosił przy sobie tyle gotówki, więc jak mi zagwarantujesz, że otrzymam moje pieniądze?

- Daję ci słowo...

- Nie kpij sobie, Randy.

- W porządku. Jutro rano na poczcie Boston Five będzie czek na twoje nazwisko.

- To bardzo miłe z twojej strony. Gdyby jednak twoi zwierzchnicy zapragnęli przeszkodzić mi w jego realizacji, uprzedź ich z łaski swojej, że pewien nieznany im człowiek, a mój serdeczny przyjaciel, ma list, w którym opisałem wszystko, co do tej pory zaszło. List jest zaadresowany do Prokuratora Generalnego stanu Massachusetts i natychmiast zostanie wysłany, jeśli tylko przydarzy mi się jakieś nieszczęście.

- Gadasz bzdury. A teraz mów, czego się dowiedziałeś.

- Cóż, być może zainteresuje cię, że wpłatałeś się w coś, co wygląda na supertajną operację rządową... Opierając się na przypuszczeniu, że każdy, komu zależy na możliwie szybkim przeniesieniu się z jednego miejsca w drugie, będzie się starał skorzystać z najszybszego środka transportu, nasz detektyw udał się na lotnisko Logan - niestety, nie mam pojęcia, w jakim przebraniu. Udało mu się uzyskać listę wszystkich pasażerów, którzy odlatywali z Bostonu wczoraj między szóstą trzydzieści a dziesiątą rano. Jak z pewnością pamiętasz, podałeś mi właśnie ten przedział czasowy.

- I co?

- Cierpliwości, Randolphie. Zakazałeś mi sporządzać jakiegokolwiek notatki, więc muszę sobie wszystko przypominać krok po kroku. Gdzie to ja byłem...?

- Przy listach pasażerów.

- Ach, tak. Otóż, według detektywa Flejtucha, na listach znajdowało się jedenaścioro dzieci bez opieki, a także osiem kobiet, w tym dwie zakonnice, lecących w towarzystwie latorośli. Zakonnice eskortowały dziewięcioro sierot do Kalifornii, natomiast identyfikacja sześciu pozostałych kobiet nie nastąpiła większych trudności. - Stary człowiek sięgnął drżącą ręką do kieszeni i wyjął pokrytą maszynowym pismem kartkę. - Oczywiście, ja tego nie napisałem, bo nie mam maszyny, a poza tym i tak nie umiem na niej pisać. Listę sporządził Fuhrer Flejtuch.

- Daj mi to! - rozkazał Gates, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką.

- Bardzo proszę - odparł siedemdziesięcioletni były adwokat, podając kartkę swemu studentowi. - Obawiam się jednak, że niewiele ci to da - dodał. - Nasz Flejtuch sprawdził wszystkie, przypuszczam, że po to, by nabić sobie więcej godzin. Nie dość, że niczego nie znalazł, to jeszcze zabrał się do tego wtedy, kiedy już uzyskał informację, której szukał.

- Jak to? - zapytał Gates, odrywając wzrok od kartki. - Jaką informację?

- Taką, której ani on, ani ja nigdzie byśmy nie zapisali. Pierwszego śladu dostarczył urzędnik z porannej zmiany na stanowisku Pan American. Wspomniał mimochodem podczas rozmowy z naszym detektywem, że poprzedniego dnia miał cholerne kłopoty z jakimś kąpanym w gorącej wodzie politykiem albo kimś w tym rodzaju, który około szóstej rano *zażądał* od niego dostarczenia pewnej liczby pieluszek. Jak wiesz, pieluchy stanowią jeden z artykułów dostępnych w magazynie zaopatrzeniowym każdej linii lotniczej.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Można je dostać także w sklepie, ale sklepy na lotnisku otwierają dopiero o siódmej.

- I co z tego?

- To, że ktoś w pośpiechu zapomniał je wcześniej kupić. Samotna kobieta z pięcioletnim dzieckiem i niemowlęciem odlatywała z Bostonu prywatnym samolotem ze stanowiska sąsiadującego z Pan Amem. Urzędnik przyniósł pieluszki, a kobieta pofatygowała się, żeby mu za to osobiście podziękować. On sam jest młodym ojcem, więc doskonale rozumiał...

- Na litość boską, czy możesz wreszcie przejść do rzeczy, sędzio?

- Sędzio? - Stary mężczyzna otworzył szeroko oczy. - Dziękuję, Randy. Nikt już od wielu lat nie zwracał się do mnie w ten sposób, jeśli nie liczyć kumpli w różnych knajpach. Chyba jednak jest we mnie coś, co nasuwa takie skojarzenia.

- Nazywali cię tak wszyscy, którzy słuchali twojego nudzenia na wykładach i podczas rozpraw!

- Niecierpliwość była zawsze jedną z twoich największych wad, Randolphie. Uważałem i nadal uważam, iż wynika ona z tego, że nie potrafisz przyjąć do wiadomości innego niż twój punktu widzenia... Tak czy inaczej, nasz major Flejtuch zorientował się, że jabłko jest zepsute, kiedy robak wyrzwał i napluł mu w gębę, żeby użyć tej soczystej przenośni. Natychmiast skierował swoje kroki do wieży, gdzie znalazł potrzebną pilnie gotówki kontrolera, który pracował także poprzedniego dnia rano. Okazało się, że interesujący kapitana Flejtucha lot był opatrzony kodem Cztery-Zero, co oznacza najwyższy stopień tajności i wskazuje na bezpośrednie powiązania z rządem. Żadnej listy pasażerów, tylko prośba o wyznaczenie miejsca w korytarzu powietrznym i cel podróży.

- To znaczy?

- Blackburne, Montserrat.

- Co to jest, do diabła?

- Port lotniczy Blackburne na karaibskiej wyspie Montserrat.

- Właśnie tam polecieci!

- Niekoniecznie. Według porucznika Flejtucha, który, muszę mu to przyznać, starał się solidnie zapracować na swoje pieniądze, mogli stamtąd udać się wewnętrznymi liniami na jedną z kilku mniejszych wysepek.

- I to wszystko?

- To wszystko. Biorąc pod uwagę te nieszczęsne cyferki, jakimi oznaczony był samolot, o czym, rzecz jasna, nie zapomniałem wspomnieć w moim liście do Prokuratora Generalnego, wydaje mi się, że zarobiłem na te dziesięć tysięcy dolarów.

- Ty zapijaczona gnido...

- Mylisz się, Randy - przerwał mu sędzia. - Bez wątplenia jestem alkoholikiem, ale rzadko kiedy bywam pijany. Zawsze staram się utrzymywać na granicy trzeźwości. Tylko dlatego żyję. W tym stanie wszystko mnie bawi, a szczególnie tacy ludzie jak ty.

- Wynoś się stąd - powiedział wyniośle profesor.

- Nie proponujesz mi drinka, żeby przyczynić się do utrwalenia mego okropnego nałogu? Dobry Boże, masz tu co najmniej pół tuzina nawet nie zaczętych butelek!

- Więc weź sobie jedną i znikaj.

- Dziękuję ci. Myślę, że tak właśnie zrobię. - Stary człowiek podszedł do stojącego

przy ścianie stolika zastawionego przeróżnymi gatunkami whisky i brandy. - Zobaczmy, co tu mamy... - mruknął, zawijając w białe serwetki trzy butelki po kolei. - Jeśli wezmę to pod pachę, będzie wyglądało na to, że wynoszę bieliznę do prania. Zapewniam najkrótsze terminy.

- Pośpiesz się!

- Czy mógłbyś otworzyć mi drzwi? Nie darowałbym sobie, gdybym wypuścił którąś, manipulując przy klamce. Rozbita butelka na podłodze mogłaby niekorzystnie wpłynąć na twoją opinię. Zdaje się, że nikt nigdy nie widział cię pijącego.

- Wynoś się! - syknął Gates, otwierając przed nim drzwi.

- Dziękuję, Randy. - Były prawnik wyszedł na korytarz i odwrócił się i do swego rozmówcy. - Nie zapomnij jutro rano o czeku. Piętnaście tysięcy.

- Piętnaście...?

- Dobry Boże, wyobrazasz sobie, co by powiedział Prokurator Generalny, gdyby dowiedział się choćby tego, że u ciebie byłem? Do widzenia, profesorze.

Randolph Gates trzasnął drzwiami i pobiegł do sypialni, gdzie na nocnej szafce przy łóżku stał telefon. W małym pomieszczeniu poczuł się trochę lepiej; miał wrażenie, że nie jest tu tak bardzo wystawiony na obserwację i że łatwiej byłoby mu obronić się przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Perspektywa rozmowy napełniała go takim lękiem, że nie był w stanie zrozumieć instrukcji wyjaśniającej sposób, w jaki można połączyć się z zagranicą. Ogarnięty przerażeniem, zadzwonił do hotelowej centrali.

- Chciałbym zamówić rozmowę z Paryżem - powiedział.

Rozdział 6

Bourne'a piekły oczy od przeglądania komputerowych wydruków rozłożonych przed nim na stoliku. Siedząc na krawędzi kanapy, analizował je już od czterech godzin, zapomniawszy o czasie, a nawet o tym, że lada chwila powinien skontaktować się z nim jego nadzór. Interesowało go jedynie odnalezienie wśród zameldowanych w hotelu Mayflower gości tego, który mógł zaprowadzić go do Szakala.

Pierwsza grupa, którą chwilowo odłożył na bok, składała się z cudzoziemców - Brytyjczyków, Włochów, Szwedów, Niemców, Japończyków, a także Chińczyków z Tajwanu. Każdy z nich został dokładnie zbadany, a szczególny nacisk położono na autentyczność dokumentów i spraw, które przywiodły ich do USA. Departament Stanu i Centralna Agencja Wywiadowcza solidnie przyłożyły się do zadania; dane każdej z tych osób zostały potwierdzone w co najmniej pięciu niezależnych źródłach. Wszystkie od lat utrzymywały kontakty z firmami lub prywatnymi osobami w Waszyngtonie i najbliższej okolicy, żadna nigdy nie wzbudziła z takich czy innych przyczyn podejrzliwości organów prawa. Jeżeli znajdował się wśród nich człowiek Carlosa, a tego nie sposób było przecież wykluczyć, do jego zidentyfikowania trzeba by znacznie dokładniejszych informacji niż te, którymi w tej chwili dysponował Jason. Możliwe, że będzie musiał jeszcze wrócić do tej grupy, ale na razie chciał wszystko przeczytać. Miał tak mało czasu!

Spośród pozostałych około pięciuset gości, obywateli Stanów Zjednoczonych, dwustu dwunastu miało swoje fiszki w kartotekach wywiadu, w większości dlatego, że prowadzili interesy z rządem. Siedemdziesięciu ośmiu z nich uznano za absolutnie czystych, kilkudziesięciu innych zaś podejrzewano o niszczenie lub fałszowanie dokumentów finansowych i nielegalny transfer zysków na osobiste konta w Szwajcarii lub na Kajmanach. Byli to bogaci i niezbyt inteligentni złodzieje, a takich posłańców Carlos strzegłby się jak ognia.

Pozostało czterdzieści siedem możliwości. Kobiety i mężczyźni - w jedenastu przypadkach małżeństwa - o szerokich kontaktach w Europie, głównie w kręgach przemysłowych. Wszyscy byli podejrzani o sprzedaż zastrzeżonych technologii krajom bloku wschodniego, a tym samym Moskwie, i pozostawali pod ścisłą obserwacją wywiadu. Spośród tych czterdziestu siedmiu osób dwanaście przebywało ostatnio w ZSRR; Bourne natychmiast je wszystkie skreślił. Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti, znany powszechnie jako KGB, miałby z Szakala tyle samo pożytku co papież. Iljicz Ramirez Sanchez, używający pseudonimu Carlos, przeszedł szkolenie w amerykańskiej części miasteczka Nowogród, gdzie przy ulicach stały amerykańskie stacje benzynowe i sklepy, wszyscy posługiwali się amerykańskim angielskim - używanie rosyjskiego było surowo zakazane - a tylko ci, którzy zdali celująco końcowy egzamin, mogli kształcić się dalej w szpiegowskim rzemiośle. Szakal zdał egzamin, ale właśnie wtedy Komitet przekonał się, że młody wenezuelski rewolucjonista najchętniej rozwiązuje wszystkie problemy za pomocą brutalnej przemocy. Sanchez został usunięty z ośrodka szkoleniowego, a tym samym narodził się Szakal. Tak, o tej dwunastce można od razu zapomnieć. Carlos nawet by się do nich nie zbliżył, wiedział bowiem doskonale, że wszyscy pracownicy radzieckiego wywiadu mają bez względy rozkaz zlikwidować go przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Tajemnice Nowogrodu musiały być strzeżone za wszelką cenę.

Tym samym krąg podejrzanych zawęził się do trzydziestu pięciu ludzi: dziewięciu małżeństw, czterech kobiet i trzynastu mężczyzn. Wydruki zawierały fakty i domysły dotyczące każdej z tych osób - domysłów było znacznie więcej niż faktów, a większość z nich

opierała się na negatywnych opiniach nieprzyjaciół lub konkurentów. Mimo to wszystkie należało dokładnie przestudiować, gdyż mogło wśród nich znajdować się słowo lub zdanie, które wskaże bezpośrednią drogę do Carlosa.

Zadzwoił telefon, przerywając koncentrację Jasona. Zamrugał raptownie powiekami, jakby usiłując zlokalizować źródło natrętnego dźwięku, po czym zerwał się z kanapy i podbiegł do stojącego na biurku aparatu. Podniósł słuchawkę, zanim ucichł trzeci dzwonek.

- Tak?

- Mówi Aleks. Dzwonię z ulicy.

- Wejdiesz na górę?

- Na pewno nie przez główny hol. Jak się przypadkiem składa, że znam zatrudnionego właśnie dziś po południu portiera, który pilnuje wejścia dla personelu.

- Zabezpieczasz się ze wszystkich stron, co?

- Na pewno nie z tak wielu, jak bym chciał - odparł Conklin. - To nie jest zwyczajna rozgrywka. Zobaczmy się za kilka minut. Zapukam raz.

Bourne odłożył słuchawkę i wrócił na kanapę do wydruków. Odłożył na bok trzy, które zwróciły jego uwagę, bynajmniej nie dlatego, że kojarzyły mu się w jakiś sposób z Szakalem. Chodziło o to, że pochodzące z komputera informacje zawierały dane wskazujące na fakt, iż te trzy osoby mogły mieć ze sobą coś wspólnego. Według stempli widniejących w paszportach tych troje Amerykanów, dwie kobiety i mężczyzna, wylądowało osiem miesięcy temu w sześciodniowych odstępach na międzynarodowym lotnisku w Filadelfii; kobiety przyleciały z Marakeszu i z Lizbony, mężczyzna z Berlina Zachodniego. Pierwsza kobieta była dekoratorką wnętrz wracającą z zawodowego rekonesansu w starym marokańskim mieście, druga pracowała w dziale zagranicznym Chase Bank, natomiast mężczyzna był inżynierem lotnictwa u McDonnelli-Douglassa, zatrudnionym chwilowo przez Siły Powietrzne USA. Dlaczego troje ludzi o tak różnych zawodach trafiło do tego samego miasta w identycznych, niemal tygodniowych odstępach czasu? Przypadek? Całkiem możliwe, ale biorąc pod uwagę liczbę międzynarodowych portów lotniczych w Stanach, w tym także te największe, w Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles i Miami, przypadkowy wybór Filadelfii wydawał się mało prawdopodobny. Jeszcze bardziej niezwykły był fakt, że w osiem miesięcy później ci ludzie zamieszkali jednocześnie w tym samym hotelu w Waszyngtonie. Jason był bardzo ciekaw, co usłyszy od Aleksa Conklina, kiedy mu o tym powie.

- Zbieram już dokładne informacje o całej trójce - oświadczył Aleks, zagłębiwszy się w stojącym naprzeciwko kanapy fotelu.

- Wiedziałeś?

- To nie było trudne do ustalenia, przede wszystkim dlatego, że wszystko robił komputer.

- Mogłeś mnie o tym powiadomić! Ślęczę nad tymi szpargałami od ósmej!

- Ja wpadłem na to dopiero o dziewiątej, a nie chciałem dzwonić do ciebie z Wirginii.

- Przechodzimy do innej opowieści, prawda? - zapytał Bourne, siadając na kanapie i nachylając się wyczekująco w stronę swego rozmówcy.

- Tak, i to do bardzo groźnej.

- „Meduza”?

- Jest gorzej, niż myślałem, choć nie przypuszczałem, że to w ogóle możliwe.

- To niewiele znaczy.

- Tak sądzisz? - zapytał uprzejmie emerytowany oficer wywiadu. - W takim razie, od czego mam zacząć? Od dostaw dla Pentagonu? Od Federalnej Komisji Handlu? Od naszego ambasadora w Londynie? A może raczej od głównodowodzącego NATO?

- Boże!

- Jeszcze nie skończyłem. Do kompletu możesz dodać Przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

- Chryste, co to ma być? Jakiś żart?

- Przecież to takie proste, panie profesorze. Głęboko zamaskowany spisek, nadal funkcjonujący po tylu latach. Wszyscy na wysokich stanowiskach, utrzymujący ze sobą ścisłe kontakty. Po co?

- W jakim celu? Dlaczego?

- Właśnie o to pytam.

- Musi być jakiś powód!

- Poszukajmy raczej motywu. Chyba już go wymieniłem: chodzi po prostu o ukrywanie dawnych grzeszków. Czy nie tego właśnie szukamy? Gromada kombatantów „Meduzy”, którzy oszaleliby z przerażenia na samą myśl o tym, że ktoś mógłby ujawnić ich przeszłość...

- A więc o to chodzi!

- Nie, wcale nie o to, choć święty Aleks nie potrafi na razie ubrać w słowa swoich przeczuć. Ich reakcja była zbyt bezpośrednia, zbyt gwałtowna, za bardzo związana z terażniejszością, a za mało z przeszłością.

- Nie nadążam za tobą.

- Ja sam za sobą nie nadążam. To nie wygląda tak, jak się spodziewaliśmy, a ja mam już dosyć popełniania błędów... Ale tym razem nie ma mowy o błędzie. Dziś rano powiedziałeś, że być może mamy do czynienia z szeroko zakrojonym spiskiem, a ja uznałem, że przesadzasz. Wydawało mi się, że chodzi co najwyżej o kilku ludzi, którzy nie mają ochoty na publiczne roztrząsanie ich uczynków sprzed dwudziestu lat lub pragną uniknąć skompromitowania obecnego rządu. Myślałem, że będziemy mogli ich wykorzystać, zmuszając ich pod presją strachu, żeby robili to, na czym nam zależy. Okazało się jednak, że byłem w błędzie. To coś jest osadzone w dzisiejszych realiach, ale na razie nie wiem, co to może być. Zareagowali nie strachem, tylko prawdziwą paniką i przerażeniem... Wpadliśmy po ciemku na coś, panie Bourne, co może się okazać większe od nas obu razem wziętych.

- Dla mnie najważniejszy jest Szakał. Reszta może iść do diabła.

- Jestem całym sercem po twojej stronie, ale chciałem, żebyś wiedział, co myślę. Z wyjątkiem krótkiego, nieprzyjemnego epizodu nigdy niczego przed sobą nie ukrywaliśmy, Davidzie.

- Ostatnio wołę imię Jason. Conklin skinął głową.

- Wiem o tym. Nienawidzę tego, ale rozumiem. - Naprawdę?

- Tak - odparł cicho Aleks, ponownie kiwając głową. - Zrobiłbym wszystko, żeby tego uniknąć, ale nie potrafię.

- W takim razie posłuchaj, co ci powiem. Puść w ruch ten swój chytry umysł - to określenie Kaktusa, nie moje - i obmyśl taki scenariusz, który postawiłby tych sukinsynów pod ścianą, spod której mogliby uciec tylko pod warunkiem, że wykonywaliby dokładnie twoje polecenia, a te nakazywałyby im siedzieć cicho, czekać na telefon od ciebie i robić tylko to, co im każesz.

Conklin spojrział na swego przyjaciela z poczuciem winy i troską w oczach.

- Napisanie takiego scenariusza może przerastać moje możliwości. - powiedział. - Boję się popełnić kolejny błąd. Na razie za mało wiem.

Bourne splótł palce, zacisnął szczęki i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się przez chwilę w rozłożone na stoliku wydruki. Nagle uspokoił się, usiadł wygodniej na kanapie i powiedział równie cicho jak przed chwilą Conklin: - W porządku, dowiesz się więcej. Już wkrótce.

- W jaki sposób?

- Ode mnie. Zdobędę dla ciebie informacje. Będę potrzebował nazwisk, adresów, metod stosowanych przez ochronę, nazw ulubionych restauracji i szczegółów wstydliwych słabostek. Powiedz swoim chłopcom, żeby wzięli się ostro do roboty. Mają siedzieć nawet

całą noc, jeśli będzie trzeba.

- Co ty chcesz zrobić, do diabła?! - krzyknął Conklin, prostując się raptownie w fotelu. - Wedrzeć się do ich domów i między przystawką a głównym daniem wbić im igłę w dupę?!

- Akurat o tym nie myślałem - odparł z ponurym uśmiechem Jason. - Masz doprawdy zdumiewającą wyobraźnię.

- A ty jesteś wariatem! Wybacz mi, nie chciałem tego powiedzieć...

- Czemu nie? - Bourne łagodnie wzruszył ramionami. - Przecież to nie wykład o dynastii Manczu i Cing. Biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się moja pamięć, aluzja do mego stanu psychicznego jest jak najbardziej na miejscu. - Jason umilkł na chwilę, po czym pochylił się do przodu i zaczął znowu mówić przyciszonym głosem. - Pozwól jednak, Aleks, że coś ci po wiem. Nie pamiętam wielu rzeczy, ale ta część mojego umysłu, którą uformowaliście ty i Treadstone, jest na swoim miejscu. Udowodniłem to w Hongkongu, Pekinie i Makau i udowodnię to jeszcze raz. Nie mam wyboru. Jeśli tego nie zrobię, stracę wszystko, co kocham... Zdobądź dla mnie te informacje, Aleks. Niektórzy spośród ludzi, których wymieniałeś, powinni być tu, w Waszyngtonie. Jakiś facet od zaopatrzenia...

- Dostawy dla Pentagonu - poprawił go Conklin. - Generał nazwiskiem Swayne. Poza tym niejaki Armbruster, przewodniczący Federalnej Komisji Handlu, Burton...

- Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów - uzupełnił Bourne. - Admirał „Jack” Burton, dowódca Szóstej Floty.

- Ten sam. W dawnych czasach postrach Morza Południowochińskiego, obecnie największa z wielkich szych.

- Powtarzam: zagoń chłopców do roboty. Peter Holland na pewno ci pomoże. Znajdź mi wszystko o każdym z nich.

- Nie mogę.

- Co takiego?

- Mógłbym zdobyć coś takiego o naszych trzech filadelfijczykach, bo wiążą się bezpośrednio z operacją Mayflower, czyli z Szakalem, ale nie mogę ruszyć żadnego z pięciu - na razie pięciu - spadkobierców „Meduzy”.

- Na litość boską, dlaczego? Musisz! Nie wolno nam tracić czasu!

- Czas przestanie mieć dla nas jakąkolwiek wartość, jeśli obaj będziemy martwi. Nie wiem, kto wtedy zająłby się Marie i dziećmi.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- O tym, dlaczego się spóźniłem, dlaczego nie chciałem dzwonić do ciebie z Wirginii, dlaczego poprosiłem Charliego Casseta, żeby po mnie przyjechał, i dlaczego, dopóki go nie zobaczyłem, nie byłem pewien, czy w ogóle uda mi się do ciebie dotrzeć.

- Mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Proszę bardzo. O tym, że interesują mnie byli uczestnicy „Meduzy”, wiedzieliśmy tylko my dwaj, ty i ja.

- Podejrzewałem coś w tym rodzaju. Dziś po południu rozmawiałeś ze mną samymi ogólnikami. Zdziwiło mnie to, bo wiedziałem, gdzie jesteś i jakiego sprzętu używasz.

- Miejsce i sprzęt okazały się czyste. Casset powiedział mi później, że Agencja nie chce mieć żadnych zapisów prowadzonych tam rozmów, a to najlepsza gwarancja, jakiej można oczekiwać. Wierz mi, od razu zacząłem swobodniej oddychać, kiedy się o tym dowiedziałem.

- W takim razie, na czym polega problem? Dlaczego boisz się zrobić choćby krok dalej?

- Dlatego, że muszę sprawdzić jeszcze jedną osobę, zanim zapuszczę się na terytorium „Meduzy”. Atkinson, nasz znakomity ambasador przy dworze Jej Królewskiej Mości w Londynie, wyraził się zupełnie jednoznacznie. Ogarnięty paniką zdarł maski z twarzy Burтона i Teagartena w Brukseli.

- Co z tego wynika?
- Powiedział, że w razie jakichś kłopotów Teagarten poradzi sobie z Agencją, bo ma dojścia na samej górze w Langley.
- I...?
- Sama góra może oznaczać najbliższe otoczenie dyrektora, a kto wie, czy nie samego Petera Hollanda.
- Powiedziałeś mi dzisiaj rano, że Holland z przyjemnością zabiłby własnoręcznie każdego, kto miał jakikolwiek związek z „Meduzą”.
- Każdy może tak twierdzić. Problem polega na tym, czy jest tak na prawdę...

Po drugiej stronie Atlantyku, w starej podparyskiej dzielnicy Neuilly-sur-Seine, stary mężczyzna obrany w ciemny, wyświechtany garnitur szedł, powłócząc nogami, betonową ścieżką prowadzącą do wejścia szesnastowiecznej katedry znanej jako kościół pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu. Dzwony zaczęły bić na Anioł Pański; mężczyzna przystanął i przeżegnał się.

- *Angelus domini nuntiavit Mariae...* - wyszeptał, unosząc twarz ku porannemu niebu, po czym przesłał prawą dłonią pocałunek w kierunku umieszczonego nad kamiennym portalem krzyża, wspiął się po schodach i wszedł przez duże drzwi do wnętrza katedry. Dwaj księża obrzucili go niechętnymi spojrzeniami. Wybaczcie, cholerne snoby, że plugawię waszą bogatą świątynię, pomyślał, zapalając świeczkę i umieszczając ją przy wejściu. Chrystus powiedział jednak wyraźnie, że woli mnie niż was. „Ubodzy odziedziczą ziemię”, a w każdym razie to, czego wy nie zdążycie rozkraść.

Starzec ruszył powoli przejściem między ławkami, prawą ręką chwytając się kolejnych oparc, lewą zaś sprawdzając, czy przypadkiem nie rozluźnił się węzeł krawatu. Jego kobieta była już tak słaba, że tylko z najwyższym trudem zdołała mu go zawiązać, ale podobnie jak przed laty, uparła się, żeby przed wyjściem męża z domu dokonać ostatnich korekt ubioru. Śmiali się, wspominając, jak czterdzieści lat wcześniej klęła ile wlezie na nieposłuszne mankiety koszuli, usztywnione zbyt dużą ilością krochmalu. Tamtego wieczoru chciała, żeby wyglądał na statecznego urzędnika. Szedł wówczas do domu przy rue St. Lazare, gdzie urzędował kupczący dziwkami Oberfuhrer, i zostawił tam teczkę, która wysadziła w powietrze pół budynku. Dwadzieścia lat później, w pewne zimowe popołudnie, poprawiała mu skradziony, bardzo drogi, lecz niezbyt dobrze leżący płaszcz; szedł wtedy dokonać napa-du na Grande Banque Louis IX przy Madeleine. Dyrektorem banku był dawny współtowarzysz z Resistance, człowiek wykształcony, lecz obojętny, który odmówił mu udzielenia pożyczki. To były dobre, dawne czasy; po nich nadeszły złe, wypełnione chorobami, a potem jeszcze gorsze, a właściwie wręcz beznadziejne. Trwało to aż do chwili, kiedy pojawił się pewien tajemniczy człowiek i zaproponował zawarcie dziwnej, niepisanej umowy. Zaraz potem, wraz z kwotami pieniędzy wystarczającymi na przyzwoite jedzenie, dobre wino i schludne ubranie, powrócił szacunek do samego siebie. Jego kobieta ponownie zaczęła ładnie wyglądać, a pomoc lekarzy, na którą wreszcie znowu było go stać, sprawiła, że poczuła się nieco lepiej. Koszula i garnitur, jakie miał dzisiaj na sobie, zostały wyciągnięte z dna szafy. Pod tym względem on i jego żona przypominali aktorów z prowincjonalnej trupy teatralnej: mieli kostiumy na każdą okazję. Na tym polegała ich praca... Dzisiaj również czekała na niego praca. Miał do niej przystąpić wraz z pierwszym uderzeniem dzwonów na Anioł Pański.

Stary człowiek pokłonił się niezgrabnie przed tabernakulum, uklęknął w szóstej ławce od ołtarza i utkwił spojrzenie w tarczy zegarka. W dwie i pół minuty później uniósł głowę i rozejrzał się dyskretnie dookoła. Jego słaby wzrok zdołał już się dostosować do przyćmionego światła; widział może nie najlepiej, ale wystarczająco wyraźnie. We wnętrzu

katedry znajdowało się co najwyżej dwudziestu wiernych. Część z nich była pogrążona w modlitwie, inni wpatrywali się pełni zadumy w stojący na ołtarzu ogromny złoty krucyfik. Zaraz potem dostrzegł tego, kogo szukał, i w tym momencie wiedział już, że wszystko odbywa się zgodnie z planem: ubrany w czarną sutannę ksiądz przeszedł wzdłuż lewej nawy i zniknął za ciemnoczerwoną zasłoną apsydy.

Starzec ponownie spojrzął na zegarek, teraz najważniejsze bowiem było dokładne przestrzeganie ustalonego harmonogramu; tego życzył sobie *monseigneur*. Tego życzył sobie Szakal. Kiedy minęły kolejne dwie minuty, wiekowy posłaniec podniósł się z wysiłkiem z klęcznika, pokłonił się najgłębiej, jak mógł, przed krucyfiksem i powłócząc nogami, skierował się do drugiego, licząc od ołtarza, konfesjonału po lewej stronie. Odsunawszy zasłonę, wszedł do środka.

- *Angelus Domini* - wyszeptał słowa, które w ciągu ostatnich piętnastu lat powtarzał kilkaset razy. Uklęknął.

- *Angelus Domini*, dziecię Boże - odparła ukryta za czarną kratą po stać. Słowom towarzyszyło ciche, chrapliwe kaszlnięcie. - Czy twoje dni upływają w dostatku?

- Uczynił je dostatnimi nieznanymi przyjacieli... mój przyjacielu.

- Co powiedział lekarz o twojej kobiecie?

- To, co zataił przed nią, Bogu niech będą dzięki. Wygląda na to, że pomimo wszystko przeżyje ją. Wyniszczająca choroba szybko się rozprzestrzenia.

- Współczuję ci. Ile jeszcze ma życia przed sobą?

- Może miesiąc, na pewno nie więcej niż dwa. Wkrótce nie będzie mogła wstać z łóżka... Niedługo nasza umowa przestanie obowiązywać.

- Dlaczego?

- Nie będziesz miał już wobec mnie żadnych zobowiązań i ja to doskonale rozumiem. Byłeś dla nas bardzo dobry. Udało mi się trochę zaoszczędzić, a moje potrzeby nie są wielkie. Szczerze mówiąc, kiedy pomyślę o tym co mnie czeka, czuję ogromne zmęczenie...

- Ty niewdzięczniku! - wyszeptał mężczyzna ukryty za kratą konfesjonału. - Po wszystkim, co dla ciebie uczyniłem i co ci obiecałem!

- Słucham?

- Czy zginąłbyś dla mnie?

- Oczywiście. Przecież zawarliśmy taką umowę.

- W takim razie rozkazuję ci, żebyś dla mnie żył!

- Oczywiście zrobię to, jeśli tego sobie życzysz. Chciałem ci tylko po wiedzieć, że już niedługo przestanę być dla ciebie ciężarem. Łatwo znajdziesz kogoś na moje miejsce.

- Nigdy nie staraj się przewidzieć mego postępowania! - Wybuch gniewu zamarł w głębokim, chrapliwym kaszlu, potwierdzającym plotkę, która od jakiegoś czasu krążyła po bocznych uliczkach Paryża. Szakal również był chory, może nawet śmiertelnie chory.

- Po co miałbym to robić? Jesteś naszym dobroczyńcą.

- Właśnie przed chwilą próbowałeś... Mimo to mam dla ciebie zadanie, które uczyni odejście twojej żony łatwiejszym dla was obojga. Pojedziecie we dwoje na wakacje w przepięknej części świata. Dokumenty i pieniądze odbierzesz w tym samym miejscu co zwykle.

- Dokąd mamy się udać, jeśli wolno zapytać?

- Na karaibską wyspę Montserrat. Szczegółowe instrukcje otrzymacie na lotnisku Blackburna. Macie je dokładnie wypełnić.

- Oczywiście... Wybacz mi moją śmiałość, ale czy mogę wiedzieć, na czym będzie polegało nasze zadanie?

- Macie odszukać pewną kobietę przebywającą w towarzystwie dwojga dzieci i zaprzyjaźnić się z nią.

- A co potem?

- Potem ich zabijecie.

Brendan Prefontaine, były sędzia sądu okręgowego w Massachusetts, wyszedł z mieszczącego się przy School Street banku z piętnastoma tysiącami dolarów w kieszeni. Było to niezwykle przeżycie dla kogoś, kto od trzydziestu lat właściwie nieprzerwanie cierpiał na niedostatek pieniędzy. Od chwili zwolnienia z więzienia rzadko zdarzało mu się mieć przy sobie więcej niż pięćdziesiąt dolarów. Ten dzień był jedyny w swoim rodzaju.

Oprócz tego, że jedyny w swoim rodzaju, był także bardzo nerwowy, Prefontaine ani przez chwilę bowiem nie przypuszczał, że Randolph Gates zapłaci mu żadaną sumę. Czyniąc to, Gates popełnił ogromny błąd; dostarczając niemal bez oporów tak dużą sumę pieniędzy, wzięty prawnik zmienił ciężar gatunkowy swych poczynań; z zachłannej, choć w gruncie rzeczy nie bardzo szkodliwej chciwości na coś znacznie bardziej groźnego. Prefontaine nie miał najmniejszego pojęcia, kim była kobieta z dziećmi i co ją wiązało z lordem Randolphem z Gates, ale jedno nie ulegało wątpliwości: Dandy Randy nie życzył jej dobrze.

Odziany w nieskazitelnie białą togę, zasiadający na prawniczym areopagu uczony nie zapłaciłby tyle forsy takiej okrytej niesławą, przesiąkniętej alkoholem męcie jak Brendan Patrick Pierre Prefontaine, gdyby jego dusza dorównywała niewinnością duszy archanioła. Wiele wskazywało na to, że raczej była czarna niczym dusze podwładnych Lucyfera. W związku z tym zdobycie odrobiny wiedzy mogłoby się okazać dla męty niezwykle korzystne, gdyż zgodnie z wyświechtanym przysłowiem nawet odrobina wiedzy może stanowić niebezpieczną broń, groźniejszą w oczach tego, kogo dotyczy, niż tego, kto ją posiada. Dzisiejsze piętnaście tysięcy już jutro może się zamienić w pięćdziesiąt, jednak pod warunkiem, że męta poleci na wyspę Montserrat i zacznie zadawać pytania.

Poza tym, pomyślał były sędzia (irländzka połowa jego umysłu zachichotała przewrotnie, podczas gdy francuska próbowała słabo się zbuntować), już od wielu, bardzo wielu lat nie miał wakacji. Dobry Boże, wystarczająco wiele uwagi musiał poświęcić temu, żeby nie dopuścić do oddzielenia duszy od ciała; czy w takich warunkach mógł myśleć o czymś takim jak wypoczynek?

Tak więc Brendan Patrick Pierre Prefontaine zatrzymał taksówkę, czego nie czynił na trzeźwo już od co najmniej dziesięciu lat, i kazał się zawieźć do sklepu z męskimi ubraniami w Faneuil Hall.

- Masz forszę, staruszkę? - zapytał kwaśno kierowca.

- Więcej niż trzeba, żeby cię posłać do fryzjera i usunąć trądzik z twojej twarzy, młody człowieku. Ruszaj z kopyta, Ben Hurze. Śpieszy mi się.

Ubrania pochodziły z wieszaków w najdalszym kącie sklepu, co jednak wcale nie oznaczało, że były tanie. Kiedy tylko pokazał zwitek studolarowych banknotów, sprzedawczyni o jaskrawo pomalowanych ustach zamieniła się w uosobienie uprzejmości. Wkrótce w walizce z brązowej skóry znalazł się zapas garderoby wystarczający na dość długi nawet urlop, a Prefontaine zajął się wyborem nowego garnituru, koszuli i butów. Po godzinie przypominał znowu człowieka, którego znał wiele lat temu: szanownego Brendana P. Prefontaine'a (z oczywistych powodów zawsze opuszczał drugie P przed nazwiskiem).

Inna taksówka zawiozła go do jego pokoju w domu przy Jamaica Plains, skąd zabrał kilka drobiazgów, między innymi paszport, trzymany zawsze w pogotowiu na wypadek konieczności szybkiego wyjazdu, a następnie na lotnisko Logan. Tym razem kierowca nie wyrażał wątpliwości, czy aby jego pasażer będzie w stanie zapłacić za kurs. Strój wprawdzie nie czyni człowieka, pomyślał Brendan, ale z pewnością pomaga przekonywać wątpiących. W informacji dowiedział się, że z Bostonu może się dostać na Montserrat, korzystając z usług jednej z trzech linii lotniczych. Zapytał, która z nich ma niedaleko swoje stanowisko, po czym zakupił bilet na najbliższy lot. Brendan Patrick Pierre Prefontaine latał wyłącznie pierwszą

klasą, rzecz jasna.

Steward w mundurze Air France powoli i ostrożnie wtoczył inwalidzki fotel na pokład Boeinga 747 szykującego się do startu z lotniska Orly w Paryżu. W fotelu siedziała stara, szczupła kobieta o twarzy pokrytej nieco zbyt intensywnym makijażem. Na głowie miała duży kapelusz z piórami australijskiej kakadu. Można by ją uznać za karykaturę, gdyby nie duże oczy spoglądające spod kosmyków siwych włosów, niedokładnie przefarbowanych na rudo - mądre, tryskające żywotnością i humorem. Odnosiło się wrażenie, że jej spojrzenie mówiło do wszystkich, którzy na nią patrzyli: „Wybaczcie mi, *mes amis*, ale on chce, żebym tak wyglądała, a mnie tylko na tym zależy. *Merde* mnie obchodzi, co sobie o mnie myślicie”.

- *Il est ici, mon capitaine* - oznajmił steward kapitanowi, który czekał w drzwiach maszyny na dwoje wsiadających wcześniej niż inni pasażerów. Pilot nachylił się nisko i dotknął ustami lewej dłoni kobiety, a następnie wyprostował się i zasalutował towarzyszącemu jej siwowłosemu, łysiejącemu mężczyźnie z wpiętą w klapę marynarki miniaturką Legii Honorowej.

- To dla mnie wielki zaszczyt, *monsieur* - powiedział kapitan. - Dowodzę tym samolotem, ale oddaję się pod pańskie rozkazy. - Uścisnęli sobie dłonie. - Proszę się nie krępować, jeśli jest coś, co ja i moja załoga moglibyśmy zrobić dla uprzyjemnienia państwu podróży.

- Jest pan bardzo miły.

- Wszyscy jesteśmy pańskimi dłużnikami, cała Francja...

- Naprawdę, to nic takiego...

- Być odznaczonym przez samego Wielkiego Charles'a jako bohater Ruchu Oporu to naprawdę jest coś, *monsieur*. Lata nie są w stanie przyćmić pańskiej chwały. - Kapitan strzelił palcami na trzy stewardesy czekające w pustej jeszcze kabinie pierwszej klasy. - Szybko, *mesdemoiselles!* Proszę zająć się dzielnym bojownikiem o wolność Francji i jego małżonką.

Dwoje starych ludzi zostało z honorami odprowadzonych na przód kabiny, gdzie kobietę przesadzono ostrożnie z wózka na fotel przy przejściu, a mężczyźnie wskazano sąsiedni, przy oknie. Na rozkładanym stoliku pojawiła się butelka dobrze schłodzonego białego wina. Kapitan wznosił toast na cześć szacownych gości i odszedł do swoich obowiązków; kobieta mrugnęła z rozbawieniem do swego męża. Po chwili na pokład maszyny zaczęli wchodzić pozostali pasażerowie. Niektórzy spośród nich zerkali z szacunkiem w kierunku siedzącej w pierwszym rzędzie pary, dotarły do nich bowiem krążące po stanowisku Air France plotki: „Wielki bohater... Sam Wielki Charles... W Alpach sam jeden powstrzymał sześciuset szkopów, a może sześć tysięcy? Nie pamiętam...”

Kiedy ogromny samolot oderwał się z lekkim szarpnięciem od nawierzchni pasa startowego, „wielki bohater” - którego jedyne bohaterskie czyny, jakie mógł sobie przypomnieć z lat spędzonych w Ruchu Oporu, sprowadzały się do kradzieży, walki o przetrwanie, znieważania żony i trzymania się z daleka od wszystkich armii, które mogłyby zaciągnąć go w swoje szeregi - sięgnął do kieszeni po dokumenty. Z fotografii w paszporcie spoglądała na niego znajoma twarz, lecz całą resztę - nazwisko, datę i miejsce urodzenia, zawód - widział po raz pierwszy w życiu, dołączona zaś lista zaszczytów i odznaczeń budziła autentyczny respekt. Żaden z nich nie miał potwierdzenia w rzeczywistości, niemniej jednak, a raczej właśnie dlatego postanowił dokładnie przestudiować całą listę, żeby przynajmniej móc skromnie skinąć głową, kiedy ktoś zacznie wspominać jego zasługi. Zapewniono go, że człowiek, do którego kiedyś należało zarówno nazwisko, jak i bohaterski życiorys, nie miał żadnych krewnych, miał niewielu znajomych i zniknął bez śladu ze swego mieszkania w Marsylii. Należało przypuszczać, że wybrał się w podróż dookoła świata, z której postanowił już nie wrócić.

Wysłannik Szakala spojrział na widniejące w paszporcie nazwisko. Musi je zapamiętać i reagować odpowiednio, kiedy ktoś je wymieni. Nie powinno mu to nastęrczyć żadnych trudności, bo nazwisko było bardzo pospolite, ale na wszelki wypadek powtarzał je w myślach raz za razem:

Jean Pierre Fontaine, Jean Pierre Fontaine, Jean Pierre Fontaine...

Jakiś dźwięk! Ostry, szorstki, obcy na tle ledwo słyszalnych odgłosów pograżonego w nocnym śnie hotelu. Bourne chwycił leżący przy poduszce pistolet, stoczył się z łóżka na podłogę i przywarł do ściany. Znowu! Tym razem pojedyncze, mocne uderzenie w drzwi apartamentu. Potrząsnął głową, usiłując sobie przypomnieć... Aleks? „Zapukam raz”. Jason podkrał się do drzwi i przycisnął do nich ucho.

- Tak?

- Otwórz te cholerne drzwi, zanim ktoś mnie zobaczy! - usłyszał przy tłumiony głos Conklina.

Bourne zrobił to i emerytowany oficer wywiadu wszedł, utykając, do pokoju. Trzymał laskę tak, jakby jej nienawidził.

- Człowieku, zupełnie wyszedłeś z wprawy! - wysapał, przysiadłszy na krawędzi łóżka.

- Stałem tam i waliłem co najmniej od kilku minut.

- Nic nie słyszałem.

- Delta by mnie usłyszał, podobnie jak Jason Bourne. Ty zachowałeś się jak David Webb.

- Daj mi jeszcze jeden dzień, a nie zostanie po nim nawet śladu!

- Słowa. Wolę, kiedy działasz, a nie mieiesz ozorem.

- W takim razie sam przestań mleć ozorem i powiedz mi, co cię tu sprowadza o tej godzinie... A propos, która jest właściwie?

- Kiedy spotkałem się z Cassetem, była trzecia dwadzieścia. Musiałem przedzierać się przez jakieś paskudne zarośla i przeleźć przez ten cholerny płot...

- Co takiego?

- Przecież słyszysz: przez płot. Spróbuj sam to zrobić, tylko najpierw oblej sobie nogę szybko schnącym betonem... I pomyśleć, że w szkole średniej byłem najlepszy w biegu na pięćdziesiąt jardów!

- Daruj sobie dygresje. Co się stało?

- Oho, znowu słyszę Webba.

- Powiedz mi wreszcie, co się stało! A tak przy okazji: kim jest ten Casset, o którym bez przerwy mówisz?

- Jedyne człowiek, któremu mogę ufać w Wirginii. On i może jeszcze Valentino.

- Kto to taki?

- Analitycy, ale nie pedały.

- Co takiego?

- Nieważne. Boże, ależ mi się chce lać...

- Aleks, dlaczego tu przyszedłeś?

Conklin spojrział Bourne'owi prosto w twarz i gniewnie zacisnął dłoń na lasce.

- Zdobyliśmy informacje o naszych filadelfijczykach.

- Kim są? Właśnie dlatego?

- Nie, nie dlatego. To bardzo interesujące, ale nie dlatego do ciebie przyszedłem.

- Więc dlaczego? - Jason powtórzył po raz kolejny pytanie i usiadł ze zmarszczonymi brwiami w stojącym przy oknie fotelu. - Mój nadzwyczaj inteligentny przyjaciel z Kambodży, i nie tylko, nie przełazi przez płoty o trzeciej nad ranem, jeśli nie ma ku temu jakiegoś konkretnego powodu.

- Miałem taki powód.
- Nic mi to nie wyjaśnia.
- DeSole.
- Jakież znowu the sole?
- Nie „the”, tylko „de”. DeSole.
- Nie nadążam za tobą.
- To główny klucznik w Langley. Wie o wszystkim, co się tam dzieje, a nic nie może się dziać bez jego osobistej zgody i aprobaty.
- W dalszym ciągu nic nie rozumiem.
- Wpadliśmy w cholerne gówna.
- Niewiele mi to mówi.
- Znowu Webb.
- Czy wolisz, żebym trzasnął cię w kark?
- Już dobrze, dobrze. Pozwól mi złapać trochę tchu w piersi. – Conklin oparł łaskę na dywanie. - Bałem się zaufać nawet windzie towarowej. Wysiadłem dwa piętra niżej i resztę przeszedłem na piechotę.
- Dlatego że wpadliśmy w cholerne gówna?
- Właśnie dlatego.
- Przez tego DeSole'a?
- Tak jest, panie Bourne. Steven DeSole, człowiek, który ma dostęp do wszystkich komputerów w Langley. Jedyne osoby będące w stanie wyciągnąć z nich autentyczne dowody, które pozwoliłyby ci wsadzić do mamra pod zarzutem uprawiania prostytucji nawet twoją osiemdziesięcioletnią ciotkę.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To on pełni rolę łącznika z Brukselą, z Teagartenem w Kwaterze Głównej NATO. Casset jest pewien, że to na pewno on i nikt poza nim. Mają nawet specjalną linię, która pozwala im omijać wszystkie zabezpieczenia i kontrole.
- Co to oznacza?
- Tego Casset nie wie, ale możesz mi wierzyć, że jest porządnie wściekły.
- Ile mu powiedziałeś?
- Tylko tyle, ile musiałem. Że analizowałem pewne poszlaki i w pewnej chwili, w najmniej oczekiwanym miejscu, natrafiłem na nazwisko Teagartena. Prawdopodobnie to fałszywy trop, podrzucony raczej na wabia niż po cokolwiek innego, ale uznałem, że lepiej będzie sprawdzić. Poprosiłem Casseta, żeby rozegrał to po ciemku.
- Jak się domyślam, oznacza to ścisłą dyskrecję.
- Pomnożoną przez dziesięć. Casset to najbystrzejszy facet w Langley. Nie musiałem nic więcej mówić, wszystko od razu zrozumiał. A teraz ma problem, którego wczoraj jeszcze nie miał.
- Co zrobi?
- Poprosiłem, żeby przez kilka dni nic nie robił i on mi to obiecał. Mówią konkretnie, mamy czterdzieści osiem godzin, a potem Casset wszystko ujawni.
- Nie wolno mu tego zrobić - stwierdził stanowczo Bourne. - Ci ludzie starają się coś ukryć, nieważne co, byle dało się wykorzystać dla zwabienia Szakala. Użyjemy ich jako przynęty, tak jak mnie użyto trzynaście lat temu.
- Conklin opuścił wzrok na podłogę, a następnie uniósł głowę i spojrzał w twarz Bourne'a.
- Wszystko sprowadza się do osobistych doświadczeń, prawda? - zapytał. - Im są bogatsze, tym większy strach...
- Im większa przynęta, tym większa ryba - przerwał mu Jason. - Dawno temu powiedziałeś mi, że kręgosłup Carlosa jest kilkakrotnie bardziej rozdęty od jego głowy. Nie

ulega żadnej wątpliwości, że jest tak nadal. Jeżeli uda nam się zmusić kogoś z tych rządowych ważniaków, żeby się do niego zwrócił z propozycją zabicia mnie, zgodzi się bez zastanowienia. Wiesz dlaczego?

- Przed chwilą ci powiedziałem: osobiste doświadczenia.

- Też, ale nie tylko. Chodzi również o szacunek i uznanie, jakich Carlos nie zaznał od prawie dwudziestu lat. Zaczęło się w chwili, kiedy Moskwa zrezygnowała z jego usług i kazała mu czym prędzej zniknąć. Zarobił miliony, lecz jego klienci raczej nie należeli do elity ludzkości. Roztacza wokół siebie aurę strachu, ale uważa się go przede wszystkim za psychopatę. Nie otacza go legenda, tylko pogarda, co z pewnością doprowadza go do szału. To, że po trzynastu latach postanowił wyrównać ze mną rachunki, potwierdza moją teorię... Jestem dla niego najważniejszy - a właściwie nie tyle ja co moja śmierć - ponieważ stanowią produkt naszych służb specjalnych. Chce udowodnić, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że jest lepszy od nas wszystkich razem wziętych.

- Może się także obawiać, że będziesz w stanie go zidentyfikować.

- Początkowo też o tym myślałem, ale potem... Przecież trzynaście lat siedziałem cicho, więc dlaczego akurat teraz miałby zacząć podejrzewać, że coś mu grozi z mojej strony?

- Więc na wszelki wypadek wlałeś na działkę Mo Panova i stworzyłeś portret psychologiczny Szakala.

- Przecież żyjemy w wolnym kraju.

- W porównaniu z wieloma innymi, rzeczywiście, ale do czego nas to wszystko ma zaprowadzić?

- Jestem pewien, że mam rację.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Nic nie może być fałszywe ani podrobione - powiedział z naciskiem Bourne, pochylając się w fotelu ze złożonymi dłońmi. - Carlos z pewnością by to zwiertzył, bo czegoś takiego będzie przede wszystkim szukał. Panowie z „Meduzy” muszą być prawdziwi i wpaść w prawdziwą panikę.

- Zapewniam cię, że tak będzie.

- Do tego stopnia, żeby zdecydowali się nawiązać kontakt z kimś takim jak Szakal.

- Hm, tego już nie wiem...

- I nigdy się nie dowiemy - przerwał mu Jason - dopóki nie przekonamy się, co właściwie ukrywają.

- Ale jeśli zaczniemy szukać przez Langley, DeSole natychmiast się o tym dowie i zaalarmuje pozostałych.

- W takim razie musimy zostawić Langley w spokoju. I tak będę miał dosyć roboty, tylko musisz mi dostarczyć adresy i domowe numery telefonów. Tyle chyba możesz zrobić, prawda?

- Oczywiście, bez problemu. Co zamierzasz?

- Co powiesz na to, żeby wdrzeć się do ich domów i powbijać im w dupy igły pomiędzy przystawką a głównym daniem? - odparł z uśmiechem Jason.

- Teraz słyszę Bourne'a.

- Nie mylisz się.

Rozdział 7

Marie St. Jacques Webb powitała karaibski poranek, przeciągając się w łóżku, po czym natychmiast spojrzała na stojącą niedaleko kołyskę. Alison spała głęboko, czego niestety nie można było o niej powiedzieć kilka godzin temu. Zachowywała się wtedy w taki sposób, że Johnny, brat Marie, zastukał do drzwi, wsunął się ostrożnie do pokoju i zapytał, czy nie mógłby w czymś pomóc. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by stwierdzić, iż ma głęboką nadzieję, że nie.

- Może chciałbyś zmienić pieluszkę?

- Nawet nie chcę o tym myśleć! - odparł St. Jacques i pośpiesznie zrejterował.

Teraz jednak słyszała jego głos dobiegający z zewnątrz przez zamknięte okiennice. Namawiał jej syna, Jamiego, do wyścigu w basenie i celowo mówił tak głośno, że było go z pewnością słychać nawet na głównej wyspie archipelagu, Montserrat. Marie zwlokła się z łóżka, podreptała do łazienki, a w cztery minuty później - umyta, uczesana i ubrana w szlafrok - wyszła na górujące nad basenem patio.

- Cześć, Marie! - zawołał jej opalony, ciemnowłosy, przystojny młodszy brat, unosząc się w wodzie obok jej syna. - Mam nadzieję, że to nie my cię obudziliśmy. Właśnie postanowiliśmy się wykapać.

- W związku z tym uznałeś za stosowne poinformować brytyjskie patrole przybrzeżne w Plymouth.

- Nie żartuj sobie, przecież już prawie dziewięta. Tutaj, na wyspach, to późna pora.

- Dzień dobry, mamusiu. Wujek John pokazywał mi, jak odstraszyć rekina zwykłym kijem!

- Twój wujek dysponuje niewyczerpanymi pokładami nadzwyczaj istotnej wiedzy, z których, mam nadzieję, nigdy nie będziesz musiał korzystać.

- Na stole znajdziesz dzbanek z kawą, Marie. Pani Cooper przyrządzi ci na śniadanie, co tylko zechcesz.

- Kawa w zupełności wystarczy, Johnny. Zdaje się, że w nocy ktoś dzwonił. Czy to był David?

- We własnej osobie - odparł brat. - Musimy poważnie porozmawiać. Jamie, wychodzimy z basenu.

- A co z rekinami?

- Załatwiłeś je wszystkie, co do jednego. Możesz przyrządzić sobie drinka.

- Johnny!

- W lodówce znajdziesz sok pomarańczowy.

John St. Jacques okrążył basen i skierował się w stronę usytuowanego przed oknami sypialni patio, podczas gdy jego siostrzeniec pognął w podskokach do domu.

Marie przyglądała się bratu, dostrzegając coraz więcej podobieństw między nim a swoim mężem. Obaj byli wysocy i dobrze zbudowani, obaj poruszali się pewnym, zdecydowanym krokiem, ale podczas gdy David zwykle wygrywał, Johnny najczęściej schodził z placu boju pokonany. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, podobnie jak nie miała pojęcia, dlaczego David pokłada tak ogromne zaufanie w swoim młodym szwagrze, kiedy dwaj starsi bracia Johnny'ego wydawali się o tyle solidniejsi i bardziej odpowiedzialni. David - a może Jason Bourne? - nigdy nie rozmawiał z nią na ten temat. Wszelkie pytania zbywał beztróskim śmiechem, mówiąc, że zapewne w grę wchodzi irracjonalna sympatia.

- Przejdźmy od razu do rzeczy - powiedział najmłodszy z klanu St. Jacques, siadając na krzeselku. Woda kapiała z jego ciała na powierzchnię patia. - W co znowu wplątał się David?

Nie mógł rozmawiać przez telefon, a ty wczoraj także nie byłaś w nastroju do dłuższej pogawędki. Co się stało?

- Szakal. Znowu pojawił się Szakal, oto, co się stało.
- Boże! - wybuchnął Johnny. - Po tylu latach?
- Po tylu latach... - odparła cicho Marie, kiwając głową.
- Jak daleko dotarł?

- David próbuje to ustalić w Waszyngtonie. Na razie wiemy tylko tyle, że poprzez Hongkong i Koulun udało mu się odszukać Aleksa Conklina i Mo Panova.

Opowiedziała mu o fałszywych telegramach i zasadzce w wesołym miasteczku w Baltimore.

- Przypuszczam, że Aleks wziął ich wszystkich pod ochronę, czy jak to się tam u nich nazywa?

- Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli nie liczyć nas i McAllistera, Mo i Aleks są jedynymi żyjącymi ludźmi, którzy wiedzą, kim był David... Boże, nawet nie mogę wypowiedzieć tego nazwiska! - Marie odstawiła raptownie filiżankę z kawą.

- Spokojnie, siostrzyczko. - Johnny poklepał ją łagodnie po dłoni. - Conklin na pewno wie, co robi. David mówił mi, że Aleks jest najlepszym człowiekiem z pierwszej linii - tak go określił -jaki kiedykolwiek pracował dla Amerykanów.

- Ty nic nie rozumiesz, Johnny! - wykrzyknęła Marie, usiłując z najwyższym trudem nad sobą zapanować, ale w jej szeroko otwartych oczach można było dostrzec odbicie kipiących w niej uczuć. - David tego nie powiedział, bo on o niczym nie wie! To był Jason Bourne! On wrócił... Sztuczny, stworzony w głowie Davida potwór jest tam znowu. Nawet nie wiesz, co to *znaczy*. Oczy, które widzą coś, czego ja nie widzę, zimny, obojętny głos, którego nie znam... Nagle obok mnie pojawia się zupełnie inny, obcy człowiek.

St. Jacaues uniósł dłoń.

- Daj spokój - powiedział łagodnie.

- Gdzie są dzieci? Jamie...? - rozejrzała się z niepokojem dookoła.

- Uspokój się - powtórzył tym samym tonem. - A jak uważasz, co David powinien zrobić? Wczołgać się do wazy z epoki Wing albo Ming i udawać przed samym sobą, że jego żonie i dzieciom nic nie grozi? Bez względu na to, czy wam, damom, to się podoba, czy nie, my, chłopcy, jesteśmy od tego, żeby trzymać wielkie koty z dala od naszych jaskiń. Naprawdę wierzymy w to, że lepiej się do tego nadajemy. Z drzemiących w nas pokładów brutalnej siły korzystamy tylko w ostateczności. David *znalazł* się właśnie w takiej sytuacji.

- Od kiedy to mój mały braciszek stał się filozofem? - zapytała Marie, wpatrując się uważnie w jego twarz.

- To nie filozofia, siostrzyczko. Po prostu o tym wiem, i już. Podobnie jak większość mężczyzn, za przeproszeniem wszystkich feministek.

- Nie przepraszaj. Większość kobiet nie ma nic przeciwko temu. Czy uwierzysz, że twoja wspaniała, wykształcona siostra, która zaaplikowała go spodarce Kanady wiele ekonomicznych zastrzyków, wrzeszczy wniebogłose, kiedy zobaczy mysz, a na widok szczura wpada niemal w panikę?

- Potwierdza to moją teorię, że inteligentne kobiety są bardziej uczciwe od pozostałych.

- Masz rację, Johnny, ale nie zrozumiałeś, co miałam na myśli. Od pięciu lat David radzi sobie coraz lepiej, każdy następny miesiąc jest lepszy od poprzedniego. Wszyscy wiemy, że nigdy nie wróci całkowicie do zdrowia, bo zbyt wiele przeszedł, ale gnębiące go zmory zniknęły już niemal bez śladu. Przestał wychodzić na długie, samotne spacerunki do lasu, z których wracał z pokiereszowanymi rękami, bo atakował drzewa. Przestał płakać wieczorami w gabinecie, kiedy nie mógł sobie przypomnieć, kim jest ani co robił. To wszystko minęło, Johnny! W naszym życiu pojawiły się promyki słońca! Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Wiem - odparł poważnie.

- Dlatego tak bardzo się boję, że to, co się teraz dzieje, może przywołać z powrotem tamten koszmar!

- W takim razie miejmy nadzieję, że to nie potrwa długo.

Marie ponownie utkwiła badawcze spojrzenie w twarzy swego brata.

- Zbyt dobrze cię znam, braciszku. Coś przede mną ukrywasz.

- Skądże znowu.

- Tak, jestem tego pewna. Ty i David... Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Nasi dwaj starsi bracia, tacy solidni, tak godni zaufania, może nie jakieś orły intelektu, ale na pewno wystarczająco mądrzy... A mimo to wybrał właśnie ciebie. Dlaczego, Johnny?

- Nie mówmy na ten temat - odparł sucho St. Jacques i cofnął rękę, którą przez cały czas trzymał na dłoni siostry.

- Ale ja muszę! Chodzi o moje życie, o nasze życie! Mam już dosyć tajemnic, nie zniosę ani jednej więcej. Powiedz mi, Johnny, dlaczego on wybrał akurat ciebie?

St. Jacques odchylił się na krześle, uniósł niepewnie dłoń do czoła i spojrzał błagalnie na swoją siostrę.

- W porządku. Wiem, co czujesz. Pamiętasz, jak sześć czy siedem lat temu opuściłem nasze ranczo, mówiąc, że chcę spróbować życia na własną rękę?

- Oczywiście. Złamałeś tym serce rodzicom, bo zawsze traktowali cię jak ukochanego...

- Zawsze traktowali mnie jak dziecko! - przerwał jej najmłodszy St. Jacques. - Odgrywali jakąś kretyńską „Bonanzę”, w której moi trzydziestoparoletni starsi bracia słuchali bez zmrużenia oka starego, bigoteryjnego Kanadyjczyka francuskiego pochodzenia. Jedyną mądrość, jaką dysponował, miała oparcie w pieniądzu i ziemi.

- To nie jest cała prawda, ale nie będę się sprzeczać.

- Nie mogłabyś, Marie, bo robiłaś to samo. Nieraz nie było cię w domu przez cały rok.

- Byłam zajęta.

- Ja też.

- Co robiłaś?

- Zabiłem dwóch ludzi, a właściwie dwie bestie, które wcześniej zgwałciły i zamordowały moją przyjaciółkę.

- Co takiego?

- Nie krzycz tak głośno.

- Mój Boże, jak to się stało?

- Nie chciałem dzwonić do domu, więc skontaktowałem się z twoim mężem, a moim przyjacielem... Tylko on nie traktował mnie jak niedorozwiniętego dzieciaka. Wtedy wydawało mi się to najbardziej logicznym rozwiązaniem i, jak się okazało, była to najlepsza decyzja, jaką mogłem podjąć.

Jego rząd był mu wiele winien, więc z Waszyngtonu natychmiast przysłano do Ottawy odpowiednio dobraną ekipę. Zostałem uniewinniony - wiesz, samoobrona i tak dalej.

- Nigdy mi o tym nie powiedział...

- Błagałem go, żeby tego nie robił.

- A więc dlatego... Ale ja dalej nic nie rozumiem!

- To bardzo proste, Marie. Jakaś część jego umysłu wie, że ja mogę zabić i że to zrobię, jeśli zajdzie potrzeba.

Na patio zapadła cisza, którą przerwał dobiegający z wnętrza domu dzwonek telefonu. Zanim Marie zdążyła odzyskać głos, w drzwiach pojawiła się starsza czarnoskóra kobieta.

- To do pana, panie John. Dzwoni pilot z dużej wyspy. Mówi, że to coś bardzo pilnego, *mon*.

- Dziękuję, pani Cooper - powiedział St. Jacques, wstając z krzeselka, i podszedł szybkim krokiem do drugiego aparatu, stojącego w pobliżu basenu. Rozmawiał przez kilka

chwil, po czym spojrzał na Marie, odłożył z trzaskiem słuchawkę na widełki i wrócił biegiem do swojej siostry.

- Pakuj się! Wyjeżdżacie stąd!

- Dlaczego? Czy to był ten człowiek, który pilotował nasz...

- Właśnie wrócił z Martyniki i dowiedział się, że wczoraj wieczorem ktoś pytał na lotnisku o kobietę z dwojgiem małych dzieci. Nikt z załogi nie puścił pary z ust, na razie. Pośpiesz się.

- Mój Boże, gdzie mamy się ukryć?

- Na razie w pensjonacie, dopóki czegoś nie wymyślę. Prowadzi tam tylko jedna droga, której strzegą patrole. Nikt nie może się tam dostać bez mojej wiedzy. Pani Cooper pomoże ci spakować Alison. Szybko!

W chwili gdy Marie wbiegła do wnętrza domu przez drzwi sypialni, telefon zabrzączał ponownie. Johnny pognął do aparatu przy basenie, a kiedy do niego dotarł, z kuchni wychyliła się pani Cooper.

- To z siedziby gubernatora na Montserrat, panie John.

- Czego oni mogą chcieć, do diabła?

- Mam ich zapytać?

- Nie, ja się nimi zajmę. Proszę pomóc mojej siostrze spakować dzieci i załadować wszystko do rovera. Wyjeżdżają natychmiast, jak tylko będą gotowi.

- Och, to bardzo ogromna szkoda, *mon*. Zaczęłam już się przyjaźnić z maluchami.

- To rzeczywiście bardzo ogromna szkoda - mruknął St. Jacques i pod niósł słuchawkę.

- Tak?

- To ty, John? - usłyszał głos zastępcy gubernatora, człowieka, który szybko się z nim zaprzyjaźnił i pomógł mu zorientować się w gąszczu przepisów obowiązujących w brytyjskiej kolonii.

- Czy mogę zadzwonić do ciebie później, Henry? Trochę się śpieszę.

- Obawiam się, że nie ma na to czasu, koleś. Otrzymałem wiadomość prosto z Foreign Office. Żądają natychmiastowej współpracy, a poza tym to nic strasznego.

- Hę...?

- Zdaje się, że o dziesiątej trzydzięci przylatuje z Antiguy jakiś weteran wojny z żoną. Dziadek nałapał masę odznaczeń, a poza tym współpracował ściśle z sąsiadami z drugiej strony Kanału, więc ma zostać przyjęty z wszelkimi honorami.

- Henry, ja się naprawdę śpieszę. Co to ma wspólnego ze mną?

- Pomyślałem sobie, że możesz nam w tym trochę pomóc. Czy wśród twoich bogatych Kanadyjczyków nie ma jakiegoś frankofona z Montrealu, który w czasie wojny działał w Resistance i mógłby...

- Konkretnie: czego chcesz?

- Umieścić w twoim pensjonacie naszego gościa wraz z małżonką. Będzie potrzebny jeszcze pokój dla pielęgniarki, którą im przydzieliliśmy.

- Tak od razu, bez rezerwacji?

- Cóż, kolego, nie jest wykluczone, że płyniemy w jednej łódce, jeśli można tak się wyrazić, a już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że utrzymanie tak dla ciebie ważnej, a niezbyt dobrze tu działającej łączności telefonicznej bardzo często zależy od osobistej interwencji gubernatora...

- Henry, jesteś znakomitym negocjatorem. Potrafisz z niewinnym uśmiechem kopnąć człowieka tam, gdzie najbardziej boli. Jak się nazywa nasz bohater? Tylko proszę, pośpiesz się!

Nazywamy się Jean Pierre i Reginę Fontaine, *Monsieur le Directeur*. Oto nasze paszporty - powiedział łagodnie podeszły wiekiem mężczyzna do urzędnika biura imigracyjnego, któremu towarzyszył zastępca gubernatora. -Moja żona jest tam - dodał,

wskazując przez przeszkloną ściankę. - Rozmawia z tą *mademoiselle* w białym stroju.

- Ależ proszę, *monsieur Fontaine!* - zaprotestował z przesadnie brytyjskim akcentem barczysty, ciemnoskóry urzędnik. - To tylko taka nieformalna formalność, zwyczajne stemplowanie, jeśli pan woli. Także po to, żeby uchronić pana przed wielbicielami. Po lotnisku chodziły plotki, że przyjedzie wielki człowiek.

- Doprawdy? - uśmiechnął się uprzejmie Fontaine.

- Och, ale proszę się wcale nie obawiać. Zakazaliśmy prasie dostępu do pana. Wiemy, że chce pan mieć zupełną prywatność i zapewnimy ją panu.

- Doprawdy? - powtórzył Fontaine, tym razem bez uśmiechu. - Miałem się tutaj spotkać z... ze znajomym. To bardzo ważna sprawa. Mam na dzieję, że przedsięwzięte przez was środki ostrożności nie uniemożliwią mu dostępu do mnie?

- W budynku dworca lotniczego powita pana niewielka grupka starannie wyselekcjonowanych gości - odezwał się zastępca gubernatora. - Może my już iść, jeśli jest pan gotowy. Zapewniam pana, że to nie potrwa długo.

- Naprawdę?

Rzeczywiście, powitanie nie trwało nawet pięciu minut, ale w zupełności wystarczyłoby nawet pięć sekund. Pierwszą osobą, jaką spotkał wysłannik Szakala, był udekorowany odznaczeniami gubernator archipelagu. W chwili gdy przedstawiciel królowej objął francuskiego bohatera, wyszeptał mu do ucha:

- Wiemy, gdzie jest kobieta z dziećmi. Wysyłamy cię tam. Pielęgniarka przekaze ci dalsze instrukcje.

Pozostała część uroczystości powitania sprawiła staremu człowiekowi pewien zawód. Szczególnie rozczarował go brak przedstawicieli prasy, do tej pory bowiem tylko raz widział swoje zdjęcie w gazecie, w kronice kryminalnej.

Doktor Morris Panov był bardzo nerwowym człowiekiem, ale zawsze starał się nad sobą panować, gdyż okazywanie gwałtownych emocji nigdy nie przynosiło korzyści ani jemu, ani jego pacjentom. Tym razem jednak, siedząc za biurkiem w swoim gabinecie, zachowywał pozorny spokój jedynie z najwyższym trudem. Nie miał żadnych wiadomości od Davida Webba. Musiał je mieć, musiał z nim porozmawiać. Czy oni nie rozumieją, że to, co się dzieje, może zniweczyć trzynaście lat terapii? Nie, oczywiście że nie rozumieją. W gruncie rzeczy w ogóle ich to nie interesuje. Dążą do zrealizowania swoich celów i nie obchodzi ich nic, co nie mieści się w ich polu widzenia. Ale on musi o tym myśleć. Zrujnowany umysł był tak delikatny, tak bardzo podatny na wstrząsy, a zmory z przeszłości gotowe były w każdej chwili wrócić z ukrycia i zawładnąć teraźniejszością... Nie, Davidowi nie może się nic stać! Jego powrót do normalności był bliski jak nigdy dotąd. (Tylko kto, do diabła, był normalny w tym popieprzonym świecie?) Mógł znakomicie funkcjonować jako nauczyciel akademicki, bo odzyskał niemal całą swoją zawodową wiedzę, a z każdym rokiem odnajdywał coraz więcej okrucich ukrytych do tej pory pod pyłem zapomnienia. Teraz jednak wystarczył jeden jedyny akt przemocy, stanowiący sposób życia i metodę działania Jasona Bourne'a, żeby ta krucha konstrukcja rozpadła się na kawałki. Niech to szlag trafi!

Groźne było już nawet to, że w ogóle pozwolili Davidowi pozostać w bezpośrednim kontakcie ze sprawą. Mo usiłował wytłumaczyć to Conklinowi, ale otrzymał niemożliwą do skontrowania odpowiedź: „Nie damy rady go powstrzymać. W ten sposób przynajmniej mamy go na oku i możemy go chronić”. Oni nie żalowali środków, jeśli chodziło o ochronę - korytarza przed gabinetem Panova i dachu budynku pilnowali uzbrojeni strażnicy, nie wspominając już o nowym recepcjonście w holu budynku wyposażonym w broń i tajemniczy komputer oddany im do dyspozycji. Mimo wszystko dla Davida byłoby znacznie lepiej, gdyby uspiono go i wywieziono wraz z rodziną na tę karaibską wysepkę, a polowaniem na

Szakala zajęli się profesjonaliści... Panov aż drgnął, gdyż niemal w tej samej chwili uświadomił sobie, że Jason Bourne był najlepszym profesjonalistą, jakiego można sobie było wymarzyć. Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Słuchawkę mógł podnieść dopiero wtedy, gdy zostaną uruchomione wszystkie środki ostrożności: podsłuch, blokada innych podsłuchów, wyszukiwanie lokalizacji rozmówcy. Zamrugało światelko stojącego na biurku interkomu; Panov wcisnął guzik.

- Tak?

- Wszystko gotowe, proszę pana - oznajmił nowy recepcjonista, jedyny z personelu, który był wprowadzony w sprawę. - Dzwoni niejaki pan Treadstone, D. Treadstone.

- Proszę łączyć - odparł natychmiast Panov. - Może pan wyłączyć wszystkie zabezpieczenia. To ściśle prywatna sprawa między lekarzem a pacjentem.

- Tak jest, proszę pana. Monitorowanie przerwane.

- Proszę?... Zresztą, nieważne. - Psychiatra podniósł gwałtownie słuchawkę. - Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej, ty sukinsynu? – niemal krzyknął.

- Dlatego że nie chciałem, żebyś dostał zawału serca.

- Gdzie jesteś i co robisz?

- W tej chwili?

- Na razie tak.

- Niech się zastanowię... Właśnie wypożyczyłem samochód i jestem o przecznicę od domu w Georgetown, w którym mieszka przewodniczący Federalnej Komisji Handlu. Zdaje się, że rozmawiam z tobą przez telefon.

- Na litość boską, po co to wszystko?!

- Aleks wszystko ci wytłumaczy. Mam do ciebie prośbę: zadzwoń do Marie na wyspę. Próbowałem kilka razy od wyjścia z hotelu, ale nie mogę się połączyć. Powiedz jej, że nic mi nie jest, czuję się znakomicie i proszę ją, żeby się o nic nie martwiła. Zapamiętałeś?

- Zapamiętałem, ale ci nie wierzę. Nawet mówisz jakoś inaczej niż zwykle.

- Tego nie wolno ci jej powtórzyć, doktorku. Jeżeli jesteś moim przyjacielem, nie możesz jej tego powtórzyć.

- Pograżasz się coraz bardziej, Davidzie. Nie wolno ci tego robić. Przyjedź do mnie, porozmawiaj ze mną!

- Nie mam czasu, Mo. Mój tłusty kocur właśnie parkuje na podjeździe. Muszę się brać do roboty.

- Jason!

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Brendan Patrick Pierre Prefontaine zszedł po metalowych schodkach samolotu na rozgrzaną promieniami słońca nawierzchnię lotniska Blackburne na karaibskiej wyspie Montserrat. Było kilka minut po trzeciej po południu i gdyby nie kilkanaście tysięcy dolarów, które miał w kieszeniach, z pewnością czułby się nieco zagubiony. Niewiarygodne, w jak wielkim stopniu kilkadziesiąt studolarowych banknotów potrafi wzmóc poczucie bezpieczeństwa. Bez przerwy powtarzał sobie (by nie sprawić przez pomyłkę wrażenia szastającego ostentacyjnie wielkimi sumami bogacza), że drobne - pięćdziesiątki, dwudziestki i dziesiątki - ma w prawej przedniej kieszeni spodni. Najistotniejsze było uniknięcie jakiegokolwiek rozgłosu i trzymanie się w jak najgłębszym cieniu. Musiał tak dyskretnie, jak to tylko było możliwe, wypytać pracowników lotniska o kobietę z dwojgiem dzieci, która wczorajszego popołudnia przyleciała na wyspę niewielkim prywatnym samolotem.

Dlatego właśnie zamarł z przerażenia, kiedy prześliczna czarnoskóra urzędniczka odłożyła słuchawkę telefonu i zwróciła się do niego grzecznie:

- Czy byłby pan uprzejmy pójść ze mną, sir?

Jej urocza, uśmiechnięta twarz ani odrobinę nie osłabiła czujności byłego sędziego. Widział już zbyt wielu przestępców wyglądających jak niewinne aniołki.

- Czy coś nie tak z moim paszportem, młoda damo?
- W żadnym wypadku, proszę pana.
- Więc po co to opóźnienie? Dlaczego go pani po prostu nie podstempluje i nie pozwoli mi przejść?

- Och, paszport jest już podstemplowany, proszę pana, i może pan przejść w każdej chwili.

- W takim razie, dlaczego...

- Proszę ze mną, sir.

Podeszli do przeszklonego sześcianu, na którego szybie widniał sporządzony ze złotych liter napis, zdradzający funkcję osoby zajmującej to pomieszczenie: WICEDYREKTOR URZĘDU MIGRACYJNEGO. Atrakcyjna urzędniczka otworzyła drzwi i zachęciła gestem starszego mężczyznę, żeby wszedł do środka. Prefontaine uczynił to, spodziewając się najgorszego - rewizji, ujawnienia pieniędzy, poważnych zarzutów. Nie wiedział, czy akurat przez te wyspy przebiega trasa przetransportowania narkotyków, lecz gdyby tak było, tysiące dolarów znalezione w jego kieszeniach natychmiast uczyniłyby go podejrzanym. Usiłował naprędce przygotować jakieś wiarygodne wyjaśnienie. Urzędniczka podała tymczasem jego paszport również ciemnoskóremu, barczystemu, siedzącemu za biurkiem mężczyźnie, a następnie odwróciła się, obdarzyła Brendana jeszcze jednym olśniewającym uśmiechem i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Pan Brendan Patrick Pierre Prefontaine... - mruknął z namysłem Murzyn, otworzywszy paszport.

- Co prawda nie jest to najistotniejsze - powiedział uprzejmie, lecz z godnością Brendan - ale zwykle po słowie „pan” słyszę jeszcze słowo „sędzia”. Rzecz jasna nie wiem, czy to ma w tej chwili jakieś znaczenie, choć wydaje mi się, że powinno. Czyżby któryś z moich pomocników popełnił jakąś pomyłkę? Jeśli tak, przyślę ich tu wszystkich z przeprosinami.

- Ależ, skądże znowu... panie sędzio - odparł z przesadnie brytyjskim akcentem urzędnik, wstając zza biurka i wyciągając rękę. - Nie jest wykluczone, że to ja popełniłem błąd.

- Wszystkim to się zdarza od czasu do czasu, kapitanie - zauważył sentencjonalnie Brendan, ściskając czarną dłoń. - Jeśli tak jest w istocie, to czy mógłbym już iść? Jestem z kimś umówiony.

- On też to powiedział!

- Proszę? - zapytał ze zdziwieniem Prefontaine.

- Czy wolno mi móc prosić o pańską... konfidencjonalność?

- O co? Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Wiem doskonale, że dyskrecja - wicedyrektor Urzędu Imigracyjnego Montserrat wymówił to słowo jako „diskrecja” - jest sprawą najwyższej wagi. Dano nam to całkowicie do zrozumienia, ale my staramy się zawsze dostarczać wszelkiej pomocy i służyć ze wszystkich sił Koronie.

- Jest to ze wszech miar godne pochwały, aleja nadal nic nie rozumiem, pułkowniku.

Urzędnik zniżył głos.

- Czy wie pan o tym, że dziś rano przybył do nas nadzwyczaj ważny człowiek?

- Jestem pewien, że wielu ważnych ludzi przybywa na waszą piękną wyspę. Mnie osobiście bardzo ją polecano.

- Ach, rozumiem! Dyskrecja...

- Tak, oczywiście, dyskrecja... - zgodził się były sędzia, zastanawiając się całkiem poważnie, czy czarnemu oficjelowi nie brakuje przypadkiem którejś klepki. - Czy byłby pan łaskaw wyrażać się nieco jaśniej?

- Otóż, on także nam powiedział, że pragnie się nadzwyczaj z kimś spotkać,

najzupełniej prywatnie i dyskretnie, bez dziennikarzy, ma się oczywiście rozumieć, ale potem wsiadł szybko do samolotu lecącego na jedną z naszych mniejszych wysp, więc wygląda na to, że jednak nie udało mu się spotkać z tym kimś, z kim chciał się bardzo pilnie widzieć. Czy teraz już wszystko jasne?

- Jak bostoński port w największą mgłę, generale.
- Rozumiem, dyskrecja... W związku z tym, o czym pana poinformowałem, cały nasz personel z największą uwagą szuka przyjaciela, który być może szuka tu swego przyjaciela, z którym miał się spotkać. Wszystko jak najbardziej konfidencjonalnie, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć - przytaknął mu Brendan. To kompletny wariat, pomyślał.
- Ja jednak błyskawicznie wziąłem pod uwagę inną możliwość - kontynuował triumfalnym tonem Murzyn. - Przypuśćmy, że przyjaciel wybitnej osobistości nie czekał na niego, ale miał tu przylecieć innym samolotem, żeby tutaj spotkać się z nim?

- Genialne.
- I jakże wspaniale logiczne. Przejrzałem listy pasażerów wszystkich samolotów, które mają dzisiaj do nas przylecieć, koncentrując się pilnie na pierwszej klasie, ma się rozumieć, bo jakąż inną mógłby podróżować osobisty przyjaciel tak wielkiej osobistości?

- Jest pan prawdziwym jasnowidzem - mruknął były sędzia. - I wybrał pan właśnie mnie?

- Nazwisko, szanowny panie! Pierre Prefontaine!
- Moja pobożna, nieżyjąca matka bez wątpienia obraziłaby się na pana, gdyby usłyszała, że opuścił pan Brendana i Patricka. Irlandczycy, tak samo jak Francuzi, są bardzo drażliwi na tym punkcie.

- To rodzina! Natychmiast błyskawicznie to pojąłem!
- Doprawdy?
- Pierre Prefontaine i Jean Pierre Fontaine! Jestem istotnym specjalistą we wszelkich sprawach związanych z imigracją, badając ściśle te zagadnienia w wielu krajach. Pańskie nazwisko stanowi wyśmienity przykład, szanowny panie sędzio. Fala za falą fale emigrantów napływały do Stanów Zjednoczonych, tego wielkiego garnka topiącego w jedną masę rasy, języki i narody. W procesie tym wiele nazwisk przeinaczonych lub pomyślonych przez przepracowanych, zagubionych urzędników ulegało zmianom. Ich rdzenie częstokroć jednak pozostawały bez zmian, co się stało w pańskim przypadku. Rodzina Fontaine przemieniła się w Stanach w Prefontaine, a rzekomy przyjaciel wybitnego człowieka jest w gruncie rzeczy szacownym członkiem amerykańskiego odgałęzienia rodziny!

- Doprawdy zdumiewające - wymamrotał Brendan, zerkając kątem oka na drzwi w oczekiwaniu na to, że lada chwila wpadną przez nie sanitariusze z kaftanem bezpieczeństwa. - Czy jednak nie wziął pan pod uwagę możliwości, że to może być jedynie przypadek? Fontaine jest dość popularnym nazwiskiem w całej Francji, ale przynajmniej z tego, co wiem, nazwisko Prefontaine spotyka się głównie w Alzacji i Lotaryngii.

- Tak, oczywiście - odparł wicedyrektor Urzędu Imigracyjnego, ponownie zniżając głos i mrugając porozumiewawczo. - Jednak zupełnie całkiem zniecka dzwoni Quai d'Orsay² z Paryża, a potem brytyjskie Foreign Office zawiadamia nas, że spadnie z nieba wybitny człowiek. Powitajcie go, ugośćcie, zawieźcie do znakomitego, odosobnionego miejsca wypoczynku...

Wszystko, ma się naturalnie rozumieć, z zachowaniem ścisłej dyskrecji. Ale wielki człowiek jest zaniepokojony, bo miał się tajemnie spotkać ze znajomym, którego nie spotyka. Być może ma jakieś tajemnice, tak jak wszyscy wielcy ludzie.

Nagle Prefontaine poczuł, że wypychające mu kieszenie banknoty nabierają ciężaru

² Przy Quai d'Orsay w Paryżu mieści się siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji (przyp. tłum.).

ołowiu. W Bostonie nadesłany z Waszyngtonu kod Cztery--Zero, w Paryżu Quai d'Orsay, w Londynie Foreign Office, Randolph Gates szastający w panice wielkimi sumami pieniędzy... Wszystko to były fragmenty dziwnej układanki, z których najdziwniejszy stanowił przerażony, pozbawiony skrupułów prawnik nazwiskiem Gates. A może został w to uwikłany zupełnie przypadkowo? Co to wszystko mogło znaczyć?

- Jest pan nadzwyczaj przenikliwym człowiekiem - powiedział Brendan, starając się zatuszować zmieszanie i zaskoczenie. - Ma pan niewiarygodnie bystry umysł, ale z pewnością sam pan rozumie, że istotnie najważniejsza w tej chwili jest konfidencjonalność.

- Nie trzeba mi nic więcej, szanowny panie sędzio! - wykrzyknął czarnoskóry urzędnik. - Oczywiście, gdyby pańska pochlebna ocena mojej postawy dotarła do moich zwierzchników...

- Dotrze, może pan być tego pewien. Jeśli wolno zapytać: dokąd dokładnie udał się mój szacowny kuzyn?

- Na małą wysepkę, do której można się dostać jedynie hydroplanem. Nazywa się Wyspą Spokoju, tak samo jak jedyny pensjonat, który się na niej znajduje.

- Może pan być pewien, że pańscy przełożeni osobiście panu podziękują.

- A ja będę panu osobiście towarzyszył podczas odprawy celnej. Brendan Patrick Pierre Prefontaine nie posiadał się ze zdumienia, kiedy

po skróconych do minimum formalnościach wyszedł do holu dworca lotniczego Blackburne. Jeśli chodzi o ścisłość, był po prostu oszołomiony. Nie mógł się zdecydować, czy wracać pierwszym samolotem do Bostonu, czy... Nogi podjęły decyzję za niego. Z lekkim zdziwieniem stwierdził, że kieruje się w stronę kontuaru stojącego pod dużym niebieskim znakiem z białym napisem: WEWNĘTRZNE LINIE LOTNICZE. Kto pyta, nie błądzi, pomyślał. Zaraz potem kupił bilet do Bostonu.

Na ścianie za kontuarem wisiała lista wysp, z którymi utrzymywano regularną komunikację lotniczą. Oprócz tak znanych jak St. Kitts i Nevis znajdowały się tam również mniej popularne, a wśród nich także Wyspa Spokoju, wciśnięta między Kanadyjską Rafę a Żółwią Skalę. Dwoje młodych, co najwyżej dwudziestoletnich, urzędników rozmawiało ze sobą przyciszonymi głosami. Dziewczyna przerwała rozmowę i podeszła do Brendana.

- Czym mogę panu służyć, sir?

- Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem... - odparł z wahaniem Prefontaine. - Wydaje mi się, że jeden z moich przyjaciół powinien być teraz na Wyspie Spokoju...

- W pensjonacie?

- Chyba tak. Jak długo tam się leci?

- Przy dobrej pogodzie nie więcej niż piętnaście minut, ale musi pan wynająć mały hydroplan, a to będzie możliwe dopiero jutro rano.

- Nieprawda, malutka - wtrącił się młody mężczyzna. Brendan dopiero teraz zauważył, że chłopak ma wpięte w kieszonkę koszuli małe złote skrzydełka. - Niedługo będę leciał z zaopatrzeniem dla Johnny'ego St. Jacques - dodał wyjaśniającym tonem.

- Przecież on nie był zapisany na dzisiaj?

- Od godziny już jest. To pilne.

Dokładnie w tej chwili Prefontaine dostrzegł ze zdumieniem dwa ogromne pudła, przesuwane się powoli po taśmociągu w kierunku wyjścia na płytę lotniska. Nawet gdyby miał czas na zastanowienie, to i tak by z niego nie skorzystał. Wiedział, że już podjął decyzję.

- Chętnie kupiłbym bilet na ten lot, jeśli to możliwe - powiedział, od prowadzając spojrzeniem niknące za plastikową kotarą kartony z odżywka mi niemowlęcymi firmy Gerber i jednorazowymi pieluszkami.

Udało mu się odnaleźć tajemniczą kobietę podróżującą w towarzystwie dwojga małych dzieci.

Rozdział 8

Rutynowy wywiad przeprowadzony w Federalnej Komisji Handlu potwierdził, iż przewodniczący, Albert Armbruster, rzeczywiście cierpi na wrzód żołądka i nadciśnienie i zgodnie z zaleceniem lekarza zawsze, gdy da mu się we znaki któraś z tych dolegliwości, opuszcza biuro i udaje się do domu. Właśnie z tego powodu Aleks Conklin zadzwonił do niego zaraz po lunchu - godzinę, o której przewodniczący Komisji jadał ten posiłek, dało się ustalić bez większych kłopotów - i poinformował o kryzysie związanym z Królową Wężów. Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy wyciągnął Armbrustera spod prysznicu, tak i dziś powiedział przerażonemu dygnitarzowi, że ktoś się z nim skontaktuje albo w biurze, albo w domu, przedstawiając się po prostu jako Kobra. („Używaj najbardziej banalnych, ale wywołujących mocne skojarzenia słów, jakie przychodzą ci na myśl” - tak mówiła ewangelia według świętego Conklina). Tymczasem, rzecz jasna, Armbrusterowi nie wolno przed nikim puścić pary z gęby. Takie są rozkazy Szóstej Floty. O, Boże!

Albert Armbruster natychmiast wezwał swój rydwan i ogarnięty niepokojem kazał się odwieźć do domu. Nie był to jednak koniec przewidzianych na ten dzień atrakcji, czekał bowiem na niego Jason Bourne.

- Dzień dobry, panie Armbruster - odezwał się przyjaźnie nieznajomy, kiedy przewodniczący wygramolił się z tylnego siedzenia limuzyny.

- Słucham? - zapytał niepewnie Armbruster.

- Powiedziałem tylko „dzień dobry”. Nazywam się Simon. Spotkaliśmy się kilka lat temu w Białym Domu na przyjęciu dla Kolegium Szefów Sztabu...

- Mnie tam na pewno nie było - przerwał mu gwałtownie przewodniczący.

- Doprawdy? - Nieznajomy uniósł z niedowierzaniem brwi, choć jego głos nie stracił nic z uprzejmości.

Kierowca zatrzasnął drzwiczki i zwrócił się z szacunkiem do swego chlebodawcy:

- Panie przewodniczący, czy będzie pan jeszcze...

- Nie, nie! - Armbruster pokręcił szybko głową. - Jesteś wolny Dzisiaj już nigdzie nie jadę.

- Jutro rano o tej samej porze co zwykle, sir?

- Tak, chyba że otrzymasz inne polecenia. Niezbyt dobrze się czuję, więc lepiej przedtem upewnij się w biurze.

- Dobrze, proszę pana. - Kierowca dotknął palcami daszka czapki i zajął miejsce w samochodzie.

- Przykro mi to słyszeć - odezwał się nieznajomy, kiedy limuzyna odjechała z cichym szmerem silnika.

- Co?... A, to pan. Nigdy nie byłem w Białym Domu na takim przyjęciu!

- Więc zapewne było to przy innej okazji...

- Tak, na pewno. Miło mi pana znowu widzieć - burknął niecierpliwie Armbruster i ruszył w kierunku schodów prowadzących do jego domu.

- Ale z drugiej strony jestem niemal pewien, że przedstawił nas sobie admirał Burton...

Dygnitarz zatrzymał się jak wryty i odwrócił się raptownie w stronę nieznajomego.

- Co pan powiedział?

- Nie będę tracił więcej czasu - odparł Jason Bourne tonem, w którym nie sposób było doszukać się śladów niedawnej uprzejmości. - Jestem Kobra.

- O, Boże... Ja naprawdę źle się czuję... - wyszeptał ochryple Armbruster, obrzucając jednocześnie szybkim spojrzaniem drzwi i okna swego domu.

- Poczuj się pan znacznie gorzej, jeśli zaraz nie porozmawiamy - powiedział Jason, kierując wzrok w tę samą stronę. - Tam, w pańskim domu?

-Nie! - wyskrzecztał rozpaczliwie dygnitarz. - Ona miała ozorem bez chwili przerwy i chce wiedzieć wszystko o wszystkich, a potem rozgaduje to po całym mieście; w dodatku wszystko wyolbrzymia!

- Przypuszczam, że mówi pan o swojej żonie?

- One wszystkie są takie! Nigdy nie wiedzą, kiedy należy trzymać język za zębami.

- Może po prostu nikt z nimi nigdy nie rozmawia?

- Co takiego?

- Nieważne. Mój samochód stoi przy następnej przecznicy. Wytrzyma pan krótką przejażdżkę?

- Lepiej, żebym wytrzymał. Zatrzymamy się przy aptece na końcu ulicy. Wiedzą, co biorę... Kim pan jest, do diabła?

- Już panu powiedziałem - odparł Bourne. - Nazywam się Kobra. To taki wąż.

- Boże...! - wyszeptał po raz kolejny Albert Armbruster.

Aptekarz błyskawicznie dostarczył potrzebne leki, po czym Jason podjechał do pobliskiego baru, który wybrał na tę okazję godzinę wcześniej. Wnętrze było ciemne, wypełnione głębokimi cieniami, ścianki przepierzeń wysokie, chroniące gości przed ciekawskimi spojrzeciami. Atmosfera tajemniczości była wręcz niezbędna, gdyż tylko wtedy pytania, zadawane ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w oczach Armbrustera, mogły odnieść pożądany skutek. Delta ponownie przystąpił do działania. David Webb nie miał już nic do powiedzenia.

Przyniesiono im drinki.

- Przede wszystkim musimy ustalić rozmiary zniszczeń, jakie mogą powstać, gdyby kogoś z nas poddano chemointerrogacji - powiedział cicho Jason.

- Co to znaczy, do diabła? - Armbruster wlał w siebie jednym ruchem znaczną część zawartości szklanki i złapał się z grymasem bólu za brzuch.

- Narkotyki i środki zmuszające do mówienia prawdy.

- Co?

- Wszedł pan w nie swoją grę - ciągnął dalej Jason, pamiętając o pouczeniach Conklina. - Musimy myśleć przede wszystkim o obronie, bo w tej rozgrywce nikt nie zwraca uwagi na konstytucyjne prawa.

- Więc kim pan właściwie jest? - Przewodniczący Federalnej Komisji Handlu beknął, po czym drżącą dłonią podniósł szklankę do ust. - Jednoosobową grupą uderzeniową? John Doe wie więcej, niż powinien, więc dostaje kulę w łeb w bocznej uliczce?

- Niech pan nie będzie śmieszny. Takie metody nie przyniosłyby żadnego rezultatu. Wręcz przeciwnie, podsunęlibyśmy wtedy trop tym, którzy chcą nas znaleźć.

- W takim razie o co panu chodzi?

- O ocalenie nam skóry, a co za tym idzie, także naszej reputacji i sposobu życia.

- Jak chce pan to osiągnąć?

- Zajmijmy się konkretnie naszym przypadkiem, zgoda? Jak sam pan przyznał, jest pan chorym człowiekiem. Kierując się zaleceniami lekarza, mógłby pan zrezygnować z urzędu, a wtedy my byśmy się panem zajęli... „Meduza” by się panem zajęła. - Wyobraźnia Jasona pracowała na najwyższych obrotach, zapuszczając badawcze macki na przemian w świat rzeczywistości i fantazji, poszukując słów pochodzących z ewangelii według świętego Aleksa. - Cieszy się pan opinią zamożnego człowieka, więc moglibyśmy na pańskie nazwisko zakupić luksusową willę lub jakąś małą karaibską wysepkę, gdzie byłby pan całkowicie bezpieczny. Kontaktować z panem mogliby się wyłącznie ci, którym by pan na to zezwolił, co oznaczałoby całkowite zabezpieczenie przed kłopotliwymi pytaniami i wścibstwem niepowołanych osób. Zapewniam pana, że takie rozwiązanie jest całkowicie możliwe.

- Ale niezbyt atrakcyjne - odparł Armbruster. - Miałbym być ciągle sam na sam z tą czarownicą? Zabiłbym ją!

- Wcale nie - powiedział Kobra. - Zapewniono by panu ciągle urozmaicenia. Kiedy tylko by pan zechciał, pojawialiby się goście, których pragnąłby pan widzieć, a także wybrane według pańskiego gustu kobiety. Życie toczyłoby się niemal tak samo jak do tej pory - trochę kłopotów, trochę przyjemnych niespodzianek. Najważniejsze jest to, że byłby pan bezustannie chroniony, niedostępny dla nikogo niepowołanego, a dzięki temu także i my moglibyśmy czuć się bezpieczni... Jednak, jak już wspomniałem, takie rozwiązanie jest w tej chwili czysto hipotetyczne. Jeśli mam być szczerzy, w moim przypadku nie ma innego wyboru, gdyż wiem właściwie wszystko o wszystkim. Wyjeżdżam za kilka dni. Do tego czasu muszę ustalić, kto uczyni to także, a kto zostanie na miejscu... Jak wiele pan wie, panie Armbruster?

- Jak sam pan rozumie, nie mam nic wspólnego z bieżącymi operacjami. Zajmuję się raczej strategią niż taktyką. Tak jak pozostali raz w miesiącu otrzymuję zaszyfrowany teleks z Zurychu zawierający listę depozytów i firm, nad którymi przejmujemy kontrolę, i to właściwie wszystko.

- Na razie nie zasłużył pan sobie jeszcze na wille.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli chcę ją mieć, a nawet gdybym chciał, to sam bym ją sobie kupił! Na koncie w Zurychu mam prawie sto milionów dolarów.

Bourne z trudem zdołał ukryć zaskoczenie.

- Na pana miejscu zbytnio bym się tym nie chwalił.

- A komu mam o tym powiedzieć? Tej jędzy?

- Ilu spośród nas zna pan osobiście?

- Właściwie nikogo, ale przecież oni też mnie nie znają... Do licha, oni nikogo nie znają. Właśnie, skoro już jesteśmy przy tym temacie: weźmy pana na przykład. Nigdy o panu nie słyszałem. Domyślam się, że pracuje pan dla kierownictwa, a zresztą powiedziano mi, że mam się pana spodziewać, ale pana nie znam.

- Zostałem zaangażowany na specjalnych warunkach. Jestem specjalistą od kamuflażu.

- Tak właśnie pomyślałem, że...

- Co z Szóstą Flotą? - przerwał mu Bourne, zmieniając temat rozmowy.

- Widuję się z nim od czasu do czasu, ale wątpię, czy wymieniliśmy w sumie więcej niż dziesięć słów. On jest wojskowym, a ja cywilem do szpiku kości.

- Kiedyś pan nim nie był. Wtedy, kiedy wszystko się zaczęło.

- Oczywiście, że byłem! Jeszcze nigdy sam mundur nie uczynił nikogo żołnierzem.

- A co z naszymi generałami w Brukseli i Pentagonie?

- Zależało im na karierze, więc zostali w armii. Ja wystąpiłem.

- Musimy spodziewać się przecieków i plotek - powiedział Bourne jakby do siebie, rozglądając się od niechcienia po wnętrzu lokalu - ale nie możemy dopuścić do tego, żeby wyszły na jaw nasze powiązania z armią.

- Chodzi panu o coś w rodzaju junty?

- Nigdy! - odparł Bourne, wpatrując się ostro w Armbrustera. - Takie pogłoski nie przechodzą bez echa, a wtedy...

- Może pan sobie nie zawracać tym głowy! - wyszeptał gniewnie przewodniczący Federalnej Komisji Handlu. - Szósta Flota, jak go pan nazywa, wydaje rozkazy tylko tutaj i nigdzie indziej. To facet z jajami, ma znajomości tam, gdzie ich potrzebujemy, ale wykorzystujemy go wyłącznie w Waszyngtonie.

- Pan o tym wie i ja wiem - odparł Jason, po raz kolejny kryjąc zaskoczenie - ale ktoś, kto od piętnastu lat przebywał pod kuratelą rządu, zaczął wszystko składać do kupy. Trop, którym ruszył, prowadzi prosto do Sajgonu.

- Rzeczywiście, wszystko się tam zaczęło, ale na pewno tam nie pozostało. Żołnierzyki nie daliby rady sami się z tego wywinąć, to jasne jak słońce... Rozumiem, do czego pan

zmierza. Jeśli kiedykolwiek ktoś skojarzy szycę z Pentagonu z kimś takim jak my, sępy z Kongresu rzuca się na to w okamgnieniu i sprawa błyskawicznie nabierze rozgłosu.

- Do czego nie wolno nam dopuścić - uzupełnił Bourne. Armbruster skinął głową.

- Zgadzam się z panem. Czy jesteśmy już blisko ustalenia nazwiska sukinsyna, który zaczął w tym grzebać?

- Bliżej, ale nie blisko. Kontaktował się z Langley - niestety, nie wiemy, na jakim szczeblu.

- Langley? Na litość boską, przecież my tam mamy naszego człowieka! Powęszy i dowie się, kto to jest!

- DeSole? - podsunął Kobra.

- Tak jest. - Armbruster pochylił się w stronę rozmówcy. - Pan naprawdę wie prawie wszystko. Trzymamy to do jęścia w ścisłej tajemnicy. Co powie dział DeSole?

- Nic, bo nie możemy z niego skorzystać - odparł Jason, usiłując błyskawicznie znaleźć jakąś prawdopodobną odpowiedź. Zbyt długo był Davidem Webbem! Conklin miał rację: nie myśli już tak szybko jak dawniej. W ułamek sekundy potem pojawiły się potrzebne słowa... Część prawdy, nawet niebezpiecznie duża część, ale dzięki temu nie straci wiarygodności. Nie mógł sobie na to pozwolić. - Podejrzewa, że trafił pod lupę, więc musimy trzymać się od niego z daleka, dopóki sam się nie zgłosi.

- Jak to się stało? - Armbruster zacisnął palce na szklance i wybałuszył oczy.

- Ktoś odkrył, że Teagarten w Brukseli dysponuje specjalnym, tajnym numerem faksu łączącym go bezpośrednio z DeSole'em, z pominięciem standardowych procedur zabezpieczających.

- Cholerne, durne żołnierzyki! - parsknął z wściekłością Armbruster. - Dać im parę gwiazdek, a zaczną hasać jak niedorozwinięci debiutanci i wy ciągać łapy po każdą nową zabawkę, jaką zobaczą! Tajne numery, dobre sobie! Pewnie stuknął nie w ten klawisz, co trzeba, i połączył się ze Stowarzyszeniem na rzecz Rozwoju Ludzi o Odmiennym Kolorze Skóry!

- DeSole twierdzi, że tworzy sobie alibi i że. nic mu nie grozi, ale to na pewno nie jest odpowiednia pora, żeby laził po biurach i zadawał ciekawskie pytania. Sprawdzi po cichu to, co może, i jeśli coś znajdzie, da nam znać, ale my mamy zostawić go w spokoju.

- Można się było domyślić, że jeśli coś się zawali, to przez jakiegoś chłopczyka w mundurze! Przecież gdyby nie ten osioł i jego tajny numer faksu wszystko byłoby w porządku, tak jak do tej pory!

- Jednak co się stało, to się nie odstanie, i trzeba się z tym pogodzić - powiedział spokojnie Bourne. - Powtarzam: musimy się ukryć. Niektórzy z nas będą musieli na jakiś czas wyjechać dla dobra wszystkich.

Przewodniczący Federalnej Komisji Handlu wydał pogardliwie wargi i rozparł się wygodnie na krześle.

- Powiem coś panu, Simon, czy jak pan się nazywa. Zabrał się pan za niewłaściwych ludzi. Jesteśmy biznesmenami, a choć niektórzy z nas są wystarczająco próżni lub bogaci, żeby pracować na rządowych posadach, nie zmienia to faktu, że prowadzimy rozległe interesy, wymagające naszej stałej obecności. Poza tym nie wybiera się nas, tylko mianuje, co oznacza, że nikt nie wymaga od nas ujawniania całości dochodów. Czy rozumie pan już, do czego zmierzam?

- Nie jestem pewien - odparł Jason. Z niepokojem uświadomił sobie, że traci inicjatywę i rozmowa wymyka mu się spod kontroli. Zbyt długo mu nie było... Poza tym Albert Armbruster nie był głupcem. Początkowo uległ panice, ale pod tą mało odporną na stresy ochronną warstwą krył się chłodny, analityczny umysł. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Pozbądźcie się naszych żołnierzyków. Kupcie im wille albo kilka wysp Karaibach i usuńcie ich z pola widzenia. Urządźcie im małe, prywatne królestwa, w których

byliby prawdziwymi władcami, bo w gruncie rzeczy o nic innego im nie chodzi.

- Mielibyśmy działać bez nich? - zapytał Bourne, starając się ukryć za skoczenie.
 - Pan to powiedział, a ja się z tym zgadzam. Jeśli tylko wyjdzie na jaw, że macza w tym palce jakaś wojskowa szycha, zaczną się poważne kłopoty. To wszystko podpada pod określenie „kompleks przemysłowo — wojskowy”, co w gruncie rzeczy oznacza tyle samo co „zmowa przemysłowców z wojskowymi”. - Armbruster ponownie nachylił się nad stolikiem.
 - Już ich nie potrzebujemy! Trzeba się ich pozbyć!
 - Mogą się odezwać głosy protestu...
 - Nic z tych rzeczy. Trzymamy ich za jaja.
 - Muszę to sobie przemyśleć.
 - Nie ma nad czym myśleć. Już za pół roku będziemy mieli w Europie swoich ludzi.
- Jason Bourne przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz przewodniczącego Federalnej Komisji Handlu. Jakich ludzi? Dlaczego? Po co?
- Odwiozę pana do domu - powiedział.

Rozmawiałem z Marie - powiedział Conklin do telefonu w apartamencie CIA w Wirginii. - Nie jest w waszym domu, tylko w pensjonacie.

- Dlaczego? - zapytał Jason, stojąc w budce telefonicznej przy stacji benzynowej na przedmieściu Manassas.

- Nie wyrażała się zbyt jasno... Zdaje się, że to była pora lunchu albo obiadu, kiedy matki nigdy nie mają czasu, żeby wszystko dokładnie opowiedzieć. Cały czas słyszałem twoje dzieci. Człowieku, ależ one mają płuca!

- Aleks, co powiedziała Marie?

- Zdaje się, że to zarządzenie twojego szwagra. Nie rozwodziła się nad tym, ale poza tym, że sprawiała wrażenie dosyć zagonionej, wydawała mi się tą samą Marie, którą znam i kocham, to znaczy bez przerwy dopytywała się o ciebie.

- Mam nadzieję, że powiedziałeś jej to, co powinieneś?

- Jasne. Według mojej wersji siedzisz pod ochroną w jakimś podziemiu i przekopujesz się przez stos wydruków komputerowych, co w pewnym, dość ograniczonym, zakresie odpowiada prawdzie.

- Na pewno rozmawiała z Johnnym. Opowiedziała mu o tym, co się stało, a on natychmiast przeniósł ich do swego ekskluzywnego bunkra.

- Dokąd?

- Nigdy nie widziałeś Pensjonatu Spokoju, prawda? Pytam, bo szczerze mówiąc, nie pamiętam...

- Cztery lata temu oglądaliśmy z Panovem plany. Nie byliśmy tam, a w każdym razie ja nie byłem, bo nikt mnie nie zapraszał.

- Puszczę to mimo uszu, bo doskonale wiesz, że otrzymałeś zaproszenie raz na zawsze... W każdym razie, jak pamiętasz, pensjonat jest usytuowany niemal na plaży, a dostać się do niego można jedynie od strony wody, jeśli nie liczyć drogi tak zasypanej kamieniami, że nie pokona jej dwa razy żaden normalny samochód. Zaopatrzenie jest przywożone łodzią albo samolotem, ale prawie nic nie pochodzi z miasteczka.

- A plaży strzegą silne patrole - uzupełnił Conklin. - Johnny woli nie ryzykować.

- Właśnie dlatego ich tam umieścił. Zadzwoń do niej później.

- A co teraz? - zapytał Aleks. - Co z Armbrusterem?

- Ujmijmy to w ten sposób - powiedział Bourne, wpatrując się w plastikową obudowę automatu telefonicznego. - Co to oznacza, jeśli człowiek dysponujący stu milionami dolarów zdeponowanymi na koncie w Zurychu mówi mi, że „Meduza”, wywodząca się z Dowództwa Sajgonu, co nie brzmi ani trochę po cywilnemu, powinna pozbyć się wszystkich wojskowych,

ponieważ już ich nie potrzebuje?

- Nie wierzę ci - odparł spokojnym, cichym głosem emerytowany oficer wywiadu. - Nie powiedział tego.

- Och, powiedział, możesz być pewien. Nazwał ich nawet „żołnierzami” i bynajmniej nie układał na ich cześć pochwalnych pieśni. Nazwał ich dosłownie obwieszonymi medalami debiutantami, którzy wyciągają ręce po każdą nową zabawkę, jaką zobaczą.

- Wielu senatorów z Senackiej Komisji Obrony podpisałoby się pod tym obiema rękami - zauważył Aleks.

- To jeszcze nie wszystko. Kiedy przypomniałem mu, że Królowa Wężów powstała w Sajgonie, a ściśle mówiąc w Dowództwie Sajgonu, odparł, że nawet jeśli tak było, to z pewnością tam nie pozostała, ponieważ, i tu uważaj, „żołnierzyki nie daliby rady sami się z tego wywinąć”.

- To dość prowokacyjne stwierdzenie. Czy rozwinął je w jakiś sposób?

- Nie, a ja nie pytałem, bo wszystko powinno być dla mnie zupełnie jasne.

- Szkoda, że nie jest. Coraz mniej mi się to podoba. Sprawa wygląda nie tylko na dużą, ale i brzydką... W jaki sposób wyszło na jaw te sto milionów dolarów?

- Powiedziałem mu, że gdyby uznał to za stosowne, „Meduza” mogła by mu kupić w jakimś ustronnym miejscu dobrze strzeżoną willę, ale on nie przejawiał zainteresowania i poinformował mnie, że jeśli będzie chciał, to sam sobie kupi, bo na koncie w Zurychu ma sto milionów dolarów. Zdaje się, że o tym też powinienem być wiedzieć.

- I to wszystko? Po prostu sto milionów i ani słowa wyjaśnienia?

- Niezupełnie. Dodał jeszcze, że tak jak wszyscy otrzymuje co miesiąc zaszyfrowany teleks z Zurychu z listą depozytów. Wynika z tego, że ich liczbę cały czas rośnie.

- Duże, brzydkie, a w dodatku rośnie... - mruknął Conklin. - Coś jeszcze? Bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że jestem specjalnie zainteresowany, bo już wystarczająco się boję.

- Dwie rzeczy. Radzę ci, żebyś zachował w zapasie trochę strachu... Otóż wspomniany teleks zawiera także listę firm, nad którymi przejmują kontrolę.

- Jakich firm? O czym on mówił? Dobry Boże...

- Gdybym zapytał, moja żona i dzieci miałyby okazję uczestniczyć w kameralnej ceremonii pogrzebowej. Niestety, mnie by tam nie było, bo nikomu nie udało się odnaleźć mego ciała.

- Jeśli masz mi jeszcze coś do powiedzenia, to zrób to teraz.

- Nasz szacowny przewodniczący Federalnej Komisji Handlu stwierdził, ni mniej, ni więcej, że jacyś tajemniczy „my” możemy bez obaw pozbyć się wojskowych, ponieważ już za sześć miesięcy i tak będziemy mieli w Europie wszystkich ludzi, jakich potrzebujemy. Aleks, o jakich ludzi chodzi? Z czym my właściwie mamy do czynienia?

W słuchawce na dłuższą chwilę zapanowała całkowita cisza, której Jason Bourne nie przerwał ani słowem. David Webb krzyczałby ze strachu i rozpaczy, ale on już nie istniał.

- Mam wrażenie, że z czymś, z czym nie damy sobie rady - padła wreszcie ledwo słyszalna odpowiedź. - Ta sprawa musi trafić wyżej, Davidzie. Nie możemy zatrzymać jej tylko dla nas.

- Nie rozmawiasz z Davidem, do cholery! - Bourne nie podniósł głosu; wystarczył ton, jakim wypowiedział te słowa. - Ta sprawa nigdzie nie trafi, chyba że ja tak zadecyduję, a to wcale nie jest przesądzone. Zrozum mnie, Aleks. Nic nikomu nie jestem winny, a już na pewno nie typom, które trzęsą tym miastem. To przez nich życie mojej żony, dzieci i moje znalazło się w niebezpieczeństwie! Wszystko, czego się dowiem, mam zamiar wykorzystać tylko w jednym, jedynym celu: chcę zwabić Szakala w pułapkę i zabić go, żebyśmy wreszcie mogli wyjść z piekła i zacząć normalnie żyć. Wiem, że odkryłem sposób, dzięki któremu uda

mi się tego dokonać. Armbruster gadał twardo i pewnie jest twardy, ale pod spodem cholernie się boi. Oni wszyscy się boją, mało tego, wpadli w panikę. Miałaś rację, Aleks, jeśli teraz podsunie się im Carlosa, ujrzą w nim możliwość rozwiązania wszystkich swoich problemów, której nie zdołają się oprzeć. Jeśli Carlosowi podsunie się klienta tak zamożnego i potężnego jak współczesna „Meduza”, on również nie zdoła się oprzeć, bo zyska szansę na zdobycie szacunku rzeczywiście grubych ryb, a nie lewicowych lub prawicowych fanatyków... Błagam cię, Aleks, nie wchodź mi w drogę! Nie rób tego, na litość boską!

- To groźba, prawda?

- Przestań! Nie chcę rozmawiać z tobą w taki sposób.

- Ale to robisz. Znaliśmy się w takiej samej sytuacji jak w Paryżu przed trzynastu laty, tyle tylko, że odwróconej o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz ty zabijesz mnie dlatego, że nie pamiętam, co zrobiliśmy tobie i Marie.

- Tu chodzi o moją rodzinę! - krzyknął David Webb z oczami wypełnionymi łzami i czołem pokrytym kroplami potu. - Są tysiące mil ode mnie i ukrywają się jak zwierzęta! Nie ma innego sposobu, bo ja nie mam zamiaru ryzykować niczego, co mogłoby sprowadzić na nich jakiegokolwiek niebezpieczeństwo... Co by ich zabiło, Aleks, bo to właśnie robi Szakal, jeśli ich znajdzie. Dzisiaj są na wyspie, dokąd mają uciec jutro? Ile tysięcy mil dalej? A potem? Co mają zrobić... co mamy zrobić potem? Wiedząc to, co wiemy w tej chwili, nie będziemy mogli się zatrzymać, bo ten cholerny psychopata trafił na mój ślad i nie spocznie, dopóki mnie nie wytropi i nie zabije, a wraz ze mną moją rodzinę. To będzie jego samorealizacja. Nie, mój drogi, nie próbuj mnie zajmować rzeczami, które nic mnie nie obchodzą, a które utrudniają mi zajęcie się Marie i dziećmi. Wydaje mi się, że zasłużyłem sobie przynajmniej na tyle.

- Słyszę cię, choć nie wiem, czy to mówi David Webb, czy Jason Bourne - odparł Conklin. - W porządku, cofam to, co powiedziałem o odwróconej sytuacji z Paryża, ale to oznacza, że musimy działać bardzo szybko i dla tego wolałbym jednak rozmawiać z Bourne'em. Co teraz zrobimy? Przede wszystkim, gdzie jesteś?

- Jakieś sześć lub siedem mil od domu generała Swayne'a - poinformował go Jason, oddychając głęboko i czując, jak powoli zaczyna znowu panować nad sobą. - Rozmawiałeś z nim?

- Dwie godziny temu.

- Nadal jestem Kobrą?

- Czemu nie? Przecież to wąż.

- Powiedziałem to Armbrusterowi. Nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

- Swayne będzie zachwycony jeszcze mniej, ale to tylko moje przeczucia, których nie potrafię dokładnie wyjaśnić.

- Co masz na myśli?

- Nie jestem pewien, lecz odnoszę wrażenie, że on komuś podlega.

- Pentagon? Burton?

- Tak przypuszczam, ale nie wiem. Oczywiście w pierwszej chwili prawie zupełnie go sparaliżowało, a potem zareagował jak uczestnik gry zaangażowany w nią co najwyżej do połowy. Kilka razy wymknęły mu się zdania w rodzaju: „Będziemy musieli nad tym pomyśleć”, albo: „Trzeba to przedyskutować”. Z kim przedyskutować? Na samym początku rozmowy dałem mu jasno do zrozumienia, że nikt poza nami dwoma nie może się o niej dowiedzieć, a on wyjeżdża mi potem z jakimś kulawym „my”, jakby nasz znakomity generał miał zwyczaj dyskutować z samym sobą. Szczerze mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć.

- Ani mnie - zgodził się Jason. - Muszę się przebrać. Mam ubranie w samochodzie.

- Co?

Bourne obrócił się w ciasnej budce i rozejrzał dookoła. Niemal natychmiast zobaczył to, czego szukał: drzwi męskiej toalety w ścianie budynku stacji benzynowej.

- Powiedziałaś, że Swayne mieszka na dużej farmie na zachód od Manassas...
- Poprawka - przerwał mu Aleks. - On nazywa to farmą, natomiast sąsiedzi i urząd podatkowy dwudziestoosmioakrową posiadłością ziemską. Całkiem niezłe jak na zawodowego żołnierza z niezbyt zamożnej rodziny w Nebrasce, który przed trzydziestu laty poślubił fryzjerkę z Hawajów. Kupił tę ziemię dziesięć lat temu za pieniądze pochodzące rzekomo z jakiegoś spadku, którym obdarzył go nadzwyczaj zamożny, lecz niemożliwy do odnalezienia wujek. To właśnie wzbudziło moje podejrzenia. Swayne dowodził w Sajgonie Korpusem Kwatermistrzowskim i zaopatrywał „Meduzę”... Ale co to ma wspólnego z tym, że musisz się przebrać?
- Chcę się trochę rozejrzeć. Dostanę się tam jeszcze za dnia, żeby cokolwiek zobaczyć, a kiedy się ściemni, złożę mu nie zapowiedzianą wizytę.
- Jestem pewien, że wywrzesz odpowiednie wrażenie, ale nie rozumiem, co chcesz tam znaleźć?
- Po prostu lubię farmy. Są duże i rozległe, a poza tym nie jestem w stanie pojąć, dlaczego zawodowy żołnierz, który w każdej chwili może zostać wysłany w dowolny zakątek świata, miałby się obarczać tak dużą nieruchomością.
- Ja również zacząłem się nad tym zastanawiać, choć większy nacisk kładłem na pytanie „w jaki sposób”, a nie „dlaczego”. Przyznaję, że twoje podejście może okazać się bardziej interesujące.
- Zobaczymy.
- Bądź ostrożny. Może mieć system alarmowy, psy i Bóg wie co jeszcze.
- Jestem przygotowany - odparł Jason Bourne. - Zrobiłem trochę zakupów.

Letnie słońce wisiało już nisko nad zachodnim horyzontem, kiedy Bourne zmniejszył prędkość wynajętego samochodu i opuścił osłonę, by uniknąć oślepienia przez rozjarzoną, żółtą kulę ognia. Już wkrótce słońce skryje się za górami Shenandoah i ziemię zaleje mrok, stanowiący preludeum prawdziwej ciemności. Jason czekał właśnie na nią: noc, w której poruszał się szybko i bezszelestnie, wyczuwając nieomylnie wszystkie czyhające na niego zasadzki, była jego najlepszym przyjacielem i sprzymierzeńcem. W przeszłości dżungla przyjmowała go bez wrogości, wiedząc, że choć jest intruzem, to szanuje ją i traktuje jak część samego siebie. On z kolei nie bał się jej, bo zapewniała mu ochroną i umożliwiała osiągnięcie celu; stanowił z nią jedność, tak samo jak teraz z gęstym lasem otaczającym posiadłość generała Normana Swayne'a.

Główny budynek dzieliła od drogi odległość nie przekraczająca długości dwóch boisk do piłki nożnej. Wysoki parkan oddzielał wjazd po prawej stronie od wyjazdu usytuowanego po lewej; obie bramy, strzegące dostępu do długiego, przypominającego kształtem literę U podjazdu, były wykonane z grubych metalowych prętów. Dookoła rozciągał się gęsty, splątany las, będący naturalnym przedłużeniem i wzmocnieniem ogrodzenia. Brakowało tylko strażniczych budek przy bramach.

Bourne wrócił na chwilę pamięcią do Chin, a konkretnie do Pekinu i rezerwatu dzikich ptaków, gdzie dopadł zabójcę podającego się za Jasona Bourne'a. Tam były budki strażnicze i uzbrojone patrole, przeczesujące bujny las... a także szaleniec, rzeźnik dowodzący armią morderców, w której prym wodził fałszywy Bourne. Udało mu się wtedy wdrzeć na pilnie strzeżony teren, unieruchomić znajdujące się tam pojazdy, a następnie wyeliminować po kolei wszystkie napotkane patrole i wreszcie dotrzeć do oświetlonej blaskiem pochodni polany, na której dostrzegł buńczuczego szaleńca i jego kohortę fanatyków. Czy dzisiaj uda mi się dokonać tego samego - zastanawiał się Bourne przejeżdżając po raz trzeci przed posiadłością Swayne'a, starając się zapamiętać wszystko, co widzi. Pięć lat później, trzynaście lat po Paryżu? Usiłował podejść do sprawy możliwie najbardziej obiektywnie. Nie był już młodym

człowiekiem z Paryża ani bardziej dojrzałym z Hongkongu, Makau i Pekinu. Miał pięćdziesiąt lat i czuł wyraźnie ich ciężar na karku, ale teraz nie wolno mu zaprzętać sobie tym głowy. Musi myśleć o wielu innych sprawach, a poza tym dwudziestoosmioakrowa posiadłość generała Normana Swayne'a nie była przecież dziewiczym lasem rezerwatu Jing Shan.

Mimo to, podobnie jak uczynił to wtedy na obrzeżu Pekinu, zjechał samochodem z drogi między gęste krzewy i wysoką trawę, po czym wysiadł z wozu i zamaskował go starannie gałęziami. Szybko gęstniejąca ciemność uzupełni ewentualne braki kamuflażu, a wraz z jej nastaniem będzie mógł przystąpić do dzieła. Przebrał się już w męskiej toalecie na stacji benzynowej; miał teraz na sobie czarne spodnie, czarny, obcisły pulower i również czarne buty na grubej gumowej podeszwie. To był jego strój roboczy, natomiast przedmioty, które rozłożył na ziemi koło samochodu, stanowiły narzędzia pracy zakupione po opuszczeniu Georgetown. Znajdował się wśród nich długi myśliwski nóż, który wsadził za pasek; dwustrzałowy pneumatyczny pistolet w nylonowej kaburze, wyrzucający pociski zdolne błyskawicznie uspić każde atakujące zwierzę, nie wyłączając specjalnie szkolonych psów; dwie flary przeznaczone teoretycznie do oświetlania unieruchomionych na szosie pojazdów; niewielka lornetka firmy Zeiss-Ikon o szklach 8x10, przytroczona do spodni paskiem materiału z samoprzylepnymi rzepami; mała latarka; rzemieńne sznurowadła; a wreszcie kieszonkowe nożyce do cięcia drutu na wypadek, gdyby natrafił na metalową siatkę. Wyposażenie uzupełniał pistolet dostarczony mu przez Centralną Agencję Wywiadowczą. W chwili gdy zapadła ciemność, Jason Bourne zniknął w głębi lasu.

Biała zasłona piany wystrzeliła ponad koralową rafę i zdawała się przez chwilę wisieć nieruchomo w powietrzu, doskonale widoczna na tle ciemnognatowych fal Morza Karaibskiego. Była to ta szczególna, wczesnowieczorna godzina, kiedy Wyspa Spokoju wydawała się skąpana w feerii bezustannie zmieniających się tropikalnych barw, przedzielanych cieniami wydłużającymi się w miarę niedostrzegalnej wędrówki po nieboskłonie pomarańczowego słońca. Pensjonat Spokoju wybudowano na trzech sąsiadujących ze sobą kamienistych wzgórzach górujących nad plażą wciśniętą między dwa naturalne koralowe falochrony. Po obu stronach usytuowanego centralnie budynku z kamienia i grubego szkła ciągnęły się dwa rzędy różowych willi o jaskrawoczerwonych dachach z terakoty i licznych balkonach; domki były połączone ze sobą białą betonową ścieżką oświetloną niskimi lampami i obsadzoną starannie przystrzyżonym żywopłotem. Po ścieżce kroczyli rażno kelnerzy w żółtych marynarkach, roznosząc kanapki i butelki wina gościom, którzy niemal w komplecie zasiedli na balkonach, rozkoszując się pięknem karaibskiego wieczoru. Kiedy cienie pogłębiły się jeszcze bardziej, na plaży i długim nabrzeżu pojawili się zupełnie inni ludzie; nie byli to ani goście, ani pracownicy obsługi, lecz uzbrojeni strażnicy, ubrani w brązowe tropikalne mundury, z przytroczonymi do pasa pistoletami maszynowymi MAC-10. Każdy z nich miał także lornetkę Zeiss-Ikon 8x10, której używał co chwila, wpatrując się w gęstniejącą ciemność. Właściciel Pensjonatu Spokoju najwyraźniej postanowił za wszelką cenę udowodnić, że to miejsce zasługuje na swoją nazwę.

Na dużym, półokrągłym balkonie, w willi stojącej najbliżej głównego budynku połączonego z przeszkloną jadalnią, siedziała w fotelu na kółkach poważnie zaawansowana wiekiem, wyniszczona kobieta, unosząc od czasu do czasu do ust kieliszek wypełniony Chateau Carbonnieux rocznik 78. Co kilka chwil dotykała bezwiednie kosmyka niedokładnie ufarbowanych rudych włosów, nasłuchując dobiegających z wnętrza domu głosów męża i pielęgniarki. Po pewnym czasie stary mężczyzna wyszedł do niej na balkon.

- Mój Boże - powiedziała do niego po francusku - chyba się upiję!

- Czemu nie? - odparł wysłannik Szakala. - To znakomite miejsce. Ja sam wciąż nie

mogę uwierzyć własnym oczom.

- Nadal nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego *monseigneur* nas tutaj przy śłał?
- Już ci mówiłem. Jestem tylko posłańcem.
- Nie wierzę ci.
- Uwierz. To sprawa bardzo ważna dla niego, a dla nas zupełnie bez znaczenia.

Korzystaj, ile tylko możesz, moja kochana.

- Zawsze tak do mnie mówisz, kiedy nie chcesz mi czegoś wyjaśnić.
- W takim razie powinnaś już chyba wiedzieć, że w takich wypadkach nie należy pytać, prawda?

- Nie o to chodzi, najdroższy. Ja umieram...
- Nie chcę tego więcej słyszeć!
- Ale to prawda, i nic na to nie poradzisz. Nie boję się o siebie, bo dla mnie to będzie wielka ulga, ale o ciebie. Zawsze byłeś lepszy od okoliczności, w których się znalazłeś, Michel... Przepraszam, teraz jesteś Jean Pierre, nie wolno mi zapominać. Naprawdę, bardzo się martwię. To miejsce, te warunki, ta nadzwyczajna opieka... Boję się, że zapłacisz za to ogromną cenę, mój drogi.

- Dlaczego tak uważasz?
- To wszystko jest takie wspaniałe... Zbyt wspaniałe. Coś mi się nie podoba.
- Znadto się przejmujesz.
- Nie, to ty zbyt łatwo dajesz się zwieść pozorom. Mój brat Claude zawsze mówił, że za wiele bierzesz od *monseigneura* i że pewnego dnia zostanie ci przedstawiony rachunek.
- Twój brat, Claude, jest wspaniałym, starym człowiekiem bez odrobiny oleju w głowie. Właśnie dlatego *monseigneur* zleca mu tylko najmniej istotne zadania. Kiedyś wysłał go po list na Montparnasse, a on wylądował w Marsylii, nie mając pojęcia, co się z nim właściwie stało.

We wnętrzu willi rozległ się dzwonek telefonu.

- Powinna go odebrać nasza nowa znajoma - powiedział wysłannik Szakala, nie ruszając się z miejsca.

- Ona także jest dziwna - zauważyła kobieta. - Nie ufam jej.
- Pracuje dla *monseigneura*.
- Naprawdę?
- Nie miałem czasu, żeby ci o tym powiedzieć. Przekaze nam jego polecenia.

Ubrana w biały uniform pielęgniarka o jasnobrązowych włosach zebranych w ciasny węzeł pojawiła się w drzwiach balkonu.

- Dzwoni Paryż, *monsieur* - powiedziała. O tym, że jest to coś pilnego, nie świadczył ton jej głosu, lecz wyraz dużych, szarych oczu.

- Dziękuję.

Wysłannik Szakala wszedł za nią do wnętrza willi. Pielęgniarka zaprowadziła go do telefonu i podała mu słuchawkę.

- Mówi Jean Pierre Fontaine.
- Błogosławię cię, dziecię Boże - powiedział oddalony o tysiące mil głos. - Czy żyje się wam dostatnio?
- Ponad wszelką miarę - odparł starzec. - To wszystko jest takie... takie wspaniałe. Nie zasłużyliśmy sobie na to.

- Ale zasłużyście.
- Jak tylko zechcesz, *monseigneur*.
- Najlepiej zrobicie to, wypełniając polecenia, jakie przekaze wam kobieta. Macie je zrealizować dokładnie, bez żadnych uchybień. Czy się rozumiemy?
- Oczywiście.
- Niech was Bóg błogosławi.

Rozległo się krótkie pyknięcie i głos umilkł.

Fontaine odwrócił się do pielęgniarki, lecz przekonał się, że nie ma jej przy nim. Była po drugiej stronie pokoju; otwierała kluczem szufladę biurka. Kiedy do niej podszedł, jego uwagę przyciągnęła zawartość szuflady: leżały tam obok siebie chirurgiczne rękawiczki, pistolet z założonym tłumikiem i zamknięta brzytwa o prostym ostrzu.

- To są twoje narzędzia - oznajmiła kobieta, wręczając mu klucz i wpatrując się w niego nieruchomymi, pozbawionymi wszelkiego wyrazu oczami. - Ci, którzy stanowią twój cel, mieszkają w ostatniej willi w tym rządzie. Masz się najpierw zapoznać z terenem, spacerując po ścieżce, tak jak to czy nią starsi ludzie, którym zaleci to lekarz, a potem masz zabić tych troje. Zrobisz to w rękawiczkach, strzelając każdemu po kolei w głowę. Następnie poderżniesz im gardła...

- Matko Boska, dzieciom...?

- Takie otrzymałeś polecenie.

- To barbarzyństwo!

- Czy mam poinformować kogo trzeba o twojej reakcji?

Fontaine zerknął w kierunku balkonu i siedzącej w inwalidzkim wózku postaci.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Tak myślałam... I jeszcze jedno: kiedy już to wszystko zrobisz, masz wypisać krwią na ścianie następujące słowa: „Jason Bourne, brat Szakala”.

- O, mój Boże... Z pewnością zostanę schwytany...

- To zależy wyłącznie od ciebie. Powiedz mi, kiedy postanowisz to uczy nić, a ja przysięgnę, że bohaterski bojownik o niepodległość Francji był w tym czasie w swoim domu.

- W tym czasie? W jakim czasie? Kiedy muszę wykonać polecenie?

- W ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin.

- A potem?

- Będziesz mógł tu pozostać aż do śmierci twojej żony.

Rozdział 9

Brendan Patrick Pierre Prefontaine przeżył kolejne zaskoczenie. Choć nie zarezerwował wcześniej miejsca, recepcjonista w Pensjonacie Spokoju potraktował go niczym jakąś znakomitość, podał mu numer willi, a zaraz po tym wykrzyknął ze zdumieniem, że przecież osoba o tym nazwisku już ma willę, po czym szybko zapytał, jak się udał lot z Paryża. Zamieszanie trwało kilka długich minut, jako że nigdzie nie można było odszukać właściciela pensjonatu, by zasięgnąć jego opinii; nie było go w prywatnym apartamencie, a jeśli opuścił wyspę, to nikt nie wiedział, dokąd i na jak długo. Wreszcie, przy akompaniamencie wyrażających jednocześnie bezradność i szacunek wykrzykników, były sędzia z Bostonu został zaprowadzony do uroczego, niewielkiego domku z oknami wychodzącymi na Morze Karaibskie. Zupełnie przypadkowo sięgnął nie do tej kieszeni, co trzeba, i wręczył recepcjoniście pięćdziesięciodolarowy banknot; jego akcje w jednej chwili podskoczyły jeszcze bardziej. Wszystko dla szanownego gościa, który tak niespodziewanie przyleciał hydroplanem z Montserrat... Tym, co wprawiło obsługę pensjonatu w popłoch, było jego nazwisko. Czy możliwe, żeby to był przypadek? Jednak po chwili namysłu wszyscy doszli do wniosku, że przede wszystkim, ze względu na gubernatora, bezpieczniej jest przesadzić w nadgorliwości niż w drugą stronę. Prędko, wsadzamy gościa do willi.

Ledwo zdążył się rozpakować, kiedy obłęd powrócił. Do domku przyniesiono butelkę schłodzonego Chateau Carbonnieux rocznik 78, świeżo ścięte kwiaty i pudełko belgijskich czekoladek; to ostatnie zostało po minucie zabrane przez zawstydzonego kelnera, który wybąkał na usprawiedliwienie, że czekoladki były przeznaczone dla osoby mieszkającej w innym domku w tym samym rzędzie.

Sędzia przebrał się w bermudy, skrzywił na widok swoich pajęczych nóg i wciągnął utrzymaną w pastelowych kolorach sportową koszulkę. Jego strój uzupełniły białe klapki i również biała płócienna czapeczka. Wkrótce miało się ściemnić, a on chciał jeszcze udać się na krótką przechadzkę. Z wielu powodów.

Wiem, kim jest Jean Pierre Fontaine, bo dzwonili w jego sprawie z biura gubernatora - powiedział John St. Jacques, wpatrując się we wpisy figurujące w książce gości - ale kto to, do cholery, jest ten B.P. Prefontaine?

- Znakomity sędzia ze Stanów Zjednoczonych - odparł z nadzwyczaj wyraźnym brytyjskim akcentem wysoki, czarnoskóry młody człowiek pełniący funkcję kierownika recepcji. - Mój szanowny wujek, który jest zastępcą dyrektora Urzędu Imigracyjnego, telefonował do mnie z lotniska jakieś dwie godziny temu. Niestety, byłem na piętrze, kiedy wybuchło całe to zamieszanie, ale nasi ludzie zrobili wszystko, co należało.

- Sędzia? - powtórzył ze zdziwieniem właściciel Pensjonatu Spokoju; kierownik recepcji dotknął delikatnie jego łokcia, dając mu dyskretnie znak, żeby odsunęli się nieco na bok.

- W sprawie naszych szanownych gości musi być zachowana całkowicie zupełna... dyskrecja.

- A czy to źle? O co chodzi?

- Mój wuj również był bardzo dyskretny, ale powiedział mi, że widział, jak znakomity sędzia kieruje się do stanowiska wewnętrznych linii lotniczych i kupuje tam bilet. Pozwolił sobie zauważyć, iż tym samym sprawdziły się jego znakomite przypuszczenia: sędzia i bohater z Francji są spokrewnieni i mają zamiar spotkać się potajemnie w nadzwyczaj

ważnych sprawach.

- Jeśli tak naprawdę jest, to dlaczego nasz znakomity sędzia nie zarezerwował sobie najpierw miejsca?

- Istnieją dwa bardzo możliwe wyjaśnienia, sir. Według mego wuja początkowo mieli spotkać się na lotnisku, ale uniemożliwiło im to przywitanie zorganizowane przez gubernatora.

- A drugie wyjaśnienie?

- Pomyłka, która nastąpiła w biurze sędziego w Bostonie. Według mego wuja sędzia napomknął o niezaradności swoich pomocników i o tym, że jeśli nie dopilnowali czegoś ze sprawami paszportowymi, przyśle ich tu, żeby osobiście wszystko wyjaśnili.

- Jeżeli to prawda, to znaczy, że sędziowie w Stanach zarabiają znacznie więcej niż w Kanadzie. Ma cholerne szczęście, że mieliśmy jeszcze miejsce.

- W sezonie letnim, proszę pana, zwykle mamy sporo miejsc...

- Nie przypominaj mi o tym. Dobra, wynika z tego, że mamy dwóch znakomitych krewnych, którzy chcą się spotkać w jakiejś sprawie, ale zabierają się do tego jak pies do jeża. Może powinienś zadzwonić do sędziego i powiedzieć mu, w której willi mieszka Fontaine albo Prefontaine... Nie wiem, obaj ciągle mi się mylą.

- Wspomniałem o takiej możliwości mojemu wujowi, proszę pana, ale on dał mi jednoznacznie do zrozumienia, że nie powinniśmy nic robić. Według niego wszyscy wielcy ludzie mają jakieś tajemnice, a on chciałby, żeby jego nadzwyczajna domyślność wyszła na jaw w bardziej bezpośredni sposób.

- Co proszę?

- Gdybym zadzwonił z tą informacją do sędziego, on natychmiast zorientowałby się, że dowiedziałem się o wszystkim od mego wuja, wicedyrektora Urzędu Imigracyjnego na Montserrat.

- Rób, co chcesz. Mam zbyt wiele innych rzeczy na głowie... Aha, podwoilem patrole na plaży i na wodzie.

- Zabraknie nam ludzi, sir.

- Przesunąłem paru z pensjonatu. Wiem, kto już tu jest, ale nie wiem, kto może chcieć się tutaj dostać.

- Czy mamy oczekiwać jakichś kłopotów, proszę pana?

John St. Jacques spojrział wprost na młodego kierownika recepcji.

- Jeszcze nie teraz - odparł. - Osobiście sprawdziłem każdy cal terenu. Przy okazji: przeniosłem się do willi numer dwadzieścia, do siostry i jej dzieci.

Jean Pierre Fontaine, bohater francuskiego Ruchu Oporu z okresu II wojny światowej, zmierzał wolno betonową ścieżką w kierunku ostatniej z szeregu willi wznoszących się nad brzegiem morza. Na pierwszy rzut oka przypominała pozostałe, o różowych ścianach i czerwonym dachu, lecz otaczający ją trawnik był bardziej rozległy, a żywopłot wyższy i bardziej gęsty. Mieszkali tu premierzy i prezydenci, ministrowie i sekretarze stanu, znane i ważne osobistości poszukujące na kilka dni luksusowego azylu.

Fontaine dotarł do końca ścieżki; za półtorametrowym białym murkiem zaczynało się strome, porośnięte bujną roślinnością urwisko, prowadzące w dół aż do brzegu morza. Sam mur biegł w lewo i prawo, otaczając willę i oddzielając ją od pozostałej części pensjonatu. Na ogrodzony teren wchodziło się przez furtkę z grubych metalowych prętów. Stary mężczyzna dostrzegł po jej drugiej stronie małego chłopca w kąpielówkach biegnącego po trawniku. W chwilę potem w drzwiach domu pojawiła się jakaś kobieta.

- Jamie, chodź na obiad! - zawołała. - Czy Alison już jadła, mamusiu?

- Już zdążyła zasnąć, kochanie. Nie będzie krzyczała na swego braciszka.

- Mamusiu, ja wolę nasz dom! Dlaczego nie możemy tam pojechać?
- Bo wujek Johnny chce, żebyśmy tutaj zostali... Zresztą przecież mamy łódki, Jamie. Na pewno będziecie nimi wypływać na ryby, tak jak podczas wiosennych wakacji w kwietniu.

- Wtedy mieszkaliśmy w naszym domu.
- Tak, i tatuś był z nami...
- Ale było fajnie, kiedy jeździliśmy samochodem!
- Jamie, chodź wreszcie na ten obiad!

Kiedy matka i syn zniknęli we wnętrzu domu, Fontaine skrzywił się, myśląc o rozkazie, który otrzymał od Szakala, i o krwawej egzekucji, jakiej miał dokonać. Uderzyły go słowa chłopca: „Mamusiu, ja wolę nasz dom. Dlaczego nie możemy tam pojechać?...”, „Wtedy mieszkaliśmy w naszym domu”. I odpowiedzi: „Bo wujek Johnny chce, żebyśmy tutaj zostali”. „Tatuś był z nami...”

Podsluchaną wymianę zdań można było sobie wytłumaczyć na wiele sposobów, ale Fontaine potrafił wyczuć niebezpieczeństwo szybciej od wielu ludzi, bo w życiu często miewał z nim do czynienia. Wyczuł je także teraz, w związku z czym postanowił, że odbędzie jeszcze kilka wieczornych „zdrowotnych” przechadzek.

Odwrociwszy się od furtki, ruszył z powrotem wybetonowaną ścieżką tak głęboko pogrążony w myślach, że o mało nie zderzył się z mężczyzną w wieku zbliżonym do swojego, w idiotycznej białej czapeczce na głowie.

- Bardzo przepraszam - powiedział nieznajomy, ustępując mu z drogi.
- Pardon, monsieur! - wykrzyknął zawstydzony bohater ostatniej wojny, nieświadomie przechodząc na ojczysty język. - Je regrette... To jest, chciałem powiedzieć, to ja proszę o wybaczenie!

- He? - W oczach nieznajomego mężczyzny pojawił się dziwny błysk. - Nie ma o czym mówić.

- Pardon... Czy my już się gdzieś nie spotkaliśmy, monsieur?
- Nie wydaje mi się - odparł człowiek w idiotycznej czapce na głowie. - Ale plotki szybko się rozchodzą. Wiemy, że przebywa wśród nas bohaterski żołnierz z Francji.

- To przesada. Dawne dzieje, kiedy jeszcze byliśmy młodzi... Nazywam się Fontaine, Jean Pierre Fontaine.

- A ja... Patrick. Brendan Patrick.
- Miło mi pana poznać, monsieur. - Mężczyźni wymienili uścisk dłoni. - To urocze miejsce, nieprawdaz?

- Po prostu wspaniałe. - Ponownie odniósł wrażenie, że obcy mu się przygląda, unikając jednak starannie jego spojrzenia. - Cóż, chyba muszę już iść - oznajmił starszy człowiek w nowych białych klapkach i również białej płóciennej czapeczce. - Zalecenia lekarza.

- Moi aussi - odparł Jean Pierre po francusku. Tym razem uczynił to celowo, zauważył bowiem, że poprzednio brzmienie tego języka wywarło na jego rozmówcy spore wrażenie. - Toujours le medecin a cet dge, n 'est-cepas?

- Bez wątplenia - powiedział stary mężczyzna o pajęczych nogach, po czym skinął głową, uniósł rękę w nie dokończonym geście pożegnania i odszedł pośpiesznie ścieżką.

Fontaine stał bez ruchu, odprowadzając wzrokiem oddalającą się postać i czekając na to, co musiało nastąpić. Nie pomylił się. W pewnej chwili mężczyzna zatrzymał się i odwrócił; przez chwilę dwaj starcy mierzyli się spojrzeniami, a potem Jean Pierre uśmiechnął się i ruszył powoli w kierunku swojej willi.

Należy to potraktować jako kolejne ostrzeżenie, pomyślał, i to znacznie poważniejsze niż poprzednie. Trzy rzeczy nie ulegały najmniejszej wątpliwości: po pierwsze - stary człowiek w białej czapeczce mówił po francusku; po drugie - wiedział, że Jean Pierre

Fontaine jest w rzeczywistości kimś innym, przysłanym na Montserrat w określonej misji; po trzecie - w jego spojrzeniu było wyraźnie widoczne piętno Carlosa. Mon Dieu, jakież to do niego podobne! Przygotować zabójstwo, upewnić się, że zostało dokonane, a następnie usunąć wszelkie ślady mogące doprowadzić do wykrycia tych, którzy je zorganizowali. Nic dziwnego, iż pielęgniarka powiedziała, że po wykonaniu zadania będą mogli pozostać tutaj aż do śmierci kobiety, co stanowiło raczej niezbyt precyzyjne określenie. Szakał nie był aż tak hojny, jak to by się mogło zdawać; wydał już rozkaz, żeby ich oboje zabito.

John St. Jacques odebrał telefon w swoim biurze.

- Tak?

- Spotkali się, proszę pana! - oznajmił z podnieceniem kierownik recepcji.

- Kto się spotkał?

- Wielki bohater i jego znakomity krewny z Bostonu w stanie Massachusetts. Zadzwońiłbym do pana od razu, ale mieliśmy tutaj małe zamieszanie związane z pudełkiem belgijskich czekoladek...

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Kilka minut temu widziałem ich przez okno, proszę pana. Rozmawiali na ścieżce. Mój szanowny wujek miał całkowitą słuszność!

- To miło.

- Gubernator z całą pewnością będzie zachwycony, a my wszyscy, z wujkiem na czele, ma się rozumieć, bez wątpienia zyskamy pochwałę!

- Bardzo się cieszę - odparł znużonym tonem St. Jacques. - Wynika z tego, że chyba nie musimy już się dłużej nimi zajmować, prawda?

- Mogłoby tak się wydawać, sir, ale właśnie w tej chwili znakomity sędzia zmierza szybkim krokiem w stronę głównego budynku. Przypuszczam, że za chwilę tu wejdzie.

- Na pewno cię nie ugryzie. Prawdopodobnie chce ci podziękować. Rób wszystko, o co cię poprosi. Od strony Basse-Terre nadciąga sztorm, więc będziemy potrzebować pomocy biura gubernatora, jeśli znowu wysiądą telefony.

- Postaram się spełnić każde jego życzenie, proszę pana!

- Tylko bez przesady. Nie czyść mu zębów.

Brendan Prefontaine niemal wbiegł do okrągłego holu o ścianach wyłożonych lustrami. Począł, aż stary Francuz wejdzie do jednej z willi, po czym zawrócił i skierował się prosto do recepcji. Tak jak często podczas ostatnich trzydziestu lat musiał szybko myśleć w marszu - nieraz bywało, że wręcz w biegu - analizując sytuację i wyciągając wnioski, zarówno te bardziej, jak i mniej oczywiste. Przed chwilą popełnił niemożliwy do uniknięcia, niemniej jednak potwornie głupi błąd; niemożliwy do uniknięcia, gdyż nie był przygotowany na to, żeby zameldować się w Pensjonacie Spokoju pod fałszywym nazwiskiem, nie dysponował bowiem odpowiednio sfabrykowanymi dokumentami, a głupi, ponieważ jednak podał fałszywe nazwisko bohaterowi francuskiego Ruchu Oporu... Jednak po chwili zastanowienia uznał, iż może nie było to wcale takie głupie. Podobieństwo nazwisk mogło doprowadzić do niepotrzebnych komplikacji przy wyjaśnianiu powodu jego przybycia na Wyspy Karaibskie, a powodem tym była chęć sprawdzenia, co przestraszyło Randolpha Gatesa aż do tego stopnia, że właściwie bez słowa protestu pozbył się piętnastu tysięcy dolarów. Kiedy już się tego dowie, być może uda mu się uzyskać wielokrotnie więcej. Nie, jego błąd polegał tylko na tym, że nie przedsięwziął wcześniej niezbędnych środków ostrożności. Teraz miał ostatnią szansę, żeby to jeszcze uczynić. Podeszedł do stojącego za kontuarem wysokiego, szczupłego recepcjonisty.

- Dobry wieczór panu! - wrzasnął z entuzjazmem ciemnoskóry młodzieniec. Sędzia rozejrzał się szybko po holu i stwierdził z ulgą, że prawie nikogo w nim nie ma. - Jeśli mogę panu czymkolwiek służyć, proszę być pewnym mej doskonałości!

- Wolałbym być pewny, że będzie pan mówił nieco ciszej, młody człowieku.
- Jeśli pan sobie życzy, mogę szeptać - odparł ledwo słyszalnie recepcjonista.
- Proszę?
- Czym mogę panu służyć? - Tym razem szept został zastąpiony przez półgłos.
- Wystarczy jeśli po prostu normalnie porozmawiamy, dobrze?
- Oczywiście, proszę pana. Czuję się zaszczycony, proszę pana.
- Naprawdę?
- Naturalnie.
- To dobrze. - Prefontaine skinął głową. - Chciałem prosić pana o pewną przysługę...
- Cokolwiek pan sobie życzy!
- Ciii...!
- Tak, tak, oczywiście...
- Jak wielu ludziom w zaawansowanym wieku zdarza mi się zapominać o pewnych sprawach... Chyba może pan to zrozumieć, prawda?
- Człowiek pańskiej mądrości, sir? Nie wierzę, żeby pan mógł cokolwiek zapomnieć.
- Słucham? Zresztą nieważne... Otóż muszę panu powiedzieć, że podróżuję incognito...

Wie pan, co to znaczy?

- Oczywiście, sir.
- Zameldowałem się pod moim prawdziwym nazwiskiem, Prefontaine...
- W samej rzeczy - przerwał mu recepcjonista. - Wiem o tym.
- To była pomyłka. Urzędnicy z mojego biura i ci, z którymi mam się tu kontaktować, będą pytać o niejakiego pana Patricka. To taka niewinna szarada, dzięki której mogę zyskać kilka chwil spokoju.

- Rozumiem. - Recepcjonista oparł się konfidencjonalnie na ladzie.
- Doprawdy?
- Naturalnie. Gdyby wszyscy wiedzieli, że tak znakomita osobistość zażywa tu wypoczynku, nie daliby panu ani chwili wytchnienia. Tak jak i tam ten szanowny gość potrzebuje pan całkowitej dyskrecji! Proszę mi wierzyć, że doskonale to pojmuję.
- Dyskrecji? O, mój Boże!
- Osobiście zmienię wpis w książce, panie sędzio.
- Sędzio? Nic nie mówiłem o tym, że jestem sędzią. Orzechowa twarz mężczyzny jeszcze pociemniała z zakłopotania.
- To wymknęło mi się wyłącznie z nadmiaru gorliwości, proszę pana.
- A nie z jakiegoś innego powodu?
- Zapewniam pana, sir, że oprócz mnie tylko właściciel pensjonatu zdaje sobie sprawę z poufnej natury pańskiej wizyty - szepnął recepcjonista, ponownie opierając się o kontuar. - Wszystko jest utrzymane w najściślejszej dyskrecji.

- Boże, ten dureń na lotnisku...

- Mój szanowny wujek - kontynuował recepcjonista, nie dosłyszawszy uwagi Prefontaine'a - dał mi jasno do zrozumienia, że możliwość służenia pomocą wybitnym osobistościom, pragnącym spotkać się w odosobnieniu w sprawach najwyższej wagi, jest dla nas ogromnym zaszczytem. Zadzwoił do mnie i osobiście...

- Już dobrze, dobrze, młody człowieku. Rozumiem i doceniam wszystko, co pan robi. Proszę tylko dopilnować, żeby zmieniono nazwisko, a gdyby ktoś o mnie pytał, to nazywam się właśnie Patrick. Czy to jasne?

- Kryształowo jasne, szanowny panie sędzio!
- Mam nadzieję, że nie aż tak.

Cztery minuty później zadzwonił stojący na ladzie telefon. Zaaferowany młody mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Recepcja, słucham? - powiedział takim tonem, jakby udzielał błogosławieństwa.
- Tu monsieur Fontaine z willi numer jedenaście.
- Tak jest, proszę pana! To zaszczyt dla mnie... dla nas... dla wszystkich!
- Merci. Mam do pana prośbę. Jakies piętnaście minut temu spotkałem podczas spaceru pewnego bardzo miłego Amerykanina. Był mniej więcej w moim wieku i miał na głowie białą płócienną czapkę. Chciałbym za prosić go któregoś dnia na drinka, ale nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem jego nazwisko.

Sprawdzają mnie, pomyślał recepcjonista. Wielcy ludzie nie tylko mają swoje tajemnice, ale także starannie ich strzegą.

- Z pańskiego opisu, sir, mogę się domyślać, że spotkał pan szanownego pana Patricka.
- Rzeczywiście, chyba tak właśnie mi się przedstawił. To irlandzkie nazwisko, ale on chyba jest Amerykaninem, czyż nie tak?

- Bardzo wykształconym Amerykaninem, sir, z Bostonu w stanie Massachusetts. Mieszka w willi numer czternaście, trzeciej na zachód od pańskiej. Wystarczy wykręcić 714.

- Bardzo panu dziękuję. Aha, gdyby go pan widział, proszę mu o ni czym nie mówić. Jak pan wie, moja żona nie czuje się najlepiej, więc będę musiał poczekać z zaproszeniem na dogodny dla niej termin.

- Nigdy nic nie powiem, szanowny panie, dopóki osobiście mi pan nie rozkaże. We wszystkim, co dotyczy pana i pana Patricka, sir, stosujemy się ściśle do poufnych zaleceń gubernatora.

- Doprawdy? To bardzo miło z waszej strony... Adieu.

Udało się, pomyślał triumfalnie kierownik recepcji, odkładając słuchawkę; Wielcy ludzie chwytają w lot wszelkie subtelności, on zaś był tak subtelny, że z pewnością nawet jego arcymądry wujek byłby z niego zadowolony. Nie tylko podał natychmiast nazwisko Patrick, ale także użył słowa „wykształcony”, co kojarzyło się natychmiast z uczoneym... lub sędzią, a wreszcie zaznaczył wyraźnie, że nikomu nie piśnie ani słowa bez wyraźnego polecenia gubernatora. Dzięki swojej niesłychanej inteligencji zyskał zaufanie nadzwyczaj ważnych osobistości. Było to wręcz niesamowite przeżycie, postanowił więc natychmiast zadzwonić do swego znakomitego wuja, aby podzielić się z nim najświeższymi wrażeniami.

Fontaine siedział na krawędzi łóżka, trzymał na kolanach telefon i obserwował siedzącą na balkonie kobietę. Jej wózek stał bokiem, dzięki czemu Fontaine widział wyraźnie jej profil; miała pochyloną głowę i oczy zamknięte z bólu... Ból! Cały ten okropny świat był wypełniony bólem! Wiedział, że on także ma swój udział w rozprzestrzenianiu go i nie oczekiwał od nikogo litości, ale chodziło o nią! W kontrakcie nie było o niej ani słowa! Jego życie - oczywiście, jak najbardziej, lecz nie jej, dopóki w tym wyniszczonym ciele tliła się jeszcze iskierka świadomości. Non, monseigneur. Je refus! Ce n'est pas le contrat!

A więc służąca Szakalowi armia starców dotarła już do Ameryki. Należało się tego spodziewać. Podeszły wiekiem Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, wykształcony człowiek, który z takich lub innych powodów zaciągnął się pod sztandar Carlosa, był jednym z jego egzekutorów. Przypatrywał się uważnie Fontaine'owi i udawał, że nie zna francuskiego, ale wystarczyło spojrzeć, by dostrzec odcisnięte na nim piętno Szakala. „We wszystkim, co dotyczy pana i pana Patricka, sir, stosujemy się ściśle do poufnych zaleceń gubernatora”. Gubernatora otrzymującego rozkazy od rezydującego w Paryżu władcy śmierci.

Dziesięć lat temu, po pięcioletnim okresie nienaganej pracy, otrzymał numer telefonu

w Argenteuil, sześć mil na północ od Paryża, z którego wolno mu było korzystać jedynie w ostateczności, w sytuacji najwyższego zagrożenia. Do tej pory zdarzyło się to zaledwie raz, ale teraz nadeszła pora na drugi. Zapoznał się uważnie z informacją na temat połączeń międzynarodowych, podniósł słuchawkę i wykręcił kolejne numery kierunkowe, a wreszcie ten ostatni, najważniejszy. Minęły prawie dwie minuty, zanim ktoś odebrał telefon.

- Le Coeur de Soldat - odezwał się matowy męski głos; w tle słychać było muzykę.

- Muszę porozumieć się z kosem - powiedział Fontaine po francusku. - Jestem Paryż Piąty.

- Gdzie będzie mógł cię znaleźć, jeśli zechce spełnić twoje życzenie?

- Na Wyspach Karaibskich.

Fontaine podał numery kierunkowe, numer telefonu pensjonatu i wewnętrzny do zajmowanej przez siebie willi. Odłożywszy słuchawkę, zgarbił się bezsilnie, w dalszym ciągu siedząc na krawędzi łóżka. W głębi duszy zdawał sobie sprawę z tego, iż mogą to być ostatnie godziny, jakie przyjdzie jemu i jego żonie spędzić na Ziemi. Jeśli tak będzie w istocie, to stanie przed Bogiem i wyzna mu prawdę. Mordował, i to nieraz, ale nigdy nie skrzywdził ani nie zabił człowieka, który nie miał na sumieniu jeszcze większych zbrodni; kilka nieistotnych wyjątków stanowili ludzie trafieni zabłąkanymi kulami lub przypadkowo rozerwani podmuchem eksplozji. Życie to ból, czyż nie tego właśnie uczy nas Księga? Z drugiej strony, cóż to za Bóg, który dopuszcza do takich okropieństw? Merde! Nie zaprzataj sobie głowy takimi sprawami, bo jesteś na to za głupi!

Zadzwonił telefon. Fontaine chwycił słuchawkę i przycisnął ją do ucha.

- Tu Paryż Piąty.

- Dziecię Boże, cóż wydarzyło się takiego, że postanowiłeś wykręcić numer telefonu, który wykorzystałeś zaledwie jeden raz podczas naszej znajomości?

- Twoja łaskawość jest ogromna, monseigneur, ale wydaje mi się, że powinniśmy zmienić warunki umowy.

- W jaki sposób?

- Moje życie należy do ciebie i możesz z nim zrobić, co zechcesz, lecz to nie dotyczy mojej żony.

- Co takiego?

- Jest tutaj pewien wykształcony człowiek z Bostonu, który przygląda mi się uważnie, tak jakby miał wobec mnie jakieś plany.

- Ten arogancki głupiec sam przyleciał na Montserrat? Przecież on o niczym nie wie!

- Chyba jednak wie, monseigneur. Zrobię, czego żądasz, ale błagam cię: pozwól nam wrócić do Paryża! Pozwól jej umrzeć w spokoju. Nie żądam od ciebie nic więcej.

- Ty ode mnie żądasz? Przecież dałem ci słowo!

- Czy właśnie dlatego ten Amerykanin śledzi każdy mój krok swymi wścibskimi oczyma?

W słuchawce rozległ się długi, chrapliwy kaszel, po czym na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Znakomity profesor prawa posunął się za daleko - odezwał się wreszcie Szakal. - Pojawił się tam, gdzie nikt go nie prosił. Jest już martwy.

Edith Gates, żona znakomitego adwokata i profesora prawa, otworzyła po cichu drzwi do jego gabinetu w eleganckim domu przy Louisburg Square. Jej mąż siedział bez ruchu w obszernym, skórzanym fotelu, wpatrując się w trzaskający w kominku ogień; uparł się, żeby go rozpalić, choć noc była ciepła, a w domu działało centralne ogrzewanie.

Obserwując go, pani Gates odniosła po raz kolejny nieprzyjemne wrażenie, iż chyba nigdy nie uda jej się do końca zrozumieć męża. W jego życiu było wiele spraw, o których nie

miała najmniejszego pojęcia, a drogi, jakimi wędrowały jego myśli, bywały często zbyt kręte, by mogła nimi podążyć. Wiedziała tylko tyle, że chwilami dręczył go okropny ból, którego nie chciał z nią dzielić. Trzydzieści trzy lata temu w miarę atrakcyjna dziewczyna ze średnio zamożnej rodziny wyszła za mąż za niezwykle wysokiego, szalenie inteligentnego, ale beznadziejnie biednego absolwenta prawa. W tych chłodnych, pełnych dystansu latach pięćdziesiątych jego chęć podobania się za wszelką cenę była czymś zupełnie nie na miejscu, odstraszać wszystkich ewentualnych pracodawców. Zdrowy rozsądek i wyważoną ostrożność ceniono zdecydowanie bardziej niż niespokojny, wiecznie poszukujący umysł, zwłaszcza jeśli tkwił on w rozczochranej głowie wyrastającej z ciała przy odzianego w nędzną imitację ubrania od Pressa i Braci Brooks. Ogólne wrażenie pogarszała okoliczność, że stan konta właściciela wykluczał dodatkowe wydatki związane z dopasowaniem stroju, a w sklepach z przeceną trudno było trafić na odpowiedni rozmiar.

Świeżo upieczona pani Gates miała jednak kilka pomysłów, które wpłynęły wyraźnie na poprawę ich wspólnych perspektyw. Pierwszym z nich było nakłonienie męża do chwilowej rezygnacji z kariery prawniczej; nie chciała nawet słyszeć o tym, żeby związał się z jakąś poślednią firmą lub, nie daj Boże, rozpoczął prywatną praktykę, bo wiadomo było z góry, jakich będzie miał klientów - takich mianowicie, którzy nie mogli sobie pozwolić na porządnego adwokata. Już lepiej wykorzystać naturalne atuty, czyli wysoki wzrost i błyskotliwą, chłonną jak gąbka inteligencję, która w połączeniu z wrodzonymi skłonnościami pozwoliła na błyskawiczne pozbycie się balastu akademickich nawyków. Wykorzystując swój skromny posag, Edith zaczęła kształtować emploi męża. Kupiła mu stosowne ubrania i zatrudniła teatralnego nauczyciela dykcji, który wpoił swemu uczniowi podstawy scenicznego zachowania i zaznajomił go z tajnikami sztuki oratorskiej. Niezgrabny dryblas wkrótce nabraw majestatycznych cech Lincolna uzupełnionych subtelnym dodatkiem Johna Browna. Znajdował się również na najlepszej drodze do zostania prawdziwym ekspertem w dziedzinie prawa, pozostał bowiem na uniwersytecie, zdobywając kolejne stopnie naukowe i dzieląc się jednocześnie swą wiedzą ze studentami. Pozwoliło mu to w szybkim tempie zyskać opinię niepodważalnego autorytetu w kilku konkretnych dziedzinach. Po pewnym czasie te same firmy, które wcześniej odrzuciły jego kandydaturę, zaczęły się do niego zwracać z ofertami pracy.

Trzeba było dziesięciu lat, żeby ta strategia zaczęła przynosić wymierne rezultaty; początkowo sumy nie były może szokująco wysokie, ale każda następna przewyższała poprzednią. Najpierw małe, a potem także duże pisma prawnicze poczęły zamieszczać jego kontrowersyjne artykuły, zarówno ze względu na ich formę, jak i treść, gdyż młody profesor potrafił biele władać słowem pisanim, umiejętnie wykorzystując tropy stylistyczne. Jednak uwagę społeczności finansistów zwróciły jego myśli, nie zaś sposób, w jaki je prezentował. Zmieniały się społeczne nastroje, gmach dobrotliwego Wielkiego Społeczeństwa zaczął się rysować w wielu miejscach, wstrząsany falami uderzeniowymi rozchodzącymi się od wymyślonych przez chłopców Nixona określeń: „milcząca większość”, „uzależnieni od dobrobytu” czy jeszcze bardziej negatywnego - „oni”. Napływu fali zła nie mogli powstrzymać ani przyzwoity do szpiku kości, ale osłabiony ranami zadanymi przez Watergate Ford, ani błyskotliwy Carter, zbyt zaabsorbowany szczegółami tworzenia swego obrazu Dobrotliwego Przywódcy. Wyrażenie: „Wszystko dla dobra ojczyzny” straciło na aktualności, ustępując miejsca innemu: „Wszystko dla siebie”.

Doktor Randolph Gates w porę dostrzegł potężną falę, z którą należało się posuwać, opanował sztukę miódopłynnego mówienia i zdobył słownictwo pasujące do nowej, zaczynającej się właśnie epoki. Podstawą jego naukowych - prawniczych, ekonomicznych i społecznych - przemysłów stało się przekonanie, iż to, co duże, jest równocześnie lepsze i bardziej doskonałe od wszystkiego, co małe. Zaatakował prawa określające zasady wolnorynkowej konkurencji, twierdząc, że ograniczają one możliwości rozwoju gospodar-

czego, który może przynieść wszystkim ogromne, wręcz niewyobrażalne korzyści. No, powiedzmy, prawie wszystkim. Czy to się komuś podobało, czy nie, był to świat rządzony prawami odkrytymi przez Darwina; przeżyć mogli jedynie najlepiej dostosowani. Przy wtórze łoskotu werbli i bicia dzwonów finansowi kombinatorzy ogłosili Gatesa swoim mistrzem, oto bowiem znalazł się uczonec, który dodał splendoru ich marzeniom o wszechwładzy i wszechbogactwie: Wykupywać, gromadzić jak najwięcej w jednym ręku, a potem sprzedawać - ku pożytkowi wszystkich ludzi, ma się rozumieć.

Randolph Gates z radością przyjął powołanie do ich armii, olśniewając sąd za sądem swoją akrobatyczną elokwencją. Udało mu się, lecz Edith Gates nie wiedziała, co właściwie powinna o tym sądzić. Oczywiście pracując na rzecz jego awansu, miała nadzieję na dostatnie życie, ale z pewnością nie marzyła o milionach dolarów i prywatnych odrzutowcach latających wzdłuż i wszerz kuli ziemskiej, od Palm Springs po południową Francję. Pewnym niepokojem napawał ją również fakt, że artykuły i przemówienia męża były często wykorzystywane w celu przeforsowania spraw już na pierwszy rzut oka sprawiających wrażenie co najmniej wątpliwych, jeśli nie wręcz nieuczciwych. On jednak machał ręką na jej argumenty, twierdząc, iż są to jedynie czysto teoretyczne, intelektualne paralele. Na domiar wszystkiego już od ponad sześciu lat nie dzieliła z nim nie tylko łóżka, ale nawet sypialni.

Kiedy weszła do gabinetu, profesor Randolph Gates odwrócił raptownie głowę w jej kierunku; w jego oczach malowało się przerażenie.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.
- Zawsze pukasz. Dlaczego nie zapukałaś? Przecież wiesz, jak to jest, kiedy próbuję się skoncentrować.

- Już cię przeprosiłam. Zamyśliłam się i nie pomyślałam o tym.
- Zdanie jest niespójne logicznie.
- Nie pomyślałam o pukaniu.
- A o czym myślałaś? - zapytał szanowany ekspert w dziedzinie prawa takim tonem, jakby wątpił, czyjegożona jest zdolna do takiej czynności.

- Proszę, nie staraj się być uszczypliwy.
- Zadałem ci pytanie, Edith.
- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? Gates uniósł brwi w szyderyczym grymasie.
- Dobry Boże, czyżbyś była zazdrosna? Przecież ci powiedziałem. U Ritza. Miałem spotkanie z kimś, kogo nie widziałem od wielu lat, a kogo nie życzyłem sobie gościć w moim domu. Jeżeli chcesz to sprawdzić, możesz do nich zadzwonić.

Edith Gates przez dłuższą chwilę wpatrywała się w milczeniu w twarz swego męża.

- Mój drogi - powiedziała wreszcie. - Naprawdę nic mnie nie obchodzi, czy spotkałeś się z najbardziej lubieżną dziwką w mieście. I tak prawdopodobnie musiałbyś ją zdrowo upić, żeby nie straciła wiary w swoje umiejętności.

- Całkiem nieźle, suko.
- Niestety, nie jesteś najlepszym ogierem w stadninie, draniu. - Czy ta wymiana zdań ma jakiś sens?

- Owszem. Mniej więcej godzinę temu, tuż przed twoim powrotem z biura, przyszedł jakiś mężczyzna. Denise była zajęta sprzątaniem, więc sama mu otworzyłam. Muszę przyznać, że wywarł na mnie spore wrażenie: był ubrany w bardzo drogi garnitur, a przyjechał czarnym porsche...

- Co mówisz? - Gates wyprostował się nagle w fotelu i wbił w nią spojrzenie szeroko otwartych oczu.

- Prosił, by ci przekazać, że le grandprofesseur jest mu winien dwadzieścia tysięcy dolarów i że nie było go wczoraj wieczorem tam, gdzie powinien być. Przypuszczam, iż chodziło właśnie o Ritza.

- Właśnie że nie. Coś się wydarzyło... Boże, on nic nie rozumie! Co mu powiedziałaś?

- Nie podobało mi się jego zachowanie ani to, co mówił, więc odparłam, że nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie możesz być. Oczywiście wiedział, że kłamię, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Dobrze. On wie chyba wszystko o kłamstwach.

- Nie wydaje mi się, żeby dwadzieścia tysięcy dolarów stanowiło dla ciebie taki problem...

- Nie chodzi o pieniądze, tylko o sposób zapłaty.

- Za co?

- Za nic.

- Wydaje mi się, Randy, że to właśnie nazywa się logiczną niespójnością.

- Zamknij się!

Rozległ się dzwonek telefonu. Gates zerwał się z fotela i wlepił oczy w aparat, ale nie podszedł do biurka, tylko powiedział do żony zduszonym głosem:

- Ktokolwiek to jest, nie ma mnie w domu... Wyjechałem z miasta i nie wiesz, kiedy wrócę...

Edith położyła dłoń na słuchawce.

- To twoja prywatna linia - zauważyła. Podniosła japo trzecim dzwonku. - Rezydencja państwa Gates - powiedziała, stosując używany od lat podstęp. Przyjaciele i tak wiedzieli, kto mówi, a obcy nic ją nie obchodzili. - Tak... Tak? Przykro mi, ale wyjechał i nie wiemy, kiedy wróci... - Odsunęła słuchawkę, spojrzała na nią ze zdziwieniem i odłożyła na widełki. - To była telefonistka z centrali międzynarodowej w Paryżu. Dziwne... Ktoś chciał z tobą rozmawiać, ale kiedy powiedziałam jej, że cię nie ma, nawet nie zapytała, kiedy będzie mogła cię zastać, tylko raptownie przerwała rozmowę.

- Boże! - wyszeptał pobladłymi wargami Gates. - Coś się wydarzyło... Coś jest nie tak, ktoś musiał skłamać!

Wypowiedziawszy te tajemnicze słowa, odwrócił się i niemal pobiegł w przeciwny kąt pokoju, szukając czegoś rozpaczliwie w kieszeni spodni. Zatrzymał się przed środkową częścią sięgającego od podłogi do sufitu wypełnionego książkami regału, w którym znajdował się obszerny sejf o stalowych drzwiach zamaskowanych imitacją brązowego drewna. Ogarnięty paniką odwrócił się do żony i wrzasnął rozpaczliwie:

- Wynoś się stąd! Wynoś się, słyszysz?

Edith Gates podeszła niespiesznie do drzwi, przystanęła i spojrzała na swojego męża.

- Wszystko zaczęło się w Paryżu, prawda, Randy? Siedem lat temu w Paryżu. Wtedy coś się zdarzyło, nieprawdaż? Wróciłeś stamtąd przerażony i ogarnięty bólem, którego nie chcesz z nikim dzielić.

- Wynoś się! - wyskrzecztał ochryple Randolph Gates.

Edith wyszła, zamykając za sobą drzwi, lecz nie puszczając klamki. W chwilę potem uchyliła je o kilka centymetrów i zajrzała do gabinetu.

Widok, jaki zobaczyła, wstrząsnął nią tak jak jeszcze żaden w życiu. Człowiek, z którym żyła od trzydziestu trzech lat, tytan intelektu, nie palący papierosów i unikający alkoholu jak ognia, właśnie wbijał sobie w przedramię igłę jednorazowej strzykawki.

Rozdział 10

Ciemność spłynęła na Manassas. Bourne skradał się przez rozbrzmiewający nocnymi odgłosami las, który otaczał „farmę” generała Normana Swayne'a. Wystraszone ptaki uciekały z furkotem skrzydeł ze swoich pogrążonych w mroku kryjówek; wrony budziły się na gałęziach drzew i krakały na alarm, lecz zaraz cichły, jakby również wciągnięte do spisku.

Wreszcie natrafił na to, o czym nie wiedział, czy na pewno tu będzie. Podejrzał, że tu jest, i był rzeczywiście: wysoki płot z siatki wzmocnionej przecinającymi się pośrodku każdego segmentu grubymi drutami, zwieńczony wychylonym na zewnątrz baldachimem z drutu kolczastego. Wstęp wzbroniony. Rezerwat Jing Shan. W umiejscowionej na obrzeżu Pekinu ostoi zwierzyny istotnie znajdowały się rzeczy warte ukrycia i dlatego chronione niemożliwym do pokonania, wzniesionym na polecenie władz ogrodzeniem, ale dlaczego zajmujący się papierkową robotą generał, w dodatku zatrudniony na rządowej posiadzi, miałby wydawać tysiące dolarów na barykadę otaczającą jego prywatną „farmę” w Manassas, w stanie Wirginia? Płot z całą pewnością miał za zadanie nie tyle powstrzymać zwierzęta przed wyjściem poza obręb posiadłości, co nie dopuścić do tego, by jakikolwiek człowiek wtargnął niepostrzeżenie na jej teren.

Podobnie jak miała się rzecz z rezerwatem w Chinach, także i tutaj ze względu na leśną zwierzynę nie mogło być mowy o żadnych elektrycznych lub elektronicznych instalacjach alarmowych ani fotokomórkach, natomiast z pewnością należało się ich spodziewać w pobliżu zabudowań; najprawdopodobniej będą ustawione mniej więcej na wysokości piersi dorosłego człowieka. Bourne wyciągnął z tylnej kieszeni spodni miniaturowe nożyce i zabrał się do cięcia siatki, zaczynając od samej ziemi.

Z każdą chwilą coraz wyraźniej uświadamiał sobie to, czemu niepodobna zapobiec, a co potwierdzał przyśpieszony oddech i kapiący mu z czoła pot: miał już pięćdziesiąt lat i czuł ich ciężar, choć bardzo starał się utrzymać ciało w dobrej kondycji. Należało mieć to cały czas na względzie, starając się jednocześnie zbytnio nie zaprzętać sobie tym głowy, a w miarę mozolnego posuwania się do przodu starać się nawet o tym zapomnieć. Chodziło przecież o Marie i dzieci, o jego rodzinę! Nie istniało nic, czego nie mógłby dla nich dokonać. David Webb zniknął z jego psychiki, ustępując miejsca Jasonowi Bourne'owi, drapieżcy.

Udało się! Chwyciwszy za krawędź rozcięcia, pociągnął siatkę z całej siły do siebie, a następnie przeczołgał się przez powstałą w ten sposób szczelinę i natychmiast zerwał na nogi, nasłuchując i rozglądając się w ciemności, która nie była zupełną ciemnością. Przez gałęzie wysokich sosen, rosnących na krawędzi otwartego terenu, przedostawało się migotliwe światło z głównego budynku. Bourne ruszył ostrożnie w kierunku półkolistego podjazdu. Dotarłszy do wstęgi asfaltu, wpelził pod rozłożystą sosnę, aby zebrać myśli, nabrać tchu w piersi i przyrzeć się spokojnie rozciągającemu się przed nim widokowi. Nagle po prawej stronie pojawił się mocniejszy błysk światła; jego źródło znajdowało się na końcu prostej szutrowej drogi łączącej się z asfaltowym podjazdem.

Blask wydobywał się z otwartych drzwi małego domku, z którego wyszli pogrążeni w rozmowie dwaj mężczyźni i kobieta... Nie, to nie była zwykła rozmowa, tylko zażarta kłótnia. Bourne sięgnął po lornetkę, przyłożył ją do oczu i skierował na trzy sylwetki; zagniewane głosy, choć w dalszym ciągu niezrozumiałe, przybrały na sile. Kiedy zamazany obraz nabrał ostrości, Bourne natychmiast domyślił się, że stojący po lewej stronie mężczyzna średniego wzrostu, sprawiający wrażenie, jakby się przed czymś rozpaczliwie bronił, to generał Swayne, a kobieta o dużym biuście i długich prostych włosach to jego żona, lecz jego uwagę przykuła przede wszystkim trzecia, potężna postać, stojąca najbliżej otwartych drzwi. Znał tego

człowieka! Nie pamiętał, kiedy ani gdzie go poznał, co samo w sobie nie było niczym niezwykłym, ale z całą pewnością sposób, w jaki zareagował na widok mężczyzny, był niezwykle: znenawidził go w jednej chwili, nie mając najmniejszego pojęcia dlaczego, postać ta bowiem nie wywoływała w nim żadnych skojarzeń, tylko uczucia odrazy i obrzydzenia. Co się stało z oderwanymi obrazami, fotograficznymi kadrami z przeszłości, pojawiającymi się tak często w jego pamięci? Żadne nie nadchodziły. Bourne wiedział tylko tyle, że człowiek oglądany przez lornetkę jest jego śmiertelnym wrogiem.

Właśnie wtedy potężnie zbudowany mężczyzna uczynił coś całkowicie nieoczekiwanego: objął lewym ramieniem żonę generała, prawą ręką wskazując w jego stronę i miotając głośno jakieś oskarżenia lub obelgi. Swayne zareagował na to ze stoickim spokojem połączonym z udawaną obojętnością. Odwróciwszy się na pięcie, pomaszerował przez trawnik, kierując się w stronę tylnego wejścia do głównego budynku. Kiedy zniknął w ciemności, Bourne ponownie skierował lornetkę na parę stojącą w strumieniu światła padającego przez otwarte drzwi domku. Barczysty mężczyzna uwolnił żonę generała z objęć i coś do niej powiedział, na co ona skinęła głową, pocałowała go przelotnie w usta i pobiegła za mężem. Mężczyzna wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Jason przytroczył lornetkę do paska, usiłując zrozumieć to, co widział. Miał wrażenie, że oglądał niemy film bez napisów, w którym wszystkie gesty były zupełnie naturalne, pozbawione teatralnej przesady. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że chodziło tu o mniej lub bardziej klasyczny trójkąt małżeński, ale to nie wyjaśniało przyczyny istnienia ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym. Przyczyna ta musiała jednak istnieć, a on musiał ją poznać.

Przeczcucie podpowiedziało mu, że ma ona z pewnością coś wspólnego z barczystym mężczyzną, który wszedł do niewielkiego budynku, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Bourne musiał tam się dostać i stanąć twarzą w twarz z człowiekiem będącym fragmentem zapomnianej przeszłości. Uniósł się ostrożnie na nogi i przemykając od jednej sosny do drugiej, dotarł do końca podjazdu, a następnie ruszył dalej, trzymając się zalesionego skraju szutrowej drogi.

Nagle zatrzymał się i padł na ziemię, gdyż usłyszał odgłos nie mający nic wspólnego ze szmerem pograżonego we śnie lasu. Był to odgłos toczących się po żwirze kół. Bourne odturlał się w bok, by znieruchomieć pod nisko wiszącymi gałęziami sosny, rozglądając się w poszukiwaniu źródła dźwięku.

Dostrzegł je po kilku sekundach. Był to niewielki, dziwaczny pojazd stanowiący skrzyżowanie trójkołowego motocykla z miniaturowym wózkiem golfowym, o szerokich, pokrytych głębokim bieżnikiem oponach, bez wątpienia nie tylko bardzo stabilny, ale i zdolny do osiągania znacznych prędkości. Sprawiał dość groźne wrażenie, na dachu kołysała się bowiem długa, giętka antena, kabinę kierowcy otaczały zaś grube, wypukłe szyby z kuloodpornego pleksiglasu, w razie ataku pozwalające kierowcy na spokojne ściągnięcie posiłków drogą radiową. „Farma” generała Normana Swayne'a wyglądała coraz bardziej interesująco... A potem, zupełnie niespodziewanie, zaczęła się makabra.

Zza domku - a właściwie chaty, gdyż ściany były wykonane z grubych bali połączonych krzyżowo na rogach - wyłonił się drugi trójkołowy pojazd i zatrzymał się w odległości dosłownie kilku centymetrów od pierwszego. Obaj kierowcy jak roboty zwrócili głowy w stronę niepozornej budowli; po chwili z niewidocznego głośnika rozległ się ostry, nawykły do wydawania rozkazów głos:

- Sprawdzić bramy, wypuścić psy i wznowić patrolowanie terenu!

Jakby kierując się wskazaniem choreografa, pojazdy jednocześnie ruszyły z miejsca, wykręciły w przeciwne strony i zniknęły w ciemności. Na wzmiankę o psach Bourne sięgnął odruchowo do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej pistolet na sprężone powietrze, po czym poczołgał się najszybciej, jak mógł, w kierunku ogrodzenia. Jeśli psy zaatakują grupą, nie będzie miał innego wyboru, jak wspiąć się po siatce i przeskoczyć nad drutem kolczastym na

drugą stronę, bo za pomocą dwustrzałowego pistoletu uda mu się wyeliminować tylko dwa naraz. Na ponowne załadowanie z pewnością zabraknie mu czasu. Przykucnął, gotów do skoku, rozglądając się czujnie dookoła. Tuż nad ziemią, gdzie nie było już gałęzi, wzrok sięgał stosunkowo daleko.

Nagle na szutrowej drodze pojawił się czarny doberman. Biegł spokojnie, bez wahania, najwyraźniej nie wyczuwając żadnego obcego zapachu, kierując się jedynie w wyznaczone miejsce. Drugi pies, który wyłonił się z ciemności w chwilę potem - długowłose owczarek - zwolnił i zatrzymał się, powodowany nie tyle instynktem, co wpojonym tresurą przyzwyczajeniem. Bourne błyskawicznie odgadł, z czym przyjdzie mu mieć do czynienia: były to samce przyzwyczajone bronić swego terytorium, oznaczonego wyraźnymi zapachowymi granicami. Właśnie takiej behawiorystycznej dyscyplinie hołdowali azjatyccy chłopcy i właściciele niewielkich splachetków ziemi, którzy musieli liczyć się z kosztami żywienia zwierząt mających za zadanie bronić gruntu zapewniającego minimum utrzymania licznej rodzinie ich właściciela. Należało wytresować kilka psów, możliwie najmniej, i przydzielić im na stałe określone tereny, a i tak do alarmu, jaki podniósłby jeden z nich, natychmiast dołączyłyby pozostałe. Azja... Wietnam... „Meduza"! Wspomnienia powróciły! Niewyraźne, nieuchwytnie zarysy... Sylwetki... Młody, potężnie zbudowany mężczyzna w mundurze wysiada z jeepa i wrzeszczy ile sił w płucach na niedobitki patrolu, który wrócił z akcji na drodze równoległej do Szlaku Ho Szi Mina. Tego samego mężczyznę, tylko starszego i jeszcze potężniejszego, widział zaledwie przed chwilą przez lornetkę! Wiele lat temu właśnie ten człowiek obiecał im dostawę zaopatrzenia - amunicję, moździerz, granaty, radiostacje. Nie przywiózł nic, jeśli nie liczyć narzekań Dowództwa Sajgonu, że „wy, cholerni kryminaliści, znowu próbujecie nas zrobić w konia". Była to nieprawda. Dowództwo zareagowało zbyt późno i śmierć dwudziestu sześciu ludzi poszła na marne.

Bourne pamiętał teraz wszystko tak dokładnie, jakby wydarzyło się to godzinę albo minutę temu. Wyszarpnął wówczas bez ostrzeżenia z kabury swoją czterdziestkę piątkę i wycelował ją w czoło zbliżającego się podoficera.

- Jeszcze jedno słowo i jest pan trupem, sierżancie. - Tak, ten człowiek był sierżantem! - Albo jutro o piątej rano zjawi się pan tu ze sprzętem, albo osobiście pofatyguję się do Sajgonu i rozmażę pana na ścianie burdelu, w którym akurat pana znajdę. Czy wyrażam się jasno, czy też chce mi pan oszczędzić podróży? Zważywszy na nasze straty, wolalibyśmy rozwalić pana tutaj, na miejscu.

- Dostaniecie wszystko, co chcecie.

- Tres bien! - wykrzyknął najstarszy członek oddziału, Francuz, który wiele lat później miał mu ocalić życie w rezerwacie ptaków pod Pekinem. - Tu es formidable, monfils! - Miał rację, a teraz już nie żył. D'Anjou, człowiek, o którym zaczęły już krążyć legendy.

Jason został gwałtownie przywołany do rzeczywistości. Długowłose owczarek, warcząc coraz głośniejsze, zaczął krążyć na drodze; do jego nozdrzy dotarł zapach człowieka. Po kilku sekundach, kiedy pies zlokalizował miejsce, z którego dobiegała niepokojąca woń, wstąpił w niego prawdziwy szal: z gardła wydobył mu się przeraźliwy ryk i rzucił się z obnażonymi kłami w kierunku intruza. Bourne wyprostował się raptownie i oparł plecami o parkan; w prawej, wyciągniętej przed siebie ręce trzymał pneumatyczny pistolet, lewa zaś była gotowa do przeprowadzenia błyskawicznej akcji. Nawet najdrobniejszy błąd mógł oznaczać zniweczenie planu przygotowanego na ten wieczór. Kiedy ogarnięte szalem zwierzę rzuciło się na niego całym ciężarem ciała, Jason nacisnął dwukrotnie spust i chwycił lewą ręką głowę psa, jednocześnie starając się kolanem odsunąć jego tułów i uderzające z ogromną siłą, zakończone ostrymi pazurami łapy. Po kilku sekundach najpierw wścieklej, a potem coraz bardziej rozpaczliwej i nie skoordynowanej szamotaniny zwierzę znieruchomiało, nie wydawszy żadnego odgłosu, który mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Bourne położył ostrożnie na ziemi oszołomionego narkotykiem psa i ponownie przycałił się, niepewny, czy nie

zaatakują go za chwilę inne zwierzęta, zaalarmowane jakimś nieuchwytnym dla zmysłów człowieka sygnałem.

Nic takiego nie nastąpiło. Noc wypełniał jedynie szmer przegrodzonego metalową siatką lasu. Jason schował pneumatyczny pistolet do kabury i podkraślił się z powrotem do szutrowej drogi, czując, jak do oczu skapują mu z czoła krople piekącego potu. Rzeczywiście, przerwa była zbyt długa. Jeszcze kilka lat temu krótka potyczka z psem nie wywarłaby na nim żadnego wrażenia - un exercice ordinaire, jak powiedziałby legendarny D'Anjou -ale teraz sprawy miały się zupełnie inaczej. Był do szpiku kości przesiąknięty czystym, niemożliwym do opanowania strachem. Gdzie podział się tamten człowiek? Musi zmusić go do powrotu, bo przecież w tej grze chodziło o życie Marie i dzieci.

Ponownie odpiął od paska lornetkę i uniósł ją do oczu. Blask księżyca tylko sporadycznie przedzierał się przez sunące nisko chmury, ale blada poświata była w zupełności wystarczająca. Bourne skoncentrował uwagę na krzakach rosnących po drugiej stronie drogi, tuż przy ogrodzeniu. W tę i z powrotem, niczym podrażniona czymś pantera, przechadzał się tam czarny doberman, zatrzymując się co jakiś czas, by oddać mocz lub wetknąć długi pysk między liście krzewów. Odcinek, który patrolował, ograniczały dwie bramy zamykające prowadzącą półkolem asfaltową drogę. Pies przystawał przy każdej z nich i przez chwilę kręcił się niespokojnie, jakby w oczekiwaniu na znieawidzony elektryczny wstrząs, wywołany przez ukryte w obroży baterie, który ukarałby go, gdyby bez powodu wykroczył poza swój teren. Ta metoda tresury także pochodziła z Wietnamu; żołnierze szkolili w ten sposób psy strzegące składów broni i amunicji. Jason skierował lornetkę na przeciwną stronę zadbanego trawnika, rozciągającego się przed głównym wejściem do rezydencji. Miotło się tam trzecie zwierzę, tym razem ogromny wyżeł weimarski, łagodny z wyglądu, lecz śmiertelnie niebezpieczny w ataku. Pies znajdował się bez przerwy w ruchu, prawdopodobnie zaniepokojony szelestem liści poruszonych przez wiewiórkę lub królika. Na pewno nie wyczuł zapachu człowieka, bo z jego gardła nie wydobywał się głuchy ryk, stanowiący zapowiedź ataku.

Jason usiłował dokładnie przeanalizować to, co widział, bo od wyników tej analizy zależały jego dalsze posunięcia. Należało przyjąć, że terenu farmy pilnowało jeszcze co najmniej kilka psów, ale dlaczego wyszkolono je właśnie w taki sposób, zamiast po prostu spuszczać na noc całą sforę, bardziej niebezpieczną i sprawiającą znacznie groźniejsze wrażenie? Koszty, które powstrzymałyby przed tym azjatyckiego chłopca, nie grały przecież tutaj żadnej roli... Odpowiedź pojawiła się niemal natychmiast, prosta i oczywista. Spoglądał przez lornetkę to na wyżła, to na dobermana, mając wciąż wyraźnie w pamięci sylwetkę długowłosego owczarka. Te psy były nie tylko wytresowanymi psami obronnymi, ale także czymś więcej: były czempionami, starannie pielęgnowanymi, by za dnia mogły prezentować swoją urodę, nocą zaś przemieniać się w bezlitosnych morderców. Oczywiście! „Farma” generała Normana Swayne'a nie była wstydliwie ukrywaną częścią jego majątku, lecz wręcz przeciwnie, jego chlubą. Z pewnością licznie odwiedzali ją zazdrośni sąsiedzi i przyjaciele. Mogli podziwiać hasające po wybiegach piękne, rasowe psy, nie mając najmniejszego pojęcia o tym, że zwierzęta te pełnią nocą zupełnie inną funkcję. Norman Swayne, generał odpowiedzialny za dostawy dla Pentagonu i jednocześnie absolwent „Meduzy”, był miłośnikiem psów, o czym miała świadczyć klasa przebywających na jego farmie okazów. Być może nawet używał ich do celów rozplodowych, lecz nie było w tym nic, co nie licowałoby z godnością wysokiego rangą oficera.

Fikcja. Skoro tak, należało się również spodziewać, że cała „farma” także jest fikcją, podobnie jak rzekomy „spadek”, dzięki któremu została zakupiona. „Meduza”.

Po drugiej stronie trawnika, na asfaltowej drodze prowadzącej do bramy wyjazdowej, pojawił się jeden z trójkołowych pojazdów. Bourne nie zdziwił się zbyt, widząc, jak wyżeł weimarski biegnie tam w wesołych podskokach, poszczekując i czekając na pochwałę od

kierowcy. Kierowca! To on, a także człowiek z drugiego pojazdu, opiekował się psami! Psy znały ich zapach i natychmiast uspokajały się w ich obecności. To odkrycie wpłynęło na wynik analizy, a tym samym na wybór metody postępowania. Bourne musiał uzyskać możliwość swobodniejszego poruszania się po terenie posiadłości -mógł tego dokonać wyłącznie w towarzystwie jednego z opiekunów zwierząt. Musi zaskoczyć kogoś z nich; cofnął się w cień sosen, na swój punkt obserwacyjny.

Kuloodporny pojazd zatrzymał się na wąskiej ścieżce w połowie drogi między bramami. Jason poprawił ostrość w lornetce; kierowca otworzył prawe drzwiczki, a pies natychmiast oparł się przednimi łapami na siedzeniu. Mężczyzna wrzucił w szeroko rozwarte, potężne szczęki kilka kęsów jakiegoś przysmaku, po czym zaczął drapać psa po karku. Czarny doberman był chyba jego ulubieńcem.

Bourne wiedział, że ma zaledwie kilka chwil na obmyślenie do końca planu działania. Musi zatrzymać pojazd i wywabić kierowcę na zewnątrz, ale tak, by nie wzbudzić jego podejrzeń i nie dać mu powodu do wezwania pomocy przez radio. Pies, leżący nieruchomo na drodze? Nie, to mogło wyrzucić wrażenie, że ktoś strzelił do niego spoza ogrodzenia. A więc co? Rozejrzał się rozpaczliwie dookoła w niemal całkowitej ciemności, czując, jak ogarnia go panika spowodowana niemożnością podjęcia żadnej konkretnej decyzji. Nagle wpadł na pomysł tak oczywisty, że aż zdziwił się, że wcześniej nie przyszedł mu do głowy. Rozległy, starannie przystrzyżony trawnik, wypielęgnowane krzewy, nienagannie czysty podjazd - na terenie posiadłości panował idealny porządek. Jason bez trudu wyobraził sobie Swayne'a rozkazującego swoim ludziom „wypucować wszystko do połysku”.

Spojrzał w kierunku trójkołowego wózka; kierowca odpychał delikatnie psa, przymierzając się do zamknięcia drzwiczek. Pozostały dosłownie sekundy! Co zrobić? Jak?

Spojrzenie Jasona padło na leżącą na ziemi dużą, częściowo spróchniałą gałąź; podbiegł do niej szybko, chwycił i pociągnął w kierunku asfaltowego podjazdu. Gdyby położył ją na samym środku, mogłoby to się wydać podejrzane, ale częściowo wystając na drogę, będzie tworzyła wystarczająco silny dysonans z panującym wszędzie porządkiem. Lepiej usunąć ją od razu niż czekać, aż zwróci na nią uwagę powracający skądś generał. Ludzie Swayne'a z pewnością rekrutowali się z armii, należało się więc spodziewać, że mieli wykształconą głęboką awersję do reprimend, a już szczególnie jeśli dotyczyły drobiazgów. W każdym razie Jason właśnie na to liczył. Ułożył gałąź tak, że wystawała jakieś półtora metra na drogę, po czym skrył się szybko między drzewami. Niemal w tej samej chwili usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwiczek i odgłos uruchamianego silnika.

Pojazd nadjechał z dość dużą prędkością, ale kiedy padający z pojedynczego reflektora snop światła wyłowił z ciemności przeszkodę, natychmiast zwolnił. Kierowca podjechał bardzo powoli, jakby niepewny, co to jest; kiedy się zorientował, nacisnął raptownie na hamulec, bez wahania otworzył pleksiglasowe drzwiczki i wyszedł na asfalt.

- Paskudne z ciebie psisko, Reks - wymamrotał pod nosem z wyraźnym południowym akcentem. - Coś ty tu przytaszczył, cholerny kretynie? Stary ogoli cię do łysej skóry, jak będziesz tak ciągle bałaganił... Reks? Reks, chodź tutaj, ty pieprzony kundlu! - Mężczyzna podniósł gałąź i odciągnął ją między drzewa. - Reks, słyszysz? Chodź tu, cholerna kupo gówna!

- Stój bez ruchu i wyciągnij przed siebie obie ręce - polecił spokojnie Bourne, wyłaniając się z ciemności.

- Niech to szlag! Kim jesteś?

- Kimś, kogo nic nie obchodzi, czy będziesz żył, czy umrzesz.

- Masz pistolet!

- Istotnie. Twój jest w kaburze, a mój w mojej dłoni, wycelowany w twoją głowę.

- Pies! Co się stało z psem?

- Chwilowo jest niedysponowany.

- Że co?

- Wygląda na dobrego zwierzaka. Z pewnością potrafi zrobić wszystko, czego treser zechce go nauczyć. Nigdy nie należy za nic winić psa, tylko zawsze jego pana.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Najogólniej rzecz biorąc, chodzi mi o to, że prędzej zabiję człowieka niż psa. Czy wyrażam się jasno?

- Ani trochę! Ja nie chcę zginąć!

- W takim razie może porozmawiamy?

- Znam dużo słów, ale mam tylko jedno życie!

- Opuść prawą rękę i wyjmij pistolet... Dwoma palcami, jeśli łaska. - Strażnik zrobił to, trzymając broń kciukiem i palcem wskazującym. - A teraz rzuć go w moją stronę.

Mężczyzna uczynił, co mu kazano. Bourne schylił się i podniósł pistolet z ziemi.

- O co ci chodzi, do cholery? - zapytał błagalnym tonem strażnik.

- O informacje. Przesłano mnie tutaj, żebym je zdobył.

- Powiem wszystko, co chcesz, tylko mnie wypuść. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Wiedziałem, że kiedyś dojdzie do czegoś takiego, możesz zapytać Barbie Jo, mówiłem jej o tym! Powiedziałem jej, że pewnego dnia zjawią się ludzie, którzy będą zadawać pytania, ale nie myślałem, że w taki sposób, przykładając od razu lufę do głowy!

- Przypuszczam, że Barbie Jo to twoja żona?

- Coś w tym rodzaju.

- W takim razie zacznijmy od tego, dlaczego oczekiwałeś przybycia ludzi zadających pytania. Moi zwierzchnicy bardzo chcieliby to wiedzieć.

Nie bój się, tobie nic się nie stanie. Nikt się tobą nie interesuje, przecież jesteś zwyczajnym strażnikiem.

- Właśnie, proszę pana! - wykrzyknął z ulgą przerażony mężczyzna.

- Dlaczego więc powiedziałeś Barbie Jo to, co powiedziałeś? Że kiedyś zjawią się tu ludzie, którzy będą zadawać pytania?

- Sam pan wie, tu się dzieje tyle dziwnych rzeczy...

- O niczym nie wiem. Jakie rzeczy na przykład?

- No, na przykład ta wielka szycha, generał. Jest bardzo ważny, prawda? Ma limuzyny z Pentagonu, szoferów, a nawet helikoptery, kiedy ich potrzebuje, no nie? Ta posiadłość też należy do niego, prawda?

- I co z tego?

- To, że ten parszywy sierżant rozkazuje mu, jakby generał był chłopcem do sprzątania latryny, rozumie pan, co mam na myśli? A ta jego żona z wielkimi cyckami w ogóle się nie kryje z tym, że chodzi z sierżantem. I co, może to wszystko nie jest dziwne, he?

- Po prostu parszywe układy rodzinne, ale to nie powinno nikogo obchodzić. Dlaczego ktoś miałby się tu zjawić i zadawać pytania?

- A dlaczego pan tu jest? Na pewno myślał pan, że dziś będzie spotka nie, no nie?

- Jakie spotkanie?

- No, goście w wielkich limuzynach z kierowcami, i tak dalej. Otóż po mylił się pan. Psy są spuszczone, a to znaczy, że nie będzie żadnego spotkania.

Bourne umilkł na chwilę, po czym zbliżył się do kierowcy.

- Porozmawiamy jeszcze w środku - powiedział, wskazując na otwarty pojazd. - Masz robić wszystko, co ci każę.

- Obiecał mi pan, że się stąd wydostanę!

- Będiesz mógł odejść razem z tym drugim facetem. Czy bramy są podłączone do systemu alarmowego?

- Nie, bo spuszczone psy. Gdyby zobaczyły coś na drodze, zaczęłyby skakać i wszystko by włączyły.

- Gdzie jest włącznik alarmu?
- Są dwa, jeden u sierżanta, a drugi w domu. Można go włączyć, jeżeli bramy są zamknięte.
- Jedziemy.
- Dokąd?
- Chcę obejrzeć wszystkie psy.

Dwadzieścia jeden minut później, kiedy pięć pozostałych psów, pogrążonych w narkotycznym śnie, leżało w swoich boksach, Bourne otworzył bramę wjazdową i wypuścił obu strażników, przedtem wręczając każdemu trzysta dolarów.

- To rekompensata za pensję, której nie zdążyliście odebrać - powiedział.
- A co z moim wozem? - zapytał drugi strażnik. - To nic specjalnego, ale przynajmniej jeździ. Przyjechaliśmy nim tutaj.
- Masz kluczyki?
- Tak, w kieszeni. Stoi zaraz za psiarnią.
- Zabierzesz go jutro.
- A czemu nie teraz?
- Narobiliście za dużo hałasu, a lada chwila powinni przyjechać moi zwierzchnicy. Będzie dla was lepiej, jeśli was tu nie zobaczą. Możecie mi wierzyć na słowo.
- Niech to szlag trafi! A nie mówiłem ci, Jim-Bob? To przekłete miejsce!
- Ale trzysta papierów jest OK, Willie. Chodź, spróbujemy zabrać się stopem. Nie jest jeszcze późno, może ktoś się zatrzyma... Hej, a kto zajmie się psami, kiedy się obudzą? Muszą z samego rana trochę pobiegać i dostać zarcie, bo rozerwą na strzępy każdego, kto się do nich zbliży.
- Sierżant nie może tego zrobić? Chyba zna się na tym, prawda?
- Psy za nim nie przepadają, ale go słuchają - odparł Willie. - Najbardziej lubią żonę generała.
- A generał?
- Szczy ze strachu w gacie na sam ich widok - poinformował go Jim-Bob.
- Dobrze wiedzieć. Znikajcie już, ale odejdźcie kawałek w tamtym kierunku, zanim zaczniecie zatrzymywać samochody. Moi szefowie przyjadą z przeciwnej strony.
- To najdziwaczniejsza noc w moim życiu - powiedział drugi strażnik, przypatrując się Jasonowi w bladym świetle księżyca. - Wpada pan tu ubrany jak jakiś cholerny terrorysta, ale mówi i robi wszystko tak, jakby był oficerem. Cały czas gada pan o jakichś „zwierzchnikach”, usypia psiaki i daje nam po trzy stówy, żebyśmy sobie poszli... Nic z tego nie kapuję!
- I nie musisz. Nie wydaje ci się, że gdybym był terrorystą, to obaj już byście nie żyli?
- On ma rację, Jim-Bob. Zmywajmy się stąd!
- A co mamy w razie czego mówić?
- Jeśli ktoś was zapyta, mówcie prawdę. Opiszcie wszystko, co widzieliście, a na końcu możecie jeszcze dodać, że spotkaliście się z Kobrą.
- O, Jezu... -jęknął Willie i obaj strażnicy pośpiesznie odeszli, niknąc w ciemności.

Bourne zamknął za nimi bramę i wrócił do trójkołowego pojazdu z przeświadczeniem, że bez względu na to, co wydarzy się w ciągu najbliższych kilku godzin, spadkobiercy „Meduzy” zyskali kolejny powód do obaw. Będą zadawać przepelnione strachem pytania, lecz nie uzyskają żadnych odpowiedzi.

Zajął miejsce za kierownicą, wrzucił bieg i ruszył w kierunku samotnej chaty stojącej przy szutrowej drodze, która biegła od asfaltowego podjazdu.

Stał przy oknie, zaglądając ostrożnie do środka. Wielki, otyły sierżant siedział w

skórzanym fotelu z nogami opartymi na otomanie i oglądał telewizję. Sądząc po przytłumionych dźwiękach, jakie wydostawały się na zewnątrz chaty, adiutant generała śledził transmisję z meczu baseballowego. Jason przyglądał się uważnie pokojowi; był urządzone w wiejskim stylu, kolorystycznie utrzymany w odcieniach brązu i czerwieni - typowy letni domek odwiedzany wyłącznie przez mężczyzn. Nigdzie jednak nie można było dostrzec żadnej broni, nawet tradycyjnej, zabytkowej strzelby nad kominkiem, nie mówiąc już o służbowym pistolecie kalibru 45 w kaburze przytroczonej do pasa lub na stole w pobliżu fotela. Adiutant nie obawiał się o swoje bezpieczeństwo i trudno było mu się dziwić. Posiadłość generała Normana Swayne'a była doskonale strzeżona - ogrodzenie, potężne bramy, patrole i specjalnie wytresowane, obronne psy. Bourne wpatrywał się przez szybę w nalaną, silną twarz sierżanta. Jakie tajemnice kryły się w tej wielkiej głowie? Wkrótce się o tym przekona. Delta Jeden wydobędzie je wszystkie, nawet gdyby musiał rozwalić tę czaszkę na kawałki. Oderwał się od okna i okrążył chatę; znalazłszy się przed drzwiami, zastukał dwukrotnie lewą ręką. W prawej trzymał pistolet dostarczony mu przez Aleksandra Conklina, króla wszystkich potajemnych operacji.

- Otwarte, Rachelo! - rozległ się donośny, chrapliwy głos.

Bourne nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Otworzyły się powoli na oścież, a kiedy dotknęły ściany, wszedł do środka.

- Boże! - wykrzyknął sierżant, zrywając się z trudem z fotela. - To ty! Jesteś duchem! Przecież ty nie żyjesz...!

- Wygląda na to, że się mylisz - powiedział Delta Jeden. - Spróbuj jeszcze raz. Nazywasz się Flannagan, prawda? Właśnie sobie przypomniałem.

- Jesteś martwy! - wykrztusił ponownie adiutant generała, wpatrując się w Bourne'a wybałuszonymi ze strachu oczami. - Załatwili cię w Hongkongu... Zabili cię w Hongkongu cztery... nie, pięć lat temu!

- Prowadzisz dziennik?

- Wiemy o tym... W każdym razie ja wiem...

- W takim razie musisz mieć znajomych na wysokich stanowiskach.

- Ty jesteś Bourne!

- Jak nowo narodzony.

- Nie wierzę ci!

- Lepiej uwierz, Flannagan. Przed chwilą użyłeś słowa „my”... Właśnie o tym porozmawiamy. O Królowej Węzów, żeby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień.

- To ty byłeś tym Kobrą, o którym mówił Swayne! - O ile wiem, kobra również jest wężem.

- Nie rozumiem...

- Bo to bardzo skomplikowane.

- Przecież jesteś jednym z nas!

- Byłem. Potem pozbyliście się mnie, a teraz wśliznąłem się z powrotem. Sierżant w panice spojrzął na drzwi, potem na okna.

- Jak się tu dostałeś? Gdzie są strażnicy, psy...? Boże, gdzie oni są?

- Psy zasnęły w swoich boksach, więc dałem strażnikom wolne.

- Dałeś... Psy biegają po terenie!

- Już nie. Przekonałem je, że powinny trochę odpocząć.

- A strażnicy?

- Ich z kolei przekonałem, żeby sobie poszli. To, co dzisiaj się tutaj dzieje, uznali za jeszcze bardziej tajemnicze, niż jest w rzeczywistości.

- To znaczy co? Co chcesz zrobić?

- Zdawało mi się, że już powiedziałem. Po prostu trochę porozmawiamy, sierżancie Flannagan. Chcę się dowiedzieć, co porabiają dawni towarzysze broni.

Przerażony mężczyzna cofnął się o krok od fotela.

- To ty jesteś tym wariatem, Deltą Jeden, któremu odbiła szajba i zaczął działać na własną rękę! - wychrypiął donośnym szeptem. - Na własne oczy widziałem zdjęcie... Leżałeś na stole, prześcieradło było całe we krwi, miałeś szeroko otwarte oczy i dziury po kulach w czole i gardle. Zapytali mnie, kim jesteś, a ja powiedziałem: „To Delta, Delta Jeden z tajnego oddziału”. Oni na to: „Nie, to jest Jason Bourne, morderca”, więc im odpowiedziałem: „W takim razie to był ten sam człowiek, bo to na pewno jest Delta, znałem go”. Podziękowali mi wtedy, kazali odejść i dołączyć do pozostałych.

- Kim byli ci „oni”?

- Ludzie z Langley. Ten, który najwięcej gadał, utykał na jedną nogę i miał laskę.

- A pozostali, do których miałeś dołączyć?

- Mniej więcej trzydziestu weteranów z Sajgonu.

- Z Dowództwa Sajgonu?

- Tak.

- Ci, którzy pracowali z nami, „nielegalnymi”?

- W większości tak.

- Kiedy to było?

- Boże, przecież ci powiedziałem! - wykrzyknął przerażony adiutant. - Cztery albo pięć lat temu! Widziałem tę fotografię! Byłeś martwy!

- Jedna, jedyna fotografia... - powiedział cicho Bourne, przypatrując się uważnie sierżantowi. - Masz bardzo dobrą pamięć.

- Kiedyś przyłożyłeś mi pistolet do głowy. W ciągu trzydziestu trzech lat, dwóch wojen i dwunastu wojskowych operacji nikt inny tego nie zrobił, tylko ty... Tak, mam dobrą pamięć.

- Myślę, że cię rozumiem.

- A ja nie! Nic, kompletnie nic z tego nie rozumiem! Przecież cię zabili!

- Ty tak twierdzisz, ale wygląda na to, że się mylisz. A może nie? Może jestem tylko upiorem, który przyszedł dręczyć cię po dwudziestu latach oszustw?

- Co ty pieprzysz, do cholery?

- Stój w miejscu!

- Przecież stoję!

Nagle gdzieś daleko rozległ się wyraźny huk wystrzału. Jason odwrócił się raptownie... Wiedziony instynktem nie zatrzymał się, tylko kontynuował ruch, aż obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Olbrzymi sierżant rzucił się na niego i sięgał już niemal rękami do jego ramion, kiedy Bourne odskoczył w bok, uderzając jednocześnie stopą w nerkę, a kolbą pistoletu w kark mężczyzny. Flannagan runął z łoskotem na podłogę, a Jason ogłuszył go ciosem w głowę.

Ciszę przerwał histeryczny krzyk kobiety biegnącej w kierunku szeroko otwartych drzwi chaty. W kilka sekund potem do pokoju wpadła żona generała Swayne'a; ujrawszy niespodziewany widok, zatrzymała się raptownie i chwyciła oparcia najbliższego krzesła, lecz nie uczyniła nic, by ukryć ściskającą ją za gardło panikę.

- Nie żyje! - krzyknęła rozpaczliwie i przewracając krzesło, padła na podłogę obok swego kochanka. - Zastrzelił się, Eddie! Och, mój Boże, on się zastrzelił!

Jason Bourne wyprostował się i podszedł do drzwi chaty kryjącej w swoim wnętrzu tak wiele tajemnic. Zamknął je, nie spuszczać wzroku z dwojga więźniów. Kobieta płakała, szlochając spazmatycznie, ale nie były to łzy bólu, tylko strachu. Sierżant zamrugał powiekami, potrząsnął potężną głową i uniósł ją z podłogi. Uczucie malujące się na jego twarzy można było określić jako mieszaninę wściekłości i zdumienia.

Rozdział 11

Niczego nie dotykajcie - polecił Bourne, kiedy wszedł za Flannaganem i Rachelą Swayne do obwieszzonego fotografiami gabinetu generała. Ujrzawszy pozbawione niemal połowy czaszki ciało męża odchylone do tyłu w stojącym za biurkiem fotelu, pani Swayne osunęła się na kolana i skuliła, jakby chwyciły ją torsje. Sierżant ujął ją pod ramię i pomógł wstać, wpatrując się z niedowierzaniem w zmasakrowane zwłoki swego dowódcy.

- Zwariowany sukinsyn... - wyszeptał ledwo słyszalnie. Przez chwilę stał bez ruchu, zaciskając rytmicznie potężne szczęki, po czym ryknął na cały głos: - Ty cholerny skurwysynu! Co ci odbiło? Co teraz mamy robić?

- Zawiadomić policję, sierzancie - odpowiedział mu Bourne.

- Co takiego? - wykrzyknął adiutant, odwracając się w jego stronę.

- Nie! - Żona generała wyprostowała się raptownie. - Nie wolno nam!

- Wydaje mi się, że nie macie wyboru. Przecież żadne z was go nie zabiło. Prawdopodobnie doprowadziliście go do tego, ale go nie zabiliście.

- O czym ty mówisz, do cholery? - zapytał podejrzliwie Flannagan.

- Chyba lepsza będzie paskudna, choć w gruncie rzeczy zwyczajna rodzinna tragedia niż zakrojone na szeroką skalę śledztwo, nie uważasz? Przypuszczam, że wasz, hmm... związek nie stanowił dla nikogo tajemnicy?

- Nasz związek nic go nie obchodził, i to również nie stanowiło tajemnicy.

- Zachęcał nas przy każdej okazji - uzupełniła Rachelą Swayne, wygładzając sukienkę. Zdumiewająco szybko odzyskiwała panowanie nad sobą. Choć mówiła do Bourne'a, nie spuszczała wzroku ze swego kochanka. - Bez przerwy pchał nas ku sobie... Boże, czy musimy tu stać? Mimo wszystko byłam z tym człowiekiem przez dwadzieścia sześć lat! Mam nadzieję, że pan mnie rozumie... To dla mnie okropne!

- Musimy porozmawiać - odparł Bourne.

- Ale nie tutaj, bardzo proszę. Chodźmy do salonu, jest po drugiej stronie holu.

Pani Swayne, już zupełnie opanowana, wyszła z gabinetu męża. Jego adiutant ruszył za nią, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na zbryzgane krwią ciało.

- Stańcie w holu tak, żebym was cały czas widział! - zawołał Jason i podszedł do biurka. Przypatrywał się uważnie temu, co widział generał Swayne w ostatnich chwilach swego życia. Miał wrażenie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Po prawej stronie dużej zielonej suszki leżał notatnik z wytłoczonym u góry każdej strony symbolem Pentagonu i nazwiskiem właściciela, a obok niego złoty długopis z wystającą końcówką wkładu, jakby odłożony na chwilę przez kogoś zajętego pisaniem. Bourne nachylił się nad biurkiem, czując w nozdrzach ostry zapach prochu i osmalonego ciała, i przyjrzał się notatnikowi. Był pusty, ale Jason mimo to wydarł kilka wierzchnich kartek, zwinął je i schował do kieszeni spodni. Cofnął się o krok, lecz w dalszym ciągu coś nie dawało mu spokoju. Co to mogło być? Rozejrzał się po wnętrzu gabinetu, ale w tej samej chwili w drzwiach pojawił się sierżant Flannagan.

- Co robisz? - zapytał podejrzliwie. - Czekamy na ciebie.

- Twoja przyjaciółka miała opory przed pozostaniem tu, ale ja ich nie mam. Nie mogę sobie na to pozwolić. Zbyt wielu rzeczy muszę się dowiedzieć.

- Kazałeś nam niczego nie dotykać.

- Szukanie to nie dotykanie, sierzancie. Chyba że się coś zabierze, ale wtedy nikt nie wie, że się czegoś dotykało, bo tego już po prostu nie ma.

Bourne podszedł nagle do ozdobnego stolika do kawy o mosiężnym blacie, jednego z

tych, jakie można zobaczyć niemal na każdym bazarze w Indiach i na Bliskim Wschodzie. Był ustawiony między dwoma fotelami, przed niewielkim kominkiem. Na blacie, blisko krawędzi, stała popielniczka częściowo wypełniona niedopałkami papierosów. Jason wziął ją do ręki i odwrócił się do Flannagana.

- Na przykład ta popielniczka, sierżancie. Dotknąłem jej i teraz są na niej moje odciski palców, ale nikt się o tym nie dowie, ponieważ ją zabiorę.

- Dlaczego?

- Dlatego, że coś wyczuwam... Naprawdę wyczuwam, nosem, nie żadnym szóstym zmysłem.

- O czym ty gadasz, do diabła?

- O papierosowym dymie. Czuć go w powietrzu znacznie dłużej, niż ci się wydaje. Powie ci to każdy, kto próbował rzucić palenie tyle razy co ja.

- I co z tego?

- Na fapie porozmawiajmy z żoną generała. Wszyscy musimy porozmawiać. Chodź, Flannagan, urządzimy sobie mały teleturniej.

- Jesteś taki odważny, bo masz spluwę w kieszeni, co?

- Ruszaj, sierżancie!

Rachela Swayne odrzuciła do tyłu długie czarne włosy i znieruchomiła w fotelu, wpatrując się w Bourne'a szeroko otwartymi, nieprzyjawnymi oczami.

- Pan mnie obraża - powiedziała z godnością.

- Możliwe - zgodził się Jason, kiwając głową - ale tak się składa, że mam rację. W popielniczce jest pięć niedopałków, a na każdym widać ślady szminki. - Bourne usiadł naprzeciwko kobiety i postawił popielniczkę na małym stoliku. - Była pani tam, kiedy wsadził sobie lufę do ust i pociągnął za cyngiel. Może nie przypuszczała pani, że się na to zdobędzie, uznała to pani być może za jego kolejne histeryczne przedstawienie... W każdym razie nie zrobiła pani nic, żeby go powstrzymać. Zresztą dlaczego miałyby pani cokolwiek robić? Dla pani i Eddiego stanowiło to rozsądne, logiczne rozwiązanie.

- Jak pan śmie!

- Szczerze mówiąc, pani Swayne, nie powinna pani używać takich wyrażen. Nie pasują do pani, podobnie jak stwierdzenia w rodzaju: „Pan mnie obraża”... Naśladuje pani innych ludzi, być może zamożnych, próżnych klientów obsługiwanych wiele lat temu na Hawajach przez młodą fryzjerkę...

- To bezczelność!

- Rachelo, ośmiesza się pani. Proszę sobie darować tego rodzaju uwagi. Wygląda to tak, jakby pokojówka próbowała odegrać rolę królowej i posłać mnie na szafot.

- Odpieprz się od niej! - warknął Flannagan, stając przy kobiecie. - Masz broń, ale nie musisz tego robić! Zawsze była porządną kobietą, choć pluli na nią ci wszyscy pokraczni artyści z miasta.

- Jakże śmieli? Przecież była żoną generała, panią tej posiadłości, czyż nie tak?

- Wykorzystywali ją...

- Śmiali się ze mnie, zawsze się ze mnie śmiali, panie Delta! - wykrzyknęła Rachela Swayne, zaciskając dłonie na poręczach fotela. - Kiedy skończyły im się inne tematy, natychmiast brali mnie na języki! Jak pan by się czuł w roli specjalnego deseru podsuwanego gościom po przekąskach i drinkach?

- Nie wydaje mi się, żebym był zachwycony. Niewykluczone nawet, że bym odmówił.

- Nie mogłam! On mnie zmuszał!

- Nikt nie może kogoś zmusić do czegoś takiego.

- Oczywiście, że może, panie Delta - odparła żona generała, pochylając się w fotelu. Jej

pełne piersi napały na cienki materiał bluzki, a długie włosy przesunęły się do przodu, częściowo zasłaniając trochę już postarzałą, ale nadal delikatną i zmysłową twarz. -Proszę sobie wyobrazić dziewczynę z zagłębia węglowego w Wirginii Zachodniej, która skończyła podstawówkę, kiedy właśnie zaczęli zamykać wszystkie kopalnie i ludzie nie mieli co żreć... przepraszam, jeść. Trzeba wtedy zabierać, co się da, i uciekać, i właśnie to zrobiłam. Różni mnie wszyscy, od Antiguy po Honolulu, ale w końcu dotarłam tam, gdzie chciałam, nauczyłam się zawodu, a potem poznałam Wspaniałego Chłopca i wyszłam za niego za męża, ale nigdy nie miałam żadnych złudzeń, szczególnie od chwili, kiedy on wrócił z Wietnamu. Wie pan, co mam na myśli?

- Nie jestem pewien, pani Swayne.
- Nie musisz mu niczego mówić! - ryknął Flannagan.
- Aleja chcę, Eddie! Mam już dosyć tego całego gówna!
- Tylko uważaj, co mówisz!
- Chodzi o to, panie Delta, że ja właściwie nic nie wiem, ale potrafię kojarzyć fakty.
- Natychmiast przestań, Rachelo! - wrzasnął adiutant martwego generała.
- Odpieprz się, Eddie! Ty też nie jesteś geniuszem. Ten człowiek może nam pomóc...
- Ma pani całkowitą rację, pani Swayne - powiedział Jason.
- Wie pan, czym jest w rzeczywistości to miejsce?
- Zamknij się! - ryknął Flannagan i ruszył w jej kierunku, ale natychmiast zatrzymał się

jak wryty, powietrze rozdarł bowiem ogłuszający huk i w podłogę tuż przed jego stopami wrył się pocisk wystrzelony z pistoletu Bourne'a.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie.

- A więc, czym jest to miejsce, pani Swayne? - zapytał Jason.

- Przestań! - sierżant ponownie nie dopuścił jej do głosu, lecz tym razem nie był to rozkaz, a raczej prośba silnego mężczyzny. Spojrzał na żonę generała, a potem przeniósł wzrok na Jasona. - Posłuchaj, Delta, Bourne, czy kim tam jesteś. Rachelo ma rację. Możesz nam pomóc wydostać się stąd, bo nie mamy po co tu zostać, więc co masz nam do zaproponowania?

- Za co?

- Przypuśćmy, że powiemy ci wszystko, co wiemy o tym miejscu... A ja dorucę informację, gdzie możesz znaleźć jeszcze więcej. W jaki sposób mógłbyś nam pomóc? Zależy nam na tym, żeby dostać się na Hawaje, nie dając się przyskrzynić i nie trafiając na pierwsze strony gazet.

- Masz spore wymagania, sierżancie.

- Do cholery, przecież sam powiedziałeś, że żadne z nas go nie zabiło!

- Zgadza się, choć w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Na przykład ustalenie, co porabiają „starzy towarzysze broni”?

- Chociażby.

- Nie rozumiem, co...

- Nie musisz.

- Przecież ty nie żyjesz! - wybuchnął Flannagan. - Delta Jeden i Bourne to ten sam człowiek, a Bourne zginął. CIA udowodniła to ponad wszelką wątpliwość!

- Jednak żyję, sierżancie, i to wszystko, co powinieneś wiedzieć. Jeszcze może tylko tyle, że działam na własną rękę. Mogę w każdej chwili poprosić kilka osób o spłatę pewnych długów, ale poza tym jestem zupełnie sam. Potrzebuję informacji, i to szybko!

Flannagan pokiwał głową w zamyśleniu.

- Kto wie, może będę potrafił ci pomóc bardziej niż ktokolwiek inny... - mruknął. - Otrzymałem zadanie, dzięki czemu dowiedziałem się rzeczy, o których w normalnych warunkach ktoś taki jak ja nie miałby nawet pojęcia.

- To brzmi jak pierwsze słowa spowiedzi agenta tajnych służb, sierżancie. Na czym polegało to specjalne zadanie?

- Byłem pielęgniarem. Dwa lata temu Norman zaczął się sypać. Pilnowałem go, a gdybym nie mógł dać sobie rady, miałem zadzwonić pod pewien numer w Nowym Jorku.

- Zapewne ów numer jest częścią pomocy, jakiej miałbyś mi udzielić?

- Owszem, na wszelki wypadek zapisałem także numery rejestracyjne kilku samochodów...

- Na wypadek, gdyby ktoś zdecydował, że twoje usługi jako pielęgniarza nie są już potrzebne?

- Coś w tym rodzaju. Te fiuty nigdy nas nie lubiły: Norman tego nie widział, ale ja tak.

- Nas? To znaczy ciebie, Racheli i Swayne'a?

- Nas, w mundurach. Patrzyli na nas z góry, jakbyśmy byli kupą nie zbędnych śmieci. Mieli rację co do tej niezbędności. Potrzebowali Normana. Po cichu pluli na niego, ale go potrzebowali.

„Żołnierzyki nie dadzą sobie z tym rady”. Albert Armbruster, przewodniczący Federalnej Komisji Handlu. Cywilni spadkobiercy „Meduzy”.

- Sądząc z tego, co powiedziałaś o zapisanych numerach rejestracyjnych samochodów, nie brałaś udziału w spotkaniach, które się tutaj odbywały?

- Czy pan zwariował? - parsknęła Racheli Swayne, we właściwy sobie sposób odpowiadając na pytanie Jasona. - Zawsze, kiedy to było poważne spotkanie, a nie jakaś zwykła popijawa, Norm kazał mi zostać na górze albo iść do Eddiego i pooglądać telewizję. Eddie miał wtedy zakaz wychodzenia z chaty. Nie byliśmy wystarczająco dobrzy, żeby zobaczyli nas jego pieprze ni przyjaciele! Tak było od lat... Mówiłam już, że on dosłownie pchał nas jedno ku drugiemu.

- Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć. Ale jak w takim razie udało ci się zdobyć te numery, sierżancie, skoro nie mogłeś opuszczać swojej kwatery?

- Nie ja je zdobyłem, tylko moi strażnicy. Powiedziałem im, że to w celu sprawdzenia zabezpieczeń. Żaden nawet się nie zdziwił.

- Aha. Powiedziałeś, że jakiś czas temu Swayne „zaczął się sypać”. Jak to wyglądało?

- Tak jak dzisiaj. Kiedy zdarzyło się coś niespodziewanego, nie potrafił podjąć żadnej decyzji. Jeśli miało to chociaż najmniejszy związek z Królową Wężów, próbował schować głowę w piasek i wszystko przeczekać.

- Właśnie, co zdarzyło się dzisiaj? Widziałem, że się sprzeczaście. Wyglądało to tak, jakby sierżant wydawał generałowi rozkazy.

- Bo tak było. Norman wpadł w panikę z twojego powodu... Z powodu faceta o pseudonimie Kobra, który zaczął grzebać w brudach sprzed dwudziestu lat, z Sajgonu. Chciał, żebym z nim był, kiedy się zjawisz, ale ja kazałem mu się odpieprzyć. Powiedziałem mu, że to szaleństwo i że musiałbym być wariatem, żeby coś takiego zrobić.

- Dlaczego? Czemu adiutant miałby nie towarzyszyć swemu dowódcy?

- Z tego samego powodu, z którego nie zaprasza się podoficerów na obrady sztabu, gdzie generałowie decydują o planach strategicznych. To są różne szczeble i tego się nie robi.

- Znaczy to mniej więcej tyle, że nie chciałeś wszystkiego wiedzieć.

- Zgadza się.

- Ale przecież wtedy, dwadzieścia lat temu, ty też należałeś do „Meduzy”! Dalej do niej należysz, do stu diabłów!

- Na innych zasadach, Delta. Sprzątam po nich, a oni się o mnie troszczą, ale jestem tylko zamiataczem w mundurze i mam do wyboru dwie możliwości: albo z grzecznie zamkniętą buźką przejdę na spokojną emeryturę, albo wyląduję w kostnicy w foliowym worku. Sprawa jest wyjątkowo jasna: nie jestem nie do zastąpienia.

Bourne cały czas nie spuszczał sierżanta z oka, dzięki czemu zauważył rzucające przez

niego na żonę Swayne'a spojrzenia, szukające poparcia czy też wyraźnie nakazujące jej milczenie. Jeśli potężnie zbudowany podoficer nie mówił prawdy, to był bardzo dobrym aktorem.

- W takim razie wydaje mi się, że jest znakomita okazja, by przyspieszyć odejście na emeryturę, sierżancie - powiedział Jason. - Mogę to załatwić. Znikniesz bez śladu z grzecznie zamkniętą buźką i z zapłatą za wieloletnie pilne sprzątanie. Zaufany adiutant generała prosi po niemal trzydziestu latach służby o pozwolenie przejścia na emeryturę, wstrząśnięty tragiczną śmiercią swego zwierzchnika... Nikt nie będzie niczego podejrzewał. Tak się przedstawia moja propozycja.

Flannagan ponownie zerknął na Rachelę Swayne, która gwałtownie skinęła głową i spojrzała Bourne'owi prosto w oczy.

- Jakie mamy gwarancje, że uda nam się spakować i spokojnie wyjechać? - zapytała.

- A czy sierżant Flannagan nie będzie przedtem musiał załatwić kilku formalności?

- Norman podpisał mi wszystkie papiery półtora roku temu - wtrącił się adiutant. - Oficjalnie miałem przydział do jego biura w Pentagonie, ze skierowaniem do prywatnej rezydencji. Wystarczy, żebym wstawił datę, złożył podpis i wysłał im to pocztą, oczywiście ze zwrotnym adresem, który też już mamy.

- I to wszystko?

- No, jeszcze może trzy lub cztery rozmowy telefoniczne. Prawnik Normana, żeby się tu wszystkim zajął, opiekun dla psów, dyspozytor kolumny transportowej Pentagonu, Nowy Jork, a potem już tylko lotnisko Dulles.

- Musieliście o tym myśleć już od bardzo dawna, może nawet od lat...

- Nawet jeżeli, to co z tego? - Żona generała Swayne'a wruszyła ramionami. - Jak to się mówi, nic nas tu nie wiązało.

- Zanim złożę podpis i wykonam te rozmowy, muszę mieć pewność, że nic nam się nie stanie - wtrącił się Flannagan.

- Czyli żadnej policji, żadnych dziennikarzy, niczego, co pozwoliłoby skojarzyć was z dzisiejszym wieczorem, tak?

- Sam powiedziałaś, że to spore wymagania. Jak poważne są długi, na które chcesz się powołać?

- Po prostu was tu nie było... - wycodził w zamyśleniu Bourne, spoglądając na leżące w popielniczce niedopałki papierosów z wyraźnymi śladami szminki. Po chwili przeniósł wzrok na adiutanta generała. - Niczego nie dotykaliście, więc nie ma żadnych dowodów na to, że tu się kręciliście. Wystarczy wam kilka godzin?

- Nawet trzydzieści minut, panie Delta - odparła Rachelę.

- Dobry Boże, przecież obydwójce tu mieszkaliście, prowadziliście normalne życie...

- Nie chcemy od tego życia nic oprócz tego, co już mamy - oznajmiła kategorycznie pani Swayne.

- Ta posiadłość należy chyba teraz do pani?

- Jak cholera. Zapisał ją jakiejś fundacji, prawnik wie jakiej. Zawiadomi mnie, co dostanę, jeśli w ogóle cokolwiek dostanę. Na razie chcę się stąd jak najszybciej wydostać. Obydwójce tego chcemy.

Jason przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu niezwyklej parze.

- W takim razie nic was nie zatrzymuje - powiedział wreszcie.

- Jakie mamy na to gwarancje? - zapytał Flannagan, robiąc krok naprzód.

- Przyznam, że to wymaga z waszej strony okazania odrobiny zaufania, ale możecie mi wierzyć: wiem, co mówię. Oczywiście, nikt wam nie zabrania tutaj zostać. Załóżmy, że jakoś pozbędziecie się ciała. Ale to nie rozwiąże sprawy. Generał ani jutro, ani pojutrze nie pojawi się w Arlington. Prędzej czy później zjawi się tu ktoś, żeby sprawdzić, co się stało. Zaczną się pytania, dochodzenia, poszukiwania, a w prasie i telewizji aż się będzie roiło od plotek i

domysłów. W krótkim czasie wasz związek wyjdzie na jaw - do diabła, wiedzieli o nim nawet strażnicy! - a kiedy dziennikarze dopadną takiego kasku, to już go nie wypuszczą... Tego właśnie chcecie? Nie boicie się, że konsekwencją będą foliowe worki w kostnicy, o których wspomniałeś?

Mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia.

- On ma rację, Eddie - powiedziała wreszcie żona generała. - Z nim mamy jakąś szansę, bez niego - żadnej.

- To brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe - warknął Flannagan i obejrzał się nerwowo w kierunku drzwi. - Jak zdołasz wszystko zorganizować?

- To moja sprawa - odparł spokojnie Bourne. - Podaj mi wszystkie numery telefonów, a potem zadzwoń do Nowego Jorku. Na twoim miejscu zrobiłbym to jednak dopiero z Hawajów albo z jakiejś innej wyspy, na której wylądujecie.

- Chyba oszalałeś! Ruszą za nami natychmiast, gdy sprawa wyjdzie na jaw. Będą chcieli dowiedzieć się wszystkiego.

- Jeśli powiesz im prawdę, a raczej nieco zmodyfikowaną wersję prawdy, z pewnością otrzymasz nawet pochwałę.

- Jesteś kompletny świr!

- Nie byłem świrem w Wietnamie, sierzancie, ani w Hongkongu, i na pewno nie jestem nim teraz... Wraz z panią Swayne przyjechaliście do domu, zobaczyliście, co się stało, i natychmiast wyjechaliście, żeby uniknąć pytań. Nieboszczycy nie mówią, dzięki czemu bardzo trudno przyłapać ich na kłamstwie. Wstaw datę wcześniejszą o jeden dzień, wyślij pocztą papiery, a resztę pozostaw mnie.

- Nie wiem, czy...

- Nie masz wyboru, sierzancie! - Jason podniósł się z fotela. - A ja nie mam ochoty tracić więcej czasu. Jeżeli chcecie, mogę stąd iść, a wy sami sobie wszystko przygotowujecie. - Ruszył ku drzwiom.

- Eddie, zatrzymaj go! Musimy zrobić, co mówi, musimy zaryzykować! Jeśli tego nie zrobimy, zginiemy, i ty dobrze o tym wiesz!

- Już dobrze, dobrze... Uspokój się, Delta. Przyjmujemy twój plan. Jason zatrzymał się i odwrócił w jego kierunku.

- Cały plan, sierzancie, od A do Z.

- W porządku.

- Po pierwsze, pójdziemy we dwóch do twojej kwatery, a pani Swayne w tym czasie spakuje swoje rzeczy. Podasz mi wszystko, co wiesz: telefony, numery rejestracyjne, nazwiska... Wszystko, czego zażądam. Zgoda?

- OK.

- W takim razie, chodźmy. Aha, pani Swayne... Wiem, że z pewnością jest tu wiele rzeczy, które chciałaby pani ze sobą zabrać, ale...

- Może pan być spokojny, panie Delta. Nie lubię wspomnień. To, na czym mi naprawdę zależało, już dawno stąd wysłałam. Wszystko czeka na nas kilka tysięcy mil stąd.

- Widzę, że naprawdę byliście dobrze przygotowani.

- Co w tym dziwnego? Wiedzieliśmy, że taka chwila prędzej czy później musi nadejść.

- Rachel minęła mężczyzn i szybkim krokiem wyszła do holu. Przy schodach prowadzących na piętro zatrzymała się raptownie, wróciła i dotknęła delikatnie dłonią policzka sierżanta.

- Hej, Eddie... - powiedziała cicho, wpatrując się w niego błyszczący mi oczami. - To się wreszcie stało! Będziemy teraz żyć, Eddie! Wiesz, o czym mówię?

- Tak, wiem.

Szli we dwóch w kierunku chaty.

- Ja naprawdę nie mam zbyt wiele czasu, sierzancie - odezwał się Bourne. - Możesz zacząć już teraz. Co chciałeś mi powiedzieć o tej posiadłości?

- Jesteś przygotowany?
- Co to ma znaczyć? Oczywiście, że jestem.

Okazało się jednak, że nie był, zatrzymał się bowiem jak wryty, kiedy usłyszał słowa Flannagana.

- Zacznijmy od tego, że w rzeczywistości to jest cmentarz.

Aleks Conklin siedział bez ruchu za biurkiem, ściskając słuchawkę w dłoni, niezdolny zmusić się do jakiejś racjonalnej reakcji na podawane mu przez Bourne'a rewelacje.

- Nie wierzę! - wykrztusił wreszcie z najwyższym trudem.
- W co?

- Nie wiem... Chyba we wszystko. A przede wszystkim w ten cmentarz. Wygląda na to, że jednak będe musiał, co?

- Nie wierzyłeś też w Londyn, Brukselę, dowódcę Szóstej Floty i klucznika z Langley. Ja po prostu dodałem tylko kilka nowych pozycji do listy. Jak tylko ich wszystkich zidentyfikujemy, będziemy mogli przystąpić do działania.

- Musisz zacząć jeszcze raz od początku, bo w głowie mi się kręci. Telefon w Nowym Jorku, numery rejestracyjne...

- Przede wszystkim ciao, Aleks, a zaraz potem Flannagan i żona generała! Są już w drodze. Zawarłem z nimi umowę, a ty musisz mi pomóc jej dotrzymać.

- Tak po prostu? Swayne popełnia samobójstwo, a my machamy chusteczkami na pożegnanie ludziom, którzy mogliby coś na ten temat powiedzieć? To jeszcze większe wariactwo od tego, którym mnie przed chwilą uraczyłeś!

- Nie mamy czasu na to, żeby teraz renegecjonować zasady gry. Poza tym oni i tak nie mogliby nam odpowiedzieć na więcej pytań.

- Wyrażasz się niezwykle jasno.

- Zrób to. Pozwól im odlecieć. Mogą nam się jeszcze przydać. Conklin westchnął, najwyraźniej nie mogąc podjąć decyzji.

- Jesteś pewien? To bardzo skomplikowana sprawa.

- Zrób to, na litość boską! Nic mnie nie obchodzi wszystkie komplikacje, naruszenia prawa czy manipulacje, jakie jesteś w stanie sobie wymyślić, Chodzi mi tylko o Carlosa! Właśnie tkamy sieć, w którą on wpadnie... Ja go po niej wciągnę!

- Już dobrze, dobrze... W Falls Church mieszka pewien lekarz, z którego usług już kiedyś korzystaliśmy. Zawiadomię go, a on już będzie wiedział, co robić.

- W porządku. - Umysł Bourne'a pracował na najwyższych obrotach. - A teraz włącz magnetofon. Podam ci wszystko, co mi powiedział Flannagan.

- Tylko pośpiesz się, bo mam jeszcze masę roboty.

- Możesz zaczynać, Delta Jeden.

Jason mówił szybko i wyraźnie, aby uniknąć ewentualnych niejasności przy przesłuchiowaniu taśmy, nie spuszczać oczu z listy, jaką sporządził w kwaterze Flannagana. Znajdowały się na niej nazwiska siedmiu gości najczęściej bywających na przyjęciach u generała; Bourne nie miał żadnej pewności, czy zapisał je prawidłowo, ale każdemu towarzyszyła krótka charakterystyka noszącego je człowieka. Oprócz tego lista zawierała numery rejestracyjne samochodów, którymi przyjeżdżali do posiadłości uczestnicy odbywających się dwa razy w miesiącu spotkań, numery telefonów prawnika Swayne'a, strażników, opiekuna psów, dyspozytora kolumny transportowej Pentagonu, a wreszcie zastrzeżony numer telefonu w Nowym Jorku; informacje odbierał automat zgłoszeniowy.

- To jest dla nas w tej chwili najważniejsze, Aleks.

- Ustalimy miejsce, nie ma obawy - odparł Conklin. - Zadzwoń do psiarczyków i porozmawiam z nimi po pentagońsku. Powiem, że generał wyjechał z nagłą, nie cierpiącą

zwłoki misją i prosił, żeby z samego rana zaopiekowano się psami. Za podwójną opłatą, ma się rozumieć... Numery rejestracyjne to pestka. Casset ustali właścicieli za pomocą komputerów bez wiedzy DeSole'a.

- A co ze Swayne'em? Przez jakiś czas musimy utrzymać samobójstwo w tajemnicy.

- Jak długo?

- Skąd mam wiedzieć, do cholery? - warknął Jason. - Tak długo, dopóki nie zidentyfikujemy ich wszystkich i ja albo ty nie dotrzemy do nich, żeby wywołać jeszcze większą panikę. Właśnie wtedy podsunie mi pomysł z Carlosem.

- To tylko słowa - odparł niezbyt przyjaznym tonem Conklin. - Może my na to potrzebować kilku dni, a kto wie, czy nawet nie tygodnia.

- Sam odpowiedziałeś na swoje pytanie.

- W takim razie będzie lepiej, jeśli wprowadzimy we wszystko Petera Hollanda...

- Jeszcze nie teraz. Nie wiemy, jak zareaguje, a ja nie pozwolę, żeby wlaź mi w drogę.

- Jason, musisz zaufać komuś oprócz mnie. Być może uda mi się otumanić doktora na dwadzieścia cztery lub czterdzieści osiem godzin, ale na pewno nie dłużej. Zażąda potwierdzenia z wyższej instancji. Nie zapominaj też, że Casset siedzi mi na karku w związku ze sprawą DeSole'a...

- Daj mi dwa dni. Zdobądź mi dwa dni!

- Weryfikując wszystkie te informacje, wodząc za nos Charliego i łącząc w oczy Peterowi, opowiadając im bajeczki o tym, jak zastawiamy pułapkę na kurierów Szakala w hotelu Mayflower...? A tymczasem nic takiego nie robimy, bo siedzimy po uszy w jakiejś liczącej sobie dwadzieścia lat, wywodzącej się z Sajgonu, głęboko zakonspirowanej sprawie, w którą zamieszany jest diabli wiedzą kto, ale na pewno nikt mało ważny. Właśnie dowiedzieliśmy się, że na terenie posiadłości generała odpowiedzialnego za dostawy dla Pentagonu znajduje się prywatny cmentarz, a generał ów akurat palnął sobie w łeb, ale to już mało istotna drobnostka, rzecz jasna... Na litość boską, Delta, cofnij się! To wszystko nie trzyma się kupy!

Bourne uśmiechnął się, choć stał przy biurku, za którym siedział w fotelu trup z odstrzeloną połową głowy.

- Chyba właśnie na tym nam zależało, nieprawdaż? To brzmi jak scenariusz napisany przez samego świętego Aleksa.

- Ja już nie nadaję się na sternika, co najwyżej mogę być pasażerem...

- Co z tym lekarzem? - przerwał mu Jason. - Nie byłeś w akcji już od prawie pięciu lat. Skąd wiesz, że on jeszcze działa?

- Wpadam na niego od czasu do czasu. Obaj lubimy włóczyć się po muzeach. Kilka miesięcy temu w Corcoran Gallery bardzo narzekał, że ostatnio nie ma prawie nic do roboty.

- Dzisiaj to się zmieni.

- Mam nadzieję. Co teraz zamierzasz zrobić?

- Rozejrzeć się dokładnie po tym pokoju.

- Chyba w rękawiczkach?

- Oczywiście, jak chirurg.

- Tylko nie dotykaj ciała.

- Zajrzę dyskretnie do kieszeni... Żona Swayne'a schodzi na dół. Zadzwoń do ciebie, jak się wyniosą. Złap tego lekarza!

Lekarz medycyny Iwan Jax, absolwent Akademii Medycznej Yale, chirurg, zamieszkały i pracujący w Massachusetts, a rodem z Jamajki, w przeszłości, dzięki znajomości z pewnym Murzynem o nieprawdopodobnym imieniu Kaktus, wielokrotnie konsultant Centralnej Agencji Wywiadowczej, wjechał na teren posiadłości generała Swayne'a w Manassas w stanie

Wirginia. W jego życiu zdarzały się chwile, kiedy żałował, że w ogóle poznał Kak - to była właśnie jedna z tych chwil. Jax ani na chwilę jednak nie zapomniał, że dzięki „magicznym papierom” sfabrykowanym przez starego Murzyna udało mu się ściągnąć z rządu przez Manleya Jamajki swojego brata i siostrę. Wykształceni specjaliści mieli w owym czasie kategoryczny zakaz opuszczania kraju, szczególnie jeśli pragnęli zabrać ze sobą cały swój majątek.

Kaktusowi udało się jednak załatwić nie tylko zezwolenie wyjazdu dla dwojga młodych ludzi, ale także możliwość przekazania wszystkich posiadanych przez nich pieniędzy na konto w Lizbonie. W zamian stary fałszerz zażądał jedynie skradzionych formularzy, szczególnie listów przewozowych, paszportów obojga uciekinierów, a także fotografii podpisów ludzi zajmujących różne, najczęściej dość wysokie stanowiska rządowe. Ze zdobyciem tych ostatnich nie było najmniejszego kłopotu, zważywszy liczbę publikowanych w prasie komunikatów, zarządzeń i dekretów. Obecnie brat Iwana był zamożnym adwokatem w Londynie, siostra zaś asystentką w Cambridge. Tak, bez wątplenia był dłużnikiem Kaktusa. Podjeżdżając swoim kombi przed rezydencję, doktor Jax przypomniał sobie, jak przed siedmiu laty stary Murzyn poprosił go o konsultację w Langley. Niezła konsultacja, nie ma co! Lecz cicha współpraca z amerykańskim wywiadem niosła też spore korzyści; kiedy na Jamajce obalono Manleya i do władzy doszedł Seaga, jednym z pierwszych majątków zwróconych prawowitym właścicielom były posiadłości rodziny Jaksa w Montego Bay i Port Antonio. Stało się tak wprawdzie za sprawą Aleksa Conklina, lecz gdyby nie Kaktus, Conklin z pewnością nie znalazłby się w kręgu przyjaciół doktora... Ale czemu Aleks musiał zadzwonić właśnie dzisiaj, w dwunastą rocznicę ślubu Iwana? Podrzucili dzieci są-siadom, żeby zostać w domu sam na sam, jedynie w towarzystwie tradycyjnych jamajskich potraw, osobiście i po mistrzowsku przyrządzonych na grillu przez Iwana, podlanych dużą ilością ciemnego rumu i okraszonych perspektywą pływania na golasa w basenie... Cholerny Aleks! Cholerny stary kawaler, który dowiedziawszy się o szczególnych okolicznościach, zareagował w taki oto sposób: „No to co z tego? Jaka to różnica, jeden dzień w tę czy w tamtą stronę? Pobawicie się jutro, dziś jesteś mi potrzebny”.

Musiał więc okłamać żonę, do niedawna jeszcze pielęgniarkę w szpitalu stanowym. Powiedział jej, że życie pacjenta wisi na włosku; w pewnym sensie była to prawda, z tą drobną poprawką, że włoszek urwał się już jakiś czas temu. Odparła na to, że być może jej kolejny mąż będzie miał dla niej trochę więcej czasu, ale smutny uśmiech i pełne zrozumienia spojrzenie przeczyły tym słowom. Wiedziała, co to znaczy śmierć. „Pośpiesz się, kochanie!”

Jax wyłączył silnik, złapał leżącą obok na siedzeniu torbę i wysiadł z samochodu. Kiedy przeszedł na drugą stronę pojazdu, drzwi rezydencji otworzyły się i pojawił się w nich mężczyzna ubrany w czarny, przylegający do ciała strój.

- Jestem pańskim lekarzem - powiedział Iwan, wspinając się po schodkach. - Nasz wspólny przyjaciel nie powiedział mi, jak się pan nazywa, ale zdaje się, że nie powinienem tego wiedzieć.

- Chyba nie - przyznał mu rację Bourne i wyciągnął dłoń, nie zdejmując z niej cienkiej chirurgicznej rękawiczki.

- Znam to wyposażenie - zauważył Jax, ściskając dłoń nieznajomego.

- Nasz wspólny przyjaciel nic nie wspominał o tym, że jest pan czarny.

- Czy to panu w jakiś sposób przeszkadza?

- Broń Boże. Chyba lubię go jeszcze bardziej niż do tej pory. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że to dla kogokolwiek może mieć znaczenie.

- Myślę, że jakoś się dogadamy. Chodźmy, panie bezimienny.

Bourne stał w odległości trzech metrów od biurka, przypatrując się, jak lekarz szybko i

sprawnie bada zwłoki, uprzednio litościwie zakrywszy ranę czystą gazą. Jax w milczeniu przeciął w kilku miejscach ubranie Swayne'a, obejrzał uważnie odsłonięte w ten sposób części ciała, a potem ostrożnie dźwignął zwłoki z fotela i ułożył na podłodze.

- Skończył pan już tutaj? - zapytał Jasona.
- Wszystko sprawdziłem, doktorze, jeśli o to panu chodzi.
- W takim razie trzeba zapieczętować to pomieszczenie. Nikt tu nie może wchodzić dopóty, dopóki nie zezwoli na to nasz wspólny przyjaciel.
- Tego nie mogę panu zagwarantować.
- W takim razie on będzie musiał to zrobić. - Dlaczego?
- Pański generał nie popełnił samobójstwa, panie bezimienny. On został zamordowany.

Rozdział 12

To ta kobieta - powiedział przez telefon Aleks Conklin. - Z tego, co mówisz, wynika, że to była jego żona. Boże!

- Co prawda niczego to nie zmienia, ale też tak uważam - przyznał bez specjalnego przekonania Bourne. - Jeden Bóg wie, że miała wystarczająco dużo powodów, ale dlaczego nie powiedziała nic Flannaganowi? To nie ma żadnego sensu!

- Rzeczywiście, nie ma... - przyznał Conklin. - Daj mi Iwana – dodał po chwili zdecydowanym tonem.

- Tego lekarza? To on ma na imię Iwan?

- A bo co?

- Nic... Jest na zewnątrz. „Pakuje towar”, jak sam się wyraził.

- Do swojego wozu?

- Tak. Zanieśliśmy ciało w...

- Dlaczego jest taki pewien, że to nie było samobójstwo? – przerwał mu Aleks.

- Swayne został nafaszerowany jakimiś prochami. Doktor powiedział, że zadzwoni później do ciebie i wszystko ci wyjaśni. Na razie chce się stąd jak najprędzej wydostać i życzy sobie, żeby do tego pokoju nikt nie wchodził dopóty, dopóki osobiście nie zawiadomisz policji. Zresztą sam to od niego usłyszysz.

- Jezu, to musi paskudnie wyglądać...

- Istotnie, nie ma się czym zachwycać. Co mam zrobić?

- Zaciągnij zasłony, jeśli są, sprawdź okna i, jeśli to możliwe, zamknij drzwi na klucz. Jeżeli nie ma zamka, poszukaj jakiegoś...

- Zamek jest, a w kieszeni Swayne'a znalazłem pęk kluczy - wpadł mu w słowo Jason.

- Sprawdziłem; jeden z nich pasuje.

- To dobrze. Wychodząc, wytrzyj dokładnie klamkę i futrynę, najlepiej jakimś płynem do czyszczenia mebli.

- To nie powstrzyma kogoś, kto zechce tu wejść.

- Nie, ale być może pozwoli znaleźć potem jakieś jego ślady.

- Nie wiem, czy nie przesadzasz...

- Oczywiście, że przesadzam - odparł gniewnym tonem emerytowany oficer wywiadu.

- Muszę wymyślić jakiś sposób na zneutralizowanie posiadłości bez pomocy Langley, jednocześnie powinienem przygotować jakąś uspokajającą historyjkę na wypadek, gdyby akurat któryś z dwudziestu paru tysięcy ludzi z Pentagonu zechciał się skontaktować z generałem. Nie wspomnę już o kupcach i dostawcach prowadzących z nim interesy... Boże, to po prostu niemożliwe!

- Wręcz przeciwnie: to jest doskonale - odparł Bourne. W drzwiach gabinetu pojawił się doktor Iwan Jax. - Nasza zabawa w destabilizację zacznie się tutaj, na tej „farmie”. Masz numer Kaktusa?

- Nie przy sobie. Przypuszczam, że został w domu w pudełku po butach.

- W takim razie zadzwoń do Mo Panova, on na pewno go ma, a potem skontaktuj się z Kaktusem i powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie z jakiejś budki.

- Co ty znowu kombinujesz, do diabła? Zawsze, kiedy słyszę jego imię, dostaję gęsieją skórki.

- Sam mi powiedziałeś, że muszę zaufać jeszcze komuś oprócz ciebie. Właśnie postanowiłem to zrobić. Zadzwoń do niego, Aleks. - Jason odłożył słuchawkę. - Przepraszam pana, doktorze... Chociaż, zważywszy okoliczności, chyba mogę mówić do pana po imieniu.

Witaj, Iwanie.

- Witaj, bezimienny przyjacielu. Jeśli o mnie chodzi, to wolę, żeby tak pozostało. Szczególnie po tym, jak usłyszałem pewne imię.

- Aleks? Nie, z pewnością nie o niego ci chodzi. - Bourne roześmiał się cicho i odszedł od biurka. - To z pewnością Kaktus, czyż nie tak?

- Przyszedłem zapytać, czy mam zamknąć bramę - powiedział Jax, puszczając mimo uszu pytanie.

- Czy sprawiłoby ci przykrość, gdybym powiedział, że pomyślałem o nim dopiero wtedy, kiedy cię zobaczyłem?

- Pewne skojarzenia są wręcz oczywiste. Więc jak będzie z tą bramą?

- Czy ty też jesteś dłużnikiem Kaktusa, doktorze? - zapytał Jason, patrząc prosto w twarz ciemnoskóremu mężczyźnie.

- Tak wielkim, że nawet przez myśl by mi nie przeszło wciągać go za sobą w takie bagno. Jest już starym człowiekiem, a niezależnie od wszelkich karkołomnych wniosków, jakie zechcą wysnuć ludzie z Langley, w tym domu popełniono dzisiaj brutalne morderstwo. Nie, z pewnością bym go w to nie mieszał.

- Ja, niestety, muszę. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym tego nie zrobił.

- Wygląda na to, że nie masz o sobie zbyt dobrego zdania, przyjacielu.

- Zamknij obie bramy, doktorze. Kiedy to zrobisz, włączę system alarmowy.

Jax zawahał się, jakby nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Posłuchaj... - zaczął niepewnie. - Niemal każdy normalny człowiek wie, po co mówi i robi różne rzeczy. Wydaje mi się, że ty jesteś normalny. Zadzwoń do Aleksa, gdybyś mnie potrzebował... Albo gdyby potrzebował mnie stary Kaktus.

Lekarz odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Bourne rozejrzał się uważnie po gabinecie. W ciągu trzech godzin, jakie minęły od wyjazdu Flannagana i Racheli Swayne, przeszukał każdy centymetr kwadratowy pomieszczenia, a także mieszczącą się na piętrze osobną sypialnię generała. Przedmioty, które zamierzał zabrać, poustawiał na stoliku 'do kawy. Znajdowały się wśród nich trzy wykonane z brązowej skóry duże kołonotatniki z wyjmowanymi kartkami; pierwszy służył jako kalendarz spotkań, drugi jako prywatna książka telefoniczna ze wszystkimi wpisami sporządzonymi atramentem, trzeci zaś pełnił funkcję księgi rachunkowej i był niemal zupełnie pusty. Oprócz tego na mosiężnym blacie stolika leżały wyciągnięte z kieszeni generała luźne, pokryte notatkami kartki, karta klubu golfowego, a także portfel zawierający mnóstwo budzących szacunek wizytówek i bardzo mało pieniędzy. Bourne miał zamiar przekazać te wszystkie przedmioty Aleksowi w nadziei, że będą początkiem kolejnych tropów, choć przeczucie podpowiadało mu, że nie znajduje się wśród nich nic, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki nowej „Meduzy”. Nie dawało mu to spokoju; coś takiego musiało przecież być w tym domu będącym prywatną twierdzą starego żołnierza... Wiedział, że i pod tym względem przeczucie go nie myli, lecz mimo to nie mógł nic znaleźć. Zaczął więc szukać ponownie, tym razem nie centymetr po centymetrze, lecz milimetr po milimetrze.

W kwadrans później, kiedy był zajęty zaglądaniem pod oprawione w ram-ki fotografie wiszące na ścianie na prawo od dużego, wychodzącego na trawnik okna, przypomniał sobie polecenie Conklina dotyczące zamknięcia okien i zaciągnięcia zasłon, by zabezpieczyć się przed czyjąś niespodziewaną wizytą lub niepowołanym spojrzeniem.

Jezu, to musi paskudnie wyglądać... Istotnie, nie ma się czym zachwycać...

I nie było. Wysokie trzyczęściowe okno zachłapane niemal do połowy krwią i fragmentami tkanki, mała wykonana z brązu klamka... Właśnie, nie przekreślono jej i okno było uchylone, nie więcej niż na pół centymetra, ale jednak otwarte. Bourne przyjrzał się uważnie zamknięciu i szybie; szkarłatno-białawe, zaschnięte teraz strużki i plamki były miejscami rozmazane i częściowo starte. Opuściwszy wzrok zrozumiał, dlaczego okno nie

jest domknięte: poruszony przeciągiem brzeg zasłony dostał się między skrzydło a framugę i został tam przyciśnięty. Jason odsunął się, zaskoczony, ale nie zdumiony. | Znalazł to, czego szukał: brakujący fragment układanki, której tematem była śmierć generała Normana Swayne'a.

Ktoś wyszedł przez to okno po tym, jak celny strzał roztrzaskał na kawałki głowę generała. Ktoś, kto nie mógł ryzykować, że zostanie zauważony w holu lub przed frontowymi drzwiami. Ktoś, kto dobrze znał zarówno dom, jak i teren posiadłości... oraz psy. Bezwzględny morderca z „Meduzy”. Niech to szlag trafi!

Kto? Kto to mógł być? Flannagan...? Żona Swayne'a...? Oni na pewno będą wiedzieć! Bourne rzucił się w stronę stojącego na biurku telefonu, ale zanim zdążył położyć dłoń na słuchawce, aparat zadzwonił. - To ty, Aleks?

- Nie, braciszku. Mówi stary przyjaciel. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że możemy sobie tak swobodnie operować imionami.

- Nie możemy - odparł Jason, usiłując za wszelką cenę narzucić sobie spokój. - Przed chwilą coś się stało... Znalazłem coś!

- Opanuj się, chłopie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebuję cię tutaj. Masz czas?

W słuchawce rozległ się przytłumiony chichot.

- Czekaj no, niech sprawdzę... Co prawda powinienem wpaść na po siedzenia kilku zarządów spółek, a Biały Dom zaprosił mnie na śniadanie, ale... Gdzie i kiedy, braciszku?

- Na pewno nie sam, stary przyjacielu. Przyda się jeszcze przynajmniej trzech albo czterech. Da się to załatwić?

- Nie wiem. Kogo masz na myśli?

- Na przykład faceta, który odwoził mnie od ciebie do miasta. Masz może paru podobnych sąsiadów?

- Szczerze mówiąc, większość siedzi akurat w ciupie, ale może uda mi się paru znaleźć w zsypie na śmieci. Do czego ich potrzebujesz?

- Jako strażników. To naprawdę nic skomplikowanego. Ty będziesz siedział przy telefonie, a oni przy zamkniętych bramach, informując każdego, kto będzie pytał, że to teren prywatny i goście nie są mile widziani. Szczególnie jeśli jeżdżą wielkimi czarnymi limuzynami.

- Powinno im się spodobać.

- Zadzwon do mnie, jak coś będziesz wiedział, to podam ci namiary. Bourne rozłączył się i natychmiast wykręcił numer Conklina w Viennie.

- Słucham?

- Doktor miał rację, a ja wypuściłem z rąk mordercę.

- Mówisz o żonie Swayne 'a?

- Nie, ale ona i jej sierżant wiedzą, kto to był. Muszą wiedzieć! Złap ich i przytrzymaj. Okłamali mnie, więc nasza umowa przestaje obowiązywać. Ten, kto spreparował to samobójstwo, musiał działać na polecenie „Meduzy”. Chcę go mieć. Zaprowadzi nas na samą górę.

- Niestety, obawiam się, że nam się wymkną.

- Co ty chrzanisz, do cholery?

- Podobnie jak sierżant i jego oblubienica. Obydwoje zniknęli.

- Co to za wygłupy? O ile znam świętego Aleksa, a możesz mi wierzyć, że znam go dość dobrze, na pewno miał ich pod obserwacją od chwili, jak stąd wyjechali!

- Pod obserwacją elektroniczną, ale nie bezpośrednią. Sam się uparłeś, żeby trzymać CIA i Petera Hollanda z dala od „Meduzy”.

- Co się właściwie stało?

- Zaalarmowałem komputery wszystkich międzynarodowych linii lotniczych w kraju.

Według informacji z godziny dwudziestej trzydzieści nasza para miała zarezerwowane miejsca w samolocie Pan Amu startującym o dwudziestej drugiej do Londynu.

- Do Londynu? - nie wytrzymał Jason. - Przecież wybierali się w przeciwnym kierunku, na Hawaje!

- Prawdopodobnie tam właśnie się udali, bo samolot do Londynu wy startował bez nich. Kto wie, gdzie się podzieli.

- Ty powinienesz wiedzieć!

- Skąd, jeśli wolno zapytać? Dwoje obywateli Stanów Zjednoczonych lecących na Hawaje nie musi okazywać paszportów, żeby dostać się do naszego pięćdziesiątego stanu. Wystarczy prawo jazdy albo karta wyborcza. Powiedziałeś, że przygotowywali się do tego kroku już od dawna. Jak myślisz, czy sierżantowi o ponad trzydziestoletnim stażu w armii zdobycie kilku fałszywych praw jazdy sprawiłoby dużo kłopotu?

- Ale po co?

- Po to, żeby zmylić tych, którzy będą ich szukać. Na przykład nas, ale może też chodzić o górę „Meduzy”.

- Kurwa mać!

- Czy byłby pan łaskaw wyrażać się nieco mniej wulgarnie, profesorze?

- Zamknij się. Muszę pomyśleć.

- W takim razie pomyśl także o tym, że zamoczyliśmy dupy w Oceanie Lodowatym, nie mając pod ręką żadnego piecyka. Nadeszła pora, żeby włączyć Petera Hollanda. Potrzebujemy go. Potrzebujemy Langley.

- Nie, jeszcze nie! Zapomniałeś o czymś, Aleks. Holland złożył przysięgę, a sądząc z tego, co o nim wiemy, traktuje ją bardzo poważnie. Od czasu do czasu z pewnością jest gotów nieco naciągnąć przepisy, ale kiedy do wie się o „Meduzie” i o setkach milionów dolarów w Genewie, może powiedzieć: „Dosyć, chłopcy. Teraz ja się tym zajmę”.

- Musimy zaryzykować. Naprawdę go potrzebujemy, Davidzie.

- Nie jestem żaden David, do cholery, tylko Jason Bourne, wasz twór! Jesteście moimi dłużnikami, moimi i mojej rodziny! Nie ustąpię ani o krok!

- I zabijesz mnie, jeśli wystąpię przeciwko tobie.

Zapadła cisza. Po długiej chwili przerwał ją Delta Jeden z Sajgonu.

- Tak, Aleks. Zabiję cię. Nie dlatego, że ty chciałeś mnie zabić w Paryżu, ale za to, że znowu przyjmujesz z zaciśniętymi powiekami pewne założenia, które wtedy doprowadziły cię do podjęcia tej decyzji. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem - odparł Conklin tak cicho, że Bourne ledwo go usłyszał. - Arogancja i ignorancja to twój ulubiony temat, jeśli chodzi o Waszyngton. W twoich ustach wszystko zawsze brzmi tak orientalnie... Powinienesz jednak w jakiejś wolnej chwili zastanowić się także nad swoją arogancją. Sami nie damy rady nic więcej zrobić.

- Wręcz przeciwnie: pomyśl, ile możemy stracić, jeśli nie będziemy sami! Spójrz, jaki uczyniliśmy postęp w ciągu zaledwie ilu... siedemdziesięciu dwóch godzin! Daj mi jeszcze dwa dni, Aleks proszę cię! Zbliżamy się do sedna sprawy, do sedna tego, czym jest „Meduza”! Jeszcze jeden krok i podsunie im znakomity sposób na to, żeby się mnie pozbyć: Szakala.

- Zrobię, co będę mógł. Czy Kaktus dzwonił?

- Tak. Ma się jeszcze odezwać, a potem tu przyjedzie. Później wszystko ci wyjaśnię.

- Powiniennem był ci wcześniej powiedzieć: on i doktor są przyjaciółmi.

- Wiem, Iwan mi o tym wspomniał... Aleks, chcę ci przekazać kilka rzeczy: notatniki Swayne'a, jego portfel i jeszcze parę innych drobiazgów. Zapakuję to wszystko i poproszę któregoś z chłopców Kaktusa, żeby ci podrzucił. Zostawi paczkę wartownikowi. Weź to pod lupę i zobacz, co się da wyciągnąć.

- Chłopcy Kaktusa? Mógłbym wiedzieć, co ty właściwie wyrabiasz?

- Zdejmuję ci jeden kłopot z głowy. Neutralizuję to miejsce. Nikt nie będzie mógł tu wejść, ale zobaczymy, kto będzie próbował.

- To może się okazać interesujące. Aha, około siódmej rano przyjdą ludzie do psów, więc dobrze by było, żebyś ich od razu nie zastrzelił.

- Przypomniałeś mi o czymś. Przybierz swój najbardziej oficjalny ton i zadzwoń do strażników z innych zmian. Powiedz im, że ich usługi nie są już potrzebne, ale każdy otrzyma pocztą miesięczne wynagrodzenie.

- A kto je wypłaci, jeśli wolno zapytać? Nie zapominaj, że CIA jest cały czas poza rozgrywką, a ja nie dysponuję nieograniczonymi zapasami pieniędzy.

- Aleja tak. Zadzwoń do swojego banku w Maine i każę przesłać faksem polecenie wypłaty. Powiedz swojemu przyjacielowi Cassetowi, żeby odebrał je z samego rana.

- Czy to nie zabawne? - mruknął z namysłem Conklin. - Zupełnie zapomniałem o twoich pieniądzach. Właściwie to w ogóle zapomniałem o ich istnieniu.

- Nic dziwnego - odparł Bourne tonem, w którym można było się doszukać nawet czegoś w rodzaju lekkiego rozbawienia. - Ta część twojego umysłu, która należy do sztywnego biurokraty, wyobraża sobie zapewne, jak u Marie zjawia się jakiś ponury urzędnik i mówi: „Szanowna pani Webb, Bourne, czy jak się pani nazywa. Chciałem pani przypomnieć o tym, że pracując dla rządu Kanady, zdefraudowała pani pięć milionów dolarów, które należały do mnie”.

- Ona tylko wykorzystwała swoją inteligencję, Davidzie... Jason. Zapracowałeś na te pieniądze.

- Na twoim miejscu nie zagłębiałbym się w ten temat, Aleks. Ona zażądała dwukrotnie wyższej sumy.

- I miała rację. Właśnie dlatego wszyscy siedzą z gębami na kłódkę... Co będziesz teraz robił?

- Poczekam na telefon od Kaktusa, a potem sam zadzwonię.

- Do kogo?

- Do żony.

Marie siedziała na balkonie willi w Pensjonacie Spokoju i spoglądała na oświetlone blaskiem księżycy wody Morza Karaibskiego, usiłując za wszelką cenę nie oszaleć ze strachu. Było to na pewno dziwne, może głupie, a nawet niebezpieczne, ale ten strach nie miał nic wspólnego z obawą o życie lub zdrowie. Zarówno w Europie, jak i na Dalekim Wschodzie miała już do czynienia z maszyną do zabijania, jaką był Jason Bourne, i wiedziała, że ten zupełnie obcy człowiek nie ma sobie równych w tym rzemiośle. Nie chodziło jej o Bourne'a, tylko o Davida i o to, co się z nim dzieje pod wpływem brutalnej świadomości mordercy. Musi to powstrzymać! Uciekną gdzieś daleko, z dala od wszystkich znajdą bezpieczne schronienie i zaczną nowe życie, którego Carlos nigdy nie zdoła zakłócić. Mają przecież wystarczająco dużo pieniędzy, więc dlaczego nie mogliby tego zrobić? Przecież setki mężczyzn, kobiet i dzieci, których życie z takich czy innych względów było poważnie zagrożone, oddawało się w opiekę swoim rządóm, a jeśli jakikolwiek rząd na świecie miał powód i obowiązek zająć się jednym ze swoich obywateli, to był to rząd Stanów Zjednoczonych, tym obywatelem zaś David Webb...! Roją mi się mrzonki, pomyślała Marie, wstając z fotela i podchodząc do balustrady. David nigdy nie zgodzi się na takie rozwiązanie. Tam, gdzie w grę wchodził Szakał, David Webb ustępował natychmiast miejsca Jasonowi Bourne'owi, a Bourne dążąc do celu, gotów był nawet zniszczyć udzielające mu gościny ciało. Dobry Boże, co się z nami stanie?

Zadzwoił telefon. Marie znieruchomiała na ułamek sekundy, po czym popędziła do sypialni i chwyciła słuchawkę.

- Tak?

- Cześć, siostrzyczko, tu Johnny.

- Och...

- Co oznacza, że nie miałaś żadnych informacji od Davida.

- Nie. Boję się, że zaczynam już chodzić na uszach, braciszku.

- Wiesz przecież, że odezwie się, jak tylko będzie mógł.

- Chyba nie dzwonisz po to, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie. Chciałem się tylko zameldować. Utknąłem na dużej wyspie i wygląda na to, że jeszcze trochę będę tu musiał posiedzieć. Jestem w siedzibie gubernatora, czekam, żeby mi osobiście podziękował za pomoc okazaną Foreign Office. Henry dotrzymuje mi towarzystwa.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz...

- Oczywiście, wybacz mi. Henry Sykes to zastępca gubernatora, który poprosił mnie, żebym zajął się pewnym starym Francuzem, bohaterem wojennym. Nawiasem mówiąc, starszek mieszka prawie obok ciebie. Kiedy gubernator chce ci osobiście podziękować, twoim psim obowiązkiem jest siedzieć i czekać. Jak wysiądą telefony, będziemy potrzebować ich pomocy.

- W dalszym ciągu nic nie rozumiem, Johnny.

- Od Basse-Terre nadciąga sztorm. Powinien do nas dotrzeć najdalej za kilka godzin.

- Od kogo?

- Nie od kogo, tylko skąd, ale ja i tak chyba zdążę wrócić. Powiedz pokojówce, żeby przygotowała dla mnie łóżko.

- Johnny, naprawdę nie musisz się do nas przenosić. Dobry Boże, przecież wszędzie dookoła są ludzie z bronią i licho wie co jeszcze.

- Są tam, bo mają być. Na razie do zobaczenia. I uściskaj ode mnie dzieciaki.

- Już śpią - powiedziała Marie, ale połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę i spojrzała w zamyśleniu na telefon. - Jak mało o tobie wiem, braciszku... - wyszeptała. - Nasz ukochany, niesforny braciszku... O wiele mniej niż mój mąż. Niech was obu...
Przerwał jej dzwonek. Złapała słuchawkę i przycisnęła ją do ucha.

- Halo?

- To ja.

- Bogu dzięki!

- Chwilowo go tu nie ma, ale wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Posuwamy się naprzód.

- Nie musisz tego robić! Nie musimy tego robić!

- Owszem, musimy - odparł Jason Bourne. - Pamiętaj tylko, że cię kocham, że on cię kocha...

- Przestań! Znowu zaczyna się to samo!

- Wybacz mi, przepraszam.

- Jesteś Davidem!

- Oczywiście, że nim jestem. Tylko żartowałem.

- Wcale nie żartowałeś!

- Rozmawiałem z Alekssem i trochę się posprzecaliśmy, to wszystko.

- Właśnie że nie wszystko! Chcę, żebyś tu przyjechał! Natychmiast! - Nie mogę dłużej rozmawiać. Kocham cię.

W słuchawce zapadła głucha cisza, a Marie St. Jacques Webb, głośno szlochając, osunęła się bezsilnie na łóżko.

Aleksander Conklin uderzał w klawisze komputera, wpatrując się zaczerwienionymi

oczami w rozłożone notatniki, które Bourne przysłał mu z posiadłości generała Normana Swayne'a. Panującą w pokoju ciszę przerwały w pewnej chwili dwa ostre sygnały; maszyna dawała znać, że natrafiła na dwukrotny zapis. Conklin wywołał go na monitor: „R.G.” Co to mogło znaczyć? Cofnął się o kilka stron, ale nic nie znalazł, więc podjął na nowo pisanie, stukając w klawisze niczym oszalały automat. Trzy piśnięcia. Jeszcze bardziej zwiększył tempo. Cztery piśnięcia... Pięć... Sześć... Stop. Z powrotem. „R.G. R.G. R.G.” Co to jest, do jasnej cholery?

Porównał dane z zapisem treści dwóch pozostałych notatników. Na ekranie monitora pojawiły się zielone cyfry: 617-202-0011. Numer telefonu. Conklin podniósł słuchawkę aparatu łączącego go bezpośrednio z Langley, wystukał numer dyżurnego technika w sekcji telefonicznej i polecił mu go zlokalizować.

- Jest zastrzeżony, sir. To jeden z trzech numerów prywatnej rezydencji w Bostonie.
- Nazwisko?
- Gates, Randolph. Rezydencja znajduje się...
- Dziękuję, to mi wystarczy.

Aleks wiedział, że już uzyskał najważniejszą wiadomość. Randolph Gates, uczonego obrońca uprzywilejowanych, adwokat największych spośród wielkich i najpotężniejszych spośród potężnych. Wydawało się ze wszech miar słuszne, że to akurat on jest w jakiś sposób powiązany ze zgromadzonymi na kontach w europejskich bankach setkami milionów dolarów... Zaraz, chwileczkę! Wręcz przeciwnie, wszystko było nie tak! Przecież to szaleństwo, żeby prawnik i uczonego o takiej pozycji miał cokolwiek wspólnego z tajną, całkowicie nielegalną organizacją w rodzaju „Meduzy”. To nie miało najmniejszego sensu! Gates cieszył się nienaganą opinią nawet wśród swoich najbardziej zaciekle wrogów. Był rzędą i pedantem, wykorzystującym swą ogromną wiedzę i dokładność dla wygrywania częstokroć dość wątpliwych spraw, ale nikt nigdy nie śmiał zakwestionować jego nieskalanego wizerunku. Głoszone przez niego opinie wywoływały tak ogromny sprzeciw wśród bardziej liberalnie nastawionych prawników, że ci z pewnością już dawno wykorzystaliby każdą najmniejszą choćby okazję zdyskredytowania swego przeciwnika.

A jednak jego nazwisko pojawiło się sześć razy w kalendarzu człowieka z „Meduzy”, obracającego setkami milionów dolarów przeznaczonych na wyposażenie i zaopatrzenie amerykańskich sił zbrojnych. Niezrównoważonego człowieka, którego rzekome samobójstwo okazało się w rzeczywistości morderstwem.

Na ekranie widniał ostatni zapis w dzienniku Swayne'a odnoszący się do „R.G.” Pochodził z drugiego sierpnia, czyli sprzed niespełna tygodnia. Conklin odszukał ten zapis w leżącym na biurku kalendarzu. Do tej pory koncentrował się raczej na nazwiskach, nie na komentarzach, chyba że coś w szczególny sposób zwróciło jego uwagę. W tym względzie całkowicie zaufał swemu instynktowi. Gdyby wiedział od początku, kto kryje się pod inicjałami R.G., krótka notatka natychmiast wpadłaby mu w oko.

„RG nie zg się na wyzn mjr Crft, ale my mus go m. Otw. Paryż, 71 temu. 2 us zap.”

Właściwie samo pojawienie się słowa Paryż powinno podzielać jak dzwonek alarmowy, ale w notatkach generała aż roilo się od egzotycznych nazw, jakby Swayne chciał zaimponować komuś, kto miałby okazję zapoznać się z zawartością notatników. Poza tym Conklin był już bardzo zmęczony i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby nie komputer, najprawdopodobniej nie natrafiłby na ślad doktora Randolpha Gatesa, Zeusa prawniczego Olimpu.

„Paryż, 7 1 temu. 2 us zap.”

Pierwsza część nie wymagała wyjaśnień, druga, choć pozornie niezrozumiała, wbrew pozorom wcale nie była skomplikowana. „2” odnosiło się do wojskowego wywiadu znanego pod kryptonimem G-2, „us zap.” zaś oznaczało usunięty zapis o jakimś wydarzeniu, które tenże wywiad wykrył przed siedmiu laty w Paryżu. To, co Conklin miał przed sobą, było

amatorską próbą wykorzystania wywiadowczego żargonu. „Otw.” znaczyło tyle, co „otworzyć” i miało się skojarzyć ze słowem „klucz”. Boże, Swayne był autentycznym kretyńcem! Aleks chwycił długopis i pośpiesznie zapisał notatkę w pełnej postaci, jaką udało mu się odtworzyć:

„Randolph Gates nie zgodzi się na wyznaczenie majora Crafta, Crofta albo nawet Christophera, bo »f« równie dobrze mogło być »s«, ale my musimy go mieć. Kluczowa informacja znajduje się w usuniętym przez nas zapisie G-2 o wydarzeniach sprzed siedmiu lat w Paryżu”.

Nawet jeśli nie było to stuprocentowo wierne tłumaczenie, to zawierało ono wystarczająco dużo danych, żeby na ich podstawie podjąć konkretne działania, pomyślał Conklin, spoglądając na zegarek. Dochodziła trzecia dwadzieścia nad ranem; o tej porze niespodziewany dzwonek telefonu wstrząsnąłby nawet kimś o nieskazitelnie czystym sumieniu. Czemu nie? David... to znaczy Jason, miał rację. Liczy się każda godzina. Aleks podniósł słuchawkę i wystukał numer rezydencji w Bostonie, stan Massachusetts.

Telefon dzwoni i dzwoni, a ta suka nawet nie raczy go odebrać! Gates zerknął na podświetlony prostokąt w obudowie aparatu i poczuł, jak na ułamek sekundy przestaje mu bić serce. Dzwoniono pod jego zastrzeżony numer, znany zaledwie kilku osobom. Przetoczył się raptownie na bok; dziwny telefon z Paryża wytrącił go z równowagi bardziej, niż gotów był sam przed sobą przyznać. Na pewno chodziło o Montserrat! Przekazał fałszywą informację. .. Prefontaine okłamał go, a teraz Paryż domaga się wyjaśnień. Boże, oni wszystko ujawnią, zdemaskują go! Nie, przecież jest sposób, żeby wszystko wyjaśnić: prawda, szczerą prawdą. Dostarczy kłamców do Paryża albo podsunie ich człowiekowi, który został przysłany do Bostonu. Zastawi pułapkę na pijanego Prefontaine'a i tego nieudacznego detektywa i zmusi ich, by powtórzyli swoje łgarstwa jedynej osobie, która będzie mogła udzielić mu rozgrzeszenia... Telefon! Musi go odebrać! Nie może sprawiać wrażenia, że ma cokolwiek do ukrycia. Wyciągnął rękę i gwałtownym ruchem zdjął słuchawkę z widełek.

- Tak?

- Siedem lat temu, mecenasie - powiedział spokojny, cichy głos. - Chyba nie muszę ci przypominać, że dysponujemy wszystkimi dokumentami. Deuxieme Bureau okazało się nadzwyczaj skore do współpracy, znacznie bardziej od ciebie.

- Dobry Boże, okłamano mnie! - wykrzyknął chrapliwie Gates, siadając w panice na krawędzi łóżka. - Chyba nie wierzycie w to, że dostarczył bym fałszywych informacji! Musiałbym być szalony!

- Wiemy, że potrafisz być bardzo uparty. Poprosiliśmy o drobną przy usługę...

- Staralem się, przysięgam na Boga! Zapłaciłem piętnaście tysięcy dolarów, żeby nic się nie wydało... Oczywiście, nie chodzi o pieniądze...

- Zapłaciłeś...? - przerwał mu cichy głos.

- Mogę pokazać kopię czeku.

- Za co zapłaciłeś?

- Za informację, ma się rozumieć. Wynająłem byłego sędziego, który dysponuje rozległymi...

- Chodziło o informację na temat Crafta?

- Kogo?

- Crofta...? Christophera...?

- Kogo?

- Majora, mecenasie. Naszego majora.

- Jeśli nadaliście jej taki pseudonim, to tak, właśnie za to!

- Pseudonim?

- Kobieta i dwoje dzieci. Polecieli na wyspę Montserrat. Przysięgam, że tak mi powiedziano!

Rozległo się stuknięcie odkładanej słuchawki i połączenie zostało przerwane.

Rozdział 13

Oblany zimnym potem Conklin trzymał jeszcze przez chwilę dłoń na słuchawce, a następnie wstał z fotela i utykając, zaczął chodzić po pokoju, spoglądając na komputer niczym na jakieś monstrum, które zwabiło go na zakazany teren, gdzie nic nie było tym, czym być powinno, ani tym, na co wyglądało. Co się stało? W jaki sposób Randolph Gates dowiedział się o Marie i dzieciach? A przede wszystkim - po co?

Aleks ponownie usiadł w fotelu, czując szaleńcze łomotanie pulsu. Myśli wirowały mu w głowie z opętańczą szybkością, ale nic z tego nie wynikało oprócz potwornego chaosu. Zaciśnął palce lewej ręki na przegubie prawej tak, że paznokcie wbiły się głęboko w ciało. Musi się jakoś opanować, zacząć myśleć i działać! Choćby przez wzgląd na żonę i dzieci Davida!

Związki, jakie mogły w tym wszystkim istnieć logiczne związki? Już wystarczająco trudno było wyobrazić sobie Gatesa biorącego choćby nieświadomy udział w operacji „Meduza”, a przypuszczenie, że coś miałyby go łączyć z Carlosem, graniczyło po prostu z czystym szaleństwem. Jednak wszystko wskazywało na to, że sprawy tak się właśnie miały; związki istniały i były bardzo wyraźne. Czy Carlos także wchodził w skład „Meduzy”? To, co do tej pory wiedzieli o Szakalu, zaprzeczało takiej możliwości, siła zabójcy brała się bowiem przede wszystkim z braku wszelkich powiązań z jakąkolwiek organizacją o mniej lub bardziej konkretnej strukturze. Trzydzieści lat temu w Paryżu Jason Bourne dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość. Ten, kto chciał skontaktować się z Carlosem, mógł jedynie wysłać do niego wiadomość i czekać na ewentualną odpowiedź. Jediną organizacją uznawaną przez płatnego mordercę była rozlokowana na przestrzeni od Morza Śródziemnego do Bałtyku jego własna armia starców; zbliżające się do końca, często nędzne i pozbawione nadziei życie dawnych kryminalistów zyskiwało nieco blasku dzięki hojnym datkom ich nowego pracodawcy. W zamian oczekiwał bezwzględności posłuszeństwa i otrzymywał to, czego żądał. Gdzie w tym schemacie znajdowało się miejsce dla Randolpha Gatesa?

Takiego miejsca nie było, doszedł do wniosku Aleks, czując, że wykorzystał już do maksimum możliwości swojej wyobraźni. Znakomity prawnik miał tyle samo wspólnego z Carlosem co z „Meduzą”, czyli nic. Był czymś w rodzaju drobnej skazy na doskonale przezroczystej soczewce: nienagannie uczciwy człowiek o jednej, jedynej słabości, odkrytej jednocześnie przez ludzi należących do dwóch niezależnych obozów, dysponujących ogromnymi możliwościami finansowymi. Nie było dla nikogo tajemnicą, że Szakal ma wtyczki w Surete i Interpolu, a nie trzeba było zdolności jasnowidzenia, by dojść do wniosku, iż „Meduza” ma dojście do wojskowego G-2. Nie istniało żadne inne możliwe wytłumaczenie, Gates nie znajdowałby się bowiem tak długo na świeczniku, gdyby każdy, kto tego zapragnął, mógł poznać jego słabe punkty. Nie, dotrzeć do tajemnic tak żywotnych, że zagrożony ich ujawnieniem Gates zamienił się w bezwolnego pionka, mogli jedynie fachowcy tej miary co Szakal i ludzie „Meduzy”. Wszystko wskazywało na to, że Carlos był pierwszy.

Conklin po raz kolejny doszedł do wniosku, którego prawdziwość zdążył już wielokrotnie potwierdzić: świat globalnej korupcji był w istocie bardzo mały, wielopoziomowy, poprzecinany krętymi uliczkami łączącymi dokładnie wszystkich ze wszystkimi. Czy mogło być inaczej? Mieszkańcy tych uliczek oferowali szczególne usługi, ich klientami zaś był jedyny w swoim rodzaju gatunek ludzi - zdesperowane męty i oszuści. Odebrać, skompromitować, zabić. Zarówno Szakal, jak i ludzie „Meduzy” należeli do tego samego bractwa. Ich dewizą było: Muszę Mieć Wszystko.

Wreszcie przełom, ale tego rodzaju, z jakim może sobie poradzić jedynie Jason Bourne, a nie David Webb, który w dalszym ciągu stanowi znaczną jego część. Szczególnie jeśli ci dwaj ludzie zamieszkujący jedno ciało znajdują się tysiące mil od Montserrat, gdzie postanowił uderzyć Carlos. Montserrat...? Johnny St. Jacques! Brat Marie, który tak doskonale sprawdził się kiedyś w małym kanadyjskim miasteczku. Nie wiedział o tym nikt z jego rodziny, a szczególnie ukochana siostra. Człowiek, który potrafił zabić w gniewie, i bez wątpienia uczyni to ponownie, jeśli Marie i dzieci będą zagrożone przez siepaczy Carlosa. Jason Bourne wierzył w niego; trudno było sobie wyobrazić lepszą rekomendację.

Aleks zerknął na konsolę, po czym nagle wyprostował się i wcisnął guzik przewijania taśmy, szukając miejsca, które nagle wydało mu się bardzo ważne. Zmieniał kilkakrotnie kierunek, aż wreszcie usłyszał przerażony głos Gatesa:

„Zapłaciłem piętnaście tysięcy dolarów...”

Nie, to nie tutaj, pomyślał Conklin. Dalej.

„Mogę pokazać kopię czeku...”

Jeszcze dalej!

„Wynająłem byłego sędziego, który dysponuje rozległymi.

Jest! Sędzia.

„Polecieli na wyspę Montserrat...”

Aleks otworzył szufladę z kartkami, na których na wszelki wypadek zapisywał wszystkie numery telefonów, pod które dzwonił w ciągu ostatnich dwóch dni. Znalazł to, czego szukał. Podniósł słuchawkę i pośpiesznie wystukał numer pensjonatu na Wyspie Spokoju. Po dłuższej chwili usłyszał zaspany głos:

- Tu Pensjonat...

- Dzwonię w pilnej sprawie - rzucił niecierpliwie Conklin. - Proszę mnie szybko połączyć z panem Johnem St. Jacques.

- Przykro mi, sir, ale pan St. Jacques jest nieobecny.

- Muszę koniecznie z nim rozmawiać. To naprawdę bardzo pilne. Gdzie mogę go zastać?

- Na dużej wyspie...

- Montserrat?

- Tak.

- Gdzie dokładnie? Nazywam się Conklin. Muszę z nim mówić!

- Wielki wiatr nadszedł od Basse-Terre i wszystkie loty są odwołane aż do jutra rana...

- Co takiego?

- Tropikalny niż...

- A, sztorm!

- Tutaj nazywamy to TN, sir. Pan St. Jacques zostawił numer w Plymouth.

- Jak się pan nazywa? - zapytał niespodziewanie Aleks. Recepcjonista powiedział coś niezbyt wyraźnie, jakby „Pritchard” albo „Pritchen”. - Chcę panu zadać bardzo delikatne pytanie, panie Pritchard - ciągnął Conklin. - Jest bardzo ważne, aby udzielił mi pan właściwej odpowiedzi, lecz jeśli odpowiedź będzie inna, musi pan zrobić to, co panu powiem. Pan St. Jacques potwierdzi wszystko, co mówię, ale teraz nie mam czasu, żeby go szukać. Czy pan mnie rozumie?

- Nie jestem dzieckiem, *mon* - odparł z godnością recepcjonista. - Jakie to pytanie?

- Przepraszam, nie chciałem...

- Pytanie, panie Conklin. Podobno śpieszy się panu.

- Tak, oczywiście... Czy siostra pana St. Jacques i jej dzieci znajdują się w bezpiecznym miejscu? Czy pan St. Jacques podjął odpowiednie środki ostrożności?

- Takie jak uzbrojeni ludzie wokół willi i strażnicy na plaży? Tak.

- To dobra odpowiedź - odparł nieco spokojniej Aleks, choć w dalszym ciągu oddychał

bardzo nierówno. - A teraz proszę podać mi numer, pod którym mogę zastać pana St. Jacques.

Recepcjonista podyktował żadaną informację, po czym dodał:

- Wiele telefonów nie działa, sir, więc może zostawi pan także swój numer. Wiatr jest ciągle bardzo silny, ale pan St. Jay z pewnością przyleci, jak tylko będzie mógł.

- Słusznie. - Aleks podał numer czystego telefonu w swoim apartamencie w Viennie i kazał człowiekowi z Montserrat powtórzyć go. - Bardzo dobrze - powiedział. - Teraz spróbuję połączyć się z Plymouth.

- Jak się pisze pańskie nazwisko, sir? C-o-n-c-h...

- C-o-n-k-l-i-n - przerwał mu Aleks, po czym nacisnął na widełki i natychmiast wystukał numer w Plymouth, stolicy Montserrat. Głos, który odezwał się po dłuższej chwili, był jeszcze bardziej zaspany niż recepcjonisty w pensjonacie.

- Z kim mówię? - zapytał niecierpliwie Conklin.

- A kim pan jest, do diabła? - padła gniewna odpowiedź z wyraźnym angielskim akcentem.

- Usiłuję skontaktować się z Johnem St. Jacques w bardzo pilnej sprawie. Podano mi ten numer w pensjonacie.

- To u nich działa jeszcze telefon?

- Na to wygląda. Czy mogę mówić z Johnem?

- Tak, oczywiście, jest na drugim końcu korytarza. Zaraz go poproszę. Kto mówi, jeśli wolno spytać?

- Aleks.

- Po prostu Aleks?

- Proszę się pośpieszyć!

Dwadzieścia sekund później Aleks usłyszał wreszcie głos Johnny'ego.

- To ty, Conklin?

- Słuchaj mnie uważnie: oni już wiedzą, że Marie i dzieci polecili na Montserrat.

- Słyszeliśmy, że ktoś wypytywał na lotnisku o kobietę z dwojgiem dzieci...

- I dlatego przeniosłeś ich do pensjonatu?

- Zgadza się.

- Kto pytał?

- Tego nie wiemy. Ktoś przez telefon... Nie chciałem ich zostawiać nawet na kilka godzin, ale musiałem stawić się u gubernatora, a zanim ten sukinsyn raczył się pojawić, nadszedł sztorm i unieruchomił mnie na amen.

- Wiem o tym. Dzwoniłem do pensjonatu. Recepcjonista dał mi ten numer.

- Jedyne pociecha, że jeszcze działają telefony. Przy takiej pogodzie zwykle natychmiast wysiadają i dlatego musimy podlizywać się gubernatorowi.

- Podobno porozstawiałeś strażników...

- Tak, ale co z tego? - parsknął z wściekłością St. Jacques. - Kłopot polega na tym, że nie wiem, kogo mam się spodziewać. Na wszelki wypadek kazałem im strzelać do wszystkich obcych, którzy przyplyną łodziami albo pojawią się na plaży i nie będą potrafili dokładnie wyjaśnić, kim są i czego chcą.

- Myślę, że będę mógł ci pomóc...

- To wal!

- Dokonaliśmy przełomu. Nie pytaj, w jaki sposób, bo i tak nie uwierzysz, ale to prawda. Człowiek, który wyszedł Marie na Montserrat, korzystał z usług jakiegoś sędziego, prawdopodobnie dysponującego jakimiś kontaktami na wyspach.

- Sędzia?! - wybuchnął właściciel Pensjonatu Spokoju. - Mój Boże, on tam jest! Rozszarpie tego sukinsyna...!

- Uspokój się, Johnny! Opanuj się! Kto tam jest?

- Sędzia, który uparł się, żeby używać innego nazwiska. Nie zwróciłem na to uwagi, bo

przecież nie ma nic nadzwyczajnego w dwóch starych dziwakach o podobnych nazwiskach...

- Starych? - wpadł mu w słowo Conklin. - Zwolnij, Johnny, bo to bardzo ważne. Co to za dwaj starzy dziwacy?

- Jeden, ten, o którego chyba ci chodzi, przyleciał z Bostonu...

- Zgadza się!

- ...a drugi z Paryża.

- Z Paryża! Jezus, Maria! Starcy z Paryża...!

- O czym ty...

- Szakal! Szakal i jego armia starców!

- Teraz ty zwolnij, Aleks - powiedział cicho Johnny. - Wyjaśnij, o co ci chodzi.

- Nie ma czasu, Johnny. To Carlos ze swoją armią starych ludzi gotowych dla niego umrzeć i zabijać. Nie będzie żadnych obcych na plaży, bo oni już tam są! Czy możesz wrócić na wyspę?

- Muszę! Zawiadomię moich ludzi. Rozprawią się z tymi dwoma śmieciami!

- Pośpiesz się, John!

St. Jacques nacisnął widełki staromodnego aparatu, przytrzymał je przez chwilę, puścił i nakręcił numer Pensjonatu Spokoju.

- Serdecznie przepraszamy - rozległ się w słuchawce głos z taśmy – ale z powodu złych warunków atmosferycznych połączenie nie może być chwilowo zrealizowane. Służby rządowe pracują intensywnie nad przywróceniem łączności. Prosimy zadzwonić później. Życzymy miłego dnia.

John St. Jacques odłożył słuchawkę z taką siłą, że rozpadła się na dwie części.

- Łódź! - ryknął. - Muszę mieć łódź!

- Chyba oszalałeś - zaprotestował zastępca gubernatora. - W taką pogodę?

- Załatw mi łódź, Henry! - wycedził dobitnie St. Jacques, powoli wyciągając z kieszeni pistolet. - Załatw mija, bo jak nie, to zrobię coś, o czym wolę nawet nie myśleć!

- Co ty wyrabiasz?! Nie mogę w to uwierzyć!

- Ja też nie, Henry... Ale mówię to zupełnie serio.

Pielęgniarka przydzielona do opieki nad Jean Pierre Fontainem i jego żoną siedziała przed toaletką, upinając swoje gęste, jasne włosy w ciasny kok, który zmieściłby się pod czarnym czepkiem przeciwdeszczowym. Zerknęła na zegarek, przypomniawszy sobie odbytą przed kilkoma godzinami niezwykle rozmowę telefoniczną z Argenteuil we Francji.

- Niedaleko ciebie mieszka amerykański prawnik, który każe tytułować się sędzią-mówił wielki człowiek, dla którego nie istniały rzeczy nie możliwe.

- Nie wiem o nikim takim, *monseigneur*.

- Na pewno tam jest. Nasz bohater skarżył się na jego obecność, a rozmowa z Bostonem potwierdziła, że to na pewno on.

- Czy mam rozumieć, że jest osobą niepożądaną?

- Absolutnie niepożądaną. Pozornie przyjął do wiadomości, że jest moim dłużnikiem, ale wszystko, co robi, świadczy o tym, że postanowił odwdziżyć mi się zdradą, a zdradzając mnie, zdemaskuje również ciebie.

- Jest już trupem.

- Właśnie o to chodzi. W przeszłości był bardzo użyteczny, lecz ta przeszłość już minęła. Odszukaj go i zabij. Nadaj jego śmierci pozory nieszczęśliwego wypadku... Nie będziemy więcej rozmawiać aż do chwili, kiedy znajdziesz się na Martynice, więc zapytam cię, czy zakończyłaś już przygotowania do ostatniego czynu, jakiego dokonasz w moim imieniu?

- Tak, *monseigneur*. Obydwa zastrzyki przygotował lekarz ze szpitala w Fort de

France. Przesyła ci wyrazy oddania.

- Słusznie. On żyje, w przeciwieństwie do jego kilkunastu pacjentów.
- Nikt nic nie wie o jego poprzednim wcieleniu na Martynice.
- Tak przypuszczam... Zrób im zastrzyki za czterdzieści osiem godzin, kiedy zamieszanie zacznie już wygasać. Kiedy się dowiedzą, że bohater był moim pomysłem - a już ja zatroszczę się o to, żeby się dowiedzieli - kameleon spali się ze wstydu.
- Uczynię wszystko tak, jak sobie życzysz. Czy zjawisz się tu już wkrótce?
- W kulminacyjnym momencie przedstawienia. Wyruszą za godzinę, więc powinienem dotrzeć na Antiguę jutro w południe waszego czasu. Jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z planem, przybędę w samą porę, żeby obserwować rozpacz Jasona Bourne'a, a potem pozostawić mój podpis - kulę w jego gardle. Wtedy Amerykanie dowiedzą się, kto zwyciężył. *Adieu.*

Pielęgniarka pochyliła na moment głowę niczym pogrążony w ekstazie wyznawca, powtarzający w duchu słowa swego wszechmocnego boga. Już czas, pomyślała, otwierając szufladkę, w której trzymała swoją biżuterię. Wśród przeróżnych błyskotek znajdowała się tam także wysadzana diamentami, sporządzona z kawałka nadzwyczaj mocnego drutu garota, prezent od *monseigneura*. Jakież to było proste. Bez najmniejszego trudu dowiedziała się, który spośród gości jest sędzią z Bostonu i gdzie mieszka; okazało się, że to chorobliwie chudy, stary mężczyzna zajmujący trzecią willę w tym samym rzędzie co oni. Teraz wszystko zależało od dokładności, bo „nieszczęśliwy wypadek” miał być zaledwie preludium strasznych wydarzeń, jakie za niespełną godzinę nastąpią w willi numer dwadzieścia. Na wypadek awarii elektryczności i uszkodzenia generatora wszystkie domy w Pensjonacie Spokoju były wyposażone w lampy naftowe; nikogo nie zdziwi fakt, że stary, przerażony szalejącym sztormem człowiek zapragnął skorzystać z dodatkowego źródła oświetlenia. Wszyscy będą z pewnością wstrząśnięci nieszczęśliwym wypadkiem, który sprawił, że starzec potknął się i runął górną połową ciała w płonącą kałużę nafty, w wyniku czego jego głowa i kark, przecięty wcześniej cienkim drutem, zamieniły się w bezkształtną masę czarnej, zwęglonej tkanki. Zrób to, szeptały uporczywie głosy rozbrzmiewające w wyobraźni kobiety. Gdyby nie Carlos, zostałabyś w Algierii jako pozbawiony głowy trup.

Zrobi to. Zrobi to zaraz.

Ciągły, jednostajny łoskot uderzającej w dach i okna ulewy i wycie porywistego wiatru przeciął nagle osłepiający zygzak błyskawicy, a w chwilę potem rozległ się ogłuszający huk gromu.

„Jean Pierre Fontaine” szlochał bezgłośnie, klęcząc przy łóżku z twarzą oddaloną zaledwie o centymetry od twarzy żony. Łzy spływały na chłodną skórę jej ramienia. Nie żyła, a obok białej, nieruchomej ręki leżała kartka papieru z jednym tylko zdaniem: *Maintenant nous deux sont libres, mon amour.*

Obydwoje byli już wolni - ona od straszliwego bólu, on od zobowiązań wobec *monseigneura*. Nigdy jej nie powiedział, jakiej zażądano od nich zapłaty, ale ona i tak domyślała się, że była to ogromna cena. Wiedział od wielu miesięcy, że żona ma dostęp do lekarstw mogących błyskawicznie zakończyć jej życie, gdyby nie mogła już dłużej wytrzymać. Szukał ich wielokrotnie, lecz nigdy nie udało mu się znaleźć. Teraz wiedział, dlaczego, spoglądając na otwartą puszczykę z jej ulubionymi cukierkami, które od lat ssała z wielką przyjemnością.

- Ciesz się, *mon cher*, że to nie kawior ani te drogie narkotyki, w których lubują się bogacze! - powtarzała nieraz z uśmiechem. Istotnie, nie był to kawior, ale coś jeszcze bardziej śmiertelności od narkotyku.

Kroki. Pielęgniarka! Wyszła ze swojego pokoju. Nie może zobaczyć jego żony!

Fontaine poderwał się z klęczek, otarł oczy najlepiej, jak potrafił, i podszedł do drzwi. Otworzywszy je, zamarł ze zdumienia; pielęgniarka stała metr przed nim z ręką uniesioną do pukania.

- *Monsieur...*! Przestraszył mnie pan.
- A pani mnie. - Jean Pierre wyslizgnął się z pokoju i natychmiast zamknął za sobą drzwi. - Regine wreszcie zasnęła - szepnął, przykładając palec do ust. - Przez ten okropny sztorm prawie wcale nie zmrużyła oka.
- Zupełnie, jakby Bóg zesłał go nam... zesłał go panu z nieba. Nieraz myślę, że *monseigneur* ma władzę nad tymi rzeczami.
- Jeśli tak, to na pewno nie mają nic wspólnego z Bogiem. On nie z Niego czerpie swą siłę.
- Lepiej przejdźmy do rzeczy - powiedziała sucho bynajmniej nie rozbawiona pielęgniarka i odeszła od drzwi. - Jest pan gotowy?
- Będę za kilka minut - odparł Fontaine, kierując się do biurka, w którego zamkniętej szufladzie spoczywały jego mordercze narzędzia. Wyjął z kieszeni klucz. - Czy zechce pani przypomnieć mi plan? - poprosił, odwracając się od niej. - W moim wieku łatwo zapomina się szczegóły.
- Owszem. Tym bardziej że zaszła niewielka zmiana.
- Doprawdy? - Stary Francuz uniósł brwi. - Ten wiek nie znosi także nagłych zmian.
- Chodzi tylko o pewne przesunięcie w czasie, może o kwadrans, a może nawet jeszcze mniej.
- W takiej sytuacji kwadrans to prawie tyle samo co wieczność - zauważył Fontaine. Niebo rozdarła kolejna błyskawica, poprzedzając zaledwie o ułamek sekundy ogłuszający trzask pioruna. - Przy takiej pogodzie niebezpiecznie jest wychodzić na zewnątrz. To było gdzieś blisko.
- Proszę pomyśleć, co czują strażnicy.
- Wróćmy do niewielkiej zmiany, jeśli łaska. Przydałoby się również wyjaśnienie.
- Nie będzie żadnych wyjaśnień. Powiem panu tylko tyle, że to rozkaz z Argenteuil i że pan jest za to odpowiedzialny.
- Sędzia...?
- Może pan sam wyciągnąć wnioski.
- A więc on nie został tu przysłany, żeby...
- Nie będziemy dłużej dyskutować na ten temat. Oto, na czym polega zmiana: zamiast pójść do strażników pilnujących willi numer dwadzieścia i zażądać od nich pomocy dla pańskiej chorej żony, powiem, że właśnie wracałam z recepcji, gdzie zgłosiłam awarię telefonu, kiedy zobaczyłam ogień w willi numer czternaście, trzeciej, licząc od naszej. Z pewnością wybuchnie wtedy wielkie zamieszanie, które będzie stanowiło dla pana sygnał. Proszę je dobrze wykorzystać. Zlikwiduje pan tych, którzy zostaną przy willi tej kobiety, a potem wejdzie do środka i zrobi to, do czego się pan zobowiązał. Tylko niech pan nie zapomni o tłumiku.
- A więc czekam na ogień i na pani przybycie ze strażnikami do jedenastki.
- Tak jest. Proszę być na werandzie, ale zamknąć drzwi.
- Oczywiście.
- Może będę potrzebowała pięciu minut, a może dwudziestu, ale bez względu na to musi pan czekać.
- Naturalnie... Czy wolno mi zapytać, *madame* - a może *mademoiselle*, bo nie widzę nic, co...
- O co chodzi?
- Na co będzie pani potrzebowała tych pięciu lub dwudziestu minut?
- Jest pan głupcem, starcze. Na to, co musi zostać zrobione.

- Oczywiście.

Pielęgniarka owinęła się ciasniej płaszczem przeciwdeszczowym, zawiązała pasek i ruszyła do drzwi.

- Proszę się przygotować i wyjść za trzy minuty - poleciła.

- Dobrze.

W chwili gdy nacisnęła klamkę, pchnięte podmuchem wiatru drzwi otworzyły się na oścież. Kobieta wyszła w ulewny deszcz i zamknęła je starannie za sobą. Stary mężczyzna stał niczym posąg, oszołomiony i zdumiony, usiłując zrozumieć to, co przekraczało jego zdolności pojmowania. Wydarzenia następowały zbyt szybko po sobie, zatarte dodatkowo bólem po utracie żony. Nie było czasu na rozpacz ani na uczucia... Trzeba myśleć, i to szybko. Zdarzenie gonilo zdarzenie, ujawniając pytania, na które musiała znaleźć się odpowiedź, choćby po to, żeby to wszystko miało jakiś sens - żeby samo Montserrat miało jakikolwiek sens!

Pielęgniarka okazała się kimś więcej niż tylko łącznikiem przekazującym polecenia z Argenteuil; anioł miłosierdzia był w rzeczywistości aniołem śmierci, morderczynią kierującą się własnym poczuciem prawa. Skoro tak, to dlaczego on został wysłany tysiące mil od domu, żeby zrobić to, co równie dobrze mógłby uczynić kto inny, i to bez konieczności uciekania się do wymyślnego kamuflażu? Stary bohater francuskiego ruchu oporu, rzeczywiście... To było takie niepotrzebne. A skoro już mowa o wieku, to był tu jeszcze jeden stary człowiek, który wcale nie jest mordercą. Możliwe, że popełniłem straszliwy błąd, pomyślał Jean Pierre Fontaine. Możliwe, że tamten człowiek przybył tu nie po to, by mnie zabić, ale żeby mnie ostrzec!

- *Mon Dieu!* - wyszeptał Francuz. - Starcy z Paryża, armia Szakala! Zbyt wiele pytań...

Fontaine skierował się zdecydowanym krokiem do pokoju pielęgniarki i zaczął go dokładnie przeszukiwać z wprawą świadcząca o długiej praktyce, choć teraz czynił to z pewnością znacznie wolniej i mniej precyzyjnie niż kiedyś. Walizka, szafa, ubrania, poduszki, materac, toaleta, nocny stolik, biurko... Biurko, a w nim zamknięta na klucz szuflada. Teraz już tylko to miało znaczenie! Jego żona nie żyła, a on pozostał ze zbyt wieloma pytaniami, na które musiał znaleźć odpowiedzi.

Na biurku stała ciężka lampka o podstawie z brązu; chwycił ją, wyszarpując wtyczkę z gniazdko, i rąbnął nią w szufladę. Uderzał tak długo, aż wreszcie rozbił w drzazgi miejsce, w które wchodziła miniaturowa zasuwka. Gwałtownym ruchem wysunął szufladę i zamarł w bezruchu, wpatrując się z przerażeniem, ale bez specjalnego zaskoczenia, w jej zawartość.

W wyłożonym gąbką plastikowym pojemniku leżały dwie identyczne, wypełnione żółtawym płynem strzykawki. Nie musiał znać nazwy specyfiku; istniało zbyt wiele takich, o których nie miał pojęcia, a które mimo to znakomicie spełniłyby swoje zadanie, wprowadzając do żył ofiary płynną śmierć.

Nie musiał także zgadywać, dla kogo były przeznaczone te strzykawki. *Côte a côte dans le lit*. Dwa ciała obok siebie w łóżku. On i jego żona, ostatecznie i na zawsze wyzwoleni. Jakże dokładnie obmyślił wszystko *monseigneur!* Oto jeden z należących do armii Szakala starców pokonał wszystkie przeszkody i zabezpieczenia, mordując i bezczeszcząc najbliższe osoby śmiertelnego wroga Carlosa, Jasona Bourne'a, ale ostatecznie okazuje się, że Wszystko było kierowane i kontrolowane właśnie przez Carlosa!

Ce n'est pas le contrat! Ja - tak, ale nie moja żona! Obiecałeś mi!

Pielęgniarka, anioł śmierci! Człowiek znany w Pensjonacie Spokoju jako Jean Pierre Fontaine poszedł najszybciej, jak mógł, do swego pokoju. Musiał się przygotować.

Wielka, srebrna łódź wyścigowa o dwóch potężnych silnikach na przemian to wyskakiwała ponad fale, to wbijała się w nie ostrym dziobem. Stojąc na niskim mostku, John St. Jacques sterował nią wśród niebezpiecznych raf, których położenie usiłował sobie

rozpaczliwie przypomnieć, wspomagany światłem silnego reflektora padającym na wzburzoną powierzchnię morza to pięć, to pięćdziesiąt metrów przed dziobem. Bezustannie wydierał się do wiszącego przy jego ustach mikrofonu, wbrew wszelkiej logice mając nadzieję, że ktoś pojawi się przy radiostacji w pensjonacie.

Ujrzawszy wystające nad wodę wulkaniczne skały, wiedział, że od celu dzielą go już tylko trzy mile. Wyspa Spokoju leżała znacznie bliżej Plymouth niż portu lotniczego Blackburae, a ktoś, kto znał usytuowanie raf i mielizn, mógł dotrzeć do niej łodzią niemal równie szybko, jak hydroplanem, który nakładał zawsze sporo drogi po to, by móc wylądować na powierzchni morza pod wiejący najczęściej z zachodu wiatr. Johnny nie był pewien, dlaczego akurat teraz o tym myśli zamiast skoncentrować się wyłącznie na prowadzeniu łodzi; chyba po prostu podnosiła go na duchu świadomość, że zrobił wszystko, co mógł w tych okolicznościach. Niech to szlag trafi! Dlaczego zawsze muszą być jakieś przekłete okoliczności? Boże, musi mu się udać, bo przecież tak wiele zawdzięczał Marie i Davidowi! Chyba nawet więcej temu szaleńcowi, który był jego szwagrem, niż swojej siostrze. Zastanawiał się nieraz, czy Marie na pewno wie, jaki człowiek jest jej mężem.

Zostaw to mnie. Ja się tym zajmę.

Nie mogę, Davidzie. To ja ich zabiłem!

Powiedziałem, zostaw to mnie.

Prosiłem cię o pomoc, nie o to, żebyś mnie zastąpił.

Nie widzisz, że ja jestem tobą? Na twoim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Oszalałeś!

Tylko częściowo. Kiedyś nauczę cię, jak zabijać po cichu, w ciemności. Tymczasem rób to, co ci mówią prawnicy.

A jeśli przegrają?

Wyciągnę cię.

W jaki sposób?

Zabijając.

Nie wierzę ci! Jesteś wykształconym człowiekiem, uczonym... Nie chcę ci uwierzyć! Jesteś mężem mojej siostry!

Więc mi nie wierz, Johnny. Zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałem, a już szczególnie nie powtarzaj tego swojej siostrze.

To ten drugi człowiek, który jest w tobie, prawda?

Marie bardzo cię kocha.

Nie odpowiedziałeś mi! Jesteś Bourne, prawda? Jesteś Jason Bourne!

Nigdy nie wrócimy do tej rozmowy, Johnny. Rozumiesz mnie?

Nigdy tego nie zrozumiał. Nawet wtedy, gdy Marie i David pomogli mu przezwyciężyć kryzys osobowości, proponując, żeby zaczął nowe życie. Damy ci pieniądze na rozruch, powiedzieli. Zbuduj tam dom, a potem zdecyduj, czy chcesz zostać, czy nie. Jeśli będzie trzeba, pomożemy ci. Dlaczego to zrobili?

- Nie oni, tylko on - Jason Bourne.

Johnny St. Jacques zrozumiał to pewnego ranka, kiedy podniósł słuchawkę stojącego przy basenie aparatu i dowiedział się od pilota z Montserrat, że ktoś wypytywał na lotnisku o kobietę z dwojgiem dzieci.

- Kiedyś nauczę cię, jak zabijać po cichu, w ciemności. Jason Bourne.

Światła! Przez zasłone deszczu i morskiej piany dostrzegł pałac się na brzegu światła. Została mu jeszcze niecała mila!

Deszcz lał bez chwili przerwy, a ostre podmuchy wiatru szarpały wściekle ciałem starego człowieka, kroczącego z wysiłkiem wybetonowaną ścieżką w kierunku willi numer czternaście. Szedł z pochyloną głową, osłaniając twarz lewą ręką, w prawej ściskając pistolet z założonym na lufę długim, cylindrycznym tłumikiem. Trzymał go za plecami tak samo jak wiele lat temu niemieckiego lugera i laski dynamitu; wówczas szedł wzdłuż linii kolejowej, gotów rzucić wszystko w trawę, gdyby w pobliżu pojawił się niemiecki patrol.

Teraz wszyscy byli dla niego szkopami. Zbyt długo służył niewolniczo innym ludziom. Teraz, kiedy jego żona umarła, znowu stanie się panem samego siebie, znowu sam będzie decydował o tym, co jest złe, a co dobre, kierując się wyłącznie własnymi odczuciami... Szakał był złem! Niedawny poddany Carlosa był w stanie zrozumieć, dlaczego tamten chciał śmierci kobiety; było to coś w rodzaju wyrównania rachunku. Ale dzieci? Profanacja ciał? To czyny przeciw Bogu, a przecież już wkrótce miał stanąć wraz ze swoją kobietą przed Jego obliczem. Będą mu potrzebne wszelkie możliwe okoliczności łagodzące.

Musi powstrzymać anioła śmierci! Co ona planuje? Dlaczego mówiła o jakimś pożarze? Właśnie w tej chwili go zobaczył: nagły wybuch płomieni w willi numer czternaście. To było okno sypialni!

Fontaine dotarł do wyłożonej kamiennymi płytami dróżki prowadzącej do drzwi domku, kiedy rozległ się potworny huk i grunt zatrzęsł mu się pod nogami. Padł na ziemię, ale natychmiast uniósł się na kolana i wdrapał się po schodkach na oświetloną blaskiem rozkołysanej lampy werandę. Szarpanie i ciągnięcie za klamkę nie przyniosło żadnego rezultatu, więc uniósł pistolet i nacisnął dwukrotnie spust; zamek poszedł w drzazgi. Fontaine dźwignął się na nogi i wpadł do środka.

Zza zamkniętych drzwi głównej sypialni dochodziły przeraźliwe krzyki. Starzec rzucił się w tamtym kierunku, zataczając się z wyczerpania i trzymając pistolet w wyciągniętej przed siebie, drżącej dłoni. Zebrawszy w sobie resztki sił, otworzył kopnięciem drzwi i ujrzał scenę przeniesioną prosto z piekła.

Pielęgniarka usiłowała wepchnąć w płomienie głowę starego człowieka, zaciskając mu na szyi drucianą pętlę.

- *Arretez!* - wrzasnął Jean Pierre Fontaine. - *Assez! Maintenant! Vous etes mort!*

Wśród huku szalejących płomieni rozległy się niemal niesłyszalne strzały.

W miarę zbliżania się do płonących na brzegu świateł John St. Jacques dał się coraz głośniejszemu do mikrofonu:

- To ja, Saint Jay! Nie strzelać!

Mimo to na smukłą łódź posypała się ulewa ognia z broni maszynowej. St. Jacques padł płasko na mostek, nie przestając ani na chwilę krzyczeć. - To ja! Zbliżam się do plaży! Nie strzelajcie, do cholery!

- To pan? - odezwał się wreszcie przerażony głos.

- Chcecie dostać następną wypłatę?

- Oczywiście, panie Saint Jay! - Ożyły zainstalowane na plaży głośniki; wydobywający się z nich głos z trudem przedzierał się przez szum wiatru i ryk rozbijających się o brzeg fal. - Wszyscy na plaży wstrzymać ogień! Łódź jest w porządku, *mon!* To nasz szef, pan Saint Jay!

Łódź wystrzeliła z wody na piasek; ostry dziób pękł z trzaskiem pod wpływem siły uderzenia, silniki zawyły rozpaczliwie, a potem umilkły, gdy łopatkę śrub ugrzęzły w piachu. St. Jacques zerwał się z pokładu, do którego przywarł skulony niczym embrion, i wyskoczył na plażę.

- Willa dwadzieścia! - ryknął, pędząc w kierunku kamiennych schodów prowadzących na wysoki brzeg. - Wszyscy za mną!

W chwilę później odniósł wrażenie, jakby otaczający go wszechświat eksplodował

nagle, rozpadając się na tysiące kawałków. Strzały! Kilka, jeden za drugim, we wschodniej części niewielkiego osiedla luksusowych domków! Przeskakując po dwa i trzy stopnie, dotarł wreszcie na górę i pognął jak opętany w kierunku willi numer dwadzieścia. Na granicy pola widzenia mignęło mu jakieś zbiegowisko, więc nie zwalniając, odwrócił na chwilę głowę w tamtą stronę. Pokażna grupa ludzi należących do personelu pensjonatu stała wokół wejścia do willi numer czternaście...! Kto tam mieszkał? Dobry Boże, sędzia!

Z pękającymi płucami i mięśniami napiętymi do granic możliwości St. Jacques dopadł wreszcie domu swojej siostry. Przebiegł przez uchyloną furtkę, całym ciężarem ciała runął na drzwi i wpadł do środka, z krzykiem osunął się na kolana, rozszerzone z rozpacz i przerażenia oczy wlepił w ścianę po przeciwnej stronie pokoju. Widniał na niej napis wykonany wyraźnymi, ciemnoczerwonymi literami:

Jason Bourne, brat Szakala.

Rozdział 14

Johnny! Johnny, uspokój się! - Marie objęła go mocno jedną ręką, drugą zaś chwyciła za włosy, usiłując zmusić go do podniesienia opuszczonej rozpaczliwie głowy. - Słyszysz mnie? Nic nam się nie stało, braciszku! Dzieci są w innej willi. Nic nam nie jest!

Stopniowo zaczął rozpoznawać twarze otaczających go ludzi. Byli wśród nich dwaj starzy mężczyźni, jeden z Bostonu, drugi z Paryża.

- To oni! - ryknął St. Jacques i rzuciłby się na nich, gdyby Marie nie uwiesiła się na nim całym ciężarem ciała. - Zabiję ich!

- Nie! - krzyknęła jego siostra, trzymając go ze wszystkich sił. Pomógł jej jeden ze strażników, kładąc na ramionach Johna swoje mocne, czarne dłonie. - W tej chwili to nasi najlepsi przyjaciele!

- Nie wiesz, kim są naprawdę! - odparł St. Jacques, usiłując za wszelką cenę się uwolnić.

- Owszem, wiem. - Marie ściszyła głos i zbliżyła usta do jego ucha. - Wiem przynajmniej tyle, że mogą zaprowadzić nas do Szakala.

- Oni pracują dla niego!

- Jeden z nich, ale to już przeszłość. Drugi nigdy o nim nie słyszał.

- Nic nie rozumiesz! - szepnął St. Jacques. - To starzy ludzie z Paryża, armia Carlosa! Conklin zadzwonił do mnie do Plymouth i wszystko mi powiedział. To mordercy!

- Jeden z nich był mordercą, ale już nim nie jest. Stracił powód, dla którego miałby zabijać. Drugi... Drugi to tylko nieporozumienie, głupie, paskudne nieporozumienie, ale Bogu niech będą dzięki, że tak jest.

- To szaleństwo!

- Masz rację - zgodziła się Marie, puszczając jego włosy i zwalniając uścisk ręki. Skinęła na strażnika, żeby pomógł mu wstać z podłogi. - Chodź, Johnny. Musimy porozmawiać.

Sztorm zniknął niczym ogarnięty szalem intruz, który uciekł w noc, pozostawiając za sobą ślady swojej wściekłości. Nad wschodnim horyzontem pierwsze promienie wstającego słońca przebijały spowijającą wyspę Montserrat błękitnozieloną mgłą. Łodzie zaczęły już ostrożnie wypływać z portu, aby zająć najlepsze łowiska, udany połów oznaczał bowiem możliwość przeżycia kolejnego dnia. Marie, jej brat i dwaj starcy siedzieli wokół stołu na balkonie jednej z nie zajętych willi. Popijając kawę, rozmawiali już od prawie godziny, analizując na zimno przerażające wydarzenia minionej nocy. Rzekomy bohater francuskiego ruchu oporu uzyskał zapewnienie, że natychmiast, jak tylko zostanie wznowiona łączność telefoniczna z Montserrat, poczynione będą odpowiednie kroki w sprawie organizacji pogrzebu jego żony. Jeśli to możliwe, bardzo by chciał, żeby została pochowana tutaj, na wyspach. Ona także z pewnością by sobie tego życzyła. We Francji czekałaby ją anonimowość komunalnego grobu, więc.

- Oczywiście, że to możliwe - powiedział St. Jacques. - Dzięki panu moja siostra żyje.

- Ale przeze mnie mogła umrzeć, młody człowieku.

- Zabiłby pan mnie? - zapytała Marie, przypatrując się staremu Francuzowi.

- Od chwili, w której zobaczyłem, co Carlos przygotował dla mnie i mojej żony - na pewno nie. To on zerwał umowę, nie ja.

- A wcześniej?

- Zanim znalazłem strzykawki i wszystko zrozumiałem?
- Właśnie.
- Trudno powiedzieć. W końcu umowa to umowa. Jednak moja kobieta już nie żyła, a z pewnością przyczyniło się do tego jej przecucie, że będę musiał dokonać jakiegoś okropnego czynu. Gdybym zrealizował to, czego ode mnie żądano, pozbawiłbym sensu jej śmierć, czyż nie tak? Jednak z drugiej strony nie mogłem tak od razu zapomnieć o tym, co zrobił dla nas monseigneur. Długie lata względnego szczęścia, jakim się cieszyliśmy, zawdzięczaliśmy przecież wyłącznie jemu... Naprawdę, nie wiem. Może zdołałbym sam siebie przekonać, że jestem mu winien swoje życie, a więc pani śmierć, ale nie dzieci... A już na pewno nie to, co miałem potem zrobić.
- To znaczy co? - zapytał St. Jacques.
- Lepiej w to nie wnikać.
- Wydaje mi się, że jednak by mnie pan zabił - powiedziała Marie.
- Powtarzam pani - po prostu nie wiem. Nie wchodziły w grę żadne osobiste sprawy, bo dla mnie była pani po prostu jednym ze składników kontraktu... Ale teraz moja żona nie żyje, a ja jestem starym człowiekiem, któremu także nie zostało już zbyt wiele czasu. Kto wie, gdybym zobaczył pani rozpacz i błaganie w oczach dzieci, może zwróciłbym lufę w swoją stronę... A może nie.
- Mój Boże, pan jest mordercą - wyszeptał St. Jacques.
- Nie tylko, monsieur. Nie oczekuję przebaczenia na tym świecie, a na tamtym to zupełnie inna sprawa. Zawsze miałem do czynienia ze szczególnymi okolicznościami, które...
- Galijska logika - zauważył Brendan Patrick Pierre Prefontaine, były sędzia z Bostonu, dotykając nieświadomie krwawej pręgi na szyi. – Bogu dzięki, że nigdy nie musiałem występować przed waszymi les tribunaux, bo zwykle nie sposób tam ustalić, która ze stron właściwie jest winna. - Zarechotał chrapliwie. - Macie państwo przed sobą słusznie skazanego przestępcę, którego jedyną winą jest to, że dał się złapać, podczas gdy wielu innych tego uniknęło.
- Może mimo wszystko jesteśmy spokrewnieni, Monsieur le Juge.
- Jeśli mam być szczerzy, to moje życie znacznie bardziej przypomina losy świętego Tomasza z Akwinu...
- Szantaż - wpadła mu w słowo Marie.
- W oskarżeniu określono to jako nadużycie urzędu. Przyjmowanie korzyści majątkowych za wydawanie korzystnych wyroków i tak dalej... Mój Boże, w Nowym Jorku wszyscy tak robią. Zasada jest prosta: zostaw woźnemu w sądzie tyle pieniędzy, żeby starczyło dla wszystkich.
- Nie mówię o Bostonie, tylko o tym, dlaczego pan się tutaj znalazł. To był szantaż.
- Chyba zbyt upraszcza pani sprawę, ale ogólnie rzecz biorąc, ma pani rację. Jak już wspominałem, człowiek, który zapłacił mi za to, żebym ustalił miejsce pani pobytu, przekazał mi dodatkowo dość znaczną sumę pieniędzy, żebym z nikim więcej nie dzielił się tą wiadomością. Biorąc pod uwagę okoliczności, a także fakt, że akurat miałem trochę wolnego czasu, uznałem za stosowne przyjrzeć się sprawie nieco dokładniej. Skoro tak niewiele przyniosło mi tak dużo, to ile mógłbym dostać, gdybym dowiedział się czegoś więcej?
- Pan coś wspominał o galijskiej logice, monsieur? - wtrącił się Francuz.
- To tylko zwykły chwyt retoryczny - odparł były sędzia, po czym ponownie zwrócił się do Marie. - Rozmawiając z moim klientem, położyłem szczególny, a nawet nieco przesadny nacisk na fakt, że znajduje się pani pod ochroną rządu. Właśnie ta okoliczność najbardziej wstrząsnęła tym potężnym i wpływowym człowiekiem.
- Muszę wiedzieć, kto to jest - powiedziała Marie.
- W takim razie ja także będę potrzebował ochrony.

- Otrzyma ją pan.
- A także czegoś więcej - ciągnął były sędzia. - Mój klient nie ma pojęcia o tym, że tu jestem, i nie wie, co się stało. Gdybym opowiedział mu, co widziałem, na samą myśl o tym, że ktoś może skojarzyć jego nazwisko z tymi wydarzeniami, wpadłby w prawdziwą panikę. Poza tym, zważywszy na fakt, że o mało nie straciłem życia z rąk tej wojowniczej Amazonki, zasługuję chyba na coś jeszcze.
- Czy w takim razie ja także powinienem żądać jakiejś nagrody za uratowanie pańskiego życia, monsieur?
- Gdybym posiadał cokolwiek cennego - oczywiście z wyjątkiem zawodowego doświadczenia, z którego może pan korzystać do woli - chętnie bym się z panem tym podzielił. Gdybym coś takiego otrzymał w przyszłości, także może pan na to liczyć.
- Merci hien, cousin,
- D'accord, mon ami.
- Nie wygląda pan na ubogiego człowieka, sędzio - zauważył John St. Jacques.
- Bo pozory mylą podobnie jak ten tytuł, którego był pan łaskaw użyć wobec mojej osoby... Śpieszę dodać, iż nie mam zbyt ekstrawaganckich wymagań, jestem bowiem zupełnie sam, nie nawykłem do luksusów i wcale mi za nimi nie tęskno.
- Więc pan także utracił żonę?
- Nie wydaje mi się, żeby powinno was to obchodzić, ale powiem wam, że żona zostawiła mnie dwadzieścia dziewięć lat temu, a mój trzydziestojednoletni syn, obecnie wzięty prawnik na Wall Street, używa jej nazwiska i twierdzi, że mnie w ogóle nie zna. Nie widziałem go od dnia jego dziesiątych urodzin. Ze względu na jego dobro, ma się rozumieć.
- Quelle tristesse.
- Quelle świństwo, kuzynie. Chłopak odziedziczył rozum po mnie, a nie po tym pustogłowi, które go urodziło... Ale wracajmy do rzeczy. Mój francuski krewniak ma swoje powody, żeby z wami współdziałać, a ja swoje, co najmniej równie silnie umotywowane, ale muszę także pomyśleć o sobie. Mój nowy, wiekowy przyjaciel może wrócić w każdej chwili do Paryża i tam dożyć w spokoju swoich dni, podczas gdy mnie pozostaje tylko Boston i szukanie szansy na wykorzystanie kilku możliwości, które próbowałem sobie na taką okoliczność stworzyć. Z tego właśnie powodu pragnienie wspomnienia waszych wysiłków musi, niestety, zejść na drugi plan. Z tym, co wiem, nie przeżyłbym w Bostonie nawet pięciu minut.
- Przykro mi, ale nie potrzebujemy pańskich usług, sędzio - powiedział John St. Jacques, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.
- Co takiego? - Marie wyprostowała się gwałtownie. - Ależ, Johnny! - Przyda nam się każda pomoc!
- Nie w tym wypadku. Wiemy, kto go wynajął.
- Wiemy?
- Wie Conklin, a to wystarczy. Nazwał to przełomem. Powiedział mi, że człowiek, który was wyszedł, posłużył się jakimś sędzią. - St. Jacques wskazał ruchem głowy na siedzącego po drugiej stronie stołu Prefontaine'a. - Nim właśnie. Rozwaliłem łódź wartą sto tysięcy dolarów, żeby jak najprędzej tu dotrzeć. Conklin wie, kto jest jego klientem.
- Prefontaine ponownie spojrzął na starego Francuza.
- Oto czas na quelle tristesse, panie bohaterze. Zostałem na łodzie. Moja wytrwałość przyniosła mi tylko lekko poderżnięte gardło i przysmażony skalp.
- Niekoniecznie - przerwała mu Marie. - Jest pan prawnikiem, więc nie muszę chyba panu mówić, że występowanie w roli świadka także jest pewną formą współpracy. Być może poprosimy pana o przekazanie relacji z niedawnych wydarzeń pewnym ludziom w Waszyngtonie.
- Świadczenie wiąże się z zeznawaniem, a to znowu kojarzy się nieodparcie z sądem.

Może mi pani wierzyć na słowo.

- Nie będzie żadnego sądu. Nigdy.
- Hę...? Rozumiem.
- Wątpię, sędzio. Za mało pan wie. Jeżeli jednak zgodzi się pan nam pomóc, zostanie pan sownie wynagrodzony... Powiedział pan przed chwilą, że choć bardzo pragnie nam pomóc, to przede wszystkim musi się pan za troszczyć o siebie...
- Moja droga, czy pani jest może prawnikiem?
- Nie, ekonomistka.
- Matko Boska, to jeszcze gorzej...
- Czy pragnienie udzielenia nam pomocy ma jakiś związek z osobą pańskiego klienta?
- Owszem. Jego boska postać powinna wreszcie trafić tam, gdzie jej miejsce, czyli do rysztyka. Pod cienką warstwą obślizgłej inteligencji kryje się dusza najzwyczajniejszej dziwki. Kiedyś wiązałem z nim spore nadzieje, dużo większe niż dawałem mu poznać, ale on zmarnotrawił wszystko, chcąc jak najszybciej zdobyć swego własnego świętego Graala.
- O czym on mówi, Marie?
- O człowieku, który zyskał wielkie wpływy i znaczenie, choć na to nie zasłużył. Nasz marnotrawny sędzia wziął się za bary z rozważaniami na temat moralności jednostki.
- I to mówi ekonomistka? - zapytał Prefontaine, dotykając ponownie świeżej pręgi na szyi. - Ekonomistka, której mniej lub bardziej trafne decyzje mogły wywoływać ruchy na giełdzie, w wyniku których ludzie tracili pieniądze, a wielu nawet bankrutowało?
- Nigdy nie zajmowałam aż tak ważnego stanowiska, ale zapewniam pana, że takie refleksje nawiedzają często tych, którzy dotarli aż na szczyty, a to dlatego, że oni sami nigdy nie ryzykują, zajmując się wyłącznie teorią. To bardzo bezpieczna pozycja... Pańska na pewno taka nie jest, sędzio. Może pan potrzebować naszej pomocy. Jak brzmi pańska odpowiedź?
- Święty Józefie, ale z pani twardej...
- Muszę nim być - odparła Marie, wpatrując się prosto w oczy sędziego z Bostonu. - Chcę, żeby był pan po naszej stronie, ale na pewno nie będę o to pana błagać. Najwyżej pozwolę panu wrócić do Bostonu.
- Czy jest pani zupełnie pewna, że nie jest prawnikiem albo przynajmniej nadwornym katem jakiegoś króla?
- Wybór należy do pana. Czekam na odpowiedź.
- Czy ktoś będzie łaskaw mi powiedzieć, co tu się właściwie dzieje, do cholery? - warknął John St. Jacques.
- Pańskiej siostrze właśnie udało się pozyskać nowego rekruta – odparł Prefontaine, patrząc na Marie łagodnym wzrokiem. - Przedstawiła mi jasno wszystkie możliwości, jakimi dysponuję, a logika jej argumentów, w połączeniu z urodą twarzy okolonej tymi wspaniałymi rudymi włosami, sprawiła, że nie mogę udzielić innej odpowiedzi.
- Co znowu...?
- Przeszedł na naszą stronę, Johnny.
- A niby do czego ma nam się przydać?
- Do wielu rzeczy, młody człowieku - odparł sędzia. - W pewnych sytuacjach warto dysponować również odpowiednim zabezpieczeniem od strony prawnej.
- Czy to prawda, siostrzyczko?
- W znacznym stopniu, ale ostateczną decyzję musi podjąć Jason... to znaczy, David.
- Właśnie że Jason - powiedział John St. Jacques, patrząc siostrze prosto w oczy.
- Czy powinienem coś wiedzieć o tych ludziach? - zapytał Prefontaine. - Nazwisko Jason Bourne było wypisane na ścianie pokoju.
- Takie otrzymałem polecenie, kuzynie - wyjaśnił fałszywy, choć wcale nie tak bardzo, bohater Francji.

- Nie rozumiem... Podobnie jak nie wiem, o co chodzi z tym drugim człowiekiem, jakimś Szakalem czy Carlosem, o którego wypytywaliście mnie dosyć brutalnie, kiedy nie byłem nawet pewien, czy jeszcze żyję, czy już nie. Myślałem, że Szakal to fikcja.

Jean Pierre Fontaine spojrział na Marie, która skinęła głową przytakująco.

- Carlos istotnie jest legendą, ale nie fikcją. To zawodowy morderca, obecnie ponad sześćdziesięcioletni, podobno poważnie chory, lecz w dalszym ciągu przepełniony ogromną nienawiścią. Jest człowiekiem o wielu obliczach; ci, którzy mają powody, kochają go, inni, którzy widzą w nim uosobienie zła, nienawidzą - a wszyscy mają wiele argumentów na poparcie swoich tez. Ja miałem okazję zaznajomić się z obydwojema punktami widzenia, ale, jak pan słusznie zauważył, święty Tomasz z Akwinu, mój świat nie ma nic wspólnego z pańskim.

- Merci bien.

- D'accord Obsesyjna nienawiść Carlosa wraz z upływem lat rośnie w jego mózgu jak złośliwy nowotwór. Pewien człowiek kiedyś zdołał go prze chytryć, podszywał się pod niego, przypisywał sobie jego czyny i kpil z wysiłków Carlosa, który rozpaczliwie usiłował zachować dla siebie miano najlepszego i najbardziej bezwzględnego zabójcy. Ten sam człowiek zabił kochankę Szakala, jedyną miłość tego człowieka, kobietę towarzyszącą mu od najmłodszych lat spędzonych jeszcze w Wenezueli. Spośród setek, być może nawet tysięcy ludzi wysyłanych przez rządy całego świata, tylko on jeden widział prawdziwą twarz Szakala. Dziwny ów człowiek stał się wytworem amerykańskiego wywiadu, przyjmując na trzy lata fałszywą, obcą sobie tożsamość. Carlos nie spocznie, dopóki go nie ukarze i nie zabije. Tym człowiekiem jest Jason Bourne.

Prefontaine oparł łokieć na stole i pochylił się do przodu, zdumiony opowieścią starego Francuza.

- A kto to właściwie jest ten Bourne? - zapytał.

- To mój mąż, David Webb - odparła Marie.

- O, mój Boże... - wyszeptał sędzia. - Czy mogę prosić o drinka?

- Ronald! - zawołał John St. Jacques.

- Tak, szefie? - odkrzyknął strażnik, który godzinę temu w willi numer dwadzieścia trzymał go w swoich silnych rękach.

- Przynieś nam whisky i brandy. Wszystko powinno być w barze.

- Już idę, proszę pana.

Pomarańczowe słońce, wiszące tuż nad wschodnim widnokrzem, nagle zapłonęło intensywną czerwienią, rozpraszając resztki unoszącej się jeszcze nad wodą porannej mgły. Ciszę, jaka zapadła przy stole, przerwały spokojne słowa starego Francuza.

- Nie przywykłem do takiej obsługi - powiedział, spoglądając z balkonu na jaśniejące coraz bardziej fale Morza Karaibskiego. - Kiedy ktoś czegoś chce, zawsze wydaje mi się, że to ja powinienem zareagować.

- Teraz już tak nie będzie... Jean Pierre - odparła cicho Marie.

- Chyba mógłbym się przyzwyczaić do tego nazwiska...

- Dlaczego nie tutaj?

- Qu'est-ce que vous dites, madame?

- Zastanów się nad tym. Paryż może się okazać dla ciebie równie niebezpieczny jak Boston dla naszego sędziego.

Wzmiankowany sędzia przeżywał tymczasem chwile uniesienia, obserwując, jak na stole pojawiają się kolejne butelki, a wreszcie naczynie z kostkami lodu. Bez wahania wyciągnął rękę i nalał sobie niemal pełną szklanekę.

- Muszę wam zadać kilka pytań - oświadczył zdecydowanym tonem. - Mogą?

- Oczywiście - skinęła głową Marie. - Nie jestem pewna, czy będę chciała lub mogła na nie odpowiedzieć, ale proszę próbować.

- Strzały i farba na ścianie... Mój „kuzyn” twierdzi, że otrzymał takie polecenia.
 - Bo tak było, mon ami.
 - Po co?
 - Strzały to był dodatkowy element zwracający uwagę na to, co się stało.
 - Jeszcze raz: po co?
 - Nauczyłem się tego w Ruchu Oporu. Oczywiście nie byłem żadnym bohaterem, ale miałem swój niewielki udział. W Resistance nazywało się to zaakcentowaniem, a chodziło o to, żeby jasno dać do zrozumienia, kto prze prowadził akcję.
 - Dlaczego zastosowałeś to tutaj?
 - Pielęgniarka nie żyje, więc nie ma nikogo, kto poinformowałby Szakala o tym, że jego rozkazy zostały wykonane.
 - Niezrozumiała galijska logika.
 - Niepodważalne francuskie poczucie zdrowego rozsądku.
 - Dlaczego?
 - Carlos zjawi się tu jutro w południe.
 - Boże!
- Wewnątrz willi zadzwonił telefon. John St. Jacques zerwał się z miejsca, ale jego siostra była szybsza; pobiegła do salonu i chwyciła słuchawkę.
- David?
 - Tu Aleks - odezwał się zadyszany głos. - Boże, próbuję się z wami połączyć od trzech godzin! Nic wam nie jest?
 - Żyjemy, choć mieliśmy już być martwi.
 - Starcy! Starcy z Paryża! Czy Johnny...
 - Tak, jest tutaj, ale oni są po naszej stronie!
 - Kto?
 - Ci starcy.
 - Pleciesz bzdury!
 - Wcale nie! Opanowaliśmy sytuację. Co z Davidem?
 - Nie wiem. Linia telefoniczna została przecięta. Wszystko się pochrzało!
- Zawiadomiłem policję, żeby tam pojechali...
- Pieprz policję, Aleks! - krzyknęła Marie. - Ściągnij wojsko, komandosów, zaalarmuj tę cholerną CIA! Chyba coś nam się od nich należy!
 - Jason by na to nie pozwolił. Nie mogę wejść mu w drogę.
 - No to posłuchaj: jutro w południe będzie tutaj sam Szakal!
 - Jezus, Maria! Muszę go wsadzić w jakiś samolot!
 - Zrób coś!
 - Nic nie rozumiesz, Marie. Stara „Meduza” odżyła...
 - Powiedz mojemu mężowi, że „Meduza” to historia, a Szakal to teraźniejszość, i że przylatuje tu jutro w południe!
 - David też tam będzie, wiesz o tym.
 - Tak, wiem... Bo teraz jest Jasonem Bourne'em.

Braciszku, to nie jest trzynaście lat temu, a ty jesteś o trzynaście lat starszy. Nie tylko do niczego się nie przydasz, ale nawet będziesz nam przeszkadzał, jeśli zaraz nie odpoczniesz. Najlepiej pośpij sobie. Zgaś światło i kimnij się trochę na tej ogromniastej kanapie w salonie. Ja popilnuję telefonów, choć i tak pewno nikt nie będzie dzwonił o czwartej nad ranem.

Głos Kaktusa ucichł, kiedy Jason wszedł do pogrążonego w ciemności salonu, czując, jak powieki osuwają mu się na oczy niczym ołowiane pokrywy. Opadłszy na kanapę, z

wysiłkiem wciągnął na nią nogi, położył je na poduszkach i wpatrzył się w sufit. Wypoczynek to także broń; od niego zależą losy bitew... Philippe d'Anjou, „Meduza”. Zamknął oczy i pogrążył się we śnie.

Przeraźliwy, ogłuszający ryk syreny tłukł się po ogromnym domu niczym dźwiękowe tornado. Bourne skoczył raptownie na nogi, przez chwilę nie wiedząc, gdzie jest... ani kim jest.

- Kaktus! - ryknął, wypadając do holu. - Kaktus! - wrzasnął ponownie, usiłując przekrzyczeć pulsujące wycie syreny. - Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi. Podbiegł do drzwi gabinetu i chwycił za klamkę; były zamknięte! Cofnąwszy się o krok, uderzył w nie ramieniem raz, drugi, trzeci, wkładając w to wszystkie siły. Drzwi wygięły się, a kiedy Jason kopnął w nie z rozmachem, ustąpiły. To, co ujrzał we wnętrzu gabinetu, sprawiło, że stanowiąca wytwór „Meduzy” maszyna do zabijania, którą w gruncie rzeczy był, zamarła na chwilę w bezruchu, miotając z oczu wściekłe błyski. Kaktus siedział w tym samym fotelu, który jeszcze niedawno zajmował zamordowany generał, jego barki i głowa spoczywały na blacie biurka. Krew utworzyła przy zwłokach dużą kałużę... Nie, nie przy zwłokach! Prawa ręka poruszyła się nieznacznie. Kaktus żył!

Bourne doskoczył do biurka i delikatnie uniósł głowę starego Murzyna. Przeraźliwy dźwięk syreny uniemożliwił jakiegokolwiek porozumienie. Kaktus otworzył oczy, po czym z wysiłkiem przesunął rękę po powierzchni biurka, uderzając w nią lekko zagiętym palcem.

- O co chodzi? - wrzasnął Jason. Ręka sunęła dalej, w stronę krawędzi, a palec uderzał coraz szybciej. - Niżej? Pod spodem? - Kaktus ledwo dostrzegalnie skinął głową. - Pod biurkiem! - wykrzyknął Bourne, zaczynając wreszcie rozumieć. Uklęknął przy biurku i sięgnął pod środkową szufladę...

Jest! Znalazł przycisk. Ostrożnie odsunął fotel nieco w lewo i skoncentrował uwagę na guziku. Poniżej, na kawałku plastikowej taśmy, widniały dwa słowa: „Wył. alarmu”.

Jason nacisnął guzik i w tej samej chwili przeraźliwe wycie ucichło. Nagła cisza zdawała się równie ogłuszająca i trudna do zniesienia, jak wcześniej syrena.

- Gdzie dostałeś? - zapytał Bourne. - Jak dawno temu? Mów szeptem, jak najmniej wysiłku, rozumiesz?

- Przesadzasz, braciszku - wyszeptał Kaktus z bolesnym grymasem na twarzy. - Byłem taksjarzem w Waszyngtonie... To nic groźnego, chłopcze. Góra, po lewej stronie...

- Zaraz wezwę lekarza... Naszego wspólnego przyjaciela, Iwana... Ale tymczasem możesz mi powiedzieć, co się stało, a ja położę cię na podłodze i rzucę okiem na ranę.

Jason ostrożnie przeniósł starego mężczyznę z fotela na dywan leżący przed jednym z wysokich okien. Rozdarł mu koszulę; kula przeszła na wylot przez lewe ramię. Szybkimi, gwałtownymi ruchami podarł koszulę na pasy i założył prymitywny opatrunek.

- To niewiele, ale na razie musi wystarczyć - oznajmił. - Mów.

- On tam jest, braciszku! - wyszeptał Kaktus, leżąc na wznak na dywanie. - Ma olbrzymie magnum z tłumikiem. Kropnął mnie przez okno, a potem stłukł szybę i wlał tu... On... On...

- Spokojnie! Nic już nie mów, to nieważne...

- Kiedy muszę. Chłopcy tam, na zewnątrz, nie mają żadnego sprzętu. Wytlucze ich jak kaczki. Udawałem trupa, a on się śpieszył, i to jak... Widzisz? - Jason spojrział w kierunku wskazanym wzrokiem przez Kaktusa. Na podłodze leżało kilkanaście książek zrzuconych z jednej z półek regału. - Po leciał od razu tam i szukał czegoś rozpaczliwie, a potem ruszył do drzwi z tą swoją armatą gotową do strzału... Pomyślałem sobie, że idzie do ciebie, bo pewnie widział przez okno, jak wchodziłeś do tamtego pokoju, więc wierciłem kolanem jak głupi, żeby nacisnąć ten cholerny guzik i jakoś faceta zatrzymać...

- Spokojnie!

- Muszę... Nie mogłem ruszyć ręką, boby to zauważył, ale wreszcie udało mi się trafić kolanem i ta cholerna syrena o mało nie zdmuchnęła mnie z fotela... Skurczybyk nie wytrzymał. Zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz i uciekł, którądy wszedł, czyli przez okno. - Kaktus odchylił głowę do tyłu, nie mogąc zapanować nad potwornym bólem. - On tam jest, braciszku...

- Wystarczy! - przerwał mu Bourne, po czym ostrożnie wyciągnął rękę i zgasił stojącą na biurku lampkę. Jedyne oświetlenie gabinetu stanowił teraz blask sączący się z holu przez roztrzaskane drzwi.

- Zadzwoń do Aleksa, żeby wezwał lekarza, a potem...

Nagle gdzieś na zewnątrz rozległ się przeraźliwy krzyk; zarówno Jason, jak i Kaktus słyszeli go już niejedną raz.

- Jednego załatwił - wyszeptał Murzyn, zaciskając mocno powieki. - Ten sukinsyn załatwił jednego z braci!

- Muszę zawiadomić Conklina - stwierdził stanowczo Bourne, ściągnając telefon z biurka. - Potem wyjdę i ja go załatwię... Cholera, nie ma sygnału! Przeciął linię!

- Nieźle się tutaj orientuje.

- Ja też. Leż tu jak mysz pod miotłą. Wrócę, jak tylko...

Przerwał mu kolejny krzyk, tym razem znacznie cichszy, przypominający raczej nagłą eksplozję zgromadzonego w płucach powietrza.

- Boże, wybac mi! - wyszeptał boleśnie Kaktus. - Został już tylko jeden...

- Jeżeli ktoś powinien prosić o wybaczenie, to ja, nie ty! - wykrztusił Jason. - Niech to szlag trafi! Przysięgam ci, Kaktus, nawet przez myśl mi nie przeszło, że tu się będą działy takie rzeczy!

- Wierzę ci. Znam cię od dawna, braciszku, i wiem, że nigdy nie zabiegałeś o to, żeby ktoś inny nadstawiał za ciebie karku. Najczęściej bywało dokładnie na odwrót.

- Położę cię przy biurku - zdecydował Bourne, ciągnąc dywan w miejsce, z którego Kaktus mógł łatwo sięgnąć do wyłącznika alarmu. - Jeżeli zobaczysz, usłyszysz albo nawet poczujesz coś podejrzanego, natychmiast włączaj syrenę.

- Co chcesz zrobić?

- Wyjść stąd, ale przez inne okno.

Bourne podkradł się do rozbitych drzwi, wyskoczył na korytarz i wbiegł do salonu. Znajdowały się tam balkonowe drzwi wychodzące na patio; pamiętał, że widział z podjazdu białe ogrodowe meble na trawniku przy południowym skrzydle domu. Nacisnąwszy klamkę, wyslizgnął się na zewnątrz, po czym wyciągnął zza paska pistolet, przymknął za sobą drzwi i schylony nisko nad ziemią popędził w kierunku krzewów rosnących na skraju wypielegnowanego trawnika. Musiał poruszać się najszybciej, jak potrafił, gdyż w grę wchodziło nie tylko życie jeszcze jednego niewinnego człowieka, ale także szansa na pojmanie mordercy, dzięki któremu mógł zdobyć informacje o działalności nowej „Meduzy”, a tym samym przynęty dla Szakala. Musi wymyślić jakąś pułapkę... Flary! Część ekwipunku, jaki przywiózł ze sobą do Manassas! Znajdowały się w lewej tylnej kieszeni spodni, każda długości piętnastu centymetrów i świecąca wystarczająco jasno, żeby jej blask był widoczny z odległości kilku kilometrów. Zapalone jednocześnie i umieszczone z dala od siebie mogły oświetlić posiadłość Swayne'a niczym dwa silne reflektory: jedna na południowym łuku podjazdu, druga przy psiarni. Być może ich blask obudzi psy, wprawiając je najpierw w zdumienie, a potem we wściekłość. Szybko!

Jason pognał przez trawnik, rozglądając się dookoła i zastanawiając, gdzie może teraz być zabójca i w jaki sposób udało się umknąć jego trzeciej niedoszłej ofierze. Jason nie mógł dopuścić do dalszej rzezi.

Stało się! Został dostrzeżony! Usłyszał dwa ciche pyknięcia i świst kul tuż koło głowy.

Przebiegłszy na drugą stronę asfaltowego podjazdu, dał nura w gąszcz krzewów, po czym odłożył na chwilę broń, wyszarpnął z kieszeni pierwszą flarę, zapalił ją i rzucił za siebie; wyładowała na asfalcie. Za kilka sekund powinna wybuchnąć oślepiającym ogniem. Co sił w nogach pobiegł pod osłoną sosen w lewo, za budynek, ściskając w jednym ręku pistolet, a w drugim flarę i zapalniczkę. Kiedy znalazł się na wysokości psiarni, na podjeździe rozjarzyła się płomienista kula. Zapaliwszy drugą flarę, cisnął ją na odległość czterdziestu metrów, przed wybiegi psów, i zamarł w oczekiwaniu.

Kiedy eksplodowała, trzy psy zareagowały żalonym skamleniem, a potem niespokojnym wyciem; wkrótce strach ustąpi miejsca wściekłości, a wycie szaleńczemu ujadaniu. Dwie ogniste kule załaty południową część posiadłości niespokojnym, migotliwym blaskiem. Cień! Na zachodniej, białej ścianie domu. Poruszył się, pobiegł w kierunku krzaków i znieruchomiał, mimo to nadal doskonale widoczny. Czy to zabójca, czy też jego potencjalna ofiara, trzeci z braci zaangażowanych przez Kaktusa? Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - z pewnością najszybszy, ale na pewno nie najbezpieczniejszy, gdyby cień miał się okazać mordercą, w dodatku obdarzonym celnym okiem.

Bourne wyprostował się, wyskoczył z kryjówki i pobiegł w prawo, by po sekundzie przypaść nagle do ziemi i rzucić się raptownie w przeciwną stronę.

- Uciekaj do chaty! - ryknął. Natychmiast otrzymał odpowiedź: dwa kolejne pyknięcia i dwa następne pociski, które wzbily fontanny ziemi po jego prawej stronie. Zabójca był fachowcem - może nie najwyższej klasy, ale bez wątplenia fachowcem. Magazynek magnum kaliber 357 mieścił sześć naboń. Do tej pory padło już pięć strzałów, lecz zabójca miał wystarczająco dużo czasu, by naładować broń ponownie. Potrzebny był jakiś pomysł, i to szybko!

W tej samej chwili na szutrowej drodze prowadzącej do chaty Flannagana pojawiła się jakaś biegnąca postać. Ten człowiek mógł w każdej chwili zginąć!

- Tutaj jestem, ty sukinsynu! - ryknął Jason i zerwał się na nogi, pakując na oślep kilka kul w krzaki rosnące przy ścianie budynku. Odpowiedź, jaką otrzymał tym razem, sprawiła mu autentyczną radość: jedno, jedyne pyknięcie, a potem cisza. Przeciwnik nie zmienił magazynka! Może nie miał więcej naboń... Nieważne. Liczyło się tylko to, że role uległy teraz odwróceniu. Bourne wypadł z cienia i pognął w kierunku płonących flar. Psy ujadły coraz głośniej, z narastającą wściekłością. Zabójca opuścił swoją kryjówkę i skierował się biegiem w stronę bramy. Jason wiedział, że teraz nieprzyjaciel na pewno mu nie umknie; bramy były zamknięte, morderca znajdował się w pułapce.

- Nie uciekniesz stąd, „Meduza”! - krzyknął Bourne. - Poddaj się!

Kolejny strzał! Napastnik zdążył załadować broń w biegu! Jason odpowiedział ogniem i mężczyzna runął na drogę, ale w tej samej chwili nocną ciszę rozdarł ryk potężnego, pracującego na wysokich obrotach silnika i na zewnętrznej drodze pojawił się pędzący z dużą prędkością samochód z migającymi na dachu niebieskimi i czerwonymi światłami. Policja! Bourne'owi nie przyszło na myśl, że system alarmowy może być połączony z posterunkiem w Manassas. Wydawało mu się, że tam, gdzie w grę wchodziła „Meduza”, takie rozwiązanie było zupełnie nieprawdopodobne. Przeczyło to jakiegokolwiek logice: wszelkie zabezpieczenia powinny być wewnątrz, żadna zewnętrzna siła nie miała prawa mieszać się do spraw Królowej Wężów! Posiadłość generała kryła zbyt wiele sekretów, wśród nich przede wszystkim tajemniczy cmentarz.

Mężczyzna leżący na podjeździe usiłował przetoczyć się pod osłonę wysokich sosen, ściskając coś kurczowo w dłoni. Jason podszedł do niego, kopnął go mocno w ramię i podniósł wypuszczony przedmiot. Była to oprawiona w skórę książka o tytule wytłoczonym złotymi literami, przeznaczona bardziej na pokaz niż do czytania. Bez sensu! Jednak kiedy otworzył ją na chybił trafił, natychmiast zmienił zdanie; strony nie były pokryte drukiem, tylko ręcznym niewyraźnym pismem. Notatki!

Nie mogło być mowy o żadnej policji, szczególnie teraz. Nie pozwoli, żeby ktoś wmieszał się i zepsuł to, co udało mu się do tej pory osiągnąć. Książka, którą trzymał teraz w dłoniach, nie ma prawa trafić do innych rąk. Najważniejszy był Szakal. Musi się ich jakoś pozbyć!

- Dostaliśmy wiadomość z centrali, proszę pana - oznajmił flegmatycznie policjant, podchodząc do bramy. Jego młodszy kolega został trochę z tyłu. - Podobno to bardzo pilne, więc przyjechaliśmy, choć tutaj ciągle się coś dzieje. Wszyscy lubimy się czasem zabawić, no nie? Bez obrazy, ma się rozumieć.

- Ma pan całkowitą rację - odparł Jason, starając się uspokoić oddech i rozglądając się ukradkiem w poszukiwaniu rannego mężczyzny; zniknął! - Mieliśmy jakieś zwarcie, które uszkodziło nam linię telefoniczną.

- Zdarza się. - Młodszy policjant skinął głową. - Letnie burze i w ogóle. Powinni poprowadzić kable pod ziemią, bo u moich starych...

- Najważniejsze, że wszystko jest już w porządku - przerwał mu Bourne. - Jak panowie widzą, w domu znowu palą się światła.

- Nic nie widzę przez te flary - odparł młody funkcjonariusz.

- Generał zawsze stosuje wszystkie dostępne środki ostrożności - wyjaśnił Jason. - Na szczęście, jak powiedziałem, wszystko jest już w porządku.

- Cieszę się - odparł starszy policjant - ale mam wiadomość dla człowieka nazwiskiem Webb. Jest taki tutaj?

Bourne poczuł dreszcz niepokoju.

- To ja.

- Cieszę się. Ma pan natychmiast zadzwonić do jakiegoś Conka. To pilne.

- Pilne?

- Tak nam powiedzieli przez radio.

Siatka ogrodzenia zadrżała lekko. Morderca wydostał się poza teren posiadłości!

- Ale telefony w dalszym ciągu nie działają... Macie radio w samochodzie?

- Owszem, ale nie do prywatnego użytku.

- Przecież sam pan powiedział, że to pilne!

- No, skoro jest pan gościem generała... Myślę, że mogę panu pozwolić. Jeżeli to zamiejskowa, to lepiej, żeby znał pan numer swojej karty kredytowej.

- Znam, znam! - parsknął niecierpliwie Jason, otworzył bramę i pobiegł do radiowozu. W domu rozległ się ryk syreny, po czym natychmiast umilkł; Kaktus nacisnął guzik.

- Co to było? - wykrzyknął z niepokojem młody policjant.

- Nieważne! - Jason wskoczył do samochodu i chwycił mikrofon. Podał operatorowi w policyjnej centrali numer Conklina, powtarzając przez cały czas, że to bardzo pilna sprawa.

- Słucham? - odezwał się z głośnika Aleks.

- To ja!

- Co się stało?

- Zbyt wiele, żeby teraz o tym opowiadać. Czego chcesz?

- Na lotnisku Reston czeka na ciebie prywatny samolot.

- Reston? To na północ stąd...

- W Manassas nie mają odpowiedniej maszyny. Wysyłam po ciebie samochód.

- Dlaczego?

- Pensjonat Spokoju. Marie i dzieci są w porządku. W porządku, rozumiesz? Udało jej się opanować sytuację.

- Co ty gadasz, do cholery?

- Przyjedź do Reston, to ci powiem.

- Chcę wiedzieć teraz!

- Szakal będzie tam jeszcze dzisiaj.

- Boże!
- Zwijaj wszystko i czekaj na samochód.
- Wezmę ten!
- Nie, jeśli nie chcesz wszystkiego spieprzyć! Mamy czas. Dokończ swoje sprawy i czekaj.
- Kaktus jest ranny.
- Zawiadomię Iwana, zaraz tam wróci.
- Z tamtych trzech przeżył tylko jeden... Tylko jeden, Aleks! Zabiłem dwóch ludzi! To moja wina.
- Uspokój się i rób to, co masz robić.
- Niech cię szlag trafi! Nie mogę! Ktoś powinien tu być.
- Masz rację. Narobiło się zbyt wiele hałasu, żeby to tak zostawić. Przyjadę tym samochodem i zostanę zamiast ciebie.
- Powiedz mi, co się stało na wyspie!
- Starcy... Starcy z Paryża, oto, co się stało.
- Są już martwi - powiedział spokojnie Jason Bourne.
- Nie śpiesz się za bardzo. Przeszli na naszą stronę. To znaczy, ten prawdziwy przeszedł, a drugi okazał się zesłanym przez Boga nieporozumieniem. Są teraz z nami.
- Nie znasz ich. Nigdy nie zdradziliby Szakala.
- Ty też ich nie znasz. Zaufaj swojej żonie. A teraz wracaj do Kaktusa i spisz mi wszystko, co powinienem wiedzieć... Jason, muszę ci coś powiedzieć. Modlę się do Boga, żebyś już wszystko ostatecznie rozstrzygnął, bo przysięgam ci, nie mogę już dłużej trzymać „Meduzy” w tajemnicy. Mam nadzieję, że pamiętasz o tym.
- Obiecałeś!
- Masz jeszcze trzydzieści sześć godzin, Delta.

Ranny mężczyzna przywarł do ziemi tuż za ogrodzeniem, obserwując w blasku reflektorów wysokiego mężczyznę, który wysiadł pośpiesznie z radiowozu i zaczął nerwowo dziękować policjantom, nie zapraszając ich jednak do wejścia na teren posiadłości.

Mężczyzna dosłyszał jednak nazwisko: Webb.

Było to wszystko, czego potrzebował. Wszystko, czego potrzebowała Królowa Węzów.

Rozdział 15

Boże, jak ja cię kocham! - powiedział David Webb do żony, opierając się o ścianę budki telefonicznej na prywatnym lotnisku w Reston, w stanie Wirginia. - Najgorsze było to czekanie na jakiś sygnał, na wiadomość, że nic wam się nie stało.

- A jak myślisz, co ja czułam, najdroższy? Aleks powiedział, że nie może się z tobą skontaktować, bo przecięto druty, i posłał tam policję, choć ja chciałam, żeby wysłał całą armię!

- Na razie nie możemy dopuścić nawet policji, w ogóle nikogo działającego oficjalnie. Conklin obiecał dać mi jeszcze co najmniej trzydzieści sześć godzin, ale może nie będę ich potrzebował, skoro Szakał ma się zjawić na Montserrat...

- Davidzie, co się właściwie dzieje? Aleks wspominał coś o „Meduzie”.

- To cholerne bagno, a on ma rację: musi pójść z tym wyżej. On, nie my. My będziemy trzymać się z daleka.

- Co się stało? - zapytała ponownie Marie. - Co ma z tym wspólnego stara „Meduza”?

- Pojawiła się nowa. Stanowi przedłużenie starej, jest duża, wstrętna i zabija. Widziałem to dzisiaj. Jeden z jej zbirów próbował mnie sprzątnąć, a najpierw ciężko zranił Kaktusa i zabił dwóch niewinnych ludzi.

- O, Boże! Aleks wspominał, że jest tam też Kaktus, ale nie powiedział nic więcej. Jak on się czuje?

- Wylize się z tego. Przyjechał po niego lekarz i zabrał go stamtąd. Trzeciego brata też.

- Brata...?

- Później ci wszystko opowiem. Conklin został na miejscu. Zajmie się wszystkim i każe naprawić telefon. Zadzwoń do niego z pensjonatu.

- Jesteś wyczerpany...

- Jestem zmęczony, choć nie mam pojęcia dlaczego. Kaktus kazał mi się przespać i mam wrażenie, że drzemałem co najmniej dwadzieścia minut.

- Mój ty kochany biedaku!

- Podoba mi się to, co mówisz i jak mówisz, ale wcale nie jestem biedakiem - odparł David. - Sama zatroszczyłaś się o to trzynaście lat temu w Paryżu. - Jego żona nic nie odpowiedziała i Webb poczuł ukłucie niepokoju. - Co się stało? Wszystko w porządku?

- Nie jestem pewna... - odparła z zastanowieniem Marie. - Powiedziałaś, że ta nowa „Meduza” jest duża, wstrętna i że próbowała... że oni próbowali cię zabić.

- Niezupełnie.

- Ale ten człowiek strzelał do ciebie. Dlaczego?

- Dlatego, że tam byłem.

- Nie zabija się człowieka tylko dlatego, że jest w czyimś domu...

- Dziś wieczorem w tym domu wydarzyło się wiele rzeczy. Mnie i Aleksowi udało się wniknąć w jego tajemnice, a ja zostałem zauważony. Wpadliśmy na pomysł, żeby podłożyć Szakałowi na przynętę kilku bogatych bandytów z Dowództwa Sajgonu, którzy wynajęliby go, żeby mnie zgładził, ale sytuacja wymknęła nam się spod kontroli.

- Dobry Boże, David! Czy ty nie rozumiesz? Zostałeś naznaczony! Będą próbowali sami cię zabić!

- W jaki sposób? Ich człowiek, który tam był, ani przez chwilę nie widział mojej twarzy, a oni przecież w dalszym ciągu nie mają pojęcia, kim jestem. Kimś bez twarzy i nazwiska, kto pojawił się i zniknął... Nie, Marie. Jeżeli Carlos rzeczywiście pojawi się na wyspie, a mnie uda się zrobić to, co zamierzam - jestem zresztą pewien, że mi się uda -

będziemy wolni. Nareszcie wolni.

- Zmienił ci się głos, wiesz o tym?
- Proszę?
- Naprawdę ci się zmienił. Słyszę to.
- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Jason Bourne. - Daję mi znaki. Samolot jest już gotów. Powiedz Johnny'emu, żeby miał na oku tych dwóch starców!

Szeptana plotka rozprzestrzeniała się po Montserrat jak niesiona wiatrem mgła. Coś okropnego wydarzyło się na Wyspie Spokoju... „Niedobre czasy, *mon...* Zły *obeah* przybył z Jamajki, siejąc śmierć i zniszczenie... Krew na ścianie, *mon*, przekleństwo rzucone na rodzinę zwierzęcia... Ciii! Była tam matka i dwoje małych dzieci...”

Odzywały się także inne głosy: „Dobry Boże, nie mówcie o tym! Przecież to odstraszy turystów! Pierwszy raz zdarzyło nam się coś takiego. Odosobniony przypadek, zapewne związany z przemytem narkotyków... To prawda, *mon*\ Mówili, że zupełnie oszalał z przedawkowania... Podobno odpłynął łodzią szybszą od huraganu. Bądźcie cicho, mówię! Pamiętajcie Wyspy Dziewicze i masakrę Fountainheada? Potrzebowali kilku lat, żeby się z tego otrząsnąć. Ani słowa więcej!”

I jeden osamotniony głos:

- To pułapka, sir. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, będziemy słynni w całych Indiach Zachodnich, zostaniemy bohaterami Wysp Karaibskich! Doprawdy, nawet trudno sobie wyobrazić, jak wiele na tym zyskamy! Niezłomni strażnicy prawa i porządku i tak dalej...

- Dzięki Bogu! Czy w rzeczywistości ktoś zginął?
- Kobieta, w trakcie próby popełnienia morderstwa.
- Kobieta? Dobry Boże, nie chcę słyszeć o tym ani słowa, dopóki wszystko się nie skończy.
- Lepiej, żeby nie musiał pan składać żadnych oświadczeń.
- Świetny pomysł. Wypłynę na ryby. Zawsze dobrze biorą po sztormie.
- Znakomicie, sir. Będę informował pana przez radio o rozwoju wydarzeń.
- Może lepiej nie? Ktoś mógłby nas podsłuchać...
- Chciałem przez to powiedzieć, że dam panu znać, kiedy będzie już po wszystkim, żeby mógł pan wrócić w najlepszym momencie.
- Tak, oczywiście. Jestem z siebie bardzo zadowolony, Henry.
- Dziękuję panu, panie gubernatorze.

Była dokładnie dziesiąta rano; objęli się mocno, ale nie mieli czasu na rozmowę. Musiała im wystarczyć świadomość, że oto znowu są razem, bezpieczni, i że mają nad Carlosem ogromną przewagę, gdyż wiedzą o sprawach, o których on nie ma najmniejszego pojęcia. Mimo wszystko była to tylko przewaga, a nie pewność wygranej. Tam, gdzie w grę wchodził Szakał, o żadnej pewności nie mogło nawet być mowy. Zarówno Jason, jak i John postawili sprawę jasno: Marie i dzieci natychmiast odlecą na leżącą w pobliżu Gwadelupy wysepkę Basse-Terre, gdzie wraz z piastunką, panią Cooper, pozostaną pod ochroną dopóty, dopóki nie będą mogli bezpiecznie wrócić na Montserrat. Marie co prawda próbowała się sprzeciwić, lecz jej protesty pozostały bez echa. Polecenia były wydawane chłodno i kategorycznie.

- Wyjeżdżasz, bo mam tu do załatwienia pewne sprawy. Nie życzę sobie żadnych dyskusji na ten temat.

- To znowu Szwajcaria, prawda? Wszystko jest tak jak wtedy w Zurychu, prawda, Jason?

- Skoro tak uważasz... - odparł obojętnie Bourne. Stali we trójkę przy nabrzeżu,

obserwując dwa hydroplany kołyszące się na wodzie w odległości kilkunastu metrów. Jednym z nich przyleciał z Antiguy Jason, drugi zaś był gotów do lotu na Gwadelupę; dzieci i pani Cooper byli już na pokładzie. - Pośpiesz się, Marie - dodał Jason. - Muszę jeszcze omówić kilka szczegółów z Johnnym, a potem trochę przycisnąć te dwie stare męty.

- To nie są męty, Davidzie. Gdyby nie oni, już byśmy nie żyli.

- Tylko dlatego, że wiatr powiał im z innej strony w dupę.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- Ale na razie tak właśnie uważam, a zacznę uważać inaczej dopiero wtedy, kiedy mnie przekonają. Nie znasz ludzi Szakala, ale ja ich znam. Będą mówić i robić wszystko, co chcesz, a kiedy odwrócisz się do nich plecami, wsadzą ci nóż pod żebro. Należą do niego ciałem i duszą... a raczej resztkami duszy. Idź już do samolotu. Czekają na ciebie.

- Nie chcesz zobaczyć się z dziećmi? Mógłbyś wytłumaczyć Jamiemu, że...

- Nie ma na to czasu! Odprowadź ją, Johnny. Muszę sprawdzić plażę.

- Już wszystko sprawdziłem, Davidzie - powiedział St. Jacques; w jego głosie pojawiło się coś w rodzaju nieśmiałego buntu.

- Ja ci powiem, czy wszystko sprawdziłeś, czy nie! - odparował Bourne, omiatając uważnym spojrzeniem okolicę, po czym dodał głośno, nie odwracając głowy: - Muszę zadać ci kilka pytań i radzę, żebyś potrafił na nie odpowiedzieć! - Zszedł z nabrzeża i ruszył przed siebie plażą.

St. Jacques napiął mięśnie i zrobił krok naprzód, ale jego siostra chwyciła go za rękę.

- Zostaw go - szepnęła. - On się boi.

- Co takiego? Ten cholerny sukinsyn?

- Tak.

John spojrzał na siostrę.

- Chodzi o tego obcego, o którym mówiłaś mi wczoraj wieczorem?

- Właśnie. Ale teraz jest jeszcze gorzej i właśnie dlatego on się boi.

- Nie rozumiem.

- Jest dużo starszy. Ma już pięćdziesiąt lat i zastanawia się, czy będzie w stanie podolać temu wszystkiemu, co robił dawniej - podczas wojny, w Paryżu, Hongkongu. Zżera go to i nie daje mu spokoju, bo wie, że dziś powinien być lepszy niż kiedykolwiek.

- Myślę, że mu się uda.

- Ja jestem tego pewna, bo ma niesłychanie silną motywację. Już kiedyś stracił żonę i dwoje dzieci. Prawie ich nie pamięta, ale to właśnie oni są przyczyną jego cierpienia. Mo Panov jest o tym święcie przekonany, i ja także... Teraz, wiele lat później, śmierć znowu zawisła nad jego najbliższymi. To musi być dla niego straszne.

- Do licha, przecież kazałem ci się pośpieszyć! - ryknął Bourne z odległości prawie stu metrów, przekrzykując szum fal i wiatru. - Mam coś dla pana, panie ekspercie: rafa otoczona łąką piasku! Wiedziałaś o tym?

- Nie odpowiadaj, Johnny. Chodźmy do samolotu.

- Łąka piasku? O czym on mówi, do diabła...? O, Boże, rzeczywiście!

- Niczego nie widzę - powiedziała Marie, wpatrując się we wskazany przez brata kierunek.

- Niemal cała wyspa jest otoczona rafami koralowymi. Jeśli chodzi o tę plażę, to ciągną się właściwie wzdłuż całej jej długości. Pełnią funkcję falochronów i właśnie dlatego ta wysepka nosi nazwę Wyspy Spokoju. Nie ma tu w ogóle przyboju.

- Nie rozumiem.

- To proste. Żaden płetwonurek nie odważyłby się zbliżyć od strony pełnego morza, bo roztrzaskałby się o rafy, ale co innego, jeśli rafa jest otoczona piaszczystą łąką. Mógłby spokojnie obserwować plażę i strażników, leżąc na płyciźnie, i wybrać odpowiedni moment, żeby dostać się niepostrzeżenie na brzeg. Nie pomyślałem o tym.

- Ale on pomyślał.

Bourne siedział na krawędzi biurka, dwaj starzy mężczyźni na kanapie naprzeciwko niego, a John St. Jacques stał przy oknie wychodzącym na plażę.

- Dlaczego miałbym... mielibyśmy pana okłamywać, *monsieur*? - zapytał bohater Francji.

- Dlatego że to wszystko brzmi jak klasyczna francuska farsa. Podobne, ale jednak nieco różniące się nazwiska; jedne drzwi się otwierają, drugie zamykają; jeden sobowtór wchodzi, drugi wychodzi. To cuchnie, panowie.

- Jest pan może uczniem Moliera lub Racine'a...?

- Jestem wyznawcą zasady całkowitego braku zaufania, szczególnie wtedy, kiedy chodzi o Szakala.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli do siebie podobni - zaproponował sędzia z Bostonu. - Oczywiście, z wyjątkiem wieku.

Zadzwonił telefon. Jason szybko podniósł słuchawkę.

- Tak?

- W Bostonie wszystko się zgadza - oznajmił Conklin. - Nazywa się Brendan Prefontaine. Był kiedyś sędzią federalnym, ale udowodniono mu „kierowanie się korzyściami majątkowymi podczas sprawowania urzędu”, co oznacza po prostu, że brał cholerne łapówki. Został skazany na dwadzieścia jeden lat, z czego odsiedział dziesięć, ale i tak stracił wszelkie szansę na jakiegokolwiek stanowisko. Alkoholik, ale całkowicie nieszkodliwy. Podobno wielu ptaszków trafiłoby za kratki, a jeszcze więcej dostałoby znacznie wyższe wyroki, gdyby nie rady, jakich udzielał ich obrońcom. Krótko mówiąc, jest uważany za czołowego prawnika wszystkich knajp i sal bilardowych w mieście. Ponieważ miałem kiedyś dokładnie takie same problemy, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że radzi sobie znakomicie. Lepiej niż w swoim czasie ja.

- Ale ty masz to już za sobą.

- Właśnie dlatego, że nie potrafiłem się dobrze ustawić. Kto wie, co by było, gdyby mi się udało.

- Co z jego klientem?

- Dawno temu nasz były sędzia miał wykłady na Harvardzie, a wśród jego studentów znajdował się także niejaki Randolph Gates... Prefontaine zna go, to pewne. Zaufaj mu, Jason. Nie ma żadnego powodu, żeby kłamać. Zjawił się tam tylko dlatego, że zwietrzył szmal.

- Mam nadzieję, że zająłeś się klientem?

- Za pomocą wszystkich dyskretnych środków, jakie mam w moim domowym warsztacie. Przecież on może nas zaprowadzić do Carlosa... Ślady wskazujące na powiązania z „Meduzą” okazały się fałszywe. Po prostu jakiś głupi generał z Pentagonu próbował umieścić kogoś blisko Gatesa.

- Jesteś tego pewien?

- Teraz już tak. Gates jest między innymi wysoko opłacanym konsultantem firmy prawniczej reprezentującej interesy działającego na wielką skalę dostawcy broni, którym zainteresowała się komisja antytrustowa. Gates nawet nie odpowiadał na telefony Swayne'a, był na to za mądry, znacznie mądrzejszy od generała.

- To już twój problem, przyjacielu, nie mój. Jeśli tutaj wszystko potoczy się zgodnie z moimi planami, nie chcę już więcej słyszeć o Królowej Węzów. Szczerze mówiąc, już zaczynam zapominać, że cokolwiek o niej słyszałem.

- Wielkie dzięki, że zważyłeś to na mnie - wydaje mi się, że mówię to zupełnie serio. Aha, przy okazji: w zeszytiku, który pożyczyłeś od tego snajpera w Manassas, znaleźliśmy sporo interesujących rzeczy.

- Na przykład?
- Pamiętasz tych troje podróżników z książki hotelowej w Mayflower, którzy osiem miesięcy wcześniej byli razem w Filadelfii, a potem znaleźli się przypadkowo w tym samym hotelu?
- Jasne.
- Znamy już ich nazwiska. Nie mają nic wspólnego z Carlosem; stanowią część „Meduzy”. W zeszycie jest jeszcze sporo innych ciekawostek.
- Nie jestem zainteresowany. Korzystajcie sobie z nich na zdrowie.
- Tak też zrobimy, ale po cichu. Za kilka dni ten zeszytek stanie się najbardziej poszukiwanym przedmiotem w całych Stanach.
- Cieszę się, ale mam jeszcze sporo roboty.
- Nadal nie chcesz, żeby ci pomóc?
- W żadnym wypadku. Czekałem na ten dzień od trzynastu lat. Tak jak ci powiedziałem na początku: to wyłącznie sprawa między nami.
- „W samo południe”, ty cholerny idioto?
- Raczej logiczne przedłużenie skomplikowanej partii szachów. Wygra ten, kto zastawi lepszą pułapkę, a moja będzie lepsza, ponieważ wykorzystam to, co on przygotował dla mnie.
- Zbyt dobrze cię wyszkoliliśmy, panie uczony.
- Jestem wam za to niezmiernie wdzięczny.
- Udanego polowania, Delta.
- Do zobaczenia. - Bourne odłożył słuchawkę i spojrzał na dwóch starców, usiłujących bezskutecznie ukryć malującą się na ich twarzach ciekawość. - Zdał pan właśnie bardzo trudny egzamin, panie sędzio - poinformował Prefontaine'a - A cóż mogę panu powiedzieć, Jean Pierre? Moja żona, która przyznaje, że mógł ją pan zabić i nawet by pan okiem nie mrugnął, namawia mnie, żebym panu zaufał. To chyba nie ma większego sensu, nie uważacie?
- Jestem tym, kim jestem, i zrobiłem to, co zrobiłem - rzekł z godnością były sędzia. - Ale mój klient posunął się zbyt daleko. Świetlany wizerunek jego postaci musi zniknąć, i to jak najszybciej.
- Nie potrafię tak pięknie mówić, jak mój wykształcony, przyszywany krewniak - odezwał się stary Francuz - ale wiem jedno: nie można dopuścić do dalszych morderstw. Moja żona cały czas usiłowała mi to przekazać. Nie chcę być hipokrytą, bo przecież sam także zabijałem, i to nieraz, więc powiem dokładniej: chodzi mi o ten rodzaj zabijania. To nie żaden biznes, tylko zemsta szaleńca domagającego się śmierci kobiety i dwojga dzieci. Gdzie tu jest konkretny zysk? Nie, Szakal również posunął się za daleko. Jego także koniecznie trzeba powstrzymać.
- Nigdy w życiu nie słyszałem tak cholernie mrozącej krew w żyłach logiki! - krzyknął od okna John St. Jacques.
- Uważam, że znakomicie pan to ujął - powiedział były sędzia z Bostonu do byłego przestępcy z Paryża. - Tres bien.
- D'accord.
- A ja chyba postradałem zmysły, żeby wiązać się z wami - wtrącił Jason Bourne. - Ale w tej chwili chyba nie mam wyboru... Za dwadzieścia pięć dwunasta, panowie. Czas biegnie naprzód. Cokolwiek się zdarzy, nastąpi w ciągu najbliższych dwóch, pięciu, dziesięciu lub dwudziestu czterech godzin. Teraz wrócę na Montserrat, żeby urządzić na lotnisku głośną scenę: powracający mąż dowiaduje się o śmierci żony i dzieci. Zapewniam was, że nie będę miał z tym żadnych problemów. Usłyszycie mnie aż tutaj... Zażądam, żeby natychmiast przewieziono mnie na Wyspę Spokoju, a kiedy tu dotrę, na nabrzeżu będą czekały trzy sosnowe trumny ze zwłokami moich najbliższych.
- Tak właśnie powinno być. - Francuz skinął głową. - *Bien*.

- Nawet bardzo *bien* - zgodził się Bourne. - Uprę się, żeby otwarto jedną z nich, po czym wrzasnę albo zemdleję lub zrobię obie te rzeczy naraz, tak żeby ci, którzy będą się przyglądać, długo tego nie zapomnieli. St. Jacques będzie się starał mnie uspokoić - Johnny, masz być ostry i przekonujący - a wreszcie odprowadzi mnie do ostatniej willi, tej najbliższej schodów na plażę. Potem nie pozostanie mi już nic innego, jak tylko czekać.

- Na tego Szakala? - zapytał bostończyk. - A on będzie wiedział, gdzie pan jest?

- Oczywiście. Masa ludzi, w tym cały personel, zobaczy, dokąd idę. Dowie się, dla niego to dziecinna zabawa.

- Chce pan na niego czekać, *monsieur*? Uważa pan, że *monseigneur* da się wciągnąć w taką pułapkę? *Ridicule!*

- Skądże znowu - odparł spokojnie Jason. - Przede wszystkim wcale mnie tam nie będzie, a kiedy on się o tym przekona, będzie już za późno.

- Jak chcesz to zrobić, na Boga? - wykrzyknął St. Jacques.

- Wykorzystując to, że jestem lepszy od niego - odparł Jason Bourne. - Zawsze byłem lepszy.

Wszystko odbyło się zgodnie ze scenariuszem. Obsługa lotniska Blackburna na Montserrat długo nie mogła dojść do siebie po zniewagach, jakimi obrzucił ją wysoki, wrzeszczący histerycznie Amerykanin. Oskarżał wszystkich o to, że dopuścili, by jego żona i dzieci zostali zamordowani przez terrorystów, twierdził nawet, że pozostawali w zмовie z zabójcami jego bliskich. Tubylcy, którym naubliżał od cholernych czarnuchów, byli nie tylko wściekli, ale także czuli się dotknięci. Nie dawali poznać po sobie wściekłości, ponieważ rozumieli jego ból, lecz pełni urazy nie potrafili pojąć, dlaczego właśnie ich usiłuje obarczyć winą, używając w dodatku słów, jakich jeszcze nigdy od niego nie słyszeli. Czyżby ten dobry *mon*, zamożny brat powszechnie lubianego Johnny'ego St. Jay, ten przyjaciel, który zainwestował tak wiele pieniędzy w Wyspę Spokoju, wcale nie był przyjacielem, tylko białym śmieciem obwiniającym ich za nie popełnione czyny tylko dlatego, że mieli ciemną skórę? Zagadkowa sprawa, *mon*. Stanowiła część szaleństwa przyniesionego przez spadający z gór Jamajki wiatr, który rzucił na ich wyspy jakieś straszne przekleństwo. Obserwujcie go, bracia. Obserwujcie każdy jego ruch. Może ten człowiek jest również jak burza, co prawda nie zrodzona nad oceanem, lecz równie groźna w skutkach? Nie spuszczać go z oka. Jego gniew jest niebezpieczny.

I był obserwowany. Przez wielu ludzi. Urzędujący w siedzibie gubernatora nerwowy Henry Sykes dotrzymał słowa. Oficjalne śledztwo, nad którym objął pieczę, było dyskretne, drobiazgowo... a w rzeczywistości nawet się nie rozpoczęło.

Na nabrzeżu w Pensjonacie Spokoju Amerykanin zachowywał się jeszcze gorzej; posunął się do tego, że uderzył swego szwagra, aż wreszcie Saint Jay zdołał go jakoś uspokoić i odprowadził do najbliższej willi. Służba przyniosła tam natychmiast jedzenie i picie, a kilku osobom pozwolono osobiście złożyć kondolencje, w tym także wystrojonemu w paradny mundur zastępcy gubernatora. Zaszczytu tego dostąpił także pewien stary człowiek, znający okrucieństwo śmierci jeszcze z czasów wojny, który nalegał, by pozwolono mu porozmawiać ze zrozpaczonym ojcem i mężem; towarzyszyła mu kobieta w stroju pielęgniarki, jej twarz zasłaniał czarny, żałobny welon. Później przybyli również dwaj mieszkający w pensjonacie Kanadyjczycy, dobrzy przyjaciele właściciela; obaj poznali nieszczęśliwego Amerykanina przed siedmiu laty podczas szampańskiego przyjęcia wydanego z okazji otwarcia pensjonatu. Pragnęli złożyć wyrazy ubolewania i zaproponować wszelką pomoc, jakiej tylko mogliby udzielić. John St. Jacques zgodził się, proponując jednak, żeby wizyta nie trwała zbyt długo.

Człowiek, na którego spadło tak wielkie nieszczęście, siedział w kącie pogrążonego w

niemal całkowitej ciemności pokoju. Zasłony w oknach były szczelnie zaciągnięte.

- To takie okropne, takie bezsensowne! - powiedział gość z Toronto do siedzącej nieruchomo w fotelu postaci. - Mam nadzieję, że jesteś wierzący, Davidzie, bo ja jestem. Wiara bardzo pomaga w takich chwilach. Twój najbliżsi są teraz w ramionach Boga.

- Dziękuję ci.

Nagły podmuch wiatru poruszył zasłonami; przez szczelinę wpadł do pokoju promień słońca. To wystarczyło.

- Chwileczkę! - odezwał się drugi Kanadyjczyk. - Przecież... Boże, przecież to nie jest David! Dave ma...

- Bądźcie cicho! - syknął St. Jacques, stając w drzwiach pokoju.

- Johnny, przesiedziałem z Dave'em w łodzi niejedną godzinę i wiem, jak on wygląda!

- Zamknij się! - powtórzył ostrzej właściciel Pensjonatu Spokoju.

- O, mój Boże... - westchnął głęboko zastępca gubernatora.

St. Jacques wszedł między dwóch Kanadyjczyków a mężczyznę siedzącego w fotelu.

- Posłuchajcie mnie - powiedział. - Wolałbym, żebyście się tutaj nie znaleźli, ale teraz już nic nie możemy na to poradzić. Pomyślałem, że dobrze by było mieć jeszcze dwóch ludzi, którzy wszystko potwierdzą... I właśnie to zrobicie. Rozmawialiście z Davidem Webbem, pocieszaliście pogrążonego w rozpacz Davida Webba - rozumiecie?

- Nic nie rozumiem! - zaprotestował ten z mężczyzn, który mówił o uldze, jaką przynosi wiara. - Kim, do diabła, jest ten człowiek?

- Zastępcą gubernatora - wyjaśnił St. Jacques. - Mówię wam to, żebyście zrozumieli, co...

- Masz na myśli tego palanta w galowym mundurze, który zjawiał się w towarzystwie plutonu czarnych żołnierzy? - przerwał mu człowiek, który znał Davida ze wspólnych wypraw wędkarskich.

- Pełni również funkcję dowódcy garnizonu. Jest generałem...

- Ale przecież widzieliśmy, jak odjeżdża! - zaprotestował wędkarz. - Wszyscy widzieliśmy przez okno w jadalni! Byli z nim ten stary Francuz i pielęgniarka...

- Widzieliście kogoś innego. W ciemnych okularach.

- Webb...?

- Czy panowie pozwolą? - Zastępca gubernatora podniósł się z fotela. Miał na sobie źle dopasowaną do jego sylwetki marynarkę, w którą był ubrany

Bourne podczas podróży z lotniska Blackburne na Wyspę Spokoju. - Jesteście mile widzianymi gośćmi na naszej wyspie, ale w chwilach najwyższego zagrożenia musicie podporządkować się naszym decyzjom. Jeśli tego nie uczynicie, będziemy musieli zatrzymać was na jakiś czas w odosobnieniu...

-Daj spokój, Henry. To przyjaciele.

-Przyjaciele nie nazywają generałów palantami.

- Sam by pan ich tak nazywał, gdyby odebrano panu stopień porucznika - wtrącił wierzący Kanadyjczyk. - Mój przyjaciel nie miał niczego złego na myśli. Kiedy armia kanadyjska zgłosiła zapotrzebowanie na inżynierów z jego firmy, on już od dawna ganiał po polu z karabinem w ręku. Był w Korei, ale nie radził sobie najlepiej.

-Przejdźmy lepiej do rzeczy - zaproponował współtowarzysz wędkarskich wypraw Webba. - A więc rozmawialiśmy z Dave'em, tak?

-Tak jest. To wszystko, co mogę wam teraz powiedzieć.

- Wystarczy, Johnny. Wygląda na to, że Dave ma kłopoty. Możemy mu jakoś pomóc?

- Owszem, uczestnicząc w tym, co zaplanowaliśmy dla gości pensjonatu. Przyniesiono wam programy ponad godzinę temu. Nic innego nie wchodzi w rachubę.

- Lepiej wszystko dokładnie wyjaśnij - poradził mu religijny przyjaciel Webba. - Nigdy

nie czytam tych świstków.

- Kierownictwo pensjonatu urządza specjalne przyjęcie, wszystko na koszt firmy, podczas którego meteorolog z wysp Leeward opowie o tym, co zdarzyło się ostatniej nocy.

- O sztormie? - zapytał wędkarz, zdegradowany porucznik, a obecnie właściciel jednej z największych firm w Kanadzie, - Sztorm to sztorm, o czym tu opowiadać?

- Na przykład o tym, skąd się biorą takie zjawiska pogodowe, dlaczego tak szybko mijają i jak się należy podczas nich zachowywać.

- Mówiąc wprost: chodzi ci o to, żeby wszyscy byli zgromadzeni w jednym miejscu?

- Dokładnie.

- Czy to pomoże Davidowi?

- Owszem, pomoże.

- W takim razie wszyscy tam będą, gwarantuję ci to.

- Bardzo się cieszę, ale skąd ta pewność?

- Rozpowszechnię jeszcze jedną ulotkę, informującą o tym, że Angus MacPherson McLeod, przewodniczący Kanadyjskiego Stowarzyszenia Inżynierów, wyznaczył nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów dla osoby, która zada najbardziej inteligentne pytanie. Co ty na to, Johnny? Bogaci uwielbiają tanim kosztem bogacić się jeszcze bardziej, to nasza najgorsza słabość.

- Wierzę ci na słowo - mruknął St. Jacques.

- Chodźmy - powiedział McLeod do swego religijnego przyjaciela z Toronto. - Pokażemy się ze łzami w oczach i opowiemy ludziom, cośmy widzieli i słyszeli, a potem, za jakąś godzinkę, zaczniemy szeptać o darmowym bankiecie i dziesięciu tysiącach dolarów. Jeżeli świeci słońce, ludzie potrafią się skoncentrować na jednym temacie przez jakieś dwie i pół minuty, a pod czas złej pogody przez nie więcej niż cztery - możesz mi wierzyć, przeprowadziłem specjalne badania... Dziś wieczorem spodziewaj się kompletu gości, Johnny. - McLeod odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj, Scotty! - zawołał człowiek głębokiej wiary, ruszając zanim. - Coś ty taki w gorącej wodzie kąpany? Dwie minuty, cztery minuty, specjalne badanie... Nie wierzę w ani jedno słowo!

- Doprawdy? - Angus zatrzymał się z ręką na klamce. - Ale chyba wierzysz w dziesięć tysięcy dolarów, prawda?

- Oczywiście!

- To także wynika z moich badań... I właśnie dlatego jestem właścicielem firmy. Dobra, a teraz muszę wycisnąć z oczu kilka łez. To także jedna z umiejętności, dzięki którym jestem tym, kim jestem.

Bourne i stary Francuz siedzieli na dwóch stołkach przy oknie na poddaszu głównego budynku pensjonatu. Z miejsca, które zajmowali, roztaczał się znakomity widok na ścieżkę, która łączyła wille stojące wzdłuż wysokiego brzegu, po obu stronach kamiennych schodów prowadzących na plażę i nabrzeże. Obaj mężczyźni przypatrywali się przez silne lornetki poruszającym się w dole ludziom. Na parapecie, tuż przed Jasonem, leżał radiotelefon pracujący na zarezerwowanej wyłącznie dla pensjonatu częstotliwości.

- Jest blisko - odezwał się półgłosem Francuz.

- Co takiego? - Bourne oderwał lornetkę od oczu i odwrócił się raptownie w stronę swego towarzysza. - Gdzie? Z której strony?

- Nie możemy go zobaczyć, *monsieur*, ale jestem pewien, że jest gdzieś blisko.

- Co pan przez to rozumie?

- Czuję to. Jak zwierzę, które wyczuwa nadejście burzy. To coś jest głęboko w środku i nazywa się strach.

- Nie bardzo rozumiem.

- Ale ja tak. Nie dziwię się panu. Ten, który odważył się rzucić wyzwanie Szakalowi,

człowiek o wielu twarzach, kameleon, zabójca znany jako Jason Bourne, nie może wiedzieć, co to strach. Tak nam w każdym razie mówiono.

Jason uśmiechnął się z goryczą.

- To kłamstwo - powiedział przyciszonym głosem. - Ten człowiek musi na co dzień obcować ze strachem, o jakim chyba nikt inny nie ma pojęcia.

- Trudno mi w to uwierzyć, *monsieur*...

- Musi pan. To ja jestem tym człowiekiem.

- Czy jest pan tego pewien, panie Webb? A może przybiera pan swoje drugie wcielenie właśnie po to, żeby uwolnić się od tego strachu?

David Webb wpatrywał się przez chwilę w milczeniu w twarz starego człowieka.

- A czy mam jakiś wybór? - zapytał wreszcie.

- Mógłby pan zniknąć na jakiś czas wraz z rodziną i żyć gdzieś spokojnie, w pełni bezpieczny... Pański rząd z pewnością by się o to zatroszczył.

- Znalazłby nas... Znalazłby mnie, gdziekolwiek bym się ukrył.

- Jak długo jeszcze by to panu groziło? Rok? Półtora? Na pewno mniej niż dwa lata. On jest chory. Wie o tym cały Paryż, w każdym razie mój Paryż. Biorąc pod uwagę kolosalny wysiłek, jaki włożył w zorganizowanie tej pułapki na pana, wydaje mi się, że to jego ostatnia próba. Proszę stąd wyjechać, *monsieur*. Proszę polecieć do żony na Basse-Terre, a potem gdzieś dalej, tysiące mil stąd. Niech Szakal wróci z pustymi rękami do Paryża i zdechnie, szarpany wściekłością. Czy to nie wystarczy?

- Nie! Natychmiast znowu ruszyłby za mną! Wszystko musi się rozstrzygnąć tutaj, teraz!

- Ja i tak już wkrótce znajdę się tam, gdzie teraz jest moja żona, więc mogę sobie pozwolić na to, żeby nie zgadzać się nawet z ludźmi takimi jak pan, *monsieur le Cameleon*, którym dawniej bez zastanowienia przyznałbym rację. Wydaje mi się, że może pan uciec i że pan doskonale o tym wie, ale po prostu nie chce tego zrobić. Powstrzymuje pana coś, co tkwi w pańskim wnętrzu. Nie chce pan dopuścić do siebie myśli o takim rozwiązaniu, choć nie przyniosłoby ono panu żadnej ujmę. Nie powstrzymuje pana nawet świadomość tego, że pańska rodzina jest teraz bezpieczna, ale może zginąć wielu niewinnych ludzi. Pan po prostu musi udowodnić swoją wyższość...

- Chyba wystarczy tego psychoanalitycznego bełkotu - przerwał mu Bourne, unosząc do oczu lornetkę i uważnym spojrzeniem lustrując teren.

- A więc o to chodzi, prawda? - zapytał Francuz, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

- Zbyt dobrze pana wyszkolili, zbyt głęboko zaszczepili osobowość człowieka, którym miał pan się stać. To rozgrywka Jasona Bourne'a z Szakalem, w której za wszelką cenę musi wygrać Bourne... Dwa starzejące się lwy przepelnione nienawiścią sfabrykowaną przez strategów nie mających najmniejszego pojęcia o konsekwencjach, jakie to za sobą pociągnie. Ilu ludzi zginęło tylko dlatego, że znaleźli się na skrzyżowaniu waszych dróg? Ile niewinnych kobiet i mężczyzn...

- Stul pysk! - ryknął Jason, zaciskając rozpaczliwie oczy, by nie dopuścić do siebie chaotycznych obrazów z Paryża, Hongkongu, Makau, a także tych najświeższych, z Manassas. Tyle krwi!

Nagle drzwi otworzyły się i na poddasze wpadł zadyszany sędzia Brendan Prefontaine.

- Jest już tutaj! - wysapał. - Jeden z patroli St. Jacques'a, trzech ludzi, przestał odpowiadać na wezwania... St. Jacques wysłał człowieka, żeby sprawdził, co się stało. Właśnie wrócił... Wszyscy nie żyją. Każdy dostał kulę w gardło.

- Szakal! - wykrzyknął Francuz. - To jego wizytówka. Zaanonsował swoje przybycie!

Rozdział 16

Ognista kula popołudniowego słońca wisiała nieruchomo na niebie. Wydawało się, że jedynym celem jej istnienia jest spalenie na popiół wszystkiego, co znalazło się w zasięgu promieniującego z niej żaru. Rezultaty specjalnych badań przeprowadzonych przez kanadyjskiego przemysłowca Angusa McLeoda potwierdziły się w całej pełni. Choć kilka przestraszonych par odleciało wezwanymi specjalnie dla nich hydroplanami, to okres, przez jaki uwaga pozostałych była skoncentrowana na jednym temacie, choć z pewnością przekraczający zarówno dwie i pół, jak i cztery minuty, w żadnym razie nie był dłuższy niż kilka godzin. Podczas szalejącego sztormu samotny, stary człowiek dokonał aktu okrutnej zemsty; on sam natychmiast uciekł z wyspy, gdy zaś z nabrzeża zniknęły budzące dreszcz grozy trumny, z plaży wrak rozbitej łodzi, a radio nadało uspokajający komunikat lokalnych władz, natychmiast wszystko powróciło do normy - może nie całkiem, ze względu na pogrążonego w rozpacz mężczyznę, ten jednak nie pokazywał się gościom pensjonatu i podobno wkrótce miał stąd wyjechać. Wszystkie te okropności, rozdęte do nieprawdopodobnych rozmiarów przez nadzwyczaj przesądnych tubylców, miały jedną wspólną cechę: dotyczyły kogoś innego. Poza tym, przecież życie musi toczyć się dalej. W pensjonacie pozostało siedem par.

„Boże, przecież płacimy sześćset dolarów dziennie...”

„Nikommu przecież nie chodziło o nas...”

„Do cholery, człowieku, za tydzień wracamy do roboty, więc trzeba korzystać, ile...”

„Nie obawiaj się, Shirley, obiecali mi, że nie ujawnią nazwisk gości...”

W palących promieniach popołudniowego słońca życie na jednej z najmniejszych wysepek wchodzących w skład archipelagu wróciło szybko do normy, a wspomnienia o śmierci bladły wraz z każdą następną szklaneczką whisky lub rumu. W powietrzu wisiało jeszcze ledwo uchwytnie napięcie, ale błękitnozielone fale głąskały jak dawniej piaszczystą plażę, zachęcając do wejścia do wody i poddania się ich chłodnemu, płynnemu rytmowi. Nazwa wyspy odzyskiwała stopniowo swoją wiarygodność.

- Tam! - wykrzyknął bohater Francji.

- Gdzie?

- Czterej księża. Idą ścieżką.

- Sączami.

- To nie ma znaczenia.

- Kiedy widziałem go w Paryżu przy Neuilly-sur-Seine, był przebrany za księdza.

Fontaine opuścił lornetkę i spojrzał na Jasona.

- Kościół Najświętszego Sakramentu? - zapytał spokojnie.

- Nie pamiętam... Który z nich to on?

- Widział go pan w sutannie?

- Tak, a ten sukinsyn widział mnie! Wiedział, że go rozpoznałem! Który to?

- Nie ma go tutaj, *monsieur* - powiedział Jean Pierre, unosząc ponownie lornetkę do oczu. - To tylko jeszcze jedna wizytówka. Carlos stara się wszystko przewidzieć, jest mistrzem geometrii. Dla niego nie istnieją linie proste, tylko różne płaszczyzny przecinające się w wielu miejscach, skomplikowane bryły.

- Mówi pan jak Azjata.

- Czyli rozumie pan, o co mi chodzi. Przyszło mu na myśl, że może pana nie być w tej willi, więc chce pana poinformować, że wie o tym.

- Neuilly-sur-Seine...

- Niezupełnie. Teraz tylko podejrzewa, wtedy miał całkowitą pewność.
- Jak powinienem to rozegrać?
- A co myśli o tym kameleon?
- Najprościej byłoby po prostu nic nie robić - odparł Bourne, patrząc cały czas przez okno. - Nie wzbudziłoby to jego podejrzeń, bo ma zbyt mało informacji. Pomyślałby sobie: „Mógłbym go rozwalić jedną rakieta, więc na pewno schował się gdzieś indziej”.
- Chyba ma pan rację.

Jason sięgnął po leżący na parapecie radiotelefon, zbliżył go do ust i nacisnął guzik.

- Johnny?
- Słucham.
- Widzisz tych czterech czarnych księży na ścieżce?
- Tak.
- Wyślij strażnika, żeby sprowadził ich do głównego holu. Niech im powie, że chce się z nimi zobaczyć właściciel pensjonatu.
- Ale przecież oni wcale nie idą do willi, tylko chcą się pomodlić za zmarłych!

Dzwonił do mnie w tej sprawie wikary z miasteczka, a ja się zgodziłem. Są w porządku, Davidzie.

- Rób, co ci mówię! - warknął Bourne i zdjął palec z przycisku, po czym odwrócił się od okna, obrzucając szybkim spojrzeniem zgromadzone na poddaszu przedmioty. Podniósłszy się ze stołka, podszedł do stojącej pod ścianą toaletki, wyjął zza paska pistolet i stłukł nim lustro, a następnie przyniósł Fontaine'owi spory kawałek szkła.
- Pięć minut po moim wyjściu proszę błysnąć tym kilka razy w oknie.
- Będę musiał je otworzyć, *monsieur*.
- Słusznie. - Na ustach Jasona pojawiło się na ułamek sekundy coś w rodzaju lekkiego uśmiechu. - Wydawało mi się, że nie muszę panu tego mówić.
- A co pan będzie robił?
- To, co on teraz: zamienię się w wędrującego po wyspie turystę. - Bourne ponownie sięgnął po radiotelefon. - Potrzebuję ze sklepu w holu trzech różnych marynarek, pary sandałów, dwóch albo trzech dużych słomkowych kapeluszy i szarych lub brązowych szortów. Potem pošlij kogoś do miasteczka po zwój żyłki o wytrzymałości pięćdziesięciu kilogramów, długi nóż i dwie flary. Spotkamy się tutaj, na schodach. Tylko szybko!
- Widzę, że nie potrzebuje pan moich rad - powiedział Fontaine. -*Monsieur le Cameleon* idzie do pracy.
- Tak samo jak on - odparł Bourne, odkładając radiotelefon na parapet.
- Jeżeli któryś z was zginie, albo obaj, zginą także niewinni ludzie...
- Na pewno nie z mojej winy.
- A czy to ma jakieś znaczenie dla ofiar i ich rodzin?
- Nie ja ustalałem okoliczności.
- Ale pan może je zmienić.
- On również.
- On nie ma sumienia...
- Jeśli mam być szczery, to w tej dziedzinie nie jest pan dla mnie zbyt wielkim autorytetem.
- Przyjmuję ten zarzut, ale ostatnio straciłem coś bardzo dla mnie cennego. Może właśnie dlatego dostrzegłem sumienie w panu albo przynajmniej w pana części.
- Strzeżcie się świętoszkowatych neofitów - mruknął Bourne, kierując się w stronę wiszących przy drzwiach wojskowej, udekorowanej licznymi baretkami marynarki i czapki oficerskiej. - To straszni nudziarze.
- Czy nie powinien pan tymczasem obserwować ścieżki? St. Jacques będzie potrzebował trochę czasu, żeby dostarczyć panu wszystkie rzeczy.

Bourne zatrzymał się, odwrócił i utkwiał we Francuzie zimne spojrzenie. Chciał jak najprędzej stąd wyjść, uciec od tego starca mielącego ozorem bez potrzeby, ale Fontaine miał rację. Przerwanie obserwacji byłoby poważnym błędem. Jakaś dziwna, niezwykła reakcja, spłoszone spojrzenie - te wszystkie drobnostki pozwalały często odnaleźć ślad prowadzący do mechanizmu uruchamiającego pułapkę. Jason wrócił do okna, wziął lornetkę i uniósł ją do oczu.

Do czterech podążających ścieżką księży podszedł policjant w czerwono-brązowym mundurze sił porządkowych Montserrat. Był bez wątpienia mocno zdziwiony i zażenowany poleceniem, jakie otrzymał, co chwila kłaniał się bowiem z szacunkiem, wskazując w kierunku wejścia do głównego budynku pensjonatu. Bourne przyglądał się po kolei twarzom czterech księży.

- Widzi pan? - zapytał półgłosem Francuza.
 - Czwarty - odparł Fontaine. - Ten, który szedł ostatni. Boi się.
 - Został kupiony.
 - Za trzydzieści srebrników. - Starzec skinął głową. - Oczywiście zejdzie pan i go zgarnie.
 - Oczywiście, że nie - zaprzeczył Jason. - Jest teraz tam, gdzie go potrzebuję. - Złapał radiotelefon. - Johnny?
 - Tak? Jestem w sklepie... Będę za kilka minut.
 - Znasz tych księży?
 - Tylko tego, który każe się tytułować wikarym. Wpada często po datki. To właściwie nie są księża, tylko kapłani miejscowego obrządku. Bardzo miejscowego, jeśli wiesz, co mam na myśli.
 - Jest z nimi ten wikary?
 - Tak, na samym przedzie.
 - To dobrze... Zmieniamy plan, Johnny. Zanieś ubranie do swojego biura, a potem wyjdź do nich i powiedz, że chce się z nimi zobaczyć pewien wysoki przedstawiciel władz, który pragnie złożyć ofiarę w podziękowaniu za ich modlitwy.
 - Co takiego?
 - Później ci wytłumaczę, a teraz się pośpiesz. Spotkamy się w holu.
 - Chciałeś powiedzieć, w moim biurze? Przecież kazałeś mi zanieść tam ubrania...
 - Przebiorę się później. Słuchaj, masz tam jakiś aparat fotograficzny?
 - Nawet trzy albo cztery. Goście ciągle je gubią, więc...
 - Połóż je wszystkie przy ubraniach - przerwał mu Jason. - Tylko prędko! - Wetknął radiotelefon za pasek, ale po chwili zmienił zdanie, wyjął go i wręczył Fontaine'owi. - Niech pan go trzyma. Wezmę inny i będziemy w kontakcie. Co widać na dole?
 - Idą do budynku, a nasz księżulo rozgląda się we wszystkie strony. Jest cholernie przerażony.
 - Gdzie patrzy? - Bourne sięgnął szybko po lornetkę.
 - Wszędzie.
 - Cholera!
 - Są już przy drzwiach.
 - Muszę się przygotować...
 - Pomogę panu.
- Stary Francuz wstał ze stołka, podszedł do stojącego przy drzwiach wieszaka i zdjął z niego wojskową marynarkę i czapkę.
- Jeżeli chce pan zrobić to, co myślę, to radzę się trzymać blisko ściany i nie odwracać zbyt często. Zastępca gubernatora jest trochę cięższy od pana. Musimy trochę wypchać marynarkę na plecach.
 - Zna się pan na tym, prawda? - zapytał Jason, pozwalając nałożyć na siebie ubranie.

- Wszyscy Niemcy byli zawsze grubszy od nas, szczególnie kaprale i sierżanci. To przez tę kiełbasę... Mieliśmy swoje sposoby. - Nagle Fontaine na brał raptownie powietrza w płuca i zatoczył się, jakby trafiony znieczulającą kulą. - *Mon Dieu...! Cest terrible! Gubernator...*

- O co chodzi?

- Gubernator!

- Co gubernator?

- Na lotnisku! Wszystko odbyło się tak szybko, tak nagle... A potem śmierć mojej żony i zabójstwo... Boże, nie mogę sobie darować!

- O czym pan mówi?

- Ten człowiek, którego mundur ma pan na sobie, jest jego zastępcą!

- Wiem o tym.

- Ale nie wie pan, *monsieur*, że swoje instrukcje otrzymałem nie od kogo innego, jak od samego gubernatora!

- Instrukcje?

- Instrukcje Szakala! Gubernator pracuje dla niego!

- Boże! - wykrztusił z trudem Bourne i rzucił się do stołka, na którym Fontaine zostawił radiotelefon. Zanim nacisnął guzik, odetchnął kilka razy głęboko, żeby się opanować. - Johnny?

- Na litość boską! Mam obie ręce zajęte, idę właśnie do biura, a w holu czekają już na mnie ci cholerni mnisi! Czego znowu chcesz, do diabła?

- Uspokój się i słuchaj uważnie. Jak dobrze znasz Henry'ego?

- Sykesa? Człowieka gubernatora?

- Tak. Widziałem go kilka razy, ale nic o nim nie wiem.

- Znam go całkiem nieźle. Gdyby nie on, ty nie miałbyś swojego domu, a ja Pensjonatu Spokoju.

- Czy ma jakiś kontakt z gubernatorem? Czy teraz informuje go na bieżąco o wszystkim, co się dzieje? Zastanów się dobrze, Johnny, bo to bardzo ważne. W willi jest przecież telefon, więc mógłby zadzwonić do siedziby gubernatora. Zrobił to?

- Chodzi ci o samego gubernatora?

- O kogokolwiek z jego otoczenia.

- Na pewno nie. Wszystko jest trzymane w tajemnicy, tak że nawet policja nie ma pojęcia o tym, co się dzieje. A jeżeli chodzi o gubernatora, to zna tylko ogólny plan, bez żadnych nazwisk ani szczegółów. Poza tym wypłynął na ryby i nie chce o niczym słyszeć, dopóki się wszystko nie skończy. Sam tak powiedział.

- Wierzę ci.

- A dlaczego pytasz?

- Później ci wytłumaczę. Pośpiesz się!

- Czy mógłbyś wreszcie przestać mnie poganiać? Jason odłożył radiotelefon i zwrócił się do Fontaine'a.

- Wszystko jasne: gubernator nie należy do armii Carlosa. Prawdopodobnie współpracuje z nim na tej samej zasadzie, co ten prawnik Gates z Bostonu. Został kupiony albo zmuszony szantażem, ale nie oddał mu duszy.

- Jest pan tego pewien? To znaczy, czy pański szwagier jest tego pewien?

- Facet wypłynął na ryby. Zna tylko ogólny plan i kazał, żeby o niczym go nie informować, dopóki się wszystko nie skończy.

- Szkoda, że mam już taką sklerozę - powiedział z głębokim westchnieniem Francuz. - Gdybym przypomniał sobie w porę, moglibyśmy go wykorzystać. Proszę, oto marynarka.

- W jaki sposób? - zapytał Bourne, ponownie wyciągając ramiona.

- Usunął się... Jak to się mówi?

- W cień. Nie bierze udziału w grze, jest jedynie obserwatorem.

- Znałem wielu takich jak on. Wszyscy życzyli Carlosowi, żeby przegrał. On też tego pragnie. To dla niego jedyne wyjście, ale sam zbyt się boi, żeby podnieść na Szakala rękę.

- Skoro tak, to w jaki sposób mielibyśmy go przekonać? - Jason zapinał guziki, podczas gdy Fontaine poprawiał z tyłu pasek i układał fałdy materiału.

- *Le Cameleon* zadaje takie pytania?

- Wyszedłem z wprawy.

- Ach, oczywiście... - mruknął Francuz, zdecydowanym ruchem poprawiając mu pas. - To ten człowiek, do którego sumienia apelowałem.

- Proszę dać spokój... A więc, jak?

- *Tressimple, monsieur*. Powiemy mu, że Szakalowi już doniesiono o jego zdradzie. Ja mu to powiem. Czemu miałby nie uwierzyć wysłannikowi *monseigneur*?

- Widzę, że jest pan prawdziwym fachowcem.

Bourne wciągnął brzuch, a Fontaine obejrzał go uważnie ze wszystkich stron, wyglądając fałdy marynarki.

- Jestem tym, któremu udało się przeżyć; ani lepszym, ani gorszym od innych. Może z wyjątkiem mojej żony. Z nią miałem naprawdę dużo szczęścia.

- Bardzo ją pan kochał, prawda?

- Czy ją kochałem? Och, takie rzeczy uważa się za oczywiste, choć rzadko się o nich mówi. Moim zdaniem jednak przede wszystkim chodzi o to, żeby dobrze czuć się w obecności drugiej osoby. Wielka namiętność nie gra tak ważnej roli. Nie trzeba kończyć zdania, a mimo to wszystko jest jasne, i wystarczy jedno spojrzenie, żeby wywołać wybuch śmiechu, choć nikt nie powiedział ani słowa. Myślę, że to przychodzi z czasem.

Jason stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w starego mężczyznę dziwnym spojrzeniem.

- Chciałbym dożyć takiego czasu. Bardzo bym chciał... Lata, które przeżyliśmy do tej pory z żoną, pozostawiły dużo blizn, które zagoją się całkowicie dopiero wtedy, kiedy coś we mnie się zmieni albo zupełnie zniknie... Tak to właśnie wygląda.

- W takim razie jest pan zbyt silny, zbyt uparty albo zbyt głupi! Proszę tak na mnie nie patrzeć. Już powiedziałem: nie boję się ani pana, ani nikogo innego. Jeżeli wszystko, co pan mówi, jest prawdą, to mam dla pana jedną radę: proszę darować sobie wszystkie myśli o miłości i skoncentrować się wyłącznie na nienawiści. Skoro nie mogę dyskutować z Davidem Webbem, szturczę Jasona Bourne'a. Szakal musi zginąć, a zabić go może tylko Bourne... Proszę, oto czapka i ciemne okulary. Radzę trzymać się blisko ściany, bo będzie pan wyglądał jak wojskowy paw z szeroko rozłożonym ogonem.

Nie odzywając się ani słowem, Bourne założył czapkę z daszkiem i okulary, po czym wyszedł z pomieszczenia. Schodząc szybko po drewnianych schodach, o mało nie wpadł na pierwszym piętrze na niosącego tacę ciemnoskórego, ubranego w biały strój kelnera. Skinął głową chłopakowi, który cofnął się, ustępując mu z drogi, kiedy nagle kątem oka dostrzegł jakies poruszenie; kelner wyciągał z kieszeni elektroniczny sygnalizator! Jason zawrócił raptownie i rzucił się na młodego mężczyznę, wytrącając mu z rąk zarówno urządzenie, jak i tacę, która z donośnym brzękiem upadła na podłogę. Chwyciwszy kelnera za gardło, podsunął mu pod nos sygnalizator.

- Kto ci to dał? - zapytał półgłosem. - Mów!

- Hej, *mon*, ja cię zbiję! - wykrzyknął chłopak. Raptownym szarpnięciem uwolnił prawą rękę, zacisnął ją w pięść i rąbnął Bourne'a w policzek. - Nie chcemy tu złego *mon*! Nasz szef-*mon* tak mówi! Ja się pana nie boję!

Uderzył kolanem w krocze Jasona.

- Ty cholerny sukinsynu! - syknął *Le Cameleon*, chwytając się lewą ręką za obolałe jądra, prawą zaś okładając twarz młodzieniaszka. - Jestem jego przyjacielem, jego bratem! Nie rozumiesz? Johnny St. Jacques jest bratem mojej żony, czyli moim szwagrem!

- He? - zdziwił się atletycznie zbudowany kelner, a w jego dużych brązowych oczach pojawił się wyraz zakłopotania. - To pan jest ten *mon* z siostrą pana szefa Saint Jay?

- Jestem jej mężem. A kim ty jesteś, do cholery?

- Główny kelner na pierwszym piętrze, proszę pana! Niedługo będę na parterze, bo jestem bardzo dobry. Ja też dobrze się biję. Nauczył mnie ojciec, choć teraz jest stary jak pan. Chce pan się bić? Pokonam pana! Ma pan siwe włosy...

- Zamknij się! Po co ci ten sygnalizator? - zapytał Jason, podsuwając mu ponownie przed oczy mały plastikowy przedmiot.

- Nie wiem, *mon...* sir! Działo się dużo złych rzeczy. Jak tylko zobaczymy ludzi biegnących po schodach, mamy naciskać ten guzik.

- Dlaczego?

- Bo mamy windy. Bardzo szybkie windy, sir. Po co goście mieliby chodzić po schodach?

- Jak się nazywasz? - zapytał Bourne, podnosząc z podłogi czapkę i okulary.

- Izmael, proszę pana.

- Jak w „Moby Dicku”?

- Nie znam tego pana, sir.

- Może poznasz.

- Czemu?

- Jeszcze nie wiem. Dobrze walczysz.

- Nie widzę związku, *mon...* sir.

- Ani ja. - Jason wyprostował się ostrożnie. - Musisz mi pomóc, Izmaelu. Zrobisz to?

- Tylko wtedy, jeśli pozwoli mi pana brat.

- Na pewno ci pozwoli. On naprawdę jest moim bratem.

- Musi mi to sam powiedzieć, sir.

- Bardzo dobrze. Nie ufasz mi.

- Nie ufam, sir - odparł Izmael. Przyklęknął i zaczął zbierać na tacę naczynia, oddzielając całe od potłuczonych. - A czy pan uwierzyłby staremu, silnemu człowiekowi, który napadł na pana na schodach i powiedział coś, co każdy mógłby powiedzieć? Możemy się bić i wtedy ten, kto wygra, będzie miał rację. Chce pan się bić?

- Nie, nie chcę się bić i lepiej nie nalegaj. Ani ja nie jestem taki stary, ani ty taki dobry, młodzieńcze. Zostaw tu tę tacę i chodź ze mną. Wy tłumaczę wszystko panu St. Jacques. Nie zapominaj o tym, że on jest bratem mojej żony. No, chodź wreszcie!

- Co mam robić, sir? - zapytał kelner, wstając z klęczek i ruszając za Jasonem.

- Słuchaj uważnie - powiedział Bourne, zatrzymując się na ostatnim podeście przed parterem. - Zejdź przede mną do holu i zajmij się czymś. Możesz opróżniać popielniczki albo coś w tym rodzaju, ale cały czas miej oczy szeroko otwarte. Ja zjawię się za kilka chwil i podejść do pana Saint Jay, który będzie rozmawiał z czterema księżmi...

- Z księżmi? - przerwał mu ze zdumieniem Izmael. - Z czterema księżmi, sir? A co oni tu robią? Znowu zdarzy się coś złego. To przez *obeah*!

- Chcą modlić się o to, żeby nie działy się już żadne złe rzeczy. Zależy mi na tym, żeby porozmawiać z jednym z nich na osobności. Kiedy wyjdą na zewnątrz, ten, o którego mi chodzi, prawdopodobnie odłączy się, być może po to, żeby się z kimś spotkać. Czy myślisz, że potrafiłbyś pójść za nim tak, żeby cię nie zauważył?

- A czy pan Saint Jay każe mi to zrobić?

- Powiedzmy, że spojrzysz na siebie i skinię głową.

- Wtedy to zrobię. Jestem szybszy od mangusty i znam wszystkie ścieżki na wyspie. On pójdzie jedną, ja pobiegnę drugą i będę na miejscu jeszcze przed nim... Ale skąd mam wiedzieć, który to ksiądz? Może odłączy się więcej niż jeden?

- Będę rozmawiał po kolei ze wszystkimi. Z tym, o którego mi chodzi, na końcu.

- Dobrze.

- Bystry z ciebie chłopak - zauważył Bourne. - Masz rację, przecież każdy może pójść w swoją stronę.

- Jestem bardzo bystry, *mon*. Mam piątą lokatę w klasie w technikum na Montserrat, ale przede mną są same dziewczyny, a one nie muszą pracować.

- To bardzo interesujące spostrzeżenie...

- Za pięć, sześć lat uzbieram dość pieniędzy, żeby studiować na uniwersytecie na Barbados!

- Może nawet wcześniej. Ruszaj już. Zejdź do holu i kręć się w pobliżu drzwi. Później, kiedy księża wyjdą, poszukam cię, ale nie będę w tym mundurze, więc możesz mnie nie poznać. Gdybym cię nie znalazł, spotkamy się po godzinie... Gdzie tu jest jakieś spokojne miejsce?

- Kaplica Spokoju, sir. Idzie się tam ścieżką przez las, wzdłuż wschodniej plaży. Tam nigdy nikogo nie ma.

- Pamiętam ją. Dobry pomysł.

- Jeszcze jedna sprawa, sir...

- Pięćdziesiąt dolarów.

- Dziękuję, sir!

Jason zaczekał półtorej minuty, po czym uchylił ostrożnie drzwi prowadzące do holu; Izmael zajął już stanowisko przy wyjściu, a John St. Jacques rozmawiał tuż koło recepcji z czterema kapłanami. Bourne obciągnął marynarkę, wyprostował się po wojskowemu i ruszył w ich kierunku.

- To dla mnie wielki zaszczyt, szanowni ojcowie - zwrócił się do duchownych, czując na sobie zdumione i zaintrygowane spojrzenie szwagra. - Przebywam dopiero od niedawna na wyspach, ale muszę przyznać, że jestem nadzwyczaj zbudowany i wdzięczny, podobnie jak nasz rząd, że zechcieliście służyć swą pomocą w uspokajaniu wzburzonych wód. W podziękowaniu za wasze starania - kontynuował z założonymi z tyłu rękami - gubernator Montserrat upoważnił pana Johna St. Jacques do przekazania wam czeku na kwotę stu funtów, z przeznaczeniem na potrzeby waszego Kościoła.

- Doprawdy nie wiem, co mam powiedzieć - odparł szczerze wzruszony wikary. - To taki hojny dar.

- Proszę mi tylko zdradzić, czyj to był pomysł - poprosił kameleon. - Wywarł na nas naprawdę ogromne wrażenie.

- Och, nie mogę przypisywać sobie cudzych zasług. - Wikary spojrzał na ubranego w sutannę młodego mężczyznę, który siedł jako czwarty w miniaturowym pochodzie. - Samuel to wymyślił. Jest bardzo troskliwym pasterzem naszej trzódki.

- Gratuluję, Samuelu. - Wzrok Bourne'a zetknął się na chwilę ze spojrzeniem mężczyzny w sutannie. - Chciałbym jednak podziękować każdemu z was osobiście. - Jason podszedł kolejno do księży, wymieniając uściski dłoni i uprzejmości. Kiedy dotarł do Samuela, ten odwrócił wzrok. - Chciałbym wiedzieć, kto podsunął ci ten pomysł - powiedział przyciszonym głosem Bourne.

- Nie rozumiem pana... - wyszeptał młody kapłan.

- Na pewno rozumiesz. Poza tym otrzymałeś przecież za to hojną zapłatę.

- Pomylił mnie pan z kimś innym. - W oczach mężczyzny pojawił się na chwilę paniczny strach.

- Ja się nie mylę i twój przyjaciel wie o tym. Znajdę cię, Samuelu, może nie dzisiaj, ale na pewno jutro lub pojutrze. - Bourne zwolnił uścisk, w którym trzymał rękę kapłana, i podniósł głos. - Ojcowie, przyjmijcie jeszcze raz serdeczne podziękowania od mojego rządu. Jesteśmy wam niezmiernie wdzięczni. Niestety, muszę już iść, bo czeka mnie kilka ważnych telefonów... W pańskim gabinecie, St. Jacques?

- Tak, oczywiście... generale.

Zamknąwszy za sobą drzwi Jason wyszarpnął zza paska pistolet i błyskawicznie ściągnął mundur, po czym zaczął grzebać w stosie ubrań kupionych przez Johna. Wybrał sięgające do kolan szare bermudy, czerwono-białą pasiastą marynarkę i słomkowy kapelusz o szerokim rondzie. Zdjąwszy skarpetki i buty, włożył odkryte sandały, lecz zaledwie po kilku krokach zaklął, zrzucił je i ponownie wzuł buty na grubej, gumowej podszewie. Następnie przyjrzał się uważnie zgromadzonym na biurku aparatom fotograficznym; zdecydował się na dwa najłżejsze, ale zarazem najbardziej rzucające się w oczy, i powiesił je sobie na szyi. W tej chwili do pokoju wszedł John St. Jacques z miniaturowym radiotelefonem w dłoni.

- Skąd się tu wzięłeś, do diabła? Z Miami Beach?

- Z Pompano, trochę bardziej na północ. Za mało rzucam się w oczy.

- Masz rację. Znam kilka osób w holu, które mogłyby przysiąc, że jesteś zmumifikowanym konserwatystą z Key West. Proszę, oto twoje radio.

- Dzięki.

Bourne wsunął urządzenie do kieszeni na piersi.

- Dokąd teraz?

- Za Izmaelem. To ten dzieciak, któremu miałeś skinąć głową.

- Izmael? Nie kazałeś mi kiwać głową Izmaelowi, tylko w kierunku drzwi.

- Na jedno wychodzi.

Bourne wsadził pistolet za pasek pod marynarkę i wziął się za przeglądanie ekwipunku przyniesionego ze sklepu żeglarskiego. Upchnąwszy w kieszeniach zwój linki i nóż, otworzył pusty futerał po aparacie fotograficznym i umieścił tam dwie flary. Nie było to wszystko, czego potrzebował, ale powinno mu wystarczyć. Był starszy niż trzynaście lat temu, a i wtedy już nie zaliczał się do młodzieniaszków. Zdawał sobie sprawę, choć bez specjalnego entuzjazmu, że jego umysł musi teraz pracować szybciej i sprawniej niż ciało. Cholera!

- Ten Izmael to dobry chłopak - oznajmił nie bardzo wiadomo po co brat Marie. - Sprytny i silny jak rasowy byczek. W przyszłym roku chcę dać mu posadę strażnika, więcej wtedy zarobi.

- Jeśli dzisiaj da sobie radę, poślij go raczej do Harvardu albo Princeton.

- Świetny pomysł. Czy wiesz, że jego ojciec zdobył mistrzostwo w wspinaczce? Chłopak rzeczywiście daje sobie świetnie radę, ale...

- Zejdź mi z drogi! - warknął Jason, ruszając do drzwi. - Ty też nie masz już osiemnastu lat - dodał, zatrzymując się na moment.

- Nigdy nie twierdziłem, że mam. Co cię gryzie?

- Chyba ta piaszczysta łacha, której nie zauważyłeś. Bourne wyszedł do holu, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

- Nadwrażliwiec... - mruknął St. Jacques, powoli rozluźniając zaciśnięte pięści.

Minęły już prawie dwie godziny, a Izmaela nigdzie nie było! Powłócząc przekonująco nogą, Jason kuśtykał po całym terenie pensjonatu, unosząc co jakiś czas do oka któryś z aparatów i rozglądając się dookoła przez wizjer, ale nie mógł dostrzec ani śladu chłopaka. Dwa razy zapuścił się prowadzącą przez las ścieżką aż do wzniesionej z drewnianych bali, krytej strzechą kaplicy, w której okna wprawiono kolorowe witraże; służyła wielu wyznaniom, a została wybudowana raczej po to, żeby być, niż dlatego, że ktokolwiek miałby ochotę z niej korzystać. Jak słusznie zauważył młody kelner, prawie nikt jej nie odwiedzał, ale wzmianka o niej znajdowała się we wszystkich reklamowych folderach.

Słońce płynące powoli w kierunku pokrytego wodą horyzontu przybiegało coraz bardziej intensywną, pomarańczową barwę. Wkrótce przez Montserrat i okoliczne wyspy zaczną sunąć wydłużające się cienie, a potem nadejdzie ciemność, sprzymierzeniec Szakala.

I kameleona.

- Co na poddaszu? - zapytał Bourne, wciskając guzik w nadajniku. - *Rien, monsieur.*

- Johnny?

- Siedzę na dachu z sześcioma ludźmi. Na razie nic.

- A jak tam przyjęcie?

- Meteorolog przyплыł dziesięć minut temu łodzią z Plymouth. Boi się latać... Angus powiesił na tablicy ogłoszeń czek na dziesięć tysięcy dolarów. Brakuje tylko podpisu i nazwiska odbiorcy. Scotty miał rację, wszyscy tam będą. W końcu należymy do społeczeństwa kierującego się tylko jedną zasadą: chwila milczenia, a potem gównie mnie to obchodzi...

- Nie odkryłeś Ameryki, braciszku... Wyłączam się. Idę jeszcze raz do kaplicy.

- Miło mi słyszeć, że jednak ktoś tam uczęszcza. Cholerny agent z Nowego Jorku, który namówił mnie, żebym ją zbudował, nie dał od tamtej pory znaku życia. Melduj się, Davidzie.

- W porządku, Johnny - odparł Jason Bourne.

Na ścieżce panował już półmrok; wysokie palmy i gęste zarośla przyspieszały nadejście zmierzchu, zatrzymując promienie zachodzącego słońca. Jason chciał już zawrócić po latarkę, kiedy nagle rozbłysły różnokolorowe reflektory, skierowane na pióropusze rosnących wzdłuż ścieżki palm. Bourne miał przez chwilę wrażenie, że został raptownie przeniesiony w jakiś nierzeczywisty, filmowy świat, zaprojektowany na podobieństwo tropikalnego lasu.

Nie był tym wcale zachwycony; stanowił doskonale widoczny cel na rozjaśnionej blaskiem kolorowych świateł strzelnicy.

Pospiesznie skręcił ze ścieżki i wszedł w zarośla, czując na nogach niezliczone ukłucia i zadrapania. Posuwał się teraz znacznie wolniej, pokonując opór wilgotnych gałęzi i pnączy, ale to właśnie podpowiadał mu instynkt: trzymaj się z dala od światła.

Stłumiony odgłos! Zupełnie odmienny od zwykłych szmerów nadmorskiego lasu. Zaraz potem jakby jęk, nagle urwany... zduszony? Jason przypadł do ziemi i pełzł wśród gęstej roślinności, aż wreszcie ujrzał potężne drzwi kaplicy, nasuwające skojarzenia z jakąś katedrą. Były lekko uchylone, a ze środka wydobywał się delikatny, pulsujący blask elektrycznych świec.

Pomyśl. Przypomnij sobie. Był w środku tylko raz, łajac żartobliwie swego szwagra za to, że wydał masę pieniędzy na coś nikomu niepotrzebnego.

„Przynajmniej jest oryginalna” - powiedział wtedy St. Jacques.

„Wcale nie jest” - zaprotestowała Marie. „Zupełnie tu nie pasuje”.

„Przypuścimy jednak, że ktoś otrzyma jakąś złą wiadomość, naprawdę złą, rozumiecie...”

„Wtedy postaw mu drinka” - doradził David.

„Wejdźcie do środka. Na witrażach są symbole pięciu religii, w tym sinto”.

„Lepiej nie pokazuj swojej siostrze rachunków” - szepnął mu Webb.

Jak wyglądało wnętrze? Czy było tam drugie wyjście? Nie, chyba nie... Tylko pięć lub sześć rzędów ławek i balustrada przed czymś w rodzaju ołtarza, a z tyłu prymitywne witraże wykonane przez miejscowych artystów.

Ktoś tam był, ale kto? Izmael? Szukający ukojenia gość pensjonatu? Ktoś, kogo niespodziewanie dopadły mocno spóźnione wyrzuty sumienia? Jason ponownie wyjął z kieszeni radio, uniósł je do ust i nacisnął przycisk.

- Johnny? - powiedział cicho.

- Ciągle jestem na dachu.

- A ja przy kaplicy. Wchodzę do środka.

- Jest tam Izmael?

- Nie wiem. Ktoś na pewno.

- Co się stało, Dave? Mówisz tak, jakbyś...
- Nic takiego - przerwał mu Bourne. - Po prostu zameldowałem się, zgodnie z umową.
Co jest za kaplicą?

- Las.
- Jakież ścieżki?
- Była kiedyś jedna, ale zarosła. Robotnicy schodzili nią do wody... Poślę tam paru ludzi.

- Nie! Dam znać, jeśli będę cię potrzebował. Wyłączam się. – Jason schował radio i ponownie wpatrzył się w uchylone drzwi kaplicy.

Z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos. Przez szparę sączył się łagodny blask świec. Bourne podkraść się do krawędzi ścieżki, zdjął kapelusz i aparaty fotograficzne, po czym wyjął z futerału jedną z flar i wetknął za pasek, obok pistoletu. Sięgnąwszy do kieszeni marynarki po zapalniczkę, wyprostował się i szybko, bezszelestnie podszedł do ściany budyneczku, sprawiającego w tym otoczeniu przedziwne, nierzeczywiste wrażenie. Z flar nauczył się korzystać jeszcze dawno przed Manassas; trzynaście lat temu w Paryżu, na cmentarzu Rambouillet. A Carlos... Podkraść się do drzwi, przycisnął twarz do futryny i powoli, ostrożnie zajrzał do środka.

Widok, który ujrzał, sprawił, że na chwilę wstrzymał oddech, czując, jak ogarnia go najpierw wściekłość, a potem niedowierzanie. Na wysokim podeście przed rzędami lśniących ławek, przewieszony przez barierkę, wisiał Izmael. Z uchylonych ust kapłała na podłogę krew, wyciągnięte bezwładnie ręce dotykały niemal posadzki, a twarz była opuchnięta i pokryta sińcami. Poczucie winy na moment sparaliżowało Jasona; wydawało mu się, że słyszy słowa Starego Francuza: „Mogą zginąć niewinni ludzie...”.

Boże, ten chłopak... Uwierzył w obietnice, a otrzymał jedynie śmierć. Co ja zrobiłem...? Co mam teraz robić?

Z twarzą mokrą od potu i niemal nie widzącym spojrzeniem Bourne wyszarpnął zza paska flarę, zdarł czerwony pasek i przyłożył zapalniczkę. Oślepiająco biały płomień wystrzelił raptownie, sycząc niczym stado wściekłych wężów. Jason cisnął flarę i sam wskoczył za nią, zatraskując za sobą ciężkie drzwi, po czym rzucił się na podłogę za ostatnim rzędem ławek, wyciągnął z kieszeni radio i wcisnął z całej siły guzik.

- Johnny, kaplica! Otocz ją!

Nie czekając na odpowiedź, popętlzył w kierunku bocznej ściany, ściskając w ręku pistolet i rozglądając się w poszukiwaniu szczegółów zapamiętanych podczas swojej pierwszej wizyty. Jaskrawe światło odbijało się od witraży, zalewając wnętrze różnokolorowymi, migoczącymi plamami. Nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć ponownie na barierkę i przewieszony przez nią ciało dziecka, które zabił... Po obu stronach podestu wisiły draperie, tworząc w ten sposób coś w rodzaju kulis. Pomimo szarpiącego go bólu Bourne odczuwał także głęboką satysfakcję, a nawet coś w rodzaju uniesienia. Śmiertelna gra zbliżała się do końca. Carlos stworzył wymyślną pułapkę, ale Kameleon wykorzystał ją przeciw niemu. Delta zwyciężył! Za jedną z dwóch kotar kryje się morderca z Paryża!

Bourne wstał z podłogi i przycisnąwszy się plecami do ściany, uniósł pistolet. Posłał dwie kule w lewą kotarę, po czym przeskoczył błyskawicznie na drugą stronę kaplicy, przyklęknął i wystrzelił dwukrotnie w prawą.

Zza zasłony wytoczyła się jakaś postać; brocząc obficie krwią, chwyciła kurczowo materiał i ściągnęła go na siebie, padając na podłogę. Bourne, krzycząc głośno, rzucił się naprzód, naciskając spust raz za razem, aż wreszcie iglica uderzyła z suchym trzaskiem. W tej samej chwili rozległa się silna eksplozja; witraże po lewej stronie ołtarza rozsypały się w drobny mak, a w jednym z otworów pojawiła się sylwetka człowieka stojącego na zewnętrznym parapecie.

- Skończyła ci się amunicja - powiedział Carlos do oszołomionego Bourne 'a. -

Trzyście lat, Delta, trzyście paskudnych lat. Ale teraz nie będzie żadnych wątpliwości, kto wygrał.

Szakał uniósł broń i strzelił.

Rozdział 17

W chwili gdy rozległ się huk wystrzału, Bourne rzucił się rozpaczliwie między ławki, w tym samym momencie czując w karku eksplozję gorąco-lodowatego bólu. Padł na lśniącej, brązowej desce i zsunął się na podłogę w objęcia czekającej na niego ciemności. Gdzieś z bardzo daleka dobiegły go jeszcze jakieś histeryczne głosy, a potem przestał słyszeć i widzieć cokolwiek.

David... - Tym razem nie był to krzyk, lecz cichy głos, powtarzający z napięciem imię, którego nie chciał znać. - David, słyszysz mnie?

Bourne otworzył oczy i natychmiast zdał sobie sprawę z dwóch faktów: po pierwsze, gardło miał owinięte szerokim bandażem, a po drugie, leżał w ubraniu na łóżku. W polu jego widzenia po prawej stronie pojawiła się zatroskana twarz Johna St. Jacques, po lewej zaś człowieka, którego nie znał. Był to mężczyzna w średnim wieku, o spokojnym, nieruchomym spojrzeniu.

- Carlos... - wykrztusił z trudem Jason, odzyskując głos. - To był on!

- Jeśli tak, to nadal jest na wyspie - oświadczył stanowczo St. Jacques. - Henry natychmiast kazał ją otoczyć, a nie minęła jeszcze nawet godzina. Brzeg jest strzeżony na całej długości przez patrole, pozostające przez cały czas w kontakcie radiowym i wzrokowym. Oficjalnie nazwał to „ćwiczeniami sił zwalczających przemyt narkotyków”. Przyplłynęło kilka łodzi, ale żadna nie wypłynęła i nie wypłynie.

- Kto to jest? - zapytał Bourne, spoglądając na nieznanego mężczyznę.

- Lekarz - wyjaśnił Johnny. - Jest moim przyjacielem, mieszka na stałe w pensjonacie. Leczył mnie w...

- Wydaje mi się, że powinniśmy zachować daleko idącą ostrożność - przerwał mu doktor. - Poprosiłeś mnie o pomoc i dyskrecję i otrzymałeś je, ale zważywszy na to, co się stało, a także na to, że twój szwagier raczej nie pozostanie długo pod moją opieką, będzie chyba lepiej, jeśli mnie nie przedstawisz.

- Całkowicie się z panem zgadzam, doktorze. - Jason skinął z trudem głową, a zaraz potem podniósł ją raptownie, spoglądając na obu mężczyzn szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. - Izmael! Zabiłem go!

- Mylisz się - odparł spokojnie St. Jacques. - Jest w fatalnym stanie, ale żyje. To silny chłopak, jak jego ojciec, i na pewno się wylize. Przewieziemy go samolotem do szpitala na Martynice.

- Boże, przecież to był trup!

- Został okropnie skatowany - wyjaśnił lekarz. - Połamane obie ręce, masa zewnętrznych i wewnętrznych urazów, ale zgadzam się z Johnem: to silny chłopak i z pewnością da sobie radę.

- Chcę, żeby niczego mu nie brakowało.

- Wszystko już załatwiłem.

- To dobrze. - Bourne przeniósł spojrzenie na doktora. - Co ze mną?

- Bez prześwietlenia i nie wiedząc, jak pan się porusza, mogę postawić jedynie bardzo ogólną diagnozę.

- Słucham.

- Oprócz rany to przede wszystkim wstrząs pourazowy.

- To nieważne.

- Pan tak twierdzi? - zapytał lekarz, uśmiechając się łagodnie.

- Tak, i wcale nie żartuję. Pytałem o ciało, nie głowę. Nią sam się zajmę.

- Czy to tubylec? - Doktor spojrzał pytająco na właściciela Pensjonatu Spokoju. - Jakiś biały, starszy Izmael? Bo na pewno nie jest lekarzem.

- Odpowiedz mu, proszę.

- W porządku. Kula przeszła przez lewą stronę karku, mijając o milimetry kilka miejsc, których uszkodzenie skończyłoby się na pewno utratą mowy, a być może nawet śmiercią. Oczyszcziłem ranę i założyłem szwy. Przez jakiś czas będzie pan miał trudności z poruszaniem głową, ale to naprawdę najmniejszy problem.

- Innymi słowy, mam sztywny kark, ale jeśli dam radę stanąć na nogi, to będę chodził?

- W największym skrócie można to chyba tak ująć.

- Flara jednak się przydała... - mruknął Jason, kładąc ostrożnie głowę na poduszce. - Przynajmniej oślepiła go na chwilę.

- Słucham? - St. Jacques nachylił się nad łóżkiem.

- Nieważne... W takim razie sprawdzmy, jak chodzę. - Bourne siadł powoli na łóżku i opuścił nogi na podłogę. Pokręcił lekko głową, kiedy John wyciągnął rękę, żeby mu pomóc. - Dzięki, ale muszę sam sobie dać radę. - Wstał ostrożnie, czując teraz znacznie wyraźniej ucisk spowijającego mu szyję bandaża. Zrobił krok naprzód na obolałych, posiniaczonych nogach; na szczęście były to tylko siniaki. Gorąca kąpiel zmniejszy ból, a silna dawka aspiryny i jakaś maść przywrócą mu sprawność. Gdyby tylko nie ten cholerny bandaż na szyi; nie dość, że go dusił, to jeszcze zmuszał do odwracania całego tułowia, kiedy chciał spojrzeć w bok... Mimo to musiał przyznać, że jak na kogoś w tym wieku radzi sobie całkiem nieźle. Niech to szlag trafi! - Doktorze, mógłby pan trochę poluzować tę obrozę? Wydaje mi się, że zaraz mnie udusi.

- Odrobinę, ale nie więcej. Chyba nie chce pan, żeby szwy puściły?

- A może plaster?

- Za duża rana. Niech pan nawet o tym nie myśli.

- Obiecuję panu, że będę.

- Jest pan bardzo zabawny.

- Wcale tak mi się nie wydaje.

- To pański kark, nie mój.

- Święte słowa. Johnny, mógłbyś zdobyć trochę plastra? St. Jacques spojrzał pytająco na lekarza.

- Chyba nie uda nam się go powstrzymać.

- W takim razie wyślę kogoś do sklepu.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze - powiedział Jason, kiedy jego szwagier poszedł do telefonu - ale muszę zadać Johnny'emu kilka pytań, a nie wydaje mi się, żeby chciał pan je słyszeć.

- Już i tak usłyszałem więcej, niż powinienem. Zaczekam w sąsiednim pokoju. Lekarz wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi.

W czasie, kiedy John rozmawiał przez telefon, Jason chodził po pokoju, wykonując różne ruchy ramionami, by sprawdzić, jak funkcjonują, a następnie zrobił kilka przysiadów, stopniowo zwiększając tempo. Musiał być sprawny, po prostu musiał!

- Plaster będzie za kilka minut - oznajmił St. Jacques, odkładając słuchawkę. - Kazałem Pritchardowi utworzyć sklep. Przyniesie kilka rozmiarów.

- Dzięki. - Bourne przerwał ćwiczenia. - Johnny, kim był ten człowiek, którego zastrzeliłem? Wpadł zza kotary, ale nie zdążyłem zobaczyć jego twarzy.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem, choć wydawało mi się, że znam każdego białego człowieka na tych wyspach, którego stać na taki drogi garnitur. Był chyba jednym z turystów i pracował dla Szakala. Rzecz jasna nie miał żadnych dokumentów. Henry odesłał ciało na Montserrat.

- Ilu ludzi wie, co się dzieje?
- Oprócz personelu w pensjonacie jest teraz czternastu gości, ale żaden nie ma nawet najmniejszego pojęcia o niczym. Zawiadomiłem ich, że kaplica jest nieczynna w związku z uszkodzeniami powstałymi w czasie sztormu. Ci, którzy coś wiedzą, jak na przykład nasz lekarz czy ci dwaj faceci z Toronto, znają tylko kilka oderwanych szczegółów, a poza tym to przyjaciele. Ufam im. Cała reszta żłopie wiadrami rum.
- A strzały w kaplicy?
- Ściągnęliśmy najgłośniejszy zespół na okolicznych wyspach... Poza tym przecież to było trzysta metrów w głębi lasu. Posłuchaj, Davidzie: nie ma tu nikogo oprócz całkowicie lojalnych przyjaciół i paru luzaczków, którzy nie mieliby nic nawet przeciwko wakacjom w Teheranie. Poza tym powtarzam ci, że bar przeżywa prawdziwe oblężenie.
- Zupełnie jak na balu maskowym w teatrze cieni... - mruknął Bourne, ostrożnie unosząc głowę i spoglądając w sufit. - Widać tylko jakieś miotające się gwałtownie postaci, ale nie wiadomo, kto jest kim ani o co właściwie chodzi.
- Nie bardzo pana rozumiem, profesorze. Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nikt nie rodzi się terrorystą, Johnny. Ich się robi za pomocą metod, jakich nie znajdziesz w żadnym podręczniku metodyki nauczania. Niezależnie od przyczyn, które skłoniły ich do wkroczenia na tę ścieżkę - a mogą to być zarówno uzasadniona chęć zemsty, jak i chorobliwa megalomania - maskarada trwa bez chwili przerwy.
- I co z tego? - zapytał St. Jacques, marszcząc z zastanowieniem brwi.
- To, że aktorami kieruje się mówiąc, jakie ruchy mają wykonywać, ale nie wyjaśniając dlaczego.
- Tak właśnie robimy tutaj i to samo robi Henry na wodzie dookoła wyspy.
- Na pewno?
- Tak, do diabła!
- Ja myślałem o sobie to samo, ale okazało się, że nie miałem racji. Przenosiłem dużego, sprytnego dzieciaka, któremu powierzyłem pozornie proste zadanie, a nie doceniłem skromnego, przerażonego księdza, który dostał trzydzieści srebrników.
- O czym ty mówisz, do cholery?
- O Izmaelu i bracie Samuelu. Samuel musiał przyglądać się torturowaniu chłopaka oczami Torquemady.
- Torkuco?
- Problem polega głównie na tym, że nie znamy graczy. Na przykład Strażnicy, których sprowadziłeś do kaplicy...
- Nie jestem idiotą, Davidzie - zaprotestował St. Jacques, wpadając mu w słowo. - Kiedy kazałeś nam ją otoczyć, pozwoliłem sobie na odrobinę swobody i zabrałem tylko dwóch ludzi. To byli komandosi, najlepsi, jakich mam, i podobnie jak Henry ufam im bez zastrzeżeń.
- Henry? Chyba jest w porządku, prawda?
- Czasem potrafi dokuczyć jak wrzód na dupie, ale na wyspach nie ma nikogo lepszego.
- A gubernator?
- Głupi osioł.
- Henry wie o tym?
- Jasne. Nie zrobili go generałem tylko za jego mało reprezentacyjny wygląd; to nie tylko dobry żołnierz, ale i znakomity administrator. Załatwia tu masę rzeczy.
- Jesteś zupełnie pewien, że nie kontaktował się z gubernatorem?
- Powiedział, że da mi znać, kiedy będzie musiał to zrobić, a ja mu wierzę.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz, bo Jego Ekscelencja Gubernator pracuje dla Szakala.
- Co takiego? Nie wierzę!
- Lepiej uwierz, bo to prawda.

- Niewiarygodne!
- Wcale nie. Właśnie tak działa Szakal. Wyszukuje wszelkie możliwe słabości i wykorzystuje je bezlitośnie. Niewielu jest ludzi, których nie można w ten sposób kupić.

St. Jacques podszedł powoli do okna, usiłując przyswoić sobie nieprawdopodobną informację.

- W takim razie wyjaśniło się od razu kilka spraw. Gubernator pochodzi ze starej ziemiańskiej rodziny, ma brata na wysokim stanowisku w Foreign Office, bliskiego współpracownika premiera. Dlaczego został wysłany akurat tutaj, a właściwie dlaczego zgodził się, żeby go tu wysłano? Wydawałoby się, że powinny go interesować co najmniej Bermudy albo Wyspy Dziewicze. Plymouth może być stacją pośrednią, ale na pewno nie docelową.

- On nie został wysłany, tylko zesłany, Johnny. Carlos prawdopodobnie dowiedział się, za co, i miał go na swojej liście od wielu lat. Spora część ludzi czyta gazety i książki tylko po to, żeby znaleźć w nich jakieś wiadomości kompromitujące różne osoby, a Szakal w tym samym celu wertuje tomy ściśle tajnych raportów, zawierających więcej niż mogłyby zdobyć CIA, KGB, MI 5, MI 6 i Interpol razem wzięte... Po moim powrocie z Blackburne przy leciało pięć lub sześć hydroplanów. Kto był na pokładzie?

- Piloci - odpowiedział St. Jacques, odwracając się od okna. - Już ci mówiłem, że nikogo nie przywieźli, bo przylecieli po tych, którzy postanowili wyjechać.

- Rzeczywiście, mówiłeś. Przyglądałeś się?

- Komu?

- Tym samolotom.

- Żartujesz sobie? Musiałbym robić dziesięć rzeczy naraz.

- A ci dwaj czarni komandosi, którym podobno tak bardzo ufasz?

- Na litość boską, oni w tym czasie sprawdzali i rozstawiali strażników!

- A więc na dobrą sprawę nie wiemy, czy ktoś nie przyleciał którymś z tych samolotów, prawda? Mógł się ześlizgnąć do wody i ukryć za pontonem, może nawet w pobliżu rafy z piaszczystą łachą.

- Człowieku, ja znam tych pilotów od lat! Żaden z nich nie poszedłby na coś takiego!

- Chcesz po prostu powiedzieć, że to nieprawdopodobne?

- I to jeszcze jak!

- Dokładnie tak samo jak gubernator Montserrat współpracujący z Szakalem.

Właściciel Pensjonatu Spokoju wpatrywał się przez chwilę w twarz swojego szwagra.

- Człowieku, w jakim świecie ty żyjesz?

- W takim, w którym wolałbym ciebie nie widzieć, ale skoro już tu jesteś, musisz stosować się do jego reguł. Do moich reguł... - Błysk! Mignięcie wąskiego, ciemnoczerwonego promienia światła z roztaczającej się za oknem ciemności. Podczerwień! Bourne rzucił się na Johnny'ego, odtrącając go od okna. - Uciekaj stąd! - ryknął, zanim obaj runęli na podłogę. Niemal w tej samej chwili rozległy się trzy suche trzaśnięcia i trzy kule ugrzęzły w ścianie nad ich głowami.

- Co jest, do...

- On tam jest i chce, żebym o tym wiedział! - wyjaśnił Bourne, przygniatając Johnny'ego ramieniem do podłogi, drugą ręką sięgając do kieszeni marynarki. - Wie, kim jesteś, i dlatego chce cię zabić. Należysz do mojej rodziny, a on właśnie tego pragnie: wymordować mi rodzinę, żebym oszalał z rozpacz.

- Boże, co teraz zrobimy...?

- Ja to zrobię, nie ty - odparł Bourne, wyciągając z kieszeni flarę. - Wyślę mu wiadomość, żeby wiedział, że żyję i będę żył, kiedy on zgnije w ziemi. Zostań tutaj!

Jason oddał czerwony pasek, podpalił flarę i zerwawszy się z podłogi, przebiegł wzdłuż drzwi balkonowych. Kiedy wyrzucił flarę na zewnątrz, rozległy się dwa kolejne,

suche trzaśnięcia i dwa następne pociski wpadły do pokoju; jeden z nich rozbił lustro w toaletce.

- To MAC-10 z tłumikiem! - syknął Delta, nieruchomiejąc pod przeciwległą ścianą i sięgając ręką do karku, w którym nagle odezwał się piekący ból. - Muszę się stąd wydostać!

- David, przecież jesteś ranny!

- Miło, że mi o tym mówisz.

Bourne poderwał się znowu na nogi i wybiegł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. W salonie stanął twarzą w twarz z zaniepokojonym lekarzem.

- Słyszałem jakieś hałasy - powiedział doktor. - Wszystko w porządku?

- Muszę wyjść. Niech pan kładzie się na podłogę!

- Zaraz, chwileczkę! Ma pan cały bandaż we krwi, a szwy powinny...

- Na podłogę, durniu!

- Nie ma pan dwudziestu lat, panie Webb...

- Odpieprz się ode mnie! - ryknął Bourne. Ruszył biegiem do wyjścia, wypadł na zewnątrz i popędził oświetloną, betonową ścieżką w kierunku głównego budynku, niemal ogłuszony dźwiękami muzyki wydobywającymi się z zainstalowanych na drzewach głośników.

Jason pomyślał, że hałas powinien mu pomóc. Angus McLeod dotrzymał słowa: w okrągłej, przeszklonej jadalni zebrali się nie tylko wszyscy goście, ale także znaczna część personelu, a to oznaczało, że kameleon musi zmienić barwę skóry. Znał sposób myślenia Carlosa równie dobrze, jak swój własny, wiedział więc, że zabójca będzie robił dokładnie to samo, co on sam zrobiłby w podobnych okolicznościach. Wygłodniały wilk wtargnął do kryjówki swej zdezorientowanej ofiary i porwał kawał znakomitego mięsiwa; nie pozostało więc nic innego, jak zrzucić w ogóle skórę kameleona i przywdziać należącą do większego drapieżcy, na przykład tygrysa, który unicestwił Szakala jednym kłapnięciem szczęki... Dlaczego przywiązuje tak wielką wagę do symboli? Wiedział dlaczego, a świadomość ta napępiała go poczuciem pustki i tęsknotą za czymś, co minęło - nie był już Deltą, budzącym strach i przerażeniem uczestnikiem „Meduzy”, ani Jasonem Bourne'em z Paryża i Dalekiego Wschodu; starszy, znacznie starszy David Webb usiłował znaleźć dla siebie miejsce, próbując doszukiwać się sensu i porządku w szaleństwie i przemocy.

Nie! Odejdź ode mnie! Teraz tylko ja się liczę... Odejdź, Davidzie. Odejdź, na litość boską...!

Bourne skręcił raptownie ze ścieżki i pobiegł przez kłującą, tropikalną trawę w kierunku bocznego wejścia do budynku, lecz niemal natychmiast zwolnił, drzwi bowiem otworzyły się i pojawił się w nich jakiś człowiek; rozpoznawszy go, zaczął znowu biec. Był to jeden z niewielu pracowników zatrudnionych w pensjonacie, których znał, i jeden z jeszcze mniej licznej grupy, o których chciałby jak najprędzej zapomnieć: potwornie zarozumiały zastępca kierownika recepcji nazwiskiem Pritchard, gadatliwy, choć pracowity nudziarz, przypominający bez przerwy wszystkim o wysokiej pozycji zajmowanej na wyspach przez jego rodzinę, a szczególnie przez wuja, pełniącego funkcję wicedyrektora Urzędu Imigracyjnego. David Webb podejrzewał, że koligacje te nie pozostawały bez związku z bezproblemowym funkcjonowaniem Pensjonatu Spokoju.

- Pritchard! - zawołał Bourne, podchodząc do mężczyzny. - Masz plastry?

- Pan tutaj, sir? - zapytał ze zdumieniem ciemnoskóry urzędnik. - Powiedziano nam, że opuścił pan nas dziś po południu...

- Cholera!

- Proszę...? Mam na ustach bardzo współczujące kondolencje z powodu okropnej straty...

- Daruj je sobie, Pritchard, i trzymaj gębę na kłódkę, rozumiesz?

- Oczywiście. Nie mogłem być obecny dzisiaj rano, żeby pana serdecznie powitać, ani

po południu, żeby pana pożegnać i wyrazić moje głębokie współczucie, bo pan St. Jay poprosił mnie, żebym pracował cały wieczór, a właściwie całą noc, jeśli chodzi o zupełną ścisłość, więc...

- Pritchard, nie mam czasu. Daj mi plaster i pamiętaj, żebyś nikomu, ale to nikomu nie mówił, że mnie widziałeś. Czy to jasne?

- Bez wątpienia, sir - odparł Pritchard, wręczając Jasonowi trzy różnej wielkości opakowania plastra opatrunkowego. - Tak zaufana informacja będzie u mnie najzupełniej bezpieczna, tak samo jak ta, że była tu pańska żona i dzieci... O Boże, wybac mi! Błagam, niech mi pan wybaczy!

- Obaj ci wybaczymy, pod warunkiem że nie puścisz pary z ust.

- Są zamknięte na głucho, zapieczętowane! To dla mnie zaszczyt!

- Zabiję cię, jeśli go nie docenisz, rozumiesz?

- Słucham...?

- Tylko nie mdlej. Idź do willi i powiedz panu St. Jay, że dam mu znać, więc żeby tam został. Zapamiętałeś? Ma tam zostać. Ty zresztą też, jeśli chodzi o ścisłość.

- A może mógłbym...

- Nie ma mowy. No, ruszaj!

Gadatliwy młodzieniec popędził na przełaj przez trawnik, natomiast Bourne podbiegł do drzwi, otworzył je i wszedł do środka, a następnie wbiegł na piętro, przeskakując po dwa stopnie -jeszcze kilka lat temu byłyby trzy, nie dwa. Bez tchu w piersi wpadł do biura Johnny'ego, zamknął za sobą drzwi i skierował się prosto do szafy, w której jego szwagier trzymał zwykle zapasowe ubrania. Obaj mężczyźni byli mniej więcej tego samego wzrostu - czyli zbyt duzi, jak twierdziła Marie - i często pożyczali sobie nawzajem koszule i marynarki, kiedy przyjeżdżali do siebie w odwiedziny. Jason wybrał najmniej rzucający się w oczy strój: szare spodnie, brązową koszulę i ciemnogrnatowy bawełniany sweter. Nic, co można by dostrzec z daleka w ciemności.

Zaczął się przebierać, kiedy nagle poczuł z lewej strony karku silne, bolesne ukłucie. Zaniepokojony i wściekły spojrział w lustro; spowijający mu szyję bandaż był cały przesiąknięty krwią. Gwałtownym ruchem otworzył opakowanie z najszerszym plastrem. Nie miał czasu na zmianę opatrunku, mógł go jedynie wzmocnić i liczyć na to, że krwawienie samo ustanie. Okręciwszy szyję kilka razy plastrem, odciął go i wzmocnił kilkoma klamerkami. Teraz ruchy miał jeszcze bardziej utrudnione niż do tej pory, a jednocześnie nie mógł sobie pozwolić na to, żeby o tym myśleć.

Zmienił ubranie, postawił kołnierzyk koszuli i wsadził za pasek pistolet, a do kieszeni zwój żyłki... Kroki! Kiedy drzwi otwierały się, stał za nimi przy ścianie, z bronią w ręku. Do pokoju wszedł stary Fontaine; przez chwilę mierzył Bourne'a spokojnym spojrzeniem, po czym zamknął drzwi.

- Szukałem pana, choć szczerze mówiąc nie miałem pojęcia, czy pan jeszcze żyje - powiedział.

- Używamy radia tylko w ostateczności - odparł Jason, odrywając się od ściany. - Wydawało mi się, że pan się domyśli.

- Domyśliłem się. Ma pan rację; Carlos również może mieć radio, a poza tym nie jest przecież sam... Wie pan, co mam na myśli. Właśnie dlatego usiłowałem pana znaleźć. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że może pan być ze swoim szwagrem tutaj, w kwaterze głównej.

- To niezbyt rozsądne z pańskiej strony chodzić po otwartym terenie...

- Nie jestem idiotą, *monsieur*. Gdybym nim był, już dawno bym nie żył. Zachowywałem wszelkie środki ostrożności. Szczerze mówiąc, właśnie dla tego postanowiłem pana poszukać, założywszy oczywiście, że pan żyje.

- Żyję, a pan mnie znalazł. O co chodzi? Powinien pan siedzieć z sędzią w jednej z

willi, a nie łązić po całym pensjonacie.

- Siedziałem, ale przyszedł mi do głowy pewien plan, *stratageme*. Wydaje mi się, że powinien pana zainteresować. Przedyskutowałem go z Brendanem...

- Z Brendanem?

- On ma tak na imię, *monsieur*. Uważa, że mój plan jest bardzo dobry, a to bardzo inteligentny człowiek, taki... *sagace*...

- Przebiegły? Nie wątpię, ale on nie jest z naszej branży.

- Udało mu się przeżyć. Jeśli spojrzeć na to z tej strony, to wszyscy jesteśmy z jednej branży. Jego zdaniem istnieje pewne ryzyko, ale tego chyba nie da się uniknąć, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Na czym polega ten plan?

- Na tym, żeby wciągnąć Szakala w pułapkę, nie narażając na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi.

- Pan rzeczywiście się tym przejmuje, prawda?

- Wyjaśniłem już panu dlaczego, więc nie będę się powtarzał. Na tej wyspie przebywają kobiety i mężczyźni, którzy...

- Proszę bardzo, niech pan mówi - przerwał mu z irytacją Bourne. – Jaki jest ten pański wspaniały plan? Tylko proszę pamiętać, że ja zamierzam dostać Szakala nawet wtedy, gdyby wszyscy mieli zostać zakładnikami. Nie jestem w nastroju do dobrodusznych pogaduszek. Już zbyt wiele z siebie dałem.

- A więc będziecie polować na siebie w ciemności? Dwaj podstarzali myśliwi, opanowani obsesyjną żądzą unicestwienia przeciwnika, obojętni na to, że ktoś oprócz nich może ucierpieć?

- Jeśli oczekuje pan współczucia, to niech pan idzie do kościoła i pomodli się do pańskiego Boga, który ma tę planetę głęboko gdzieś! Są tylko dwie możliwości: albo ma jakieś zboczone poczucie humoru, albo jest sadystą. A teraz proszę wreszcie zacząć mówić do rzeczy, bo jak nie, to zaraz stąd wychodzę.

- Przemyslałem sobie wszystko i...

- Dorzeczy!

- Znam *monseigneur*a i sposób jego myślenia. Śmierć moją i mojej żony zaplanował w taki sposób, żeby nie odwrócić niczyjej uwagi od pańskiej tragedii i jego zwycięstwa nad panem. Na to miał przyjść czas później. Ujawnienie faktu, że ja, rzekomy bohater Francji, byłem w rzeczywistości narzędziem w jego rękach, stanowiłoby ostateczne potwierdzenie jego triumfu. Rozumie pan?

Jason przyglądał się przez dłuższą chwilę staremu mężczyźnie.

- Tak, rozumiem - powiedział wreszcie. - Właśnie na tym opieram wszystkie moje działania. Carlosa zżera megalomania. Wyobraża sobie, że jest królem piekła, i chce, by cały świat uznał jego panowanie. Uważa się za niedocenionego geniusza, niesłusznie stawianego na równi z najemnymi rzeźmieszkami i zboczeńcami. Oczekuje werbli i fanfar, podczas gdy słyszy jedynie wycie policyjnych syren i rutynowe pytania zadawane przez zmęczonych policjantów.

- *C'est vrai*. Kiedyś skarżył mi się, że jest właściwie nie znany w Ameryce.

- Bo to prawda. Tam ludzie myślą, jeśli w ogóle o nim myślą, że to postać z książek albo filmów. Po raz pierwszy usiłował udowodnić, że tak nie jest, trzynaście lat temu, kiedy przyleciał z Paryża do Nowego Jorku, żeby mnie zabić.

- Poprawka, *monsieur*: to pan go zmusił, żeby tam za panem poleciał.

- Nieważne. To już i tak tylko historia. Co to wszystko ma wspólnego z pańskim planem?

- Mamy sposób, żeby zmusić Szakala, by spotkał się ze mną. Tutaj. Dzisiaj.

- Jak?

- Będę chodził po całym terenie tak, żeby on lub któryś z jego zwiadowców mógł mnie łatwo zobaczyć i usłyszeć.

- Dlaczego miałyby go to skłonić do spotkania z panem?

- Ponieważ nie będzie ze mną pielęgniarki, którą mi przydzielił, tylko ktoś inny, kogo nie zna, a kto nie miałby żadnego powodu, żeby mnie zabić.

Bourne znów przez chwilę przypatrywał się w milczeniu staremu Francuzowi.

- Przyjęta - powiedział wreszcie.

- Tak atrakcyjna, że Carlos nie spocznie, dopóki mnie nie zgarnie i nie dowie się wszystkiego... Widzi pan, ja jestem dla niego bardzo ważny, a właściwie nie tyle ja sam, co raczej moja śmierć. W tym punkcie plan nie został zrealizowany, choć precyzja działania jest jego... *diction*. Jak to się mówi?

- Drugą naturą.

- Dzięki niej udawało mu się zawsze uchodzić z życiem i każde udane zabójstwo przysparzało mu sławy mordercy doskonałego. Aż do chwili, kiedy na Dalekim Wschodzie pojawił się Jason Bourne. Od tamtej pory nigdy już nie zaznał spokoju, ale pan o tym wszystkim doskonale wie...

- I nic mnie to nie obchodzi - przerwał mu Jason. - Co dalej?

- Kiedy mnie już nie będzie, Szakal ujawni, kim był w rzeczywistości rzekomy Jean Pierre Fontaine, bohater Francji: jego tworem, jego narzędziem śmierci, które miało zwabić w pułapkę Jasona Bourne'a. Jakiż to będzie triumf! Ale dopiero wtedy, kiedy ja umrę. Mówiąc najprościej, jestem niewygodny, bo za dużo wiem i mam zbyt wielu przyjaciół w rynsztokach Paryża. Nie, muszę umrzeć, żeby on mógł się sycić w pełni zwycięstwem.

- Jeśli tak, to zabije pana, jak tylko nadarzy mu się okazja.

- Na pewno nie, jeśli nie będzie jeszcze znał odpowiedzi na wszystkie pytania, *monsieur*. Gdzie się podziała pielęgniarka? Co się z nią stało? Czyżby *le cameleon* zdemaskował ją i zmusił, żeby przeszła na jego stronę? A może wpadły na jej ślad władze i wysłały ją wraz z dwiema strzykawkami do londyńskiej siedziby MI 6, skąd następnie trafi do Interpolu? Tak wiele pytań... Nie, nie zabije mnie dopóty, dopóki nie dowie się wszystkiego, co musi wiedzieć. Być może będzie na to potrzebował zaledwie kilku minut, ale mam nadzieję, że przed ich upływem znajdzie się pan przy moim boku, by mnie obronić.

- A ta osoba zastępująca pielęgniarkę? Ona na pewno zginie, niezależnie od tego, kto to będzie.

- Wcale nie. Przy pierwszej próbie nawiązania kontaktu odprawię ją w gniewie, jakbym był z czegoś niezadowolony, a wcześniej będę narzekał głośno na brak tego opiekuńczego anioła, który tak bardzo troszczył się o moją żonę: Co się stało z pielęgniarką? Dokąd poszła? Dlaczego nie widziałem jej przez cały dzień? Oczywiście będę miał przy sobie włączony nadajnik. Kiedy zbliży się do mnie jeden z ludzi Carlosa, zacznę zadawać pytania, jakie zawsze w takich sytuacjach zadają starzy ludzie: Dokąd mnie prowadzi? Po co tam idziemy? Pan ruszy za mną, mam nadzieję, że odpowiednio przygotowany. Jeśli pan tak postąpi, dostanie pan Szakala w swoje ręce.

Trzymając prosto głowę na sztywnym karku, Bourne podszedł do biurka Johnny'ego i usiadł na krawędzi.

- Pański przyjaciel, sędzia Brendan coś tam, chyba ma rację...

- Prefontaine. Choć ja naprawdę wcale nie nazywam się Fontaine, doszliśmy do wniosku, że to jednak ta sama rodzina.

Kiedy w osiemnastym wieku jej członkowie wyjechali z Lafayette'em z Alzacji i Lotaryngii do Ameryki, dodali owo Pre dla odróżnienia od tych Fontaine'ów, którzy rozproszyli się w tym samym czasie po całej Francji.

- On to panu powiedział?

- Jest nadzwyczaj mądrym człowiekiem, przecież kiedyś był nawet sędzią.

- Lafayette pochodził z Alzacji i Lotaryngii?
- Nie wiem, *monsieur*. Nigdy tam nie byłem.
- Tak, on rzeczywiście jest mądrym człowiekiem... Wracając do rzeczy: chyba ma rację. Pański plan jest interesujący, choć wiąże się z nim pewne ryzyko. Będę z panem szczerzy, Fontaine: nie obchodzi mnie ani trochę, co się stanie z panem i z tą fałszywą pielęgniarką. Zależy mi tylko na Szakalu, a jeżeli cenę będzie stanowiło pańskie życie i życie jakiejś obcej kobiety, to nie zawaham się ani chwili. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

Stary Francuz skierował na Jasona rozbawione spojrzenie swoich załzawionych oczu i roześmiał się cicho.

- Jest pan pełen przeciwieństw - powiedział. - Jason Bourne nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. Zachowałby milczenie, zgadzając się bez żadnego komentarza na moją propozycję, choć w duchu powziąłby dokładnie takie samo postanowienie. Ale z mężem pani Webb sprawa wygląda zupełnie inaczej: on się nie zgadza i żąda, aby *go* wysłuchano. - Nagle głos Fontaine'a stał się ostry niczym brzytwa. - Niech pan się go pozbędzie, *monsieur* Bourne. Nie on ma mi zapewnić bezpieczeństwo i nie on zabije Szakala. Niech pan się go natychmiast pozbędzie!

- Już go nie ma, damę panu słowo. - Kameleon zerwał się na nogi i skrzywił, czując kolejne szarpnięcie bólu. - Pora ruszać.

Zespół muzyczny w dalszym ciągu produkował z zapalem ogłuszającą kakofonię dźwięków; teraz jednak jej zasięg był ograniczony do przeszklonej jadalni i sąsiadującego z nią głównego holu. St. Jacques wydał polecenie, by wyłączono głośniki rozmieszczone na zewnątrz, sam zaś przeszedł do głównego budynku pod eskortą dwóch uzbrojonych w karabiny uzi komandosów, w towarzystwie kanadyjskiego lekarza i gadającego niemal bez chwili przerwy Pritcharda. Tryskający entuzjazmem urzędnik otrzymał polecenie powrotu na swoje stanowisko w recepcji i nieinformowania nikogo o wydarzeniach, których był świadkiem w ciągu minionej godziny.

- Będę milczał jak grób, sir. Gdyby ktoś mnie pytał, powiem, że rozmawiałem przez telefon z Montserrat.

- O czym?

- No, myślałem...

- Więc lepiej nie myśl. Sprawdzalesz wille przy zachodniej ścieżce, to wszystko.

Bp Tak jest, proszę pana. - Pritchard, z którego nagle jakby uszło powietrze, skierował się do drzwi i wyszedł.

- Wątpię, czy to, co powie, będzie miało jakiegokolwiek znaczenie - zauważył bezimienny kanadyjski lekarz. - Teraz mamy tu prawdziwe małe zoo. Wydarzenia wczorajszego wieczoru w połączeniu z dzisiejszym słońcem i ogromnymi ilościami alkoholu sprawią, że rano wszyscy będą mieli kolosalne poczucie winy. Aha, moja żona nie przypuszcza, żeby twój meteorolog miał zbyt wiele do powiedzenia.

- Jak to?

- Nieźle sobie gołnął, a poza tym nawet gdyby był w stanie cokolwiek wybełkotać, to nie znalazłby choćby pięciu w miarę trzeźwych słuchaczy.

- Lepiej tam zejść. Równie dobrze możemy z tego zrobić jakąś zabawę. Dzięki temu oszczędzę Scotty'emu wydania dziesięciu tysięcy dolarów, a im więcej będzie zamieszania, tym lepiej. Porozmawiam z zespołem i obsługą baru i zaraz wracam.

- Możesz nas już nie zastać - zdążył mu jeszcze rzucić Bourne. Otworzyły się drzwi łazienki i do gabinetu weszła wysoka ciemnoskóra dziewczyna w stroju pielęgniarki. Fontaine natychmiast podszedł do niej i przyjrzał się jej uważnie.

- Znakomicie wyglądasz, moje dziecko - powiedział stary Francuz. - Pamiętaj, że

podczas przechadzki będę cię trzymał pod rękę, ale kiedy podniosę głos i każę ci odejść, natychmiast to zrobisz, dobrze?

- Tak, proszę pana. Mam sobie pójść, tak jakbym zezłościła się na pana.
- Otóż to. Nie masz się czego obawiać, to tylko taka zabawa. Chcemy porozmawiać z kimś, kto jest bardzo nieśmiały.
- Jak tam pański kark? - zapytał lekarz Jasona, nie mogąc dostrzec bandaża pod podniesionym kołnierzykiem koszuli.
- W porządku - odparł Bourne.
- Chciałbym go obejrzeć - powiedział Kanadyjczyk, robiąc krok w jego stronę.
- Dziękuję, doktorze, ale nie teraz. Proponuję, żeby zszedł pan na dół i dołączył do swojej żony.
- Spodziewałem się, że to usłyszę, ale czy pozwoli pan coś sobie szybko powiedzieć?
- Bardzo szybko.
- Jestem lekarzem. Wielokrotnie musiałem robić rzeczy, które mi się nie podobały, a ta właśnie do takich należy. Jednak kiedy myślę o tamtym chłopaku i o tym, co mu zrobili...
- Doktorze... - ponaglił go Jason.
- Tak, tak, rozumiem. W każdym razie, gdyby mnie pan potrzebował, jestem tutaj. Chciałem, żeby pan o tym wiedział. Wstydzę się tego, co wcześniej powiedziałem. Widziałem to, co widziałem, mam imię i nazwisko, i w razie potrzeby jestem gotów zeznawać przed sądem. Innymi słowy, cofam moje zastrzeżenia.
- Nie będzie żadnych sądów ani zeznań, doktorze.
- Naprawdę? Ale przecież tu popełniono poważne przestępstwa!
- Wiem o tym - odparł krótko Bourne. - Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc, ale nic więcej nie powinno pana interesować.
- Rozumiem... - mruknął lekarz, przypatrując się dziwnie Jasonowi. - W takim razie już sobie pójdę. - Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze i odwrócił. - Byłoby dobrze, gdyby później pozwolił mi pan rzucić okiem na kark. Jeśli będzie go pan jeszcze miał, rzecz jasna. Kiedy doktor wyszedł, Bourne natychmiast zwrócił się do Fontaine'a.
- Jesteście gotowi?
- Jak najbardziej - odparł Francuz, uśmiechając się do wysokiej, ciemnoskórej kobiety.
- Moja droga, co masz zamiar zrobić z pieniędzmi, które dzisiaj zarobisz?
- Dziewczyna zachichotała wstydliwie, pokazując śnieżnobiałe, idealnie równe zęby.
- Mam chłopaka, proszę pana. Kupię mu jakiś ładny prezent.
- To bardzo miłe. A jak on ma na imię?
- Izmael, sir.
- Chodźmy już - powiedział Jason Bourne.

Plan nie był trudny do wprowadzenia w życie i podobnie jak wszystkie dobre plany, choć dość złożony, nie nastroczał żadnych trudności w czasie realizacji. Trasa spaceru Fontaine'a po terenie pensjonatu została dokładnie przygotowana. Najpierw, oczywiście w towarzystwie młodej kobiety, miał wrócić do willi, najprawdopodobniej po to, by przed zalecaną przez lekarzy wieczorną przechadzką zajrzeć na chwilę do żony. Potem stary człowiek i pielęgniarka mieli wędrować w tę i z powrotem po dobrze oświetlonej ścieżce, od czasu do czasu zbaczając na trawnik, zależnie od grymasu zaawansowanego wiekiem mężczyzny. Był to widok doskonale znany na całym świecie: słabowity, drażliwy starzec urągający swemu opiekunowi.

Dwaj byli komandos, jeden dość niski, drugi raczej wysoki, ukryli się w pobliżu miejsca, w którym nieznośny Francuz miał rozstać się ze swoją pielęgniarką. Kiedy starzec i dziewczyna minęli to miejsce, jeden z komandosów podążył w ciemności za nimi, poruszając

się po ścieżkach znanych tylko im dwóm; biegły tuż za murem, powyżej splątanej gęstwiny, która porastała schodzącą stromo do plaży skarpe. Po chwili drugi poszedł za nim. Poruszali się niczym dwa ogromne czarne pająki, przeskakując bez wysiłku ze skały na skałę, czepiając się lian, pnączy i gałęzi, nie pozwalając się zbyt oddalić swoim podopiecznym. Bourne trzymał się nieco z tyłu, z głośniczka jego miniaturowego radia cały czas dobiegał gniewny głos Fontaine'a:

- Gdzie jest tamta pielęgniarka? Gdzie jest ta urocza dziewczyna, która tak wspaniale opiekuje się moją żoną? Dlaczego jej nie ma? Nie widziałem jej przez cały dzień!

Powtarzał pretensje i oskarżenia coraz głośniejsze, z narastającą irytacją.

Jason poślizgnął się. Utknął! Jego stopa utkwiała między dwoma grubymi, splątanymi lianami. Nie mógł jej uwolnić, nie miał siły! Poruszył raptownie głową i w tej samej chwili poczuł, jak w szyję wbijają mu się grube igły bólu. To nic. Szarp, ciągnij, kop...! Z pękającymi płucami i koszulą przesiąkniętą krwią zdołał się wreszcie wyrwać i ruszył po omacku przed siebie.

Nagle ciemność rozjaśniły kolorowe światła; Fontaine i pielęgniarka dotarli do kaplicy, gdzie według planu powinni przez chwilę zaczekać, aby stary Francuz mógł zebrać siły, a potem ruszyć z powrotem w kierunku willi. Przy wejściu do zrujnowanej świątyni St. Jacques postawił strażnika, więc było raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś właśnie tutaj próbował nawiązać kontakt. Mimo to Jason usłyszał przez radio słowa, po których fałszywa pielęgniarka powinna natychmiast opuścić swego podopiecznego.

- Odejdź ode mnie! - wrzasnął Fontaine. - Nie podobasz mi się! Gdzie jest nasza pielęgniarka? Co z nią zrobiliście?

Dwaj komandosi przywarli do ziemi u podnóża muru oddzielającego ścieżkę od tropikalnej gęstwiny, po czym odwrócili się i spojrzeli na Jasona. Zrozumiał doskonale wyraz ich twarzy, oświetlonych niesamowitym, różnobarwnym blaskiem; teraz wszystko było w jego rękach. Oni wykonali swoje zadanie, eskortując go i doprowadzając do nieprzyjaciela. Reszta należała do niego.

Niespodziewany rozwój wydarzeń rzadko kiedy nappełniał Bourne'a niepokojem, ale tym razem tak właśnie się stało. Czy Fontaine popełnił błąd? Czyżby starzec zapomniał o strażniku i przez pomyłkę wziął go za jednego z ludzi Carlosa? Może pracujący dla Johnny'ego człowiek zareagował zaskoczeniem na pojawienie się niespodziewanych gości, co było całkiem zrozumiałe, a stary Francuz błędnie zinterpretował jego zachowanie? Należało brać pod uwagę taką ewentualność, ale zważywszy na kwalifikacje Fontaine'a i jego bezwątpienia wzmożoną czujność, pomyłka raczej nie wchodziła w grę.

Zaraz potem w umyśle Bourne'a pojawiła się inna myśl, budząca rozpacz i odrazę. A może strażnik został zamordowany lub przekupiony, a na jego miejsce podstawiono innego? Carlos był mistrzem, jeśli chodzi o przekupywanie ludzi. Podobno podczas przygotowań do zabójstwa Anwara Sadata nie oddał nawet jednego strzału, tylko dopilnował, żeby podczas parady prezydentowi Egiptu nie towarzyszyli doświadczeni funkcjonariusze ochrony osobistej, lecz świeżo zwerbowani rekruci. Wydane na to pieniądze zwróciły mu się stokrotnie za sprawą antyizraelskich ugrupowań działających na Bliskim Wschodzie. Jeśli tak było naprawdę, to zadanie, jakie Szakał miał zrealizować na Wyspie Spokoju, musiało być dla niego dziecinną igraszką.

Jason wspiął się na palce, chwycił za krawędź muru i powoli, z ogromnym wysiłkiem wciągnął się na szczyt, przenosząc uchwyt na drugą stronę. Ból w karku odezwał się ze wzmożoną siłą. Kiedy jego głowa wychyliła się ponad krawędź, Bourne znieruchomiał, oszołomiony widokiem.

Fontaine stał jak wryty z otwartymi szeroko ze zdumienia ustami, wpatrując się wybałuszonymi oczami w starego mężczyznę ubranego w lekki, brązowy garnitur, który podszedł do niego i uściskał go serdecznie. Bohater Francji ożył i odepchnął go rozpaczliwie.

- Claude! - z ukrytego w kieszeni Jasona radia dobiegł niedowierzający głos Fontaine'a.
- *Quelle secousse! Vous etes ici!*

- *Monseigneur* wyświadczył mi tę wielką łaskę - odparł również po francusku mężczyzna. - Mogę zobaczyć po raz ostatni moją siostrę i pocieszyć mego przyjaciela, jej męża. Jestem tutaj, z wami!

- Z nami? On przywiózł cię tutaj? Tak, oczywiście...

- Mam cię do niego zaprowadzić. Chce z tobą rozmawiać.

- Czy ty wiesz, co robisz...? Co zrobiłeś?

- Jestem z tobą i z nią. Tylko to się liczy.

- Ona nie żyje! Ta kobieta zabiła ją wczoraj w nocy. Oboje mieliśmy zginąć!

Wyłącz radio!!! - ryknął bezgłośnie Jason. Wyłącz radio! Ale było już za późno. Drzwi kaplicy otworzyły się i na zalaną blaskiem różnobarwnych świateł ścieżkę wyszedł młody, jasnowłosy mężczyzna o szerokich barach i aroganckich rysach twarzy. Czyżby Szakał szykował już swego następcę?

- Proszę pójść ze mną- odezwał się po francusku grzecznym, ale nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Ty zostań tutaj - zwrócił się do starca w brązowym garniturze. - Strzelaj, jak tylko usłyszysz coś podejrzanego. Wyjmij pistolet.

- *Oui, monsieur.*

Jason przyglądał się bezradnie, jak Fontaine znika we wnętrzu kaplicy. W chwilę potem ukryte w kieszeni radio zatrzeszczało głośno, po czym umilkło; zniszczono nadajnik Francuza. Jednak coś było tu nie tak, coś nie pasowało, a może przeciwnie, układało się zbyt symetrycznie... Dlaczego Carlos miałby powtórnie korzystać z tej samej pułapki? Sprowadzenie na wyspę brata żony Fontaine'a było nieoczekiwanym i znakomitym posunięciem, godnym Szakała, potęgującym i tak już ogromne zamieszanie i niepewność, ale żeby jeszcze raz wracać do kaplicy... Było to zbyt uporządkowane i oczywiste, a tym samym niewłaściwe.

A jeśli właśnie dlatego słuszne...? Czyżby na tym miała polegać swoista logika zabójcy, któremu od niemal trzydziestu lat udawało się wodzić za nos służby wywiadowcze niemal wszystkich krajów? „To szaleństwo, on tego nie robi!” „Zrobi, właśnie dlatego, że to szaleństwo...” Czy Szakał jest w kaplicy? Jeżeli nie tam, to gdzie? Gdzie tym razem zastawił pułapkę?

Śmiertelna partia szachów okazała się nie tylko nadzwyczaj skomplikowana, ale i obfitująca w niezwykle subtelności. Inni mogą zginąć, lecz z nich dwóch przeżyje tylko jeden. Śmierć dla siewcy śmierci lub dla tego, który odważył się stawić mu czoło. Jeden pragnie utrzymać i potwierdzić swoją legendę, drugi ocalić swoją rodzinę. Pod tym względem Carlos miał przewagę, w ostateczności byłby bowiem gotów, tak jak powiedział Fontaine, rzucić wszystko na szalę, gdyż stał już nad otwartym grobem i na niczym mu nie zależało. Bourne przeciwnie - chciał żyć, bo kiedyś stracił już żonę i dzieci, których prawie nie pamiętał. Nie mógł dopuścić, żeby coś takiego zdarzyło się po raz drugi!

Jason zsunął się z muru na schodzący ostro ku plaży teren i podpełzł do dwóch byłych komandosów.

- Zabrali go do środka - szepnął.

- A gdzie strażnik? - zapytał gniewnie jeden z mężczyzn. - Sam go tam postawiłem i wydałem wyraźne rozkazy. Nikt nie miał prawa wchodzić do wnętrza! Miał meldować przez radio natychmiast, jak tylko by kogoś zobaczył.

- Obawiam się, że go nie widział.

- Kogo?

- Blondyna mówiącego po francusku.

Czarnoskórzy komandosi spojrzeli szybko na siebie, po czym natychmiast utkwili wzrok w Bournie.

- Proszą go opisać - powiedział spokojnie drugi.
- Średniego wzrostu, barczysty...
- Wystarczy - przerwał mu były żołnierz. - Nasz człowiek widział go, proszę pana. To oficer policji. Zna kilka języków i jest szefem wydziału do walki z narkotykami.
- Ale skąd się tutaj wziął, *mon*? - zapytał jego kolega. - Pan Saint Jay powiedział, że policja o niczym nie wie.
- Sir Henry, *mon*. Wziął sześć czy siedem łodzi i kazał im pływać dookoła wyspy, żeby nikt nie mógł uciec. To policyjne łodzie, *mon*. Sir Henry powiedział, że to ćwiczenia, więc nic dziwnego, że szef wydziału narkotyków... - Komandos umilkł w pół zdania i wybałuszył oczy na swego towarzysza. - Skoro tak, to dlaczego nie jest na wodzie, w jednej z łodzi?
- Lubicie go? - zapytał wiedziony instynktem Bourne. Jego samego zaskoczyło to pytanie. - Chodzi mi o to, czy go poważacie? Mogę się mylić, ale mam przeczucie, że...
- Nie myli się pan, sir - przerwał mu pierwszy komandos. - To okrutny człowiek i nie lubi Pendźabczyków, jak nas nazywa. Bardzo łatwo oskarża ludzi i wielu z jego powodu straciło pracę.
- Dlaczego nie pozbędziecie się go, nie złożycie na niego skargi? Brytyjczycy na pewno by was wysłuchali.
- Ale nie gubernator, proszę pana. On bardzo go lubi. Są dobrymi przyjaciółmi i często wypływają razem na ryby.
- Rozumiem. - Jason rzeczywiście zaczynał powoli wszystko rozumieć i dlatego ogarniał go coraz większy strach. - Saint Jay wspomniał mi kiedyś, że za kaplicą jest jakaś ścieżka. Podobno może być zarośnięta, ale na pewno tam jest.
- Zgadza się - potwierdził pierwszy komandos. - Ludzie z obsługi schodzą tamtędy nad wodę.
- Ile ma długości?
- Jakies trzydzieści pięć, może czterdzieści metrów. Prowadzi do urwiska, w którym są wykute schody.
- Który z was jest szybszy? - zapytał Bourne, wyjmując z kieszeni zwój żyłki.
- Ja!
- Ja!
- Wolę ciebie. - Jason wskazał ruchem głowy na niższego i wręczył mu żyłkę. - Zejdz do tej ścieżki i przeciągnij w poprzek żyłkę. Przywiąż ją do pni albo grubych gałęzi. Nikt nie może cię zobaczyć, więc musisz bardzo uważać.
- Może pan się nie obawiać, *mon*!
- Masz nóż?
- A czy mam oczy?
- Dobra. Daj mi swój pistolet. Pośpiesz się!
- Niski komandos zniknął w wypełnionej gęstwiną ciemności.
- Ja jestem dużo szybszy, proszę pana, bo mam dłuższe nogi - zauważył drugi.
- Właśnie dlatego posłałem jego, nie ciebie, i ty chyba o tym dobrze wiesz. Tutaj długie nogi nie pomagają, tylko przeszkadzają - o tym z kolei ja wiem. Poza tym, on jest niższy, więc trudniej go zauważyć.
- Mniejsi zawsze dostają lepsze przydziały. Na defiladzie idą z przodu, przed nami, każą nam walczyć na ringu według przepisów, których nie rozumiemy, ale na froncie to im trafiają się żarowy.
- Żarowy...? Łatwiejsze zadania?
- Eee...
- Trudniejsze? - Tak, *mon*!
- Więc masz się z czego cieszyć, dryblasie.
- Co teraz zrobimy, sir?

Bourne zerknął w górę, na mur i wydobywającą się zza niego kolorową poświatę.

- Po prostu zaczekamy. Nie śpiewa się wtedy pieśni, tylko się nienawidzi tych, którzy muszą zginąć, żebyś ty żył. Poza tym nie robi się dokładnie nic. Można tylko myśleć o tym, co robi lub czego nie robi przeciwnik i czy przypadkiem nie wpadł na pomysł, którego ty nie wzięłeś pod uwagę. Jak to ktoś kiedyś powiedział: wolałbym teraz być w Filadelfii.

- Gdzie, *mon*?

- Nieważne, bo to i tak nieprawda.

Nagle wieczorną ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk, a zaraz potem rozpaczliwe słowa:

- *Non, non! Vous etes monstrueux...! Arrêtez, arrêtez...!*

- Teraz! - ryknął Jason i przełożywszy sobie przez ramię pas podtrzymujący pistolet maszynowy, skoczył na mur, podciągając się na jego szczyt raptownym ruchem ramion, czując, jak krew rozlewa mu się gorącym strumieniem po karku. Utknął! Nie miał siły przejść na drugą stronę! W następnej chwili pociągnęły go czyjeś mocne ręce i spadł ciężko na ziemię.

- Światła! - krzyknął. - Strzelaj do światła!

Uzi zaterkotał donośnie i szkła zainstalowanych wzdłuż ścieżki reflektorów rozprysły się w drobny mak. Znowu silne, czarne ręce pomogły Jasonowi wstać na nogi i pchnęły go w nieprzenikloną ciemność. W następnym ułamku sekundy rozciął ją poruszający się szybko we wszystkie strony żółty stożek światła mocnej latarki, trzymanej przez komandosa w lewej ręce. Na ścieżce leżała skurczona postać ubranego w brązowy garnitur starca z rozciętym szeroko gardłem.

- Stójcie! - dobiegł z wnętrza kaplicy głos Fontaine'a. - Na litość boską, zostańcie tam, gdzie jesteście!

Przez uchylone drzwi widać było migoczące elektryczne świece. Zbliźali się ostrożnie do wejścia z pistoletami gotowymi do otwarcia ognia... Ale okazali się zupełnie nie przygotowani na widok, jaki ujrzeli. Bourne zamknął na chwilę oczy, nie mogąc go znieść. Stary Fontaine, tak jak niedawno młody Izmael, wisiał na balustradzie pod pustym otworem okiennym po wypchniętym siłą podmuchu witrażu. Z głębokich ran na jego twarzy sączyła się powoli krew, ciało zaś było omotane cienkimi kablami prowadzącymi do stojących po obu stronach kaplicy czarnych skrzyń.

- Odejdźcie! - krzyknął Fontaine. - Uciekajcie, głupcy! Materiały wybuchowe...

- O, Boże!

- Niech pan po mnie nie rozpacza, *monsieur le cameleon*. Z radością dołączę do mojej żony. Ten świat jest zbyt okropny nawet dla mnie. Już mnie nie bawi. Uciekajcie! Wszystko zaraz wybuchnie, obserwują nas!

- Szybko! - ryknął komandos i rzucił się w bok, chwytając Bourne'a za marynarkę. Obaj potoczyli się między rosnące przy ścieżce krzewy.

Eksplozja, która nastąpiła w ułamek sekundy potem, była potężna, przeraźliwie głośna i towarzyszył jej oślepiający płomień. Można było odnieść wrażenie, iż w niewielką wyspę uderzył pocisk z głowicą termojądrową. Ogień buchnął wysoko w nocne niebo, lecz zaraz przygasł, pozostawiając po sobie rozżarzone pogorzelisko.

- Ścieżka! - wycharczał Jason, unosząc się z trudem na nogi. - Musimy dotrzeć do ścieżki!

- Jest pan w marnej formie, *mon*...

- Ty zajmij się sobą, a ja sobą!

- Zdaje się, że przed chwilą zająłem się nami obydwoma.

- Więc dostaniesz pieprzony medal, a ja dorzucę ci kupę forsy, ale teraz prowadź do ścieżki!

Przedzierając się przez tropikalną gęstwinę, dwaj mężczyźni dotarli wreszcie do zarośniętej dróżki zaczynającej się nie dalej niż dziesięć metrów za dymiącymi ruinami

kaplicy. Ukryli się na jej skraju, a po nie więcej niż kilku sekundach znalazł ich tu niższy komandos.

- Są przy południowym skraju palmowego zagajnika - szepnął. - Czekają, aż dym się rozrzedzi, żeby sprawdzić, czy ktoś ocalał, ale nie mogą czekać zbyt długo.

- Byłeś tutaj? - zapytał ze zdumieniem Jason. - Z nimi?

- Już panu mówiłem, *mon*. Dla mnie to żaden problem.

- Co tu się właściwie działo? Ilu ich jest?

- Było czterech, sir Jednego zabiłem i zająłem jego miejsce. Był czarny, Więc w ciemności nikt nie zauważył różnicy. Poderżnąłem mu po cichu gardło.

- Kto został?

- Ten policjant z Montserrat i jeszcze dwóch...

- Opisz ich!

- Nie widziałem zbyt dokładnie, ale wydaje mi się, że jeden też jest czarny, wysoki i prawie zupełnie łysy. Drugi cały czas miał na sobie jakieś dziwne ubranie z zasłoną na głowę, coś w rodzaju woalki albo damskiego kapelusza...

- Kobieta?

- Możliwe, sir.

- Kobieta...? Muszą się stąd jakoś wydostać... On musi się stąd wydostać!

- Na pewno lada chwila wbiegną na ścieżkę i popędzą na plażę, a tam schowają się na skraju lasu i zaczekają na łódź, która po nich przyplynie. Nie mają wyboru. Nie mogą wrócić do pensjonatu, bo natychmiast zostaną zauważeni, a poza tym na pewno usłyszano tam eksplozję.

- Posłuchaj! - szepnął chrapliwym głosem Bourne. - Wśród tych ludzi jest jeden, którego muszę dostać w swoje ręce, więc nie strzelaj, bo na pewno uda mi się go rozpoznać, kiedy go zobaczę. Tamci dwaj nic mnie nie obchodzą. Można ich wyłapać później.

Niespodziewanie w tropikalnym lesie rozległ się gwałtowny terkot broni maszynowej, któremu towarzyszyły krzyki dobiegające z jeszcze niedawno rzeźbionej oświetlonej ścieżki prowadzącej do kaplicy, a zaraz potem na zarośniętą dróżkę wypadły jedna po drugiej trzy postaci. Pierwszy potknął się o przeciągniętą między drzewami żyłkę szef wydziału narkotyków z Montserrat. Biegący jako drugi wysoki, ciemnoskóry mężczyzna o niemal zupełnie pozbawionej włosów głowie wylądował na nim, ale natychmiast zerwał się na nogi i posłał wzdłuż ścieżki gęstą serię z pistoletu maszynowego, przecinając rozpięte w poprzek kawałki żyłki. Dopiero wtedy pojawiła się trzecia postać, jednak nie była to kobieta, tylko mężczyzna w sutannie. Książ. To on! Szakał!

Bourne zerwał się na nogi i ściskając w dłoniach pistolet maszynowy, wyskoczył na ścieżkę. Zwyciężył! Wreszcie odzyska spokój i rodzinę! W chwili gdy odziana w sutannę sylwetka dotarła do szczytu wykutych w skalistym urwisku schodów, Jason nacisnął spust.

Książ zgiął się wpół, zachwiał, po czym runął w dół, tocząc się po stopniach wyciosanych w wulkanicznej skale, by wreszcie znieruchomieć na piasku. Bourne popędził po schodach, a za nim dwaj komandosi. Znalazłszy się na plaży, podbiegł do ciała i odsunął zakrwawiony kaptur, by z niedowierzaniem i przerażeniem utkwic wzrok w twarzy Samuela, kapłana z Wyspy Spokoju, Judasza, który sprzedał Szakałowi duszę za trzydzieści srebrników.

Nagle gdzieś z boku rozległ się ryk potężnych silników i zza skał wyłoniła się wielka łódź, pędząca w kierunku przerwy w łańcuchu raf. Z jej dziobu wystrzelił silny strumień światła, wydobywając z ciemności szczyty rozkołysanych fal i trzepoczącą banderę ze znakiem brygady antynarkotykowej. Carlos! Terrorysta nie był kameleonem, ale także się zmienił. Postarzał się, schudł i wyłysiał, nie przypominał już niemal w niczym silnie zbudowanego mężczyzny, jakim zapamiętał go Jason. Tylko rysy sńiadej, latynoskiej twarzy, teraz jeszcze dodatkowo przyciemnionej działaniem słońca, pozostały te same. Uciekł!

W chwili gdy dotarł do wąskiego gardła między rafami, silniki zawyły na zwiększonych obrotach i śruby, wściekle młócąc wodę, wypchnęły łódź na otwarte morze. Zaraz potem rozległy się słowa wypowiedziane po angielsku z silnym obcym akcentem, wzmocnione przez nadający im metaliczne brzmienie głośnik:

- Paryż, Bourne! Paryż, jeśli masz dosyć odwagi! A może woli pan pewien uniwersytet w Maine, doktorze Webb?

Bourne runął w liżące piaszczysty brzeg fale, a krew z otwartej rany na jego karku zmieszała się ze słoną wodą.

Rozdział 18

Steven DeSole, strażnik największych tajemnic Centralnej Agencji Wywiadowczej, wysiadł z trudem zza kierownicy. Znajdował się na opustoszałym parkingu przy niewielkim supermarkecie w Annapolis, w stanie Maryland; jedyne oświetlenie placu stanowił neon nieczynnej stacji benzynowej, w której oknie spał w najlepsze duży owczarek niemiecki. DeSole poprawił na nosie okulary w stalowych oprawkach i mrużąc oczy, spojrzął na zegarek, usiłując dostrzec fosforyzujące wskazówki. O ile mógł stwierdzić, było między piętnaście a dwadzieścia po trzeciej nad ranem, co oznaczało, że miał jeszcze trochę czasu. Bardzo dobrze. Musiał zebrać myśli, a nie mógł tego zrobić w czasie jazdy, gdyż z powodu zaawansowanej kurzej ślepoty musiał być maksymalnie skoncentrowany, a wynajęcie kierowcy lub taksówki nie wchodziło w grę.

Informacja, jaką otrzymał, składała się niemal wyłącznie z nazwiska. „Nazywa się Webb”, powiedział człowiek, który do niego zadzwonił. „Dziękuję” - odparł DeSole, po czym wysłuchał ogólnego opisu, pasującego do co najmniej kilku milionów ludzi, podziękował jeszcze raz informatorowi i odłożył słuchawkę. Jednak zaraz potem w jego analitycznym mózgu, wyszkolonym w taki sposób, by magazynować i klasyfikować wszelkie mniej lub bardziej istotne dane, zabręczał dzwonek alarmowy. Webb... Webb... Amnezja? Klinika w Wirginii, wiele lat temu. Bardziej martwy niż żywy człowiek, przywieziony samolotem z nowojorskiego szpitala, o historii choroby oznaczonej takim stopniem tajności, że nie wolno jej było pokazać nawet w Białym Domu. Jednak pracownicy wywiadu często rozmawiają ze sobą po kątach, częściowo po to, by na chwilę zrzucić z barków choć część ciężaru ciągłych stresów, a czasem dlatego, żeby po prostu zaimponować koledze. W ten sposób DeSole dowiedział się o krnąbrnym, nieznośnym pacjencie dotkniętym amnezją, uczestniku niesławnej pamięci „Meduzy”, podejrzanym o to, że symuluje utratę pamięci. Czasem mówili o nim „Davey”, a czasem po prostu „Webb”. Utrata pamięci...? Aleks Conklin powiedział im, że człowiek, który zmienił tożsamość, by wytropić i zgładzić Carlosa, ten *agent provocateur* znany jako Jason Bourne, stracił pamięć, a niewiele brakowało, żeby i życie, gdyż jego zwierzchnicy nie chcieli uwierzyć, że dotknęła go amnezja! Więc to był ten „Davey”... Czyli David. David Webb i Jason Bourne to jedna osoba! Czy mogło być inaczej?

David Webb! To on był w posiadłości Swayne'a tej nocy, której Agencja dowiedziała się o samobójstwie generała; o zdarzeniu tym z nieznanymi przyczynami nie poinformowała następnego dnia żadna gazeta. David Webb... Stara „Meduza”. Jason Bourne. Aleksander Conklin. Ale dlaczego...?

Po przeciwnej stronie parkingu pojawiły się światła nadjeżdżającej limuzyny. Blask reflektorów oślepił na chwilę wysokiego funkcjonariusza CIA, zmuszając go do zamknięcia oczu. Musiał wszystko dokładnie wyjaśnić tym ludziom, w ich posiadaniu znajdowały się bowiem przepustki do życia, o jakim zawsze marzyli zarówno on, jak i jego żona - pieniądze. Nie urzędnicze pieniądze, tylko prawdziwe pieniądze. Oznaczały one dla jego wnuków studia na najlepszych uniwersytetach, bez potrzeby ponizającego zebrania o nędzne stypendia przysługujące im ze względu na zajmowane przez niego stanowisko, na którym sprawdzał się o tyle lepiej niż inni. Mówili o nim „DeSole, niemy mol”, ale nie płacili wystarczająco dużo za jego wiedzę, tę samą wiedzę, która nie pozwalała mu podjąć pracy w sektorze prywatnym. Przepis ten był obwarowany tyloma paragrafami, że wszelkie odwoływanie się nie miało najmniejszego sensu. Kiedyś Waszyngton dowie się o wszystkim - na pewno nie stanie się to za jego życia, więc niech się martwią wnuki. Nowa „Meduza” zwabiła go swoją szczodrością, a on, mimo swego zgorzknienia, przybiegł w podskokach.

Usprawiedliwiał się sam przed sobą, że z jego strony była to decyzja wcale nie bardziej godna potępienia od poczynań wielu ludzi pracujących dla Pentagonu, którzy co roku opuszczali posady, by zaraz za drzwiami wpaść w objęcia starych przyjaciół i dotychczasowych kontrahentów. Pewien pułkownik powiedział mu to wprost: „Pracujesz teraz, a pieniądze dostajesz później”. Bóg świadkiem, że Steven DeSole harował jak wół dla swego kraju, a ten nie dawał mu prawie nic w zamian. Mimo to nienawidził nazwy „Meduza” i rzadko jej używał, gdyż była groźnym i zwodniczym symbolem zupełnie innych czasów. Z przestępczych fortun wzięły swój początek wielkie koncerny naftowe i transportowe, ale wczorajsi zbrodniarze dzisiaj byli już zupełnie innymi ludźmi. Co prawda „Meduza” narodziła się w zdewastowanym przez wojnę Sajgonie, lecz dzisiaj przestała już istnieć, a jej miejsce zajęły dziesiątki nowych firm i nazwisk.

- Nie jesteśmy bez skazy, panie DeSole, podobnie jak nie jest bez skazy żadna międzynarodowa, ale kontrolowana przez Amerykanów korporacja - powiedział człowiek, który go zwerbował. - To prawda, że osiągamy ekonomiczne zyski, wykorzystując niedostępne ogólnie informacje czy też tajemnice, jak chcą niektórzy. Musimy jednak tak postępować, bo dokładnie to samo robią nasi konkurenci w Europie i na Dalekim Wschodzie. Różnica polega jedynie na tym, że oni, w przeciwieństwie do nas, mają za sobą poparcie rządu... Handel, panie DeSole, handel i zyski są najszlachetniejszymi celami, jakie człowiek może sobie znaleźć na Ziemi. Chrysler nie przepada za Toyota, ale przebiegły pan Iapocca nie nawołuje do nalotu bombowego na Tokio. W każdym razie, jak do tej pory... Zamiast tego szuka sposobów na połączenie sił z Japończykami.

Właściwie, rozmyślał DeSole, obserwując, jak limuzyna zatrzymuje się w odległości trzech metrów od niego, to, co robił dla „korporacji”, jak zwykł ją nazywać w odróżnieniu od firmy, w której oficjalnie pracował, można by wręcz uznać za działalność dobroczyzną. Z którejkolwiek strony by patrzeć, zyski są znacznie bardziej pożądane od bomb... A przy okazji jego wnuki będą mogli uczęszczać do najlepszych szkół w kraju.

Z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni i podeszli do niego.

- Jak wyglądał ten Webb? - zapytał po pewnym czasie Albert Armbruster, przewodniczący Federalnej Komisji Handlu, kiedy już przechadzali się we trójkę skrajem parkingu.

- Dysponuję jedynie relacją ogrodnika, który ukrył się za parkanem w odległości dziesięciu metrów od niego.

- Co panu powiedział? - Niski mężczyzna o gęstych, czarnych brwiach i równie czarnych włosach wbił w DeSole'a przenikliwe spojrzenie swoich oczu. - Tylko dokładnie - dodał.

- Zaraz, chwileczkę! - zaprotestował funkcjonariusz CIA. - Ja zawsze jestem dokładny, ale jeśli mam być szczery, pański ton zupełnie mi się nie podoba!

- Jest zdenerwowany. - Armbruster machnął ręką, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie należy zwracać na jego towarzysza większej uwagi. - To makaroniarz z Nowego Jorku, który nigdy nikomu nie ufa.

- A komu można ufać w Nowym Jorku? - roześmiał się niski, czarno włosy mężczyzna, trącając łokciem opasły brzuch Armbrustera. - Wy jesteście najgorsi, bo trzymacie w garści banki, *amico!*

- I lepiej, żeby tak zostało... Czekamy na ten opis - przypomniał DeSole'owi.

- Jest niekompletny, ale dzięki niemu odkryłem bezpośredni, choć nie najświeższy związek z „Meduzą”, który postaram się dokładnie opisać.

- Wał, kolego - zachęcił go człowiek z Nowego Jorku.

- Jeśli chodzi o tego człowieka, to jest wysoki, około pięćdziesiątki...

- Siwieje na skroniach? - przerwał mu Armbruster.

- Zdaje się, że tak. Szpakowaty, siwy czy coś w tym rodzaju. Bez wątplenia właśnie

dlatego ogrodnik ocenił jego wiek na tyle lat.

- To Simon - stwierdził Armbruster, spoglądając na nowojorczyka.
- Kto? - DeSole zatrzymał się i popatrzył uważnie na obu mężczyzn.
- Tak się przedstawił, a w dodatku wiedział wszystko o panu, o Brukseli i w ogóle o całej sprawie - wyjaśnił przewodniczący.
- O czym pan mówi?
- Między innymi o pańskim przeklętym bezpośrednim połączeniu faksowym z tym palantem w Brukseli!
- Przecież to ściśle tajne! Nikt o tym nie wie!
- A jednak ktoś się dowiedział, panie Dokładny - powiedział nowojorczyk bez śladu uśmiechu na twarzy.
- Mój Boże, to straszne! Co mam robić?
- Ustalić jakąś historyjkę z Teagartenem, ale radziłbym rozmawiać z automatu - warknął mafioso. - Może któremuś z was uda się coś wymyślić.
- Pan wie o Brukseli... ?
- Ja wiem prawie o wszystkim.
- Ten sukinsyn wmówił mi, że jest jednym z nas, a potem złapał mnie za jaja! - mruknął gniewnie Armbruster, ruszając w dalszą wędrówkę wzdłuż granicy parkingu. Dwaj pozostali mężczyźni dołączyli do niego, DeSole z pewnym ociąganiem i jakby trochę niepewnie. - Wydawało się, że wie o wszystkim, ale kiedy teraz o tym myślę, widzę, że to były tylko drobne fragmenciki, jak ten o tobie, Burtonie i Brukseli... A ja, jak kompletny idiota, dopowiedziałem mu resztę. Cholera!
- Zaraz, chwileczkę! - wykrzyknął człowiek z CIA, ponownie zmuszając swoich rozmówców do przystąpienia. - Nic nie rozumiem... Jestem zawodowym strategiem, a mimo to nic nie rozumiem. W takim razie co David Webb - albo Jason Bourne, jeśli to naprawdę jest Jason Bourne - robił wczoraj wieczorem w posiadłości Swayne'a?
- A kim jest ten Bourne, do diabła? - ryknął wściekle przewodniczący Federalnej Komisji Handlu.
- Śladem prowadzącym do „Meduzy”, o którym przed chwilą wspomniałem. Trzydzieści lat temu Agencja nadała mu nazwisko Bourne, bo prawdziwy Bourne wtedy już dawno nie żył, i zleciła supertajną misję... Chodziło o wyeliminowanie nadzwyczaj ważnego celu...
- Miał kogoś sprzątnąć, jeśli dobrze rozumiem?
- Tak, właśnie o to chodziło. Niestety, nie wypełnił zadania, bo doznał utraty pamięci i całą operację diabli wzięli. Operację, ale nie jego.
- Boże, co za galimatias!
- Co wiesz o tym Webbie, Bournie, Simonie czy Kobrze... Jezu, ten człowiek to chodzący teatr!
- I to od dawna. Wcześniej wielokrotnie przyjmował różne nazwiska, zmieniał wygląd i tożsamość. Nauczono go tego, kiedy przygotowywał się do akcji przeciwko Szakalowi. Miał zwabić go w pułapkę i zabić.
- Szakal? - zdumiał się *capo supremo* z Cosa Nostra. - Tak jak w filmie?
- Nie, nie tak jak w filmie, ty idioto...
- Spokojnie, *amico!*
- Stul pysk. Iljicz Ramirez Sanchez, znany także jako Carlos lub Szakal, to żywy człowiek, zawodowy zabójca, poszukiwany na całym świecie już od prawie ćwierć wieku. Ma na koncie mnóstwo zamachów, a wielu podejrzewa, że to właśnie on był na trawiastym pagórku w Dallas i zastrzelił Kennedy'ego.
- Pieprzenie...
- Zapewniam pana, że nie. Według ściśle tajnych informacji, jakie przekazano do

Agencji, Carlosowi udało się wreszcie odnaleźć jedyne żyjącego człowieka, który go widział i może zidentyfikować. Tym człowiekiem jest Jason Bourne, czyli, jestem o tym całkowicie przekonany, David Webb.

- Jakże to informacje? - wybuchnął Albert Armbruster. - Kto wam je przekazał?
- Ach, oczywiście... To wszystko jest takie nieoczekiwane. Dostarczył ich emerytowany agent nazwiskiem Conklin, Aleksander Conklin. On, a także psychiatra Morris Panov, są bliskimi przyjaciółmi Webba... czyli Jasona Bourne'a.
- Gdzie mieszkają? - zapytał ponuro mafioso.
- Na pewno nie udałoby się panu do nich dotrzeć, bo cały czas pozostają pod ścisłą ochroną.
- Nie prosiłem o radę, tylko zapytałem, gdzie mieszkają.
- Conklin w małym miasteczku o nazwie Vienna, w specjalnym, niedostępnym osiedlu, natomiast mieszkanie i gabinet Panova znajdują się przez całą dobę pod obserwacją.
- Chyba poda mi pan dokładne adresy?
- Oczywiście, ale zapewniam pana, że żaden z tych ludzi nie będzie chciał z panem rozmawiać.
- Wielka szkoda, bo właśnie szukamy faceta o kilku nazwiskach i nie wykluczone, że moglibyśmy mu pomóc.
- Nie nabiorą się na to.
- Warto spróbować.
- Do cholery, dlaczego? - wybuchnął ponownie Armbruster, ale natychmiast zniżył głos. - Dlaczego ten Webb, Bourne czy jak on tam się nazywa, był u Swayne'a?
- Nie potrafię wypełnić tej luki.
- Że co?
- Tak mówimy w Agencji, jeśli czegoś nie wiemy.
- Nic dziwnego, że ten kraj tonie po szyję w gównie!
- Doprawdy, trudno mi się z tym zgodzić...
- Teraz wy się zamknijcie! - przerwał im człowiek z Nowego Jorku, wyjmując z kieszeni notatnik i długopis. - Napisz mi pan tutaj adresy tego agenta i żydowskiego doktora od czubków. Szybko!
- Trochę słabo widać... - wymamrotał DeSole, starając się wykorzystać skąpy blask rzucany przez neon nieczynnej stacji benzynowej. - Proszę. Nie pamiętam dokładnie numeru mieszkania, ale nazwisko Panova będzie na liście lokatorów. Powtarzam jeszcze raz: to nie da. Nie będzie chciał z wami rozmawiać.
- Więc przepraszamy go grzecznie, że zawracaliśmy mu głowę.
- Tak to się chyba skończy. Mam wrażenie, że on bardzo przejmuje się sprawami swoich pacjentów.
- Do tego stopnia, że interesują go pańskie tajne połączenia telefaksowe?
- Dokładnie rzecz biorąc, linia jest jawna, tyle tylko że zdublowana.
- Pan zawsze jest cholernie dokładny...
- A pan denerwujący.
- Musimy już iść - wtrącił się Armbruster. Człowiek z Nowego Jorku schował notatnik i długopis. - Uspokój się, Steven - dodał przewodniczący Komisji Handlu, z trudem opanowując wzburzenie i kierując się z powrotem do samochodu. - Nie ma takiej rzeczy, z którą nie moglibyśmy sobie poradzić. Będziesz rozmawiał z Jimmym T. w Brukseli; spróbujcie razem wymyślić coś sensownego. Jeśli wam się nie uda, nie wpadaj w panikę; zrobimy to za was na górze.
- Oczywiście, panie Armbruster. Czy mogę o coś zapytać...? Czy mogę podjąć z mojego konta w Bernie każdą sumę, gdyby... na wypadek... sam pan rozumie...
- Naturalnie. Wystarczy, żebyś tam poleciał i własnoręcznie napisał numer konta. To

twój podpis, jak zapewne pamiętasz.

- Tak, pamiętam.
- Myślę, że są tam teraz już ponad dwa miliony.
- Och, dziękuję. Dziękuję panu.
- Zapracowałeś na nie, Steven. Dobrej nocy.

Dwaj mężczyźni rozsiedli się wygodnie na tylnej kanapie limuzyny, ale napięcie między nimi nie zmalowało. Kiedy oddzielony od nich szklanym przepierzeniem kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce, Armbruster spojrzął na mafioso.

- Gdzie drugi wóz?

Włoch włączył lampkę i zerknął na zegarek.

- Stoi przy drodze niecałą milę od stacji benzynowej. Pojedzie za DeSole'em i zaczeka na odpowiedni moment.

- Wasz człowiek wie, co ma zrobić?

- Daj spokój, przecież nie jest dziewczyną. Ma zamontowany w samochodzie taki reflektor, że zobaczą go chyba w Miami. Podjedzie z boku, włączy go, trochę pokręci i twój warty dwa miliony bubek przestaje cokolwiek widzieć i wypada z gry, a was kosztuje to cztery razy mniej. To twój szczęśliwy dzień, Alby.

Przewodniczący Federalnej Komisji Handlu oparł się wygodnie o miękkie poduszki i spojrzął przez przyciemnioną szybę na niewyraźne, umykające do tyłu kształty.

- Wiesz co? - powiedział cicho. - Gdyby dwadzieścia lat temu ktoś powiedział mi, że kiedyś będę siedział w tym samochodzie z kimś takim jak ty i mówił to, co mówię, wziąłbym go za wariata.

- Właśnie to mi się u was podoba. Patrzycie na nas z góry, dopóki nie okaże się, że nas potrzebujecie, a wtedy, ni z tego, ni z owego, jesteście współnikami. Jakkolwiek by na to patrzeć, Alby, uwalniamy cię od kolejnego kłopotu. Możesz spokojnie wracać do swojej wysokiej komisji i decydować, które firmy mają czyste ręce, a które nie... Nie myśląc o tym, jakie ty masz.

- Zamknij się! - ryknął Armbruster, uderzając pięścią w podłokietnik. - Ten Simon... Webb! Skąd on się wziął? Czego od nas chce?

- Może to ma coś wspólnego z tym Szakalem?

- Bez sensu. My nie mamy z nim nic wspólnego.

- Bo i po co? - Mafioso uśmiechnął się szeroko. - Macie przecież nas, no nie?

- To bardzo luźny związek i byłoby dobrze, gdybyś o tym pamiętał... Webb czy Simon, wszystko jedno, musimy go znaleźć! Wiedząc to, co już wiedział, plus to, co ja mu powiedziałem, jest dla nas cholernym zagrożeniem!

- To ważny bubek, nie?

- Ważny - potwierdził przewodniczący, ponownie spoglądając przez okno. Zaciśnął kurczowo prawą dłoń, a palcami lewej bębnił nerwowo w skórzany podłokietnik.

- Chcesz się targować?

- Co takiego? - Armbruster wyprostował się i spojrzął ostro na Sycylijszyka.

- Dobrze słyszałeś, tyle tylko że ja użyłem nie tego słowa, co trzeba. Podam ci konkretną sumę, ale o żadnych targach nie ma mowy.

- Chcesz zawrzeć... kontrakt? W sprawie Simona... Webba?

- Nie - odparł mafioso, kręcąc powoli głową. - W sprawie osobnika nazwiskiem Jason Bourne. Nie uważasz, że dużo łatwiej zabić kogoś, kto już nie żyje? Ponieważ przed chwilą pozwoliliśmy ci oszczędzić półtorej bańki, nasza cena wynosi pięć.

- Pięć milionów?

- Koszty takich operacji są bardzo duże, a ryzyko jeszcze większe. Pięć milionów, Alby, z tego połowa w ciągu dwudziestu czterech godzin od zawarcia umowy.

- To szaleństwo!

- Przecież możesz odmówić. Kiedy zgłosisz się drugi raz, cena wzrośnie do siedmiu i pół, a potem już dwa razy, do piętnastu.

- Jaką mamy gwarancję, że w ogóle uda się wam go odnaleźć? Słyszałeś, co mówił DeSole. Ten facet jest poza zasięgiem, schowany pod ziemią.

- Więc trzeba go wykopać i przesadzić.

- W jaki sposób? Dwa i pół miliona to za dużo forsy, żebym miał ci uwierzyć na słowo.

Mafioso sięgnął z uśmiechem do kieszeni i wydobył z niej ten sam notatnik, który podsunął na parkingu funkcjonariuszowi CIA.

- Najlepszym źródłem informacji są starzy przyjaciele, Alby. To oni obsmarowują cię później w plotkarskich książkach. Mam dwa adresy.

- Nawet nie uda ci się tam zbliżyć.

- Daj spokój, człowieku! Myślisz, że z kim masz do czynienia? Z prymitywami dawnego Chicago, Szalonym Psem Capone i Nittim „Sztuczerem”? Zatrudnimy teraz naprawdę wykształconych ludzi. Prawdziwych geniuszów, naukowców, profesorów i doktorów. Skończymy z tym kulasem i Żydkiem tak prędko, że nawet się nie obejrzą, a my dostaniemy Jasona Bourne a, tego tajemniczego faceta, który nie istnieje, bo już od dawna nie żyje.

Albert Armbruster skinął w milczeniu głową i odwrócił się do okna.

Przez pół roku będę siedział cicho, a potem zmienię nazwisko i przed ponownym otwarciem przeprowadzę intensywną kampanię reklamową - powiedział John St. Jacques, stojąc przy oknie i przyglądając się, jak lekarz opatruje jego szwagra.

- Nikt nie został? - zapytał siedzący w fotelu Bourne i skrzywił się, gdy doktor założył na ranę ostatni szew

- Oczywiście, że zostali. Czternaścioro zwariowanych Kanadyjczyków, w tym mój stary kumpel, który właśnie teraz kłuje cię w szyję. Nie uwierzysz, ale chcą utworzyć specjalny oddział do walki ze złymi ludźmi.

- To był pomysł Scotty'ego - odezwał się cichym głosem lekarz, nie odrywając się od pracy. - Mnie możecie skreślić, jestem za stary.

- On też, tyle tylko że o tym nie wie. Chciał wyznaczyć sto tysięcy dolarów nagrody za informację mogącą... i dalej w tym samym guście. Ledwo udało mi się go przekonać, że im mniej będzie się mówiło na ten temat, tym lepiej.

- Najlepiej, żeby w ogóle nikt nic nie mówił - mruknął Jason. - I tak ma być.

- Masz trochę zbyt wygórowane wymagania, Davidzie - odparł St. Jacques. - Naprawdę - dodał, mylnie interpretując ostre spojrzenie, jakie rzucił mu Bourne. - Tu na miejscu serwujemy wszystkim ciekawskim historyjkę o wycieku propanu ze zbiorników, ale mało kto w nią wierzy. Oczywiście, dla szerokiego świata nawet trzęsienie ziemi tutaj nie byłoby warte więcej niż kilka linijek u dołu strony z ogłoszeniami, ale w okolicy zaczynają już krążyć plotki.

- Właśnie, co z szerokim światem? Były już jakieś wiadomości?

- Na razie nie, a jeśli nawet będą, to o Montserrat, nie o Wyspie Spokoju. Zajmą trochę miejsca w londyńskim „Timesie”, jakieś wzmianki mogą ukazać się w gazetach w Nowym Jorku i Waszyngtonie, ale nie wydaje mi się, żeby dotyczyły nas bezpośrednio.

- Przestań być taki tajemniczy.

- Porozmawiamy o tym później.

- Mów, co chcesz, John - odezwał się lekarz. - Ja już prawie kończę, więc właściwie

nie słucham, a nawet jeśli, to mam do tego prawo.

- Będę się streszczał - oznajmił St. Jacques, podchodząc do fotela. - Przede wszystkim, gubernator. Miałaś rację, w każdym razie tak mi się wydaje.

- Dlaczego?

- Informacje nadeszły zaledwie parę minut temu. Na jednej z paskudnych raf w okolicy Antiguy, w połowie drogi na Barbuda, znaleziono roztrzaskaną łódź gubernatora, lecz ani śladu rozbitków. Plymouth przypuszcza, że to sprawka niespodziewanego szkwału, który nadszedł z nad Nevis, ale trudno w to uwierzyć. Chodzi mi nie tyle o szkwał, co o okoliczności.

- Mianowicie?

- Tym razem nie popłynęli z nim dwaj ludzie tworzący stałą załogę. Dał im wolne, twierdząc, że chce sam poprowadzić łódź, a jednocześnie powiedział Henry'emu, że ma ochotę zapolować na grubą rybę...

- A do tego byłaby mu potrzebna załoga - uzupełnił lekarz. - Och, przepraszam.

- Otóż to - potwierdził właściciel Pensjonatu Spokoju. - Nie można jednocześnie łowić ryb i prowadzić łodzi, a w każdym razie na pewno nie potrafił tego nasz gubernator. Zawsze bał się choć na chwilę oderwać wzrok od mapy.

- Czyli potrafił ją czytać? - zapytał Jason Bourne.

- Z pewnością nie poradziłby sobie z nawigacją według gwiazd, ale orientował się wystarczająco dobrze, żeby trzymać się z daleka od kłopotów.

- Kazali mu, żeby wypłynął zupełnie sam... - mruknął Bourne. - Zwabili go tam, gdzie rzeczywiście nie mógł ani na chwilę spuścić oka z mapy. - Nagle Jason uświadomił sobie, że nie czuje na karku delikatnych dotknięć palców lekarza, tylko szorstki ucisk bandaża. Doktor stał obok fotela, przyglądając się swemu pacjentowi. - Jak idzie? - zapytał Bourne, spoglądając z uśmiechem w górę.

- Już skończone - oznajmił Kanadyjczyk.

- W takim razie... Chyba będzie lepiej, jeśli zobaczymy się później w barze, nie uważa pan?

- Wreszcie dotarliśmy do przyjemniejszej części tej historii.

- To wcale nie jest przyjemniejsza część, doktorze, a ja byłbym najbardziej niewdzięcznym pacjentem na świecie, gdybym pozwolił panu usłyszeć to, o czym nie powinien pan wiedzieć.

Lekarz spojrzał Jasonowi prosto w oczy.

- Pan to mówi serio, prawda? Pomimo tego, co się zdarzyło, nie chce mnie pan narażać. To nie żadna melodramatyczna zagrywka, w jakich, nawiasem mówiąc, lubują się kiepscy doktorzy, tylko autentyczna troska?

- Chyba tak.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co się panu zdarzyło, przy czym myślę nie tylko o wydarzeniach ostatnich kilku godzin, w których brałem udział, ale także o tym, o czym świadczą blizny na pańskim ciele, naprawdę bardzo się dziwię, że może pan jeszcze zaprzętać sobie głowę kimś innym. Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Webb. Chwilami wydaje mi się nawet, że postępuje pan jak dwóch zupełnie różnych ludzi.

- Nie ma we mnie nic niezwykłego, doktorze - odparł Jason Bourne, przymykając na chwilę powieki. - Nie chcę być niezwykły, dziwny ani egzotyczny, tylko zupełnie zwyczajny, jak pierwszy lepszy facet z ulicy. Jestem nauczycielem i nie chcę być nikim innym, ale na razie, w obecnych okolicznościach, muszę postępować tak, jak uważam za stosowne.

- Co oznacza, że powinienem wyjść dla własnego dobra?

- Tak jest.

- A gdybym pomimo to dowiedział się kiedyś o wszystkim, zapewne przekonam się, że pańskie rady były jak najbardziej słuszne?

- Mam taką nadzieję.
- Założę się, że jest pan wspaniałym nauczycielem, panie Webb.
- Doktorze Webb - poprawił go odruchowo St. Jacques, jakby miało to w tej chwili jakieś istotne znaczenie. - Mój szwagier, tak jak siostra, ma stopień doktora, a poza tym zna kilka orientalnych języków i wykłada na uniwersytecie. Chcieli go ściągnąć do Harvardu, McGill i Yale, ale on...
- Zamknij się, z łaski swojej - przerwał mu Bourne, z trudem opanowując rozbawienie.
- Na moim przedsiębiorczym młodym przyjacielu każdy tytuł przed nazwiskiem robi ogromne wrażenie, ale zapomina o tym, że gdybym miał korzystać z własnych finansów, mógłbym wynająć jedną z jego willi nie więcej niż na kilka dni.
- Chrzaniisz.
- Mówiłem o moich możliwościach finansowych.
- No, właśnie. Masz spore możliwości.
- Mam bogatą żonę... Proszę nam wybaczyć, doktorze. To stara sprzeczka rodzinna.
- Musi pan być nie tylko wspaniałym nauczycielem, ale, mimo pozorów, także bardzo ujmującym człowiekiem - zauważył lekarz. - Przyjmuję zaproszenie na drinka - dodał, zatrzymując się przy drzwiach. - Będzie mi bardzo miło.
- Dziękuję - odparł Jason. - Dziękuję za wszystko, doktorze. - Kanadyjczyk skinął głową i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. - To prawdziwy przyjaciel, Johnny - powiedział Bourne do szwagra.
- Na co dzień jest zimny jak ryba, ale zna się na swojej robocie. Dzisiaj pierwszy raz zachował się jak człowiek... A więc uważasz, że Szakal spotkał się z gubernatorem na morzu w pobliżu Antiguy, dowiedział się, czego chciał, po czym zabił go i dał na obiad rekinom?
- Wpuszczając następnie jego łódź na rafy - uzupełnił Jason. - Tragedia na morzu, jakich wiele, a Carlos znika bez śladu. To dla niego najważniejsze.
- Coś mi się tu nie podoba... - mruknął Johnny. - Nigdy nie zajmowałem się tym dokładniej, ale wiem, że akurat ta część rafy na północ od Falmouth jest nazywana Diabelską Paszczą. Wszystkie mapy zalecają po prostu, żeby omijać to miejsce z daleka, nie wdając się w wyliczanie liczby ludzi, którzy stracili tam życie.
- I co z tego?
- To, że skoro Szakal wyznaczył gubernatorowi spotkanie właśnie w tamtych okolicach, to musiał znać to miejsce. Pytanie tylko skąd?
- Twoi dwaj komandosi nic ci nie powiedzieli?
- O czym? Posłałem ich prosto do Henry'ego, żeby zdali mu dokładną relację. Nie było czasu, żeby spokojnie usiąść i wszystko przeanalizować.
- W takim razie Henry wie już o wszystkim i prawdopodobnie jest w szoku. W ciągu dwóch dni stracił dwie łodzie pościgowe, z czego dostanie pieniądze tylko za jedną, a przecież jeszcze nic nie wie o swoim szefie, czcigodnym brytyjskim gubernatorze, sługusie Szakala, który zrobił w trąbę całe Foreign Office, wmawiając im, że emerytowany rzezimieszek z Paryża to szlachetny bojownik o niepodległość Francji. Dzisiaj w Londynie będą mieli gorącą noc.
- Dwie łodzie? O czym ty mówisz? Co takiego wie teraz Henry? Dlaczego mieli mu o tym powiedzieć akurat moi ludzie?
- Nie dalej jak minutę temu zadałeś mi pytanie, skąd Szakal mógł wiedzieć o rafie koło Antiguy znanej jako Diabelska Paszcza.
- Może mi pan wierzyć, doktorze Webb, nie mam jeszcze galopującej sklerozy. A więc, skąd?
- Stąd, że miał tu jeszcze jednego człowieka. Właśnie o tym powiedzieli Henry'emu twoi komandosi. Jasnowłosego sukinsyna, który kierował wydziałem narkotyków.
- Rickman? Ten założyciel i jedyny członek brytyjskiego Ku-Klux-Klanu? Rickman

służbista, bicz boży na wszystkich, którzy w porę nie odważyli mu się postawić? Henry w to nie uwierzy!

- Czemu nie? Opisałeś właśnie człowieka, którego Carlos przyjąłby z otwartymi ramionami.

- Być może, ale to takie nieprawdopodobne... Taki świętoszek! Modlił się co rano przed pracą, prosząc Boga o pomoc w walce z Szatanem, nie pił alkoholu, nie spotykał się z kobietami...

- Savonarola?

- Ktoś w tym rodzaju, o ile dobrze pamiętam lekcje historii.

- Tym bardziej przypadłby do gustu Szakalowi. Henry na pewno we wszystko uwierzy, kiedy druga łódź nie wróci do Plymouth, a załoga nie stawi się na następną poranną modlitwę.

- Więc Carlos uciekł właśnie w ten sposób?

- Tak. - Bourne skinął głową i wskazał na kanapę stojącą po drugiej stronie stolika do kawy. - Siadaj, Johnny. Musimy porozmawiać.

- A co robiliśmy do tej pory?

- Rozmawialiśmy, ale o tym, co się zdarzyło, nie o tym, co dopiero ma się wydarzyć.

- Co takiego ma się wydarzyć? - zapytał St. Jacques, zajmując miejsce na kanapie.

- Wyjeżdżam.

- Nie! - krzyknął Johnny i zerwał się z miejsca, jakby trafiony ładunkiem elektrycznym. - Nie możesz!

- Muszę. On wie wszystko: jak się nazywam, gdzie mieszkam. Wszystko.

- Dokąd polecisz?

- Do Paryża.

- Nie, do wszystkich diabłów! Nie możesz tego zrobić Marie i dzieciom! Nie pozwolę ci!

- Nie uda ci się mnie powstrzymać.

- Na litość boską, posłuchaj mnie, Davidzie! Nawet jeżeli ludzi w Waszyngtonie nie obchodzi, co się z tobą stanie, to wierz mi, ci z Ottawy są ulepiani z lepszej gliny! Moja siostra pracowała dla naszego rządu, a nasz rząd nie odsyła współpracowników do diabła tylko dlatego, że w pewnej chwili stają się zbyt niewygodni. Znam wielu ludzi, takich jak Scotty, doktor i inni. Wystarczy, żeby powiedzieli jedno słowo, a dostaniesz własną fortecę w Calgary. Nikt nie będzie mógł nawet tknąć cię palcem!

- Myślisz, że mój rząd nie zrobiłby tego samego? Powiem ci coś, bracie: są w Waszyngtonie ludzie, którzy bez wahania oddaliby za nas życie. Dobrowolnie, nie licząc na żadne nagrody od nikogo. Gdyby chodziło mi o jakieś odosobnione miejsce, dostałbym posiadłość w Wirginii z końmi, służbą i plutonem uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy pilnowaliby nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Więc czemu się na to nie zgodzisz?

- A wiesz, co by to oznaczało, Johnny? Życie w więzieniu! Dzieciaki nie mogą odwiedzać kolegów, do szkoły chodzą pod ochroną strażników, nie mamy sąsiadów, patrzymy z Marie tylko na siebie i na reflektory za oknem, słyszymy kroki strażników i od czasu do czasu odgłos repetowanej broni, bo jakiś królik uruchomił system alarmowy... Zapewniam cię, że żadne z nas by tego nie wytrzymało.

- Ani ja, gdyby miało to wyglądać tak, jak mówisz. Co ci pomoże wyprawa do Paryża?

- Mogę go odszukać i usunąć.

- Ma tam swoich ludzi.

- A ja mam Jasona Bourne'a - odparł David Webb.

- Głupie pieprzenie!

- Zgadzam się, ale na razie przynosi efekty. Jesteś moim dłużnikiem, Johnny. Pomóż mi. Powiedz Marie, że nic mi nie jest, że nie jestem ranny i że dzięki Fontaine'owi złapałem

świeży trop Carlosa... Tak się składa, że to akurat jest prawda. Kawiarnia Le Coeur du Soldat w Argenteuil. Powiedz jej, że ściągnąłem tam Conklina i całą pomoc, jaką mógł mi zapewnić Waszyngton.

- Ale ty tego nie zrobisz, prawda?

- Nie. Szakał natychmiast dowiedziałby się o wszystkim. Ma swoje wtyczki na Quai d'Orsay. Muszę działać solo.

- Myślisz, że ona się o tym nie dowie?

- Będzie podejrzewała, ale nie będzie miała pewności. Poproszę Aleksa, żeby zadzwonił do niej i powiedział, że jest w ciągłym kontakcie z naszymi ludźmi w Paryżu. Jednak przede wszystkim musi to usłyszeć od ciebie.

- Po co kłamać?

- Nie powinieneś o to pytać, bracie. Już i tak zbyt wiele przeze mnie przeżyła.

- W porządku: powiem jej, ale ona i tak mi nie uwierzy. Zawsze potrafiła przejrzeć mnie na wylot. Jak byłem mały, wpatrywała się we mnie tymi swoimi brązowymi oczami, ale zupełnie inaczej niż bracia, bez pogardy i nie smaku, i od razu wszystko wiedziała. Potrafisz to zrozumieć?

- To, o czym mówisz, nazywa się troską. Po prostu troszczyła się o ciebie.

- Tak, masz rację.

- Nawet bardziej, niż myślisz. Zadzwoni do niej za kilka godzin i sprowadź ją tu z dziećmi. To najbezpieczniejsze miejsce, jakie mogą znaleźć.

- A ty? Jak chcesz się dostać do Paryża? Połączenia z Antiguy i Martyniki są niepewne, a poza tym prawie zawsze wykupione na kilka tygodni naprzód.

- I tak nie mógłbym z nich skorzystać. Muszę się tam dostać incognito. Pewien człowiek w Waszyngtonie musi coś wymyślić. Musi.

Aleksander Conklin wyszedł, kuśtykając, z małej kuchni służbowego mieszkania CIA w Viennie. Twarz i włosy miał zupełnie mokre. Dawniej (jeszcze zanim to dawniej utopiło się w morzu whisky), kiedy bieg wydarzeń stawał się za szybki, one same zaś zbyt ciężkie, wyszedłby po prostu *t* biura, aby oddać się uspokajającemu rytuałowi: najlepszy bar w okolicy, dwa martini, a potem krwisty befsztyk z obficie polanymi tłuszczem ziemniakami. Ta specyficzna kombinacja - samotność, niewielka dawka alkoholu, smak surowego mięsa, a przede wszystkim tłuste ziemniaki - pozwalała mu spojrzeć na świat z nowej perspektywy, uporządkować nagromadzone w ciągu minionych godzin wrażenia i przywołać na pomoc zdrowy rozsądek. Kiedy następnie wracał do biura - niezależnie od tego, czy znajdowało się przy Bel-grave Square w Londynie, czy na zapleczu burdelu w Katmandu - miał gotowych co najmniej kilka rozwiązań. Właśnie dlatego zyskał przydomek świętego Aleksa. Kiedyś wspomniał o tej kulinarnej terapii Mo Panowowi, który odpowiedział tylko jednym, kwaśnym zdaniem: „Jeśli nie wykończy cię ta szalona głowa, to na pewno zrobi to twój żołądek”.

Obecnie jednak, w obliczu pozostawionej przez nałóg próżni oraz w związku z takimi przyjemnościami jak wysoki poziom cholesterolu i jakieś cholerne triglicerydy, musiał znaleźć inny sposób. Udało mu się to dzięki zupełnemu przypadkowi. Pewnego dnia podczas relacji z przesłuchań w sprawie afery Iran-Contras, które uważał za najlepszy program komediowy w historii TV, zepsuł mu się telewizor. Wściekły, włączył od dawna nie używane przenośne radio (telewizor miał także wbudowany tuner radiowy, teraz równie bezużyteczny, jak i cała reszta), lecz okazało się, że baterijki zamieniły się już w jakieś cuchnące, zalane białawą substancją szczątki. Czując w protezie pulsujący ból, pokuścił się do telefonu. Miał znajomego elektrotechnika, któremu wyświadczył kilka przysług. Wiedział, że w razie potrzeby może na niego liczyć. Niestety, słuchawkę podniosła kipiąca złością żona tego człowieka, która wykrzyczała, prawdopodobnie z pianą na ustach, że jej mąż uciekł z

„cholerną czarną zdzirą z jakiejś ambasady!" (Zairu, jak się okazało później). Bliski apopleksji Conklin udał się pośpiesznie do kuchni, gdzie na półeczce nad zlewozmywakiem stały jego lekarstwa. Kiedy odkręcił kran, kurek został mu w ręku, woda zaś trysnęła obfitym strumieniem aż pod sam sufit, mocząc mu przy okazji całą głowę. *Caramba!* Zimny prysznic przywrócił mu jednak jasność myślenia, dzięki czemu przypomniał sobie, że stacja kablowa miała retransmitować wieczorem całe posiedzenie komisji. Uspokojony i uszczęśliwiony wezwał hydraulika, a sam poszedł kupić nowy telewizor.

Od tamtego dnia zawsze, kiedy nie dawały mu spokoju jego własne sprawy lub problemy otaczającego go świata, wsadzał głowę do zlewu i polewał ją obficie zimną wodą. Zrobił tak również tego ranka. Co za cholerny, pieprzony dzień!

DeSole! Zabity o wpół do piątej nad ranem w wypadku drogowym na nie uczęszczanej szosie w Marylandzie. Co, do stu tysięcy par diabłów, mógł robić DeSole, w którego prawie jazdy było jak wół napisane, że cierpi na kurzą ślepotę, o wpół do piątej rano na bocznej drodze w okolicach Annapolis? A zaraz potem Charlie Casset, wściekły Charlie Casset, dzwoni o szóstej i wrzeszczy, że ma zamiar natychmiast złapać za cholerny kark cholernego głównodowodzącego NATO i zażądać wyjaśnień w sprawie cholernego tajnego połączenia telefaksowego z martwym szefem tajnych operacji, martwym nie w wyniku jakiegoś cholernego wypadku, tylko cholernego morderstwa! Co więcej, byłoby dobrze, gdyby pewien emerytowany funkcjonariusz Agencji nazwiskiem Conklin ujawnił wszystko, co wie na temat DeSole'a i Brukseli, bo w przeciwnym razie przestaną obowiązywać wszelkie dżentelmeńskie umowy dotyczące tegoż funkcjonariusza i jego nieuchwytnego przyjaciela, niejakiego Jasona Bourne'a. Do południa, nie dłużej! A potem, jakby tego wszystkiego było mało, Iwan Jax! Czarnoskóry geniusz medyczny uznał za stosowne poinformować go, że pragnie odstawić ciało generała Swayne'a tam, skąd je wziął, gdyż nie chce być zamieszany w kolejną zakończoną całkowitą kompromitacją operację Agencji. Agencja nie ma z tym nic wspólnego! - krzyczał rozpaczliwie w myśli Conklin, wiedząc, że nie może wyjaśnić doktorowi prawdziwych przyczyn, dla których zwrócił się do niego o pomoc. „Meduza". Z kolei Jax nie może tak po prostu odwieźć ciała do Manassas, ponieważ policja stanowa (na żądanie pewnego emerytowanego funkcjonariusza wywiadu znającego hasła i szyfry, których nie powinien znać) odcięła dostęp do posiadłości generała.

- Więc co mam zrobić z trupem? - wrzasnął Jax.
- Potrzymaj go jeszcze trochę w chłodzie. Kaktus też by ci to powiedział.
- Kaktus? Byłem z nim całą noc w szpitalu. Wylizę się z tego, ale o tym, co się dzieje, wie dokładnie tyle samo, co ja, czyli nic!
- Podczas tajnych operacji nie zawsze wszystko może być od razu jasne - powiedział Aleks, brzydząc się samego siebie. - Dam ci znać.

Następnie poszedł do kuchni i wsadził głowę pod zimną wodę. Już nic gorszego nie mogło się zdarzyć. Oczywiście, w chwilę później zadzwonił telefon.

- Tu pizzeria - oznajmił ponuro Conklin.
- Wydostań mnie stąd! - zażądał Jason Bourne. W jego głosie nie pozostał nawet ślad Davida Webba. - Do Paryża!
- Co się stało?
- Uciekł mi, oto, co się stało, a ja muszę się dostać do Paryża, bez stemplowania paszportu, bez wprowadzania do żadnego komputera. On ma wszędzie wtyki. Tym razem nie może mnie wyśledzić... Słuchasz mnie, Aleks?
- Dziś w nocy zginął DeSole. Wypadek, który wcale nie był wypadkiem. „Meduza" jest coraz bliżej.
- Nic mnie nie obchodzi „Meduza"! Dla mnie to już historia. Skręciliśmy w niewłaściwą ulicę. Muszę dostać Szakala! Wiem, że może mi się udać!
- Zostawiasz mnie samego z „Meduzą"...

- Sam powiedziałaś, że chcesz iść z tym wyżej i dałaś mi czterdzieści osiem godzin. Przesuń zegarek do przodu. Czterdzieści osiem godzin już minęło, więc idź, do kogo chcesz, tylko najpierw zabierz mnie stąd i odstaw do Paryża.

- Oni chcą z tobą porozmawiać.

- Kto taki?

- Peter Holland, Casset, prokurator generalny... Kto wie, może nawet sam prezydent.

- O czym?

- Rozmawiałaś z Armbrusterem, żoną Swayne'a i tym sierżantem, Flannaganem. Ja tylko użyłem kilku słów, które wywołały określone reakcje, ale to jeszcze nic konkretnego. Dysponujesz pełniejszym obrazem sytuacji. To, co ja powiem, mogą zakwestionować, ale ciebie na pewno wysłuchają w skupieniu.

- Miałbym odstawić na bok Szakala?

- Najwyżej na dzień lub dwa.

- Nic z tego, do diabła! To nie będzie wcale tak wyglądało i ty doskonale o tym wiesz! Kiedy już mnie dorwą, stanę się ich głównym świadkiem, więc będą mnie przekazywać z jednej komisji do drugiej, a gdybym odmówił współpracy, po prostu przymknęliby mnie i już. Nie da rady, Aleks. Mam tylko jeden cel, a on teraz jest w Paryżu.

- Posłuchaj mnie - powiedział Conklin. - Są rzeczy, które mogę kontrolować, oraz takie, na które nie mam wpływu. Potrzebowaliśmy Charliego Casseta i on nam pomógł, ale to nie jest ktoś, kogo można nabić w butelkę. Zresztą, nie chciałbym tego robić. Wie, że DeSole nie zginął w wyniku wypadku, bo nikt cierpiący na kurzą ślepotę nie wybiera się w środku nocy na kilkugodzinną przejażdżkę. Wie także to, że my mamy znacznie więcej informacji o DeSole'u i Brukseli, niż mu przekazaliśmy. Jeśli zależy nam na pomocy Agencji - a zależy, choćby w takich sprawach jak przetransportowanie cię wojskowym lub dyplomatycznym samolotem do Francji i Bóg jeden wie w jakich jeszcze, kiedy znajdziesz się już na miejscu - nie wolno mi go ignorować. Jeśli to zrobię, natychmiast nas przyciśnie i będzie miał do tego pełne prawo.

Bourne milczał przez chwilę; Conklin słyszał tylko jego głośny oddech.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Teraz wiem, na czym stoimy. Przekaż Cassetowi, że jeśli da nam teraz wszystko, czego potrzebujemy, dostarczę mu później takich informacji, że Departament Sprawiedliwości będzie miał pełne ręce roboty przez najbliższe kilka lat... Jeśli ono też nie stanowi części „Meduzy”, rzecz jasna. Możesz dodać, że wśród tych informacji będzie także wskazówka dotycząca położenia pewnego bardzo interesującego cmentarza.

Tym razem Conklin nie odzywał się przez jakiś czas.

- Biorąc pod uwagę obecne okoliczności, nie sądzę, żeby zechciał poprzestać na zapewnieniach - zauważył po chwili.

- Co...? Ach, rozumiem. W razie, gdyby mi się nie udało... Dobra: powiedz mu, że zaraz po przylocie do Paryża wynajmę stenografa i podyktuję wszystko, co wiem i czego udało mi się dowiedzieć, i wyślę do ciebie. Dalszą dystrybucję powierzę świętemu Aleksowi. Proponowałbym wydzielać po jednej lub dwie strony, żeby nie stracili ochoty do współpracy.

- Już ja się tym zajmę... A teraz Paryż. Z tego, co pamiętam, Montserrat leży niedaleko Dominiki i Martyniki, prawda?

- Mniej niż godzinę lotu od każdej z nich, a Johnny zna wszystkich pilotów na wyspie.

- Martynika należy do Francji... Znam paru ludzi w Deuxieme Bureau. Leć tam i zadzwoń do mnie z lotniska. Przez ten czas spróbuję coś załatwić.

- Dobra. Jest jeszcze jedna sprawa, Aleks. Chodzi o Marie. Wróci tu z dziećmi dzisiaj po południu. Zadzwoń do niej i powiedz, że mam w Paryżu wszelką możliwą ochronę.

- Ty kłamliwy sukinsynu...

- Zrób to!

- Oczywiście, że zrobię. Dziś wieczorem, zakładając, że dożyję, idę na kolację do Mo Panova. Jest okropnym kuchaczem, ale uważa się za żydowską Julię Child. Myślę, że powinienem mu o wszystkim powiedzieć. Wścieknie się, jeśli tego nie zrobię.

- Jasne. Gdyby nie on, obaj siedzielibyśmy od dawna w wysycielanych pokoikach bez klamek.

- Pogadamy później. Powodzenia.

Następnego dnia, o 10.25 rano czasu waszyngtońskiego, doktor Morris Panov w towarzystwie osobistego strażnika wyszedł ze szpitala Waltera Reeda, gdzie odbył seans terapeutyczny z pewnym porucznikiem gnębionym poczuciem winy po tragicznym wypadku podczas manewrów w Georgii, kiedy to zginęło dwudziestu żołnierzy z oddziału, którym dowodził. Mo nie był w stanie zbyt wiele mu pomóc; młody, choć już emerytowany oficer musiał sam dać sobie radę ze swoim problemem. Niewiele zmieniał tu fakt, że był to zamożny Murzyn, a w dodatku absolwent West Point. Większość spośród dwudziestu martwych żołnierzy również była czarna, ale pochodziła raczej z ubogich rodzin.

Pogrążony w rozmyślaniach Panov zerknął przypadkiem na strażnika i zatrzymał się raptownie.

- Pan chyba jest nowy, prawda? - zapytał ze zdziwieniem. – Wydawało mi się, że znam już was wszystkich.

- Zgadza się, proszę pana. Często się zmieniamy, żeby być ciągle w pogotowiu.

- Aha - mruknął psychiatra i ruszył w kierunku krawężnika, przy którym zawsze czekał na niego opancerzony samochód. Tym razem stała tam zupełnie inna limuzyna.

- To nie jest mój samochód - zauważył ze zdumieniem.

- Wsiadaj! - warknął strażnik, otwierając drzwiczki.

- Proszę?

Z samochodu wysunęła się para rąk i wciągnęła go do środka. Strażnik wsunął się za nim, tak że Mo znalazł się między nim a siedzącym we wnętrzu pojazdu mężczyzną w mundurze, który mocnym szarpnięciem ściągnął mu z ramienia marynarkę, odwinął krótki rękaw koszuli i błyskawicznie wbił w skórę igłę trzymanej w pogotowiu strzykawki.

- Dobranoc, doktorze - powiedział człowiek z odznakami służby medycznej na mundurze. - Zawiadom Nowy Jork - dodał, zwracając się do kierowcy.

Rozdział 19

Boeing 747 linii Air France lecący z Martyniki okrążył lotnisko Orły; był wczesny wieczór, a samolot miał pięć godzin i dwadzieścia dwie minuty opóźnienia spowodowanego złymi warunkami atmosferycznymi nad Morzem Karaibskim. Kiedy pilot ustawił samolot w linii pasa, oficer pokładowy potwierdził wieży otrzymanie zezwolenia na lądowanie, po czym zmienił częstotliwość i przekazał po francusku jeszcze jedną wiadomość, przeznaczoną dla zupełnie innych uszu:

- Deuxieme, ładunek specjalny. Proszę przekazać odbiorcy, żeby czekał w miejscu przeznaczenia. Dziękuję, koniec.

- Informacja przyjęta i przekazana - nadeszła lakoniczna odpowiedź. - Koniec.

Wspomniany ładunek specjalny siedział po lewej stronie kabiny pierwszej klasy; zgodnie z poleceniem Deuxieme Bureau, działającego w ścisłej współpracy z Waszyngtonem, miejsce obok niego było puste. Zniecierpliwiony, rozdrażniony, a także bliski niemal całkowitego wyczerpania z powodu uniemożliwiającego jakikolwiek sen bandaża Bourne analizował po raz kolejny wydarzenia ostatnich dziewiętnastu godzin. Mówiąc najogólniej, nie potoczyły się one tak gładko, jak tego oczekiwał Conklin. Deuxieme stawiało opór przez ponad sześć godzin wypełnionych gorączkowymi rozmowami telefonicznymi między Waszyngtonem, Paryżem i miejscowością Vienna w stanie Wirginia. Największą przeszkodą był fakt, iż CIA nie mogła ujawnić, o kogo właściwie chodzi; jedynym człowiekiem uprawnionym do podania nazwiska Bourne'a był Aleksander Conklin, który kategorycznie odmówił, wiedząc, jak wielkie są wpływy Szakala w Paryżu. Wreszcie uświadomiwszy sobie, że w Paryżu jest właśnie pora lunchu, Conklin zaczął w desperacji obdzwaniać ze zwykłego telefonu wszystkie kawiarnie w Rive Gauche, by w jednej z nich, przy rue de Vaugirard, znaleźć wreszcie starego przyjaciela z Deuxieme.

- Pamiętasz jeszcze tinamu i pewnego Amerykanina, wówczas trochę młodszego niż teraz, który pomógł ci w kilku sprawach?

- Ach, tinamu! Ptak o małych skrzydłach i groźnych nogach. To były stare, dobre czasy. Nigdy nie zapomnę tego Amerykanina, bo wkrótce potem ogłoszono go świętym.

- To dobrze, bo jesteś mi potrzebny.

- Czy to ty, Aleks?

- Owszem, a w dodatku mam problem z D. Bureau.

- Już go nie masz.

Tak też się stało, ale na pogodę nikt nie mógł mieć żadnego wpływu. Sztorm, który dwa dni wcześniej zaatakował wyspy Leeward, był jedynie preludium do ulewnego deszczu i huraganowych wiatrów poprzedzających kolejną, jeszcze bardziej gwałtowną nawałnicę. O tej porze roku taka pogoda nie była niczym niezwykłym, stanowiła po prostu przyczynę zwłoki. Kiedy wreszcie samolot miał otrzymać zezwolenie na start, odkryto jakąś nieprawidłowość w działaniu lewego skrajnego silnika. Ze zrozumiałych względów nikt nie miał nikomu za złe faktu usunięcia usterki, ale opóźnienie wzrosło o następne trzy godziny.

Sam lot przebiegał dla Jasona zupełnie spokojnie, jeśli nie liczyć dręczącej go gonitwy myśli. W rozważaniach nad tym, co go czeka - Paryż, Argenteuil, kawiarnia Le Coeur du Soldat, czyli Serce Żołnierza - przeszkadzało mu jedynie poczucie winy. Szczególnie silnie dało o sobie znać podczas krótkiego przelotu z Montserrat na Martynikę, kiedy widział w dole Gwadelupę i Basse-Terre. Wiedział, że kilkaset metrów pod nim są niczego nieświadomi Marie i dzieci, przygotowujący się do powrotu na Wyspę Spokoju, do męża i ojca, którego tam nie zastaną. Małeńka Alison, rzecz jasna, nie będzie sobie zdawała z niczego sprawy, ale z Jamiem sprawa będzie wyglądała zupełnie inaczej; jego oczy rozszerzą się i pociemnieją, z ust popłynie strumień rozżalonych słów... A Marie? Boże, nie mogę o niej myśleć! To za

bardzo boli!

Pomyśli, że ją zdradził, że uciekł, by zmierzyć się z odwiecznym wrogiem należącym do zupełnie innego świata, nie mającego nic wspólnego z ich światem. Pomyśli to samo, co stary Fontaine, namawiający go, by ukrył się z rodziną tysiące mil od rejonów, w których grasował Szakal... Żadne z nich nic nie rozumiało. Carlos wkrótce umrze, lecz pozostawi po sobie spadek, wydany na łożu śmierci rozkaz unicestwienia za wszelką cenę Jasona Bourne'a, czyli Davida Webba i jego rodziny.

Spróbuj mnie zrozumieć, Marie! Mam rację! Muszę go odszukać i zabić! Nie możemy spędzić reszty życia w dobrowolnym więzieniu!

Monsieur Simon? - zapytał korpulentny, zaawansowany wiekiem Francuz. Był ubrany w dobrze uszyty garnitur, miał krótko przystrzyżoną, siwą bródkę, a w jego ustach nazwisko zabrzmiało jako Seemohn.

- Zgadza się - odparł Bourne i uściśnił podaną rękę. Znajdowali się w wąskim, opustoszałym korytarzu gdzieś na terenie lotniska Orły.

- Jestem Francois Bernardine, stary znajomy naszego wspólnego przyjaciela, świętego Aleksa.

- Aleks wspominał mi o panu - odparł Bourne, uśmiechając się niezobowiązująco. - Oczywiście nie wymieniał nazwiska, ale mówił, że to pan przyczynił się do jego kanonizacji. Stąd wiem, że istotnie jest pan jego starym znajomym.

- Jak on się miewa? Docierały tu do nas różne pogłoski. - Bernardine wzruszył ramionami. - Raczej nawet plotki, można powiedzieć. Ranny w Wietnamie, alkohol, degradacja, poniżenie, powrót w aurze bohatera Agencji - jak pan widzi, same sprzeczne rzeczy.

- Większość z nich to prawda i on wcale nie boi się do tego przyznać. Jest teraz inwalidą, nie pije i naprawdę jest bohaterem, może mi pan wierzyć.

- Rozumiem. Są jeszcze inne plotki, ale kto by im wierzył? Jakieś wyprawy do Pekinu i Hongkongu, związane z człowiekiem nazwiskiem Jason Bourne...

- Ja również o tym słyszałem.

- Tak, oczywiście... Ale teraz jesteśmy w Paryżu. Nasz święty powiedział mi, że będzie pan potrzebował kwatery i stuprocentowo francuskich ubrań, jeśli można użyć takiego określenia.

- Rzeczywiście, przydałaby mi się niewielka, ale wypełniona szafa - przyznał Jason. - Wiem, dokąd iść, co kupić i mam wystarczająco dużo pieniędzy.

- Czyli pozostaje sprawa kwatery. Jakiś hotel? La Tremoille? George Cinq? Plaza-Athenee?

- Mniejszy, dużo mniejszy i nie tak kosztowny.

- A więc jednak pieniądze stanowią jakiś problem?

- Skądże znowu. Chodzi wyłącznie o pozory. Wie pan co? Znam Montmartre, więc sam coś sobie znajdę. Będzie mi tylko potrzebny samochód, najlepiej zarejestrowany na jakąś martwą duszę.

- Co oznacza martwego człowieka. Już to załatwiłem. Stoi w podziemnym garażu niedaleko placu Vendome. - Bernardine wyjął z kieszeni kluczyki i wręczył je Jasonowi. - Podniszczony peugeot, kwadrat E. Po Paryżu jeżdżą tysiące takich wozów. Numer rejestracyjny jest na breloczku.

- Aleks powiedział panu, że zależy mi na ścisłej dyskrecji?

- Nie musiał. Nasz stary świętoszek przeczesał wszystkie cmentarze w poszukiwaniu użytecznych nazwisk, kiedy jeszcze tu pracował.

- W takim razie chyba nauczyłem się tego od niego.

- Wszyscy uczyliśmy się od tego nadzwyczajnego człowieka, jednego z najlepszych w tym zawodzie, choć jednocześnie tak niezwykle skromnego, takiego... *je ne sais quoi*... czemu by nie, prawda?

- Tak, czemu by nie.

- Muszę jednak coś panu powiedzieć. - Bernardine roześmiał się głośno. - Kiedyś wybrał z jakiegoś nagrobka takie nazwisko, że o mało nie doprowadził do szaleństwa całej Surete. Okazało się, że pod takim samym pseudonimem ukrywał się groźny morderca, poszukiwany przez policję od wielu miesięcy!

- To istotnie zabawne - potwierdził Bourne.

- Nawet bardzo. Powiedział mi później, że znalazł je w Rambouillet... Na cmentarzu w Rambouillet.

Rambouillet! Cmentarz, na którym trzynaście lat temu Aleks usiłował go zabić! Resztki uśmiechu zniknęły z twarzy Bourne'a.

- Pan wie, kim jestem, prawda? - zapytał cicho byłego pracownika Deuxieme Bureau.

- Tak - odparł Bernardine. - Po tych plotkach, które docierały z Dalekiego Wschodu, nie było trudno się tego domyślić. Poza tym przecież właśnie w Paryżu zdobył pan swą ogólnoeuropejską sławę.

- Czy wie o tym ktoś jeszcze?

- *Mon Dieu, non!* I nigdy się nie dowie, zapewniam pana. Zawdzięczam życie Aleksowi, naszemu skromnemu świętemu *les operations noires*... po waszym czarnych operacji.

- Nie musi pan tłumaczyć, znam dobrze francuski. Aleks nie wspomniał panu o tym?

- Dobry Boże, pan mi nie ufa! - stwierdził ze zdumieniem Francuz, unosząc brwi. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan, młody, a właściwie młodszy, kolego, wziąć pod uwagę, że mam już siedemdziesiąt lat i jeżeli czasem zdarza mi się jakiś lapsus i zaraz potem staram się go poprawić, to tylko z uprzejmości, nie ze strachu.

- *D'accord. Je regrette*, naprawdę.

- *Bien*. Aleks jest sporo młodszy ode mnie, ale ciekaw jestem, jak on radzi sobie ze swoim wiekiem.

- Tak samo jak pan. Niespecjalnie.

- Był kiedyś taki angielski poeta, a właściwie walijski, żeby być dokładnym, który napisał: „Nie odchodź spokojnie w tę łagodną ciemność”. Pamięta pan to?

- Tak. Nazywał się Dylan Thomas i umarł w wieku trzydziestu kilku lat. Uważał, że nie należy się poddawać, tylko walczyć do upadłego.

- Mam właśnie taki zamiar. - Bernardine ponownie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wizytówkę. - Tu jest adres mojego biura - pracuję jeszcze wy łącznie jako konsultant, sam pan rozumie - a na odwrocie napisałem numer telefonu do domu. To specjalny telefon, jedyny w swoim rodzaju. W razie potrzeby proszę zadzwonić, a otrzyma pan wszelką pomoc. Proszę pamiętać, że jestem jedynym przyjacielem, jakiego ma pan w Paryżu. Nikt oprócz mnie nie wie, że pan tu jest.

- Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

- *Mais certainement*.

- W jaki sposób może pan dla mnie to wszystko robić, skoro został pan już właściwie odstawiony na boczny tor?

- Ach! - wykrzyknął konsultant Deuxieme Bureau. - Młodszy kolega dorośleje! To bardzo proste: podobnie jak Aleks zawdzięczam to temu, co mam w głowie. Znam bardzo dużo tajemnic.

- Mogliby się pana pozbyć. Jakiś nieszczęśliwy wypadek...

- *Stupide*, młody człowieku! Wszystko, co wiemy, jest spisane i przechowywane w bezpiecznym miejscu wraz z instrukcją nakazującą natychmiastowe ujawnienie, gdyby coś

takiego się wydarzyło. Oczywiście, to kompletna bzdura, bo mogliby wszystkim zaprzeczyć, twierdząc, że to majaczenia sklerotycznych starców, ale na szczęście oni o tym nie wiedzą. Strach, *monsieur*, jest w naszym zawodzie najgroźniejszą bronią. Zaraz potem należy wymienić kompromitację, ale to dotyczy głównie radzieckiego KGB i waszego FBI, które obawiają się kompromitacji bardziej niż jakiegokolwiek wroga.

- Pan i Conklin chyba wychowaliście się na tej samej ulicy.

- Oczywiście. Z tego, co wiem, żaden z nas nie ma żony ani rodziny, tylko od czasu do czasu przypadkowe kobiety w łóżku i hałaśliwych siostrzeńców, zwałających się na kark podczas niektórych świąt. Nie mamy bliskich przyjaciół, jeśli nie liczyć wrogów, których szanujemy, a którzy mimo to w każdej chwili mogą strzelić nam w plecy lub podsunąć zręcznie ukrytą truciznę. Musimy żyć w samotności, ponieważ jesteśmy zawodowcami. Nic nas nie łączy z normalnym światem; wykorzystujemy go tylko jako *couverture*, przemykając bocznymi uliczkami i przekupując ludzi, żeby zdradzili nam tajemnice, które potem okazują się nic niewarte.

- W takim razie, dlaczego pan to robi? Dlaczego pan się nie wycofa, skoro to takie beznadziejne?

- Bo mam to we krwi. Zostałem tak wyszkolony. Jest gra i jest przeciwnik. Jeśli ja go nie pokonam, on pokona mnie, a lepiej, żeby było na odwrót.

- To głupota.

- Oczywiście. Wszystko jest głupotą. Ale jeśli tak, to czemu Jason Bourne przyleciał za Szakalem do Paryża? Dlaczego nie powie dosyć i nie wróci do domu? Wystarczy jedno pańskie słowo, żeby otrzymał pan najlepszą ochronę.

- I skazał się na życie w więzieniu. Może pan odwiedzić mnie do miasta? Skontaktuję się z panem, kiedy już znajdę jakiś hotel.

- Najpierw powinien pan zadzwonić do Aleksa.

- Dlaczego?

- Kazał mi to panu przekazać. Coś się stało.

- Gdzie jest telefon?

- Nie teraz. O drugiej czasu waszyngtońskiego. Ma pan jeszcze ponad godzinę. Wcześniej nie zastanie go pan.

- Nie powiedział, o co chodzi?

- Wydaje mi się, że sam usiłuje się dowiedzieć. Sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego.

Pokój w hotelu Pont Royal przy rue Montalembert był mały i znajdował się w mało uczęszczanej części budynku. Żeby się tam dostać, należało wjechać rozklekotaną metalową windą na ostatnie piętro i przejść spory kawałek długim, krętym korytarzem. Bourne nie miał nic przeciwko temu; nasuwały mu się skojarzenia z bezpieczną, ukrytą wysoko w górach jaskinią.

Aby zabić jakiś czas, który pozostał do rozmowy z Alekssem, wybrał się na przechadzkę wzdłuż bulwaru Saint Germain, robiąc przy okazji potrzebne zakupy. Zapas garderoby, jakim dysponował, stawał się coraz bardziej urozmaicony: cienkie koszule, lekka sportowa marynarka, drelichowe spodnie, ciemne skarpetki i tenisówki, wymagające przed użyciem zabrudzenia, by nie świeciły oślepiającą bielą. Zaopatrując się teraz, straci mniej czasu później. Na szczęście nie musiał prosić Bernardine'a o broń; w drodze z lotniska Francuz otworzył w milczeniu schowek, wyjął z niego pudełko z brązowej tektury i wręczył Jasonowi. W środku znajdował się pistolet i dwa opakowania amunicji, a także starannie ułożone trzydzieści tysięcy franków w banknotach o różnych nominałach, będące

równowartością mniej więcej pięciu tysięcy dolarów.

„Do jutra załatwię panu możliwość zdobywania pieniędzy w miarę potrzeb, oczywiście w rozsądnych granicach”.

„Żadnych granic” - pokręcił głową Bourne. „Każę Conklinowi przesłać panu sto tysięcy, a potem następne sto, jeśli będzie trzeba. Proszę mi tylko podać numer konta”.

„Czy to pieniądze Agencji?”

„Nie, moje własne. Dzięki za broń”.

Trzymając w obu rękach torby z zakupami, skierował się z powrotem do hotelu. Za kilka minut w Waszyngtonie wybije druga po południu, czyli ósma wieczorem w Paryżu. Idąc szybko chodnikiem, starał się nie myśleć o nowinach, jakie ma dla niego Aleks, lecz nie potrafił się od tego powstrzymać. Jeżeli coś się stało Marie i dzieciom, chyba po prostu zwariuje! Ale co mogło im się stać? Są już przecież w pensjonacie, czyli najbezpieczniejszym miejscu, jakie istnieje na Ziemi. Na pewno musi chodzić o coś innego. Kiedy wszedł do archaicznej windy i postawił torby na podłodze, sięgając jednocześnie do przycisku, poczuł ostre ukłucie w karku. Wciągnął raptownie powietrze; chyba wykonał zbyt gwałtowny ruch i naciągnął plaster, a może nawet zerwał jeden ze szwów. Na szczęście tym razem było to tylko ostrzeżenie, gdyż nie czuł ciepła sączącej się z rany krwi. Znalazłszy się na ostatnim piętrze, popędził wąskim korytarzem do pokoju, otworzył drzwi, rzucił torby na łóżko i chwycił słuchawkę. Conklin dotrzymał słowa; czekał przy aparacie, bo odebrał telefon po pierwszym sygnale.

- To ja. Co się stało? Czy Marie...

- Nie - przerwał mu Conklin. - Rozmawiałem z nią dwie godziny temu. Wróciła z dziećmi do pensjonatu i jest gotowa mnie zamordować. Nie uwierzyła w ani jedno moje słowo, a ja chyba zaraz skasuję taśmę z naszą rozmową, bo nie słyszałem takich przekleństw od czasów Wietnamu.

- Jest zdenerwowana...

- Ja też - ponownie wpadł mu w słowo Conklin. - Mo zniknął.

- Co takiego?

- Przecież słyszysz. Panov zniknął. Nie ma go, i już.

- Boże, jak to możliwe? Przecież jest pilnowany przez całą dobę!

- Usiłujemy wszystko odtworzyć. Właśnie dlatego mnie nie było, bo kręciłem się po szpitalu.

- Po szpitalu?

- Szpital Waltera Reeda. Mo pojechał tam rano do jakiegoś wojskowego i wszelki ślad po nim zaginął. Obstawa czekała na dole jakieś dwadzieścia minut, a potem poszli go szukać, bo miał napięty rozkład dnia. Powiedziano im, że już wyszedł ze strażnikiem.

- To bez sensu!

- Nawet nie podejrzewasz, jak bardzo. Pielęgniarka oddziałowa twierdzi, że przyszedł do niej jakiś lekarz w mundurze, wylegitymował się, po czym poprosił, żeby przekazała doktorowi Panowowi, że nastąpiła drobna zmiana i że ma opuścić szpital przez wyjście we wschodnim skrzydle, bo przed głównym ma się odbywać jakaś demonstracja. Wschodnie skrzydło ma oddzielne połączenie z oddziałem psychiatrycznym, ale mimo to facet zjechał windą do głównego holu.

- I co?

- I wyszedł, przechodząc tuż koło naszych ludzi.

- Po czym skręcił i obszedł budynek. Nic nadzwyczajnego: wojskowy lekarz z uprawnieniami wchodzi i wychodzi, nikt go nie zatrzymuje... Na litość boską, Aleks, kto to może być? Przecież Carlos leciał wtedy tutaj, do Paryża! W Waszyngtonie załatwił wszystko, co chciał: znalazł mnie, znalazł nas. Nie potrzebował już nic więcej!

- DeSole - odparł spokojnie Conklin. - DeSole wiedział o mnie i o Panowie. Straszylem

Agencję tym, co obaj wiemy, a on przy tym był.

- Nie nadążam za tobą. O czym mówisz?
- DeSole, Bruksela... „Meduza”.
- Dalej nic nie wiem. Wolno myśle.
- To nie on, Davidzie, tylko oni. DeSole został usunięty przez „Meduzę”.
- Do diabła z nimi! Teraz nie mam dla nich czasu!
- Ale oni mają go dla ciebie. Rozbiłeś ich pancerz. Chcą cię dostać.
- Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałem ci już wczoraj: mam tylko jeden cel, który jest tu, w Paryżu, a dokładnie w Argenteuil.
- Chyba wyraziłem się nie dość jasno - powiedział głucho Aleks. - Wczoraj wieczorem byłem u Mo na kolacji. Powiedziałem mu o wszystkim. O pensjonacie, twoim locie do Paryża, Bernardine... O wszystkim!

Były sędzia z Bostonu w stanie Massachusetts stał wśród niewielkiej gromadki żałobników na płaskim szczycie najwyższego wzniesienia Wyspy Spokoju. Cmentarz był miejscem ostatecznego spokoju - *in voce verbatim via amicus curiae*, jak wyjaśnił z powagą władzom na Montserrat. Brendan Patrick Pierre Prefontaine obserwował, jak dwie wspaniałe trumny dostarczone dzięki hojności właściciela Pensjonatu Spokoju zniknęły w ziemi przy wtórze całkowicie niezrozumiałych modłów miejscowego kapłana, bez wątplenia przywykłego trzymać przy takiej okazji w zębach szyję martwego kurczęcia. „Jean Pierre Fontaine” i jego żona zaznali wreszcie ukojenia.

Brendan Prefontaine, balansujący na krawędzi alkoholizmu adwokacina z Harvard Square, znalazł cel życia. Zdumiewające było już choćby to, że cel ów nie miał nic wspólnego z podtrzymywaniem zachodzących w jego ciele przemian chemicznych. Randolph Gates, lord Randolph of Gates, Dandy Randy służący swoją wiedzą najbogatszym, okazał się w rzeczywistości kompletną szmatą, człowiekiem niosącym technię śmierci. W coraz jaśniejszym umyśle Prefontaine'a zaczęły się formować zarysy planu, którego realizacji był świadkiem. Na jasność jego umysłu wpłynął przede wszystkim fakt, że niespodziewanie dla samego siebie postanowił zrezygnować z czterech małych wódek, które do niedawna wypijał codziennie zaraz po przebudzeniu. Gates dostarczył niedoszłym mordercom Webba wszystkich niezbędnych informacji. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie nie miała żadnego znaczenia, w przeciwieństwie do samego faktu. To nie było nic innego jak współdziałanie w morderstwie, wielokrotnym morderstwie. Tym samym jądra Randy'ego znalazły się w imadle, a on w miarę zaciskania szczęk narzędzia wyjawi - musi wyjawić! - wszystkie informacje, jakie mogą się przydać Webbowi i tej wspaniałej, rudowłosej kobiecie, którą Prefontaine powinien był spotkać pięćdziesiąt lat temu.

Odlatywał do Bostonu z samego rana, ale przed pożegnaniem zapytał Johna St. Jacques, czy będzie mógł kiedyś przyjechać do pensjonatu, nie rezerwując wcześniej miejsca.

- Panie sędzio, mój dom jest pańskim domem - brzmiała odpowiedź.
- Kto wie, może nawet kiedyś na to zasłużę...

Albert Armbruster, przewodniczący Federalnej Komisji Handlu, wysiadł z limuzyny przed stromymi schodkami prowadzącymi do drzwi jego domu w dzielnicy Georgetown.

- Proszę skontaktować się rano z biurem - powiedział do kierowcy. - Jak wiesz, nie czuję się najlepiej.
- Tak jest, sir. - Kierowca zatrzasnęła drzwiczki. - Czy trzeba panu pomóc, sir?
- Nie, do diabła. Zabieraj się stąd!
- Tak jest, sir.

Szofer zajął miejsce za kierownicą i ruszył z ogłuszającym rykiem silnika.

Armbruster ruszył w górę po schodkach, krzywiąc się z powodu bólu w żołądku i klatce piersiowej; w pewnej chwili zaklął pod nosem, za przeszklonymi drzwiami dostrzegł bowiem sylwetkę żony.

- Cholerna jędza... - mruknął z wściekłością i sięgnął do klamki, przygotowując się do spotkania ze swoim największym wrogiem.

W ogrodzie okalającym sąsiednią posesję rozległo się przytłumione pyknięcie. Armbruster wyrzucił raptownie w górę obie ręce; dłonie macały rozpaczliwie w powietrzu, jakby usiłując określić przyczynę chaosu, który nagle zapanował w ciele. Było już jednak za późno. Przewodniczący Federalnej Komisji Handlu zachwiał się i runął do tyłu z kamiennych schodów, a po chwili jego potężne ciało znieruchomiło na chodniku w groteskowej pozie.

Bourne wciągnął drelichowe spodnie, włożył ciemną koszulę z krótkim rękawem i bawełnianą, sportową marynarkę, poupychał po kieszeniach pieniądze, broń i dokumenty - zarówno te prawdziwe, jak i fałszywe - po czym wyszedł z hotelu. Jeszcze wcześniej jednak wepchnął pod kołdrę odpowiednio ułożone poduszki i powiesił ubranie w widocznym miejscu na krześle. Minawszy spokojnym krokiem recepcjonistę, wyszedł na ulicę, a tam popędził do najbliższej budki, wrzucił monetę i zadzwonił do Bernardine'a.

- Tu Simon - powiedział.

- Miałem nadzieję, że to pan - odparł Francuz. - Przed chwilą rozmawiałem z Aleksem, ale zakazałem mu mówić, gdzie pan jest. Nie można wygadać czegoś, o czym się nie wie. Mimo to, gdybym był na pana miejscu, zmieniłbym lokal, przynajmniej na jedną noc. Ktoś mógł pana zauważyć na lotnisku.

- A co z panem?

- Postanowiłem przyjąć rolę *canarda*.

- Kaczki?

- Tak, w dodatku siedzącej. Deuxieme cały czas obserwuje moje mieszkanie. Niewykluczone, że będę miał gości. Byłoby to nawet pożądane, *n'est ce pas?*

- Chyba nie powiedział im pan o...

- O panu? - wpadł mu w słowo Bernardine. - Jakże mógłbym, *monsieur*, skoro nic o panu nie wiem? Moi pracodawcy są przekonani, że otrzymałem telefon z pogrózkami od dawnego przeciwnika, o którym wiadomo, że jest psychopata. W rzeczywistości usunąłem go już wiele lat temu, ale nie uznałem za stosowne nikogo o tym poinformować.

- Jest pan pewien, że może mi pan opowiadać o tym przez telefon?

- Chyba już wspomniałem, że to jedyny w swoim rodzaju aparat?

- Owszem.

- Nie można założyć podsłuchu, a mimo to działa... Potrzebuje pan odpoczynku, *monsieur*. Bez tego nie będzie z pana żadnego pożytku. Proszę sobie poszukać jakiegoś łóżka. Niestety, jeśli o to chodzi, nie mogę panu pomóc.

- Odpoczynek również jest bronią - powiedział Jason. Prawda zawarta w tym stwierdzeniu wielokrotnie uratowała mu życie w świecie, którego nienawidził.

- Proszę?

- Nie, już nic. Prześpię się i zadzwonię do pana jutro rano.

- A więc do jutra. *Bonne chance, mon ami*. Dla nas obu.

Bourne wynajął pokój w tanim hoteliku przy rue Gay Lussac. Wpisawszy do książki jakieś zmyślane nazwisko, które natychmiast zapomniał, wspiął się po schodach do pokoju, rozebrał i padł jak długi na łóżko. Odpoczynek również jest bronią, pomyślał, wpatrując się w

sufit, po którym przesuwały się migoczące światła paryskich ulic. Wszystko jedno, czy był to odpoczynek w położonej wysoko w górach jaskini, czy na ryżowym poletku w delcie Mekongu; zawsze był bronią znacznie bardziej groźną niż ogień pistoletów maszynowych. Tę lekcję wbił mu do głowy d'Anjou, który w podpekińskim lesie oddał życie za Jasona Bourne'a. To prawda, pomyślał Bourne, dotykając spowijającego szyję bandaża i zapadając w sen.

Budził się powoli, stopniowo przytomniejąc. W okno uderzał hałas pobliskiej ulicy. Dźwięki klaksonów rozlegały się niczym gniewne krakanie wron, zagłuszając nieregularny warkot niezliczonych silników. Kolejny, zwyczajny poranek na wąskich uliczkach Paryża. Starając się nie przechylać głowy, Jason usiadł na zbyt krótkim łóżku i spojrzął na zegarek. Zamarł na chwilę w bezruchu, zdumiony i niepewny, czy ustawił go według miejscowego czasu. Oczywiście, że tak. Było siedem po dziesiątej. Przespał jedenaście godzin, o czym świadczyło także głośnie burczenie w żołądku. Fizyczne wyczerpanie ustąpiło miejsca ostremu uczuciu głodu.

Jedzenie musiało jednak poczekać. Miał pilniejsze sprawy, przede wszystkim nawiązanie kontaktu z Bernardine'em, a następnie sprawdzenie bezpieczeństwa hotelu Pont Royal. Wstał niepewnie z łóżka, pokonując odrętwienie kończyn. Przydałby mu się gorący prysznic, a potem chwila ćwiczeń, żeby rozruszać oporne ciało; jeszcze kilka lat temu doskonale obszedłby się bez tego. Wyciągnął z kieszeni portfel, wyjął z niego wizytówkę Bernardine'a i podniósł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

- Niestety, *le canard* nie miał żadnych gości - powiedział weteran Deuxieme Bureau. - Nie dostrzegł również żadnych myśliwych, co chyba należy uznać za pozytywną wiadomość.

- Dopiero wtedy, kiedy znajdziemy Panova. Kiedy ja go znajdę. Sukinsyny!

- Trzeba się liczyć z takimi rzeczami. Stanowią nieodłączną część naszej pracy.

- Do cholery, nie mogę powiedzieć, że trzeba się liczyć z takimi rzeczami i zapomnieć o Mo!

- Nie wymagam tego od pana, tylko przypominam o rzeczywistości. Pańskie uczucia są bardzo ważne, ale jej nie zmienią. Przepraszam, jeśli pana uraziłem.

- To ja przepraszam, że się uniosłem. Proszę mi wierzyć, to naprawdę nie jest zwyczajny człowiek.

- Rozumiem... Jakie ma pan teraz plany? Czego pan potrzebuje?

- Jeszcze nie wiem - odparł Bourne. - Wezmę samochód z garażu i za godzinę lub dwie powinienem wiedzieć coś więcej. Będzie pan w domu czy w biurze?

- Dopóki się pan nie odezwie, w domu, przy moim specjalnym telefonie. Ze względu na okoliczności wolałbym, żeby nie dzwonił pan do biura.

- Przyznam, że to dość dziwne życzenie.

- Nie znam teraz wszystkich, którzy tam pracują, a w moim wieku ostrożność jest często nie tyle nieodłącznym składnikiem męstwa, co jego substytutem. Poza tym, gdybym tak szybko zrezygnował z ochrony, o którą prosiłem, wywołałbym plotki na temat stanu mego umysłu... Do usłyszenia, *mon ami*.

Jason odłożył słuchawkę. Zwalczył pokusę, żeby podnieść ją ponownie i zadzwonić do hotelu Pont Royal; to był Paryż, miasto dyskrecji, gdzie recepcjoniści nigdy nie udzielali informacji przez telefon, zwłaszcza osobom, których nie znali. Ubrał się szybko, zszedł na dół, zapłacił za pokój i wyszedł na rue Gay Lussac. Na rogu znajdował się postój taksówek. Osiem minut później Bourne wkroczył do hotelu Pont Royal i podszedł do recepcjonisty.

- *Je m'appelle monsieur Simon* - przedstawił się, podając dodatkowo numer swojego pokoju. - Wczoraj wieczorem spotkałem starą znajomą i zostałem u niej na noc - mówił dalej płynną francuszczyzną. - Nie wie pan, czy przez ten czas ktoś dzwonił do mnie albo chciał się ze mną widzieć? - Spoglądając znacząco na stojącego za ladą mężczyznę, Bourne wyjął z kieszeni kilka banknotów o wysokich nominałach. - A jeśli nie ze mną, to może z kimś bardzo

do mnie podobnym?

- *Merci bien, monsieur*,.. Rozumiem. Zapytam kolegę z nocnej zmiany, ale jestem pewien, że gdyby ktoś o pana pytał, zostawiłby mi wiadomość.

- Dlaczego jest pan tego pewien?

- Bo zostawił mi inną, także dotyczącą pana. Dzwoniłem do pańskiego pokoju od siódmej rano, jak tylko przyszedłem do pracy.

- Co to za wiadomość? - zapytał Jason, wstrzymując oddech.

- Zaraz panu przeczytam: „Niech zadzwoni do przyjaciela w Stanach. Telefonował całą noc”. Zapewniam pana, że to prawda, *monsieur*. Ostatni telefon był nie dalej niż pół godziny temu.

- Pół godziny...? - Jason zerknął szybko na zegarek. - W Stanach jest teraz piąta rano... Powiada pan, że całą noc?

Recepcjonista skinął głową, ale Bourne już tego nie zauważył, bo ruszył szybkim krokiem w kierunku windy.

Na litość boską, Aleks, co się stało? Powiedzieli mi, że dzwoniłeś przez całą...

- Jesteś w hotelu? - przerwał mu Conklin.

- Tak.

- Więć idź do najbliższej budki i zadzwoń do mnie jeszcze raz. Pośpiesz się.

Znowu archaiczna, powolna winda; hol wypełniony gadającymi jeden przez drugiego paryżanami; rozpalona letnim słońcem ulica, kipiąca od nieprawdopodobnie intensywnego ruchu. Gdzie jest jakiś automat telefoniczny? Bourne szedł szybko w kierunku Sekwany, rozglądając się we wszystkie strony. Tam! Czerwona budka po przeciwnej stronie rue du Bac, o szybach zaklejonych kolorowymi plakatami.

Lawirując między trąbiącymi wściekle samochodami osobowymi i furgonetkami, przedarł się na drugą stronę ulicy, wpadł do budki, chwycił słuchawkę, włożył monetę i po kilkudziesięciu doprowadzających do szału sekundach straconych na wyjaśnienie panience z centrali międzynarodowej, że nie dzwoni do Austrii, został wreszcie połączony z miejscowością Vienna w stanie Wirginia.

- Dlaczego nie mogłem rozmawiać z hotelu? - zapytał gniewnie bez żadnych wstępów.

- Przecież dzwoniłem stamtąd wczoraj wieczorem!

- Wczoraj było wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj.

- Masz jakieś wiadomości o Mo?

- Jeszcze nie, ale niewykluczone, że tamci popełnili błąd. Chyba dostaniemy tego wojskowego lekarza.

- Wyciśnijcie z niego wszystko!

- Z przyjemnością. W razie potrzeby odepnę protezę i będę nią okładał go po twarzy tak długo, aż zacznie mówić.

- Ale chyba nie dlatego dzwoniłeś do mnie przez całą noc?

- Nie, nie dlatego. Wczoraj spędziłem pięć godzin u Petera Hollanda. Poszedłem do niego zaraz po naszej rozmowie. Zareagował dokładnie tak, jak się spodziewałem, ale użył jeszcze cięższej artylerii.

- Chodzi o „Meduzę”?

- Tak. Uparł się, żebyś natychmiast wracał. Jesteś jedynym człowiekiem, który wie wszystko na ten temat. To rozkaz.

- Niech mnie pocałuje w dupę! Nie muszę słuchać żadnych jego rozkazów!

- Ale on może odciąć cię od wszelkiej pomocy, a ja nie będę w stanie nic zrobić. Po prostu nie dostarczy ci tego, czego będziesz potrzebował.

- Bernardine obiecał, że mi pomoże. Powiedział, że zorganizuje mi wszystko, co będę

chciał.

- Bernardine ma ograniczone możliwości. Może powoływać się na stare długi, tak jak ja, ale bez dostępu do maszynarii nie na wiele ci się przyda.

- Powiedziałaś Hollandowi, że spisuję wszystko, co wiem, każde wydarzenie, którego byłem świadkiem, i odpowiedź na każde pytanie, jakie zadałem?

- A robisz to?

- Zrobię.

- Nie kupi tego. Chce cię osobiście przesłuchać, a zawsze powtarza, że nie można przesłuchiwać kartek papieru.

- Jestem już zbyt blisko Szakala! Nie zrobię tego. Cholerny, zakuty łeb!

- Wydaje mi się, że usiłował cię zrozumieć - odparł Conklin. – Zdaje sobie sprawę z tego, co przeszedłeś i co teraz przechodzisz, ale wczoraj o siódmej wieczorem sprawy się pokomplikowały.

- Dlaczego?

- Armbruster został zastrzelony przed swoim domem. Oficjalnie podano, że chodziło o próbę włamania, co oczywiście nie ma nic wspólnego z prawdą.

- Boże!

- Jest jeszcze kilka innych spraw, o których powinieneś wiedzieć. Przede wszystkim ujawniamy „samobójstwo” Swayne'a.

- Na litość boską, dlaczego?

- Żeby ten, kto go zabił, myślał, że już go nie szukamy, a także po to, by zobaczyć, kto pojawi się w ciągu najbliższego tygodnia.

- Na pogrzebie?

- Nie. Ceremonia będzie kameralna, wyłącznie z udziałem najbliższej rodziny.

- Więc gdzie ma się pojawić?

- W jego posiadłości. Nawiązaliśmy oficjalnie kontakt z prawnikiem Swayne'a, który potwierdził, że generał zapisał swój majątek pewnej fundacji.

- Jakiej? - zapytał Bourne.

- Nigdy o niej nie słyszałeś. Została założona kilka lat temu przez za możliwych przyjaciół pana generała. To naprawdę bardzo wzruszające. Ma na celu zapewnienie emerytowanym żołnierzom spokojnej, godnej starości. Zarząd już się zebrał, żeby omówić plan działania.

- „Meduza”...

- Albo ludzie, których sobie kupiła. Wkrótce się przekonamy.

- Aleks, co z tymi nazwiskami? Wyciągnąłem przecież od Flannagana pięć czy sześć nazwisk uczestników zebrań i numery rejestracyjne ich wozów.

- To było bardzo sprytne - zauważył tajemniczo Conklin.

- Co było sprytne?

- Te nazwiska. Należą do tych trochę niższych wyższych sfer, nie mają nic wspólnego z elitą Georgetown. Można je znaleźć w „National Enquirer”, nie w „Washington Post”.

- A numery rejestracyjne, spotkania...? Musi w tym coś być!

- Owszem, kupa gówna - odparł Aleks. - To było jeszcze sprytniejsze. Wszystkie limuzyny należały do firm wynajmujących samochody. Nie muszę ci chyba mówić, jak prawdziwe okazałyby się nazwiska ludzi, którzy nimi wtedy jeździli, nawet gdyby jakimś cudem udało nam się do nich dotrzeć?

- A cmentarz? Przecież tam jest cmentarz!

- Gdzie? Duży czy mały? Teren ma ponad dwadzieścia osiem akrów, więc...

- Zaczniście szukać!

- Żeby zdradzić, co wiemy?

- Masz rację. Dobrze to rozgrywasz... Powiedz Hollandowi, że nie mogłeś mnie złapać.

- Chyba żartujesz.
- Wcale nie. Załatwię to z recepcjonistą. Podaj Hollandowi nazwę hotelu i powiedz mu, żeby sam zadzwonił albo przysłał kogoś z ambasady. Recepcjonista przysięgnie na wszystko, że wczoraj wynająłem pokój i od tej pory nikt nie widział mnie na oczy. Telefonistka to potwierdzi. Załatw mi jeszcze kilka dni, błagam cię!
- Holland i tak cię odetnie.
- Nie zrobi tego, jeśli będzie myślał, że wrócę, jak tylko mnie znajdziesz. Zależy mi tylko na tym, żeby dalej szukał Mo i trzymał w tajemnicy moją obecność w Paryżu. Wszystko jedno, czy mnie lubi, czy nie, ale nie ma mnie tu, i już!
- Spróbuję.
- Masz dla mnie coś jeszcze? Czekam na Ciebie sporo roboty.
- Tak. Casset leci rano do Brukseli, żeby przycisnąć Teagartena. Możemy mu pozwolić, bo to przecież nie ma nic wspólnego z tobą.
- Zgoda.

Do krawężnika w bocznej uliczce w Anderlechcie, trzy mile na południe od Brukseli, podjechała wojskowa limuzyna z poręcznikiem z generalskim dystynkcjami i zatrzymała się przed wejściem do jednej z kawiarenek. Z samochodu wyskoczył dziarsko generał James Teagarten, głównodowodzący NATO w mundurze ozdobionym pięcioma rzędami barettek, po czym odwrócił się i podał rękę olśniewająco pięknej pani major, która uśmiechnęła się i wysiadła z pojazdu. Teagarten z wojskową galanterią podsunął jej ramię, po czym obydwójce weszli do zalanego słońcem kawiarnianego ogródka, przyozdobionego różnobarwnymi parasolami i donicami kolorowych kwiatów. Wszystkie stoliki były zajęte, z wyjątkiem jednego, stojącego w najodleglejszym kącie. Jedynymi odgłosami, które od czasu do czasu zakłócały szmer rozmów, były delikatne podzwanianie kieliszków o butelki z winem i brzęk sztuczków odkładanych na zastawę z chińskiej porcelany. W momencie pojawienia się generała rozmowy nagle ucichły, by po chwili ustąpić miejsca wzmożonemu szmerowi pozdrowień i życzliwych uwag, którym towarzyszyły równie przyjazne gesty. Teagarten uśmiechnął się dobrotliwie do wszystkich i do nikogo konkretnie i poprowadził swą towarzyszkę w kierunku pustego stolika zaopatrzonego w karteczkę z dyskretnym napisem „Reserve”.

Właściciel natychmiast poześlował między stolikami, aby powitać znakomitego gościa, ciągnąc za sobą dwóch przypominających wystraszone czaple kelnerów. Kiedy generał zajął miejsce, na stole pojawiła się butelka schłodzonego Corton-Charlemagne i przystąpiono do ustalania menu. Mały belgijski chłopiec, najwyżej pięcio- lub sześćioletni, zbliżył się nieśmiało i uniósł dłoń do czoła, oddając generałowi honory. Teagarten wstał z krzesła, wyprężył się i również zasalutował.

- *Vous etes un soldat distingue, mon camarade* - powiedział. Jego donośny głos przebił się bez trudu przez szmer rozmów, a promienny uśmiech podbił serca gości. Chłopiec wrócił do rodziców i spokojnie kontynuowano posiłek.

Mniej więcej w godzinę później do stolika zajmowanego przez Teagartena i jego towarzyszkę podszedł kierowca generała. Na jego twarzy malował się wyraz podekscytowania. Ktoś chciał się skontaktować z dowódcą NATO przez zainstalowany w jego samochodzie, zabezpieczony przed podsłuchem telefon, a kierowca był dostatecznie przytomny, żeby zapisać przekazaną informację i dla pewności jeszcze głośno powtórzyć jej treść. Teraz wręczył notkę generałowi. Generał wstał, jego opalona twarz pobladła. Zwężone z gniewu i strachu oczy spojrzały na opustoszały już kawiarniany ogródek. Sięgnął do kieszeni po zwitek belgijskich banknotów, z których kilka miało dość wysokie nominały, i nie licząc położył je na stoliku.

- Musimy iść - powiedział do pani major. - Idź i uruchom samochód - zwrócił się do kierowcy.

- O co chodzi? - zainteresowała się kobieta.
- Wiadomość z Londynu. Armbruster i DeSole nie żyją.
- Mój Boże! Jak to się stało?
- Nieważne. Wszystko, co mówią na ten temat, to i tak na pewno nie prawda.
- Co teraz zrobimy?
- Nie wiem. Na razie musimy stąd iść. Pośpiesz się!

Generał i kobieta przeszli szybko przez ogródek, wyszli na ulicę i wsiedli do limuzyny. W wyglądzie samochodu zaszła pewna zmiana; kierowca usunął proporczyki świadczące o wysokiej randze podróżującego nim oficera. Samochód ruszył z piskiem opon, lecz zdążył przejechać nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Potężna eksplozja rozniosła pojazd na strzępy, rozrzucając na wąskiej uliczce porozrywane fragmenty metalu, odpryski szkła i zakrwawione kawałki ciała.

Monsieur! - wykrzyknął przerażony kelner, kiedy oddziały straży pożarnej i sanitariusze przystąpili już do okropnej pracy na ulicy.

- O co chodzi? - zapytał drżącym głosem właściciel lokalu, wciąż jeszcze nie mogąc dojść do siebie po ostrym przesłuchaniu przez policję i wcale nie łagodniejszym przez gromadę dziennikarzy. - Jestem zrujnowany! - jęknął. - Od dzisiaj nikt nie będzie nazywał nas inaczej niż *Cafe de la Mort*, kawiarnia śmierci!

- Niech pan spojrzy, *monsieur!* - wykrztusił kelner, wskazując na stolik, przy którym jeszcze nie tak dawno siedział generał.

- Policja już wszystko oglądała - odparł nieszczęśliwy właściciel.

- Nie, *monsieur!* Proszę patrzeć!

Na szklanym blacie widniały duże litery napisane jaskrawą szminką: JASON BOURNE

Rozdział 20

Oszołomiona Marie wpatrywała się w ekran telewizora, oglądając retransmitowane z Miami wiadomości jednego z kanałów telewizji satelitarnej. W pewnej chwili przeraźliwie krzyknęła, gdyż kamerzysta wykonał bliskie ujęcie napisu na szklanym blacie stolika w jednej z kawiarni w miejscowości Anderlecht pod Brukselą.

- Johnny!

St. Jacques wpadł do sypialni swego apartamentu, który urządził na pierwszym piętrze głównego budynku pensjonatu.

- Boże, co to jest?

Z twarzą mokrą od łez Marie wskazała bezsilnie na ekran. Reporter mówił szybko i monotonicznie, w sposób charakterystyczny dla dziennikarzy obsługujących satelitarne transmisje na żywo.

- ..jakby krwawy zbrodniarz z przeszłości powrócił raz jeszcze, żeby terroryzować cywilizowane społeczeństwo. Otoczony ponurą sławą morderca Jason Bourne, ustępujący na rynku zabójców jedynie Carlosowi, przyjął na siebie odpowiedzialność za śmierć generała Jamesa Teagartena i podróżujących z nim osób. Ze źródeł zbliżonych do wywiadu w Waszyngtonie i Londynie oraz od władz policyjnych napływają sprzeczne informacje. Waszyngton twierdzi, iż morderca posługujący się nazwiskiem Jason Bourne został przed pięciu laty zgładzony w Hongkongu w wyniku wspólnej, amerykańsko-brytyjskiej akcji. Jednocześnie przedstawiciele Foreign Office i brytyjskiego wywiadu zaprzeczają, jakoby mieli kiedykolwiek coś wspólnego z taką operacją i utrzymują, że przeprowadzenie podobnej akcji byłoby raczej niemożliwe. Z kolei z kwatery głównej Interpolu w Paryżu napłynęły informacje o tym, jakoby placówka tej organizacji w Hongkongu wiedziała o rzekomej śmierci Jasona Bourne 'a, lecz ze względu na trudności z identyfikacją i interpretacją szeroko rozpowszechnianych fotografii nie przywiązywała do niej większej wagi. Pracujący tam wówczas agenci przypuszczali raczej, że Jason Bourne zniknął na terenie Chińskiej Republiki Ludowej, gdzie przyjął ostatnie, fatalne dla siebie w skutkach zlecenie. W tej chwili wiemy tylko tyle, że generał James Teagarten, głównodowodzący NATO, zginął w wyniku zamachu bombowego dokonanego w spokojnym miasteczku Anderlecht w Belgii, a odpowiedzialność za to zabójstwo wziął na siebie ktoś podający się za Jasona Bourne 'a. Obecnie pokazemy państwu portret pamięciowy sporządzony przez pracowników Interpolu na podstawie zeznań tych, którzy mieli okazję widzieć Bourne'a z bliskiej odległości. Proszę pamiętać, że jest to jedynie portret pamięciowy, złożony z fragmentów poprzednio sporządzanych portretów i raczej pozbawiony wielkiej wartości, jeśli zważyć na słynny talent zabójcy do błyskawicznego i częstego zmieniania wyglądu.

Na ekranie pojawiła się lekko nieregularna i doskonale nijaka twarz mężczyzny.

- To nie jest David! - wykrzyknął John St. Jacques.

- Ale mógłby być - odparła jego siostra.

- A teraz przechodzimy do innych wiadomości. Susza, która spustoszyła znaczne obszary Etiopii...

- Wyłącz to cholerne pudło! - krzyknęła Marie i zerwała się z fotela, kierując w stronę telefonu. - Gdzie jest numer Conklina? Zostawiłam go gdzieś na biurku... O, jest. Ten sukinsyn, święty Aleks, będzie mi musiał sporo wyjaśnić! - Wykręciła numer gniewnymi, ale pewnymi ruchami, po czym usiadła w stojącym przy biurku fotelu, bębniąc palcami w gruby blat. Po jej policzkach popłynęły łzy bólu i wściekłości. - To ja, ty draniu! - wybuchnęła, kiedy uzyskała połączenie. - Zabiełeś go! Pozwoliłeś mu tam pojechać... Pomogłeś mu i

zabiłeś go!

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, Marie - odpowiedział spokojnie Conklin. - Mam na drugiej linii Paryż.

- Pieprzę Paryż! Gdzie on jest? Wydostań go!

- Wierz mi, cały czas usiłujemy go znaleźć. Mamy tu prawdziwe piekło. Anglicy chcą dobrać się Hollandowi do dupy za to, że wspomniał o naszych kontaktach na Dalekim Wschodzie, a Francuzi są wściekli z powodu specjalnego ładunku Deuxieme na pokładzie jednego z samolotów, na który najpierw się nie zgodzili, a który w końcu i tak do nich trafił. Zadzwoń do ciebie później, przysięgam!

Conklin przerwał rozmowę, a Marie z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widelki.

- Lecę do Paryża, Johnny - oświadczyła, odetchnąwszy głęboko kilka razy i otarłszy łzy.

- Co takiego?

- To, co słyszałeś. Sprowadź tu panią Cooper. Radzi sobie z Alison lepiej ode mnie, a Jamie wprost za nią przepada. Zresztą, co w tym dziwnego? Wychowała siedmioro dzieci, które odwiedzają ją co niedziela, choć to już dorośli ludzie.

- Oszalałaś! Nie pozwolę ci na to!

- Mam wrażenie, że to samo powiedziałeś Davidowi, kiedy oznajmił ci, iż leci do Paryża - wycodziła Marie, miażdżąc brata spojrzaniem.

- Oczywiście!

- Ale go nie powstrzymałeś, tak samo jak nie uda ci się mnie powstrzymać.

- Powiedz mi chociaż, dlaczego?

- Dlatego, że znam w Paryżu wszystkie miejsca, które on zna, każdą ulicę, kawiarnię, każdą alejkę od Sacre Coeur do Montmartre'u. Z pewnością właśnie tam będzie można go znaleźć, a mnie uda się to znacznie szybciej niż Deuxieme albo Surete.

Zadzwoił telefon. Marie podniosła słuchawkę.

- Obiecałem ci, że się odezwę - usłyszała głos Aleksa Conklina. - Bernardine miał pewien interesujący pomysł.

- Kto to jest Bernardine?

- Mój stary znajomy z Deuxieme i zarazem dobry przyjaciel, który pomaga Davidowi.

- Co to za pomysł?

- Zorganizował Jasonowi... To znaczy, Davidowi, samochód. Zna jego numer rejestracyjny i przekazał go wszystkim patrolom policji w Paryżu. Mają natychmiast meldować, gdyby go zauważyli, ale nie wolno im go zatrzymywać ani niepokoić.

- Myślisz, że Jason... że David niczego nie zauważy? Masz chyba jeszcze gorszą pamięć od niego.

- To tylko jedna możliwość. Są jeszcze inne.

- Na przykład?

- Na przykład taka, że zadzwoni do mnie. Na pewno to zrobi, jak tylko dowie się o Teagartenie.

- Dlaczego?

- Żebym go stamtąd wyciągnął.

- Teraz, kiedy ma Carlosa w zasięgu ręki? Mocno w to wątpię. Mam lepszy pomysł: lecę do Paryża.

- Nie wolno ci tego zrobić!

- Ani myślę dłużej wysłuchiwać takich rzeczy! Pomożesz mi czy mam się sama wszystkim zająć?

- We Francji nie potrafiłbym nawet kupić znaczka pocztowego z automatu, a Hollandowi nie podaliby adresu wieży Eiffla.

- Czyli będę działała na własną rękę. Jeśli mam być szczerą, od razu czuję się

bezpieczniej.

- Co zamierzasz zrobić, Marie?

- Nie będę ci powtarzać całej litanii, ale mam zamiar odwiedzić wszystkie miejsca, w których byliśmy, z których korzystaliśmy poprzednim razem. On na pewno tam się zjawi. Musi, bo jak wy to nazywacie były czyste, więc do nich wróci, bo nie będzie miał żadnego wyboru.

- Niech Bóg ci błogosławi.

- On nas opuścił, Aleks. Bóg nie istnieje.

Prefontaine wyszedł przed gmach dworca lotniczego Logan w Bostonie i uniósł rękę, żeby zatrzymać taksówkę. Musiał chwilę zaczekać, gdyż nie był jedynym, który to uczynił. Przed zajęciem miejsca w samochodzie rozejrzał się dookoła; przez trzydzieści lat sporo się tu zmieniło. Lotniska zamieniły się w coś w rodzaju ogromnych stołówek, gdzie trzeba było czekać w kolejce nie tylko po nędzny stek, ale i po taksówkę.

- Ritz-Carlton - rzucił kierowcy.

- Nie ma pan bagażu? - zapytał taksówkarz. - Tylko tę małą torbę?

- Nie mam - odparł Prefontaine, po czym dodał, nie mogąc sobie odmówić tej przyjemności: - Nie wożę ze sobą garderoby. Ona na mnie czeka.

- Ja cię kręcę... - mruknął kierowca, po czym przycesał włosy dużym grzebieniem z częściowo powyłamywanymi zębami i włączył się do ruchu.

- Czy ma pan rezerwację, sir? - zapytał wyfraczony recepcjonista w Ritzu.

- Mam nadzieję, że zatroszczył się o to któryś z moich urzędników. Nazywam się Scofield, sędzia William Scofield z Sądu Najwyższego. Chyba nie zgubiliście mojej rezerwacji? Teraz, kiedy tyle się mówi o ochronie praw konsumenta...

- Sędzia Scofield...? Na pewno gdzieś tutaj jest, sir...

- Zależało mi specjalnie na apartamencie 3-C. Powinniście to mieć w komputerze.

- 3-C jest zajęty...

- Co takiego?

- Nie, nie, pomyliłem się, panie sędzio... Oni jeszcze nie przyjechali... To znaczy, na pewno zaszła jakaś pomyłka... Umieścimy ich w innym pokoju. - Recepcjonista nacisnął przycisk dzwonka. - Boy!

- Nie trzeba, młody człowieku. Podróżuję bez bagaży. Proszę tylko dać mi klucz i wskazać, którędy mam iść.

- Oczywiście, sir!

- Mam nadzieję, że w pokoju znajdę jak zwykle kilka butelek jakiejś przyzwoitej whisky?

- Jeżeli ich nie będzie, sir, natychmiast przyślemy. Ma pan konkretne życzenia?

- Ma być po prostu dobra, czerwone i czarne nalepki. Białe są dla gówniarzy, prawda?

- Tak jest, sir.

Dwadzieścia minut później, ze świeżo umytą twarzą i drinkiem w dłoni, Prefontaine podniósł słuchawkę i wykręcił numer doktora Randolpha Gatesa.

- Tu rezydencja państwa Gates - odezwał się kobiecy głos.

- Daj spokój, Edie. Poznałbym twój głos nawet pod wodą, choć to było już prawie trzydzieści lat temu.

- Ja także znam pański głos, ale nie mogę sobie skojarzyć...

- Nie przypominasz sobie młodego adiunkta na wydziale prawa, usiłującego wycisnąć siódme poty z twojego męża, który jednak nic sobie z tego nie robił i chyba słusznie, bo jakiś czas potem wylądowałem w pace? Byłem pierwszym sędzią okręgowym, którego tak załatwiono, a najgorsze jest to, że całkowicie słusznie.

- Brendan? Dobry Boże, to naprawdę ty! Nigdy nie uwierzyłam w te wszystkie okropne

rzeczy, które o tobie wygadywano.

- A powinnaś, moja droga, bo to była prawda. Teraz muszę jednak po rozmawiać z naszym lordem. Jest w domu?

- Chyba tak, choć szczerze mówiąc, nie jestem pewna. Ostatnio niezbyt często się do mnie odzywa.

- Sprawy nie układają się zbyt dobrze, kochanie?

- Bardzo chciałabym z tobą porozmawiać, Brendan. On ma okropny problem, o którym wcześniej nic nie wiedziałam.

- Podejrzałam coś takiego, Edie. Oczywiście porozmawiamy, ale na razie muszę zamienić parę słów z nim. Natychmiast.

- Zawiadomię go przez interkom.

- Tylko nie mów mu, że to ja, Edith. Powiedz, że dzwoni człowiek nazwiskiem Blackburne z wyspy Montserrat na Karaibach.

- Proszę?

- Zrób, co mówię, śliczna Edie. To dla jego dobra, a także dla twojego... Chyba nawet bardziej dla twojego, jeśli okaże się, że to wszystko prawda.

- On jest chory, Brendan.

- Owszem. Spróbujemy go wyleczyć. Daj go na linię.

- Nie rozłączaj się.

Cisza trwała nieskończenie długo: co najmniej dwie minuty, które ciągnęły się jak dwie godziny, aż wreszcie w słuchawce rozległ się zachrypnięty głos Randolpha Gatesa.

- Kim pan jest? - warknął powszechnie szanowany autorytet prawniczy.

- Uspokój się, Randy. To tylko ja, Brendan. Edith nie poznała mojego głosu, ale ja poznałem jej. Ty zawsze miałeś szczęście.

- Czego chcesz? O co chodzi z tą Montserrat?

- Właśnie stamtąd wróciłem i...

- Wróciłeś?!

- Pomyślałem sobie, że przydałoby mi się trochę wypoczynku.

- Nie wierzę... - wyszeptał rozpaczliwie Gates przez ściśnięte gardło.

- Lepiej, żebyś uwierzył, bo to prawda, która zmieni teraz całe twoje życie. Otóż spotkałem tam kobietę z dwojgiem dzieci, którą tak bardzo się interesowałeś... Pamiętasz ją? To fascynująca historia i chciałbym, żebyś usłyszał ją ze wszystkimi szczegółami. Miałeś zamiar ich zabić, Dandy Randy, a to nieładnie. Bardzo nieładnie.

- Nie wiem, o czym mówisz! Nigdy nie słyszałem ani o Montserrat, ani o żadnej kobiecie z dwojgiem dzieci! Jesteś cholernym, bredzącym od rzeczy pijakiem i zaprzeczę wszystkim twoim szaleńczym oskarżeniom, udowadniając, że to tylko majaczenia przestępcy alkoholika!

- Dobrze powiedziane. Niestety, sedno twoich kłopotów tkwi nie w moich oskarżeniach, lecz w Paryżu.

- W Paryżu?

- Dokładniej mówiąc, chodzi o pewnego człowieka, o którym myślałem, że jest jedynie fikcyjną postacią, ale okazało się, że to prawdziwa osoba. Nie będę ci teraz dokładnie opowiadał, jak do tego doszło, tylko wspomnę, że na Montserrat wzięto mnie za ciebie.

- Za mnie? - Prefontaine musiał wyteńczyć słuch, żeby dosłyszeć drżący szept Gatesa.

- Tak. Niezwykle, prawda? Całe nieporozumienie zaczęło się chyba wtedy, kiedy ów człowiek z Paryża zadzwonił do ciebie tutaj, do Bostonu, a ktoś poinformował go, że wyjechałeś. Obaj dysponujemy nadzwyczaj bystrymi, inteligentnymi umysłami, obaj interesowaliśmy się kobietą z dwojgiem dzieci, więc nic dziwnego, że pomyłono nas ze sobą.

- Co się właściwie stało?

- Uspokój się, Randy. W tej chwili tamten człowiek myśli, że nie żyjesz.

- Że co?
- Usiłował mnie zabić. To znaczy, ciebie. Za niedotrzymanie umowy.
- O, Boże!
- Kiedy się dowie, że żyjesz i objadasz się w Bostonie różnymi smakołykami, uderzy ponownie, ale tym razem nie popełni błędu.
- Jezus, Maria!
- Zdaje się jednak, że istnieje pewne wyjście z tej sytuacji, i właśnie dlatego musisz się koniecznie ze mną spotkać. Tak się przypadkowo składa, że mieszkam w Ritzu w tym samym apartamencie co ty, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem. 3-C. Wystarczy wsiąść na dole do windy. Bądź tu dokładnie za pół godziny, ale pamiętaj, że strasznie nie lubię, kiedy ktoś się spóźnia, bo narusza to mój rozkład dnia, a jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Aha, przy okazji: moje honorarium wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów za godzinę lub każdą jej część, więc nie zapomnij zabrać ze sobą pieniędzy. Dużo pieniędzy. W gotówce.

Jestem gotowy, pomyślał z zadowoleniem Bourne, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Ostatnie trzy godziny spędził na przygotowaniach do podróży do Argenteuil, do restauracji noszącej nazwę Le Coeur du Soldat, skrzynki kontaktowej Kosa, czyli Szakala. Kameleon dostosował swój strój do miejsca, w którym miał się znaleźć: ubranie było zwyczajne, ciało i twarz raczej nie. To pierwsze zdobył w sklepach z używaną odzieżą na Montmartrze, gdzie kupił sprane spodnie, wojskową koszulę i wyblakłą wstążkę odznaczenia przyznawanego w czasie wojny żołnierzom, którzy odnieśli rany na polu bitwy. To drugie wymagało przefarbowania włosów, jednodniowego zarostu i jeszcze jednego bandaża, zaciśniętego na kolanie z taką siłą, że nawet gdyby chciał, nie udałoby mu się zapomnieć o powłóczeniu nogą, które starannie przeciwiczył i błyskawicznie opanował. Włosy i brwi były teraz ciemnorude, brudne i zaniedbane; wygląd ten pasował jak ulał do otoczenia, w którym obecnie Jason przebywał, to znaczy do taniego hoteliku na Montparnasse, gdzie recepcjonista i właściciel pragnęli za wszelką cenę ograniczyć do minimum kontakty z klientami.

Rana na karku bardziej go teraz irytowała, niż przeszkadzała mu; albo zdążył się już przyzwyczaić do opatrunku, albo rozpoczął się proces gojenia. Ograniczona swoboda ruchów mogła mu być bardzo przydatna w nowym przebraniu: zgorzkniały, niepełnosprawny weteran, zapomniany przez ojczyznę, o której wolność walczył. Jason wsadził do kieszeni spodni otrzymany od Bernardine'a pistolet, przeliczył pieniądze, sprawdził, czy ma kluczyki do samochodu i myśliwski nóż, schowany pod koszulą, po czym otworzył drzwi i utykając wyszedł z małego, brudnego, przygnębiającego pokoiku. Następny przystanek stanowił niepozorny peugeot w podziemnym garażu niedaleko placu Vendome.

Znalazłszy się na ulicy, ruszył przed siebie na piechotę, doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, iż gdyby w tej części Montparnasse wsiadł do taksówki, natychmiast zwróciłby na siebie uwagę. Na rogu ulicy, koło kiosku z prasą, dostrzegł jakieś zamieszanie. Ludzie wykrzykiwali coś w podnieceniu, gestykulując i pokazując sobie trzymane w rękach gazety. Wiedziony instynktem przyśpieszył kroku, podszedł do kiosku, rzucił monetę i wziął jedną z wyłożonych gazet.

Kiedy spojrzął na wydrukowany ogromną czcionką tytuł, przestał na chwilę oddychać i o mało nie zatoczył się pod wpływem doznanego wstrząsu. Teagarten zabity! Zabójcą Jason Bourne! Jason Bourne! Szaleństwo! Co się stało? Czyżby znowu zaczynało się to wszystko, przez co przeszedł w Hongkongu i Makau? Czyżby zaczął tracić resztę zdrowych zmysłów? A może to sen, koszmar tak wyrazisty i podobny do rzeczywistości, że wreszcie stał się nią, zamykając Webba w pułapce bez wyjścia? Przedarłszy się przez tłum, podszedł chwiejnym krokiem do kamiennej ściany budynku, oparł się o nią, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami i usiłując rozpaczliwie odzyskać jasność myśli. Aleks! Telefon!

- Co się stało?! - ryknął do słuchawki, połączywszy się z miasteczkiem Vienna w stanie Wirginia.

- Uspokój się i posłuchaj - odparł bezbarwnym głosem Conklin. - Muszę dokładnie wiedzieć, gdzie jesteś. Bernardine przyjedzie po ciebie i wydostanie cię stamtąd. Wsadzi cię w concorde'a odlatującego do Nowego Jorku.

- Zaczekaj chwilę! Zaczekaj... To sprawka Szakala, prawda?

- Z tego, co wiemy, wynika, że zamach zorganizowała jakaś organizacja muzułmańskich fanatyków z Bejrutu. Wykonawca jest nieistotny. Może to on, a może nie. W pierwszej chwili nie chciałem w to wierzyć, po tym, co się stało z DeSole'em i Armbrusterem, ale wygląda na to, że wszystko się zgadza. Teagarten od dawna domagał się wysłania sił NATO do Bejrutu i zrównania z ziemią każdej kryjówki Palestyńczyków. Otrzymywał już wcześniej pogroźki. Tyle tylko że tam, gdzie w grę wchodzi „Meduza”, nie wierzę w żadne przypadki. Jeśli ci chodzi o konkretną odpowiedź, to oczywiście robota Szakala.

- Zwalił to na mnie! Carlos zwalił wszystko na mnie!

- Cwany z niego kutas, nie ma co gadać. Ścigasz go, a on uziemia cię w Paryżu.

- Musimy to odwrócić!

- O czym ty gadasz, do diabła? Musisz uciekać!

- Nie ma mowy. On będzie myślał, że to zrobiłem, a ja tymczasem pojawię się w jego gnieździe.

- Oszalałeś! Uciekaj, dopóki możemy ci pomóc!

- Zostaję. Carlos domyśli się, że muszę to zrobić, jeśli chcę go dostać, a jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że mnie uziemił, jak to powiedziałeś. Będzie oczekiwał, że swoim zwyczajem wpadnę w panikę i wykonam jakiś fałszywy ruch, tak jak na Wyspie Spokoju, i wtedy jego armia starców odnajdzie mnie bez trudu, szukając we właściwych miejscach i wiedząc, za kim się rozglądać. Cwaniak z niego! Chce mną wstrząsnąć, żeby zmusić mnie do popełnienia błędu. Ja go znam, Aleks, wiem, jak myśli, i właśnie dlatego uda mi się go przechytrzyć. Zostanę na odkrytym terenie, dość już mam krycia się w jaskiniach!

- W jakich jaskiniach?

- Nieważne, to taka przenośnia. Zjawiłem się tutaj przed śmiercią Teagartena, nic mi nie będzie.

- Wpadłeś po uszy! Uciekaj!

- Przykro mi, święty Aleksie, ale tutaj mi dobrze. Ruszam za Szakalem.

- Może jednak uda mi się wykurzyć cię stamtąd. Rozmawiałem kilka godzin temu z Marie. Znasz najnowsze wiadomości, stetryczyły neandertalczycy? Ona leci do Paryża, żeby cię odszukać!

- Nie może tego zrobić!

- Powiedziałem jej dokładnie to samo, ale nie była w nastroju do słuchania rad. Powiedziała, że zna wszystkie miejsca, w których kryliście się trzynaście lat temu, kiedy was szukaliśmy, i że ty na pewno znowu z nich skorzystasz.

- To prawda, ale ona nie może...

- Powiedz to jej, nie mnie.

- Jaki jest numer do pensjonatu? Nie chciałem do niej dzwonić... Szczerze mówiąc, robiłem wszystko, żeby nie myśleć ani o niej, ani o dzieciach.

- To najrozsądniejsze stwierdzenie, jakie ostatnio od ciebie słyszałem. Uważaj, dyktuję. - Conklin podał mu numer; jak tylko skończył, Bourne przerwał połączenie, by wdać się w nie mający końca rytuał podawania numerów kolejnych kart kredytowych, przerywany sygnałami międzynarodowych central telefonicznych. Wreszcie, pokonawszy opór jakiegoś debila w recepcji Pensjonatu Spokoju, dotarł do swojego szwagra.

- Daj mi Marie! - zażądał.

- David?!

- Tak... David. Poproś Marie.
- Nie mogę. Wyjechała godzinę temu.
- Dokąd?!
- Nie chciała mi powiedzieć. Wynajęła samolot z Blackburne, ale nawet nie pisała, na jaką wyspę ma zamiar lecieć. Z większych w pobliżu są Antigua i Martynika, choć równie dobrze mogłaby dotrzeć na St. Maartens albo Puerto Rico. A w ogóle to wybierała się do Paryża.
- Dlaczego jej nie zatrzymałeś?
- Próbowałem, Davidzie. Jak Boga kocham, próbowałem!
- Nie przyszło ci na myśl, żeby ją zamknąć?
- Marie?
- Tak, rozumiem... Może tu być najwcześniej jutro rano.
- Słyszałeś najnowsze wiadomości? - zapytał St. Jacques. - Zamordowano generała Teagartena, a w telewizji podają, że to podobno Jason...
- Zamknij się - warknął Bourne, odkładając słuchawkę, po czym wyszedł z budki i powłócząc nogą ruszył przed siebie ulicą, usiłując zebrać resztki rozproszonych myśli.
- Peter Holland, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, zerwał się z fotela i ryknął na siedzącego przed biurkiem mężczyznę z protezą zamiast stopy:
- Mam nic nie robić?! Czyś ty postradał zmysły?
- A czy ty postradałeś swoje, kiedy wydałeś oświadczenie o wspólnej operacji brytyjskiego i amerykańskiego wywiadu w Hongkongu?
- Przecież to prawda, do cholery!
- Istnieją różne rodzaje prawdy. Jeden z nich to kłamstwo, które stosuje się wtedy, kiedy wymaga tego dobro sprawy.
- Gówniane gadanie trzęsących portkami polityków!
- Nie powiedziałbym tego, Dżyngis-chanie. Słyszałem o wielu takich, którzy woleli zginąć niż zdradzić tę prawdę, od której najwięcej zależało... Nie wiesz, o czym mówisz, Peter.
- Zirytowany Holland usiadł z powrotem w fotelu.
- Może rzeczywiście nie nadaję się do tego.
- Niewykluczone, ale daj sobie jeszcze trochę czasu. Jeszcze zdążysz się ubabrać, tak jak my wszyscy. Wszystko może się zdarzyć.
- Dyrektor CIA odchylił się do tyłu, opierając głowę na miękkiej poduszce fotela.
- Byłem ubabrany bardziej niż ktokolwiek z was, Aleks – powiedział cichym głosem. - Jeszcze teraz budzę się w nocy, widząc przed sobą twarze młodych ludzi, którym własnoręcznie podrzynałem gardła, zdając sobie doskonale sprawę, że oni nie mają najmniejszego pojęcia, dlaczego tam się znaleźli...
- Wybór był prosty: albo ty, albo oni. Gdyby mogli, na pewno wpakowaliby ci kulę w głowę.
- Chyba masz rację. - Holland nagle pochylił się nad biurkiem i utkwiał w Aleksie ostre spojrzenie swoich oczu. - Ale mam wrażenie, że nie o tym rozmawiamy, prawda?
- Można by to nazwać wariacją na temat.
- Przestań pieprzyć.
- To nie pieprzenie, tylko termin muzyczny, a ja lubię muzykę.
- Skoro tak, to wróć do głównej linii melodycznej. Ja też lubię muzykę.
- W porządku. Bourne zniknął. Powiedział mi, że znalazł jaskinię – to jego określenie, nie moje - w której na pewno uda mu się wytropić Szakala. Nie wspomniał jednak, gdzie to jest, a tylko jeden Bóg raczy wiedzieć, kiedy znowu zadzwoni.
- Wysłałem do hotelu Pont Royal człowieka z ambasady, żeby zapytał o Simona. Powiedzieli ci prawdę: Simon wynajął pokój, wyszedł i nie wrócił. Gdzie on może być, do

diabła?

- Gdzieś, gdzie nie zwróci na siebie niczyjej uwagi. Bernardine miał pewien pomysł, ale nic z tego wyszło. Myślał, że uda mu się zlokalizować Bourne'a dzięki numerowi rejestracyjnemu tego wynajętego samochodu, ale wóz stoi w garażu, tak jak stał. Bourne nikomu nie ufa, nawet mnie, a biorąc pod uwagę jego dotychczasowe doświadczenia, trudno mu się dziwić. Oczy Hollanda miały zimne błyskawice gniewu.

- Chyba nie próbujesz mnie okłamać, Conklin?
- Dlaczego miałbym kłamać w sytuacji, kiedy chodzi o życie mojego przyjaciela?
- To nie jest odpowiedź, tylko pytanie.
- W takim razie nie, nie kłamię. Nie wiem, gdzie on jest. Była to święta prawda.
- W związku z tym proponujesz nic nie robić.
- Bo nic nie możemy zrobić. Prędkiej czy później znowu do mnie zadzwoni.
- Czy masz choćby mgliste pojęcie, co powie komisja Senatu, kiedy za kilka tygodni albo miesięcy ta sprawa wybuchnie, bo co do tego, że wybuchnie, nie mam najmniejszych wątpliwości? Potajemnie wysyłamy do Paryża człowieka znanego jako Jason Bourne, a Paryż leży od Brukseli w takiej samej odległości, co Nowy Jork od Chicago...

- Chyba nawet bliżej.
- Dzięki, że starasz się mnie pocieszyć... Głównodowodzący NATO ginie w zamachu bombowym, za który odpowiedzialność bierze na siebie właśnie „Jason Bourne”, a my trzymamy gęby na kłódkę! Boże, do końca życia będę czyścił latryny na jakimś parszywym holowniku!

- On go nie zabił.
- Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, ale przecież on był chory psychicznie, co wyjdzie na jaw w pięć minut po rozpoczęciu śledztwa!

- Ta choroba nazywa się amnezja i nie ma nic wspólnego z przemocą.
- Racja, ale to jeszcze gorzej. On nie pamięta, co zrobił. Conklin zacisnął mocniej dłoń na uchwycie laski.

- Nic mnie nie obchodzi, o czym świadczą pozory, bo i tak to się kupy nie trzyma. Jestem przekonany, że zabójstwo Teagartena ma związek z „Meduzą”. Ktoś gdzieś przechwyił jakąś wiadomość i w grze pojawiły się nowe zaskakujące elementy.

- Mam wrażenie, że mówię po angielsku i rozumiem, co do mnie mówią równie dobrze jak ty, ale teraz zupełnie się zgubiłem - odparł Holland.

- Tu nie można się zgubić, bo nie ma za czym iść. Nie istnieje ani postępowanie arytmetyczne, ani zasada przyczyny i skutku. Naprawdę, nie wiem... Na pewno jest w tym „Meduza”.

- Opierając się na twoich zeznaniach, mógłbym przycisnąć Burtona z Kolegium Szefów Sztabu i Atkinsona w Londynie.

- Nie, zostaw ich w spokoju. Nie spuszczaaj z oka, ale nie zatapiaj, admirał. I tak prędzej czy później pszczoły zlecają się do miodu.

- W takim razie, co proponujesz?

- To, co powiedziałem na samym początku: nic nie robić, tylko czekać. – Aleks niespodziewanie uderzył laską w boczną ściankę biurka. - Do cholery, to musi być „Meduza”! Jestem tego pewien!

Łysy, stary mężczyzna o pokrytej zmarszczkami twarzy podniósł się z wysiłkiem z kłęcznika w kościele Najświętszego Sakramentu w Neuilly-sur-Seine na obrzeżu Paryża. Powoli, krok za krokiem, podszedł do drugiego konfesjonału po lewej stronie, odsunął czarną kotarę i uklęknął przed drewnianą kratką, również zasłoniętą czarnym materiałem.

- *Angelus domini*, dziecię Boże - odezwał się głos zza zasłony. – Czy dobrze się

miewasz?

- Znacznie lepiej dzięki twojej szczodroblewości, *monseigneur*.

- Cieszy mnie to, ale jak dobrze wiesz, trzeba czegoś więcej, żeby mnie w pełni zadowolić... Co się stało w Anderlechcie? Co mi powie moja wierna i dobrze opłacana armia? Kto się ośmielił?

- Pracowaliśmy bez przerwy przez ostatnie osiem godzin, *monseigneur*. Udało nam się ustalić, że dwaj mężczyźni ze Stanów Zjednoczonych - przypuszczamy, że pochodzili stamtąd, bo mówili z amerykańskim akcentem - wynajęli pokój w pensjonacie znajdującym się naprzeciwko restauracji i wyjechali pośpiesznie w kilka minut po zamachu.

- Zdalnie sterowany detonator!

- Wszystko na to wskazuje, *monseigneur*. Niczego więcej nie zdołaliśmy się dowiedzieć.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Nie potrafimy czytać w ludzkich umysłach, *monseigneur*.

Po drugiej stronie Atlantyku, w luksusowym apartamencie w Brooklynie z widokiem na East River i most Brooklyński, *capo supremo* rozparł się wygodnie na rozłożystej kanapie, trzymając w dłoni szklaneczkę z drinkiem. Pociągnąwszy kolejny łyk, zwrócił się do siedzącego naprzeciwko niego w fotelu młodego, nadzwyczaj przystojnego mężczyzny o kruczoczarnych włosach:

- Wiesz, Frankie, ja jestem nie tylko mądry, ale genialny. Rozumiesz mnie? Wychwytyję wszystkie niuanse - to takie wskazówki, co może być ważne, a co nie - i składam je do kupy. Na przykład słucham, o czym gada jakiś palant, dodaję cztery do czterech i zamiast ośmiu wychodzi mi dwanaście. Bingo! Mam odpowiedź. Ten cwaniaczek Bourne, co to myśli, że jest nie wiadomo kim, to tylko przynęta na kogoś innego, a nie to, na czym nam zależy. Ten Żydek wszystko nam wyśpiewał: Bourne ma tylko pół mózgu, *testa bąkana*. Najczęściej nie wie, kim jest ani co robi, zgadza się?

- Zgadza się, Lou.

- A potem nagle ten półgłówek ląduje w Paryżu, ledwie parę kilometrów od napuszonego generała, którego chcą sprzątnąć małowówni chłopcy z drugiego brzegu rzeki, tak jak już załatwili dwie inne grube ryby. *Zapisce!*

- *Capisco*, Lou - odparł czarnowłosy przystojniak. - Jesteś naprawdę inteligentny.

- Nic nie rozumiesz, ty *zabaglione*. Równie dobrze mógłbym mówić do siebie. Zresztą, co to za różnica? No więc, dodaję cztery do czterech, patrzę na tę dwunastkę, co mi wyszła, i myślę: trzeba wejść w sam środek gry, kapujesz?

- Tak, Lou.

- Musimy załatwić generała, bo stanowi utrudnienie dla chłopców, którzy nas potrzebują, zgadza się?

- Zgadza się, Lou. Wielkie utrud... utrud...

- Nie wysilaj się, *zabaglione*. Więc myślę sobie: zdmuchnijmy go i zaczniemy wszystkim rozpowiadać, że to sprawka tego półgłówka. Rozumiesz mnie?

- O, tak, Lou. Ty to masz głowę!

- A więc załatwiliśmy generała i jednocześnie podstawiliśmy wszystkim pod lufy Bourne'a. Jeżeli nie dostaniemy go ani my, ani Szakał, to na pewno uda się go dorwać tym z rządu.

- To wspaniały plan, Lou. Podziwiam cię, słowo daję.

- Daj sobie spokój z podziwem, *bello ragazzo*. W tym domu obowiązują inne zasady. Chodź tu do mnie i zrób mi naprawę dobrze.

Młody mężczyzna wstał z fotela i podszedł do kanapy.

Marie siedziała w tylnej części samolotu, popijając kawę z plastikowej filiżanki. Starła się usilnie przypomnieć sobie wszystkie miejsca, w których byli z Davidem trzynaście lat

temu. Znajdowały się wśród nich kawiarnie na Montparnasse, tanie hoteliki, motel usytuowany dziesięć mil za miastem (ale gdzie to było dokładnie?) i pokój z balkonem w zajeździe w Argenteuil, gdzie David - Jason - powiedział jej po raz pierwszy, że ją kocha, ale nie może z nią zostać właśnie dlatego, że ją kocha... Cholerny głupek! Aha, jeszcze kościół Sacre Coeur na szczycie wysokich schodów. To tam Jason - David -spotkał się z człowiekiem, który przekazał im potrzebne informacje. Jakie informacje? Kim był ten człowiek?

- *Mesdames et monsieurs* - rozległ się głos kapitana samolotu. - *Je suis votre capitaine. Bienvenu.* - Pilot mówił dalej po francusku, a następnie załoga powtórzyła jego słowa po angielsku, niemiecku, włosku, a także, przy pomocy tłumaczki, po japońsku. - Spodziewamy się, że nasz lot do Marsylii będzie przebiegał bez żadnych przeszkód. Czas podróży powinien wynieść siedem godzin i czternaście minut, lądowanie o szóstej rano czasu lokalnego. Życzymy państwu przyjemnego lotu.

Kiedy Marie St. Jacques Webb wyjrzała przez okienko, zobaczyła rozciągający się daleko w dół, oświetlony blaskiem księżyca ocean. Z Montserrat przedostała się do San Juan na Puerto Rico, a następnie kupiła bilet do Marsylii. O służbie imigracyjnej tego miasta można było powiedzieć, że działała co najmniej nieudolnie, a nawet świadomie lekceważyła swoje obowiązki. W każdym razie, tak właśnie przedstawiały się sprawy trzynaście lat temu, w czasie, który teraz Marie usiłowała dokładnie odtworzyć. Z Marsylii polecą do Paryża krajowymi liniami lotniczymi i tam go odnajdzie. Tak samo jak przed trzynastu laty. Musi! Jeżeli jej się nie uda, dla człowieka, którego kocha, będzie to oznaczało wyrok śmierci.

Rozdział 21

Morris Panov siedział niespokojnie przy oknie wychodzącym na pastwisko jakiejś farmy położonej, jak mu się wydawało, gdzieś w Marylandzie. Znajdował się w małej sypialni na pierwszym piętrze, ubrany w szpitalną koszulę, a wygląd jego odsłoniętego prawego ramienia potwierdzał wcześniejsze obawy. Miał wielokrotnie wstrzykiwane narkotyki - latał na Księżyc, jak określali to ci, którzy zajmowali się ich rozprowadzaniem. Został poddany psychicznej formie gwałtu, jego umysł prześwietlono na wylot i wywrócono na drugą stronę, najszybsze myśli i tajemnice zostały wywabione na powierzchnię działaniem środków chemicznych i dokładnie zbadane.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że skutki tych zabiegów mogą okazać się fatalne, natomiast zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego jeszcze żyje. Największe obawy budził w nim fakt, że jest traktowany z takimi honorami. Dlaczego strażnik w debilnej, czarnej masce na twarzy jest taki grzeczny, a jedzenie smaczne i obfite? Wyglądało na to, że obecnie jego dręczycielom zależało przede wszystkim na tym, by jak najszybciej odzyskał siły, poważnie nadwątlone przedawkowaniem narkotyków, i poczuł się możliwie wygodnie w tych nadzwyczajnych warunkach. Dlaczego?

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł zamaskowany strażnik. Był to niski, krępy mężczyzna mówiący z akcentem kojarzącym się Panowowi z północno-wschodnimi stanami czy po prostu z Chicago. W innych okolicznościach mężczyzna sprawiałby komiczne wrażenie, gdyż jego masywna głowa była zbyt duża na wąską, czarną maskę, która i tak z pewnością nie utrudniałaby ewentualnej identyfikacji, ale w obecnej sytuacji w jego wyglądzie nie sposób było dostrzec nic zabawnego, a uniżona służalczość wywoływała wręcz dreszcz niepokoju. Przez ramię miał przewieszzone ubranie Panova.

- Dobra, doktorcu, wskakuj w te ciuchy. Dopilnowałem, żeby wszystko uprali i wyprasowali, nawet gatki. Co ty na to?

- Chcesz powiedzieć, że macie tu własną pralnię?

- Gdzie tam, zawozimy wszystko do... O nie, nie złapiesz mnie tak łatwo, doktorcu! - Strażnik pokazał w uśmiechu żółtawe zęby. - Myślisz, że jesteś strasznie sprytny, co? Chciałeś wyciągnąć ze mnie, gdzie jesteśmy?

- Zapytałem tylko z ciekawości.

- Jasne. Mam takiego siostrzeńca, co też ciągle zadaje z ciekawości pytania, na które ani mi się śni odpowiadać. Na przykład: „Wujku, a jak udało ci się wepchnąć mnie na Akademię?”. Ha! Jest lekarzem, tak jak ty. I co na to powiesz?

- Powiem, że brat jego matki jest bardzo uczynnym człowiekiem.

- A co miałem robić? Ubieraj się, doktorcu, bo jedziemy na małą przejażdżkę. - Strażnik podał Panowowi ubranie.

- Przypuszczam, że byłoby z mojej strony głupotą pytać dokąd - powiedział Mo, zdejmując szpitalną koszulę i wciągając slipy.

- Racja.

- Ale na pewno mniejszą głupotą od tej, jaką popełnił twój siostrzeniec nie mówiąc ci o pewnych objawach, którymi na twoim miejscu natychmiast bym się zainteresował - zauważył Mo, jakby nigdy nic zapinając spodnie.

- O czym ty mówisz?

- Być może o niczym - odparł Panov, zakładając koszulę, po czym usiadł na krześle, żeby wciągnąć skarpetki. - Kiedy widziałeś się ostatnio ze swoim siostrzeńcem?

- Parę tygodni temu. Dałem mu trochę forsy, żeby miał na ubezpieczenie. Cholera, te

matki są jak pijawki! A czemu pytasz?

- Jestem ciekaw, czy coś ci wtedy powiedział.
- O czym?
- O twoich ustach. - Mo nachylił się, żeby zawiązać sznurowadła. - Nad szafką wisi lustro. Idź i sobie obejrzyj.
- Co mam obejrzeć? - *Capo subordinato* podszedł szybko do lustra.
- Uśmiechnij się.
- Do kogo?
- Do siebie. Widzisz? Masz żółte zęby i blade dziąsła, wyraźnie cieńsze u góry.
- I co z tego? Zawsze takie były...
- Może to nic poważnego, ale powinien zwrócić na to uwagę.
- Na co, do jasnej cholery?
- Ameloblastoma jamy ustnej. Prawdopodobnie, choć nie na pewno.
- Co to jest, do diabła? Rzadko myję zęby i prawie wcale nie chodzę do dentysty, bo to wszystko rzeźnicy.
- Chcesz przez to powiedzieć, że od jakiegoś czasu nie byłeś u dentysty ani u chirurga szczękowego?
- Nie, bo co? - *Capo* ponownie wyszczerzył zęby do lustra.
- Może właśnie dlatego twój siostrzeniec nic ci nie powiedział...
- Jak to?
- Pewnie myśli, że chodzisz regularnie na kontrole, i wołał, żeby ci to wyjaśnił specjalista. - Mo wstał, zawiązawszy sznurowadła.
- Nie rozumiem.
- Cóż, jest ci wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiłeś, więc nic dziwnego, że nie chciał ci o tym mówić.
- O czym, do diabła? - Strażnik odwrócił się raptownie od lustra.
- Być może się mylę, ale moim zdaniem powinieneś jak najszybciej zgłosić się do dentysty. - Mo wciągnął marynarkę. - Jestem gotów - oznajmił. - Co teraz?
- Capo subordinato*, z czołem zmarszczonym od nadmiaru myśli i podejrzeń, wyciągnął z kieszeni dużą, czarną chusteczkę.
- Przykro mi, doktorku, ale muszę zawiązać ci oczy.
- Żeby nie widział, jak strzelacie mi w głowę?
- Nie, doktorku. Jesteś dla nas zbyt cenny.

Cenny? - zapytał retorycznie *capo supremo* w swoim luksusowym brooklyńskim apartamencie. - To za mało powiedziane. Ten Żydek ma wartość świeżo odkrytej dziewiczej żyły złota. Wysłuchiwał zwierzeń największych szych z Waszyngtonu. Jego kartoteka jest warta tyle, co całe Detroit.

- Nigdy nie uda ci się do niej dotrzeć, Louis - odparł ubrany w kosztowny garnitur mężczyzna w średnim wieku, siedzący naprzeciwko gospodarza. - Schowają ją tak głęboko, że nic nie poradzisz.

- Pracujemy nad tym, panie Park Avenue. Powiedzmy - tylko powiedzmy - że jednak ją mamy. Ile byłbyś gotów za nią zapłacić?

Na twarzy gościa pojawił się powściągliwy, arystokratyczny uśmiech.

- Detroit? - zapytał.

- *Va bene!* Podobasz mi się, masz poczucie humoru. - Mafioso natychmiast spowaźniał, a jego rysy zastygły na wzór nieruchomej, budzącej odrazę maski. - Za tego Bourne'a-Webba dalej obowiązuje cena pięciu baniek, zgadza się?

- Plus premia.

- Nie lubię premii, panie prawniku. Bardzo ich nie lubię.
- Możemy z tym pójść gdzie indziej. Nie jesteście jedyni w tym mieście.
- Proszę mi pozwolić, że coś panu wyjaśnię, *signor avvocato*. W wielu sprawach my - wszyscy my -jesteśmy naprawdę jedyni w tym mieście. Tyle tylko że nigdy nie odbieramy tego rodzaju roboty innym rodzinom, bo to są bardzo osobiste sprawy i powodują potem wiele nieporozumień.
- Nie chcesz się dowiedzieć, o jaką premię chodzi? Nie wydaje mi się, żebyś miał jakieś zastrzeżenia.
- Strzelaj.
- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś użył innego słowa...
- W takim razie, wal.
- Chodzi o dodatkowe dwa miliony dolarów, które otrzymacie za żonę Webba i jego przyjaciela Conklina.
- Załatwione, panie Park Avenue.
- To dobrze. Przejdźmy więc do następnej sprawy.
- Chcę porozmawiać o tym Żydku...
- Dojdziemy i do niego.
- Teraz.
- Proszę cię, nie próbuj mi rozkazywać - powiedział adwokat z jednej z firm cieszących się na Wall Street najlepszą opinią. - Naprawdę nie dorosłeś do tego, makaroniarzu.
- Ejże, *farrabutto!* Nie mów do mnie w ten sposób!
- Będę do ciebie mówił tak, jak uznam za stosowne... Na zewnątrz, na pokaz, jesteś supersamcem, prawdziwym macho. - Prawnik spokojnie założył nogę na nogę. - Ale w rzeczywistości sprawy mają się zupełnie inaczej, czyż nie tak? Masz bardzo miękkie serce, a zarazem twardą zupełnie inną część ciała, szczególnie dla przystojnych, młodych chłopców...
- *Silenzio!* - ryknął Włoch, siadając prosto na kanapie.
- Nie mam najmniejszej ochoty wdawać się w szczegóły, choć jednocześnie nie wydaje mi się, żeby w Cosa Nostra homoseksualiści cieszyli się jakimiś specjalnymi względami.
- Ty sukinsynu!
- Wiesz, kiedy byłem w Sajgonie jako młody wojskowy prawnik, broniłem pewnego kapitana, którego przyłapano *flagrante delicto* z wietnamskim chłopcem. Dzięki różnym sztuczkom udało mi się uchronić go przed degradacją, ale było jasne, że musi zrezygnować ze służby. Niestety, niewiele zdążył osiągnąć w życiu jako cywil, bo zastrzelił się w dwie godziny po ogłoszeniu wyroku. Był kimś, a nagle stał się całkowitym pariasem i nie mógł sobie poradzić z tym ciężarem.
- Mów, o co ci chodzi - odparł *capo supremo* głosem przesyconym nienawiścią.
- Dziękuję... Po pierwsze, na stoliku w przedpokoju zostawiłem kopertę. Jest w niej zapłata za doprowadzenie do tragicznych zgonów Armbrustera w Georgetown i Teagartena w Brukseli.
- Według tego żydowskiego doktora są jeszcze dwaj, o których wiedzą: ambasador w Londynie i admirał w Kolegium Szefów Sztabu. Chcesz dorzucić nową premię?
- Może później, ale na pewno nie teraz. Obaj w ogóle wiedzą bardzo mało, a właściwie nic na temat operacji finansowych. Burton uważa nas za ultrakonserwatywną organizację weteranów rozpamiętujących bez końca hańbę, jaką zakończył się dla nas Wietnam. Można go zrozumieć, bo zawsze był oddanym patriotą. Atkinson to bogaty dyletant. Robi to, co mu każą, i nie ma o niczym najmniejszego pojęcia. Zrobiłby i robi wszystko, żeby tylko utrzymać się na stanowisku, a kontaktował się jedynie z Teagartenem... Conklin trafił w dziesiątkę, jeśli chodzi o Swayne'a, Armbrustera, Teagartena i oczywiście DeSole'a, ale tamci dwaj to tylko kukły. Zastanawiam się, jak to było możliwe...
- Kiedy się o tym dowiem, a na pewno się dowiem, powiem ci. Całkiem gratis.

Prawnik uniósł wysoko brwi.

- Jak mam to rozumieć?

- Dojdziemy do tego. Masz coś jeszcze?

- Dwie rzeczy, obie bardzo ważne, a pierwsza to prezent ode mnie. Pozbądź się swojego młodego przyjaciela. Bywa tam, gdzie nie powinien, i szasta pieniędzmi na lewo i prawo. Doszły do nas słuchy, że chwali się swoimi znajomościami. Nie wiemy, co jeszcze rozpowiada ani co wie i w jaki sposób to sobie poskładał, ale bardzo nas to martwi. Wydaje mi się, że ciebie także powinno to martwić.

- *Il prostituto!* - ryknął Louis, uderzając pięścią w wyściełaną poręcz kanapy. - *Il pinguino!* Jest już martwy!

- Rozumiem, że to miało być podziękowanie. Druga sprawa jest znacznie bardziej ważna, szczególnie dla nas. Chodzi o dom Swayne'a w Manassas. Prawnik Swayne'a, a jednocześnie nasz prawnik, nie mógł nigdzie znaleźć jego osobistego notatnika. Stał na półce, oprawiony tak samo jak książki. Ten, kto go zabrał, musiał dokładnie wiedzieć, czego szuka.

- Jaki to ma związek ze mną?

- Ogrodnik był waszym człowiekiem. Umieszczono go tam, żeby wykonał swoje zadanie. Jedyne numer telefonu, jaki mu podano, to był numer DeSole'a.

- I co z tego?

- Po to, by osiągnąć cel, to znaczy upozorować w sposób przekonujący samobójstwo Swayne'a, musiał przez dłuższy czas śledzić każdy jego ruch. Sam mi to tłumaczyłeś aż do znudzenia, wyjaśniając, dlaczego zażądaliście tak potwornych pieniędzy. Nietrudno wyobrazić go sobie zaglądnącego przez okno do gabinetu Swayne'a, gdzie miało nastąpić samobójstwo. Prędzej czy później wasz człowiek musiał zauważyć, że generał zdejmuje z półki tę samą książkę, zapisuje coś w niej, po czym odstawia na miejsce. Na pewno zaintrygowało go to i doszedł do wniosku, że ta książka przedstawia wielką wartość. Tak samo pomyślałbyś ty i pomyślałbym ja. A więc, gdzie ona jest?

Mafioso podniósł się powoli z kanapy.

- Posłuchaj, *avvocato*, znasz masę gładkich słów, które wpychasz mi jako dowody, ale my nie mamy żadnej takiej książki, a w dodatku ja mogę ci to udowodnić! Gdybym ją miał i gdyby było w niej coś, co mogłoby przypiec ci dupę, trzymałbym ją teraz o tu, w tej ręce, i podtykał ci pod nos, *capisce?*

- To nawet dość logiczne - przyznał starannie ubrany adwokat. Kipiący wściekłością *capo* wrócił na swoje poprzednie miejsce na kanapie. - Flannagan... - dodał w zamyśleniu. - Oczywiście, to musiał być Flannagan. On i ta jego cholerna fryzjerka załatwili sobie polisę ubezpieczeniową, niewykluczone, że za pomocą małego szantażu. Szczerze mówiąc, od razu się uspokoiłem. Nigdy nie będą mogli z tego skorzystać, bo natychmiast zwróciliby na siebie uwagę. Przyjmij moje przeprosiny, Louis.

- Skończyłeś już?

- Chyba tak.

- W takim razie zajmijmy się tym Żydkiem.

- O co chodzi?

- Jak ci powiedziałem, to żyła złota.

- Bez jego kartoteki daleko mu do dwudziestu czterech karatów.

- Mylisz się. - Louis pokręcił głową. - Wspomniałem już Armbrusterowi, zanim stał się dla was niewygodny, że my też mamy lekarzy, i to specjalistów w każdej dziedzinie, łącznie z tym, co nazywają „reakcjami motorycznymi” i, uważaj, „wymuszonym uruchamianiem procesów przypominania w warunkach ścisłej zewnętrznej kontroli”... Dokładnie to sobie zapamiętałem. To tak samo, jakby ci przystawili pistolet do głowy, tylko że nawet gdy by coś się stało, to nie ma ani kropli krwi.

- Przypuszczam, że opowiadasz mi o tym w jakimś konkretnym celu?

- Możesz na to postawić swoją kartę członka klubu golfowego. Właśnie przenosimy doktora do specjalnego domu opieki w Pensylwanii, gdzie trafiają tylko najbogatsi starcy, żeby w spokoju wyciągnąć nogi.

- Zapewne jest tam doskonale wyposażenie, świetnie wyszkolony personel, a teren patrolują uzbrojeni strażnicy...

- Jasne. Sporo ludzi z waszej sfery decyduje się...

- Lepiej przejdź od razu do rzeczy - przerwał mu adwokat, spoglądając na złotego roleksa. - Mam niedużo czasu.

- Znajdź go trochę, bo warto. Według tego, co mówią moi specjaliści - zwracam ci uwagę, że specjalnie użyłem słowa „moi” - nasz pacjent jest co czwarty lub piąty dzień „wystrzeliwany na Księżyc” - Bóg mi świadkiem, że to ich określenie, nie moje. W przerwach opiekują się nim najlepiej, jak tylko można, karmią, pozwalają się wysypiać, badają i w ogóle... Musimy bardzo dbać o nasze ciała, czyż nie tak, *avvocato*?

- Niektórzy grywają w tym celu w squash³.

- Proszę mi wybaczyć, panie Park Avenue, ale ja nie gram w dynię, tylko ją jadam.

- Te różnice kulturowe i językowe... Wciąż dają się we znaki, prawda?

- Owszem, ale to nie pańska wina, *consigliere*.

- Istotnie. Zwykle ludzie tytułują mnie adwokatem.

- Daj mi trochę czasu. U nas byłbyś *consigliere*.

- Zostało nam zbyt mało życia, Louis. Powiesz, o co ci chodzi, czy mam iść?

- Powiem, panie adwokacie... A więc, za każdym razem, kiedy Żydek „leci na Księżyc”, jak mówią moi specjaliści, jest w nie najgorszej formie, zgadza się?

- Przypuszczam, że to raczej regularne nawroty pozorów normalności, ale nie jestem lekarzem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pieprzysz, ale ja też nie jestem lekarzem, więc zdam się na moich specjalistów. Otóż za każdym razem, kiedy go szprycują, podsuwają mu jedno nazwisko za drugim. Większość nic dla niego nie znaczy, ale wreszcie trafia się jedno, potem drugie i trzecie. Robią wtedy coś, co nazywają sondą - wyciągają z niego po kawałeczku informacje na temat tego faceta, żeby mieć coś, czym można by go nastraszyć, gdyby zaszła taka konieczność. Nie zapominaj, że żyjemy w nerwowych czasach, a doktorek leczy najgrubsze ryby w Waszyngtonie, wszystko jedno, z rządu czy nie. I co pan o tym myśli, panie adwokacie?

- To rzeczywiście niezwykle - wycedził gość, nie spuszczać oka z *capo supremo*. - Mimo wszystko znacznie lepsza byłaby jego kartoteka.

- Jak już wspomniałem, pracujemy nad tym, ale będziemy jeszcze potrzebować trochę czasu, a to jest teraz, *immediato*. Powinien dotrzeć do Pensylwanii za kilka godzin. Chcesz ubić interes? Tylko ty i ja, nikt więcej.

- O co chodzi? O coś, czego nie masz i być może nigdy nie będziesz miał?

- Daj spokój! Za kogo mnie uważasz?

- Jestem pewien, że nie chciałbyś wiedzieć...

- Przestań chrzanić. Powiedzmy, że spotkamy się za dzień lub dwa, a może za tydzień, i wtedy dostarczę ci listę ludzi, którzy mogliby cię interesować, a o których będę miał informacje... takie, jakich nie dałoby się uzyskać w żaden tradycyjny sposób. Wybierzesz jednego lub dwóch, albo żadnego, więc niczym nie ryzykujesz. Umowa jest tylko między nami dwoma. Oprócz nas sprawę będą znać tylko mój główny specjalista i asystent. Oni nie znają ciebie, a ty ich.

- Robota na boku, jak dawniej?

- Nie jak dawniej, tylko jak teraz. Wysokość zapłaty uzależnię od wagi informacji.

³ Squash - wyraz ten oznacza m.in. dynię i rodzaj gry dla dwóch osób (przyp. tłum.).

Może to będzie zaledwie tysiąc lub dwa, może dwadzieścia, a może zupełnie gratis, któż to może powiedzieć? Będę grał fair, bo zależy mi na tobie, *capisce*?

- To bardzo interesujące.

- Wiesz, co myśli mój specjalista? Że moglibyśmy rozpocząć działalność na własną rękę, tylko najpierw trzeba by dogadać się z paroma łebskimi facetami, najlepiej, żeby mieli znajomości w Senacie albo nawet w Białym Domu...

- Rozumiem, ale muszę już iść - przerwał mu prawnik, wstając z fotela. - Przynies mi tę listę, Louis.

Ruszył w kierunku niewielkiego, wyłożonego marmurem przedpokoju.

- Nie miał pan ze sobą teczki, *signor avvocato*? - zapytał capo, podnosząc się z kanapy.

- Żeby uruchomić alarm, który masz zainstalowany przy wejściu?

- Cóż zrobić, świat jest pełen przemocy...

- Pierwsze słyszę.

Kiedy prawnik opuścił apartament, zamykając za sobą drzwi, Louis rzucił się do biurka, o mało nie zwalając z niego staromodnego, wykonanego z kości słoniowej telefonu. Jak zwykle minęło trochę czasu, zanim zdołał zdjąć jedną ręką słuchawkę, przytrzymać ją podstawką, a drugą wykręcić numer.

- Cholerny rupieć! - mruknął. - Cholerny, pieprzony dekorator... To ty, Mario?

- Witaj, Lou - odparł przyjemny głos z New Rochelle. - Na pewno dzwonicz, żeby złożyć życzenia urodzinowe Anthony'emu?

- Komu?

- Mojemu małemu. Kończy dzisiaj piętnaście lat, czyżbyś zapomniał? Cała rodzina jest teraz w ogrodzie. Bardzo nam ciebie brakuje, kuzynie. Lou, żebyś widział nasz ogród w tym roku! Jestem prawdziwym artystą.

- Niewykluczone, że także kimś jeszcze.

- Proszę?

- Kup Anthony'emu prezent i prześlij mi rachunek. Może być jakaś dziwka, bo to już przecież mężczyzna.

- Jesteś niemożliwy, Lou. Wiesz, mam tyle spraw...

- Teraz jest ważna tylko jedna sprawa, Mario, i lepiej, żebyś powiedział mi prawdę, bo jak nie, to ją z ciebie wyciągnę!

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

- Nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie, *cugino* - rozległ się wreszcie przyjemny głos płatnego mordercy.

- Może tak, a może nie. Z posiadłości tego generała w Manassas zginęła książka. Bardzo cenna książka.

- A więc jednak to zauważyli?

- Do cholery, masz ją?!

- Miałem, Lou. Chciałem dać ci ją w prezencie, ale nic z tego nie wyszło.

- Jak to? Zostawiłeś ją w taksówce czy co?

- Nie, ratowałem swoje życie. Ten wariat Webb porozrzucił wszędzie flary i walił do mnie na podjeździe jak na strzelnicy. Drasnął mnie, a kiedy upadłem, ta cholerna książka wyleciała mi z ręki. Właśnie wtedy przyjechała policja, więc tylko ją podniosłem i popędziłem do bramy.

- Więc Webb ją ma?

- Chyba tak.

- Święty Jezu na trampolinie!...

- Coś jeszcze, Lou? Właśnie zapalamy świece na torcie.

- Tak. Mario, chyba będę cię potrzebował w Waszyngtonie. Chodzi o ważniaka bez stopy, ale za to z książką.

- Chwileczkę, *cugino*, przecież znasz moje zasady, prawda? Zawsze miesiąc przerwy między zleceniami. Ile czasu zajęło mi Manassas? Sześć tygodni, prawda? A w maju, w Key West, ile to było? Trzy, prawie cztery tygodnie. Nie wolno mi dzwonić, nie wolno mi wysłać głupiej kartki... Nie, Lou, potrzebuję tego miesiąca. Jestem to winien Angie i dzieciom. Nie mam zamiaru być ojcem na przychodne. Muszą mieć wzorową rodzinę, rozumiesz?

- Zaczynaj pisać poradniki! - parsknął wściekle Louis i odwiesił z trzaskiem słuchawkę po to tylko, by zaraz złapać aparat, który przewrócił się na biurko; na żółtawej obudowie pojawiła się wyraźna rysa.

- Najlepszy fachowiec w branży, a ma fioła... - mruknął *capo supremo*, wykręcając kolejny numer. Kiedy z drugiej strony ktoś podniósł słuchawkę, gniew natychmiast zniknął z jego głosu. - Witaj, Frankie. Jak się miewa mój najbliższy przyjaciel?

- A... Cześć, Lou- odpowiedział mu niepewnie delikatny falset z kosztownego apartamentu w Greenwich Village. - Mogę zadzwonić do ciebie za dwie minuty? Właśnie odprowadzam mamę do taksówki. Zaraz wrócę, zgoda?

- Oczywiście. Za dwie minuty.

Matka? Dziwka! *Il pinguino!* Louis podszedł do marmurowego, wyposażonego w lustro baru, nad którym unosiły się dwa różowe aniołki. Naławszy niemal pełną szklanekę, pociągnął kilka głębokich, uspokajających łyków. Po chwili zadzwonił wiszący przy barze telefon.

- Tak? - powiedział, ostrożnie trzymając w dłoni również delikatną, bo tym razem kryształową, słuchawkę.

- To ja, Lou. Już odprowadziłem mamę.

- Dobry z ciebie chłopiec, Frankie. Zawsze pamiętaj o mamie.

- Oczywiście, Lou. Ty mnie tego nauczyłeś. Powiedziałeś mi, że urządziłeś swojej mamie najwspanialszy pogrzeb, jaki widziano w East Hartford.

- Tak, bo kupiłem cały ten ich pieprzony kościół.

- To naprawdę miłe.

- A może zajęlibyśmy się czymś rzeczywiście miłym, co? Miałem okropny dzień, Frankie. Wiesz, o czym myślę?

- Jasne, Lou.

- Mam straszną ochotę. Muszę się odprężyć. Przyjedź do mnie, Frankie.

- Zaraz wsiadam do taksówki, Lou.

Prostituto! To będzie ostatnia usługa, jaką odda mu Frankie Duża Buźka.

Znalazłszy się na ulicy, starannie ubrany adwokat ruszył na południe, minął dwie przecznice, skręcił na wschód, minął jeszcze jedną i wreszcie dotarł do limuzyny czekającej na niego przed inną, równie wspaniałą rezydencją. Mocno zbudowany kierowca w średnim wieku pogrążony był w przyjacielskiej pogawędce z umundurowanym portierem, któremu wręczył najpierw suty napiwek. Ujrawszy swojego pracodawcę, podszedł szybko do samochodu i otworzył tylne drzwi. Kilka minut później limuzyna sunęła w kolumnie pojazdów zmierzających w kierunku mostu.

Adwokat rozpiął pasek ze skóry aligatora, nacisnął w dwóch miejscach sprzączkę, wy dostał spod niej mały, cienki prostokącik i zapiął z powrotem pasek. Uniósłszy prostokącik pod światło, przyglądał się przez chwilę zatopionemu w nim miniaturowemu urządzeniu rejestrującemu, tak nowoczesnemu, że uchodziło uwagi nawet najbardziej wyrafinowanych czujników, po czym nachylił się w stronę kierowcy.

- William...

- Tak, sir? - Szofer spojrział we wsteczne lustro i ujrzał wyciągniętą rękę swego pracodawcy. Sięgnął do tyłu.

- Zabierz to do domu i przegraj na kasetę, dobrze?

- Tak jest, panie majorze.

Adwokat z Park Avenue opadł z powrotem na siedzenie i uśmiechnął się do siebie. Od tej chwili miał Louisa w garści. *Capo supremo* nie powinien podejmować się roboty na boku, która mogła boleśnie ugodzić w interesy rodziny, nie mówiąc już o tym, że pewne seksualne upodobania były dla mafii nie do zaakceptowania...

Morris Panov siedział z zawiązanymi oczami obok kierowcy; *capo subordinato* skrępował mu ręce tak luźno, jakby zdawał sobie sprawę, że jest to zupełnie niepotrzebne. Strażnik przerwał milczenie po mniej więcej trzydziestu minutach jazdy.

- To ma być jakiś specjalny dentysta? - zapytał.

- Tak. Taki, który przeprowadza operacje we wnętrzu jamy ustnej i zajmuje się problemami związanymi z zębami i dziąsłami.

Cisza. Siedem minut później:

- Jakimi problemami?

- Różnymi. Od zwykłych infekcji i usuwania korzeni, do poważniejszych zabiegów, zwykle dokonywanych we współpracy z onkologiem.

Cisza. Cztery minuty później:

- A co to za amelo cośtam?

- Rak jamy ustnej. Jeśli zauważy się go w porę, można się go pozbyć, usuwając niewielki fragment tkanki, ale jeśli nie... można stracić nawet całą szczękę.

Panov poczuł, jak samochód zatańczył przez chwilę na drodze. Cisza. Półtorej minuty później:

- Myślisz, że ja mam coś takiego?

- Jestem lekarzem, nie dzwoniem alarmowym. Zauważyłem pewne objawy, ale nie postawiłem diagnozy.

- Więc nie pieprz, tylko ją postaw!

- Nie mam odpowiednich kwalifikacji.

- Gówno prawda! Jesteś lekarzem, nie? Prawdziwym, a nie jakimś bubkiem, który wszystkim tak gada, a nie ma żadnego papierka, gdzie by to było napisane?

- Jeśli chodzi ci o to, czy skończyłem akademię, to owszem, skończyłem.

- Więc zbadaj mnie!

- Nie mogę. Mam zawiązane oczy.

Panov poczuł, jak grube paluchy strażnika ściągają mu z głowy chustkę. Półmrok, panujący we wnętrzu samochodu, udzielił Mo odpowiedzi na gnębiące go od kilkunastu minut pytanie: w jaki sposób można podróżować z pasażerem mającym zawiązane oczy i nie zwracać niczyjej uwagi? W tym samochodzie nie stanowiło to żadnego problemu; z wyjątkiem przedniej, wszystkie szyby były nawet nie przyćmione, ale niemal matowe, co oznaczało, że z zewnątrz naprawdę były matowe. Nikt nie mógł zobaczyć, co się dzieje we wnętrzu.

- No, patrz!

- Na co?

Capo subordinato przekręcił groteskowo głowę w kierunku Panova i starając się nie spuszczać wzroku z drogi, rozdziawił szeroko usta.

- Mów, co widzisz! - ponaglił go.

- Okropnie tu ciemno - odparł Mo, zobaczywszy przez przednią szybę właściwie już wszystko, co chciał. Jechali boczną drogą, tak krętą i wąską, że ledwo zasługiwała na miano prawdziwej drogi. Bez względu na to, dokąd go wieziono, z pewnością nie wybrano najkrótszej trasy.

- Więc otwórz to pieprzone okno! - ryknął strażnik, nie odwracając głowy i rzucając z

ukosa rozpaczliwe spojrzenia na drogę. Z szeroko otwartymi ustami przypominał karykaturę wymiotującego wieloryba. - Tylko mów prawdę! Połamię temu sukinsynowi wszystkie palce! Będzie mógł operować łokciami... A mówiłem durnej siostrzyczce, że nic z niego nie będzie! Wciąż tylko siedział z nosem w książkach, nie chodził na żadne akcje ani nic w tym rodzaju...

- Gdybyś przestał choć na chwilę gadać, może mógłbym się dokładniej przyjrzeć - powiedział Panov. Przez opuszczoną boczną szybę widział tylko migające drzewa i gęste krzewy. Należało wątpić, czy droga, którą jechali, była w ogóle zaznaczona na mapach. - O, tak już lepiej - mruknął, unosząc luźno związane ręce do twarzy strażnika, lecz patrząc cały czas przed siebie. - O, mój Boże! - wykrzyknął nagle.

- Co?! - wrzasnął przeraźliwie *capo*.

- Ropa! Wszędzie ropne wrzody, szczególnie na migdałach. Najgorsze, co może być.

- Jezu! - Samochód zatańczył ponownie, reagując na nagły ruch roztrzęsionych, trzymających kierownicę dłoni.

Duże drzewo, z przodu, po lewej stronie pustej drogi! Morris Panov chwycił za kierownicę i napał całym ciężarem ciała, skręcając ją w lewo, a na ułamek sekundy przed uderzeniem puścił ją i skulił się na siedzeniu jak embrion, zakrywając głowę rękami.

Uderzenie było potwornie silne. Kiedy przebrzmiał ogłuszający trzask pryskającego szkła i zgrzyt dartego metalu, rozległ się syk buchającej przez rozbite cylindry pary i szmer rozprzestrzeniającego się pod wrakiem ognia, który wkrótce powinien dotrzeć do zbiornika z benzyną. Nieprzytomny strażnik jęczał słabo, a z rozciętej skóry na jego twarzy sączyła się powoli krew. Panov wydobył go z rozbitego samochodu i odciągnął najdalej, jak mógł; w chwilę potem nastąpiła eksplozja paliwa.

Siedząc na wilgotnej trawie, Morris poczekał, aż jego oddech wróci do jakiejś takiej normy, a następnie, czując w dalszym ciągu na karku ołowiany ciężar strachu, pozbył się więzów i usunął z twarzy nieprzytomnego *capo* większość ostrych fragmentów szkła. Uporawszy się z tym zadaniem, sprawdził, czy kości są całe - prawa ręka i lewa noga sprawiały wrażenie złamanych - po czym na znalezionym w kieszeni strażnika listowym papierze z nadrukiem jakiegoś zupełnie mu nie znanego hotelu napisał diagnozę. W kieszeni znajdował się także pistolet, ale był zbyt ciężki i nieporęczny, żeby brać go ze sobą.

Wystarczy. Wierność przysiędze Hipokratesa także powinna mieć granice.

Panov przeszukał pozostałe kieszenie strażnika, zdumiony ilością znalezionych pieniędzy - ponad sześć tysięcy dolarów - i praw jazdy - pięć sztuk, każde wystawione w innym stanie i na inne nazwisko. Zabrał pieniądze i dokumenty, żeby przekazać je Conklinowi, ale zostawił nietknięte wszystkie inne przedmioty, znajdujące się w portfelu. Były wśród nich fotografie dzieci, wnuków i rozmaitych kuzynów, w tym także zdjęcie młodego chirurga, który dzięki pomocy wuja zdobył medyczne wykształcenie. *Ciao, amico*, pomyślał Mo. Wypełzył na drogę, wstał i otrzepał ubranie, usiłując odzyskać wygląd szanowanego obywatela.

Zdrowy rozsądek nakazywał udać się na północ, w kierunku, w którym jechali. Powrót na południe był nie tylko bezsensowny, ale także wiązał się z poważnym niebezpieczeństwem. Nagle pewna myśl uderzyła go jak obuchem;

Dobry Boże! Czy ja naprawdę zrobiłem to, co zrobiłem?

Zaczął się trząść, a ta część mózgu, w której ulokowała się jego psychiatryczna wiedza, podszeptała mu, że to reakcja powstrząsowa.

Przestań chrzanić, ty durniu! To nie byłeś ty!

Ruszył przed siebie, a potem szedł, szedł i szedł. Znajdował się chyba na najbardziej bocznej ze wszystkich bocznych dróg, bo nigdzie w zasięgu wzroku nie było ani śladu cywilizacji, żadnego samochodu, domu, ruin szafasu lub starej farmy, ani choćby kamiennego muru świadczącego o tym, że kiedyś ludzie dotarli jednak na te obszary. Mo walczył ze skutkami wyczerpania spowodowanego przedawkowaniem narkotyków, pokonując uparcie

milę za milą. Jak długo już szedł? Zabrali mu zegarek, jego zegarek pokazujący datę tak małymi cyferkami, że trudno było je odczytać, więc nie miał najmniejszego pojęcia, jaki to może być dzień ani która godzina. Musi znaleźć telefon i zadzwonić do Aleksa Conklina! Coś musi się wkrótce wydarzyć!

Tak też się stało.

Usłyszał narastający warkot silnika i odwrócił się raptownie. Z południa nadjeżdżał drogą czerwony samochód... Nie, nie nadjeżdżał, tylko pędził z największą możliwą prędkością. Mo rozpaczliwie zamachał ramionami, ale nic to nie dało; samochód przemknął obok niego... po czym, ku jego nieopisanej radości, gwałtownie zahamował i stanął! Mo ruszył biegiem w jego stronę, ale okazało się to niepotrzebne, gdyż kierowca włączył wsteczny bieg i cofnął pojazd, wzbijając spod buksujących kół tumany kurzu. Przez umysł Mo przebiegła błyskawicznie rada, jaką powtarzała mu przy każdej okazji jego matka: „Zawsze mów prawdę, Morris. Prawda to tarcza, którą dał nam Bóg, byśmy mogli bronić się od złego”.

Panov nigdy nie zdołał całkowicie wprowadzić tej zasady w życie, ale zdawał sobie doskonale sprawę, iż w pewnych okolicznościach mogła ona mieć nieoszacowaną wartość. To była chyba jedna z takich okoliczności.

Kiedy ciężko dysząc dopadł drzwi samochodu i zajrzał do środka przez opuszczoną szybę, zobaczył za kierownicą trzydziestokilkuletnią platynową blondynkę o jaskrawo umalowanej twarzy, ubraną w wydekoltowaną bluzkę, bardziej stosowną na planie pornograficznego filmu niż na bocznej drodze w stanie Maryland. Mimo to, słysząc wciąż w uszach słowa matki, powiedział prawdę:

- Zdaję sobie sprawę, proszę pani, że sprawiam nie najlepsze wrażenie, ale zapewniam, że to jedynie pozory. Jestem lekarzem i miałem wypadek samochodowy, w którym...

- Wsiadaj, na miłość boską!

- Jestem pani niezmiernie zobowiązany.

Mo nie zdążył jeszcze dobrze zamknąć drzwi, kiedy kobieta wrzuciła bieg, nadepnęła na pedał gazu i wystartowała z rykiem silnika i szurgotem opon.

- Mam wrażenie, że trochę się pani śpieszy - zauważył uprzejmie Panov.

- Tobie też by się śpieszyło, koleś. Mam na karku starego, który goni mnie swoją ciężarówką!

- Och, doprawdy?

- Pieprzony kutas! Przez trzy tygodnie w miesiącu tłucze się po kraju i rżnie każdą dziwkę, jaką spotka, a potem wścieka się, że ja też miałam trochę przyjemności!

- Niezmiernie mi przykro.

- Będzie ci jeszcze bardziej przykro, jak nas dogoni.

- Proszę?

- Naprawdę jesteś lekarzem?

- Owszem.

- Może ubijemy interes.

- Nie rozumiem...

- Potrafisz zrobić skrobankę?

Morris Panov zamknął oczy.

Rozdział 22

Bourne błąkał się prawie godzinę po ulicach Paryża, usiłując zebrać myśli, aż wreszcie znalazł się na moście Solferino, prowadzącym do Quai des Tuileries i ogrodów. Oparłszy się o balustradę i patrząc nie widzącym wzrokiem na sunące w dole łodzie, powtarzał w myślach wciąż to samo pytanie: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego Marie to zrobiła? Decyzja o przylocie do Paryża była potworną głupotą, a przecież jego żona nie jest idiotką, tylko nadzwyczaj inteligentną kobietą o bystrym, analitycznym umyśle. Właśnie dlatego nie mógł zrozumieć jej decyzji; co chciała w ten sposób osiągnąć? Z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, że dla jej męża będzie znacznie bezpieczniej działać na własną rękę niż tropić Szakala i jednocześnie starać się zapewnić ochronę żonie. Nawet gdyby udało się jej go odnaleźć, oznaczałoby to jedynie podwojenie ryzyka. Na pewno o tym wiedziała, przecież jej zawód polegał właśnie na stawianiu prognoz i snuciu przewidywań! Więc dlaczego?

Istniała tylko jedna w miarę sensowna odpowiedź, ale kiedy o tym myślał, ogarniała go wściekłość. Marie doszła widocznie do wniosku, że jej mąż może znowu ześlizgnąć się poza granicę normalności - jak to się stało kilka lat temu w Hongkongu, gdzie uratowała go tylko jej obecność - i ugrzęznąć we własnym świecie, złożonym z przerażających półprawd, nieostrych wspomnień i oderwanych fragmentów przeszłości. Boże, jakżeż ją podziwia i kocha! Fakt, że podjęła tę głupią, niewybaczalną decyzję, jeszcze bardziej rozpałił jego uczucia, ponieważ było to takie... szczere; dokładne zaprzeczenie egoizmu! Wtedy, na Dalekim Wschodzie, były chwile, kiedy pragnął śmierci, choćby dlatego, żeby odpokutować to, że z jego winy Marie znalazła się w tak strasznym niebezpieczeństwie. Poczucie winy pozostało i miało pozostać już na zawsze, ale ten drugi człowiek, który w nim tkwił, musiał brać pod uwagę jeszcze inną rzeczywistość: ich dzieci. Wrzód, jakim był Szakal, musi zniknąć na zawsze także z ich życia! Czy ona nie mogła tego zrozumieć i zostawić go samego?

Nie. Leciła do Paryża nie po to, żeby ocalić mu życie, miała bowiem wystarczająco dużo zaufania do Jasona Bourne'a, ale po to, by ocalić jego umysł. Dam sobie radę, Marie, możesz mi wierzyć!

Bernardine. On mu pomoże. Deuxieme powinno bez kłopotów przechwycić ją na lotnisku Orły albo de Gaulle'a, a potem umieścić pod strażą w hotelu i udawać, że nikt nie wie, gdzie można go znaleźć. Jason przebiegł przez most, dostał się na Quai des Tuileries i wpadł do pierwszej budki telefonicznej.

- Może pan to zorganizować? - zapytał Bernardine'a. - Miała tylko jeden ważny paszport, amerykański, nie kanadyjski.

- Mogę spróbować na własną rękę, nie mieszając w to Deuxieme - odparł Francuz. - Nie wiem, co panu naopowiadał święty Aleks, ale obecnie sytuacja przedstawia się w ten sposób, że przestałem być konsultantem, a moje biurko najprawdopodobniej wyrzucono przez okno.

- Cholera!

- Zgadzam się z panem, *mon ami*. Najchętniej zobaczyliby moje gacie usmażone wraz z zawartością, a gdyby nie informacje, jakie posiadam, na temat niektórych członków Zgromadzenia, niewątpliwie zaczęliby znowu używać gilotyny, a ja miałbym okazję przekonać się o tym jako pierwszy.

- Może wręczyłby pan w urzędzie imigracyjnym kilka łapówek?

- Chyba będzie lepiej, jeśli zjawię się tam jakby nigdy nic. Liczę na to, że Deuxieme nie śpieszy się za bardzo z rozpowszechnianiem kompromitujących ją wiadomości. Proszę mi podać pełne imię i nazwisko.

- Marie Elise St. Jacques Webb...
- Ach tak, pamiętam - przerwał mu Bernardine. - Marie St. Jacques, znakomita kanadyjska ekonomistka. Widziałem kiedyś jej zdjęcia w gazetach. *La belle mademoiselle*.
- Wcale jej wtedy nie zależało na rozgłosie.
- Wierzę panu.
- Czy Aleks wspominał coś o Panowie?
- To ten lekarz?
- Tak.
- Niestety, nie.
- Cholera!
- Jeśli wolno mi coś poradzić, to teraz powinien pan troszczyć się przede wszystkim o siebie.
- Rozumiem.
- Weźmie pan samochód?
- A powinienem?
- Szczerze mówiąc, na pańskim miejscu nie robiłbym tego. Istnieje minimalne ryzyko, że w ten sposób można by trafić do mnie.
- Tak właśnie pomyślałem. Kupiłem sobie plan metra. Kiedy mogę się teraz z panem skontaktować?
- Będę potrzebował czterech, może pięciu godzin, żeby pojechać na lotniska i wrócić. Jak słusznie zauważył nasz znajomy święty, nie wiadomo dokładnie, skąd przyleci pańska żona. Zdobycie wszystkich list pasażerów zajmie mi trochę czasu.
- Proszę się skoncentrować na samolotach przylatujących jutro rano. Na pewno nie będzie miała fałszywego paszportu, bo nie wiedziałaby, jak go zdobyć.
- Według słów świętego Aleksa nie należy nie doceniać Marie St. Jacques Webb. Użył nawet francuskiego słowa. Powiedział, że ona *fest formidable*.
- Zapewniam pana, że potrafi przeskoczyć samą siebie.
- *Qu'est-ce que c'est?*
- Innymi słowy, jest zdolna do nadzwyczaj oryginalnych pomysłów.
- Co pan będzie robił?
- Na razie idę do metra. Ściemnia się. Zadzwonię po północy.
- *Bonne chance*.
- *Merci*.

Kiedy Bourne wyszedł z budki i powłócząc nogą ruszył wzdłuż Quai des Tuileries, miał już gotowy plan działania. W pobliżu znajdowała się stacja, gdzie wsiądzie w metro do Havre Caumartin, a stamtąd pociągiem dostanie się do Argenteuil, średniowiecznego miasteczka założonego tysiąc czterysta lat temu wokół klasztoru. Obecnie było to przedmieście Paryża i centrum operacyjne zabójcy bardziej bezwzględnego i brutalnego od tych, jakich można było spotkać w średniowieczu. To jedno przez stulecia pozostało niezmiennie: uświęcanie i dowartościowywanie przestępstwa bliskością miejsc religijnego kultu.

Do Le Coeur du Soldat nie wchodziło się z ulicy, bulwaru ani alei, tylko ze ślepego zaułka naprzeciwko od dawna nieczynnej fabryki, niegdyś znakomicie prosperującego zakładu metalurgicznego usytuowanego w najbrzydszej części miasta. Na próżno by szukać numeru baru w książce telefonicznej; trafiali tutaj ci, którzy wiedzieli, jak trafić, oraz ci, którzy wiedzieli, kogo pytać o drogę. Im brudniejsze i bardziej zaniedbane stawały się domy i ulice, tym wskazówki przechodniów zyskiwały na dokładności.

Bourne stał w ciemnym, wąskim zaułku oparty o ceglany, wyszczerbiony mur naprzeciwko wejścia do lokalu. Nad masywnymi drzwiami jarzył się przyćmioną czerwieńią toporny, częściowo uszkodzony neon: L Ceur'd Soldat. Kiedy drzwi otwierały się lub zamykały, wpuszczając i wypuszczając klientów, mroczną uliczkę wypełniały metaliczne,

dochośne dźwięki marszowej muzyki; goście tego lokalu z pewnością nie zostaliby zaproszeni na przyjęcie *haute couture*. Wyglądam dokładnie tak, jak powinienem, pomyślał Jason, po czym potarł zapalną o mur, zapalił cienkie, czarne cygaro i ruszył w kierunku drzwi.

Gdyby nie rozbrzmiewający wokół język i ogluszająca muzyka, poczułby się tak, jak w którymś z portowych barów w Palermo. Torując sobie powoli drogę do zatłoczonego baru, rozglądał się od niechcenia dookoła, starając się zapamiętać każdy szczegół. Potężnie zbudowany mężczyzna w bluzie czołgisty wstał właśnie ze stołka i Jason natychmiast zajął jego miejsce.

Szponiasta dłoń opadła mu na ramię; Bourne podbił ją w górę, wykręcił i wstał, prostując się na całą wysokość.

- O co chodzi? - zapytał po francusku niezbyt głośno, ale tak, żeby być dobrze słyszany.

- To moje miejsce, świni! Idę się tylko odlać!

- Więc może kiedy wrócisz, ja tam pójde - odparł Jason, wpatrując się ostro w oczy napastnika i nie zwalniając uchwytu, wzmocnionego dodatkowo odpowiednim ustawieniem kciuka, uciskającego boleśnie nerw.

- Ty cholerny kulasie!.. - zasyczał mężczyzna, starając się nie okazać bólu. - Masz szczęście, że nie ruszę inwalidy, bo...

- Powiem ci coś - zaproponował Bourne, rozluźniając uchwyt. - Jak wrócisz, będziemy się zmieniać, a ja postawię ci drinka za każdym razem, jak pozwolisz mi trochę ulżyć tej mojej cholernej nodze. Zgoda?

Na twarzy barczystego mężczyzny pojawił się uśmiech.

- Jesteś w porządku, koleś!

- Wcale nie jestem w porządku, tylko nie chcę zarobić guza. Rozsmarowałbyś mnie jak masło. - Bourne cofnął rękę.

- Nie jestem pewien! - roześmiał się czołgista, obmacując sobie przegub. - Siedź, siedź! Jak się wysikam, to ja tobie postawię drinka. Nie wyglądasz na faceta, który ma za dużo forsy.

- Jak to mówią, pozory często mylą - odparł Jason, siadając ponownie na stołku. - Mam też lepsze ciuchy, ale kumpel, z którym się umówiłem, powiedział, żebym lepiej ich nie wkładał... Właśnie wróciłem ze szmałem z Afryki. Wiesz, szkolenie dzikusów i tak dalej...

Z głośników buchnęły ogluszające dźwięki kolejnego marsza, a oczy czołgisty zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Afryka? - zapytał ze zdumieniem. - Wiedziałem! Znam ten chwyt: LPN!

Resztki banku danych, jakie pozostały w jego pamięci, pozwoliły kameleonowi na natychmiastowe rozszyfrowanie skrótu. LPN - *Legion Patria Nostra* - Legia Cudzoziemska. Najemnicy. Co prawda akurat nie to miał na myśli, ale niech i tak będzie.

- Boże, ty też? - zapytał na wszelki wypadek.

- *La Legion etrangere!* „Legia jest naszą ojczyzną!”

- Niesamowite!

- Ma się rozumieć, nie chwalimy się tym na lewo i prawo, bo byliśmy najlepsi i dostawaliśmy największe pieniądze, ale to przecież nasi ludzie. Żołnierze!

- Kiedy opuściłeś Legię? - zagadnął Bourne, przeczuwając niejasno kłopoty.

- Dziewięć lat temu. Wyrzucili mnie przed przedłużeniem kontraktu z powodu nadwagi. Mieli rację, a przy okazji chyba ocalili mi życie. Jestem z Belgii, dochrapałem się porucznika.

- Ja wyleciałem miesiąc temu, przed końcem pierwszego kontraktu, podczas tej zabawy w Angoli. Zostałem ranny, a przy okazji dopatrzyli się w papierach, że jestem starszy, niż im mówiłem. Nie lubią płacić za leczenie. - Jak łatwo przyszły mu te słowa!

- Angola? Więc my to zrobiliśmy? Na co to komu?

- Ja tam o niczym nie wiem. Jestem zwykłym żołnierzem, wykonuję rozkazy i nie dyskutuję o tych, których nie rozumiem.

- Siedź tutaj! Pęcherz mi pęka... Zaraz wracam, to sobie trochę pogadamy. Może mamy wspólnych kumpli? Nic nie słyszałem o operacji w Angoli...

Jason oparł się o bar i zamówił *une biere*, dziękując w duchu Bogu za to, że muzyka była zbyt głośna, a barman za bardzo zajęty, żeby podsłuchiwać ich rozmowę. Jednak zdecydowanie większą wdzięczność żywił wobec świętego Aleksa, który dawał każdemu szkolonemu przez siebie agentowi następującą radę: „Najpierw bij po gębie, a potem wyciągaj rękę na zgodę”. Conklin wyznawał bowiem teorię, że przyjaźń zawiązująca się w miejsce wrogości jest znacznie trwalsza od tej, która ma bezproblemowe początki. Bourne pociągnął z ulgą łyk piwa. Miał teraz przyjaciela w Le Coeur du Soldat. Zdobył przyczółek, pozornie mało istotny, ale w sprawach tego rodzaju pozory często mogły mylić.

Czołgista wrócił do baru, obejmując potężnym ramieniem młodego, dwudziestoparoletniego chłopaka średniego wzrostu i postury obszernego sejf, ubranego w kurtkę amerykańskiej piechoty. Jason wykonał ruch, jakby chciał zejść ze stołka.

- Siedź, siedź! - ryknął jego nowy przyjaciel, nachylając się nad głowami ludzi i przekrzykując grzmącą muzykę. - Przeprowadziłem nam dziewicę.

- Że co?

- Zapomniałeś? Ma zamiar wstąpić do Legii.

- Ach, tak! - Bourne roześmiał się, usiłując zatuszować gafę. - Wiesz, w takim miejscu...

- W takim miejscu można wszystko załatwić, ale tu nie o to chodzi - odparł czołgista. - Pomyślałem sobie, że powinien z tobą pogadać. To Amerykanin i jego francuski jest żaloszny, ale jak będziesz mówił wolno i wyraźnie, to powinien się połapać.

- Nie ma potrzeby - odezwał się Jason po angielsku z ledwo uchwytnym francuskim akcentem. - Urodziłem się w Neuchatel, ale długo mieszkałem w Stanach.

- To świetnie! - Akcent młodego Amerykanina wskazywał nieomylnie na głębokie Południe. Miał szczery uśmiech i ostrożne, ale nie bojaźliwe spojrzenie.

- W takim razie zacznijmy od początku - powiedział Belg również po angielsku, ale z wyraźnymi francuskimi naleciałościami. - Nazywam się... Maurice. To równie dobre imię, jak każde inne. Ten młody człowiek to Ralph, a w każdym razie tak twierdzi. Jak ty się nazywasz, ranny bohaterze?

- Francois - odparł Jason, zastanawiając się, jak sobie radzi Bernardinena lotniskach. - Nie jestem bohaterem, bo oni za szybko umierają... Zamówcie, co chcecie. Ja stawiam. - Podczas zamawiania drinków Bourne usiłował za wszelką cenę przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat Legii Cudzoziemskiej. - Przez dziewięć lat wiele się zmieniło, Maurice. - Jak łatwo przychodzą mi te słowa, pomyślał jeszcze raz kameleon. - Dlaczego chcesz się zaciągnąć, Ralph?

- To chyba najlepsze, co mogę zrobić. Muszę zniknąć na parę lat, przynajmniej napięć.

- Pod warunkiem, że uda ci się przetrwać pierwszy rok - zauważył Belg.

- Maurice ma rację. Posłuchaj go. Oficerowie są brutalni i wymagający...

- A w dodatku prawie sami Francuzi! - dodał czołgista. - Co najmniej dziewięćdziesiąt procent. Awansuje co najwyżej jeden na stu *etrangers*. Lepiej od razu pozbać się złudzeń.

- Aleja skończyłem college! Jestem inżynierem.

- Więc będziesz budował wspaniałe latryny i projektował znakomite dziury do srania na pustyni! - roześmiał się Maurice. - Francois, opowiedz mu, jak traktuje się żółtodziobów.

- Ci z wykształceniem muszą się najpierw nauczyć walczyć - powiedział Jason, mając nadzieję, że tak jest w istocie.

- Otóż to! - wykrzyknął Belg. ~ Dlatego, że budzą podejrzenia. Czy nie zaczną wątpić? Czy nie będą chcieli myśleć zamiast po prostu wykonywać rozkazy? Naprawdę, *mon ami*, na

twoim miejscu nie chwaliłbym się tym college'em.

- Niech to wychodzi na jaw po trochu - dodał Bourne. - Wtedy, kiedy będą tego potrzebować, nie wtedy, kiedy ty będziesz chciał im to dać.

- *Bien!* - potwierdził z przekonaniem Maurice. - On wie, o czym mówi. Prawdziwy *legionnaire!*

- Umiesz walczyć? - zapytał Jason. - Potrafiłbyś kogoś zabić?

- Zamordowałem nożem i gołymi rękami moją narzeczoną, jej dwóch braci i kuzyna. Pieprzyła się z bogatym bankierem z Nashville, a oni ich kryli, bo tamten gość płacił im za to kupę forsy... Tak, potrafię zabijać, panie Francois.

„Polowanie na zabójcę z Nashville...”

„Młody inżynier sprawcą strasznego mordu...”

Bourne pamiętał doskonale te tytuły, gdyż widział je w gazetach zaledwie kilka tygodni temu.

- Możesz zgłosić się do Legii - powiedział, patrząc w oczy młodemu Amerykaninowi.

- Mogę się na pana powołać, gdyby robili mi jakieś trudności?

- To by ci raczej zaszkodziło, niż pomogło. Jeśli cię przycisną, powiedz prawdę. Trudno o lepsze referencje.

- *Aussi bien!* On wie, co to Legia! Z reguły nie przyjmują szaleńców, ale często... Jak to powiedzieć, Francois?

- Przymykają oczy.

- *Oui.* Przymykają oczy albo... *encore*, Francois?

- Albo szukają nadzwyczajnych okoliczności.

- Widzisz? Mój przyjaciel Francois ma łeb na karku. Zastanawiam się, w jaki sposób udało mu się przeżyć.

- W taki, że się tym za bardzo nie chwale, Maurice.

Podszedł do nich kelner przepasany najbrudniejszym fartuchem, jaki Jason widział w życiu, i poklepał Belga po ramieniu.

- *Votre table, Rene.*

Belg zbył wzruszeniem ramion zdziwione spojrzenia obu mężczyzn.

- Też imię, tak samo dobre, jak każde inne. *Quelle difference?* Chodź my coś przekąsć. Jak będziemy mieli szczęście, to może nas nie otrują.

Ryba, jaką im podano, sprawiała dość podejrzaną wrażliwość, więc na wszelki wypadek Maurice i Ralph popili ją czterema butelkami lichego wina. Życie w lokalu toczyło się tak samo, jak co wieczór. Od czasu do czasu wybuchały mniejsze lub większe bójki, szybko likwidowane przez barczystych kelnerów, a grzmiąca marszowa muzyka wywoływała u byłych żołnierzy przyływ wspomnień; niezależnie od tego, czy byli zwykłym mięsem armatnim, czy służyli w doborowych oddziałach, odczuwali wielką dumę, ponieważ udało im się przeżyć okropności, o jakich ich parady w eleganckich mundurach przełożeni nie mieli najmniejszego pojęcia. Gwar rozmów zwykłych żołnierzy walczących w Korei i Wietnamie niczym się nie różnił od tego, jaki towarzyszył wojskom faraonów. Oficerowie zawsze wydawali rozkazy z głębokich tyłów, a zwykli żołnierze ginęli, żeby potwierdzić lub zakwestionować słuszność ich decyzji. Bourne doskonale pamiętał Sajgon i nie dziwił się istnieniu takiego miejsca jak *Le Coeur du Soldat*.

Główny barman, potężnie zbudowany łysy mężczyzna w drucianych okularach, podniósł słuchawkę ukrytego pod kontuarem telefonu. Jason obserwował go między przesuwanymi się postaciami. Wzrok barmana błędził bez celu po pomieszczeniu - to, co słyszał, było chyba bardzo ważne, a to, co widział, nie miało najmniejszego znaczenia/Powiedział kilka słów, po czym sięgnął drugą ręką pod ladę; wykręcał numer. Kilka sekund później powiedział znowu jedno lub dwa zdania i odłożył słuchawkę. Kolejność wydarzeń była dokładnie taka sama jak ta, o jakiej opowiadał na Wyspie Spokoju stary

Fontaine: wiadomość odebrana, wiadomość przekazana. Tym, komu ją przekazano, był Szakal.

Bourne widział już wszystko, co chciał zobaczyć tego wieczoru. Teraz należało spokojnie to przemyśleć, a być może wynająć ludzi, tak jak robił już nieraz. Ludzi bez znaczenia, których można przekupić lub zastraszyć, żeby nie pytając o nic, wykonywali jego rozkazy.

- Przyszedł człowiek, z którym miałem się spotkać - powiedział do ledwo przytomnych Maurice'a i Ralpa. - Mam wyjść z nim na zewnątrz.

- Opuszczasz nas? - załkał Belg.

- T-to nieładnie... To b-b-bardzo nieładnie - oświadczył Amerykanin z Południa.

- Tylko na dzisiejszy wieczór. - Bourne nachylił się nad stolikiem. - Współpracuję z innym byłym legionistą, który ma na oku coś, co może przynieść kupę forsy. Nie znam was, ale wyglądacie na porządnych facetów. - Wyciągnął z kieszeni dwa banknoty pięćsetfrankowe i podał po jednym każdemu ze współbiesiadników. - Macie... tylko szybko schowajcie!

- A niech mnie...

- *Merde!*

- Niczego nie obiecuję, ale może nam się przydadie. Trzymajcie gęby na kłódkę i wyjdźcie stąd jakieś piętnaście minut po mnie. Tylko ani kropli więcej, jutro macie być zupełnie trzeźwi... O której otwierają tę spelunkę, Maurice?

- Wątpię, czy w ogóle ją zamykają... Kiedyś byłem tu nawet o ósmej rano. Oczywiście, nie ma wtedy takiego tłoku, ale...

- Spotkamy się około południa. Trzeźwi, rozumiecie?

- Znowu będę *le caporal extraordinaire* Legii, tak jak kiedyś! Mam założyć mundur? - zapytał Maurice i głośno beknął.

- Do diabła, nie!

- A ja założę g-garaitur i k-k-krawat. Mam k-krawat, słowo daję!

- Nie! Obaj macie być ubrani tak jak teraz, tyle że trzeźwi. Rozumiecie, co do was mówię?

- Mówisz jak Amerykanin, *mon ami*.

- Właśnie.

- Nie jestem Amerykaninem, ale nawet gdybym był, to chyba prawda nie jest tu artykułem pierwszej potrzeby?

- *Ou est-ce que...*

- Ja rozumiem, o co mu chodzi. G-g-gada jak tacy faceci, co zawsze chodzą w k-k-krawatach.

- Pamiętaj, Ralph: żadnego garnituru. Do zobaczenia jutro.

Bourne wstał od stolika, ale nagle uderzyła go pewna myśl. Zamiast ruszyć do drzwi skierował się powoli w stronę baru. Wszystkie miejsca były zajęte, więc delikatnie wcisnął się bokiem między dwóch klientów, zamówił drinka, a następnie poprosił o serwetkę, na której, nie kryjąc się, napisał długopisem po francusku kilka zdań:

„Gniazdo Kosa jest warte co najmniej milion franków. Cel: dyskretne doradztwo w interesach. Bądź za pół godziny za rogiem, przy starej fabryce. Niczym nie ryzykujesz. Jeśli przyjdiesz sam, czeka dodatkowo 5000 franków”.

Bourne wsunął pod serwetkę stufrankowy banknot i dał znak ręką barmanowi, który poprawił niecierpliwym gestem okulary, jakby uznał to za impertynencję. Podszedł niespiesznym krokiem i oparł na kontuarze grube, pokryte tatuażem ramię.

- O co chodzi? - zapytał gburowato.

- Napisałem do ciebie kartkę z wiadomością - odparł kameleon, wpatrując się nieruchomym spojrzeniem w jego oczy. - Jestem sam i mam nadzieję, że weźmiesz pod

uwagę moją prośbę. Mam niesprawną nogę, ale to nie znaczy, że nie mam pieniędzy. - Bourne szybkim, lecz delikatnym ruchem podsunął barmanowi serwetkę i banknot, po czym, obrzuciwszy go jeszcze jednym, prze ciągłym spojrzeniem, odwrócił się i wyraźnie utykając, ruszył do drzwi.

Znalazłszy się na zewnątrz, pobiegł w kierunku wylotu alejki. Oceniał, że interludium przy barze zajęło mu od ośmiu do dwunastu minut. Wiedząc o tym, że barman na pewno odprowadził go wzrokiem aż do drzwi, nie spojrzął w kierunku swoich kompanów, ale był przekonany, że w dalszym ciągu siedzieli przy stoliku. Ani czołgista, ani Ralph nie byli w najlepszej formie, w ich stanie zaś upływające minuty nie miały najmniejszego znaczenia. Jason żywił jednak nadzieję, że pięćset franków obudzi w każdym z nich coś w rodzaju poczucia obowiązku i że wyjdą z lokalu zgodnie z jego poleceniem. Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że znacznie większe zaufanie pokłada w mężczyźnie posługującym się imionami Maurice i Rene niż w Ralphie. Były porucznik Legii Cudzoziemskiej miał wykształcony bezwarunkowy odruch, nakazujący wykonać każdy rozkaz; wykonywał je, wszystko jedno, trzeźwy czy pijany. Jason miał nadzieję, że tak samo będzie tym razem. Pomoc tych dwóch ludzi nie była niezbędna, lecz na pewno mogła mu się przydać, zakładając oczywiście, że barman z Le Coeur du Soldat przejawia zainteresowanie podanymi sumami pieniędzy i zdecyduje się spotkać z inwalidą, którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógłby zabić jedną ręką.

Bourne czekał w mrocznym zaułku, obserwując drzwi lokalu. Wchodziło przez nie i wychodziło coraz mniej ludzi, przy czym ci wchodzący znajdowali się w znacznie lepszej formie niż wychodzący, ale wszyscy bez różnicy mijali obojętnie chwiejącego się przy ceglanym murze Jasona.

Jednak instynkt zwyciężył. W pewnej chwili na uliczkę wytoczyli się spleceni w uścisku dwaj znajomi Bourne'a. Kiedy odzyskali równowagę, Belg uderzył na odlew swego towarzysza, nakazując mu bełkotliwym głosem, żeby natychmiast wytrzeźwiał, bo są już bogaci, a będą jeszcze bogatsi.

- To lepiej niż dać się zabić w Angoli! - wykrzyknął były legionista. - Dlaczego oni to zrobili?

Kiedy koło niego przechodzili, Jason wciągnął ich obu za róg budynku.

- To ja! - syknął ostro.

- *Sacrebleu...!*

- Co jest, do d-d-diabła...?

- Cicho! Jeżeli chcecie, możecie zarobić jeszcze po pięćset franków. Jeśli nie, znajdę zaraz dwudziestu chętnych.

- Przecież jesteśmy kumplami! - zaprotestował Maurice-Rene.

- P-p-powinienem dać ci w ryj, żeś nas tak p-przestraszył... Mój koleś ma rację, jesteśmy k-k-kumplami. Ale to nie tak jak u k-komuchów, Maurice?

- *Taisez-vous!*

- To znaczy: stul pysk - wyjaśnił Bourne.

- Wiem, wiem... Ciągłe to słyszę...

- Posłuchaj mnie teraz. W ciągu najbliższych kilku minut z knajpy może wyjść barman, żeby się ze mną spotkać. Może, ale nie musi. Po prostu nie wiem. To duży, łysy facet w okularach. Znaie go?

Amerikanin wzruszył ramionami, ale Belg kiwnął z rozmachem głową.

- Nazywa się Santos - wybełkotał. - *Espagnol.*

- Hiszpan?

- Albo latynos. Nikt nie wie na pewno.

Iljicz Ramirez Sanchez, pomyślał Jason. Szakał. Urodzony w Wenezueli terrorysta, z którym nie mogli sobie poradzić nawet Rosjanie. To oczywiste, że otacza się ludźmi o

podobnym jak on pochodzeniu.

- Dobrze go znasz?

Tym razem to Belg wzruszył ramionami.

- W Le Coeur du Soldat jest absolutnym szefem. Rozwalał ludziom głowy, jeśli za bardzo rozrabiali. Jak zdejmuję okulary, to znaczy, że zaraz zdarzy się coś, czego lepiej nie oglądać... Jeżeli ma tu przyjść, żeby się z tobą spotkać, to lepiej uciekaj.

- Jeśli przyjdzie, to dlatego że ma do mnie interes, a nie po to, żeby mi coś zrobić.

- Ale Santos...

- Nie musicie znać szczegółów, one was nie dotyczą. Jeżeli wyjdzie na zewnątrz, chcę, żebyście przez chwilę zajęli go rozmową. Dacie radę?

- *Mais, certainement.* Parę razy spałem na górze na jego prywatnej kozetce. Sam mnie zanosił, jak przychodziły sprzątaczkę.

- Na górze?

- Mieszka na pierwszym piętrze, nad lokalem. Podobno nigdy stąd nie wychodzi, nawet na targ. Zakupy robią inni albo zamawia wszystko przez telefon.

- Rozumiem. - Jason wyciągnął pieniądze i wręczył dwóm chwiejącym się na nogach mężczyznom po kolejnym pięćsetfrankowym banknocie. - Wracajcie pod drzwi, a jak Santos wyjdzie, zatrzymajcie go przez chwilę. Możecie go poprosić o pieniądze, butelkę, o cokolwiek.

Maurice-Rene i Ralph zachowywali się jak dzieci: spojrzeli na siebie zarazem triumfalnie i porozumiewawczo, ściskając w dłoniach banknoty. Francois, szalony legionista, rozdaje forszę, jakby ją sam drukował! Ich entuzjazm wyraźnie przybrał na sile.

- Jak długo mamy obrabiać tego indyka? - zapytał Amerykanin z Południa.

- Tak go zagadam, że odpadną mu uszy z tej łysej głowy! - dodał Belg.

- Nie ma potrzeby. Chcę się tylko przekonać, czy naprawdę jest sam.

- Nie ma sprawy, kolego.

- Zapracujemy nie tylko na tę forszę, ale i na twój szacunek. Masz na to słowo kaprala Legii Cudzoziemskiej!

- Jestem wzruszony. A teraz do roboty.

Dwaj pijani mężczyźni, zataczając się i poklepując po ramionach, odeszli w kierunku wejścia do knajpy. Jason czekał, przyciśnięty plecami do chropawej, nierównej ściany. Po sześciu minutach usłyszał słowa, które tak bardzo pragnął usłyszeć:

- Santos! Mój wspomniały przyjaciel Santos!

- Co tu robisz, Rene?

- Ten młody Amerykanin trochę źle się poczuł, ale już mu lepiej, bo zwymiotował.

- Amerykanin...?

- Pozwól, że ci go przedstawię. Już wkrótce będzie znakomitym żołnierzem.

- Czyżby znowu organizowano dziecięcą krucjatę? Powodzenia, skrzacie. Zrób sobie wojnę w piaskownicy.

Bourne wychylił się ostrożnie zza rogu i ujrzał łysego barmana przypatrującego się Ralphowi.

- Strasznie szybko g-g-gadasz pan po francusku, ale ja i tak zrozumiałem. Duży jesteś, ale ja p-potrafię być cholernym sukinsynem!

Barman roześmiał się i bez trudu przeszedł na angielski.

- Ale lepiej bądź nim gdzieś indziej, skrzacie. W Le Coeur du Soldat przyjmujemy tylko pokojowo nastawionych dżentelmenów. Wybaczcie, ale muszę już iść.

- Santos! - załkał Maurice-Rene. - Pożycz mi dziesięć franków! Zostawiłem portfel w chałupie...

- Nawet jeśli kiedykolwiek miałeś portfel, to zostawiłeś go w Afryce Północnej. Znasz moje zasady. Ani sou żadnemu z was.

- Całą forszę, jaką miałem, wydałem na tę twoją wstrętną rybę! To po niej on się porzygał!

- Następnym razem idźcie na kolację do Ritza... Rzeczywiście, jedliście coś u mnie, ale nie wy za to płaciliście! - Jason cofnął się raptownie, gdyż barman rozejrzał się po uliczce. - Dobrej nocy, Rene. Tobie też, skrzacie. Mam jeszcze coś do załatwienia.

Bourne puścił się biegiem w kierunku bramy prowadzącej na teren starej fabryki. Santos przyszedł się z nim spotkać. Sam. Przemknąwszy na drugą stronę zaułka, znieruchomiał w głębokim cieniu, dotykając lekko dłonią spoczywającego w kieszeni pistoletu. Każdy krok Santosa przybliżał jego, Jasona, do Szakala! Kilka chwil później potężna sylwetka pojawiła się przed zardzewiałą, zamkniętą na głucho bramą.

- Przyszedłem, *monsieur* - powiedział Santos.

- Jestem panu wdzięczny.

- Wolalbym, żeby dotrzymał pan słowa. Zdaje się, że w swoim liściku wspomniał pan coś o pięciu tysiącach franków.

- Oto one.

Jason wydobyl z kieszeni pieniądze i podał najważniejszemu człowiekowi w Le Coeur du Soldat.

- Dziękuję. - Santos zbliżył się i wziął zwitek banknotów. - Brać go! - dodał głośnie.

Skrzydła bramy otworzyły się z hukiem. Z ciemności wypadli dwaj mężczyźni i zanim Jason zdążył wyciągnąć broń, jakiś ciężki przedmiot uderzył mocno w jego czaszkę.

Rozdział 23

Jesteśmy sami - usłyszał Bourne w chwilę po tym, jak otworzył oczy. W porównaniu z potężnym ciałem Santosa fotel, na którym siedział barman, wydawał się niewielki, a przyćmione światło stojącej lampy odbijało się od jego łysej czaszki tak, że sprawiała wrażenie jeszcze większej niż w rzeczywistości. Jason odchylił do tyłu głowę i poczuł, że ma na samym czubku ogromnego guza. Stwierdził, że leży wciśnięty w kąt obszernej kanapy. - Nie ma żadnego pęknięcia ani krwawienia, tylko dość bolesny guz - dodał człowiek Szakala.

- Pańska diagnoza jest słuszna, szczególnie jej końcowy fragment.

- Został pan uderzony owiniętą w amortyzujący materiał pałką z twardej gumy. Rezultat był łatwy do przewidzenia, oczywiście pod warunkiem, że nie nastąpiło nic nieoczekiwane. Obok pana leży na tacy woreczek z lodem. Radziłbym z niego skorzystać.

Bourne wyciągnął rękę, wziął wilgotną, zimną torebkę i przycisnął ją do głowy.

- Jest pan bardzo troskliwy - zauważył.

- Czemu nie? Mamy wiele spraw do omówienia... Może nawet milion, jeśli przeliczyć je na franki.

- Są pańskie, jeśli dotrzymane zostaną warunki, jakie podałem.

- Kim jesteś? - zapytał ostrym tonem Santos.

- Tej informacji nie ma w warunkach umowy.

- Nie jesteś już młody.

- Ty też nie, ale nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie.

- Miałeś pistolet i nóż. Nożem posługują się młodzi ludzie.

- Kto tak twierdzi?

- Moje doświadczenie... Co wiesz o Kosie?

- Powinieneś raczej zapytać, skąd dowiedziałem się o Le Coeur du Soldat.

- Więc skąd?

- Ktoś mi powiedział.

- Kto?

- Przykro mi, ale to także nie jest jeden z warunków. Zostałem wynajęty tylko jako pośrednik.

- Czy dlatego udawałeś inwalidę? Kiedy zacząłeś odzyskiwać przytomność, dotknąłem twojego kolana, ale nie okazałeś bólu. Nie masz przy sobie żadnych dokumentów, za to dużą sumę pieniędzy.

- Nigdy nikomu nie tłumaczę się z metod, jakie stosuję, tylko wyjaśniam, na czym polega moje zadanie. Najważniejsze, że udało mi się do ciebie dotrzeć. Nie znałem numeru telefonu, a chyba nie uważasz, że powinienem zjawić się w garniturze i z teczką w rękę?

Santos roześmiał się.

- Nawet nie zdołałbyś wejść do środka, bo wcześniej wciągnęliby cię w jakiś ciemny kąt i rozebrali do naga.

- Tak właśnie myślałem... Więc jak, przystępujemy do interesu? W grę wchodzi milion franków.

Człowiek Szakala wzruszył ramionami.

- Jeżeli kupujący wymienia na samym początku taką sumę, to na pewno jest gotów zapłacić dużo więcej. Powiedzmy, półtora miliona, a może nawet dwa.

- Aleja nie jestem kupującym, tylko pośrednikiem. Upoważniono mnie do zapłacenia miliona, co moim zdaniem i tak jest zbyt dużą sumą, ale tu chodzi również o czas. Mam także inne możliwości.

- Jesteś tego pewien?
- Oczywiście.
- Stracisz je, jeśli znajdą twoje ciało w rzece.
- Rozumiem.

Jason rozejrzał się po pograżonym w półmroku mieszkaniu; miało niewiele wspólnego z obskurną spelunką na parterze. Meble były duże, dostosowane do rozmiarów właściciela, lecz dobrane ze smakiem - na pewno nie eleganckie, ale i nie tanie. Największe zdziwienie budziły sięgające od podłogi do sufitu regały z książkami, stojące między oknami. Bourne żałował, iż nie może dostrzec tytułów, bo mogłoby mu to powiedzieć coś więcej na temat tego dziwnego człowieka wysławiającego się tak, jakby ukończył Sorbonę, zachowującego się zaś jak bezwzględny zabijaka.

- Czyli mam rozumieć, że raczej nie będę mógł stąd wyjść, kiedy zechcę? - zapytał, spoglądając ponownie na Santosa.

- Raczej nie - potwierdził jego obawy podwładny Szakala. - Mógłbyś, gdybyś odpowiedział mi wprost na kilka pytań, ale skoro twierdzisz, że nie wolno ci tego zrobić... Cóż, ja też muszę ci postawić pewne warunki, a od ich spełnienia będzie zależało twoje życie.

- Jasno stawiasz sprawę.

- To chyba dobrze, prawda?

- Oczywiście, tyle tylko, że w ten sposób rezygnujesz z szansy zarobienia miliona franków, a może, jak sam twierdzisz, nawet dużo większej sumy.

- Mam wrażenie - odparł Santos, krzyżując na piersi swoje potężne ramiona i przyglądając się zdobiącym je tatuażom, jakby widział je po raz pierwszy w życiu i zastanawiał się, skąd się tam wzięły - że człowiek dysponujący takimi funduszami nie tylko będzie gotów pozbyć się tej sumy w zamian za twoje życie, ale dorzuci jeszcze wszelkie konieczne informacje, aby oszczędzić ci niepotrzebnych cierpień. - Nagle rąbnął olbrzymią pięścią w poręcz fotela i ryknął: - Co wiesz o Kosie? Kto ci powiedział o Le Coeur du Soldat? Skąd się tu wzięłeś, kim jesteś i dla kogo pracujesz?!

Bourne zamarł bez ruchu na kanapie, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Musi się stąd wydostać i skontaktować z Bernardine'em! Na pewno minęła już umówiona godzina! Gdzie jest teraz Marie? Jednak z pewnością tego, co chciał zrobić, nie da się osiągnąć wbrew woli olbrzyma siedzącego w fotelu po drugiej stronie pokoju. Santos nie był ani kłamcą, ani głupcem; bez wahania zabiłby więźnia gołymi rękami i nie da się go omamić wyssaną z palca historyjką. Chronił jednocześnie dwie głowy - swoją i swego protektora. Kameleonowi pozostało tylko jedno wyjście: ujawnić tak dużą, że aż wiarygodną część prawdy, którą przeciwnik będzie musiał zaakceptować, ponieważ odrzucenie jej oznaczałoby dla niego zbyt wielkie ryzyko. Jason odłożył na tacę torebkę z lodem i zaczął mówić, ciągle wciśnięty w narożnik rozłożystej kanapy.

- To chyba jasne, że nie mam zamiaru umierać dla mojego klienta ani narażać się na tortury, żeby utrzymać w tajemnicy jego informacje, więc powiem ci wszystko, co wiem. Niestety, nie ma tego tak wiele, jak bym sobie życzył, zważywszy na obecne okoliczności. Żeby od samego początku wszystko było zupełnie jasne: nie rozporządzam osobiście tymi pieniędzmi. Mam się spotkać w Londynie z pewnym człowiekiem, który wyda polecenie przelewu z konta w Bernie na nazwisko lub numer rachunku, który mu podam... Tym samym wyjaśniliśmy już sobie sprawę mojej ewentualnej śmierci i niepotrzebnych cierpień. Co wiem o Kosie? W tym pytaniu mieści się też, rzecz jasna, sprawa Le Coeur du Soldat... Otóż powiedziano mi, że jakiś starszy człowiek - nie wiem, jakiej narodowości, ale podejrzewam, że Francuz - poinformował pewną znaną osobistość, że jest przygotowywany zamach na jej życie. Któż jednak uwierzy przeżartemu alkoholem starcowi, w dodatku z niechlubną, kryminalną przeszłością? Niestety, zamach doszedł do skutku, ale na szczęście ocalał współpracownik tej ważnej osobistości, który wiedział o ostrzeżeniu i jednocześnie był

bardzo blisko związany z moim klientem. Obaj powitali zarówno zamach, jak i śmierć ważnej osobistości z wielkim zadowoleniem. Człowiek ów poinformował mego klienta o wiadomości dostarczonej przez starca: jeżeli ktoś chce się skontaktować z Kosem, powinien przesłać mu wiadomość przez restaurację Le Coeur du Soldat w Argenteuil. Mój klient w przekonaniu, że Kos musi być kimś wyjątkowym, postanowił właśnie skontaktować się z nim... Co do mnie, to urzęduję w pokojach hotelowych w różnych miastach. W tej chwili nazywam się Simon i mieszkam w Pont Royal, gdzie zostawiłem paszport i inne dokumenty. - Bourne przerwał i rozłożył szeroko ręce. - Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

- Jeszcze nie wszystko - warknął Santos. - Kto jest twoim klientem?

- Zabiją mnie, jeśli ci powiem.

- A ja cię zabiję, jeśli mi nie powiesz - odparł człowiek Szakala, biorąc do ręki myśliwski nóż Jasona. Ostrze błysnęło w świetle lampy.

- Nie lepiej, żebyś podał mi informację, której potrzebuje mój klient, razem z jakimkolwiek nazwiskiem i numerem konta, a ja w zamian zagwarantuję ci dwa miliony franków? Mój klient żąda tylko tego, żebym był jedynym pośrednikiem. Widzisz w tym coś niewłaściwego? Przecież Kos zawsze może mi odmówić i posłać mnie do diabła... Trzy miliony.

Santos zamrugał powiekami, jakby nawet dla niego pokusa stała się zbyt silna.

- Może ubijemy interes później...

- Teraz!

- Nie! - Podwładny Carlosa dźwignął z fotela swoje ogromne ciało i zaczął się zbliżać do kanapy, trzymając w wyciągniętej dłoni lśniący nóż. - Twój klient!

- Klienci - odparł Bourne. - Grupa bardzo wpływowych ludzi ze Stanów.

- Kto, konkretnie!

- Strzegą swoich nazwisk jak tajemnic wojskowych, ale udało mi się jedno odkryć. Powinno ci wystarczyć.

- Kto to jest?

- Sam się domyśl, a przy okazji przekonasz się, jak ważne jest to, co ci chcę powiedzieć. Strzeż Kosa najlepiej, jak możesz! Upewnij się, że mówię prawdę, a jednocześnie zdobądź fortunę, która wystarczy ci do końca życia. Będziesz mógł zniknąć, podróżować, może wreszcie znajdziesz trochę czasu na książki, zamiast użerać się z tą hałastrą na dole... Jak sam powiedziałeś, żaden z nas nie jest młody. Obaj możemy na tym zarobić masę forsy. Co ci szkodzi? Przecież możemy zostać odesłani z kwitkiem, najpierw ja, a potem moi klienci... Nie ma w tym żadnej pułapki. Oni nawet nie chcą się z nim widzieć, tylko go wynająć.

- Jak mam to zrobić?

- Wymyśl sobie jakieś wysokie stanowisko i skontaktuj się z ambasadorem USA w Londynie. Nazywa się Atkinson. Powiedz mu, że otrzymałeś poufne instrukcje od Królowej Węzów i zapytaj, czy masz przystąpić do ich realizacji.

- Od Królowej Węzów? A kto to taki?

- „Meduza”. Ci ludzie nazywają się „Meduza”.

Mo Panov przeprosił grzecznie i wstał od stolika, po czym przecisnął się w kierunku męskiej toalety przez wypełniający bar tłum kierowców, rozglądając się rozpaczliwie w poszukiwaniu drugiego automatu telefonicznego. Nigdzie nie mógł go dostrzec! Jedyny, jaki znajdował się w pomieszczeniu, wisiał w przeszklonej budce w odległości trzech metrów od wielkookiej platynowej blondynki, której paranoja była równie głęboko zakorzeniona, jak ciemne odrosty jej włosów. Kiedy mimochodem napomknął, że powinien zadzwonić do biura i powiedzieć swoim współpracownikom, gdzie jest i co się z nim stało, spotkał się z

gwałtowną reakcją.

- Pewnie, żeby zaraz tu się zwała cała banda gliniarzy! Całuj mnie w dupę, doktorku. Jak się mój stary dowie, gdzie jestem, rozedrze mnie na strzępy. Zna wszystkie gliny w okolicy. Na pewno mówi im, gdzie mogą sobie najtaniej podupczyć.

- Nie mam najmniejszego powodu, żeby wspominać o pani obecności. Sama pani napomknęła, że jej mążnek mógłby mieć do mnie pretensje.

- Pretensje? Po prostu obciąłby ci nos i już. Nie, wolę nie ryzykować. Na pewno wygadałbyś wszystko i zrobiłaby się chryja.

- To, co pani mówi, jest trochę bez sensu, bo...

- Dobra, to zaraz będzie z sensem. Krzyknę: „Gwałcą!”, i powiem tym szoferakom, że wzięłam cię z drogi dwa dni temu, a ty groziłeś mi i kazałeś robić różne brzydkie rzeczy. Jak ci się to podoba?

- Doprawdy, szalenie. Czy mogę przynajmniej pójść do toalety? Mam wrażenie, że mogę dłużej nie wytrzymać...

- Jasne. W kiblu nie mają telefonu.

- Naprawdę...? Nie, nie kpię sobie, tylko po prostu jestem ciekaw. Przecież kierowcy nieźle zarabiają, więc chyba nie kradliby drobnych z automatu?

- Urwałeś się z choinki, doktorku? Na trasie dzieją się różne rzeczy, ktoś coś robi, ktoś inny widzi... Ludzie chcą wiedzieć, kto dzwoni i kiedy.

- Doprawdy...

- Jezu, pośpiesz się! Mamy tylko trochę czasu, żeby coś przełknąć. On na pewno pojedzie na siedemdziesiąt, nie dziewięćdziesiąt siedem. Nie do myśli się.

- Czego się nie domyśli? Co to jest „siedemdziesiąt” i „dziewięćdziesiąt siedem”?

- Numery dróg, na litość boską! Są różne drogi, a każda ma numer. Aleś ty tępy, doktoru! Dobra, zmykaj do klopa, a potem staniemy w jakimś motelu, gdzie weźmiesz się do roboty, a ja dam ci zaliczkę.

- Proszę?

- Uważam, że kobieta ma prawo sama o tym decydować. Czy to się nie zgadza z twoją religią?

- Broń Boże!

- To dobrze. Pośpiesz się!

Kobieta miała rację; w toalecie nie było telefonu, a przez jedyne okienko mógłby się precyzyjnie co najwyżej mały kot lub dorodny szczur... Ale Panov miał pieniądze, dużo pieniędzy, a w dodatku pięć praw jazdy wystawionych w pięciu różnych stanach. W leksykonie Jasona Bourne'a rzeczy te, a szczególnie pieniądze, także były bronią. Mo z ulgą skorzystał z pisuaru, po czym stanął przy drzwiach, uchylił je ostrożnie i spojrzał w kierunku platynowej blondynki. Nagle ktoś pchnął z rozmachem drzwi; uderzyły Panova z taką siłą, że zatoczył się na ścianę.

- Przepraszam, koleś! - wrzasnął niski, mocno zbudowany mężczyzna, doskakując do psychiatry i chwytając go za ramiona. - Nic ci nie jest?

- Nic, nic... - wybełkotał Panov, trzymając się obiema rękami za twarz.

- Gdzie tam nic! Leci ci krew z nosa! Chodź, tu są ręczniki – powiedział kierowca tonem nie znoszącym sprzeciwu. Miał podwinięte rękawy, a zza lewego sterczała napoczęta paczka papierosów. - Odchyl głowę, zaraz dam ci trochę zimnej wody... Oprzyj się o ścianę. Tak już lepiej; zaraz przestaniesz ci lecieć. - Niski mężczyzna delikatnie przyłożył Panowowi do twarzy wilgotny ręcznik, podtrzymując jego głowę drugą ręką. -No, już prawie po wszystkim. Oddychaj tylko przez usta, głęboko, słyszysz? Trzymaj głowę do tyłu.

- Dziękuję - odparł Mo, przytrzymując ręcznik, zaskoczony, że można tak szybko powstrzymać krwotok z nosa. - Bardzo dziękuję.

- Nie dziękuj, bo to moja wina - odparł kierowca, korzystając z pisuaru. - Lepiej ci? - zapytał, zapinając rozporek.

- Tak, oczywiście. - W tej samej chwili Mo postanowił zapomnieć o radach swojej nieżyjącej matki i zrezygnować z mówienia prawdy. – Szczerze mówiąc, to nie była pańska wina, tylko moja.

- Jak to? - zdziwił się barczysty szofer, myjąc ręce.

- Stałem za tymi drzwiami, bo chowałem się przed kobietą, od której próbuję uciec. Nie wiem, czy pan to rozumie...

Osobisty lekarz Panova roześmiał się głośno i sięgnął po ręcznik.

- A kto by tego nie rozumiał, kolego? Przecież to historia ludzkości! Jak się za ciebie wezmą, to nie masz szans, leżysz i kwiczysz. Ja to sobie inaczej zorganizowałem, bo ożeniłem się z prawdziwą Europejką, kapujesz? Nie mówi prawie po angielsku, ale świetnie sobie radzi z dziećmi, a jak ją widzę, to zawsze chce mi się figlować. Mówię ci, zupełnie co innego niż te wszystkie pieprzone księżniczki.

- To bardzo interesujące, powiedziałbym nawet, dogłębne stwierdzenie.

- Że co?

- Nieważne. W każdym razie chciałbym wyjść stąd tak, żeby ona mnie nie widziała. Mam trochę pieniędzy...

- Daruj sobie forszę, lepiej powiedz, która to?

Obaj mężczyźni podeszli do drzwi i zerknęli przez szparę.

- To ta blondynka, która co chwila patrzy tutaj i na wyjście. Strasznie się denerwuje...

- A niech mnie! - przerwał mu kierowca. - To żona Bronka! Nieźle zboczyła z trasy.
- Z trasy? Jakiego Bronka?
- Jeździ po wschodnich trasach, nie tędy. Co ona tu robi, do diabła?
- Mam wrażenie, że próbuje się z nim nie spotkać.
- Faktycznie - zgodził się nowo pozyskany znajomy Panova. - Słyszałem, że ona już daje za darmo.

- Zna ją pan?
- Jasne. Byłem u nich na paru bibkach. Chłopak robi świetne sosy.
- Muszę się stąd wydostać. Jak powiedziałem, mam trochę pieniędzy...
- To dobrze, nie musisz w kółko tego powtarzać. Pogadamy o tym później.
- Gdzie?
- W moim wozie. Czerwony w białe pasy, jak flaga. Stoi przy wejściu z prawej strony. Schowaj się za nim i poczekaj na mnie.

- Zobacz mnie, jak będę wychodził!
- Nie zobaczy, bo zrobię jej zaraz niespodziankę. Powiem jej, że w radiu wszyscy gadają o tym, jak Bronk się wściekł i gna pełnym gazem na południe.
- W jaki sposób zdołam się panu odwdziżyć?
- Na przykład częścią tej forsy, o której ciągle gadasz. Bronk to zwierzę, a ja jestem chrześcijanin.

Kierowca otworzył z rozmachem drzwi, przy okazji o mało nie wgniatając Panova w ścianę. Mo obserwował, jak mężczyzna podchodzi do stolika, nachyla się konspiracyjnie nad kobietą i coś jej szepcze na ucho. Po jego pierwszych słowach blondynka niemal wpiła mu się wzrokiem w usta. Panov wybiegł z toalety, przemknął do drzwi, wypadł na zewnątrz i ciężko dysząc przycupnął za pomalowaną w czerwone i białe pasy ciężarówką.

W chwilę potem z baru wybiegła żona Bronka i z groteskowo rozwianymi platynowymi włosami popędziła do swego samochodu; kilka sekund później z rykiem silnika wyjechała z parkingu i odjechała na północ, szybko nabierając prędkości.

- I jak tam, koleżko? - ryknął krępy kierowca, który nie tylko umiał błyskawicznie powstrzymać krwotok z nosa, ale także uratował Mo przed szaloną kobietą, której niestabilna psychika była skutkiem występujących na przemian ataków wyrzutów sumienia i napadów wściekłości.

- Tu jestem... koleś! - odkrzyknął niepewnie psychiatra, choć jednocześnie w myślach nakazał swemu wybawicielowi zamknąć dziób.

Trzydzieści pięć minut później, kiedy dotarli do pierwszych zabudowań jakiegoś miasteczka, kierowca zatrzymał ciężarówkę w pobliżu skupiska stojących po obu stronach szosy sklepów.

- Powinieneś tu gdzieś znaleźć telefon, koleś. Powodzenia.
- Jesteś pewien? - zapytał Mo. - Chodzi mi o pieniądze.
- Pewnie, że jestem pewien - odpowiedział siedzący za kierownicą krępy mężczyzna. - Dwieście dolarów to akurat tyle, ile zarobiłem. Dawali mi nie raz pięćdziesiąt razy tyle, żebym przewiózł trefny towar, ale wiesz, co im zawsze mówiłem?

- Co im mówiłeś?
- Żeby sami to sobie zeżarli, a potem wysikali się pod wiatr, to może nakapie im do oczu, żeby oślepli.

- Dobry z ciebie człowiek - powiedział Panov, wysiadając z szoferki.
- Kiedyś trzeba odpracować dawne grzeszki.

Ogromna ciężarówka ruszyła ostro z miejsca, a Mo rozejrzał się w poszukiwaniu telefonu.

- Gdzie ty jesteś, do cholery? - ryknął Aleks Conklin w Wirginii.
- Nie wiem! - odparł Panov. - Gdyby chodziło o mojego pacjenta, wyjaśniłbym mu, że

to tylko rozwinięcie jakiegoś freudowskiego marzenia sennego, bo takie rzeczy się nie zdarzają, ale tym razem się zdarzyły, i to mnie! Naszprycowali mnie prochami, Aleks!

- Uspokój się. Domyśliliśmy się tego. Musimy ustalić, gdzie jesteś. Nie oszukujmy się, inni też cię szukają.

- Dobrze, dobrze... Zaczekaj chwilę! Po drugiej stronie jest sklep z neonem: „Battle Ford's Best”. Czy to coś pomoże?

Westchnienie, jakie przybiegło po drutach z Wirginii, było częścią odpowiedzi.

- Owszem, pomoże. Tobie też by pomogło, gdybyś był prawdziwym patriotą i znał historię wojny domowej.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Jesteś w pobliżu miejsca bitwy pod Ford's Bluff. To pomnik historii narodowej. Za pół godziny przyleci po ciebie helikopter, ale przez ten czas nie otwieraj do nikogo ust, na litość boską!

- Mówisz tak, jakby to ciebie poddano nieludzkim...

- Koniec rozmowy, gaduło!

Po wejściu do hotelu Pont Royal Bourne natychmiast podszedł do pełniącego nocny dyżur recepcjonisty i wsunął mu do dłoni pięćsetfrankowy banknot.

- Nazywam się Simon - powiedział z uśmiechem. - Nie było mnie jakiś czas. Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Nie ma wiadomości, *monsieur* Simon - padła spokojna odpowiedź - ale na zewnątrz czekają dwaj ludzie. Jeden na Montalembert, drugi po przeciwnej stronie, na rue du Bac.

Jason wręczył mężczyźnie jeszcze jeden banknot, tym razem o nominale tysiąca franków.

- Za takie informacje zawsze dobrze płacę. Proszę mieć oczy otwarte.

- Oczywiście, *monsieur*.

Bourne wszedł do rozklekotanej windy. Znalazłszy się na swoim piętrze, poszedł szybko krętym korytarzem do pokoju. Nic nie zostało poruszone; wszystko wyglądało dokładnie tak, jak przed jego wyjściem, z wyjątkiem łóżka, które było teraz zasłane. Łóżko. Boże, jak bardzo potrzebował wypoczynku! Po prostu nie dawał już rady. Coś się z nim działo - tracił siły, oddech stawał się coraz płytszy... A przecież musiał dojść do siebie, teraz było to tak ważne, jak jeszcze nigdy dotąd! Gdyby się położyć choć na minutkę... Nie. Była przecież Marie i był Bernardine. Podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer, którego nauczył się na pamięć. - - Przepraszam za spóźnienie - powiedział.

- Cztery godziny, *mon ami*. Co się stało?

- Nie mam czasu, żeby opowiadać. Co z Marie?

- Nic, absolutnie nic. Nie ma jej na pokładzie żadnego samolotu znajdującego się obecnie w powietrzu ani przygotowującego się do startu. Sprawdziłem nawet połączenia z międzylądowaniami w Londynie, Lizbonie, Sztokholmie i Amsterdamie - wszędzie to samo. Żadna Marie Elise St. Jacques Webb nie znajduje się w drodze do Paryża.

- To niemożliwe! Na pewno się nie rozmyśliła, to do niej niepodobne. I jestem pewien, że nie miałyby pojęcia, jak ominąć urząd imigracyjny na lotnisku!

- Powtarzam: nie ma jej na liście pasażerów żadnego samolotu lecące go lub mającego przylecieć z zagranicy do Paryża.

- Cholera!

- Będę próbował w dalszym ciągu, przyjacielu. Wciąż brzmią mi w uszach słowa świętego Aleksa: nigdy nie lekceważ *la belle mademoiselle*.

- To nie żadna *mademoiselle*, tylko moja żona! Ona nie jest jedną z nas, Bernardine. Nie jest doświadczonym agentem, który potrafi zacierać ślady i zostawiać fałszywy trop. Jestem pewien, że leci teraz do Paryża!

- Linie lotnicze twierdzą coś wręcz przeciwnego. Cóż więcej mogę powiedzieć?

- To, co powiedziałaś - odparł Jason, czując, że przestaje panować nad zamykającymi się powiekami. - Próbuj dalej.
- Co się stało w nocy? Musisz mi powiedzieć!
- Jutro - wyszeptał z trudem David Webb. - Jutro... Jestem bardzo zmęczony, a muszę być kimś zupełnie innym...
- O czym ty mówisz? Głos ci się zmienił...
- To nic... Jutro. Muszę pomyśleć... Chociaż właściwie chyba nie powinienem myśleć...

Marie stała w kolejce do kontroli paszportowej na lotnisku w Marsylii; kolejka była na szczęście krótka, ze względu na wczesną porę, a wśród urzędników dawało się wyczuć atmosferę spowodowanego znudzeniem odprężenia. Wreszcie Marie stanęła przed okienkiem.

- *Americaine* - stwierdził na wpol śpiący urzędnik. - Przybywa pani do nas dla przyjemności czy w interesach?

- *Je parle francais, monsieur. Je suis canadienne d'origine - Quebec. Separatiste.*

- *Ah, bien!* - Urzędnik wyraźnie się ożywił i nawet otworzył nieco szerzej oczy. - Prowadzi pani jakieś interesy? - zapytał po francusku.

- Nie, to podróż sentymentalna. Moi niedawno zmarli rodzice pochodzili z Marsylii. Chcę zobaczyć miasto, w którym się urodzili i wychowywali.

- To bardzo wzruszające, urocza pani - odparł już zupełnie obudzony mężczyzna. - Może będzie pani potrzebować przewodnika? Znam miasto jak własną kieszeń!

- Bardzo pan miły. Zatrzymam się w Sofitel Vieux Port. Jak się pan nazywa? Moje nazwisko już pan zna.

- Lafontaine, *madame*. Do pani usług!

- Lafontaine? Naprawdę?

- Naprawdę!

- To bardzo interesujące.

- Ja cały jestem bardzo interesujący - oznajmił urzędnik, ponownie przymykając oczy, ale tym razem bynajmniej nie z powodu senności. - Może pani mną dysponować, *madame!*

To bardzo szczególny klan, ci Lafontaine, pomyślała Marie, kierując się do głównej hali, żeby kupić bilet na połączenie krajowe do Paryża. Teraz mogła nazywać się tak, jak miała ochotę.

Francois Bernardine obudził się gwałtownie i uniósł na łokciu, marszcząc z niepokojem czoło. „Jestem pewien, że ona leci do Paryża!”. Tak powiedział jej mąż, który przecież zna ją najlepiej. „Nie ma jej na liście pasażerów żadnego samolotu lecącego do Paryża”. To jego własne słowa. Paryż -ta nazwa powtarzała się w obu zdaniach.

A jeżeli nie chodziło o Paryż?

Weteran Deuxieme zerwał się z łóżka. Przez wąskie okna do wnętrza jego mieszkania sączyło się blade światło wczesnego poranka. Ogolił się szybko -znacznie szybciej, niż tego sobie życzyła jego twarz - po czym dokończył toaletę, ubrał się i wyszedł z domu; za wycieraczką peugeota jak zwykle tkwił mandat. Teraz już nie uda się tego załatwić jednym dyskretnym telefonem. Bernardine ciężko westchnął, wsadził mandat do kieszeni i usiadł za kierownicą.

Pięćdziesiąt osiem minut później zatrzymał samochód na parkingu przed niepozornym, ceglany budynkiem wchodzącym w skład rozległego kompleksu towarowego lotniska Orly. Znaczenie instytucji mieszczącej się w budynku było odwrotnie proporcjonalne do jego wyglądu: mieścił się tam bardzo ważny wydział Departamentu Imigracji, znany jako Biuro Rejestracji Przyłotów, w którym potężne komputery zapisywały w swojej pamięci informacje

o wszystkich osobach przybywających do Francji drogą lotniczą. Deuxieme rzadko sięgało po te dane, ci ludzie bowiem, którzy je interesowali, korzystali najczęściej z innych środków komunikacji. Mimo to Bernardine często się tu zjawiał, postępując w myśl zasady, że najciemniej jest zawsze pod latarnią, a od czasu do czasu jego teoria zyskiwała potwierdzenie w rzeczywistości. Zastanawiał się, czy tak będzie również tym razem.

Dziewiętnaście minut później znalazł już odpowiedź: miał rację, ale radość z tego powodu była cokolwiek przytłumiona świadomością, że wiadomość nadeszła zbyt późno. W korytarzu wisiał automat telefoniczny; Bernardine wrzucił monetę i wykręcił numer hotelu Pont Royal.

- Tak? - usłyszał zaszpany głos Jasona Bourne'a.
- Przepraszam, że cię obudziłem.
- To ty, Francois?
- Tak.
- Właśnie miałem wstać. Na ulicy czeka dwóch ludzi, którzy muszą być jeszcze bardziej zmęczeni ode mnie, jeśli rzecz jasna ich nie zmienili.

- Czy to ma związek z ostatnią nocą?
- Owszem. Opowiem ci o wszystkim, jak się spotkamy. Co się stało?
- Jestem w Orly i obawiam się, że mam złe wiadomości. Wszystko wskazuje na to, że jestem skończonym idiotą. Powinienem był wziąć pod uwagę taką możliwość... Dwie godziny temu twoja żona przyleciała do Marsylii. Do Marsylii, nie do Paryża!

- I to ma być zła wiadomość? - wykrzyknął Jason. - Przecież wreszcie wiemy, gdzie ona jest! Wystarczy... O Boże, rozumiem... - Bourne umilkł na chwilę. - Może wsiąść do pociągu, wynająć samochód...

- A nawet przylecieć samolotem, posługując się takim nazwiskiem, jakie jej przyjdzie do głowy - uzupełnił Bernardine. - Mimo to mam pewien pomysł. Co prawda obawiam się, że będzie wart tyle samo, co mój zramolały mózg, ale wydaje mi się, że warto spróbować... Czy ty i ona macie jakieś specjalne, jak to się mówi?... Przewiska? Pieszczotliwe zdrobnienia czy coś w tym rodzaju?

- Obawiam się, że chyba nie... Zaczekaj! Kilka lat temu Jamie, nasz syn, miał kłopoty z powiedzeniem „mommy” i mówił na nią „meemom”. Śmialiśmy się z tego, a potem ja ją tak nazywałem przez pewien czas, dopóki się nie nauczył.

- Wiem, że twoja żona mówi płynnie po francusku. Czy czyta też gazety?
- Obowiązkowo, a szczególnie wiadomości finansowe. Podejrzewam nawet, że ogranicza się wyłącznie do nich. To jej poranny rytuał.
- Nawet podczas kryzysu?
- Szczególnie podczas kryzysu. Twierdzi, że to ją uspokaja.
- W takim razie prześlemy jej wiadomość.

Ambasador Phillip Atkinson zasiadł w swoim gabinecie w Londynie do okropnej, papierkowej pracy, jaka czekała na niego każdego ranka. Tym razem sytuacja była podwójnie przykra, a to z powodu tępego bólu głowy i kwaśnego smaku w ustach; sensacje te nie były bynajmniej objawami typowego kaca, jako że ambasador niezwykle rzadko pijał whisky, a po raz ostatni był naprawdę pijany dwadzieścia pięć lat temu. Już bardzo dawno, a ściśle rzecz biorąc jakieś trzydzieści miesięcy po upadku Sajgonu, poznał dokładnie wszystkie swoje możliwości. Kiedy w wieku dwudziestu pięciu lat powrócił z wojny otoczony może nie wyśmienitą, ale na pewno nie przynoszącą wstydu reputacją, rodzina wykupiła mu miejsce na nowojorskiej giełdzie, gdzie właśnie w ciągu trzydziestu miesięcy udało mu się stracić nieco ponad trzy miliony dolarów.

- Czy naprawdę niczego się nie nauczyłeś w Andover i Yale? – ryknął jego ojciec. - Nawet nie poznałeś nikogo z Wall Street?

- Tato, przecież wiesz, że oni wszyscy mi zazdrościli. Mój wygląd, dziewczyny, wszystko obracało się przeciwko mnie. A wyglądałam dokładnie tak samo jak ty, tato. Czasem wydaje mi się, że oni próbują odegrać się na tobie za moim pośrednictwem! Dobrze wiesz, co wygadują: senior i junior, nowe imperium i inne bzdury w tym rodzaju... Pamiętasz ten artykuł w „Daily News”, w którym porównali nas do Fairbanksów?

- Znam Douga od czterdziestu lat! - wrzasnął ojciec. - Ma lepiej po układane w głowie niż wielu innych!

- Ale on nie kończył Andover i Yale, tato.

- Bo nie musiał! Czekaj... Coś ty skończył na Yale?

- Historię sztuki.

- Pieprzę to! Było jeszcze coś innego.

- Literatura angielska i nauki polityczne.

- Otóż to! Możesz zapomnieć o tamtych duperelach. Nauki polityczne to twoje prawdziwe powołanie!

- Tato, ja nie byłem w tym najmocniejszy...

- Zdałeś?

- Z trudem...

- Nie z trudem, tylko z wyróżnieniem! To jest to!

W taki oto sposób Phillip Atkinson III rozpoczął dzięki swemu ojcu karierę w służbie dyplomatycznej i choć znakomity rodzic umarł kilka lat temu, do tej pory nie zapomniał jego ostatniej uwagi: „Tylko nie spieprz wszystkiego, synu. Jak ci przyjdzie ochota zalać się w trupa albo wydupczyć jakąś dziwkę, proszę bardzo, ale rób to we własnym domu albo na jakiejś pustyni, rozumiesz? Przy ludziach masz nosić tę swoją żonę na rękach... Cholera, znowu zapomniałem, jak jej na imię!”

- Dobrze, tato.

Z tego właśnie powodu Phillip Atkinson odczuwał od samego rana niemiłe sensacje. Cały miniony wieczór spędził na przyjęciu w towarzystwie jakichś mało ważnych członków rodziny królewskiej, którzy pili tak, że alkohol wylewał im się uszami, a także w towarzystwie swojej żony, która usprawiedliwiała ich, bo byli członkami rodziny królewskiej. Żeby zachować w tych warunkach równowagę psychiczną, wlał w siebie aż siedem kieliszków chablis. Były takie chwile, kiedy tęsknił do swobodnych, suto zakrapianych dni spędzanych w Sajgonie.

Nagle zadzwonił telefon i Atkinsonowi drgnęła ręka przy składaniu podpisu na jakimś całkowicie dla niego niezrozumiałym dokumencie.

- Tak?

- Panie ambasadorze, dzwoni wysoki funkcjonariusz Centralnego Komitetu Węgrów na Uchodźstwie.

- He? Kto to jest? Czy my ich oficjalnie uznajemy?

- Nie wiem, sir. Nie potrafię powtórzyć jego nazwiska.

- Dobrze, proszę łączyć.

- Pan ambasador? - rozległ się w słuchawce głos zabarwiony silnym cudzoziemskim akcentem. - Pan Atkinson?

- Tak, tu Atkinson. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę sobie skojarzyć ani pańskiego nazwiska, ani organizacji, w której imieniu pan występuje...

- Nie szkodzi. Mówię w imieniu Królowej Wężów...

- Chwileczkę! - krzyknął ambasador Stanów Zjednoczonych w Zjednoczonym Królestwie. - Proszę zaczekać dwadzieścia sekund, ale się nie rozłączać! - Atkinson włączył urządzenie szyfrujące i poczekał na charakterystyczne piśnienie w słuchawce. - W porządku, niech pan mówi.

- Otrzymałem instrukcje od Królowej Wężów. Powiedziano mi, że mam się zwrócić do

pana o ich potwierdzenie.

- Potwierdzam!
- Czy w związku z tym mam rozumieć, że mogę przystąpić do ich wykonywania?
- Dobry Boże, tak! Proszę robić wszystko, co panu każą! Niech pan nie zapomni, co się stało z Teagartenem w Brukseli i Armbrusterem w Waszyngtonie! Proszę mnie chronić! Niech pan robi wszystko, co mówią!
- Dziękuję, panie ambasadorze.

Bourne najpierw zanurzył się w najgorętszej kąpieli, jaką mógł wytrzymać, potem wziął najzimniejszy prysznic, jaki był w stanie znieść, a następnie zmienił opatrunek na karku, wrócił do niewielkiego pokoju i padł na łóżko... A więc Marie udało się znaleźć prosty, a mimo to zaskakujący sposób na dotarcie do Paryża. Niech to szlag trafi! W jaki sposób ma ją teraz odszukać, żeby ją chronić? Czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co robi? David na pewno by wpadł w panikę i popełnił masę błędów... Boże, przecież ja jestem Davidem!

Przestań! Uspokój się!

Zadzwonił telefon. Jason chwycił gwałtownym ruchem słuchawkę.

- Tak?
- Santos chce się z tobą widzieć. Ma pokojowe zamiary.

Rozdział 24

Koła sanitarnego helikoptera zetknęły się z ziemią; w chwilę potem umilkły silniki i łopatki wirnika zaczęły zwalniać obroty, by wreszcie zupełnie znieruchomieć. Zgodnie z przepisami dopiero wtedy otworzyły się drzwi i z maszyny wyszedł ubrany w biały strój sanitariusz, a za nim Panov. Kilka metrów od śmigłowca sanitariusz przekazał doktora pod opiekę czekającego na skraju lądowiska cywila, który zaprowadził go do stojącej nie opodal limuzyny Siedzieli w niej Peter Holland, dyrektor CIA, i Aleksander Conklin, ten drugi na rozkładanym miejscu tyłem do kierunku jazdy, prawdopodobnie po to, żeby ułatwić prowadzenie rozmowy. Psychiatra usiadł obok Hollanda, po czym kilka razy odetchnął głęboko i opadł na miękkie oparcie.

- Jestem wariatem - oświadczył, starannie wymawiając każde słowo. - Osobiście podpiszę sobie skierowanie do szpitala.

- Najważniejsze, że jest pan bezpieczny, doktorze - odparł Holland.

- Miło znowu cię widzieć, Szalony Mo - dodał Conklin.

- Czy wy macie pojęcie, co zrobiłem? Celowo rozbiłem samochód na drzewie, choć sam byłem jego pasażerem! Potem, po przejściu co najmniej połowy odległości do Bronksu, zabrałem się autostopem z jedyną osobą na świecie, która prawdopodobnie ma większego świra ode mnie. Miała kompletnie rozstrojone libido i męża o tajemniczym imieniu Bronk, przed którym właśnie uciekała. Wzięła mnie jako zakładnika, grożąc, że w razie najmniejszego oporu oskarży mnie o gwałt przed trybunałem złożonym z największych zabijaków, jakim w tym kraju kiedykolwiek pozwolono jeździć ciężarówkami... z wyjątkiem jednego, który pomógł mi uciec. - Panov umilkł i sięgnął do kieszeni. - Proszę bardzo - powiedział, wręczając Conklinowi pięć praw jazdy i sześć tysięcy dolarów.

- Co to takiego? - zapytał ze zdumieniem Aleks.

- Obrabowałem bank, a potem sam postanowiłem zostać zawodowym kierowcą... A jak ci się wydaje, co to jest? Zabrałem to człowiekowi, który mnie pilnował. Opisałem tym z helikoptera, gdzie mogą go znaleźć. Na pewno im się uda, bo nie sądzę, żeby daleko odszedł.

Peter Holland podniósł słuchawkę zainstalowanego w limuzynie telefonu i nacisnął trzy guziki.

- Przekażcie wiadomość załodze helikoptera - powiedział. - Człowiek, którego zabiorą z miejsca wypadku, ma zostać natychmiast przewieziony do Langley. Informujcie mnie o wszystkim... Przepraszam, doktorze. Proszę kontynuować.

- Kontynuować? A co tu kontynuować? Zostałem porwany, trzymano mnie na jakiejś farmie i naszprycowano taką ilością różnych świństw, że... że o mało nie poleciałem na szczyt wysokiej choinki, o co zresztą oskarżyła mnie moja *madame* Scylla i Charybda.

- O czym pan mówi, do licha? - zapytał cicho Holland.

- O niczym, admirale, panie dyrektorze czy...

- Wystarczy Peter, Mo - przerwał mu Holland. - Po prostu nie zrozumiałem, i tyle.

- Nie ma tu nic do rozumienia, tylko same fakty. Moje aluzje wynikają z potrzeby popisania się pozorną erudycją. Boję się, i tyle.

- Tutaj nic ci nie grozi.

Panov uśmiechnął się nerwowo do dyrektora CIA.

- Wybacz mi, Peter. Wciąż jestem trochę oszołomiony. Ostatni dzień odbiegał wyraźnie od mojego dotychczasowego stylu życia.

- Podejrzewam, że nie tylko od twojego - odparł Holland. - Widziałem już sporo paskudnych rzeczy, ale nigdy nie miałem do czynienia z czymś, co w ten sposób działa na

psychikę.

- Nie ma pośpiechu, Mo - dodał Conklin. - Nie wysilaj się, i tak już wystarczająco dużo przeszedłeś. Jeśli chcesz, możemy poczekać kilka godzin, żebyś trochę odpoczął.

- Nie bądź idiotą, Aleks! - zaprotestował ostro psychiatra. - Po raz drugi naraziłem Davida na poważne niebezpieczeństwo! To mnie najbardziej dręczy. .. Nie ma ani chwili do stracenia. Daruj sobie Langley, Peter. Zawieź mnie do jednej z waszych klinik. Powiem lekarzom, co mają zrobić, żeby wyciągnąć ze mnie wszystko, co pamiętam.

- Chyba żartujesz! - wybuchnął Holland.

- Ani mi się śni. Obaj musicie wiedzieć to, co ja, nawet jeśli wiem coś, nie zdając sobie z tego sprawy. Naprawdę nie możecie tego zrozumieć?

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej ponownie sięgnął po telefon, ale tym razem nacisnął tylko jeden guzik. Oddzielony od nich dźwiękoszczelną szybą kierowca podniósł ukrytą między siedzeniami słuchawkę.

- Nastąpiła zmiana planu - powiedział Holland. - Jedź do punktu numer pięć.

Samochód zwolnił, by na najbliższym skrzyżowaniu skręcić w prawo, w kierunku zielonych pól i wzgórz, stanowiących najlepsze tereny łowieckie Wirginii. Morris Panov przymknął oczy jak człowiek znajdujący się w transie lub oczekujący na jakieś nadzwyczaj ważne wydarzenie - na przykład na swoją egzekucję. Aleks spojrzał na Petera Hollanda; obaj zerknęli na Mo, a potem znowu na siebie. Cokolwiek Panov zamierzał, miało to głęboki sens. W ciągu pół godziny, której potrzebowali na dotarcie do bramy posiadłości określanej jako punkt numer pięć, żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem.

- Dyrektor z przyjaciółmi - poinformował kierowca strażnika ubranego w mundur jednej z prywatnych firm wynajmujących ludzi do ochrony, w rzeczywistości będącej agendą CIA. Za ogrodzeniem zaczynała się dość długa, wysadzana drzewami droga.

- Dziękuję - odezwał się Mo, otwierając oczy i mrugając powiekami. - Jak się zapewne domyślicie, usiłuję odzyskać jasność myślenia i obniżyć sobie ciśnienie.

- Nie musisz tego robić - powiedział z naciskiem Holland.

- Owszem, muszę - odparł Panov. - Może kiedyś uda mi się wszystko samemu poskładać do kupy, ale teraz nie mamy na to czasu. - Spojrzał na Conklina. - Jak dużo możesz mi powiedzieć?

- Peter wie o wszystkim. Ze względu na twoje ciśnienie daruję ci szczegóły. Najważniejsze, że Davidowi nic nie jest. W każdym razie nic nam nie wiadomo, żeby było inaczej.

- A Marie i dzieci?

- Są na wyspie - odparł Aleks, unikając spojrzenia Hollanda.

- Co to za punkt numer pięć? - Panov skierował wzrok na dyrektora CIA. - Mam nadzieję, że znajdzie się tu jakiś odpowiedni specjalista?

- Mają dyżury przez całą dobę. Przypuszczam, że znasz kilku z nich.

- Wolalbym nie.

Długa czarna limuzyna zakręciła na owalnym podjeździe i zatrzymała się przed kamiennymi schodami budynku utrzymanego w stylu południowych dziewiętnastowiecznych rezydencji.

- Chodźmy - powiedział spokojnie Mo, wysiadając z samochodu.

Pokryte bogatymi ornamentami białe drzwi, posadzki z różowego marmuru i eleganckie, wznoszące się spiralnie schody - wszystko to było znakomitym kamuflażem dla tego, co naprawdę działo się w punkcie numer pięć. Pensjonariuszami rozległego domu byli zdrajcy, podwójni i potrójni agenci, a także ludzie wracający z niebezpiecznych, długotrwałych operacji. Personel placówki składał się z trzech zespołów opieki medycznej - w skład każdego wchodziło dwaj lekarze i trzy pielęgniarki - kucharzy i służby, wybranej spośród osób zakwalifikowanych do pracy w najważniejszych ambasadach i konsulatach, a

także z doskonale wyszkolonych, uzbrojonych strażników patrolujących teren przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszyscy bez wyjątku goście otrzymywali niewielkie, przeznaczone do wpięcia w klapę spinki, po czym człowiek, pełniący funkcję kogoś w rodzaju głównego kamerdynera, prowadził ich tam, gdzie chcieli dotrzeć. W rzeczywistości był to emerytowany tłumacz, pracujący od wielu lat dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale wykonywał swoje obowiązki tak znakomicie, jakby całe życie nie robił nic innego.

Mimo to nie udało mu się ukryć zaskoczenia na widok Petera Hollanda.

- Niespodziewana wizyta, sir?

- Miło cię znowu widzieć, Frank. - Dyrektor uściśnął rękę byłemu tłumaczowi. - Pamiętasz Aleksa Conklina?

- Dobry Boże, to ty, Aleks! Nie widziałem cię całe lata! - Kolejny uścisk dłoni. - Co to wtedy było...? Aha, ta wariatka z Warszawy, pamiętasz?

- KGB ma z tego ubaw po dziś dzień - roześmiał się Conklin. - Jediną tajemnicą, którą znała, był przepis na najgorsze gołąbki, jakie jadłem w życiu... Jeszcze się trochę udzielasz, Frank?

- Od czasu do czasu - odparł kamerdyner, wykrzywając twarz w pełnym niezadowolenia grymasie. - Ci młodzi tłumacze nie potrafią odróżnić kluski od łuski.

- Ponieważ ja też nie potrafię, czy mogę zamienić z tobą kilka słów na osobności? - zapytał Holland. Obaj mężczyźni odeszli na bok i pograżyli się w cichej rozmowie. Aleks i Panov pozostali na miejscu; ten drugi marszczył co chwila brwi i wciągał głęboko powietrze. Po pewnym czasie dyrektor wrócił i wręczył każdemu po jednej spince. - Już wiem, gdzie mamy iść - oznajmił. - Frank zawiadomi ich, że zaraz tam będziemy.

We trójkę ruszyli w górę po kręconych schodach, a następnie, po puszystym chodniku, korytarzem prowadzącym do lewego skrzydła ogromnego budynku. Po prawej stronie dostrzegli drzwi niepodobne do żadnych, które do tej pory mijali; były nadzwyczaj potężne, wykonane z ciemnego dębu, w swojej górnej części miały cztery małe okienka, a koło klamki dwa przyciski. Holland włożył klucz do zamka, przekręcił go i wcisnął dolny guzik. Natychmiast ożyła czerwona dioda zainstalowana w wiszącej pod sufitem kamerze. Dwadzieścia sekund później rozległ się charakterystyczny odgłos zatrzymującej się windy.

- Proszę do środka, panowie - zachęcił towarzyszących mu mężczyzn dyrektor CIA.

Kiedy drzwi się zamknęły, winda natychmiast ruszyła w dół.

- Wchodziliśmy na górę, żeby teraz zjechać na dół? - zapytał z niesmakiem Conklin.

- Konieczne środki ostrożności - wyjaśnił Holland. - To jedyny sposób, żeby się tam dostać. Na parterze nie ma windy.

- Dlaczego, jeśli człowiekowi bez jednej stopy wolno o to zapytać?

- Wydaje mi się, że potrafisz odpowiedzieć na to pytanie lepiej ode mnie - odparł dyrektor. - Do piwnicy można dotrzeć jedynie dwiema windami otwieranymi specjalnym kluczem, nie zatrzymującymi się na parterze. Ta zawiezie nas tam, gdzie chcemy, druga zjeżdża do kotłowni, urządzeń klimatyzacyjnych i innych instalacji, jakie zwykle znajdują się w piwnicy. Frank dał mi klucz, ale jeśli nie odłożę go na miejsce w ściśle określonym czasie, zostanie uruchomiony alarm.

- Mam wrażenie, że niepotrzebnie komplikujecie sobie życie - zauważył Panov. - To kosztowne zabawy.

- Niekoniecznie, Mo - odparł łagodnie Conklin. - Przewody wentylacyjne i ogrzewcze znakomicie nadają się do ukrycia ładunków wybuchowych. Może o tym nie wiesz, ale w ostatnich dniach wojny, kiedy Hitler nie opuszczał już swojego bunkra, kilku rozsądniejszych ludzi z jego otoczenia próbowało wpuścić trujący gaz do klimatyzacji. To tylko niezbędne środki ostrożności.

Winda znieruchomiła i drzwi otworzyły się szeroko.

- W lewo, doktorze - podpowiedział Holland.

Korytarz lśnił nieskalaną, sterylną bielą oddającą w pełni prawdziwy charakter podziemnego kompleksu, będącego po prostu doskonale wyposażonym ośrodkiem medycznym. Służył nie tylko leczeniu kobiet i mężczyzn, ale również ich niszczeniu, łamaniu woli i pokonywaniu ich oporu po to, by dowiedzieć się od nich prawdy, nie dopuścić do zdemaskowania tajnych operacji i zapobiec tym samym śmierci wielu ludzi.

Pokój, do którego weszli, różnił się bardzo od sterylnego, rześkiego oświetlonego korytarza. Stały w nim obszerne fotele, stoliki z filiżankami i dzbankiem z kawą, a także inne stoliki, na których starannie poukładano czasopisma, światło zaś było jasne, ale rozproszone i nie jaskrawe. Pomieszczenie urządzono z myślą o tym, żeby można w nim było wygodnie czekać na coś lub na kogoś. W drugich drzwiach, mieszczących się w przeciwległej ścianie, stanął mężczyzna w białym kitlu. Na jego twarzy malował się *wyraz* niepewności; podszedł do Hollanda i podał mu rękę.

- Pan dyrektor? - zapytał. - Jestem doktor Walsh z drugiego zespołu. Chyba nie muszę mówić, że nie spodziewaliśmy się pana.

- Obawiam się, że to zupełnie nadzwyczajna sytuacja, na którą nie miałem najmniejszego wpływu. Pozwoli pan, że przedstawię doktora Morrisa Panova... Chyba że pan już go zna?

- Tylko o nim słyszałem. - Walsh ponownie wyciągnął rękę. - To dla mnie przyjemność i zaszczyt, doktorze.

- Zobaczymy, co pan powie, jak skończymy. Możemy porozmawiać w cztery oczy?

- Oczywiście. Proszę do mojego gabinetu. - Dwaj mężczyźni zniknęli za wewnętrznymi drzwiami.

- Nie powinieneś z nimi pójść? - zapytał Conklin, spoglądając na Petera.

- A dlaczego nie ty?

- Do licha, przecież ty jesteś dyrektorem. Powinieneś im to zaproponować!

- Ty jesteś jego najbliższym przyjacielem.

- Nie mam tu nic do gadania.

- Ja też nie, odkąd Mo wziął sprawy w swoje ręce. Chodź, napijemy się kawy. Zawsze dostaję tutaj gęziej skórki. - Holland nachylił się nad stolikiem i nalał dwie filiżanki. - Jaka chcesz?

- Używam dwa razy więcej mleka i cukru niż powinienem.

- Ja zawsze piję czarną - powiedział dyrektor CIA, prostując się i wyjmując z kieszeni pudełko papierosów. - Moja żona ciągle powtarza, że to mnie kiedyś zabije.

- Inni twierdzą, że raczej papierosy.

- Czemu?

- Spójrz. - Aleks wskazał wiszącą na ścianie tabliczkę z napisem: **DZIĘKUJEMY ZA NIEPALENIE.**

- Tyle jeszcze mam tu do gadania - oświadczył spokojnie Holland, po czym wydobyl z kieszeni zapalniczkę i przypalił papierosa.

Minęło prawie dwadzieścia minut. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn brał do ręki jakiś pismo, żeby zaraz odłożyć je z powrotem i spojrzeć na wewnętrzne drzwi. Wreszcie, dwadzieścia osiem minut po ich przybyciu, w pokoju ponownie zjawił się doktor Walsh.

- On twierdzi, panie dyrektorze, że pan o wszystkim wie i nie zgłasza żadnych zastrzeżeń.

- Mam całą masę zastrzeżeń, doktorze, ale wygląda na to, że on nic sobie z nich nie robi... Proszę mi wybaczyć: to Aleksander Conklin. Jest nie tylko jednym z nas, ale także bliskim przyjacielem Panova.

- A co pan o tym myśli, panie Conklin? - zapytał Walsh, skinąwszy Aleksowi głową.

- Jestem temu zdecydowanie przeciwny, ale Mo twierdzi, że to ma sens. Jeżeli tak jest naprawdę, ma prawo to zrobić i ja go dobrze rozumiem, ale jeśli nie ma, wyciągnę go stąd

siłą, choć nie mam stopy i jestem dużo starszy od niego. A więc: czy to ma sens, doktorze? I jak duże jest ryzyko?

- Tam, gdzie w grę wchodzi narkotyki, ryzyko zawsze jest poważne i on o tym doskonale wie. Właśnie dlatego wymyślił antidotum, które podane dożylnie zwiększy dość znacznie fizyczne cierpienia, ale nieco zmniejszy potencjalne niebezpieczeństwo.

- Nieco?! - wykrzyknął Aleks.

- Staram się być uczciwy, tak jak on.

- Proszę nam przedstawić najgorszą ewentualność, doktorze – zażądał Holland.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, jak powinno, czekają go dwa lub trzy miesiące terapii, zanim ustąpią wszystkie zmiany.

- A sens? - zapytał Conklin. - Czy to ma jakikolwiek sens?

- Owszem - odparł Walsh. - To, co przeżył, zaważyło silnie na jego psychice, co oznacza, że odbiło się też głęboko w jego podświadomości. Doktor Panov ma rację: można do niej sięgnąć i wydobyć wszystko, co zapamiętał... Po tym, co mi powiedział, postąpiłbym tak samo. Nie tylko ja, ale z pewnością każdy z nas.

- Środki ostrożności? - rzucił krótko Aleks.

- Pielęgniarka wyjdzie z gabinetu. Zostanę tylko ja, włączony magnetofon ... i jeden z was albo obaj. - Lekarz odwrócił się do drzwi, ale jeszcze spojrzął na nich przez ramię. - Poproszę was, kiedy będzie trzeba - dodał, po czym zniknął za drzwiami.

Peter Holland i Conklin popatrzyli na siebie. Rozpoczął się drugi okres oczekiwania.

Ku ich zdziwieniu trwał nie dłużej niż dziesięć minut, gdyż po takim właśnie czasie do pokoju weszła pielęgniarka i poprosiła, żeby poszli za nią. Znaleźli się w czymś przypominającym labirynt sterylnie białych ścian poprzecinanych białymi segmentami drzwi, zaznaczonych jedynie szklanymi gałkami klamek. Pierwszą ludzką istotą, jaką ujrzeli pod koniec krótkiej wędrówki, był ubrany w biały kitel mężczyzna z chirurgiczną maską na twarzy, który wyszedł zza jednego z przepierzeń i obrzucił ich ostrym, oskarżycielskim spojrzeniem, jakby należeli do jakiegoś zupełnie innego świata, niezrozumiałego w sterylnym punkcie numer pięć.

Pielęgniarka otworzyła drzwi, nad którymi zapalała się i gasła czerwona lampka. Przyłożyła palec do ust, nakazując im milczenie. Holland i Conklin weszli po cichu do zaciemnionego pokoju i stanęli przed zasłoną z białego płótna, oświetloną od wewnątrz jakimś silnym źródłem światła. Po chwili usłyszeli cichy głos doktora Walsh:

- Cofa się pan w przeszłość, doktorze, nie w daleką przeszłość, tylko dzień lub dwa, odkąd zaczął pan czuć tępy, ciągły ból w ramieniu... W pańskim ramieniu, doktorze. Dlaczego oni zadawali panu ból? Był pan na farmie, za oknami widział pan pola, a oni założyli panu na oczy opaskę i zaczęli zadawać ból...

Nagle na suficie zamigotały jakieś zielonkawe odbicia i zasłona rozsunała się, ukazując łóżko, leżące na nim pacjenta i stojące obok lekarza.

Walsh cofnął palec, którym nacisnął zainstalowany przy łóżku guzik i spojrzawszy na nich, wykonał delikatny, szeroki gest rękami, mający oznaczać: „Nie ma was tutaj, rozumiecie? Nikogo tutaj nie ma”.

Obaj mężczyźni skinęli głowami, najpierw jakby zahipnotyzowani, a potem przerażeni widokiem wykrzywionej w grymasie bólu twarzy Panova i łez płynących z jego szeroko otwartych oczu. Dopiero w chwilę później zauważyli, że Mo jest przywiązany do łóżka szerokimi, białymi pasami; z pewnością był to jego pomysł.

- Ramię, doktorze. Musimy zacząć właśnie od bólu, prawda? Dlatego że pan wie, co nastąpi potem. Coś, do czego nie może pan dopuścić, co musi pan za wszelką cenę powstrzymać...

Z gardła Panova wydobył się ogłuszający skowyt przerażenia i bólu.

- Nie, nie! Nie powiem wam! Już kiedyś go zabiłem, nie zrobię tego po raz drugi! Zostawcie mnie, zostawcie!..

Aleks zachwiał się i na pewno upadłby na podłogę, gdyby nie Holland, który chwycił go pod ramię i delikatnie wyprowadził z pokoju.

- Proszę go stąd zabrać - powiedział do pielęgniarki.

- Tak jest, sir.

- O, Boże... - wykrztusił Aleks, usiłując się wyprostować, ale ponownie stracił równowagę, nie znalazłszy wystarczającego oparcia w swej sztucznej stopie. - Przepraszam, Peter!

- Za co? - zapytał szeptem Holland.

- Powiniennem przy tym być, ale nie mogę!

- Rozumiem cię. Na twoim miejscu też bym pewnie nie mógł.

- Nic nie rozumiesz! Mo powiedział, że zabił Davida, ale to nieprawda. To ja chciałem go zabić! Nie miałem racji, a mimo to robiłem wszystko, żeby go zabić. Teraz zrobiłem to samo: wysłałem go do Paryża. Nie Mo, tylko ja!

- Proszę oprzeć go o ścianę, siostró, i zostawić nas samych.

- Tak jest, sir.

Pielęgniarka wyszła, pozostawiając Conklina i Hollanda w sterylnym labiryncie.

- A teraz posłuchaj mnie, agencie! - wyszeptał siwowłosy dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, klękając przy Aleksie, który zdążył tymczasem osunąć się po ścianie na podłogę. - Jeśli ta pieprzona karuzela wyrzutów sumienia zaraz się nie zatrzyma, nikt nikomu nie zdoła pomóc. Nie obchodzi mnie, co ty albo Panov zrobiliście trzynaście lat temu, pięć lat temu ani teraz! Wszyscy jesteśmy w miarę inteligentnymi ludźmi i zawsze postępowaliśmy tak, jak w danej chwili uważaliśmy za stosowne... Wiesz co, święty Aleksie? Tak, słyszałem, że tak cię nazywają. Każdy z nas popełnia błędy. To choler nie niewygodne, prawda? Może wcale nie jesteśmy tacy mądrzy, jak nam się wydaje. Może Panov wcale nie jest najlepszym specjalistą w swojej dziedzinie, może ty nie jesteś najsprytniejszym agentem w historii CIA i pierwszym, który został za życia kanonizowany, może ja wcale nie jestem najgenialniejszym strategiem, jaki kierował tą instytucją. Jeżeli nawet, to co z tego? I tak musimy robić to, co robimy.

- Zamknij się, na litość boską! - krzyknął Conklin, usiłując podnieść się z podłogi.

- Ciii!

- Niech to szlag trafi! Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest kazanie od ciebie! Gdybym miał stopę, kopnąłbym cię w dupę.

- Przechodzimy do konfrontacji fizycznej?

- Miałem czarny pas, admirał.

- A ja nawet nigdy nie brałem udziału w zapasach.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, aż wreszcie Aleks roześmiał się cicho.

- Udało ci się, Peter. Dotarło do mnie. Pomożesz mi wstać? Wrócę do tamtego pokoju i

zaczekam na ciebie. Podaj mi rękę.

- Ani mi się śni - oświadczył Holland, stając nad Conklinem. – Radź sobie sam. Ktoś mi powiedział, że święty Aleks przeszedł kiedyś zupełnie sam sto czterdzieści mil przez dżunglę, a kiedy zjawił się w bazie, przede wszystkim zapytał, czy nie znajdzie się jakaś butelka bourbona.

- To stara historia. Byłem wtedy sporo młodszy, no i miałem obie stopy.

- Więc wyobraź sobie, że masz je znowu. Wracam do Panova. Któryś z nas powinien tam być.

- Sukinsyn!

Conklin siedział w poczekalni przez godzinę i czterdzieści siedem minut. Od dawna już nie czuł bólu w oderwanej stopie, ale teraz pulsujące rwanie pojawiło się znowu. Nie wiedział, dlaczego tak się stało, ani nie potrafił tego zignorować. Miał przynajmniej o czym myśleć, a te myśli doprowadziły go z kolei do innych, dotyczących lat, kiedy był młody i zdrowy. Jak bardzo pragnął wtedy zmienić świat! Rozpierało go przemożne poczucie słuszności obranej drogi, które pozwoliło mu zostać najmłodszym w historii szkoły uczniem wygłaszającym przemówienie pożegnalne na zakończenie roku, a następnie najmłodszym studentem w historii Georgetown. Stopniowy upadek zaczął się nieco później, kiedy ktoś gdzieś odkrył, że jego prawdziwe imię i nazwisko nie brzmi Aleksander Conklin, lecz Aleksiej Nikołaj Konsolikow, a pewien człowiek bez twarzy zadał mu pytanie, które całkowicie odmieniło jego życie:

- Czy mówi pan po rosyjsku?

- Oczywiście - odparł, zdumiony, że jego rozmówca może mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. - Jak pan z pewnością wie, moi rodzice byli imigrantami. Wychowywałem się nie tylko w rosyjskim domu, ale i w rosyjskim otoczeniu, w każdym razie przez pierwsze lata. Gdybym nie mówił w tym języku, nie mógłbym kupić nawet bochenka chleba. W kościelnej szkole księży i zakonnice nie pozwalali odzywać się w żadnym innym języku... Chyba właśnie dlatego zraziłem się do religii.

- Ale to były wczesne lata pańskiego życia, jak sam pan wspominał.

- Owszem.

- Co się potem zmieniło?

- Jestem pewien, że macie to w swoich raportach, ale wątpię, czy takie wyjaśnienie wystarczy drobiazgowemu senatorowi McCarthy'emu.

Wraz z tymi słowami na ekranie pamięci Conklina pojawiła się wreszcie pozbawiona wszelkiego wyrazu twarz mężczyzny w średnim wieku. Tylko w oczach można było dostrzec tłumiony gniew.

- Zapewniam pana, panie Conklin, że nie jestem w żaden sposób związany z senatorem. Pan nazywa go drobiazgowym, ja używam raczej innych określeń, ale to nie ma w tej chwili najmniejszego znaczenia... A więc, co się zmieniło?

- Pod koniec życia mój ojciec stał się znowu tym, kim był w Rosji, czyli zamożnym kupcem, prawdziwym kapitalistą. U szczytu powodzenia miał siedem dużych supermarketów w bogatych dzielnicach. Nazywają się „Conklin's Corners”. Ma teraz grubo ponad osiemdziesiąt lat i choć bardzo go kocham, muszę z przykrością stwierdzić, iż był i pozostał gorącym zwolennikiem senatora McCarthy'ego. Nigdy nie poruszam z nim tego tematu, mając na względzie jego wiek, wszystko, co przeszedł, i ogromną nienawiść, jaką żywi do komunistów.

- Jest pan bardzo bystry i inteligentny.

- Owszem - zgodził się Aleks.

- Robiłem kilka razy zakupy w tych sklepach. Trochę tam drogo.

- Rzeczywiście.

- Skąd się wzięło nazwisko „Conklin”?

- Matka twierdzi, że ojciec zobaczył je na jakiejś reklamie trzy lub cztery lata po tym, jak przenieśli się do Stanów. Według jego własnych słów tylko Żydzi z rosyjskimi nazwiskami mogą tu robić prawdziwe pieniądze. Tego tematu również staram się nie poruszać.

- Bardzo mądrze.

- To nic trudnego. Staruszek ma też sporo pozytywnych cech charakteru.

- Nawet gdyby nie miał, jestem przekonany, że potrafiłby pan ułożyć sobie stosunki z ojcem dzięki dyplomatycznym wybiegom i powściągliwości w demonstrowaniu swoich poglądów.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że to najważniejsze zdanie, jakie pan do tej pory powiedział?

- Bo tak jest, panie Conklin. Reprezentuję pewną rządową agencję, która bardzo się panem interesuje. Gdyby zdecydował się pan z nią związać, miałyby pan praktycznie nieograniczone możliwości rozwoju i awansu.

Od tej rozmowy minęło już prawie trzydzieści lat, pomyślał z czymś w rodzaju zdumienia Aleks, spoglądając po raz kolejny na drzwi prowadzące do tajnej części ośrodka leczniczego CIA określanego kryptonimem punkt numer pięć. Jakże szalone były to lata! Ojciec, ogarnięty żądzą ciągłego powiększania majątku, posunął się za daleko, inwestując olbrzymie sumy pieniędzy, istniejące wyłącznie w jego wyobraźni i w dokumentach przedstawianych mu przez nieuczciwych bankierów. Utracił sześć spośród swoich siedmiu supermarketów. Ostatni, siódmy, nie pozwalał mu żyć na zadowalającym go poziomie, w związku z czym doznał udaru mózgu i zmarł w chwili, kiedy Aleks dopiero wkraczał w dorosłe życie.

Zachodni i Wschodni Berlin, Moskwa, Leningrad, Taszkent, Kamczatka, Wiedeń, Paryż, Lizbona, Istambuł, a potem Tokio, Hongkong, Seul, Kambodża, Laos i wreszcie Sajgon i tragedia, której na imię było Wietnam. Z biegiem lat, dzięki zdolnościom językowym oraz nabywanej z wiekiem umiejętności przetrwania, stał się głównym strategiem wielu tajnych operacji przeprowadzanych przez Agencję, aż pewnego mglistego poranka w delcie Mekongu wybuch miny rozszarpał nie tylko jego stopę, ale także zniszczył życie. Niewiele już mógł zdziałać jako agent pierwszej linii; alternatywą był powolny, lecz stały upadek. Z czasem wszyscy przyzwyczaili się do tego, że prawie zawsze jest pijany, ale choć skazany na unicestwienie, otrzymał jednak odroczenie wyroku: w jego życiu pojawił się Jason Bourne.

Drzwi otworzyły się, litościwie przerywając dręczące Aleksa rozmyślania, i do poczekalni wszedł powoli Peter Holland. Miał ściągniętą, bladą jak papier twarz, szkliste spojrzenie, w dłoni zaś ścisnął dwa plastikowe pudełeczka z kasetami magnetofonowymi.

- Mam nadzieję - odezwał się głuchym głosem, niewiele donośniejszym od szeptu - że już nigdy w życiu nie będę musiał niczego takiego oglądać.

- Co z Mo?

- Już myślałem, że tego nie przeżyje... Walsh co chwila przerywał. Mówię ci, miał niezłego stracha.

- Więc dlaczego nie przestał, na litość boską?

- Też go o to zapytałem. Powiedział mi, że Panov dał mu wszystkie instrukcje na piśmie. Może to jakaś solidarność lekarzy czy coś w tym rodzaju, nie mam pojęcia. W każdym razie Walsh podłączył go do EKG i prawie nie spuszczał wzroku z monitora. Ja też nie. Wolałem patrzeć tam niż na twarz Mo. Boże, chodźmy stąd!

- Zaczekaj chwilę. Co z Panovem?

- Na razie nie będzie mógł uczestniczyć w przyjęciu powitalnym. Zostanie tu przez kilka dni na obserwacji. Walsh ma zadzwonić do mnie jutro rano.

- Muszę go zobaczyć.

- Nie ma co oglądać, to teraz strzęp człowieka. Wierz mi, on też by tego nie chciał. Chodźmy już.

- Dokąd?

- Do ciebie... To znaczy, do nas, do Vienny. Chyba masz tam magnetofon kasetowy?

- Mam wszystko z wyjątkiem rakiety kosmicznej, ale i tak prawie ni czego nie potrafię obsługiwać.

- Po drodze muszą gdzieś zdobyć butelkę whisky.

- Też się znajdzie.

- Nie przeszkadza ci to? - zapytał Holland, przyglądając się uważnie Aleksowi.

- A gdyby nawet, czy tobie by to przeszkadzało?

- Ani trochę... Zdaje się, że tam są dwie sypialnie, prawda?

- Zgadza się.

- To dobrze. Wątpię, czy skończymy przed pomocą. - Holland uniósł pudełka z kasetami. - Pierwsze dwa, trzy razy nic nam nie dadzą. Usłyszymy tylko ból, nie informacje.

Było kilka minut po piątej, kiedy opuścili posiadłość zwaną punktem numer pięć, będącą własnością Centralnej Agencji Wywiadowczej. Dni stawały się krótsze, a coraz niższe wrześnie słońce zwiastowało niedaleki zmierzch lata i nadejście nowej pory roku.

- Światło jest najjaśniejsze wtedy, kiedy umieramy - powiedział Conklin, spoglądając przez okno z tylnego siedzenia samochodu.

- To nie tylko nie ma sensu, ale brzmi wręcz głupio - odparł znużonym tonem Holland.

- Kto to powiedział?

- Zdaje się, że Jezus.

- Nikt tego dokładnie nie sprawdził. Nie mieliśmy tam swoich agentów. Aleks roześmiał się cicho.

- Czytałeś kiedyś Pismo Święte? - zapytał.

- Prawie całe.

- Dlatego że musiałeś?

- Wcale nie. Moi rodzice byli agnostykami do tego stopnia, że tylko krok dzielił ich od tego, żeby nazywano ich bezbożnymi *pariasami*, ale co jakiś czas posyłali mnie i moje dwie siostry na jakieś nabożeństwo - raz do kościoła katolickiego, raz do protestanckiego, a potem do synagogi. Chodziło im o to, żebyśmy sami sobie wyrobili na ten temat jakieś pojęcie. Właśnie dzięki temu dzieciaki zaczynają czytać na własną rękę; dręczy je naturalna ciekawość zaprawiona kroplą mistycyzmu.

- Rzeczywiście, trudno się temu oprzeć - zgodził się Conklin. - Ja straciłem wiarę, ale teraz, po tylu latach duchowej niezależności, zaczynam się zastanawiać, czy jednak czegoś mi nie brakuje.

- Na przykład czego?

- Komfortu, Peter. Psychicznego komfortu.

- Na co ci on?

- Nie wiem. Może do tego, żeby dojść do ładu z rzeczami, z którymi nie potrafię sobie poradzić?

- Chodzi ci o wygodną świadomość, że zawsze możesz znaleźć jakąś metafizyczną wymówkę. Wybacz mi, Aleks, ale ja myślę zupełnie inaczej.

Jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny i żadne rozgrzeszenie w konfesjonale nie może tego zmienić.

Conklin odwrócił twarz od okna i spojrzał na Hollanda szeroko otwartymi oczami.

- Dziękuję ci, Peter.

- Za co?

- Za to, że powiedziałeś to samo co ja, zresztą prawie tymi samymi słowami... Pięć lat temu wróciłem z Hongkongu, trzymając wysoko w górze sztandar Odpowiedzialności.

- Nie rozumiem...
- Nieważne. „Unikajcie pułapek kościelnych dogmatów i własnych teorii”.
- A kto to powiedział, do diabła?
- Albo Savonarola, albo Salvador Dali, nie jestem pewien. Holland parsknął śmiechem.
- Skończ już z tymi bzdurami, na litość boską!
- Dlaczego? To pierwszy wybuch śmiechu, jaki słyszę od dłuższego czasu. Co się stało z twoimi siostrami?
- To dopiero zabawna historia - odparł Peter z lekkim uśmiechem. - Jedna jest zakonnicą w Nowym Delhi, a druga założyła w Nowym Jorku firmę prawniczą i lepiej mówi w jidysz niż większość jej kolegów. Kilka lat temu poprosiła mnie, żebym przestał nazywać ją smarkulą. Kocha to, co robi, tak samo jak tamta w Indiach.
- A ty mimo to wybrałaś wojsko...
- Nie mimo to, ale owszem, wybrałem. Byłem młodym gniewnym facetem, który naprawdę wierzył w to, że jego krajowi grozi niebezpieczeństwo. Pochodziłem z uprzywilejowanej rodziny - pieniądze, znajomości, najlepsze szkoły - więc nie miałem najmniejszych kłopotów z dostaniem się do Annapolis. Doszedłem do wniosku, że jednak powinienem sobie na to jakoś zasłużyć. Musiałem pokazać światu, że ludzie tacy jak ja nie wykorzystują swoich przywilejów do tego, żeby unikać odpowiedzialności, tylko żeby poszerzać jej zakres.
- Kompleks arystokracji - mruknął Conklin. - *Noblesse oblige*, i tak dalej...
- To nieuczciwe - zaprotestował Holland.
- Właśnie że tak. Po grecku *aristo* znaczy najlepszy, a *kratia* to tyle, co władza. W starożytnych Atenach tacy młodzi ludzie jak ty dowodzili już armiami, idąc do boju w pierwszym szeregu, żeby udowodnić żołnierzom, że są gotowi zginąć tak samo jak ci najbiedniejsi i najgorzej urodzeni spośród nich.
- Peter Holland oparł głowę na miękkim obiciu i przymknął oczy.
- Może masz rację, ale nie jestem pewien... Niczego już nie jestem pewien. Tak wiele żądaliśmy, po co? Żeby zdobyć wzgórze Pork Chop? Zająć jakieś kompletnie bezużyteczne połączenie delty Mekongu? Po co to wszystko? Ludzie ginęli rozrywani na strzepy granatami rzuconymi przez Wietnamczyków znających dżunglę jak własną kieszeń... Co to była za wojna? Gdyby tacy jak ja nie poszli tam, do tych dzieciaków, i nie powiedzieli im: „Patrzcie, chłopaki, jestem z wami”, czy myślisz, że udałoby się nam utrzymać tak długo? Wybuchłyby masowe bunty i może źle się stało, że do niczego takiego nie doszło. Te dzieciaki to byli półanalfabeci, łobuzy i czarnuchy, natomiast uprzywilejowani dostawali służbę na tyłach, gdzie mieli szansę przeżyć. Jeżeli fakt, że ja, jeden z tych uprzywilejowanych sukinsynów, byłem tam z nimi, znaczył dla nich cokolwiek, to była to najlepsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Holland umilkł raptownie i zamknął oczy.
- Przepraszam, Peter. Naprawdę nie chciałem rozdrapywać starych ran. Właściwie to zaczęło się od mojego poczucia winy, nie od twojego... Niesamowite, jak to wszystko wraca, prawda? Jak to nazwałś? Karuzela wyrzutów sumienia, prawda? Kiedy ona się zatrzyma, do cholery...
- Teraz - powiedział Holland, otwierając oczy i siadając prosto na miękkiej kanapie limuzyny. Podniósł słuchawkę telefonu, nacisnął dwa guziki.
- Zawieź nas do Wiedni - powiedział. - A potem znajdź jakąś chińską restaurację i przywieź nam, co mają najlepszego. Mam ochotę na żeberka i kurczaka z pomarańczą.

Okazało się, że Holland miał tylko częściowo rację. Pierwsze przesłuchanie kasety z zeznaniami Panova istotnie było dla nich wstrząsającym przeżyciem; jego głos był przepełniony ogromnym bólem, a informacje chaotyczne i niejasne, szczególnie dla kogoś

przyzwyczajonego do precyzyjnego sposobu wysławiania się psychiatry. Jednak już za drugim razem udało im się osiągnąć wysoki stopień koncentracji, do czego bez wątpienia przyczyniła się świadomość ogromu cierpień, jakimi okupił Mo swoją wymuszoną środkami chemicznymi relację. Nie było czasu na osobiste uczucia, liczyły się tylko fakty. Obaj mężczyźni sporządzali szczegółowe notatki, przesłuchując kilkakrotnie budzące wątpliwość fragmenty, aby zmniejszyć do minimum ryzyko pomyłki. Po trzecim razie niejasności wyraźnie się zmniejszyły, po czwartym zaś obaj mieli po trzydzieści kilka stron notatek. Następną godzinę spędzili w milczeniu, analizując zebrany materiał i próbując ułożyć go w spójną całość.

- Jesteś gotów? - zapytał wreszcie siedzący na kanapie z ołówkiem w dłoni dyrektor CIA.

- Jasne - odparł Conklin. Zajmował miejsce przy biurku zastawionym sprzętem elektronicznym; w zasięgu ręki miał magnetofon.

- Jakież uwagi na początek?

- Owszem. Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek czterdzieści cztery pro cent tego, co wysłuchaliśmy, nic nam nie daje, z wyjątkiem dowodów na to, jak dużo potrafi ten cholerny Walsh. Przeskakiwał z wątku na wątek szybciej, niż mogłem nadażyć, a przecież nie jestem takim znowu amatorem, jeśli chodzi o przesłuchania.

- Zgadzam się z tobą. - Holland skinął głową. - Walsh rzeczywiście jest dobry.

- Albo nawet jeszcze lepszy, ale to już nie nasza sprawa. Interesuje nas tylko to, co powiedział Mo... z jeszcze jednym ale. Najważniejsze jest nie to, co im ujawnił, bo i tak musimy przyjąć założenie, iż ujawnił wszystko, co mu po wiedziałem, ale to, co tam usłyszał.

- Conklin umilkł na chwilę i przekartkował kilka stron. - O, na przykład: „Rodzina będzie zadowolona... Nasz *super* da nam swoje błogosławieństwo”. W tym momencie najwyraźniej powtarza czyjeś słowa. Mo nie zna przestępczego żargonu, a jeśli nawet, to nie w takim stopniu, żeby automatycznie kojarzyć pewne fakty i słowa, ale w tym wypadku jednak nastąpiło coś takiego. Wystarczy zastąpić słowo *super* podobnie brzmiącym *su premo* - *capo supremo*, bynajmniej nie dobroduszny superman, z jakim mogło się kojarzyć. W takim układzie rodzina przestaje oznaczać gromadę niedołączonych ciotek, a błogosławieństwo zamienia się w nagrodę lub pochwałę.

- Mafia... - powiedział cicho Peter, wpatrując się w Conklina ostrym, przenikliwym spojrzeniem; kilka drinków, jakie wypił podczas minionych godzin, nie pozostawiło w jego organizmie najmniejszego śladu. - Nie przyszło mi to do głowy, ale instynktownie podkreśliłem ten sam fragment. Masz rację. Jest tu jeszcze parę rzeczy pasujących do tego toku myślenia. - Holland przerzucił kilka stron. - Proszę: „Nowy Jork chce wszystko zgarnąć”. Albo tutaj: „Ten z Wall Street to naprawdę ktoś”. - Dyrektor CIA ponownie odwrócił dwie lub trzy kartki. - Albo: „Blondaski...”, i coś jeszcze, ale nie zrozumiałem.

- Nie mam tego. To znaczy, słyszałem, ale nie wiedziałem, o co chodzi.

- Bo i skąd miałby pan wiedzieć, panie Aleksieju Konsolikow? - Holland uśmiechnął się szeroko. - Pod tą warstwą ogłady i wykształcenia bije przecież rosyjskie serce. Nie masz pojęcia o tym, co niektórzy z nas musieli przejść.

-Hę?

- Jestem, przynajmniej teoretycznie, białym protestantem pochodzenia anglosaksońskiego. Blondaski to jedno z przezwisk, jakimi nas obrzucały inne mniejszości. Pomyśl tylko: Armbruster, Swayne, Atkinson, Burton, Teagarten - same blondaski. Ado tego Wall Street, gdzie większość rekinów pochodzi, albo przynajmniej pochodziła, właśnie z tego środowiska.

- „Meduza” - powiedział Aleks, kiwając głową. - „Meduza” i mafia... Jezus, Maria!

- Mamy numer telefonu! - Peter pochylił się do przodu na kanapie. - Był w notatniku, który Bourne zabrał z domu Swayne'a.

- Dzwoniłem tam, nie pamiętasz? Ciągłe zgłasza się tylko automatyczna sekretarka.
- To nam wystarczy, żeby go zlokalizować.
- Po co? Ten, kto odbiera informacje, robi to też przez telefon, najprawdopodobniej z budki, jeśli ma choć odrobinę oleju w głowie. Niczego w ten sposób nie osiągniemy.
- Coś mi się wydaje, agencie, że nie macie wielkiego pojęcia o współczesnej technice, co?
- Odpowiem ci w ten sposób: kupiłem sobie magnetowid, żeby oglądać stare filmy, ale nie potrafiłem ustawić tego cholernego zegara, więc zadzwoniłem do sprzedawcy, a on na to: „Proszę przeczytać instrukcję na wewnętrznej stronie pokrywy”. Próbowałem, ale za cholerę nie mogłem dojść do tego, jak się ją otwiera.
- W takim razie pozwól, że powiem ci, co możemy zrobić z automatyczną sekretarką: możemy ją uszkodzić.
- Świetny pomysł. Może jeszcze będziesz uprzejmy mi wyjaśnić, co nam to da.
- Zapomniałeś, że będziemy już wiedzieć, gdzie się znajduje.
- I co z tego?
- Ktoś przyjdzie, żeby ją naprawić.
- Aaa...
- Zgarniemy go i zapytamy, kto go przysłał.
- Wiesz, Peter, jak na amatora miewasz jednak czasem dobre pomysły. Twoje obecne wysokie stanowisko, na które w ogóle sobie nie zasłużyłeś, nie ma tu nic do rzeczy.
- Wybacz, ale nie postawię ci drinka.

Bryce Ogilvie, współwłaściciel kancelarii adwokackiej Ogilvie, Spofford, Crawford i Cohen, dyktował właśnie nadzwyczaj skomplikowaną odpowiedź dla wydziału antytrustowego Departamentu Sprawiedliwości, kiedy zadzwonił stojący na jego biurku telefon, podłączony do prywatnej, omijającej sekretariat linii. Ogilvie podniósł słuchawkę, nacisnął zielony guzik i spojrzał na sekretarkę.

- Zechce pani wybaczyć... - powiedział uprzejmie.
- Oczywiście, sir. - Dziewczyna wstała z fotela, przeszła na ukos przez obszerny gabinet i zniknęła za drzwiami.
- O co chodzi? - zapytał prawnik, zwalniając przycisk.
- Automat nie działa - odparł głos w słuchawce.
- Co się stało?
- Nie wiem. Cały czas jest przerywany sygnał.
- To najlepsze urządzenie, jakie można dostać. Może po prostu ktoś wtedy dzwonił.
- Próbuję już od dwóch godzin. Nawet najlepsza maszyna może się kiedyś zepsuć.
- Dobra, pošlij kogoś, żeby sprawdził. Najlepiej kóregoś z czarnuchów. - Oczywiście. Żaden biały nie odważyłby się tam pojawić.

Rozdział 25

Kilka minut po północy Bourne wysiadł z metra w Argenteuil. Podzielił dobę na części, czyniąc niezbędne przygotowania i jednocześnie szukając Marie; zajrzał do każdej kawiarni, sklepu i hotelu, odwiedził wszystkie miejsca będące fragmentami koszmaru, w jakim oboje uczestniczyli trzynaście lat temu. Kilkakrotnie wstrzymywał nagle oddech, widząc z daleka jakąś kobietę: tył głowy, mignięcie profilu, ciemnorude włosy - w przyćmionym świetle i tłoku wydawało mu się, że każda z nich może być jego żoną. Żadna nie była, ale dało mu to tyle, że zrozumiał dręczący go lęk, a dzięki temu mógł nad nim zapanować. To była najtrudniejsza do wytrzymania część dnia; resztę wypełniły zwykłe problemy i obawy.

Aleks! Gdzie on się podział, do cholery? Nie było go w Wirginii. Ze względu na różnicę czasu Bourne liczył na to, że Conklin zajmie się szczegółami, a przede wszystkim szybkim przekazaniem pieniędzy do Europy. Dzień pracy na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych zaczął się o czwartej po południu czasu paryskiego, natomiast dzień pracy we Francji zakończył się o piątej lub nawet wcześniej, także czasu paryskiego! Oznaczało to, że na załatwienie formalności związanych z przelaniem na konto niejakiego pana Simona w jednym z paryskich banków sumy miliona dolarów miał zaledwie niecałą godzinę, a to z kolei oznaczało, że wspomniany pan Simon musiałby pojawić się we wspomnianym, jeszcze nie wybranym, banku. W tej sprawie dużą pomoc okazał mu Bernardine. Pomoc, dobre sobie! On to po prostu załatwił.

- Przy rue de Grenelle jest pewien bank, z którego często korzystała Deuxieme. Potrzą działając naprawdę szybko i mogą przymknąć oko na brak jednego czy dwóch podpisów, ale nie robią tego za darmo, a poza tym nie ufają nikomu mającemu powiązania z naszym dobroczynnym, socjalistycznym rządem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że niezależnie od teleksów i faksów, jeśli nie mają pieniędzy, to ci ich po prostu nie dadzą?

- Ani sou. Nawet gdyby zadzwonił sam prezydent, kazaliby mu zgłosić się po nie do Moskwy, gdzie zresztą, ich zdaniem, sam powinien się znaleźć.

- Nie mogłem nigdzie złapać Aleksa, więc ominąłem bank w Bostonie i skontaktowałem się z naszym człowiekiem na Kajmanach, gdzie Marie ulokowała większość pieniędzy. To Kanadyjczyk, a bank również jest kanadyjski. Czeka na instrukcje.

- Zaraz do niego zadzwonię. Jesteś w Pont Royal?

- Nie. Sam się do ciebie zgłoszę.

- A gdzie jesteś?

- Można chyba powiedzieć, że latam jak przestraszony i zagubiony motyl, przenosząc się z jednego znajomego miejsca w drugie.

- Szukasz jej.

- Tak. Ale to chyba nie było pytanie, prawda?

- Wybacz mi, ale mam nadzieję, że nie uda ci się jej znaleźć.

- Dziękuję. Zadzwonię do ciebie za dwadzieścia minut.

Odwiedził jeszcze jedno zapamiętane miejsce: Trocadero i pałac de Chaillot. Kiedyś strzelano do niego na jednym z tarasów, uzbrojeni mężczyźni zbiegali po nie kończących się, kamiennych schodach, by zniknąć w rozciągających się dookoła wypielęgowanych ogrodach. Co się wtedy właściwie stało? Dlaczego zapamiętał akurat Trocadero? Bo była tu Marie. Gdzie? W którym miejscu ogromnego kompleksu? Na tarasie! Stała na tarasie, przy posągu... Jakim posągu? Kartezjusza? Racine'a? Talleyranda? Najpierw pomyślał o Kartezjuszu. Musi znaleźć tę rzeźbę.

Znalazł, ale Marie tam nie było. Spojrzał na zegarek: od rozmowy z Bernardine'em minęło prawie czterdzieści pięć minut. Tak jak ludzie z jego wspomnień popędził w dół po schodach. Do telefonu.

- Idź do Banque Normandie i zapytaj o *monsieur* Tabouriego. Dałem mu do zrozumienia, że niejaki *monsieur* Simon chce zadzwonić do swojego bankiera na Kajmanach i polecić mu dokonanie przelewu siedmiu milionów franków. Chętnie pozwoli ci skorzystać ze swojego telefonu, ale bądź przy gotowany na to, że każe ci zapłacić za rozmowę.

- Dziękuję, Francois.

- Gdzie teraz jesteś?

- Na Trocadero. To zupełne szaleństwo. Miałem przeczucie, że ją tu znajdę, ale nic z tego nie wyszło. Nawet nie wiem dokładnie, co się tu właściwie działo. Wydaje mi się, że ktoś do mnie strzelał, ale nie jestem pewien.

- Idź do banku.

Zrobił to, a w trzydzieści pięć minut po rozmowie z Kajmanami śniadoskóry, wiecznie uśmiechnięty *monsieur* Tabouri poinformował go, że pieniądze są do jego dyspozycji. Bourne zażądał wypłacenia siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy franków w banknotach o możliwie największych nominałach. Kiedy już jego życzeniu stało się zadość, uśmiechnięty bankier wziął go delikatnie za ramię, odprowadził na stronę - co wyglądało dość głupio, jako że w obszernym gabinecie nie było nikogo oprócz nich - i powiedział przyciszonym głosem:

- Jest możliwość korzystnego zainwestowania kapitału w nieruchomości w Bejrucie. Proszę mi wierzyć, jestem specjalistą od spraw Bliskiego Wschodu i mogę pana zapewnić, że to zamieszanie nie potrwa tam długo.

Mon Dieu, przecież w końcu wszyscy by wyginęli! Bejrut znowu stanie się Paryżem Bliskiego Wschodu. Teraz można tam kupić olbrzymie posiadłości za ułamek ceny, hotele za śmieszne kwoty!

- To brzmi interesująco. Skontaktuję się z panem w tej sprawie.

Opuścił Banque Normandie tak szybko, jakby w sejfach załęgły się wirusy śmiertelnie niebezpiecznej choroby. Wróciwszy do hotelu Pont Royal, spróbował po raz kolejny połączyć się z Aleksem; w Wirginii dochodziła teraz pierwsza po południu, lecz mimo to ponownie usłyszał automatyczną sekretarkę, zachęcającą go głosem Conklina do pozostawienia wiadomości. Jason miał co najmniej kilka powodów, żeby tego nie robić.

A teraz znalazł się ponownie w Argenteuil. Wyszedł powoli ze stacji metra i ruszył niespiesznie w kierunku najbardziej zaniedbanej części dzielnicy, gdzie mieściło się Le Coeur du Soldat. Instrukcje, jakie otrzymał, były jasne: żadnego utykania ani obszarpanego stroju, nic, co mogłoby zwrócić na niego czyjąś uwagę. Miał się ubrać jak zwykły robotnik, stanąć przy zamkniętej bramie fabryki, oprzeć się o mur i zapalić papierosa. Powinno to nastąpić między dwunastą trzydzieści a pierwszą w nocy. Nie wcześniej i nie później.

Kiedy zapytał posłańców Santosa, dlaczego spotkanie wyznaczono na tak późną porę - uprzednio wynagrodziwszy kilkuset frankami ich fatywę - ten bardziej rozmowny powiedział:

- Santos nigdy nie opuszcza Le Coeur du Soldat.

- Wczoraj to zrobił.

- Tylko na kilka minut.

- Rozumiem. - Bourne skinął głową, ale w rzeczywistości nic nie rozumiał, mógł jedynie snuć domysły. Czy Santos był więźniem Carlosa, człowiekiem skazanym na bezustanne przebywanie w obskurnej speluncie? Było to fascynującą zagadką, jeśli wzięło się pod uwagę olbrzymią siłę barmana i jego bez wątpienia nieprzeciętny umysł.

Była dwunasta czterdzieści siedem, kiedy Jason, ubrany w dzinsy, koszulę, wytarty sweter i w czapce na głowie, dotarł do bramy nieczynnej fabryki. Wyjawszy z kieszeni paczkę gauloise'ów, oparł się o ceglany mur i zapalił papierosa, gasząc zapalkę nieco później, niż to było konieczne. Cały czas myślał o tajemniczym Santosie, głównym łączniku w armii

Szakala, jego najbardziej zaufanym współpracowniku, którego nienaganna francuszczyzna wskazywała co najmniej na studia na Sorbonie, choć przecież ten człowiek pochodził z Ameryki Łacińskiej, a dokładniej z Wenezueli, jeżeli Bourne'a nie myliło przeczucie. Fascynujące. I ten oto Santos pragnął spotkać się z nim „w pokojowych zamiarach”. Brawo, *amigo*, pomyślał Jason. Santosowi udało się dotrzeć do ambasadora USA w Londynie i zadać mu pytanie, które musiało wywrzeć na dyplomacie wstrząsające wrażenie. Atkinson nie miał innego wyboru, jak tylko potwierdzić, że wszystkie polecenia wydane przez Królową Wężów mają być natychmiast realizowane. Siła „Meduzy” była jedyną nadzieją ambasadora.

A więc Santos potrafił zmieniać swoje postępowanie, opierając się nie na emocjach czy zobowiązaniach, tylko na logicznych argumentach. Pragnął wygrzebać się z rynsztoka, a dysponując trzema milionami franków i niezliczoną ilością miejsc na świecie, w których mógłby się ukryć, miał na to wreszcie poważne szansę. Jego bystry umysł kazał mu się nad tym zastanowić. W życiu zdarzają się czasem okazje tworzące zupełnie nowe możliwości i taka okazja zdarzyła się właśnie łącznikowi i wasalowi Szakala, być może przeżywającemu poważny kryzys uczuć wobec swego dotychczasowego pana i władcy. Dlatego Bourne, wiedziony instynktem, zwrócił uwagę Santosa na tę alternatywę. „Mógłbyś wyjechać, zniknąć... Zamożny człowiek, wolny od trosk i kłopotów...” Kluczowymi słowami były „wolny” i „zniknąć” i oczy Santosa zareagowały na nie w odpowiedni sposób. Był gotów skusić się na przynętę w postaci trzech milionów franków, a Bourne nie miał nic przeciwko temu, żeby pozwolić mu przegryźć żyłkę i odpłynąć.

Jason spojrział na zegarek; minęło piętnaście minut. Nie ulegało wątpliwości, iż ludzie Santosa przeszukują teraz pobliskie uliczki, dokonując ostatniej inspekcji przed pojawieniem się ich chlebodawcy. Myśli Bourne'a wróciły na krótko do Marie i przeczucia, jakie tknęło go na Trocadero, a także do słów starego Fontaine'a, usłyszanych na Wyspie Spokoju, kiedy razem obserwowali z poddasza teren pensjonatu, czekając na pojawienie się Carlosa. „On jest blisko, czuję to. Tak samo, jak czuję nadejście burzy”. Podobne, ale jednocześnie jakby odwrotne odczucia miał Jason na Trocadero... Wystarczy! Teraz liczą się tylko Santos i Szakal!

Punktualnie o pierwszej w zaułku pojawili się dwaj posłańcy, którzy wcześniej przyszedli do hotelu Pont Royal.

- Santos chce się z tobą zobaczyć - oznajmił ten bardziej wymowny.
- Nigdzie go nie widzę.
- Masz pójść z nami. On nigdy nie wychodzi z Le Coeur du Soldat.
- Jak sądzicie, dlaczego mi się to nie podoba?
- Nie masz powodu, żeby tak myśleć. Ma pokojowe zamiary.
- Ale pewnie nie zapomniał wziąć ze sobą noża?
- Nigdy nie nosi noża ani żadnej innej broni.
- Miło to słyszeć. W takim razie chodźmy.
- On nie potrzebuje żadnej broni - wyjaśnił spokojnie drugi posłaniec.

Minęli oświetlone blaskiem neonu wejście i skręcili w ledwo dostrzegalne przejście między budynkami. Kiedy znaleźli się na zapleczu restauracji, Jason ujrzał ostatnią rzecz, jaką spodziewał się zobaczyć w tej dzielnicy: angielski ogród. Zajmował ogrodzony teren o wymiarach mniej więcej dziesięć na sześć metrów, pyszniąc się niesamowitymi barwami w zimnym blasku księżyca.

- Niezły widok - powiedział Jason, nie starając się ukryć zdumienia. - Ktoś musi koło tego nieźle chodzić.

- To pasja Santosa. Nikt jej nie rozumie, ale też nikt nie śmie tknąć żadnego kwiatka.

Fascynujące.

Dwaj mężczyźni zaprowadzili Bourne'a do metalowej windy poruszającej się po prowadnicach przytwierdzonych do zewnętrznej ściany budynku. Nic nie wskazywało na

istnienie jakichś schodów. Kiedy z trudem zmieścili się do ciasnej klatki, milczący do tej pory posłaniec nacisnął w ciemności jakiś guzik i powiedział:

- Już jesteśmy, Santos. Kamelia. Możesz nas wciągnąć.
- Kamelia? - powtórzył ze zdziwieniem Jason.
- Teraz wie, że wszystko jest w porządku. Gdyby coś było nie tak, mój przyjaciel powiedziałby „lilia” albo „róża”.
- Co wtedy by się stało?
- Lepiej niech pan o tym nie myśli. W każdym razie ja wolę o tym nie myśleć.
- Tak, oczywiście.

Winda zatrzymała się gwałtownie; małowówny posłaniec pchnął z trudem grube stalowe drzwi i Bourne znalazł się w znajomym, umeblowanym ze smakiem pokoju, w którym stały wypełnione książkami regały, obszerny fotel i pojedyncza lampa, oświetlająca siedzącego Santosa.

- Możecie już odejść, przyjaciele - powiedział do dwóch towarzyszących Jasonowi mężczyznom. - Odbierzcie swoje pieniądze od kelnera i powiedzcie mu, żeby dał Renę i temu młodemu Amerykaninowi po pięćdziesiąt franków. Niech wreszcie się wyniosą. Ciągłe leją po kątach... Może im powiedzieć, że pieniądze są od przyjaciela, który wczoraj o nich zapomniał.

- Cholera! - syknął Jason.
- Zapomniałeś, prawda? - zapytał z uśmiechem Santos.
- Miałem inne sprawy na głowie.
- Tak jest, Santos!

Dwaj posłańcy nie zjechali windą, lecz wyszli przez drzwi znajdujące się po lewej stronie pokoju. Bourne spojrzał za nimi ze zdziwieniem.

- Jest tam klatka schodowa prowadząca do kuchni - wyjaśnił Santos, odpowiadając na nie zadane pytanie. - Drzwi można otworzyć tylko z tej strony... Proszę siadać, *monsieur Simon*. Jest pan moim gościem. Jak tam głowa?

- Dziękuję, lepiej. - Bourne usiadł na kanapie, zapadając się w miękkie poduszki; z całą pewnością nie była to pozycja pełna godności. - Rozumiem, że tym razem ma pan pokojowe zamiary.

- Część z nich dotyczy trzech milionów franków, o których pan wspominał.

- Rozumiem, że rozmowa z Londynem przyniosła zadowalające rezultaty?

- Nikt nie mógłby zmusić tego człowieka, żeby zareagował w taki sposób. Naprawdę istnieje jakaś Królowa Wężów, która wzbudza nie tylko uwielbienie, lecz także strach, co oznacza, że dysponuje ogromną siłą.

- Właśnie to starałem się panu powiedzieć.

- Teraz panu wierzę. Możemy skupić się na pańskich prośbach czy też żądaniach...

- Powiedzmy raczej wymaganiach - przerwał mu Jason.

- Dobrze, niech będą wymagania - zgodził się Santos. - Rozumiem, że ma się pan skontaktować z Kosem osobiście, bez żadnych świadków?

- To nieodzowne.

- Czy wolno mi spytać dlaczego?

- Szczerze mówiąc, i tak wie pan już zbyt dużo, więcej, niż przypuszczają moi klienci, ale przecież żadnemu z nich nie groziła utrata życia w pokoju nad restauracją w Argenteuil. Nie chcą mieć z panem do czynienia, bo zależy im na dyskrecji, a pod tym względem nie jest pan zupełnie czysty.

- Jak to? - zapytał Santos, zaciskając potężną dłoń na oparciu fotela.

- Pewien starzec usiłował ostrzec jednego z członków Zgromadzenia przed przygotowywanym na niego zamachem. To on wspominał o Kosie i Le Coeur du Soldat. Na szczęście usłyszał to nasz człowiek i dyskretnie dał znać moim klientom, ale kto wie, ilu

jeszcze starców może w każdej chwili wyga dać się o Le Coeur du Soldat i o panu... ? Nie, pan nie może mieć nic wspólnego z moimi klientami.

- Nawet za pańskim pośrednictwem?

- Ja zniknę bez śladu, pan nie. Chociaż, szczerze mówiąc, na pańskim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowił... Proszę, mam coś dla pana. - Bourne wyprostował się, signał do tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej gruby zwitek banknotów opasany szeroką gumką. Rzucił pieniądze Santosowi, który złapał je bez trudu. - Zaliczka w wysokości dwustu tysięcy franków. Upoważniono mnie, żebym to panu dał na dowód dobrych intencji. Pańska rola polega wyłącznie na udzieleniu mi informacji, którą przekażę do Londynu. Niezależnie od tego, czy Kos zaakceptuje propozycję moich klientów, trzy miliony franków należą do pana.

- Ale pan może wcześniej zniknąć, czyż nie tak?

- Więc proszę mnie obserwować tak jak do tej pory. Mogę nawet podać numer rejsu, którym polecę do Londynu. Chyba trudno o bardziej uczciwą ofertę, prawda?

- Rzeczywiście trudno, ale nie jest to zupełnie niemożliwe, *monsieur* Simon - odparł Santos, podnosząc się z fotela i zmierzając dostojnym krokiem w kierunku małego stolika do kart, stojącego przy ścianie z lakierowanej cegły. - Może będzie pan uprzejmy tu podejść?

Jason uczynił to.

- Jest pan bardzo dokładny... - powiedział, nie starając się ukryć zaskoczenia.

- Staram się. Proszę nie mieć o to pretensji do recepcjonistów, nie zdradzili pana. Ja nie sięgam aż tak wysoko. Najlepiej współpracuje mi się ze sprzątaczkami i ludźmi z obsługi. Nie są rozkapryszeni i prawie nikt nie zwraca uwagi, jeśli któregoś dnia znikają bez śladu.

Na stoliku leżały trzy paszporty Bourne'a autorstwa Kaktusa, a także pistolet i nóż, te same, które odebrano mu poprzedniej nocy.

- Działa pan bardzo precyzyjnie, ale to chyba niczego nie wyjaśnia, prawda?

- Zobaczymy - odparł Santos. - Przyjmę teraz od pana pieniądze – jako dowód dobrych intencji - ale zamiast lecieć do Londynu, każe pan przylecieć temu człowiekowi tutaj, do Paryża. Jutro rano. Kiedy zjawi się w Pont Royal, zadzwoni pan do mnie i wtedy zabawimy się w tę samą grę co z Sowietami: wymiana więźniów na moście, w świetle reflektorów i pod lufami pistoletów.

- Oszalałeś, Santos! Moi klienci nigdy nie zgodzą się ujawnić. Właśnie straciłeś swoje trzy miliony.

- Dlaczego nie chcesz ich wypróbować? Przecież zawsze mogą kogoś podstawić, czyż nie tak? Na przykład jakiegoś niewinnego turystę nie mającego zielonego pojęcia o tym, że w jego walizce jest podwójne dno. Ponieważ będą tam tylko banknoty, przejdzie bez problemu przez kontrolę na lotnisku. Spróbuj! Tylko w ten sposób możesz osiągnąć to, na czym ci tak bardzo zależy.

- Zrobię, co będę mógł - odparł Bourne.

- Proszę, oto mój prywatny numer telefonu. - Santos podał mu przygotowaną zawczasu kartkę. - Zadzwoni, kiedy przyjedzie człowiek z Londynu. Możesz być pewien, że do tego czasu nie spuszczę cię z oka.

- Świetny z ciebie facet.

- Odprowadzę cię do windy.

Marie siedziała w łóżku, popijając gorącą herbatę i wsłuchując się w dobiegające zza okna odgłosy paryskiej ulicy. Sen był nie tylko czymś niemożliwym do pomyślenia, ale wręcz stratą czasu w sytuacji, kiedy liczyła się każda godzina. Przyleciała z Marsylii pierwszym samolotem i udała się prosto do hotelu Meurice przy rue de Rivoli, tego samego, gdzie trzynaście lat temu czekała, aż jej mężczyzna odzyska zdolność normalnego, logicznego

myślenia albo straci życie, jednocześnie pozbawiając ją części jej własnego. Wtedy również zamówiła dzbanek gorącej herbaty i on do niej wrócił; teraz nieświadomie powtórzyła ten rytuał, jakby licząc na to, że znowu tak się stanie.

Boże, przecież go widziała! Na pewno się nie pomyliła, to był David! Wyszła z hotelu wczesnym przedpołudniem i rozpoczęła wędrowkę, odwiedzając miejsca, które spisała jeszcze w samolocie w takiej kolejności, w jakiej przychodziły jej na myśl, a więc chaotycznie i bez żadnego logicznego porządku. Nauczyła się tego trzynaście lat temu od Jasona Bourne'a: „Kiedy uciekasz lub polujesz, analizuj dokładnie wszystkie odczucia, ale przede wszystkim staraj się zapamiętać to, które było pierwsze. Prawie zawsze ono właśnie okazuje się najważniejsze”.

Tak więc wędrowała od jednego miejsca do drugiego, zaczynając od alei Jerzego V, kończąc na banku przy rue Madeleine... i Trocadero. Tam właśnie wędrowała jak w transie po tarasach, szukając posągu, którego nie mogła sobie przypomnieć, potrącana przez grupy turystów podążające za krzykliwymi przewodnikami. Wszystkie wielkie posągi wyglądały tak samo w oślepiających promieniach sierpniowego słońca. Właśnie usiadła na marmurowej ławce, pamiętając jeszcze jedną prawdę objawioną jej przez Jasona Bourne'a: „Odpoczynek również jest rodzajem broni”, kiedy nagle, daleko przed sobą, ujrzała mężczyznę w czapce i czarnym, wyciętym w szpic swetrze; w chwili, kiedy go zobaczyła, odwrócił się i zbiegł po szerokich schodach prowadzących na aleję Gustawa V. Znała ten krok, znała go lepiej niż ktokolwiek! Jakże często przyglądała mu się, jak usiłując się pozbyć dręczących go koszmarów, biega po uniwersyteckim stadionie. To był David! Zerwała się z ławki i popędziła za nim.

- David! David, to ja...! Jason!

Zderzyła się z przewodnikiem oprowadzającym grupę Japończyków; próbował odepchnąć ją z wściekłością, ale jej wściekłość była znacznie większa, przedarła się więc przez tłumek zdumionych skośnookich mężczyzn i kobiet, lecz nic jej to nie dało. Jej mąż zniknął. Dokąd poszedł? Do ogrodów? A może na ulicę, wypełnioną tłumem ludzi i samochodów nadciągających od Pont d'Iena? Na litość boską, dokąd?

- Jason! - krzyknęła ze wszystkich sił. - Jason, wróć!

Zaczęła ściągać na siebie uwagę ludzi. Część spoglądała na nią ze współczuciem, jakim zwykle obdarza się zawiedzionych kochanków, większość po prostu z niechęcią. Zbiegła po przeraźliwie długich schodach na ulicę i zaczęła go rozpaczliwie szukać; nie miała najmniejszego pojęcia, jak długo to trwało. Wreszcie, kompletnie wyczerpana, wróciła taksówką do hotelu, poruszając się jak we mgle, dotarła do swego pokoju i padła na łóżko, nie pozwalając jednak, żeby po jej policzkach spłynęła choćby jedna łza. Nie miała czasu na płacz, tylko na krótki odpoczynek i posiłek. Koniecznie musiała podreperować nadwątlone siły - jeszcze jedna lekcja otrzymana od Jasona Bourne'a. A zaraz potem z powrotem na ulicę kontynuować poszukiwania. Kiedy tak leżała, wpatrując się w ścianę i czując bolesny ucisk w piersi, doznała czegoś w rodzaju łagodnego uniesienia. Nie tylko ona szukała Davida; on także szukał jej. David Webb nie uciekł od niej, nawet Jason Bourne z pewnością tego nie zrobił. Po prostu nie zauważył jej, a przyczyną, dla której opuścił tak nagle Trocadero, musiało być coś zupełnie innego. Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości: znalazł się tam dlatego, że jej szukał. On także szedł tropem wspomnień sprzed trzynastu lat, wiedząc, że być może gdzieś w ich gąszczu uda mu się odnaleźć żonę.

Nabrała sił, zamówiła do pokoju wczesny lunch i w dwie godziny później znowu wyszła z hotelu.

A teraz siedziała w łóżku i piła gorącą herbatę, nie mogąc się doczekać wschodu słońca. Ten dzień miał być w całości przeznaczony na poszukiwania.

Bernardine!

- *Mon Dieu*, jest czwarta rano, więc przypuszczam, że masz coś na prawdę ważnego do powiedzenia siedemdziesięcioletniemu starcowi...

- Mam problem.

- Wydaje mi się, że masz wiele problemów, ale to chyba mało istotna różnica. O co chodzi?

- Jestem już bardzo blisko, ale potrzeba mi podstawionego faceta.

- Byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś zechciał się wyrazić nieco jaśniej. To chyba jakiś amerykański termin, ten „podstawiony facet”. Założę się, że macie w Langley człowieka, który nie robi nic innego, tylko siedzi i wymyśla takie określenia.

- Daj spokój, nie mam czasu na twoje *bon mots*.

- To ty daj spokój, przyjacielu. Wcale nie staram się błysnąć dowcipem, tylko usiłuję się obudzić... Dobrze, udało mi się usiąść i wsadzić do ust papierosa. O co ci właściwie chodzi?

- Człowiek, który ma mnie zaprowadzić do Szakala, spodziewa się, że dziś rano przyleci do mnie z Londynu pewien Anglik, przywożąc ze sobą dwa miliony osiemset tysięcy franków...

- Wydaje mi się, że dysponujesz znacznie większą sumą - przerwał mu Bernardine. - Chyba nie miałaś żadnych kłopotów w Banque Normandie?

- Żadnych. Pieniądze są na miejscu, a ten twój Tabouri to prawdziwe cudo. Usiłował sprzedać mi jakieś nieruchomości w Bejrucie.

- Tabouri to złodziej, ale Bejrut brzmi całkiem interesująco.

- Nie wygłupiaj się.

- Przepraszam. Mów, słucham.

- Jestem cały czas śledzony, więc nie mogę pójść do banku ani nie mam Anglika, który zjawiłby się z forszą w hotelu.

- Więc na tym polega twój problem?

- Tak.

- Czy miałbyś coś przeciwko rozstaniu się z, powiedzmy, pięćdziesięcioma tysiącami franków?

- Po co?

- Żeby dać je Tabouriemu.

- Raczej nie.

- Rozumiem, że podpisałeś tam jakieś dokumenty?

- Oczywiście.

- Więc podpisz jeszcze jeden, który najpierw własnoręcznie sporządzisz. Polecenie wypłacenia określonej sumy pieniędzy... Zaczekaj chwilę, muszę podejść do biurka. - W słuchawce zapadła cisza. - *Allo?* - przerwał ją po kilkudziesięciu sekundach głos Bernardine'a.

- Jestem, jestem.

- To cudownie - odparł uprzejmie były specjalista Deuxieme. - Posłałem go na dno wraz z jego jachtem w pobliżu Costa Brava. Był taki tłusty i apetyczny, że rekiny chyba oszalały z radości. Nazywał się Antonio Scarzi, mieszkał na Sardynii i wymieniał narkotyki na różne ważne informacje, ale ty o niczym nie wiesz, ma się rozumieć.

- Oczywiście - potwierdził Bourne i dla pewności przeliterował nazwisko.

- Zgadza się. Zaklej kopertę, zrób pieczęć z wosku, odcisnij na niej palec, po czym zostaw ją u recepcjonisty dla niejakiego pana Scarzi.

- Rozumiem. A co z Anglikiem? Do rana zostało tylko kilka godzin.

- Z Anglikiem nie będzie najmniejszych kłopotów, natomiast gorzej z tą wczesną porą... To rzeczywiście zaledwie kilka godzin. Przekazanie pieniędzy z banku do banku to teraz fraszka: wystarczy nacisnąć kilka guzików, a resztą zajmują się komputery. Zupełnie

inaczej wygląda sprawa z trzema milionami franków w gotówce, bo twój znajomy na pewno nie zgodzi się na inną walutę, żeby nie wpaść przy wymianie. W dodatku potrzebne będą bank

noty o dużych nominałach, żeby nie zajęły pięciu walizek... Ten osobnik z pewnością zdaje sobie sprawę z tych wszystkich problemów.

Jason wpatrywał się intensywnie w ścianę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od Bernardine'a.

- Myślisz, że mnie sprawdza?

- Jestem tego pewien.

- Pieniądze mogły zostać podjęte nie w jednym, ale kilku bankach, a potem wsadzone razem z posłańcem w mały, prywatny samolot i przerzucone na drugą stronę Kanału, gdzie na jakiejś łące czekał samochód, żeby zawieźć je do Paryża.

- *Bien*. Oczywiście. Tyle tylko, że przygotowanie takiej operacji musi trochę potrwać, nawet jeśli zajmują się tym najbardziej wpływowi ludzie. Staraj się, żeby to nie wyglądało na zbyt proste, bo możesz wzbudzić podejrzenia. Informuj swojego łącznika o postępach i wyjaśnij powód opóźnienia, podkreślając przede wszystkim konieczność zachowania ścisłej tajemnicy. Gdyby wszystko szło jak po maśle, mógłby pomyśleć, że to pułapka.

- Rozumiem. Nic, co łatwe, nie jest wiarygodne.

- Chodzi o coś więcej, *mon ami*. Kameleon może wcielać się w dzień w wiele różnych postaci, ale zawsze najbezpieczniej czuje się w ciemności.

- Zapomniałeś o czymś. Co z Anglikiem?

- Spokojna głowa, kolego - odparł Bernardine i odłożył słuchawkę.

Operacja przebiegła tak gładko, jak chyba żadna z tych, jakie Bourne do tej pory przygotowywał lub których był świadkiem. Bez wątplenia przyczynił się do tego spryt zawziętego, utalentowanego człowieka, urażonego tym, że zbyt wcześnie odstawiono go na boczny tor. Podczas gdy Jason co kilka godzin dzwonił do Santosa, informując go o „rozwoju wydarzeń”, Bernardine wysłał człowieka do hotelu po zabezpieczoną kopertę, a otrzymawszy ją spotkał się z *monsieur* Tabourim. Kilka minut po wpół do piątej po południu weteran *Deuxieme* wkroczył do hotelu Pont Royal ubrany w ciemny prążkowany garnitur, tak angielski, jak tylko można było sobie wyobrazić. Skierował się od razu do windy, a dotarwszy na odpowiednie piętro, zdołał po krótkich poszukiwaniach znaleźć pokój Bourne'a.

- Oto pieniądze - powiedział, stawiając na podłodze teczkę, i podszedł do baru, skąd wyjął dwie miniaturowe buteleczki dzinu, otworzył je i przelał zawartość do niezbyt czystej szklanki. - *A votre sante* - dodał, po czym wypił połowę drinka, odetchnął kilka razy głęboko i wychylił resztę. - Nie robiłem czegoś takiego od wielu lat.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Zawsze starałem się wysłać kogoś innego. To zbyt niebezpieczne... Tak czy inaczej, Tabouri jest po wsze czasy twoim dłużnikiem, a przy okazji udało mu się mnie przekonać, żebym zainteresował się nieruchomościami w Bejrucie.

- Co takiego?

- Ma się rozumieć, nie dysponuję takimi środkami jak ty, ale przez czterdzieści lat pracy w tym zawodzie zdążyłem się dowiedzieć, jak się zakłada konto w Genewie. Nie mogę powiedzieć, żebym był ubogim człowiekiem.

- Możesz być martwym człowiekiem, jeśli zgarną cię, jak będziesz stąd wychodził.

- Nie mam najmniejszego zamiaru na to pozwolić - oświadczył Bernardine, buszując we wnętrzu małej lodówki. - Zostanę tutaj, dopóki ty wszystkiego nie załatwisz. - Otworzył dwie kolejne buteleczki i wlał ich zawartość do szklanki. -No, może teraz moje stare serce wreszcie trochę zwolni - mruknął, podchodząc do biurka. Postawił na nim szklankę, wyjął z kieszeni garnituru dwa pistolety i trzy granaty i ułożył je rzędem na blacie. - Tak, teraz już chyba mogę się odprężyć.

- Co to jest, do diabła? - wykrzyknął ze zdumieniem Jason.
- Wydaje mi się, że wy, Amerykanie, nazywacie to środkiem odstraszającym. Choć jeśli mam być zupełnie szczerzy, to mam wrażenie, że i wy, i Rosjanie wyłącznie dla zabawy ładujecie masę forszy w broń, która nie działa. Ja pochodzę z innej epoki. Kiedy pójdiesz zająć się swoimi sprawami, zostawisz drzwi otwarte. Pierwszy człowiek, który wejdzie w ten wąski korytarzyk, zobaczy w mojej ręce granat. To nie jest nuklearna abstrakcja, tylko prawdziwy środek odstraszający.

- Kupuję ten pomysł - oznajmił Jason, ruszając do drzwi. - Chcę z tym jak najprędzej skończyć.

Znalazłszy się na ulicy, skręcił za najbliższy róg i, jak to uczynił niedawno przy bramie starej fabryki w Argenteuil, oparł się o mur i zapalił papierosa. Czekał, pozornie odprężony, choć jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

Z rue du Bac wyszedł jakiś mężczyzna i podszedł do niego. Okazało się, że to rozmowny posłaniec, którego poznał minionej nocy. Prawą rękę trzymał w kieszeni marynarki.

- Gdzie pieniądze? - zapytał po francusku.
- Gdzie informacja? - odpowiedział pytaniem Bourne.
- Najpierw pieniądze.
- Nie tak się umawialiśmy. - Jason błyskawicznie złapał mężczyznę za kłapy, przyduślił do ściany i zacisnął na gardle żelazny uchwyt dłoni. - Wracaj i powiedz Santosowi, że kupił sobie bilet w jedną stronę do piekła! Ja nie dam się nabrać.

- Dosyć! - rozległ się przyciszony głos i nagle zza rogu wyłoniła się potężna postać Santosa. - Puść go, Simon. On nic nie znaczy. To sprawa tylko między tobą i mną.

- Myślałem, że nigdy nie opuszczasz Le Coeur du Soldat.
- Uczyniłem wyjątek specjalnie dla ciebie.
- Na to wygląda.

Bourne uwolnił posłańca, który spojrzał na swego chlebobawcę i odszedł szybko, dostrzegłszy ruch jego głowy.

- W hotelu był Anglik - stwierdził Santos, kiedy już zostali sami. - Niósł teczkę. Widziałem na własne oczy.

- Rzeczywiście, był i niósł teczkę - zgodził się Jason.
- A więc jednak Londyn skapitulował? Wygląda na to, że bardzo im zależy.
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że stawka jest bardzo wysoka. Czekam na informację.
- Może najpierw ustalimy dalszy tryb postępowania?
- Już go ustaliliśmy. Przekazujesz mi informację, ja zawiadamiam mojego klienta i jeśli dojdzie do nawiązania zadowalającego kontaktu, wypłacam ci dwa miliony osiemset tysięcy franków.

- Co to znaczy zadowalający kontakt? Co was zadowoli? Skąd będziesz wiedzieć, że was nie oszukałem? Skąd ja mam mieć pewność, że nie będziesz chciał mnie oszukać, twierdząc, że coś poszło nie po myśli twojego klienta?

- Jesteś podejrzliwym człowiekiem, prawda?
- Bardzo podejrzliwym. W świecie, w którym żyjemy, nie ma zbyt wielu świętych, czyż nie tak?

- Chyba jednak więcej, niż przypuszczasz.
- Zdziwiłbym się, gdyby tak było. Nie odpowiedziałeś na moje pytania.
- Już to robię. Skąd będę wiedział, że mnie nie oszukałeś? To proste. Będę wiedział, bo od tego jestem. Za to mi płacą, a człowiek w mojej sytuacji nie może popełnić błędu, powiedzieć przepraszam i żyć dalej, jakby nigdy nic. Zbadałem teren, dowiedziałem się tego i owego i na samym początku zadam dwa lub trzy pytania. Zapewniam cię, że wtedy wszystko będę wiedział.

- To bardzo wymijająca odpowiedź.
- W świecie, w którym żyjemy, umiejętność udzielania wymijających odpowiedzi trudno zaliczyć do wad, czyż nie tak...? Co do twoich obaw, że oszukam cię i zabiorę twoje pieniądze, to zapewniam, że nie mam najmniejszej ochoty robić sobie wrogów wśród ludzi takich jak ty ani wśród takich jak moi klienci, bo to oznacza sporo niewygód i bardzo krótkie życie.
- Doceniam zarówno twoją mądrość, jak i ostrożność - odparł Santos.
- Książki nie kłamały. Jesteś wykształconym człowiekiem.
- Nie ma to wprawdzie nic do rzeczy, ale istotnie, wiem to i owo. Pozory mylą, choć czasem potrafią pomóc... O tym, co ci teraz powiem, wiedzą tylko czterej ludzie na Ziemi, wszyscy mówiący płynnie po francusku. Od ciebie zależy, jak wykorzystasz tę informację. Jeżeli jednak piśniesz choć słowo o Argenteuil, natychmiast się o tym dowiem, a zapewniam cię, że wtedy nie opuścisz żywy hotelu Pont Royal.
- Czyżby kontakt można było nawiązać aż tak szybko?
- Przez telefon, ale zadzwonisz pod ten numer najwcześniej w godzinę po tym, jak się rozstaniemy. Jeśli się nie zastosujesz do tego warunku, również się o tym dowiem i zginiesz.
- Godzina? W porządku... Oprócz mnie numer znają tylko trzy osoby? Może ujawnisz tę z nich, którą najmniej lubisz, żebym mógł mimochodem rzucić jej nazwisko... ?
- Przez twarz Santosa przemknął lekki uśmiech.
- Moskwa - powiedział cicho. - Plac Dzierżyńskiego. Bardzo wysoko.
- KGB?
- Kos ma obsesję na punkcie Moskwy. Ciągle stara się tam rozbudować swoją siatkę. Iljicz Ramirez Sanchez, pomyślał Bourne. Wyszkolony w Nowogrodzie, uznany przez Komitet za niebezpiecznego szaleńca. Szakał.
- Będę o tym pamiętał... Oczywiście, jeśli ktoś mnie zapyta. Jaki to numer?
- Santos powtórzył go dwukrotnie wraz ze słowami, jakie powinien wypowiedzieć Bourne. Nie starał się ukryć zabarwionego podziwem zaskoczenia, kiedy przekonał się, że Jason niczego nie zapisuje.
- Czy wszystko jasne?
- Całkowicie. Jak mam ci dostarczyć pieniądze, jeśli wszystko potoczy się po mojej myśli?
- Zadzwon do mnie, masz mój numer. Przyjadę do ciebie i już nigdy nie wrócę do Argenteuil.
- Życzę ci szczęścia, Santos. Coś mi podpowiada, że zasługujesz na nie.
- Jestem tego pewien. Zbyt często musiałem wychylać czarę cykuty.
- Sokrates - powiedział Jason.
- Niezupełnie. Dialogi Platona. *Au revoir*.
- Santos odwrócił się i odszedł, a Jason ruszył w kierunku hotelu, powstrzymując się z trudem, żeby nie popędzić co sił w nogach. Biegnący człowiek ściąga na siebie uwagę, a tym samym staje się dogodnym celem -jedna z nauk katechizmu Jasona Bourne'a.
- Bernardine! - krzyknął, wpadając w wąski, kręty korytarz prowadzący do pokoju, w którym siedział weteran Deuxieme z pistoletem w jednej, a granatem w drugiej ręce. - Trafiliśmy w dziesiątkę!
- Kto wypłaca nagrodę? - zapytał Francuz, kiedy Jason zamknął za sobą drzwi.
- Ja - odparł Bourne. - Jeżeli wszystko potoczy się tak, jak powinno, będziesz mógł sporo dopisać do swojego konta w Genewie.
- Wcale na to nie liczyłem, przyjacielu. Szczerze mówiąc, nawet nie przeszło mi to przez myśl.
- Wiem, ale skoro rozdajemy pieniądze tak, jakbyśmy sami je drukowali, dlaczego masz na tym nie skorzystać?

- Istotnie, to dobry argument.
- Już za godzinę - oznajmił Jason. - A właściwie za czterdzieści trzy minuty.
- Co za czterdzieści trzy minuty?
- Przekonamy się, czy to prawda. - Bourne położył się na łóżku, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. - Zapisz to, Francois. - Podyktował mu numer podany przez Santosa. - Przekup albo zaszantażuj kogo tylko chcesz, ale ustal, gdzie to jest!
- Nie wydaje mi się, żeby było w tym coś trudnego...
- Mylisz się - przerwał mu Bourne. - To tajny, zastrzeżony numer. Zna go tylko czterech ludzi z jego armii.
- W takim razie zamiast gdzieś wysoko poszukamy pomocy nisko, a dokładniej rzecz biorąc, pod ziemią, w kanałach i studzienkach telefonicznych.
- Jason odwrócił raptownie głowę i spojrzał na starego człowieka.
- Nie pomyślałem o tym - przyznał.
- Nic dziwnego, w końcu nie jesteś z Deuxieme'em. Najlepszym źródłem informacji są nie biurokraci przykuci do biurka, lecz technicy i monterzy.. . Znam kilku. Zadzwoń wieczorem do któregoś...
- Wieczorem? - zapytał Bourne, siadając na łóżku.
- Będzie cię to kosztowało jakieś tysiąc franków, ale dostaniesz, czego chcesz.
- Nic mogę czekać aż do wieczora!
- A czy możesz podjąć dodatkowe ryzyko, kontaktując się z nim w pracy? W firmach telefonicznych nikt nikomu nie ufa i pracownicy są pod stałą obserwacją. To taki socjalistyczny paradoks: robotnik odpowiada za to, co robi, ale najczęściej nie wie, przed kim.
- Zaczekaj! - wykrzyknął Jason. - Masz ich domowe numery?
- Są w książce telefonicznej.
- Więc zawiadom którąś żonę, żeby ściągnęła męża do domu. Wiesz, coś niespodziewanego, ale niegroźnego.
- Bernardine skinął głową.
- Nieźle, przyjacielu. Całkiem nieźle.
- Minuty łączyły się w kolejne kwadransy, podczas których emerytowany oficer Deuxieme rozmawiał po kolei z żonami znajomych pracowników firm telefonicznych, obiecując sowitą nagrodę, jeśli zrobią to, o co je prosi. Dwie odłożyły natychmiast słuchawkę, trzy odmówiły, obrzucając go uprzednio raczej mało wybrednymi epitetami, ale szósta, po zaprezentowaniu szerokiego wachlarza rynsztokowych przekleństw, zgodziła się. Żeby tylko ten szczer ściekowy, za którego wyszła za mąż, wiedział, że pieniądze będą jej, nie jego.
- Minęła godzina; Jason wyszedł z hotelu i niespiesznie ruszył przed siebie ulicą. Minąwszy cztery przecznice, zobaczył budkę po drugiej stronie Quai Voltaire, nad samą Sekwaną. Na Paryż stopniowo opadała zasłona ciemności, a na brzegach rzeki i mostach zapłonęły liczne światła. Wszedłszy do pomarańczowej budki, odetchnął kilka razy głęboko, narzucając sobie spokój, jaki jeszcze niedawno wydawał mu się niemożliwy do osiągnięcia. Rozmowa, którą miał za chwilę przeprowadzić, była najważniejszą w jego życiu, ale nie mógł dać tego po sobie poznać. Wsunął monetę, podniósł słuchawkę i wykręcił zapamiętany numer.
- *Oui?* - odezwał się kobiecy głos. *Oui* było ostre i chrapliwe, typowo paryskie.
- Kosy krążą wysoko po niebie - powiedział Bourne, powtarzając słowa usłyszane od Santosa. - Robią wiele hałasu, z wyjątkiem jednego, który milczy.
- Skąd dzwonicz?
- Z Paryża, ale nie jestem stąd.
- Więc skąd?
- Przybyłem z miejsca, gdzie zimy są znacznie bardziej ostre niż tutaj - odparł Bourne, czując, jak jego czoło pokrywa się kropelkami potu. *Spokój. Spokój!* - Muszę skontaktować

się z Kosem. To bardzo ważne.

W słuchawce zapadła cisza; Bourne wstrzymał oddech. A potem rozległ się inny głos - cichy i niemal równie głuchy jak to milczenie.

- Przybywasz z Moskwy?

Szakał! To był Szakał! Przez płynną, gładką francuszczyznę przebijał wyraźnie latynoski akcent.

- Tego nie powiedziałem. - Bourne starał się mówić jak Gaskończyk. - Powiedziałem tylko, że zimy są tam bardziej ostre niż w Paryżu.

- Kim jesteś?

- Kimś, komu podał ten numer i hasło ktoś, kogo bardzo poważasz. Mogę ci zaproponować największy kontrakt w twoim życiu. Zapłata nie ma znaczenia - możesz sam ją ustalić - ale wiedz, że ci, którzy są gotowi ją uiścić, należą do grona najpotężniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Kontrolują znaczną część przemysłu i instytucji finansowych, mają także dostęp do kluczowych ośrodków władzy.

- Bardzo dziwnie mówisz. Bardzo niezwykle.

- Jeżeli nie jesteś zainteresowany, mogę natychmiast zapomnieć ten numer i pójść gdzie indziej. Jestem tylko pośrednikiem. Wystarczy zwykłe „tak” lub „nie”.

- Nie podejmuję zobowiązań, o których nic nie wiem, ani nie pracuję dla ludzi, których nie znam.

- Z pewnością okazałoby się, że ich znasz, gdybym mógł ci ujawnić ich nazwiska. Jednak na razie nie chodzi mi o żadne zobowiązania, tylko o twoje zainteresowanie. Jeśli odpowiedź będzie brzmiała „tak”, zdradzę więcej szczegółów, jeśli „nie”, po prostu zwrócę się do kogoś innego. W gazetach pisali, że jeszcze wczoraj był w Brukseli. Na pewno go znajdzie. - Jason usłyszał, jak Szakał na wzmiankę o Brukseli raptownie nabiera powietrza w płuca. - A więc tak czy nie, Kosie?

Cisza, a potem głos Carlosa:

- Zadzwoń za dwie godziny.

I stuknięcie odkładanej słuchawki.

Udało się! Jason wyskoczył z budki jak z gorącej kąpieli, czując, że jest cały zlany potem. Pont Royal. Musi jak najszybciej wrócić do Bernardine'a!

- To był Szakał! - oznajmił, zamknawszy za sobą drzwi i kierując się prosto do stojącego przy łóżku telefonu. Wyciągnął z kieszeni kartkę otrzymaną od Santosa, wykręcił numer, poczekał, aż barman podniesie słuchawkę, i powiedział:

- Potwierdzam Kosa. Teraz podaj mi jakieś nazwisko. - Umilkł na chwilę. - Zapamiętałem. Paczka będzie czekała w recepcji. Przelicz wszystko, odeślij mi paszporty i odwołaj swoje psy. Mogłyby skierować Kosa na twój trop. - Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę.

- Numer, który mi podałeś, jest z XV dzielnicy - poinformował go weteran Deuxieme. - Wystarczyło, żeby nasz specjalista rzucił na niego okiem.

- Co teraz zrobi?

- Wróci do kanałów i poszpera dokładniej.

- Zadzwoń do nas?

- Na szczęście ma motorynkę. Powiedział, że będzie z powrotem w pracy za dziesięć minut i skontaktuje się z nami najdalej za godzinę.

- Doskonale!

- Niezupełnie. Zażyczył sobie pięć tysięcy franków.

- Dostałby i pięćdziesiąt, gdyby chciał... Co to znaczy „najdalej za godzinę”?

- Nie było cię jakieś trzydzieści pięć minut, a on zjawił się tutaj tuż po twoim wyjściu.

Wynika z tego, że powinien zadzwonić w ciągu pół godziny.

Telefon zadzwonił natychmiast. W dwadzieścia sekund później mieli już numer domu

przy bulwarze Lefebvre.

- Wychodzę - oświadczył Jason Bourne, chowając do kieszeni przyniesione przez Bernardine'a granaty i pistolet. - Pozwolisz, że to sobie pożyczę?

- Bardzo proszę - odparł Francuz, wyciągając zza paska jeszcze jeden pistolet. - Ostatnio po Paryżu grasuje tylu kieszonkowców, że zawsze trzeba mieć coś w zapasie... Po co ci to?

- Mam co najmniej dwie godziny, więc trochę się rozejrzę.

- Sam?

- A jak inaczej? Gdybym poprosił o pomoc, groziłoby mi, że natychmiast mnie zastrzelą albo wsadzą na resztę życia do więzienia za zamach w Brukseli, z którym nie miałem nic wspólnego.

Były sędzia Sądu Okręgowego w Bostonie Brendan Patrick Prefontaine przyglądał się szlochającemu, roztrzęsionemu Gatesowi, siedzącemu z twarzą ukrytą w dłoniach na kanapie w apartamencie hotelu Ritz-Carlton.

- Mój Boże, z jak ogromnym hukiem padają niedawne wielkości! - zauważył Brendan, nalewając sobie whisky do szklanki z kostkami lodu. - A więc załatwili cię, Randy, załatwili cię na perłowo ze szlaczkiem. Nic ci nie pomógł ani twój dostojny wygląd, ani wybitna inteligencja. Trzeba było trzymać się bliżej ziemi, żołnierzyku.

- Jezu, Prefontaine, przecież ty nie masz pojęcia, jak to było! Budowałem ogromny kartel - Paryż, Bonn, Londyn, Nowy Jork, siła robocza z Dalekiego Wschodu - wart miliardy dolarów, kiedy porwali mnie z Plaža-Athenee, wsadzili do samochodu, zawiązali oczy i zawieźli na lotnisko, a stamtąd samolotem do Marsylii. Robili mi okropne rzeczy! Trzymali mnie przez sześć tygodni w zamkniętym pokoju, podawali narkotyki, a potem sprowadzali kobiety i wszystko filmowali... Ale to nie byłem ja!

- Może to jednak byłeś ty, ale po prostu się nie poznałeś. Albo nie tyle ty, co część twojej osobowości przyzwyczajona osiągać natychmiast wszystko, czego tylko zapragnęła. Po to, żeby ją zadowolić, przedstawiałeś swoim klientom na papierze olbrzymie zyski, gdy tymczasem w rzeczywistości tysiące ludzi traciło pracę. Tak, mój drogi, właśnie o to chodziło...

- Mylisz się, sędzio...

- Jak miło znowu słyszeć ten tytuł! Bardzo ci dziękuję, Randy.

- Związki stawały się zbyt silne, przemysł kulał. Mnóstwo firm musiało otwierać filie za oceanem, żeby przetrwać.

- Po kryjomu? Zresztą, nieważne. Odbiegamy od tematu... Po pobycie w Marsylii uzależniłeś się od narkotyków, a w dodatku twoi dręczyciele dysponowali filmami przedstawiającymi szacownego pana adwokata w bardzo kompromitujących sytuacjach.

- Co mogłem zrobić? - wykrzyknął Gates. - Byłem zrujnowany!

- Obaj wiemy, co zrobiłeś. Stałeś się zaufanym człowiekiem Szakala w świecie wielkiej finansjery, gdzie konkurencja jest uważana za niezdrowy wymysł.

- Właśnie dlatego mnie dopadł... Kartel, który tworzyliśmy, działałby na szkodę Japończyków i Chińczyków z Tajwanu. Oni go wynajęli... Boże, przecież on mnie teraz zabije!

- Znowu? - zapytał były sędzia.

- Jak to?

- Zapomniałeś, iż dzięki mnie myślisz, że jesteś już martwy.

- Mam w najbliższym czasie kilka spraw, a w przyszłym tygodniu prze słuchanie przed podkomisją Kongresu. Dowie się, że żyję!

- Na pewno nie, jeśli się tam nie pojawisz.

- Muszę! Moi klienci...
- Skoro tak, to masz rację - przerwał mu Prefontaine. - Zabije cię. Bardzo mi przykro, Randy.
- Co mam robić?
- Istnieje pewien sposób, chłoptasiu, który nie tylko pozwoli ci wygrzebać się z obecnej nieprzyjemnej sytuacji, ale zapewni co najmniej kilka spokojnych lat. Rzecz jasna, będzie wymagał z twojej strony pewnych poświęceń. Zaczniemy od długiej rekonwalescencji w prywatnej klinice, ale warunkiem jest pełna współpraca. Jeżeli pomożesz nam schwycić i wyeliminować Szakala, będziesz wolny.
- Zgadzam się na wszystko!
- Jak się z nim kontaktujesz?
- Mam numer telefonu. - Gates wydobyl z kieszeni marynarki portfel, otworzył go drżącymi palcami i sięgnął do tylnej przegródki. - Oprócz mnie zna go tylko trzech ludzi!

Prefontaine przyjął honorarium w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów za godzinę i polecił Randy'emu, żeby poszedł do domu, rzucił się do stóp Edith, błagając o przebaczenie, i przygotował się do opuszczenia Bostonu nazajutrz rano. Brendan słyszał kiedyś o jakiejś prywatnej klinice w Minneapolis, gdzie wielu zamożnych ludzi uzyskiwało pomoc bez potrzeby ujawniania swojej tożsamości. Rano ustali wszystkie szczegóły i zadzwonił do niego, co oczywiście będzie kosztować kolejne dwadzieścia tysięcy. Kiedy tylko roztrzęsiony Gates wyszedł z pokoju, Prefontaine złapał za telefon i zadzwonił do Pensjonatu Spokoju.

- John? Tu sędzia. Nie pytaj jak, ale udało mi się zdobyć informację, która może się okazać bardzo ważna dla męża twojej siostry. Wiem, że nie uda mi się go złapać, ale on chyba kontaktuje się z jakimś facetem z Waszyngtonu...

- Aleksander Conklin - przerwał mu St. Jacques. - Niech pan chwilę zaczeka, Marie zapisała gdzieś jego numer... - Rozległo się stuknięcie odkładanej słuchawki, a w chwilę potem następne, cichsze, kiedy John podniósł drugą w innym aparacie. - Mam go. - Podyktował szereg cyfr.

- Dziękuję. Później wszystko wytłumaczę.
- Ostatnio wszyscy mi to mówią, do cholery! - warknął wściekle St. Jacques. Prefontaine wykręcił numer zaczynający się od kierunkowego kodu Wirginii.
- Tak? - odezwał się niezbyt przyjaźnie męski głos.
- Panie Conklin, nazywam się Prefontaine i dostałem pański numer od Johna St. Jacques. Mam do pana bardzo pilną sprawę.
- To pan jest tym sędzią?
- Byłem, niestety. Bardzo dawno temu.
- O co chodzi?
- Wiem, jak można dotrzeć do człowieka, którego nazywacie Szakalem.
- Co takiego?
- Proszę mnie posłuchać...

Bernardine wpatrywał się przez chwilę w dzwoniący telefon, zastanawiając się, czy go odebrać, czy też nie. Wszystko wskazywało na to, że powinien to zrobić.

- Słucham?
- To ty, Jason? Cholera, może połączyli mnie nie z tym pokojem...
- Aleks?
- Francois? Co ty tam robisz? Gdzie jest Jason?
- Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Wiem, że próbował się z tobą skontaktować.

- Miałem ciężki dzień. Odzyskaliśmy Panova.
- To dobra nowina.
- Są jeszcze inne. Na przykład numer telefonu, pod którym można zastać Szakala.
- My też go mamy! Nie tylko numer, ale i adres.
- Dobry Boże, jak wam się udało?
- W bardzo skomplikowany sposób, który mógł wymyślić chyba jedynie nasz wspólny znajomy. Ma nieprawdopodobną wyobraźnię, to prawdziwy *cameleon*.
- Lepiej je porównajmy - zaproponował Conklin. - Jaki jest wasz? Bernardine przeczytał numer zapisany na polecenie Bourne'a. Milczenie, jakie zapadło w słuchawce, zabrzmiało niczym przeraźliwy krzyk.
- Ja mam inny! - wykrztusił wreszcie Aleks. - Zupełnie inny!
- To pułapka... - wyszeptał stary Francuz. - Dobry Boże, to pułapka!

Rozdział 26

Bourne dwa razy przeszedł wzdłuż szeregu ciemnych, starych, wzniesionych z kamienia budynków przy bulwarze Lefebvre w betonowym, pogrążonym w ciszy i spokoju zakątku XV dzielnicy, po czym zawrócił do rue d'Alesia, gdzie znalazł małą kawiarenkę. Przy ustawionych na chodniku stolikach, oświetlonych blaskiem skrytych za szklanymi kloszami świec, siedzieli głównie studenci z pobliskiej Sorbony i Montparnasse'u. Dochodziła już dziesiąta wieczorem i przepasani fartuchami kelnerzy stawali się coraz bardziej zirytowani, gdyż większość gości nie odznaczała się specjalną szczodrobliwością ani zasobnością kieszeni. Jason chciał tylko napić się mocnej kawy, ale wrogi grymas na twarzy zbliżającego się *garcon* upewnił go, że dostanie filiżankę błota, jeśli nie zamówi czegoś więcej, toteż poprosił dodatkowo o lampkę najdroższej brandy, jaka przyszła mu na myśl.

Kiedy kelner przyjął zamówienie i wrócił do baru, Jason wyciągnął z kieszeni notes i długopis, przymknął na chwilę oczy, a potem otworzył je i naszkicował szereg kamiennych budowli, koło których niedawno przechodził. Były to trzy pary stykających się ścianami budynków, oddzielone od siebie dwoma wąskimi zaułkami. Każdy z domów miał dwa piętra, do każdego wchodziło się po stromych schodach z cegły, a na obydwu końcach krótkiego szeregu znajdowały się puste placyki, zasypane gruzem i szczątkami okolicznych rozsypujących się budynków. Adres ustalony przez technika z firmy telefonicznej wskazywał na pierwszy dom z prawej; nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by domyślić się, że Szakał zajmuje także sąsiedni budynek, a być może cały szereg.

Carlos miał obsesję na punkcie własnego bezpieczeństwa, więc należało oczekiwać, że jego kwatera główna okaże się prawdziwą fortecą, wyposażoną we wszystkie najnowocześniejsze elektroniczne urządzenia alarmowe, jakie można zdobyć za pieniądze lub dzięki lojalności podwładnych. Opuszczona, niemal wyludniona część XV dzielnicy lepiej nadawała się na kryjówkę niż jakikolwiek ruchliwy rejon miasta. Właśnie dlatego Bourne najpierw zapłacił podpitemu włączędze, żeby ten zechciał przespacerować się z nim wzdłuż kamiennych fasad, drugą zaś przechadzkę odbył w towarzystwie nieco podstarzałej dziwki, w dalszym ciągu starając się nie wychodzić z cienia, ale zmieniawszy nieco sposób, w jaki się poruszał. Znał teraz teren, choć nie miał pewności, czy mu to się na cokolwiek przyda, i ostateczne rozwiązanie stawało się coraz bardziej realne. Przysiągł sobie, że tego dokona!

Kelner przyniósł kawę i koniak, ale jego wrogie nastawienie zmieniło się na neutralne dopiero wtedy, gdy Jason położył na stole stufrankowy banknot i dał mu znak ręką, żeby się zbliżył.

- *Merci* - wymamrotał *garcon*.

- Jest tu gdzieś telefon? - zapytał Bourne, wyjmując z kieszeni jeszcze jeden banknot, tym razem dziesięciofrankowy.

- Na ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów stąd - odparł kelner, nie spuszczać wzroku z pieniędzy.

- Nic bliżej? - Jason dołożył dwadzieścia franków. - To rozmowa miejscowa.

- Chodź pan ze mną. - Kelner zręcznym ruchem zgarnął pieniądze i zaprowadził Bourne'a w głąb, gdzie na wysokim krześle za ladą siedziała kasjerka. Kobieta obrzuciła ich nieprzychylnym spojrzeniem, przypuszczając zapewne, że będzie miała do czynienia z niezadowolonym klientem.

- Daj mu zadzwonić - powiedział kelner.

- Co takiego? - parsknęła wiedźma. - Może do Chin?

- Tu, na miejscu. Zapłaci.

Jason podał kobiecie dziesięciofrankowy banknot, wytrzymując bez drgnięcia powieki jej pełne podejrzliwości spojrzenie.

- Dobra, bierz pan - warknęła wreszcie kasjerka, wyjmując spod lady aparat i jednocześnie chowając pieniądze. - Ma długi kabel, więc może pan sobie iść pod ścianę, jak wszyscy. Ci mężczyźni! Tylko interesy i łóżko, o niczym innym nie potrafią myśleć!

Jason zadzwonił do hotelu Pont Royal i poprosił o połączenie ze swoim pokojem, spodziewając się, że Bernardine podniesie słuchawkę po pierwszym lub najwyżej drugim dzwonku. Po czwartym sygnale lekko się zaniepokoił, po ósmym niepokój zamienił się w strach. Bernardine wyszedł. Czyżby Santos...? Nie, przecież emerytowany oficer był uzbrojony i doskonale wiedział, jak w razie potrzeby zrobić użytek ze swoich „środków odstraszenia”. Skończyłoby się co najmniej na głośnej strzelaninie, a kto wie, czy nawet nie na wysadzeniu połowy hotelu w powietrze. Bernardine wyszedł z własnej woli, ale dlaczego?

Mogło być kilka powodów, pomyślał Bourne. Oddał aparat kasjerce i wrócił do swego stolika. Pierwszy i najbardziej pożądaną wiadomością o Marie; stary wyga nie chciał rozbudzać w nim nadziei, informując o zasięgu i szczegółach akcji poszukiwawczej, ale Jason był pewien, że Bernardine robił wszystko, co w jego mocy... Żaden inny powód nie przychodził mu do głowy, więc doszedł do wniosku, iż będzie najlepiej, jeśli przestanie o tym myśleć. Miał teraz na głowie inne sprawy, chyba najważniejsze spośród tych, z jakimi musiał się borykać w życiu. Skoncentrował się znowu na kawie i notesie; każdy szczegół musiał być dopracowany z maksymalną precyzją.

Godzinę później dokończył kawę, pociągnął mały łyk koniaku i wylał resztę na chodnik pod stolikiem. Wyszedłszy z kawiarni, skręcił w prawo i ruszył powolnym krokiem starego człowieka w kierunku bulwaru Lefebvre. W miarę jak zbliżał się do ostatniego rogu, do jego uszu zaczęło docierać coraz wyraźniej charakterystyczne zawodzenie policyjnych syren. Policja! Co się stało? Co się stało? Zrezygnował z zachowywania pozorów i puścił się biegiem w kierunku skrzyżowania ulicy z bulwarem; wypadłszy zza rogu, stanął jak wryty, sparaliżowany wściekłością i zdumieniem, do których po chwili dołączyła obezwładniająca panika. Co oni robią, do cholery?!

Przed szereg kamiennych domów zajechało z piskiem opon pięć radiowozów, a kilka sekund później przed pierwszym budynkiem z prawej strony zatrzymała się czarna furgonetka, oświetlając go blaskiem swoich reflektorów. Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i z samochodu wysypał się oddział ubranych w czarne stroje mężczyzn z pistoletami maszynowymi w dłoniach, zajmując błyskawicznie pozycje za stojącymi nieruchomo pojazdami.

Głupcy! Przekłęci głupcy! Ostrzec w ten sposób Carlosa oznaczało tyle samo, co go stracić! Jego zawodem było zabijanie, lecz obsesją było przygotowywanie sobie w każdej sytuacji drogi ucieczki. Trzydzieści lat temu Bourne dowiedział się, że w kryjówce Carlosa w Vitry-sur-Seine koło Paryża było więcej obrotowych ścian i tajnych przejść niż w jakiegokolwiek rezydencji budowanej za czasów Ludwika XIV. Fakt, że nikomu nie udało się odnaleźć tej kryjówki, wcale nie zmniejszał prawdopodobieństwa tych opowieści. Było bardziej niż pewne, że trzy podwójne budynki stojące przy bulwarze Lefebvre są połączone ze sobą wydrążonymi w ziemi tunelami.

Na litość boską, kto to zrobił? Czyżby on i Bernardine popełnili okropny błąd, nie biorąc pod uwagę możliwości założenia przez Deuxieme lub paryską placówkę CIA podsłuchu w zajmowanym przez Bourne'a pokoju? Jeśli tak było w istocie, to ten fakt graniczył z niemożliwością, gdyż dyskretne zainstalowanie niezbędnych urządzeń w tak krótkim czasie było po prostu nieprawdopodobne. Do pokoju musiałby się dostać obcy człowiek, ale jak? Przekupienie personelu nie wchodziło raczej w grę, bo ten już został przekupiony przez niejakiego *monsieur* Simona. Santos? Mikrofony umieszczone przez pokojówkę albo kelnera? Mało realne. Zaufany człowiek Szakala z pewnością nie usiłowałby

zdemaskować swego chlebodawcy, szczególnie wtedy, gdyby postanowił zerwać umowę z Bourne'em. W takim razie kto? Jak? Jasonowi obserwującemu z przerażeniem i grozą scenę na bulwarze Lefebvre pytania te przelatywały przez głowę z oszalamiającą szybkością.

- Z rozkazu policji wszyscy mieszkańcy mają natychmiast opuścić budynek! - Słowa wydobywające się z głośnika odbiły się od murów metalicznym echem. - Za minutą przystąpimy do działań ofensywnych!

Do jakich działań ofensywnych?! - ryknął Jason w ciszy swego umysłu. Straciłem go! Wszyscy oszaleli! Kto to zrobił? Dlaczego?

Jako pierwsze otworzyły się drzwi u szczytu ceglanych schodów po lewej stronie budynku. Niski, otyły mężczyzna, ubrany w brudny podkoszulek i spodnie na szelkach, wyszedł przed próg, osłaniając rękami twarz przed oślepiającym blaskiem reflektorów.

- O co chodzi, *messieurs*? - zawołał drżącym głosem. - Ja jestem tylko zwykłym piekarzem i nic nie wiem o tej ulicy oprócz tego, że nie każą płacić wysokich czynszów! Czy to teraz przestępstwo?

- Pan nas nie interesuje, *monsieur* - padła odpowiedź przez głośnik.

- Jak to, ja was nie interesuję? Wpadacie tu jak jakaś armia, straszycie mi żonę i dzieci, a potem mówicie, że ja was nie interesuję? Co to za gada nie? Jesteście jakimiś cholernymi faszystami czy co?

Pośpieszcie się, pomyślał rozpaczliwie Jason. Na litość boską, pośpieszcie się! Każda sekunda zwłoki to dla Szakala minuta albo nawet godzina!

W chwilę potem otworzyły się drzwi po prawej stronie i na wysokim podeście pojawiła się zakonnica w czarnym habicie. W jej zachowaniu nie było ani śladu strachu lub niepokoju.

- Jak śmiecie?! - ryknęła niespodziewanie donośnym głosem. - Zakłóćcie nam czas modlitewnego skupienia! Powinniście raczej błagać Pana, by zechciał darować wam wasze grzechy, niż przeszkadzać tym, którzy robią to za was!

- Ładnie powiedziane, siostró - odparł spokojnie oficer przez głośnik - ale otrzymaliśmy pewne informacje i mimo całego szacunku musimy prze szukać ten dom. Jeżeli będą siostry stawiały opór, zapomnimy o szacunku, ale i tak wykonamy rozkaz.

- Jesteśmy zakonem miłosierdzia świętej Magdaleny! -wykrzyknęła zakonnica. - W tym domu mieszkają świątobliwe kobiety, które całe swoje życie oddały Chrystusowi!

- Zdajemy sobie z tego sprawę, siostró, lecz mimo to musimy tam wejść. Jestem pewien, że władze dopilnują, żeby wynagrodzono wam wszelkie straty i niedogodności.

Traciecie czas, jęknął w duchu Bourne. On ucieka!

- Oby wasze dusze smażyły się po wsze czasy w piekle! Proszę, możecie zdeptać nasze święte progi.

- Nie wydaje mi się, żeby miała siostra prawo skazywać nas na wieczne potępienie za tak niewielką w gruncie rzeczy winę - odparł inny głos. - Proszę zaczynać, panie inspektorze. Przypuszczam, że pod tymi habitami znajdzie pan bieliznę, jaką nosi się raczej na placu Pigalle.

Bourne znał ten głos! To był Bernardine! Co się stało? Czyżby stary Francuz jednak nie był przyjacielem tylko zdrajcą, któremu udało się uśpić jego czujność gładkimi słówkami? Jeśli tak, to zginie jeszcze tej nocy!

Policjanci z brygady antyterrorystycznej z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału podbiegli do budynku i przywarli do kamiennych ścian po obu stronach schodów. Bulwar został zamknięty dla ruchu, a migające na dachach radiowozów jaskrawoniebieskie światła ostrzegały wszystkich przechodniów: trzymajcie się z daleka!

- Mogę już wejść? - zapytał żalonym tonem piekarz. Nie otrzymawszy odpowiedzi, odwrócił się na pięcie i umknął do domu, podtrzymując opadające spodnie.

Do oddziału w czarnych mundurach dołączył cywil, z pewnością jego dowódca. Na znak dany przez niego głową funkcjonariusze popędzili w górę po schodach i wpadli do

środką, minawszy stojącą w drzwiach oporną zakonnice.

Mokry od potu Jason przywarł plecami do muru, nie spuszczając wzroku z niepojętej sceny, rozgrywającej się zaledwie kilkanaście metrów od niego. Już wiedział kto, ale dlaczego? Czyżby człowiek, któremu ufał zarówno on, jak i Conklin, okazał się jeszcze jednym sługą Szakala? Boże, spraw, żeby to nie była prawda!

Kiedy po dwunastu minutach z wnętrza budynku zaczęli kolejno wychodzić uzbrojeni mężczyźni w czarnych mundurach, kłaniając się lub nawet całując dłoń triumfującej matki przełożonej, Bourne zrozumiał, że przeczucia nie omyliły ani jego, ani Aleksa.

- Bernardine! - ryknął wysoki funkcjonariusz policji z pierwszego radiowozu. - Jesteś skończony! Precz stąd! Zabraniam ci rozmawiać nawet z najniższym funkcjonariuszem Deuxieme, mało tego, nawet z facetem, który sprząta sracze! Skompromitowałeś się! Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym cię rozstrzelać...! Kryjówka największego terrorysty wszech czasów na bulwarze Lefebvre, dobre sobie! To zakon, ty cholerny idioto! Babski, pieprzony zakon...! Znikaj, cuchnąca świnió! Spieprzaj, zanim niechcący pociągnę za cyngiel i wywalę ci flaki na ulicę, gdzie ich miejsce!

Bernardine, zataczając się, wypadł z samochodu; dwa razy potknął się i przewrócił, zanim udało mu się dotrzeć do chodnika. Jason z trudem powstrzymał się, żeby nie wybiec z ukrycia i nie pośpieszyć z pomocą przyjacielowi; musiał czekać. Radiowozy i furgonetka odjechały z wyłączonymi syrenami, ale Bourne w dalszym ciągu musiał pozostać na miejscu, obserwując na zmianę to weterana Deuxieme, to dom Carlosa. O tym, że naprawdę była to jego kryjówka, świadczyła obecność zakonnicy; Szakal wciąż kurczowo trzymał się utraconej wiary, wykorzystując ją jako znakomity parawan, ale kryło się za tym jeszcze coś więcej... Znacznie więcej.

Idący chwiejnym krokiem Bernardine znalazł się w cieniu wejścia do od dawna opuszczonego sklepu po drugiej stronie bulwaru. Jason opuścił swoją kryjówkę, przemknął błyskawicznie przez jezdnię i dopadł starego mężczyzny, który tymczasem oparł się o jedno z wystawowych okien, łapiąc powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami.

- Na litość boską, co się stało? - wykrzyknął Bourne, chwytając go za ramiona.

- Spokojnie, *mon ami*... - wysapał Bernardine. - Ta świnią, z którą siedziałem w radiowozie... Jakiś polityk, który za wszelką cenę chciał się pokazać. .. Rąbnął mnie w pierś, a potem wyrzucił z samochodu. Już ci mówiłem, że nie znam wszystkich nowych ludzi, którzy ostatnio przyszli do Biura. Macie dokładnie te same problemy w Ameryce, więc proszę, oszczędź mi wykładu.

- Nawet przez myśl mi nie przeszło... To przecież ten dom, Bernardine! Ten, w którym byliście!

- To także pułapka.

- Co takiego?

- Skontaktował się ze mną Aleks. Też zdobył numer telefonu, ale zupełnie inny. Domyślałem się, że nie zadzwoniłeś do Carlosa, choć kazał ci to zrobić?

- Nie. Miałem adres, więc chciałem go od razu zgarnąć. Zresztą, co za różnica? Przecież to tutaj!

- Niezupełnie. To tylko miejsce, gdzie miał się zgłosić *monsieur* Simon i dopiero stąd zaprowadzono by go na spotkanie. Gdyby jednak okazało się, że nie jest tym, za kogo się podaje, zostałby natychmiast zlikwidowany. Jeszcze jeden z tych, którym nie udało się odszukać Szakala.

Jason potrząsnął głową.

- Mylisz się! - zaprzeczył gwałtownie. - Nawet jeśli to nie jest główna kwatera Carlosa, on na pewno by tu był. Nie pozwoli nikomu mnie tknąć, musi zabić mnie osobiście. To jego obsesja!

- Dokładnie taka sama jak twoja.

- Owszem. Ja mogę stracić rodzinę, a on swoją legendę. Tyle tylko, że moja rodzina jest dla mnie czymś rzeczywistym, on zaś stanął na krawędzi pustki. Jeżeli chce zrobić krok dalej, musi najpierw mnie wyeliminować, zabić Davida Webba.

- David Webb? A któż to taki, na miłość boską?

- To ja - odparł Bourne, opierając się o szybę obok Francuza. - Zwariowana historia, prawda?

- Zwariowana? - wykrzyknął były oficer Deuxieme. - Szalona! Niewiarygodna!

- Lepiej w nią uwierz.

- Masz żonę i dzieci i mimo to zajmujesz się taką robotą?

- Aleks o niczym ci nie mówił?

- Nawet jeśli coś wspomniał, uznałem to za zasłonę dymną. Nie takie rzeczy już się słyszało. - Bernardine potrząsnął głową i spojrzał z niedowierzaniem na młodszego mężczyznę. - Naprawdę masz rodzinę, od której nie chcesz uciec?

- Chciałbym do nich wrócić najszybciej, jak tylko będę mógł. Na nikim więcej mi nie zależy.

- Ale przecież ty jesteś Jasonem Bourne'em, kameleonem! Nawet największe sławy przestępczego świata drżą na dźwięk twojego nazwiska!

- No, chyba trochę przesadzasz...

- Ani odrobinę! Jason Bourne, ustępujący jedynie Szakalowi...

- Nie! - przerwał mu David Webb. - Jestem od niego lepszy! Zabiję go!

- Doskonale, *mon ami* - odparł uspokajającym tonem Bernardine, przyglądając się człowiekowi, którego nie był w stanie zrozumieć. - Co mam teraz zrobić?

Bourne odwrócił się od niego i oparł czoło o chłodną szybę; przez kilkanaście sekund oddychał ciężko, aż wreszcie ze spowijającej jego umysł mgły wyłoniły się zarysy nowej strategii. Spojrzał na szereg kamiennych budynków, a szczególnie na jeden z nich, pierwszy z prawej.

- Policja odjechała... - powiedział cicho.

- Zauważyłem to.

- A czy zauważyłeś również, że nikt nie wyszedł z żadnego z pozostałych domów, choć w oknach paliły się światła?

- Byłem zajęty czym innym... Nie, nie zauważyłem. - Nagle Bernardine uniósł brwi, jakby coś sobie przypomniał. - Ale widziałem twarze w oknach, wiele twarzy!

- A jednak nikt nie wyszedł.

- Nic dziwnego. Policja, zamieszanie, ludzie z bronią... Najlepiej zabarykadować się we własnym domu, nie uważasz?

- Nawet wtedy, kiedy zamieszanie się skończyło, a policja odjechała? Chcesz powiedzieć, że wszyscy usiedli znowu przed telewizorami, jakby nic się nie stało? Nikt nie wychylił nosa, żeby porozmawiać z sąsiadami? To nie jest normalne zachowanie, Francois. Wszystko zostało wyreżyserowane.

- Co przez to rozumiesz?

- Jeden człowiek pokazuje się policji i ściąga na siebie uwagę. Mija minuta lub dwie i o żadnym zaskoczeniu nie może już być mowy. Potem pojawia się zgorszona zakonnica - następne dwie minuty, a dla Carlosa całe godziny. Kiedy wreszcie chłopcy wpadają do środka, nic nie znajdują... A kilka chwil później wszystko jakby nigdy nic wraca do normy - nienormalnej normy. Wszystko odbyło się zgodnie z planem, więc nie ma tu miejsca na zwykłą ludzką ciekawość. Nikt nie wyszedł na ulice, nie widać nawet żadnego zamieszania, oburzenia, które mogłoby się wydawać jak najbardziej zrozumiałe. Ludzie siedzą w domach i chichoczą, zacierając triumfalnie ręce. Czy naprawdę z niczym to ci się nie kojarzy?

Bernardine skinął głową.

- Strategia przygotowana przez doświadczonych profesjonalistów - mruknął.

- Ja też tak przypuszczam.
- Ty nie przypuszczasz, tylko to zauważyłeś, w przeciwieństwie do mnie. Nie staraj się być uprzejmy, Jason. Zbyt długo stałem na bocznym torze. Jestem już za stary, za miękki, nie mam wystarczającej wyobraźni.

- Tak samo jak ja - odparł Bourne. - Tyle tylko, że mam motywację, żeby myśleć jak człowiek, o którym najchętniej bym zapomniał.

- Czy to mówi *monsieur* Webb?

- Chyba tak.

- Wracając do rzeczy: co mamy?

- Przerażonego piekarza, rozwścieczoną zakonnice i kilka twarzy w oknach. To niewiele, ale jestem pewien, że jeszcze przed świtem będzie tego trochę więcej.

- Dlaczego?

- Carlos nie ma innego wyboru, jak tylko szybko zwiijać interes. Ktoś z jego pretorian zdradził komuś adres kwatery głównej, więc możesz postawić całą swoją emeryturę, jeśli ją jeszcze masz, że zrobi wszystko, żeby go zdemaskować...

- Cofnij się! - syknął Bernardine i wciągnął go w najgłębszy cień przy samej witrynie. - Padnij! Płasko na chodnik!

Obaj mężczyźni przywarli do popękanych, skruszałych płyt; Bourne uniósł lekko głowę, by widzieć ulicę. Z prawej strony nadjechała ciemna furgonetka, niższa i szersza od policyjnej, bez wątplenia wyposażona w znacznie potężniejszy silnik. Jedyne, co upodabniało ją do tej, która przywiozła brygadę antyterrorystyczną, to potężny reflektor... dwa reflektory umocowane po obu stronach przedniej szyby, omiatające snopami światła teren dookoła samochodu. Jason wyciągnął zza paska pożyczoną od Bernardine'a broń, wiedząc, że Francuz ściska już w dłoni swój pistolet. Strumień światła z lewego reflektora przesunął się nad ich głowami.

- Dobra robota - szepnęła Jason. - Jak ich zauważyłeś?

- Odbicia latarń w bocznych szybach - odparł również szeptem Francois. - Przez chwilę myślałem, że to mój były kolega wraca, żeby spełnić pogroźkę, to znaczy wywalić mi flaki na ulicę... Mój Boże, popatrz!

Furgonetka minęła dwa budynki, po czym nagle zjechała do krawężnika i zatrzymała się przed trzecim, najbardziej oddalonym od domu, którego adres ustalił człowiek z firmy telefonicznej. Od sklepu, przed którym leżeli Jason i Bernardine, dzieliło ją około sześćdziesięciu metrów. W chwili gdy pojazd znieruchomiał, tylne drzwi otworzyły się na oścież i na jezdnię wyskoczyli czterej mężczyźni z pistoletami maszynowymi w dłoniach; dwaj przebiegli na drugą stronę ulicy, jeden zajął stanowisko pod ścianą budynku, a jeden został przy samochodzie ze swoim MAC-10 gotowym do strzału.

U szczytu ceglanych schodów pojawił się żółtawy poblask. W drzwiach domu stanął mężczyzna ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy i rozejrzał się uważnie dookoła.

- To on? - zapytał szeptem Francois.

- Nie, chyba że ma buty na obcasie i perukę - odparł Jason, sięgając do kieszeni marynarki. - Na pewno go poznam, bo tę twarz stale mam przed oczami. - Wyjął jeden z granatów otrzymanych od Bernardine'a i sprawdził, czy zawlecza da się wyciągnąć jednym ruchem.

- Hej, co ty robisz, do cholery? - zapytał weteran Deuxieme.

- Ten człowiek jest podstawiony - powiedział Bourne spokojnym, niemal obojętnym tonem. - Za chwilę ktoś zajmie jego miejsce i wsiądzie do furgonetki. Najlepiej, żeby usiadł z tyłu, ale to właściwie wszystko jedno.

- Oszalałeś! Zabiją cię! Jaki pożytek będzie miała twoja rodzina z zimnego nieboszczyka?

- Przestałeś myśleć, Francois. Obstawa na pewno usiadzie z tyłu, bo koło kierowcy nie

ma dosyć miejsca. Między wsiadaniem do furgonetki a wy siadaniem z niej jest ogromna różnica, przede wszystkim taka, że to drugie odbywa się dużo wolniej... Zanim ten, który będzie ostatni, zdąży zamknąć drzwi, wrzucę do środka granat. Wierz mi, nie mam najmniejszego zamiaru dać się zabić. Zostań tutaj!

Nim Bernardine zdążył zaprotestować, Delta błyskawicznie wyczołgał się na pograżoną w mroku ulicę; ostry blask dwóch silnych reflektorów sprawiał, że kontrast między ciemnością i światłem był jeszcze większy, co było niezwykle pożądaną z punktu widzenia Bourne'a okolicznością. W tym momencie jedyne poważne niebezpieczeństwo groziło mu ze strony człowieka stojącego przy otwartych drzwiach samochodu. Jason posuwał się stopniowo naprzód, wykorzystując każdą plamę gęściejszego cienia tak samo jak wiele lat temu w delcie Mekongu, kiedy skradał się do zalanego potokami światła obozu jenieckiego. Obserwował uważnie strażnika, sunął do przodu tylko wtedy, kiedy mężczyzna odwracał głowę w innym kierunku, ale jednocześnie starał się nie tracić z pola widzenia człowieka stojącego na ceglanych schodkach.

Nagle pojawiła się jeszcze jedna postać - kobieta z małą walizką w jednej i sporą torebką w drugiej ręce. Powiedziała coś do mężczyzny w czarnym płaszczu, a Bourne, wykorzystując fakt, że strażnik przez chwilę skoncentrował na nich uwagę, popełził po splekanym chodniku i dotarł do takiego miejsca w pobliżu furgonetki, skąd mógł obserwować rozwój sytuacji nie ryzykując jednocześnie, że ktoś go zauważy. Z ulgą spostrzegł, że dwaj uzbrojeni ludzie stojący po tej stronie ulicy mrużą z wysiłkiem oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek w ciemności rozpościerającej się poza zasięgiem światła reflektorów. Zważywszy okoliczności, Jason był w wyśmienitej sytuacji. Teraz wszystko zależało od wyczucia czasu, dokładności i doświadczenia nabytego podczas dawno minionych, częściowo zapomnianych lat. Teraz musiał sobie wszystko przypomnieć i zaufać instynktowi. Teraz. Lada chwila koszmarnie zniknie na zawsze z jego życia...

Zaczęło się! Z wnętrza domu wyszła szybko trzecia postać; mężczyzna był niższy niż ten w czarnym płaszczu, miał na głowie beret, a w ręku teczkę. Powiedział coś do goryla czającego się pod ścianą, ten podbiegł do schodów i z łatwością złapał rzuconą z góry teczkę, przytrzymał ją przednio lewym ramieniem.

- *Allez. Nons partons! Vite!* - wykrzyknął nowo przybyły, nakazując gestem kobiecie i mężczyźnie w płaszczu, żeby szli przed nim do samochodu. Kiedy zeszli ze schodów, dołączył do nich strażnik z pistoletem maszynowym i teczką... Czy wśród tych ludzi był Carlos?

Bourne rozpaczliwie chciał uwierzyć, że tak jest, więc musiało tak być! Trzasnęły boczne drzwi furgonetki, a w ułamek sekundy później rozległ się ryk uruchamianego silnika. Trzej pozostali strażnicy podbiegli do tylnych drzwi i jeden za drugim zaczęli wskakiwać do środka, chwytając rękami za umocowany pod dachem uchwyt, pozwalając przez chwilę pistoletom kołysać się swobodnie na przełożonych przez szyje pasach. Ostatni odwrócił się i sięgnął do...

Teraz! Bourne wyciągnął zawleczkę, zerwał się na nogi i popędził tak szybko, jak nigdy w życiu, w kierunku stojącego jeszcze nieruchomo samochodu. Rzuciwszy się rozpaczliwie do przodu, chwycił za krawędź zamykających się drzwi, przytrzymał je i cisnął do wnętrza furgonetki odbezpieczony granat. Sześć sekund do wybuchu! Dźwignął się na kolana i napałszy wyciągniętymi ramionami na drzwi, zatrzasnął je z hukiem. Ze środka dobiegł szaleńczy terkot broni maszynowej - cud, na jaki nie śmiał nawet liczyć. Furgonetka była opancerzona, więc żaden pocisk nie mógł wydostać się na zewnątrz! Kule odbijały się od stalowych ścian... Odgłosowi strzałów zawtórowały przeraźliwe jęki i krzyki.

Pojazd ruszył gwałtownie do przodu, a Bourne poderwał się z jezdni i nisko schylony pognął na drugą stronę szerokiego bulwaru, w kierunku opustoszałych sklepów. Kiedy od celu dzieliło go zaledwie kilka kroków, stało się coś zupełnie nieprawdopodobnego.

W chwili, kiedy furgonetkę rozerwała potężna eksplozja, rozjaśniając na moment krwawym blaskiem nocne niebo Paryża, zza najbliższego rogu ruszył gwałtownie brązowy samochód; przez szeroko otwarte okna wychylali się ludzie z pistoletami maszynowymi, zasypując okolicę gradem pocisków. Jason runął na chodnik przy skrytym w cieniu wejściu do jednego ze sklepów i zwinął się jak embrion, zdając sobie sprawę - nie ze strachem, lecz z wściekłością - że być może są to ostatnie chwile jego życia. Nie udało mu się. Zawiódł Marie i dzieci... Ale dlaczego ma ginąć w taki sposób? Zerwał się na nogi, ściskając w dłoni pistolet. On także będzie zabijał, dopóki starczy sił! Tak postępował Jason Bourne.

I wtedy po raz drugi wydarzyło się coś, co nie miało prawa się wydarzyć. Syrena? Policja? Brązowy samochód zakręcił z piskiem opon, ominął płonący wrak furgonetki i zniknął w ciemności, a w tej samej chwili z przeciwnej strony nadjechał z ogromną szybkością migający jaskrawoniebieskimi światłami radiowóz, który zahamował raptownie, zatrzymując się zaledwie kilka metrów od szczątków pojazdu wysadzonego w powietrze przez Jasona. To wszystko nie ma sensu, pomyślał Bourne. Najpierw zjawia się pięć wozów, potem wraca tylko jeden. Dlaczego? Ale nawet ta zagadka nie miała najmniejszego znaczenia. Carlos miał nie jednego, lecz kilku dublerów, gotowych zginąć w każdej chwili, by ocalić życie swego pana i władcy, opętanego obsesją zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Szakalowi udało się wyrwać z pułapki zastawionej na niego przez Deltę, produkt „Meduzy” i amerykańskich służb specjalnych. Bezwzględny morderca zdołał jeszcze raz przechytryć Jasona Bourne'a, ale go nie zabił. Wkrótce nadejdzie kolejny dzień, a potem następna noc...

Bernardine! - wrzasnął co sił w płucach wysoki rangą funkcjonariusz Deuxieme, ten sam, który niecałe pół godziny temu odsądził starego agenta od czci i wiary. - Bernardine, gdzie jesteś? - krzyknął ponownie, wysiadając z samochodu i rozglądając się dookoła. - Boże, gdzie jesteś? Wróciłem, przyjacielu, bo przecież nie mogłem tak cię zostawić! Miałeś rację, widzę to teraz. Na litość boską, powiedz, że żyjesz! Odezwij się!

- Ja żyję, ale ktoś inny zginął - powiedział Bernardine, wychodząc powoli z głębokiego cienia przed nieczynnym sklepem, jakieś pięćdziesiąt metrów na północ od Bourne'a. - Próbowałem ci wytłumaczyć, ale ty nie chciałeś słuchać...

- Postąpiłem zbyt pochopnie, przyznaję! - Funkcjonariusz podbiegł do Francois i objął go serdecznie, podczas gdy pozostali policjanci okrążyli w bezpiecznej odległości płonący wrak, zasłaniając dłońmi twarze przed buchającym od niego żarem. - Wezwałem z powrotem ludzi. Uwierz mi, przyjacielu! Wróciłem, bo nie mogłem znieść myśli, że rozstaliśmy się w gniewie... Nie miałem pojęcia, że tamta świnia odważyła się podnieść na ciebie rękę! Wyrzuciłem go na zbity pysk, jak mi o tym powiedział. Wróciłem do ciebie, ale Bóg mi świadkiem, nie spodziewałem się ujrzeć takiego widoku!

- To rzeczywiście okropne - przyznał weteran Deuxieme, rozglądając się dyskretnie dookoła. Natychmiast zauważył, że w oknach trzech kamiennych budynków aż roi się od przyciśniętych do szyb przerażonych twarzy. Wraz z eksplozją furgonetki i zniknięciem brązowego samochodu starannie przygotowany scenariusz przestał istnieć; śludzy zostali bez pana, a to napawało ich ogromnym strachem. - Nie tylko ty popełniłeś błąd, stary druhu - dodał Bernardine przepraszającym tonem. - Wskazałem niewłaściwy budynek.

- Aha! -wykrzyknął triumfalnie jego były zwierzchnik. - Niewłaściwy budynek, powiadasz? To chyba dość poważny błąd, nie uważasz, Francois?

- Owszem, ale konsekwencje byłyby z pewnością mniej poważne, gdybyś nie opuścił mnie w takim gniewie, jak to ładnie określiłeś. Zamiast spokojnie wysłuchać człowieka o ogromnym doświadczeniu, wypraszasz go z samochodu, a on w kilka minut później musi przyglądać się jatkom.

- Zrobiliśmy wszystko, co chciałeś! Przeszukaliśmy cały dom. Nie nasza wina, że to

nie był ten, o który chodziło!

- Gdybyście zostali jeszcze choć chwilę, dałoby się tego wszystkiego uniknąć, a mój przyjaciel nie straciłby życia. Zaznaczę to w swoim raporcie...

- Proszę cię, przyjacielu! - przerwał mu były współpracownik. - Porozmawiajmy o tym spokojnie, dla dobra naszego Biura... - Z przeraźliwym rykiem syreny nadjechał wóz straży pożarnej. Bernardine wziął swego rozmówcę pod rękę i sprowadził go z jezdni na chodnik, pozornie po to, żeby nie utrudniać dojazdu strażakom, a w rzeczywistości wyłącznie w tym celu, by Bourne mógł słyszeć każde zdanie.

- Natychmiast, jak tylko wrócą nasi ludzie, przeszukamy dokładnie budynki i poddamy wszystkich mieszkańców drobiazgowemu przesłuchaniu! - oświadczył zdecydowanym tonem ważny funkcjonariusz Deuxieme.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Bernardine. - Nie dodawaj głupoty do niekompetencji!

- Jak to?

- Widziałeś ten brązowy samochód?

- Tak, oczywiście... Bardzo szybko odjechał.

- I niczego więcej nie zauważyłeś?

- No... Ten pożar i całe zamieszanie... Rozmawiałem wtedy przez radio.

- Popatrz na te podziurawione szyby! - powiedział rozkazującym tonem Bernardine, wskazując na witryny sklepów. - Spójrz na ślady na asfalcie. Tutaj strzelano, stary przyjacielu, i to ostro! Ci, którzy uciekli, są przekonani, że mnie zabili. Nic nie mów i niczego nie rób, po prostu zostaw ich w spokoju.

- Jesteś szalony...

- A ty jesteś głupcem. Dopóki istnieje choćby najmniejsza szansa, że któryś z tych ludzi jeszcze tutaj wróci, nie wolno nam niczego zepsuć.

- Teraz znowu mówisz zagadkami...

- Wcale nie - odparł Bernardine, obserwując, jak strażacy za pomocą wielkich gaśnic dogaszają wrak furgonetki. - Wyślij ludzi do każdego z tych domów. Niech zapytają, czy nic się nikomu nie stało, i wyjaśnią, że według pierwszych ustaleń to, co się wydarzyło na ulicy, było potyczką przestępczych gangów.

- Przecież to prawda?

- W każdym razie byłoby dobrze, gdyby w to uwierzyli. Nadjechała karetka pogotowia i jeszcze dwa radiowozy, wszystkie na sygnałach i z migającymi światłami. Na skrzyżowaniu z rue d'Alesia zaczęli się gromadzić mieszkańcy okolicznych budynków, większość w kapturach i pośpiesznie narzuconych szlafrokach lub podomkach. Z furgonetki Szakala pozostały jedynie dymiące, poskręcane szczątki.

- Niech ludzie pogapią się jeszcze chwilę, a potem każcie im iść do domów - ciągnął dalej Bernardine. - Za jakąś godzinę lub dwie, kiedy już to posprzątaacie i zabierzecie ciała, zamelduj centrali, tylko głośno, że sytuacja została opanowana i że zostawiacie na miejscu tylko jednego człowieka, który dopilnuje uprzątkowania ostatnich śladów. Ma otrzymać kategoryczny zakaz indagowania kogokolwiek wchodzącego lub wychodzącego z tych budynków, czy to jasne?

- Ani trochę. Przecież sam powiedziałaś, że tam ktoś może się chować...

- Wiem, co powiedziałem - odparł ostro były konsultant Deuxieme. - To niczego nie zmienia.

- Czyli ty też tu zostaniesz?

- Tak. Pokręcę się trochę po okolicy.

- Rozumiem... A co z raportem policji? I z moim?

- Napisz prawdę, nie całą, ma się rozumieć. Otrzymałeś informację - niestety, nie możesz ujawnić źródła - że na bulwarze Lefebvre ma się wydarzyć coś, co z pewnością zainteresuje wydział do walki z narkotykami. Sprowadziłeś na miejsce oddział policji, który

niczego nie odkrył, lecz wiedziony instynktem wrócił kilka minut później pod ten sam adres, niestety zbyt późno na to, by nie dopuścić do krwawych wydarzeń.

- Niewykluczone, że nawet mnie pochwalą... - mruknął wysoki funkcjonariusz Biura. - A twój raport? - zapytał, marszcząc brwi.

- Zobaczmy, może w ogóle nie będę musiał go pisać... - odparł jeszcze niedawno były, a teraz znowu aktualny konsultant Deuxieme.

Sanitariusze zawinęli ciała ofiar w plastikowe worki i wsadzili je do ambulansu, dźwig pomocy drogowej załadował na ciężarówkę wrak furgonetki, a pracownicy przedsiębiorstwa oczyszczania uprzątnęli miejsce tragedii; dały się słyszeć uwagi, że nie trzeba robić tego zbyt dokładnie, bo wtedy nikt nie pozna bulwaru Lefebvre. Kwadrans później było już po wszystkim: ciężarówka z wrakiem odjechała, zabierając ze sobą także osamotnionego policjanta, który w ten sposób skrócił sobie drogę do najbliższego posterunku, znajdującego się w dość dużej odległości. Minęła czwarta rano i wkrótce niebo nad Paryżem miał rozjaśnić pierwszy blask wstającego świtu, zwiastując początek kolejnego, wypełnionego ruchem i zgiełkiem dnia. Na razie jednak jedynymi oznakami życia na bulwarze Lefebvre były oświetlone okna w domach będących ostoją Szakala. Znajdowali się tam mężczyźni i kobiety, którym już nie było dane spać tej nocy. Mieli do wykonania zadanie zleczone przez samego *monseigneur*a.

Bourne siedział na chodniku, opierając się plecami o mur dokładnie naprzeciwko budynku, z którego na spotkanie z policją wyszli przerażony piekarz i oburzona zakonnica. Bernardine ukrył się w załamaniu muru kilkadziesiąt metrów dalej, tam gdzie zatrzymała się czarna furgonetka Szakala. Umowa była jasna: Jason pójdzie za pierwszą osobą, która wyjdzie z któregoś z domów, i zatrzymają siłą, stary agent zaś podąży za drugą i postara się ustalić miejsce, do którego zmierzała, ale bez nawiązywania kontaktu. Bourne przypuszczał, że posłańcem będzie piekarz lub zakonnica, dlatego też usadowił się w głębokim cieniu właśnie przed tym domem.

Jego przecucie okazało się w znacznej mierze trafne, tyle tylko, że nie przewidział wariantu z większą liczbą osób i środków lokomocji. Siedemnaście po piątej przed domem zatrzymały się dwa rowery, na których siedziały zakonnice w habitach i białych czepkach; w chwilę potem otworzyły się drzwi domu i na ulicę wyszły trzy kolejne siostry, również z rowerami, wspięły się z godnością na siodelka i ruszyły w drogę wraz z tymi, które na nie czekały. Jedyną pociechą był dla Jasona fakt, że dzielna obrończyni domu Szakala zajęła pozycję na samym końcu małego peletonu. Bourne wyskoczył ze swego ukrycia i nisko schylony przemknął na drugą stronę pograżonej jeszcze w mroku ulicy. Kiedy znalazł się na wysokości posesji sąsiadującej z rzekomą siedzibą zakonu, drzwi otworzyły się ponownie i po ceglanych schodach zszedł szybkim krokiem otyły piekarz, kierując się bez wahania w przeciwną stronę. Bernardine też będzie miał co robić, pomyślał Bourne, po czym ruszył biegiem za oddalającymi się zakonicami.

Uliczny ruch w Paryżu stanowi niezgłębioną zagadkę niezależnie od pory dnia i nocy, dostarczając rozlicznych i zarazem wiarygodnych usprawiedliwień wszystkim, którzy spóźnili się na spotkanie lub zjawili się za wcześnie albo trafili w zupełnie inne miejsce, niż powinni. Bez wątplenia przyczynia się do tego również fakt, że paryżanin za kierownicą jest jednym z ostatnich reliktywów minionej, barbarzyńskiej przeszłości, a porównywać go można jedynie z jego kolegami w Rzymie lub Atenach. Doświadczyły tego na sobie pedałuące zawzięcie zakonnice, a szczególnie przełożona, która jechała jako ostatnia i na skrzyżowaniu z rue Lecourbe musiała się zatrzymać, żeby przepuścić posuwającą się w ślimaczym tempie kolumnę samochodów dostawczych. Po kilku sekundach oczekiwania nagle skrzyżowała w wąską boczną uliczkę i nacisnęła mocno na pedały. Bourne, któremu zaczęła się już mocno dawać

we znaki rana odniesiona na Wyspie Spokoju, nie przyśpieszył jednak kroku, dostrzegł bowiem stojący u wylotu uliczki znak z napisem IMPASSE - brak przejazdu.

Znalazł rower przypięty łańcuchem do starej żelaznej latarni. Ukrył się kilka metrów dalej w zagłębieniu muru i dotknął spowijającego mu kark bandaża; był przesiąknięty krwią, ale na szczęście pękł najwyżej jeden szew. Oprócz tego bolały go potwornie nogi... Nie, bolały to nie było dobre słowo. Nie przyzwyczajone do takiego wysiłku mięśnie protestowały potwornymi skurczami.

Spokojny jogging nie był odpowiednim przygotowaniem do gwałtownych przyśpieszeń, uników i skoków. Bourne oparł się o mur, dysząc ciężko. Nie spuszczał wzroku z roweru, usiłując odegnać od siebie myśl, która jednak powracała z okrutnym uporem: jeszcze kilka lat temu nie zwróciłby uwagi na ból w nogach z tego prostego powodu, że nic by go nie bolało.

Ciszę uliczki zakłócił szcęk zdejmowanego skobla, a zaraz potem skrzywienie ciężkich drzwi; Jason przywarł plecami do ściany, wyszarpnął zza paska pistolet i obserwował, jak zakonnica podchodzi szybkim krokiem do latarni. Nachyliła się nad spinającą łańcuch kłódką, nie mogąc w przyćmionym świetle trafić kluczem do dziurki. Bourne opuścił swoją kryjówkę i zakradł się bezszelestnie od tyłu.

- Spóźni się siostra na pierwszą mszę - powiedział.

Kobieta odwróciła się raptownie, wypuszczając klucz z dłoni. Sięgnęła błyskawicznie między fałdy habitu, ale Jason jednym skokiem znalazł się tuż przy niej, unieruchomił jej ramię w żelaznym uchwycie, a drugą ręką zsunął z jej głowy biały czepek. W chwili gdy w słabym blasku wstającego dnia zobaczył twarz kobiety, aż zatkało go ze zdumienia.

- Mój Boże...! - wyszeptał wreszcie z najwyższym trudem. - To ty!

Rozdział 27

Znam cię! - syknął Bourne. - Paryż, trzynaście lat temu... Nazywałeś się Lavier, Jacqueline Lavier. Byłaś właścicielką jednego z tych butików... Les Classiques... St. Honore... Punkt kontaktowy Carlosa w Faubourgu! Znalazłem cię potem w konfesjonale w Neuilly-sur-Seine. Myślałem, że nie żyjesz! - Już niemłoda twarz kobiety wykrzywiła się w rozpaczliwym grymasie. Spróbowała uwolnić się z jego uścisku, ale Jason szarpnął ją w bok i przyparł do ściany, naciskając na gardło lewym przedramieniem. - A więc jednak żyłaś! Byłaś częścią pułapki, która rozsypała się w Luwrze! Pójdiesz ze mną. Boże, wtedy zginęło tylu ludzi, a ja nawet nie mogłem nikomu powiedzieć, jak do tego doszło i kto jest odpowiedzialny... Jeśli w moim kraju zabijesz glinę, nigdy ci tego nie darują, a jeżeli kilku gliniarzy, to będą cię szukać tak długo, aż znajdą. Jestem pewien, że pamiętają o Luwrze i tych, co tam zostali!

- Myli się pan! - wychrypiała rozpaczliwie kobieta, wpatrując się w niego wybałuszonymi z przerażenia zielonymi oczami. - Bierze mnie pan za kogoś innego...

- Jesteś Lavier! Królowa Faubourga, główny łącznik z kobietą Szakala, żoną generała! Nie próbuj mi wmówić, że się mylę... Szedłem za wami do Neuilly, do tego kościoła, gdzie wiecznie biją dzwony i kręci się mnóstwo księży... Wśród nich był Carlos! Zaraz potem jego dziwka wyszła z kościoła, a ty zostałeś. Bardzo się śpieszyła, więc wbiegłem do środka i zapytałem o ciebie jakiegoś starego księdza, jeżeli to był ksiądz, a on powiedział mi, że jesteś w drugim konfesjonale z lewej strony. Podeszedłem tam, odsunąłem kotarę i zobaczyłem cię... martwą. Wszystko działo się tak szybko, myślałem, że właśnie cię zabił i że jest gdzieś w pobliżu, w zasięgu mojej ręki... albo ja w zasięgu jego. Zacząłem biegać dookoła jak wariat i wreszcie go zobaczyłem! Był na ulicy, w sutannie. Wiedziałem, że to on, bo na mój widok rzucił się do ucieczki. Zgubiłem go, ale miałem jeszcze w zanadru jedną kartę: ciebie. Zacząłem rozpowiadać na lewo i prawo, że nie żyjesz... Właśnie tego się po mnie spodziewaliście, prawda? Właśnie tego?..

- Powtarzam panu, że pan się myli! - Kobieta zrezygnowała z bezowocnej szarpaniny. Stała teraz bez najmniejszego ruchu, jakby sądziła, że dzięki temu będzie mogła mówić. - Wysłucha mnie pan? - zapytała z trudem. Ramię Jasona w dalszym ciągu uciskało jej gardło.

- Na pewno nie teraz - odparł Bourne. - Pójdziemy razem, ty lekko słaniając się na nogach. Litościwy przechodzień pomaga siostrzyczce, która nie wie, czemu o mało nie zemdlała. Każdemu może się zdarzyć, szczególnie w tym wieku, prawda?

- Poczekaj!

- Za późno.

- Musimy porozmawiać!

- Porozmawiamy.

Bourne zwolnił ucisk na gardło kobiety, tylko po to jednak, żeby uderzyć obiema rękami w mięśnie u nasady jej karku. Zachwiała się, ale zanim zdążyła upaść na ziemię, chwycił ją pod ramiona i troskliwie podtrzymując częściowo wyniósł, a częściowo wyciągnął z uliczki. Natychmiast zwróciło na nich uwagę kilka osób, wśród nich uprawiający jogging młody chłopak w szortach.

- Od dwóch dni prawie wcale nie spała, bo opiekowała się moją chorą żoną i dziećmi! - powiedział błagalnym tonem kameleon. - Czy ktoś może sprowadzić taksówkę? Muszę zawieźć ją do klasztoru w IX dzielnicy.

- Ja to zrobię! - zawołał z entuzjazmem młody biegacz. - Przy rue de Sevres jest całodobowy postój. To zajmie tylko chwilę, bo jestem bardzo szybki!

- Z nieba mi pan spadł, *monsieur* - odparł Jason, ukrywając niechęć, jaką natychmiast

poczuł do zbyt gorliwego i zbyt młodego lekkoatlety.

Po sześciu minutach nadjechała taksówka, a w niej szybko nogi samarytanin.

- Powiedziałem kierowcy, że ma pan pieniądze - oznajmił, wysiadając z samochodu.

- Oczywiście. Pięknie panu dziękuję.

- Niech pan powie siostrze, że ja to zrobiłem - poprosił chłopak, pomagając Bourne'owi ułożyć nieprzytomną kobietą na tylnym siedzeniu. - Ja też kiedyś będę potrzebował opieki.

- Przypuszczam, że to nie nastąpi zbyt szybko - zauważył Jason, usiłując odpowiedzieć uśmiechem na szeroki uśmiech biegacza.

- Mam nadzieję! Reprezentuję moją firmę w maratonie. - Przerośnięty dzieciak zaczął przebierać nogami w miejscu, żeby nie stracić ani minuty treningu.

- Jeszcze raz dziękuję. Mam nadzieję, że pan wygra.

- Niech pan poprosi siostrę, żeby się za mnie modliła! - wykrzyknął infantylny maratończyk i popędził przed siebie.

- Lasek Buloński - rzucił Bourne kierowcy, zatrzymując drzwi samochodu.

- Lasek? Ten kicający baran krzyczał, że mamy jechać do szpitala.

- A co miałem mu powiedzieć? Siostrzyczka wypila trochę za dużo wina i to wszystko...

Kierowca skinął ze zrozumieniem głową.

- Słusznie, niech się przewietrzy. Mam kuzynkę w klasztorze w Lyonie. Jak przyjeżdża na tydzień do rodziny, tankuje tyle, że przelewa jej się nosem. Szczerze mówiąc, wcale jej się nie dziwię.

Kiedy na ławkę stojącą przy szutrowej ścieżce w Lasku padły pierwsze ciepłe promienie wschodzącego słońca, kobieta w habicie poruszyła się, a w chwilę potem potrząsnęła głową.

- Jak się siostra czuje? - zapytał Jason siedzący tuż obok swego więźnia.

- Tak jakbym zderzyła się z czołgiem - odparła, wciągając głęboko w płuca powietrze.

- Przypuszczam, że wie pani o tych sprawach znacznie więcej niż o działalności charytatywnej?

Kobieta skinęła głową.

- Owszem.

- Nie ma sensu szukać broni - poinformował ją Bourne. - Wyjąłem pistolet z tego kosztownego pasa, który ma pani pod habitem.

- Cieszę się, że poznał się pan na jego wartości. O tym także musimy porozmawiać... Rozumiem, że skoro nie jesteśmy na posterunku policji, uznał pan za stosowne mnie wysłuchać?

- Tylko wtedy, gdy będzie pani miała coś interesującego do powiedzenia. Radzę o tym pamiętać.

- Nie mam innego wyboru. Przecież zawiodłam, wpadłam w ręce przeciwnika. Nie stawiałam się w wyznaczonym czasie tam, gdzie powinnam, a sądząc po słońcu, jest już za późno na jakiegokolwiek tłumaczenia. W dodatku mój rower został pewnie przy latarni.

- Ja go nie zabrałem.

- W takim razie już jakbym nie żyła. Nawet jeśli ktoś go ukradł, to też nic nie zmienia.

- Dlatego że pani zniknęła? Że nie przyszła na spotkanie?

- Oczywiście.

- Pani jest Lavier!

- To prawda, nazywam się Lavier, ale nie jestem tą Lavier, o której pan myśli. Pan znał Jacqueline, a ja mam na imię Dominique. Dzielili nas niewielka różnica wieku, a w dzieciństwie byłyśmy tak podobne, że często mylono nas ze sobą. To, co widział pan w Neuilly-sur-Seine, było prawdą. Moja siostra rzeczywiście zginęła, ponieważ złamała podstawową zasadę albo też popełniła śmiertelny grzech, jeśli pan woli. Wpadła w panikę i

zaprowadziła pana do kobiety Carlosa, ujawniając jego najskrytszą i najcenniejszą tajemnicę.

- Pani wie, kim jestem...?

- Cały Paryż wie, kim pan jest, *monsieur Bourne*. To znaczy, ten Paryż, w którym żyje Szakal. Nikt pana nigdy nie widział, ale wszyscy wiedzą, że pan tu jest i tropi Carlosa.

- Czy pani jest częścią tego Paryża?

- Owszem.

- Na litość boską, kobieto! Przecież on zabił pani siostrę!

- Wiem o tym.

- I mimo to pracuje pani dla niego?

- W życiu każdego z nas są takie chwile, kiedy mamy bardzo ograniczoną możliwość wyboru. Na przykład: żyć albo umrzeć. Do momentu, kiedy trzynaście lat temu butik Les Classiques zmienił właściciela, Szakalowi bardzo na nim zależało. Zająłem miejsce Jacqueline...

- Tak po prostu?

- Nie było w tym nic trudnego. Byłam młodsza od niej, a przede wszystkim wyglądałam dużo młodziej. - Na pokrytej siecią zmarszczek twarzy pojawił się przelotny uśmiech. - Moja siostra zawsze powtarzała, że to od mieszkania nad samym Morzem Śródziemnym... W każdym razie operacje plastyczne nie są w środowisku haute couture niczym niespotykanym. Jacqui wyjechała rzekomo do Szwajcarii na zabieg, a ja zjawiłam się osiem tygodni później, po odpowiednim przygotowaniu.

- Jak pani mogła? Jak pani mogła to zrobić, wiedząc, co się z nią stało?

- Dowiedziałam się dopiero później, kiedy nie miało to już żadnego znaczenia. Wtedy mogłam już wybierać tylko między tymi dwiema możliwościami, o których panu wspomniałam. Mogłam żyć albo umrzeć.

- Nigdy nie pomyślała pani, żeby pójść na policję albo do Surete?

- W sprawie Carlosa? - Lavier spojrzała na Bourne'a jak na niedorozwinięte dziecko. - Jak to mówią Brytyjczycy: z pewnością raczy pan żartować.

- A więc ochoczo włączyła się pani do śmiertelnej gry.

- Z początku zupełnie nieświadomie. Wtajemniczano mnie stopniowo, ostrożnie... Najpierw powiedziano mi, że Jacqueline zginęła w katastrofie na morzu wraz ze swoim aktualnym kochankiem i że otrzymam mnóstwo pieniędzy, jeżeli zgodzę się ją zastąpić. Les Classiques to było coś więcej niż luksusowy butik...

- Dużo więcej - przerwał jej Jason. - W rzeczywistości pełnił funkcję skrzynki kontaktowej, przez którą docierały do Carlosa największe tajemnice wojskowe i szczegóły operacji wywiadowczych, dostarczane przez jego kochankę, żonę powszechnie szanowanego generała.

- Dowiedziałam się o tym długo po jej śmierci. Mąż ją zabił. Mam wrażenie, że nazywał się Villiers czy jakoś podobnie...

- Owszem. - Jason utkwiał spojrzenie w ciemnej wodzie stawu po drugiej stronie ścieżki. Białe lilie unosiły się na jego powierzchni zbite w ciasne stadka. - To ja ich znalazłem. Villiers siedział na fotelu z pistoletem w dłoni, a ona leżała na łóżku naga i zbryzgana krwią. Chciał się zabić. Twierdził, że to najlepsze rozwiązanie dla zdrajcy, który dał się oślepić namiętności do tego stopnia, że naraził na szwank interesy swej ukochanej ojczyzny... Zdołałem go przekonać, że istnieje jeszcze inne wyjście. Dzięki niemu prawie mi się udało... Trzynaście lat temu, w Nowym Jorku, na Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy.

- Nie wiem, co się zdarzyło w Nowym Jorku, ale generał Villiers pozostawił instrukcje, żeby po jego śmierci ujawniono całą prawdę o tym, co się wydarzyło. Kiedy to nastąpiło, Carlos podobno o mało nie oszalał z wściekłości i zabił kilku wysokich dowódców tylko dlatego, że byli generałami.

- To stara historia - odezwał się ostrym tonem Bourne, otrząsnąwszy się ze wspomnień.

- Jesteśmy tutaj, trzynaście lat później. Co teraz?

- Nie wiem, *monsieur*. Wydaje mi się, że nie mam żadnego wyboru, prawda? Jeden z was na pewno mnie zabije.

- Może jednak nie. Proszę mi pomóc go zgładzić, a wtedy uwolni się pani od nas obu. Będzie pani mogła wrócić nad Morze Śródziemne i żyć w spokoju. Nie musi pani zniknąć, wystarczy, jeśli po kilku obfitujących w profity latach spędzonych w Paryżu zamieszka pani tam, gdzie przedtem.

- Zniknąć? - zapytała Lavier, wpatrując się w zaciętą twarz Bourne'a. - Czy to znaczy to samo, co zginąć?

- Tym razem nie. Carlos nic pani nie zrobi, bo będzie martwy.

- Rozumiem. Najbardziej jednak interesuje mnie to zniknięcie, a także obfitujące w profity lata. Czy owe profity mają pochodzić od pana?

- Tak.

- Aha... Czy to samo zaproponował pan Santosowi? Pieniądze i zniknięcie? Jason poczuł się tak, jakby otrzymał siarczysty policzek.

- A więc jednak Santos... - wyszeptał. - Bulwar Lefebvre to była pułapka. .. Niezły z niego fachowiec, nie ma dwóch zdań.

- Santos nie żyje. Le Coeur du Soldat zostało oczyszczone i zamknięte.

- Co takiego? - Bourne utkwiał zdumione spojrzenie w twarzy kobiety. - Taką otrzymał nagrodę za zwabienie mnie w pułapkę?

- Nie. Za to, że zdradził Carlosa.

- Nie rozumiem.

- Szakał ma wszędzie swoje oczy i uszy. Myślę, że nie jest pan tym specjalnie zaskoczony. Zauważono, że dostawca żywności zabrał kilka dużych, ciężkich skrzyń, a wczoraj rano Santos nie podlał swego ukochanego ogródka, co czynił codziennie od wielu lat. Carlos wysłał człowieka, który włamał się do magazynu dostawcy i otworzył skrzynie.

- Książki...- wyszeptał Jason.

- Miały być przechowane aż do chwili otrzymania dalszych poleceń - uzupełniła kobieta. - Santos chciał wyjechać szybko i dyskretnie.

- A Carlos wiedział, że jego numeru telefonu na pewno nie zdradził nikt z Moskwy...

- Proszę?

- Nic, nic... Jakim właściwie człowiekiem był Santos?

- Nie znałam go ani nawet nigdy nie widziałam. Słyszałam tylko plotki. Szczerze mówiąc, było ich bardzo niewiele.

- To dobrze, bo nie mam dużo czasu. Jakie plotki?

- Podobno był imponującej postury...

- Wiem o tym - przerwał niecierpliwie Jason. - Lubił też czytać, sądząc po liczbie książek, a nie jest wykluczone, że miał solidne wykształcenie. Interesuje mnie, skąd pochodził i dlaczego pracował dla Szakała?

- Krążyły pogłoski, że był Kubańczykiem i walczył u boku Fidela, że studiował z nim prawo, był wielkim myślicielem, a kiedyś także atletą. Potem, jak to się zawsze dzieje podczas rewolucji, zmiotł go prąd wydarzeń, nad którymi przestał panować. W każdym razie tak właśnie mówili mi starzy przyjaciele, którzy znają się na rzeczy.

- A co to znaczy, jeśli można wiedzieć?

- Fidel był bardzo zazdrosny o popularność, jaką cieszyli się w pewnych środowiskach niektórzy ludzie z jego otoczenia, przede wszystkim Che Guevara i Santos. Castro był olbrzymem, ale oni dwaj jeszcze go przewyższali, a on nie mógł tego tolerować. Wysłał Che na akcję z góry skazaną na niepowodzenie, natomiast przeciwko Santosowi wysunął sfabrykowane oskarżenia o prowadzenie działalności kontrrewolucyjnej. Santos czekał już na egzekucję, kiedy do więzienia wdarł się Szakał ze swymi ludźmi i uprowadził go z Kuby.

- Uprawdził? W przebraniu księdza, jak przypuszczam?
- Nie musi pan przypuszczać. Kościół zawsze miał na Kubie wielkie wpływy, choć wcale się nie zmienił od czasów średniowiecza.
- To gorzka uwaga...
- Jestem kobietą, w przeciwieństwie do papieża. On też jest ze średniowiecza.
- Skoro pani tak uważa... A więc Santos dołączył do Carlosa. Dwaj pozbawieni złudzeń marksściści w poszukiwaniu straconych ideałów, a może tylko prywatnego Hollywood...
- Nie rozumiem pana, *monsieur*, ale domyślam się, że fantazja to nie obliczalny Carlos, a gorycz straconych ideałów to Santos... Służył Szakalowi, bo nie miał wyboru. Aż do chwili, kiedy pan się pojawił.
- To wszystko, czego było mi trzeba. Dziękuję. Chodziło mi o wypełnienie kilku luk.
- Luk?
- O wyjaśnienie spraw, których nie znałem.
- Co teraz zrobimy, *monsieur* Bourne? Chyba o to właśnie pan pytał, prawda?
- A co pani ma zamiar zrobić, *madame* Lavier?
- Wiem tylko tyle, że na pewno nie chcę umrzeć. Poza tym nie jestem *madame*, bo nigdy nie wyszłam za mąż. Nie podobały mi się związane z tym ograniczenia, a korzyści nie wydawały się wystarczająco duże, żeby podejmować ryzyko. Przez wiele lat byłam luksusową dziwką w Monte Carlo i Nicei, aż wreszcie wiek zrobił swoje i straciłam jedyny zawód, jaki znałam, ale nadal mam wielu przyjaciół, przede wszystkim wdzięcznych kochanków, którzy troszczą się o mnie przez wzgląd na dawne czasy. Wielu z nich zdążyło już umrzeć, biedactwa.
- Powiedziała pani, że otrzymała mnóstwo pieniędzy za to, że zgodziła się zająć miejsce swojej siostry?
- To prawda. Nadal dostaję pieniądze, bo jestem bardzo przydatna. Obracam się wśród paryskiej elity, gdzie aż roi się od plotek, często bardzo interesujących. Mam wspaniałe mieszkanie - antyki, obrazy, służba - wszystko, czego należy oczekiwać od kobiety z tak zwanych wyższych sfer. Oraz pieniądze. Co miesiąc na moje konto wpływa osiemdziesiąt tysięcy franków przekazywanych z pewnego banku w Genewie. To trochę więcej niż potrzebuję na zapłacenie wszystkich rachunków, bo jednak ja je płacę, nie kto inny.
- A więc ma pani także pieniądze...
- Nie, *monsieur*. Żyję luksusowo, ale pieniędzy nie mam. Tak właśnie postępuje Szakal. Wszystkim z wyjątkiem swoich starców płaci tylko tyle, żeby starczyło na wydatki mające bezpośredni związek z funkcjami, jakie dla niego pełnią. Gdybym któregoś miesiąca nie dostała tych osiemdziesięciu tysięcy franków, nie przeżyłabym na tym poziomie nawet trzydziestu dni. Chociaż gdyby Carlos doszedł do wniosku, że już mnie nie potrzebuje, mógłby się mnie pozbyć w znacznie prostszy sposób. Jestem skończona, *monsieur* Bourne. Jeżeli teraz wrócę do mojego mieszkania, już nigdy z niego nie wyjdę... Tak jak moja siostra nigdy nie wyszła z tego kościoła w Neuilly-sur-Seine. W każdym razie żywa na pewno nie.
- Jest pani tego pewna?
- Oczywiście. Tam, gdzie zostawiłam rower, otrzymałam instrukcje od jednego ze starców. Właściwie nie tyle instrukcje, co rozkazy, jasne i precyzyjne, a dwadzieścia minut później miałam się spotkać z pewną kobietą w piekarni w St. Germain i zamienić się z nią ubraniami. Ona wróciłaby do siostrzyczek, a ja poszłabym do hotelu Tremoille, gdzie miał na mnie czekać kurier z Aten.
- Czy chce pani przez to powiedzieć, że te kobiety na rowerach to były naprawdę zakonnice?
- Oczywiście, *monsieur*. Często biorę udział w ich działalności dobro czynnej i jestem nawet kimś w rodzaju na pół cywilnej przełożonej.
- A ta kobieta? Czy ona też...

- Od czasu do czasu popada w niełaskę, ale trzeba przyznać, że jest znakomitym administratorem.

- Boże... - wyszeptał Bourne.

- Ona również często go wzywa. Czy teraz zrozumiał pan, jak beznadziejna jest moja sytuacja?

- Obawiam się, że nie.

- W takim razie muszę zacząć wątpić, czy jest pan rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Nie stawiałam się ani na spotkanie z kobietą, ani z kurierem. Gdzie wtedy byłam?

- Miała pani kłopoty: spadł pani łańcuch, potrafiła panią któraś z tych ciężarówek na rue Lecourbe, napadł ktoś panią, cokolwiek... Zresztą, co za różnica. Spóźniła się pani i już.

- Jak dawno temu znokautował mnie pan na tej uliczce?

Jason spojrział na zegarek. W jasnym świetle poranka nie miał żadnych problemów z dostrzeżeniem wskazówek.

- Jakąś godzinę, może godzinę i piętnaście minut. Taksówkarz jeździł długo wokół parku, żeby znaleźć najbardziej odludny zakątek, a potem po mógł mi przenieść panią na ławkę. Został za to sownie wynagrodzony.

- Czyli prawie półtorej godziny?

- Powiedzmy. I co z tego?

- To, że nie zadzwoniłam ani do piekarni, ani do hotelu.

- Jakies dodatkowe kłopoty?... Nie, to już mogłoby wzbudzić podejrzenia. .. - Bourne potrząsnął głową.

- W takim razie co, *monsieur*? - zapytała kobieta, wpatrując się w niego otoczonymi siecią zmarszczek zielonymi oczami.

- Bulwar Lefebvre - powiedział cicho Jason. - Najpierw ja wykorzystałem przeciw niemu pułapkę, którą zastawił na mnie, potem on mi się zrewanżował, ale udało mi się ująć z życiem, zabierając panią ze sobą.

Lavier skinęła głową.

- Otóż to. Ponieważ nie wie, co między nami zaszło, postanowił mnie zlikwidować. Po prostu jeszcze jeden pionek, który nagle zniknie z szachownicy. Mało istotny pionek, bo nie mogłabym powiedzieć o Carlosie nic ważnego, gdyż nawet go nie widziałam. Jedyne, co słyszałam, to plotki i pogłoski.

- Nigdy go pani nie widziała?

- W każdym razie nic o tym nie wiem. Czasem ludzie mówili: „Popatrz, to ten z wąsami”, albo: „Ten o śniadej cerze to Carlos”, ale nikt nigdy nie podszedł do mnie i nie powiedział: „Nazywam się Carlos i to dzięki mnie żyje ci się tak wygodnie, ty podstarzała prostytutko”. Polecenia odbierałam zawsze od różnych starych ludzi, tak jak dzisiaj.

- Rozumiem. - Bourne wstał z ławki, przeciągnął się i spojrział na swojego więźnia. - Mogę cię stąd wydostać - powiedział spokojnie. - Nie tylko z Paryża, ale nawet z Europy. Pojedziesz tam, gdzie Szakal już cię nie dosięgnie. Zgadzasz się?

- Równie chętnie, jak Santos - odparła kobieta, wpatrując się w niego przenikliwym spojrzeniem. - Z radością go zostawię, a nawiążę sojusz z tobą.

- Dlaczego?

- Bo on jest stary, ma zmęczoną twarz i w niczym ci nie dorównuje. Poza tym ty proponujesz mi życie, a on śmierć.

- W takim razie można uznać, że to przemyślana decyzja - odparł Jason z zagadkowym uśmiechem. - Masz przy sobie jakies pieniądze?

- Zakonnice składają śluby ubóstwa, *monsieur* - powiedziała Dominique Lavier również się uśmiechając. - Owszem, mam kilkaset franków. Dlaczego pytasz?

- To za mało. - Bourne wyjął z kieszeni imponujący plik banknotów. - Masz tu trzy tysiące - powiedział, wręczając jej pieniądze. - Kup sobie jakies ubranie i wynajmij pokój...

powiedzmy, w hotelu Meurice na rue de Rivoli.

- Pod jakim nazwiskiem?
- Jakim chcesz.
- Może być Brielle? To urocze miasteczko nad morzem.

- Proszę bardzo. Możesz stąd ruszyć dziesięć minut po moim odejściu. Zobaczymy się w południe w hotelu.

- Z przyjemnością, Jasonie Bourne!
- Lepiej zapomnij, że tak się nazywam.

Po wyjściu z parku kameleon skierował się do najbliższego postoju taksówek. Ostami w kolejce kierowca przyjął z entuzjazmem sto franków i pozwolił, by tajemniczy pasażer wtulił się w kąć tylnego siedzenia.

- Jest zakonnica, *monsieur!* - wykrzyknął po chwili. - Wsiada do pierwszej taksówki.

- Proszę za nią jechać - polecił Jason, przyjmując normalną pozycję. W alei Wiktora Hugo taksówka Lavier zwolniła, a następnie zatrzymała się przy rzadko spotykanych w Paryżu automatach telefonicznych umieszczonych nie w budkach, tylko pod kolorowymi zadaszeniami.

- Niech pan tu stanie! - syknął Bourne, po czym wysiadł z samochodu i podszedł bezszelestnie od tyłu do stojącej przy jednym z aparatów zakonnicy. Nie widziała go, zajęta wykręcaniem numeru, a on mógł słyszeć każde jej słowo.

- Hotel Meurice! - wykrzyknęła do słuchawki. - Pokój na nazwisko Brielle, będzie tam w południe... Tak, tak! Wstąpię do mieszkania, przebiorę się i zaraz tam pojedę. - Lavier odwiesiła słuchawkę i odwróciła się gwałtownie. - Nie! - wrzasnęła przeraźliwie, ujrzawszy przed sobą Jasona.

- Obawiam się, że tak - odparł Bourne. - Pojedziemy twoją taksówką czy moją? Jest stary i ma zmęczoną twarz, tak właśnie powiedziałaś. To dosyć dokładny opis jak na kogoś, kto rzekomo nigdy nie widział Carlosa...

Rozwścieczony Bernardine wyszedł za portierem z hotelu Pont Royal.

- Co pan sobie wyobraża! - krzyczał. - To śmieszne! Przepraszam, nie miałem racji - poprawił się natychmiast, jak tylko zajął do taksówki. - To po prostu niewiarygodne.

- Wsiadaj - polecił mu Jason siedzący obok ubranej w habit kobiety. Francois posłuchał go, obrzucając zdumionym spojrzeniem bladą twarz zakonnicy. - Pozwól, że ci przedstawię jedną z najbardziej uzdolnionych aktorek, jakie zatrudnia Carlos - dodał Jason. - Daję ci słowo, mogłaby zdobyć fortunę w każdym teatrze.

- Nie jestem zanadto religijnym człowiekiem, ale mam nadzieję, że nie popełniłeś błędu... A jeżeli już, to nie taki, jak ja, a raczej my, z tym cholernym piekarzem.

- Jak to?

- Bo to naprawdę piekarz, nikt inny! O mało nie wysadziłem mu w powietrze tych jego pieprzonych pieców, ale tylko francuski piekarz potrafiłby tak głośno błagać o litość.

- Skoro tak, to wszystko się zgadza - odparł Bourne. - Nielogiczna logika Carlosa... Nie pamiętam, kto to powiedział, chyba ja sam. - Taksówka skręciła w rue du Bac. - Jedziemy do hotelu Meurice - dodał.

- Jestem pewien, że masz jakiś konkretny powód - mruknął Bernardine, w dalszym ciągu nie spuszczać wzroku z nieruchomej twarzy Dominique Lavier. - Dlaczego ta urocza starsza dama nic nie mówi?

- Nie jestem stara! - syknęła wściekle kobieta ubrana w strój zakonnicy.

- Oczywiście, że nie - zgodził się skwapliwie weteran Deuxieme. - Tylko nieco zaawansowana wiekiem, a tym samym jeszcze bardziej godna pożądania.

- Żebyś wiedział, chłoptasiu!

- Dlaczego akurat do Meurice? - zapytał Bernardine.
- Bo tam Szakal zastawił na mnie kolejną pułapkę, z wybitną pomocą tej oto słodkiej siostrzyczki. Spodziewa się, że tam będę, a ja nie mam zamiaru sprawić mu zawodu.
- Zawiadomią Deuxieme. Teraz, dzięki temu przerażonemu urzędniczynie, zrobią wszystko, co będą chciał. Nie narażaj się, przyjacielu.
- Nie chciałbym cię urazić, Francois, ale przecież sam niedawno powie działałeś, że nie znasz nowych ludzi, którzy ostatnio przyszli do Biura. Nie mogę ryzykować. Wystarczyłby najdrobniejszy przeciek, żeby wszystko diabli wzięli.
- Pomogą ci. - Spokojny, cichy głos Dominique Lavier zabrzmiał we wnętrzu samochodu jak pierwszy, nieśmiały pomruk piły łańcuchowej. - Mogę ci pomóc.
- Już raz spróbowałaś mi pomóc i niewiele brakowało, żeby skończyło się to moją egzekucją. Pięknie dziękuję.
- To było przedtem, nie teraz. Chyba rozumiesz, że w tej chwili moja sytuacja jest naprawdę beznadziejna.
- Mam wrażenie, że niedawno gdzieś to słyszałem...
- Nie słyszałeś. Powiedziałam „w tej chwili"... Na litość boską, spróbuj postawić się w moim położeniu! Nie będę udawała, że rozumiem więcej, niż rozumiem naprawdę, ale przed chwilą ten siedzący obok mnie szarmancki dżentelmen powiedział, że zawiadomi Deuxieme... Deuxieme, *monsieur* Bourne! Dla wielu ludzi ta nazwa znaczy dokładnie to samo co gestapo! Nawet gdyby udało mi się przeżyć, trafiłabym w ich ręce, a to oznacza zesłanie do jakiejś okropnej kolonii na końcu świata... Słyszałam wiele razy, do czego są zdolni!
- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Bernardine. - A ja nie miałem o niczym pojęcia. To naprawdę wspaniałe! Cudowne!
- Lavier nagłym ruchem zdarła z głowy biały czepek; kierowca, który zobaczył to we wstecznym lusterku, uniósł wysoko brwi.
- Jeżeli nie zjawię się w hotelu Meurice, Carlos nawet nie zbliży się do rue de Rivoli - oświadczyła spokojnym tonem. Bernardine dotknął jej ramienia i znacząco uniósł palec od ust. - Człowiek, z którym chcesz rozmawiać, nie stawi się na spotkanie - poprawiła się szybko.
- Ona ma rację - powiedział Bourne. Pochylił się do przodu, by móc widzieć siedzącego po drugiej stronie kobiety przyjaciela. - Oprócz tego ma także mieszkanie, gdzie powinna się przebrać, ale żaden z nas nie może tam z nią wejść.
- A więc mamy problem, prawda? - odparł Bernardine. - Stojąc na ulicy, nie będziemy wiedzieć, do kogo dzwoni...
- Głupcy! Czy naprawdę nie widzicie, że nie mam innego wyjścia, jak tylko współpracować z wami? Przecież ten staruszek może w każdej chwili napuścić na mnie Deuxieme, a co do ciebie, Bourne... Jacqueline pytała mnie kiedyś o ciebie. Kto to jest ten Bourne? Czy on naprawdę istnieje? Czy rzeczywiście mordował ludzi w Azji, czy to tylko plotka? Zadzwoiła do mnie kiedyś, wtedy jeszcze mieszkałam w Nicei... Może pan to pamięta, *monsieur Le Cameleon*? Byliście razem w bardzo drogiej restauracji pod Paryżem, a ty groziłeś jej, straszyłeś jakimiś potężnymi, wpływowymi ludźmi, których nazwisk nie chciałeś ujawnić. Żądałeś, by powiedziała ci wszystko, co wie o jakimś jej przyjacielu - wtedy nie miałam jeszcze najmniejszego pojęcia, o kogo chodziło - ale ona przeraziła się ciebie. Mówiła, że zachowywałeś się jak szaleniec, miałeś szklisty wzrok i bełkotałeś coś w jakimś nieznanym języku...
- Pamiętam - przerwał jej lodowatym tonem Bourne. - Zjedliśmy kolację, zaczęłam ją wypytywać, a ona bardzo się przestraszyła. Kiedy poszła do toalety, zapłaciła komuś, żeby zadzwonił w jej imieniu, więc musiałem natychmiast ją stamtąd zabrać.
- A teraz Deuxieme sprzymierzyło się z tymi potężnymi, tajemniczymi ludźmi? - Dominique Lavier potrząsnęła energicznie głową. - Nie, panowie. Jestem realistką i nigdy nie

podejmuję walki, w której nie mam najmniej szcych szans. Trzeba zawsze znać umiar.

W taksówce zapadła cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją Bernardine:

- Gdzie pani mieszka? Podam kierowcy adres, ale zanim to zrobię, chciałbym, żeby mnie pani dobrze zrozumiała, *madame*. Jeśli okłamała nas pani, ujrzy pani na własne oczy najokrutniejsze oblicze Deuxieme...

Marie siedziała przy stoliku w swoim niewielkim pokoju w hotelu Meurice i czytała gazety. Nie mogła się w żaden sposób skoncentrować, gdyż usiłowała jednocześnie myśleć o wielu różnych sprawach. Wróciła do hotelu krótko po pomocy, obszedłszy wszystkie kawiarnie, które wiele lat temu odwiedzała z Davidem, ale długo nie była w stanie zmrużyć oka. Dopiero około czwartej nad ranem zmęczenie wzięło wreszcie górę nad niepokojem i zasnęła przy zapalanej lampce, by obudzić się prawie sześć godzin później. Był to jej najdłuższy sen od pierwszej nocy po przybyciu na Wyspę Spokoju; tamte wspomnienia zdążyły już się zatrzeć w jej pamięci i tylko ból spowodowany rozłąką z dziećmi dawał się jej coraz mocniej we znaki. Nie myśl o nich, nie dręcz się tak bardzo! Pomyśl o Davidzie... Nie, pomyśl o Jasonie Bourne! Skoncentruj się!

Odłożywszy „Paris Tribune”, nalała sobie trzecią filiżankę herbaty i spojrzała przez balkonowe drzwi wychodzące na rue de Rivoli. Zaniepokoiło ją, że pogodny poranek zamienił się w szary, pochmurny dzień. Wkrótce zaczną padać deszcz, jeszcze bardziej utrudniając jej poszukiwania. Pociągnęła z rezygnacją łyk herbaty, po czym odstawiła filiżankę na spodeczek; taki sam serwis kupiła do ich wiejskiego domku w Maine. Boże, czy kiedykolwiek znajdą się tam znowu razem? Nie myśl o takich rzeczach! Skoncentruj się! Nie mogła...

Wzięła ponownie do ręki „Tribune” i zaczęła przerzucać strony, nie dostrzegając artykułów ani zdań, tylko poszczególne, wyizolowane słowa. Nagle jedno z nich rzuciło jej się w oczy; jedno pozbawione znaczenia słowo u dołu pozbawionej treści strony.

Słowo brzmiało „Meemom”, a obok znajdował się jeszcze numer telefonu. Marie miała już odwrócić stronę, kiedy jakiś wewnętrzny głos krzyknął przeraźliwie: STÓJ!

Meemom... mommy - sylaby odwrócone i przekręcone przez dziecko uczące się dopiero mówić. Meemom! Jamie, ich Jamie! Wołał tak na nią przez kilka tygodni! David cały czas śmiał się z tego, podczas gdy ona martwiła się, czy nie świadczy to o jakiejś wadzie rozwojowej.

„Po prostu chłopak ułatwia sobie życie, i tyle!” - powiedział ze śmiechem David.

David! Rozprostowała gwałtownie stronę; należała do finansowej części gazety, którą odruchowo przeglądała każdego ranka przy kawie. Wiadomość od Davida! Zerwała się raptownie z krzesła, przewracając je na podłogę, i podbiegła do telefonu. Drżącą ręką wykręciła podany w gazecie numer. Nikt się nie odezwał, więc odłożyła słuchawkę i ponownie, tym razem powoli i starannie, wykręciła kolejne cyfry.

Nic. Ale to na pewno wiadomość od Davida, była tego pewna! Szukał jej na Trocadero, a teraz posłużył się słowem-kluczem, znanym tylko im dwojgu! Mój kochany, najdroższy, jednak cię znalazłam! Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że nie może zostać w ciasnym pokoiku, przechadzając się nerwowo od ściany do ściany i biorąc co minuta słuchawkę do ręki. „Kiedy jesteś w stresującej sytuacji i czujesz, że musisz coś zrobić, bo w przeciwnym wypadku nie wytrzymasz napięcia, znajdź jakieś miejsce, w którym możesz się poruszać, nie zwracając na siebie uwagi. Koniecznie musisz się poruszać! Nie wolno ci dopuścić do tego, żeby ciśnienie rozsadziło cię od środka!” Jedna z lekcji Jasona Bourne'a... Marie ubrała się tak szybko, jak chyba jeszcze nigdy w życiu, oddarła dół strony „Tribune” i wyszła pośpiesznie z pokoju. Nadludzkim wysiłkiem opanowała się, by nie pobiec do windy, ale jednocześnie pragnęła zaraz, najszybciej jak tylko można, znaleźć się na zatłoczonych ulicach Paryża,

gdzie będzie mogła się poruszać, nie wzbudzając podejrzeń. Od jednej budki telefonicznej do drugiej...

Wydawało jej się, że jazda windą trwa całą wieczność, a w dodatku dzieliła kabinę z irytującym amerykańskim małżeństwem - on był obładowany aparatami fotograficznymi, ona miała jaskrawy makijaż i wysoko utrefione włosy, które wyglądały tak, jakby zalano je szybko schnącym betonem. Oboje żalili się głośno, że prawie nikt w całym Paryżu nie mówi po angielsku. Na szczęście drzwi wreszcie otworzyły się i Marie wyszła do zatłoczonego holu.

Ruszyła po marmurowej posadzce prosto w kierunku dużych, szklanych drzwi osadzonych w bogato zdobionej futrynie, ale nagle zatrzymała się, kątem oka dostrzegła bowiem, że na jej widok starszy, dystyngowany mężczyzna, ubrany w prążkowany garnitur i siedzący w fotelu po prawej stronie, pochylił się do przodu i wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- Marie St. Jacques! - wyszeptał z niedowierzaniem. - Na litość boską, niech pani stąd ucieka!

- Pan wybaczy, ale... Słucham?

Mężczyzna podniósł się z trudem z miejsca; twarz miał cały czas skierowaną w jej stronę, ale jego oczy wędrowały bezustannie po całym holu.

- Nikt nie może pani tutaj zobaczyć! - powiedział szeptem, lecz mimo to jego głos nie stracił na stanowczości. - Proszę na mnie nie patrzeć! Niech pani opuści głowę i spojrzysz na zegarek. - Bernardine odwrócił się w kierunku ludzi siedzących na fotelach i mówił dalej, prawie nie poruszając ustami: - Proszę wyjść przez drzwi po lewej stronie, te, którymi wnoszą i wynoszą bagaż. Szybko!

- Nie! - odparła Marie, wpatrując się w zegarek. - Pan wie, kim jestem, ale ja pana nie znam!

- Jestem przyjacielem pani męża.

- Mój Boże, on tu jest?

- Pytanie brzmi, skąd pani się tutaj wzięła?

- Kiedyś mieszkalam w tym hotelu. Miałam nadzieję, że David przypomni sobie o tym.

- Przypomniał sobie, ale obawiam się, że w niewłaściwym kontekście. *Mon Dieu*, na pewno by go nie wybrał, gdyby było inaczej! Niech pani stąd idzie!

- Nie pójdę! Muszę go odnaleźć. Gdzie on jest?

- Pójdzie pani albo już nigdy nie ujrzy go pani żywego. Zamieściliśmy wiadomość w „Tribune”...

- Wiem, mam tę stronę w torebce. Meemom...

- Proszę zadzwonić za kilka godzin.

- Nie może pan mi tego zrobić!

- A pani nie może tego zrobić jemu! Zabije go pani! Proszę stąd iść, szybko!

Czując, jak po policzkach spływają jej łzy żalu i wściekłości, Marie ruszyła w kierunku znajdujących się z lewej strony holu drzwi. Rozpaczliwie pragnęła się odwrócić, ale jednocześnie wiedziała doskonale, że tego nie robi. Przed samym progiem wpadła na umundurowanego tragarza, wnoszącego do środka walizki.

- *Pardon, madame!*

- *Moi aussi...* - wymamrotała, omijając bagaże. Co teraz ma zrobić? Co powinna zrobić? David jest gdzieś w hotelu, w tym hotelu! Jakiś obcy człowiek poznał ją i kazał jej szybko odejść. O co tu chodzi? Boże, ktoś chce zabić Davida! Ten mężczyzna tak właśnie powiedział... Ale kto to jest, ten „ktoś”? Gdzie się schował?

Pomóż mi, Jason! Na litość boską, powiedz mi, co mam robić! Jason...? Tak, Jason! Stała bez ruchu na chodniku; wpatrywała się nie widzącym spojrzeniem w zatrzymujące się przed hotelem samochody i ubranego w złoconą liberię portiera, który witał wchodzących,

pozdrawiał stałych gości i rozsyłał we wszystkie strony zabieganych boyów hotelowych. Niedaleko zdobiącego wejście do hotelu baldachim przystanęła duża, czarna limuzyna z dyskretnymi religijnymi symbolami na przednich drzwiach. Nie wiadomo dlaczego Marie utkwiała wzrok w małym emblemacie; miał nie więcej niż piętnaście centymetrów średnicy i przedstawiał złoty krzyż spowity biskupim fioletem. Zamrugła raptownie powiekami i wstrzymała oddech; widziała już kiedyś ten znak. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy, ale była pewna, że z widokiem tym wiązały się jakieś okropne przeżycia.

Szeroko uśmiechnięty portier otworzył najpierw przednie, a potem tylne drzwi i z samochodu wysiadło pięciu księży. Czterej z nich natychmiast wmieszali się w tłum, zajmując pozycje z przodu i z tyłu samochodu. Jeden prawie otarł się o Marie; przez ułamek sekundy widziała z bliska twarz i błyszczące, czujne oczy. Z pewnością nie były to oczy człowieka oddanego służbie Bogu... W tej samej chwili przypomniała sobie, skąd zna widniejący na drzwiach samochodu symbol.

Wiele lat temu, kiedy David - Jason - był poddawany przez Panova gruntownej terapii psychicznej, Mo między innymi kazał mu rysować wszystko, co przychodziło mu na myśl, wszystkie kształty, jakie z takich czy innych powodów utkwily Davidowi w pamięci. Najczęściej występującą figurą był właśnie krzyż opasany czymś w rodzaju zwoju materiału... Szaka!

Nagle Marie przeniosła spojrzenie na przecinającego ulicę człowieka. Był wysoki, ubrany w ciemny sweter i czarne spodnie, lekko utykał i osłaniał sobie dłonią twarz przed drobną mżawką, która już niebawem miała zamienić się w prawdziwy deszcz. Mężczyzna tylko udawał, że kuleje! Ten sposób poruszania, charakterystyczny ruch ramion... David!

Stojący dwa metry od niej ksiądz także to zauważył. Natychmiast podniósł do ust miniaturowe radio, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdyż Marie rzuciła się na niego jak tygrysyca, wbijając paznokcie w twarz przebranego za księdza mordercy.

- David! - krzyknęła przeraźliwie, kalecząc do krwi twarz fałszywego kapłana.

Na rue de Rivoli wybuchła szaleńcza kanonada. Tłum ogarnęła panika; ludzie, wrzeszcząc co sił w płucach, szukali schronienia w hotelu lub starali się uciec na drugą stronę jezdni, byle dalej od koszmaru, który nagle eksplodował w sercu wielkiego miasta. Marie, silna dziewczyna z kanadyjskiej farmy, zdołała podczas szamotaniny wyrwać człowiekowi Szakala ukryty pod sutanną pistolet i strzelić mu z bliska w głowę; z rozerwanej czaszki wytrysnęła fontanna krwi i mózgu.

- Jason! - krzyknęła ponownie, zdając sobie z przerażeniem sprawę, że stojąc nad zbryzganym krwią ciałem stanowi doskonały cel. Nagle nadeszło ocalenie: stary Francuz, który przed chwilą rozpoznał ją w holu, wybiegł na ulicę z pistoletem w dłoni. Oddał kilka strzałów w kierunku czarnej limuzyny, a następnie skierował broń w bok i celnym pociskiem strzaskał nogę jednemu z księży.

- *Mon ami!* - ryknął Bernardine.

- Tutaj! - odezwał się Bourne. - Gdzie ona jest?

- *A votre droite! Aupres de...* - Rozległ się pojedynczy, głośny wystrzał. Bernardine padł na chodnik. - *Les Capucines, mon ami. Les Capucines!* - Kolejny strzał pozbawił go życia.

Marie stała jak sparaliżowana, nie mogąc się poruszyć. Następujące błyskawicznie po sobie wydarzenia odbierała jak lodowatą ulewę, chłuszczącą bezlitośnie jej twarz i uniemożliwiającą jakąkolwiek reakcję. Po chwili jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny szloch; osunęła się najpierw na kolana, a potem padła bezwładnie na jezdnię.

- Moje dzieci... - wyszeptwała do człowieka, który się nad nią pochylił. - Boże, moje dzieci...

- Nasze dzieci! - poprawił ją Jason Bourne głosem, który w niczym nie przypominał głosu Davida Webba. - Musimy stąd natychmiast zniknąć, rozumiesz?

- Tak... Tak! - Marie nadludzkim wysiłkiem podniosła się na nogi, podtrzymywana

przez mężczyznę, którego zarazem znała i nie znała. - David!

- Oczywiście, że to ja. Chodźmy!

- Przerażasz mnie...

- Sam siebie przerażam. Szybko! Bernardine dał nam szansę ucieczki. Trzymaj mnie mocno za rękę i biegnij ze mną!

Popędzili rue de Rivoli, skręcili w bulwar St. Michel, lecz zwolnili dopiero wtedy, gdy widok przechadzających się niespiesznie chodnikami ludzi potwierdził, że znaleźli się już daleko od potworności hotelu Meurice. Skręcili w wąską przecnicę, zatrzymali się i mocno objęli.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała Marie, trzymając w dłoniach twarz męża. - Dlaczego od nas uciekłeś?

- Dlatego że bez was mogę lepiej działać, wiesz o tym.

- Kiedyś było inaczej, Davidzie... A może powinnam powiedzieć Jasonie?

- Imiona nie mają znaczenia. Musimy uciekać!

- Dokąd?

- Nie jestem pewien, ale musimy, nie mamy wyboru! Może nam się uda dzięki Francois!

- To był ten stary Francuz?

- Nie mówmy teraz o nim, dobrze? I tak już jestem wystarczająco roztrzęsiony.

- Jak chcesz. Ale czemu on krzyczał coś o Les Capucines?

- To właśnie nasza szansa ucieczki. Jest tam samochód, z którego możemy skorzystać.

Chodźmy!

Niepozorny peugeot jechał autostradą prowadzącą na południe od Paryża, w kierunku Villeneuve-St. Georges. Marie siedziała przytulona do męża, obejmując obiema rękami jego ramię, jednocześnie świadoma tego, że nie odwzajemniał się jej nawet połową tego ciepła, które starała się mu przekazać. Człowiek siedzący za kierownicą był zaledwie w niewielkiej części Davidem Webbem; w tej chwili bezapelacyjną przewagę zdobył Jason Bourne.

- Powiedz coś do mnie, na litość boską! - wykrzyknęła rozpaczliwie.

- Myślę... Dlaczego przyleciałaś do Paryża?

- Boże! - wybuchnęła Marie. - Żeby cię odnaleźć! Żeby ci pomóc!

- Nie wątpię, że to ci się wydawało słuszne... Teraz chyba jednak wiesz, że byłaś w błędzie?

- Znowu ten głos! - zaprotestowała Marie. - Ten przeklęty, obojętny głos! Za kogo się uważasz, żeby mnie w ten sposób oceniać? Za Boga? Nie chcę być brutalna, kochanie, ale są pewne sprawy, których po prostu nie pamiętasz!

- Z Paryża pamiętam wszystko - odparł Bourne. - Dokładnie wszystko.

- Twój przyjaciel Bernardine wcale tak nie uważał. Powiedział mi, że na pewno nie wybrałbyś hotelu Meurice, gdyby tak było.

- Co takiego? - Jason spojrzał ostro na swoją żonę.

- Sam pomyśl. Co się zdarzyło trzynaście lat temu przed tym hotelem?

- Ja... Wiem, że coś... Ty...?

- Tak, najdroższy, ja. Zatrzymałam się tam pod fałszywym nazwiskiem, ty przyszedłeś po mnie i mijaliśmy właśnie kiosk z gazetami na rogu, kiedy oboje zrozumieliśmy, że moje życie już nigdy nie będzie takie, jak przedtem, wszystko jedno - z tobą lub bez ciebie.

- Boże, to prawda! Zapomniałem! Gazety, twoje zdjęcie na pierwszych stronach gazet. Pracowałaś wtedy dla swojego rządu i...

- Byłam poszukiwana przez policję w całej Europie w związku z tajemniczymi zabójstwami w Zurychu i kradzieżą kilku milionów dolarów z pewnego szwajcarskiego banku - wpadła mu w słowo Marie. - Chyba sam przyznasz, że trudno uwolnić się od takich oskarżeń? Nawet jeśli okażą się całkowicie fałszywe, pozostawiają po sobie cień nieufności.

„Nie ma dymu bez ognia”, tak to się mówi, prawda? Nawet moi najbliżsi przyjaciele w Ottawie, z którymi pracowałam od wielu lat, bali się ze mną rozmawiać!

- Zaczekaj chwilę! - krzyknął Bourne, obrzucając żonę Webba wściekłym spojrzeniem.
- Przecież nie ja wymyśliłem te oskarżenia! To był podstęp Treadstone’a, żeby mnie zwabić! Przecież wiedziałaś o tym od samego początku!

- Oczywiście, że wiedziałam, natomiast ty byłeś w takim stanie, że nic do ciebie nie docierało. Nie przejmowałam się tym, bo już wtedy podjęłam w moim chłodnym, analitycznym umyśle ostateczną decyzję. Jeśli chodzi o zdolność logicznego myślenia, jestem gotowa stanąć z tobą w szranki, kiedy tylko zechcesz, mój kochany, uczony mężu!

- Co takiego?

- Patrz na drogę! Miąłeś zjazd, tak jak kilka dni temu przegapiłeś skręt do naszego wiejskiego domku... A może to było nie kilka dni, tylko kilka lat temu...?

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Pamiętasz ten mały motel, w którym kiedyś się zatrzymaliśmy? Poprosiłeś, żeby rozpalili ogień w kominku, choć byliśmy jedynymi gośćmi. Wtedy po raz trzeci zobaczyłam pod maską Jasona Bourne'a kogoś, kogo z każdą chwilą coraz bardziej kochałam.

- Nie rób mi tego.

- Muszę, Davidzie. Choćby dla mojego dobra. Muszę wiedzieć, że tutaj jesteś.

W samochodzie zapadła cisza. Minęli zakręt i siedzący za kierownicą mężczyzna nacisnął mocniej na pedał gazu.

- Jestem tutaj - szepnął wreszcie, objął żonę ramieniem i przytulił ją mocno. - Nie wiem, jak długo będę mógł zostać, ale teraz jestem.

- Pośpiesz się, kochanie.

- Zrobię to. Chcę znowu mieć cię w ramionach.

- A ja chcę zadzwonić do dzieci.

- Teraz wiem na pewno, że tu jestem.

Rozdział 28

Wyśpiewasz nam wszystko albo naszprycujemy cię takimi paskudztwami, o jakich nawet się nie śniło tym rzeźnikom, którzy znęcali się nad doktorem Panovem - powiedział spokojnym, lodowatym tonem Peter Holland, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Oprócz tego masz szansę na dodatkową premię, chłoptasiu. Nie zapominaj, że jestem ze starej szkoły i gównu mnie obchodzą wszystkie przepisy, które bronią takich śmieci jak ty. Jak tylko się zorientuję, że próbujesz robić mnie w konia, wsadzę cię żywcem w kadłub starej torpedy i wyślę na dno Rowu Mariańskiego. Zrozumiałeś, co do ciebie mówię?

Capo subordinato leżał w opustoszałym pokoju w klinice CIA w Langley; pokój był pusty, ponieważ Holland polecił personelowi opuścić pomieszczenie na czas przesłuchania. Lewe ramię i prawa noga *capo* były w gipsie, jego pyzata twarz wydawała się jeszcze większa niż w rzeczywistości, głównie za sprawą opuchlizny pod oczami i nabrzmiałych warg, pozostałości po uderzeniu głową w deskę rozdzielczą samochodu. Patrzył spod sinofioletowych powiek na Hollanda, a następnie przeniósł spojrzenie na Aleksandra Conklina, siedzącego na krześle i ściskającego w dłoni nieodłączną laskę.

- Nie ma pan prawa, panie ważny - odburknął. - Dlatego że ja mam swoje prawa, rozumie pan?

- Tak samo jak doktor, ale wy nie zwracaliście na to uwagi.

- Nic nie powiem, póki nie przyjdzie mój adwokat.

- A gdzie był adwokat Panova, do cholery? - ryknął Aleks i rąbnął laską w podłogę.

- U nas nie ma takiego zwyczaju - odparł z godnością poturbowany mafioso. - Poza tym ja byłem dla niego dobry, a on to wykorzystał.

- Nie wysilaj się - poradził mu Holland. - Wcale nie jesteś zabawny. Tu nie ma żadnych adwokatów, makaroniarzu, tylko my trzej. Właściwie możesz już zacząć się przygotowywać do podróży w torpedzie.

- Czego ode mnie chcecie? - wykrzyknął *capo subordinato*. - Co ja mogę wiedzieć? Robię tylko to, co mi każą, tak samo jak przedtem mój brat, Panie świeć nad jego duszą, i ojciec, niech spoczywa w spokoju, a przedtem pewnie jego ojciec!

- Zupełnie jak kolejne pokolenia pasożytów nie opuszczających organizmu swojego żywiciela - zauważył Conklin.

- Hej, nie wiem, o czym gadasz, ale nie zapominaj, że to moja rodzina!

- Przekaż swoim przodkom moje serdeczne wyrazy ubolewania.

- Właśnie to najbardziej nas interesuje, Augie - wtrącił się dyrektor CIA. - Jesteś Augie, prawda? Takie imię było na jednym z praw jazdy i doszliśmy do wniosku, że najbardziej do ciebie pasuje.

- Nie jesteś wcale taki bystry jak myślisz, panie ważniak! - parsknął unieruchomiony w łóżku pacjent. - Wszystkie są fałszywe.

- Ale przecież musimy się jakoś do ciebie zwracać - odparł Holland. - Poza tym trzeba coś wyryć na kadłubie tej torpedy, żeby archeolog, który trafi na nią za parę tysięcy lat, wiedział, do kogo należały znalezione w środku zęby.

- Może Chauncy? - podsunął Conklin.

- Nie, za bardzo etniczne. Lepsze będzie „Kretyn”, tym bardziej że nim naprawdę jest. Da się zaspawać w żelaznej rurze i wrzucić do oceanu za coś, co zrobił ktoś inny, nie on. Trzeba być prawdziwym kretynem, nie uważasz?

- Przestańcie! - zawył mafioso. - W porządku, nazywam się Nicolo... Nicolo Dellacroce i już choćby za to, że wam to powiedziałem, powinniście zapewnić mi ochronę.

Tak jak z Vallachim, to część umowy.

- Doprawdy? - zapytał Holland, unosząc wysoko brwi. - Nie przypominam sobie, żebym wspominał o jakiejś umowie.

- Skoro tak, to niczego się nie dowiecie!

- Mylisz się, Nicky - odezwał się ze swego krzesła Aleks. - Dowiemy się wszystkiego, co chcemy, a jedynym ograniczeniem będzie fakt, że nie będziemy mogli powtórzyć przesłuchania. Oczywiście nie ma także mowy o żadnej rozprawie, a wszystko wskazuje na to, że nawet nie będziesz mógł podpisać zeznań.

- Jak to?

- Zostanie z ciebie roślinka o wysmażonym mózgu. Oczywiście, w pewnym sensie powinieneś się z tego cieszyć, bo nawet nie zauważysz, jak wpakują cię do torpedy i wrzucą do wody.

- Co ty pieprzysz, do cholery?

- To nie pieprzenie, tylko prosta logika - oświadczył spokojnie były admirał, a obecnie szef Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Chyba nie oczekujesz od nas, że po tym, jak skończą z tobą nasi eksperci, będziemy cię tu jeszcze trzymać, prawda? Gdyby komuś udało się przeprowadzić autopsję, trafilibyśmy do paki co najmniej na trzydzieści lat, a ja, szczerze mówiąc, nie mam tyle czasu... No więc, jak będzie, Nicky? Zacznesz mówić czy mam zawołać księdza?

- Muszę się zastanowić...

- Chodźmy, Aleks - powiedział Holland, kładąc dłoń na kłamce. - Poślę po księdza. Ten biedny skurwiel będzie potrzebował sporo pociechy.

- W takich chwilach zawsze nachodzą mnie refleksje, jak bardzo nie ludzki potrafi być człowiek dla człowieka - oznajmił Conklin, unosząc się z krzesła. - Mimo wszystko próbuję to sobie jakoś wytłumaczyć. Moim zdaniem, nie mamy tu do czynienia z brutalnością, bo brutalność to jedynie abstrakcyjne pojęcie, tylko z pewnym zwyczajem obowiązującym w zawodzie, który wykonujemy. Oczywiście, w tym wszystkim jest żywy człowiek - jego umysł, ciało, a przede wszystkim nieprawdopodobnie wrażliwe zakończenia nerwów. A także ból. Okropny ból. Na szczęście zawsze udawało mi się po zostać w cieniu, poza zasięgiem, tak samo jak przyjaciółom Nicky'ego. Oni będą jeździć na obiady do eleganckich restauracji, a on opadnie w żelaznej, zardzewiałej rurze na dno oceanu, ale zanim tam dotrze, zginie, zmiażdżony potwornym ciśnieniem...

- Już dobrze, dobrze! - wrzasnął Nicolo Dellacroce, wijąc się rozpaczliwie na łóżku. - Zadawajcie te swoje pieprzone pytania, ale potem macie zapewnić mi ochronę, *capisce!*

- To zależy od tego, jak szczerze będą odpowiedzi - odparł Holland, pusz czając kłamkę.

- Na twoim miejscu byłbym bardzo szczerzy, Nicky - zauważył Aleks, siadając ponownie na krześle. - Wystarczy jedno kłamstwo i pójdziesz spać z rybami, jak to się mówi.

- Przestańcie już truć. Wiem, co jest grane.

- W takim razie zaczynamy, panie Dellacroce - oznajmił szef CIA, wyjmując z kieszeni dyktafon. Sprawdził baterie, wcisnął przycisk nagrywania i postawił urządzenie na białej, wysokiej szafce stojącej przy łóżku pacjenta. - Nazywam się Peter Holland, dawniej admirał Marynarki Wojennej USA, obecnie dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej - powiedział w kierunku magnetofonu. - Nagranie zawiera rozmowę z informatorem posługującym się pseudonimem John Smith, personalia do wglądu w archiwum Agencji... W porządku, panie Smith. Darujemy sobie bezsensowne chrzanie i przejdziemy od razu do kwestii zasadniczych. Mając na względzie pańskie bezpieczeństwo, będę formułował pytania w sposób jak najbardziej ogólny, ale oczekuję od pana dokładnych i precyzyjnych odpowiedzi... Dla kogo pan pracuje, panie Smith?

- Atlas Coin Vending Machines w Long Island - odparł Dellacroce nienaturalnym, grubym głosem.

- Kto jest właścicielem tej firmy?
- Nie wiem. Jest tam nas piętnastu, może dwudziestu facetów i prawie wszyscy pracujemy w domu... Wie pan, co mam na myśli, nie? Przeglądamy maszyny i odsyłamy raporty.

Holland i Conklin wymienili spojrzenia; już w pierwszej odpowiedzi mafioso umieścił się wewnątrz kręgu potencjalnych informatorów. Nicolo nie był nowicjuszem.

- Kto podpisuje czeki z pańskim wynagrodzeniem, panie Smith?
- Niejaki Louis DeFazio, z tego, co wiem, bardzo solidny biznesmen. On nas zatrudnia.
- Czy wie pan, gdzie mieszka?
- W Brooklyn Heights. Ktoś mi kiedyś powiedział, że przy samej rzece.
- Dokąd pan jechał, kiedy został pan zatrzymany przez naszych ludzi? Dellacroe skrzywił się i na chwilę przymknął opuchnięte powieki.
- Do jednej z tych dziur na południe od Filadelfii, gdzie trzymają pijaczków i ćpunów... Ale pan to przecież wie, panie ważny, bo znalazł pan w wozie mapę.

Holland gwałtownym ruchem wyciągnął rękę i wyłączył dyktafon.

- Chcesz sobie popływać, sukinsynu?
- Chwila, moment! Pan dostaje informacje po swojemu, a ja je daję po swojemu. Za każdym razem dostawaliśmy mapę i mieliśmy jechać do wyznaczonego punktu najmniej uczęszczanymi drogami, jakbyśmy wieźli prezydenta albo nawet samego *don superiore*... Daj mi pan kartkę i ołówek, to wszystko panu wyruszę, łącznie z tabliczką na bramie! - Mafioso uniósł zdrową rękę i wycelował palec w pierś dyrektora CIA. - Wszystko będzie się zgadzało, panie ważny, bo nie mam ochoty iść spać z żadnymi pieprzonymi rybami, *capisce!*

- W takim razie dlaczego nie chcesz nagrać tego na taśmę? – zapytał Holland.
- Na taśmę, dobre sobie! A wszystkie moje zamiary wylądują w archiwum, tak? Myśli pan, że nasi ludzie nie potrafiliby założyć tutaj podsłuchu? Cha, cha! Nawet ten chrzaniony doktor mógłby być jednym z nas!

- Nie jest, ale mam nadzieję, że wkrótce dotrzemy do pewnego wojskowego lekarza, który rzeczywiście dla was pracuje. - Peter Holland podał leżącemu w łóżku mężczyźnie notatnik i ołówek, po czym usiadł, nie włączając dyktafonu. Skończyła się rozgrzewka, a zaczęła prawdziwa gra.

W Nowym Jorku, na Sto Trzydziestej Ósmej ulicy, między Broadwayem i Amsterdam Avenue, w samym sercu Harlemu, wysoki, niechlujnie ubrany czarny mężczyzna zataczał się na chodniku. W pewnej chwili wpadł na obdrapaną, ceglana ścianę opuszczonego domu, osunął się na ziemię i znieruchomiał, oparty o mur, z szeroko rozrzuconymi nogami i pochyloną głową.

- Patrzą na mnie tak, jakbym wlaźł do najelegantszego sklepu dla białych w Palm Springs - powiedział do ukrytego w kołnierzyku koszuli mikrofonu.

- Świetnie sobie radzisz - odpowiedział metaliczny głos z miniaturowego, wszytego pod materiał głośniczka. - Wszędzie są nasi ludzie, ani na chwilę nie spuszczają cię z oka. Ten cholerny automat gwizdże jak czajnik.

- Jakim cudem udało wam się schować w tym waszym gniazdku?
- Przyszliśmy wcześniej rano. Tak wcześniej, że nikt nie zwrócił uwagi na to, jak wyglądamy.

- Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będziecie wychodzić. Powinna być świetna zabawa. Aha, skoro o tym mowa: czy uprzedziliście na wszelki wypadek gliny? Strasznie bym nie chciał, żeby mnie zapudłowali, po tym jak wyhodowałem sobie na gębie ten zarost. Swędzi jak diabli, a moja stara od trzech tygodni nie chce ze mną gadać.

- Nie powinieneś rozwodzić się z poprzednią.
- Dowcipniś. Nie lubiła lekcji geografii. Szczególnie, jeśli polegały na kilkutygodniowym pobycie w Zimbabwie. Nie odpowiedzieliście mi, co z gliniarzami.

- Dostali twój rysopis i scenariusz akcji, więc powinni zostawić cię w spokoju... Koniec pogaduszek! To na pewno twój facet, bo jest w kombinezonie firmy telefonicznej... Tak, idźcie do drzwi. Teraz wszystko w twoich rękach, cesarzu Jones.

- Cwaniaczek... Widzę go. Ma pełne portki ze strachu, że musiał tu przyleźć.
- To znaczy, że jest prawdziwy - odparł metaliczny głos z głośniczka. - To dobrze.
- To źle, kolego - poprawił go czarny agent. - Jeśli tak jest, to o niczym nie wie, czyli nic nie będzie można od niego wyciągnąć.

- W takim razie co proponujesz?
- Najpierw muszę zobaczyć, jaki numer wprogramuje do pamięci.
- Dlaczego?
- Może i jest prawdziwy, ale cholernie się boi, i to wcale nie dlatego, że nie lubi tej dzielnicy.

- Co to ma znaczyć, do diabła?
- Jeżeli zauważy, że ktoś go śledzi, może wprowadzić fałszywy numer.
- Nic nie rozumiem, koleś.
- Jeśli numer będzie prawdziwy, powtórzy całą sekwencję tak, żeby...
- Daruj sobie - przerwał mu głos z kołnierzyka. - Nic nie chwytam z tego technicznego żargonu. Poza tym mamy w tej firmie naszego człowieka, więc będziesz mógł się z nim skonsultować.

- W takim razie do roboty. Wyłączam się, ale nie przerywajcie nasłuchu i miejcie mnie na oku.

Agent podniósł się z chodnika i chwiejnym krokiem wszedł do zrujnowanego budynku. Człowiek z firmy telefonicznej dotarł na pierwsze piętro, gdzie skręcił w wąski, brudny korytarz; z całą pewnością był już tu kiedyś, bo nie zawahał się ani nie usiłował odczytać ledwo widocznych numerów na drzwiach. Funkcjonariusz CIA doszedł w związku z tym do wniosku, że czekające go zadanie będzie łatwiejsze, niż się spodziewał. Nie miał nic przeciwko temu, tym bardziej że cała ta akcja wykraczała nieco poza kompetencje Agencji, a właściwie była po prostu nielegalna.

Wbiegł na piętro, przeskakując po trzy stopnie - dzięki grubym, gumowym podszwom poruszał się prawie bezszelestnie - i przycisnąwszy się plecami do ściany, wyjrzał zza zakrętu korytarza; monter zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami po lewej stronie, wsadził klucze do trzech zamków, przekręcił je po kolei i wszedł do środka. To może wcale nie być takie łatwe, pomyślał agent. W chwili gdy technik zamknął za sobą drzwi, podbiegł do nich i zatrzymał się, nasłuchując. Może nie wspaniale, ale i nie tragicznie, przemknęła mu myśl, kiedy usłyszał odgłos jednego zamykanego zamka. Widocznie technik bardzo się śpieszył. Człowiek z Agencji przyłożył ucho do pokrytych łuszczącą się farbą drzwi i wstrzymał oddech; trzydzieści sekund później odwrócił głowę, wypuścił powietrze z płuc, nabrał je ponownie i znowu zaczął nasłuchiwać. Dobiegające zza drzwi słowa były przytłumione, ale nie miał najmniejszych problemów z ich zrozumieniem.

- Centrala? Tu Mikę ze Sto Trzydziestej Ósmej ulicy, sektor dwunasty, maszyna numer szesnaście. Czy mamy w tym budynku jeszcze jedno urządzenie? - Cisza, trwająca około dwudziestu sekund. - Nie mamy, co? Nie mogę sobie poradzić z jakimś nakładaniem częstotliwości, zupełnie bez sensu... Telewizja kablowa? W tej okolicy nie mieszka nikt, kto mógłby sobie na to pozwolić... Aha, rozumiem. Kabel zbiorczy, tak? Chłopcy od prochów nie żalują sobie niczego... Może mieszkają w nędznej dzielnicy, ale chałupy mają wyposażone tak, że mucha nie siada. Dobra, daj jeszcze raz sygnał, a spróbuję jakoś go oczyścić.

Agent odsunął się od drzwi i ponownie wypuścił powietrze z płuc, tym razem z wyraźną ulgą. Konfrontacja nie była konieczna, gdyż zdobył już wszystkie potrzebne informacje: Sto Trzydziesta Ósma ulica, sektor dwunasty, maszyna numer szesnaście, a w dodatku znali nazwę firmy, która zainstalowała automat zgłoszeniowy: Reco-Metropolitan

Company, Sheridan Square, Nowy Jork. Resztą będą mogli się zająć biali chłopcy. Wycofał się na obskurną klatkę schodową i uniósł kołnierz koszuli.

- Słyszycie mnie? Podają namiary na wypadek, gdybym miał wpaść pod ciężarówkę.
- Śmiało, cesarzu Jones.
- Maszyna numer szesnaście w czymś, co nazywają sektorem dwunastym.
- Dobra. Chyba tym razem zapracowałeś na wypłatę.
- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć: „Wspaniale, stary druhu”.
- To ty chodziłeś do college'u, nie ja.
- Niektórym układa się aż za dobrze... Zaczekaj! Mam towarzystwo!

Piętro niżej na schodach pojawił się niewysoki Murzyn; na widok agenta wybałuszył oczy i błyskawicznie wyszarpnął spod marynarki rewolwer. Funkcjonariusz CIA padł płasko na posadzkę, dzięki czemu cztery wystrzelone jeden za drugim pociski przeleciały nad jego głową, odbijając się od ściany, po czym przeturlał się do balustrady, wycelował pistolet i dwukrotnie nacisnął spust; napastnik osunął się bezwładnie na schody.

- Dostałem rykoszetem, ale załatwiłem go! - wydyszał agent do mikrofonu. -
Przyslijcie po nas samochód, szybko!
- Już jedziemy. Trzymaj się!

Następnego dnia, kilka minut po ósmej rano, Aleks Conklin wkroczył do gabinetu dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami strażników i sekretarek, zaskoczonych tym, że stary, utykający mężczyzna został natychmiast dopuszczony przed oblicze szefa.

Peter Holland uniósł wzrok znad rozłożonych na biurku papierów.

- Masz coś? - zapytał.
- Nic - odparł gniewnym tonem emerytowany oficer wywiadu, zamiast do fotela, kierując się w stronę stojącej pod ścianą kanapy. - Zupełnie nic. Cholera, co za popieprzony dzień, a właściwie jeszcze nawet się nie zaczął! Casset i Valentino siedzą w podziemiach i szperają na odległość w najgorszych dzielnicach Paryża, ale jak na razie nic nie znaleźli... Boże, popatrz na to sam i spróbuj znaleźć jakiś sens! Najpierw Swayne, Armbruster, DeSole - nasz cholerny DeSole, niemy mol! - a potem, nie wiadomo dlaczego, Teagarten, w dodatku z wizytówką Bourne'a, chociaż doskonale wiemy, że to była pułapka na Jasona zastawiona przez Szakala. Z drugiej strony nic nie wskazuje na jakiegokolwiek powiązania Szakala z Teagartenem, a tym samym z „Meduzą”. To wszystko nie ma najmniejszego sensu, Peter! Straciliśmy kontrolę nad sytuacją!

- Uspokój się - poradził mu łagodnie Holland.
- Jak to sobie wyobrażasz? Bourne zniknął bez śladu, jeśli w ogólnie zginął, nie wiemy, gdzie jest Marie, a teraz jeszcze Bernardine, zastrzelony w biały dzień na rue de Rivoli... To znaczy, że Jason tam był! Musiał tam być!
- Ponieważ jednak nikt z rannych ani zabitych nie odpowiada jego rysopisowi, możemy założyć, że uszedł z życiem, czyż nie tak?
- W każdym razie możemy mieć nadzieję.
- Prosiłeś mnie, żebym znalazł w tym wszystkim jakiś sens - powiedział z namysłem dyrektor CIA. - Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że mogę spróbować...
- Nowy Jork? - przerwał mu Conklin, prostując się na kanapie. - Automat zgłoszeniowy? Ten DeFazio z Brooklynu?
- Dojdziemy i do tego, ale na razie skoncentrujmy się na innych sprawach.
- Nie wydaje mi się, żebym był najgłupszym chłopakiem z ulicy, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, co masz na myśli?

Holland rozparł się wygodnie w fotelu, spojrzął na rozłożone na biurku papiery, po

czym przeniósł wzrok na Aleksa.

- Siedemdziesiąt dwie godziny temu, kiedy zdecydowałeś się wszystko mi wyjawić, powiedziałaś, że zamiarem Bourne'a jest skłonienie Szakala i „Meduzy” do połączenia sił on miałby być głównym celem ich działania. Czy nie o to właśnie chodziło? Chciał doprowadzić do tego, żeby obie strony pragnęły jego śmierci; Carlos z dwóch powodów: z zemsty i po to, żeby zlikwidować jedyne go człowieka, który, w jego mniemaniu, może go zidentyfikować, a „Meduza” z jednego powodu - Bourne za dużo o niej się dowiedział.

- Istotnie, takie były założenia. - Conklin skinął głową. - Właśnie dlatego szukałem po omacku, dzwoniąc tu i tam, bo nawet nie podejrzewałem, co mogę znaleźć. Jezus, Maria, działający na całym świecie kartel, który powstał dwadzieścia lat temu w Sajgonie, a od tego czasu wchłonął wielu najbardziej wpływowych ludzi w rządzie i wojsku! Możesz być pewien, nie zależało mi na takim odkryciu. Wszystko, do czego spodziewałem się dokopać, to dziesięciu lub dwudziestu milionerów z tajnymi kontami bankowymi założonymi wtedy, kiedy jeszcze byli w Sajgonie, ale nie to, nie druga „Meduza”!

- Czyli, maksymalnie wszystko upraszczając, rozwój sytuacji miał wyglądać w następujący sposób. - Holland zmarszczył brwi, spojrzał na rozłożone przed nim papiery, a następnie z powrotem na Aleksa. - Po nawiązaniu kontaktu między „Meduzą” i Szakalem ten ostatni powinien się dowiedzieć, że istnieje człowiek, na którego likwidacji „Meduzie” zależy do tego stopnia, że nie będzie się liczyć z kosztami. Zgadza się?

- Właśnie dlatego chcieliśmy, żeby kontakt z Carlosem nawiązali ludzie znajdujący się możliwie blisko szczytu - wyjaśnił Conklin. - Klienci, jakich jeszcze nigdy nie miał i o których w normalnej sytuacji mógłby tylko marzyć.

- Dopiero wtedy miał usłyszeć, jak się nazywa ten człowiek, na przykład: „John Smith, dawno temu znany jako Jason Bourne”. W tym momencie musiał połknąć przynętę; przecież chodzi o Bourne'a, jego wroga numer jeden.

- Tak jest. Teraz sam rozumiesz, że ludzie z „Meduzy” nie mogli budzić najmniejszych podejrzeń. Carlos miał im uwierzyć od razu, bez zastrzeżeń...

- Dlatego - wpadł mu w słowo Holland - że Bourne stawiał pierwsze kroki właśnie w „Meduzie”, o czym Carlos doskonale wie, ale nigdy nie był członkiem tej drugiej, powstałej dopiero po wojnie. Czy prawidłowo nakreśliłem zarysy scenariusza?

- Trudno byłoby lepiej. Bourne przez trzy lata brał udział w naszej tajnej operacji i o mało nie zginął, a przy okazji musiał się przekonać, że wielu niepozornych fiutów z Sajgonu rozbija się najnowszymi jaguarami, ma własne jachty i konta z sześcioma zerami, podczas gdy on wylądował na państwowej posadce. Nawet święty Jan Chrzciciel mógłby stracić cierpliwość, a co dopiero mówić o Barabasz.

- To wspaniałe libretto - przyznał Holland. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Już słyszę triumfujące tenory i widzę zdradzieckie basy, umykające pokornie ze sceny... Nie krzyw się, Aleks, ja mówię zupełnie poważnie! To naprawdę znakomity plan, tak znakomity, że zamienił się w samospełniającą się przepowiednię.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Twój Bourne miał od samego początku rację. Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował, tyle tylko, że nie był w stanie wszystkiego przewidzieć. Gdzieś po drodze nastąpiło zjawisko zwane obcopylnością, ale to było nie do uniknięcia.

- Czy mógłbyś wrócić z Marsa i wyjaśnić wszystko zwykłemu Ziemianinowi?

- „Meduza” postanowiła wykorzystać Szakala! Zabójstwo Teagartena nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości, chyba że uwierzysz w to, że Bourne wysadził w powietrze samochód generała.

- Oczywiście, że nie!

- W takim razie ktoś, kto należał do kręgu „Meduzy”, a wiedział o Bournie, wpadł na pomysł posłużenia się Carlosem. Nie mogło być inaczej. Nie wspominałeś o żadnym z nich

Armbrusterowi, Swayne'owi ani Atkinsonowi?

- Jasne, że nie! To nie była odpowiednia chwila, a poza tym nie byliśmy jeszcze przygotowani.

- Kto w takim razie pozostał? - zapytał Holland.

Aleks wpatrywał się przez chwilę bez słowa w dyrektora CIA.

- DeSole... - wyszeptał wreszcie.

- Tak jest. DeSole, zbyt nisko wynagradzany specjalista o nieprzeciętnym umyśle, skarżący się żartobliwie, że mając do dyspozycji tylko rządową pensję nie sposób odpowiednio wykształcić dzieci i wnuki. Był wprowadzony we wszystko od samego początku, od twojej oskarżycielskiej przemowy w sali konferencyjnej.

- Oczywiście, ale to dotyczyło wyłącznie Bourne'a i Szakala. Nikt nie wspomniał o Armbrusterze, Teagartenie ani Atkinsonie, bo wtedy jeszcze nawet nie wiedzieliśmy o nowej „Meduzie”. Do licha, Peter, ty sam dowiedziałeś się o niej zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny temu!

- Owszem, ale nie zapominaj, że DeSole musiał zostać ostrzeżony, bo przecież sam był częścią „Meduzy”... Sam mi mówiłeś, że panika wybuchła dosłownie wszędzie, poczynając od Federalnej Komisji Handlu, poprzez Pentagon, kończąc na ambasadzie w Londynie.

Conklin skinął głową.

- Do tego stopnia, że dwaj najwięksi panikarze musieli zostać usunięci, a wraz z nimi Teagarten i nasz niedoceniany DeSole. Mędracy Królowej Wężów szybko ustalili, gdzie znajdują się jej najbardziej czułe punkty. Ale co mają z tym wspólnego Carlos albo Bourne? Nie widzę żadnego związku.

- Przecież już chyba ustaliliśmy, że taki związek istniał.

- DeSole? - Conklin pokręcił głową. - Kusząca hipoteza, ale nie wytrzymuje krytyki. Nie mógł podejrzewać, że ja wiem o naruszeniu tajemnic „Meduzy”, bo wtedy jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

- Ale kiedy już zaczęliście, musiało go to zastanowić, chociażby z tego względu, że choć pozornie jedno z drugim nie miało nic wspólnego, obie sprawy niepokojąco zbiegły się w czasie. To była zaledwie kwestia godzin, prawda?

- Dokładnie dwudziestu czterech... A przecież jedno z drugim naprawdę nie miało nic wspólnego!

- Nie dla doświadczonego analityka - odparł Holland. - Jeśli coś rży i stuka kopytami, to podświadomie rozglądasz się w poszukiwaniu konia, prawda? Przypuszczam, że w pewnym momencie DeSole skojarzył sobie Jasona Bourne'a i szaleńca, któremu udało się wtargnąć do „Meduzy” - nowej „Meduzy”.

- Na litość boską, w jaki sposób?

- Nie wiem. Może po tym, jak usłyszał od ciebie, że Bourne wywodzi się ze starej „Meduzy”, jeszcze tej z Sajgonu... To jest pewna poszlaka, nie uważasz?

- Mój Boże, możesz mieć rację... - Aleks opadł z powrotem na kanapę. - Głównym motywem działania naszego bezimiennego szaleńca jest to, że został odsunięty od nowej „Meduzy”! Sam to powtarzałem za każdym razem, jak dzwoniłem do któregoś z nich: „Spędził wiele lat, próbując złożyć wszystko w całość...” „Zna nazwiska, funkcje i numery kont w Zurychu...” Jezus, Maria, ja chyba zgłupiałem! Wygadywałem przez telefon takie rzeczy zupełnie obcym ludziom, a zupełnie wypadło mi z pamięci, że DeSole był przy tym, jak mówiłem wam, skąd wziął się Bourne!

- A dlaczego miałbyś o tym pamiętać? Przecież ty i Bourne postanowi liście prowadzić grę na własną rękę.

- Miałem ważne powody - odparł Conklin. - Wszystko wskazywało na to, że ty też jesteś w „Meduzie”.

- Piękne dzięki.

- Nie masz co się obrażać. „Mamy faceta na samej górze w Langley”, dokładnie to usłyszałem z Londynu. Co byś pomyślał na moim miejscu? A przede wszystkim, co byś zrobił?

- To samo co ty - odparł Holland ze skąpym uśmiechem na twarzy. - Ale ty jesteś podobno o tyle bardziej doświadczony i mądrzejszy ode mnie...

- Każ się wypchać.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo. Każdy z nas w takiej sytuacji postąpiłby tak samo.

- Właśnie dlatego zaproponowałem ci, żebyś się wypchał. Oczywiście masz rację: to był DeSole. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale to musiał być on. Prawdopodobnie po prostu pogrzebał w swojej pamięci. Czy wiesz, że on nigdy niczego nie zapominał? Jego umysł był jak gąbka chłonna wszystko, co działo się dookoła. Pamiętał poszczególne słowa i zdania, nawet nie artykułowane pomruki, o których wszyscy dawno zapomnieli... A ja opowiedziałem mu całą historię Bourne'a i Szakala, żeby potem ktoś mógł ją wykorzystać w Brukseli.

Ten ktoś zrobił dużo więcej, Aleks - powiedział Holland, pochylając się nad biurkiem i przekładając piętrzące się na nim papiery. - Ukradł twój scenariusz i wykorzystał przygotowaną przez siebie strategię. Poszczuł Jasona Bourne'a na Szakala, ale smycz trzyma „Meduza”, nie my. Bourne znalazł się w Europie w takiej samej sytuacji jak trzynaście lat temu, może ze swoją żoną, może bez niej, z tą tylko różnicą, że oprócz Carlosa, Interpolu i policji wszystkich krajów ma na karku jeszcze jednego, śmiertelnie groźnego przeciwnika.

- Właśnie to masz w tych papierach, prawda? Informacje z Nowego Jorku?

- Nie mogę niczego gwarantować, ale tak mi się wydaje. To jest właśnie ta obcocyfność, o której mówiłem: dzika pszczoła przeleciała nie proszona z kwiatka na kwiatek, przenosząc truciznę.

- Czy mógłbyś wydusić z siebie coś konkretnego?

- Chodzi o Nicolò Dellacroce i jego zwierzchników.

- Mafia?

- To logiczne, choć może niezbyt przyjemne. „Meduza” wyrosła z korpusu oficerskiego Sajgonu i w dalszym ciągu zleca najbrudniejszą robotę chciwym zwyrodnialcom i skorumpowanym podoficerom, *vide* Nicky D. i sierżant Flannagan. Kiedy na horyzoncie pojawiają się trupy, porwania albo narkotyki, chłopcy w białych koszulach znikają nagle z pola widzenia i nigdzie nie można ich znaleźć.

- Domyślałem się, że ty ich jednak znalazłeś - zauważył zniecierpliwiony Conklin.

- Mam nadzieję... W tej sprawie zdecydowaliśmy się na dyskretną konsultację z nowojorską policją, a szczególnie z wydziałem zwanym plutonem US.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Składa się niemal wyłącznie z Amerykanów włoskiego pochodzenia. Nazwali się Uniwersalnymi Sycylijczykami, stąd ten skrót.

- Brzmi ładnie.

- Ale robota paskudna... Według danych zawartych w komputerze Reco-Metropolitan...

- A cóż to jest?

- To ta firma, która zainstalowała automat zgłoszeniowy na Sto Trzydziestej Ósmej Ulicy.

- Przepraszam. Mów dalej, słucham.

- A więc, według danych z komputera, urządzenie zostało wypożyczone pewnej niewielkiej firmie importowej z siedzibą na Jedenastej Alei, kilka przecznic od nabrzeża. Godzinę temu dostaliśmy wydruk wszystkich połączeń telefonicznych tej firmy z ostatnich dwóch miesięcy i wiesz, co znaleźliśmy?

- Nie wiem, ale chciałbym się dowiedzieć - odparł Aleks, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Dziewięć rozmów z nie budzącym większych zastrzeżeń numerem w Brooklynie

Heights i trzy, w ciągu zaledwie jednej godziny, z zupełnie nie prawdopodobnym numerem na Wall Street.

- Ktoś się pewnie podniecił jakąś transakcją...
- Początkowo też tak myśleliśmy, ale potem poprosiliśmy Sycylińczyków, żeby podzielili się z nami swoją wiedzą na temat Brooklyn Heights.

- DeFazio?
- Ujmijmy to w ten sposób: on tam mieszka, ale telefon jest zarejestrowany na Atlas Coin Vending Machine Company z Long Island.

- Zgadza się. Trochę grubymi nićmi szyte, ale się *zgadza*,. Co z tym DeFazio?
- To niezbyt wpływowy, ale bardzo ambitny *capo* z rodziny Giancavallo. Jest skryty, tajemniczy, niebezpieczny... a na domiar złego to pedał.

- A niech to!
- Sycylińczycy kazali nam przysiąc, że tego nie wykorzystamy. Chcą się nim zająć sami.

- Pieprzę ich - powiedział spokojnie Conklin. - Jedną z pierwszych rzeczy, jakich człowiek uczy się w tym zawodzie, jest kłamać w oczy każdemu, komu się da, a już szczególnie wszystkim, którzy są na tyle głupi, żeby ci zaufać. Wykorzystamy to przy pierwszej okazji, kiedy tylko uznamy to za stosowne... A ten drugi numer?

- Należy do jednej z najbardziej wpływowych firm adwokackich na Wall Street.
- „Meduza” - stwierdził bez cienia wahania Aleks.
- Ja też tak uważam. Zajmują dwa piętra i zatrudniają siedemdziesięciu dwóch prawników. Jak znaleźć tego lub tych, którzy nas interesują?

- Nic mnie to nie obchodzi! Najpierw zajmijmy się DeFazio i ludźmi, których wysłała do Paryża, żeby pomagali Szakalowi. To właśnie oni polują na Jasona! Bierzemy się za DeFazio, Peter, taka była umowa!

Holland wyprostował się w fotelu i wpatrzył się w Conklina nieruchomym, świdrującym spojrzeniem.

- Prędzej czy później musiało do tego dojść, prawda, Aleks? – zapytał cicho. - Każdy z nas ma jakieś zobowiązania... Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do śmierci Jasona Bourne'a i jego żony, ale przede wszystkim muszę bronić interesów mojego kraju. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Dla mnie najważniejszą sprawą jest „Meduza” – jak sam ją nazwał, ogólnoswiatowy kartel, dążący do stworzenia czegoś w rodzaju rządu w rządzie i zdobycia kontroli nad instytucjami kierującymi państwem. Nimi zajmę się przede wszystkim, bez względu na ewentualne ofiary. Mówiąc wprost, przyjacielu - a mam nadzieję, że naprawdę nim jesteś - kwestia życia lub śmierci Jasona Bourne'a i jego żony ma w tej chwili drugo rzędne znaczenie. Przykro mi, Aleks.

- Właśnie po to kazałeś mi tu przyjść, prawda? - zapytał Conklin, opierając się na łasce i wstając z wysiłkiem z kanapy.

- Owszem.
- Masz własny plan gry przeciwko „Meduzie”, w którym my nie możemy uczestniczyć?

- Nie możecie. W tym wypadku zachodzi fundamentalny konflikt interesów.
- Też tak uważam. Bez wahania zostawiłbym cię na lodzie, gdyby miało to pomóc Jasonowi albo Marie. Moja osobista opinia w tej sprawie jest taka, że jeśli cały pieprzony rząd Stanów Zjednoczonych nie potrafi załatwić „Meduzy”, nie poświęcając jednocześnie dwojga ludzi, którzy tak wiele dla niego zrobili, to nie jest wart nawet funta kłaków!

- Zgadzam się z tobą całkowicie - powiedział Holland, wstając z fotela. - Złożyłem jednak przysięgę i muszę jej dotrzymać.

- Mogę liczyć na jakąś pomoc?
- Na wszystko, co nie przeszkodzi nam w pościgu za „Meduzą”.

- Co powiesz na dwa miejsca w wojskowym samolocie lecącym do Paryża?
- Dwa?
- Dla Panova i dla mnie. Byliśmy razem w Hongkongu, więc czemu nie mielibyśmy powtórzyć tego w Paryżu?
- Aleks, ty chyba postradałeś rozum!
- Nie wydaje mi się, żebyś potrafił to zrozumieć, Peter. Żona Mo umarła w dziesięć lat po ślubie, a ja nigdy nie miałem odwagi spróbować. Jason Bourne i Marie są naszą jedyną rodziną. Gdybyś wiedział, jakie ona robi befsztyki!
- Dwa miejsca do Paryża... - powtórzył Holland z pobladłą twarzą.

Rozdział 29

Marie nie spuszczała oka ze swojego męża przechadzającego się gniewnie po pokoju. Przemierzał cały czas tę samą trasę, prowadzącą od biurka do rozjaśnionych blaskiem słońca zasłon w dwóch oknach wychodzących na trawnik przed głównym wejściem do Auberge des Artistes w Barbizon. Zajazd, w którym się zatrzymali, był fragmentem wspomnień Marie, lecz nie Davida. Kiedy jej to powiedział, zamknęła na chwilę oczy, przypominając sobie słowa, które usłyszała wiele lat temu:

„Najważniejsze, żeby unikał wszelkich stresujących sytuacji, szczególnie napięcia związanego z bezpośrednim zagrożeniem życia. Jeśli zauważysz, że jego umysł pogrąża się w takim stanie, a na pewno to zauważysz, powstrzymaj go. Rób, co chcesz - płacz, uderz go, urządź mu scenę, ale zrób wszystko, żeby go powstrzymać”. Morris Panov, najlepszy przyjaciel, lekarz i ozdrowieńcza siła kierująca terapią jej męża.

Jak tylko znaleźli się sami, spróbowała go uwieść; okazało się, że był to błąd, gdyż żadne nawet w najmniejszym stopniu nie odczuwało podniecenia. Ale nie czuli się tym zakłopotani, po prostu przytulili się do siebie w łóżku.

- Jesteśmy prawdziwymi geniuszami seksu, nie uważasz? – wyszeptała Marie.

- To na pewno wróci - odparł łagodnie David, po czym Jason odwrócił się od niej i wstał z łóżka. - Muszę zrobić dokładną listę - powiedział, kierując się w stronę małego stolika pełniącego jednocześnie funkcję biurka. - Powinniśmy wiedzieć, gdzie jesteśmy i co nas czeka.

- A ja zadzwonię do Johnny'ego. - Marie również podniosła się i wygładziła spódnice. - Najpierw porozmawiam z nim, a potem z Jamiem. Powiem mu, że już wkrótce będziemy z powrotem. - Ruszyła do telefonu, ale obcy człowiek, będący jednocześnie jej mężem, zastąpił jej drogę.

- Nie - powiedział Jason Bourne, kręcąc głową.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić, a czego nie! - odparła Marie podniesionym głosem.

- Nie rozumiesz, że po tym, co się wydarzyło na rue de Rivoli, wszystko wygląda zupełnie inaczej?

- Rozumiem tylko tyle, że moje dzieci są kilka tysięcy mil ode mnie, a ja chcę z nimi porozmawiać. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem. Tyle tylko, że nie mogę na to pozwolić - odparł Jason.

- Niech pana szlag trafi, panie Bourne!

- Może zechcesz mnie wysłuchać? Porozmawiasz z Johnnym i Jamiem, oboje z nimi porozmawiamy, ale nie stąd i nie teraz, kiedy są na wyspie.

- Jak to...?

- Zaraz zadzwonię do Aleksa i powiem mu, żeby ich natychmiast stamtąd zabrał. Panią Cooper też, ma się rozumieć.

Marie spojrzała na męża rozszerzonymi ze strachu oczami, w których pojawił się błysk zrozumienia.

- O Boże, Carlos!

- Tak jest. Od dzisiaj pozostało mu tylko jedno miejsce, w które może uderzyć bez ryzyka popełnienia błędu - Wyspa Spokoju. Nawet jeśli jeszcze tego nie wie, to wkrótce się dowie, że Jamie i Alison są tam z Johnnym. Ufam twojemu bratu, ale wolę, żeby opuścili wyspę przed zapadnięciem zmroku. Nie wiem, czy Carlos ma jakiegoś człowieka w centrali telefonicznej na Montserrat, ale jestem pewien, że telefonu Aleksa nie da się podsłuchać.

Teraz już wiesz, dlaczego nie możesz stąd zadzwonić?

- Skoro tak, to dzwoń do Aleksa, na litość boską! Na co czekasz?

- Nie wiem... - Przez chwilę na twarzy jej męża pojawił się wyraz niepewności. Spojrzał na nią oczami Davida Webba. - Muszę zdecydować, dokąd wysłać dzieci.

- Aleks będzie wiedział, Jason - odparła Marie, zmuszając się do zachowania spokoju. - Zadzwon!

- Tak... Tak, oczywiście. - Bourne wziął do ręki słuchawkę. Jednak zamiast głosu Conklina usłyszał inny, z magnetofonowej taśmy, który zabrzmiał mu w uszach jak uderzenie złowrogiego gromu:

- Nie ma takiego numeru... Nie ma takiego numeru...

Połączył się jeszcze raz, mając rozpaczliwą nadzieję, że to tylko jakaś pomyłka. Piorun uderzył ponownie:

- Nie ma takiego numeru...

Wtedy rozpoczęła się nerwowa wędrówka: od stolika do okna i z powrotem. Jason odsunął zasłony i z rosnącym niepokojem spoglądał to przez okno, to na wydłużającą się listę miejsc i nazwisk. Marie zaproponowała, żeby zjedli lunch, ale nie usłyszał jej, więc tylko przyglądała mu się w milczeniu.

Poruszał się jak wielki, podenerwowany kot - sprężyste, płynnie, gotów błyskawicznie zareagować na każde, nawet najmniej spodziewane wydarzenie. W taki właśnie sposób poruszał się Jason Bourne, a wcześniej Delta, ale nigdy David Webb. Pamiętała doskonale zawartość teczek kompletowanych przez Panova na początku terapii Davida; znajdowały się tam między innymi relacje osób przeświadczonych o tym, że widziały na własne oczy kameleona. Opisy różniły się całkowicie, a jedyną wspólną cechą, wymienianą przez wszystkich świadków, były kocie, płynne ruchy. Panov szukał wówczas wskazówek mogących mu pomóc przy odtworzeniu tożsamości Bourne'a, gdyż dane, którymi dysponowali, ograniczały się do imienia i fragmentów koszmarnych wspomnień z Kambodży. Mo zastanawiał się często, czy znakomitej sprawności fizycznej jego pacjenta nie należałoby tłumaczyć czymś więcej niż zwykłymi ćwiczeniami; okazało się, że jednak nie.

Odkąd Marie pamiętała, subtelne różnice fizyczne między dwoma mężczyznami tworzącymi tego, który był jej mężem, fascynowały ją i jednocześnie odpychały. Obaj byli silni, obaj potrafili wykonać zadania wymagające znakomitej koordynacji ruchowej, ale podczas gdy sprawność Davida nosiła w sobie ślad radosnego współzawodnictwa, tężyzna Jasona brała się z drzemającego w jego wnętrzu okrucieństwa; nie było w niej radości, bo miała służyć wyłącznie konkretnemu celowi. Kiedy podzieliła się swymi spostrzeżeniami z Panovem, ten odparł lakonicznie:

„David nie potrafiłby zabić, a Jason tak, bo tego go nauczono”.

Mimo to był bardzo zadowolony, że Marie dostrzegła „różnice w konstrukcji fizycznej”, jak nazwał jej odkrycie.

- To dla ciebie jeszcze jedna wskazówka: jak tylko zauważysz Bourne'a, staraj się natychmiast sprowadzić z powrotem Davida. Gdybyś nie mogła, dzwoń do mnie.

Teraz nie wolno mi sprowadzić Davida, pomyślała. Przez wzgląd na dzieci, na mnie, a przede wszystkim na niego.

- Wychodzę na chwilę - oznajmił stojący przy oknie Jason.

- Nie możesz! - wykrzyknęła Marie. - Na litość boską, nie zostawiaj mnie samej!

Bourne zmarszczył brwi.

- Chcę tylko pojechać na autostradę do telefonu, to wszystko - powiedział takim głosem, jakby toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

- Weź mnie ze sobą, proszę! Nie wytrzymam sama ani chwili dłużej!

- Dobrze... Przy okazji zrobimy trochę zakupów: ubrania, szczoteczki do zębów, maszynka do golenia, co tylko przyjdzie nam do głowy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie możemy wrócić do Paryża?
- Możemy i najprawdopodobniej tam wrócimy, ale na pewno nie do żadnego z naszych hoteli. Masz swój paszport?
- Paszport, pieniądze, karty kredytowe. Wszystko było w torebce, o której zupełnie zapomniałam, dopóki nie oddałeś mi jej w samochodzie.
- Wydawało mi się, że nie powinni jej znaleźć na rue de Rivoli... Chodźmy. Przede wszystkim telefon.
- Do kogo chcesz dzwonić?
- Do Aleksa.
- Przed chwilą próbowałeś.
- Wyrzucili go z jego twierdzy w Wirginii, więc może będzie w swoim mieszkaniu. Jeśli nie, poszukam Mo Panova.

Pojechali znowu na południe, do małego miasteczka Corbeil-Essonnes, gdzie w odległości kilku mil od autostrady znaleźli niedawno otwarty supermarket. Rozległa budowla nie pasowała zupełnie do wiejskiego krajobrazu, mimo to powitali ją, z radością. Jason zaparkował samochód, weszli do środka jak wiele innych par, które przyszły tu na popołudniowe zakupy. Rozglądali się gorączkowo w poszukiwaniu telefonu.

- Ani jednego przy autostradzie! - wyszeptał Bourne przez zaciśnięte zęby. - Ciekawe, co według nich mają robić ludzie w razie wypadku albo kiedy złapią gumę?

- Czekać, aż przyjedzie policja - odparła Marie. - Poza tym był jeden automat, tyle tylko, że ktoś się do niego włamał. Może dlatego doszli do wniosku, że nie warto ich instalować... Jest, tam!

Jason ponownie stracił kilka denerwujących minut na rozmowy z telefonistkami, niechętnie przyjmującymi skomplikowane zlecenie. W chwilę potem grom uderzył jeszcze raz, nie tak blisko, ale równie wyraźny.

- Tu Aleks - odezwał się w słuchawce głos z taśmy. - Nie będzie mnie przez jakiś czas, bo pojechałem odwiedzić miejsce, gdzie kiedyś o mało nie popełniłem śmiertelnego błędu. Zadzwoń za pięć lub sześć godzin. Teraz jest dziewiąta trzydzieści Wschodniego Czasu Standardowego. Kończę, Juneau.

Oszołomiony Bourne odwiesił słuchawkę i spojrzał na Marie.

- Coś się stało, a ja mam teraz wszystkiego się domyślić... Ostatnie słowa brzmiały: „Kończę, Juneau”.

- Juneau...? - Marie zmrużyła oczy, a w chwilę potem otworzyła je szeroko i uniosła brwi. - Alfa, Bravo, Charlie... - zaczęła powoli. - Fokstrot, Gold, India... - mówiła coraz szybciej. - Juneau! Juneau oznacza „J”, a to Jason! Co było wcześniej?

- Mówił, że gdzieś pojechał...

- Chodźmy stąd - przerwała mu, zauważywszy, że dwaj mężczyźni, mający zamiar skorzystać z telefonu, przyglądali im się dziwnie. Chwyliła go za ramię i wyciągnęła z budki. - Nie mógł wyrażać się jaśniej? - zapytała, kiedy już znaleźli się w tłumie.

- To było nagranie... „Pojechałem odwiedzić miejsce, gdzie kiedyś o mało nie popełniłem śmiertelnego błędu”...

- Co?

- Kazał zadzwonić za pięć lub sześć godzin, bo pojechał... śmiertelny błąd? Boże, to przecież Rambouillet!

- Cmentarz?

- Tak! Trzyście lat temu próbował mnie tam zabić. To na pewno Rambouillet!

- Ale nie za pięć ani sześć godzin - zaprotestowała Marie. - Zostawił wiadomość w Waszyngtonie, a stamtąd nie da się przylecieć do Paryża i dojechać do Rambouillet w ciągu

pięciu godzin.

- Oczywiście, że się da. Obaj już to robiliśmy. Najpierw wojskowym samolotem z bazy Andrews do Paryża, oczywiście jako dyplomaci, bez żadnej kontroli. Peter Holland kopnął go w tyłek, ale dał mu na pożegnanie prezent. Natychmiastowy rozwód, lecz z premią w nagrodę za naprowadzenie na trop „Meduzy”. - Bourne przystanął raptownie i spojrzał na zegarek. - Na wyspach jest teraz dopiero południe. Poszukajmy innego telefonu.

- Johnny? Naprawdę myślisz, że...

- Cały czas myślę, nie mogę ani na chwilę przestać! - przerwał jej Jason. Ruszył szybkim krokiem przed siebie, trzymając ją mocno za rękę, tak że musiała pobiec truchcikiem, żeby za nim nadążyć. - Głace... – przeczytał napis na szybie po prawej stronie.

- Lody?

- W środku jest automat- powiedział, zwalniając kroku. Podeszli do drzwi ozdobionych wywieszkami reklamującymi kilkanaście różnych smaków. – Dla mnie waniliowe - rzucił, wciągając ją za sobą do zatłoczonego wnętrza.

- Ile gałek?

- Wszystko jedno.

- Przecież w tym hałasie nie będziesz go słyszał...

- Ale on mnie usłyszy, a o to w tej chwili chodzi. Zajmij się czymś przez chwilę. - Bourne podszedł do telefonu. Teraz doskonale rozumiał, dlaczego nikt nie korzystał z tego aparatu; hałas panujący w pomieszczeniu był rzeczywiście nie do zniesienia. - *Mademoiselle, s'il vous plait, c'est urgent!*

Trzy minuty później, zatykając rozpaczliwie dłonią ucho, Jason usłyszał w słuchawce głos najbardziej denerwującego pracownika pensjonatu.

- Mówi Pritchard, kierownik recepcji Pensjonatu Spokoju. Telefonistka poinformowała mnie, sir, że dzwoni pan w bardzo pilnej sprawie. Czy wolno mi zapytać, co jest przyczyną...

- Zamknij się! - ryknął Jason, usiłując przekrzyknąć harmider panujący we wnętrzu zatłoczonej lodziarni w Corbeil-Essonnes we Francji. – Poproś do telefonu pana St. Jay, tylko szybko! Mówi jego szwagier.

- Jak się cieszę, że pana słyszę, sir! Wiele u nas się zdarzyło, odkąd pan wyjechał. Pańskie uroczę dzieci czują się bardzo świetnie, chłopiec bawi się ze mną na plaży, a...

- Chcę mówić z panem St. Jacques. Natychmiast!

- Oczywiście, sir. Jest na górze...

- Johnny?

- David! Gdzie jesteś?

- Nieważne. Uciekaj stamtąd! Zabierz dzieciaki i panią Cooper i uciekaj!

- Wiemy o wszystkim, Dave.

- Kto?

- Dave. To przecież ty, prawda?

- Tak, oczywiście... Co wiecie?

- Kilka godzin temu dzwonił Aleks Conklin i powiedział, że mamy spodziewać się wiadomości od faceta o nazwisku Peter Holland. Zdaje się, że to szef waszego wywiadu, prawda?

- Tak. I co, zadzwonił?

- Owszem, dwadzieścia minut później. Mają nas ewakuować o drugiej po południu. Potrzebują tych kilku godzin, żeby załatwić zezwolenie na przelot wojskowej maszyny. Dołączyłem do ekipy panią Cooper, bo twój niedorozwinięty syn twierdzi, że nie potrafi zmienić siostrzyczce pieluszek... David, co się właściwie dzieje, do diabła? Gdzie jest Marie?

- Później wszystko ci wyjaśnię. Rób to, co ci każe Holland. Powiedział, dokąd was zabiera?

- Nie, aleja ci coś powiem: żaden pieprzony jankes nie będzie rozkazywał ani mnie, ani

dzieciakom mojej siostry, która bądź co bądź jest Kanadyjką. Jemu też to powiedziałem, rzecz jasna.

- To miło z twojej strony. Zawsze dobrze jest mieć wśród przyjaciół dyrektora CIA, prawda?

- Gównu mnie to obchodzi. U nas ten skrót oznacza Ciemne Interesy Amerykanów, i to też mu powiedziałem!

- Jeszcze lepiej... Co on na to?

- Wyduślił z siebie, że chce nas umieścić w pewnym bezpiecznym domu w Wirginii, a ja mu na to, że mój jest wystarczająco bezpieczny, a w dodatku jest w nim restauracja, służba, plaża i dziesięciu strażników, którzy mogą mu odstrzelić jaja z odległości dwustu metrów.

- Jesteś uosobieniem taktu. Jak na to zareagował?

- Roześmiał się, a potem wyjaśnił, że w Wirginii mają dwudziestu strażników, którzy mogą odstrzelić moje jaja z czterystu metrów, a dodatkowo znakomitą kucharkę, wysmienitą służbę i najnowszy telewizor dla dzieci.

- Brzmi dosyć przekonująco.

- Potem powiedział coś jeszcze bardziej przekonującego, na co już nie miałem odpowiedzi. Twierdzi mianowicie, że nikt niepowołany tam się nie dostanie, jest to bowiem podarowana rządowi przez pewnego starego ambasadora mającego więcej pieniędzy, niż wynosi roczny budżet Kanady, ogromna posiadłość w Fairfax z własnym lotniskiem i tylko jedną drogą dojazdową, cztery mile w bok od autostrady.

- Znam to miejsce - powiedział Bourne, krzywiąc się z powodu panującego w lodziarni hałasu. - Posiadłość Tannenbaum. Holland ma rację: to najlepsze miejsce z możliwych. Chyba nas lubi.

- Pytam po raz drugi: gdzie jest Marie?

- Ze mną.

- A więc znalazła cię!

- Później, Johnny. Skontaktuję się z tobą w Fairfax.

Kiedy Jason odwiesił słuchawkę, ujrzał swoją żonę przepychającą się przez tłum z plastikowym pomarańczowym kubkiem wypełnionym jakąś brązową masą, z której sterczała również plastikowa niebieska łyżeczka.

- Co z dziećmi? - zapytała, przekrzykując harmider i wpatrując się w niego błyszczącymi oczami.

- Wszystko w porządku, nawet lepiej niż można było się spodziewać. Aleks doszedł do tego samego wniosku co ja. Peter Holland zabierze wszystkich, łącznie z panią Cooper, do domu-twierdzy w Wirginii.

- Dzięki Bogu!

- Dzięki Aleksowi. - Bourne zajrzał do kubka. - A co to jest, do licha? Nie mieli waniliowych?

- Czekoladowe z polewą kakaową. Stały przed jakimś facetem, ale był tak zajęty wymyślaniem żonie, że nie zauważył, jak je wzięłam.

- Ale ja nie lubię czekoladowych z polewą kakaową!

- Więc zwymyślaj za to żonę. Chodźmy, musimy jeszcze zrobić zakupy.

Wczesnopopołudniowe karaibskie słońce świeciło jasno nad Pensjonatem Spokoju, kiedy John St. Jacques zszedł do głównego holu, niosąc w prawej ręce dużą sportową torbę. Skinął głową Pritchardowi, któremu wyjaśnił przed chwilą przez telefon, że wyjeżdża na kilka dni, ale odezwie się natychmiast, jak tylko dotrze do Toronto. Personel już wie o jego wyjeździe, a on bez wahania pozostawia pensjonat pod fachową opieką swego zastępcy i jego nieocenionego pomocnika, pana Pritcharda. Jest całkowicie pewien, że wiedza dwóch tak

odpowiedzialnych ludzi wystarczy do rozwiązania wszystkich problemów, jakie ewentualnie mogą się pojawić podczas jego nieobecności, tym bardziej że oficjalnie Pensjonat Spokoju zawiesił działalność. Niemniej jednak w razie najmniejszych nawet kłopotów należy natychmiast skontaktować się z sir Henrym Sykesem na Montserrat.

- Moja wiedza na pewno w zupełności wystarczy, sir! - odparł z dumą Pritchard. - Wszyscy będą pracować równie starannie, jak wtedy, kiedy przebywa pan na miejscu!

St. Jacques wyszedł przez szklane drzwi z owalnego budynku i ruszył w kierunku pierwszej willi po prawej stronie, stojącej najbliżej schodów prowadzących na plażę i nabrzeże. Tam właśnie pani Cooper i dwoje dzieci czekało na przylot helikoptera Marynarki Wojennej USA mającego przewieźć ich na Puerto Rico, skąd wojskowym samolotem udadzą się w dalszą podróż do bazy Andrews pod Waszyngtonem.

W chwili gdy nie spuszcający oka ze swego pracodawcy Pritchard zobaczył, jak ten wchodzi do willi numer jeden, nad pensjonat nadleciał z łoskotem duży helikopter. Za kilkanaście sekund powinien usiąść na wodzie i tam czekać na przybycie pasażerów. Pasażerowie również usłyszeli huk wirników, gdyż Pritchard ujrzał niebawem, jak John St. Jacques prowadzący za rękę chłopca i arogancka pani Cooper trzymająca w ramionach starannie opatulone dziecko wychodzą z willi. Za nimi szli dwaj strażnicy, niosąc bagaże. Pritchard sięgnął pod ladę po telefon, z którego można było dzwonić bez pośrednictwa centrali, i wykręcił numer.

- Tu biuro zastępcy dyrektora Urzędu Imigracyjnego, on sam przy aparacie, słucham?

- Szanowny wujku...

- To ty? - przerwał mu urzędnik, raptownie ścisząc głos. - Czego się dowiedziałeś?

- Rzeczy ogromnej wagi, zapewniam cię, drogi wuju! Słyszałem wszystko przez telefon!

- Obaj zostaniemy za to hojnie wynagrodzeni. Otrzymałem zapewnienie z najwyższego szczebla. Jest bardzo prawdopodobne, że oni wszyscy to w rzeczywistości groźni terroryści, a St. Jacques jest ich przywódcą! Podobno nawet udało im się oszukać Waszyngton. Jakie masz wiadomości, mój nadzwyczaj bystry siostrzeńcze?

- Właśnie zabierają ich do jakiegoś bezpiecznego domu w Wirginii. Posiadłość nazywa się Tannenbaum i ma nawet własne lotnisko, wyobraza wuj sobie?

- Jeżeli chodzi o te wściekle zwierzęta, to potrafię sobie wszystko wyobrazić.

- Żeby tylko wuj nie zapomniał napomknąć o mnie, kiedy będzie przekazywał tę wiadomość...

- Nie obawiaj się, siostrzeńcze! Obaj będziemy bohaterami Montserrat...! Ale pamiętaj, chłopcze, że wszystko musi być utrzymane w najściślejszej tajemnicy. Obaj jesteśmy do tego zobowiązani! Tylko pomyśl: spośród tylu ludzi właśnie nas wybrano do pracy na rzecz wspaniałej międzynarodowej organizacji. O naszym cennym wkładzie dowiedzą się wszyscy wielcy tego świata!

- Moje serce pęka z dumy! Czy wolno mi zapytać, jak się nazywa ta i znakomita organizacja?

- Ciii! Ona nie ma nazwy. To także tajemnica, ma się rozumieć. Pieniądze zostały przekazane drogą komputerową prosto ze Szwajcarii. To jeden z dowodów jej potęgi.

- Święte przymierze... - powiedział z rozmarzeniem w głosie Pritchard.

- Które dobrze płaci, mój znakomity siostrzeńcze, a to przecież dopiero początek. Ja sam, osobiście, zbieram informacje na temat wszystkich samolotów, które startują stąd lub lądują na naszym lotnisku, i przesyłam je na Martynikę pewnemu znanemu lekarzowi! Oczywiście w tej chwili wszystkie loty są wstrzymane z polecenia gubernatora.

- To przez ten amerykański helikopter? - zapytał oszołomiony Pritchard.

- Cii! To też tajemnica, wszystko jest tajemnicą!

- Jeśli tak, to bardzo głośna tajemnica, szanowny wuju. Ludzie stoją na plaży i

wybałuszają na nią oczy.

- Co takiego?
- Helikopter właśnie przyleciał. Pan Saint Jay, dzieci i ta okropna pani Cooper wchodzą już na pokład, bo...
- Muszę natychmiast zawiadomić Paryż! - wpadł mu w słowo urzędnik z Montserrat i przerwał połączenie.
- Paryż...? - powtórzył Pritchard. - Jakie to wspaniałe! Co za niezwykły zaszczyt!

Nie powiedziałem mu wszystkiego - wyjaśnił spokojnie Holland, potrząsając głową. - Chciałem to zrobić, ale nie mogłem, szczególnie po tym, co powiedział. Sam przyznał, że bez wahania wystawiłby nas do wiatru, gdyby miało to pomóc Bourne'owi albo jego żonie.

- Na pewno by to zrobił - potwierdził Charles Casset. Siedział w fotelu przed biurkiem dyrektora, trzymając w ręku wydruk ze ściśle tajnymi, wydobytymi z pamięci komputera informacjami. - Zrozumiesz, kiedy to przeczytasz. Kilkanaście lat temu w Paryżu Aleks rzeczywiście usiłował zabić Bourne'a. Chciał zastrzelić swego najlepszego przyjaciela, bo uwierzył w coś, co było od początku do końca nieprawdą.

- Conklin jest teraz w drodze do Paryża. Zabrał ze sobą Morrisa Panova.
- To twój problem, Peter. Ja na pewno bym mu na to nie pozwolił.
- Nie mogłem odmówić.
- Oczywiście, że mogłeś, tylko po prostu nie chciałeś.
- Jesteśmy jego dłużnikami. Wprowadził nas na trop „Meduzy”, a to najważniejsza sprawa, Charlie, z jaką mieliśmy kiedykolwiek do czynienia!
- Zdaję sobie z tego sprawę, dyrektorze Holland - odparł chłodno Casset. - Widzę również, że korzystając z międzynarodowych powiązań, usiłuje pan na własną rękę rozpracować wewnątrz krajowy spiszek, zamiast przekazać sprawę uprawnionym do tego organom, to jest FBI.

- Usiłujesz mnie nastraszyć, padalcu?
- To chyba jasne, prawda? - Na twarzy Casseta pojawił się skąpy, suchy uśmiech. - Łamię pan prawo, panie dyrektorze... Nieładnie, chłopczyku, jak powiedziałby mój dziadek.
- Czego ty chcesz ode mnie, do cholery? - nie wytrzymał Holland.
- Żebyś pomógł jednemu z najlepszych ludzi, jakich mieliśmy. Nie tylko chcę tego, ale wręcz żądam.

- Jeśli sądzisz, że powiem mu wszystko, łącznie z nazwą tej firmy z Wall Street, to znaczy, że ci zupełnie odbiło. Przecież to nasz główny atut!

- Na litość boską, lepiej wracaj z powrotem do marynarki, admirale - wycedził lodowatym tonem zastępca dyrektora CIA. - Jeżeli wydaje ci się, że właśnie o to mi chodzi, to znaczy, że niczego się nie nauczyłeś, siedząc w tym fotelu!

- Uważaj, co mówisz, mądralo. Mógłbym to podciągnąć pod niesubordynację.

- Bo to jest niesubordynacja, tyle tylko, że nie jesteśmy w marynarce. Nie możesz przeciągnąć mnie pod kilem, powiesić na maszcie ani cofnąć mi przy działu rumu. Możesz mnie co najwyżej wyrzucić, ale jeśli to zrobisz, sporo ludzi zacznie się zastanawiać, co cię do tego skłoniło, a to zapewne nie przyniesie Agencji zbyt wiele korzyści. Wydaje mi się jednak, że możemy tego uniknąć.

- O czym ty właściwie mówisz, Charlie?
- Przede wszystkim nie mówię o tej firmie adwokackiej z Nowego Jorku. Masz rację: to nasz główny atut, a Aleks od razu zaczęłby po kolei obdzierać wszystkich ze skóry, dzięki czemu zostalibyśmy z tym, co mieliśmy przedtem, czyli z niczym.
- Właśnie czegoś takiego się obawiałem...
- I słusznie - przerwał mu Casset, kiwając głową. - W związku z tym będziemy trzymać

Aleksa tak daleko od tego, jak to tylko możliwe, ale jednocześnie damy mu namacalny dowód, że się o niego troszczymy i że w razie potrzeby może na nas liczyć.

W gabinecie dyrektora CIA zapadło milczenie. Po dłuższej chwili przerwał je Peter Holland:

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

- Zrozumiałbyś, gdybyś lepiej znał Conklina. On już wie, że istnieje bezpośredni związek między „Meduzą” i Szakalem. Jak to nazwałeś? Samospełniająca się przepowiednia, tak?

- Powiedziałem, że strategia była wręcz doskonała i dlatego doprowadziła do wydarzeń, które przewidywała. DeSole odegrał niespodziewanie rolę katalizatora, który wszystko przyspieszył, łącznie z własną śmiercią i tym, co się wydarzyło na Montserrat... Co ma być tym namacalnym dowodem?

- Nić. Zdając sobie sprawę, jak dużo wie, nie możesz mu pozwolić, żeby hasał po Europie jak kula armatnia, tak samo jak nie możesz ujawnić nazwy tej firmy na Wall Street. Musisz cały czas wiedzieć, co robi i jakie ma zamiary, a do tego potrzebujesz kogoś takiego jak jego przyjaciel Bernardine, tyle tylko, że ten ktoś musi być również naszym przyjacielem.

- Gdzie mogę znaleźć takiego człowieka?

- Chyba znam kandydata... Mam nadzieję, że nasza rozmowa nie jest nagrywana?

- Możesz być tego pewien - odparł Holland ze śladem gniewu w głosie. - Nie stosuję takich sztuczek, a codziennie rano całe biuro jest dokładnie sprawdzane. Kto jest tym kandydatem?

- Pewien człowiek z ambasady radzieckiej w Paryżu - odparł spokojnie Casset. - Myślę, że uda nam się z nim dogadać.

- Nasza wtyczka?

- Skądże znowu! Oficer KGB mający właściwie tylko trzy zadania: od szukać Carlosa; zabić Carlosa; chronić Nowogród.

- Nowogród...? To zamerykanizowane miasteczko w Rosji, gdzie szkolono Szakala?

- I skąd uciekł, zanim zdążyli rozstrzelać go jako szaleńca. Tak, ale ono wcale nie jest tylko amerykańskie. Podzielono je na wiele części: brytyjską, francuską, izraelską, holenderską, hiszpańską, zachodnioniemiecką i Bóg tylko wie, na jakie jeszcze... Zajmuje kilkanaście kilometrów kwadratowych w samym sercu lasów nad rzeką Wołchow. Gdyby udało ci się tam dostać, mógłbyś przysiąc, że byłeś w kilkunastu państwach. Nowogród jest jedną z najciszej strzeżonych tajemnic Moskwy, podobnie jak aryjskie farmy rozrodcze w hitlerowskich Niemczech. Rosjanie pragną dostać Szakala w swoje ręce co najmniej równie mocno, jak Jason Bourne.

- Myślisz, że ten gość z KGB chciałby z nami współpracować i informować nas o każdym ruchu Conklina, gdyby udało im się nawiązać kontakt?

- Mogę spróbować. Przecież mamy wspólny cel, a poza tym Aleks na pewno by go zaakceptował, bo doskonale wie, jak bardzo Rosjanom zależy na wyeliminowaniu Carlosa.

Holland pochylił się w fotelu.

- Powiedziałem Conklinowi, że będę mu pomagał tak długo, jak długo nie zagrozi to naszemu pościgowi za „Meduzą”... Za niecałą godzinę wyląduje w Paryżu. Mam mu zostawić wiadomość w stanowisku dla dyplomatów, żeby skontaktował się z tobą?

- Powiedz, żeby zadzwonił do Charlie Bravo Plus Jeden – powiedział Casset, wstając z miejsca i kładąc wydruk na biurku. - Nie wiem, jak dużo uda mi się załatwić w ciągu godziny, ale spróbuję. Mam bezpieczny kanał łączności z Rosjanami głównie dzięki naszej nieocenionej konsultantce z Paryża.

- Daj jej premię.

- Sama o nią poprosiła... A właściwie zażądała. Prowadzi najlepszy zakład w mieście. Dziewczęta chodzą co tydzień na badania.

- Może zatrudnilibyśmy wszystkie? - zaproponował z uśmiechem dyrektor.
- Niedługo tak będzie, bo siedem już dla nas pracuje - odparł jego zastępca poważnym tonem, któremu jednak przeczyły wysoko uniesione brwi.

Doktor Morris Panov, podtrzymywany przez dziarskiego porucznika marines, wyszedł na uginających się nogach z kabiny wojskowego samolotu.

- Nie rozumiem, jak wy możecie tak dobrze wyglądać po takiej cholерnej podróży? - zapytał psychiatra.

- Zapewniam pana, sir, że po kilku godzinach swobody w Paryżu wyglądamy znacznie gorzej.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, poruczniku. I dzięki Bogu... Gdzie się podział ten kulejący dżentelmen, który mi towarzyszył?

- Pojechał odebrać dyplograf, sir.

- Co proszę? Znowu jakieś słowo, które już z założenia ma nic nie znaczyć?

- Wcale nie, sir - roześmiał się porucznik, prowadząc Panova do elektrycznego wózka z amerykańską flagą na zderzaku i żołnierzem za kierownicą. - Przy podchodzeniu do lądowania dostaliśmy z wieży sygnał, że nadeszła dla niego jakaś pilna wiadomość.

- A ja już myślałem, że po prostu poszedł do łazienki.

- To z pewnością też, sir. - Porucznik położył walizczkę doktora w skrzyni ładunkowej i pomógł mu wejść do wózka. - Ostrożnie, sir. Proszę, podnieść trochę wyżej nogę...

- To tamten, nie ja! - zaprotestował Panov. - Ja mam nogi w porządku.

- Powiedziano nam, że jest pan chory, sir.

- Ale nie na nogi, do cholery... Przepraszam, młody człowieku. Nie lubię latać w czymś niewiele większym od szybowca dwieście czterdzieści kilometrów nad ziemią. Niewielu astronautów wychowało się na Tremont Avenue...

- Pan mówi serio, doktorze?

- Proszę?

- Ja jestem z Garden Street, tuż koło zoo! Nazywam się Fleishman, Morris Fleishman. Miło spotkać rodaka z Bronksu!

- Morris? - zapytał Panov, ściskając wyciągniętą dłoń. - Morris Komandos? Powinienem był pogadać z twoimi rodzicami... Trzymaj się, Mo. I dziękuję za opiekę.

- Niech pan szybko dobrzeje, doktorze, a jak pan znowu zobaczy Tremont Avenue, proszę ją ode mnie pozdrowić.

- Oczywiście, Mo - odparł Mo i uniósł rękę w pożegnalnym geście. Wózek bezszelestnie ruszył z miejsca.

Cztery minuty później w towarzystwie kierowcy Panov wszedł do długiego szarego korytarza służącego przybywającym do Francji dyplomatom, akredytowanym przez Quai d'Orsay. Niebawem dotarli do obszernego pomieszczenia, w którym tu i ówdzie stały grupki rozmawiających w najróżniejszych językach kobiet i mężczyzn. Panov stwierdził z niepokojem, że nigdzie nie widzi Conklina i właśnie miał zamiar zapytać o niego kierowcę, kiedy podeszła do niego młoda kobieta w kostiumie hostessy.

- *Docteur?* - zwróciła się do Panova.

- Owszem - odparł Mo, nie kryjąc zaskoczenia. - Obawiam się jednak, że mój francuski jest na niezbyt wysokim poziomie, jeśli w ogóle jest na ja kimkolwiek.

- Nie szkodzi, sir. Pański towarzysz poprosił, żeby pan tutaj na niego zaczekał. Twierdził, że to kwestia zaledwie kilku minut... Proszę, zechce pan spocząć? Czy mam przynieść drinka?

- Burbon z lodem, jeśli pani taka miła - odparł Panov, siadając w fotelu.

- Oczywiście, sir. - Hostessa oddaliła się, a kierowca postawił obok Panova jego teczkę.

- Muszę już wracać do samochodu - oświadczył. - Tutaj jest pan bezpieczny, doktorze.

- Ciekawe, dokąd on poszedł... - mruknął Panov, spoglądając na zegarek.

- Może do telefonu. Oni wszyscy tak robią: odbierają wiadomość, a potem pędzą do głównego holu, żeby zadzwonić z automatu. Nigdy nie korzystają z telefonów, które są tutaj. Rusczy zawsze gonią najszybciej, a Arabowie idą dostojnie jak żyrafy.

- To widocznie ze względu na różnice klimatyczne - zauważył z uśmiechem psychiatra.

- Na pana miejscu nie zakładałbym się o to. - Kierowca roześmiał się i zsalutował Panowowi. - Proszę na siebie uważać, sir, i trochę odpocząć. Wygląda pan na zmęczonego.

- Dziękuję, młodzieńcze. Do widzenia.

Rzeczywiście jestem zmęczony, pomyślał Panov, kiedy kierowca zniknął w szarym korytarzu. Bardzo zmęczony, ale Aleks miał rację: gdyby przyleciał tu beze mnie, nigdy bym mu tego nie wybaczył... David! Musimy go odnaleźć! Nikt z nich nie rozumie, jak wielkie zniszczenia mogą nastąpić w jego psychice! Wystarczy jeden silniejszy bodziec, żeby stał się znowu tym, kim był trzynaście lat temu - bezlitosnym, okrutnym mordercą...

Głos. Ktoś nachylał się nad nim i coś do niego mówił.

- Przepraszam, zamyśliłem się...

- Pański drink, doktorze - powtórzyła uprzejmym tonem hostessa. - Nie wiedziałam, czy mam pana budzić, ale pan poruszył się i jęknął, jakby coś pana bolało...

- Nie, ależ skąd, moja droga. Po prostu jestem zmęczony.

- Rozumiem, sir. Takie niespodziewane, dalekie podróże są bardzo wyczerpujące.

- Ma pani całkowitą rację - odparł z uśmiechem Panov i wziął swoją szklankę. - Dziękuję.

- Jest pan Amerykaninem, prawda?

- Skąd pani wie? Przecież nie mam kowbojskich butów ani hawajskiej koszuli?

Dziewczyna roześmiała się czarująco.

- Ale znam kierowcę, który pana przyprowadził. Pracuje w amerykańskiej ochronie i jest bardzo, ale to bardzo atrakcyjny...

- W ochronie? Ma pani na myśli coś w rodzaju policji?

- Tak, ale my prawie nie używamy tego słowa... O, już wraca pański towarzysz. - Hostessa zniżyła głos. - Mogę o coś zapytać, doktorze? Czy on będzie potrzebował wózka inwalidzkiego?

- Dobry Boże, skądże znowu! Chodzi tak już od wielu lat.

- W takim razie życzę panu przyjemnego pobytu w Paryżu, sir. Kobieta odeszła, a w chwilę potem na fotelu obok Panova usiadł Conklin. Na jego twarzy malował się wyraz wzburzenia i niepewności.

- Co się stało? - zapytał Mo.

- Rozmawiałem z Charliem Cassetem w Waszyngtonie.

- To chyba ten, któremu ufasz, prawda?

- Jest najlepszy ze wszystkich, pod warunkiem że może podejmować decyzje na podstawie bezpośredniego kontaktu, a nie opierając się na wydrukach lub informacjach z monitora, którym nie może zadać żadnych pytań.

- Czyżby znowu usiłował pan wejść na moją działkę, doktorze Conklin?

- Tydzień temu o to samo oskarżyłem Davida i wiesz, co mi odpowiedział? Żyjemy w wolnym kraju, w którym nikt, nawet człowiek z twoim doświadczeniem, nie ma monopolu na zdrowy rozsądek.

- *Mea culpa* - przyznał Panov. - Przypuszczam, że twój przyjaciel z Waszyngtonu zrobił coś, co ci się nie podoba.

- Jemu też by się nie podobało, gdyby wiedział trochę więcej o osobie, z którą to zrobił.

- Zalutuje mi to freudyzmem.
- I słusznie. Casset nawiązał na własną rękę kontakt z niejakim Dymitrem Krupkinem z ambasady radzieckiej w Paryżu. Będziemy pracować z miejscowym KGB - my, to znaczy ty, ja, Bourne i Marie - oczywiście jeśli zastaniemy ich za godzinę na cmentarzu w Rambouillet.
- Co ty wygadujesz? - wykrztusił kompletnie oszołomiony Mo.
- To długa historia, a mamy niewiele czasu. Moskwie zależy na głowie Szakala, najlepiej odciętej od reszty ciała. Waszyngton nie może nam teraz pomagać, więc Rosjanie będą pełnili funkcję naszej niańki, gdybyśmy znaleźli się w potrzebie.
- Panov zmarszczył brwi i potrząsnął głową, usiłując przyswoić sobie zaskakującą informację.
- Nie wydaje mi się, żeby to było zupełnie normalne, ale przyznam, że jest w tym pewna logika.
- Tylko na papierze, Mo - odparł Aleks. - W przeciwieństwie do Casseta ja znam Dymitra Krupkina.
- Tak? Czyżby był złym człowiekiem?
- Kruppie? Nie, nie o to chodzi...
- Kruppie?
- Poznaliśmy się w Stambule pod koniec lat sześćdziesiątych, a potem były Ateny, Amsterdam i jeszcze kilka miejsc. Krupkin nie jest złym człowiekiem. Pracuje dla Moskwy najlepiej, jak tylko może, a jest bystry, choć może nie błyskotliwie inteligentny, ale ma pewien problem: znalazł się po niewłaściwej stronie. Źle się stało, że jego rodzice nie wyjechali z moimi po zwycięstwie bolszewików.
- Zapomniałem, że twoja rodzina pochodzi z Rosji.
- Dobrze, że znam rosyjski, bo dzięki temu mogę wychwytywać wszystkie niuanse tego, co mówi. W gruncie rzeczy to stuprocentowy kapitalista. Podobnie jak ministrowie w Pekinie, nie tylko lubi pieniądze, ale jest nimi wręcz zafascynowany - nimi, a także wszystkim, co się wiąże z ich posiadaniem. Każdy, kto dałby mu odpowiednie gwarancje bezpieczeństwa, mógłby go kupić od ręki.
- Myślisz o Szakalu?
- Widziałem na własne oczy, jak w Atenach wziął pieniądze od greckich spekulantów, którzy usiłowali sprzedać nam tereny pod lotniska, doskonale wiedząc, że zaraz potem zostaniemy stamtąd wyrzuceni przez komunistów. Zapłacili mu, żeby siedział cicho. W Amsterdamie był związany ze środowiskiem handlarzy diamentami. Pośredniczył w transakcjach zawieranych z szuchami z Moskwy. Kiedyś wziąłem go na drinka i zapytałem: „Kruppie, czy ty wiesz, co robisz?”. A on na to, ubrany w garnitur, o jakim ja mogłem tylko marzyć: „Aleksiej, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię przechytrzyć i pomóc Związkowi Radzieckiemu w zdobyciu dominacji nad całym światem, ale tymczasem zapraszam cię na wakacje do mojego domu nad Jeziorem Genewskim”. Tak mi wtedy powiedział, Mo.
- Szczególny facet. Oczywiście opowiedziałeś o wszystkim swemu przyjacielowi Cassetowi...
- Oczywiście, że nie - przerwał mu Conklin.
- Dobry Boże, dlaczego?
- Dlatego że Krupkin nigdy mu się nie przyznał, że mnie zna. Charlie rozpoczął grę, ale to ja rozdaję karty.
- Jak to?
- David, to znaczy Jason, ma w banku na Kajmanach ponad pięć milionów dolarów. Wystarczy mi tylko niewielka część tej forsy, żeby przeciągnąć Kruppiego całkowicie na naszą stronę, oczywiście tylko w przypadku, gdybyśmy tego potrzebowali.
- Co znaczy, że nie ufasz Cassetowi.

- Ująłbym to w nieco inny sposób - odparł Aleks. – Zaryzykowałbym dla niego życie, ale nie jestem pewien, czy chciałbym mu je powierzyć. On i Peter Holland mają swoje priorytety, a my swoje. Im chodzi przede wszystkim o „Meduzę”, nam o Davida i Marie.

- *Messieursi* - przerwała im hostessa. - Przyjechał pański samochód, sir - zwróciła się do Aleksa. - Czekaj na południowym podejździe.

- Jest pani pewna, że na mnie? - zapytał Conklin.

- Proszę mi wybaczyć, *monsieur*, ale powiedziano mi, że chodzi o pana Smitha, który nieco utyka na jedną nogę.

- W takim razie wszystko się zgadza.

- Wezwałam bagażowego, żeby zaniósł panom walizki, *messieurs*. To dość daleko stąd. Będzie czekał na panów przy samochodzie.

- Dziękujemy bardzo.

Conklin wstał z fotela i sięgnął do kieszeni po pieniądze.

- *Pardon, monsieur...* Nie wolno nam przyjmować napiwków.

- Prawda, zapomniałem. Moja walizka jest przy pani biurku, zgadza się?

- Tam gdzie ją pan zostawił. Za kilka minut znajdzie się przy samochodzie razem z walizką doktora, ma się rozumieć.

- Jeszcze raz dziękujemy - powiedział Aleks. - I przepraszam za te pieniądze.

- Wszyscy otrzymujemy wystarczające wynagrodzenie, sir, ale dziękuję, że pan o tym pomyślał.

- Skąd wiedziała, że jesteś lekarzem? - zwrócił się Conklin do Panova, kiedy ruszyli w kierunku drzwi prowadzących do głównej hali portu lotni czego Orły. - Udzielałaś jej jakiejś porady?

- W tym hałasie byłoby to raczej niemożliwe.

- Więc skąd? Przecież nic przy niej nie wspominałem o twoim zawodzie.

- Zna ochroniarza, który mnie przyprowadził. Zdaje się, że nawet dość dobrze. Powiedziała z tym swoim uroczym francuskim akcentem, że jest „bahdzo athakcyjny”.

- Aha... - mruknął Aleks, rozglądając się w poszukiwaniu tablicy, która skierowałaby ich w stronę południowego podjazdu. Po chwili dostrzegł ją i obaj ruszyli we wskazanym kierunku.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi na dystyngowanego mężczyznę o gęstych czarnych włosach i dużych ciemnych oczach, który nie spuszczać z nich wzroku wyszedł za nimi szybkim krokiem z sali przeznaczonej dla dyplomatów. Kiedy wyprzedził obu mężczyzn i znalazł się nieco z boku, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki fotografię i dyskretnie porównał znajdujący się na niej wizerunek z oryginałem, który miał przed sobą. Zdjęcie przedstawiało doktora Morrisa Panova ze szklistym spojrzeniem nieprzytomnych oczu i otepiałym wyrazem twarzy, ubranego w białą szpitalną koszulę.

Dwaj Amerykanie wyszli przed budynek; ciemnowłosa mężczyzna uczynił to samo. Panov i Conklin stanęli, rozglądając się w poszukiwaniu nieznanego samochodu; mężczyzna gestem przywołał swój pojazd. Z jednej ze stojących w kolejce taksówek wysiadł kierowca, podszedł do Amerykanów i zamienił z nimi kilka słów. W tej samej chwili pojawił się bagażowy z ich walizkami. Kiedy dwaj mężczyźni wsiedli do taksówki, śledzący ich brunet wskoczył natychmiast do swojego samochodu.

- *Pazzo!* - powiedział po włosku do siedzącej za kierownicą, modnie ubranej kobiety w średnim wieku. - Mówię ci, to szaleństwo! Czekamy przez trzy dni, pilnujemy jak oka w głowie wszystkich samolotów z Ameryki i już mamy zrezygnować, kiedy okazuje się, że ten dureń z Nowego Jorku miał rację. To oni! Daj, ja poprowadzę, a ty zawiadom naszych ludzi na lotnisku. Powiedz, żeby natychmiast zadzwonili do DeFazio. Ma pójść do tej swojej ulubionej restauracji i czekać na telefon ode mnie. Ma tam siedzieć tak długo, dopóki nie porozmawiamy.

Czy to ty, starcze? - zapytała przyciszonym głosem hostessa, trzymając słuchawkę stojącego na jej biurku telefonu.

- Tak - odparł drżący, chrapliwy głos. - Słyszę już dzwon, który wzywa mnie na ostatni Anioł Pański.

- A więc to ty...

- Już ci powiedziałem, więc mów, o co ci chodzi.

- W liście, który dostaliśmy w ubiegłym tygodniu, wymieniono szczupłego, starszego Amerykanina utykającego na jedną nogę. Prawdopodobnie miał mu towarzyszyć lekarz, zgadza się?

- Zgadza! I co?

- Właśnie wyszli. Powiedziałam „doktorze” do młodszego z nich, a on nie zaprotestował.

- Dokąd poszli? To bardzo ważne!

- Na razie nie wiem, ale wkrótce dowiem się wystarczająco dużo, żebyś mógł sam to sprawdzić, starcze. Bagażowy, który zaniósł im walizki na południowy podjazd, miał zapamiętać markę i numer rejestracyjny samochodu.

- Zawiadom mnie, jak tylko wróci!

Trzy tysiące mil od Paryża, na Prospect Avenue w Brooklynie, Louis DeFazio siedział samotnie przy stoliku w głębi Trafficante's Clam House. Skończył właśnie późnopołudniowy lunch składający się z *vitello tonnato* i starając się zachować swój zwykły, jowialny i dostojny wygląd, otarł usta jaskrawoczerwoną serwetką. W rzeczywistości z najwyższym trudem powstrzymywał się od tego, żeby z wściekłością nie złapać jej zębami. *Maledetto!* Siedział tu już od prawie dwóch godzin, a biorąc pod uwagę to, że na samą drogę z Garafola's Pasta Palace na Manhattanie potrzebował czterdziestu pięciu minut, minęły już prawie trzy godziny od chwili, kiedy ten dureń w Paryżu odnalazł dwóch poszukiwanych mężczyzn. Ile czasu mogą potrzebować dwaj *bersaglios* na dotarcie z lotniska do hotelu? Trzy godziny? Chyba że ten pacan z Palermo postanowił pojechać do Londynu i dopiero stamtąd przekazać wiadomość, co było całkiem możliwe, jeśli znało się Palermo.

DeFazio od początku wiedział, że na pewno ma rację. Z tego, co żydowski doktorek gadał po zastrzykach, wynikało jasno, że on i ten były agent prędzej czy później polecą do Paryża, do swojego kolesia, podstawionego specja od brudnej roboty. Co prawda zaraz potem doktor i Nicolo zniknęli, jakby zapadli się pod ziemię, ale co z tego? Nicky nic nikomu nie powie, bo wie, że za takie rzeczy dostaje się nożem w nerkę, a poza tym wszystko, co by ewentualnie wypaplał, da się jakoś odkręcić i wszystko rozejdzie się po kościach. Co do doktoraka, to ten mógł sobie co najwyżej przypomnieć pokoiak na jakiejś farmie i odwiedzającego go Nicolo. Nic więcej nie słyszał ani nie widział.

Tak więc Louis wiedział, że ma rację, a to oznaczało, że w Paryżu będzie na niego czekało siedem milionów dolarów. Siedem milionów, dobry Boże! Nawet po opłaceniu tych durniów z Palermo zostanie jeszcze wcale pokaźna sumka.

Louis wstrzymał oddech, gdyż do stolika podszedł stary kelner, wuj samego Trafficante.

- Telefon do pana, *signor* DeFazio.

Jak zawsze w takich sytuacjach *capo supremo* poszedł do automatu telefonicznego wiszącego w wąskim korytarzu koło męskiej toalety.

- Tu Nowy Jork - powiedział.

- A tu Paryż, *signor* Nowy Jork. To wszystko jest pazzo!

- Gdzie byłeś? Pojechałeś do Londynu czy co? Czekam już prawie trzy godziny!

- Pętałem się po jakichś nie oświetlonych bocznych drogach, co mi zupełnie stargało nerwy, a teraz jestem w zupełnie nieprawdopodobnym miejscu.

- To znaczy gdzie?

- Dzwonię ze stróżówki przy bramie. Zapłaciłem za to ponad sto dolarów, a dozorca,

taki francuski *buffone*, gapi się na mnie cały czas przez okno. Pewnie pilnuje, żebym mu niczego nie ukradł, na przykład dziurawego wiadra...

- Jaki dozorca? O czym ty mówisz?
- Jestem na cmentarzu, jakieś dwadzieścia pięć mil od Paryża.
- Na cmentarzu? Dlaczego?

- Dlatego że twoi dwaj znajomi prosto z lotniska przyjechali właśnie tutaj, ty *ignorante!* W tej chwili odbywa się tu pogrzeb, po ciemku i z pochodniami, a w dodatku zaraz lunie deszcz, więc jeśli tych dwóch typków przyleciało tu tylko po to, żeby wziąć udział w tej barbarzyńskiej ceremonii, to znaczy, że tam u was w Ameryce powietrze szkodzi rozumowi! Nie będziemy się tym dalej zajmować, Nowy Jork. Mamy wystarczająco dużo pracy.

- Umówili się na spotkanie ze swoim kumplem... - mruknął DeFazio bardziej do siebie niż do swego rozmówcy. - Co do pracy, to jeśli jeszcze kiedykolwiek chcecie pracować z nami, Filadelfią, Chicago albo z Los Angeles, to zrobicie dokładnie to, co wam powiem. Zostaniecie hojnie wynagrodzeni.

- Wreszcie zaczynasz gadać do rzeczy.
- Zostań tam i obserwuj ich dyskretnie. Ustal, dokąd poszli i z kim się widzieli. Zjawię się najszybciej, jak będę mógł, ale to trochę potrwa, bo na wszelki wypadek polecę przez Kanadę albo Meksyk. Powinienem być na miejscu jutro wieczorem albo pojutrze rano.
- *Ciao* - powiedział człowiek z Paryża.
- *Omerta* - odparł Louis DeFazio.

Rozdział 30

Blask migoczących w nocnej mżawce świec wydobywał z ciemności dwa szeregi żałobników, który podążali w milczeniu za białą trumną niesioną na ramionach sześciu mężczyzn. Procesji towarzyszyli czterej werbliści, wybijając powolny rytm marsza żałobnego, nieregularny, bo co chwila któryś z nich ślizgał się na rozmokłej ziemi i kępach wilgotnej trawy. Morris Panov potrząsnął z niedowierzaniem głową, obserwując tajemniczy rytuał. W pewnej chwili z ulgą dostrzegł między nagrobkami sylwetkę utykającego Aleksa.

- Widziałeś ich? - zapytał Conklin.
 - Niestety, nie - odparł Mo. - Tobie chyba nie poszło lepiej?
 - Nawet gorzej. Trafiłem na wariata.
 - Jak to?
 - W domku dozorczy paliło się światło, więc poszedłem tam, żeby sprawdzić, czy David albo Marie nie zostawili dla nas jakiejś wiadomości. Przy oknie stał jakiś kretyń, który powiedział, że jest tu dozorcą, i zapytał, czy nie chciałbym wynająć jego telefonu.
 - Telefonu?
 - Bredził coś o specjalnej stawce za dzisiejszą noc i o tym, że najbliższy automat jest dziesięć kilometrów stąd.
 - Rzeczywiście wariat - zgodził się Panov.
 - Wytłumaczyłem mu, że szukam kobiety i mężczyzny, z którymi miałem się tu spotkać, i zapytałem, czy nie zostawili u niego wiadomości, a on na to, że nie ma wiadomości, ale ma telefon, bardzo dobry, za jedyne dwieście franków...
 - Wygląda na to, że miałbym co robić w Paryżu - zauważył z uśmiechem Panov. - A nie widział przypadkiem jakiejś pary, która pętałaby się po okolicy?
 - Powiedział, że nawet kilka, i wskazał na tę procesję ze świeczkami, a potem zaczął znowu zaglądać przez okno.
 - Co to właściwie za procesja?
 - Też go zapytałem. Jakaś sekta czy coś w tym rodzaju. Grzebią swoich zmarłych tylko w nocy Podejrzewa, że to Cyganie, ale na wszelki wypadek się przeżegnał.
 - Znosi się na to że trochę zmokną - zauważył Panov, stawiając kołnierz. Mżawka przechodziła stopniowo w deszcz.
 - Boże, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? - wykrzyknął Conklin, oglądając się za siebie.
 - O deszczu?
 - Nie, o dużym grobowcu na zboczu wzgórza, za domkiem dozorczy. Przecież tam wszystko się stało!
 - Tam usiłowałeś... - Mo nie dopowiedział pytania. Nie musiał.
 - Mógł mnie tam zabić, ale tego nie zrobił - dokończył za niego Aleks. - Chodźmy!
- Dwaj Amerykanie cofnęli się na zwirową ścieżkę i ruszyli w ciemności w górę łagodnego, porośniętego trawą zbocza. Dookoła nich lśniły mokre od deszczu białe nagrobki.
- Powoli! - wysapał Panov. - Ty już się zdążyłeś przyzwyczaić do tego, że nie masz stopy, ale ja jestem ciągle wykończony po tym, jak nafaszerowali mnie chemikaliami.
 - Przepraszam.
 - Mo! - rozległ się w ciemności kobiecy głos. Zaraz potem ujrzeni postać stojącą pod marmurowym, wspartym na kolumnach dachem grobowca tak dużego, że wyglądał jak miniaturowe mauzoleum; pomachała do nich ręką.
 - Marie! - ryknął Panov i popędził jak spięty ostrogą, wyprzedzając Aleksa.

- Ładne rzeczy! - warknął Conklin, kuśtykając ostrożnie po mikrej trawie. - Wystarczy, że zawoła go kobieta, i już o wszystkim zapomina. Powinieneś zgłosić się do psychiatry, ty łgarzu!

W serdecznym powitaniu, jakie nastąpiło zaraz potem, nie było ni odrobiny fałszu; rodzina znowu znalazła się razem. W chwilę później Panov i Marie pograżyli się w cichej rozmowie, natomiast Bourne odszedł z Conklinem na skraj marmurowej kolumnady. Deszcz lał już jak z cebra. Kondukt pogrzebowy znacznie się przerzedził, świece zgasły, a przy trumnie pozostała najwyżej połowa żałobników.

- Nie chciałem tu przychodzić, Aleks - powiedział Jason - ale jak zobaczyłem te tłumy, nie byłem w stanie wymyślić nic innego.

- Pamiętasz domek dozorczy i szeroką ścieżkę prowadzącą do parkingu? Skończyła mi się amunicja... Mogłeś rozwalić mi łeb na kawałki.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie mógłbym tego zrobić? Widziałem twoje oczy, niezbyt dokładnie, ale widziałem. Owszem, był w nich gniew, ale przede wszystkim niepewność i zdziwienie.

- To jeszcze nie powód, żeby oszczędzić kogoś, kto próbował cię zabić.

- To jest powód, jeśli wcześniej straciłeś pamięć. Nie masz wspomnień jako takich, ale pozostały oderwane fragmenty, pojawiające się i znikające obrazy...

Conklin spojrział na Bourne'a ze smutnym uśmiechem.

- Pulsujące obrazy... Mo to wymyślił. Ukradłeś mu pomysł.

- Całkiem możliwe - odparł Bourne; obaj mężczyźni jak na komendę popatrzyli na Marie i Panova. - Rozmawiają o mnie, prawda?

- A co w tym dziwnego? Oboje troszczą się o ciebie.

- Nie chcę nawet myśleć o tym, ile jeszcze przysporzę im zmartwień. Obawiam się, że tobie też.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Davidzie?

- Właśnie to. Zapomnij o Davidzie. David Webb nie istnieje, w każdym razie na pewno nie teraz i nie tutaj. To tylko rola, którą gram przed jego żoną, ale wiem, że marnie mi to wychodzi. Chcę, żeby wróciła do Stanów, do swoich dzieci.

- Jej dzieci? Na pewno tego nie zrobi. Przyleciała tu po to, żeby cię znaleźć, i to jej się udało. Na pewno cię nie opuści, bo dobrze pamięta wszystko, co tu się działo trzynaście lat temu. Gdyby nie ona, już byś nie żył.

- Stanowi dla mnie obciążenie. Musi wyjechać. Znajdę jakiś sposób. Aleks spojrział prosto w zimne oczy człowieka zwanego kameleonem.

- Masz już pięćdziesiąt lat, Jason - powiedział przyciszonym głosem. - To nie jest Paryż trzynaście lat temu ani Sajgon jeszcze dawniej. To dzieje się teraz i dlatego potrzebna ci jest każda pomoc, jaka tylko się znajdzie. Skoro ona uważa, że może ci przyjść z pomocą, to ja jej wierzę.

- Ja tutaj decyduję, kto w co ma wierzyć! - parsknął z wściekłością Bourne.

- Chyba trochę przesadziłeś, kolego.

- Wiesz, o co mi chodzi - dodał Jason nieco łagodniejszym tonem. - Nie chcę dopuścić do tego, co się zdarzyło w Hongkongu. Chyba nie powinieneś się tym przejmować.

- Może i nie... Słuchaj, chodźmy stąd. Nasz kierowca zna małą wiejską restaurację w Epernon, jakieś dziesięć kilometrów stąd. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. A mamy o czym, możesz mi wierzyć.

- Powiedz mi tylko jedno - zażądał Bourne, nie ruszając się z miejsca. - Dlaczego wzięłeś ze sobą Panova?

- Dlatego że gdybym tego nie zrobił, wstrzyknąłby mi mieszankę wirusów grypy ze strychniną.

- Co toaczy?

- Dokładnie to, co słyszysz. Mo jest jednym z nas i ty wiesz o tym lepiej niż Marie albo ja.

- Coś mu się stało, prawda? Ktoś mu coś zrobił i ja jestem temu winien? - Wrócił i już jest po wszystkim, nic więcej nie powinieneś wiedzieć.

- To sprawka „Meduzy”, prawda?

- Owszem, ale powtarzam jeszcze raz: Mo wrócił i poza tym, że jest trochę zmęczony, prawie nic mu nie dolega.

- Prawie...? Gdzie jest ta restauracja?

- Dziesięć kilometrów stąd. Chłopak świetnie zna Paryż i okolice.

- Kto to jest?

- Algierczyk, który pracuje dla Agencji od wielu lat. Zaangażował go osobiście Charlie Casset. Jest twardy, dużo wie i dostaje za to dużo pieniędzy. Najważniejsze, że można mu ufać.

- Przypuszczam, że musi mi to wystarczyć.

- Nie przypuszczaj, tylko po prostu uwierz.

Usiedli przy stoliku w głębi niewielkiej wiejskiej restauracji. Stolik był nakryty spranym obrusem, krzesła drewniane i przeraźliwie twarde, a wino nawet całkiem niezłe. Gruby, rumiany właściciel zaklinał się, że menu jest wyśmienite, ale ponieważ nikt nie miał ochoty najedzenie, Bourne zapłacił za cztery najdroższe dania i poprosił, żeby im nie przeszkadzano. Rozpromieniony właściciel kazał natychmiast przynieść na stół dwie duże karafki dobrego wina i butelką wody mineralnej, po czym zniknął im z oczu.

- W porządku, Mo - zwrócił się Jason do Panova. - Na pewno nie powiesz mi, co się stało ani kto to zrobił, ale mam nadzieję, że w dalszym ciągu jesteś tym samym pyskatym, wygadany doktorkiem, którego znam od lat?

- Możesz być tego pewien, uciekiniere z oddziału psychiatrycznego Bellevue. A gdyby ci się roilo, że moja obecność jest dowodem nadzwyczajnego heroizmu, to pozwól, że ci wyjaśnię, iż do przyjazdu skłoniło mnie wyłącznie łakomstwo. Jak może zauważyłeś, nasza uroczą Marie siedzi koło mnie, nie koło ciebie, a mnie aż ślinka cieknie do ust na myśl o jej wspaniałych befsztykach...

- Jesteś kochany, Mo - powiedziała żona Davida Webba i uściśniła lekko jego ramię.

- Wiem o tym - odparł doktor, całując ją w policzek.

- Halo, ja też tutaj jestem - wtrącił się Conklin. - Nazywam się Aleks i muszę z wami porozmawiać o sprawach, które nie mają nic wspólnego z befsztykami... . Choć przyznam, że nie dalej niż wczoraj zachwalałem je Peterowi Hollandowi.

- Czemu tak się przyczepiliście do tych befsztyków? - zapytała Marie.

- Przede wszystkim chodzi o to, że są w środku czerwone – wyjaśnił Panov.

- Czy możemy wreszcie przejść do rzeczy? - zapytał głuchym tonem Jason Bourne.

- Przepraszam, kochanie.

- Będziemy pracować z Rosjanami - oznajmił Conklin. - Nie bójcie się, znam dobrze człowieka, z którym mamy się skontaktować, ale Waszyngton nie wie, że go znam - mówił tak szybko, żeby Marie lub Jason nie mogli mu przerwać. - Nazywa się Dymitr Krupkin i, jak już powiedziałem Mo, można go kupić za pięć srebrników.

- Daj mu trzydzieści jeden, żeby nie nawiedziły go wątpliwości - poradził Bourne.

- Byłem pewien, że to powiesz. Proponujesz jakiś górny pułap?

- Nie.

- Zaczekajcie, nie tak szybko - wtrąciła się Marie. - Od jakiej sumy powinniśmy zacząć negocjacje?

- Oho, nasza ekonomistka wzięła się do pracy - mruknął Panov i podniósł do ust kieliszek z winem.

- Biorąc pod uwagę jego pozycję w tutejszym KGB... Jakies pięćdziesiąt tysięcy

dolarów.

- Zaproponujcie mu trzydzieści pięć, a w ostateczności dajcie siedemdziesiąt pięć. Gdyby się bardzo upierał, może być sto.

- Na litość boską, o czym wy mówicie? - syknął Bourne. - Przecież tu chodzi o nas, o Szakala! Niech bierze, ile chce!

- Jeżeli coś łatwo kupisz, nie masz żadnych oporów, żeby sprzedać to komuś, kto da jeszcze więcej.

- Czy ona ma rację? - zapytał Jason Conklina.

- Teoretycznie tak, ale w tym wypadku musiałyby to być równowartość kopalni diamentów. Nikt bardziej od Rosjan nie pragnie unicestwienia Carlosa, a człowiek, który przyniesie jego głowę, zostanie ogłoszony bohaterem. Pamiętajcie, że Szakal był szkolony w Nowogrodzie. Moskwa nigdy o tym nie zapomni.

- W takim razie róbcie, jak mówi Marie, ale koniecznie musicie go kupić!

- W porządku. - Conklin nachylił się ku nim, obracając w dłoni szklanekę z wodą. - Zadzwoń do niego dziś wieczorem i umówię nas na jutrzejszy lunch w jakimś cichym zakątku pod Paryżem. Wczesny lunch, żeby nie było tłoku.

- Może tutaj? - zaproponował Bourne. - To chyba wystarczająco cichy zakątek, a poza tym znamy już drogę.

- Rzeczywiście, czemu nie? - odparł Aleks. - Pogadam z właścicielem. Ale możemy być tylko we dwóch, Jason i ja.

- To oczywiste - powiedział chłodno Bourne. - Marie nie może mieć z tym z nic wspólnego, jasne?

- Naprawdę, David...

- Tak, naprawdę.

- Zostanę z nią - wtrącił szybko Panov. - Zrobisz mi befsztyk? - zapytał, żeby złagodzić napięcie.

- Nie mam dostępu do kuchni, ale znam doskonałą knajpkę, gdzie podają świeżego pstrąga.

- Czegóż się nie robi dla kobiety! - westchnął Mo.

- Powiniście jeść w pokoju - powiedział Bourne tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie chcę być więźniem - odparła spokojnie Marie, patrząc mężowi w oczy. - Nikt nie wie, kim jesteśmy ani gdzie mieszkamy, a wydaje mi się, że ktoś, kto zamyka się w pokoju i nie wychyla z niego nosa, zwraca na siebie uwagę znacznie bardziej niż zwyczajny człowiek prowadzący normalny tryb życia.

- Marie ma rację - poparł ją Aleks. - Jeżeli Carlos spuścił swoje psy, ktoś zachowujący się tak nienaturalnie mógłby łatwo wpaść im w oko. Poza tym, Mo powinien udawać lekarza. I tak nikt nie uwierzy w to, że nim jest, ale to mu doda powagi. Nigdy nie byłem w stanie pojąć, dlaczego lekarze zawsze są poza wszelkimi podejrzeniami.

- Niewdzięczny psychopata - mruknął Panov.

- Może wróciłibyśmy do tematu? - przerwał im Bourne.

- Jesteś bardzo nieuprzejmy, Davidzie.

- Jestem po prostu zniecierpliwiony. Masz coś przeciwko temu?

- W porządku, tylko spokojnie - odezwał się Conklin. - Wszyscy działamy w ogromnym napięciu, ale pewne rzeczy musimy ustalić. Kiedy skaptujemy Krupkina, jego pierwszym zadaniem będzie ustalenie, czyj jest numer telefonu, który Gates podał Prefontaine'owi w Bostonie.

- Kto komu dał co gdzie? - zapytał ze zdumieniem psychiatra.

- Wtedy jeszcze nie było cię z nami, Mo. Prefontaine to wyrzucony z posady sędzieja, który wpadł na ślad Gatesa, jednego z ludzi Carlosa. Mówiąc najkrócej, jak można, ten Gates podał naszemu sędziemu numer, pod którym rzekomo można w Paryżu zastać Szakala.

Tymczasem Jasonowi również udało się zdobyć telefon Szakala. Zupełnie inny. Nie ma jednak najmniejszej wątpliwości co do tego, że tamten człowiek, prawnik nazwiskiem Gates, wielokrotnie kontaktował się z Carlosem.

- Randolph Gates? Największy w całym Bostonie wielbiciel Dżyngis-chana?

- Ten sam.

- Święty Jezu... Przepraszam, nie powinienem tak mówić, zważywszy na moje pochodzenie, ale jestem cokolwiek zaskoczony.

- Wcale ci się nie dziwię. Musimy się dowiedzieć, czyj to numer. Krupkin się tym zajmie. To trochę pogmatwane, przyznaję, ale jestem pewien, że coś z tego wyjdzie.

- Trochę pogmatwane? - powtórzył Panov. - Szczerze mówiąc, wolałbym układać arabską wersję kostki Rubika. A kto to właściwie jest ten sędzia Prefontaine? Brzmi jak nazwa marnego, młodego wina.

- Ale to bardzo dobry, stary rocznik - odparła Marie. - Na pewno go polubisz. Mógłbyś spędzić kilka miesięcy, usiłując go zbadać, bo jest bardziej inteligentny od każdego z nas i nic nie stracił na swej bystrości mimo takich utrudnień jak alkoholizm, korupcja, utrata rodziny i pobyt w więzieniu. To prawdziwy oryginał, Mo, a poza tym nie zwała winy za swoje nieszczęścia na wszystkich dookoła, jak zrobiłaby większość ludzi w jego sytuacji. Ma także wysmienite, ironiczne poczucie humoru. Gdyby w Departamencie Sprawiedliwości pracowali ludzie z głową na karku, natychmiast przywróciliby mu prawo wykonywania zawodu... Zdecydował się wystąpić przeciwko Szakalowi właściwie tylko dlatego, że ludzie Szakala chcieli zabić mnie i dzieci. Jest wart każdego dolara, którego ewentualnie uda mu się zarobić w drugiej rundzie, a ja dopilnuję, żeby było ich sporo.

- Wyrażasz się nadzwyczaj zwięźle i treściwie. Chciałaś chyba po prostu powiedzieć, że go lubisz?

- Podziwiam go tak samo, jak podziwiam ciebie i Aleksa. Zdecydowaliście się podjąć dla nas tak wielkie ryzyko...

- Może wreszcie zajmiemy się tym, co w tej chwili najważniejsze? - przerwał jej gniewnym tonem Bourne. - Teraz nie interesuje mnie przeszłość, tylko przyszłość.

- Jesteś nie tylko nieuprzejmy, kochanie, ale także niewdzięczny.

- Niech i tak będzie. Na czym skończyliśmy?

- Na sędzim - odparł sucho Aleks, spoglądając na Jasona. - Ale o nim nie będziemy teraz mówić, bo prawdopodobnie nie uda mu się ująć z życiem z Bostonu... Jutro zadzwonię do motelu i powiem wam, na którą godzinę wyznaczyłem spotkanie z Krupkinem. Zapamiętajcie dokładnie, ile czasu zajmie wam dzisiaj droga powrotna, żebyśmy potem nie pętali się po okolicy jak stado dzikich gęsi. Jeżeli ten tłuścioch mówił prawdę, zachwalając swoją kuchnię, to Kruppiemu na pewno się tutaj spodoba i będzie wszystkim rozповідаł, że to on odkrył tę knajpę.

- Kruppiemu?

- To dawne czasy.

- I lepiej się w nie nie zagłębiać - dodał Panov. - Zapewniam was, że nie chcielibyście usłyszeć nic ani o Stambule, ani o Amsterdamie. Ci dwaj to para złodziejasków, i tyle.

- Wierzę na słowo - odparła Marie. - Co potem, Aleks?

- Potem razem z Mo przyjedziemy taksówką do motelu, a stamtąd ja z twoim mężem tutaj. Zadzwonimy do was po lunchu.

- A co z tym kierowcą od Casseta? - zapytał Bourne, wpatrując się w Conklina z zimnym, nieruchomym spojrzeniem.

- A co ma być? Dostanie za dzisiejszy wieczór więcej, niż mógłby zarobić na tej swojej taksówce przez miesiąc, i zniknie, jak tylko odwiezie nas do hotelu. Nie zobaczymy go więcej na oczy.

- Chodzi mi o to, kogo on może zobaczyć.

- Nikogo, jeśli zależy mu na tym, żeby żyć i w dalszym ciągu wysyłać pieniądze rodzinie w Algierii. Przecież mówiłem ci, że Casset osobiście go zatrudnił. To pewniak.

- W takim razie, jutro... - rzekł ponuro Bourne. Spojrzał na Marie i Panova siedzących po przeciwnej stronie stołu. - Macie zostać w motelu i nigdzie się stamtąd nie ruszać, rozumiecie?

- Wiesz, co ci powiem, David? - odparła Marie, prostując się na twardym drewnianym krześle. - Mo i Aleks należą do rodziny tak samo jak nasze dzieci, więc mogą to usłyszeć. My wszyscy - wszyscy, rozumiesz? - staramy się postępować z tobą najłagodniej, jak tylko można, ze względu na okropne rzeczy, które przeszedłeś, ale nigdy nie zgodzimy się na to, żebyś pomiatał nami jak jakimiś podrzędnymi, niedorozwiniętymi istotami, którym zdarzyło się znaleźć w towarzystwie twojej świetlanej osoby, rozumiesz?

- Rozumiem. W takim razie proponuję, żebyś wróciła do Stanów, gdzie nie będziesz narażona na towarzystwo mojej świetlanej osoby. - Bourne wstał od stołu. - Jutro czeka mnie ciężki dzień, więc muszę trochę się przespać.

Pewien człowiek, z którym nikt z nas nie może się nawet równać, powiedział mi kiedyś, że odpoczynek także jest groźną bronią. Ja również w to wierzę... Będę czekał w samochodzie przez dwie minuty. Możesz wybierać. Jestem pewien, że Aleksowi uda się jakoś wyekspediować cię z Francji.

- Ty sukinsynu! - syknęła Marie.

- Niech i tak będzie - odparł kameleon i wyszedł.

- Idź za nim! - szepnął do niej Panov. - Przecież widzisz, co się dzieje.

- Nie dam rady, Mo!

- Więc nie dawaj, tylko z nim bądź! Jesteś jego jedyną nadzieją. Nie musisz nawet z nim rozmawiać, tylko bądź przy nim!

- Znowu zamienia się w bezlitosnego mordercę...

- Nigdy nie podniesie na ciebie ręki.

- Wiem o tym.

- W takim razie bądź dla niego pomostem łączącym go z Davidem Webbem. To konieczne, Marie.

- Boże, ja go tak kocham! - wykrzyknęła przez łzy Marie, zrywając się z miejsca, żeby pobiec za człowiekiem, który kiedyś był jej mężem.

- Czy to była słuszna rada, Mo? - zapytał Conklin.

- Nie mam pojęcia, Aleks. Po prostu wydawało mi się, że on nie powinien zostać sam z dręczącymi go koszmarami. Tak mi podpowiada zdrowy rozsądek, wcale nie moja wiedza ani doświadczenie.

- Chwilami mówisz jak prawdziwy lekarz, wiesz o tym?

Algierska część Paryża leży między X i XI dzielnicą; niskie budynki są paryskie z wyglądu, ale wypełniające je odgłosy i zapachy należą do innego, arabskiego świata. W wąskie uliczki enklawy wjechała długa czarna limuzyna z niewielkimi religijnymi emblematami na przednich drzwiach. Kiedy zatrzymała się przed dwupiętrowym budynkiem o drewnianej konstrukcji, wysiadł z niej stary ksiądz. Stanąwszy przed drzwiami, przeczytał nazwiska lokatorów, po czym nacisnął guzik do jednego z mieszkań na pierwszym piętrze.

- *Oui?* - odezwał się skrzeczący głośnik prymitywnego domofonu.

- Przysłano mnie z ambasady amerykańskiej - odparł po francusku ubrany w duchowne szaty mężczyzna. Mówiąc, popełniał typowe dla Amerykanów błędy gramatyczne. - Mam dla pana pilną wiadomość, ale muszę zostać przy samochodzie.

- Zaraz zejdę - odparł Algierczyk zatrudniony przez Charlesa Basseta z Waszyngtonu. Trzy minuty później wyszedł z budynku na wąski chodnik i podszedł do posłańca, który stał

przy limuzynie i zasłaniał umieszczony na jej drzwiach symbol. - Dlaczego jest pan tak ubrany?

- Bo jestem księdzem, mój synu. Nasz wojskowy charge d'affaires chciał by zamienić z tobą kilka słów.

- Zrobiłbym dla was wiele, ale na pewno nie wstąpię do waszej armii - roześmiał się taksówkarz. Nachylił się, by zajrzeć do wnętrza samochodu. - Czym mogę panu służyć, sir?

- Dokąd zawiozłeś naszych ludzi? - zapytała skryta w cieniu postać na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Jakich ludzi? - W głosie Algierczyka pojawiła się nuta niepokoju.

- Tych dwóch, których kilka godzin temu zabrałeś z lotniska. Jeden kulął.

- Jeżeli pan jest z ambasady, to chyba może pan sam ich o to zapytać, prawda?

- Ty mi to powiesz!

Nagle zza samochodu wyszedł trzeci, potężnie zbudowany mężczyzna, doskoczył błyskawicznie do nie spodziewającego się niczego Araba i uderzył go w głowę grubą gumową pałką. Następnie wpełznął nieprzytomną ofiarę na tylne siedzenie, pomógł zająć miejsce staremu człowiekowi w sutannie, po czym zwinnie wskoczył za kierownicę. Czarna limuzyna ruszyła raptownie, błyskawicznie nabierając szybkości.

Godzinę później na opustoszałej rue Houdon, w pobliżu placu Pigalle, zakrwawione ciało Algierczyka zostało wyrzucone z samochodu. Siedząca w cieniu postać zwróciła się do starego księdza:

- Weź swój samochód i stań pod hotelem, w którym mieszka kulawy. Miej oczy szeroko otwarte. Rano ktoś cię zmieni, więc będziesz mógł się wyspać. Melduj o każdym jego ruchu i gdziekolwiek pojedzie, ty jedź za nim. Nie zawieź mnie.

- Nigdy, *monseigneur*.

Dymitr Krupkin nie był ani specjalnie wysoki, ani zbyt otyły, ale wydawał się wyższy i cięższy niż w rzeczywistości. Miał przyjemną, pełną twarz i dużą głowę, a krzaczaste brwi, gęste włosy i starannie utrzymana szpakowata broda tworzyły interesujące zestawienie z bystrymi, błękitnymi oczami i szerokim, często pojawiającym się uśmiechem. Sprawiał wrażenie człowieka w pełni zadowolonego z życia, a przy tym obdarzonego wybitną inteligencją. Siedział w wiejskiej restauracji w Epernon przy stojącym w głębi sali stoliku. Naprzeciwko miał Aleksa Conklina, który właśnie wyjaśnił, że od jakiegoś czasu nie pije alkoholu. Przy stoliku siedział także Jason Bourne, którego Conklin nie przedstawił podczas powitania.

- Świat się kończy! - wykrzyknął Rosjanin. W jego angielskim bez trudu można było usłyszeć obcy akcent. - Proszę, co może się stać z porządnym człowiekiem na tym zgniłym Zachodzie! Współczuję twoim nieżyjącym rodzicom. Powinni byli zostać u nas.

- Chyba nie chcesz, żebym porównał liczbę alkoholików w naszych krajach?

- Za żadne pieniądze - odparł z uśmiechem Krupkin. - A skoro już mowa o pieniądzach, mój drogi, stary przeciwniku: ile ma wynosić moje honorarium za to, co zaproponowałeś mi wczoraj przez telefon?

- A ile pan chce? - zapytał Jason.

- Ach, więc to pan jest moim dobroczyńcą?

- Jeśli chodzi panu o to, kto będzie płacił, to owszem, ja.

- Cicho! - syknął Conklin, spoglądając z natężeniem w kierunku wejścia do lokalu. Wychylił się nieco, żeby lepiej widzieć, ale szybko cofnął głowę, kiedy kelner ruszył wraz z nowo przybyłą parą w kierunku stolika po lewej stronie drzwi.

- O co chodzi? - zapytał Bourne.

- Nie wiem... Nie jestem pewien.

- Kto przyszedł, Aleksiej?
- Właśnie o to chodzi, że nie wiem. Znam go skądś, ale nie mogę sobie przypomnieć...
- Gdzie siedzi?
- W kącie sali, za barem. Jest z kobietą.

Krupkin przesunął się nieco wraz z krzesłem, wyjął z kieszeni portfel i wydobyl z niego małe lusterko rozmiarów i grubości karty kredytowej. Ukrywszy je w dłoni, ustawił ostrożnie pod odpowiednim kątem.

- Chyba za często przeglądasz kroniki towarzyskie w paryskich dziennikach - roześmiał się, chowając lusterko do portfela, a ten z powrotem do kieszeni. - Pracuje we włoskiej ambasadzie, a ta kobieta to jego żona. Paolo i Davinia coś tam, z wielkimi pretensjami do szlachectwa, jak mi się wydaje. *Corpo diplomatico*, zawsze w zgodzie z protokołem. Znakomicie się ubierają i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że są obrzydliwie bogaci.

- Nie obracam się w tych kręgach, ale jestem pewien, że już ich gdzieś widziałem.

- Oczywiście, że tak. Jest podobny jak dwie krople wody do wszystkich włoskich gwiazdorów filmowych albo do któregoś z tych właścicieli winnic, zachwalających w telewizyjnych reklamówkach niepowtarzalny smak chianti classico.

- Może masz rację.

- Nawet na pewno. - Krupkin przeniósł uwagę na Bourne'a. - Napiszę panu numer konta i nazwę banku w Genewie. - Rosjanin wyciągnął długopis i sięgnął po serwetkę, ale nim zdążył cokolwiek napisać, do stolika podszedł szybkim krokiem trzydziestokilkuletni mężczyzna ubrany w do pasowany garnitur.

- Co się stało, Siergiej? - zapytał Krupkin.

- Chodzi o niego - odparł mężczyzna, wskazując ruchem głowy na Bourne'a.

- Co się stało? - powtórzył pytanie Jason.

- Jest pan śledzony. Z początku nie byliśmy pewni, bo to stary człowiek, chyba chory na nerki. Dwa razy wychodził z samochodu, żeby oddać mocz, ale potem dzwonił gdzieś z wozu. Na pewno podał nazwę restauracji, bo mrużył oczy, żeby ją przeczytać.

- Skąd wiecie, że właśnie mnie śledził?

- Przyjechał zaraz za panem, a my byliśmy tu już pół godziny wcześniej, żeby obstawić teren.

- Obstawić teren! - wybuchnął Conklin, patrząc na Krupkina. - Wydawało mi się, że to będzie poufne spotkanie, tylko między nami trzema!

- Mój kochany, poczciwy Aleksiej! Naprawdę uważasz, że umówiłbym się z tobą, nie zadbawszy uprzednio o swoje bezpieczeństwo? Nie chodzi o ciebie, przyjacielu, tylko o twoich wrogów w Waszyngtonie. Zresztą, sam pomyśl: zastępca dyrektora CIA stara się nawiązać ze mną kontakt w sprawie doskonale mi znanego człowieka, udając jednocześnie, że nic nie wie o naszej znajomości. Przecież to dziecinada!

- Nigdy mu o niczym nie powiedziałem!

- W takim razie pomyliłem się. Przepraszam, Aleksiej.

- Lepiej niech pan nie przeprosza - wtrącił się Jason. - Ten stary człowiek pracuje dla Szakala.

- Dla Carlosa? - Błękitne oczy zabłyśły nienawiścią i podnieceniem. - Masz Carlosa na karku, Aleksiej?

- Nie ja, tylko on - odparł Conklin. - Twój dobroczyńca.

- Dobry Boże! Wreszcie to wszystko zaczyna mieć jakiś sens... A więc mam przyjemność poznać słynnego Jasona Bourne'a. To dla mnie wielki za szczyt, sir! W przypadku Carlosa przyświeca nam chyba ten sam cel, prawda?

- Jeśli wasi ludzie znają się na rzeczy, możemy go dostać najdalej w ciągu godziny. Szybko! Musimy stąd wyjść jakimś tylnym wyjściem, przez okno, kuchnię, wszystko jedno! Znalazł mnie i może pan być pewien, że już tu jedzie, żeby dostać mnie w swoje ręce. Tylko

nie wie, że my o tym wiemy. Chodźmy!

Kiedy trzech mężczyźni wstali z krzeseł, Krupkin wydał polecenia swemu człowiekowi.

- Niech samochód podjedzie od tyłu, ale spokojnie, bez pośpiechu. Zróbcie to tak, żeby nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń. Rozumiesz, Siergiej?

- Pojedziemy pół mili drogą, a potem skręcimy w pole i wrócimy szerokim łukiem. Ten staruszek w samochodzie niczego nie zauważy.

- Bardzo dobrze. Odwody na razie mają zostać na miejscu, ale chłopcy niech będą w pogotowiu.

- Tak jest, towarzyszu.

Mężczyzna ruszył szybkim krokiem do wyjścia.

- Odwody? - nie wytrzymał Aleks. - Masz nawet odwody?

- Proszę cię, Aleksiej, po co te sceny? To przecież twoja wina. Wczoraj nie wspomniałeś mi ani słowem o spisku przeciwko zastępcy dyrektora.

- To nie jest żaden spisek, na litość boską!

- Tylko co? Wzorcowa współpraca między podwładnym i przełożonym? Nie, Aleksiej. Wiedziałeś, że będziesz mógł mnie wykorzystać, i zrobiłeś to. Nie zapominaj, mój wieloletni przeciwniku, że w głębi duszy cały czas jesteś Rosjaninem!

- Może wreszcie zamkniecie się i pójdziecie ze mną?

Siedzieli w opancerzonym citroenie Krupkina zaparkowanym na skraju pola mniej więcej trzydzieści metrów za samochodem człowieka, który śledził Bourne'a. Mieli stąd doskonały widok na wejście do restauracji. Jason słuchał w zniecierpliwieniu, jak Conklin i Krupkin wspominają różne wydarzenia z przeszłości, analizując z profesjonalnym znużeniem wszystkie błędy i niedociągnięcia. Odwody oficera KGB okazały się dwoma uzbrojonymi w pistolety maszynowe ludźmi siedzącymi w niepozornym samochodzie z drugiej strony wejścia do budynku.

Nagle przed drzwiami podjechał duży renault kombi; w środku siedziało sześć roześmianych, rozgadanych par. Wysiedli wszyscy oprócz kierowcy, który odjechał, by zostawić samochód na niewielkim parkingu.

- Zatrzymajcie ich! - odezwał się Jason. - Mogą zginąć.

- Mogą, panie Bourne, ale jeśli ich zatrzymamy, stracimy Szakala. Jason zamilkł, wpatrując się w Rosjanina. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli, żeby zaprotestować, a kiedy wreszcie mu się to udało, było już za późno na protesty. Od strony Paryża nadjechał z dużą prędkością ciemnobrązowy samochód.

- To ten z bulwaru Lefebvre! - wykrzyknął Bourne. - Ten, który uciekł!

- Skąd? - zapytał Conklin.

- Kilka dni temu na bulwarze Lefebvre było jakieś poważne zamieszanie - podchwycił Krupkin. - O tym pan mówi?

- Przygotowali na mnie pułapkę. Wysłali furgonetkę po Carlosa, ale wsiadł do niej jego dubler. Ten samochód wypadł z bocznej uliczki. Strzelali do nas.

- Do nas? - Patrząc na Jasona, Aleks widział zawzięty, pełen nienawiści grymas na jego twarzy i kurczowe ruchy zaciskających się i rozprostowujących palców.

- Do Bernardine'a i mnie... - wyszeptał chrapliwie Bourne, po czym nagle podniósł głos: - Muszę mieć broń! Nie pukawkę, tylko prawdziwą broń!

Siedzący za kierownicą Siergiej sięgnął pod siedzenie, wydobył stamtąd rosyjski AK-47 i podał Jasonowi, który niemal wyrwał mu go z rąk.

Ciemnobrązowy samochód zatrzymał się z szurgotem opon przed zdobiącą wejście wypłowiałą markizą. Wskoczyli z niego dwaj ludzie z naciągniętymi na twarz maskami z pończoch i z pistoletami maszynowymi w rękach. Podbiegli do drzwi, a z samochodu wysiadł trzeci mężczyzna, wyraźnie łysiejący, ubrany w czarną sutannę. Dwaj zamaskowani osobnicy sięgnęli do klamek przy obu skrzydłach drzwi; Siergiej uruchomił silnik citroena.

- Ruszaj! - krzyknął Bourne. - To on, Carlos!
- Nie! - ryknął Krupkin. - Czekaj. Musi wejść do środka, do pułapki.
- Na litość boską, przecież tam są ludzie! - zaprotestował Jason.
- Każda wojna niesie ze sobą ofiary, panie Bourne, a to jest wojna, pańska i moja.

Nawiasem mówiąc, pańska jest znacznie bardziej osobista od mojej.

Nagle z gardła Szakala wydobył się triumfalny ryk zemsty i dwaj terroryści wpadli do wnętrza lokalu, siejąc wokół ciągłym ogniem.

- Teraz! - krzyknął Siergiej i wdepnął w podłogę pedał gazu. Citroen wystrzelił z miejsca, ale nie zdążył nabrać prędkości, bo niemal w tej samej chwili potężna eksplozja rozniosła na strzępy stojący trzydzieści metrów przed nim samochód i siedzącego w nim starca. Citroen skręcił gwałtownie w lewo, wbijając się w stary drewniany płot, który oddzielał od drogi niewielki parking, wykorzystywany przez gości restauracji. Jednocześnie brązowy pojazd Szakala ruszył nie do przodu, jak można się było spodziewać, lecz do tyłu, zakręcił raptownie i znieruchomiał. Kierowca wyskoczył na zewnątrz i ukrył się za maską; dostrzegł pędzących w kierunku budynku Rosjan z drugiego samochodu. Krótką serią ściał z nóg jednego z nich, a drugi rzucił się w bok, w wysoką trawę, skąd mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak pociski przebijają opony i szyby wozu.

- Wysiadajcie! - ryknął Siergiej, ciągnąc za sobą Bourne'a. Conklin i oszołomiony Krupkin wypełzli na pole przez tylne drzwi.

- Szybko! - Jason podniósł się, ściskając mocno w dłoniach AK. - Ten sukinsyn zdetonował ładunek przez radio!

- Ja pójdę pierwszy - oznajmił stanowczo Rosjanin.
- Dlaczego?
- Szczerze mówiąc, jestem młodszy i silniejszy...
- Zamknij się!

Bourne popędził przed siebie zygzakiem, usiłując ściągnąć na siebie ogień; kiedy mu się to udało, padł na ziemię, a następnie starannie wycelowwał; wiedział, że kierowca Szakala wychyli się, żeby sprawdzić skuteczność swoich strzałów. Tak się istotnie stało i Jason delikatnie nacisnął spust.

Kiedy leżący w trawie Rosjanin usłyszał śmiertelny, urwany krzyk, poderwał się i ruszył biegiem w kierunku wejścia do restauracji. Ze środka dobiegały odgłosy strzałów i przerażone, paniczne wrzaski. We wnętrzu przytulnej wiejskiej gospody rozgrywały się sceny przeniesione żywcem z najokrutniejszego filmu grozy. Bourne i Siergiej dołączyli do czającego się przy wejściu mężczyzny; kiedy Jason skinął głową, Rosjanin pchnął drzwi i we trójkę wpadli do środka.

Widok, jaki ujrzeli, przypominał mrozące krew w żyłach, piekielne wizje Kaathe Kollwitz. Kelner i dwaj niedawno przybyli mężczyźni byli martwi; kelner i jeden z mężczyzn leżeli na podłodze z roztrzaskanymi czaszkami i twarzami zbryzganymi krwią, a drugi mężczyzna na stole, wpatrzony w sufit szklistym, przerażonym spojrzeniem. Jego ciało było dosłownie podziurawione kulami, ubranie przesiąknięte krwią. Kobiety, wszystkie w szoku, jęczały i wyły rozpaczliwie, tuląc się do ścian. Nigdzie w polu widzenia nie było ani starannie ubranego pracownika włoskiej ambasady, ani jego żony. Nagle Siergiej skoczył do przodu i nacisnął spust pistoletu. W kącie pomieszczenia dostrzegł postać, na którą Bourne nie zwrócił uwagi. Zabójca w naciągniętej na twarz masce usiłował jeszcze skierować broń w ich stronę, ale nie zdążył, przecięty wpół serią... Jeszcze jeden, za barem! Czyżby Szakal? Jason przywarł do ściany, omiatając rozgorączkowanym spojrzeniem wnętrze, po czym doskoczył do drewnianego kontuaru. Drugi Rosjanin błyskawicznie zorientował się w sytuacji i z gotową do strzału bronią podbiegł do kobiet, by uchronić je przed atakiem pozostałych przy życiu morderców. Ten, który ukrył się za barem, nie wytrzymał i zerwał się na równe nogi; Bourne sięgnął z dołu, złapał za gorącą lufę, szarpnął ją w bok i z bliska strzelił

zamaskowanemu terroryście prosto w twarz. To nie był Carlos! Gdzie on się podział?

- Tam! - krzyknął Siergiej, jakby usłyszał rozpaczliwe pytanie Jasona.
- Gdzie?
- Za tymi drzwiami!

Drzwi prowadziły do kuchni. Przyczaili się po obu stronach kołyszących się lekko skrzydeł, lecz zanim Bourne zdążył dać ponownie sygnał skinieniem głowy, odrzucił ich podmuch eksplozji; w kuchni wybuchł granat. Wszędzie posypał się grad szklanych i metalowych odłamków. Dym, który przedostał się do sali jadalnej, miał kwaśny, wstrętny zapach.

Zapadła cisza.

Jason i Siergiej ponownie zbliżyli się do wejścia do kuchni, lecz powstrzymała ich kolejna eksplozja, a zaraz potem ulewa pocisków, przebijających z łatwością cienkie laminowane drzwi.

Cisza.

Czekali bez ruchu.

Cisza.

Wściekły, zdesperowany Delta nie mógł już dłużej czekać. Ustawił swój AK na ogień ciągły, nacisnął spust i wskoczył do kuchni, przypadając natychmiast do podłogi. Po chwili przestał strzelać.

Cisza.

A potem scena z innego piekła: ziejąca w ścianie poszarpana dziura, martwe ciała właściciela i kucharza, krew na ścianach i podłodze.

Bourne dźwignął się na nogi, czując, jak drży każdy mięsień jego ciała, a on sam zbliża się coraz bardziej do krawędzi, za którą nie ma nic oprócz oceanu hysterii. Jak człowiek pogrążony w transie rozglądał się po rumowisku, aż wreszcie jego wzrok padł na płachtę szarego, pakowego papieru, przybitą do ściany rzeźniczym toporem. Zbliżył się, wyrwał topór i przeczytał słowa napisane grubym, czarnym ołówkiem:

„Drzewa w Tannenbaum będą płonąć, a dzieci wraz z nimi. Śpij dobrze, Jasonie Bourne”.

Jego życie rozpadło się na tysiąc fragmentów niczym roztrzaskane lustro. Pozostał mu tylko krzyk.

Rozdział 31

Davidzie, przestań!

- Boże, on oszalał! Aleksiej, Siergiej, trzymajcie go... Pomóż, Siergiej! Przytrzymajcie go na ziemi, żebym mógł z nim porozmawiać. Musimy stąd szybko uciekać!

Na razie wszystko, co udało im się osiągnąć, to powalić krzyczącego przeraźliwie Bourne'a w wysoką trawę. Chwilę wcześniej wypadł na zewnątrz przez wyrwaną w ścianie dziurę, naciskając rozpaczliwie spust swego AK.-47 jakby w nadziei, że któryś z pocisków dosięgnie uciekającego Szakala. Kiedy opróżnił cały magazynek, dwaj Rosjanie doskoczyli do niego, wyrwali mu broń z ręki i zaprowadzili z powrotem do zrujnowanego wnętrza restauracji, gdzie czekali Aleks i Krupkin. Podtrzymując słaniającego się na nogach, zlanego potem Bourne'a, wyszli przed budynek, gdzie Jasona dopadł atak nie kontrolowanej hysterii.

Samochód Szakala zniknął. Carlos po raz kolejny wydostał się z potrzasku, a Jason Bourne oszalał.

- Trzymajcie go! - ryknął Krupkin, klękając na ziemi przy szamoczącym się Jasonie. Objął jego twarz dłońmi, ścisnął mocno i odwrócił w swoją stronę. - Powiem to tylko raz, panie Bourne. Jeśli pan tego nie zrozumie, zostanie pan tutaj sam i osobiście poniesie wszystkie konsekwencje... Musimy stąd jak najprędzej odjechać. Jeżeli weźmie się pan w garść, najdalej za godzinę będziemy mogli skontaktować się z odpowiednimi ludźmi z pańskiego rządu. Przeczytałem to ostrzeżenie i zapewniam pana, że są sposoby, żeby zapewnić bezpieczeństwo pańskiej rodzinie. Ale pan musi osobiście zwrócić się do właściwych osób. Albo pan natychmiast oprzytomnieje, panie Bourne, albo może pan iść do diabła. No więc jak?

Jason jęknął rozpaczliwie, przyciskany do ziemi nieustępliwymi ramionami i kolanami, po czym spojrział znacznie przytomniejszym wzrokiem na oficera KGB.

- Puśćcie mnie, sukinsyny... - wykrztusił.
- Jeden z tych sukinsynów ocalił panu życie.
- A wcześniej ja jemu. Jesteśmy kwita.

Opancerzony citroen pędził boczną drogą w kierunku autostrady prowadzącej do Paryża. Krupkin wezwał przez telefon komórkowy specjalny oddział do usunięcia wraku samochodu, którym przyjechali do Epernon jego dwaj ludzie (ma się rozumieć, rozmowa była szyfrowana). Ciało zabitego Rosjanina spoczywało w bagażniku citroena, a w razie gdyby sprawa wyszła na jaw, oficjalny komunikat ambasady miał brzmieć następująco: dwaj dyplomaci niższego szczebla znaleźli się przypadkowo w restauracji, na którą dokonano terrorystycznego napadu. Zabójcy mieli na twarzach maski z pończoch. Dyplomatom udało się uciec przez tylne drzwi, a kiedy po pewnym czasie wrócili, zastali w lokalu tylko rozhisteryzowane kobiety i jedynego mężczyznę, któremu udało się przeżyć. Natychmiast zameldowali o tym swoim zwierzchnikom, a ci polecili im zawiadomić policję i bezzwłocznie wracać do ambasady. Interesy Związku Radzieckiego nie mogły zostać narażone na szwank w związku z przypadkową obecnością jego przedstawicieli w miejscu budzącego odrazę przestępstwa.

- Przyznasz chyba, że to brzmi bardzo po rosyjsku, prawda? – zapytał Krupkin.
- Ale czy ktoś wam uwierzy? - powątpiewał Aleks.
- To nie ma najmniejszego znaczenia. W Epernon wszystko aż cuchnie Szakalem. Wysadzony w powietrze starzec, dwaj martwi terroryści w maskach z pończoch - Surete wie, co to znaczy. Nawet gdybyśmy brali w tym udział, to po właściwej stronie, więc nie będą się tym za bardzo interesować.

Bourne siedział w milczeniu przy oknie, obok niego Krupkin, a Conklin przed nimi, na rozkładanym dodatkowym miejscu. Nagle Jason oderwał wzrok od uciekającego krajobrazu i rąbnął pięścią w oparcie fotela.

- Boże, moje dzieci! - krzyknął. - Skąd ten skurwiel dowiedział się o Tannenbaum?!

- Proszę mi wybaczyć, panie Bourne - odparł łagodnie Krupkin. - Wiem doskonale, że łatwiej mi to mówić, niż panu uwierzyć, ale już wkrótce skontaktuje się pan z Waszyngtonem. Wiem co nieco o możliwościach waszej Agencji, jeśli chodzi o ukrywanie zagrożonych ludzi, i muszę przyznać, że są one wręcz oszałamiające.

- Chyba nie bardzo, skoro Carlosowi udało się dotrzeć aż tam!

- Może wcale tam nie dotarł. Nie jest wykluczone, że korzystał z innego źródła.

- Nie ma żadnych innych źródeł!

- Tego nigdy nie można być do końca pewnym.

W oślepiających promieniach wczesnopopołudniowego słońca pędzili ulicami Paryża, wypełnionymi tłumem spoconych, zmęczonych upałem ludzi. Wreszcie dotarli do radzieckiej ambasady przy bulwarze Lannes i wjechali przez otwartą bramę. Nikt ich nie zatrzymał. Strażnicy z daleka rozpoznali szarego citroena Krupkina. Samochód zatrzymał się na okrągłym podjeździe przed imponującymi marmurowymi schodami, które prowadziły do zwieńczonego rzeźbionym łukiem wejścia.

- Zostań pod ręką, Siergiej - polecił oficer KGB. - W razie czego zajmij się kontaktami z Surete. - Potem, jakby tknięty jakąś myślą, zwrócił się do mężczyzny siedzącego z przodu obok kierowcy: - Nie gniewajcie się, młody kolego, ale mój przyjaciel ma w tym po tylu latach służby więcej doświadczenia od was. Dla was jednak też mam zadanie. Zajmiecie się kremacją zwłok naszego poległego towarzysza. W Wydziale Spraw Wewnętrznych wyjaśnią wam wszystkie formalności.

Następnie Dymitr Krupkin skinął głową, dając Jasonowi i Aleksowi znak, żeby wysiedli z samochodu i szli za nim.

Kiedy znaleźli się we wnętrzu budynku, wyjaśnił uzbrojonemu strażnikowi, że jego dwaj goście nie muszą przechodzić przez bramkę z wykrywaczem metali, który to rytuał obowiązywał wszystkie osoby wchodzące do ambasady.

- Wyobrażacie sobie to zamieszanie? - mruknął do nich po angielsku. - Dwaj agenci CIA usiłują wejść z bronią do bastionu proletariatu? Boże, już czuję, jak odmrażam sobie jaja gdzieś na Syberii!

Przeszli przez suto zdobiony dziewiętnastowieczny hol do typowo francuskiej metalowej windy i pojechali na drugie piętro. Krupkin otworzył ażurowe drzwi i poprowadził ich szerokim korytarzem.

- Skorzystamy z tajnej sali konferencyjnej - powiedział. - Będziecie pierwszymi i ostatnimi Amerykanami, którzy ją zobaczą. Ma tę zaletę, że to jedno z nielicznych pomieszczeń bez podsłuchu.

- Chyba nie chciałbyś, żeby cię teraz słyszano, co? - zachichotał Conklin.

- Tak samo jak ty, Aleksiej, już dawno nauczyłem się oszukiwać te głupie urzędnika. Teraz wolę jednak nie ryzykować, bo jeśli mam być szczerzy, chodzi mi przede wszystkim o to, żeby ochronić nas przed nami samymi. Zapraszam do środka.

Tajna sala konferencyjna dorównywała wielkością przeciętnej jadalni w podmiejskim domku, ale była wyposażona w długi czarny stół i obszerne fotele, sprawiające wrażenie nadzwyczaj wygodnych. Ściany pokrywała ciemnobrązowa boazeria, na ścianie nad fotelom przewodniczącego wisiał oczywiście portret Lenina, a poniżej znajdowała się niewielka telefoniczna konsola.

- Wiem, że to dla was bardzo pilne, więc przede wszystkim zamówię wam wolną linię - powiedział, podchodząc do urzędnika. Podniósł słuchawkę, wypowiedział ostrym tonem kilka słów po rosyjsku, po czym odłożył ją i odwrócił się do Amerykanów. - Dostaliście

numer dwadzieścia sześć. Drugi rząd, pierwszy przycisk z prawej strony.

- Dziękuję. - Conklin skinął głową, wy dobył z kieszeni skrawek papieru i podał go oficerowi KGB. - Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, Kruppie. To numer telefonu w Paryżu, podobno do Szakala, ale zupełnie inny niż ten, jaki dostał Bourne i pod którym go zastał. Nie wiemy, co się pod tym kryje, choć na pewno ma to jakiś związek z Carlosem.

- A nie chcecie tam dzwonić, żeby się przedwcześnie nie zdradzić... Oczywiście, rozumiem. Po co wywoływać panikę, jeśli to nie jest konieczne? Zajmę się tym. - Krupkin spojrzał na Jasona z wyrazem twarzy starszego, współczującego kolegi. - Niech pan będzie dobrej myśli, panie Bourne. Mimo pańskich obaw w dalszym ciągu wierzę w umiejętności chłopców z Langley. Nawet nie powiem, ile razy udało im się storpedować moje plany.

- Jestem pewien, że odplacił im pan pięknym za nadobne - odparł Jason, zerkając niecierpliwie w stronę konsoli.

- Ta świadomość utrzymuje mnie przy życiu.

- Dziękujemy, Kruppie - powiedział Aleks. - Pozwól, że użyję twoich słów: jesteś dobrym, starym wrogiem.

- Już ci mówiłem, to wszystko wina twoich rodziców! Gdyby nie opuścili Matki Rosji, dzisiaj my dwaj trzęsilibyśmy całym Komitetem Centralnym.

- I mielibyśmy dwa domy nad Jeziorem Genewskim?

- Czyś ty oszalał, Aleksiej? Całe jezioro byłoby nasze! - Krupkin roześmiał się cicho, odwrócił i wyszedł z pokoju.

- Świetnie się bawicie, prawda? - zapytał Bourne.

- Do pewnego stopnia - przyznał Aleks. - Ale w chwili gdy po obu stronach giną ludzie, zabawa się kończy.

- Zadzwoń do Langley - powiedział Jason, wskazując ruchem głowy konsolę. - Holland musi mi wytłumaczyć parę rzeczy.

- To nic nie da...

- Jak to?

- Jest za wcześnie, w Stanach dochodzi dopiero siódma rano. Myślę jednak, że uda mi się przezwyciężyć tę niedogodność. - Mówiąc to Conklin wyjął z kieszeni niewielki notes.

- Niedogodność? - wykrzyknął z wściekłością w głosie Bourne. - Co to za pieprzenie, Aleks? Zrozum, ja za chwilę oszaleję! Chodzi o moje dzieci!

- Uspokój się. Chciałem tylko powiedzieć, że mam jego zastrzeżony numer do domu.

Conklin usiadł przy konsoli, podniósł słuchawkę i nacisnął przyciski z cyframi.

- Przezwyciężyć niedogodność, niech cię szlag trafi! Czy wy w ogóle potraficie jeszcze mówić jak normalni ludzie?

- Przepraszam, profesorze, to kwestia przyzwyczajenia... Peter? Tu Aleks. Otwórz oczy i obudź się, żeglarzu. Mamy kłopoty.

- Nie muszę się budzić - odparł głos z Fairfax w stanie Wirginia. - Właśnie wróciłem z pięciomilowej przebieżki.

- Wam, dwunogom, wydaje się, że jesteście strasznie dowcipni.

- Boże, przepraszam cię, Aleks! Naprawdę nie chciałem...

- Wiem, że nie chciałeś. Kadecie Holland, mamy problemy.

- To znaczy, że przynajmniej udało ci się odnaleźć Bourne'a.

- Stoi za moimi plecami. Może zainteresuje cię wiadomość, że dzwoniemy z radzieckiej ambasady w Paryżu.

- Co takiego? Jezu przenajświętszy!

- To nie jego sprawa, tylko Casseta. Nie pamiętasz?

- Zapomniałem... Tak, oczywiście. Co z żoną Bourne'a?

- Został z nią Mo Panov. Doktor wziął na siebie wszystkie sprawy medyczne, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny.

- Ja też. Co się właściwie stało?
- Nic takiego, o czym chciałbyś usłyszeć, ale mimo to usłyszysz, głośno i wyraźnie.
- O czym ty gadasz, do diabła?
- Szakał wie o posiadłości Tannenbaum.
- Oszalałeś! - wrzasnął dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej tak głośno, że aż w słuchawce rozległ się skrzeczący przydźwięk. - Nikt o tym nie wie, tylko Charlie Casset i ja! Przygotowaliśmy przerzut tak skomplikowaną trasą i z tyloma zmianami nazwisk, że nikt nie mógłby się w tym połapać. Poza tym nigdzie ani słowem nie wspomniano o Tannenbaum! Klnę się na Boga, Aleks! To niemożliwe, po prostu niemożliwe!
- Fakty pozostają faktami, Peter. Mój przyjaciel otrzymał list, a w nim było zdanie o tym, że drzewa w Tannenbaum spłoną, a dzieci razem z nimi.
- Sukinsyn! - wykrzyknął Holland. - Nie rozłączaj się - polecił. - Zadzwońię specjalną linią do St. Jacques'a i każę im wyjechać jeszcze dziś rano. Nie rozłączaj się, rozumiesz?
- Conklin spojrział na Bourne'a; trzymał słuchawkę odsuniętą od ucha, tak że obaj mogli doskonale słyszeć słowa Hollanda.
- Jeżeli jest jakiś przeciek, a nie ma żadnej wątpliwości, że jest, to na pewno nie w Langley - powiedział Aleks.
- Musi tam być! Niech sprawdzi dokładniej.
- Gdzie?
- Boże, przecież to wy jesteście fachowcami! Załoga helikoptera, którym lecieli, ludzie z Londynu, którzy wyrazili zgodę na przelot nad terytorium Zjednoczonego Królestwa... Skoro Carlos kupił nawet gubernatora Montserrat i jednego z szefów policji, czemu nie mógłby mieć kogoś jeszcze wyżej?
- Aleks nie dawał za wygraną.
- Przecież słyszałeś, co mówił Peter. Nazwiska były fałszywe, trasa pogmatwana, a przede wszystkim nikt nic nie wiedział o Tannenbaum. Nikt! Mamy tu lukę...
- Proszę, oszczędź mi tego waszego żargonu.
- Kiedy to wcale nie jest żargon. Luka to przestrzeń, która wymaga...
- Aleks? - W słuchawce rozległ się gniewny głos Petera Hollanda.
- Tak, słucham?
- Przenosimy ich, ale nawet tobie nie powiem dokąd. St. Jacques wściekł się, bo pani Cooper dopiero co rozpakowała dzieciaki, ale wytłumaczyłem mu, że mają najwyżej godzinę.
- Chcę porozmawiać z Johnnym - powiedział głośno Bourne, nachylając się do słuchawki.
- Miło mi cię poznać, choć tylko przez telefon.
- A ja dziękuję panu za wszystko, co pan dla nas robi - odparł spokojnie Jason. - Naprawdę.
- Wyszło z tego prawdziwe *qui pro quo*, Bourne. Polując na Szakała, wypłoszyłeś z cuchnącej dziury paskudnego królika, o którym nikt nic nie wiedział.
- To znaczy?
- Nową „Meduzę”.
- Macie już coś? - wtrącił się Conklin.
- Na razie badamy powiązania między naszymi Sycylijczykami a pewnymi europejskimi bankami. Czegokolwiek dotknąć, śmierdzi jak cholera, ale już prześwietlamy pewną firmę adwokacką z Wall Street dokładniej niż NASA urządzenia startowe na przykładu Canaveral. Zaciskamy pierścień.
- Szczęśliwych łowów - powiedział Jason. - Może mi pan podać numer do Tannenbaum?
- Holland podyktował go, a Aleks zapisał i odłożył słuchawkę.
- Teraz twoja kolej - oświadczył, przesiadając się z fotela przy konsolce na jeden z

ustawionych dookoła stołu.

Jason zajął jego miejsce, spojrzął na pozostawioną przez Conklina kartkę z numerem i wystukał go pośpiesznie.

Przywitanie było krótkie, a pytania, jakie zaraz potem zaczął zadawać Bourne, ostre i suche.

- Z kim rozmawiałeś o posiadłości?

- Chwileczkę, Davidzie - zaprotestował Johnny. - Co przez to rozumiesz?

- Dokładnie to, co słyszysz. Z kim rozmawiałeś o posiadłości Tannenbaum w drodze z Wyspy Spokoju do Waszyngtonu?

- Po tym, jak powiedział mi o niej Holland?

- Na litość boską, chyba nie przed tym, prawda?

- Rzeczywiście nie, Sherlocku Holmesie.

- No więc, z kim?

- Tylko z tobą, mój szanowny szwagrze.

- Co takiego?

- To, co słyszysz. Wszystko odbywało się tak szybko, że zaraz potem zapomniałem, jak się nazywa ta posiadłość, a nawet gdybym pamiętał, to na pewno bym o tym nie trąbił.

- Ale przeciek, który powstał, nie ma nic wspólnego z Langley!

- Ze mną też nie. Posłuchaj, panie profesorze: może nie mam żadnego naukowego tytułu, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem kretynem. W pokoju obok śpią teraz dzieci mojej siostry i mam zamiar zrobić wszystko, żeby udało im się spokojnie dorosnąć... W takim razie przeciek musiał powstać na samym początku, zgadza się?

- Tak.

- Poważny?

- Najpoważniejszy. Sam Szakal.

- Jezus, Maria! - wybuchnął St. Jacques. - Jak się tylko tu pojawi, rozedrę go na strzępy!

- Spokojnie, Johnny... - W głosie Jasona zaszła zmiana: gniew ustąpił miejsca namysłowi. - Wierzę ci. O ile pamiętam, opisałeś mi posiadłość, ale nie powiedziałeś, jak się nazywa. To ja ją zidentyfikowałem.

- Zgadza się. Przypominam sobie, bo kiedy Pritchard powiedział mi, że dzwonisz, rozmawiałem z drugiego aparatu z Henrym Sykesem. Pamiętasz Henry'ego? Był zastępcą gubernatora.

- Oczywiście.

- Prosiłem go, żeby miał oko na pensjonat, bo muszę wyjechać na kilka dni. Oczywiście wiedział o tym, bo przecież miał w ręku prośbę o zgodę na lądowanie śmigłowca Amerykańskich Sił Powietrznych. Zapytał mnie tylko, dokąd lecę, a ja powiedziałem, że do Waszyngtonu. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby mówić mu o Tannenbaum, a on nie pytał o nic więcej, bo i tak się domyślił, że ma to jakiś związek z tym, co się stało na wyspie. Jest fachowcem w tych sprawach. - Umilkł na chwilę, ale zanim Bourne zdążył się odezwać, Johnny jęknął rozpaczliwie: - O, Boże!

- Pritchard - uzupełnił Jason. - Został na linii.

- Ale dlaczego? Dlaczego to zrobił?

- Carlos kupił gubernatora i szefa wydziału do walki z narkotykami. Na pewno kosztowało go to masę pieniędzy. Pritchard z pewnością był dużo tańszy.

- Mylisz się, Davidzie! Nawet jeśli Pritchard jest zarozumiałym, nudnym osłem, to na pewno nie zdradziłby mnie dla pieniędzy. Na wyspach nie liczą się pieniądze, tylko prestiż. Pracując dla mnie, znacznie zyskuje w oczach swojej rodziny i znajomych, a poza tym w gruncie rzeczy mam z niego spory pożytek.

- To musiał być on, Johnny. Nie ma innej możliwości.

- Ale jest sposób, żeby to sprawdzić. Tylko jeden, bo przecież jestem tutaj, nie tam, i na pewno się stąd nie ruszę.

- Co masz na myśli?

- Chcę wtajemniczyć w sprawę Henry'ego Sykesa. Zgadzasz się?

- W porządku.

- Jak się czuje Marie?

- Tak jak można się czuć w naszej sytuacji... Słuchaj, Johnny: nie chcą, żeby cokolwiek o tym wiedziała, rozumiesz? Jeśli do ciebie zadzwoni, a na pewno to zrobi, powiedz jej, że dotarliście na miejsce i że wszystko jest w porządku. Ani słowa o przewodniczce i Carlosie.

- Rozumiem.

- Bo chyba wszystko jest w porządku, prawda? Jak tam dzieci? Jamie daje sobie radę?

- Może nie będziesz zachwycony, ale twój syn świetnie się tym wszystkim bawi, a pani Cooper nie pozwoliła mi ani razu dotknąć Alison.

- Jestem zachwycony wszystkim, czego mogę się o nich dowiedzieć.

- To dobrze. A co z tobą? Jakies postępy?

- Skontaktuję się z tobą - powiedział Jason i odłożył słuchawkę, po czym zwrócił się do Conklina: - To wszystko nie ma najmniejszego sensu, a przecież Carlos zawsze działa celowo, jeśli się dobrze przyjrzeć. Zostawia mi ostrzeżenie, przez które o mało nie wariuję ze strachu, ale nie majak zrealizować groźby. Co o tym myślisz?

- W tym wypadku chodzi mu o to, żeby cię bez przerwy wytrącać z równowagi - odparł Aleks. - Carlos nie może ot, tak sobie, wejść do Tannenbaum, więc postanowił nastraszyć cię, żebyś wpadł w panikę, i to mu się całkowicie udało. Usiłuje cię sprowokować do popełnienia błędu. Chce cały czas kontrolować sytuację.

- Skoro tak, to Marie tym bardziej powinna wrócić do Stanów. Musi to zrobić najszybciej, jak to tylko możliwe! Ma siedzieć w dobrze strzeżonej fortecy, a nie w motelu!

- Dzisiaj jestem bardziej skłonny przyznać ci rację niż wczoraj wieczorem.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Krupkin z wydrukami komputerowymi w dłoni.

- Numer, który mi podałeś, jest teraz wyłączony - powiedział z czymś w rodzaju wahania w głosie.

- A do kogo należał, kiedy był włączony? - zapytał Jason.

- Na pewno wam to się nie spodoba, tak samo jak mnie... Szczerze mówiąc, skłamałbym, gdybym mógł, ale tego nie zrobię, bo wiem, że nie powinienem. Otóż pięć dni temu zgłoszono zmianę właściciela. Przedtem należał do pewnej organizacji, oczywiście nie istniejącej, a teraz do człowieka nazwiskiem Webb... David Webb.

Conklin i Bourne wpatrywali się w milczeniu w oficera radzieckiego KGB, ale milczenie to było pełne napięcia.

- Dlaczego uważasz, że nie spodoba nam się ta informacja? - zapytał wreszcie Conklin.

- Mój dobry, stary przeciwniku - odparł spokojnie Krupkin. - Kiedy twój przyjaciel wybiegł jak szalony z tej restauracji, ściskając w ręku brązowy papier, zwróciłeś się do niego „Davidzie”... Teraz znam jeszcze nazwisko, którego, szczerze mówiąc, wolałbym nie znać.

- Może pan o tym zapomnieć - powiedział oschle Jason.

- Zrobię, co w mojej mocy, ale istnieją sposoby...

- Nie o to mi chodzi - przerwał mu Jason. - Dowiedział się pan, to trudno, jakoś to przeżyję. Chcę wiedzieć, gdzie jest zainstalowany ten telefon. Proszę mi podać adres.

- Według danych z komputera obliczającego wysokość rachunków mieści się tam charytatywna misja sióstr zakonnych. Ma się rozumieć, dane są fałszywe.

- Wręcz przeciwnie - odparł Bourne. - Są prawdziwe. Tam naprawdę mieszkają autentyczne siostry. To świetny kamuflaż. W każdym razie był świetny do pewnego momentu.

- Fascynujące, jak często Szakał korzysta z osłony kościelnej fasady - zauważył Rosjanin. - Znakomity, choć może nieco przestarzały sposób. Plotka głosi, że kiedyś uczęszczał nawet do seminarium.

- Jeśli tak, to Kościół okazał się bardziej przewidujący od was – odparł Aleks tonem żartobliwej wymówki. - Pozbyli się go szybciej niż wy.

Krupkin parsknął śmiechem.

- Nigdy nie lekceważyłem Watykanu. Udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że nasz szalony Józef Stalin w ogóle nie miał pojęcia, o co chodzi, kiedy zapytał, iloma dywizjami dysponuje papież. Jego świątobliwość nie potrzebuje ani jednej, bo i tak potrafi osiągnąć więcej, niż Stalinowi udało się załatwić kolejnymi czystkami. Prawdziwą władzę ma ten, kto potrafi zasiać najsilniejszy strach, czyż nie tak, Aleksiej? Wszyscy wielcy tego świata kierowali się tą zasadą, a przecież najbardziej boimy się śmierci, a także tego, co czeka nas potem. Kiedy wreszcie wydorosłejemy i każemy im iść do diabła?

- Śmierć... - szepnął Jason, marszcząc z zastanowieniem brwi. – Śmierć na rue de Rivoli, w hotelu Meurice, na bulwarze Lefebvre... Boże, zupełnie zapomniałem! Dominique Lavier! Była w Meurice, może nadal tam jest. Powiedziała, że będzie ze mną współpracować.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytał ostro Krupkin.

- Dlatego, że Carlos zabił jej siostrę, a ona nie miała innego wyjścia, jak przyłączyć się do niego albo również zginąć. - Bourne ponownie odwrócił się do konsoly. - Muszę zadzwonić do Meurice...

- 426-038-60 - odpowiedział Krupkin; Jason chwycił ołówek i zapisał numer w otwartym notesie Aleksa. - Urocze miejsce, kiedyś podobno bywali tam nawet królowie. Mają znakomite dania z rusztu.

Bourne wystukał numer i nakazał gestem ciszę. Poprosił telefonistkę z hotelowej centrali o połączenie z pokojem *madame* Brielle, a kiedy usłyszał w odpowiedzi „*mais, ouf*”, odetchnął z ulgą.

- Tak? - odezwała się Dominique Lavier.

- To ja, *madame* - powiedział Jason po francusku z ledwo uchwytnym angielskim akcentem. - Pani gospodyni powiedziała nam, że będziemy mogli panią tu zastać. Suknia jest już gotowa. Serdecznie przepraszamy za spóźnienie.

- Mielicie mi ją przywieźć wczoraj w południe! Chciałam wystąpić w niej wieczorem w Le Grand V6four. To niedopuszczalne!

- Jeszcze raz najmocniej panią przepraszam. Możemy natychmiast do starczyć ją do hotelu.

- Jest pan idiotą! Chyba powiedziano panu, że zatrzymałam się tutaj tylko na dwa dni. Proszę ją zawieźć do mojego mieszkania na Montaigne, i lepiej, żeby była tam przed czwartą, bo jak nie, to pieniądze zobaczycie dopiero za pół roku!

Lavier przerwała raptownie rozmowę.

Bourne odłożył słuchawkę; na jego czole poniżej linii lekko szpakowatych włosów pojawiły się krople potu.

- Zbyt długo byłem poza grą - stwierdził, oddychając głęboko. - Będzie o czwartej w swoim mieszkaniu na Montaigne.

- A kto to w ogóle jest, do diabła? - wykrzyknął zdesperowany Conklin.

- Dominique Lavier, tyle tylko, że używa imienia swojej zamordowanej siostry Jacqueline. Podszyci się pod nią od wielu lat - wyjaśnił Krupkin.

- Wiedzieliście o tym? - zapytał z podziwem Jason.

- Tak, ale nic nam to nie dało. Wszystko zostało załatwione tak, jak to się zwykle odbywa w świecie haute couture - kilkumiesięczna nieobecność, niewielki zabieg chirurgiczny, a przy okazji odpowiednie przeszkolenie. Ci ludzie tak naprawdę nigdy się sobie nie przyglądają ani nie słuchają tego, co mówią inni. Obserwowaliśmy ją, ale nie było

najmniejszych szans na to, żeby mogła zaprowadzić nas do Szakala, bo nie miała do niego bezpośredniego dostępu. Wszystko, co dociera do Carlosa, przechodzi przez nieprawdopodobnie gęste sito. Taki ma sposób działania.

- Nie zawsze - zaprzeczył Bourne. - Był taki człowiek nazwiskiem Santos, prowadził podejrzaną spelunę w Argenteuil, nazywała się Le Coeur du Soldat. On miał do niego bezpośredni dostęp.

Krupkin uniósł brwi.

- Był? Miał? Dlaczego używa pan czasu przeszłego?

- Bo już nie żyje.

- A ta spelunka w Argenteuil jeszcze działa?

- Została zamknięta - przyznał Jason.

- A więc kontakt się urwał, prawda?

- Owszem, ale ja wierzę w to, co mi powiedział, bo właśnie za to został zabity. Próbował się wyrwać, tak samo jak teraz próbuje ta kobieta, tyle tylko, że Santos był znacznie dłużej związany z Szakalem. Kiedyś, jeszcze na Kubie, Carlos wyciągnął go spod luf plutonu egzekucyjnego. Szakal wiedział, że może mu ufać, i przez wiele lat ufał. Jestem o tym przekonany, bo numer, który dostałem od Santosa, okazał się autentyczny, a trudno o lepszy dowód.

- Fascynujące - mruknął Krupkin, nie spuszczać wzroku z twarzy Jasona. - Ale zarówno ja, jak i mój stary, dobry wróg Aleksiej, który patrzy na pana z dokładnie taką samą miną jak ja, moglibyśmy zapytać, do czego pan zmierza. W pańskich słowach pobrzmiwa coś w rodzaju ostrzeżenia.

- Ono dotyczy pana, nie nas.

- Jak to?

- Santos powiedział mi, że tylko czterej ludzie na świecie mają bezpośredni dostęp do Szakala. Jeden z nich pracuje przy placu Dzierżyńskiego, pański zwierzchnik. „Bardzo wysoko postawiony”, tak określił go Santos, który, jak się zorientowałem, nie darzył go szczególnym szacunkiem.

Przez chwilę Dymitr Krupkin wyglądał tak, jakby został spoliczkowany przez członka Biura Politycznego na środku placu Czerwonego podczas pierwszomajowego pochodu. Krew odpłynęła mu z twarzy, a oczy przybrały szklisty, oszołomiony wyraz.

- Co jeszcze panu powiedział? Muszę wiedzieć!

- Tylko to, że Carlos ma obsesję na punkcie Moskwy i cały czas tworzy tam swoją siatkę. Gdyby udało się panu zidentyfikować tego człowieka z placu Dzierżyńskiego, zrobilibyśmy wielki krok naprzód, bo na razie mamy tylko Dominique Lavier...

- Niech to szlag trafi! - ryknął Krupkin, przerywając Bourne'owi w pół zdania. - Szaleństwo, ale całkowicie logiczne szaleństwo! Odpowiedział pan za jednym zamachem na kilka pytań, które od dawna nie dawały mi spokoju. Tyle razy byłem już tak blisko, a jednak nigdy nic z tego nie wychodziło... Muszę wam powiedzieć, panowie, że diabelskie sztuczki potrafią wyczyniać nie tylko ci, co mieszkają na stałe w piekle. Boże, robili ze mną, co chcieli, a ja nie wiedziałem, że jestem tylko zwykłą marionetką... Ani słowa więcej przez ten telefon!

W Moskwie zegary wskazywały wpół do czwartej po południu. Niemłody już mężczyzna w mundurze oficera Armii Czerwonej szedł tak szybko, jak tylko pozwalał mu jego wiek, szerokim korytarzem na czwartym piętrze kwatery głównej KGB przy placu Dzierżyńskiego. Ponieważ dzień był gorący, a klimatyzacja, jak zwykle, prawie nie działała, generał Grigorij Rodczenko pozwolił sobie na pewien luksus związany z jego rangą: rozpiął kołnierzyk munduru. Choć strużki potu w dalszym ciągu spływały po jego poranej głę-

bokimi bruzdami twarzy, to i tak odczuł sporą ulgę.

Dotarłszy do wind, nacisnął guzik i czekał na przyjazd kabiny, ściskając w rękę klucz. Kiedy otworzyły się drzwi po prawej stronie, stwierdził z zadowoleniem, że winda jest pusta, dzięki czemu nie będzie musiał nikogo z niej wypraszać. Wszedł do środka i wsadził klucz w jeden z otworów umieszczonych obok rzędu przycisków. Winda natychmiast ruszyła w dół, by zatrzymać się dopiero na najniższym poziomie mieszczących się pod gmachem podziemi.

Kiedy drzwi rozsunęły się i generał wyszedł z kabiny, natychmiast uderzyła go niezwykła cisza panująca w długim korytarzu. Za chwilę to się zmieni, pomyślał. Skierował się w lewo, do dużych stalowych drzwi z napisem: WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH

Co za głupota, pomyślał, wyjmując z kieszeni plastikową kartę, którą następnie wsunął ostrożnie do szczeliny w ścianie. Przecież i tak bez tego elektronicznego klucza nikt nie wszedłby do środka. Mogło to się także przydarzyć tym, którzy zbyt szybko wkładali klucz do czytnika. Kiedy rozległy się dwa głośne trzaśnięcia, Rodczenko wyjął kartę, a grube drzwi otworzyły się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Umieszczona nad nimi kamera zarejestrowała wejście generała.

Pomieszczenie było niskie, wielkością dorównywało co najmniej carskiej sali balowej, ale nikomu nie przyszło na myśl, żeby je czymś ozdobić. Całą przestrzeń podzielono białymi przepierzeniami na wiele rzęsiste oświetlonych komórek zastawionych najróżniejszym elektronicznym sprzętem; wśród czarnych i szarych urządzeń uwijało się kilkaset osób ubranych w nienagannie białe kombinezony. Powietrze było tu chłodne, a nawet zimne, gdyż wymagały tego urządzenia; znajdowało się tu centrum łączności KGB. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę napływały tutaj informacje z całego świata.

Stary żołnierz ruszył doskonale znaną sobie drogą do końca sali, po czym skręcił w lewo i wszedł do ostatniej komórki przy samej ścianie. Była to długa wędrówka, a generał odczuwał już spore zmęczenie. Znalazłszy się w maleńkim pokoiku, skinął głową operatorowi, który na widok gościa zdjął grubo wyściełane słuchawki. Siedział przy obszernej, elektronicznej konsolce wyposażonej w niezliczone przyciski i wskaźniki, a także w komputerową klawiaturę. Rodczenko usiadł na metalowym krześle stojącym obok stanowiska operatora, odetchnął kilka razy, żeby pozbyć się nieznośnego łomotania w skroniach, po czym zapytał:

- Są jakieś wiadomości od pułkownika Krupkina z Paryża?
- Są wiadomości o pułkowniku Krupkinie, towarzyszu generale. Zgodnie z waszym poleceniem prowadzimy podsłuch wszystkich jego rozmów telefonicznych, w tym także międzynarodowych, na które osobiście udzielił zezwolenia. Kilka minut temu dostałem z Paryża nagranie. Wydaje mi się, że powinniście je przesłuchać.
- Jak zwykle spisaliście się znakomicie, towarzyszu. Jestem wam bardzo zobowiązany. Jestem pewien, że pułkownik Krupkin poinformuje nas o wszystkim, ale sami wiecie, jak bardzo jest zajęty...
- Nie musicie mi niczego wyjaśniać, towarzyszu generale. Rozmowy, które usłyszycie, zostały nagrane w ciągu ostatniej półgodziny. Mogę zaczynać?

Rodczenko założył słuchawki i skinął głową. Operator podsunął mu notatnik i pudełko z zatemperowanymi ołówkami, po czym wcisnął jeden z guzików na konsolce; generał Rodczenko, trzecia figura w Komitecie, pochylił się nieco do przodu, wsłuchując się w zarejestrowane głosy. Po chwili zaczął robić notatki, a w kilka minut później pisał właściwie już bez przerwy. Kiedy nagranie dobiegło końca, zdjął słuchawki i utkwiał w operatorze nieruchome spojrzenie swoich wąskich słowiańskich oczu. Bruzdy na jego twarzy wydawały się jeszcze głębsze niż zwykle.

- Skasujcie to, a potem zniszczcie taśmę - polecił, wstając z krzesła. - Jak zwykle o niczym nie wiecie ani nic nie słyszeliście.

- Jak zwykle, towarzyszu generale.
- Jak zwykle zostaniecie za to wynagrodzeni.

Było siedemnaście po czwartej, kiedy Rodczenko wrócił do swojego gabinetu, usiadł za biurkiem i zagłębił się w notatki. Nieprawdopodobne! Niemożliwe, a jednak prawdziwe, bo przecież słyszał wszystko na własne uszy. Nie chodziło o *monseigneur* w Paryżu; miał teraz drugorzędne znaczenie, a poza tym, w każdej chwili można było się z nim skontaktować. Ta sprawa może poczekać, w przeciwieństwie do innej, nie cierpiącej zwłoki. Generał podniósł słuchawkę i połączył się ze swoją sekretarką.

- Muszę natychmiast rozmawiać przez satelitę z naszym konsulem w Nowym Jorku. Maksymalny stopień tajności, najwyższa komplikacja szyfru.

Jak mogło do tego dojść?

„Meduza”!

Rozdział 32

Marie słuchała ze zmarszczonymi brwiami dobiegającego ze słuchawki głosu męża.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytała.

- W budce telefonicznej przy Plaza-Athenee - odpowiedział Bourne. - Wrócę za kilka godzin.

- Co się dzieje?

- Mieliśmy trochę kłopotów, ale i posunęliśmy się naprzód.

- Niewiele mi to mówi.

- Bo właściwie nie ma o czym mówić.

- Jaki jest ten Krupkin?

- To prawdziwy oryginał. Zawiózł nas do radzieckiej ambasady. Zadzwoń stamtąd do twojego brata.

- Co takiego...? Jak się czują dzieci?

- Znakomicie. Wszystko jest w porządku. Jamie świetnie się bawi, a pani Cooper nie pozwala Johnny'emu dotknąć Alison.

- Co oznacza, że on po prostu nie chce jej dotknąć.

- Niech i tak będzie.

- Podaj mi numer. Zadzwoń do nich.

- Holland przygotowuje specjalną linię. Powinna być gotowa za godzinę.

- Kłamiesz, Davidzie.

- Być może. Powinnaś do nich polecieć. Zadzwoń do ciebie, gdybym miał się spóźnić.

- Zaczekaj chwilę! Mo chce z tobą porozmawiać...

Połączenie zostało przerwane. Siedzący po drugiej stronie pokoju Panov potrząsnął głową, widząc reakcję Marie.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Jestem ostatnią osobą, z którą miałby teraz ochotę rozmawiać.

- On wrócił, Mo. To nie był David.

- Ma teraz co innego do roboty - odparł łagodnie psychiatra. - David na pewno by sobie z tym nie poradził.

- To chyba najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałam.

Panov skinął głową.

- Ja też tak uważam.

Szary citroen stał po drugiej stronie Avenue Montaigne, kilkadziesiąt metrów od ocienionego markizą wejścia do eleganckiego budynku, w którym mieszkała Dominique Lavier. Krupkin, Aleks i Bourne siedzieli z tyłu, Aleks na dodatkowym rozkładanym miejscu. Trzej mężczyźni rozmawiali przyciszonymi głosami, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z przeszklonych drzwi.

- Jest pan pewien, że się uda? - zapytał Jason.

- Jestem pewien tylko tego, że Siergiej jest najwyższej klasy profesjonalistą - odparł Krupkin. - Przeszedł szkolenie w Nowogrodzie, a jego francuski jest bez zarzutu. Poza tym ma przy sobie tyle różnych papierów, że udałoby mu się oszukać nawet Wydział Dokumentów Deuxieme.

- A tamci dwaj? - nie ustępował Bourne.

- Szeregowi pracownicy, ale także dobrzy fachowcy, a przede wszystkim całkowicie

lojalni wobec swoich zwierzchników... Idzie!

Przeszklone drzwi otworzyły się i na ulicę wyszedł Siergiej. Skręcił w lewo, by po chwili przejść na drugą stronę szerokiego bulwaru. Dotarłszy do samochodu, otworzył drzwiczki i zwinnie wskoczył na miejsce kierowcy.

- Wszystko w porządku - oznajmił, odwracając głowę. - *Madame* jeszcze nie wróciła, a mieszkanie ma numer dwadzieścia jeden. Pierwsze piętro po prawej stronie, od frontu. Przeczesał je dokładnie: nic nie było.

- Jesteś pewien? - zapytał z naciskiem Conklin. - Nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd!

- Mamy najlepszy sprzęt, sir - odparł z uśmiechem funkcjonariusz KGB. - Przykro mi o tym mówić, ale został wyprodukowany przez General Electronic Corporation na specjalne, tajne zamówienie CIA.

- W takim razie dwa zero dla nas.

- Minus dwanaście za to, że pozwoliliście sobie to ukraść - wtrącił się Krupkin. - Poza tym jestem pewien, że jeszcze kilka lat temu w materacu *madame* Lavier mogły być ukryte mikrofony, ale teraz...

- Tam też sprawdziliśmy - przerwał mu Siergiej.

- To dobrze. Chodzi mi o to, że Szakał nie może pilnować jednocześnie wszystkich, którzy dla niego pracują. To by było zbyt skomplikowane.

- Gdzie tamci dwaj? - zapytał Bourne.

- W budynku, sir. Zaraz do nich pójde, a oprócz tego będziemy mieli jeszcze jeden samochód na ulicy. Kontakt radiowy non stop, ma się rozumieć.. . Teraz was podwiozę.

- Zaczekaj - odezwał się Conklin. - Jak tam wejdziemy? Co mamy powiedzieć?

- Nic, bo już wszystko zostało powiedziane. Jesteście pracownikami SEDCE...

- Czego?

- To tutejszy odpowiednik CIA - wyjaśnił Aleks. - Wywiad i kontrwywiad.

- A Deuxieme?

- Jeden z wydziałów SEDCE - odparł Conklin, myśląc już o czymś innym. - Według niektórych jednostka elitarna, według innych - wręcz przeciwnie... Nie sądzisz, Siergiej, że będą chcieli to sprawdzić?

- Już to zrobili, sir. Najpierw pokazałem portierowi legitymację, a potem podałem mu zastrzeżony numer telefonu, gdzie potwierdzono moje personalia. Zaraz potem opisałem dokładnie was trzech i powiedziałem, że ma o nic nie pytać, tylko dać wam klucze do mieszkania *madame* Lavier... Ruszajmy. Zrobicie lepsze wrażenie, jeśli przyjedziecie samochodem.

- Czasem najlepsze efekty daje proste kłamstwo, wsparte odpowiednim autorytetem - zauważył Krupkin. Citroen przejechał na drugą stronę szerokiej ulicy i zatrzymał się przed przeszklonymi drzwiami. - Skręć w pierwszą przecznicę, Siergiej - polecił oficer KGB, sięgając do klamki. - Aha, moje radio...

- Proszę. - Kierowca podał Krupkinowi zminiaturyzowany nadajnik. - Zgłoszę się, jak zajmę pozycję.

- Będę miał kontakt z wami wszystkimi?

- Tak jest. Z odległości większej niż sto pięćdziesiąt metrów nie sposób zlokalizować źródła sygnału.

- Chodźmy, panowie.

Kiedy znaleźli się w wyłożonym marmurowymi płytami holu, Krupkin skinął głową elegancko ubranemu portierowi.

- *Laporte est owerte* - powiedział mężczyzna, starając się nie patrzeć mu w oczy. - Schowam się, kiedy przyjdzie *madame* - mówił dalej po francusku. - Gdyby ktoś mnie pytał, to nie wiem, jak wesłicie, ale z tyłu jest wejście dla służby...

- Właśnie z niego skorzystaliśmy - odparł Krupkin. Ruszyli we trójkę do windy.

Mieszkanie *madame* Lavier stanowiło przykład stylu haute couture. Na ścianach wisiały niezliczone zdjęcia przeróżnych notabli biorących udział w mniej lub bardziej ważnych wydarzeniach, a także oprawione szkice znanych projektantów. Krzesła, kanapy i fotele, utrzymane w różnych odcieniach czerwieni, czerni i zieleni, w najmniejszym stopniu nie przypominały ani krzesel, ani kanap, ani foteli; sprawiały wrażenie, jakby przeniesiono je tutaj z jakiegoś statku kosmicznego.

Conklin i Krupkin zaczęli jak na komendę przeszukiwać stoliki i biurka, szczególną wagę przywiązując do wszelkich listów i notatek.

- Jeżeli to jest biurko, to gdzie, do diabła, podziały się szuflady? - zapytał w pewnej chwili Aleks.

- To najnowszy pomysł Leconte'a - odparł Rosjanin.

- Tego tenisisty?

- Nie, projektanta mebli. Trzeba nacisnąć w odpowiednim miejscu i same się wysuwają.

- Chyba żartujesz.

- Sam spróbuj.

Conklin spróbował; okazało się, że niewidoczna szuflada znajdowała się w najmniej oczekiwanym miejscu.

- Niech to...

Z kieszeni Krupkina, do której schował miniaturowe radio, dobiegły dwa ostre piski.

- To pewnie Siergiej - powiedział Rosjanin, wyjmując nadajnik. - Jesteś już na miejscu? - zapytał, zbliżywszy aparat do ust.

- Owszem, i mam nowiny - odpowiedział mu spokojny głos Siergieja. - Lavier właśnie weszła do budynku.

- A portier?

- Zniknął.

- Znakomicie. Wyłączam się... Aleksiej, zmykaj stąd. Lavier już tu idzie.

- Chcesz się zabawić w chowanego? - zapytał Aleks, flegmatycznie przerzucając kartki notesu z numerami telefonów.

- Wolalbym nie zaczynać od otwartego konfliktu, a na pewno do tego dojdzie, kiedy zobaczy cię szperającego w jej osobistych rzeczach.

- Już dobrze, dobrze... - mruknął Conklin, odkładając notes. - Ale jeśli nie zechce z nami współpracować, to i tak jej to zabiorę.

- Zechce - odezwał się Bourne. - Już wam powiedziałem: chce się wyrwać, ale żeby jej się to udało, Szakał musi zginąć. Pieniądze grają drugoplanową rolę. Nie twierdzą, że jej na nich nie zależy, ale najpierw musi myśleć o czymś innym.

- Pieniądze? - zdziwił się Krupkin. - Jakie pieniądze?

- Obiecałem, że jej zapłacę, i dotrzymam słowa.

- Mogę pana zapewnić, że *madame* Lavier przede wszystkim pomyśli o pieniądzach - zapewnił go Rosjanin.

Rozległ się chrobot klucza wkładanego do zamka; na ten dźwięk wszyscy trzech mężczyźni spojrzeli w stronę drzwi. Niemal w tym samym momencie do pokoju weszła zaskoczona Dominique Lavier. Udało jej się jednak błyskawicznie zapanować nad zdumieniem. Świadczyły o nim jedynie wysoko uniesione, jak u manekina, brwi. Spokojnie schowała klucze do wyszywanej perełkami torebki, obrzuciła intruzów chłodnym spojrzeniem i odezwała się po angielsku:

- Cóż, Kruppie, właściwie mogłam się spodziewać, że i ty znajdziesz się w tym bigosie.

- Jesteś jak zawsze czarująca, Jacqueline... A raczej Domie, żeby od razu zrezygnować

ze zbędnych konwenansów.

Aleks wytrzeszczył oczy.

- Kruppie...? Domie...? Czy to jakiś zjazd rodzinny?

- Towarzysz Krupkin jest jednym z najlepiej znanych w Paryżu oficerów KGB - odparła Lavier, kładąc torebkę na podłużnym czerwonym stoliku tuż koło białej sofy. - W pewnych kręgach znajomość z nim należy po prostu do dobrego tonu.

- Tym bardziej że niesie ze sobą spore korzyści, droga Domie. Nawet nie masz pojęcia, jak wiele ewidentnie fałszywych informacji usiłuje mi się podsunąć podczas różnych przyjęć... Mam wrażenie, że zdążyłaś już poznać mego wysokiego amerykańskiego przyjaciela, a nawet przeprowadzić z nim coś w rodzaju negocjacji, więc pozwolisz, że przedstawię ci jego kolegę. *Madame*, oto *monsieur* Aleksiej Konsolikow.

- Nie wierzę ci. On nie jest Rosjaninem. Potrafię z daleka wyczuć zapach brudnego niedźwiedzia.

- Miażdżysz mnie, Domie! W takim razie będzie lepiej, jeśli sam się przedstawi, oczywiście pod warunkiem, że ma na to ochotę.

- Nazywam się Aleks Conklin, panno Lavier, i jestem Amerykaninem, ale nasz wspólny przyjaciel wcale pani nie oszukał. Moi rodzice pochodzili z Rosji, a ja władam biegle tym językiem, tak że biedny Kruppie nie bardzo może wodzić mnie za nos, nawet kiedy jesteśmy w towarzystwie jego ziomków.

- To doprawdy wspaniałe.

- Dla niego raczej okropne. Musi sobie zdawać z tego sprawę każdy, kto go choć trochę zna.

- Jestem zraniony, śmiertelnie zraniony! - wykrzyknął Krupkin. - Ale moje obrażenia nie mają w tej chwili najmniejszego znaczenia. Będziesz z na mi współpracować, Domie?

- Będę, Kruppie, z całych sił! Chciałabym tylko, żeby Jason Bourne sprecyzował swoją ofertę. Trzymając się Carlosa, jestem zamkniętym w klatce zwierzęciem, ale bez niego zaledwie starą, wyeksploatowaną kurtyzaną. Pragnę, żeby zapłacił za śmierć mojej siostry i wszystko, co mi zrobił, lecz nie mam ochoty zaraz potem znaleźć się w rynsztoku.

- Proszę podać cenę - zaproponował Jason.

- Lepiej niech ją pani napisze - poprawił go Conklin, rzuciwszy szybkie spojrzenie na Krupkina.

- Niech pomyślę... - odparła z zastanowieniem Lavier, podchodząc do biurka Leconte'a.

- Od sześćdziesiątki dzieli mnie kilka lat - nie ma znaczenia, z której strony - więc jeśli założymy, że Szakał zginie, a mnie nie przytrafi się jakaś poważna choroba, zostało mi piętnaście do dwudziestu lat życia. - Nachyliła się nad biurkiem, otworzyła notatnik, napisała w nim liczbę, wydarła kartkę i podała ją Jasonowi. - Chyba nie powinien pan się targować, panie Bourne. Wydaje mi się, że to uczciwa propozycja.

Jason spojrział na kartkę, na której obok litery S przeciętej dwoma równoległymi, pionowymi kreskami widniała jedynka z sześcioma zerami.

- Zgadza się - powiedział, oddając kartkę kobiecie. - Proszę tylko powiedzieć, gdzie i w jaki sposób chce pani odebrać pieniądze, a ja zajmę się tym natychmiast, jak stąd wyjdziemy. Cała suma powinna nadejść najdalej jutro rano.

Podstarzała prostytutka spojrzała Bourne'owi prosto w oczy.

- Wierzę panu - powiedziała po chwili i ponownie nachyliła się nad biurkiem, zapisując na kartce potrzebne informacje. Kiedy skończyła, oddała kartkę Jasonowi. - Umowa stoi, *monsieur*. Miejmy nadzieję, że Bóg jest po naszej stronie, bo jeśli nie, to wszyscy jesteśmy już martwi.

- Mówi to pani jako siostra zakonna?

- Mówię to jako kobieta, która potwornie się boi. Bourne skinął głową.

- Mam do pani kilka pytań. Zechce pani usiąść?

- *Oui*. Najlepiej z papierosem. - Lavier wróciła na białą sofę, wyjęła z torebki papierosa i zapadając się w miękkie poduszki, wzięła do ręki leżącą na stoliku złotą zapalniczkę. - Obrzydliwy nałóg, ale są chwile, kiedy trudno byłoby się bez niego obejść - powiedziała, zaciągawszy się głęboko. - Pańskie pytania, *monsieur*?

- Co się stało w hotelu Meurice? A przede wszystkim, jak do tego doszło?

- Wszystko zaczęło się przez tę kobietę - domyślałam się, że była to pańska żona. Pan i pański przyjaciel z *Deuxieme* czekaliście na Carlosa, żeby go zabić, jak tylko się zjawi, ale kiedy pan wszedł na jezdnię, ta kobieta nie wiadomo czemu zaczęła krzyczeć... Resztę sam pan widział. Dlaczego kazał mi pan zatrzymać się właśnie w Meurice, skoro wiedział pan, że ona tam jest?

- O to chodzi, że nie wiedziałem. Jak teraz wygląda nasza sytuacja?

- Carlos nadal mi ufa. Wierzy, że wszystkiemu jest winna pańska żona i nie ma najmniejszego powodu, żeby mnie podejrzewać. Przede wszystkim dlatego, że pan był na miejscu, co potwierdza moją wiarygodność. Gdyby nie ten oficer *Deuxieme*, już by pan nie żył.

Bourne ponownie skinął głową.

- W jaki sposób może pani dotrzeć do Carlosa?

- Nie mogę. Nigdy nie mogłam i nigdy mi na tym nie zależało. On wolał, żeby tak było, a czeki zawsze przychodziły na czas, więc nie miałam powodu do narzekania.

- Ale przekazywała mu pani wiadomości. - Jason nie dawał za wygraną. - Sam słyszałem.

- Owszem, lecz nigdy bezpośrednio. Dzwoniłam do tanich kafejek i rozmawiałam z nieznanymi, starymi ludźmi, z których większość nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówię, ale zaraz potem oni dzwoniли do kogoś innego i powtarzali to, co usłyszeli, a ten ktoś dzwonił jeszcze gdzie indziej, i tak dalej... Musiało to działać, bo wiadomości bardzo szybko docierały do celu.

- A nie mówiłem? - odezwał się triumfującym tonem Krupkin. - Falszywe nazwiska, podejrzane spelunki... ślepe uliczki!

- Mimo to wiadomości docierały do celu - odparł Conklin, powtarzając słowa kobiety.

- Kruppie ma rację. - Starzejąca się, ale nadal piękna kobieta zaciągnęła się nerwowo papierosem. - Ścieżki są tak poplątane, że nie sposób po nich gdziekolwiek trafić.

- Mało mnie to obchodzi - odparł Aleks, mrużąc oczy, jakby wpatrywał się w coś, czego nikt poza nim nie był w stanie dostrzec. - Najważniejsze, że ponad wszelką wątpliwość prowadzą do Carlosa.

- To prawda.

Conklin nagle uniósł powieki i spojrzał na Dominique Lavier.

- Musi pani wysłać Szakalowi pilną wiadomość, żądając bezpośredniego spotkania. Dowiedziała się pani czegoś, co może pani przekazać tylko jemu, bez żadnych pośredników!

- Na przykład czego? - wybuchnął Krupkin. - Jaka informacja może być tak ważna, żeby Szakal zgodził się na spotkanie? Przecież ten człowiek ma obsesję na punkcie pułapek, dokładnie tak samo jak obecny tutaj pan Bourne, a w tej chwili każde takie żądanie pachnie zasadzką na kilometr!

Pogrążony głęboko w myślach Aleks potrząsnął głową i pokuśtykał do okna. Skupione spojrzenie jego zmrużonych oczu świadczyło o ogromnej koncentracji, ale po chwili powieki znowu powędrowały w górę.

- Mój Boże, to się może udać! - szepnął.

- Co się może udać? - zapytał niecierpliwie Bourne.

- Dymitr, szybko! Zadzwoni do ambasady i każ im przysłać największą, najbardziej luksusową limuzynę, jaką macie w tej twierdzy proletariatu!

- Co takiego?!

- Rób, co ci mówię!
- Ależ, Aleksiej...
- Szybko!

Ton, jakim Conklin wypowiedział swoje żądanie, przyniósł właściwy efekt. Rosjanin podszedł do aparatu wykonanego z macicy perłowej, podniósł słuchawkę i wykręcił numer, nie spuszczać jednak ani na chwilę zdumionego spojrzenia z Aleksa, który z kolei jakby nigdy nic wyglądał na ulicę. Lavier popatrzyła na Jasona, ale ten tylko potrząsnął bezradnie głową. Oboje słuchali, jak Krupkin rozmawia z kimś po rosyjsku, wydając nie znośnym sprzeciwu głosem krótkie polecenia.

- Załatwione - oświadczył oficer KGB, odkładając słuchawkę. - A teraz byłoby dobrze, gdybyś przekonał mnie, że to, co zrobiłem, ma jakikolwiek sens.

- Moskwa - odparł lakonicznie Conklin, w dalszym ciągu spoglądając na ulicę.

- Aleks, na litość boską...

- Coś ty powiedział?! - ryknął Krupkin.

- Musimy wypłoszyć go z Paryża - odparł Conklin, odwracając się od okna. - Chyba trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce niż Moskwa, prawda? - Nim któryś z zaskoczonych mężczyzn zdążył coś powiedzieć, Aleks zwrócił się do Dominique Lavier. - Jest pani pewna, że on pani nadal ufa?

- Nie miał najmniejszego powodu, żeby przestać.

- W takim razie powinny wystarczyć dwa słowa: „Moskwa, niebezpieczeństwo”. Tyle mu pani na razie przekaże. Forma jest obojętna, ale koniecznie musi pani podkreślić, że kryzys jest tak delikatnej natury, że szczegóły może mu pani ujawnić wyłącznie podczas spotkania w cztery oczy.

- Ale ja nigdy z nim nie rozmawiałam! Znam ludzi, którzy rozmawiali, a przynajmniej tak im się wydawało, i potem próbowali po pijanemu opowiedzieć, jak on wygląda, ale sama nie widziałam go nawet na oczy!

- Tym bardziej powinna pani obstawać przy swoim. - Conklin popatrzył na Bourne'a i Krupkina. - W tym mieście Carlos ma w ręku wszystkie atuty: uzbrojonych ludzi, posłańców, niezliczoną liczbę kryjówek, w których może się schować w każdej chwili. Paryż to jego terytorium. Moglibyśmy szukać go po omacku tygodniami albo nawet miesiącami, aż wreszcie któregoś dnia udałoby mu się zaskoczyć ciebie lub Marie... ewentualnie Mo albo mnie. Londyn, Amsterdam, Bruksela, Rzym - każde z tych miast byłoby lepsze niż Paryż, ale najlepsza ze wszystkich jest Moskwa, bo przyciąga go z hipnotyczną siłą, a jednocześnie nie może w niej liczyć na prawie żadne poparcie.

- Aleksiej, Aleksiej! - wykrzyknął Krupkin. - Powinieneś znowu zacząć pić, bo bez alkoholu tracisz zdrowe zmysły! Załóżmy nawet, że Domie udało się dotrzeć do Carlosa i przekazać mu to, co proponujesz. Czy uważasz, że to wystarczy, żeby wskoczył w pierwszy samolot lecący do Moskwy? Chyba oszalałeś!

- Właśnie tak uważam i powiem ci, że możesz na to spokojnie postawić ostatniego rubla. Ta krótka wiadomość ma tylko nakłonić go, żeby się z nią skon taktował. Kiedy to zrobi, *madame* Lavier przekaże mu zasadniczą informację.

- Jaką, na litość boską? - zapytała kobieta, zapalając kolejnego papierosa.

- Moskiewskie KGB wpadło na trop jego wtyczki na placu Dzierżyńskiego. Krąg podejrzanych zawężił się do około piętnastu wysokich rangą oficerów. Kiedy znajdą jego człowieka, Carlos utraci wszelkie wpływy w Komitecie, a co gorsza, w ręce fachowców z Łubianki wpadnie ktoś, kto wie o nim niebezpiecznie dużo.

- Dobrze, ale skąd ona będzie o tym wiedziała? - przerwał mu Jason.

- Kto jej o tym powiedział? - uzupełnił Krupkin.

- Przecież to wszystko prawda, czyż nie tak?

- Podobnie jak fakt istnienia waszych tajnych placówek w Pekinie, Kabulu, a nawet,

jeśli wybaczysz mi impertynencję, na Wyspie Księcia Edwarda, ale nikt nie trąbi o tym na prawo i lewo, do wszystkich diabłów! - wybuchnął Krupkin.

- Nie wiedziałem o Wyspie Księcia Edwarda - przyznał Aleks. - W każdym razie są takie sytuacje, kiedy nie trzeba o niczym trąbić, a wystarczy tylko w wiarygodny sposób przekazać informację. Jeszcze kilka minut temu nie miałem na to sposobu, ale teraz wszystko wygląda inaczej... Chodź tutaj, Kruppie. Tylko na chwilę, i nie zbliżaj się za bardzo do okna. Spójrz przez szparę w zasłonach. - Rosjanin postąpił zgodnie z życzeniem Amerykanina. - Widzisz? - zapytał Aleks, wskazując ruchem głowy obdrapany brązowy samochód stojący przy krawężniku na Avenue Montaigne. - Nie bardzo pasuje do otoczenia, prawda?

Krupkin nie odpowiedział, tylko wyjął z kieszeni nadajnik i wcisnął guzik.

- Siergiej, jakieś osiemdziesiąt metrów od wejścia do budynku stoi brązowy stary samochód...

- Wiemy - wpadł mu w słowo jego podkomendny. - Mamy go na oku. Nasz wóz stoi po drugiej stronie jezdnii. To jakiś staruszek. Nie rusza się, tylko co chwila wygląda przez okno.

- Ma telefon w wozie?

- Nie, towarzyszu. Jeśli ruszy, nasi ludzie pojedą za nim, żeby nie mógł zadzwonić z automatu, chyba że macie jakieś inne polecenia.

- Nie, nie mam. Dziękuję, Siergiej. Wyłączam się. - Rosjanin spojrzał na Conklina. - Staruszek... - powtórzył. - Zauważyłeś go, prawda?

- Owszem - potwierdził Aleks. - Nie jest głupi. Na pewno robił już kiedyś coś podobnego i dobrze wie, że jest obserwowany. Nie odjedzie, bo się boi, żeby czegoś nie przegapić, a skoro nie ma telefonu, to znaczy, że jest sam.

- Szakal...

Bourne postąpił krok w kierunku okna, ale natychmiast zatrzymał się, przypomniawszy sobie ostrzeżenie Aleksa.

- Teraz rozumiesz? - Conklin zaadresował swoje pytanie do oficera KGB.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem Dymitr Krupkin. - Właśnie do tego była ci potrzebna limuzyna z ambasady. Carlos dowie się, że przyjechał po nas samochód ze znacznikiem CD, a czy mogło nas tu sprowadzić coś innego niż chęć przesłuchania *madame Lavier*? Moja tożsamość będzie bardzo łatwa do ustalenia, towarzyszyli mi zaś dwaj ludzie - jeden wysoki, który mógł być Jasonem Bourne'em, ale wcale nie musiał, a drugi starszy, utykający na nogę, co wskazywałoby na to, że ten pierwszy jednak był Jasonem Bourne'em... Tym samym fakt nawiązania przez nas współpracy nie ulega najmniejszej wątpliwości, co potwierdzi dodatkowo *madame Lavier*, która usłyszała podczas przesłuchania kilka zdań świadczących o tym, że wiemy o wtyczce na placu Dzierżyńskiego.

- O której ja z kolei mogłem się dowiedzieć wyłącznie od Santosa z *Le Coeur du Soldat* - uzupełnił Jason. - Tak więc Dominique miałaby wiarygodnego świadka, jednego ze starców pracujących dla Carlosa... Muszę przyznać, święty Aleksie, że twój chytry umysł nie stracił nic na bystrości.

- Znowu słyszę profesora, którego kiedyś znałem... Wydawało mi się, że nas opuścił.

- Dobrze ci się wydawało.

- Mam nadzieję, że niedługo wróci.

- Dobra robota, Aleksiej. Nie straciłeś wycucia. Jeśli chcesz, możesz pozostać abstynentem, choć przyznam, że bardzo nad tym ubolewam... Jak zwykle, cały dowcip polega na wychwytywaniu drobnych niuansów, prawda?

Conklin potrząsnął głową.

- Wręcz przeciwnie. Prawie zawsze chodzi tylko o głupie błędy. Na przykład nasza nowa współpracowniczka, Domie, jak ją pieścotliwie nazywasz, uważała, że w dalszym ciągu cieszy się pełnym zaufaniem swego chlebodawcy, ale okazało się, że wcale tak nie jest i

że przed jej domem pojawił się pewien niepozorny starzec... Nic wielkiego, tyle tylko, że w samochodzie zupełnie nie pasującym do jaguarów i rolls-royce'ów. Trzeba zbierać małe wygrane, a prędzej czy później trafi się tę największą, w Moskwie.

- Pozwól, że teraz ja trochę pokombinuję, choć przyznam, że zawsze radziłeś sobie z tym lepiej ode mnie - odezwał się Krupkin. - Szczerze mówiąc, wolę dobre wino od nawet najbystrzejszych myśli, choć w obydwu naszych krajach te ostatnie prowadzą prędzej czy później do tego pierwszego.

- *Merde!* - wrzasnęła Dominique Lavier, rozgniatając papierosa w popielniczce. - O czym wy mówicie, idioci?!

- Na pewno kiedyś nam o tym powiedzą - pocieszył ją Bourne.

- Jak powszechnie wiadomo, wiele lat temu wyszkoliliśmy w Nowogrodzie autentycznego szaleńca - kontynuował Rosjanin. - Zlikwidowalibyśmy go, gdyby nie to, że nam uciekł. Jeżeli którekolwiek z supermocarstw zaakceptowałyby metody, jakie stosował, prędzej czy później stanęlibyśmy wobec konfrontacji, do jakiej nikt z nas nie chciałby dopuścić. Cała sprawa sprowadza się jednak przede wszystkim do tego, że ów szaleniec był na początku rewolucjonistą przez duże R, a my go odtrąciliśmy... Jego zdaniem spotkała go ogromna niesprawiedliwość, o której nigdy nie zapomni. Zawsze będzie chciał wrócić tam, gdzie się narodził... Boże, jak sobie pomyślę, ilu ludzi zabił jako rzekomych wrogów klasowych, a w rzeczywistości tylko po to, żeby się wzbogacić!

- Najważniejsze jest to, że go odtrąciliście, a on teraz chce, żebyście przyznali się do błędu - przerwał mu Jason. - Pragnie uznania i podziwu jako największy zabójca wszystkich czasów. Obaj z Aleksem najbardziej liczymy właśnie na tę jego cholernie silną potrzebę uznania. Santos twierdził, że Carlos ma obsesję na punkcie Moskwy i bez przerwy mówi o swojej siatce, którą tam tworzy. Jediną konkretną osobą, o której słyszał, choć nie znał jej nazwiska, był jakiś wysoki funkcjonariusz KGB, ale Szakal twierdził, że ma też wielu innych ludzi na różnych ważnych stanowiskach i że opłaca ich od wielu lat.

- Z tego wynika, że chce stworzyć sobie oparcie w kręgach władzy - zauważył Krupkin. - Mimo wszystko w dalszym ciągu wierzy, że będzie mógł wrócić. To rzeczywiście człowiek o chorobliwie wybujałej osobowości, ale nigdy tak naprawdę nie zrozumiał duszy Rosjanina. Owszem, może na jakiś czas skorumpować kilku największych oportunistów, ale każdy z nich zdradzi go przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nikt nie chce znaleźć się na Łubiance ani w syberyjskim gułagu. Jego plany prędzej czy później muszą się zawalić.

- Jeśli tak, to tym bardziej powinien polecieć do Moskwy i zapalić mocną flarę, żeby we wszystkim się zorientować.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Bourne.

- Fiasko jego planów, o którym mówił Dymitr, rozpocznie się od zdemaskowania wtyczki Szakala na placu Dzierżyńskiego. Jedyne sposoby, żeby tego uniknąć, to zjawić się na miejscu i ocenić sytuację. Albo informator zdoła się zaszyć w myszą dziurę i przeczekać niebezpieczeństwo, albo trzeba będzie go usunąć.

- Przypomniałem sobie jeszcze coś, co powiedział Santos - wtrącił się Bourne. - Większość Rosjan skaptowanych przez Carlosa mówi po francusku. Szukajcie wysokich urzędników państwowych, którzy znają francuski.

Z radia ukrytego w kieszeni Krupkina dobiegły dwa ostre sygnały. Rosjanin wyjął urządzenie i zbliżył je do ust.

- Tak?

- Nie wiem, jak to się stało ani dlaczego, towarzyszu, ale przed wejście do budynku właśnie podjechała limuzyna ambasadora! - W głosie Siergieja słychać było ogromne napięcie. - Przysięgam, nie mam pojęcia, o co tu chodzi!

- Ale ja mam. Sam ją wezwałem.

- Przecież wszyscy zauważą proporczyk na błotniku!

- W tym także ten czujny staruszek w brązowym samochodzie. Zaraz schodzimy. Wyłączam się. - Krupkin schował nadajnik i zwrócił się do dwóch mężczyzn i kobiety: - Samochód przyjechał, panowie. Gdzie się spotkamy, Domie? I kiedy?

- Dziś wieczorem - odparła Lavier. - W La Galerie d'Or na rue de Paradis będzie otwarcie nowej wystawy jakiegoś bubka, który chce też zostać gwiazdą rocka, ale akurat jest na fali, więc na pewno przyjdzie masa ludzi.

- W takim razie, do wieczora... Chodźmy, panowie. Choć to wbrew naszym przyzwyczajeniom, musimy się postarać, żeby wszyscy zwrócili na nas uwagę.

Gęsty tłum przelewał się wśród plam światła przy wtórze ogłuszającej muzyki zespołu rockowego, który na szczęście umieszczono w jednym z bocznych pomieszczeń, w pewnym oddaleniu od samej ekspozycji. Gdyby nie wiszące na ścianach obrazy, oświetlone małymi, punktowymi reflektorami, można by odnieść wrażenie, że jest się w dyskotecce, a nie w jednej z najbardziej eleganckich galerii Paryża.

Dominique Lavier dyskretnymi spojrzeniami i poruszeniami głowy zaprowadziła Krupkina do kąta sporej sali. Ich pogodne twarze, wysoko uniesione brwi i wybuchy śmiechu maskowały prawdziwą treść rozmowy.

- Starcy otrzymali informację, że *monseigneur* wyjeżdża na kilka dni, ale mają w dalszym ciągu prowadzić poszukiwania wysokiego Amerykanina i jego kulejącego towarzysza.

- Chyba musiałas być bardzo przekonująca.

- Kiedy przekazałam mu wiadomość, umilkł, ale w jego oddechu słychać było potworną nienawiść. Dosłownie zlodowaciałam.

- Jest już w drodze do Moskwy... - powiedział cicho Rosjanin. - Na pewno przez Pragę.

- Co teraz zrobicie?

Krupkin odchylił głowę i parsknął bezgłośnym, udawanym śmiechem, po czym spojrzał na nią i odpowiedział spokojnym głosem:

- Polecimy za nim.

Rozdział 33

Bryce Ogilvie, współwłaściciel firmy adwokackiej Ogilvie, Spofford, Crawford i Cohen, bardzo się szczyił swoją samodyscypliną. Polegała ona nie tylko na umiejętności zachowania zewnętrznego spokoju, lecz przede wszystkim na zdolności opanowania strachu, który w kryzysowych chwilach zżerał go od środka. Kiedy jednak piętnaście minut temu przybył do biura i pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszał, był dzwonek jego prywatnego, zastrzeżonego telefonu, poczuł ostre ukłucie niepokoju, gdy zaś po podniesieniu słuchawki dowiedział się od radzieckiego konsula generalnego w Nowym Jorku, że ten chce się z nim natychmiast widzieć, odniósł wrażenie, że w żołądku ma potworną, wsysającą wszystko pustkę. Nieznośne uczucie nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy Rosjanin poprosił go - a właściwie rozkazał - żeby zjawił się za godzinę w apartamencie 4-C hotelu Carlyle, a nie w dotychczasowym miejscu spotkań, to znaczy w wynajętym apartamencie na rogu Trzydziestej Drugiej Ulicy i Madison Avenue. Co prawda Ogilvie odważył się delikatnie zaprotestować, lecz kiedy usłyszał odpowiedź Rosjanina, ssąca pustka wypełniła się piekącym, podchodzącym do gardła ogniem.

- Po tym, co panu pokażę, będzie pan żałował, że w ogóle się poznaliśmy, nie mówiąc już o dzisiejszym spotkaniu! Proszę tam być!

Ogilvie siedział wciśnięty w kąć limuzyny, zeszywniałe nogi wparł w dywanową wykładzinę podłogi. Po głowie tłukły mu się rozpaczliwie jakieś abstrakcyjne myśli o jego pozycji, bogactwie i wpływach. Musi się opanować! W końcu jest nikim innym jak samym Bryce'em Ogilvie, bez wątplenia najbardziej wziętym adwokatem i radcą prawnym w Nowym Jorku, jednym z największych specjalistów w dziedzinie prawa antytrustowego, ustępującym pod tym względem chyba tylko Randolphowi Gatesowi z Bostonu.

Gates! Sama myśl o tym sukinsynu zdołała odwrócić uwagę Bryce'a od ponurych rozważań. „Meduza” zwróciła się do szanownego Gatesa z pewną drobną prośbą, chodziło mianowicie o to, by zechciał zasiąść w mało istotnej, tworzonej właśnie przez rząd komisji, a on nawet nie raczył odpowiedzieć na telefony! Przecież dzwonił do niego człowiek, który budził pełne zaufanie. Był to ten odpowiedzialny za dostawy dla Pentagonu dupiek, generał Norman Swaine. Nawet jeżeli w jego prośbie kryło się coś więcej, to Gates z pewnością nic o tym nie wiedział... Gates? Zdaje się, że we wczorajszym „Timesie” była wzmianka o tym, że nie stawiał się na posiedzenie jakiegoś podkomitetu czy czegoś w tym rodzaju... Co to mogło być?

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku przed hotelem Carlyle, niegdyś ulubioną nowojorską rezydencją Kennedych, obecnie wykorzystywaną z upodobaniem przez radzieckie służby wywiadowcze. Ogilvie zaczął, aż portier w hotelowej liberii otworzył lewe tylne drzwiczki samochodu, i dopiero wtedy wyszedł na chodnik. Zwykle tego nie czynił, uważając takie zachowanie za co najmniej niepoważne, ale tym razem po prostu potrzebował jeszcze tych kilku sekund, żeby się opanować. Musiał stać się znowu budzącym szacunek i respekt Stalowym Ogilvie.

Jazda windą na trzecie piętro trwała bardzo krótko, natomiast przejście wyłożonym niebieskim chodnikiem korytarzem do apartamentu 4-C znacznie dłużej, choć odległość była nieporównywalnie mniejsza. Kiedy Bryce Ogilvie stanął wreszcie przed drzwiami i nacisnął dzwonek, oddychał już głęboko i spokojnie. Dokładnie dwadzieścia osiem sekund później - odliczał je, jedna za drugą: „Tysiąc jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy...” - drzwi otworzyły się i stanął w nich konsul generalny ZSRR, szczupły, niezbyt wysoki, bladej mężczyzna o obciążonej napiętą skórą twarzy, orlich rysach i dużych brązowych oczach.

Władimir Sulikow był siedemdziesięcioletnim żyłastym człowiekiem pełnym nerwowej energii, byłym wykładowcą historii na Uniwersytecie Moskiewskim, oddanym marksistą, ale nie należał do partii, co było dosyć dziwne, jeżeli wzięto się pod uwagę jego wysoką pozycję. Nie chciał być członkiem żadnej ortodoksyjnej organizacji, zdecydowanie preferując rolę liberalnej jednostki w skolektywizowanym społeczeństwie. Ta jego postawa, w połączeniu z ogromną inteligencją, wyszła mu na zdrowie; był wysyłany na placówki, gdzie żadnemu konformiście nie udało się osiągnąć nawet połowy tego, co jemu. Kombinacja tych wszystkich cech w połączeniu z zamiłowaniem do ćwiczeń fizycznych sprawiała, że Sulikow wydawał się o piętnaście lat młodszy, niż był w istocie. Sprawiał wrażenie człowieka dysponującego ogromnym, wynikającym z wielu lat życia doświadczeniem, wspartym energią i żywotnością młodzieńca.

Powitanie było krótkie: gospodarz podał Ogilviemu rękę i wskazał mu drewniany, wyściełany fotel o wysokim oparciu, sam zaś stanął przed wąskim marmurowym kominkiem, jakby była to tablica w sali wykładowej, i założył ręce za plecy - zirytowany profesor, który pragnie przeegzaminować i jednocześnie czegoś nauczyć sprawiającego kłopoty studenta.

- Przejdźmy od razu do rzeczy - odezwał się Rosjanin. - Słyszał pan o admirałe Peterze Hollandzie?

- Oczywiście. To dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. Dlaczego pan pyta?

- Czy on jest jednym z was?

- Nie.

- Jest pan tego pewien?

- Całkowicie.

- Czy nie jest możliwe, że stał się jednym z was bez pańskiej wiedzy?

- Absolutnie nie. Nawet nie znam go osobiście. Jeśli to ma być jakieś amatorskie przesłuchanie w waszym stylu, to radzę, żeby pan potrenował na kimś innym.

- Czyżby znakomity, nadzwyczaj drogi adwokat miał coś przeciwko udzieleniu odpowiedzi na kilka prostych pytań?

- Nie, ale nie lubię, kiedy się mnie obraża. Powiedział mi pan przez telefon coś bardzo dziwnego. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan to wyjaśnić.

- Wkrótce do tego dojdę, może mi pan wierzyć, ale zrobię to na swój sposób. My, Rosjanie, zawsze staramy się chronić nasze flanki. Nauczyliśmy się tego pod Stalingradem - wy, Amerykanie, nigdy nie przeżyliście niczego podobnego.

- Brałem udział w innej wojnie, jak zapewne pan wie - odparł chłodno Ogilvie. - Jeżeli jednak wierzyć podręcznikom historii, sporo wam pomogła wasza zima.

- Przypuszczam, że trudno byłoby o tym przekonać tysiące zamarzniętych Rosjan.

- Z pewnością. Przekazuję panu w związku z tym zarówno moje kondolencje, jak i gratulacje, ale to nie jest wyjaśnienie, którego oczekuję.

- Ja tylko próbuję wytłumaczyć panu pewien truizm, młody człowieku. Jak już ktoś kiedyś powiedział, najczęściej powtarzamy te bolesne lekcje historii, z których uciekliśmy na wagary... My naprawdę chronimy nasze skrzydła, a jeśli ktokolwiek z nas, dyplomatów, odkryje, że zostaliśmy wmanewrowani w jakąś międzynarodową aferę, wzmacniamy je w dwójnasób. Dla takiego erudyty jak pan powinna to być bardzo przejrzysta aluzja.

- Powiedziałbym, że jest wręcz trywialna. Dlaczego pytał pan o admirała Hollanda?

- Za chwilę... Najpierw, jeśli pan pozwoli, zajmiemy się niejakim Aleksandrem Conklinem.

Bryce Ogilvie wyprostował się raptownie i spojrzął ze zdumieniem na swego rozmówcę.

- Skąd pan zna to nazwisko? - zapytał prawie niesłyszalnym szeptem.

- Nie tylko to jedno... Są jeszcze: Panov, Mortimer albo Moische Panov, żydowski psychiatra, a także mężczyzna i kobieta - według posiadanych przez nas informacji - Jason

Bourne i jego żona.

Ogilvie skulił się w fotelu.

- Boże! - krzyknął, otwierając szeroko oczy. - Co oni mają z nami wspólnego?

- Właśnie tego musimy się dowiedzieć - odparł Sulikow, nie spuszczać wzroku z prawnika. - Pan, zdaje się, zna ich wszystkich, prawda?

- Tak... To znaczy, nie! - zaprotestował Ogilvie. Jego twarz zaczerwieniła się, a słowa płynęły jedno za drugim. - To zupełnie inna sprawa, nie ma żadnego związku z naszymi interesami... Włożyliśmy w nie miliony dolarów, to już prawie dwadzieścia lat...

- Zarabiając dziesiątki milionów, jeśli wolno mi panu przypomnieć.

- Swobodny przepływ kapitału na międzynarodowym rynku! - wykrzyknął prawnik. - W tym kraju to nie jest przestępstwo. Wystarczy nacisnąć guzik i pieniądze płyną za ocean. To nie przestępstwo!

Radziecki konsul generalny uniósł wysoko brwi.

- Doprawdy? Szczerze mówiąc, uważałem pana za lepszego fachowca... Wykupowaliście firmy w całej Europie, posługując się nazwami nie istniejących korporacji i podstawionymi ludźmi. Dążyliście do stworzenia monopolu w danej grupie produktów, a kiedy wam się to udało, dyktowaliście ceny. Mam wrażenie, że chodzi tutaj o cenową zмовę i naruszanie reguł gry rynkowej - my w Związku Radzieckim nie mamy z tym problemu, bo wszystkie ceny ustala państwo.

- Nie ma pan na to żadnych dowodów! - wykrzyknął Ogilvie. - Żadnych!

- Zgadzam się, przynajmniej dopóki na świecie istnieją kłamcy i pozbawieni skrupułów, przekupni prawnicy. To prawdziwy labirynt, znakomicie zaprojektowany, i obie strony ciągnęły z niego ogromne zyski. Wy sprzedawaliście nam wszystko, czego potrzebowaliśmy, łącznie z towarami objętymi ścisłym embargiem. Wysyłaliście je nam pod tyłoma różnymi nazwami, że w końcu przestały się w tym orientować nawet nasze komputery.

- Nie ma żadnych dowodów! - powtórzył z uporem wzięty adwokat z Wall Street.

- Nie interesują mnie dowody, tylko nazwiska, które panu wymieniłem. Po kolei: admirał Holland, Aleksander Conklin, doktor Panov, a wreszcie Jason Bourne i jego żona. Proszę mi o nich opowiedzieć.

- Ale dlaczego? - zapytał błagalnym tonem Ogilvie. - Przecież już wyjaśniłem, że oni nie mają nic wspólnego ani z panem, ani ze mną, ani z naszymi interesami!

- Podejrzewamy, że jednak mają, więc proszę zacząć. Najlepiej od admirała Hollanda.

- Och, na litość boską! - Prawnik potrząsnął kilkakrotnie głową, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. - Holland... Dobrze, sam się pan przekona. Mieliśmy w CIA człowieka. Nazywał się DeSole, był świetnym analitykiem, ale w pewnej chwili wpadł w panikę i chciał się od nas odciąć. Oczywiście nie mogliśmy do tego dopuścić, więc go wyeliminowaliśmy, tak samo jak kilku innych, co do których mieliśmy jakieś wątpliwości. Holland na pewno zaczął coś podejrzewać, ale nie miał się do czego przyczepić, bo zawodowcy, których wynajęliśmy, nie zostawili żadnych śladów. Oni nigdy ich nie zostawiają.

- Bardzo dobrze - powiedział Sulikow, stojąc cały czas przy kominku i nie spuszczać spojrzenia ze zdenerwowanego Ogilvie. - Teraz Aleksander Conklin.

- Były szef placówki CIA, blisko związany z Panovem, psychiatrą. Obaj przyjaźnią się z człowiekiem, którego nazywają Jasonem Bourne'em, i jego żoną. Wszystko zaczęło się dawno temu, jeszcze w Sajgonie. Teraz nagle o mało co nie zostaliśmy zdemaskowani, a DeSole doszedł do wniosku, że maczał w tym palce właśnie Bourne, przy dużej pomocy Conklina.

- W jaki sposób udało mu się to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że musi zostać wyeliminowany i że nasi zawodowcy przyjęli zlecenie, a właściwie zlecenia. Oni wszyscy muszą zniknąć.

- Wspomniął pan o Sajgonie.

- Bourne należał do starej „Meduzy” - powiedział cicho Ogilvie. – Jak wszyscy był złodziejem i bandytą... Możliwe, że po prostu poznał kogoś sprzed dwudziestu lat. DeSole wywahał, że Bourne - nawiasem mówiąc, nie jest to jego prawdziwe nazwisko - został przeszkolony przez Agencję, żeby odegrać rolę międzynarodowego terrorysty i wciągnąć w zasadzkę jakiegoś groźnego mordercę, znanego jako Carlos. Coś jednak im nie wyszło i Bourne poszedł w odstawkę, zdaje się, że z niezłą emeryturą. „Dzięki, chłopie, żeś próbował, ale teraz już po wszystkim...” Wygląda na to, że chciał wyciągnąć jeszcze więcej i dlatego zainteresował się nami. Teraz chyba pan rozumie, prawda? To zupełnie oddzielne sprawy, nie mają ze sobą żadnego związku!

Rosjanin rozplótł złożone za plecami dłonie i oderwał się od kominka. Wyraz jego twarzy świadczył bardziej o trosce niż o niepokoju.

- Czy pan jest ślepy, czy może tylko tak ograniczony, że nie widzi pan nic oprócz własnych interesów?

- Wypraszam sobie takie uwagi! O czym pan mówi, do diabła?

- Związek istnieje, bo takie właśnie były założenia, a wy stanowicie zaledwie produkt uboczny, który nabrał znaczenia wyłącznie za sprawą zbiegu okoliczności.

- Nie rozumiem... - wyszeptał Ogilvie z pobladłą twarzą.

- Przed chwilą mówił pan o jakimś groźnym mordercy, a Bourne'a określił pan jako mało ważnego agenta, który po nieudanej próbie wykonania zadania został odesłany na niezłą emeryturę.

- Tak mi powiedziano...

- Co jeszcze powiedziano panu o Carlosie-Szakalu i człowieku noszącym nazwisko Jason Bourne? Co pan wie o nich?

- Szczerze mówiąc, niewiele. To dwaj podstarzali zabójcy, kompletne męty, polujące na siebie od lat. Zresztą, co to kogo obchodzi? Mnie zależy wyłącznie na utrzymaniu w ścisłej tajemnicy faktu istnienia naszej organizacji, co pan zdaje się podawać w wątpliwość.

- W dalszym ciągu niczego pan nie rozumie, prawda?

- A co mam rozumieć, na litość boską?

- Bourne może wcale nie być taką metą, za jaką pan go uważa, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę jego przyjaciół.

- Proszę wyrażać się jaśniej.

- On wykorzystuje „Meduzę”, żeby wytropić Szakala.

- Niemożliwe! Tamta „Meduza” przestała istnieć wiele lat temu w Sajgonie!

- Najwidoczniej Bourne uważa inaczej. Czy byłby pan uprzejmy zdjęć tę elegancką marynarkę, podwinąć rękaw koszuli i zademonstrować niewielki tatuaż na wewnętrznej stronie przedramienia?

- To nie ma żadnego związku! Honorowy znak z wojny, w której nikt nas nie popierał, a którą mimo to musieliśmy toczyć!

- W magazynach i składach towarów w Sajgonie? Okradając własnych żołnierzy i wysyłając kurierów do Szwajcarii? Za takie bohaterstwo nikt nie przyznaje odznaczeń.

- Czcze domysły bez pokrycia! - parsknął wściekle Ogilvie.

- Proszę to powiedzieć Bourne'owi, wychowankowi pierwszej „Meduzy”... Tak, miły panie! Szukał was, znalazł, a teraz wykorzystuje, żeby dobrać się do Szakala.

- Na rany Chrystusa, w jaki sposób?!

- Muszę szczerze przyznać, że nie wiem, ale chyba będzie dobrze, jeśli pan to przeczyta. - Konsul podszedł szybkim krokiem do biurka, wziął leżące na nim kartki maszynopisu i wręczył je adwokatowi. - Oto stenogramy rozszyfrowanych rozmów telefonicznych, jakie przeprowadzono cztery godziny temu z naszej ambasady w Paryżu. Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość tożsamość wszystkich osób. Proszę się dokładnie z

nimi zapoznać, a potem podzielić ze mną swą fachową opinią.

Stalowy Ogilvie, jeden z najdroższych prawników w Nowym Jorku, chwycił kartki i zaczął szybko pochłaniać wzrokiem ich treść. W miarę jak przerzucał strony, krew coraz bardziej odpływała z jego twarzy, która upodobniła się niemal do śmiertelnej maski.

- Mój Boże, oni o wszystkim wiedzą! Założyli mi podsłuch! Ale jak? Kiedy? To szaleństwo! Nie mogę uwierzyć!

- Mogę tylko jeszcze raz panu poradzić, żeby powiedział pan to Bourne'owi i jego przyjacielowi z Sajgonu, Aleksandrowi Conklinowi. To im udało się trafić na wasz trop.

- Niemożliwe! - ryknął Ogilvie. -Przekupiliśmy albo wyeliminowaliśmy wszystkich ludzi starej „Meduzy”, którzy cokolwiek mogli podejrzewać! Boże, przecież było ich zaledwie kilkudziesięciu! Przed chwilą mówiłem panu: to były męty, złodzieje i zbiegli przestępcy, poszukiwani w Australii i na całym Dalekim Wschodzie. Dotarliśmy do wszystkich, jestem tego pewien!

- Jednak wygląda na to, że kilku pominęliście - zauważył Sulikow. Prawnিক zaczął ponownie przerzucać kartki. Na jego czole pojawiły się

krople potu, by po chwili połączyć się w strużki i spłynąć ku skroniom.

- Boże, jestem skończony... - wyszeptał przez ściśnięte gardło.

- Ja również w pierwszej chwili odniosłem takie wrażenie - odparł konsul generalny ZSRR w Nowym Jorku - ale przecież podobno nie ma sytuacji bez wyjścia, czyż nie tak...? Oczywiście, jeśli chodzi o nas, to możemy za chować się tylko w jeden sposób: zostaliśmy oszukani przez bezlitosnych, goniących za zyskiem kapitalistów; byliśmy jak niewinne owieczki prowadzone na rzeź przez amerykański kartel finansowych oszustów, którzy usiłovali wciskać nam bezwartościowe towary po paskarskich cenach i twierdzili, że posiadają zezwolenie swego rządu na sprzedaż Związkowi Radzieckiemu i jego sojusznikom artykułów objętych embargiem.

- Ty sukinsynu! - wybuchnął Ogilvie. - Przecież współdziałaliście z nami od początku do końca! To wy dokonywaliście transferu milionów dolarów, zmienialiście nazwy i bandery statków chyba we wszystkich portach świata, nawet je przemalowywaliście, żeby tylko ominąć przepisy!

Sulikow roześmiał się łagodnie.

- Proszę to udowodnić - zaproponował. - Jeżeli pan chce, mogę nadać pańskiej ucieczce znaczny rozgłos. W Moskwie bardzo by się przydało pańskie doświadczenie.

- Co takiego?! - wykrzyknął adwokat, wpatrując się z przerażeniem w konsula.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie może pan zostać tutaj ani minuty dłużej niż to naprawdę konieczne. Proszę jeszcze raz przeczytać te stenogramy, panie Ogilvie. Wynika z nich jasno, że w każdej chwili może pan zostać aresztowany.

- O, mój Boże...

- Mógłby pan działać na terenie Hongkongu albo Makau - oni z radością powitaliby pańskie pieniądze - ale zważywszy na ich kłopoty z rynkami zbytu na kontynencie i problemy, jakich przysparza bliski już kres chińsko-brytyjskiego układu w sprawie Hongkongu, chyba nie bardzo podobałyby im się pańskie rekomendacje. Szwajcaria odpada - te umowy o ekstradycji są bardzo rygorystycznie przestrzegane, o czym przekonał się Vesco... Właśnie, Vesco! Mógłby pan dołączyć do niego na Kubie...

- Proszę przestać! - ryknął Ogilvie.

- Ewentualnie mógłby pan podjąć współpracę z władzami. Gdyby był pan z nimi naprawdę szczery, kto wie, może zmniejszyliby panu wyrok nawet o dziesięć lat?

- Do cholery, zabiję pana!

Otworzyły się drzwi sypialni i do pokoju wszedł ochroniarz z ręką ukrytą pod połą marynarki. Adwokat zerwał się z miejsca, po czym, drżąc na całym ciele, opadł z powrotem na fotel i pochylił się do przodu, kryjąc twarz w dłoniach.

- To nie jest najrozsądniejsze wyjście z sytuacji - zauważył chłodno Sulikow. - Proszę się opanować, panie mecenasie. Nie czas na gwałtowne emocje.

- Co pan może o tym wiedzieć? - wychrypiął Ogilvie i spojrzał na konsula załamionymi oczami. - Jestem skończony!

- Mam wrażenie, że jak na kogoś tak zamożnego i wpływowego nieco zbyt pochopnie wyciąga pan wnioski. To prawda, że nie może pan tu zostać, ale przecież w dalszym ciągu dysponuje pan ogromnymi możliwościami. Proszę działać z pozycji siły, na tym polega sztuka przetrwania! Po pewnym czasie władze zrozumieją, jak wielkie może im pan oddać usługi, i dołączy pan do ludzi takich jak Boesky, Levine i wielu innych, którzy otrzymali symboliczne wyroki i odsiadują je, grając w tenisa albo warcaby, zachowując cały czas kontrolę nad swoimi fortunami. Niech pan spróbuje!

- Jak? - zapytał prawnik, wpatrując się w twarz Rosjanina błagalnym spojrzeniem zaczerwienionych oczu.

- Najpierw trzeba wiedzieć gdzie - odparł Sulikow. - Musi pan znaleźć jakiś neutralny kraj, który nie podpisał z Waszyngtonem umowy o ekstradycji i gdzie znajdą się oficjele gotowi udzielić panu zgody na czasowy pobyt, żeby mógł pan prowadzić stamtąd swoje interesy. Termin „czasowy pobyt” jest nadzwyczaj elastyczny, może mi pan wierzyć. Jest z czego wybierać: Bahrajn, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Maroko, Turcja, Grecja i cała masa innych. Wszędzie znajdują się spore kolonie Anglików i Amerykanów. Nie jest nawet wykluczone, że my bylibyśmy gotowi dyskretnie panu pomóc...

- Dlaczego?

- Znowu pan ślepnie, panie Ogilvie... Bo chcemy dostać coś w zamian, ma się rozumieć. Prowadzi pan bardzo rozległe interesy w Europie. Gdybyśmy uzyskali nad nimi kontrolę, moglibyśmy osiągnąć ogromne zyski...

- Boże... - wyszeptał poblądłymi wargami człowiek będący mózgiem „Meduzy”.

- Czy ma pan jakąś alternatywę, mecenasie? Chodźmy, musimy się po śpieszyć. Jest sporo spraw do załatwienia. Na szczęście dzień dopiero się zaczął.

O godzinie piętnastej dwadzieścia pięć Charles Casset wszedł do gabinetu Petera Hollanda w Kwaterze Głównej Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Wreszcie przełom! - oznajmił zastępca dyrektora, po czym dodał nieco mniej entuzjastycznym tonem: - W pewnym sensie...

- Ogilvie? - zapytał Holland.

- Nie tylko - odparł Casset, kładąc na biurku szefa kilka fotografii. - Godzinę temu przekazali je nam faksem z lotniska Kennedy'ego. Wierz mi, to była jedna z najbardziej pracowitych godzin mojego życia.

- Z lotniska Kennedy'ego? - Holland zmarszczył brwi i wziął zdjęcia do ręki. Przedstawiały pasażerów przechodzących przez bramkę podczas odprawy przed odlotem. Na każdej fotografii głowa jednego z nich była zakreślona czerwonym kółkiem. - Co to ma być? Kto to jest?

- To pasażerowie odlatujący do Moskwy rejsem Aeroflotu. Zdjęcia były robione rutynowo. Służby bezpieczeństwa zwykle fotografują obywateli amerykańskich lecących na tej trasie.

- No więc? Co to za facet?

- Ogilvie we własnej osobie.

- Co takiego?

- Wsiadł do samolotu odlatującego o drugiej zero zero do Moskwy... Teoretycznie.

- Nie rozumiem.

- Dzwoniliśmy do jego biura trzy razy i za każdym razem uzyskaliśmy tę samą

odpowiedź: pan Ogilvie poleciał do Londynu, zatrzyma się w hotelu Dorchester. W Londynie potwierdzili, że ma zarezerwowany pokój, ale jeszcze się nie zjawił, więc przyjmują dla niego wszystkie wiadomości.

- Nadal nic nie rozumiem, Charlie.

- To wszystko tylko zasłona dymna, w dodatku postawiona w pośpiechu i byle jak. Po pierwsze, dlaczego ktoś tak bogaty jak Ogilvie miałby tłuc się Aeroflotem do Moskwy, skoro może polecieć concordem do Paryża, a stamtąd Air France? Po drugie, po co sekretarka miałaby informować interesantów, że szef jest w Londynie, skoro właśnie odleciał do Moskwy?

- Pierwsza sprawa jest oczywista - odparł Holland. - Aeroflot to państwowa linia i byłby tam pod opieką Rosjan. Co do Londynu, to też nic skomplikowanego: zwykła historyjka, żeby zmylić ciekawskich... Boże, żeby nas zmylić!

- Słusznie, mistrzu. My też doszliśmy do tego wniosku, więc Valentino usiadł przy tych naszych wszystkowiedzących komputerach w podziemiu i wiesz, co się okazało? Pani Ogilvie wraz z dwojgiem dzieci odleciała samolotem Royal Air Maroc do Casablanki, a stamtąd na połączenie z Marakeszem!

- Marakesz...? Air Maroc...? Czekaj! W tych wydrukach, które Conklin kazał nam zrobić o ludziach z Mayflower, było coś o jakiejś kobiecie z Marakeszu...

- Podziwiam twoją pamięć, Peter. Ta kobieta i żona Ogilvie mieszkały podczas studiów w jednym pokoju. Obie pochodzą z dobrych, starych rodzin, więc nic dziwnego, że trzymały się razem.

- Charlie, o co w tym wszystkim chodzi?

- Państwo Ogilvie dostali cynk i postanowili się ulotnić. Poza tym, jeśli się nie mylę i jeżeli udałoby nam się sprawdzić to w bankach, okazałoby się, że dziś rano przekazano za granicę sporo milionów dolarów. A to z kolei oznacza, że...

- Tak, Charlie?

- Że „Meduza” jest teraz w Moskwie, panie dyrektorze.

Rozdział 34

Louis DeFazio, nie kryjąc znużenia, wysiadł z taksówki na bulwarze Massena, a za nim jego znacznie wyższy i mocniej zbudowany kuzyn Mario z Larchmont w stanie Nowy Jork. Przystanęli na chodniku przed wejściem do restauracji; za zieloną przyciemnianą szybą wisiał niewielki, czerwony neon:

TETRAZZINI'S.

- To tutaj - powiedział Louis. - Czekają na nas w pokoju na zapleczu.
- Już późno. - Mario zerknął na zegarek w blasku pobliskiej latarni. - Dochodzi północ.
- Nie bój się, na pewno tam są.
- Nawet mi nie powiedziałeś, Lou, jak się nazywają. Przecież muszę się jakoś do nich zwracać.

- Nie musisz - odparł DeFazio, ruszając do wejścia. - Żadnych nazwisk. Zresztą one i tak są bez znaczenia. Masz tylko okazać tym ludziom szacunek, rozumiesz?

- Nie musisz tego powtarzać, Lou - skarcił go Mario, nie podnosząc głosu. - Ciekaw jestem, dlaczego mi w ogóle o tym mówisz?

- On jest wysokiej rangi dyplomatą - wyjaśnił *capo supremo*, przystając na chwilę i obrzucając przelotnym spojrzeniem człowieka, który o mało nie zabił w Manassas Jasona Bourne'a. - Działa na terenie Rzymu, ale ma bezpośredni kontakt z Sycylią. Oboje z żoną są bardzo, bardzo szanowani, rozumiesz?

- Tak i nie - przyznał kuzyn. - Skoro jest taki ważny, to dlaczego wziął taką zwykłą robotę, jak tropienie dwojga ludzi?

- Dlatego, że ma możliwości. Bywa tam, gdzie *nasipagliacci* nie mogą się nawet zbliżyć, rozumiesz? Poza tym, dałem wszystkim w Nowym Jorku do zrozumienia, kim są nasi klienci. Wszyscy donowie od Manhattanu do Palermo mają specjalny język, którym mówią tylko między sobą, wiedziałeś o tym, *cugino*? Sprowadza się do dwóch rozkazów: „zrób to” i „nie rób tego”.

- Teraz chyba rozumiem, Lou. Rzeczywiście, musimy okazać szacunek.

- Szacunek, mój drogi kuzynie, ale nie słabość, *capisce*? Nie słabość! Wszyscy muszą wiedzieć, że tę sprawę wziął w swoje ręce Lou DeFazio i do prowadził ją do końca, kapujesz?

- Skoro tak, to chyba mogę wrócić do Angie i dzieciaków – odparł z uśmiechem Mario.

- Co...? Nie gadaj głupot, *cugino*! Po tej jednej robocie będziesz mógł utrzymywać tę swoją gromadę do końca życia!

- Nie gromadę, Lou, tylko piątkę.

- Chodźmy. Pamiętaj: z szacunkiem, ale bez przesady.

Wystrój małej, przeznaczonej dla specjalnych gości salki niczym się nie różnił od wystroju całego lokalu. Wszystko było tu w stu procentach włoskie. Na ścianach wisiały ryciny z widokami Wenecji, Rzymu i Florencji, z niewidocznych głośników sęczyły się dźwięki arii operowych i taranteli, w całym pomieszczeniu zaś panował dyskretny półmrok. Gość, który by nie wiedział, że znajduje się w Paryżu, mógłby pomyśleć, iż trafił do jednej z małych, rodzinnych restauracji przy Via Frascati w Rzymie.

Na środku pokoju stał duży, okrągły, nakryty płomieniście czerwonym obrusem stół, a wokół niego cztery ustawione w równych odstępach krzesła.

Pod ścianami stało kilka rezerwowych krzeseł, przeznaczonych dla dodatkowych gości lub uzbrojonej obstawy. Przy stole siedział dystyngowany mężczyzna o oliwkowej cerze i czarnych, gęstych włosach, a u jego boku, po lewej stronie, elegancko ubrana, starannie uczesana kobieta w średnim wieku. Na stole stała butelka chianti classico i dwa niezgrabne

kieliszki, a na krześle po prawej stronie dyplomaty leżała czarna skórzana teczka.

- Jestem DeFazio - powiedział *capo supremo*, zamykając drzwi. - A to mój kuzyn Mario, o którym chyba państwo słyszeli. Bardzo zdolny człowiek, oderwał się od rodziny, żeby tu być.

- Tak, oczywiście - odparł arystokratyczny mafioso. - Mario, il *boia, esecuzione garantito*... Równie pewnie posługujący się każdym rodzajem broni. Siadajcie, panowie.

- Nie lubię takiego gadania - odezwał się Mario, podchodząc do krzesła. - Po prostu to, co robię, robię solidnie, to wszystko.

- Mówi pan jak prawdziwy profesjonalista, *signore* - zauważyła kobieta, kiedy DeFazio i Mario usiedli już przy stole. - Napijcie się wina czy czegoś mocniejszego?

- Na razie dziękujemy - powiedział Louis. - Może później... Mój utalentowany kuzyn ze strony mej świętej pamięci matki zadał mi, nim tu weszliśmy, dobre pytanie: jak mamy się do państwa zwracać? Wcale mi nie chodzi o prawdziwe nazwiska, ma się rozumieć.

- Większość znajomych tytułuje nas *Conte i Contessa* - odparł ciemnowłosy mężczyzna z uśmiechem, który bardziej by pasował do maski niż do ludzkiej twarzy.

- A nie mówiłem, *cugino!* Ci ludzie naprawdę zasługują na szacunek. No, panie hrabio, może nam pan powie, co tu jest właściwie grane?

- Może pan być pewien, że to uczynię, *signor DeFazio* - wycodził rzymianin bez śladu uśmiechu na twarzy. - Wprowadzę pana we wszystkie najświeższej daty wydarzenia, choć gdyby to ode mnie zależało, najchętniej pozostawiłbym pana w odległej przeszłości.

- Hej, co to za pieprzenie?

- Proszę, Lou! - wtrącił się Mario. - Uważaj, co mówisz!

- A on nie powinien uważać, co mówi? O czym on chrzani? Chce mnie w coś zrobić czy jak?

- Zapytał mnie pan, co się stało, a ja właśnie pana o tym informuję - powiedział dyplomata tym samym tonem co poprzednio. - Wczoraj w południe ja i moja żona o mało nie zostaliśmy zabici... Zabici, *signor DeFazio*. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni ani nie mamy zamiaru czegoś takiego tolerować. Czy ma pan choćby blade pojęcie, w co się pan naprawdę wpakował?

- Oni... Oni was namierzili?

- Jeżeli chodzi panu o to, czy wiedzieli, kim jesteśmy, to całe szczęście odpowiedź brzmi nie. Gdyby było inaczej, najprawdopodobniej nie siedzielibyśmy teraz przy tym stole!

Hrabina spojrzeniem nakazała mężowi spokój.

- *Signor DeFazio* - zwróciła się do przybysza z Nowego Jorku - według posiadanych przez nas informacji zawarł pan kontrakt dotyczący tego kulawego człowieka i jego przyjaciela, doktora. Czy to prawda?

- W pewnym sensie - przyznał ostrożnie *capo supremo*. - To znaczy, zgadza się, ale jest jeszcze coś poza tym... Wie pani, o czym mówię?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparła hrabina lodowatym tonem.

- Powiem wam, bo może będę musiał skorzystać z waszej pomocy. Dobrze zapłacę.

- Czy to ma znaczyć, że jest jeszcze coś poza tym? - przerwała mu żona dyplomaty.

- Mamy sprzątnąć jeszcze trzeciego faceta. Gościa, z którym ci dwaj spotkali się w Paryżu.

Mąż i żona wymienili błyskawiczne spojrzenia.

- Trzeciego faceta... - mruknął hrabia, podnosząc do ust kieliszek z winem. - Rozumiem. Potrójne kontrakty są zwykle bardzo opłacalne. Jak bardzo, *signor DeFazio*?

- A czyja pana pytam, ile pan zarabia tygodniowo w Paryżu? Powiedzmy, że to spora forsa, a wy możecie z tego liczyć na sześciocyfrową sumę, jeżeli wszystko pójdzie tak, jak powinno.

- Sześć cyfr to bardzo nieprecyzyjne sformułowanie - zauważyła kobieta. - Wynika z

niego jednak, że sam kontrakt opiewa na kwotę co najmniej siedmiocyfrową.

- Siedmio? - DeFazio wstrzymał oddech i zawisł spojrzeniem na jej twarzy.

- Czyli na co najmniej milion dolarów - uzupełniła hrabina.

Louis odetchnął głęboko, kiedy usłyszał, że siedem cyfr to nie siedem milionów dolarów.

- Naszym klientom bardzo zależy na sprawnym wykonaniu roboty - wyjaśnił. - Nie pytamy, dlaczego, tylko robimy swoje. W takich sytuacjach donowie są zawsze bardzo hojni. Prawie cała forsa zostaje u nas, a my zyskujemy sobie dobrą reputację. Czy nie tak, Mario?

- Na pewno, Louis, ale ja nie znam się na tych sprawach.

- Ale dostajesz pieniądze, prawda?

- Gdybym nie dostawał, nie byłoby mnie tutaj, Lou.

- Teraz rozumiecie? - zapytał DeFazio, spoglądając na dwoje arystokratów europejskiej mafii, którzy jednak nie zareagowali żadnym gestem, wpatrując się w milczeniu w *capo supremo*. - Hej, o co wam chodzi...? A, o tę waszą wczorajszą przygodę, tak? Jak to było - zobaczyli was i jakiś goryl zaczął strzelać, tak? Chyba nie mogło być inaczej, no nie? Nie wiedzieli, kim jesteście, ale za bardzo rzucaliście się w oczy, więc postanowili was postraszyć. To stary numer: napędzić pietra każdemu obcemu, którego widziało się więcej niż raz.

- Lou, już cię prosiłem, żebyś się uspokoił.

- A jak mam się uspokoić? Chcę ubić interes, a nie gadać nie wiadomo o czym!

Hrabia nie zwrócił najmniejszej uwagi na wybuch Louisa.

- Krótko mówiąc - powiedział, unosząc brwi - ma pan zabić kalekę, doktora i jeszcze kogoś, czy tak?

- Krótko mówiąc, zgadza się.

- Czy wie pan o tym trzecim człowieku coś więcej, niż wynika ze zdjęcia albo słownego opisu?

- Jasne. Nie uwierzycie, ale kiedyś to był rządowy agent, który robił to samo, co Mario teraz. Wszyscy trzej zdrowo dali się we znaki naszym klientom i dlatego ci postanowili nas wynająć. To chyba proste, prawda?

- Nie jestem tego pewna - odparła hrabina, pociągając łyk wina. - Wygląda na to, że nie wie pan o wielu rzeczach.

- Na przykład o czym?

- Na przykład o tym, że istnieje ktoś, komu zależy na śmierci tego trzeciego człowieka jeszcze bardziej niż wam - wyjaśnił śniadoskóry mafioso. - Wczoraj w południe napadł z kilkoma ludźmi na małą wiejską restaurację i zabił kilka osób tylko dlatego, że wśród gości znajdował się także ten wasz trzeci człowiek... Widzieliśmy, jak uciekł, ostrzeżony przez swojego goryla, i natychmiast domyśliliśmy się, co się święci. Wyszliśmy kilka minut przed masakrą.

- *Condannare!* - wykrztusił DeFazio. - Kim jest ten sukinsyn, który chce go zabić? Powiedzcie mi!

- Spędziliśmy wczorajsze popołudnie i cały dzisiejszy dzień, próbując to ustalić - powiedziała kobieta, dotykając delikatnie palcami niezgrabnego kieliszka, jakby nie mogła pogodzić się z jego brzydotą. - Ludzie, których masz zgładzić, zawsze chodzą z obstawą. Początkowo nie wiedzieliśmy, kim są uzbrojeni mężczyźni, którzy ciągle się przy nich kręcą, ale potem na Avenue Montaigne zobaczyliśmy, jak przyjeżdża po nich limuzyna z radzieckiej ambasady, i rozpoznaliśmy jednego z nich. To wysoki oficer KGB. Wydaje nam się, że teraz już rozwiązaliśmy zagadkę.

- Ale tylko pan może to potwierdzić - dodał hrabia. - Jak się nazywa trzeci człowiek, którego macie wyeliminować? Chyba możemy to wiedzieć, prawda?

Louis wzruszył ramionami.

- Czemu nie? Nazywa się Bourne, Jason Bourne. Próbował szantażować naszych klientów.

- *Ecco* - powiedział cicho dyplomata.

- *Ultimo* - uzupełniła jego żona. - Co pan wie o tym Bournie?

- To, co już wam powiedziałem. Pracował dla rządu, ale chłopcy z Waszyngtonu go wykiwali, więc wściekł się i próbował wykiwać naszych klientów. Niezły aparat, nie ma co..

- Czy słyszał pan kiedyś o Szakalu? - zapytał hrabia, pochylając się lekko nad stołem i przypatrując uważnie Louisowi.

- Jasne. Słyszałem o nim i wiem, co wam chodzi po głowie. Ten Szakal ma podobno jakieś pretensje do Bourne'a i na odwrót, ale ja nie dam za to złamanego centa. Jeszcze niedawno myślałem, że ten cały Szakal to tylko postać z książek albo filmów, rozumiecie? A potem nagle okazuje się, że facet naprawdę istnieje. Niezłe, co?

- Rzeczywiście - przyznała hrabina.

- Ale jak wam powiedziałem, to wszystko nic mnie nie obchodzi. Chcę tylko dorwać tego żydowskiego doktora, kalekę i Bourne'a i nic poza tym. Naprawdę chcę ich dorwać.

Mąż i żona spojrzeli na siebie z lekkim niedowierzaniem, po czym wruszyli ramionami.

- Rzeczywistość przekroczy pańskie najśmielsze oczekiwania - powiedziała kobieta.

- Że co, proszę?

- Jak pan może wie, Robin Hood istniał naprawdę, ale nie był wcale szlachcicem z Locksley, tylko barbarzyńskim wodzem saksońskiego plemienia, mordercą i rabusiem, wychwalanym jedynie w legendach. Podobnie Innocenty III - papież, który z całą pewnością nie był niewinny i kontynuował okrutną politykę swego poprzednika, świętego Grzegorza VII, który w żadnym wypadku nie był święty. Za ich sprawą niemal cała Europa skąpała się we krwi, by powiększyć bogactwa świętego Imperium. Kilka stuleci wcześniej w Rzymie naprawdę żył łagodny Quintus Cassius Longinus, dobrotliwy protektor Hiszpanii, który w rzeczywistości wymordował lub posłał na męki setki tysięcy Hiszpanów.

- O czym wy mówicie, do diabła?

- To, co wiemy o tych ludziach, *signor DeFazio*, nie ma nic wspólnego z prawdą, choć oni sami rzeczywiście żyli i działali. Dokładnie tak samo ma się sprawa z Szakalem, który teraz będzie stanowił dla pana nie lada problem. Z przykrością muszę stwierdzić, że dla nas też, bo nie możemy przejść nad tym do porządku dziennego.

- He? - wykrztusił *capo supremo*, wpatrując się z otwartymi ustami we włoskiego arystokratę.

- Pojawienie się Rosjan było alarmujące i niespodziewane - ciągnął hrabia. - Dopiero po pewnym czasie udało nam się dojść do wniosków, które pan przed chwilą potwierdził... Moskwa od lat ściagała Carlosa, wyłącznie po to, żeby go zlikwidować, ale kolejni egzekutorzy ginęli jak muchy. W jakiś sposób - jeden Bóg raczy wiedzieć w jaki - Bourne zdołał namówić Rosjan do wspólnej walki przeciwko Carlosowi.

- Na rany Chrystusa, mów pan po włosku albo po angielsku, wszystko jedno, byle tak, żebym pana rozumiał! Nie chodziłem do Harvardu, mądralo. Nie musiałem, *capisce*?

- Wczoraj w południe Szakal niemal zrównał z ziemią tamtą restaurację. Teraz on poluje na Bourne'a, który okazał się na tyle głupi, żeby wrócić do Paryża i tu prowadzić negocjacje z Rosjanami. To był błąd, bo w Paryżu Szakal jest na swoim terenie i na pewno zwycięży. Zabije nie tylko Bourne'a, ale i tamtych dwóch, i będzie się śmiał Rosjanom prosto w nos, a potem oznajmi służbom specjalnym wszystkich państw, że wygrał, pokonał wszystkich, którzy byli do pokonania, i teraz jest *padrone, maestro*. Wy tam, w Ameryce, nigdy nie słyszeliście całej historii, tylko oderwane fragmenty, bo wasze zainteresowanie Europą kończy się w chwili, gdy przestajecie rozmawiać o pieniądzach, ale my tutaj śledziliśmy rozwój wydarzeń z zapartym tchem, a teraz jesteśmy wręcz zahipnotyzowani.

Pojedynek dwóch nieuchwytnych zabójców, opętanych nienawiścią i żądzą zniszczenia...

- Hej, zaczekaj, mądralo! - wykrzyknął DeFazio. - Przecież ten Bourne był podstawiony, *contraffazione!* Nigdy nic wielkiego nie zrobił!

- Myli się pan, *signore* - odparła hrabina. - Może nie wszedł na arenę z pistoletem, ale bardzo szybko nauczył się go używać. Może pan zapytać Szakala.

- Pieprzę Szakala! - wrzasnęła DeFazio, zrywając się z krzesła.

- Lou!

- Stul pysk, Mario! Bourne jest mój, nasz! My go załatwimy, my sfotografujemy się przy jego trupie i przy trupach tamtych dwóch facetów, my podniesiemy im głowy za włosy, żeby było widać twarze i żeby później nikt nie powiedział, że nam się nie udało!

- Teraz to pan jest *pazzo* - zauważył hrabia, nie podnosząc głosu. - Byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał pan tak głośno nie krzyczeć.

- Więc mnie nie wkurzajcie...

- On chce nam coś powiedzieć, Lou - odezwał się morderca spokrewniony z *capo supremo*. - A ja chcę tego wysłuchać, bo może mi się to przydać. Siadaj, kuzynie. - Louis usiadł. - Proszę mówić, panie hrabio.

- Dziękuję, Mario... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym zwracał się do ciebie po imieniu?

- Ależ skąd, proszę pana.

- Gdybyś znalazł się kiedyś w Rzymie...

- Na razie lepiej wróćmy do Paryża! - przerwał arystokracie DeFazio.

- Proszę uprzejmie - zgodził się rzymianin. Zwracał się teraz do obu mężczyzn jednocześnie, choć lekko faworyzując Maria. - Być może udałoby się wam zastrzelić wszystkich trzech z karabinu z lunetą, ale wtedy nie ma mowy o tym, żeby zbliżyć się do ciał. W pobliżu na pewno będą radzieccy ochroniarze i jak tylko podejdziecie, zabiją was, bo będą myśleli, że jesteście od Szakala.

- W takim razie musimy wywołać zamieszanie, żeby odizolować nasze cele - powiedział Mario, wpatrując się w hrabiego bystrymi oczami. - Na przykład wcześniej rano w hotelu, w którym mieszkają, wybucha pożar i zmusza ich do wyjścia na zewnątrz. Robiłem to już kiedyś. W takim rozgardiaszu nawet dziecko dałoby sobie radę.

- To bardzo dobry pomysł, Mario, ale w dalszym ciągu pozostaje kwestia radzieckich ochroniarzy.

- Możemy ich sprzątnąć! - wykrzyknął DeFazio.

- Jest was tylko dwóch, a ich co najmniej trzech w Barbizon, nie mówiąc o hotelu, w którym zatrzymali się doktor i kulawy.

- Damy sobie radę. - *Capo supremo* otarł wierzchem dłoni czoło, na którym zaczęły gromadzić się grube krople potu. - Uderzymy najpierw na Barbizon.

- We dwóch? - zapytała hrabina, spoglądając na niego ze zdumieniem.

- Przecież wy macie ludzi! Pożyczymy kilku... Za dodatkową opłatą, ma się rozumieć.

Dyplomata pokręcił powoli głową.

- Nie wolno nam zacząć wojny z Szakalem - powiedział cicho. - Takie otrzymałem instrukcje.

- Cholerne sukinsyny!

- W pańskich ustach to bardzo interesująca uwaga - zauważyła kobieta, uśmiechając się z pogardą.

- Być może nasi donowie nie są tak hojni jak pańscy - uzupełnił jej mąż. - Możemy współpracować do pewnej granicy, ale dalej już nie.

- Nigdy nie wyślecie transportu do Nowego Jorku, Filadelfii ani Chicago!

- Nie uważa pan, że nad tą sprawą powinni się zastanowić nasi zwierzchnicy?

Rozległo się głośne, raptowne pukanie do drzwi.

- *Avanti* - zawołał hrabia, błyskawicznie wyjmując spod marynarki pistolet. Kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł gruby właściciel lokalu, hrabia schował broń pod stół i uśmiechnął się uprzejmie.

- *Emergenza* - oznajmił nowo przybyły. Podszedł szybkim krokiem do arystokraty i wręczył mu kartkę z wiadomością.

- *Grazie*.

- *Pręgo*.

Właściciel wyszedł z pomieszczenia równie szybko, jak się w nim pojawił.

- Wygląda na to, że groźni bogowie Sycylii postanowili jednak obdarzyć was swoją przychylnością - oznajmił hrabia po przeczytaniu notatki. - To wiadomość od naszego człowieka, który śledzi tych ludzi. Są teraz poza Paryżem, zupełnie sami i bez opieki. Nie wiem dlaczego, ale nikt ich nie pilnuje.

- Gdzie? - ryknął DeFazio, zrywając się z miejsca. Dystyngowany mafioso nie odpowiedział, tylko sięgnął flegmatycznie po złotą zapalniczkę, pstryknął nią i podpalił kartkę, trzymając ją nad popielniczką. Mario poderwał się z krzesła, ale hrabia błyskawicznie rzucił zapalniczkę i sięgnął po leżący na kolanach pistolet.

- Przede wszystkim musimy ustalić nasze wynagrodzenie - powiedział, kiedy z kartki została tylko odrobina popiołu. - Nasi donowie w Palermo nie są nawet w połowie tak hojni jak wasi. Proszę szybko się zdecydować, bo przecież liczy się każda minuta.

- Ty pieprzony matkojebie!

- Mój ewentualny kompleks Edypa nie powinien pana nic obchodzić. A więc ile, *signor* DeFazio?

- To moja pierwsza i ostatnia propozycja - wycedził *capo supremo*, siadając powoli na krześle i nie odrywając wzroku od spopielonych szczątków kartki. - Trzysta tysięcy dolarów i ani centa więcej.

- To nie propozycja, tylko *excremento* - odparła hrabina. - Radzę spróbować jeszcze raz. Czas mija, a pan nie może sobie pozwolić na stratę nawet minuty.

- Już dobrze, dobrze! Dwa razy więcej!

- Plus dodatkowe wydatki - dopowiedziała kobieta.

- A co to ma być, do kurwy nędzy?

- Pański kuzyn ma rację - wtrącił się dyplomata. - Proszę nie wyrażać się przy mojej żonie.

- Do jasnej cholery...

- Ostrzegłem pana, *signore*. Dodatkowe wydatki powinny zaniknąć się w kwocie dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Co wy jesteście, świry?

- Nie, to pan jest wulgarny. Cała suma wyniesie milion sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pieniądze przekaze pan naszym kurierom w Nowym Jorku. Gdyby pan tego nie zrobił, *signor* DeFazio, pańskie wspaniałe mieszkanie w Brooklynie zostanie bez właściciela...

- Gdzie oni są? - zapytał głucho *capo supremo*, przełykając gorzką pigułkę porażki.

- Na małym prywatnym lotnisku w Pontcarre, około czterdziestu pięciu minut jazdy od Paryża. Czekają na samolot, który z powodu złych warunków atmosferycznych musiał lądować w Poitiers. Jest mało prawdopodobne, żeby przyleciał wcześniej niż za godzinę i piętnaście minut.

- Przywieźliście to, co zamówiliśmy? - zapytał Mario.

- Wszystko jest tam - odparła hrabina, wskazując na stojącą na krześle czarną walizeczkę.

- Samochód! Muszę mieć szybki samochód! - wykrzyknął DeFazio.

- Czeka na zewnątrz - poinformował go hrabia. - Kierowca wie, dokąd was zawieźć.

- Chodźmy, *cugino*. Musimy zarobić na naszą nagrodę.

Prywatne lotnisko w Pontcarre było zupełnie puste, jeśli nie liczyć samotnego urzędnika siedzącego za biurkiem w niewielkiej salce odpraw i kontrolera lotów, który za dodatkową opłatą zgodził się przedłużyć nieco swoją służbę. Aleks Conklin i Mo Panov pozostali dyskretnie w budynku, natomiast Jason wyprowadził Marie na zewnątrz, w pobliże bramy i metalowego płotu okalającego płytę lotniska. Dwa rzędy bursztynowych świateł wyznaczały pas dla samolotu z Poitiers; zapalono je zaledwie kilka minut temu.

- To już nie potrwa długo - powiedział Jason.

- Wszystko jest kompletnie bez sensu - odparła żona Davida Webba. - Bez sensu...

- Nie ma żadnego powodu, żebyś tu została, a co najmniej kilka, byś jak najszybciej wyjechała. Co chcesz osiągnąć, siedząc samotnie w Paryżu? Aleks ma rację. Jeżeli ludzie Carlosa wpadną na twój ślad, wezmą cię jako zakładniczkę. Dlaczego chcesz ryzykować?

- Dlatego że na pewno uda mi się ukryć, a poza tym, nie mam zamiaru być dziesięć tysięcy mil od ciebie. Musi mi pan wybaczyć, panie Bourne, ale bardzo się o pana troszczę. I boję.

Jason spojrzął na nią, zadowolony, że w ciemności kobieta nie może dostrzec jego oczu.

- W takim razie bądź rozsądna i rusz głową - powiedział chłodno, nagle czując się bardzo stary, zbyt stary na to, żeby udawać całkowity brak uczucia. - Wiemy, że Carlos jest w Moskwie, a Krupkin depta mu po piętach. Dymitr przerzuci nas tam jutro z samego rana i wszyscy będziemy pod ochroną KGB w najlepiej strzeżonym mieście na świecie. Czego jeszcze chcesz?

- Trzyście lat temu w Nowym Jorku chronił cię cały rząd Stanów Zjednoczonych, a nie powiem, żeby wyszło ci to na dobre.

- Nie porównuj tych spraw, bo to nie ma najmniejszego sensu. Wtedy Szakal wiedział dokładnie, dokąd idę i kiedy tam będę, a teraz nawet nie ma pojęcia o tym, że ruszamy za nim do Moskwy. Ma inne sprawy na głowie, dla niego bardzo ważne, i myśli, że zostaliśmy w Paryżu. Właśnie dlatego kazał swoim ludziom nas śledzić.

- Co będziecie robić w Moskwie?

- Dowiemy się, jak się tam znajdziemy, ale na pewno coś bardziej sensownego niż tutaj, w Paryżu. Krupkin zabrał się ostro do pracy. Wszyscy mówiący po francusku wyżsi oficerowie z placu Dzierżyńskiego są pod ścisłą obserwacją. Dymitr twierdzi, że znajomość francuskiego zdecydowanie zawęziła krąg podejrzanych i że lada chwila coś powinno pęknąć... Na pewno pęknie. Mamy teraz przewagę, a ja nie mogę jej zmarnować z twojego powodu. Muszę wiedzieć, że nic ci nie grozi.

- To chyba najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam od ciebie od trzydziestu sześciu godzin.

- Możliwe. Sama dobrze wiesz o tym, że powinnaś być z dziećmi. Będziecie tam bezpieczni, poza zasięgiem Carlosa, a poza tym dzieciaki bardzo cię potrzebują. Pani Cooper to wspaniała osoba, ale przecież nie jest ich matką. Wcale bym się nie dziwił, gdyby twój brat nauczył już Jamiego palić cygara i grać w monopol na prawdziwe pieniądze.

Marie spojrziała na męża; mimo ciemności dostrzegł na jej twarzy lekki uśmiech.

- Dziękuję. Potrzebowałam tego.

- Kiedy to prawda. Jeżeli wśród służby są jakieś atrakcyjne dziewczyny, to całkiem możliwe, że nasz syn stracił już dziewictwo.

- David! - Bourne umilkł. Marie zachichotała cicho, po czym dodała: - Wydaje mi się, że nie mogę podjąć z tobą dyskusji na ten temat.

- Co, pani doktor St. Jacques, gdyby miała pani choćby najsłabsze argumenty, na pewno by to pani uczyniła. Zdążyłem się tego nauczyć przez ostatnie trzyście lat.

- Mimo to nadal nie chcę lecieć do Waszyngtonu, tym bardziej taką zwariowaną trasą!

Najpierw do Marsylii, potem do Londynu, a dopiero stamtąd za ocean! Czy nie prościej było wsadzić mnie w jakiś samolot odlatujący z Orly bezpośrednio do Stanów?

- To pomysł Petera Hollanda. Jak się z nim spotkasz, będziesz mogła go o to zapytać, bo nie jest zbyt rozmowny przez telefon. Mam wrażenie, że nie chce mieć nic do czynienia z francuskimi władzami, bo obawia się przecieku. Najlepiej wtopić się w tłum na trasie, której na pewno nie będą mieli pod obserwacją.

- Więcej czasu przesiedzę na lotniskach niż w samolocie!

- Na to wygląda, więc uważaj, żeby nikt nie zaglądał ci pod spódnicę i weź ze sobą Biblię.

- Wielkie dzięki. - Marie wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. - Znowu cię słyszę, Davidzie.

Bourne nie zareagował na muśnięcie jej palców.

- Słucham?

- Nic... Czy mogę cię prosić o przysługę?

- O jaką? - zapytał Jason bezbarwnym tonem.

- Sprowadź mi z powrotem Davida. Na stałe.

- Zobaczmy, co z samolotem - powiedział głucho Bourne, biorąc ją delikatnie za ramię i prowadząc z powrotem do budynku. Starzeję się i coraz trudniej przychodzi mi być tym, kim byłem kiedyś. Kameleon wymyka mi się. Wyobraźnia pracuje już inaczej niż przed laty. Ale nie mogę się wycofać! Nie teraz! Odejdź ode mnie, Davidzie!

W chwili, kiedy weszli do środka, rozległ się dzwonek telefonu. Urzędnik podniósł słuchawkę.

- *Oui?* - Słuchał w milczeniu około pięciu sekund. - *Merci.* - Odłożywszy słuchawkę, zwrócił się po francusku do czworga oczekujących: - Dzwonili z wieży. Samolot z Poitiers wylądował za mniej więcej cztery minuty.

Pilot prosi, żeby pani była gotowa, *madame*, bo chce natychmiast wystartować i uciec przed złą pogodą.

- Tak samo jak ja - odparła Marie. Pożegnała się krótko, ale serdecznie z Conklinem i Panovem i wyszła z mężem na zewnątrz. - Właśnie sobie przypomniałam: gdzie się podzieli ludzie Krupkina? - zapytała, kiedy Jason otworzył furtkę i ruszyli razem w kierunku oświetlonego pasa startowego.

- Nie potrzebujemy ich ani nie chcemy - odparł Bourne. - Widziano nas razem na Avenue Montaigne, więc należy przypuszczać, że od tej pory ambasada jest cały czas pod ścisłą obserwacją. Ponieważ nie było tam żadnego ruchu ani żadnego samochodu nie wyjechał nagle z piskiem opon, ludzie Szakala nie mieli powodu, żeby wszczynać alarm.

- Rozumiem. - W powietrzu pojawiła się niewielka maszyna. Zatonęła z wyciem silników pojedyncze koło nad lotniskiem, po czym zaczęła schodzić do lądowania na pasie długości kilometra. - Bardzo cię kocham, Davidzie - powiedziała Marie. Musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć ryk kołującego w ich stronę samolotu.

- On też cię kocha - odparł Jason, na próżno usiłując uporządkować skaczące mu przed oczami obrazy. - I ja cię kocham.

Samolot wyłonił się z ciemności rozjaśnionej jedynie blaskiem bursztynowych lamp. Była to biała, przypominająca kształtem pocisk maszyna o krótkich skrzydłach w układzie delty, nadających jej wygląd rozgniewanego owada. Pilot wykonał szeroki skręt i wcisnął hamulce; w tej samej chwili otworzyły się drzwi, a metalowe schodki rozwinęły się błyskawicznie i dotknęły betonowej płyty lotniska. Jason i Marie pobiegli w kierunku wejścia.

To, co się zdarzyło potem, nastąpiło tak nagle, jakby zniemacka oboje dostali się w środek szalejącego wiru śmierci. Strzały! Serie z dwóch pistoletów maszynowych - jeden był bliżej, drugi nieco dalej - roztrzaskujące szyby, siekące na drzazgi drzwi i futryny. Z wnętrza budynku dobiegł przeraźliwy, śmiertelny krzyk.

Bourne chwycił Marie oburącz w pasie, podniósł i niemal wrzucił do wnętrza samolotu.

- Zamykaj drzwi i startuj! - ryknął do pilota.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknął przez uchylone okienko siedzący za sterami mężczyzna. - *Allez-vous-en!*

Zawyły silniki i maszyna skoczyła do przodu. Jason padł płasko na ziemię, odprowadzając wzrokiem oddalający się samolot. Przez moment mignęła mu przyciśnięta do szyby twarz Marie z szeroko otwartymi ustami, przez które z pewnością wydobywał się histeryczny krzyk, a potem mały odrzutowiec zaczął raptownie nabierać prędkości. Marie była bezpieczna.

Ale nie Bourne. Ze wszystkich stron otaczał go blask bursztynowych świateł. Mógł stać, kucać lub klęczeć, ale zawsze był wyraźnie widoczny. Pozostało mu tylko jedno wyjście; wyrwał zza paska pistolet - uświadomił sobie, że dostał go od Bernardine'a - i popędził zygzakiem w kierunku wysokiej trawy zaczynającej się zaraz za krawędzią betonowej płyty lotniska.

Strzały rozległy się ponownie, ale tym razem były pojedyncze i dochodziły z wnętrza budynku, w którym tymczasem wygaszono wszystkie światła. Panov nie miał broni, więc strzelać mógł albo Conklin, albo urzędnik, jeżeli był uzbrojony. W takim razie kto zginął...? Nie było teraz czasu na rozmyślanie. Z bliższego pistoletu maszynowego posypał się grad kul, zarówno na budynek, jak i na teren przy bramie.

Zaraz potem do kanonady przyłączył się drugi napastnik; sądząc z odgłosów, znajdował się po drugiej stronie domku mieszczącego poczekalnię. Po kilku sekundach odpowiedziały mu dwa pojedyncze strzały. Gdy umilkły, rozległ się bolesny okrzyk - okrzyk dochodzący z drugiej strony budynku.

- Trafili mnie!

Jeden z nieprzyjaciół został unieszkodliwiony! Jason ostrożnie uniósł głowę nad trawę i rozejrzał się dookoła. Kątem oka dostrzegł w ciemności jakieś poruszenie, więc posłał tam pocisk, a potem zerwał się z ziemi i popędził w kierunku bramy, naciskając raz za razem spust, aż wreszcie opróżnił cały magazynek. Udało mu się jednak osiągnąć to, co zamierzał, to znaczy przedostać się na wschodnią stronę budynku, gdzie kończył się pas startowy, a wraz z nim równoległe rzędy bursztynowych świateł. Podkraśl się ostrożnie do odcinka, na którym sięgające do pasa ogrodzenie biegło równoległe do ściany budowli; dostrzegł na białym żwirze parkingu wijącą się z bólu postać. Ranny człowiek trzymał w dłoniach pistolet maszynowy, ale nie strzelał, tylko oparł się na nim i dźwignął się do półsiedzącej pozycji.

- *Cugino!* - zawołał. - Pomóż mi! - Odpowiedziała mu kolejna ulewa ognia z zachodniej flanki. - Boże, ja umieram! - wyskrzeczwał ranny. Drugi zabójca ponownie nacisnął spust; pociski wpadały do wnętrza poczekalni przez wybite okna, niszcząc wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Bourne odrzucił bezużyteczną broń i przeskoczył przez ogrodzenie. Łądując na ziemi, poczuł w lewej nodze przeraźliwy, paraliżujący ból. Co się stało? Dlaczego boli? Niech to szlag! Dokuśtykał z trudem do narożnika domu, przycisnął twarz do muru i wyjrzał ostrożnie. Leżąca na ziemi postać osunęła się bezwładnie na plecy, nie mając dość sił, by podeprzeć się ściskany w rękach pistoletem. Jason pomacał na oślep dookoła siebie ręką, a znalazłszy spory kamień, rzucił go tak, żeby upadł za rannym człowiekiem. Odgłos, jaki się rozległ, przypominał do złudzenia chrobot żwiru przesuwającego się pod czyimiś stopami. Nieprzyjaciel odwrócił się raptownie, usiłował wycelować w tamtą stronę broń, lecz pistolet dwukrotnie wyslizgnął mu się z rąk.

Teraz! Bourne wypadł zza narożnika budynku, popędził przez żwirowy parking, rzucił się na rannego mężczyznę, w ciągu ułamka sekundy wyrwał mu ze słabnących dłoni pistolet maszynowy i uderzył go kolbą w głowę. Szczupły, niewysoki człowiek osunął się bezwładnie na ziemię, lecz w tej samej chwili drugi napastnik ponownie otworzył ogień, zasypując zrujnowaną poczekalnię gradem pocisków. Sądząc po głośności strzałów, znajdował się jeszcze bliżej niż przed chwilą. Trzeba go powstrzymać, pomyślał Jason, dysząc ciężko i czując ból każdego włókna naprężonych mięśni. Gdzie podział się człowiek, którym kiedyś byłem? Gdzie jest Delta, co się stało z kameleonem? Gdzie on jest?

Chwycił mocniej odebrany rannemu mężczyźnie pistolet maszynowy i podbiegł do bocznych drzwi budynku.

- Aleks, to ja! - ryknął. - Wpuść mnie. Mam broń! Drzwi otworzyły się z hukiem.

- Boże, ty żyjesz! - wykrzyknął Conklin z ciemności. Jason wpadł do wnętrza. - Mo jest w marnym stanie, dostał w pierś! Ten drugi nie żyje, a ja nie mogę dodzwonić się na wieżę. Chyba już tam byli. - Aleks zatrzasnął drzwi. - Na podłogę!

Przez wybite okna wpadła do środka ulewa pocisków. Bourne przyklęknął, odpowiedział krótką serią, a potem padł płasko na podłogę obok Conklina.

- Co się stało? - wydyszał z trudem, czując, jak gryzący pot zalewa mu oczy.

- Szakał!

- Jak mu się udało?

- Okpił nas wszystkich. Ciebie, Krupkina, Lavier, a najbardziej mnie. Rozpuścił pogłoskę, że wyjeżdża na jakiś czas, nie mówiąc dokąd. Wydawało nam się, że złapał przynętę, a tymczasem on podłożył nam swoją... Boże, i to jak! Powinienem być się domyślić, to było zbyt proste. Wybacz mi, Davidzie. Bóg mi świadkiem, okropnie mi przykro.

- Więc to on jest tam, na zewnątrz, prawda? Chce nas sam zabić, tylko to jest dla niego ważne...

Nagle przez okno wleciała zapalona latarka. Jason błyskawicznie nacisnął spust swego MAC-10 i roztrzaskał ją na kawałki, ale nie zdążył zapobiec nieszczęściu: przez ułamek sekundy wszyscy byli doskonale widoczni.

- Tutaj! - wrzasnął Aleks i rzucił się rozpaczliwie za drewniany kontuar, pociągając za sobą Bourne'a. W oknie pojawiła się na chwilę czarna, niewyraźna sylwetka i posłała morderczą serię w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą leżeli. Po dwóch lub trzech sekundach ogień ustał, zakończony metalicznym szczękiem.

- Musi zmienić magazynek! - szepnął Bourne do ucha Aleksowi. - Zostań tutaj!

Zerwał się z podłogi i wybiegł na zewnątrz przez główne drzwi - maksymalnie skoncentrowany, spięty, gotów zabijać, jeśli tylko pozwolą mu na to jego lata. Muszą pozwolić!

Przeczołgał się przez bramę, której nie zamknął odprowadzając Marie, skręcił w prawo i popelzł wzdłuż ogrodzenia. Był znowu Deltą z „Meduzy”!

Co prawda nie otaczała go przyjazna dżungla, ale mógł wykorzystać rozjaśnioną blaskiem księżyca ciemność i ślizgające się po ziemi plamy czarnego, nieprzeniknionego cienia, rzucane przez wędrujące po niebie obłoki. Musisz to wykorzystać! Przecież właśnie tego cię nauczono wiele lat temu. Nieważne, jak dawno! Zrób to! Bestia, która czai się zaledwie kilka metrów od ciebie, chce cię zabić, chce zabić twoją żonę i dzieci! Chce je zamordować!

Siła, która nagle wstąpiła w jego obolałe mięśnie, wzięła się z rozpacz i wściekłości. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jeśli chce zrobić z niej użytek, musi działać błyskawicznie, najszybciej jak tylko potrafi. Czołgał się wzdłuż ogrodzenia okalającego lotnisko, przygotowany na to, że w każdej chwili może dostrzec nieprzyjaciela lub sam zostać dostrzeżony; w rękach ścisnął pistolet maszynowy, ani na chwilę nie zdejmując palca ze spustu. Nie dalej niż dziesięć metrów przed sobą dostrzegł dwa grube drzewa otoczone kępą gęstych krzewów; gdyby udało mu się tam dotrzeć, zyskałby znaczną przewagę, bo miałby zabójcę przed sobą jak na dłoni, a sam stałby się dla niego niewidoczny.

Udało się. Niemal w tej samej chwili do jego uszu dobiegł brzęk tłuczonego szkła, a potem terkot serii tak długiej, że na pewno musiał zostać opróżniony cały magazynek. Wyjrzał ostrożnie spomiędzy krzewów; stojąca przy oknie postać cofnęła się, żeby ponownie załadować broń. Zabójca w ogóle nie wziął pod uwagę możliwości czyjegoś wydostania się z budynku! Wszyscy się starzejemy, nawet Carlos, pomyślał Jason Bourne. Dlaczego nie wziął ze sobą oślepiających flar, niezbędnych przy tego typu akcjach? Co się stało z bystrymi oczami i sprawnymi dłońmi, które potrafiły błyskawicznie zmienić magazynek nawet w całkowitej ciemności?

Ciemność. Kolejna chmura zasłoniła żółtą tarczę księżyca. Zupełna ciemność. Jason przeskoczył na drugą stronę ogrodzenia i podbiegł bezszelestnie do pierwszego z dwóch rosnących blisko siebie drzew. Mógł tu stanąć normalnie i zastanowić się nad sposobem działania.

Coś tu się nie zgadzało. W postępowaniu przeciwnika dostrzegł pewien prymitywizm, który zupełnie nie pasował do Szakala. Owszem, udało mu się odizolować stojący przy płycie lotniska budynek, ale uczynił to bez choćby odrobiny finezji, za to przy użyciu brutalnej siły; ma się rozumieć siła także była potrzebna, ale Carlos powinien był przewidzieć, że podczas konfrontacji z Jasonem Bourne'em może się okazać niewystarczająca.

Stojąca przy roztrzaskanym oknie postać odsunęła się o krok, oparła o ścianę i sięgnęła po zapasowy magazynek. Jason wyskoczył z ukrycia i popędził w jej stronę, naciskając bez chwili przerwy spust swego MAC-10. Pociski wzbijały fontanny ziemi przy stopach zabójcy, a niektóre trafiały w ścianę, odrywając płyty tynku.

- To już koniec! - ryknął Bourne, przerywając ogień. - Jesteś trupem, Carlos, Wystarczy, że jeszcze raz naciśnę spust, i po tobie!

Stojący przy ścianie mężczyzna rzucił broń na ziemię.

- Nie jestem Carlosem, panie Bourne - oświadczył morderca z Larchmont w stanie Nowy Jork. - Już się kiedyś spotkaliśmy, ale nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze.

- Kładź się, sukinsynu! - Zabójca natychmiast wykonał polecenie. Jason podszedł do niego. - Nogi szeroko, ręce też! - Także i ten rozkaz został bezzwłocznie wykonany. - Podnieś głowę!

Bourne przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz oświetloną jedynie słabym bursztynowym blaskiem lamp wyznaczających brzegi pasa startowego.

- Widzi pan? - zapytał Mario. - Wziął mnie pan za kogoś innego.

- Mój Boże...! - wyszeptał Bourne, nawet nie starając się ukryć zdumienia. - To ty byłeś w posiadłości Swayne'a w Manassas! Najpierw chciałeś zabić Kaktusa, a potem mnie!

- Takie otrzymałem zlecenie, panie Bourne, nic więcej.

- A kontroler? Co zrobiłeś z kontrolerem w wieży?

- Nie zabijam dla przyjemności. Jak tylko sprowadził na ziemię ten samolot z Poitiers, kazałem mu odejść... Przykro mi, ale pańska żona także była na liście. Jest matką, więc cieszę się, że nie udało mi się jej dosięgnąć.

- Kim jesteś, do diabła?

- Już panu powiedziałem: najemnym pracownikiem.

- Widziałem lepszych.

- Być może nie dorównuję panu, ale mimo to dobrze służę swojej organizacji.

- Boże, jesteś z „Meduzy”!

- Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że już słyszałem tę nazwę... Może od razu wyjaśnimy sobie pewną sprawę, panie Bourne: nie mam najmniejszego zamiaru tylko z powodu jakiegoś głupiego kontraktu osierocić moich dzieci. To nie jest tego warte, a one zbyt wiele dla mnie znaczą.

- Spędzisz sto pięćdziesiąt lat w więzieniu, a i to pod warunkiem, że będziesz sądzony w stanie, w którym nie ma kary śmierci.

- Zbyt wiele wiem, panie Bourne. Ani mnie, ani nikomu z mojej rodziny nie spadnie nawet włos z głowy. Co najwyżej zmienimy nazwisko i wyjedziemy na jakąś zaciszną farmę w Dakocie albo Wyoming. Widzi pan, ja wiedziałem, że prędzej czy później nadejdzie taka chwila...

- I nadeszła, sukinsynu! Mój przyjaciel jest ciężko ranny. Ty to zrobiłeś!

- Czy w takim razie chce pan zawrzeć układ, panie Bourne?

- Jaki układ, do cholery?

- Pół mili stąd czeka na mnie szybki samochód. - Zabójca z Larchmont wydobyl zza paska miniaturowy nadajnik. - Może tu być za niecałą minutę. Jestem pewien, że kierowca zna drogę do najbliższego szpitala.

- Więc go wezwij!

- W porządku, panie Bourne - odparł Mario, naciskając guzik.

Morris Panov został natychmiast odwieziony na salę operacyjną, natomiast Louis DeFazio, jako lżej ranny, trafił do izolatki. W wyniku błyskawicznych, ściśle tajnych negocjacji między Waszyngtonem i Paryżem przestępca znany jako Mario znalazł się pod opieką ambasady USA w stolicy Francji.

Kiedy ubrany na biało lekarz wszedł do poczekalni, Conklin i Bourne natychmiast poderwali się na nogi.

- Nie chcę was uspokajać, bo mogłoby się to okazać największym błędem w mojej karierze - oznajmił po francusku chirurg. - Wasz przyjaciel ma przebite oba płuca, a także ścianę serca. W najlepszym wypadku jego szansę na przeżycie mają się jak cztery do sześciu... Niestety na jego niekorzyść. Całe szczęście, że jest silnym człowiekiem, bardzo pragnącym żyć. Są chwile, kiedy wszystko zależy wyłącznie od tego. Na razie nie mogę wam powiedzieć nic więcej.

- Dziękujemy, doktorze.

Jason odwrócił się już, żeby odejść.

- Chciałbym skorzystać z telefonu - zwrócił się do lekarza Aleks. - Powinienem pojechać do naszej ambasady, ale już nie zdążę. Czy mogę mieć jakąś gwarancję, że nikt mnie tu nie podsłucha?

- Ma pan wszelkie gwarancje - odparł chirurg. - Nawet nie wiedzielibyśmy, jak to zrobić. Proszę do mojego gabinetu.

- Peter?

- Aleks! - wykrzyknął Peter Holland w Langley. - Wszystko w porządku? Marie odleciała?

- Jeśli chodzi o pierwsze pytanie to nie, nie wszystko jest w porządku, a co do drugiego, to jak tylko Marie wyląduje w Marsylii, spodziewaj się od niej rozpaczliwego telefonu. Pilot na pewno nie pozwoli jej rozmawiać przez radio.

- Dlaczego?

- Powiedz jej, że nic nam się nie stało, że David nie jest ranny...

- O czym ty mówisz, do cholery? - przerwał Conklinowi dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Czekając na samolot z Poitiers, wpadliśmy w zasadzkę. Obawiam się, że Mo Panov jest w kiepskim stanie, tak kiepskim, że wołę na razie o tym nie mówić. Jesteśmy w szpitalu. Lekarz nie robi nam wielkich nadziei.

- Mój Boże, Aleks! Tak mi przykro...

- Mo to twardziel, oczywiście na swój sposób. Mimo wszystko stawiam na niego. Aha, nie wspominaj nic Marie. Będzie się tym zamartwiać.

- Oczywiście nic nie powiem. Mogę dla was coś zrobić?

- Owszem, możesz. Na przykład możesz mi powiedzieć, skąd „Meduza” wzięła się w Paryżu.

- W Paryżu? Z tego, co wiem, nic na to nie wskazuje, a wiem naprawdę sporo.

- Ale to fakt. Dwaj fachowcy, którzy nas zaskoczyli godzinę temu, zostali przysłani przez „Meduzę”. Jeden prawie nam się wypowiedział.

- Nic nie rozumiem! - zaprotestował Holland. - Paryż w ogóle się nie pojawiał, po prostu nie było go w scenariuszu!

- Właśnie że był - odparł emerytowany agent CIA. - Ty sam nazwałeś to samospełniającą się przepowiednią, pamiętasz? Bourne stworzył teorię, która stała się rzeczywistością: „Meduza” łączy siły z Szakalem, żeby zlikwidować Jasona Bourne'a.

- Właśnie o to chodzi, Aleks, że to tylko teoria! Zręcznie skonstruowana, przekonująca, ale teoria, podstawa do działania, ale nie rzeczywistość. Nic takiego się nie zdarzyło!

- Wygląda na to, że jednak.

- Stąd tego nie widać. Według naszych danych „Meduza” jest teraz w Moskwie.

- W Moskwie? - Niewiele brakowało, a słuchawka wypadłaby Aleksowi z ręki.

- Właśnie tam. Wzięliśmy się ostro za firmę Ogilviego w Nowym Jorku. Podsluchiwalismy i nagrywaliśmy wszystko, co się dało. Ogilvie dostał skądś cynk - niestety, jeszcze nie wiemy od kogo - i poleciał Aeroflotem do Moskwy, a rodzinę wysłał do Maroka.

- Ogilvie...?- Aleks zmarszczył brwi, sięgając pamięcią wiele lat wstecz. - Ten prawnik, oficer z Sajgonu?

- Ten sam. Jesteśmy pewni, że kieruje „Meduzą”.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie podałem ci nazwy firmy. Przecież ustaliliśmy, że my mamy swoje priorytety, a wy swoje. Dla nas najważniejsza była „Meduza”.

- Ty beznadziejny pacanie! - wybuchnął Aleks. - Przecież ja znam Ogilviego, a właściwie znałem! W Sajgonie wszyscy mówili o nim Stalowy Ogilvie, najbardziej kłamliwy

prawnik w całym Wietnamie. Mogłem ci podpowiedzieć, gdzie trzeba szukać, żeby odkryć parę jego ciemnych sprawek, ale ty wszystko spieprzyłeś! Mógłby teraz mieć nawet kilka spraw o współudział w zabójstwach, a to na pewno zmusiłoby go do mówienia. Boże, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Szczerze mówiąc, Aleks, nigdy o to nie pytałeś. Założyłeś z góry - wszystko jedno, słusznie czy nie - że i tak nic ci nie powiem.

- Dobra, nieważne. I tak już przepadło. Jutro albo pojutrze dostaniesz naszych dwóch fachowców, więc wyciągnij z nich wszystko, co się da. Obaj myślą tylko o tym, jak ocalić własne tyłki. *Capo* na pewno będzie próbował kręcić, ale ten drugi cały czas modli się za rodzinę i chyba nie udaje.

- A co wy zrobicie?

- Polecimy do Moskwy.

- Za Ogilviem?

- Nie, za Szakalem. Ale jeśli spotkam Bryce'a, przekażę mu pozdrowienia od ciebie.

Rozdział 35

Buckingham Pritchard siedział obok swego wuja, Cyryla Sylwestra Pritcharda, w gabinecie sir Henry'ego Sykesa w pałacu gubernatora na Montserrat. W pokoju znajdował się także najlepszy miejscowy prawnik, który za namową Sykesa miał służyć pomocą Pritchardom na wypadek, gdyby oskarżono ich o współudział w organizowaniu akcji terrorystycznych. Siedzący za biurkiem sir Henry wpatrywał się właśnie z osłupieniem w prawnika nazwiskiem Jonathan Lemuel. Ten z kolei utkwił spojrzenie w suficie, bynajmniej nie po to, żeby sprawdzić działanie obracającego się leniwie wentylatora, ale po to, by okazać bezgraniczne zdumienie. Lemuel jako czarnoskóry „chłopiec z kolonii” wiele lat temu skończył dzięki rządowemu stypendium studia prawnicze w Cambridge, zarobił sporo pieniędzy w Londynie, a teraz wrócił w rodzinne strony, by spędzić tu jesień życia, rozkoszując się owocami swej pracy. Wyglądało na to, że na prośbę sir Henry'ego miał okazać pomoc dwóm nieprawdopodobnym idiotom, którym w jakiś niepojęty sposób udało się wplątać w poważną międzynarodową aferę.

Bezpośrednią przyczyną osłupienia zastępcy gubernatora i zdumienia Jonathana Lemuela była rozmowa, jaka odbyła się między sir Henrym Sykesem i zastępcą dyrektora Urzędu Imigracyjnego na lotnisku w Montserrat.

- Panie Pritchard, ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że pański siostrzeniec podsłuchał rozmowę telefoniczną między Johnem St. Jacques a jego szwagrem, Davidem Webbem. Co więcej, pański siostrzeniec przyznał przed chwilą bez żadnego przymusu, że przekazał panu uzyskane w ten sposób informacje, a pan stwierdził wtedy, że natychmiast musi skontaktować się z Paryżem. Czy to prawda?

- Całkowita prawda, sir Henry.

- Z kim rozmawiał pan w Paryżu? Proszę podać nam numer telefonu.

- Z całym szacunkiem, sir, ale poprzysiągłem dochować tajemnicy. Usłyszawszy tę zdumiewającą odpowiedź, Jonathan Lemuel spojrzał z niedowierzaniem w sufit.

Pierwszy odzyskał mowę Sykes.

- Co pan przez to rozumie, panie Pritchard?

- Ja i mój siostrzeniec należymy do ogromnej międzynarodowej organizacji skupiającej największych ludzi świata. Obaj przysięgliśmy, że nikomu nie zdradzimy tajemnicy.

- Mój Boże, on w to naprawdę wierzy... - wyszeptał sir Henry.

- Na litość boską! - wybuchnął Lemuel, odrywając spojrzenie od sufitu. - Centrale telefoniczne na wyspach, szczególnie te obsługujące automaty wrzutowe, nie należą do najnowocześniejszych, a ty na pewno otrzymałeś polecenie skorzystania z automatu. Najdalej za dzień lub dwa i tak uda się ustalić ten numer. Dlaczego nie chcesz go teraz podać sir Henry'emu? Przecież widzisz, że mu na tym zależy.

- Dlatego, sir, że nasi wysocy zwierzchnicy w organizacji osobiście bardzo wyraźnie polecieli mi nikomu o tym nie mówić.

- A jak się nazywa ta organizacja?

- Nie wiem, sir Henry. W tej sprawie najważniejsza jest ścisła dyskrecja, nie rozumie pan?

- Obawiam się, że to pan nie rozumie kilku podstawowych rzeczy, panie Pritchard - wycedził Sykes, tracąc powoli cierpliwość.

- Wręcz przeciwnie, sir Henry, i zaraz to panu ponad wszelką wątpliwość udowodnię! - oznajmił entuzjastycznie czarnoskóry urzędnik, spoglądając kolejno na prawnika, zastępcę

gubernatora i wpatrującego się w niego z uwielbieniem siostrzeńca. - Wielka suma pieniędzy została przekazana z pewnego prywatnego banku w Szwajcarii na moje konto tutaj, w Montserrat. Instrukcje, jakie otrzymałem wraz z pieniędzmi, były nadzwyczaj proste: miałem je wykorzystać na wydatki związane z wykonywaniem różnych ważnych zadań, jakie otrzymam w przyszłości - transport, żywność, zakwaterowanie. Oczywiście, prowadzę ścisłe rachunki, bo przecież nie mogę nadużyć zaufania, jakie pokładają we mnie tak wspaniali, szczerzy ludzie...

Henry Sykes i Jonathan Lemuel ponownie wymienili spojrzenia, w których oprócz bezgranicznego zdumienia można było teraz dostrzec także coś w rodzaju fascynacji.

- Czy otrzymał pan jakieś inne zadanie oprócz tego, żeby za pośrednictwem swego siostrzeńca śledzić wszystko, co działo się w Pensjonacie Spokoju?

- Na razie nie, sir, ale jestem pewien, że je otrzymam, kiedy nasi szacowni zwierzchnicy przekonają się, jak wspaniale wykonałem ich pierwsze polecenie.

Lemuel uniósł ostrzegawczo rękę, powstrzymując Sykesa przed wybuchem. Zastępca gubernatora poczerwieniał na twarzy, jakby za chwilę miał paść rażony apopleksją.

- Czy można wiedzieć, ile dokładnie wynosiła ta „wielka suma pieniędzy”, którą otrzymałeś ze Szwajcarii?- zapytał łagodnie adwokat. - Pod względem prawnym nie ma to żadnego znaczenia, a sir Henry i tak może uzyskać tę informację z banku, więc możesz spokojnie nam powiedzieć.

- Trzysta funtów! - oznajmił z dumą starszy z Pritchardów.

- Trzysta... Funtów?... - wykrztusił z trudem Lemuel.

- Niezbyt oszałamiające, prawda? - zauważył Sykes, ostrożnie odchylając się na fotelu.

- A jakie mniej więcej poniosłeś wydatki? - pytał dalej prawnik.

- Nie mniej więcej, tylko dokładnie - odparł zastępca dyrektora Urzędu Imigracyjnego lotniska w Montserrat, wyjmując z kieszeni munduru nie wielki notes.

- Mój szanowny wuj jest zawsze nadzwyczaj skrupulatny - poinformował z godnością Buckingham Pritchard.

- Dziękuję ci, siostrzeńcze.

- A więc ile? - powtórzył pytanie adwokat.

- Dokładnie dwadzieścia sześć funtów i dwadzieścia pięć pensów, czyli sto trzydzieści dwa wschodniokaraibskie dolary, licząc po aktualnym kursie. Gdybym je teraz wymienił, zyskałbym dodatkowo czterdzieści siedem centów.

- Niewiarygodne... - wymamrotał wstrząśnięty Sykes.

- Zachowałem wszystkie rachunki - ciągnął urzędnik z coraz większym zapałem. - Trzymam wszystkie w metalowej skrytce w moim mieszkaniu przy Old Road Bay. Siedem dolarów i osiemnaście centów na rozmowy z Wyspą Spokoju - nie mogłem korzystać ze służbowego telefonu. Dwadzieścia trzy dolary i sześćdziesiąt pięć centów za rozmowę z Paryżem. Sześćdziesiąt osiem dolarów i osiemdziesiąt centów za obiad dla mnie i mojego siostrzeńca w Vue Point... Spotkaliśmy się w interesach, ma się rozumieć...

- Wystarczy - przerwał mu Jonathan Lemuel, ocierając chusteczką zroszone potem czoło, mimo że w gabinecie wcale nie było bardzo gorąco.

- Jestem gotów przedstawić wszystkie rachunki we właściwym czasie...

- Powiedziałem, że wystarczy, Cyryl.

- Powinien pan wiedzieć, że odmówiłem pewnemu taksówkarzowi, który zaproponował, że wystawi mi zawyżony rachunek, i zbeształem go z wykorzystaniem powagi mego urzędu...

- Dosyć! - ryknął Sykes. Żyły na jego szyi nabrzmiały, jakby miały lada chwila pęknąć. - Jesteście obaj nieprawdopodobnymi głupcami! Skąd wam przyszło do głowy podejrzewać Johna St. Jacques o jakąś przestępczą działalność?

- Za pozwoleniem, sir Henry - odezwał się młodszy Pritchard. - Ja na własne oczy widziałem, co się wydarzyło w pensjonacie. To było straszne! Trumny na nabrzeżu, spalona

kaplica, dookoła wyspy policyjne łodzie, strzały... Minie wiele miesięcy, zanim znowu przyjadą do nas goście.

- Otóż to! - wrzasnął zastępca gubernatora. - Czy myślisz, że John St. Jay chciałby działać na własną szkodę?

- W świecie przestępczym *zdarzają* się różne przedziwne rzeczy, sir - powiedział z mądrą miną Cyryl Sylwester Pritchard. - Poświęcając się moim służbowym obowiązkom, słyszałem wiele zdumiewających opowieści. Wypadki, o których mówił mój siostrzeniec, miały wszystkim zamydlić oczy i przekonać nas, że przestępcy są jakoby ofiarami. Na szczęście wszystko dokładnie mi wyjaśniono.

- Wyjaśniono ci, tak?! - ryknął sir Henry Sykes, były generał armii brytyjskiej. - Więc teraz pozwól, że ja ci coś wyjaśnię, dobrze? Zostaliście oszukani przez groźnego terrorystę, poszukiwanego niemal na całym świecie! Czy wiesz, jaka kara grozi za współdziałanie z takim przestępcą, wielokrotnym mordercą? Powiem ci wprost, na wypadek gdybyś nie wiedział: śmierć przez rozstrzelanie, a jeśli masz mniej szczęścia, przez powieszenie! A teraz mów, jaki był ten cholerny numer w Paryżu!

- No cóż, biorąc pod uwagę okoliczności... - wybąkał umundurowany urzędnik, starając się zachować resztki godności. Siostrzeniec, który drżał spazmatycznie na całym ciele, kurczowo chwycił wuję za ramię. Ręka Cyryla Sylwestra Pritcharda trzęsła się tak, że sięgając po notatnik, nie mógł nią trafić do kieszeni. - Napiszę go panu. Trzeba prosić Kosa, sir Henry. Po francusku. Ja mówię po francusku, sir Henry. Tylko parę słów, ale mówię...

Wezwany przez uzbrojonego strażnika, udającego w luźnych, białych spodniach i sportowej marynarce przybyłego na weekend gościa, John St. Jacques wszedł do biblioteki w nowym, bezpiecznym miejscu pobytu. Tym razem była to posiadłość w okolicach Chesapeake Bay. Strażnik - mocno zbudowany mężczyzna o latynoskich rysach - wskazał mu aparat stojący na obszernym biurku z drzewa czereśniowego.

- To do pana, panie Jones. Dyrektor.

- Dziękuję, Hektorze - odparł Johnny. - Czy ten „pan Jones” jest naprawdę potrzebny?

- Tak samo jak „Hektor”. Naprawdę mam na imię Roger... ale może być i Daniel. Wszystko jedno.

- Rozumiem. - St. Jacques podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. - Holland?

- Numer, który zdobył pański przyjaciel Sykes, jest ślepy, ale może nam się przydać.

- Czy mógłby pan mówić po angielsku, jeśli wolno mi zacytować mego szwagra?

- To mała kawiarenka nad samą Sekwaną. Trzeba pytać o Kosa. Jeśli tam jest, udało się nawiązać kontakt, jeśli nie, trzeba próbować jeszcze raz.

- Co to znaczy, że może się przydać?

- Bo umieścimy tam naszego człowieka i będziemy próbować aż do skutku.

- A poza tym co słyhać?

- Mogę udzielić tylko dość ogólnej odpowiedzi...

- Niech pana szlag trafi!

- Marie uzupełni wszystkie szczegóły.

- Marie...?

- Jest w drodze do domu, wściekła jak osa, ale na pewno cieszy się jako matka i żona.

- Dlaczego wściekła?

- Bo musiała tłuc się kilkoma samolotami, bynajmniej nie w...

- Na litość boską, dlaczego? - przerwał gniewnie St. Jacques. - Dlaczego nie wysłał pan po nią specjalnej maszyny? Ona jest teraz ważniejsza od tych wszystkich kołków siedzących w waszym Kongresie, więc skoro po nich wysyła pan specjalne samoloty, to po nią powinien pan tym bardziej! Ja nie żartuję, Holland!

- To nie ja wysyłam te samoloty - odparł spokojnie dyrektor CIA. - Te, które wysyłam, wzbudzają zawsze zbyt wiele zainteresowania. Nic więcej nie powiem na ten temat. Jej bezpieczeństwo jest ważniejsze od jej wygody.

- Przynajmniej w jednej sprawie mamy takie samo zdanie, szefuniu. Dyrektor zamilkł na chwilę.

- Wie pan co? - odezwał się wreszcie z wyraźnym rozdrażnieniem w głosie. - Nie jest pan najprzyjemniejszym facetem, z jakim miałem do czynienia.

- Moja siostra jakoś ze mną wytrzymuje, co zresztą potwierdza pańską opinię. Dlaczego ma się cieszyć jako matka i żona, jak pan powiedział?

Holland ponownie milczał przez kilka sekund, tym razem szukając najwłaściwszych słów.

- Wydarzył się dość nieprzyjemny incydent, którego w żaden sposób nie byliśmy w stanie przewidzieć...

- Bodaj was pokręciło! - wybuchnął St. Jacques. - Co tym razem przeoczyliście? Ciężarówkę z amerykańskimi głowicami jądrowymi dla zwolenników ajatollaha w Paryżu? Co się stało, do cholery?

Po stronie Petera Hollanda znowu zapadła cisza, w której słychać było wyraźnie jego przyśpieszony oddech.

- Wie pan co, młody człowieku? Właściwie powinienem teraz odłożyć słuchawkę i zapomnieć o pańskim istnieniu. Z pewnością miałyby to dobro czynny wpływ na moje ciśnienie krwi.

- Słuchaj no, szefuniu. Tu chodzi o moją siostrę i faceta, za którego wyszła za mąż, świetnego faceta, może mi pan wierzyć. Pięć lat temu, wy sukinsyny, o mało nie zabiliście ich w Hongkongu. Nie znam wszystkich szczegółów, bo oboje są zbyt przyzwoici albo zbyt głupi, żeby o nich mówić, ale wiem wystarczająco dużo, żeby nie dać panu nawet posady kelnera w moim pensjonacie!

- Szczerze powiedziane. - Głos Hollanda stracił znacznie na ostrości. - Wiem, że to nie ma znaczenia, ale wtedy nie siedziałem za tym biurkiem.

- To rzeczywiście nie ma znaczenia, bo gdyby pan siedział, zrobiłby pan dokładnie to samo.

- Całkiem możliwe, biorąc pod uwagę okoliczności. Pan chyba też, gdyby je znał. Ale to też nie ma znaczenia. Tamto jest już historią.

- A dzisiaj jest dzisiaj - uzupełnił St. Jacques. - Co się stało w Paryżu? Co to za nieprzyjemny incydent?

- Według relacji Conklina wpadli w zasadzkę na prywatnym lotnisku w Pontcarre, ale udało im się wyrwać. Ani Aleks, ani pański szwagier nie zostali ranni. To wszystko, co teraz mogę powiedzieć.

- Nic więcej nie chcę słyszeć.

- Rozmawiałem niedawno z Marie. Jest w Marsylii, powinna dotrzeć do Stanów jutro rano. Odbiorę ją z lotniska i razem przyjedziemy do Chesapeake.

- A co z Davidem?

- Z kim?

- Z moim szwagrem!

- Ach... Tak, oczywiście. Właśnie leci do Moskwy.

- Co takiego?

Odrzutowiec Aeroflotu włączył wsteczny ciąg i zjechał z pasa startowego na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie. Pilot zatrzymał maszynę mniej więcej pół kilometra od budynku dworca, a stewardesa podała pasażerom informację po francusku i rosyjsku:

- Prosimy państwa o pozostanie na miejscach. Opuszczanie samolotu rozpoczniemy za pięć do siedmiu minut.

Informacji nie towarzyszyło żadne wyjaśnienie, więc pasażerowie nie będący obywatelami ZSRR powrócili do swoich lektur w przekonaniu, że opóźnienie jest związane z koniecznością przepuszczenia jakiejś startującej lub lądującej maszyny. Wszyscy pozostali wiedzieli jednak, że przyczyna jest zupełnie inna. Z przedniej, oddzielonej szczelną zasłoną części ła, przeznaczonej dla szczególnie ważnych osobistości, wysiadało kilka osób. W takich wypadkach procedura wyglądała najczęściej w ten sposób, że do drzwi samolotu podjeżdżały specjalnie obudowane schodki, za nimi zaś czarne, eleganckie limuzyny. W chwili gdy siedzący w maszynie pasażerowie mogli dostrzec plecy wsiadających do samochodów osób, w kabinie pojawiała się niemal cała załoga, pilnując, żeby nikt nie wziął do ręki aparatu fotograficznego. Nikt nigdy nie brał. Tajemniczy podróżni znajdowali się pod opieką KGB i z powodów znanych tylko Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego nie mogli być przez nikogo widziani w budynku dworca lotniczego. Rzecz miała się podobnie także tego późnego popołudnia.

Jako pierwszy zszedł po zakrytych schodkach Aleks Conklin, a zaraz za nim Bourne, który niósł dwie torby stanowiące ich cały bagaż. W chwili gdy z oczekującej limuzyny wyskoczył Krupkin, schodki odjechały, a wycie silników samolotu zaczęło przybierać na sile.

- Co z waszym przyjacielem? - zapytał oficer KGB, przekrzykując ogłuszający ryk.

- Trzyma się! - odkrzyknął Aleks. - Może przegrać, ale walczy jak diabli!

- To twoja wina, Aleksiej! - Samolot odtoczył się dostojnie i Krupkin zniżył nieco głos. - Powinieneś być zadzwonić do ambasady, do Siergieja. Jego ludzie odwieźliby was, dokąd byście chcieli.

- Wydawało nam się, że w ten sposób ściąglibyśmy na siebie uwagę.

- Lepsze to niż wystawiać się na kule - odparł Rosjanin. - Carlos nigdy nie odważyłby się was zaatakować, gdybyście byli pod naszą opieką.

- To nie był Szakal - powiedział już zupełnie normalnym tonem Conklin. Ryk silników ła zamienił się w przytłumione brzęczenie.

- Oczywiście, że nie, bo on jest tutaj. To była jego sfora, wykonująca rozkazy.

- Ani nie jego sfora, ani nie jego rozkazy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Później ci wytłumaczę. Jedźmy stąd. Krupkin uniósł wysoko brwi.

- Zaczekaj. Najpierw musimy porozmawiać. Po pierwsze, wita was Rosja. Po drugie, byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś zechciał powstrzymać się od omawiania z kimkolwiek mojego stylu życia na wrogim Zachodzie, który za wszelką cenę dąży do wojny.

- Nie boisz się, Kruppie, że pewnego dnia cię capną?

- Nigdy im się nie uda. Uwielbiam mnie, bo dostarczam więcej kompromitujących plotek o najbardziej wpływowych osobistościach w tak zwanym wolnym świecie niż jakikolwiek inny oficer wywiadu. Poza tym, podczas inspekcji potrafię moim zwierzchnikom zapewnić rozrywki, o jakich wcześniej nawet nie słyszeli. Nie wątpię, że jeśli uda nam się osaczyć Szakala tutaj, w Moskwie, zrobią mnie bohaterem Związku Radzieckiego i wepchną na siłę do Biura Politycznego.

- Skoro tak, to możesz zacząć naprawdę kraść.

- Czemu nie? Oni wszyscy to robią.

- Jeśli wolno panom przerwać... - wtrącił się grzecznie Bourne, stawiając torby na ziemi.

- Co tu się działo? Są jakieś wiadomości z placu Dzierżyńskiego?

- Owszem, i to nawet nie byle jakie, jeśli wziąć pod uwagę, że mieliśmy niecałe trzydzieści godzin. Drogą eliminacji wyłoniliśmy trzynastu podejrzanych. Wszyscy mówią płynnie po francusku, a teraz są non stop pod ścisłą obserwacją, zarówno tradycyjną, jak i elektroniczną. W każdej chwili możemy sprawdzić, gdzie są, wiemy, z kim się spotykają, do kogo

dzwonią... Pracuję z dwoma debilowatymi komisarzami. Żaden nie zna ani w ząb francuskiego, a obaj mają nawet kłopoty z poprawnym rosyjskim, ale tak to już czasem bywa. Najważniejsze, że są oddani swojej pracy. Dla obu zlikwidowanie Szakala jest ważniejsze niż walka z nazistami. Jak do tej pory, spisują się bez zarzutu.

- Wasze tradycyjne metody obserwacji są do niczego i ty o tym dobrze wiesz - powiedział Aleks. - Zawsze wybieracie agentów, którzy szukają mężczyzn w damskich toaletach i nie potrafią nawet przeskoczyć przez sedes.

- Na pewno nie ci, bo tych sam wybierałem - odparł Krupkin. - Czterej nasi funkcjonariusze, wszyscy szkoleni w Nowogrodzie, a oprócz tego uciekinierzy z Anglii, Ameryki, Francji i Afryki Południowej. Wiedzą, że jeśli coś spieprzą, skończy się ich słodkie życie. Ja naprawdę chciałbym trafić do Biura Politycznego, a kto wie, czy nawet nie do Prezydium. Może wtedy wysłaliby mnie do Waszyngtonu albo Nowego Jorku.

- Gdzie mógłbyś zacząć naprawdę kraść - uzupełnił Conklin.

- Jesteś bardzo zepsuty, Aleksiej, do szpiku kości. Mimo to przypomnij mi po jakichś sześciu wódkach, żebym opowiedział ci o posiadłości, jaką dwa lata temu kupił w Wirginii nasz charge d'affaires. Oczywiście, płacił nie on, tylko bank jego kochanki. Teraz ktoś chce to od niego kupić za dziesięciokrotnie wyższą cenę.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - oświadczył Bourne, podnosząc z ziemi torby.

- Znaleźliście się w zupełnie innym, wyrafinowanym świecie - roześmiał się Krupkin. - W każdym razie, z pewnego punktu widzenia.

Ruszyli w kierunku limuzyny.

- Mam jednak wrażenie, że niezależnie od punktu widzenia nie będziemy kontynuować tej rozmowy w samochodzie - ciągnął Rosjanin. - Aha, zarezerwowałem dla was apartament w hotelu Metropol na Prospekcie Marksa. Jest bardzo wygodny, a ja osobiście wyłączyłem wszystkie urządzenia podsłuchowe.

- Rozumiem, dlaczego to zrobiłeś, ale jakim cudem ci się udało?

- Jak dobrze wiesz, KGB najbardziej ze wszystkich rzeczy obawia się kompromitacji. Wyjaśniłem tajniakom z hotelu, że to, co by się ewentualnie nagrało, mogłoby okazać się nadzwyczaj kłopotliwe dla pewnych wysoko postawionych osób z Komitetu, a w konsekwencji wszyscy, którzy przesłuchaliby taśmy, mieliby zapewnione darmowe wakacje na Kamczatce.

Dotarli do samochodu. Lewe tylne drzwi otworzył kierowca ubrany w brązowy garnitur; identyczny w Paryżu nosił Siergiej.

- Tylko materiał jest ten sam - wyjaśnił po francusku Krupkin, dostrzegłszy zdziwione spojrzenia obu mężczyzn. - Krawiec, niestety, inny. Namówiłem Siergieja, żeby dał swój do przerobienia.

Hotel Metropol mieści się w starannie dziś odrestaurowanym, bogato zdobionym gmachu wzniesionym jeszcze przed rewolucją. Car, który często odwiedzał Paryż i Wiedeń przełomu wieków, lubił secesyjną architekturę.

Pomieszczenia są wysokie, ściany wykładane marmurami, a gobeliny i dywany wręcz bezcenne. Majestatyczne ściany i ozdobne żyrandole głównego holu zdają się spoglądać z pogardą na przemykających między nimi, skromnie ubranych ludzi. Gdyby mogły mówić, na pewno z najwyższą niechęcią wyrażałyby się o rządzie, który dopuścił do takiego sprofanowania eleganckich wnętrz. Dymitr Krupkin jednak z pewnością do profanów nie należał. Jego dostojna postać znakomicie pasowała do otoczenia.

- Towarzyszu! - zawołał sotto voce recepcjonista, kiedy trzech mężczyzn mijali jego stanowisko, kierując się do wind. - Jest do was pilna wiadomość - dodał, podążając ku niemu szybkim krokiem. Wcisnął Krupkinowi w dłoń złożoną kartkę papieru. - Polecono mi, żebym osobiście ją wam przekazał.

- Już to zrobiliście. Dziękuję wam. - Dymitr poczekał, aż mężczyzna oddali się na kilka

kroków, po czym rozłożył kartkę. - Muszę natychmiast skontaktować się z placem Dzierżyńskiego - powiedział, odwróciwszy się do stojących tuż za nim Bourne'a i Conklina. - To wiadomość od jednego z moich komisarzy. Chodźmy, prędko.

Apartament, podobnie jak główny hol, należał nie tylko do innego czasu i innej epoki, ale nawet do innego kraju. Niezbyt dokładnie wykonane kopie oryginalnych elementów wyposażenia i nieco wyblakłe draperie nie psuły ogólnego wrażenia, zdawały się jedynie podkreślać rozmiary przepaści dzielącej przeszłość od teraźniejszości. Drzwi do dwóch sypialni znajdowały się po obu stronach sporego salonu. W skład jego umeblowania wchodził także bar o miedzianym blacie, zastawiony butelkami alkoholi, jakie niezmiernie rzadko można było zobaczyć na półkach moskiewskich sklepów.

- Rozgoście się - zaprosił ich Krupkin, kierując się prosto do telefonu, który stał na udającym antyk biurku; stanowiło ono krzyżówkę stylu królowej Anny z późnym Ludwikiem. - Przepraszam, Aleks, zupełnie zapomniałem! Zaraz każę przynieść herbaty albo wody mineralnej...

- Nie zwracaj sobie głowy. - Aleks wziął od Jasona swoją torbę i wszedł do sypialni po lewej stronie. - Przede wszystkim muszę się umyć. Ten samolot był po prostu brudny.

- Ale chyba przyznasz, że dość niedrogi, prawda? - zapytał Krupkin. Podniósł słuchawkę i zajął się wykręcaniem numeru. - Skoro już tam jesteś, niewdzięczniku - mówił dalej, podniósłszy nieco głos - to możesz otworzyć szufladę nocnego stolika. Znajdziesz tam dwa pistolety automatyczne graż, kaliber 38... Bardzo proszę, panie Bourne- zwrócił się do Jasona. - Pan chyba nie jest abstynentem, a podróż była długa i męcząca. To może chwilę potrwać, bo mój komisarz numer dwa jest niezłym gadułą.

- Dziękuję, chyba rzeczywiście skorzystam - powiedział Bourne, rzucając torbę na podłogę przy drzwiach drugiej sypialni. Podeszedł do baru, wyszukał wśród butelek tę o najbardziej znajomym kształcie i przyrządził sobie drinka. Krupkin tymczasem rozmawiał po rosyjsku, a że Jason nie znał tego języka, podeszedł ze szklanką do jednego z wysokich okien wychodzących na szeroką aleję noszącą imię Karola Marksa.

- *Dobryj dień... Da, da, poczemu...? Sadowaja togda, dwadcat' minut.* - Oficer KGB odłożył słuchawkę i potrząsnął z irytacją głową. Bourne dostrzegł kątem oka ten ruch, więc odwrócił się w stronę Krupkina. - Tym razem mój komisarz nie był zbyt gadatliwy, panie Bourne. Pośpiech i wyraźne rozkazy okazały się ważniejsze.

- Co pan przez to rozumie?

- Musimy stąd natychmiast wyjechać. - Krupkin spojrzął na drzwi po lewej stronie salonu. - Aleksiej, chodź tutaj! Szybko! Próbowałem mu wyjaśnić, że dopiero co przylecieliście - ciągnął, zwróciwszy się ponownie do Jasona - ale wcale go to nie wzruszyło. Powiedziałem nawet, że jeden z was właśnie bierze prysznic, a on na to: „No to niech zakręci wodę i wyjdzie”.

Do pokoju wszedł, utykając, Conklin. Miał rozpiętą koszulę i wycierał sobie twarz ręcznikiem.

- Przykro mi, Aleksiej, ale musimy jechać.

- Dokąd? Przecież dopiero co przyjechaliśmy.

- Do mieszkania przy Sadowej. To taki moskiewski Grand Boulevard, panie Bourne. Może nie dorównuje Polom Elizejskim, ale nie jest wcale najgorszy. Carowie wiedzieli, jak trzeba budować.

- A co tam jest? - pytał dalej Conklin.

- Komisarz numer jeden - wyjaśnił Krupkin. - W tym mieszkaniu będzie nasza kwatera główna. Nie wie o niej nikt, z wyjątkiem nas pięciu. Zdaje się, że stało się coś ważnego, bo mamy natychmiast tam się zjawić.

- W zupełności mi to wystarczy - powiedział Jason, odstawiając na barek nie dopitego drinka.

- Dokończ go - rzucił przez ramię Aleks, kuśtykając do sypialni. - Muszę sobie wypłukać mydło z uszu i mocniej przywiązać nogę.

Bourne posłusznie wziął szklankę do ręki, obserwując spod oka oficera KGB, który odprowadził Conklina dziwnie smutnym, melancholijnym spojrzeniem.

- Znał go pan wcześniej, zanim stracił stopę? - zapytał cicho Jason.

- O tak, panie Bourne. Znamy się od dwudziestu pięciu... nie, dwudziestu sześciu lat. Stambuł, Ateny, Rzym, Amsterdam... Był niezwykłym przeciwnikiem. Obaj byliśmy wtedy młodzi, sprawni, wpatrzeni wyłącznie w siebie, każdy usiłował za wszelką cenę dorosnąć do wizerunku, który stworzył sobie w wyobraźni... To dawne czasy. Byliśmy naprawdę dobrzy, może mi pan wierzyć, on nawet lepszy, ale proszę mu tego nie powtarzać. Zawsze potrafił spojrzeć na wszystko z większej perspektywy, ogarnąć całość sytuacji. Myślę, że także dzięki swemu rosyjskiemu pochodzeniu.

- Dlaczego użył pan słowa „przeciwnik”? - zapytał Jason. - Zupełnie, jakbyście byli sportowcami i brali udział w jakichś igrzyskach. Czyżby nie był wtedy po prostu pańskim wrogiem?

Krupkin odwrócił raptownie swoją potężną głowę w stronę Bourne'a. W szklanym spojrzeniu jego oczu nie było ani odrobiny ciepła.

- Oczywiście, że był moim wrogiem, panie Bourne. Powiem nawet więcej: nadal nim jest. Proszę nie brać moich słabostek za to, czym nie są. Moje skłonności mogą wpływać na kształt mych przekonań, ale nie zdołają ich zmienić... Widzi pan, nie jestem katolikiem, który może się wypowiadać, a następnie wstać od konfesjonału i dalej grzeszyć, na przekór swojej wierze, ale ja też wierzę... Mój dziadek i babka zostali powieszani - powieszani - za to, że ukradli parę kurczaków z gospodarstwa należącego do księcia Roma nowa. Tylko nieliczni spośród moich przodków mieli szansę nauczyć się choć by czytać i pisać, bo o żadnej prawdziwej edukacji nie mogło nawet być mowy. Wielka Rewolucja Marksa i Lenina była zaledwie pierwszym krokiem, ale we właściwym kierunku. Popelniono tysiące błędów, w tym wiele niewybaczalnych i tragicznych w skutkach, ale początek został zrobiony. Ja sam jestem tego najlepszym dowodem.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Dlatego że ani wy, ani wasi kiepscy intelektualiści nigdy nie byliście w stanie zrozumieć tego, co my zrozumieliśmy od samego początku. „Das Kapital”, panie Bourne, przewidywał stopniowe dochodzenie do społeczeństwa sprawiedliwego zarówno pod względem ekonomicznym, jak i politycznym, ale nigdzie nie zostało powiedziane nic o formie państwa. Wiadomo tylko tyle, że nie może ono być takie, jakie było.

- Szczerze mówiąc, nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

- Wcale nie musi pan nim być. Przy odrobinie szczęścia za sto lat będzie pan socjalistą, a my kapitalistami.

Z łazienki Aleksa przestał dochodzić szum wody.

- Proszę mi coś powiedzieć - zwrócił się Jason do Rosjanina. - Czy mógłby pan go zabić?

- Oczywiście. Tak samo jak on mnie, czyli z ogromnym bólem i tylko w razie absolutnej konieczności. Obaj jesteśmy profesjonalistami i zdajemy sobie z tego sprawę, choć często nie budzi to naszego entuzjazmu.

- W takim razie nie jestem w stanie was zrozumieć.

- I niech pan nawet nie próbuje, panie Bourne. Jeszcze pan do tego nie doszedł. Jest pan blisko, ale jeszcze trochę brakuje.

- Czy mógłby mi pan to wyjaśnić?

- Dotarłeś do przełomowego momentu swojego życia, Jason... Mogę tak do ciebie mówić?

- Jasne.

- Masz teraz około pięćdziesiątki, prawda?
- Zgadza się. Za parę miesięcy skończę pięćdziesiąt jeden. Co z tego?
- Aleksiej i ja przekroczyliśmy już sześćdziesiątkę. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaka to ogromna różnica?

- A skąd niby miałbym wiedzieć?

- Więc pozwól, że ci wyjaśnię. W dalszym ciągu widzisz siebie jako młodego człowieka wykonującego błyskawicznie i bezbłędnie wszystko, co sobie zaplanował, i pod wieloma względami masz rację. Jesteś sprawny, bardzo silny - jednym słowem jesteś panem własnego ciała. Jednak prędzej czy później nadejdzie taka chwila, kiedy ciało będzie jeszcze sprawne, ale umysł przestanie być zdolny do podejmowania natychmiastowych decyzji. Krótko mówiąc, przestaniesz się tak bardzo o siebie troszczyć, natomiast zaczniesz się zastanawiać, czy powinieneś się cieszyć, czy martwić tym, że udało ci się przeżyć.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jednak nie mógłbyś zabić Aleksa?

- Nie licz na to, Jasonie Bourne czy Davidzie jakiś tam.

Do salonu wszedł Conklin. Utykał bardziej niż zwykle, a jego twarz była wykrzywiona bolesnym grymasem.

- Chodźmy - powiedział.

- Źle ją przypiąłeś? - zapytał Jason. - Czy mam...

- Daj spokój! - przerwał mu niecierpliwie Aleks. - Trzeba być akrobatą, żeby osiągnąć do tych wszystkich klamer i zatrzasków.

Bourne zrozumiał wymówkę i postanowił zrezygnować na przyszłość z wszelkich prób pomocy przy mocowaniu protezy. Krupkin obrzucił Aleksa spojrzeniem, w którym współczucie walczyło o lepsze ze zdziwieniem i podziwem, i powiedział:

- Samochód czeka na Swierdłowskiej, bo tam mniej rzuca się w oczy. Każę portierowi, żeby go sprowadził przed wejście.

- Dziękuję - odparł z wdzięcznością Conklin.

Ekskluzywne mieszkanie przy ulicy Sadowej mieściło się we wzniesionym z kamienia starym budynku, który podobnie jak hotel Metropol dawał wyobrażenie o architektonicznych gustach obowiązujących w cesarstwie rosyjskim u schyłku ubiegłego stulecia. Apartamenty służyły głównie przybywającym z dłuższymi lub krótszymi wizytami dygnitarzom i były specjalnie do tego przygotowane, to znaczy miały zainstalowane urządzenia podsłuchowe, dozorczy zaś, portierzy i sprzątające kobiety albo pracowali dla KGB, albo byli często przez KGB przesłuchiwani. Ściany pokoi okrywał czerwony welur, a ozdobne meble pamiętały jeszcze czasy ancient regime. W salonie, po prawej stronie ogromnego kominka, stał przedmiot jakby przeniesiony z koszmarnego snu dekoratora wewnątrz: wielka, czarna jak noc szafka, a w niej telewizor i stojące jeden nad drugim magnetowidy, każdy na inny rodzaj kaset.

Drugim elementem, który zupełnie nie pasował do wystroju pomieszczenia i z całą pewnością mógł obrazić poczucie estetyki dawnych książąt, był mocno zbudowany mężczyzna w wymiętym, rozchełstany i poplamiony jedzeniem mundurze. Mężczyzna miał nalaną twarz i krótko ostrzyżone włosy, a rzucający się natychmiast w oczy brak jednego z przednich zębów i brudnożółty kolor pozostałych świadczyły jednoznacznie o braku zaufania do radzieckich stomatologów. Twarz, podobnie jak i cała postać, zdradzała prostego chłopca; wrażenie to potwierdzały chytrze zmrużone, niezbyt bystre oczy.

- Mój angielski nie bardzo dobry - poinformował nowo przybyłych komisarz numer jeden, skinąwszy im głową - ale wszystko rozumiem. Dla was nie mam nazwisko ani pozycja. Mówcie mi pułkownik, tak? Ja jestem więcej, ale wszyscy Amerykanie myślą, że u nas w Komitecie każdy jest pułkownik, da? Okay?

- Mówię po rosyjsku - odparł Aleks. - Jeśli pan woli, możemy rozmawiać w tym języku, a ja będę wszystko tłumaczył mojemu koledze.

- Ha, ha! - ryknął śmiechem pułkownik. - Krupkin nie może was oszukać, tak?
- Rzeczywiście, nie może.
- To dobrze. On mówi za szybko, da? Nawet w rosyjski jego słowa lecą jak kule.
- Tak samo, kiedy mówi po francusku, pułkowniku.
- Skoro już o tym mowa... - wtrącił się Dymitr. - Może przeszlubiśmy do sprawy, towarzyszu? Nasz współpracownik z placu Dzierżyńskiego kazał nam natychmiast tutaj przyjechać.

- Da, natychmiast! - Oficer KGB podszedł do szafki z telewizorem i magnetowidami, wziął pilota i odwrócił się do pozostałych. - Ja mówię angielski, dobre ćwiczenie... Chodźcie, patrzcie. Wszystko na kasecie. Cały materiał zrobiony kobiety i mężczyźni, którzy nie znają francuskiego.

- Wybraliśmy tych, którzy z całą pewnością nie zostali skaptowani przez Szakala - wyjaśnił Krupkin.

- Patrzcie! - powtórzył pułkownik, naciskając przycisk odtwarzania. Na ekranie telewizora pojawił się drżący i skaczący obraz. Większość ujęć była wykonywana z ręki, najczęściej z jadącego lub stojącego samochodu. Kolejne sceny przedstawiały różnych ludzi chodzących po ulicach Moskwy, wsiadających do rządowych limuzyn, jadących nimi za miasto, bocznymi drogami. Za każdym razem, kiedy śledzony obiekt spotykał się z kimś, operator wykonywał zbliżenia twarzy tych osób. Fragmenty zarejestrowane we wnętrzach były ciemne i niewyraźne z powodu niewystarczającego światła i braku wprawy człowieka obsługującego ukrytą kamerę.

- Ta to droga dziwka! - roześmiał się pułkownik, kiedy na ekranie pojawił się sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna wsiadający do windy ze znacznie młodszą od siebie kobietą. - Hotel Słoneczny na Warszawskiej. Jak to pokażę generałowi, chyba da mi wszystko, co będę chciał, no nie?

Po kilku minutach projekcji Krupkina i dwóch Amerykanów zaczęła powoli nużyć długa i monotonna parada nieznanymi postaciami. W pewnej chwili na ekranie pojawiła się duża świątynia, a wokół niej tłum ludzi. Lekko przyćmione oświetlenie wskazywało na to, że zdjęcia wykonano wczesnym wieczorem.

- Cerkiew Wasyla Błogosławionego na placu Czerwonym - wyjaśnił Krupkin. - Teraz jest tam muzeum, nawet bardzo interesujące, ale mimo to od czasu do czasu jacyś fanatycy - zwykle z zagranicy - odprawiają nabożeństwo. Nikt im nie przeszkadza, co rzecz jasna doprowadza ich do białej gorączki.

Obraz ściemniał, stracił na ostrości i zaczął się dziko kołysać; operator wszedł do wnętrza cerkwi, potrącany i popychany przez tłoczących się tam ludzi. Po chwili podskoki ustały - najprawdopodobniej agent oparł kamerę o jeden z filarów podtrzymujących wysokie sklepienie. W centrum ekranu znajdował się zaawansowany wiekiem mężczyzna o zupełnie siwych włosach, kontrastujących mocno z czernią lekkiego, nieprzemakalnego płaszcza. Szedł powoli wzdłuż bocznej nawy, przypatrując się wiszącym na ścianach ikonom i wysokim, majestatycznym witrażom.

- Rodczenko - poinformował widzów przyciszonym głosem pułkownik w wymiętym mundurze. - Wielki Rodczenko.

Mężczyzna dotarł do zakątka katedry oświetlonego migotliwym blaskiem dwóch dużych świec. Kamera podskoczyła raptownie, kiedy operator wszedł na jakieś podwyższenie; zaraz potem uruchomił teleobiektyw i obraz stał się bardziej szczegółowy. Siwowłosy człowiek podszedł do innego mężczyzny - łysiejącego, szczupłego, ubranego w sutannę.

- To on! - ryknął Bourne. - Carlos! Na ekranie pojawiła się trzecia osoba.

- Boże! - wykrzyknął Conklin. - Niech pan to zatrzyma! - Komisarz natychmiast wcisnął pauzę i obraz znieruchomiał, odrobinę drżący, ale w miarę stabilny. - Poznajesz go,

Davidzie?

- Znam go, ale nie poznaję... - odpowiedział ledwo słyszalnie Bourne, usiłując przywołać w wyobraźni obrazy sprzed wielu lat. Eksplozje, oślepiające erupcje ognia, na ich tle niewyraźne, zamazane sylwetki pędzące w głąb dżungli... A potem człowiek o orientalnych rysach przygwożdżony do pnia drzewa serią z pistoletu maszynowego, wstrząsany drgawkami... Widziane jakby przez mgłę wspomnienia ustąpiły miejsca wyraźnemu obrazowi, przed stawiającemu surowo urządzonego pokój i siedzących przy długim stole mężczyzn w mundurach. Jeden z nich siedział samotnie po drugiej stronie stołu i sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, a może niepewnego. Jason znał go! To był on, ten sam! Znacznie młodszy niż teraz, szczuplejszy... W pokoju był jeszcze jeden człowiek, także w mundurze. Chodził w tę i z powrotem z jedną ręką założoną do tyłu, drugą grożąc siedzącemu na drewnianym krześle Bourne'owi. Mówił coś, z twarzą wykrzywioną złością i nienawiścią... Bourne nagle przestał oddychać, bo rozpoznał w mężczyźnie widocznym na ekranie telewizora tego, którego zapamiętał sprzed lat, z Wietnamu.

- Sąd wojskowy w obozie na pomoc od Sajgonu... - wyszeptał.

- To Ogilvie - powiedział głucho Conklin. - Bryce Ogilvie... Boże, a więc jednak stało się! „Meduza” odnalazła Szakala!

Rozdział 36

To był sąd, prawda, Aleks? - zapytał niepewnie Bourne. Mówił cicho, jakby dziwić się własnym słowom. - Sąd wojskowy, tak?

- Tak. - Conklin skinął głową. - Ale to nie ty byłeś oskarżony.

- Nie ja?

- Nie. Ty oskarżałeś. Jeśli weźmie się pod uwagę, kim byłeś i gdzie służyłeś, można się temu dziwić. Sporo ludzi usiłowało cię powstrzymać, ale nic nie wskórali... Porozmawiamy o tym później.

- Chcę porozmawiać o tym teraz - odparł stanowczo Jason. - Ten człowiek jest z Szakalem, tutaj, przed nami. Muszę wiedzieć, kim jest i dlaczego znalazł się w Moskwie, a przede wszystkim, co łączy go z Carlosem.

- Może później...

- Teraz. Twój przyjaciel Krupkin pomaga nam, jak może, a to znaczy, że jednocześnie pomaga Marie i mnie, za co jestem mu ogromnie wdzięczny. Pułkownik też jest po naszej stronie, bo gdyby nie był, nigdy nie zobaczylibyśmy tego, co widzimy. Muszę wiedzieć, co zaszło między mną a tym człowiekiem, a jeśli chodzi o zalecane przez Langley środki ostrożności, to mogą kazać się wypchać. Im więcej się o nim teraz dowiem, tym lepiej będę wiedział, czego mam się spodziewać. - Bourne odwrócił się od Aleksa i spojrzał na dwóch Rosjan. - Dla waszej informacji, panowie: w moim życiu jest pewien okres, którego nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. To wszystko, co powinniście o tym wiedzieć. Mów, Aleks.

- Ja nieraz ledwo pamiętam wczorajszy wieczór - powiedział pułkownik.

- Zrób to, Aleksiej. Tamte sprawy nie mają już żadnego wpływu na nasze stosunki. Sajgon to zamknięty rozdział, podobnie jak Kabul.

- W porządku. - Conklin usiadł w jednym z foteli. Kiedy zaczął mówić, masując sobie prawą łydkę, widać było, że próbuje narzucić sobie chłodny spokój, ale nie bardzo mu się to udaje. - W grudniu 1970 jeden z waszych ludzi zginął podczas patrolu. Nazwano to wypadkiem spowodowanym przez przyjacielski ostrzał, ale ty nie dałeś się na to nabrać. Wiedziałeś, że został zabity z polecenia kogoś z kwatery głównej, kto postanowił w ten sposób zamknąć mu na zawsze usta. Ten, który zginął, był żółtkiem i daleko mu było do świętości, ale wiedział wszystko o trasach i sposobach przemytu narkotyków. To ci dało wiele do myślenia.

- Przypominam sobie tylko oderwane obrazy... - przerwał mu Bourne. - Żadnej ciągłości. Widzę, ale nie pamiętam.

- Akurat te fakty nie mają teraz już żadnego znaczenia, tak samo jak parę tysięcy innych podejrzanych zdarzeń z tamtego okresu. Należy się domyślać, że gdzieś w Żółtym Trójkącie zniknął bez śladu duży transport narkotyków, a podejrzenie padło akurat na twojego zwiadowcę. Jakaś gorąca głowa w Sajgonie doszła do wniosku, że dobrze będzie pokazać innym, co dzieje się z tymi, którzy zawodzą pokładane w nich zaufanie. Wysłał na wasz teren helikopter z paroma ludźmi, a oni upozorowali atak Wietkongu i sprzątnęli chłopaka - przy okazji także paru innych, ma się rozumieć. Mieli jednak pecha, bo ty wszystko wiedziałeś, a potem poszedłeś za nimi do helikoptera i tam dałeś im do wyboru: wsiąść, a wtedy ty zestrzelisz maszynę i wszyscy zginą, albo wrócić z tobą do obozu. Wybrali to drugie rozwiązanie, ty zaś wystąpiłeś do dowództwa z oskarżeniem o wielokrotne morderstwo. Wtedy na scenie pojawił się Stalowy Ogilvie, żeby ratować swoich kumpli.

- I coś się stało, prawda? Coś nieprawdopodobnego, szalonego...

- Zgadłeś. Bryce doprowadził do rozprawy, a tam zrobił z ciebie wariata,

patologicznego kłamcę i mordercę, który w normalnych warunkach powinien być trzymany w najlepiej strzeżonym więzieniu. Zmieszał cię dokumentnie z błotem, a następnie zażądał, żebyś ujawnił swoje prawdziwe personalia, czego oczywiście nie mogłeś zrobić, bo wtedy naraziłbyś na niebezpieczeństwo mieszkającą w Kambodży rodzinę swojej pierwszej żony. Potem usiłował opłacać cię siecią oskarżeń, a kiedy mu się to nie udało, zagroził sądowi, że ujawni istnienie „Meduzy”, do czego ten, rzecz jasna, nie mógł dopuścić... Chłopcy Ogilwiego zostali zwolnieni z powodu braku wiarygodnych dowodów, a ciebie trzeba było zatrzymać siłą w baraku, dopóki Bryce nie odleciał z powrotem do Sajgonu.

- Nazywał się Kwan Soo... - wyszeptał Bourne, kołysząc lekko głową, jakby usiłował odegnąć od siebie powracający uparcie koszmar. - Miał szesnaście albo siedemnaście lat. Wszystkie pieniądze, jakie zarobił na szmuglowaniu narkotyków, wysyłał do trzech wiosek, żeby ludzie mieli co jeść. To był jedyny sposób, żeby... Niech to szlag trafi! Co wy byście zrobili, gdyby wasze rodziny umierały z głodu?

- Ale wtedy nie mogłeś tego powiedzieć przed sądem i dobrze o tym wiedziałeś. Musiałeś zacisnąć zęby i wytrzymać mściwe oskarżenia Ogilwiego. Obserwowałem cię cały czas. Nigdy w życiu nie widziałem człowieka, który potrafiłby opanować tak wielką nienawiść.

- Tego też nie pamiętam... Cały czas widzę tylko oderwane obrazy.

- Podczas rozprawy dostosowałeś się w znakomity sposób do otoczenia... Jak kameleon.

Spojrzenia Conklina i Bourne'a spotkały się na chwilę, a potem Jason odwrócił się do ekranu.

- Teraz on jest tutaj, z Carlosem... Nie wydaje wam się, że ten świat jest jednak bardzo mały? Czy on wie, że to ja jestem Jasonem Bourne'em?

- A skąd miałby wiedzieć? - Conklin wstał z fotela. - Wtedy nie istniał ani Bourne, ani nawet David Webb, tylko żołnierz posługujący się pseudonimem Delta Jeden. W ogóle nie używaliście nazwisk, nie pamiętasz?

- Ciągle zapominam. Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć? - Jason wskazał na ekran. - Dlaczego przyleciał do Moskwy? Czemu powiedziałeś, że „Meduza” znalazła Carlosa?

- Dlatego że to on jest tą firmą adwokacką z Nowego Jorku.

- Co takiego? - Bourne spojrzał raptownie na Conklina. - Ogilvie...

- Jest prezesem zarządu - wpadł mu w słowo Aleks. - CIA odkryła, że to on, ale wymknął im się dwa dni temu.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, do diabła? - zapytał gniewnie Jason.

- Bo ani przez chwilę nie myślałem, że będziemy tu siedzieć i oglądać go na ekranie. Ciągle tego nie rozumiem, ale widzę, że to prawda. Poza tym, nie chciałem zwracać ci głowy kimś, kogo mogłeś nie pamiętać, a jeżeli nawet, to w bardzo niemiły sposób. Po co niepotrzebnie mnożyć komplikacje? I tak nie możemy narzekać na ich niedostatek.

- Chwileczkę, Aleksiej! - przerwał mu podekscytowany Krupkin. - Słyszałem tu słowa i nazwy, które wywołują, przynajmniej u mnie, jak najgorsze skojarzenia, więc chyba mam prawo zadać jedno lub dwa pytania. Szczególnie jedno: kim właściwie jest ten Ogilvie, że tak bardzo się nim przejmujecie? Wiem już, że był w Sajgonie, ale kim jest teraz? Możesz mi to powiedzieć?

- Właściwie, czemu nie? - odparł cicho Conklin. - To prawnik z Nowego Jorku kierujący tajną organizacją, która sięga swymi mackami nawet do Europy i basenu Morza Śródziemnego - wyjaśnił. - Zaczęli od tego, że dzięki wpływom w Waszyngtonie wykupywali za bezcen znakomicie prosperujące, państwowe przedsiębiorstwa, co pozwoliło im w wielu dziedzinach przejąć kontrolę nad rynkiem i dyktować ceny. Potem zabrali się do poważniejszej roboty, zatrudniając najlepszych specjalistów w tym fachu. Mamy niezbite

dowody, że za ich pieniądze dokonano wielu morderstw różnych mniej lub bardziej ważnych osób, a najświeższym przykładem jest generał Teagarten, głównodowodzący sił NATO.

- Niewiarygodne! - wyszeptał Krupkin.

- A niech mnie! - wymamrotał pułkownik, wpatrując się w Conklina wybałuszonymi oczami.

- Są nadzwyczaj pomysłowi, a Ogilvie najbardziej ze wszystkich. To Superpająk, któremu udało się oplatać pajęczyną niemal wszystkie europejskie stolicy. Na swoje nieszczęście, a dzięki mojemu obecnemu tu przyjacielowi, wpadł we własne sieci. Musiał uciekać z Waszyngtonu, bo zabrali się do niego ludzie, których raczej nie udałoby mu się przekupić, ale nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego zjawił się właśnie w Moskwie.

- Myślę, że będę mógł odpowiedzieć na to pytanie - odparł Krupkin, spoglądając uspokajająco na komisarza. - Nic nie wiem o morderstwach, o których wspominałeś, ale to, co mówiłeś, przywodzi mi na myśl pewne amerykańskie konsorcjum, działające właśnie na terenie Europy, z którym od wielu lat robimy bardzo dla nas korzystne interesy.

- W jakich dziedzinach?

- Przede wszystkim chodzi o nowoczesne technologie objęte zakazem wywozu, a także elementy uzbrojenia, części samolotów, niekiedy nawet samą broń i samoloty, oczywiście za pośrednictwem krajów naszego bloku... Mówię ci to tylko dlatego, że z pewnością zdajesz sobie sprawę, iż wszystkiemu kategorycznie zaprzeczę, gdyby przyszło ci kiedykolwiek do głowy powołać się na mnie jako na źródło.

Aleks skinął głową.

- Rozumiem. Jak się nazywa to konsorcjum?

- Nie ma nazwy, bo występuje pod postacią pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu pozornie niezależnych firm. Zawsze podejrzewaliśmy, że wszystkie działają pod wspólnym parasolem i są ze sobą ściśle powiązane, ale nie byliśmy w stanie stwierdzić, w jaki dokładnie sposób.

- Nazwa istnieje, podobnie jak samo konsorcjum - odparł Conklin. - Ogilvie nim kieruje.

- Tak właśnie pomyślałem... - mruknął Krupkin. Na jego twarzy pojawił się okrutny, bezlitosny grymas. - Zapewniam was jednak, że wasze obawy związane z tym prawnikiem nie mogą się równać z naszymi problemami. - Spojrzał z wściekłością na obraz zatrzymany na ekranie. - Generał Rodczenko, którego tu widzicie, zajmuje drugie miejsce w hierarchii KGB i jest doradcą premiera. W imię interesów ZSRR i bez wiedzy rządu można robić wiele rzeczy, ale na pewno nic takiego, o czym mówiłeś. Dobry Boże, głównodowodzący sił NATO! A teraz jeszcze Szakał! To nie tylko kompromitacja, ale po prostu katastrofa, okropna, tragiczna katastrofa!

- Masz jakieś propozycje? - zapytał Conklin.

- Głupie pytanie - wtrącił się gburowato pułkownik. - Aresztować, na Łubiankę, a potem w czapę!

- Znakomity pomysł, ale jest pewien problem - odparł Aleks. - Centralna Agencja Wywiadowcza wie o tym, że Ogilvie przyleciał do Moskwy.

- W czym tu problem? Obie strony pozbędą się drania i będą mogły zająć się swoimi sprawami.

- Może to się panu wydać dziwne, ale problem, nawet z punktu widzenia ochrony interesów ZSRR, nie polega na pozbyciu się drania. Chodzi o reakcję Waszyngtonu.

Pułkownik spojrział ze zdziwieniem na Krupkina.

- O czym on gada, do cholery? - zapytał po rosyjsku.

- Dla nas to dosyć trudne do pojęcia, ale może spróbuję wam to wytłumaczyć... - odparł w tym samym języku Krupkin.

- Co on mówi? - zapytał Bourne Conklina.

- Zdaje się, że ma zamiar rozpocząć wykład o prawach i obowiązkach obywatela w

Stanach Zjednoczonych.

- Takie wykłady przydałyby się też wielu ludziom w Waszyngtonie - zripostował Krupkin po angielsku, po czym natychmiast przeszedł z powrotem na rosyjski. - Widzicie, towarzyszu, nikt w Ameryce nie zdziwiłby się, gdybyśmy chcieli wykorzystać przestępcze powiązania Ogilwiego. Mają tam nawet specjalne przysłowie, które powtarzają bardzo często, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia: darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

- Co wspólnego z podarunkami mają końskie zęby? Spod ogona wypada mu nawóz, ale z pyska tylko ślina.

- W oryginale brzmi to trochę lepiej... W każdym razie ten adwokat, Ogilvie, miał wiele powiązań z rządem, a ściślej z urzędnikami, którzy w zamian za duże sumy pieniędzy przymykali oczy na jego nielegalne działania, przynoszące mu miliony dolarów zysku. Naginano prawo, zabijano ludzi, przedstawiano kłamstwa jako prawdę. Krótko mówiąc, Ogilvie stanowił ośrodek bezprzykładnej korupcji, a z tego, co wiemy, Amerykanie mają prawdziwą obsesję na tym punkcie. Każde ustępstwo wydaje im się nieść w sobie zarodek korupcji, więc na wszelki wypadek wolą prać swoje brudy na oczach całego świata, żeby udowodnić, jak bardzo są mimo wszystko uczciwi.

- To prawda - przerwał mu Aleks po angielsku. - Wątpię, żebyście mogli to zrozumieć, bo wy z kolei ukrywacie każde ustępstwo, każdą zbrodnię i każde go trupa za kosztem z różami... Może jednak będzie lepiej, jeśli ja daruję sobie takie porównania, a ty zrezygnujesz z wykładu. Ogilvie musi wrócić do kraju i zapłacić za wszystko. To jedyne ustępstwo, jakiego od was oczekujemy.

- Zapewniam cię, że weźmiemy to pod uwagę.

- To za mało - odparł Conklin. - Ujmijmy to w taki sposób, odsuwając na razie na bok kwestię odpowiedzialności: już wkrótce, być może nawet za kilka dni, zbyt wielu ludzi dowie się o tym, w co był zamieszany, łącznie ze śmiercią Teagartena, żebyście mogli go tu zatrzymać. Skoczy wam do gardeł nie tylko Waszyngton, ale i cała EWG. Kompromitacja to bardzo ładne słowo, ale kryje w sobie bardzo wymierne efekty: utrudnienia w handlu, zmniejszenie obrotów towarowych...

- Przekonałeś mnie, Aleksiej - przerwał mu Krupkin. - Załóżmy, że zgodzimy się na to ustępstwo. Czy ogłosicie wtedy całemu światu, że Moskwa współpracowała z wami w schwytaniu i dostarczeniu przed wasz sąd amerykańskiego przestępcy?

- Oczywiście, a także i to, że bez was nic byśmy nie osiągnęli. Jeżeli będzie trzeba, potwierdzę to przed wszystkimi komisjami Kongresu.

- Powinieneś również stwierdzić jasno i wyraźnie, że nie mieliśmy absolutnie nic wspólnego z zabójstwami, o których wspominałeś, a szczególnie z zamachem na głównodowodzącego sił NATO.

- Ma się rozumieć. Jedną z przyczyn, dla których zdecydowaliście się nam pomóc, było to, że wasz rząd przeraził się narastającej fali politycznych morderstw.

Krupkin przez chwilę wpatrywał się w Conklina ostrym spojrzeniem, po czym przeniósł je na krótko na ekran telewizora, by zaraz ponownie skierować na twarz Aleksa.

- A co zrobimy z generałem Rodczenką? - zapytał.

- To już wasza sprawa - odpowiedział cicho emerytowany oficer CIA. - Ani Bourne, ani ja nigdy nie słyszeliśmy tego nazwiska.

- *Da...* - mruknął Krupkin, kiwając powoli głową. - W takim razie róbcie z Szakalem, co chcecie, chociaż jesteście na radzieckim terytorium. Możecie jednak liczyć na naszą daleko posuniętą pomoc.

- Od czego zaczniemy? - zapytał niecierpliwie Jason.

- Od początku. - Dymitr spojrzał na komisarza KGB. - Towarzyszu, czy zrozumieliście, o czym mówiliśmy?

- Bardzo wystarczy, Krupkin - odparł pułkownik, podchodząc do telefonu ustawionego

na małym stoliku o marmurowym blacie. Wykręciwszy numer, zaczął niemal natychmiast mówić po rosyjsku, jakby ktoś czekał na jego telefon z ręką na słuchawce. - Nowy Jork zidentyfikował trzeciego człowieka na taśmie numer siedem, tego z Rodczenką i księdzem, jako Amerykanina nazwiskiem Ogilvie. Trzeba natychmiast wziąć go pod ścisłą obserwację i nie dopuścić do tego, żeby wyjechał z Moskwy. - Pułkownik zamilkł, słuchając odpowiedzi, po czym nagle poczerwieniał i unióśł wysoko brwi. - Anuluję ten rozkaz! - ryknął. - Ta sprawa należy teraz wyłącznie do KGB! Powód? Ruszcie mózgiem, kapuściany łbie! Powiedzcie im, że to podwójny agent, którego oni nie potrafili rozpoznać, a potem dorzucicie trochę tradycyjnego śmiecia - zagrożenie dla państwa spowodowane niekompetencją urzędników, opiekuńcza rola Komitetu i tak dalej... Aha, możecie im jeszcze wspomnieć, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby... Ja też nie rozumiem, towarzyszu, ale te motylki w eleganckich garniturach chyba będą wiedziały, o co chodzi. Zawiadomcie wszystkie lotniska.

Komisarz odłożył słuchawkę.

- Zrobił to - stwierdził Conklin, zwracając się do Bourne'a. - Ogilvie zostaje w Moskwie.

- Ogilvie nic mnie nie obchodzi! - wybuchnął Jason. - Przyjechałem tu po Carlosa!

- To ten ksiądz? - zapytał pułkownik, odchodząc od stolika z telefonem.

- Właśnie on.

- To proste. Puścimy generała Rodczenkę na długiej smyczy, żeby jej nie widział ani nie czuł. Pan weźmie w rękę drugi koniec. Na pewno niedługo znowu spotka się z tym Szakalem.

- Niczego więcej mi nie trzeba - odparł Jason Bourne.

Generał Grigorij Rodczenko siedział przy usytuowanym obok okna stoliku w restauracji Łastoczka w pobliżu mostu Krymskiego na rzece Moskwy. Było to jego ulubione miejsce, często tu przychodził około północy, by zjeść w samotności późną kolację. Światła mostu i sunących powoli rzeką łodzi dawały wytchnienie znużonym oczom, a tym samym korzystnie wpływały na przemianę materii. Dzisiaj szczególnie potrzebował odpoczynku w kojącej atmosferze, gdyż ostatnie dwa dni były bardzo niespokojne. Mylił się czy może jednak miał rację? Czy instynkt oszukał go, czy też nie zawiódł także i tym razem? W tej chwili jeszcze tego nie wiedział, ale cały czas pamiętał, że właśnie dzięki instynktowi udało mu się w młodości przetrwać panowanie szalonego Stalina, w wieku dojrzałym rządy buńczucznego Chruszczowa, a kilka lat później tępego Breżniewa. Teraz jednak, wraz z pojawieniem się Gorbaczowa, dla Rosji i Związku Radzieckiego nadeszły zupełnie nowe czasy, które on, człowiek w podeszłym już wieku, powitał z zadowoleniem. Może wszystko jakoś się uspokoi, a trwające od wielu dziesięcioleci zagrożenia oddalą się, znikną za horyzontem. Pewne było tylko to, że nie zmieni się sam horyzont - płaski, daleki i nieosiągalny.

Rodczenko zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że zarówno dzięki swojemu szczęściu, jak i zdolności przewidywania stanowi typ człowieka wychodzącego cało ze wszystkich katastrof. Żeby to osiągnąć, trzeba było mieć oczy dookoła głowy i otoczyć się ze wszystkich stron misterną siatką zabezpieczeń. Z tego właśnie powodu zadał sobie wiele trudu, żeby zdobyć zaufanie sekretarza generalnego, pracował usilnie, by zyskać w KGB opinię najwyższej klasy fachowca, po prostu nie do zastąpienia, oraz przyjął propozycję współpracy od amerykańskiego konsorcjum o nazwie „Meduza”, współorganizując przerzuty olbrzymiej wartości towarów nie tylko do ZSRR, ale i do krajów Układu Warszawskiego. Był także łącznikiem rezydującego w Paryżu Carlosa, którego jak do tej pory udawało mu się zawsze odwieść, czy to perswazją, czy przekupstwem, od podejmowania jakichkolwiek akcji wymierzonych przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Był przykładem doskonałego biurokraty pracującego za kulisami międzynarodowej sceny wydarzeń, nie pożądanego sławy ani zaszczytów, natomiast opętanego wyłącznie jednym pragnieniem: żeby przeżyć. Skoro tak, to

dlaczego dopuścił do tego, co się stało? Czy przyczyniła się do tego zrodzona ze zmęczenia i strachu popędliwość, a także przewrotna chęć sprowadzenia zagłady na wszystkich, których wykorzystywał i przez których był wykorzystywany? Nie, główną rolę odegrała logiczna analiza wydarzeń, dokonywana także z punktu widzenia interesów kraju, a poza tym absolutne przekonanie o konieczności zerwania przez Moskwę wszelkich kontaktów zarówno z „Meduzą”, jak i Szakalem.

Według relacji konsula generalnego z Nowego Jorku, Bryce Ogilvie był w Ameryce całkowicie skończony. Konsul proponował, żeby zapewnić mu w jakimś kraju azyl, a w zamian za to przejść stopniowo miliardowe interesy, jakie adwokat prowadził w Europie. Jediną sprawą, która niepokoiła konsula, nie były wcale operacje finansowe, podczas których Ogilvie tyle razy łamał prawo, że żaden sąd nie mógłby udowodnić mu wszystkich nielegalnych działań podczas najdłuższej nawet rozprawy, ale zabójstwa, w jakich prawnik maczał palce; według informacji zebranych przez konsula było ich wiele, a ich ofiarą padło wielu wysokich rangą funkcjonariuszy rządu USA, a także, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, głównodowodzący NATO. Nie można było również wykluczyć, że Ogilvie, usiłując uchronić przed konfiskatą jak największą część swego majątku ulokowanego w Europie, zlecił zamordowanie jeszcze kilkunastu osób, przede wszystkim ważnych osobistości świata finansowego podejrzewających istnienie międzynarodowej siatki powiązanej z pewną nowojorską firmą adwokacką i tworzącej razem z nią organizm znany jako „Meduza”. Gdyby zabójstwa nastąpiły podczas pobytu Ogilwiego w Moskwie, zaczęto by zadawać pytania, a do tego nie można było dopuścić. W związku z tym należało jak najprędzej zgarnąć go i wyekspediować poza teren ZSRR, co było łatwe do zaplanowania, ale nastroczało znaczne trudności w realizacji.

A tu nagle, w samym środku tego *danse macabre*, zjawia się *monseigneur* z Paryża. Musimy się natychmiast spotkać! Carlos niemal wykrzyczał ten rozkaz przez telefon, ale to wcale nie oznaczało, że zamierza zrezygnować ze zwykłych środków ostrożności. Spotkanie miało się odbyć w uczęszczanym, najlepiej wręcz zatłoczonym miejscu, łatwo dostępnym, o wielu drogach ucieczki, gdzie Carlos mógłby najpierw krążyć przez pewien czas jak jastrząb, nie ujawniając swojej tożsamości, aż uznałby, że wszystko jest w porządku. Podczas trzeciej rozmowy telefonicznej - każda, ma się rozumieć, odbywała się z innego miejsca, a wszystkie z publicznych aparatów - ustalili ostatecznie czas i miejsce: cerkiew Wasyla Błogosławionego na placu Czerwonym, wczesnym wieczorem, czyli w porze największego napływu zwiedzających. Pogrążony w półmroku zakątek po prawej stronie głównego ołtarza, gdzie znajdowały się przesłonięte kotarami wyjścia do zakrystii. Załatwione!

I właśnie podczas tej trzeciej rozmowy w umyśle generała Rodczenki narodził się pomysł, który w pierwszej chwili poraził go swoją prostotą i oczywistością niczym błyskawica podczas burzy na Morzu Czarnym. Rozwiązanie to pozwoliłoby Związkowi Radzieckiemu zdystansować się za jednym zamachem zarówno od poczynań Szakala, jak i „Meduzy”, gdyby okazało się, że cywilizowanemu światu nie wystarczą same zapewnienia.

Nic prostszego, jak doprowadzić do spotkania Szakala i Ogilwiego, choćby na jedną chwilę, byle tylko uchwycić ich na tej samej klatce filmu. Nie trzeba było nic więcej.

Wczoraj po południu generał poszedł do Wydziału Stosunków Dyplomatycznych i zażyczył sobie krótkiej, rutynowej rozmowy z Ogilviem. Kiedy doszło do spotkania, przeczekał cierpliwie standardowe uprzejmości, a następnie zaczął kierować rozmowę w pożądanym przez siebie kierunku. Poruszał się pewnie i precyzyjnie, bo wcześniej odpowiednio się przygotował.

- Podobno zawsze spędza pan lato na Cape Cod, *da?* - zapytał od niechcenia.
- Raczej tylko weekendy, natomiast żona i dzieci mieszkają tam przez całe wakacje.
- Kiedy byłem na placówce w Waszyngtonie, miałem na Cape Cod dwoje wspaniałych przyjaciół. Spędziłem z nimi wiele przemiłych, jak wy to mówicie, weekendów. Może ich pan

zna? To Frostowie, Hardleigh i Carol Frost.

- Oczywiście że znam. On jest prawnikiem jak ja, tyle tylko, że specjalizuje się w prawie morskim. Mieszkają nad samym brzegiem, w Dennis.

- Pani Frost jest nadzwyczaj atrakcyjną kobietą.

- Zgadza się.

- *Da...* Próbował pan kiedyś namówić jej męża, żeby podjął pracę w pańskiej firmie?

- Nie. Ma swoją własną: Frost, Goldfarb i O'Shaunessy. Zdaje się, że działali w Massachusetts.

- Czuję się prawie tak, jakbym pana znał, panie Ogilvie, choć tylko poprzez wspólnych przyjaciół.

- Żałuję, że nigdy się tam nie spotkaliśmy.

- Pomyślałem sobie, że może spróbuję wykorzystać naszą bliską znajomość - bliską, ma się rozumieć, tylko pośrednio - i poproszę pana o pewną przysługę, znacznie drobniejszą od tej, którą tak chętnie wyświadcza panu nasz rząd.

- Wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że korzyści są obopólne - odparł Ogilvie.

- Niestety, nie orientuję się w tych dyplomatycznych zawłościach, ale wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że mógłbym szepnąć tu i ówdzie jakieś słówko na pańską korzyść, gdyby zechciał pan współpracować z moim niewielkim, co nie znaczy, że nieważnym, wydziałem.

- Na czym miałyby polegać ta współpraca?

- Kilka godzin temu przybył do nas pewien bardzo aktywny społecznie ksiądz, który twierdzi, że jest oddanym marksistą, agitatorom, wielokrotnie skazywanym za swoją działalność przez nowojorskie sądy. Chce się ze mną natychmiast spotkać, ale my, niestety, nie mamy możliwości zweryfikowania jego twierdzeń. Może pan mógłby nam pomóc? Jeżeli istotnie tak często stawał przed sądem, być może zapamiętał pan jego twarz z gazet lub telewizji?

- Niewykluczone, oczywiście jeśli jest tym, za kogo się podaje.

- *Da!* Bez względu na rezultat nie zapomnimy tego, że zechciał pan z nami współdziałać.

Wszystko zostało ustalone; Ogilvie będzie kręcić się w tłumie wypełniającym cerkiew, a kiedy zobaczy, że generał podchodzi do mężczyzny w sutannie, zbliży się do niego, udając zaskoczenie. Przywitanie będzie krótkie i raczej chłodne, takie, jakiego można się spodziewać, kiedy dwaj kulturalni, ale nie lubiący się ludzie wpadają na siebie w miejscu publicznym. Było niezwykle ważne, żeby wszyscy trzej znaleźli się blisko siebie, gdyż w panującym w tej części świątyni półmroku prawnik mógłby mieć kłopoty z dostrzeżeniem twarzy księdza.

Ogilvie spisał się znakomicie, zupełnie jak prokurator podczas procesu, który zasypuje świadka prędko następującymi po sobie pytaniami, dołączając do nich jedno, o którym wie, że wywoła natychmiastowy sprzeciw obrony, a następnie krzyczy „cofam pytanie!”, pozostawiając oziępiałego świadka z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami.

Gdy Amerykanin podszedł do dwóch skrytych w cieniu mężczyzn, Szakał natychmiast odwrócił głowę, ale mimo to jakaś starsza kobieta zdążyła zrobić serię zdjęć swoim miniaturowym aparatem fotograficznym. Superczuły film został już wywołany, a negatyw i odbitki znajdowały się w gabinecie Rodczenki, w teczce zatytułowanej „Bryce Ogilvie”.

Pod zdjęciem przedstawiającym amerykańskiego adwokata i najbardziej poszukiwanego terrorystę świata widniał podpis: „Obiekt podczas potajemnego spotkania z nie zidentyfikowanym do tej pory osobnikiem w cerkwi Wasyla Błogosławionego. Rozmowa trwała jedenaście minut i trzydzieści dwie sekundy. Zdjęcia przesłano do Paryża w związku z podejrzeniem, że nie zidentyfikowany mężczyzna może być poszukiwanym terrorystą Szakalem”.

Już wkrótce z Paryża nadejdzie odpowiedź wraz z kilkoma portretami pamięciowymi z Deuxieme Bureau i Surete: „Potwierdzamy. Widoczny na zdjęciach człowiek to z całą pewnością Szakal”.

Wręcz nieprawdopodobne! Tutaj, na radzieckiej ziemi!

Natomiast rozmowa z Carlosem przebiegła niezupełnie po myśli generała. Po krótkim, niezręcznym epizodzie z Amerykaninem, terrorysta zaczął znowu rzucać oskarżenia lodowatym, nieprzyjaznym tonem.

- Lada chwila cię zdemaskują!
- Kto taki?
- KGB.
- To ja jestem KGB!
- Być może się mylisz.

- W Komitecie nie dzieje się nic, o czym bym nie wiedział. Skąd masz tę informację?
- Z Paryża, z otoczenia Krupkina.

- Krupkin jest gotów uczynić wszystko, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę, łącznie z rozpowszechnianiem fałszywych informacji, nawet wtedy, kiedy dotyczą kogoś takiego jak ja. Szczerze mówiąc, ciągle stanowi dla mnie zagadkę. Umie w mgnieniu oka przeistoczyć się z bystrego, władającego kilkoma językami oficera wywiadu w bezmyślnego kłowna, który potrafi tylko podsuwać dziwki podróżującym przez Paryż ministrom. Uważam, że nie należy traktować go poważnie, szczególnie w tak istotnych sprawach.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Skontaktują się z tobą jutro, późnym wieczorem. Będziesz w domu?

- Nie, w restauracji Łastoczka, na późnej kolacji. Co chcesz robić przez cały dzień?
- Upewnić się, że masz rację. Powiedziawszy to, Szakal zniknął w tłumie.

W ciągu ponad dwudziestu czterech godzin, jakie minęły od tej chwili, Rodczenko nie otrzymał od niego żadnej informacji. Może psychopata przekonał się, że jego podejrzenia nie mają podstaw, i wrócił do Paryża, posłuszny wewnętrznemu nakazowi przemieszczania się z jednego krańca Europy na drugi po to, by zagłuszyć ogarniającą jego umysł panikę? Carlos także stanowił zagadkę. Część jego osobowości należała do prymitywnego sadysty, okrutnego zbrodniarza rozkoszującego się zadawanym cierpieniem i bólem, część zaś do chorego, zdiwaczałego romantyka, wiecznego dziecka dążącego uparcie do wyśnionego, nierealnego celu. Kto mógł z całą pewnością stwierdzić, kim był naprawdę? Coraz bardziej zbliżał się czas, kiedy te wątpliwości rozwiąże celny strzał w głowę terrorysty.

Rodczenko skinął na kelnera; zamówił jeszcze kawę i koniak, prawdziwy francuski koniak, zarezerwowany wyłącznie dla bohaterów rewolucji, a szczególnie dla tych, którym udało się ją przeżyć. Zamiast kelnera przy stoliku zjawił się kierownik lokalu z aparatem telefonicznym w ręku.

- Pilna rozmowa, towarzyszu generale - powiedział mężczyzna w zbyt luźnym, czarnym garniturze. Postawił aparat na stoliku i wsadził wtyczkę do gniazdka w ścianie. Rodczenko podziękował, a gdy kierownik odszedł, podniósł słuchawkę.

- Tak?
- Jesteś cały czas obserwowany - usłyszał głos Szakala.
- Przez kogo?
- Przez twoich ludzi.
- Nie wierzę.

- Chodziłem za tobą przez cały dzień. Mam ci powiedzieć, gdzie byłeś w ciągu ostatnich trzydziestu godzin? Najpierw kilka drinków w barze na Prospekcie Kalinina, potem kiosk na Arbacie, obiad, spacer na Łużnikach...

- Wystarczy! Gdzie jesteś?
- Wyjdź przed restaurację. Powoli, spokojnie, jakby nic się nie stało. Udowodnię ci.

Połączenie zostało przerwane.

Rodczenko odłożył słuchawkę i dał znak kelnerowi. Ten podszedł niemal natychmiast, co należało zawdzięczać nie tyle sprawowanej przez generała funkcji, co temu, że był on ostatnim gościem w restauracji. Stary żołnierz uregulował rachunek, powiedział dobranoc, po czym wyszedł z lokalu. Dochodziła pierwsza trzydzieści w nocy; jeśli nie liczyć kilku zataczających się pijaków, ulica była zupełnie pusta. W pewnej chwili po prawej stronie, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów, w świetle latarni pojawiła się samotna sylwetka. Był to Szakał, w dalszym ciągu ubrany w czarną sutannę. Skinął na generała, żeby szedł za nim, i ruszył powoli w kierunku ciemnobrązowego samochodu stojącego po drugiej stronie ulicy. Dotarł tam pierwszy i zatrzymał się przy pojeździe od strony krawężnika. Kilka sekund później stanął przy nim generał.

Szakał niespodziewanie zapalił latarkę i skierował silny strumień światła do wnętrza samochodu. Rodczenko na chwilę wstrzymał oddech, wpatrując się w wydobyty z ciemności, makabryczny widok. Siedzący za kierownicą agent KGB miał nienaturalnie odchyloną głowę i głęboko poderżnięte gardło; cały przód jego ubrania był przesiąknięty świeżą jeszcze krwią. Jego kolega, zajmujący miejsce pasażera, miał nogi i ręce związane cienkim drutem, a przez jego otwarte usta biegła poprowadzona dookoła głowy gruba lina, która uniemożliwiała wydanie jakiegokolwiek głośniejszego dźwięku. Żył jeszcze, wpatrując się w światło latarki wybałuszonymi z przerażenia oczami.

- Kierowca był szkolony w Nowogrodzie - odezwał się generał zdumiewająco opanowanym głosem.

- Wiem - odparł Carlos. - Mam jego dokumenty. Poziom szkolenia chyba już nie ten, co dawniej, towarzyszu.

- Ten drugi to człowiek Krupkina. Podobno syn jego przyjaciela.

- Teraz jest mój.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Rodczenko, spoglądając na Szakała.

- Naprawić błąd - powiedział Carlos, podnosząc pistolet i pakując jedną za drugą trzy kule w gardło generała.

Rozdział 37

Nocne niebo nad Moskwą zaciągnęło się ciemnymi burzowymi chmurami, które niosły zapowiedź deszczu, grzmotów i błyskawic. Ciemnobrązowy samochód pędził boczną drogą wśród pól porośniętych wybujałym zbożem; kierowca zaciskał dłonie na kierownicy, spoglądając od czasu do czasu na swego więźnia. Był nim młody mężczyzna o rękach i nogach skrępowanych cienkim, wrzynającym się głęboko w ciało drutem. Usta miał zakneblowane grubym powrozem i wytrzeszczone, przerażone oczy.

Na tylnym, przesiąkniętym krwią siedzeniu leżały zwłoki generała Grigorija Rodczenki i agenta KGB, absolwenta Nowogrodu. Nagle Szakal dostrzegł w ciemności to, czego szukał, i nie zdejmując nogi z gazu szarpnął raptownie kierownicą. Samochód wpadł z szurgotem opon w boczny poślizg, by po chwili znieruchomieć na polu wśród wysokiej trawy. Carlos wyskoczył z pojazdu, otworzył tylne drzwi i wyciągnął oba trupy na pole, kładąc je jeden na drugim, tak że w ziemię wsiąkała ich wymieszana krew.

Wróciwszy do samochodu, chwycił brutalnie młodego agenta za ubranie na piersi i wytaszczył go na zewnątrz, w drugiej dłoni ściskając rękojeść myśliwskiego noża.

- Czeka nas długa rozmowa - powiedział po rosyjsku. - Byłbyś idiotą, gdybyś chciał coś przede mną ukryć... Ale nie będziesz próbował. Jesteś zbyt młody, za miękki.

Rzucił młodego mężczyznę na ziemię, w wysoką trawę, a następnie wydobyl z kieszeni latarkę, oświetlił nią twarz agenta, przykleknął przy nim i zaczął powoli przysuwać czubek noża do jego oczu...

Ostatnie słowa zakrwawionego, umierającego w męczarniach człowieka zabrzmiały w uszach Iljicza Ramireza Sancheza niczym łoskot bębnow. Jason Bourne był w Moskwie! To musiał być on, sądząc z informacji zawartych w urywanych, nie dokończonych zdaniach, które beładnie wyrzucał z siebie młody agent w nadziei, że którymś z nich ocali życie. „Towarzysz Krupkin... Dwaj Amerykanie, jeden wysoki, drugi kulawy... Zawieźliśmy ich do hotelu, potem na Sadową, na spotkanie...”

Krupkin i znieawidzony Bourne dotarli do jego ludzi w Paryżu - w Paryżu, tym niemożliwym do zdobycia, ufortyfikowanym bastionie! - i wytropili go w Moskwie. W jaki sposób? Kto im... Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Teraz ważne było tylko to, że kameleon we własnej osobie zamieszkał w hotelu Metropol. Hotel Metropol! Jego śmiertelny wróg znajdował się zaledwie o godzinę drogi stąd, z pewnością pogrążony w spokojnym śnie, nieświadom tego, że Carlos już wie o jego przybyciu. Zabójca triumfował, bo oto udało mu się pokonać zarówno życie, co czynił już wielokrotnie, jak i śmierć. Lekarze mówili mu, że umiera, ale oni często się mylili i teraz właśnie nie mieli racji. Śmierć Jasona Bourne'a odnowi jego życie!

Ale pora nie była odpowiednia. Trzecia nad ranem to nie najlepsza godzina na uganie się w morderczych zamiarach po ulicach i hotelach Moskwy, najbardziej czujnego miasta na świecie. Tutaj wraz z nastaniem zmroku następuje wzmożenie środków ostrożności. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że część kelnerów i portierów w największych hotelach nosiła stale przy sobie broń, spełniając funkcje pracowników ochrony. Świt przynosił ze sobą osłabienie czujności, a poranny ruch dawał możliwość niepostrzeżalnego działania. Właśnie wtedy uderzy.

Natomiast trzecia nad ranem była wymarzoną porą na wykonanie innego ruchu, a właściwie wstępu do niego; nadszedł czas, żeby wezwać poddanych i ogłosić im, że oto ich

mesjasz, *monseigneur* z Paryża, przybył, żeby wreszcie ich uwolnić. Przed opuszczeniem Paryża przygotował sobie wszystkie potrzebne materiały; na pierwszy rzut oka wydawało się, że są to tylko czyste kartki papieru, ale wystarczyło skierować na nie promienie podczerwieni, by ujrzeć pojawiające się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki linijki maszynopisu. Na miejsce spotkania Szakał wybrał mały, opustoszały sklepik na ulicy Wawilowa. Zadzwoeni po kolei do wszystkich, zmieniając kilka razy automaty telefoniczne, i każe im stawić się tam o piątej trzydzieści, oczywiście z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Najdalej o szóstej trzydzieści powinno już być po wszystkim; każdy z jego wiernych poddanych będzie dysponował informacjami zapewniającymi mu - lub jej - awans do najwyższych kręgów moskiewskiej elity. Stanowili jeszcze jedną niewidzialną armię, znacznie mniejszą od tej działającej w Paryżu, ale równie groźną i oddaną dobroczyńcy, który obsypał ich swymi łaskami. A o siódmej trzydzieści będzie już czuwał na stanowisku, w hotelu Metropol, obserwując poranny ruch: biegających z tacami kelnerów, krzątanię pokojowych, przemykających od biura do biura urzędników. Tam właśnie rozprawi się ostatecznie z Jasonem Bourne'em.

Pojedynczo, niczym czujni, nocni spacerowicze, osiem osób, pięciu mężczyzn i trzy kobiety, docierało do obskurnego wejścia opustoszałego sklepu w bocznej uliczce Wawilowa. Ich ostrożność była całkowicie zrozumiała; znajdowali się w dzielnicy, od której należało raczej trzymać się z daleka, i to wcale nie z powodu niezbyt przyjaźnie nastawionych mieszkańców, tymi bowiem zajmowała się sprawnie moskiewska milicja, ale dlatego, że ten stary, zaniedbany rejon stolicy był właśnie gruntownie odnawiany. Jednak, jak to się zwykle dzieje przy takich okazjach na całym świecie, praca odbywała się wyłącznie na dwa tempa: wolne i żadne. Jedynym udogodnieniem było to, że jeszcze nie odcięto elektryczności, a Carlos potrafił wykorzystać ten fakt na swoją korzyść.

Stał w głębi pustego, betonowego pomieszczenia, za plecami na podłodze miał zapaloną lampę. Wchodzący widzieli więc tylko jego sylwetkę, nie mogli w żaden sposób dostrzec twarzy, którą skrywał dodatkowo uniesiony kołnierz czarnej marynarki. Po jego prawej stronie stał zniszczony drewniany stół, na którym położył przywiezione z Paryża akta, a po lewej, przykryty stosem starych czasopism, pistolet maszynowy AK-47 z przyciętą lufą i magazynkiem zawierającym czterdzieści pocisków. Drugi, identyczny magazynek, Carlos miał wetknięty za pasek. Wziął ze sobą broń wyłącznie z przyzwyczajenia, gdyż nie spodziewał się najmniejszych trudności, tylko wyrazów hołdu i uwielbienia.

Przyglądał się swojej publiczności; cała ósemka spoglądała na siebie z niepokojem. Nikt nic nie mówił, a w wilgotnym, dziwacznie oświetlonym pomieszczeniu wyraźnie czuć było narastające napięcie. Carlos wiedział, że musi rozproszyć ten lęk tak szybko, jak to tylko możliwe, i dlatego właśnie wcześniej przygotował osiem mniej lub bardziej zdezastrowanych krzeseł, znalezionych w pokojach biurowych na zapleczu sklepu. Człowiek, który siedzi, staje się bardziej odprężony; był to truizm, lecz mimo to krzesła stały puste.

- Dziękuję, że przyszliście tutaj o tak wczesnej porze - odezwał się Szakał po rosyjsku. - Proszę, zajmijcie miejsca. Nasze spotkanie nie potrwa długo, ale będzie wymagało wielkiego skupienia... Zamknijcie drzwi, towarzyszu. Wszyscy już są.

Jeden z mężczyzn, sztywno poruszający się urzędnik, zamknął ciężkie, skrzypiące drzwi, a wszyscy usiedli na krzesłach, starając się odsunąć możliwie daleko od sąsiadów. Carlos zaczekał, aż ustaną odgłosy szurania i przestawiania zdezastrowanych mebli, a następnie, niczym doświadczony orator, przedłużył nieco chwilę milczenia, wpatrując się po kolei swymi czarnymi oczami w każdą z ośmiu osób, jakby dając jej do zrozumienia, że to, co za chwilę powie, jest przeznaczone przede wszystkim dla niej, nie dla kogo innego. Niemal wszystkie kobiety zareagowały niepewnymi ruchami dłoni, wyglądając zakłopotane i spódnice

stanowiące charakterystyczny element stroju urzędniczek na dość wysokich stanowiskach rządowych; materiał i krój były raczej kiepskie, ale same ubrania czyste i starannie wyprasowane.

- Jestem *monseigneur*em z Paryża - zwrócił się do zebranych zabójca w sutannie. - To ja poświęciłem wiele lat na to, żeby was wszystkich wyszukać, przy pomocy towarzyszy w Moskwie i poza nią, i przysyłałem wam duże sumy pieniędzy, żądając w zamian tylko tego, żebyście byli lojalni i czekali na moje przybycie... Widzę po waszych twarzach, jakie chcecie mi zadać pytania, więc pozwólcie, że je uprzedzę. Przed laty należałem do tych nielicznych, którzy zostali wybrani do przeszkolenia w Nowogrodzie. - Reakcja ośmiorga słuchaczy nie była głośna, ale wyraźna. Oto mit Nowogrodu zyskał potwierdzenie; z tego, co wiedzieli, był to ośrodek indoktrynacji przeznaczony dla najlepiej zapowiadających się towarzyszy, ale na tym kończyła się wiedza, a zaczynały plotki i domysły. Carlos skinął głową, jakby potwierdzając wagę informacji, po czym ciągnął dalej:

- Od tamtego czasu spędziłem wiele lat w różnych krajach, propagując idee radzieckiej rewolucji. Często bywałem w Moskwie i przyglądałem się uważnie działalności centralnych urzędów, w których każde z was pełni ważną funkcję. - Umilkł na chwilę, by odezwać się ostrzejszym, donośnym głosem: - Ważną, ale pozbawioną znaczenia, które wam się należy! Wasze umiejętności i zdolności pozostają nie docenione, bo nad wami, na górze, siedzą głupie, drewniane kołki!

Tym razem reakcję osób zgromadzonych w pomieszczeniu słyhać było wyraźniej; nie ulegało żadnej wątpliwości, że napięcie znacznie się zmniejszyło.

- W porównaniu z naszymi przeciwnikami my tutaj, w Moskwie, jesteście znacznie opóźnieni - mówił dalej Carlos - a to dlatego, że wasze talenty były i są tłumione przez stetryczających karierowiczów, którzy bardziej troszczą się o swoje przywileje niż o prawidłowe działanie urzędów, którymi kierują!

Odpowiedział mu niemal aplauz, w którym prym wiodły wszystkie trzy kobiety.

- Właśnie dlatego ja i współpracujący ze mną towarzysze postanowiliśmy was wyszukać i dlatego przekazywałem wam znaczne sumy pieniędzy, odpowiadające skali przywilejów, z jakich korzystają wasi zwierzchnicy. Dlaczego wy macie być ich pozbawieni?

Pomieszczenie wypełniła fala aprobujących pomruków. Do Szakala dolatywały drobne fragmenty: „Właśnie... Czemu nie... Ma rację...”. Następnie Carlos zaczął wyliczać resorty, w których pracowali wezwani przez niego ludzie. Po każdej nazwie następowało coraz bardziej energiczne kiwanie głowami, a fala pomruków podnosiła się na nowo.

- Departament Transportu... Informacji... Finansów... Handlu Zagranicznego... Sprawiedliwości... Obrony... Nauki i Techniki... Wreszcie, wcale nie najmniej ważne, Zaopatrzenia. Tam właśnie działacie, ale jesteście po zbawieniu prawa podejmowania jakichkolwiek ważnych decyzji. Nie można na to dłużej pozwalać! Konieczne są zmiany!

Słuchacze jak na komendę poderwali się z krzesel; nie byli już obcymi ludźmi, bo zjednoczyła ich wspólna sprawa. Jako pierwszy odezwał się roztropny urzędnik, ten sam, który zamknął drzwi.

- Wygląda na to, że dobrze orientuje się pan w naszej sytuacji, ale co może ją zmienić? - zapytał ostrożnie.

- To! - wykrzyknął Carlos, wskazując dramatycznym gestem teczkę leżącą na stole. Ośmioro podopiecznych Szakala usiadło ponownie, spoglądając niepewnie po sobie. - Na tym stole widzicie ściśle tajne materiały dotyczące waszych przełożonych ze wszystkich ośmiu departamentów. Sama groźba ujawnienia tego rodzaju informacji sprawi, że zostaniecie natychmiast awansowani, w wielu wypadkach bez wątplenia na stanowiska zajmowane dotychczas przez waszych szefów. Nie będą mieli wyboru, bo te teczki będą jak ostrza przyłożone im do gardeł - gdybyście zechcieli zrobić użytek ze swojej wiedzy, w najlepszym wypadku wszyscy wylecieliby z hukiem ze stanowisk, kto wie czy nie prosto przed pluton

egzekucyjny!

- Przepraszam, czy można? - zapytała, wstając z miejsca, kobieta w średnim wieku, ubrana w skromną, ale schludną niebieską sukienkę. Miała jasne, lekko siwiejące włosy, zebrane w ciasny kok. Poprawiła go odruchowo dłonią. - Zajmuję się prowadzeniem kartoteki akt personalnych... i często odkrywam w nich różne błędy. Skąd pan wie, czy te materiały zawierają prawdziwe informacje? Gdyby okazało się, że jest inaczej, znaleźlibyśmy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, prawda?

- Sam fakt, że kwestionuje pani ich autentyczność, stanowi dla mnie obelgę, *madame* - odparł Szkał lodowatym tonem. - Jestem waszym *monseigneur*em z Paryża. Przedstawiłem wam dokładnie waszą obecną sytuację i równie dokładnie opisałem nieudolność przełożonych. Co więcej, przez ostatnie lata zarówno ja, jak i moi współpracownicy zadawaliśmy sobie wiele trudu, ponosiliśmy ryzyko, nie mówiąc już o nadzwyczajnych kosztach, żeby dostarczać wam znacznych środków...

- Jeżeli o mnie chodzi - przerwał mu chudy mężczyzna w okularach i w brązowym garniturze - to bardzo sobie cenię pieniądze... Wpłaciłem swoje na nasz wspólny fundusz i spodziewam się pewnego zysku... Ale co ma wspólnego jedno z drugim? Żeby uniknąć konieczności wdawania się w zawile tłumaczenia, wyjaśnię od razu, że pracuję w Departamencie Finansów.

- Jesteś równie dobry, jak ten cały twój sparaliżowany departament! - parsknął otyły człowiek o byczym karku ubrany w przyciasny garnitur. - Ośmielam się wątpić, czy wy w ogóle wiecie, na czym polega godziwy zysk. Jestem z zaopatrzenia armii; zawsze obcinaliście nam fundusze.

- To samo z dotacjami na badania naukowe! - wykrzyknął niski mężczyzna o wyglądzie profesora. Jego krzywo przyszyżoną brodę można było złożyć na karb słabego wzroku, gdyż mężczyzna nosił grube okulary. - Spodziewa się pewnego zysku, dobre sobie! A na co chciałbyś go przeznaczyć, co?

- Na pewno nie na was, niedouczeni naukowcy! Lepiej kraść pomysły z Zachodu, niż inwestować w wasze niewydarzone badania.

- Przestańcie! - ryknął Szkał, rozkładając ramiona jak prorok. - Nie zebraliśmy się tu po to, żeby dyskutować o międzyresortowych konfliktach, bo te znikną, kiedy powstanie nowa elita władzy. Pamiętajcie, że jestem *monseigneur*em z Paryża i że mamy wspólnie zaprowadzić porządek w naszym porewolucyjnym świecie. Precz z błogim samozadowoleniem!

- To wspaniała wizja - odezwała się druga kobieta, najwyżej trzydziestokilkuletnia, w spódnicy z drogiego, zagranicznego materiału. Wszyscy pozostali znali jej twarz z ekranu telewizora, gdyż była popularną prezenterką programów informacyjnych. - Czy moglibyśmy jednak wrócić do problemu autentyczności tych dokumentów?

- Nie ma co do niej żadnych wątpliwości - odparł Szkał, spoglądając po kolei w każdą z ośmiu par oczu. - Gdyby było inaczej, skąd wiedziałbym wszystko o was?

- Z całą pewnością jest tak, jak pan mówi - powiedziała spikerka. - Ale jako dziennikarka mam zwyczaj szukać drugiego źródła, w którym mogłabym potwierdzić wiadomość, chyba że otrzymam inne wytyczne z Departamentu Informacji. Pan nie jest z departamentu, czy mógłby więc pan podać przynajmniej dwa źródła tych informacji? Oczywiście wszystko zostanie między nami.

- Czy mam być atakowany przez współpracujących z reżimem dziennikarzy, choć mówię prawdę? - zapytał gniewnie terrorysta. - Bo to wszystko jest prawda, i wy dobrze o tym wiecie!

- Zbrodnie popełnione przez Stalina, choć także prawdziwe, przez trzydzieści lat były głęboko zakopane wraz z dwudziestoma milionami ciał.

- Chcecie dowodu? Więc go wam dam, proszę bardzo! Otóż tym dowodem są oczy i

uszy jednego z szefów KGB, samego wielkiego generała Grigorija Rodczenki. A jeżeli chcecie wiedzieć więcej, to powiem wam, że jest to człowiek bezgranicznie mi oddany, bo również dla niego jestem *monseigneur*em z Paryża!

- Może pan być, kim pan zechce, ale zdaje się, że nie słucha pan nocnego programu Radia Moskwa - zauważyła dziennikarka. - Godzinę temu poinformowano, że generał Rodczenko został zastrzelony przez zagranicznych przestępców... Zwołano specjalne posiedzenie wszystkich wyższych oficerów Komitetu w celu rozpatrzenia okoliczności związanych ze śmiercią generała. Krążą plotki, że tak doświadczony fachowiec jak Rodczenko musiał mieć jakiś specjalny powód, żeby dać się zwabić w pułapkę.

- Zaczną się przekopywać przez jego prywatne archiwum – odezwał się ponownie bystry urzędnik, sztywno podnosząc się z miejsca. – Wezmą wszystko pod mikroskop, szukając tych specjalnych powodów. – Spojrzał prosto w twarz zabójcy w sutannie. - Być może trafią na pana i na pańskie materiały.

- Nie! - parsknął wściekle Szakał. Na jego wysokim czole pojawiły się kropelki potu. - Nigdy! To niemożliwe. To są jedyne istniejące egzemplarze, nie ma żadnych kopii!

- Jeżeli pan w to wierzy, księżo, to znaczy, że nie zna pan KGB - zauważył otyły mężczyzna z działu zaopatrzenia armii.

- Nie znam?! - ryknął Carlos, przyciskając z całej siły do ciała lewą rękę, w której pojawiło się niemożliwe do opanowania drżenie. - Znam je na wylot, wszystkie jego tajemnice! Mam tomy dokumentów dotyczących wszystkich ważnych osobistości na świecie, wszystkich przywódców i liczących się polityków! Mam informatorów wszędzie, w każdym kraju!

- Ale nie ma pan już Rodczenki. - Otyły mężczyzna także wstał z krzesła. - A w dodatku odniosłem wrażenie, że wcale pana nie zaskoczyła ta wiadomość.

- Co takiego?

- Pierwszą rzeczą, jaką robi codziennie większość z nas, a może nawet wszyscy, jest włączenie radia. Najczęściej słyszymy w kółko te same głupoty, ale jest w nich coś uspokajającego. Wszyscy wiedzieliśmy o śmierci Rodczenki... Wszyscy z wyjątkiem ciebie, księżo, a kiedy powiedziała ci o tym nasza dama z telewizji, nie byłeś wcale zaskoczony, nawet się nie zdziwiłeś...

- Oczywiście, że byłem zaskoczony! - wykrzyknął Szakał. - Nie rozumiecie, że po prostu zawsze potrafię się opanować? Właśnie dlatego potrzebują mnie i ufają mi wszyscy przywódcy światowego marksizmu.

- To już przestało być modne - mruknęła kobieta z uczesanymi w kok włosami. Ona również wstała z miejsca.

- Co pani powiedziała? - Głos Carlosa zamienił się w ochrypy, donośny szept. - Jestem *monseigneur*em z Paryża. Niczego w zamian nie żądając, zapewniłem wam spokojne, dostatnie życie, czyli znacznie więcej, niż moglibyście oczekiwać, a wy teraz ośmielacie się wątpić w moje słowa? Skąd bym wiedział o tym, co wiem, skąd miałbym te informacje, które teraz chcę wam przekazać, gdybym nie należał do najważniejszych ludzi w Moskwie?! Nie zapominajcie o tym, kim jestem!

- Właśnie o to chodzi, że nie wiemy, kim pan jest! - odparł jeden z tych mężczyzn, którzy do tej pory nie zabierali głosu. Również jego garnitur był czysty i starannie wyprasowany, ale uszyto go znacznie lepiej niż pozostałe. Także twarz mężczyzny różniła się od innych: była nieco bledsza, a oczy bardziej myślące. Mówiąc, zdawał się starannie dobierać każde słowo. - Wie my tylko tyle, że każe pan zwracać się do siebie jak do osoby duchownej, bo jak dotąd nie ujawnił nam pan swojej tożsamości i zdaje się, że nie ma pan najmniejszego zamiaru tego uczynić. Co do tych pana rzekomych rewelacji, to identyczne zarzuty przeciw zwierzchnikom mógłby pan usłyszeć dokładnie w każdym departamencie i centralnym urzędzie tego kraju. Nie usłyszeliśmy nic nowego, więc...

- Jak śmiesz?! ryknął Szakal. Na szyi wystąpiły mu nabrzmiące, pulsujące żyły. - Kim jesteś, że ośmielasz się mówić do mnie w ten sposób? Do mnie, *monseigneur* z Paryża, prawdziwego syna rewolucji!

- Jestem sędzią, pracującym w Departamencie Sprawiedliwości, towarzyszu *monseigneur*, i zarazem znacznie młodszym produktem tejże rewolucji. Być może nie znam szefów KGB, którzy, jak pan twierdzi, są pańskimi po plecownikami, ale znam kary, na jakie się narazimy, biorąc sprawy we własne ręce, zamiast donieść o wszelkich nieprawidłowościach w pracy naszych zwierzchników powołanym do tego organom. Te kary są na tyle surowe, że zawahałbym się, czy podjąć jakiegokolwiek kroki, dysponując zaledwie czyimiś nie potwierdzonymi nigdzie zarzutami. Wcale niewykluczone, że są to jedynie wymysły sfrustrowanych urzędników zajmujących stanowiska znacznie niższe od naszych... Szczerze mówiąc, te materiały wcale mnie nie interesują. Wolę ich nawet nie widzieć, żeby potem nie być zmuszonym do składania zeznań, które mogłyby niekorzystnie wpłynąć na dalszy przebieg mojej kariery.

- Jesteś tylko nędznym, nic nie znaczącym prawnikiem! - wrzasnął morderca w sutannie, kurczowo zaciskając pięści. - Wy wiecie, jak przewracać wszystko na drugą stronę! Jesteście jak chorągiewki na wietrze!

- Ładnie powiedziane - zauważył z uśmiechem sędzia. - Tyle tylko, że nie pan to wymyślił.

- Nie zniosę dłużej tej niewybaczalnej bezczelności!

- Nie musicie, towarzyszu księżo, bo już wychodzę i radzę zrobić to samo wszystkim pozostałym.

- Ty śmiesz...

- Oczywiście, że tak - przerwał mu pracownik Departamentu Sprawiedliwości i dodał żartobliwie: - Niewykluczone, że musiałbym sam siebie oskarżać, a jestem w tym zbyt dobry.

- Pieniądze! - wyskrzeczwał Carlos. - Dałem wam setki, tysiące dolarów!

- A gdzie dowody? - zapytał z niewinną miną prawnik. - Pan sam zatroszczył się o to, żeby żadnych nie było. Zwyczajne, szare koperty, które znajdowaliśmy w skrzynkach na listy lub szufladach biurka... Czy myśli pan, że ktoś przyzna się, że je tam podkładał? Na pewno nie, bo to z daleka pach nie Łubianką. Żegnam, towarzyszu *monseigneur*.

Sędzia odstawił krzesło pod ścianę i ruszył w kierunku drzwi.

Jedna za drugą czyniły to również pozostałe osoby. Każdy, nim się odwrócił do wyjścia, obrzucał dłuższym lub krótszym spojrzeniem tajemniczego człowieka, który w tak niezwykle sposób naruszył ich spokój. Wszyscy zdawali się przeczuwać, że jego życie nie potrwa już długo, a zakończą je gwałtowne, straszne wydarzenia.

Ale z pewnością nikt nie był przygotowany na to, co się stało. Zabójca w sutannie nagle wyprostował się, jakby dźgnięty nożem, jego oczy zapłonęły szaleńczym ogniem, który ugasić mogła tylko brutalna, okrutna zemsta na niedowiarkach, ośmielających się podawać w wątpliwość szczerą intencję. Szakal jednym gwałtownym ruchem zmiótł ze stołu wzgardzone dokumenty, po czym rzucił się w lewo, do stosu starych czasopism, i wyszarpnął spod niego pistolet maszynowy.

- Stójcie! - ryknął. - Wszyscy stójcie!

Nikt jednak nie posłuchał; tego już było dla niego za wiele. Pękła wąż tama powstrzymująca napór szalonej nienawiści i morderca nacisnął spust. Pomieszczenie wypełnił grzechot strzelającej ogniem ciągłym broni, świst rykoszetujących od ścian pocisków i przeraźliwe krzyki konających ludzi. Carlos rzucił się do drzwi, ani na chwilę nie przestając naciskać spustu, i wybiegł na ulicę, kosząc bezlitośnie tych, którzy zdążyli się tam wydostać.

- Zdrajcy! Śmiecie! - ryczał wściekle, przeskakując w biegu ciała zabitych ludzi. Potem wskoczył do samochodu odebranego wcześniej agentom KGB, uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon z miejsca. Skończyła się noc. Powoli wstawał nowy dzień.

Telefon nie zadzwonił, tylko dosłownie wybuchnął przeraźliwym terkotem. Aleks Conklin raptownie poderwał głowę z poduszki i otrząsając z powiek resztki snu, sięgnął do stojącego na nocnym stoliku aparatu.

- Słucham - powiedział, nie mając wcale pewności, czy przypadkiem nie trzyma na odwrót słuchawki.

- Aleksiej, uważaj! Nie wpuszczajcie nikogo do pokoju i miejcie broń w pogotowiu!

- Krupkin...? O czym ty mówisz, do cholery?

- Wściekły pies szaleje po Moskwie. - Carlos?

- Kompletnie zwariował. Zabił Rodczenkę i dwóch naszych agentów, którzy go śledzili. O czwartej rano pewien chłop znalazł ich ciała na polu - zdaje się, że obudziło go szczekanie psów, które zwietrzyły świeżą krew,

- Boże, on rzeczywiście oszalał... Ale dlaczego myślisz, że...

- Jeden z agentów był torturowany, nim zginął - wpadł mu w słowo Krupkin, uprzedzając pytanie. - To on wiozł nas z lotniska do hotelu. Był synem mojego dobrego kolegi ze studiów - porządny młody człowiek, ale zupełnie nie przygotowany na to, co go spotkało.

- Sugerujesz, że mógł powiedzieć Carlosowi o naszym przyjeździe?

- Tak... Ale to jeszcze nie wszystko. Mniej więcej godzinę temu na ulicy Wawilowa osiem osób zginęło od kul pistoletu maszynowego. Mówię ci, prawdziwa masakra. Jedna z kobiet, dziennikarka telewizyjna, zdążyła wyszeptać przed śmiercią, że zabójcą był człowiek w sutannie, który przyjechał z Paryża i kazał się tytułować *monseigneur*.

- Boże! - wykrzyknął Conklin, siadając na krawędzi łóżka i wpatrując się z osłupieniem w kikut swojej prawej stopy. - To była jego kadra...

- Rzeczywiście, była - zgodził się Krupkin. - Nie wiem, czy pamiętasz, ale wspomniałem ci kiedyś, że opuszczą go przy pierwszej okazji.

- Muszę zawiadomić Jasona...

- Zaczekaj! Posłuchaj, Aleksiej...

- Tak? - Conklin sięgnął po protezę, przyciskając słuchawkę brodą dopiersi.

- Utworzyliśmy specjalny oddział, kobiety i mężczyźni, wszyscy w cywilu i uzbrojeni. Właśnie otrzymują dokładne instrukcje i wkrótce powinni tam być.

- Dobry pomysł.

- Ale nie zaalarmowaliśmy ani obsługi hotelu, ani milicji.

- Bylibyście idiotami - odparł Aleks. - Musimy go tutaj załatwić, a gdyby zobaczył ludzi w mundurach i rozhisteryzowane pokojówki, na pewno zacząłby się gdzie indziej.

- Róbcie, co powiedziałem - polecił oficer KGB. - Nikogo nie wpuszczajcie, trzymajcie się z dala od okien i zachowajcie wszystkie środki ostrożności.

- Oczywiście... Jak to, z dala od okien? Przecież będzie potrzebował sporo czasu, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy. Zacznie pewnie od kelnerów i sprzątaczek...

- Wybacz mi, stary przyjacielu - przerwał mu Krupkin - ale czy wyobrażasz sobie tutaj, w Moskwie, księdza wypytującego w hotelu o dwóch Amerykanów, jednego wysokiego, a drugiego utykającego na prawą nogę?

- Dobre pytanie, choć trąci paranoją.

- Macie pokój na wysokim piętrze, a po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko waszych okien, jest dach biurowca.

- Muszę przyznać, że szybko myślisz.

- Na pewno szybciej niż ten dureń na placu Dzierżyńskiego. Zawiadomiłbym was dużo wcześniej, gdyby nie to, że mój wspaniały komisarz zadzwonił do mnie raptem dwie minuty temu.

- Obudzę Bourne'a.

- Bądź ostrożny.

Conklin nie usłyszał już rady Krupkina, bo odłożył słuchawkę i pośpiesznie założył protezę, zapinając byle jak podtrzymujące ją paski. Następnie wysunął szufladę stolika i wyjął z niej pistolet typu graż buria wraz z trzema zapasowymi magazynkami, broń skonstruowaną i produkowaną specjalnie dla KGB. Był to jedyny na świecie wytwarzany seryjnie pistolet automatyczny, do którego można było stosować tłumik. Aleks przykręcił do krótkiej lufy smukły cylinder, a następnie wciągnął spodnie, wcisnął pistolet za pas i silnie utykając, wszedł do saloniku, gdzie ujrzał całkowicie ubranego Jasona, który stał przy oknie i wyglądał na ulicę.

- Przypuszczam, że dzwonił Krupkin - powiedział Bourne.

- Zgadza się. Odejdź od okna.

- Carlos? - zapytał szybko Jason, odsuwając się od szyby. - Wie, że jesteśmy w Moskwie? Wie, gdzie jesteśmy?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi „najprawdopodobniej tak” – odparł Conklin, po czym powtórzył w skrócie to, co usłyszał od Krupkina. – Co o tym myślisz? - spytał, kiedy zakończył relację.

- Rozsypał się - powiedział cicho Jason. - To musiało się kiedyś stać. Bomba, którą miał w głowie, wreszcie wybuchła.

- Ja też tak uważam. Jego moskiewska armia okazała się tylko mitem. Pewnie kazali mu się wypchać i wtedy nie wytrzymał.

- Żałuję, że tylu ludzi straciło życie, i na pewno wolałbym, żeby wszystko odbyło się w inny sposób, ale nie będę udawał, że mi szkoda Carlosa. On chciał, żebym to ja stracił zmysły.

- Kruppie uważa, że Szakala opanowała psychopatyczna żądza rozprawienia się z ludźmi, którzy pierwsi poznali się na jego szaleństwie - powiedział Aleks. - Teraz, kiedy już wie, że tu jesteś, a musimy przyjąć, że wie, będzie chciał przede wszystkim zabić ciebie. Wie, że później sam zginie, ale twoja śmierć ma być czymś w rodzaju symbolicznego spełnienia.

- Zdaje się, że za często rozmawiałeś z Panovem... Właśnie, ciekawe, jak sobie radzi.

- Mogę zaspokoić twoją ciekawość. Zadzwoiłem do Paryża o trzeciej w nocy - tam była wtedy piąta rano. Może stracić władzę w lewej ręce i częściowo w prawej nodze, ale wygląda na to, że się wyliże.

- Gównu mnie obchodzą jego ręce i nogi! Co z głową?

- Prawdopodobnie w porządku. Pielęgniarka oddziałowa skarżyła się, że jest okropnym pacjentem.

- Dzięki Bogu!

- Zawsze wydawało mi się, że jesteś agnostykiem.

- To symboliczne wyrażenie. Skonsultuj się z Mo, on ci wytłumaczy. - Jason dopiero teraz zauważył pistolet za paskiem Aleksa. - Nie sądzisz, że to może za bardzo rzucać się w oczy?

- Komu?

- Na przykład obsłudze - odparł Bourne. - Zadzwoiłem po coś do jedzenia i duży dzbanek kawy.

- Nic z tego. Krupkin kazał nam nikogo nie wpuszczać, a ja dałem mu słowo.

- To trąci paranoją...

- Też tak uważam, ale jesteśmy na jego terenie. Okna to również jego pomysł.

- Zaczekaj! - wykrzyknął Bourne. - A jeśli ma rację?

- Mało prawdopodobne, chociaż niewykluczone. Tyle tylko, że... - Aleks nie dokończył, bo Jason wyszarpnął spod marynarki swój egzemplarz graza i ruszył w kierunku drzwi apartamentu.

- Co robisz? - wykrzyknął Conklin.

- Chyba zbyt ufam przeczuciom twojego przyjaciela, ale może warto zaryzykować...

Stań tam - polecił Bourne, wskazując przeciwny kąt pokoju. - Drzwi będą otwarte, a kiedy kelner zapuka, powiedz mu po rosyjsku, żeby wszedł.

- A gdzie ty będziesz?

- We wnęce na korytarzu jest automat z lodami. Oczywiście nie działa, a obok stoi automat z pepsi, naturalnie też zepsuty. Jest tam jeszcze dość miejsca, żeby się schować.

- Dzięki Ci, Boże, że stworzyłeś kapitalistów, choć potem skierowałeś ich na błędną ścieżkę! Ruszaj!

Delta uchylił drzwi, wysunął ostrożnie głowę, rozejrzał się w obie strony, po czym wypadł na korytarz i popędził do głębokiej wnęki, gdzie stały dwie nieczynne maszyny. Wślizgnął się między bok jednej z nich a ścianę i lekko przykucnąwszy, zamarł w oczekiwaniu, czując, jak błyskawicznie drętwieją mu nogi, a w kolanach i napiętych mięśniach rodzą się ogniska dokuczliwego bólu; jeszcze kilka lat temu nie doświadczał żadnych nieprzyjemnych dolegliwości tego rodzaju. Na szczęście po niezbyt długim czasie usłyszał szelest kół toczących się po dywanowej wykładzinie. Szmer narastał coraz bardziej, aż wreszcie jego oczom ukazał się pchany przez kelnera wózek, nakryty długą, sięgającą niemal do podłogi serwetą. Bourne przyjrzał się uważnie kelnerowi, kiedy ten stanął przed drzwiami apartamentu; miał najwyżej dwadzieścia lat, był jasnowłosy, dość niski, poruszał się z wystudiowaną, typową w tym zawodzie uniżonością. Zapukał nieśmiało do drzwi. Żaden z niego Carlos, pomyślał Bourne, podnosząc się z niewygodnej pozycji. Usłyszał przytłumiony głos Conklina, zezwalający kelnerowi na wejście; kiedy chłopak otworzył drzwi i zaczął pchać wózek do wnętrza, Jason schował pistolet pod marynarkę i nachylił się, żeby rozmasować zdrętwiałe mięśnie łydki.

Wszystko, co nastąpiło potem, miało szybkość spienionej fali rozbijającej się o urwisty brzeg. Ubrana na czarno postać wypadła zza załomu korytarza i runęła w kierunku wejścia do apartamentu, mijając wnękę z maszynami. Bourne przypadł do ściany; to był Szakal!

Rozdział 38

Szaleństwo! Rozpędzony Carlos uderzył prawym ramieniem w kelnera, odrzucając chłopaka na bok i przewracając na podłogę zastawiony stolik; potrawy i napoje wylądowały na ścianie i pokrytej dywanową wykładziną podłodze. Niespodziewanie kelner odepchnął się od ściany korytarza i w półobrocie wyszarpnął zza paska pistolet; Szakał albo wyczuł ten ruch, albo dostrzegł go kątem oka, bo odwrócił się gwałtownie i posłał z biodra krótką serię. Pociski rzuciły młodego Rosjanina z powrotem na ścianę, rozrywając jego pierś i głowę. W tej okropnej, jakby zawieszanej w wieczności chwili, muszka na lufie broni Jasona zahaczyła o pasek spodni. Szarpnął z całej siły, uwalniając pistolet wraz ze strzępem materiału, i w tym samym ułamku sekundy poczuł na sobie triumfujący, szalony wzrok mordercy.

Ledwie Bourne zdołał skulić się w szczelinie między ścianą niszy a bokiem maszyny z pepsi-colą, a Szakał już ponownie nacisnął spust i grad kul posypał się na oba automaty, przebijając aluminiowe ścianki i tłukąc w drobny mak frontowe szyby. Jason przeturlał się po podłodze pod przeciwną ścianę korytarza, naciskając spust tak szybko, jak tylko było możliwe. Odpowiedziały mu strzały, ale nie z broni maszynowej! Aleks zaczął strzelać z wnętrza apartamentu! Wzięli Carlosa w krzyżowy ogień! A więc to było możliwe, wszystko mogło się skończyć tutaj, w hotelowym korytarzu w Moskwie! Boże, spraw, żeby tak się stało!

Szakał wrzasnął; był to rozpaczliwy ryk trafionego zwierzęcia. Bourne rzucił się z powrotem do niszy, przez ułamek sekundy zdekoncentrowany odgłosami dobiegającymi z działającego ni stąd, ni zowąd automatu z lodami. Wepchnąwszy się w ciasną szczelinę, zaczął wysuwać ostrożnie głowę poza chroniący go załom ściany, ale właśnie w tej chwili na korytarzu rozpętało się istne piekło. Niczym wściekłe, osaczone zwierzę Carlos kręcił się z zawrotną szybkością dookoła własnej osi, zaciskając cały czas palec na spuście pistoletu, jakby starał się odepchnąć ulewą pocisków niewidoczne, napierające zewsząd na niego ściany. Z drugiego końca korytarza dobiegły dwa przeraźliwe krzyki, męski i kobiecy; jakaś para została ranna lub zabita jedną z wystrzelianych na oślep serii.

- Padnij! - ryknął z wnętrza apartamentu Conklin. - Kryj się! Pod ścianę!

Bourne posłuchał instynktownie, nie rozumiejąc dlaczego, wiedział tylko tyle, że ma się skulić w kłębek i osłonić głowę. Za róg! W chwili, kiedy tam się rzucił, ścianami zakołysała pierwsza eksplozja, a zaraz potem druga, znacznie głośniejsza, w samym korytarzu. Granaty!

Dym mieszał się z opadającym tynkiem i potrzaskanym szkłem. Strzały! Dziewięć, jeden po drugim... Graż buria! Aleks! Jason poderwał się z podłogi i wypadł zza zakrętu korytarza. Conklin stał w drzwiach apartamentu przy przewróconym stoliku; wyrzucił pusty magazynek, a teraz rozpaczliwie przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu następnego.

- Nie mam! - krzyknął z gniewem na widok Bourne'a. - Uciekł za róg, w następny korytarz, a ja nie mam czym strzelać!

- Za to ja mam, a w dodatku jestem szybszy od ciebie - odparł Jason, zmieniając magazynek w swoim pistolecie. - Wracaj do pokoju i zadzwoń na dół. Powiedz im, żeby usunęli wszystkich ludzi.

- Krupkin kazał...

- Nic mnie nie obchodzi, co kazał! Powiedz, żeby unieruchomili windy, zabarykadowali schody i trzymali się z daleka od tego piętra.

- Rozumiem, ale...

- Zrób to!

Bourne popędził przed siebie korytarzem. Kiedy dotarł do leżącej na podłodze pary,

dostrzegł, że mężczyzna i kobieta jednak się poruszają, choć obydwójce byli ranni.

- Sprowadź pomoc! - krzyknął przez ramię do Aleksa, który kuśtykając, przeciskał się właśnie obok przewróconego stolika. - Oni żyją! Niech idą tymi schodami! - dodał, wskazując na oznaczone zieloną strzałką drzwi: po przeciwnej stronie korytarza. - Tylko tymi, rozumiesz?

Rozpoczęło się polowanie, znacznie utrudnione przez fakt, że wiadomość o strzelaniu na dziewiątym piętrze rozeszła się po niemal całym hotelu. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby zobaczyć za zamkniętymi drzwiami przerażonych odgłosem bliskiej kanonady ludzi, nakręcających rozpaczliwie numer recepcji i wzywających pomocy. Szanse na dyskretne użycie przebranej w cywilne ubrania grupy operacyjnej zniknęły w chwili, gdy Carlos po raz pierwszy nacisnął spust pistoletu.

Gdzie mógł teraz być? Na drugim końcu długiego korytarza znajdowały się jeszcze jedne schody, ale idąc w ich kierunku, mijało się co najmniej piętnaście drzwi do pokoi. Carlos nie był głupcem; zraniony wykorzysta każdą taktykę, jaką zdażył wypróbować podczas trwającej już kilka dziesiątków lat walki o przetrwanie, zrobi wszystko, żeby zabić tego, na którego śmierci zależało mu bardziej niż na własnym życiu. Potem może już zginąć... Bourne uświadomił sobie niespodziewanie, że jego analiza jest stuprocentowo trafna, bo opisując Szakala, myślał jednocześnie o sobie. Jak to określił stary Fontaine na Wyspie Spokoju? Siedzieli wtedy obaj na poddaszu i obserwowali przechodzącą koło pensjonatu procesję księży, wiedząc o tym, że jeden z nich został kupiony przez Szakala. „Dwa starzejące się lwy, które walczą wściekle ze sobą, nie przejmując się ani trochę tym, kto zginie razem z nimi” - tak właśnie powiedział człowiek, który oddał swoje życie za kogoś zupełnie obcego tylko dlatego, że jego własne nie miało już sensu, odkąd umarła kobieta, którą kochał. Zbliżając się ostrożnie do pierwszych drzwi po lewej stronie, Jason zastanawiał się, czy potrafiłby postąpić tak samo. Bardzo chciał żyć, oczywiście z Marie i dziećmi, ale gdyby jej zabrakło... Czy życie przedstawiałoby wtedy dla niego jakąś wartość? Czy miałby dość odwagi, żeby z niego zrezygnować, gdyby dostrzegł w jakimś człowieku cząstkę dawnego siebie?

Nie miał teraz czasu na takie rozważania. Zastanawiaj się nad tym kiedy indziej, Davidzie! Nie jesteś mi teraz potrzebny, słaby, miękki sukinsynu. Odejdź ode mnie! Poluję na drapieżnego ptaka, którego chciałem zdobyć od trzynastu lat. Ma ostre szpony i wiele istnień ludzkich na sumieniu, a teraz chciał zniszczyć te, które sami - tobie - najdroższe. Odejdź!

Plamy krwi, błyszczące na ciemnobrązowej wykładzinie w przyćmionym świetle podsufitowych lamp. Bourne przyklęknął i dotknął jedną palcem; była mokra i zostawiła na jego skórze czerwony ślad. Plamy mijały pierwsze drzwi, potem drugie, cały czas trzymając się lewej strony korytarza; nagle ich układ zmienił się - teraz były rozrzucone zygzakiem, mniej regularne, jakby ranny odnalazł krwawiące miejsce i przycisnął je ręką, wstrzymując częściowo upływ krwi. Szóste drzwi... Siódme... Ślad nagle zniknął! Nie, niezupełnie: cienka, ledwo dostrzegalna strużka skręcała w lewo, a tuż przy kłamce widniała delikatna, rozmazana smuga czerwieni. Ósme drzwi po lewej stronie korytarza, nie dalej niż pięć metrów od wyjścia na schody. Carlos był w tym pokoju, a razem z nim jakiś niewinny człowiek, który tam mieszkał.

Teraz wszystko zależało od precyzji. Każdy ruch, każda czynność musiała być wykonana z myślą o pojmaniu lub zabiciu przeciwnika. Starając się oddychać możliwie spokojnie i opanować drżenie napiętych do granic wytrzymałości mięśni, Bourne cofnął się bezszelestnie korytarzem na mniej więcej trzydzieści kroków od podejrzanych drzwi. Nagle znieruchomiał, bo do jego uszu dotarły dochodzące z mijanych pokoi stłumione pochlipywania i przerażone jęki. Z zainstalowanych we wszystkich pomieszczeniach hotelu głośników dobiegały uspokajające polecenia, sformułowane nieco łagodniej od tych, jakie przekazał Jasonowi i Aleksowi Krupkin: „Prosimy o pozostanie w pokojach i niewpuszczanie

nikogo do środka. Nasi ludzie już opanowali sytuację". „Nasi ludzie”, nie „milicja” ani „władze”, bo te słowa nieodmiennie wywoływały panikę... A właśnie na wywołaniu paniki człowiekowi, który był kiedyś Deltą Jeden, najbardziej w tej chwili zależało. Panika i zamieszanie -odwieczni sprzymierzeńcy myśliwych polujących zarówno na zwierzęta, jak i na ludzi.

Uniósł pistolet, wycelował w jedną z ozdobnych, wiszących pod sufitem lamp i nacisnął dwa razy spust.

- Tutaj! Ten w czarnym ubraniu! - krzyknął co sił w płucach, prawie zagłuszając donośny trzask rozpryskującego się szkła.

Starając się czynić jak najwięcej hałasu, pobiegł korytarzem w kierunku wyjścia, a mijając drzwi oznaczone krwawą smugą, wrzasnął ponownie:

- Schody! Wybiegł na schody!

Celnym strzałem roztrzaskał trzecią lampę; korzystając z donośnego łoskotu, zawrócił raptownie, dla nadania sobie większej prędkości odbił się od ściany i uderzył całym ciężarem rozpedzonego ciała w drzwi. Ustąpiły od razu, wpadając do środka razem z zawiasami, a on runął do wnętrza pokoju i przeturlał się po podłodze z bronią gotową do strzału.

Pomylił się! Zrozumiał to w ułamku sekundy; role uległy odwróceniu, teraz on był zwierzyną! Gdzieś na zewnątrz otworzyły się inne drzwi - nie słyszał tego, tylko wyczuł - więc zaczął się błyskawicznie toczyć w prawą stronę, rozbijając po drodze sprzęty. Jego szeroko otwarte oczy zarejestrowały nieruchomy jak fotografia obraz dwojga starszych ludzi, tulących się do siebie w kącie pomieszczenia.

Ubrana na białą postać wpadła raptownie do pokoju, zataczając szerokie półkola trzymanym w dłoniach, terkoczącym wściekle pistoletem maszynowym. Bourne rzucił się w kierunku przeciwległej ściany, wiedząc, że jeszcze co najmniej pół sekundy będzie w polu martwego ognia, i oddał jeden za drugim kilka strzałów w kierunku napastnika.

Trafił! Szakał dostał w prawe ramię! Broń wypadła mu z ręki, wytrącona siłą uderzenia pocisku; Carlos zacisnął lewą dłoń na otwartej ranie, odwrócił się w błyskawicznym półobrocie i z całej siły kopnął stojącą lampę w kierunku Jasona.

Bourne ponownie nacisnął spust, częściowo oślepiiony lecącą na niego masą, lecz tym razem chybił. Natychmiast ponowił próbę, ale zamiast donośnego hukusłyszał tylko suchy, metaliczny szczęk; magazynek był pusty! Niewiele myśląc, rzucił się w kierunku leżącej na podłodze broni Szakała, lecz odziany w białą szatę Carlos odwrócił się i wybiegł przez roztrzaskane drzwi na korytarz. Jason złapał pistolet maszynowy, jednak kiedy zrywał się na nogi, by ruszyć w pogoń, kolano odmówiło mu posłuszeństwa, uginając się miękko pod jego ciężarem. Boże! Doczołgał się do łóżka i przetoczył po nim na drugą stronę, do stojącego na szafce telefonu, tylko po to, by ujrzeć, że z aparatu pozostały tylko żałosne szczątki. Carlos rzeczywiście myślał o wszystkim, starał się spożytkować każdy wybieg i podstęp, z jakiego kiedykolwiek korzystał.

Znowu jakiś dźwięk, tym razem wyraźny i głośny! Metalowe drzwi prowadzące na klatkę schodową otworzyły się, z hukiem uderzając w betonową ścianę; Szakał zbiegał na dół, do głównego holu. Jeśli ci z recepcji zrobili to, czego zażądał Conklin, Carlos znalazł się w pułapce!

Bourne dopiero teraz spojrzał uważniej na kryjącą się w kącie parę starszych ludzi. Poruszyło go, że mężczyzna osłaniał kobietę własnym ciałem.

- Wszystko w porządku - powiedział, mając nadzieję uspokoić ich tonem głosu. - Wiem, że mnie nie rozumiecie, bo nie znam rosyjskiego, ale teraz jesteście już bezpieczni.

- My też nie znamy rosyjskiego - odparł mężczyzna po angielsku, ze stuprocentowym brytyjskim akcentem. - Trzydzieści lat temu na pewno nie chowałbym się w kącie. Ósma Armia generała Montgomery'ego, do usług. Byłem pod El Alamein, ale, jak to mówią, starość nie radość...

- Wolałbym tego nie słyszeć, pułkowniku...
- Tylko kapitanie, jeśli łaska.
- Znakomicie. - Bourne wstał z łóżka i ostrożnie zgiął nogę w kolanie; coś przedtem było nie tak, ale teraz staw funkcjonował prawidłowo. – Muszę zadzwonić!
- Z tego wszystkiego najbardziej oburzył mnie ten szlafrok – ciągnął weteran spod El Alamein. - Pieprzone obrzydlistwo... Wybacz mi, kochanie.
- O czym pan mówi?
- O tym białym szlafroku! Należał do Binky'ego - też jest z żoną, mieszkają naprzeciwko - a on z kolei zwędził go z Beau-Rivage w Lozannie. Już za to należały mu się cięgi, ale co go podkusiło, żeby dawać go temu wariatowi...

Nie czekając na dalszy ciąg, Jason chwycił broń Szakala i popędził do pokoju po drugiej stronie korytarza; kiedy tam wpadł, pojął w ciągu ułamka sekundy, że Binky zasługuje na znacznie więcej szacunku i podziwu, niż gotów był mu okazać stary kapitan. Mężczyzna leżał bez ruchu na podłodze, krwawiąc obficie z zadanych nożem ran na brzuchu i szyi.

- Nie mogę się nigdzie dodzwonić! -wykrzyknęła kobieta o mocno przeredzonych, siwiejących włosach. Klęczała na podłodze obok męża, zanosząc się histerycznym łkaniem. - Walczył jak szaleniec! Jakby wiedział, że ten ksiądz nie będzie strzelał...

- Niech pani mocno ściśnie brzegi rany! - polecił jej Bourne, rozglądając się w poszukiwaniu telefonu. Był, nietknięty! Podbiegł do aparatu, ale nie wykręcił numeru recepcji, tylko zadzwonił do apartamentu.

- To ty, Krupkin? - usłyszał głos Aleksa.
- Nie, to ja. Carlos jest na schodach w tym skrzydle, do którego pobiegłem. Pokój po prawej stronie, siódme drzwi, ciężko ranny człowiek. Przyślij kogoś, szybko!
- Za chwilę. Mam bezpośrednią łączność z dołem.
- Gdzie jest ten ich oddział specjalny, do cholery?
- Właśnie przyjechali. Krupkin dzwonił dosłownie kilka sekund temu, dlatego myślałem, że...
- Idę na schody.
- Na litość boską, dlaczego?
- Dlatego, że on jest mój!

Jason rzucił się do drzwi, nie tracąc czasu na pocieszenie rozpaczającej kobiety; nawet gdyby chciał, nie potrafiłby znaleźć odpowiednich słów. Wypadł na schody, ściskając w dłoniach broń Szakala, popędził na dół, ale prawie natychmiast zatrzymał się, niemal ogłuszony łoskotem własnych kroków, i ściągnął zarówno buty, jak i skarpetki. Chłodne dotknięcie kamiennej powierzchni przywiodło mu nagle na myśl lata spędzone w dżungli, kojarząc się z zimną, poranną rosą. To przelotne, oderwane wspomnienie sprawiło, że udało mu się częściowo opanować - dżungla zawsze była sprzymierzeńcem Deltę.

Schodził piętro za piętrzem, śledząc wzrokiem plamy świeżej krwi, teraz znacznie większe i wyraźniejsze. Druga rana była zbyt poważna, żeby Carlos mógł powstrzymać krwawienie. Sądząc po śladach, dwa razy próbował to uczynić, ale po kilku krokach jego wysiłki spełzały na niczym, o czym świadczyły pozostawione na stopniach szerokie, szkarłatne smugi.

Drugie piętro, pierwsze... Pozostał już tylko parter! Szakal znalazł się w pułapce! Gdzieś tam, w zaczynającej się pod stopami Bourne'a ciemności, czekał na swoją śmierć jego największy wróg. Jason zatrzymał się, wyjął z kieszeni pudełko hotelowych zapalek, podpalił je i rzucił przez poręcz, gotów w każdej chwili nacisnąć spust i zasypać gradem pocisków wszystko, co ukazałoby się w migotliwym blasku.

Nie zobaczył nic, zupełnie nic! Betonowy podest był pusty. Niemożliwe! Jason zbiegł po ostatnim odcinku schodów i załomotał pięściami w drzwi prowadzące do głównego holu.

- Szto? - krzyknął ktoś po rosyjsku. - Kto tam?

- Jestem Amerykaninem! Współpracuję z KGB! Wpuśćcie mnie!
- *Szto?*
- Rozumiem! - odezwał się inny głos. - Tylko niech pan pamięta, że wyjdzie pan prosto pod nasze lufy!
- Pamiętam! - odkrzyknął Jason, w ostatniej chwili przypominając sobie, że wciąż ściska w dłoniach pistolet Szakala; rzucił go na podłogę. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.
- *Da!* - powiedział milicjant, po czym spostrzegł leżącą na podłodze broń i natychmiast zmienił zdanie. - *Niet!* - ryknął.
- *Nie za szto!* - wysapał Krupkin, wpadając między Bourne'a a oficera milicji.
- *Poczemu?*
- *Komitet!*
- *Priekrasno.* - Milicjant skinął posłusznie głową, ale pozostał na miejscu.
- Co robisz? - zapytał zadyszany Krupkin. - Cały parter jest oczyszczony z ludzi, a nasz oddział czeka na pozycjach.
- On już był tutaj! - wyszeptał Bourne, jakby chcąc, żeby nienaturalnie ściszony głos dodał większej wagi jego słowom.
- Szakal? - zapytał ze zdumieniem Krupkin.
- Schodził tymi schodami! Na pewno nie został na żadnym piętrze, bo drzwi można otworzyć tylko od strony korytarza.
- *Skazi!* - Krupkin zwrócił się do wyprężonego milicjanta. - Czy w ciągu ostatnich dziesięciu minut jakiś mężczyzna wychodził przez te drzwi?
- Nie, towarzyszu - odparł funkcjonariusz. - Tylko jakaś rozhisteryzowana kobieta w zakrwawionym szlafroku. Upadła w łazience i pokaleczyła się jakimś szkłem. Baliśmy się, żeby nie dostała ataku serca, tak strasznie krzyczała. Zaprowadziliśmy ją natychmiast do ambulatorium.
- Krupkin odwrócił się z powrotem do Jasona i przeszedł na angielski.
- Mówi, że widział tylko jakąś przerażoną, zakrwawioną kobietę.
- Kobietę? Jest tego pewien...? Jakie miała włosy?
- Dymitr przetłumaczył pytanie milicjantowi, a otrzymawszy odpowiedź, spojrzał ponownie na Bourne'a.
- Rudawe, mocno kręcone.
- Rudawe? - Jasonowi przemknęło jeszcze całkiem świeże, niezbyt przyjemne wspomnienie. - Szybko, chodź do recepcji! Może będziesz musiał mi pomóc.
- Bosonogi Bourne pobiegł przez hol, a za nim Krupkin.
- Mówi pan po angielsku? - zapytał Jason recepcjonistę.
- Bardzo znakomicie, nawet z akcentami, panie sir.
- Muszę mieć plan pokoi na dziesiątym piętrze, prędko!
- Słucham, panie sir?
- Krupkin natychmiast przetłumaczył żądanie Amerykanina; na ladzie pojawił się segregator z dużymi, oprawionymi w plastikowe okładki kartkami.
- To ten pokój! - wykrzyknął Jason, wskazując palcem na jeden z identycznych czworokątów. - Proszę mnie z nim połączyć - powiedział, z najwyższym trudem opanowując wzburzenie, żeby nie przerazić wpatrującego się w niego wytrzeszczonymi oczami recepcjonisty. - Jeżeli telefon będzie zajęty, ma pan przerwać tamtą rozmowę!
- Krupkin ponownie przetłumaczył i po chwili na ladzie obok niepotrzebnego już planu pojawił się także telefon. Jason natychmiast chwycił słuchawkę.
- To ja byłem w państwa pokoju kilka minut temu...
- Tak, oczywiście! - przerwała mu kobieta. - Ogromnie panu dziękuję! Lekarz już tu jest i mówi, że...
- Muszę się czegoś dowiedzieć, natychmiast! Czy wozi pani ze sobą treski albo peruki?

- Chyba sam pan przyzna, że to dosyć impertynenckie pytanie...
- Droga pani, nie mam teraz czasu na uprzejmości! Muszę wiedzieć! Wozi pani czy nie?
- No... Owszem. To żadna tajemnica, wiedzą o tym wszyscy nasi przyjaciele i nie mają mi za złe tej słabostki. Widzi pan, cierpię na cukrzycę i moje biedne, siwe włosy robią się coraz rzadsze...

- Czy jedna z peruk jest ruda?

- Tak. Dość często je zmieniam, bo lubię...

Bourne odłożył z trzaskiem słuchawkę i spojrzął na Krupkina.

- Wymknął się, sukinsyn! To był Carlos!

- Za mną, szybko! - rzucił Krupkin. Popędzili we dwóch przez pusty hol do biurowej części hotelu. Kiedy wpadli do ambulatorium, zatrzymali się jak wrzyki, porażeni widokiem, jaki ukazał się ich oczom.

Na podłodze i stole zabiegowym walały się zużyte strzykawki, strzępy bandaży i waty, jakby ktoś w wielkim pośpiechu robił opatrunek. Obaj mężczyźni jednak ledwo to zarejestrowali, bo ich uwaga była zwrócona gdzie indziej. Młoda pielęgniarka leżała bezwładnie w fotelu, gardło miała poderżnięte, a na jej nieskazitelnie białym fartuchu zasychała powoli ogromna plama krwi.

Dymitr Krupkin rozmawiał przez telefon, siedząc przy stoliku w salonie. Aleks Conklin usadowił się na ozdobnej kanapie i masował sobie prawą łydka, a Bourne stał przy oknie, spoglądając na Prospekt Marksa. Aleks i Dymitr wymienili porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnęli się lekko; stanowili parę godnych siebie przeciwników w pozbawionym końca i sensu konflikcie. Mogli wygrywać lub przegrywać bitwy, ale zasadnicze, filozoficzne kwestie pozostawały nie rozstrzygnięte.

- W takim razie mogę przyjąć, że uzyskałem waszą zgodę, towarzyszu - mówił Krupkin po rosyjsku. - Nie będę ukrywał, że mam zamiar trzymać was za słowo... Oczywiście, że nagrywam naszą rozmowę. A czy wy postąpilibyście inaczej...? No, właśnie. Obaj znamy doskonale zarówno nasze obowiązki, jak i zasięg odpowiedzialności, więc pozwólcie, że jeszcze raz wszystko powtórzę. Ten człowiek jest poważnie ranny, dla tego poinformowaliśmy wszystkich taksówkarzy, lekarzy i szpitale w Moskwie i okolicach. Milicja ma opis skradzionego samochodu, a gdyby go zauważyli, mają natychmiast meldować wam osobiście. Trzeba podkreślić, że niewykonanie rozkazu oznacza długotrwały pobyt na Łubiance... Znakomicie. Jak rozumiem, wszystko jest jasne, i spodziewam się, że dacie mi znać, jak tylko czegoś się dowiedziecie, tak...? Nie denerwujcie się, bo dostaniecie zawału serca, towarzyszu... Owszem, zdaję sobie sprawę, że jesteście moim przełożonym, ale przecież żyjemy w bezklasowym społeczeństwie, czyż nie tak? Traktujcie to jako życzliwą radę od doświadczonego podwładnego. Życzę wam miłego dnia... Nie, to nie pogrożka, tylko uprzejme pozdrowienie, które przyswoiłem sobie w Paryżu. Zdaje się, że wymyślili je w Ameryce. - Krupkin odłożył słuchawkę i westchnął z głębi piersi. - Czasem żałuję, że nie mamy już starej, wykształconej arystokracji.

- Lepiej nie mów tego głośno - poradził mu Conklin, po czym wskazał ruchem głowy na telefon. - Rozumiem, że na razie nic nie wiadomo?

- Nic, co by nas bezpośrednio dotyczyło, ale wyszła na jaw bardzo interesująca, choć makabryczna sprawa.

- W takim razie domyślałam się, że ma jakiś związek z Carlosem?

- I to niemały. - Krupkin potrzęsnał lekko głową. Jason odwrócił się od okna i spojrzął na niego. - Kiedy przyjechałem do biura, znalazłem w gabinecie osiem dużych kopert, z których tylko jedna została otwarta. Milicja znalazła je na Wawilowa, a kiedy zobaczyli, co jest w jednej, podrzucili mi, żeby nie mieć z tym nic do czynienia.

- A co tam było? - zapytał Aleks i zarechotał pod nosem. - Kopie dokumentów stwierdzających ponad wszelką wątpliwość, że wszyscy członkowie Biura Politycznego to

pedały?

- Możliwe, że wcale się nie mylisz - wtrącił się Jason. - Ludzie, z którymi spotkał się na Wawilowa, stanowili jego moskiewską kadrę. Albo chciał im pokazać, co ma na nich, albo przygotować do walki z innymi.

- To drugie - wyjaśnił Krupkin. - W kopertach znajdowały się starannie zebrane, wręcz niewiarygodne zarzuty dotyczące najważniejszych osób w kilku departamentach.

- On ma nieprzebrane zasoby takich oskarżeń. Zawsze działał w ten sposób. Właśnie dzięki temu udawało mu się umieszczać swoich agentów tam, gdzie nikt by się ich nie spodziewał.

- Chyba mnie nie rozumiałeś, Jason - odparł oficer KGB. - Mówiąc niewiarygodne miałem na myśli właśnie to, że nie sposób w nie uwierzyć. To czyste wariactwo.

- Do tej pory nigdy się nie mylił. Na twoim miejscu nie stawiałbym zbyt dużych pieniędzy na to, co przed chwilą powiedziałeś.

- Jestem gotów postawić wszystko, co mam, i spodziewam się wygranej. Większość tych informacji to zwykłe, niewybredne plotki, ale są wśród nich także kompletne bzdury, przekłamania dotyczące zarówno czasu i miejsca opisywanych wydarzeń, jak i funkcji albo nawet tożsamości niektórych osób. Na przykład Departament Transportu mieści się przecnicę dalej niż wynikałoby z zawartości jednej z kopert, a jeden z dyrektorów departamentu jest ożeniony z zupełnie inną kobietą. Ta, o której wspomina się w dokumencie, jest ich córką i od sześciu lat przebywa na Kubie. Człowiek wymieniony jako szef Radia Moskwa i oskarżony dosłownie o wszystko, z wyjątkiem sodomii, umarł prawie rok temu i był bardzo wierzący. Znajomi podejrzewali, że najchętniej zostałby popem... Te przekłamania tak bardzo rzucają się w oczy, że wychwyciłem je zaledwie w ciągu paru minut, ale jestem pewien, że znalazłbym ich jeszcze całą masę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś wcisnął Carlosowi fałszywe materiały? - zapytał Conklin.

- Fałszywe to mało powiedziane. One są po prostu kuriozalne. Żaden sąd w tym kraju nie słuchałby takich oskarżeń dłużej niż dwie minuty. Ten, kto mu ich dostarczył, chciał mieć pewność, że nigdy nie będą mogły zostać wykorzystane.

- Rodczenko? - podsunął Bourne.

- Nikt inny nie przychodzi mi na myśl. Grigorij - teraz mówię o nim Grigorij, ale nigdy nie zwracałem się do niego inaczej niż towarzyszu generale - był nie tylko doskonałym strategiem i oddanym marksistą, ale także typem człowieka, który potrafi wyjść cało z każdego niebezpieczeństwa.

Miał obsesję na punkcie sprawowania kontroli nad wszystkim i wszystkimi, a możliwość kontrolowania poczynań słynnego Szakala w imię interesów ojczyzny musiała stanowić dla niego powód nie lada dumy. A jednak Szakal zabił go strzałami w gardło - dlatego, że Rodczenko go zdradził, czy dlatego, że był zbyt mało ostrożny? Nigdy się nie dowiemy. - Zadzwoił telefon; Krupkin chwycił błyskawicznie słuchawkę i przycisnął ją do ucha. -*Da?* - Dał znak Aleksowi, żeby ten zabrał się do przypinania protezy. - Słuchajcie mnie uważnie, towarzyszu - powiedział po rosyjsku. - Milicja ma nie interweniować, a przede wszystkim niech się trzyma od niego z daleka. Poślijcie tam jakiś zwykły samochód, żeby zastąpił radiowóz. Czy wszystko jasne...? To dobrze. Nawiążę łączność na częstotliwości moreny.

- Udało się? - zapytał Bourne, odsuwając się od okna. Dymitr odłożył z trzaskiem słuchawkę.

- I to jak! - odparł. - Zlokalizowano go na ulicy Nemczinowka. Jedzie w kierunku Odincowa.

- Nic mi to nie mówi. Co jest w tym Odincowie czy jak to się nazywa?

- Nie wiem dokładnie, ale należy przyjąć, że on wie. Pamiętajcie, że zna Moskwę i

okolice. Odincowo to coś w rodzaju uprzemysłowionego przedmieścia, mniej więcej trzydzieści pięć minut drogi od centrum...

- Niech to szlag trafi! - ryknął Aleks, szarpiąc się z paskami podtrzymującymi protezę.

- Pozwól, że ja to zrobię powiedział Jason tonem nie znoszącym sprzeciwu i zajął się opornymi wiązaniami. - Dlaczego Carlos ciągle używa waszego samochodu? - zapytał Krupkina. - W ten sposób dużo ryzykuje, a to do niego niepodobne.

- Nie ma wielkiego wyboru. Doskonale wie o tym, że prawie wszyscy taksówkarze współpracują z nami lub z milicją, a on jest poważnie ranny i chyba bez broni, bo gdyby było inaczej, na pewno by z niej skorzystał. Nie da rady sterroryzować kierowcy ani ukraść innego samochodu... Poza tym Nemczinowka jest mało uczęszczana i daleko od centrum. To czysty przypadek, że udało się go tam zauważyć.

- Chodźmy stąd wreszcie! - wykrzyknął Conklin, zirytowany zarówno troskliwością Jasona, jak i własną nieporadnością. Zerwał się z kanapy, za chwiał, gniewnie odtrącił dłoń Krupkina i ruszył do drzwi. - Tracimy tylko czas. Możemy rozmawiać w samochodzie.

Morena, odezwij się. - Krupkin siedział w samochodzie obok kierowcy, z ręką na pokrętle strojenia nadajnika, i mówił po rosyjsku do mikrofonu. -Morena, odezwij się. Wzywam morenę.

- Co on gada, do diabła? - zapytał Bourne Aleksa.

- Stara się nawiązać łączność z samochodem śledzącym Carlosa, przeskakując z jednej wysokiej częstotliwości na drugą. Na tym właśnie polega kod moreny.

- Jaki?

- Morena jest blisko spokrewniona z węgorzem - powiedział Krupkin, oglądając się do tyłu. - Ma gąbczaste skrzela i może zanurzać się na duże głębokości. Niektóre jej odmiany są bardzo niebezpieczne.

- Dziękuję, profesorze - odparł Bourne.

Krupkin parsknął śmiechem.

- Nie ma za co. Chyba sam przyznasz, że to dobra nazwa, prawda? Trzeba mieć specjalnie dostosowane nadajniki.

- Kiedy nam to ukradliście?

- Właśnie że nie wam, tylko Brytyjczykom. Londyn nigdy nie chwali się tymi rzeczami, ale w pewnych dziedzinach zostawili daleko w tyle nie tylko was, ale nawet Japończyków. To ich cholerne MI6 spędza mi sen z powiek. Przesiadują całymi dniami w klubach, palą śmierdzące fajki i udają niewiniątka, ale ich agenci są najtrudniejsi do zdemaskowania.

- Oni też mieli swoje wpadki - zauważył nieśmiało Conklin.

- Może w przeszłości, ale na pewno nie teraz, Aleksiej. Zbyt długo po zostawałeś poza obiegiem. My dwaj ponieśliśmy więcej porażek niż ich cały wydział, a w dodatku oni potrafią za każdym razem wychodzić z twarzą. My się jeszcze tego nie nauczyliśmy. Skrzętnie ukrywamy wszystkie wpadki, jak to określiłeś, i pragniemy za wszelką cenę zdobyć szacunek, którego nikt nie chce nam okazywać. Może dlatego, że historycznie rzecz biorąc, jesteśmy od nich znacznie młodszy. - Krupkin ponownie przeszedł na rosyjski. - Morena, odezwij się, proszę! Jestem już przy końcu skali. Gdzie jesteś, morena?

- Zgłaszam się, towarzyszu! - rozległ się metaliczny głos z głośnika. - Słyszycie mnie?

- Mówicie jak kastrat, ale słyszę was.

- Wy jesteście zapewne towarzysz Krupkin...

- A kogo się spodziewaliście, papieża? Kto mówi?

- Orłow.

- To dobrze. Ty przynajmniej zawsze wiesz, co robisz.

- Mam nadzieję, że ty też, Dymitrze.

- O co ci chodzi?

- O twój kategoryczny rozkaz, żeby nic nie robić. Jesteśmy dwa kilometry od budynku,

na małym trawiastym pagórku. Cały czas mamy samochód w zasięgu wzroku. Stoi na parkingu, a podejrzany wszedł do budynku.

- Co za budynek? Jaki pagórek? Nic nie rozumiem!

- Magazyn broni w Kubince.

Conklin podskoczył na fotelu.

- O, mój Boże! - wykrzyknął.

- Co się stało? - zapytał Bourne.

- Wtargnął do magazynu broni - wyjaśnił mu Aleks, po czym szybko dodał. - W tym kraju magazyny broni to prawdziwe arsenały, w każdym można wyposażyć małą armię.

- Wcale nie jechał do Odincowa... - mruknął Krupkin. - Magazyn jest cztery lub pięć kilometrów dalej na południe. Musiał już tu kiedyś być.

- Takie miejsca są na pewno ściśle strzeżone - odezwał się Bourne. - Chyba nie może tak po prostu wejść do środka.

- Już to zrobił - poprawił go oficer KGB.

- Ale do samej zbrojowni...

- Właśnie nad tym się zastanawiam - odparł Krupkin, obracając w palcach mikrofon. - Skoro już tu był, jak dużo wie o tym miejscu, a przede wszystkim, kogo tam zna?

- Połącz się z nimi przez radio i każ im go zatrzymać! - wykrzyknął Jason.

- A jeżeli trafię na niewłaściwą osobę albo spóźnię się i tylko go zaalarmuję? Wystarczy jeden nieprzemysłany telefon czy nawet pojawienie się podejrzanego samochodu, a zginą dziesiątki kobiet i mężczyzn. Obok magazynu są niewielkie koszary, a w nich oddział obrony cywilnej. Wiemy już, co zrobił na Wawilowa i w hotelu. To szalenie!

- Dymitr! - zabrzączał metalicznie głośnik. - Coś się dzieje. Obiekt wyszedł przez boczne drzwi. Niesie plecak i idzie do samochodu... Nie rozumiem! To chyba nie on. To znaczy, wygląda właściwie tak samo, ale zachowuje się jakoś inaczej...

- Zmienił ubranie?

- Nie, jest cały na czarno, a jedną rękę ma na temblaku, ale jest jakby bardziej wyprostowany i porusza się szybciej niż przedtem.

- Chcesz powiedzieć, że nie sprawia wrażenia rannego, tak?

- Chyba tak.

- Może udawać - ostrzegł Krupkina Conklin. - Ten sukinsyn jest gotów nabrać po raz ostatni powietrza w płuca i udawać, że za chwilę wystartuje w maratonie.

- Dlaczego miałby to robić, Aleksiej?

- Nie wiem, ale skoro twój człowiek go widzi, to on może widzieć jego. Pewnie śpieszy się, i tyle.

- O co chodzi? - zapytał niecierpliwie Bourne.

- Ktoś wyszedł na zewnątrz z workiem zabawek i idzie do samochodu - poinformował go po angielsku Conklin.

- Na litość boską, zatrzymajcie go!

- Nie jesteśmy pewni, czy to Szakal - wtrącił się Krupkin. - Ubranie jest to samo, łącznie z temblakiem, ale są pewne różnice w zachowaniu...

- Chce was zmylić! - przerwał mu Jason.

- Szto...?Ja kto?

- Postawił się na waszym miejscu i próbuje myśleć tak jak wy. Nawet jeśli nie wie, że go wytropiliście i obserwujecie, postępuje tak, jakby to się stało. Kiedy tam dotrzemy?

- Jeżeli nasz młody towarzysz będzie w dalszym ciągu jechał jak szalenie, to najdalej za trzy lub cztery minuty.

- Krupkin! - zawołał agent z samochodu śledzącego Szakala. - Wyszło jeszcze czworo ludzi, trzech mężczyzn i kobieta! Wszyscy biegną do samochodu.

- Co on powiedział? - zapytał Bourne. Kiedy Aleks przetłumaczył wiadomość, Jason

zmarszczył brwi. - Zakładnicy...? Tym razem przechytrzył! - Delta pochylił się do przodu i dotknął ramienia Krupkina. - Powiedz swoim ludziom, żeby ruszyli natychmiast, jak tylko samochód odjedzie, i narobili maksymalnie dużo hałasu. Kiedy będą przejeżdżać koło magazynu, mogą nawet trąbić albo coś w tym rodzaju.

- Co takiego? - wybuchnął oficer radzieckiego wywiadu. - Czy byłbyś łaskaw mi wytłumaczyć, dlaczego miałbym wydać taki rozkaz?

- Dlatego, że twój kolega miał rację, a ja nie. Ten człowiek z ręką na temblaku to nie Carlos. Szakal został w środku i czeka, aż kawaleria przegalopuje koło fortu, a wtedy ucieknie innym samochodem... Ma się rozumieć, jeśli jest jakaś kawaleria.

- Na święte imię Karola Marksa! Jak do tego doszedłeś?

- Bardzo prosto. Popełnił błąd... Chyba nie strzelalibyście do tego samochodu, prawda?

- Oczywiście, że nie. Przecież są tam niewinni ludzie, zmuszeni odgrywać rolę zakładników.

- Wbrew swojej woli?

- Naturalnie.

- W takim razie powiedz mi, kiedy po raz ostatni widziałeś ludzi biegnących co sił w nogach tam, gdzie wcale nie mają ochoty się znaleźć? Nawet gdyby byli trzymeni na muszce, ociągaliby się, a ktoś z nich na pewno próbowałoby uciec.

- Ale...

- Pod jednym względem na pewno się nie pomyliłeś. Carlos miał swojego człowieka w magazynie, tego z temblakiem. On też może być niewinny, ale jeśli ma brata albo siostrę w Paryżu, Szakal trzymał go w garści.

- Dymitr! - zaskrzeczał głośnik. - Samochód wyjeżdża z parkingu! Krupkin nacisnął guzik mikrofonu i wydał rozkazy. Sprowadzały się do tego, żeby jechać za brązowym samochodem nawet do granicy z Finlandią, jeśli okaże się to konieczne, ale nie używać broni, a w razie potrzeby wezwać na pomoc milicję. Ostatnie polecenie nakazywało minąć w możliwie bliskiej odległości budynek magazynu, trąbiąc najgłośniejszym, jak się da.

- Po co, do kurwy nędzy? - zapytał ze zdumieniem agent.

- Dlatego, że miałem takie objawienie! Poza tym, to ja wydaję tutaj rozkazy.

- Chyba źle się czujesz, Dymitr.

- Chcesz dostać ode mnie pochwałę czy taką opinię, że natychmiast wyślą cię do Taszkentu?

- Już jadę, towarzyszu.

Krupkin odłożył mikrofon.

- Zrobiłem, co chciałeś - powiedział przez ramię do Bourne'a. - Jeżeli mam do wyboru pójść na dno z szalonym mordercą albo zwariowanym, ale chyba przyzwoitym człowiekiem, wolę to drugie. Wbrew temu, co twierdzą oświeceni sceptycy, Bóg może jednak istnieć... Aleksiej, czy chciałbyś kupić bardzo ładny dom nad Jeziorem Genewskim?

- Ja go kupię - odparł Jason. - Jeśli dożyję jutra i zrobię to, co muszę zrobić, nawet nie będę się targował.

- Ejże, Davidzie! - zaprotestował Conklin. - Nie ty zarobiłeś te pieniądze, tylko Marie.

- Ona mnie posłucha. A już na pewno jego.

- Co chcesz teraz zrobić? - zapytał Krupkin.

- Daj mi ten arsenał, który wozisz w bagażniku, i wysadź mnie z samochodu na trawie przed magazynem. Poczekaj kilka minut, a potem podjedź na parking, zatrzymaj się na chwilę i wystartuj najgłośniejszym, jak możesz, najlepiej z piskiem opon.

- Mamy zostawić cię samego? - wybuchnął Aleks.

- Tylko w ten sposób mogę do niego dotrzeć.

- Wariactwo! - prychnął Krupkin, ruszając wściekle szczękami.

- Nie, Kruppie, to tylko rzeczywistość - odparł bardzo spokojnie Jason Bourne. -

Będzie tak samo jak na początku: jeden na jednego. Nie ma inne go wyjścia.

- Pieprzone bohaterstwo! - ryknął Rosjanin, uderzając pięścią w fotel. - Gorzej, to zupełnie szaleńczy pomysł! Jeśli masz rację, to przecież mogę otoczyć te budynki tysiącem żołnierzy!

- On właśnie tego chce. I ja bym chciał, gdybym był na jego miejscu. Naprawdę nic nie rozumiesz? W takim tłoku i zamieszaniu ucieczka byłaby dziecinnie prostą sprawą. Chyba wiesz o tym, bo sam też to nieraz robiłeś... obaj to robiliśmy. Tłum jest naszym największym sprzymierzeńcem. Jeden cios nożem i już masz mundur; jeden rzut granatem i dołączasz do zakrwawionych ofiar. Te sztuczki zna każdy płatny morderca. Wierz mi: sam nim zostałem, choć wcale mi na tym nie zależało.

- A co, twoim zdaniem, uda ci się osiągnąć w pojedynkę, Batmanie? - zapytał Conklin, wściekle masując zdrętwiałą łydkę.

- Podejść człowieka, który chce mnie zabić, i wyprawić go na tamten świat.

- Wiesz, kim jesteś? Cholernym megalomanem!

- Masz całkowitą słuszność. To jedyny sposób, żeby pozostać w tej grze. Musisz mieć coś, na czym zawsze możesz się oprzeć.

- Szaleństwo! – ryknął Krupkin.

- Wybacz, ale mam prawo do odrobiny szaleństwa. Gdybym wiedział, że dywizja Armii Czerwonej może mi zapewnić bezpieczeństwo, na pewno bym nie ryzykował, ale wiem, że tak nie jest. To jedyny sposób... Zatrzymaj samochód i otwórz bagażnik. Zobaczę, co mi się może przydać.

Rozdział 39

Ciemnozielony samochód KGB minął ostatni zakręt na drodze schodzącej łagodnie ze wzgórza w kierunku porośniętego soczystą trawą, płaskiego terenu. Na jego skraju wznosiły się masywne budynki magazynu broni i koszar w Kubince. Brązowe, przypominające nieforemne skrzynie konstrukcje zdawały się wyrastać prosto z ziemi, zakłócając swoją dwupiętrową, pociętą wąskimi szparami okien brzydota urodę wiejskiego krajobrazu. Główne wejście do budynku było duże i kwadratowe, nad drzwiami zaś widniała płaskorzeźba przedstawiająca trzech czerwonooarmistów ruszających ze śpiewem na ustach w wir walki; sądząc po sposobie, w jaki trzymali broń, należało się spodziewać, że wraz z pierwszym naciśnięciem spustu podstrzelają sobie nawzajem głowy.

Wyposażony w autentyczny rosyjski AK-47 i pięć zapasowych magazynków mieszczących po trzydzieści pocisków Bourne wyskoczył z sunącego powoli samochodu i ukrył się w trawie przy samej drodze, dokładnie naprzeciwko wejścia. Obszerny, ziemny parking znajdował się z prawej strony długiego budynku; dawno nie strzyżony żywopłot otaczał rozległy trawnik, na środku którego wznosił się biały maszt ze zwisającą nieruchomo radziecką flagą. Jason przebiegł na drugą stronę drogi i przykucnął za żywopłotem; miał tylko kilka chwil na to, żeby ustalić, jakie środki bezpieczeństwa stosowano w tym wojskowym obiekcie. Z tego, co widział, wynikało, że były, delikatnie mówiąc, mało wyrafinowane. W ścianie po prawej stronie wejścia znajdowało się oszklone okienko, przypominające nieco teatralną lub kinową kasę. W środku siedział umundurowany strażnik, pochłonięty lekturą jakiegoś czasopisma, a obok niego drugi, z głową opartą na stole, niewątpliwie pogrążony w głębokim śnie. W pewnej chwili masywne drzwi uchyliły się i wyszli przez nie dwaj żołnierze - obaj spokojni, nawet rozluźnieni. Jeden zapalił papierosa, a jego kolega zerkał bez przerwy na zegarek.

Tyle, jeśli chodzi o zabezpieczenie obiektu. Najwyraźniej nie wydarzyło się tu nic groźnego ani niczego takiego się nie spodziewano. Wszystko wyglądało normalnie i naturalnie, a więc zupełnie inaczej, niż należało oczekiwać. Gdzieś we wnętrzu budynku był Szkał, ale nic nie świadczyło o tym, że się tam istotnie dostał i zdołał sterroryzować co najmniej pięć osób - mężczyznę, który wcielił się w niego, a oprócz tego trzech innych i kobietę.

Parking? Jason nie rozumiał wymiany zdań między Alekssem, Krupkinem i głosem z radia, ale teraz stało się dla niego oczywiste, że kiedy mówili na zmianę po rosyjsku i angielsku o pięciu osobach biegnących do skradzionego samochodu, nie mieli na myśli głównych drzwi! Musiały być jakieś inne, wychodzące bezpośrednio na parking. Boże, za kilka sekund kierowca samochodu, który go tu przywiózł, ruszy z rykiem silnika, okrąży plac i popędzi z powrotem wspinającą się na wzgórze drogą. Jeżeli Carlos miał zamiar wydostać się z budynku, spróbuje na pewno wtedy, natychmiast! Każda chwila będzie dla niego na wagę złota, bo im bardziej zdąży się oddalić od magazynu broni, tym większe będzie miał szanse na to, żeby rozpląnąć się bez śladu. A on, Delta Jeden, automat do zabijania, jest w niewłaściwym miejscu! Co więcej, miał bardzo ograniczoną możliwość manewru, bo gdyby pokazał się strażnikom, biegnąc z gotowym do strzału pistoletem maszynowym, z pewnością ściągnąłby na siebie nieszczęście. Co za głupi, niewybaczalny błąd! Wystarczyło, żeby przetłumaczyli mu dwa, trzy dodatkowe słowa, a udałoby się go uniknąć. Ile operacji spaliło już na panewce właśnie przez takie pozornie mało ważne szczegóły? Niech to szlag trafi!

Sto pięćdziesiąt metrów od niego samochód prowadzony przez młodego

funkcjonariusza KGB ruszył jak wyścigowy koń, wyrzucając spod tylnych kół fontanny ziemi i drobnego żwiru. Nie ma czasu na myślenie, trzeba działać! Bourne przycisnął AK-47 do prawego uda, próbując go w miarę możliwości ukryć, i wyprostował się; szedł powoli, od niechcenia gładząc lewą ręką nierówny żywopłot może ogrodnik, zapoznający się z nowym zleceniem, a może pogrążony w myślach spacerowicz, który bezwiednie muska dłonią zielone, świeże gałązki... W każdym razie na pewno nikt niebezpieczny. Mógł tak iść już od kilku minut, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Spojrzał w kierunku wejścia do budynku. Dwaj żołnierze rozmawiali przyciszonymi głosami, ten bez papierosa zerkał co chwila na zegarek. Drzwi otworzyły się i z wnętrza wyszła czarnowłosa, może dwudziestoletnia dziewczyna; uśmiechnęła się na widok czekających na nią mężczyzn, przyłożyła żartobliwie dłonie do uszu i potrząsnęła głową, a następnie podeszła do tego z zegarkiem i pocałowała go w usta, po czym cała trójka ruszyła w prawą stronę, oddalając się od głównego wejścia.

Łoskot! Zgrzyt metalu o metal, trzask pękającego szkła, dobiegający gdzieś z odległego krańca parkingu. Coś się stało z samochodem, którym jechali Conklin i Krupkin; prawdopodobnie młody kierowca stracił nad nim panowanie i uderzył w jeden ze stojących pojazdów. Jason natychmiast wykorzystał pretekst i ruszył w kierunku, z którego dochodził hałas. Dzięki temu że pomyślał o Aleksie, wpadł na pomysł, żeby zacząć utykać; w ten sposób miał większe szanse na ukrycie pistoletu. Odwrócił głowę, spodziewając się ujrzeć dwóch mężczyzn w mundurach i kobietę biegnących w tym samym co on kierunku, ale swemu zdziwieniu zobaczył, że skierowali się w przeciwną stronę. Widocznie chwile wolne od służby były tak nieliczne, że należało je wykorzystać bez względu na okoliczności.

Bourne zrezygnował z utkania, przedarł się przez żywopłot i popędził betonową ścieżką prowadzącą do narożnika budynku, nie starając się już ukrywać trzymanej w prawej ręce broni. Dotarłszy do końca ścieżki przystanął, dysząc ciężko, i oparł się o ścianę; miał wrażenie, że za chwilę wypluje, płuca, a nabrzmiałe żyły na szyi pękną, rozsądzone wewnętrznym ciśnieniem. Chwycił AK-47 w obie dłonie i wychylił się zza narożnika magazynu; to, co zobaczył, sprawiło, że na moment po prostu osłupiał. Biegąc co sił w nogach, nie słyszał żadnych odgłosów dochodzących z miejsca wypadku, ale teraz błyskawicznie pojął, czując, jak jeżą mu się włosy na głowie, że to, co widzi, jest rezultatem kilku lub kilkunastu strzałów oddanych z broni z tłumikiem. Delta Jeden doskonale to rozumiał: w pewnych sytuacjach należało zabijać możliwie bez hałasu. Całkowita cisza stanowiła trudny do osiągnięcia ideał, ale im było do niego bliżej, tym lepiej.

Kierujący samochodem chłopak leżał rozciągnięty na ziemi przy otwartych drzwiczkach, trafiony kilka razy w głowę. Samochód uderzył przodem w bok autobusu, którym wożono robotników do pracy i z pracy; Bourne nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób doszło do wypadku ani co się stało z Alekssem i Dymitrem. Wszystkie szyby były powybijane, a w środku nikt się nie poruszał - te dwa fakty zdawały się wskazywać na najgorsze, ale niczego jeszcze nie przesądzały. Kameleon zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że musi odrzucić wszelkie emocje. Nawet jeśli wydarzyła się tragedia, będzie jeszcze czas na opłakiwanie zmarłych. Teraz należało zająć się zemstą.

Jak? Pomyśl, szybko!

Krupkin powiedział, że w przylegających do magazynu uzbrojenia koszarach mieszkało kilkadziesiąt osób, kobiety i mężczyźni z oddziału obrony cywilnej. Skoro tak, to gdzie oni się podzieli? Przecież Szakał nie działał w próżni! Mimo to, chociaż wydarzył się wypadek - odgłos zderzenia było słychać nawet w odległości stu metrów - i zastrzelono człowieka, którego zakrwawione zwłoki leżały teraz przy roztrzaskanym pojeździe, nikt, dosłownie nikt nie przyszedł na miejsce zdarzenia, nikt nawet przypadkiem tamtędy nie przechodził! Czyżby oprócz Carlosa i pięciorga ludzi, wykorzystanych przez niego jako zasłona dymna, cały kompleks zabudowań był pusty? To nie miało najmniejszego sensu!

I wtedy usłyszał dobiegające z wnętrza budynku, przytłumione, ale mimo to wyraźne, dźwięki marszowej muzyki. Sądząc po natężeniu odgłosów, w zamkniętym pomieszczeniu łoskot werbli i ryk trąb musiał być wręcz ogłuszający. Bourne przypomniał sobie gest dziewczyny - dłonie przyłożone do uszu i zabawny grymas na twarzy. Wtedy go nie zrozumiał, ale teraz wszystko było jasne. Dziewczyna wymknęła się z sali wypełnionej trudnym do zniesienia hałasem. W koszarach odbywała się jakaś uroczystość, być może akademія, i stąd obecność na parkingu tylu samochodów osobowych, autobusów i mikrobusów. Szczególnie liczba tych pierwszych musiała budzić zdziwienie, bo w Związku Radzieckim z całą pewnością nie uskarżano się na ich nadmiar. W sumie na parkingu stało półkolem około dwudziestu pojazdów. Fakt, że na terenie obiektu działo się coś niecodziennego, stanowił bardzo korzystny dla Carlosa zbieg okoliczności, bo terrorysta doskonale potrafił wykorzystać takie sytuacje. Podobnie jak jego przeciwnik. Pat.

Dlaczego Carlos nie wychodzi? Dlaczego już nie wyszedł? Na co czekał? Z pewnością nie na bardziej sprzyjające warunki, bo na to nie miał co liczyć. Czyżby rany okazały się tak poważne, że pozbawiły go przewagi, jaką zdołał osiągnąć do tej pory? Było to możliwe, ale mało prawdopodobne. Zabójca zabrnął tak daleko, że nie mógł już się wycofać. Jedynym wyjściem było dla niego kontynuowanie ucieczki. W takim razie, dlaczego? Nieodparta logika nakazywała mordercy, który rozprawił się z pościgiem, jak najszybsze opuszczenie miejsca kolejnej zbrodni. To była jego jedyna szansa! Skoro tak, to czemu nadal był w środku? Dlaczego nie wskoczył do któregoś z samochodów i nie ruszył ile mocy w silniku ku wolności?

Jason ponownie przywarł plecami do ściany i zaczął powoli przesuwac się w lewo, starając się dostrzec coś, co mogło mieć dla niego jakieś znaczenie. Jak większość magazynów broni na całym świecie budynek nie miał w ogóle okien na parterze; najniższe były usytuowane dopiero około czterech metrów nad ziemią. Znajdował się właśnie pod jednym z nich. Doświadczony snajper mógł oddać stamtąd celny strzał do kierowcy samochodu KGB. Po chwili dotarł do drzwi pomalowanych na ten sam kolor co ściany; boczne wejście, o którym nikt nie raczył mu wspomnieć. Szczegóły, znowu te przekłete, pozornie nieistotne szczegóły! Cholera!

Dochodzące z wnętrza dźwięki muzyki przybrały na sile - finał triumfalnego marsza wzbierał rykiem trąb i przeraźliwym łoskotem werbli. Teraz! Uroczystość dobiegała końca i Szakał z pewnością wykorzysta związane z tym zamieszanie, żeby się wymknąć. Wmiesza się w tłum, a kiedy ludzi ogarnie panika na widok rozbitego samochodu i pokiereszowanego pociskami ciała kierowcy, po prostu zniknie. Trzeba będzie wielu godzin, żeby ustalić, czyj pojazd zabrał i kto jest zakładnikiem.

Bourne musiał dostać się do środka, zatrzymać go, zabić! Krupkin troszczył się o los kilkudziesięciu kobiet i mężczyzn, nie mając najmniejszego pojęcia, że w rzeczywistości chodziło o życie co najmniej kilkuset osób. Carlos bez wątpienia użyje broni, którą ukradł, nie wyłączając granatów, by wywołać masową histerię, dającą mu szansę ucieczki. Z pewnością nie zawaha się poświęcić życie jeszcze kilkorga ludzi, by ocalić własne. Delta Jeden zrezygnował z wszelkich środków ostrożności, cofnął się o krok i szarpnął z całej siły za klamkę. Drzwi były zamknięte! Niewiele myśląc, skierował na zamek lufę pistoletu i nacisnął spust; grad pocisków rozszarpał drewnianą ramę i wygiął metalowe okucie. Bourne przestał strzelać i wyciągnął rękę, by pchnąć rozbite drzwi, kiedy nagle świat znowu ogarnęło szaleństwo!

Jeden z pojazdów stojących na parkingu, duża ciężarówka, ruszył raptownie z przeraźliwym rykiem silnika prosto w jego kierunku, szybko nabierając prędkości. Jednocześnie zaterkotał pistolet maszynowy, a ściana tuż koło Jasona pokryła się gejerami wybuchów. Rzucił się w lewo, rozpaczliwie toczył się po ziemi, nie zważając na to, że piach zasypuje mu oczy i wciska się do ust. Byle szybciej, byle dalej od koszmaru!

I wtedy stało się to, czego podświadomie oczekiwał. Potężna eksplozja wysadziła w

powietrze drzwi i fragment ściany, a poprzez kłęby czarnego dymu i białego pyłu dostrzegł skuloną postać, uciekającą z wyraźnym trudem w kierunku półkola pojazdów. A więc zabójcy udało się jednak uciec, ale on, Jason, żył! Przyczyna była oczywista: Szakał popełnił błąd. Nie w samej konstrukcji pułapki, bo ta była znakomita. Carlos wiedział, że jego śmiertelny wróg działa we współpracy z KGB, więc zaczął się na niego na zewnątrz. Wiedział, że Bourne przybiegnie, jak tylko usłyszy odgłos zderzenia. Błąd polegał na sposobie umieszczenia ładunków wybuchowych. Szakał wsadził je pod maskę ciężarówki, na silnik, a wiadomo przecież, że wyzwolona w wyniku wybuchu energia szuka ujścia tą drogą, gdzie napotyka najmniejszy opór. Cienka warstwa blachy stanowiła przeszkodę znacznie łatwiejszą do pokonania niż masa zgromadzonego pod spodem żelaza i dlatego większa część podmuchu i porozrywanych strzępów metalu poszła w górę, nie czyniąc nikomu żadnej szkody.

Nie ma czasu na rozmyślanie! Ogarnięty potwornym strachem Bourne zerwał się na nogi i pobiegł co sił do samochodu, którym jechali Aleks i Dymitr. W chwili, gdy do niego dotarł, czyjaś duża dłoń wyłoniła się zza rozbitej szyby i zacisnęła na oparciu. Jason raptownym szarpnięciem otworzył przednie drzwi; Krupkin leżał wciśnięty między fotel pasażera a tablicę przyrządów, krwawiąc obficie z poszarpanej rany w prawym barku.

- Trafił nas - powiedział oficer KGB słabym, ale spokojnym głosem. - Aleksiej dostał bardziej ode mnie, więc najpierw zajmij się nim z łaski swojej.

- Ludzie zaraz zaczną wychodzić z...

- Masz! - przerwał mu Krupkin, sięgając z wysiłkiem do kieszeni. Podał mu swoją plastikową kartę identyfikacyjną. - Przyprowadź mi tego durnia, który tu dowodzi. Potrzebny nam natychmiast lekarz. Dla Aleksieja, kretynie, nie dla mnie! Pośpiesz się!

Dwaj ranni mężczyźni leżeli obok siebie na stołach zabiegowych w ambulatorium. Bourne stał przy drzwiach, opierając się o ścianę. Obserwował wszystko, co działo się w pokoju, choć z tego, co mówiono, nie rozumiał ani słowa. Z jednego z moskiewskich szpitali przywieziono helikopterem trzech lekarzy - dwóch chirurgów i anestezjologa. Jak się okazało, ten ostatni był niepotrzebny, bo środki znieczulające, jakie znajdowały się w ambulatorium, były zupełnie wystarczające. Po ich podaniu obu rannym wstrzyknięto także silną dawkę antybiotyków. Jeden z lekarzy wyjaśnił uczenie, że przez ciała Conklina i Krupkina przeleciały z dużą szybkością obce objekty.

- Przypuszczam, że ma pan na myśli po prostu kule - zauważył zgryźliwie Dymitr.

- Ja też tak podejrzewam - odezwał się zachrypniętym głosem Aleks. Emerytowany agent CIA nie mógł poruszyć głową z powodu bandaża spowijającego jego szyję. Opatrunek sięgał do mostka i prawego barku.

- Owszem - odparł chirurg. - Obaj mieliście dużo szczęścia, szczególnie pan, panie Amerykaninie. Muszę sporządzić na pański temat poufny raport. Aha, przy okazji: proszę podać komuś z naszych ludzi adres pańskiego lekarza, żebyśmy mogli się z nim skontaktować. Będzie pan potrzebował jego opieki jeszcze przez co najmniej kilka tygodni.

- Chwilowo przebywa w szpitalu w Paryżu.

- Proszę?

- Kiedy coś mi dolega, idę do niego, a on odsyła mnie do kogoś, kto może mi pomóc.

- To trochę inaczej niż w społecznej służbie zdrowia.

- Ale mi odpowiada. Oczywiście, podam jego adres pielęgniarce. Przy odrobinie szczęścia może wkrótce będzie OK.

- To pan miał szczęście, nie on.

- Po prostu byłem bardzo szybki, doktorze, podobnie jak ten oto towarzysz. Zobaczyliśmy, że ten sukinsyn do nas biegnie, więc zamknęliśmy od środka drzwi i rzucaliśmy się po całym samochodzie, waląc do niego, z czego tylko mieliśmy. Chciał podejść jak najbliżej, żeby nas załatwić, co mu się prawie udało... Strasznie mi żal kierowcy.

Dzielny był z niego chłopak.

- I nieopanowany - wtrącił się Krupkin. - Wpakował się w autobus już po pierwszych strzałach znad bocznego wejścia.

Drzwi ambulatorium otworzyły się z hukiem i do pokoju wkroczył komisarz z mieszkania przy Sadowej, człowiek w niechlujnym mundurze z tępą, prostacką twarzą. Jego wygląd i sposób mówienia doskonale do siebie pasowały.

- Ej, ty - zwrócił się obcesowo do lekarza. - Rozmawiałem z twoimi kolegami na korytarzu. Podobno już tu skończyłeś.

- Niezupełnie, towarzyszu. Pozostały jeszcze pewne drobiazgi, jak na przykład...

- Później - przerwał mu komisarz. - Musimy porozmawiać. Prywatnie.

- Czy to polecenie służbowe? - zapytał lekarz z lekką, ale wyczuwalną pogardą w głosie.

- Oczywiście. Komitetu.

- Czy wy trochę z tym nie przesadzacie? - mruknął chirurg, kierując się do wyjścia.

- Że co?

- Przecież słyszeliście, towarzyszu.

Komisarz wzruszył ramionami i poczekał, aż lekarz zamknie za sobą drzwi, po czym zbliżył się do stołów zabiegowych, spoglądając swymi skrytymi za fałdami tłuszczu oczami to na jednego, to na drugiego rannego, i wypluł jedno, jedyne słowo:

- Nowogród!

- Co?

- Co takiego?

Obaj zareagowali niemal jednocześnie. Nawet Bourne oderwał się raptownie od ściany.

- Wy, *Amierikancy*... - zaczął komisarz po rosyjsku, po czym postanowił zrobić użytek ze swojej ograniczonej znajomości angielskiego. - Wy rozumiecie, co ja mówię?

- Jeżeli pan powiedział to, co mnie się wydaje, że usłyszałem, to chyba rozumiem, choć przyznam, że raczej niewiele.

- Zaraz wszystko dobrze wytłumaczę. Pytaliśmy dziewięć ludzi, których zamknął w magazynie. Zabił dwaj strażnicy, bo nie chcieli go puścić, okay? Zabrał kluczyki cztery mężczyźni, ale nie pojechał, okay?

- Widziałem, jak biegł do samochodów!

- Których? Zabił jeszcze trzy inne ludzie, zabrał papiery. Które samochody?

- Na litość boską, sprawdźcie w wydziale komunikacji, czy jak to się u was nazywa!

- Za dużo czasu. Poza tym, w Moskwie dużo samochodów z inne tabliczki - Leningrad, Smoleńsk, nie wiadomo jakie - nikt nie powie, który ukradli.

- O czym on mówi, do diabła? - wykrzyknął Jason.

- Handlem samochodami i całą administracją kieruje państwo - wyjaśnił słabym głosem Krupkin. - Każde większe miasto ma swoje biuro i nie chętnie współpracuje z kimkolwiek z zewnątrz.

- Dlaczego?

- Ludzie przekupują urzędników, a ci rejestrują samochody na nazwisko kogoś z rodziny albo nawet zupełnie obcego człowieka. Chodzi o to, że w sprzedaży jest bardzo mało pojazdów, więc staramy się unikać spekulacji. Mój szanowny kolega chciał ci po prostu powiedzieć, że może minąć kilka dni, zanim uda się ustalić, który samochód ukradł Szakal.

- To czyste wariactwo!

- Pan to powiedział, panie Bourne, nie ja. Proszę nie zapominać, że jestem lojalnym obywatelem Związku Radzieckiego.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z Nowogrodem? Bo chyba ma, prawda?

- *Nowgorod, szto eto znaczyt?* - zapytał Krupkin swojego zwierzchnika. Komisarz zapoznał swego kolegę z Paryża ze wszystkimi szczegółami. Dymitr słuchał z uwagą, a

następnie odwrócił głowę w kierunku Jasona. - Wiadomo już, jak to wszystko się stało - powiedział z wysiłkiem. Jego głos przycichł, oddychał z wyraźnym trudem. - Carlos zauważył cię z okna korytarza na pierwszym piętrze i wpadł do magazynu, wrzeszcząc jak wariat, którym zresztą jest. Krzyczał do zakładników, że jesteś już jego i za chwilę zginiesz... I że w takim razie pozostała mu do zrobienia tylko jedna rzecz.

- Nowogród... - wyszeptał Conklin, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w sufit.

- Dokładnie. - Conklin spojrzał na profil swego kolegi po fachu. - Wraca tam, gdzie się narodził... Gdzie Iljicz Ramirez Sanchez przemienił się w Carlosa, bo odkrył, że ma zostać zlikwidowany jako niebezpieczny szaleniec. Przykładał wszystkim po kolei broń do gardła i wypytywał o najkrótszą drogę do Nowogrodu, grożąc, że ich zabije, jeśli będą próbowali go oszukać. Nikt się nie odważył, ma się rozumieć, ale dowiedział się tylko tyle, że to pięćset lub sześćset kilometrów stąd, a więc cały dzień jazdy samochodem...

- Samochodem? - wtrącił się Bourne.

- Wie doskonale, że nie może skorzystać z żadnego innego środka transportu. Wszystkie dworce kolejowe i lotniska, nawet te najmniejsze, są pod ciągłą obserwacją. Carlos zdaje sobie z tego sprawę.

- Co on chce zrobić w Nowogrodzie, do diabła? - zapytał szybko Jason.

- To wie tylko jeden Bóg, czyli nikt. Przypuszczam, że pragnie zostawić po sobie jakąś bolesną pamiątkę, żeby zemścić się na tych, którzy odtrącili go ponad trzydzieści lat temu, a także na tych, których zabił dziś rano na Wawilowa... Ma przy sobie dokumenty naszego agenta, który przeszedł szkolenie w Nowogrodzie, i pewnie myśli, że go tam wpuszczą. Myli się. Zatrzymamy go, jak tylko się pojawi.

- Ani się ważcie! - wykrzyknął Bourne. - Poza tym, może wcale z nich nie skorzysta. Wszystko zależy od tego, co tam zobaczy i wyczuje. Nie potrzebuje żadnych dokumentów, żeby się tam dostać, tak samo jak ja, ale jeżeli coś mu się nie spodoba, zabije następnych kilku ludzi, a wy nic na to nie poradzicie.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Krupkin ze znużeniem, przyglądając się temu dziwnemu Amerykaninowi sprawiającemu czasem wrażenie, jakby w jego ciele mieszkało dwóch zupełnie różnych ludzi.

- Wpuście mnie tam przed nim, z dokładną mapą całego terenu i jakimś świstkiem, który zapewniłby mi swobodę poruszania się.

- Oszalałeś! - wykrzyknął słabym głosem Dymitr. - Amerykanin, poszukiwany przez policję całej Europy Zachodniej, w Nowogrodzie?!

- *Niet, niet!* - ryknął komisarz. - Ja wszystko dobrze rozumiem, okay? Ty jesteś wariat, okay?

- Chcecie zniszczyć Szakala?

- Oczywiście, ale nie za wszelką cenę!

- Nie interesuje mnie ani wasz Nowogród, ani to, co w nim robicie. Wydawało mi się, że już to do was dotarło. Nasze śmieszne, szpiegowskie zabawy mogą trwać bez końca, bo w gruncie rzeczy nie mają żadnego znaczenia. Tak jak powiedziałem: to tylko zabawy, nic więcej. Albo dogadamy się i będziemy razem żyć na tej planecie, albo rozwalimy ją na kawałki... Chodzi mi wyłącznie o Carlosa. Muszę go zabić, żeby móc żyć.

- Osobiście zgadzam się z tym, co mówisz, choć chyba sam przyznasz, że te zabawy dają nam wcale nie najgorsze zajęcia... Ale nie widzę sposobu, w jaki mógłbym przekonać moich zwierzchników, zaczynając od tego, który teraz nade mną stoi.

- W porządku - odezwał się ze swojego stołu Conklin, nie zmieniając pozycji. - Możemy zawrzeć układ: jeśli wpuście go do Nowogrodu, możecie zatrzymać Ogilviego.

- My już go mamy, Aleksiej.

- Niezupełnie. Waszyngton wie, że on tu jest.

- A więc?

- A więc mogę im powiedzieć, że wam uciekł, a oni mi uwierzą. Wcisnę im bajeczkę, że zwał wam sprzed nosa, a wy o mało się nie wściekliście, ale już nic nie mogliście zrobić, bo znalazł się pod opieką niezależnego państwa, członka Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, mój szanowny, wieloletni przeciwniku, jaką mielibyśmy z tego korzyść?

- Żadnych oskarżeń o ukrywanie amerykańskiego przestępcy, podziękowania za próbę jego ujęcia, przejęcie interesów „Meduzy” w Europie...

To ostatnie przy niebagatelnym udziale niejakiego Dymitra Krupkina, czującego się w kosmopolitycznym świecie Paryża jak ryba w wodzie. Znasz kogoś, kto by się lepiej do tego nadawał...? Pomyśl tylko, Kruppie, wszedłbyś do ścisłego grona najlepiej poinformowanych członków KC! Mógłbyś sprzedać tę nędzną budę nad Jeziorem Genewskim, a kupić ogromną posiadłość nad Morzem Czarnym!

- Muszę przyznać, że to bardzo sensowna i atrakcyjna propozycja - odparł Krupkin. - Znam dwóch lub trzech ludzi z Komitetu Centralnego, z którymi mogę się skontaktować w ciągu paru minut... W ścisłej tajemnicy, ma się rozumieć.

- *Niet!* - wrzasnął ponownie komisarz KGB, waląc pięścią w stół Krupkina. - Ja dobrze trochę rozumiem! Wy mówicie za bardzo szybko, ale ja rozumiem! Wariaci!

- Zamknij się, do cholery! - ryknął Dymitr. - Mówimy o sprawach, o których ty nie masz najmniejszego pojęcia!

- *Szto...?* - Komisarz zareagował niczym dziecko zbesztane przez dorosłego: jego zapuchnięte oczy otworzyły się szeroko, a na twarzy pojawił się wyraz zdumienia i niedowierzania, wywołany gniewnym wybuchem podwładnego.

- Daj szansę mojemu przyjacielowi, Kruppie - poprosił Aleks. - Nie macie nikogo lepszego. Tylko on może pokonać Szakala.

- Może również zginąć, Aleksiej.

- Wiele razy ocierał się o śmierć. Wierzę w niego.

- Wierzysz...! - szepnął rozpaczliwie Krupkin, wznosząc oczy ku sufitowi. - Dobrze, że jeszcze możesz sobie pozwolić na taki luksus. W porządku, zostaną wydane odpowiednie rozkazy, ma się rozumieć w całkowitej tajemnicy. Zawiozę cię do części amerykańskiej, żeby to miało choć pozory prawdopodobieństwa.

- Jak szybko mogę się tam dostać? - zapytał Bourne. - Będę potrzebował maksymalnie dużo czasu.

- Godzinę drogi stąd jest lotnisko, nad którym sprawujemy całkowitą kontrolę, ale najpierw muszę poczynić niezbędne przygotowania. Podaj mi telefon... Tak, ty, niedorozwinięty komisarzu! I ani słowa więcej, rozumiesz? Telefon!

Jeszcze niedawno wszechmocny i dumny, a teraz zbity z tropu i posłuszny zwierzchnik przyniósł pośpiesznie Krupkinowi aparat.

- Jeszcze jedno - powiedział Bourne. - Niech TASS opublikuje obszerny komunikat o tym, że znany terrorysta Jason Bourne zmarł w Moskwie od ran odniesionych podczas starcia z siłami bezpieczeństwa. Spróbujcie nadać temu możliwie duży rozgłos. Oczywiście żadnych szczegółów, ale wszystko musi mniej więcej odpowiadać prawdzie.

- To żaden problem. Agencja TASS jest posłusznym narzędziem władzy.

- Jeszcze nie skończyłem - mówił dalej Jason. - W tekście komunikatu musi się znaleźć wzmianka, że przy ciele Bourne'a znaleziono mapę drogową Brukseli i okolic z zaznaczonym czerwonym kółkiem Anderlechtem.

- Zamach na głównodowodzącego sił NATO... Bardzo przekonujące. Muszę jednak zwrócić pańską uwagę, panie Bourne, Webb, czy jak tam pan się nazywa, że ta historia w ciągu kilkunastu minut rozejdzie się po całym świecie.

- Wiem o tym.

- I jesteś na to przygotowany?
 - Jestem.
 - A co z twoją żoną? Nie uważasz, że powinienes się z nią skontaktować, zanim świat dowie się o twojej śmierci?
 - Nie. Nie wolno nam dopuścić do powstania przecieku.
 - Boże! - wybuchnął Aleks. - Przecież mówisz o Marie, nie o jakimś obcym człowieku!
- Ona się załamie!
- Muszę podjąć to ryzyko - odparł lodowatym tonem Delta Jeden z „Meduzy”.
 - Ty sukinsynu!
 - Niech i tak będzie - zgodził się kameleon.

John St. Jacques wszedł z komputerowym wydrukiem w dłoni do rozświetlonego słonecznymi promieniami pokoju w wiejskim, specjalnie strzeżonym domu w stanie Maryland. Czuł, że jeszcze chwila, a wzbierające mu w oczach łzy popłyną po policzkach. Jego siostra bawiła się z tryskającym zdrowiem Jamiem na podłodze obok kanapy, ułożywszy uprzednio do snu na piętrze małą Alison. Marie miała zmęczoną, wychudzoną twarz i sińce pod oczami; wycieńczyło ją zarówno ciągłe napięcie, jak i długa, idiotycznie zaplanowana podróż z Paryża do Waszyngtonu. Choć dotarła do domu zaledwie wczoraj późnym wieczorem, wstała z samego rana, żeby jak najdłużej być z dziećmi. Nie odwiedła jej od tego nawet matczyzna, troskliwa perswazja pani Cooper. John gotów byłby zrezygnować z kilku lat życia, gdyby w zamian nie musiał przejść przez to, co go czekało za chwilę, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego wyboru. Powinien być z siostrą, kiedy ona się o tym dowie.

- Jamie, pójdz poszukać pani Cooper, dobrze? - powiedział łagodnie. - Wydaje mi się, że jest w kuchni.
- Dlaczego, wujku?
- Chcę porozmawiać z twoją mamą.
- Ależ, Johnny... - zaprotestowała Marie.
- Proszę, siostrzyczko.
- Co się...

Chłopiec wyszedł, obrzuciwszy uprzednio swego wuja długim, smutnym spojrzeniem. Jak to często zdarza się dzieciom, wyczuwał, że jest świadkiem czegoś, co przekracza jego zdolność pojmowania. Marie zerwała się na równe nogi i utkwiała wzrok w bracie; po jej policzkach jedna za drugą zaczęły toczyć się łzy. Właściwie nie musiał nic mówić - okropna wiadomość została już przekazana.

- Nie...! - wyszeptała, blednąc jeszcze bardziej. - Dobry Boże, nie! - krzyknęła i zaczęła drżeć na całym ciele. - Nie! Nie!!!

- On nie żyje, siostrzyczko. Chciałem, żebyś dowiedziała się tego ode mnie, nie z radia albo z telewizora. Chcę być z tobą.

- To nieprawda, nieprawda! - zawyła rozpaczliwie Marie, rzucając się w jego stronę. Chwyła go za koszulę na piersi i zacisnęła kurczowo materiał w dłoniach. - Przecież ma ochronę! Sam mi powiedział, że będą go chronić...!

- Właśnie dostałem to z Langley - powiedział jej brat, wskazując na wydruk z komputera. - Holland zadzwonił kilka minut temu i powiedział, że lada moment powinno do nas dotrzeć. Wiedział, że będziesz chciała to zobaczyć. Radio Moskwa nadało wiadomość dzisiaj w nocy. Rano powtórzą ją we wszystkich dziennikach.

- Pokaż! - krzyknęła buntowniczo.

St. Jacques podał jej kartkę i położył delikatnie dłonie na ramionach siostry, gotów w każdej chwili wziąć ją w objęcia i pocieszyć w takim stopniu, w jakim było to możliwe.

Marie przeczytała szybko wiadomość, po czym strząsnęła jego rękę, zmarszczyła brwi, podeszła do kanapy i usiadła. Była niesamowicie skoncentrowana; położywszy wydruk na stoliku studiowała go z taką uwagą, jakby to był zwój staroegipskiego papirusu.

- On nie żyje, Marie. Nie mam pojęcia, co powiedzieć... Wiesz przecież, co do niego czułem.

- Wiem, Johnny. - Ku jego nieopisanemu zdumieniu uniosła głowę i spojrzała na niego z lekkim uśmiechem. - Mimo wszystko trochę za wcześnie na łzy, braciszku. On żyje. Jason Bourne żyje. To tylko podstęp, a to oznacza, że David również żyje i ma się dobrze.

Mój Boże, biedactwo nie może się z tym pogodzić, pomyślał John St. Jacques, podchodząc do kanapy. Ukląkł przy stoliku i wziął w dłonie rękę swojej siostry.

- Kochanie, nie jestem pewien, czy rozumiałaś, co ci powiedziałem. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, ale najpierw musisz mnie zrozumieć.

- Jesteś kochany, braciszku, ale to ty niczego nie rozumiesz. Nie przeczytałeś uważnie tej wiadomości. Jej treść tak cię przerażyła, że nie zwróciłeś uwagi na to, co jest w podtekście. My, ekonomiści, nazywamy to działaniami pozorującymi przeprowadzonymi za pomocą gęstego dymu i luster.

- He...? - wykrztusił St. Jacques, wstając z klęczek. - O czym ty mówisz?

Marie wzięła ze stolika wydruk i zaczęła mówić, przesuwając po nim wzrokiem.

- Po kilku niejasnych, a nawet sprzecznych fragmentach relacji naocznych świadków, którzy byli w tym magazynie broni czy jak to się nazywa, jest najważniejsze: „Wśród przedmiotów znalezionych przy ciele zastrzelonego terrorysty była między innymi mapa samochodowa Brukseli i okolic z wyraźnie zaznaczonym rejonem Anderlechtu”. Zaraz potem dają do zrozumienia, że ma to bezpośredni związek z zamachem na generała Teagartena. To bzdura, Johnny, a przemawiają za tym aż dwa fakty. Po pierwsze, David z pewnością nie nosiłby przy sobie tej mapy, bo i po co, a po drugie, i nawet ważniejsze, już sam fakt, że radzieckie środki masowego przekazu nadały tej sprawie tak ogromny rozgłos, jest wręcz nieprawdopodobny, a to, że sami wskazali na związek z zamachem na Teagartena, po prostu nie mieści się w głowie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że rzekomego sprawcę zastrzelono w ZSRR, a Moskwa z pewnością nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego... Nie, braciszku, ktoś zmusił TASS do podania tej informacji i jestem pewna, że spadnie tam za to sporo głów. Nie wiem, gdzie teraz jest Jason Bourne, ale nie mam ani cienia wątpliwości co do tego, że żyje. David dopilnował, żebym o tym wiedziała.

Peter Holland podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z Charlesem Casetem.

- Tak?

- Tu Peter.

- Miło mi to słyszeć.

- Dlaczego?

- Bo od jakiegoś czasu dostaję przez ten telefon same przykre, a nawet sprzeczne wiadomości. Przed chwilą rozmawiałem z naszym człowiekiem na Łubiance. Powiedział mi, że w KGB szaleją z wściekłości.

- Chodzi o informację TASS o Bournie?

- O nic innego. TASS i Radio Moskwa uznały, że jest zgoda na publikację, bo wiadomość nadeszła faksem z Departamentu Informacji wraz z poleceniem natychmiastowego rozpowszechniania. Kiedy wybuchł skandal, nikt się nie przyznał do tego, że ją nadał, i nie sposób ustalić, kto to właściwie zrobił.

- Co o tym myślisz?

- Nie jestem pewien, ale sądząc z tego, czego dowiedziałem się o Krupkinie, to może być w jego stylu. Teraz pracuje z Conklinem, a o ile znam świętego Aleksa, on przystałby z radością na taką akcję.
- To by się zgadzało z tym, co uważa Marie.
- Marie?
- Żona Bourne'a. Właśnie z nią rozmawiałem. Ma mocne argumenty. Twierdzi, że wiadomość stanowi tylko zasłonę dymną, i że jej mąż żyje.
- Zgadza się z nią. Czy po to do mnie dzwonisz?
- Nie - odparł dyrektor CIA, nabierając głęboko powietrza. – Obawiam się, że dorzucę swój kamyczek do twojego stosu kłopotów i sprzeczności.
- Nie powiem, żebym był tym zachwycony. Co to jest?
- Numer telefonu w Paryżu, ten, który dostaliśmy od Henry'ego Sykesa z Montserrat, do kawiarni na nabrzeżu Marais.
- Tam, gdzie dzwoniło się do Kosa? Pamiętam.
- Ktoś wreszcie odpowiedział, a nasz człowiek poszedł za nim. Nie spodoba ci się to, co teraz powiem.
- Aleks Conklin zasłużył sobie na nagrodę dla Najwspanialszego Fiuta Roku. To on podsunął nam Sykesa, prawda?
- Zgadza się.
- Mów, co masz do powiedzenia.
- Wiadomość dostarczono do domu dyrektora Deuxieme Bureau.
- Boże! Musimy natychmiast zawiadomić francuski kontrwywiad!
- Nikogo o niczym nie będę zawiadamiał, dopóki nie otrzymamy jakiegoś sygnału od Conklina. Mam wrażenie, że jesteśmy mu przynajmniej tyle winni.
- Co oni tam wyprawiają, do diabła? - wykrzyknął sfrustrowany zastępca dyrektora. - Wystawiają sobie nawzajem fałszywe nekrologi? W Moskwie? Jeżeli tak, to po co?
- Jason Bourne wyruszył na polowanie - powiedział cicho Peter Holland. - Kiedy zabije zwierzynę, musi mieć zapewnioną drogę ucieczki z lasu... Postaw w stan pogotowia wszystkie stacje nasłuchowe wzdłuż granic Związku Radzieckiego. Hasło: zabójca. Trzeba go stamtąd wyciągnąć.

Rozdział 40

Nowogród. Powiedzieć, że jest to coś nieprawdopodobnego to mało. Już sam pomysł stworzenia takiego miejsca wydawałby się nieprawdopodobny. Nowogród był szczytem fantazji, iluzją doskonalszą od rzeczywistości, namacalną i pod każdym względem realną fantasmagorią. Usytuowano go na rozległym terenie wydartym nieprzebytym lasom rozciągającym się wzdłuż rzeki Wołchow. Od momentu, kiedy Bourne wyszedł z wydrążonego pod korytem rzeki tunelu, pilnowanego przez strażników i niezliczone kamery, znajdował się niemal bez przerwy w stanie szoku, zachowując jednocześnie zdolność chodzenia, obserwowania i myślenia.

Strefa amerykańska, przypuszczalnie tak samo jak wszystkie inne, była podzielona na wiele wyraźnie od siebie odseparowanych części, zajmujących od dwóch do pięciu akrów powierzchni każda. Jeden z fragmentów, usytuowany nad brzegiem rzeki, przypominał do złudzenia miasteczko w stanie Maine; inny, w głębi łąd, osadę gdzieś na południu Stanów Zjednoczonych; jeszcze inny - zatłoczoną ulicę dużego miasta. Każdy fragment był całkowicie autentyczny, ze starannie odtworzonym ruchem pojazdów, patrolami policji, stojami, sklepami, kawiarniami, stacjami benzynowymi i makietami budynków. Niektóre z nich wznosiły się na dwa piętra w górę i były wykonane z elementów pochodzących z amerykańskich wytwórni. Równie ważny jak wygląd był język - obfitujący w idiomatyczne wyrażenia i w zależności od miejsca zabarwiony wpływami odpowiednich dialektów. Podczas swojej wędrówki Jason miał wrażenie, że przemierza wzdłuż i wszerz całe Stany; słyszał wokół siebie akcent Nowej Anglii, by już za chwilę znaleźć się na Środkowym Zachodzie, z jego charakterystyczną nazalizacją głosek, a zaraz potem zanurzyć się w rwącym strumieniu języka wielkich miast Wschodniego Wybrzeża. To było rzeczywiście nieprawdopodobne. Człowiek nie mógł w to uwierzyć, a jednocześnie musiał, co napełniało go podejrzeniami wobec samej rzeczywistości.

Podczas lotu otrzymał nieco podstawowych informacji od absolwenta Nowogrodu, którego Krupkin ściągnął na łeb na szyję z jego moskiewskiego mieszkania. Był to niski, łysiejący mężczyzna, chętny do współpracy i na swój sposób także zupełnie nieprawdopodobny. Gdyby jeszcze niedawno ktoś powiedział Bourne'owi, że uzyska informacje o najpilniej strzeżonych tajemnicach radzieckiego wywiadu od rosyjskiego agenta, mówiącego po angielsku z wyraźnym południowym akcentem, uznałby taką przepowiednię za całkowitą nedorzecznosc.

- Cholera, ale mi brakuje tych przyjęć pod gołym niebem, a szczególnie żeberka z rusztu! Wie pan, kto je najlepiej przyrządzał? Pewien czarnuch, którego uważałem za mojego najlepszego przyjaciela, dopóki na mnie nie doniósł. Wyobraża pan sobie? Myślałem, że należy do radykałów, a tym czasem okazało się, że pracuje dla FBI. Prawnik, niech go gęś kopnie... Wymienili mnie w biurze Aeroflotu w Nowym Jorku. Nadal do siebie pisujemy.

- Zabawy dorosłych... - mruknął Bourne.
- Zabawy...? Tak, był nawet niezłym trenerem.
- Jak to?
- Po prostu. Prowadził małą drużynę z East Point. To tuż koło Atlanty.
Nieprawdopodobne.
- Czy możemy skoncentrować się na Nowogrodzie?
- Jasne. Dymitr chyba powiedział panu, że jestem już właściwie na emeryturze, ale dorabiam sobie pięć razy w miesiącu jako instruktor.
- Powiedział, ale nie zrozumiałem, co ma na myśli.

- Wytłumaczę panu.

Dziwny Rosjanin mówił jak stary konfederat, ale dawał wyczerpujące wyjaśnienia.

Ludzie przebywający w każdej części Nowogrodu byli podzieleni na trzy kategorie: instruktorów, kandydatów i obsługę. Do tej ostatniej zaliczał się personel KGB, strażnicy i pracownicy techniczni. Funkcjonowanie ośrodka opierało się na bardzo prostych zasadach: kierownictwo codziennie ustalało plan szkolenia, osobno dla każdej części, a instruktorzy, zarówno pełnoetatowi, jak i zatrudnieni w niepełnym wymiarze godzin emeryci, prowadzili indywidualne i grupowe zajęcia, posługując się wyłącznie językiem i dialektem obowiązującym w danej części ośrodka. Porozumiewanie się po rosyjsku było surowo zabronione; instruktorzy często sprawdzali, czy kandydaci pamiętają o tym zakazie, wyrzaskując niespodziewanie rozkazy i obelgi w ojczystym języku. Żaden ze szkolonych mężczyzn nie miał prawa zareagować.

- Co pan rozumie przez plan szkolenia? - zapytał Bourne.

- Różne sytuacje, przyjacielu. Wszystko, co tylko może ci przyjść do głowy. Obiad w restauracji, zakupy w sklepie, tankowanie samochodu... Jaką benzynę wybrać, czy zwykłą, czy bezołowiową, jak o nią poprosić –jednym słowem wszystko, o czym my tutaj nie mamy najmniejszego pojęcia. Ma się rozumieć, od czasu do czasu aplikujemy kandydatom różne niespodzianki, żeby sprawdzić, jak zareagują - na przykład wypadek samochodowy, a co za tym idzie, konieczność składania zeznań policji i wypełniania formularzy ubezpieczeniowych. Zbyt duża ignorancja może wzbudzić podejrzenia.

Szczegóły. Pozornie nieistotne szczegóły. One są najważniejsze. Na przykład boczne drzwi magazynu broni w Kubince.

- Co jeszcze?

- Cała masa drobiazgów, pozornie nieważnych, które jednak mogą za zdecydować o wszystkim. Na przykład, co robić, jeśli jakiś opryszek zaczepi cię nocą w ciemnej uliczce? Proszę pamiętać, że wszyscy nasi agenci przechodzą także kurs samoobrony, ale nie zawsze jest wskazane, żeby korzystali ze swoich umiejętności. Trzeba nie tylko wiedzieć, co można, ale także, gdzie i kiedy. A najważniejsza jest dyskrecja... W każdym razie ja tak uważam. Osobiście zawsze byłem zwolennikiem stawiania kandydatów wobec możliwie wielu niespodziewanych, wymagających szybkiego myślenia sytuacji. Instruktorzy mogą je aranżować według własnego uznania, pod warunkiem jednak, żeby mieściły się w ustalonym schemacie szkolenia z zakresu penetracji środowiskowej.

- Co to znaczy?

- Zawsze staraj się czegoś nauczyć, ale nigdy nie daj tego po sobie poznać. Na przykład moim ulubionym zagranem było zagadywanie naszych kandydatów w jakimś barze, umownie usytuowanym w pobliżu ważnych instalacji wojskowych. Udawałem zrzedliwego cywilnego pracownika albo rozżalonego na cały świat dostawcę jakichś podzespołów - w każdym razie kogoś, kto dysponuje dostępem do ważnych informacji - i zaczynałem paplać o różnych sprawach, w tym także o tych otoczonych ścisłą tajemnicą.

- Pozwoli pan, że zadam z ciekawości jedno pytanie? - przerwał mu Bourne. - Jak w takiej sytuacji powinni się zachować kandydaci?

- Słuchać uważnie i zapamiętać każdy istotny fakt, cały czas udając, że ich to w najmniejszym stopniu nie obchodzi i rzucając od czasu do czasu uwagi w rodzaju... - W tym momencie absolwent Nowogrodu, który sprawiał wrażenie mieszkańca nizin Południa, zaczął mówić jak rodowity góral. - „Kogo, psiamać, obchodzi takie pieprzenie?”. Albo: „Czy ktoś tu, kurwa, kuma, o co biega temu gościowi?. Lub: „W ogóle nie kapuję, o czym pieprzysz, zasrańcu”.

- A potem?

- Potem wzywałem po kolei wszystkich moich ludzi i kazałem im powtórzyć to, co miało sens w mojej paplaninie.

- A jak ma się rzecz z przekazywaniem informacji? Czy tego również się tutaj uczycie?
- Instruktor spojrział Bourne'owi prosto w oczy i przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu.
- Przykro mi, że zadał pan to pytanie - powiedział wreszcie. – Będę musiał o tym zameldować.
 - Nikt mi nie kazał, po prostu byłem ciekaw. Proszę o tym zapomnieć.
 - Niestety, nie mogę, a nawet gdybym mógł, też bym tego nie zrobił.
 - Ufa pan Krupkinowi?
 - Oczywiście. To fenomen, człowiek wielojęzyczny, a jednocześnie od dany sprawie bohaterski funkcjonariusz KGB.
- Tak ci się tylko wydaje, pomyślał Jason, ale na głos powiedział coś innego.
- W takim razie, proszę jemu o tym zameldować. On sam panu powie, że to była tylko ciekawość. Nie mam żadnych zobowiązań wobec mojego rządu. Wręcz przeciwnie - to rząd jest coś winien mnie.
 - W porządku... A skoro już o panu mowa: co prawda z polecenia Dymitra zorganizowałem panu przyjazd do Nowogrodu, ale proszę mi nie mówić, czego pan tam szuka. Ta sprawa mnie nie interesuje. Podobnie jak pana nie powinna interesować ta, o którą pan pytał.
 - Rozumiem. Ustalił pan wszystkie szczegóły?
 - W sposób, który panu wkrótce przedstawię, skontaktuje się pan z młodym instruktorem, który używa imienia Beniamin. Najpierw jednak powiem panu kilka słów o nim, żeby zrozumiał pan jego nastawienie. Jego rodzice byli oboje oficerami KGB, pracującymi od niemal dwudziestu lat w naszym konsulacie w Los Angeles. Beniamin wychowywał się i kształcił w Ameryce, aż do chwili, gdy on i jego ojciec zostali pośpiesznie ściągnięci do Moskwy. To było cztery lata temu.
 - Tylko on i ojciec?
 - Tak. Matka została schwytana przez FBI w bazie morskiej w San Diego. Do końca wyroku zostały jej jeszcze trzy lata. Nie objęły jej ani amnestie, ani wymiana szpiegów.
 - Zaraz, chwileczkę! Z tego wynika, że to nie tylko nasza wina.
 - Wcale nie twierdzę, że wasza, po prostu relacjonuję fakty.
 - Rozumiem. A więc mam się skontaktować z Beniaminem.
 - Tylko on jeden wie, kim pan jest - będzie pan używał imienia Arehie - i zapewni panu możliwość swobodnego podróżowania między poszczególnymi częściami ośrodka.
 - Dostanę przepustkę?
 - On wszystko panu wyjaśni. Będzie pana także pilnował, nie odstąpi ani na krok. Szczerze mówiąc, wie więcej niż ja, bo rozmawiał o panu z Krupkinem... Życzę pomyślnych łowów, jeżeli wybiera się pan na polowanie. Tylko proszę przez pomyłkę nie sprzątać nam jakiegoś Indianina. Nie mamy ich zbyt wielu.

Podążając za drogowskazami - wszystkie były po angielsku - Bourne dotarł do miasta Rockledge w stanie Floryda, piętnaście mil na południowy zachód od przylądka Canaveral. Miał się spotkać z Beniaminem w kafeterii miejscowego domu towarowego Woolwortha; kazano mu szukać dwudziestokilkuletniego mężczyzny w czerwonej kraciatej koszuli. Na stołku obok miała leżeć baseballowa czapeczka z napisem „Budweiser”. Było pięć minut po umówionej godzinie; dochodziła trzecia dwadzieścia pięć po południu.

Zobaczył go. Jasnowłosy, wychowany w Kalifornii Rosjanin siedział przy barze w głębi sali; na stołku po jego lewej stronie leżała baseballowa czapeczka. W kafeterii znajdowało się zaledwie kilka osób, które rozmawiały dość głośno, jadły coś i popijały chłodzące napoje. Jason zbliżył się do czekającego na niego mężczyzny.

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytał cicho, wskazując na stołek z czapeczką.
- Czekam na kogoś - odpowiedział młody instruktor KGB, obrzucając twarz Bourne'a uważnym spojrzeniem swoich szarych oczu.
- W takim razie poszukam innego miejsca.
- Myślę, że ona nie przyjdzie wcześniej niż za jakieś pięć minut.
- Chcę tylko napić się coli. Na pewno zdążę.
- Proszę siadać - powiedział Benjamin, biorąc do ręki czapeczkę i od niechcenia wkładając ją na głowę. Jason zamówił colę u żującego zaciekle gumę barmana; szklanka i puszka zjawiły się w ciągu kilku sekund.
- A więc pan nazywa się Archie - powiedział przyciszonym głosem Rosjanin, pociągając przez słomkę mleczny koktajl. - Zupełnie jak w komiksach.
- A pan jest Benjamin. Miło mi pana poznać.
- Wkrótce obaj przekonamy się, czy to prawda. Chyba się nie mylę?
- Czyżby istniał jakiś problem?
- Chcę od razu wyjaśnić reguły, żeby żadnego nie było - odparł chłopak. - Nie podoba mi się, że pana tutaj wpuszczono. Bez względu na to, gdzie poprzednio mieszkałem i jakim językiem mówię, nie przepadam za Amerykanami.
- Posłuchaj mnie, Ben - przerwał mu Bourne, zmuszając go wzrokiem do tego, żeby na niego spojrzeć. - Mnie z kolei nie podoba się to, że twoja matka siedzi w więzieniu, ale nie ją ja tam wsadziłem.
- My wypuszczamy dysydentów i Żydów, a wy trzymacie w celi pięćdziesięcioośmioletnią kobietę, która była zwykłym kurierem! - wycedził z pogardą Rosjanin.
- Nie znam wszystkich szczegółów i, jeśli mam być szczerzy, nie uważam Moskwy za stolicę najbardziej wielkodusznego państwa na świecie, ale jeżeli mi pomożesz - naprawdę pomożesz - to może ja będę mógł pomóc twojej matce.
- Obiecanki cacanki! Kim jesteś, żeby mówić takie rzeczy?
- Jak już powiedziałem godzinę temu w samolocie twojemu łysawemu przyjacielowi, nie jestem dłużnikiem mojego rządu, tylko on jest moim. Pomóż mi, Benjamin.
- Zrobię to, bo dostałem taki rozkaz, a nie dlatego, że dałem się nabrać na twoją gadaninę. Pamiętaj jednak, że jeśli będziesz usiłował węszyć tam, gdzie nie trzeba, nie wyjdiesz stąd żywy. Czy to jasne?
- Nie tylko jasne, ale nieistotne i niepotrzebne. Choć jestem oczywiście zdziwiony i zaskoczony, co zresztą postaram się opanować najlepiej, jak po trafie, wcale nie zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć, co tutaj robicie. Moim zdaniem i tak nic w ten sposób nie osiągnięcie... Chociaż muszę przyznać, że Disneyland w porównaniu z Nowogrodem wygląda jak nudna, prowincjonalna dziura.
- Benjamin parsknął śmiechem, zdmuchując część mlecznej piany ze swojego koktajlu.
- Byłeś kiedyś w Anaheim? - zapytał z figlarnym błyskiem w oku.
- Nie, bo nie mogłem sobie na to pozwolić.
- My dostawaliśmy dyplomatyczne przepustki.
- Boże, a więc mimo wszystko jesteś jednak człowiekiem. Chodź, przejdziemy się trochę i porozmawiamy jak ludzie.

Po przejściu przez miniaturowy mostek znaleźli się w New London w stanie Connecticut, głównym ośrodku konstrukcyjnym amerykańskich okrętów podwodnych, i ruszyli spacerem w kierunku rzeki, która na tym odcinku została przekształcona w zminiaturyzowaną, nadzwyczaj realistyczną kopię ściśle strzeżonej bazy morskiej. Wysokie płoty i uzbrojone patrole „marines” strzeżyły suchych doków, w których spoczywały makiety

atomowych łodzi podwodnych.

- Odtworzyliśmy wszystko, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami - powiedział Beniamin - ale nie udało nam się jeszcze rozpracować waszego systemu zabezpieczeń. Czy to nie zabawne?

- Ani trochę. Po prostu jesteśmy dobrzy.

- Owszem, ale my jesteśmy lepsi. Jeśli nie brać pod uwagę nielicznych, wiecznie niezadowolonych jednostek. Wasz błąd polega na tym, że zbyt łatwo we wszystko wierzycie.

- Jak to?

- W przeciwieństwie do nas biali Amerykanie nigdy nie zaznali smaku niewoli.

- To nie tylko bardzo dawna historia, młody człowieku, ale w dodatku dość tendencyjnie przedstawiana.

- Mówisz jak profesor.

- A gdybym nim był?

- Dyskutowałbym z tobą.

- Tylko pod takim warunkiem, że twoje środowisko pozwoliłoby ci kwestionować mój autorytet.

- Przestań chrzanić, człowieku! Wasza niezrównana akademicka wolność to właśnie zamierzchna historia. Pojeźdź do któregoś z naszych miasteczek akademickich. Mamy tam rock, dzinsy i tyle trawki, że brakuje gazet, żeby zrobić z niej skręty.

- I to ma być postęp?

- To dopiero początek.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Naprawdę możesz pomóc mojej matce?

- Jeśli ty mi pomożesz...

- Spróbuję. Dobra, bierzmy się do tego Carlosa. Słyszałem o nim, ale przyznam, że niezbyt wiele. Dyrektor Krupkin twierdzi, że to bardzo nieprzyjemny gojek.

- Mówisz jak Amerykanin, nie jak Rosjanin.

- Być może, ale nie przywiązuj do tego zbyt wielkiej wagi. Jestem tam, gdzie chcę być, i nie liczę na nic innego.

- Nawet bym nie śmiał.

- Jak to?

- Bunt gości w twoim sercu...

- Szekspir powiedział to dużo lepiej. Jednym z moich przedmiotów w college'u była literatura angielska.

- Jakie były inne?

- Najbardziej lubiłem historię Stanów Zjednoczonych. Chcesz wiedzieć coś jeszcze, dziadku?

- Na razie wystarczy, chłopczyku.

- Wracając do Szakala - podjął przerwany wątek Beniamin, opierając się o ogrodzenie stoczni. Strażnik, który przechadzał się w pobliżu, puścił się pędem w ich stronę. - *Prostitie!* - krzyknął amerykański Rosjanin. - To znaczy, przepraszam! Jestem instruktorem... O, cholera!

- Złoży na ciebie meldunek? - zapytał Jason, kiedy już oddalili się na bezpieczną odległość.

- Nie, jest na to za głupi. To jeden z konserwatorów sprzętu, przebrany w mundur. Udają strażników, ale nie mają pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedzą tylko tyle, że muszą zatrzymywać każdego, kto wchodzi lub wychodzi.

- Jak psy Pawłowa?

- Coś w tym rodzaju. Zwierzęta są w tym najlepsze, bo od razu skaczą do gardła i nie zadają zbędnych pytań.

- Znowu wróciliśmy do Szakala - zauważył Bourne.
- Nie rozumiem.
- Nie musisz, bo to wybitnie symboliczne nawiązanie. Jak twoim zdaniem uda mu się tutaj dostać?
- Nie ma na to żadnych szans. Strażnicy we wszystkich tunelach pod rzeką mają podane numery dokumentów, które zabrał naszemu człowiekowi w Moskwie. Jak tylko się pokaże, zastrzelą go na miejscu.
- Już powiedziałem Krupkinowi, żeby tego nie robić.
- Dlaczego?
- Dlatego, że to nie będzie on i tylko jeszcze jeden człowiek straci niepotrzebnie życie. Wyśle podstawionych ludzi, dwóch, może nawet trzech, aż wreszcie znajdzie jakąś szczelinę i wśliznie się do środka.
- Gadasz od rzeczy. Co miałoby się stać z tymi ludźmi?
- To nie ma znaczenia. Nawet jeżeli zostaną zastrzeleni, też dowie się czegoś w ten sposób.
- Ty naprawdę jesteś szalony. Gdzie znalazłby chętnych?
- Wszędzie, gdzie są ludzie, którzy zechcą w ciągu kilku minut zarobić tyle, ile zwykle zarabiają przez miesiąc. Powie im, że chodzi o rutynową kontrolę posterunków - nie zapominaj, że ma autentyczne dokumenty. W połączeniu z pieniędzmi trudno wyobrazić sobie lepszy argument.
- Ale przy pierwszej próbie straci te papiery! - zaprotestował szybko instruktor.
- Wcale nie. Ma do przejechania ponad sześćset kilometrów i będzie mijał dziesiątki miast i miasteczek. W większości z nich na pewno znajdą się jakieś kserokopiarki; komuś takiemu jak on wystarczy kilka minut, żeby upodobnić kopie do oryginałów. - Bourne przystanął i spojrzał na swego rozmówcę. - Zaprzątasz sobie głowę detalami, Ben, a możesz mi wierzyć, że one nie mają w tym wypadku żadnego znaczenia. Carlos chce tutaj wrócić za wszelką cenę i wróci, choćby nie wiem co. Mamy jednak nad nim przewagę: jeżeli Krupkinowi udało się osiągnąć to, co zamierzał, Szakal myśli, że nie żyje.
- Cały świat myśli, że nie żyjesz... Tak, Krupkin powiedział mi o tym. Byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił. Oficjalnie jesteś rekrutem posługującym się pseudonimem „Archie”, ale ja wiem, kim jesteś naprawdę, Bourne. Nawet gdybym nigdy wcześniej o tobie nie słyszał, teraz na pewno zdążyłbym to nadrobić. Od kilku godzin Radio Moskwa mówi prawie wyłącznie o tobie.
- W takim razie możemy założyć, że Carlos także usłyszał tę wiadomość.
- Na pewno. Tutaj każdy samochód musi być wyposażony w radio. Na wypadek amerykańskiego ataku, ma się rozumieć.
- To najlepszy chwyt reklamowy, o jakim słyszałem.
- Czy naprawdę zabiłeś w Brukseli generała Teagartena?
- Zejdźmy ze mnie, dobrze?
- Jak sobie życzysz. Zdaje się, że chciałeś coś powiedzieć?
- Krupkin powinien mnie to pozostawić.
- Co?
- Kwestię wejścia Szakala na teren Nowogrodu.
- O czym ty mówisz, do cholery?
- Jeśli chcesz, możesz zrobić to za jego pośrednictwem, ale zawiadom strażników we wszystkich tunelach i przy bramach, żeby wpuszczali każdego, kto wylegitymuje się skradzionymi dokumentami. Przypuszczam, że będzie ich czterech lub pięciu. Oczywiście, nie wolno ani na chwilę spuścić ich z oka, ale muszą bez przeszkód tu wejść, rozumiesz?
- To, co mówisz, kwalifikuje cię do długiego pobytu w pokoju wyłożonym grubą, miękką gąbką.

- Wcale nie. Przecież powiedziałem, że trzeba tych ludzi pilnować i meldować nam o każdym ich ruchu.

- Dlaczego?

- Dlatego że najdalej po kilku minutach jeden z nich zniknie, nie wiadomo gdzie ani kiedy. To właśnie będzie Carlos.

- I co dalej?

- Uzna, że nic mu nie grozi i że może robić, co chce, bo ja jestem już martwy. Przestanie być ostrożny.

- Dlaczego?

- Bo wie, zresztą tak samo jak ja, że tylko my dwaj możemy się nawzajem wytropić, wszystko jedno, w dżungli czy w mieście. Pozwala nam na to nienawiść, Beniaminie. I desperacja.

- To jakaś bardzo osobista sprawa, prawda? Zupełnie abstrakcyjna.

- Wręcz przeciwnie - odparł Jason. - Muszę teraz myśleć tak jak on... Uczono mnie tego wiele lat temu. Rozpatrzmy wszystkie możliwości. Jak daleko wzdłuż rzeki ciągnie się Nowogród? Trzydzieści, czterdzieści kilometrów?

- Dokładnie czterdzieści siedem, z czego każdy metr jest pilnie strzeżony. W wodzie są ukryte kratownice z magnezowych rur, umożliwiające jej swobodny przepływ, ale jeśli wpadnie na nie coś o wadze przekraczającej czterdzieści pięć kilogramów, natychmiast uruchamiają alarm. Tak samo specjalne płyty wkopane płytko pod ziemię na wschodnim brzegu. Nawet gdyby jakiemuś czterdziestokilogramowemu cudakowi udało się dotrzeć do ogrodzenia, pierwsze dotknięcie skończyłoby się ciężkim porażeniem prądem. Oczywiście, przewracające się drzewa i większe zwierzęta co jakiś czas powodują fałszywe alarmy, ale to nawet dobrze, bo dzięki temu strażnicy nie wychodzą z wprawy.

- Z tego wynika, że pozostają mu tylko tunele, prawda?

- Sam dostałeś się tutaj przez jeden z nich. Wszystko widziałeś, więc co więcej mogę ci powiedzieć? Może tylko to, że w razie najmniejszego nie bezpieczeństwa zatraskują się stalowe wrota, a tunele mogą zostać całkowicie zalane wodą.

- Carlos wie o tym wszystkim, bo przecież przeszedł tutaj szkolenie.

- Krupkin powiedział mi, że było to wiele lat temu.

- Zgadza się. - Jason skinął głową. - Ciekaw jestem, ile się przez ten czas zmieniło.

- Pod względem technologii bardzo dużo, szczególnie jeśli chodzi o łączność i poziom zabezpieczeń, ale zasada pozostała taka sama. Tunele i kratownice w rzece istnieją już od bardzo dawna, a jeśli chodzi o zmiany na samym terenie ośrodka, to na pewno było ich sporo, ale raczej niezbyt istotnych.

Nikt nie burzył domów ani nie przesuwiał ulic. Łatwiej byłoby przebudować kilka normalnych miast niż jedno tutaj.

Dotarli do miniaturowego skrzyżowania, na którym zde gustowany kierowca chevroleta z początku lat siedemdziesiątych otrzymywał właśnie mandat od niezbyt uprzejmego policjanta.

- A to po co? - zapytał ze zdziwieniem Bourne.

- Chodzi o to, żeby zaszczepić naszym agentom zachowania, do jakich są zupełnie nie przyzwyczajeni. W Stanach często się zdarza, że kierowca klóci się z policjantem. Tutaj jest to nie do pomyślenia.

- Chodzi o kwestionowanie autorytetów, prawda? Dokładnie taka sama sytuacja jak ze studentem przeciwstawiającym się profesorowi. Przypuszczam, że to również należy do rzadkości.

- To zupełnie inna sprawa.

- Skoro tak uważasz... - Jason usłyszał przytłumiony warkot i spojrzał w górę. Lekki, jednosilnikowy hydroplan sunął powoli po niebie wzdłuż rzeki. - Mój Boże, przecież może

przylecieć... - wyszeptał, nie spuszczać wzroku z maszyny.

- Zapomnij o tym - poradził mu Benjamin. - To nasz... Poza tym, są tu tylko lądowiska dla helikopterów, a cały obszar powietrzny nad ośrodkiem jest pod stałą kontrolą radarową. Jeżeli w promieniu pięćdziesięciu kilometrów pojawi się jakiś nie zidentyfikowany samolot, z bazy w Białopolu wystartują myśliwce i zestrzelą go w ciągu kilku minut. - Po drugiej stronie ulicy zebrał się tłumek gapiów, obserwujących sprzeczkę policjanta i kierowcy; kiedy ten ostatni z wściekłością rąbnął pięścią w dach chevroleta, rozległ się aprobujący pomruk. - Amerykanie bywają nieraz strasznie głupi - wymamrotał z zażenowaniem młody instruktor.

- W każdym razie, niektórzy tak właśnie ich sobie wyobrażają - odparł z uśmiechem Bourne.

- Chodźmy - powiedział Benjamin i ruszył przed siebie chodnikiem. - Kilka razy zwracałem kierownictwu uwagę, że to nie najlepszy pomysł, ale oni uparli się, że wyrobienie tego niepokornego nastawienia jest bardzo ważne.

- Przez brak pokory rozumiesz zapewne dyskusję studenta z profesorem i to, że zwykły obywatel odważa się skrytykować publicznie kogoś z Biura Politycznego. Musicie tego uczyć? Wydaje mi się, że każdy ma to we krwi, nie uważasz?

- Nie bądź taki zgryźliwy, Archie.

- Odpręż się, młody Leninie. Gdzie się podziało twoje amerykańskie podejście do życia?

- Zostawiłem je w Los Angeles.

- Chcę obejrzeć mapy. Wszystkie.

- Załatwiłem to. Są już przygotowane.

Siedzieli w sali konferencyjnej kwatery głównej dowództwa Nowogrodu przy dużym, prostokątnym stole usłanym mapami terenu ośrodka. Pomimo czterech godzin maksymalnej koncentracji Bourne nie mógł się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie potrząsnąć ze zdumieniem głową. Miał do czynienia z czymś zakrojonym na większą skalę i bardziej skomplikowanym, niż kiedykolwiek byłby gotów przypuszczać. Uwaga Beniamina, że łatwiej byłoby przebudować kilka prawdziwych miast niż choć część treningowego kompleksu położonego nad rzeką Wołchow, nie była czczą przechwałką, tylko prostym stwierdzeniem faktu. Znajdowały się tu dokładne, choć zmniejszone repliki miast, osad, stoczní, portów lotniczych, instalacji wojskowych i przemysłowych od Morza Śródziemnego po Atlantyk na zachodzie i Zatokę Botnicką na pomocy, a także zminiaturyzowane kopie wielu amerykańskich miejscowości, budowli i zakładów przemysłowych. Wszystko to udało się pomieścić na wydartym gęstemu lasowi pasie gruntu długości czterdziestu kilku i szerokości od pięciu do ośmiu kilometrów.

- Egipt, Izrael, Włochy... - wyliczał powoli Jason, przechadzając się dookoła stołu i spoglądając na rozłożone mapy. - Grecja, Portugalia, Hiszpania, Francja, Wielka Brytania... - Dotarł do przeciwległego rogu, kiedy przerwał mu Benjamin, rozparty niedbale w jednym z foteli.

- Niemcy, Holandia i kraje skandynawskie - uzupełnił. - Jak już mówiłem, większość części dzieli się na dwa lub trzy segmenty, każdy przedstawiający jeden z sąsiadujących ze sobą krajów. Projektanci kierowali się chęcią podkreślenia kulturowych i geograficznych więzi, a przy okazji chcieli zaoszczędzić trochę miejsca. Mamy dziewięć głównych części, a więc dziewięć tuneli oddalonych od siebie przeciętnie o siedem kilometrów, zaczynając od tego tutaj i posuwając się na północ wzdłuż rzeki.

- Czyli następny tunel prowadzi do Wielkiej Brytanii, zgadza się?

- Tak, a kolejne do Francji, Hiszpanii wraz z Portugalią, Egiptu z Izraelem...

- Rozumiem - przerwał mu Jason, siadając przy stole i opierając na blacie splecione dłonie. - Zawiadomiłeś strażników, żeby wpuszczali każdego, kto wylegitymuje się papierami skradzionymi przez Carlosa, bez względu na to, kto to będzie?

- Nie.

- Jak to? - Bourne uniósł gwałtownie głowę i spojrzał ostro na młodego instruktora.
- Poprosiłem o to towarzysza Krupkina. Jest teraz w szpitalu w Moskwie, więc nie będą mogli go zamknąć z powodu przemęczenia służbą, jak to ład nie nazywają.
- W jaki sposób mogę przedostać się do sąsiedniej części? Zależy mi na tym, żeby to było możliwie szybko i bez żadnych problemów.
- Rozumiem, że jesteś zdecydowany wspiąć się na następny szczebel wtajemniczenia?
- Oczywiście. Z tych map już nic więcej się nie dowiem.
- W porządku. - Benjamin sięgnął do kieszeni i wyjął z niej nieduży czarny przedmiot zbliżony wielkością do karty kredytowej, ale nieznacznie od niej grubszy. Rzucił go Jasonowi, który złapał go w locie i zaczął mu się uważnie przyglądać. - Coś takiego mają tylko wyżsi oficerowie i urzędnicy. Jeżeli któryś zgubi to albo straci z oczu choćby na kilka minut, musi o tym natychmiast zameldować.
- Nie widzę żadnych napisów ani znaków...
- Wszystko jest w środku, odpowiednio zakodowane. W każdej bramie łączącej poszczególne części znajduje się specjalny zamek z czytnikiem. Wystarczy to wsunąć, a brama sama się otwiera. Oczywiście każde wejście i wyjście jest rejestrowane w centralnym komputerze.
- Cholernie sprytnie jak na zacofanych marksistów.
- Pamiętam, że już cztery lata temu używali czegoś takiego w hotelu w Los Angeles... A teraz do rzeczy.
- Czyli na ten wyższy stopień?
- Krupkin nazwał to po prostu środkami bezpieczeństwa, przydatnymi zarówno nam, jak i tobie. Jeśli mam być szczerzy, to on raczej nie oczekuje, że wyjdiesz stąd żywy. Gdybyś zginął, kazał nam cię spalić, a popiół rozsypać na cztery wiatry.
- To miło z jego strony.
- Bardzo cię lubi, Bourne... To znaczy, Archie.
- Zdaje się, że chciałeś mi coś powiedzieć.
- Jeżeli chodzi o dowództwo ośrodka, to są przekonani, że jesteś inspektorem z Moskwy, specjalistą od spraw amerykańskich, który ma za zadanie skontrolować cały system zabezpieczeń. Wszyscy instruktorzy, pracownicy i kursanci otrzymali polecenie, żeby zapewnić ci wszelką możliwą pomoc, z dostarczeniem broni włącznie, ale nikomu nie wolno się do ciebie odzywać, chyba że ty zagadniesz go pierwszy. Ja, ze względu na moją przeszłość, zostałem twoim łącznikiem.
- Jestem ci bardzo zobowiązany.
- Ośmielam się w to wątpić - odparł Benjamin, uśmiechając się krzywo. - Mam chodzić za tobą krok w krok.
- To niemożliwe.
- Ale tak musi być.
- Wcale nie.
- Dlaczego?
- Dlatego że chcę mieć swobodę ruchów, a także dlatego że po wyjściu stąd mam zamiar pomóc matce pewnego człowieka, żeby jak najszybciej wróciła do Moskwy.

Młody Rosjanin umilkł i przez chwilę wpatrywał się w Bourne'a wzrokiem, w którym ból walczył o lepsze z nadzieją.

- Naprawdę myślisz, że uda ci się nam pomóc?
- Jestem tego pewien... Jeśli ty mi pomożesz. Proszę cię, dostosuj się do moich reguł gry, Benjaminie.
- Jesteś dziwnym człowiekiem.
- Przede wszystkim jestem głodnym człowiekiem. Możemy tu dostać coś do jedzenia? Przydałoby mi się też trochę bandaża. Jakiś czas temu zostałem trafiony i dziś rana znowu się

odezwała.

Jason zdjął marynarkę; koszula na karku i ramionach była przesiąknięta krwią.

- Dobry Boże! Zaraz wezwę lekarza...

- Nikogo nie wezwiesz. Wystarczy pielęgniarka, żeby zmienić opatrunek. Pamiętaj, że obowiązują moje reguły gry, Ben.

- W porządku... Archie. Pójdziemy na ostatnie piętro, do apartamentu gościnnego. Zamówimy coś do jedzenia, a ja zadzwonię do ambulatorium po pielęgniarkę.

- Co prawda powiedziałem ci, że jestem głodny i dokuczają mi rany, ale to nie są rzeczy, którymi bym się teraz najbardziej przejmował.

- Możesz być spokojny - odparł radziecki Kalifornijczyk. - Zawiadomią nas natychmiast, jak tylko coś się stanie. Zaczekaj chwilę, tylko zwinę mapy.

„Coś” stało się dokładnie dwie minuty po północy, zaraz po zmianie warty, pod osłoną najgłębszej ciemności. W apartamencie rozległ się przeraźliwy dzwonek telefonu, podrywając Beniamina z kanapy, na której się ułożył. Przesadziwszy trzema susami obszerny pokój, znalazł się przy aparacie i chwycił za słuchawkę.

- *Tak... ? Gdzie... ? Kogda... ? Szto eto znacit... ? Da!* - Rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się do Bourne'a siedzącego przy stole zastawionym półmiskami i talerzami. - Niewiarygodne! W tunelu prowadzącym do części hiszpańskiej... Na tamtym brzegu znaleziono dwóch martwych strażników, a na naszym oficera dyżurnego z kulą w gardle. Przejrzeli wszystkie kasety wideo i wiesz, kogo zobaczyli? Jakiegoś nie zidentyfikowanego człowieka z torbą turystyczną na ramieniu, oczywiście w mundurze strażnika!

- To chyba nie wszystko, prawda? - zapytał chłodno Delta Jeden.

- Owszem... Wygląda na to, że jednak miałaś rację. Po drugiej stronie rzeki razem ze strażnikami leżał nieżywy wieśniak z resztkami podartych dokumentów w dłoni. Jak on to zrobił, do jasnej cholery?

- Dokładnie tak, jak przewidywałem - mruknął Bourne, sięgając po mapę hiszpańskiej części Nowogrodu. - Najpierw posłał podstawionego człowieka z fałszywymi dokumentami, a potem pojawił się w ostatniej chwili, odgrywając rolę rannego oficera KGB, który ściga groźnego przestępcę, usiłującego przeniknąć na teren ośrodka... Mówiłem ci, Ben, że właśnie tak wygląda schemat jego działania: przetestować, wprowadzić zamieszanie, wywołać panikę i błyskawicznie ją wykorzystać. Potem przebrał się w mundur jednego ze strażników i po prostu przeszedł przez tunel.

- Ale przecież każdy, kto posługiwałby się tymi dokumentami, miał być natychmiast śledzony! Wiem, że Krupkin wydał takie polecenie.

- Kubinka - odparł lakonicznie Jason, wpatrując się z uwagą w rozłożoną mapę.

- Ten magazyn, o którym mówili w komunikacie z Moskwy?

- Tak. Musi tutaj mieć kogoś, tak samo jak tam. Kogoś na wystarczająco wysokim stanowisku, żeby mógł nieco zmodyfikować otrzymane z góry rozkazy.

- To całkiem możliwe - zgodził się młody instruktor. - Modyfikacja mogła polegać na tym, żeby najpierw przyprowadzić każdego podejrzanego do niego. Ten, kto wszcząłby fałszywy alarm, strasznie by się skompromitował, więc...

- W Paryżu powiedziano mi - przerwał mu Bourne, podnosząc wzrok znad mapy - że największym wrogiem KGB jest obawa przed kompromitacją. Czy to prawda?

- Na skali od jednego do dziesięciu - co najmniej osiem - odparł Beniamin. - Ale kogo on może tutaj mieć? Przecież nie było go tu ponad trzydzieści lat!

- Gdybyśmy mieli kilka godzin czasu i duży komputer z danymi wszystkich ludzi związanych z Nowogrodem, być może udałoby nam się ustalić krąg podejrzanych, ale nie mamy nawet minut, a co dopiero mówić o godzinach! Zresztą, o ile znam Szakala, to i tak nie

miałoby to większego znaczenia.

- Miałoby, i to ogromne! - wykrzyknął zamerykanizowany Rosjanin. - Dowiedzielibyśmy się, kto z nas jest zdrajcą!

- Podejrzewam, że i tak już wkrótce się tego dowiecie... To są wszystko szczegóły, Ben. Najważniejsze jest to, że on tu jest! Chodźmy już. Po drodze wstąpimy jeszcze tam, gdzie mnie odpowiednio wyposażysz.

- W porządku.

- We wszystko, czego będę potrzebował.

- Upoważniono mnie do tego.

- A potem znikniesz. Wierz mi, wiem, co mówię.

- Zero szans, koleś.

- Jesteś pewien?

- Przecież słyszałeś, co powiedziałem.

- W takim razie matka pewnego młodego człowieka po powrocie do Moskwy znajdzie tylko jego ciało.

- Niech i tak będzie.

- Niech i...? Dlaczego to powiedziałeś?

- Nie wiem. Po prostu przyszło mi na myśl.

- Dobra, koniec gadania! Znikajmy stąd.

Rozdział 41

Iljicz Ramirez Sanchez, z wypchaną turystyczną torbą w lewej ręce, pstryknął dwukrotnie palcami w ciemności spowijającej wejście do miniaturowego kościoła w „madryckim” Paseo del Prado. Zza udającej kamienną kolumny wyłoniła się zwalistą postać sześćdziesięciokilkuletniego mężczyzny. Kiedy znalazł się w zasięgu słabego światła pobliskiej latarni, okazało się, że ma na sobie mundur wysokiego rangą oficera armii hiszpańskiej, z trzema rzędami kolorowych baretek na piersi. Uniósłszy trzymaną w dłoni skórzaną walizeczkę, odezwał się w języku obowiązującym w tej części ośrodka:

- Wejdz do zakrystii i przebierz się. W tym za dużym mundurze strażnika stanowisz doskonały cel dla strzelców wyborowych.

- Jak to miło znowu usłyszeć ojczysty język - powiedział Carlos, wchodząc za mężczyzną do wnętrza kościoła i zamykając za sobą ciężkie drzwi. - Jestem twoim dłużnikiem, Enrique - dodał, spoglądając na rzędy pustych ławek i dyskretnie oświetlony ołtarz z błyszczącym, złotym krucyfiksem.

- Jesteś nim od ponad trzydziestu lat, Ramirez, a ja nic z tego nie mam - odparł z uśmiechem człowiek w hiszpańskim mundurze, kiedy ruszyli boczną nawą w kierunku zakrystii.

- W takim razie chyba nie utrzymujesz kontaktów ze swoją rodziną w Baracoa. Nawet rodzeństwo Fidela mogłoby pozazdrościć im warunków.

- Sam Fidel pewnie też, ale on nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Podobno ostatnio zaczął się trochę częściej kąpać, a to już i tak duży sukces. Wspomniałeś o mojej rodzinie w Baracoa - a co ze mną, mój wspaniały, międzynarodowy terrorysto? Żadnych willi, superszybkich jachtów, nic z tych rzeczy! Czy to ładnie? Gdyby nie ja, trzydzieści trzy lata temu rozstrzelano by cię prawie dokładnie tu, gdzie teraz stoimy, tuż przy tym idiotycznym kościółku dla lalek. Uciekłeś w przebraniu księdza. Zdaje się, że do dzisiaj chętnie korzystasz z tego stroju?

- Czy kiedykolwiek uskarżałeś się na niedostatek? - zapytał morderca, jakby nie dosłyszawszy ostatniej uwagi. Weszli do niewielkiego pomieszczenia, służącego przed i po mszy rzekomym kapłanom. - Czy choć raz odmówiłem ci pomocy? - Carlos położył na podłodze ciężką torbę.

- Ja tylko żartowałem, ma się rozumieć - odparł z uśmiechem Enrique, przyglądając się uważnie Szakalowi. - Gdzie się podziało twoje poczucie humoru, mój niesławny, stary przyjacielu?

- Mam teraz inne sprawy na głowie.

- Nie wątpię... Mówiąc serio, zawsze byłeś nadzwyczaj hojny dla mojej rodziny na Kubie i jestem ci za to szczerze wdzięczny. Moi rodzice dożyli swoich dni w spokoju i wygodzie. Do końca nie mogli się nadziwić, że powodzi im się o tyle lepiej niż wszystkim, których znali... A to dlatego, że świat stanął na głowie i rewolucjoniści zaczęli tępić się nawzajem.

- Stanowiliście zagrożenie dla Castro, tak samo jak Che. To już przeszłość.

- I to bardzo odległa - zgodził się Enrique, w dalszym ciągu taksując Carlosa badawczym spojrzeniem. - Bardzo się postarzałeś, Ramirez. Co się stało z twoją gęstą czarną czupryną i męską przystojną twarzą o błyszczących oczach?

- Nie mówmy o tym.

- Jak chcesz. Jedni tyją jak ja, inni chudną jak ty. Co z twoją raną?

- Na tyle dobrze, że dam radę zrobić to, co zamierzam... Co muszę zrobić!

- A co ci jeszcze zostało, Ramirez? - zapytał gwałtownie człowiek przebrany za hiszpańskiego oficera. - Przecież on nie żyje! Władze twierdzą, że to ich zasługa, ale ja jestem pewien, że ty to zrobiłeś. Jason Bourne nie żyje! Twój największy wróg zniknął z powierzchni Ziemi. Jesteś ranny, więc wracaj czym prędzej do Paryża i lecz się. Wydostanę cię tą samą drogą, którą cię tutaj sprowadziłem. Przejdziemy do „Francji”, a tam już wszystko załatwię.

Wystąpisz jako kurier wiozący poufną wiadomość od dowódcy „Hiszpanii” i „Portugalii” dla ludzi z placu Dzierżyńskiego. To nic nowego, bo tutaj nikt nikomu nie ufa. Nawet nie będziesz musiał nikogo zabić.

- Nie! Muszę dać im wszystkim nauczkę!

- W takim razie pozwól, że ujmę to w nieco inny sposób. Zrobiłem wszystko, czego ode mnie zażądałeś, bo uczciwie spłaciłeś dług, który zaciągnąłeś u mnie trzydzieści trzy lata temu. Teraz jednak wchodzi w grę zupełnie inne ryzyko, a ja wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę je podjąć.

- Ty śmiesz do mnie mówić w ten sposób? - wykrzyknął Szakał, ściągając kurtkę zabraną martwemu strażnikowi. Bandaże spowijające jego prawy bark były czyste, bez śladu krwi.

- Przede mną nie musisz grać, Ramirez - powiedział spokojnie Enrique. - Jesteś dla mnie tym samym młodym rewolucjonistą, za którym ja i wspomniały atleta Santos uciekliśmy z Kuby... Właśnie, jak on się miewa? Fidel bardzo się go obawiał.

- Znakomicie - odparł bezbarwnym głosem Carlos. - Przenosimy Le Coeur du Soldat.

- Czy nadal uprawia swój ogród?

- Tak.

- Powinien być botanikiem albo architektem zieleni. A ja powinienem był zostać inżynierem rolnictwa, agronomem, jak to teraz nazywają. Właśnie w ten sposób poznałem Santosa... Można powiedzieć, że obaj dostaliśmy się w wir wielkiej polityki i wylądowaliśmy nie na tym brzegu, co trzeba.

- Ten wir spowodowali faszyści, mącąc wodę wszędzie, gdzie tylko mogli.

- A teraz wykorzystują nas, wiernych komunistów, pompując w nas ogromne pieniądze, co samo w sobie jest nawet dosyć miłe, choć na dłuższą metę beznadziejne.

- Co to ma wspólnego ze mną, twoim *monseigneurem*?

- Bardzo dużo, Ramirez. Nie wiem, czy wiesz, że moja rosyjska żona zmarła kilka lat temu, a cała trójka dzieci studiuje na Uniwersytecie Moskiewskim. Dostali się tam wyłącznie dzięki mojej pozycji i chęci, żeby skończyli studia. Będą naukowcami, lekarzami... Widzisz, żądasz ode mnie podjęcia ogromnego ryzyka. Udało mi się pozostać w ukryciu aż do tej chwili, bez wątplenia byłem ci to winien, ale już chyba wystarczy. Za parę miesięcy przejdę na emeryturę i w ramach podziękowania za długoletnią wierną służbę w południowej Europie otrzymam piękną dachę nad Morzem Czarnym, gdzie będą mnie odwiedzać dzieci. Nie mam zamiaru stawiać na szali tego wszystkiego, co mnie czeka, więc lepiej powiedz wprost, czego ode mnie oczekujesz, a ja ci odpowiem, czy mogę to dla ciebie zrobić, czy nie... Powtarzam jeszcze raz: nikt nie może się dowiedzieć, że to ja pomogłem ci się tutaj dostać. Byłem zobowiązany ci w tym pomóc, ale nie jest wykluczone, że nie zdecyduję się posunąć ani o krok dalej.

- Rozumiem... - mruknął Carlos, podchodząc do skórzanej walizeczki, którą Enrique położył na stole.

- Mam nadzieję. Przez te wszystkie lata pomagałeś mojej rodzinie tak, jak ja nigdy bym nie mógł, ale i ja służyłem ci tak, jak nie mógłby nikt inny. Skontaktowałem cię z Rodczenką, przekazywałem plotki krążące po różnych departamentach, które on potem dokładnie badał. Nikt nie śmie powiedzieć, mój drogi, stary towarzyszu, że siedziałem beczynnienie. Jednak teraz wszystko wygląda inaczej: nie jesteśmy już młodymi zapaleńcami

walczącymi w jedynie słusznej sprawie, bo dawno straciliśmy wiarę w ideały - ty dużo wcześniej ode mnie, ma się rozumieć.

- Ja nadal wierzę w swoje - odparł ostro Szakal. - Walczę dla siebie i dla tych, którzy mi służą.

- Ja ci służyłem...

- Już mi o tym mówiłeś, podobnie jak o mojej hojności. A teraz, kiedy tutaj jestem, zastanawiasz się, czy jeszcze zasługuję na twoją wierność, czyż nie tak?

- Muszę myśleć o moim bezpieczeństwie. Po co tutaj jesteś?

- Powiedziałem ci. Żeby dać im nauczką i przekazać wiadomość.

- To jedno i to samo, prawda?

- Tak.

Carlos otworzył walizkę; były w niej sprana koszula, czapeczka portugalskiego rybaka, przewiązywane sznurkiem spodnie i skórzana torba na ramię.

- Dlaczego właśnie to? - zapytał.

- Ubranie jest dość luźne, a ja nie widziałem cię od dawna... Ostatni raz, o ile mnie pamięć nie myli, spotkaliśmy się w Madrycie na początku lat siedemdziesiątych. Nie wiedziałem, na jaki rozmiar mam zamówić ubranie, a teraz cieszę się, że tego nie zrobiłem. Jesteś dużo mniejszy, niż byłeś, Ramirez.

- A ty wcale nie urosłeś tak bardzo, jak ci się wydaje - zripostował terrorysta. - Na pewno przytyłeś, ale nadal jesteśmy podobnego wzrostu i budowy.

- Co ma z tego wynikać?

- Za chwilę się przekonasz... Czy dużo się zmieniło, odkąd ostatni raz byliśmy tutaj razem?

- Sporo. Jak tylko dostaniemy nowe zdjęcia, natychmiast przystępujemy do przebudowy. Tutaj, w „Madrycie”, jest dużo nowych sklepów, budynków, a nawet kanałów, zgodnie z tym, co rzeczywiście zmieniło się w mieście. To samo w „Lizbonie”: zupełnie nowe nabrzeża nad „Zatoką” i „Tagiem”. Jesteśmy w stu procentach autentyczni. Po skończonym szkoleniu kandydaci czują się na placówkach jak u siebie w domu. Chwilami wydaje mi się, że to wszystko jest niepotrzebne, ale zaraz potem przypominam sobie moje pierwsze zadanie w bazie morskiej w Barcelonie i uczucie niesłychanego psychicznego komfortu. Mogłem nie zaprzętać sobie uwagi drobiazgami i skoncentrować się na pracy. Nie było żadnych niespodzianek.

- Mówisz o makietach - przerwał mu Carlos.

- Oczywiście, przecież nie ma tu nic innego.

- Jest, i to bardzo dużo, tylko nie rzuca się od razu w oczy.

- Co na przykład?

- Prawdziwe budowle stanowiące bazę ośrodka: magazyny, zbiorniki paliwa, posterunki straży pożarnej. Nadal są tam, gdzie były?

- W większości tak, a już na pewno największe magazyny i podziemne zbiorniki paliwa. Są usytuowane głównie na zachód od „San Roque”, koło „Gibraltaru”.

- A jak wygląda sprawa przemieszczania się po terenie ośrodka?

- Tak, to się zmieniło. - Enrique wyjął z kieszeni munduru niewielki, płaski przedmiot.

- W każdej bramie jest komputerowy czytnik, pełniący funkcję zamka i rejestrujący wszystkie wyjścia i wejścia. Trzeba tylko wsunąć tę kartę.

- Nikt o nic nie pyta?

- Jeżeli już, to tylko w dowództwie.

- Nie rozumiem.

- Jeżeli ktoś zgubi swoją kartę, musi natychmiast o tym zameldować, a wtedy informacja jest wprowadzana do głównego komputera i karta traci ważność.

- Rozumiem.

- Ale ja nie! Po co te wszystkie pytania? Powtarzam jeszcze raz: po co tu przyjechałeś? Co to za wiadomość, którą chcesz przekazać?

- Powiadasz, że na zachód od „San Roque”...? - mruknął Carlos, starając się ożywić wyblakłe wspomnienia. - To jakieś trzy lub cztery kilometry na południe od tunelu, zgadza się? Mała osada nad brzegiem rzeki?

- Tak, obok „Gibraltaru”.

- Dalej jest oczywiście „Francja”, potem „Anglia”, a wreszcie największa część - „Stany Zjednoczone”... Tak, teraz już wszystko pamiętam. - Szakał odwrócił się, sięgając niezgrabnie prawą ręką do kieszeni spodni.

- Ja nadal nic nie rozumiem! - warknął groźnie Enrique. - A muszę! Odpowiedz mi, Ramirez. Po co się tutaj zjawiłeś?

- Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób? - zapytał Szakał, odwrócony plecami do swego starego towarzysza. - Jak ktokolwiek z was śmie wątpić w swojego *monseigneur* z Paryża?

- Słuchaj no, księżulu: albo zaraz mi odpowiesz, albo wyjdę stąd, a wtedy za pięć minut nie będzie z ciebie co zbierać!

- Dobrze więc, Enrique - powiedział Carlos, zwrócony twarzą do wyłożonych boazerią ścian zakrystii. - Moja wiadomość będzie przeraźliwie jasna i wstrząśnie murami Kremla. Carlos nie tylko zabił na rosyjskiej ziemi nędznego uzurpatora, Jasona Bourne'a, ale da także nauczkę wszystkim tym z Komitetu, którzy popełnili olbrzymi błąd, rezygnując z wykorzystania jego nadzwyczajnych zdolności!

Enrique parsknął szyderczym śmiechem.

- Doprawdy, mój drogi - powiedział tonem, jakim przemawia się do niezbyt rozgarniętego dziecka. - Czy ty zawsze będziesz taki melodramatyczny, Ramirez? A w jaki sposób zamierzasz przekazać tę nadzwyczaj wstrząsającą wiadomość?

- Bardzo prosto - odparł Szakał, odwracając się nagle. W prawej ręce trzymał pistolet z przymocowanym do lufy tłumikiem. - Ale najpierw musimy zamienić się miejscami.

- Co takiego?

- Spalę Nowogród - oznajmił Carlos i strzelił Enrique w gardło. Pociągnął za spust tylko raz, bo nie chciał za bardzo pobrudzić munduru.

Bourne, ubrany w połowy mundur z dystynkcjami majora na rękawie, nie różnił się niczym od patrolujących sektor amerykański żołnierzy. Według słów Beniamina, całego terenu, który zajmował powierzchnię około czternastu kilometrów kwadratowych, strzegło w nocy zaledwie trzydziestu ludzi. Na obszarach „miejskich” poruszali się zwykle dwójkami, na piechotę, natomiast w terenie „wiejskim” korzystali z jeepów, takich samych jak ten, którego zażądał dla siebie i Jasona młody instruktor.

Z apartamentu w budynku dowództwa ośrodka zawieziono ich do wojskowego magazynu na zachodnim brzegu rzeki, gdzie oprócz samochodu otrzymali także wyposażenie dla Bourne'a - połowy mundur, bagnet, pistolet kaliber 45 i pięć magazynków ostrej amunicji, te ostatnie dopiero po telefonicznym potwierdzeniu rozkazu w dowództwie.

- A co z flarami i granatami? - zapytał Bourne, kiedy znaleźli się na zewnątrz. - Obiecałeś mi wszystko, czego będę potrzebował, nie połowę!

- Będziesz je miał - odparł Beniamin, wyjeżdżając jeepem z parkingu. - Flary dostaniemy w warsztatach, a granaty w tunelu. Nie należą do standardowego wyposażenia, więc są przechowywane w specjalnie strzeżonych sejfach. - Spojrzał na Jasona; na twarzy instruktora pojawił się lekki uśmiech, widoczny nawet w przyćmionym blasku lamp oświetlających wejście do magazynu. - Przypuszczam, że na wypadek ataku sił NATO.

- To głupota. Chyba nie myślicie, że przyszlibyśmy tutaj na piechotę.

- Ale i nie dolecielibyście. Pamiętaj, że baza myśliwców jest tylko o dziewięćdziesiąt sekund lotu stąd.

- Pośpiesz się, będę potrzebował tych granatów. Mam nadzieję, że je nam wydadzą?
- Na pewno, jeśli Krupkin spisał się równie dobrze, jak tutaj.

Spisał się; otrzymawszy żądane flary, pojechali do tunelu, stanowiącego ich ostatni przystanek zaopatrzeniowy. Wydano im tam cztery bojowe granaty, których odbiór Benjamin musiał potwierdzić własnoręcznym podpisem.

- Dokąd teraz? - zapytał, kiedy żołnierz w amerykańskim mundurze wrócił do betonowego bunkra.

- Nie przypominają naszych - zauważył Jason, wkładając ostrożnie granaty do kieszeni kurtki.

- Możesz mi wierzyć, że są prawdziwe. Gdyby ktoś miał ich kiedykolwiek użyć, to na pewno nie dla indoktrynacji przeciwnika... Dokąd chcesz jechać?

- Najpierw połącz się z dowództwem. Sprawdź, czy nie wydarzyło się nic nowego.

- Gdyby coś było, już piszczałoby mi w kieszeni...

- Nie wierzę piskom, tylko słowom - przerwał mu Jason. - Włącz radio.

Benjamin zrezygnował z dyskusji i wziął do ręki mikrofon, po czym powiedział kilka słów po rosyjsku, posługując się kodem, który znała jedynie niewielka grupa wtajemniczonych. Otrzymał odpowiedź, odłożył mikrofon i zwrócił się do Bourne'a:

- Żadnej aktywności na granicach - oznajmił. - Tylko normalne dostawy paliwa.

- To znaczy?

- Chodzi głównie o benzynę. W niektórych strefach są większe zbiorniki, więc uzupełnia się paliwo tam, gdzie go brakuje, aż nie nadejdzie duża dostawa dla całego ośrodka.

- Wozi się je nocą?

- To chyba lepiej, niż gdyby te wielkie cysterny miały blokować szosy w dzień. Nie zapominaj, że tutaj wszystko jest w zmniejszonej skali. My jedziemy bocznymi drogami, ale przy głównych wreszcie ruch - ludzie z obsługi sprzątają, naprawiają i szykują wszystko, żeby z samego rana można było znowu przystąpić do prowadzenia zajęć.

- Boże, to prawdziwy Disneyland... W porządku, jedziemy do „Hiszpanii”, Pedro.

- Żeby tam dotrzeć, musimy przejechać przez „Anglię” i „Francję”. Nie wydaje mi się, żeby to miało większe znaczenie, ale ja nie znam ani hiszpańskiego, ani francuskiego. A ty?

- Francuski bardzo dobrze, hiszpański tak sobie. Coś jeszcze?

- W takim razie może lepiej ty prowadź.

Szakal zatrzymał potężną cysternę na granicy „Niemiec Zachodnich”, czyli dokładnie tam, gdzie zamierzał dotrzeć. Leżące dalej na północ tereny „Skandynawii” i „Beneluxu” nie miały zbyt wielkiego znaczenia, a ich zniszczenie z pewnością nie wywoła tak wielkiego wstrząsu, jak obrócenie w perzynę stref, które zostawił za sobą. Teraz wszystko było już tylko kwestią dokładnego zaplanowania w czasie; rolę zapalnika, który zapoczątkuje reakcję łańcuchową, miały odegrać właśnie „Niemcy Zachodnie”. Carlos poprawił zniszczoną koszulę naciągniętą na hiszpański mundur i zwrócił się po rosyjsku do strażnika, który wyszedł ze strzegącej bramy niewielkiego bunkra:

- Tylko nie każ mi gadać w tym głupim języku, którym tu mówicie. Ja rozwożę benzynę i nie mam czasu na siedzenie w szkole! Masz, to mój klucz.

Dokładnie te same słowa wypowiedział na wszystkich mijanych do tej pory granicach.

- Ja sam ledwo go rozumiem - odparł z uśmiechem strażnik. Wziął od Szakala mały, płaski przedmiot przypominający nieco kształtem kartę kredytową i wsunął go do szczeliny czytnika; bariera ze stalowych prętów uniosła się, a Carlos odebrał klucz, zwolnił sprzęgło i wjechał do zminiaturyzowanego „Berlina Zachodniego”.

Pomknął wąską repliką Kurfuarstendamm do Budapesterstrasse, gdzie nieco zwolnił i otworzył dolny zawór cysterny; paliwo chlusnęło obfitym strumieniem na ulicę. Następnie

sięgnął do leżącej na siedzeniu pasażera torby, wyjął z niej kilka zegarowych zapalników i wyrzucił je przez okno, tak jak zrobił to już wcześniej we „Francji”, starając się, żeby upadły możliwie blisko łatwo palnych, drewnianych ścian budynków. Nacisnąwszy znowu mocniej pedał gazu, skierował się do „Monachium”, położonego nad rzeką „Bremerhaven”, a wreszcie do „Bonn” i zminiaturyzowanego miasteczka ambasad w „Bad Godesberg”, wszędzie pozostawiając za sobą zalaną benzyną jezdnię i rozmieszczone w nieregularnych odstępach zapalniki. Spojrzał na zegarek; pora wracać. Do pierwszych detonacji w „Niemczech Zachodnich” pozostał zaledwie kwadrans. Następnie, w ośmiominutowych odstępach, rozlegną się wybuchy we „Włoszech”, „Grecji”, „Izraelu”, „Egipcie”, „Hiszpanii” i „Portugalii”, które spotęgują chaos wywołany pierwszą detonacją.

Straż pożarna z ogarniętych pożarem stref nie będzie miała najmniejszych szans na opanowanie żywiołu. Zostaną wezwane na pomoc jednostki z sąsiednich „krajów” tylko po to, żeby natychmiast wrócić, kiedy pożar rozszałeje się także na ich terenie. Był to bardzo prosty sposób wywołania kosmicznej katastrofy, przy czym rolę kosmosu miał w tym przypadku odegrać sztuczny świat Nowogrodu. Bramy na granicach sektorów zostaną szeroko otwarte, by nie utrudniać gorączkowego ruchu ludzi i pojazdów, a żeby ostatecznie uwieńczyć dzieło zniszczenia, on, genialny Iljicz Ramirez Sanchez, znany światu pod imionami Carlos i Szakał, musi znaleźć się w „Paryżu”. Nie w jego Paryżu, ale tutaj, w sercu znieprawionej makiety stolicy Francji. Spali ją do fundamentów w sposób, o jakim nawet nie śniło się szaleńcom służącym Trzeciej Rzeszy. Potem przyjdzie czas na „Anglię”, a wreszcie na największą część Nowogrodu, „Stany Zjednoczone”, gdzie pozostawi swoją wiadomość. Będzie tak jasna i przejrzysta, jak źródłana woda omywająca zakrwawioną twarz martwego wszechświata.

Ja to zrobiłem. Wszyscy moi wrogowie są martwi, a ja żyję.

Carlos sprawdził zawartość torby. Pozostała w niej najbardziej groźna, śmiercionośna broń, jaką udało mu się znaleźć w arsenale w Kubince: dwadzieścia odpalanych ręcznie pocisków raketowych wyposażonych w sensory ciepła. Każdy z nich zdetonowany pojedynczo mógłby rozbić w pył podstawę pomnika Waszyngtona. Po wystrzeleniu zlokalizują ogniska pożarów i dokończą dzieła zniszczenia. Carlos zamknął zawór, zawrócił ciężarówkę i ruszył w kierunku granicznej bramy.

Zaspany technik w dowództwie Nowogrodu zamrugał raptownie powiekami, wpatrując się w rząd zielonych liter, jaki pojawił się na ekranie monitora. Informacja nie miała najmniejszego sensu, ale musiała być prawdziwa. Po raz piąty w ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut komendant części hiszpańskiej przekroczył granicę między sektorami, kierując się z powrotem w kierunku „Francji”. Nieco wcześniej, zgodnie z zaleceniami instrukcji alarmowej, technik dwukrotnie połączył się telefonicznie z posterunkami na granicy „Izraela” i „Egiptu” i dowiedział się, że jedynym pojazdem, jaki przejeżdżał przez bramę, była cysterna z benzyną. Przekazał tę informację instruktorowi znanemu jako Beniamin, ale teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego wysoki rangą funkcjonariusz miałby jeździć po terenie ośrodka cysterną? Choć z drugiej strony, dlaczego nie? Wszyscy wiedzieli o tym, że Nowogród jest przesiąknięty korupcją, więc może komendant tropił w ten sposób przestępców albo sam odbierał należne mu udziały. Tak czy inaczej, ponieważ nie nadszedł żaden meldunek o kradzieży lub zagubieniu karty kodowej, a komputery nie wszczęły alarmu, technik wolał nie wnikać w naturę tego dziwnego wydarzenia. Skąd miał wiedzieć, kto będzie jego następnym zwierzchnikiem?

Voici ma carte - powiedział Bourne do strażnika, wręczając mu swoją kartę. - *Vite, s'il vous plait!*

- *Da... Oui* - odparł strażnik, wsuwając kartę do czytnika. Obok nich z rykiem silnika

przejechała ogromna cysterna z benzyną, kierując się w przeciwną stronę, do „Anglii”.

- Nie przesadzaj z tym swoim francuskim - odezwał się siedzący obok Bourne'a Benjamin. - Chłopaki starają się, jak mogą, ale żaden z nich nie kończył filologii.

- Kalifornia, miłość ma... - zanucił pod nosem Jason. - Jesteś pewien, że ani ty, ani twój ojciec nie chcecie dołączyć do twojej matki w Los Angeles?

- Zamknij się!

Strażnik oddał Bourne'owi kartę, zasalutował i stalowa bariera powędrowała w górę. Jason ruszył raptownie z miejsca, by już po chwili ujrzeć w blasku reflektorów trzypiętrową replikę wieży Eiffla. Nieco dalej, po prawej stronie, ciągnęły się miniaturowe Pola Elizejskie z drewnianą, pomniejszoną kopią Łuku Triumfalnego. Bourne wrócił na chwilę myślami do okropnych chwil, kiedy on i Marie miotali się po całym Paryżu, rozpaczliwie usiłując się odnaleźć... Mój Boże, Marie! Chcę do niej wrócić, chcę znowu być Davidem! On i ja... Obaj jesteśmy o tyle starsi. Ja się go już nie boję, a jego nie irytuje moja po wolność... Kogo? Którego z nas? Kim ja jestem? Boże...

- Zwolnij. - Benjamin przerwał rozmyślenia Bourne'a, dotykając lekko jego ramienia.

- Dlaczego?

- Zatrzymaj się! - krzyknął młody instruktor. - Zjedź do krawężnika i wyłącz silnik!

- Co się stało?

- Nie jestem pewien... - Benjamin uniósł głowę, wpatrując się w czyste, nocne niebo, usiane migoczącymi gwiazdami. - Nie ma chmur - mruknął tajemniczo. - Ani burzy.

- Ani nie pada. I co z tego? Chcę się dostać jak najszybciej do strefy hiszpańskiej!

- Znowu!

- O czym ty mówisz, do cholery?

I wtedy Bourne usłyszał: dobiegający gdzieś z daleka, ale mimo to wyraźny, basowy pomruk. Przetoczył się z głuchym łoskotem, by za chwilę wrócić, a potem jeszcze raz...

- Tam! - wykrzyknął Rosjanin, zrywając się na nogi i wskazując na północ. - Co to jest?

- Ogień, młody człowieku - odpowiedział przyciszonym głosem Jason, również wstając z miejsca i wpatrując się w pulsujący, żółtawy poblask, który wypełził zza odległego horyzontu. - Podejrzewam, że to właśnie „Hiszpania”. Szakał wrócił tam, gdzie go szkolono, żeby puścić to miejsce z dymem. Na tym ma polegać jego zemsta...! Siadaj, musimy tam szybko jechać!

- Mylisz się - odparł Benjamin. Opadł na siedzenie, a Bourne uruchomił silnik i gwałtownym szarpnięciem wrzucił pierwszy bieg. - „Hiszpania” jest najwyżej osiem lub dziewięć kilometrów stąd. Ten pożar wybuchł znacznie dalej.

- Pokieruj mnie najkrótszą drogą - zażądał Jason, wciskając pedał gazu w podłogę.

Przemknęli przez „Paryż” i sąsiadujące z nim sektory noszące nazwy „Marsylia”, „Montbeliard”, „Hawr”, „Strasburg”, okrążając z piskiem opon opustoszałe place i pędząc na złamanie karku wąskimi uliczkami wzdłuż miniaturowych budynków, aż wreszcie ujrzeli przed sobą „hiszpańską” granicę. W miarę jak się do niej zbliżali, dobiegające z oddali grzmoty stawały się coraz głośniejsze, a ciemne do tej pory niebo przybierało coraz bardziej intensywną, żółtą barwę. Strażnicy przy bramie przyciskali do uszu radiotelefony i słuchawki, wyrzaskując coś rozpaczliwie do mikrofonów, a w chwilę potem dosłownie znikąd pojawiły się wozy strażackie pędzące na sygnale w kierunku szalejącego na horyzoncie pożaru.

- Co się stało? - ryknął po rosyjsku Benjamin, wyskakując z jeepa. - Jestem z dowództwa - dodał, wsuwając w szczelinę czytnika swoją kartę; brama natychmiast powędrowała w górę. - Mów!

- Tak jest, towarzyszu! - wykrzyknął oficer przez okienko bunkra. - To niesamowite! Zupełnie, jakby ziemia oszalała! Najpierw wybuchły całe „Niemcy” i potem zaczęło się palić. Wszystko się kołysało - powiedziano nam, że to jakieś bardzo silne trzęsienie ziemi. Potem to

samo we „Włoszech” i „Grecji”. „Rzym” cały w ogniu, płoną „Ateny” i „Pireus”, a wybuchy nie ustają!

- Co mówi dowództwo?

- Nic, bo nie wiedzą, co powiedzieć! Wyglupili się z tym trzęsieniem ziemi, bo to kompletna bzdura. Ludzie wpadli w panikę, wydają rozkazy i zaraz je odwołują. - Zadzwoił jeszcze jeden telefon, milczący do tej pory; oficer podniósł słuchawkę, by po chwili ryknąć co sił w płucach: - To szaleństwo, kompletne szaleństwo! Jesteście pewni?

- O co chodzi? - wrzasnął Beniamin, podbiegając do okna.

- „Egipt”! - krzyknął oficer, przyciskając słuchawkę do ucha. - „Izrael”.. ! „Kair” i „Tel Awiw”... Ogień, bomby, eksplozje jedna za drugą! Nikt nie panuje nad sytuacją, samochody wpadają na siebie, hydranty powylały w powietrze - woda płynie kanałami, a ulice stoją w ogniu! Jakiś debil pytał przed chwilą, czy wszędzie rozmieszczono tabliczki z zakazem palenia, bo drewniane budynki płoną jak pochodnie. Idioci! Banda idiotów!

- Wskakuj! - ryknął Bourne, przejeżdżając przez otwartą bramę. - On musi gdzieś tu być! Ty prowadź, a ja...

Przerwała mu ogłuszająca eksplozja w „madryckim” Paseo del Prado. Wybuch był tak silny, że w rozjaśnione krwistoczerwonym błyskiem niebo poszybował grad cegieł, kamieni i roztrzaskanych desek, a w chwilę potem ogniste piekło zaczęło się rozszerzać, wyciągając macki we wszystkie strony, w tym także w kierunku bramy wjazdowej do strefy.

- Patrz! - krzyknął Jason, wychylając się z samochodu i dotykając palcami ziemi. Kiedy zbliżył je do nozdrzy, jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. - Cała droga jest zalana benzyną! - Dziesięć metrów przed nimi wystrzeliła nagle w górę fontanna ziemi i ognia, zasypując jeepa kamykami i żwirem. Płomienie zbliżały się z zastraszającą szybkością. - Zapalniki zegarowe. ...- szepnął Jason, a potem wrzasnął do Beniamina, sadzącego wielkimi susami w kierunku samochodu: -Uciekaj! Zabierz stąd wszystkich! Ten skurwysyn porzucił wszędzie ładunki! Uciekajcie w stronę rzeki!

- Jadę z tobą! - krzyknął rozpaczliwie młody Rosjanin, chwytając za krawędź drzwi.

- Przykro mi, junior - odparł Bourne, dodając raptownie gazu i wykręcając szerokim łukiem w kierunku bramy; siła odśrodkowa cisnęła Beniaminem o ziemię. - To zabawa dla dorosłych!

- Co ty robisz? - wrzasnął młody instruktor, ale jego głos umilkł, kiedy jeep znalazł się na terenie sąsiedniej strefy.

- Cysterna! To ta cholerna cysterna! - wyszeptał Jason przez zaciśnięte zęby, pędząc wąskimi uliczkami „Strasburga”.

„Paryż”! Tu też, to było oczywiste! Trzypiętrowej wysokości model wieży Eiffla wyleciał w powietrze z hukiem, od którego zatrzęsa się okolica. Ładunki? Nie, rakiety! Szakał zabrał ze zbrojowni w Kubince rakiety! Kilka sekund później dookoła rozpętało się piekło wybuchów, a zaraz potem w niebo strzeliły płomienie. Wszędzie. Cała „Francja” szła z dymem, jakby uległo urzeczywistnieniu najpotworniejsze marzenie Adolfa Hitlera. Ogarnięci paniką ludzie miotali się wśród pożarów, wzywając na pomoc Boga, w którego ich wodzowie zakazali im wierzyć.

„Anglia”! Musi dostać się do „Anglii”, a stamtąd do „Stanów Zjednoczonych”, gdzie, jak podszeptywało mu graniczące z pewnością przeczucie, wszystko wreszcie się skończy, w taki lub inny sposób. Musi odnaleźć cysternę, którą prowadził Szakał, i zniszczyć zarówno pojazd, jak i jego. Może to zrobić! Zrobi to! Carlos wierzył, że Jason Bourne nie żyje, a to dawało mu ogromną przewagę, ponieważ Szakał zrobi to, co zrobiłby on, gdyby był na jego miejscu. Kiedy rozpętane przez niego piekło osiągnie największe natężenie, Szakał porzuci cysternę i zajmie się przygotowaniem sobie drogi ucieczki do prawdziwego Paryża, gdzie armia starców rozniesie wieść o triumfalnym zwycięstwie *monseigneur*a nad wszechmocnymi, niepokonanymi do tej pory Rosjanami. Żeby to osiągnąć, będzie musiał

dostać się w pobliże tunelu.

Szaleńczą jazdę przez „Londyn”, „Coventry” i „Portsmouth” można było porównać tylko do projekcji puszczonej w przyspieszonym tempie kroniki filmowej z czasów drugiej wojny światowej, przedstawiającej naloty Luftwaffe na Wielką Brytanię, a następnie poprzedzane przeraźliwym wyciem uderzenia spadających znieca rakiet V-1 i V-2. Różnica polegała tylko na tym, że mieszkańcy Nowogrodu nie byli Brytyjczykami; opamiętanie zastąpiła masowa histeria, troskę o bliźnich - szaleńcza walka o przetrwanie. Kiedy wspaniałe repliki Big Bena i Parlamentu runęły, ogarnięte płomieniami, a fabryki samolotów w „Coventry” zamieniły się w buchające żarem paleniska, ulice wypełniły się tłumem, który z przeraźliwym wrzaskiem pędził na oślep w kierunku rzeki i „Portsmouth”. Wielu ludzi decydowało się na rozpaczliwy skok do wody tylko po to jednak, by zaraz po zanurzeniu natrafić na gęstą sieć magnezowych rur; powietrze wypełnił ostry trzask wyładowań elektrycznych, a po chwili bezwładne ciała wypłynęły na powierzchnię, by niesione prądem zniknąć w mroku. Przerażony tłum zawrócił i pognął do miasteczka „Portsea”; kiedy opuściwszy swoje stanowiska dołączyli do niego strażnicy, chaos zawładnął niepodzielnie wypełnioną blaskiem pożarów nocą.

Bourne włączył reflektor zainstalowany przy przedniej szybie jeepa i starając się wybierać mniej zatłoczone drogi, pędził na południe, cały czas na południe. Zapalił jedną z flar i wymachiwał nią wściekle, odstraszać zdesperowanych ludzi, którzy za wszelką cenę usiłowali dostać się do samochodu. Oślepieni jaskrawym blaskiem cofali się natychmiast, przekonani, że znaleźli się w pobliżu jeszcze jednego, niebezpiecznego źródła ognia.

Jeep wypadł na szutrową drogę. Od bramy prowadzącej na teren strefy amerykańskiej dzieliło go nie więcej niż sto metrów... Szutrowa droga? Przesiąknięta paliwem! Ładunki jeszcze nie wybuchły, lecz była to tylko kwestia sekund, a wtedy ściana ognia pochłonęła samochód i jego kierowcę! Wciskając gaz do oporu, Jason gnał w kierunku granicy. Strażnicy zniknęli, ale brama była zamknięta! Wdepnął w hamulec i zatrzymał jeepa, wprowadzając go w kilkunastometrowy poślizg; pozostało mu tylko mieć nadzieję, że w wyniku tarcia nie powstały żadne iskry. Odłożywszy syczącą flarę na podłogę, wydobyl z kieszeni dwa granaty - wolałby się z nimi nie rozstawać, ale nie miał żadnego wyboru - wyciągnął zawleczeni i cisnął śmiertelne kawałki metalu w stronę bramy. Dwa wybuchy nastąpiły niemal jednocześnie, zdmuchując metalową barierę i wznecając ogień na zalanej benzyną drodze. Płomienie natychmiast skoczyły w górę i na boki, ale Jason nie wahał się, tylko wyrzucił z samochodu gorącą flarę, ruszył raptownie z miejsca i popędził przez ognisty tunel do największej i najważniejszej części Nowogrodu. W chwili gdy wpadł na jej teren, betonowy bunkier strażniczy wyleciał w powietrze i zasypał okolicę gradem betonowych odłamków.

Jadąc niedawno w kierunku „Hiszpanii”, Bourne był do tego stopnia ogarnięty niecierpliwością, że prawie nie zwracał uwagi na zmniejszone repliki amerykańskich miast i osad ani nie zapamiętał najkrótszej drogi prowadzącej do tunelu. Stosował się jedynie do wykrzykiwanych ochryple poleceń Beniamina. Wydawało mu się jednak, że wychowany w Los Angeles instruktor wspominał kilka razy o jakiejś „szosie nadbrzeżnej”, porównując ją z autostradą stanową numer 1 w Kalifornii. Tworzyły ją ulice biegnące równoległe do rzeki, która wyobrażała kolejno wybrzeże oceanu w stanie Maine, Potomac w Waszyngtonie i północną część przesmyku Long Island.

Szaleństwo ogarnęło także „Amerykę”. Ulicami pędziły na sygnałach policyjne radiowozy, umundurowani mężczyźni wrzeszczeli coś do mikrofonów i słuchawek, z budynków wybiegali wyrwani ze snu ludzie, krzycząc o okropnym trzęsieniu ziemi, znacznie gorszym od tego, jakie dotknęło Armenię. Mimo całkowitej pewności, że chodzi o obcą infiltrację, dowódcy Nowogrodu nie potrafili zdobyć się na to, żeby powiedzieć prawdę. Nikt nie pomyślał o tym, że z doświadczeń zebranych przez sejsmologów na całym świecie wynika jasno, iż drzemiące w głębi ziemi tytaniczne siły nigdy nie ścierają się z tak

monstrualną gwałtownością, tylko atakują w kilku kolejnych nawrotach, które przypominają nadciągające z otwartego oceanu gigantyczne fale. Kto jednak z ogarniętych paniką ludzi odważyłby się kwestionować stwierdzenia władz? Wszyscy w „Stanach Zjednoczonych” szykowali się na nadejście czegoś, co miało okazać się czymś zupełnie innym, niż oczekiwali.

Przekonali się o tym mniej więcej dziesięć minut po zniszczeniu znacznej części miniaturowej „Wielkiej Brytanii”. Pierwsze eksplozje rozległy się w chwili, kiedy Bourne dotarł do „Waszyngtonu”. Pierwsza stanęła w płomieniach kopuła „Kapitolu”, a zaledwie kilka sekund później pomnik Waszyngtona stojący pośrodku trawiastego parku zachwiał się i runął, jakby w jego podstawę uderzył z rozpędem ciężki buldożer. Wkrótce potem pożar ogarnął replikę Białego Domu, a kolejne wybuchy wstrząsnęły całą „Pennsylvania Avenue”.

Bourne wiedział już, gdzie jest. Wejście do tunelu znajdowało się między „Waszyngtonem” a „New London”, nie więcej niż pięć minut drogi stąd! Skręciwszy w ulicę biegnącą równoległe do rzeki, napotkał znowu przerażony, ogarnięty histerią tłum. Policja usiłowała zapanować nad chaosem, informując przez głośniki, najpierw po angielsku, a potem po rosyjsku, o śmiertelnym niebezpieczeństwie czyhającym na tych, którzy zdecydowaliby się wskoczyć do wody; snopy światła z reflektorów tańczyły po rzece, wydobywając z ciemności unoszące się na falach, nieruchome ciała.

- Tunel! Otwórzcie tunel!

Krzyk przybierał na sile, a z nim determinacja. Jeszcze chwila, a tłum zaatakuję zamknięte bramy. Jason wepchnął do kieszeni trzy pozostałe flary, wyskoczył z otoczonego rozgorączkowanymi twarzami jeepa i zaczął przepychać się przez morze zbitych gęsto ciał; uwiązał po zaledwie kilku krokach. Nie pozostało mu nic innego, jak wyciągnąć jedną z flar i zapalić ją. Widok przeraźliwie syczącego, jaskrawego płomienia natychmiast przyniósł skutek. Bourne popędził przez rozstępujący się przed nim tłum, wymachując płonąca flarą, aż wreszcie przedarł się na sam przód, by stanąć twarzą w twarz z kordonem żołnierzy w mundurach Armii Stanów Zjednoczonych. Szaleństwo! Cały świat zwariował!

Nie! Tam, z boku, na ogrodzonym parkingu! Cysterna! Jason przedarł się przez kordon, trzymając w wysoko uniesionej ręce swoją kartę, i podbiegł do najwyższego rangą oficera, pułkownika z przewieszonym przez szyję AK-47; ostatni raz równie przerażonego oficera widział w Sajgonie.

- Jestem „Archie”, mam wszystkie uprawnienia! Możecie to sprawdzić! Wolno do mnie mówić tylko po angielsku, rozumiano? Dyscyplina to dyscyplina.

- *Togda?! -* wrzasnął z niedowierzaniem oficer, ale posłusznie przeszedł na angielski. - Oczywiście, wiem o was, ale co mogę zrobić? - odparł z doskonałym bostońskim akcentem. - Utraciliśmy kontrolę nad tłumem!

- Czy ktoś przechodził przez tunel w ciągu ostatnich trzydziestu minut?

- Nie, nikt. Dostaliśmy rozkazy, żeby za żadną cenę nie dopuścić do jego sforsowania.

- To dobrze... Każcie ludziom się rozejść. Powiedzcie przez głośniki, że niebezpieczeństwo minęło.

- Nie mogę tego zrobić! Przecież wszędzie są pożary, wybuchy!

- Wkrótce ustaną.

- Skąd pan o tym wie?

- Wiem i już. Rób, co ci mówię!

- Rób, co ci każe! - ryknął ktoś za plecami Bourne'a. Był to Benjamin, cały zlany potem. - Mam nadzieję, że wiesz, o co ci chodzi - dodał, zwracając się do Jasona.

- Skąd się tutaj wziąłeś?

- Dobrze wiesz skąd. Powinieneś raczej zapytać, w jaki sposób. Helikopterem, wezwanym przez Krupkina szalejącego w szpitalnym łóżku w Moskwie.

- Szalejącego? Całkiem nieźle, jak na Rosjanina...

- Kim jesteś, żeby mi rozkazywać? - wykrzyknął człowiek w mundurze

amerykańskiego pułkownika.

- Możesz mnie sprawdzić, ale radzę ci, uwiń się z tym szybko – odparł Benjamin, pokazując mu swoją kartę. Jak nie, to każę cię przenieść do Taszkentu. Ładna okolica, ale słyszałem, że nie mają tam toalet... Ruszaj się, kozi dupku!

- Kalifornia, miłość ma... zanucił pod nosem Jason.

- Zamknij się!

- Jest tam! To ta cysterna! - Bourne wskazał na ogromną ciężarówkę, górującą rozmiarami nad pozostałymi stłoczonymi na parkingu pojazdami.

- Cysterna? - zapytał ze zdziwieniem Benjamin. - Jak na to wpadłeś?

- Mieści się w niej co najmniej pięćdziesiąt tysięcy litrów. W połączeniu z rozsądnie rozmieszczonymi ładunkami plastiku to w zupełności wystarczy na te stare, drewniane makiety.'

- *Wnimanije!* - zagrzmiały głośniki rozmieszczone wokół wejścia do tunelu. Dobiegające zewsząd eksplozje zaczęły powoli cichnąć. Pułkownik wspiął się z mikrofonem w dłoni na szczyt niskiego, betonowego bunkra. Jego sylwetka rysowała się ostro w snopach światła potężnych reflektorów.

- Trzęsienie ziemi minęło! - zawołał po rosyjsku. - Co prawda straty są znaczne, a pożarów na pewno nie uda się ugasić do rana, ale kryzys minął, powtarzam, kryzys minął! Nie oddalajcie się od brzegu rzeki, a towarzysze z ekip ratowniczych zatroszczą się o was! Takie rozkazy otrzymaliśmy z dowództwa, towarzysze! Błagam was, nie róbcie nic, co zmusiłoby nas do użycia siły.

- Jakie trzęsienie? - wykrzyknął jakiś stojący niedaleko bunkra mężczyzna. - Wszyscy nam wmawiają, że to trzęsienie ziemi, jakby mieli nas za idiotów! To nie żadne trzęsienie, tylko zbrojny atak!

- Tak jest, atak!

- Zostaliśmy zaatakowani!

- To inwazja!

- Odblokujcie tunel i wypuście nas, bo jak nie, to będziecie musieli nas zastrzelić! Odblokujcie tunel!

Tłum krzyczał coraz głośniej, ale żołnierze stali niewzruszenie, z bagnietami na lufach karabinów. Pułkownik wrzeszczał ochryple do mikrofonu, z twarzą wykrzywioną grymasem panicznego przerażenia.

- Słuchajcie, co do was mówię! Powtarzam wam to, co mi powiedziano. To tylko zwykłe trzęsienie ziemi i ja w to wierzę! A wiecie dlaczego...? Czy słyszeliście choć jeden strzał? Dobre pytanie, co? Choćby jeden, jedyny strzał...? Nie, nie słyszeliście! Mamy tu, podobnie jak w innych sektorach, uzbrojone oddziały gotowe odeprzeć każdy atak, a mimo to nikt nie strzelał, więc nie ulega wątpliwości, że...

- O czym on tak wrzeszczy? - zapytał Jason Beniamina.

- Próbuje przekonać ludzi, że to było trzęsienie ziemi, ale oni mu nie wierzą. Myślą, że to zbrojna inwazja. Użył argumentu, że nie było żadnych strzałów.

- A nie było?

- To dobry argument. Gdyby ktoś zaatakował, na pewno by strzelał, a skoro nie strzelał, to znaczy, że nie zaatakował.

- Strzały... ? - Nagle Bourne chwycił młodego Rosjanina za koszulę na piersi i potrząsnął z całej siły. - Każ mu przestać! Na litość boską, każ mu natychmiast przestać!

- Dlaczego?

- Podpowiada Szakalowi, co ma zrobić!

- Co ty wygadujesz, do jasnej cholery?

- Strzały... Strzelanina, zamieszanie!

- *Niet!* - wrzasnęła jakaś kobieta, wysuwając się na czoło tłumowi i unosząc

oskarżycielskim gestem rękę w kierunku człowieka z mikrofonem. – Te eksplozje to były bomby! Zrzucali je z samolotów!

- Idiotka! - ryknął po rosyjsku pułkownik. - Gdyby to był nalot, wystartowałyby nasze myśliwce z Biełopola. Wybuchy pochodziły z wnętrza ziemi... - Te kłamliwe słowa były ostatnimi, jakie wypowiedział w życiu Rosjanin w mundurze amerykańskiego pułkownika.

Gdzieś na pogrążonym w półmroku parkingu zaterkotał gniewnie pistolet maszynowy. Seria niemal przecięła Rosjanina w pół; zgiął się, zachwiał i runął na ziemię z dachu bunkra. Tłum ogarnęło prawdziwe szaleństwo. Kordon żołnierzy pękł niczym wąty sznurek, a chaos sięgnął zenitu. Wąskie, ogrodzone zejście do tunelu wypełniło się pędzącymi na oślep ludźmi, którzy przepychając się i tratując leżących, walczyli zawzięcie o to, żeby jak najprędzej dostać się do podwodnego przejścia. Jason odciągnął młodego instruktora na bok, dalej od ogarniętego amokiem tłumu, ani na chwilę nie spuszczać wzroku ze spowitego mrokiem parkingu.

- Potrafisz obsługiwać urządzenia tunelu? - zapytał.

- Tak. Wszyscy wyżsi stopniem instruktorzy wiedzą, jak to robić.

- Te stalowe bramy, o których mi mówiłeś, też?

- Oczywiście.

- Gdzie są mechanizmy?

- W bunkrze.

- Idź tam! - krzyknął Bourne, wręczając Beniaminowi jedną z trzech pozostałych mu flar. - Mam jeszcze dwie i dwa granaty... Kiedy zobaczysz, że zapaliłem swoją, zamknij bramę, rozumiesz?

- Dlaczego?

- Dlatego, że gramy według moich reguł, Ben! Zrób to, a potem zapal tę flarę i wyrzuć ją przez okno, żebyś wiedział, czy ci się udało.

- Co potem?

- Potem zrobisz coś, co ci się na pewno nie spodoba, ale nie masz wyboru... Zabierz pułkownikowi jego broń i zmusz tłum, żeby wrócił na ulicę. Możesz strzelać w ziemię przed nimi albo nad ich głowami, wszystko jedno, nawet gdybyś miał kogoś zranić. Mają wrócić i już! Muszę go znaleźć, odizolować, pozbawić możliwości schronienia za czyimiś plecami...

- Jesteś wariat! - wrzasnął Beniamin; na skroniach pulsowały mu nabrzmiałe żyły. - Zranić, dobre sobie! Przecież ja mogę kogoś zabić! Oszalałeś!

- Akurat w tej chwili jestem najbardziej racjonalnie myślącym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałeś - odparł chrapliwym głosem Jason. Koło nich cały czas przemykali ogarnięci paniką mieszkańcy Nowogrodu. - Zgodziłby się ze mną każdy generał waszej Armii Czerwonej, tej samej, która zwyciężyła pod Stalingradem... Nazywa się to przybliżonym bilansem strat i jest w tym sporo zdrowego rozsądku. Znaczy to tyle, że musisz być gotów zapłacić teraz, bo jak nie, to za chwilę cena będzie kilkakrotnie większa.

- Za dużo ode mnie wymagasz. Ci ludzie są moimi przyjaciółmi, współpracownikami, Rosjanami! Czy ty zdecydowałbyś się strzelać do tłumu Amerykanów? Wystarczy jeden pechowy rykoszet i zabiję albo zranię kilku ludzi. To okropne ryzyko!

- Już ci powiedziałem: nie masz wyboru. Jeśli zobaczę w tłumie Szakala, rzucę granat, a wtedy na pewno zginie dwudziestu.

- Ty sukinsynu!

- Lepiej mi uwierz, Ben. Jeżeli chodzi o Carlosa, przyznają, że jestem sukinsynem. Nie mogą pozwolić na to, żeby on dalej żył, cały świat nie może sobie na to pozwolić. Ruszaj!

Młody instruktor splunął Bourne'owi w twarz, po czym odwrócił się i zaczął torować sobie drogę w kierunku bunkra. Jason odruchowo otarł twarz wierzchem dłoni, wpatrując się z napięciem w zalegające na parkingu plamy głębokiego cienia. Starał się ustalić, z której z nich padły strzały, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma to większego sensu, bo

Szakal z pewnością zdążył już zmienić stanowisko. Oprócz cysterny na niewielkim ogrodzonym terenie stało dziewięć samochodów - dwa kombi, cztery limuzyny i trzy furgonetki, wszystkie były amerykańskie lub takowe udawały. Carlos musiał skryć się za jednym z pojazdów; cysterna raczej nie wchodziła w grę, bo stała najdalej od otwartej bramy, przez którą można było wybiec w kierunku bunkra, a tym samym tunelu.

Jason przypadł do ziemi i poczołgał się w stronę sięgającego mu do piersi ogrodzenia. Przeróżliwy zgiełk panujący przy wejściu do tunelu nie tracił nic na intensywności. W napiętych do granic wytrzymałości mięśniach ramion i nóg Bourne czuł okropny, rwący ból. Zaczynały go łapać skurcze. Nie myśl o nich! Jesteś już zbyt blisko, Davidzie! Jason Bourne wie, co masz zrobić. Zaufaj mu!

Uch! Przesadzając płot, wbił sobie w nerkę rękojeść wetkniętego za pasek bagnetu. Nic nie czujesz! Nic cię nie boli! Jesteś już zbyt blisko! Słuchaj Jasona.

Reflektory! Ktoś wcisnął jakiś guzik i reflektory oszałały, zataczając bezsensowne koła, przesuając oślepiające stożki światła bez ładu i składu. Dokąd mógł uciec Carlos? Gdzie się schował? Miganie świateł prawie uniemożliwiało jakąkolwiek orientację. Nagle na teren parkingu przez bramę, niewidoczną z tego miejsca, w którym znajdował się Jason, wpadły dwa policyjne radiowozy z włączonymi syrenami. Ku zdumieniu Jasona umundurowani mężczyźni, którzy z nich wyskoczyli, natychmiast skryli się za nieruchomymi pojazdami, a potem, jeden za drugim, zaczęli przemykać w kierunku bramy prowadzącej do tunelu.

Coś się nie zgadzało! Z drugiego radiowozu wysiadło czterech ludzi, a teraz nagle było ich tylko trzech. W ułamek sekundy później dołączył do nich czwarty... ale nie ten sam! Ten miał na sobie mundur z czerwonymi wyłogami i wysoką oficerską czapkę z daszkiem przybraną złotym galonem, inną w kształcie od amerykańskiej. Co to mogło być...? Nagle wszystko stało się jasne. Przed oczami Bourne'a pojawił się fragment wspomnień sprzed wielu lat, z Madrytu albo Casaviei, kiedy próbował ustalić powiązania Szakala z falangistami. To mundur hiszpańskiego oficera! Carlos wtargnął na teren ośrodka w części hiszpańskiej, a ponieważ płynnie posługiwał się rosyjskim, usiłował uciec z Nowogrodu, przebrany w wojskowy mundur.

Jason zerwał się na nogi i popędził przez wysypany żwirem placyk. Wyciągnąwszy z kieszeni przedostatnią flarę, rzucił ją za ogrodzenie, ponad zaparkowanymi samochodami. Benjamin nie powinien jej dostrzec ze swego stanowiska w bunkrze, a tym samym nie weźmie jej za umówiony sygnał. Ten sygnał zostanie nadany już wkrótce, może nawet za kilkanaście sekund, ale w tej chwili byłby zdecydowanie przedwczesny.

- *Eto sroczno!* - ryknął jeden z uciekających policjantów, przerażony widokiem syczącej, płonącej oślepiającym blaskiem flary.

Inny minął kolegów i pędził w kierunku otwartej bramy.

- *Skorieje!* - poganiał ich krzykiem. W upiornym, migotliwym świetle tańczących reflektorów Bourne obserwował, jak siedem postaci jedna za drugą wybiega z parkingu, by dołączyć do tłumy kłębiącego się u wejścia do tunelu. Ósma postać nie pojawiła się. Szakal znalazł się w pułapce!

Teraz! Jason wyszarpnął ostatnią flarę, wyrwał zawleczkę i z całej siły cisnął kulę zimnego, jaskrawego ognia wysoko nad głowy przerażonych ludzi. Zrób to, Ben! - wrzasnął rozpaczliwie w myśli, zaciskając dłoń na pękatej skorupie granatu. Zrób to!

Jego milcząca prośba została wysłuchana, bo od strony tunelu dobiegły nagle głosy rozpacz i oburzenia, które w chwilę potem zamieniły się w paniczne wrzaski, zagłuszone szaleńczym terkotem strzelającego długimi seriami pistoletu maszynowego. Z głośników rozległy się jakieś rozkazy, wyrzaskiwane ochryple po rosyjsku... Jeszcze jedna seria i głos przemówił ponownie, tym razem spokojniej i bardziej wyraźniej; tłum przycichł na chwilę, by w sekundę później zareagować jeszcze głośniejszym niż dotąd rykiem wściekłości i przerażenia. Obejrząwszy się przez ramię, Bourne dostrzegł widoczną wyraźnie na tle

wirujących smug reflektorów sylwetkę Beniamina. Rosjanin stał na dachu bunkra i wykrzykiwał rozkazy do trzymanego tuż przy ustach mikrofonu. Ludzie zaczęli go słuchać! Tłum najpierw powoli i niechętnie, a potem coraz szybciej zaczął kierować się przeciwną stroną, by wkrótce runąć pędem w kierunku opustoszałych ulic. Benjamin zapalił swoją flarę i pomachał nią w kierunku Jasona, informując go w ten sposób, że nie tylko wykonał jego polecenie, to jeszcze zamknął tunel i rozproszył ludzi, ale osiągnął to, nikogo nie raniąc ani nie zabijając.

Bourne przywarł płasko do ziemi i lustrował uważnie teren pod podwoziami samochodów oświetlony blaskiem płonącej za ogrodzeniem flary... Nogi w wysokich, oficerskich butach! Za trzecim samochodem po lewej stronie, nie dalej niż dwadzieścia metrów od bramy prowadzącej do tunelu. Carlos był jego! Jeszcze chwila, a wszystko wreszcie się skończy. Nie myśl o tym, tylko rób to, co musisz zrobić, i to szybko! Położył pistolet na żwirze, chwycił granat w prawą rękę, wyciągnął zawleczkę, złapał pistolet w lewą i popędził przed siebie najszybciej, jak tylko mógł. Trzy lub cztery metry przed samochodem rzucił się ponownie na ziemię i poturlał granat po żwirowej nawierzchni na drugą stronę pojazdu... W chwili gdy niewielki, metalowy przedmiot opuścił jego dłoń, zorientował się, że popełnił potworny błąd. Nogi nie poruszyły się, bo to wcale nie były nogi, tylko zostawiona na przynętę para butów! Jason rzucił się w prawo, potoczył się po ostrych kamykach, osłaniając dłońmi twarz i usiłując skulić się najbardziej, jak to było możliwe. Ogluszająca eksplozja posłała w nocne niebo grad metalowych i szklanych odłamków; ich część pomknęła ze świstem tuż nad ziemią, kłując boleśnie nogi i ręce Bourne'a. Uciekaj! Uciekaj! - wrzeszczał mu w uszach czyjś przerażony głos, więc dźwignął się najpierw na kolana, a potem na nogi, otoczony gęstym dymem buchającym z wraku rozszarpanego eksplozją

pojazdu. Nagle z ziemi tuż koło jego stóp wystrzeliły w górę gejzery żwiru i piasku; rzucił się do ucieczki, pędząc zygzakiem w kierunku najbliższej osłony - dużej, kanciastej furgonetki. Dostał dwa razy, w ramię i udo! Skręcił za furgonetkę i dysząc ciężko, przywarł do niej plecami; niemal w tym samym momencie duża przednia szyba samochodu została roztrzaskana w drobny mak.

- Nie dorastasz mi do pięt, Jasonie Bourne! - ryknął Szakal, nie zdejmując palca ze spustu. - Nigdy mi nie dorastałeś! Byłeś tylko namiastką, nędzną marionetką!

- Skoro tak, to chodź tu do mnie!

Jason szarpnął drzwi szoferki, otworzył je, a następnie przebiegł na tył samochodu i przykucnął, przyciskając do blachy twarz i uniesioną dłoń, zaciśniętą kurczowo na pistolecie. Flara zasyczała przeraźliwie i zgasła, a Szakal przestał strzelać. Bourne wiedział dlaczego: Carlos zobaczył otwarte drzwi od strony kierowcy i zastanawiał się, co to może oznaczać. Kilka sekund ciszy... A potem wyraźny niczym trzaśnięcie bicza odgłos zatrząskiwanych drzwi.

Jason wyskoczył z ukrycia, trzymał przed sobą oburącz pistolet wycelowany w stojącego przy szoferce mężczyznę w hiszpańskim mundurze i naciskał raz za razem spust. Kolejne pociski trafiały w cel: jeden, drugi, trzeci... I koniec! Zamiast huku strzałów tylko obrzydliwy zgrzyt zepsutego mechanizmu spustowego! Carlos rzucił się na ziemię, by dosięgnąć broni, która przed chwilą wypadła mu z raje. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie, a cała lewa strona munduru była przesiąknięta krwią, ale prawa dłoń zacisnęła się na metalowej kolbie niczym uzbrojona w straszliwe pazury łapa ogarniętego szałem zwierzęcia.

Bourne wyrwał zza pasa bagnet i rzucił się w stronę Szakala, celując w przedramię. Za późno! Carlos odzyskał broń! Jason wyciągnął rękę i chwycił za gorącą lufę. Trzymaj! Nie możesz jej wypuścić! Złap drugą ręką! Sprzeczne myśli kłębiły mu się w głowie, nie miał już siły, nie mógł złapać oddechu, przed oczami tańczyły mu czarne plamy... Ramię! Tak jak on, Szakal był ranny w bark!

Trzymaj lufę! Uderz go w bark, ale trzymaj lufę! Jakimś nadludzkim wysiłkiem

Jasonowi udało się pchnąć Carlosa na furgonetkę w taki sposób, że morderca uderzył z łoskotem w karoserię prawą połową ciała. Szakal zawył z bólu, wypuszczając z rąk broń, ale już w następnym ułamku sekundy kopnął ją pod samochód.

W pierwszej chwili Jason nie miał najmniejszego pojęcia, skąd spadło na niego uderzenie. Wiedział tylko tyle, że nagle jego czaszka jakby rozpadła się na dwie części. Dopiero po kilku beczennych chwilach zorientował się, że nikt go nie uderzył, tylko po prostu przewrócił się, uderzając głową w metalową osłonę wlotu powietrza do chłodnicy.

Szakal wymykał mu się z rąk! W zamieszaniu, jakie panowało tej nocy w Nowogrodzie, mógł znaleźć sto sposobów, żeby wydostać się poza teren ośrodka. Wszystko na nic!

Został mu jeszcze jeden granat. Czemu nie? Bourne wyciągnął go z kieszeni, wyrwał zawleczkę i rzucił go na środek parkingu, a kiedy nastąpiła eksplozja, dźwignął się z trudem na nogi. Może wybuch zaalarmuje Beniamina i zwróci jego uwagę w tę stronę?

Zataczając się i chwiejąc na nogach, Jason ruszył w kierunku bunkra i wejścia do tunelu. Mój Boże, Marie, nie udało mi się! Wybacz mi! Wszystko na nic... A potem, jakby ktoś chciał z niego dodatkowo zadrwić, zobaczył, że stalowa krata strzegąca wejścia do tunelu jest podniesiona, jakby zapraszała Szakala do skorzystania z tej drogi ucieczki.

Archie...? - Zdumiony głos Rosjanina dotarł do jego świadomości poprzez szum rzeki, a w chwilę potem pojawił się sam Beniamin, biegnąc do niego od strony bunkra. - Myślałem, że nie żyjesz...

- W związku z czym otworzyłeś na oścież bramę, żeby ten, kto mnie zabił, mógł stąd spokojnie wyjść - powiedział cicho Bourne. - Dlaczego nie przysłałeś po niego samochodu z kierowcą?

- Proponuję, żeby spojrzął pan jeszcze raz, profesorze - wydyszał Beniamin, zatrzymując się przy nim i obrzucając szybkim spojrzeniem zakrwawione ubranie Bourne'a. - Chyba ostatnio ma pan jakieś kłopoty z oczami.

- O co ci chodzi?

- Chcesz bramę, będziesz miał bramę. - Instruktor krzyknął coś po rosyjsku w kierunku bunkra i stalowa krata opadła z łoskotem na swoje miejsce. Bourne odniósł wrażenie, jakby na linii jego wzroku znajdowała się jakaś przezroczysta przeszkoda, załamująca częściowo światło i utrudniająca ostre widzenie.

- Szkło - wyjaśnił Beniamin.

- Szkło...? powtórzył ze zdumieniem Jason.

- Dwudziestocentymetrowej grubości szklane ściany na obu końcach tunelu.

- O czym ty mówisz?

Młody Rosjanin nie musiał niczego wyjaśniać, bo w tej samej chwili wewnątrz tunelu zaczęło wypełniać się wzburzoną wodą rzeki Wołchow. W spienionej masie pojawił się nagle jakiś przedmiot... Ciało! Zmartwiały Bourne wpatrywał się w nie z szeroko otwartymi ustami, z najwyższym trudem powstrzymując podchodzący mu do gardła krzyk, aż wreszcie odzyskał zdolność ruchu i zataczając się, zaczął biec w kierunku szklanej tafli. Dwa razy przewracał się, bo osłabione nogi nie mogły go utrzymać, ale zaraz znów wstawał i biegł chwiejnie przed siebie, aż wreszcie dotarł do przezroczystej przegrody, która zamykała tunel. Nie mogąc złapać powietrza w płuca, oparł dłonie na gładkiej powierzchni tafli i pożerał wzrokiem makabryczną scenę, jaka rozgrywała się zaledwie kilkanaście centymetrów od jego twarzy. Ciało Szakala, ubrane w sprawiający groteskowe wrażenie, bogato zdobiony mundur, szarpane potężnym prądem uderzało z ogromną siłą w stalowe pręty. W szeroko otwartych oczach Carlosa widać było zastygłe przerażenie, z jakim spotkał swoją śmierć.

Jason Bourne przyglądał mu się z zaciętą twarzą zimnym, spokojnym spojrzeniem zabójcy, który właśnie pokonał w pojedynku swojego największego przeciwnika. Jednak po chwili jego rysy złagodniały i przed szklaną płytą stał David Webb. Wyglądał jak człowiek, któremu właśnie zdjęto z ramion olbrzymi, przerastający jego siły ciężar.

- On zginął, Archie - powiedział Benjamin, stając u boku Jasona. – Już nigdy nie wróci.
- Zatopiłeś tunel - stwierdził Bourne. - Skąd wiedziałeś, że to na pewno on?
- Ty nie miałeś pistoletu maszynowego, a on tak. Szczerze mówiąc, po myślałem, że spełniła się przepowiednia Krupkina: ty zginąłeś, a człowiek, który cię zabił, wybrał najkrótszą drogę ucieczki. Poza tym zdradził go mundur. W tym momencie wszystko nabrało sensu, poczynając od wydarzeń w sektorze hiszpańskim.
- W jaki sposób udało ci się rozproszyć tłum?
- Powiedziałem im, że trzy mile na północ stąd czekają barki gotowe przewieźć ich na drugi brzeg... A propos Krupkina - muszę cię stąd jak najszybciej wydostać. Szybko, chodź ze mną! Do lądowiska helikopterów jest najwyżej kilometr. Pojedziemy jeepem. Pośpiesz się, na litość boską!
- Krupkin to wymyślił?
- Owszem, wycharczał w swoim szpitalnym łóżku, trudno powiedzieć, bardziej wściekły czy zaszokowany.
- Co to ma znaczyć?
- Właściwie mogę ci powiedzieć. Ktoś z najwyższego kręgu wtajemniczonych - Krupkin na razie jeszcze nie wie kto - wydał rozkaz, żeby pod żadnym pozorem nie pozwolić ci ująć z życiem. To rzeczywiście niesłychane, ale z drugiej strony nikt się nie spodziewał, że ten cały pieprzony Nowogród pójdzie z dymem! Na szczęście możemy to wykorzystać.
- My?
- Nie ja mam cię zabić, tylko ktoś inny. Nie wiem kto i w tym zamieszaniu pewnie nigdy się nie dowiem.
- Zaczekaj chwilę! Dokąd zabierze mnie ten helikopter?
- Zaciśnij kciuki, profesorze, i módl się, żeby Bóg pomógł Krupkinowi i twojemu przyjacielowi z Ameryki. Polecisz helikopterem do Jelska, a stamtąd samolotem do Polski, do Zamościa. Wygląda na to, że nasz niewdzięczny sojusznik pozwolił zainstalować tam stację nasłuchową CIA.
- Ale przecież w dalszym ciągu będę na obszarze Układu Warszawskiego!
- Podobno wasi ludzie już na ciebie czekają. Powodzenia.

Jason przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w twarz młodego mężczyzny.

- Powiedz mi, Ben... Dlaczego to robisz? Postępujesz wbrew bezpośredniemu rozkazowi...
- Nie dostałem żadnego rozkazu! - przerwał mu Rosjanin. - A nawet gdybym go dostał, to nie jestem przecież bezmyślnym robotem. Zawarłeś umowę i wykonałeś swoją część... Poza tym, jeżeli jest jakaś nadzieja, żeby moja matka...
- Jest więcej niż nadzieja - odparł Bourne.
- Chodźmy już, tracimy tylko czas! Jelsk i Zamość to tylko początek. Czekają cię długa i niebezpieczna podróż, Archie.

Rozdział 42

Słońce znikало za linią horyzontu; karaibskie wysepki, które otaczały Montserrat, w mroku przeistaczały się w nieregularnie porzrzucone plamy głębokiej zieleni otoczone białymi grzywami fal roztrzaskujących się o rafy koralowe. Wszystko było skąpane w przejrzystopomarańczowej poświacie zachodniego nieboskłonu. W Pensjonacie Spokoju zapalono światła w czterech willach, które stały na końcu szeregu nad samą plażą; w pokojach, na tarasach i balkonach skąpanych w ostatnich promieniach gasnącego słońca widać było poruszające się bez pośpiechu sylwetki. Łagodne podmuchy wiatru przynosiły ze sobą z tropikalnego lasu zapach hibiscusa i poinciany, a samotna łódź zmierzała do brzegu z ładunkiem świeżych ryb dla kuchni pensjonatu.

Brendan Patrick Pierre Prefontaine wyszedł z drinkiem w dłoni na balkon willi numer siedemnaście. Przy balustradzie Johnny St. Jacques pociągał ze szklanki rum z tonikiem.

- Jak pan myśli, kiedy będzie pan mógł na nowo uruchomić interes? - zapytał były sędzia z Bostonu, siadając przy metalowym, pomalowanym na biało stoliku.

- Zniszczenia można naprawić w ciągu kilku tygodni - odparł właściciel Pensjonatu Spokoju - ale upłynie sporo czasu, zanim ludzie zaczną zapominać o tym, co się tutaj zdarzyło.

- To znaczy ile?

- Pierwsze foldery wysłę nie wcześniej niż za cztery lub pięć miesięcy. Co prawda w ten sposób spóźnimy się na sezon, ale Marie uważa, że mam rację. Gdybym się pośpieszył, zostałyby to odebrane nie tylko jako co najmniej niesmaczne, ale na pewno wywołałoby kolejną falę plotek o terrorystach, przemytnikach narkotyków, skorumpowanej władzy... Ani tego nie potrzebujemy, ani sobie na to nie zasłużyliśmy.

- Jak już kiedyś wspomniałem, mogę ponieść moją część kosztów - powiedział niegdysiejszy sędzia sądu okręgowego w Massachusetts. - Może nie będzie to tyle, ile bierze pan od gości u szczytu sezonu, młody człowieku, ale na pewno wystarczy na remont jednej willi.

- Nawet nie ma mowy. Jestem panu winien więcej, niż kiedykolwiek zdołam odplacić. Może pan mieszkać w pensjonacie tak długo, jak długo pan zechce. - St. Jacques jeszcze przez chwilę przyglądał się samotnej łodzi, poczym odwrócił się od barierki i usiadł przy stoliku naprzeciwko Prefontaine'a. - W gruncie rzeczy martwię się tylko o ludzi. Jeszcze niedawno miałem cztery łodzie z pełną załogą, a teraz została ledwie jedna. Pracownicy dostają połowę tego, co przedtem.

- Więc jednak potrzebuje pan moich pieniędzy.

- Niechże pan sobie nie żartuje, panie sędzio. Nie chcę być niegrzeczny, ale Waszyngton dość dokładnie pana sprawdził. Od lat żył pan na ulicy.

- Waszyngton... - mruknął Prefontaine, unosząc szklankę i spoglądając na nią pod światło. - Jak zwykle, te urzędasy są dwa kroki z tyłu, jeśli chodzi o zwykłe przestępstwa, a dwadzieścia, gdy w grę wchodzi ich własne.

- O czym pan mówi?

- Nie o czym, a o kim. O Randolphie Gatesie.

- To ten sukinsyn z Bostonu, który skierował Szakala na trop Davida?

- Ten sam, a jednocześnie zupełnie inny, bo lepszy pod każdym względem, może z wyjątkiem stanu konta bankowego... Tak czy inaczej, znowu stał się tym Gatesem, którego znałem wiele lat temu na Harvardzie: na pewno nie jest najbystrzejszy i najlepszy, ale potrafi zręcznie zamaskować te braki pustą retoryką i pseudoelokwencją.

- Jeśli mam być szczery, to nic z tego nie rozumiem.
- Odwiedziłem go niedawno w ośrodku rehabilitacyjnym w Minnesocie albo w Michigan
- nie pamiętam dokładnie, bo leciałem pierwszą klasą, a drinki podawano bez żadnych ograniczeń... W każdym razie udało nam się dogadać: postanowił przejść na naszą stronę, Johnny. Będzie teraz bronił interesów ludzi, a nie wielkich firm istniejących tylko na papierze. Powiedział mi, że dobierze się do skóry nieuczciwym maklerom i korporacjom, które spekulują akcjami, doprowadzając do zamykania fabryk i utraty tysięcy miejsc pracy.
- W jaki sposób może tego dokonać?
- Nie zapominaj, że siedział w samym środku tego bagna i zna wszystkie sztuczki. Teraz jednak postanowił walczyć dla idei.
- Dlaczego?
- Dlatego, że odzyskał Edith.
- Jaką Edith, na litość boską?
- Swoją żonę... Szczerze mówiąc, nadal ją kocham. Poznaliśmy się bardzo dawno temu, ale w tamtych czasach poważany sędzia obarczony rodziną, choć nawet wredną, nie mógł sobie pozwolić na kontynuowanie takiego związku. Wielki Randy tak naprawdę nigdy na nią nie zasługiwał, ale może teraz uda mu się to nadrobić.
- To wszystko bardzo interesujące, ale nie rozumiem, co ma wspólnego z nami?
- Czy wspominałem już, że szanowny Randolph Gates podczas tych bezpowrotnie straconych, niemniej bardzo pracowitych lat zarobił całą masę pieniędzy?
- Nawet kilka razy. I co z tego?
- Cóż, w ramach rewanżu za mój wkład w uwolnienie go ze śmiertelnej pułapki, obmyślanej w Paryżu, uznał za stosowne odpowiednio mnie wynagrodzić. Nie wątpię, że do podjęcia tej decyzji przyczyniły się też posiadane przeze mnie informacje. Zdaje się, że poczciwy Randy po wielu zaciętych bitwach stoczonych przed trybunałem zapragnął zostać sędzią - niewykluczone, że nawet w Sądzie Najwyższym.
- Więc...?
- Więc jeśli wyjadę z Bostonu i będę trzymał język za zębami, jego bank będzie przekazywał co roku na moje konto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- Jezus, Maria!
- Dokładnie to samo sobie pomyślałem, kiedy się zgodził. Poszedłem nawet na mszę, po raz pierwszy od trzydziestu paru lat.
- Ale nie będzie pan mógł wrócić do domu.
- Do domu? - Prefontaine roześmiał się cicho. - A czy ja miałem kiedykolwiek dom? Nieważne, teraz na pewno będę mógł sobie znaleźć inny. Niejaki Peter Holland z Centralnej Agencji Wywiadowczej zarekomendował mnie sir Henry'emu Sykesowi z Montserrat, który z kolei zapoznał mnie z emerytowanym londyńskim prawnikiem Jonathanem Lemuelem, urodzonym tutaj, na wyspach. Niewykluczone, że otworzymy we dwóch małą firmę konsultingową, specjalizującą się w amerykańskich i brytyjskich przepisach eksportowo-importowych. Oczywiście, początki będą trudne, ale mam wrażenie, że damy sobie radę. Zostanę tu prawdopodobnie na wiele lat.
- St. Jacques spojrzał niepewnie na starego prawnika i wstał, by uzupełnić zawartość swojej szklanki.

Morris Panov powoli przeszedł ze swojej sypialni do salonu na piętrze willi numer osiemnaście, gdzie Aleks Conklin siedział już nieruchomo przy telefonie w fotelu inwalidzkim. Psychiatra miał na sobie cienką koszulę, pod którą widać było wyraźnie bandaże spowijające jego pierś i lewe ramię.

- Męczyłem się chyba dwadzieścia minut, zanim udało mi się założyć koszulę! -

poskarżył się gniewnie.

- Powinieneś być mnie zawołać - odparł Aleks, odwracając fotel w jego stronę. - Potrafię się tym dość szybko poruszać. Może dlatego że zanim dali mi protezę, miałem trochę czasu, żeby się nauczyć.

- Dziękuję, ale wolę sam się ubierać. Ty też chyba próbowałeś wstać natychmiast, jak dorobili ci zapasową stopę.

- To pierwsza lekcja, doktoru. Powinno coś być na ten temat w twoich uczonych książkach.

- Jest. Nazywa to się głupotą albo, jeśli wolisz, oślim uporem.

- Ale to nieprawda - powiedział spokojnie emerytowany oficer wywiadu, spoglądając lekarzowi prosto w oczy.

- Rzeczywiście, nieprawda - zgodził się Mo, nie odwracając wzroku i siadając ostrożnie na krześle. - Pierwsza lekcja nazywa się odzyskiwaniem niezależności. Chwytasz tyle, ile możesz, i sięgasz po jeszcze więcej.

Aleks z uśmiechem poprawił bandaż spowijający szyję.

- Ale ma to także swoje dobre strony - zauważył. - Z każdym dniem wszystko staje się łatwiejsze, bo uczysz się coraz to nowych sztuczek... Niesamowite, ile pomysłów mieści się w naszych szarych komórkach...

- Naprawdę? Pewnego dnia będę musiał się tym zająć. Słyszałem, jak rozmawiałeś przez telefon. Kto dzwonił?

- Holland. Gorąca linia między Waszyngtonem i Moskwą podobno aż rozgrzała się do czerwoności. I ci, i tamci stosowali podwójne szyfrowanie, bo na samą myśl o tym, że ktoś mógłby ich podsłuchać, natychmiast robią w portki.

- Chodzi o „Meduzę”?

- Ani ty, ani ja nigdy nie słyszeliśmy tej nazwy i nie znamy nikogo, kto by ją słyszał. Międzynarodowy rynek finansowy zareagował tak gwałtownym krwotokiem, nie wspominając już o kilku prawdziwych trupach, że tylko krok dzieli nas od zakwestionowania wiarygodności rządowych instytucji, które miały za zadanie go kontrolować.

- Dlaczego nie nazwać tego wprost współodpowiedzialnością? - zapytał Panov.

- Bo w gruncie rzeczy nic by to nie dało, do takiego wniosku doszły wspólnie CIA i KGB, a szycy z Departamentu Stanu i Kremla skwapliwie się z nimi zgodziły. Ujawnienie skali i zasięgu nadużyć nie przyniosłoby żadnych konkretnych rezultatów... Nadużyć, rozumiesz? Morderstwa, zamachy, porwania i niesłychana korupcja po obu stronach Atlantyku, nie mówiąc już o współpracy z przestępczymi organizacjami, są określane jako nadużycia! Nasi Wielcy i Nieomylni doszli do wniosku, że lepiej będzie załatwić po cichu, ile się da, a potem ukrećić łeb sprawie.

- To wstrętne.

- Tak wygląda rzeczywistość, panie doktorze. Będiesz świadkiem największego fałszerstwa w najnowszej historii, w każdym razie na pewno na obszarze cywilizowanego świata. A najbardziej wstrętne w tym wszystkim jest to, że prawdopodobnie oni mają rację. Gdyby „Meduza” została całkowicie zdemaskowana - a byłaby, bo powiedziawszy A trzeba wyrecytować cały alfabet - ludzie by się wściekli i pozrzucaliby ze świeczników wszystkich łobuzów, którzy mieli z aferą jakkolwiek związek. Przy okazji poleciałaby też ze stołków cała masa innych łobuzów. Na wielu wysokich i ważnych stanowiskach powstałaby wtedy próżnia, a to nie są odpowiednie czasy. Lepszy diabeł, którego się zna, niż nowy, który przyjdzie na jego miejsce.

- W takim razie, co się stanie?

- Nastąpi wielka wyprzedaż - oznajmił melancholijnie Conklin. - Operacje „Meduzy” miały tak ogromny zasięg geograficzny, że po prostu nie sposób się do nich wszystkich dogrzebać. Moskwa wkrótce przyśle nam Ogilviego, a wraz z nim kilku swoich najlepszych specjalistów

od ekonomii, którzy razem z naszymi ludźmi zabiorą się ostro do roboty. Holland przewiduje, że po pewnym czasie odbędzie się miniszczyt ekonomiczny z udziałem ministrów finansów krajów NATO i bloku wschodniego. Wszędzie tam, gdzie będzie to możliwe, aktywa „Meduzy” zostaną przejęte przez gospodarkę po szczególnych państwach, ma się rozumieć na zasadach ustalonych w szczegółowych, wielostronnych układach. Chodzi przede wszystkim o to, żeby uniknąć paniki na rynku, spowodowanej masowymi zwolnieniami z pracy i upadkiem wielu przemysłowych kolosów.

- A więc tak będzie wyglądał pogrzeb „Meduzy”... - mruknął Panov. - Spuści się na nią zasłonę milczenia, tak jak wtedy, w Azji.

Aleks skinął głową.

- Dzięki temu straty zostaną ograniczone do minimum, a prawdopodobnie uda się nawet uszczknąć trochę zysków.

- Co z osobnikami takimi jak Burton w Kolegium Szefów Sztabów i Atkinson w Londynie?

- Przejdą na wcześniejsze emerytury z powodu złego stanu zdrowia. Możesz mi wierzyć, że będą siedzieć cicho. Mają swoje powody.

Panov poprawił się na krześle i skrzywił się boleśnie.

- To raczej niewielka zapłata za przestępstwa, jakich się dopuścili, nie uważasz? Okazało się, że Szakal jednak na coś się przydał. Gdybyście go nie ścigali, nigdy nie natrafilibyście na trop „Meduzy”.

- To zbieg okoliczności, Mo - odparł Conklin. - Możesz być pewien, że nie wystąpię z wnioskiem o medal dla niego.

Panov potrząsnął głową.

- Wydaje mi się, że to coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że David miał rację, bo związek jednak istniał. Ktoś zajmujący wysokie stanowisko w „Meduzie” zakontraktował zgładzenie na obszarze działania Szakala ważnej osobistości i zrobił wszystko, żeby odpowiedzialność za zamach spadła na Jasona Bourne'a.

- Domyślam się, że mówisz o Teagartenie?

- Tak. Ponieważ Bourne znajdował się na czarnej liście „Meduzy”, nasz żaloszny zdrajca DeSole musiał wtajemniczyć ją w szczegóły operacji Treadstone - nawet jeżeli nie we wszystkie, to przynajmniej w znaczną ich część. Kiedy dowiedzieli się, że Jason, to znaczy David, jest w Paryżu, wykorzystali pierwotny scenariusz: Bourne przeciwko Szakalowi. Słusznie przypuszczali, że zabijając Teagartena właśnie w taki, a nie inny sposób, zyskują współpracę jedyne go człowieka zdolnego wytropić i zabić Bourne'a.

- Co z tego wynika?

- Nie rozumiesz, Aleks? Jeżeli się nad tym dobrze zastanowić, to Bruksela stanowiła początek końca. David posłużył się fałszywym oskarżeniem, żeby dzięki znalezionej rzekomo przy ciele Jasona mapie z zakreślonym rejonem Anderlechtu przesłać żonie informację o tym, że żyje.

- Dał nam nadzieję, to wszystko. Staram się nigdy zbytnio nie ufać nadziei, Mo.

- Zrobił dużo więcej. Dzięki tej wiadomości Holland postawił w stan pogotowia wszystkich waszych ludzi w Europie i wydał rozkazy, żeby w razie pojawienia się Jasona Bourne'a umożliwić mu za wszelką cenę przedostanie się do Stanów.

- Tym razem udało się, ale często nic z tego nie wychodzi.

- Udało się, bo już kilka tygodni temu niejaki Jason Bourne wiedział, że po to, by dotrzeć do Szakala, musi stworzyć między sobą a nim coś w rodzaju więzi, jakiś związek, który ułatwi mu działanie. Osiągnął to, ty to osiągnąłeś!

- Dostyc okrężnymi drogami - przyznał Conklin. - Działaliśmy na oślep. Wszystko, czym dysponowaliśmy, to były domysły i abstrakcyjne skojarzenia.

- Abstrakcyjne skojarzenia? - powtórzył z łagodnym zdziwieniem Panov. - To bardzo nieprecyzyjne określenie. Masz pojęcie, jaką burzę potrafią spowodować w mózgu?

- Szczerze mówiąc, pojęcia nie mam, o czym teraz mówisz.

- O szarych komórkach. Sam niedawno o nich wspominałeś. Cały czas wirują i podskakują, usiłując znaleźć jakąś szczelinę, przez którą mogłyby wyrwać się na zewnątrz.

- Obawiam się, że nie nadążam za tobą.

- Mówiłeś o zbiegu okoliczności, a mnie się wydaje, że do spółki z Davidem stworzyłeś potężne urządzenie do porządkowania ruchu tych szarych komórek i nadawania im pożądanego kierunku. Między biegunami tego urządzenia znalazła się „Meduza”.

Conklin odwrócił się raptownie wraz z fotelem i podjechał do okna, za którym pomarańczowy blask powoli ustępował przed pochłaniającą wyspy ciemnością.

- Chciałbym, żeby wszystko było takie proste, jak mówisz, Mo - wyszeptał. - Obawiam się jednak, że tak nie jest.

- Musisz wyrażać się jaśniej.

- Krupkin jest już właściwie martwy.

- Co takiego?

- Opłakuję go jako przyjaciela i jako wspaniałego przeciwnika. To on umożliwił nam działanie, a kiedy było już po wszystkim, zrobił to, co należało, nie to, co mu kazano. Pozwolił Davidowi ujść z życiem, ale teraz musi za to zapłacić.

- Co się z nim stało?

- Według informacji posiadanych przez Hollanda, pięć dni temu zniknął ze szpitala w Moskwie - po prostu wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł na ulicę. Nikt nie wie, jak udało mu się to zrobić ani dokąd poszedł, ale zaraz potem zjawiono się KGB, żeby go aresztować i odstawić na Łubiankę.

- Czyli jednak go nie złapali...

- Ale złapią. Kiedy Kreml chce dostać kogoś w swoje ręce, wszystkie drogi, dworce, lotniska i przejścia graniczne są brane pod całodobową obserwację, a rozkazy nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości: ten, kto dopuści do wymknięcia się podejrzanego, trafi na dziesięć lat do obozu. To tylko kwestia czasu. Niech to szlag trafi!

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołał Panov. - Otwarte!

Do pokoju wszedł Pritchard ubrany w grubą, elegancką sweter; choć pchał przed sobą obficie zastawiony wózek na kółkach, udało mu się zachować nienagannie wyprostowaną postawę.

- Buckingham Pritchard, do waszych usług, panowie! - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Pozwoliłem sobie przynieść kilka morskich delikatności na wasze kolegialne spotkanie, zanim rozpocznie się wieczorowy posiłek, którego byłem głównym kucharzem, bo poprzedni robił często bardzo niedobre rzeczy, czego u mnie na pewno nie ma, panowie.

- Kolegialne? - powtórzył ze zdumieniem Aleks. - Chodzi panu o kolegiatę, kolegium czy college? Jeżeli o ten ostatni, to obawiam się, że skończyłem go ponad trzydzieści pięć lat temu.

- Chyba zbyt dużo uwagi poświęcono tam na nauczanie różnych niuansów języka Szekspira - mruknął Morris Panov. - Niech pan mi powie, panie Pritchard - dodał głośniejszym głosem - czy nie gorąco panu w tym swetrze? Ja już bym się spocił jak mysz!

- Cóż za delikatność! - szepnęła z uznaniem Conklin.

- Ja się nie potuję, proszę pana - odpowiedział zastępca kierownika recepcji.

- Ale na pewno się potowałeś, kiedy St. Jacques wrócił z Waszyngtonu! - zauważył Aleks. - Boże wszechmogący! Johnny - terrorystą!

- Ten przykry incydent został już całkowicie zapomniany - odparł ze stoickim spokojem Pritchard. - Pan Saint Jay i sir Henry obaj zrozumieli, że mój szanowny wujek i ja mieliśmy

na uwadze najbardziej dobro dzieci.

- Cwaniak z ciebie. - Conklin skinął z aprobatą głową.
- Pozwolę sobie wszystko przygotować, panowie, i przyniosę lód. Inni będą już bardzo niedługo.
- Jesteśmy nadzwyczaj zobowiązani - odparł Panov.

David Webb stanął w otwartych drzwiach balkonowych i przyglądał się, jak jego żona czyta chłopcu ostatnie strony bajki. Niezastąpiona pani Cooper drzemała w fotelu, a jej dostojna czarna głowa, zwieńczona koroną srebrnoszarych włosów, kiwała się nad bujną piersią, jakby stara piastunka podświadomie oczekiwała na to, że lada chwila zza uchylonych drzwi sypialni dobiegnie płacz małej Alison. Spokojny, przyciszony głos Marie dobrze oddawał nastrój opowieści, o czym świadczyły szeroko otwarte oczy i rozchylone usta Jamiego. Właściwie moja żona powinna być aktorką, pomyślał David. Miała wszystkie cechy przydatne w tej niepewnej profesji: wyraziste rysy twarzy, doskonały wygląd i silny, już na pierwszy rzut oka zwracający uwagę charakter.

- Jutro ty mi poczytasz, tatusiu!

Bajka dobiegła końca; jego syn wyskoczył z łóżka, a pani Cooper otworzyła natychmiast oczy.

- Chciałem ci poczytać już dzisiaj, Jamie - odparł przeproszającym tonem Webb.
- Ale ty jeszcze trochę brzydko pachniesz! - stwierdził chłopiec, marszcząc nos.
- Już ci tłumaczyłam, Jamie, że to nie tata pachnie, tylko lekarstwa, które zapisał mu pan doktor - wyjaśniła z uśmiechem Marie.

- Ale pachnie.

- Nie można dyskutować z analitycznym umysłem, szczególnie jeśli ma rację, nie uważasz? - zapytał David.

- Jeszcze za wcześnie do łóżka, mamusiu! Mógłbym obudzić Alison, a wtedy ona na pewno zacznie płakać...

- Wiem, kochanie, ale ja i twój tata musimy spotkać się ze wszystkimi wujkami...

- I moim nowym dziadkiem! - wykrzyknął z radością chłopiec. - Dziadek Brendan powiedział, że nauczy mnie kiedyś, co trzeba robić, żeby zostać sędzią!

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! - wtrąciła się pani Cooper. - Ten starzec stroi się jak paw w zalotach!

- Możesz iść do naszego pokoju i pooglądać telewizję - powiedziała szybko Marie. - Ale jeszcze tylko pół godziny, rozumiesz?

- Ojej...

- Dobrze, niech będzie godzina. Ale pani Cooper wybierze ci kanał.

- Dziękuję, mamusiu! - wykrzyknął chłopiec i popędził do sypialni rodziców. Pani Cooper dźwignęła z fotela swoje obfite ciało i ruszyła dostojnie za nim.

- Ja go zaprowadzę - powiedziała Marie, wstając z kanapy.

- Nie ma mowy - zaprotestowała pani Cooper. - Niech pani zostanie z mężem. Ten człowiek bardzo cierpi, choć nic nie mówi. - Z tymi słowami wyszła z pokoju.

- Czy to prawda, kochanie? - zapytała Marie, podchodząc do Davida. - Bardzo cierpisz?

- Przykro mi, że muszę zniszczyć mit o nieomylnych przeczuciach tej dobrej kobiety, ale nie, nic mnie nie boli.

- Dlaczego używasz tylu słów, kiedy wystarczyłoby jedno?

- Dlatego że podobno jestem naukowcem, a żaden naukowiec nigdy nie powie niczego wprost, bo wtedy nie mógłby się z tego wycofać, gdyby okazało się, że nie miał racji. Czyżbyś była antyintelektualistką?

- Nie - odparła Marie. - Widzisz, jakie to proste, krótkie stwierdzenie?

- A co to jest stwierdzenie? - zapytał Webb, obejmując żonę i całując ją lekko i zmysłowo w usta.

- Skrót prowadzący prosto do prawdy. - Marie odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Bez żadnego kluczenia i lawirowania. Tak jak w prostym dodawaniu, gdzie pięć plus pięć zawsze równa się dziesięć, nigdy dziewięć albo jedenaście.

- W takim razie, ty jesteś tą dziesiątką...

- To wprawdzie banał, ale przyjmuję go za dobrą monetę... Odprężyłeś się, czuję to wyraźnie. Jason Bourne już cię opuścił, prawda?

- Prawie. Kiedy byłeś u Alison, zadzwonił Ed McAllister z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Matka Bena jest już w drodze do Moskwy.

- Tak się cieszę, Davidzie!

- Obaj ryczeliśmy ze śmiechu, a ja w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że jeszcze nigdy nie słyszałem śmiejącego się McAllistera. To było miłe.

- Dlatego że ciągle przygniatało go potworne poczucie winy. Nigdy sobie nie mógł wybaczyć, że wtedy wysłał nas do Hongkongu. Teraz, kiedy jesteś znowu ze mną, żywy i zdrowy, nie jestem pewna, czy ja mu kiedykolwiek to wybaczę, ale w każdym razie z pewnością nie odłożę słuchawki, kiedy zadzwoni.

- Na pewno będzie bardzo zadowolony. Szczerze mówiąc, poprosiłem go, żeby jeszcze kiedyś zadzwonił. Może nawet zaprosilibyśmy go na obiad...

- Nie posuwałabym się aż tak daleko.

- A matka Beniamina? Przecież ten chłopak ocalił mi życie.

- No... W takim razie, może na bardzo skromną kolację.

- Przestań mnie dotykać, kobieto. Jeszcze piętnaście sekund, a wyrzucę Jamiego i panią Cooper z sypialni i zaciągnę cię tam za włosy, by odebrać to, co mi się należy.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, brutalu, ale mam wrażenie, że Johnny bardzo na nas liczy. Dwaj tryskający energią inwalidzi i były sędzia o nadpobudliwej wyobraźni to dużo więcej, niż może znieść prosty chłopak z Ontario.

- Kocham ich wszystkich.

- Ja też. Chodźmy.

Karaibskie słońce zniknęło już całkowicie za horyzontem, pozostawiając po sobie jedynie pomarańczową, gasnącą z każdą chwilą poświatę. Skryte za szklanymi osłonami płomienie świec, proste i nieruchome, promieniowały ciepłym światłem, tworząc na balkonie willi numer osiemnaście miły półmrok. Rozmowa przy stole także była miła i ciepła, bo brali w niej udział ludzie, którzy cudem uszli z życiem ze śmiertelnego niebezpieczeństwa.

- Dałem Randy'emu jasno do zrozumienia, że nie można bezkrytycznie stosować zasady *stare decisis*, bo zmieniły się zewnętrzne uwarunkowania, a wraz z nimi sposób oceny wszystkich okoliczności i faktów – perorował Prefontaine. - Ciągłe zmiany są nieuchronnym skutkiem wynalezienia kalendarza.

- To jest tak oczywiste, że nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek mógłby podawać to w wątpliwość - zauważył Aleks.

- Gates czynił to wielokrotnie, otumaniając sąd potokiem swej wymowy i zasypując gradem przykładów bez najmniejszego związku ze sprawą.

- Dym i lustra - roześmiała się Marie. - W ekonomii robimy dokładnie to samo. Pamiętasz, braciszku? Mówiłam ci o tym.

- Nic z tego nie rozumiałem i nadal nie rozumiem ani słowa.

- W medycynie nie da się zastosować niczego w tym rodzaju - powiedział Panov. - Laboratoria znajdują się cały czas pod ścisłą kontrolą. Co dziennie trzeba przedstawiać dokładną relację z postępu prac.

- W wielu wypadkach okazuje się, że nawet podstawowe zasady naszej konstytucji nie są precyzyjnie sformułowane - kontynuował były sędzia. - Zupełnie jakby jej twórcy czytali pod kołdrą Nostradamusa, ale wstydziło się do tego przyznać, albo jakby zobaczyli przypadkiem rysunki Leonarda da Vinci, który przewidział powstanie samolotów. Zdawali sobie sprawę z tego, że nie mogą skodyfikować przyszłości, bo nie mają najmniejszego pojęcia o tym, jak będzie wyglądać ani jakie swobody uda się zdobyć społeczeństwu. W związku z tym, chyba na wszelki wypadek, pozostawili wiele wspianiałych niedomówień.

- Których jednak znakomity Randolph Gates nie miał najmniejszego zamiaru dostrzec, o ile mnie pamięć nie myli - zauważył Conklin.

- Och, on teraz szybko się zmieni - zarechotał Prefontaine. - Zawsze reagował na zmiany wiatru jak kurek na wieży i na pewno zdąży przestawić żagle, jeśli wyczuje w tym interes.

- Ciekaw jestem, co stało się z żoną tego kierowcy ciężarówki... - powiedział rozmarzonym głosem Panov.

- Może lepiej wyobraź sobie mały, biały domek, a dookoła zielony trawnik i biały płótek - doradził mu Aleks. - Od razu lepiej się poczujesz.

- Z jaką żoną jakiego kierowcy? - zainteresował się St. Jacques.

- Daj spokój, braciszku. Na twoim miejscu nie byłabym taka ciekawa.

- Albo z tym cholernym wojskowym lekarzem, który szprycował mnie jakimś świństwem! - ciągnął uparcie Panov.

- Zapomniałem ci powiedzieć: prowadzi prywatną klinikę w Leavenworth - odparł Conklin. - Za dużo mam spraw na głowie... A w dodatku jeszcze Krupkin. Stary, dobry Kruppie, taki elegancki i w ogóle... Wszyscy jesteśmy jego dłużnikami, ale nie możemy mu pomóc.

Zapadła chwila ciszy. Wszyscy siedzący przy stole pomyśleli o człowieku, który nie bacząc na własne bezpieczeństwo, odważył się wystąpić przeciwko totalitarnemu systemowi, domagającemu się śmierci Davida Webba. David stał samotnie przy balustradzie i spoglądał na ciemne morze, oddzielony od pozostałych czymś więcej niż tylko kilkumetrową przestrzenią. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że musi minąć trochę czasu, zanim znowu się do nich zbliży. Najpierw musiał zniknąć Jason Bourne. Kiedy to nastąpi?

Nie teraz! Szaleństwo powróciło! Wieczorne niebo rozdarł ogłuszający ryk silników, a w chwilę potem nisko nad plażą pojawiły się trzy śmigłowce, plując wściekłym ogniem z działek i karabinów maszynowych. Jednocześnie płaska, duża łódź o potężnym silniku wypadła z ciemności, pędząc prosto ku brzegowi.

St. Jacques jednym susem dopadł do interkomu.

- Alarm! - ryknął. - Zostaliśmy zaatakowani!

- Boże, przecież Szakal nie żyje! - wykrzyknął wstrząśnięty Conklin.

- Ale nie jego wierni słudzy! - parsknął Jason Bourne. Pchnął Marie na podłogę i wydobył zza paska pistolet; David Webb zniknął bez śladu. - Powiedziano im, że on tu jest.

- To szaleństwo!

- Nic na to nie poradzę - odparł Jason, podbiegając do balustrady. - Są gotowi zginąć wraz z nim.

- Cholera! - ryknął Aleks. Raptownym ruchem ramion pchnął wózek w kierunku stołu, odtrącając Panova w cień, dalej od blasku świec.

Nagle ożył potężny głośnik zainstalowany na jednym z helikopterów.

- Widzieliście naszą siłę ognia! - rozległ się głos pilota. - Przetniemy was na pół, jeśli natychmiast nie zatrzymacie silnika... Dobrze! Dopłynięcie do brzegu, obaj na pokładzie, ręce na burcie i bez najmniejszego ruchu! Szybko!

Reflektory z dwóch zawieszonych w powietrzu maszyn oświetliły rozkołysaną łódź, a trzeci śmigłowiec wylądował na plaży, wzbijając w powietrze tumany piasku. Wskoczyli z niego czterej mężczyźni w wojskowych mundurach, celując z pistoletów maszynowych w

kierunku łodzi. Z balkonu willi numer osiemnaście grupa ludzi przyglądała się ze zdumieniem rozgrywającej się w dole niewiarygodnej scenie.

- Pritchard! - wrzasnął St. Jacques. - Przynies mi lornetkę!

- Mam ją tutaj, panie Saint Jay, bardzo proszę. - Ciemnoskóry mężczyzna podszedł szybkim krokiem do swego chlebobawcy i wręczył mu żądany przedmiot. - Wyczyściłem nawet bardzo szkła, sir!

- Co widzisz? - zapytał ostro Bourne.

- Nie wiem... Dwóch mężczyzn.

- I nic więcej? - nie wytrzymał Conklin.

- Daj to - powiedział krótko Jason, zabierając lornetkę szwagrowi.

- Kto to jest, Davidzie? - wykrzyknęła Marie, widząc malujące się na jego twarzy zdumienie.

- Krupkin...! - wykrztusił z trudem.

Krupkin, blady jak ściana, siedział przy metalowym stole. Jego twarzy nie zdobiła już szpakowata broda. Kategorycznie odmówił składania wszelkich wyjaśnień, dopóki nie skończy trzeciej brandy. Był wycieńczony, podobnie jak Panov, Conklin i Webb, ranny i z pewnością cierpiął, choć nie miał najmniejszego zamiaru roztkliwiać się nad sobą, jako że to, co go czekało, było o niebo lepsze od tego, co niedawno przeszedł. Zdawał się zirytowany swoim brudnym, wymiętym ubraniem i zerkał na nie niechętnie od czasu do czasu, ale natychmiast wzruszał w milczeniu ramionami, zdając sobie doskonale sprawę, iż już wkrótce jego sytuacja także i pod tym względem ulegnie radykalnej poprawie. Pierwsze słowa, jakie wypowiedział, były skierowane do byłego sędziego z Bostonu, ubranego w brzoskwiniową, sportową marynarkę i ciemnogrnatowe spodnie.

- Podoba mi się pański strój - oznajmił z uznaniem. - Bardzo szykowny i dostosowany do klimatu.

- Dziękuję.

Kiedy dokonano prezentacji, na Rosjanina spadła ulewa pytań. Uniósł obie ręce, tak jak to czyni papież na placu Świętego Piotra, i powiedział:

- Nie będę was zanudzał mało istotnymi szczegółami mojej ucieczki z Matki Rosji, tylko ograniczę się do stwierdzenia, że jestem zaszokowany panującą tam korupcją, jak również oburzony uwłaczającymi ludzkiej godności warunkami, w jakich musiałem przebywać w zamian za wręczone w postaci łapówek horrendalne sumy pieniędzy... Nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że przede wszystkim powinienem składać podziękowania szwajcarskiemu Bogu i Jego bankierom, drukującym takie wspaniałe bank noty.

- Może jednak powie nam pan, co się stało - poprosiła Marie.

- Droga pani, jest pani jeszcze piękniejsza, niż sobie wyobrażałem. Gdybyśmy spotkali się w Paryżu, bez wahania odbiłbym panią temu wynędzniałemu obdartusowi, którego nazywa pani mężem. Mój Boże, jakież wspaniałe włosy...!

- Z pewnością nawet nie powiedział panu, jakiego są koloru – odparła z uśmiechem Marie. - Mogłabym go wtedy panem szantażować.

- Mimo to, jak na swój wiek, jest jeszcze dosyć sprawny.

- Tylko dlatego, że bez przerwy karmię go najróżniejszymi pigułkami. A teraz już słuchamy, co się wydarzyło.

- Co się wydarzyło? Zdemaskowali mnie, oto, co się wydarzyło! Skonfiskowali mi mój uroczy domek nad Jeziorem Genewskim. Teraz jest tam rezydencja radzieckiego ambasadora. Doprawdy, nie wiem, jak to przeżyję!

- Wydaje mi się, że mojej żonie chodziło o coś innego - wtrącił się Webb. - Leżałeś w

szpitalu w Moskwie, dowiedziałeś się, że ktoś postanowił mnie zlikwidować, i kazałeś Benjaminowi wyekspediować mnie z Nowogrodu.

- Mam swoich informatorów, Jason, a poza tym tam na samej górze też zdarzają się błędy. Nie wymienię żadnych nazwisk, żeby nie sprowadzić na nikogo nieszczęścia. A mówiąc krótko, to po prostu krew mnie zalała. Norymberga pokazała chyba całemu światu, że nigdy nie należy wykonywać bezmyślnie rozkazów. Ta lekcja nadal pozostaje w pamięci wielu ludzi. My w Rosji wycierpieliśmy w czasie ostatniej wojny bez porównania więcej niż wy tutaj, w Ameryce, i dlatego nie będziemy naśladować naszych wrogów.

- Dobrze powiedziane - stwierdził Prefontaine, unosząc szklanę w kierunku Rosjanina. - W końcu okazuje się jednak, że wszyscy należymy do tego samego, myślącego i czującego gatunku, czyż nie tak?

- Cóż... - mruknął z zastanowieniem Krupkin, przełknąwszy czwartą brandy. - Wydaje mi się jednak, panie sędzio, że można pokusić się o odróżnienie co najmniej kilku stopni człowieczeństwa. Każdy jest człowiekiem na swój sposób, podobnie jak każdy na swój sposób służy jakiejś sprawie... Weźmy na przykład mnie: choć odebrano mi mój wspaniały dom nad Jeziorem Genewskim, pewna dość znaczna suma pieniędzy na koncie w banku na Kajmanach pozostaje w dalszym ciągu moją własnością. Skoro już o tym mowa: jak daleko stąd są te wyspy?

- Mniej więcej tysiąc dwieście mil na zachód - odparł St. Jacques. - Samolot z Antiguy leci tam nieco ponad trzy godziny.

Krupkin skinął głową.

- Tak właśnie myślałem. Kiedy leżeliśmy w szpitalu w Moskwie, Aleks często wspominał o Montserrat i Wyspie Spokoju, więc na wszelki wypadek zjrzałem do atlasu w szpitalnej bibliotece. Wygląda na to, że wszystko gra... Aha, mam nadzieję, że człowiek, który mnie tu przywiózł, nie będzie miał żadnych nieprzyjemności? Moje nieprawdopodobnie drogie, zastępcze dokumenty są jak najbardziej w porządku.

- Przestępstwem nie jest to, że cię przywiózł, ale to, że w ogóle się tu zjawił.
- Trochę się śpieszyłem. Zawsze się śpieszę, kiedy chodzi o moje życie.
- Wyjaśniłem już gubernatorowi, że jesteś starym przyjacielem mojego szwagra.
- Znakomicie.
- Co teraz pan zrobi, Dymitrze? - zapytała Marie.

- Obawiam się, że nie mam wielkiego wyboru. Nasz rosyjski niedźwiedź nie tylko ma więcej pazurów niż stonoga nóg, ale dysponuje także skomputeryzowaną, ogólnościową siecią informacyjną. Przez jakiś czas będę musiał pozostać w ukryciu, dopóki nie uda mi się skonstruować nowej tożsamości. Jak najbardziej autentycznej, ma się rozumieć, łącznie ze świadectwem urodzenia. - Krupkin odwrócił się do właściciela Pensjonatu Spokoju. - Czy mógłby mi pan wynająć jedną z tych uroczych willi, panie St. Jacques?

- Po tym wszystkim, co zrobił pan dla Davida i mojej siostry, proszę nawet o to nie pytać. Mój dom jest pańskim domem, i to tak długo, jak tylko pan zechce.

- Serdecznie dziękuję. Przede wszystkim, rzecz jasna, czeka mnie podróż na Kajmany, gdzie, jak słyszałem, mieszkają wyśmienici krawcy. Zaraz potem przyjdzie czas na kupno małego jachtu i rejs na Tierra del Fuego, Malwiny albo w jakieś inne zapomniane przez Boga miejsce, gdzie dzięki odrobinie pieniędzy można kupić sobie całkiem wiarygodną, choć nieco tajemniczą przeszłość. I wreszcie odwiedzę pewnego znakomitego lekarza w Buenos Aires, prawdziwego cudotwórcę, który potrafi całkiem bezboleśnie dokonywać zmiany odcisków palców, a także jest wybitnym specjalistą w dziedzinie chirurgii plastycznej... Może o tym nie wiecie, ale w Argentynie robią te rzeczy znacznie lepiej niż w Nowym Jorku. Chyba zmienię sobie profil, a może nawet odejmę kilka lat... Przez ostatnie pięć dni i nocy nie miałem kompletnie nic do roboty, doświadczając niewygód, o których nie wspomnę ze względu na

obecność uroczej pani Webb, więc mogłem wszystko dokładnie obmyślić.

- Znakomicie to ci się udało, Dymitrze - przyznała żona Davida. - Proszę cię, mów mi po imieniu. W jaki sposób mogę szantażować tobą Davida, jeśli ciągle będę dla ciebie panią Webb?

- O, urocza niewiasto!

- Może lepiej wróćmy do twoich uroczych planów - sprowadził go na ziemię Conklin. - Jak sądzisz, ile czasu będziesz potrzebował?

- Ty mnie o to pytasz?! - wykrzyknął Krupkin, spoglądając ze zdumieniem na Conklina.

- Owszem. I byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał mi odpowiedzieć.

- Ty, który miałeś tak ogromny udział w stworzeniu fałszywej tożsamości najlepszego agenta wszystkich czasów, wspianego Jasona Bourne'a?

- Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam pojęcia, o czym mówicie - wtrącił się David. - Ostatnio interesuję się wyłącznie projektowaniem wnętrza.

- A więc jak długo, Kruppie?

- Na litość boską, człowieku! Ty szykowałeś go z myślą o jednym zadaniu, ja muszę stworzyć sobie nowe życie!

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Sam sobie na nie odpowiedz. Tu chodzi o moje życie. I chociaż z geopolitycznej perspektywy może się ono wydawać mało istotne, to jednak jestem do niego bardzo przywiązany.

- To nie ma znaczenia - odezwał się David Webb. Przez ułamek sekundy mogło się wydawać, że Jason Bourne znowu wrócił. - Dostanie tyle czasu, ile będzie potrzebował.

- Dwa lata, żeby wszystko zrobić dobrze, trzy, żeby bez zarzutu - oświadczył Dymitr Krupkin.

- Pritchard! - wykrztusił John St. Jacques. - Podaj mi drinka, jeśli możesz...

Epilog

Szli plażą skąpaną w blasku księżyca, to ciasno przytuleni, to znów odsuwając się na krok od siebie, jakby świat, który ich rozłączył, nie chciał dać za wygraną i ciągnął ich w kierunku ognistego jądra.

- Miałeś przy sobie pistolet - powiedziała cicho Marie. - Nie wiedziałam o tym. Nienawidzę broni.

- Ja też. Nie miałem pojęcia, że wsadziłem go za pasek. Kiedy po niego sięgnąłem, po prostu tam był, i już.

- Odruch? Wewnętrzny przymus?

- I to, i to, jak mi się wydaje. Zresztą, nieważne. Przecież go nie użyłem.

- Ale chciałeś, prawda?

- Tego też nie jestem pewien. Gdyby coś zagrażało tobie lub dzieciom, na pewno pociągnąłbym za spust, ale nie wydaje mi się, żebym strzelał bez zastanowienia.

- Na pewno, Davidzie? Czy jakieś pozorne niebezpieczeństwo nie zmusiłoby cię do wyciągnięcia broni i strzelania do cieni?

- Ja nigdy nie strzelałem do cieni.

Kroki! Z tyłu, na piasku! Lekki szmer, stanowiący zakłócenie naturalnego rytmu pluszczących fal. Jason Bourne odwrócił się raptownie, pchnął Marie w bok, żeby usunąć ją z linii ognia, i przepadł do ziemi z bronią gotową do strzału.

- Nie zabijaj mnie, Davidzie - powiedział Morris Panov, zapalając latarkę. - To po prostu nie miałyby żadnego sensu.

- Boże, Mo! - wykrzyknął Webb. - Co ty wyrabiasz, do cholery?

- Próbuję was znaleźć, to wszystko... Czy mógłbyś pomóc wstać swojej żonie?

Bourne nachylił się i podniósł Marie, po czym oboje stanęli bezradnie, mrużąc oczy w oślepiającym blasku latarki.

- Ty cholerny, wścibski szpiegu! - ryknął Bourne, unosząc pistolet. - Łazisz za mną krok w krok!

- Szpiegu? - wrzasnął wściekle psychiatra, odrzucając latarkę. - Jeśli tak uważasz, to zastrzel mnie, sukinsynu!

- Boże, Mo...! Ja nic nie wiem, ja już zupełnie nic nie wiem... - jęknął rozpaczliwie David, kołyszając na boki głową.

- W takim razie płacz, kretynie, płacz tak, jak nie płakałeś jeszcze ni gdy w życiu. Jason Bourne jest martwy, a jego ciało spalono w krematorium w Moskwie, i tak ma już zostać. Albo to wreszcie do ciebie dotrze, albo nie chcę już nigdy mieć z tobą nic wspólnego! Rozumiesz, co do ciebie mówię, ty arogancki, genialny tępaku? Udało ci się! Osiągnąłeś to, co chciałeś, i już jest po wszystkim!

Webb osunął się na kolana; w oczach wezbrały mu łzy, a ciałem wstrząsnął nie kontrolowany dreszcz. Choć bardzo się starał, nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Nic nam nie będzie, Mo - wyszeptala Marie, klękając przy swoim mężu i obejmując go mocno.

Panov skinął głową w blasku leżącej na piasku latarki.

- Wiem o tym - powiedział. - Nikt z nas nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy w jednym ciele mieszka dwóch ludzi, ale to już koniec. Teraz to już naprawdę koniec.